26 pol.
600.—

F. HOESICK

# CHOPIN

## ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

TOM II.
(1831 — 1845)

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

F. HOESICK

# CHOPIN

## ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

»Gdyby jakiś nieubłagany niszczyciel, postanowiwszy zagładę wszelkiej muzyki, dał mi prawo ocalenia jednego, ale tylko jednego autora, to chociaż nad utratą symfonii Beethovena bolałbym głęboko, przecież tym jedynym, którego całem sercem pragnąłbym ocalić, byłby Chopin. Ten bowiem jest dla mnie wszystkiem«.

*Karol Mikuli.*

TOM II.

(1831—1845)

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.
817
INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA
BIBLIOTEKA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

KSIĘGA PIERWSZA

# PIERWSZE LATA W PARYŻU

(1831—1838).

ROZDZIAŁ I.

## »En passant par Paris« (1831—1838).

Choć było to wkrótce po rewolucyi lipcowej, która, jak burzliwy huragan, przeciągnęła nad Francyą, a zmiotła tron Karola X., Paryż już w pierwszym roku »mieszczańskich rządów« Casimir Periera za panowania Ludwika Filipa odzyskał swój normalny wygląd zewnętrzny, powrócił do zwykłego trybu życia. Choć naprawdę sytuacya była wielce niepewna, tak, że jeśli nie kraj cały, to przynajmniej jego stolica miała zbyt wiele podobieństwa z domem po świeżo ugaszonym pożarze, gdzie jeszcze każdej chwili trzeba być przygotowanym na nowy wybuch utajonych i stłumionych płomieni; i choć znaczna część ludności, a zwłaszcza ludność robotnicza, nie zaspokojona w swych rozbudzonych apetytach na cudze mienie, tylko silnym policyjnym rygorem jako tako była trzymana w karbach; to jednak pozornie, na ulicach, wszystko wróciło do równowagi, tak, że nie bardzo-by skłamano, gdyby rozgłoszono po szerokim świecie, że *l'ordre regne à Paris*. Jakie rewolucyjne zażewia tlały pod szarą warstwą popiołu, w to, oprócz lękliwego rządu, nikt nie wchodził: snać wystarczało ogółowi, zajętemu przedewszystkiem »wzbogacaniem się«, że popiół, choć gorący jeszcze, już nie parzył, a więc pozwalał nie troszczyć się o to, co się dzieje pod spodem. Na powierzchni, gdzie nikomu nie przychodziło na myśl, żeby sobie tym popiołem posypywać głowy, święciła tryumfy *la joie de vivre*. Bawiono się i używano zapamiętale, a jednocześnie bodaj że nie było dnia bez jakiejś politycznej demonstracyi na bulwarach lub przed pałacem królewskim. Ale wielkie manifestacye kończyły się rozpędzeniem przez wojsko, aresztowaniami i karykaturami w pismach humorystycznych (raz po raz konfiskowanych), a życie nie ustawało w swym zawrotnym pędzie. Co dziwniejsza, że sztuki piękne, tak plochliwe zazwyczaj, nie tylko nie

dały się wystraszyć z podminowanej stolicy, ale nawet dostrajały się do jej wolnościowego dyapazonu, jak o tem świadczył posąg *Spartakusa,* świeżo odsłonięty w *Jardin des Tuilleries* (a więc pod oknami królewskiego mieszkania), albo słynny obraz Eugeniusza Delacroix, apoteozujący *Rewolucyę Lipcową,* a wystawiony w r. 1831 w paryskim Salonie, w blizkiem sąsiedztwie niemniej rewolucyjnego *Cromwella* Pawła Delaroche. Ztąd, jako stolica sztuki, czy to w zakresie malarstwa lub rzeźby, czy muzyki i literatury, Paryż nic nie stracił ze swej świetności, a może był świetniejszym jeszcze, niż kiedykolwiek. Mieszkający tu od paru miesięcy Henryk Heine tak go scharakteryzował w jednej ze swych korespondencyi: »Francya robi wrażenie ogrodu, z którego pozrywano wszystkie najpiękniejsze kwiaty, aby je związać w jeden wspaniały bukiet, a tym bukietem jest Paryż. Prawda, że nie bije odeń w tej chwili tak silny zapach, jak po owych lipcowych dniach rozkwitu, kiedy tu wszystkie narody aż się odurzały tą wonią, lecz mimo to jest on jeszcze zawsze dość pięknym, ażeby oblubieńczo błyszczeć na piersiach Europy. Paryż jest nietylko stolicą Francyi, ale całego cywilizowanego świata, i jest punktem zbornym wszystkich jego duchowych znakomitości. Zgromadziło się tu wszystko, co jest wielkiem, bądź miłością lub nienawiścią, bądź uczuciem lub myślą, bądź wiedzą lub nauką, bądź szczęściem lub nieszczęściem, bądź przeszłością lub przyszłością. Przypatrując się temu zbiorowi sławnych i znamienitych mężów, którzy tu wciąż spotykają się ze sobą, dochodzi się do wniosku, że Paryż jest istnym Panteonem, nie umarłych, lecz żywych. Nowe sztuki, nowe religie, nowe życie, wszystko rodzi się tutaj, a przytem ci, co są twórcami tych nowych światów, tutaj są pełni wesołości. Władcy mogą być małoduszni, ale naród jest wielki i czuje swe strasznie wzniosłe przeznaczenie. Synowie pragną współzawodniczyć z ojcami, którzy do grobu zstąpili tak sławnie i świetnie. Wszędzie świtają brzaski potężnych czynów, a nieznane bogi chcą się objawić światu. A przytem, gdzie spojrzeć, wszędzie śmiechy i tańce, wszędzie rozkwita lekki swawolny żart, wszędzie panuje atmosfera najweselszych dowcipków i podrwiwań.« W określeniu tem nie było przesady. Istotnie bowiem, jako stolica sztuki, jako centrum życia i ruchu artystycznego, Paryż w tych latach był bez współzawodnika. Wszystko, z czego Europa mogła być dumna, mieszkało w Paryżu. Sainsimonizm, romantyzm, socyalizm, jak wszystko, co było rewolucyonizmem w życiu, w polityce, w religii, w malarstwie, w muzyce, w poezyi, tutaj miały swoje siedlisko, ztąd promieniowały na świat cały.

Jak w każdej epoce, odznaczającej się bujnością — a taką właściwie była epoka po roku 1830 — tak i w tych czasach, wszystko, co w Paryżu składało się na atmosferę duchową, dzieliło się na dwa obozy: na młodych i starych. Jak w Warszawie przed powstaniem listopadowem, tak i nad Sekwaną w tej chwili toczyła się walka klasyków z romantykami, a raczej



romantyków z klasykami, i podobnie, jak tam, i tutaj zwyciężali romantycy, czy to byli malarze, jak Delacroix, czy poeci, jak Hugo, czy muzycy, jak Berlioz, czy krytycy, jak Sainte-Beuve. Organem »młodych« było pismo *Le Globe* i ztąd, niby z obronnych szańców, padały zabójcze pociski w stronę słabo odstrzeliwającego się obozu wszelkiego rodzaju Akademii i Instytutów. Czem w literaturze, w przeciwstawieniu do generacyi starego Chateaubrianda, byli Lamartine, Hugo, Musset, Heine, Balzak, George Sand, Sainte-Beuve, Jules Janin, Alfred de Vigny, Dumas i w i., czem w malarstwie, w przeciwstawieniu do różnych »starych mamutów« z czasów pierwszego cesarstwa, byli — tak świetnie scharakteryzowani przez Heinego w jego korespondencyi o paryskiej wystawie obrazów z roku 1831 — Scheffer, Horacy Vernet, Robert, a przedewszystkiem Delaroche i Delacroix, tem w muzyce, pomimo całego szacunku, jaki miano dla starych mistrzów, jak Cherubini, Lesueur, Auber, Boildieux, Paër, Rossini, byli tacy »młodzi«, jak Berlioz, Liszt, Hiller, Mendelssohn, Franchomme, Osborne, a przed nimi wszystkimi Meyerbeer.

Już to jeżeli chodziło o muzykę, to nie było w tym czasie miasta na świecie nad Paryż. Czy to w zakresie opery, czy pod względem koncertów, tutaj skupiło się wszystko, co było najświetniejszego na kuli ziemskiej. Pierwsze miejsce, ale tylko z urzędu, zajmowała wielka opera przy rue Lepelletier, nosząca szumne miano *Academie Royal de Musique,* której dyrektorem był Veron. Pod jej poważnem sklepieniem święcił ciągłe tryumfy *Robert Dyabeł,* którego niezrównany wykonawca, Adolf Nourrit, król francuskich śpiewaków, był też i najświetniejszą gwiazdą na śpiewaczym firmamencie tego oficyalnego przybytku Polyhymnii. Swoją drogą i inne gwiazdy, należące do stałego składu wielkiej opery, takie np. jak znakomity Levasseur lub słynna Damoreau-Cinti, świeciły pierwszorzędnym blaskiem. Mimo to prym trzymała opera włoska, pod dyrekcyą Rossiniego, w której słuchało się takich spiewaków, jak Rubini, Lablache, i takich śpiewaczek, jak Malibran, Pasta, Schröder-Devrient, Casadory. Była to pierwsza opera pod słońcem. W innym rodzaju, ale na bardzo wysokim poziomie artystycznym, była *Opéra-Comique* pod dyrekcyą Feydeau, w której, przy wtórze doskonałej orkiestry, popisywali się śpiewacy tej miary, co tenor Chollet, lub panie Casimir i Prévost. O przybytkach tych muzyki operowej, z wyjątkiem *Theàtre des Italiens,* krążyły różne złośliwe *bons mots,* podkopujące ich dobrą sławę, ale jak w wielu wypadkach, tak i tym razem, prawdę poświęcano dla dowcipu. Tak np. stary Cherubini, zapytany raz, dlaczego nic nie wystawia w *Opéra-Comique,* odpowiedział: »*Je ne sais pas donner des opéras sans choeurs, sans orchestre, sans chanteurs et sans decorations.*« Na szczęście tak źle nie było. Heine znowu, który nikomu nie darował, zwrócił uwagę, że między dziewięciu posągami Muz, zdobiących front gmachu opery przy rue Lepelletier, brakowało jednego, a przypadek zdarzył, że tym

brakującym był właśnie posąg muzy... muzyki! Biedna Polyhymnia podobno rzuciła się któregoś dnia na bruk i rozbiła się na drobne kawałki, a uczyniła to z rozpaczy, nie mogąc dłużej słuchać zdartych głosów niektórych renomowanych śpiewaków, protegowanych przez p. Verona. Najlepszą orkiestrą, słynącą, jako jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza na świecie, była orkiestra Konserwatoryum. Ztąd koncerty symfoniczne *au Conservatoire* pod dyrekcyą genialnego Habenecka, który pierwszy zapoznał Paryż z symfoniami Beethovena, cieszyły się zasłużoną sławą. Niestety, były to koncerty tylko dla wybranych, bo prawie wszystkie miejsca były rozebrane w abonamencie, a na to mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi. Nie zawsze byli to najmuzykalniejsi, ale bywanie na koncertach w konserwatoryum stało się modą w wielkim świecie, co sprawiało, że sala zawsze była przepełniona. Inne koncerty odbywały się bądź w sali opery włoskiej, bądź w salach Pleyela lub Erarda, dwóch godnych siebie rywali pomiędzy paryskimi fabrykantami fortepianów. Wśród koncertantów najwięcej było pianistów, z których bardzo wielu stale mieszkało w Paryżu. Z nich wszystkich najsławniejszym był Kalkbrenner, który w zakresie muzyki fortepianowej uchodził za taką znakomitość, jaką w dziedzinie wirtuozostwa skrzypcowego był Paganini. Wśród skrzypków królował tu stary Baillot. Wogóle roiło się tu od muzyków, zarówno kompozytorów, jak i wirtuozów na wszystkich możliwych instrumentach.

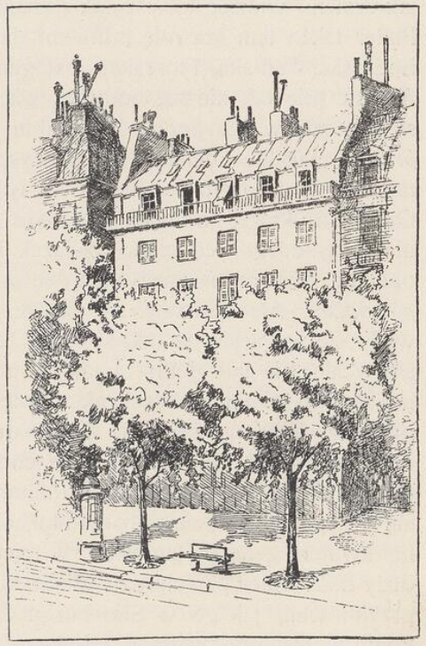
A jak w dziedzinie sztuk pięknych, w muzyce, malarstwie i poezyi, wszystko przeobrażało się pod wpływem prądów romantycznych, tak i w polityce, nie w rządzie wprawdzie, ale w całym narodzie francuskim, panował jakiś szlachetny idealistyczny romantyzm, którego atmosferą oddychało się i w Paryżu, a może w Paryżu przedewszystkiem. Na zewnątrz ujawniało się to w postaci niekłamanej sympatyi dla sprawy polskiej. *Vive la Pologne!* było hasłem wszystkich rewolucyonistów francuskich. Ztąd, chodząc po Paryżu, raz po raz słyszało się okrzyk: Niech żyje Polska!

## I.

W takiem to środowisku znalazł się teraz Chopin, przybywszy we wrześniu 1831 roku do Paryża. Zamieszkał w pryncypalnym punkcie, bo przy Boulevard Poissonière Nr 27. Bardzo był zadowolony ze swego mieszkanka. »Mieszkam na czwartem piętrze — pisał o niem do Wojciechowskiego — ale w najładniejszem miejscu, bo na bulwarach; mam balkonik na ulicę wychodzący i mogę bardzo daleko w prawo i w lewo bulwary widzieć«. Ale nie wiele przesiadywał w domu, od chwili bowiem, gdy się znalazł na paryskim bruku, przedewszystkiem był ciekawy Paryża. Jakoż nie tracił czasu, lecz ile możności starał się poznać to miasto nad miastami, w czem zwłaszcza pomocnym był mu od roku już mieszkający tu



Antoni Orłowski, oraz książę Walenty Radziwiłł. Mając dwóch takich ciceronów, w bardzo krótkim czasie doskonale poznał Paryż, a że nim był zachwycony, tego dowodziły jego entuzyastyczne listy do przyjaciół w kraju. «Paryż — pisał do Wojciechowskiego — jest to wszystko, co chcesz: możesz się bawić, nudzić, śmiać, płakać, co ci się podoba, i nikt na ciebie nie spojrzy, bo tutaj tysiące ludzi to samo robią, co ty, i każdy idzie swoją drogą.« »Dziwny to lud ten paryski (pisał innym razem do tegoż Wojciechowskiego): jak wieczór przyjdzie, nic nie słyszysz, jak tylko wykrzyki tytułów nowych książek ulotnych, z trzech lub czterech arkuszy drukowanego głupstwa złożonych, i chcąc nie chcąc za sousa kupisz. Tytuł ich bywa najczęściej taki: *L'art de faire des amours et de les conserver ensuite... Les Amours des prêtres... L'Archevêque de Paris avec Madame la duchesse de Berry...* i tysiączne podobne niedorzeczności, niekiedy bardzo dowcipnie pisane. Prawdziwie, że dziwić się potrzeba, na jakie się tu sposoby biorą, aby grosz zarobić. Wiesz, że w Paryżu teraz wielka bieda, pieniędzy mało kursuje, obdrapańców mnóstwo spotykasz z ponuremi fizognomiami i nieraz słyszysz odgrażającą mowę na Ludwika Filipa, który tylko ze swojem ministeryum na włosku wisi. Niższa klasa społeczności jest zupełnie rozjątrzona i co moment radaby zmienić stan rzeczy, aby koniec swej nędzy położyć, ale zbyt wiele ostrożności i baczności rząd ma na nią; najmniejsze zebranie się pospólstwa na ulicy zaraz żandarmerya konna rozpędza.« »Potrzeba ci wiedzieć, że tu każda partya polityczna inaczej się nosi (mówi się to o egzagerowanych); karliści mają zielone kamizelki, republikanie i napoleoniści, to jest ta *jeune France,* Saint-simoniści czyli nowi chrześcijanie, tworzący oddzielną religię i mający już ogromną liczbę prozelitów, noszą się niebiesko i t. d.« A na każdym kroku ujawniała się sympatya dla Polaków, którzy tu, po tryumfalnym pochodzie przez Niemcy, napływali w coraz większej liczbie, tworząc pierwsze zastępy nadciągającej emigracyi. Ponieważ ich poznawano po mundurach wojskowych,



Dom przy Boulevard Poissonière Nr 27.

w których tu demonstracyjnie paradowali po ulicach, więc życzliwe okrzyki: *Vivent les Polonais!* co moment wyrywały się z ust przechodniów. W teatrach i cyrkach grywano sztuki, osnute na wypadkach ledwo co stłumionej rewolucyi polskiej, której niektórzy bohaterowie, już znajdując się w Paryżu, mogli się przypatrywać swym bohaterskim czynom... na scenie. Na jednej z takich sztuk, dawanej z ogromnem powodzeniem w *Théatre de la Porte Saint-Martin,* był i Chopin. Oto, jak ją opisywał w liście do Wojciechowskiego: »Dają też teraz Francuzi w teatrze, gdzie tylko dramy i obrazy konne wystawiają, całą ostatnią naszą historyę. Ludzie tam biegają, jak szaleni, widzieć te wszystkie rzeczy, podziwiać bitwy i kostyumy. Panna Plater także tam gra rolę z innemi damami, którym dają nazwiska nakształt Lodoiska, Faniska, Floreska; jest generał Gigult, jako brat Platerówny itp. Ale nic mię tak nie zastanowiło, jak ogłoszenie afiszem w jednym z mniejszych teatrów, że podczas antraktu muzyka grać będzie *la Mazurka Dobruski*... Jak cię kocham, nie facecya, bo mam na to świadków, którzy to razem ze mną czytali.« Jednym z tych świadków był z pewnością Antoni Orłowski, który, korzystając z tego sympatycznego usposobienia Paryżan dla wszystkiego, co miało związek z Polską, na gwałt pisał muzykę do operetki, z akcyą rozgrywającą się w Polsce p. t. *L'Anneau des fiançailles polonaises.* Ale zdarzały się chwile, w których te sympatye polskie objawiały się w Paryżu w taki sposób, że na Chopinie aż skóra cierpła, z czem się wcale nie taił. Jedna z takich polonofilskich demonstracyi odbyła się nawet pod oknami mieszkania Fryderyka, co go bawiło zrazu, a w końcu przejęło strachem, bo takie demonstracye nigdy niewiadomo na czem się mogą skończyć. W danym razie chodziło o uczczenie jednego z wodzów powstania polskiego, generała Ramorina. Oto, jak tę demonstracyę, której się przyglądał ze swego balkoniku, opisał Chopin: »Naprzeciwko mnie stanął kwaterą generał Ramorino, w miejscu tak nazwanem *Cité Bergère,* gdzie duży dziedziniec przechodzi. Wiadomo Ci zapewne, jak go wszędzie Niemcy przyjmowali, jak go w Strasburgu Francuzi, zaprzągnąwszy się w miejsce koni, w tryumfie ciągnęli, słowem, wiadomy Ci ten entuzyazm ludu dla naszego generała. Paryż nie chciał być ostatnim w tym względzie. Szkoła Medycyny, młodzież t. zw. *jeune France,* nosząca bródki i podług pewnych przepisów zawiązująca chustki na szyi, postanowiła urządzić wielką demonstracyę... Otóż do tysiąca takiej młodzieży z chorągwią trójkolorową przechodziło przez całe miasto do Ramorina, aby go przywitać. Chociaż był w domu, nie chciał się jednak narażać na nieprzyjemności ze strony rządu, nie pokazał się mimo krzyku i wołania: *Vivent les Polonais!* Adjutant wyszedł i powiedział, że generał prosi ich na inny dzień do siebie. A tymczasem nazajutrz wyprowadził się ztamtąd. W parę dni później wali się ogromne mnóstwo już nietylko młodzieży, ale i pospólstwa, zebranego pod Panteonem, na drugą stronę Sekwany do Ramorina. Jak lawina śniegu,



im więcej ulic przechodzi, tem ogromniejsza masa tworzy się ludzi, aż przy moście Pont Neuf oczekująca na nich konna żandarmerya rozpraszać wszystkich zaczyna. Wielu pokaleczono, ale mimo to znowu mnóstwo ludzi zebrało się na bulwarach pod mojemi oknami, żeby złączyć się razem z idącymi z drugiej strony miasta. Policya nic pomódz nie mogła, tłumy coraz stawały się większe; przyszedł oddział infanteryi, szwadron huzarów; adjutant placu rozkazał gwardyi municypalnej i wojsku spychać z trotuarów i z ulicy ciekawsze i mruczące pospólstwo; łapią, aresztują (wolny naród!). Strach się wkoło szerzy, sklepy zamykają; po wszystkich rogach ulic bulwarowych kupy ludzi, świstanie, galopowanie posłańców wojskowych, okna pełne spektatorów, jak niegdyś u nas na wielkie święta! I to trwało od godziny 11-tej przed południem do 11-tej w nocy! Jużem myślał, że się zrobi jaka burda, ale to wszystko skończyło się na zaśpiewaniu ogromnym chórem około północy: *Allons enfants de la patrie!*... Jakie na mnie wrażenie zrobiły te groźliwe głosy nieukontentowanego ludu, ani pojmiesz. Spodziewano się nazajutrz kontynuacyi tej *émeuty,* jak oni to zowią, ale zawiedzione zostały oczekiwania.« Należy podziwiać żywość i plastykę tego opisu. Widzi się wszystko.

Ale to była polityka. Tymczasem Chopina przedewszystkiem interesowała muzyka. To też, o ile tylko mógł, korzystał z każdej sposobności, by się przysłuchiwać tutejszym produkcyom muzycznym, bądź w teatrach, bądź na koncertach. Ułatwiali mu to Radziwiłł i Orłowski, z którymi wciąż trzymał się razem. Przedewszystkiem poszedł na *Roberta Dyabła,* który ciągle robił furorę w wielkiej operze. Oto, co pod jego wrażeniem pisał do Wojciechowskiego: »Jeżeli kiedy był jaki przepych w teatrze, to nie wiem, czy dochodził do takiego stopnia, co w *Robercie Dyable,* nowej 5-aktowej operze Meyerbeera, co *Crociato,* napisał. Jest to arcydzieło nowej szkoły, gdzie dyabły (chóry ogromne) przez tuby śpiewają, gdzie umarli z grobów powstają, ale nie tak jak w *Szarlatanie* (Kurpińskiego), tylko po 50—60 osób na raz, w stosownem ugrupowaniu na tle pięknej dekoracyi, przedstawiającej wnętrze i krużganki klasztorne w ruinach, oświetlonego księżycem i innemi sztucznemi ogniami. Dalej występują mnichy z całą pompą kadzideł i świateł, słychać przy tem organy, których głos w teatrze czaruje, zadziwia i całą orkiestrę nieledwie pokrywa. Trudno to będzie gdzieindziej przedstawić. Meyerbeer się unieśmiertelnił! Ale też trzy lata siedział w Paryżu, nim tę operę wystawił, i 20.000 franków, jak mówią, łożył na rozmaite wydatki.«

Niemniej dodatnich wrażeń doznał Chopin, bywając na innych operach, z których w krótkim czasie poznał wszystkie najgłówniejsze. Na ogół był zachwycony, zwłaszcza śpiewakami i śpiewaczkami, od których lepszych nie zdarzyło mu się słyszeć. Pisząc do Elsnera, tak mu zdał sprawę ze swych paryskich wrażeń teatralnych: »Zbieg mnóstwa ludzi interesujących

w każdym rodzaju sztuki muzycznej jest tu do podziwienia. Trzy orkiestry: Akademii, Włochów i Feydeau, są doskonałe. Rossini jest dyrektorem włoskiej opery, która jest najlepszą w Europie. Lablache, Rubini, Pasta, Malibran, Schröder-Devrient, Santini i t. p. zachwycają wielki ton trzy razy na tydzień. Nourrit, Levasseur, Dérivis, pani Damoreau-Cinti, panna Dorus, podnoszą talentami swojemi Wielką Operę; Cholet, panna Casimir Prévost, są podziwiani w Operze komicznej. Słowem, tu dopiero można się dowiedzieć, co to jest śpiew. Dziś niezawodnie nie Pasta, ale Malibran-Garcia jest pierwszą w Europie. Cudo! Książę Walenty Radziwiłł rozpływa się nad nią i nieraz sobie Pana przy tej sposobności wystawiamy, jakbyś Pan ją admirował... Wszyscy tu Pana kochamy i uwielbiamy, zacząwszy odemnie, a skończywszy na pańskim chrzestnym synu, Antonim Orłowskim, który podobno nie tak zaraz przyjdzie do wystawienia swojej operetki, bo *sujet* nie najlepsze, a prócz tego teatr zamknięty aż do Nowego Roku! Król nie sypie pieniądzmi, między artystami wogóle chudo. Anglicy tylko płacą.« Obszerniej o swych wieczorach, spędzanych w trzech paryskich operach, rozpisał się Chopin w liście do Wojciechowskiego, któremu tak scharakteryzował główne siły wokalne: »Anim jeszcze słyszał *Cyrulika*, jak w przeszły tydzień przez Lablacha, Rubiniego i Malibran Garcia; anim słyszał *Otella*, jak przez Rubiniego, Pastę i Lablacha: *Italiana in Algeri*, jak przez Rubiniego, Lablacha i M-me Raimbeau. Jeżeli kiedy, to teraz wszystko mam w Paryżu! Nie wystawisz sobie, co to jest Lablache! Pasta, mówią, że straciła na głosie, ale nic jeszcze wznioślejszego, jak jej śpiew, nie słyszałem. Malibran cudownym głosem swoim trzy oktawy bierze, a śpiewa, jak żadna... Cudo! cudo! Rubini tenor doskonały; rulady robi do nieskończoności, ale czasem za wiele broderyi używa i trzęsie głosem umyślnie; prócz tego trylluje bez końca, co mu jednak największe jedna oklaski. Jego *mezza-voce* jest nie do porównania. Występuje tu także Schröder-Devrient, ale nie robi takiej, jak w Niemczech, furory. Pani Malibran grała rolę Otella, a ona Desdemony. Malibran mała, a Niemka ogromna; zdawało się, że Desdemona Otela zdusi! Kosztowna to była reprezentacya; potrzeba było zapłacić 24 franków za miejsce, żeby widzieć Malibran czarną i nie tęgo w tej roli grającą. Orkiestra zresztą cudowna, ale to wszystko nic jeszcze w porównaniu z przepychem wystawy francuskiej opery *(l'Academie royale)*. Pani Damoreau-Cinti śpiewa też doskonale; wolę jej śpiew, jak Malibran. Malibran zadziwia, Cinti zachwyca: gammą chromatyczną lepiej robi, jak sławny Tulon na flecie. Nie można mieć głosu lepiej wyrobionego. Nourrit, francuski tenor, jest zadziwiający swojem uczuciem, a Cholet w *Opéra Comique* (gdzie dają *Fra Diavolo, la Fiancée i Zampę*, nową śliczną operę Herolda), jest to pieszczący się amant, *seducteur*, drwiący, cudny, z romansowym głosem, wytworny śpiewak; utworzył on sobie własny rodzaj, od publiczności bardzo sympatycznie przyjmowany. Na *Opéra Comique* dają



teraz *Marquise de Brinvilliers*, kobietę, co truła ludzi za czasów Ludwika XIV-go. Muzykę do tej opery komponowało ośmiu: Cherubini, Paër, Berlioz, Herold, Auber, Bâton, Blangini i Caraffa... Dziś jest w operze włoskiej koncert duży, w którym biorą udział: Malibran, Rubini, Lablache, Santini, M-me Raimbeaux, M-me Schröder, M-me Casadory; przytem Herz gra (czego najciekawszy jestem) i Beriot, ten skrzypek, co pani Malibran w nim się kocha.« Jednem słowem, do syta kąpał się w atmosferze muzycznej, co też z pewnością nie było bez silnego wpływu na jego kulturę muzyczną, na jego wyrobienie i wykształcenie artystyczne. Pod tym względem musiał korzystać bardzo wiele.

Zwłaszcza, że nie tylko słuchał wspaniałej muzyki, ale w bardzo krótkim czasie, bo w ciągu paru miesięcy, zrobił mnóstwo znajomości w miejscowym świecie muzycznym, z najznakomitszymi muzykami, jacy mieszkali w Paryżu. Przedewszystkiem skorzystał z dwóch listów polecających, które tu przywiózł z sobą, z listu Malfattiego do Paëra, oraz z listu Elsnera do Lesueura [1]).

Ten ostatni przyjął go bardzo łaskawie, a gdy mu Chopin jeszcze zagrał na fortepianie, odrazu stosunek ułożył się serdecznie. Prosił Fryderyka, by go odwiedzał częściej, co też ten nie omieszkał czynić raz po raz. »Lesueur — pisał raz o tych swoich wizytach u niego do Elsnera — dziękuje Panu ślicznie za pamięć i każe oświadczyć milion ukłonów; najmilej o Panu wspomina i za każdą wizytą pyta mnie: *Et que fait notre bon Monsieur Elsner? Racontez-moi de ses nouvelles.* I zaraz przechodzi do Pańskiego *Requiem*, które Pan mu przesłałeś.«

Ale najwięcej pomógł Chopinowi list Malfattiego do Paëra. On to właściwie wprowadził go w świat muzyczny paryski. Przez Paëra, który był nadwornym kapelmistrzem, poznał Rossiniego, Cherubiniego, Baillota, Herza, Hillera, a przedewszystkiem Kalkbrennera, oraz wielu innych młodszych i starszych. Nie wszyscy mu zaimponowali, nie wszystkimi był zachwycony, a niektórzy nawet zrobili na nim wrażenie... zer! Oto, co w tej kwestyi pisał do Elsnera: »Baillot bardzo dla mnie grzeczny i uprzejmy... Reicha [2]) znam tylko z widzenia: wiesz Pan, ile tego człowieka poznać byłem ciekawy. Poznałem tu kilku jego uczniów, którzy mi niekorzystne o nim dali wyorażenie. Nie lubi on muzyki, nawet na koncertach konserwatoryum nie bywa, nie chce z nikim o muzyce rozprawiać, na swoich lekcyach tylko na zegarek patrzy. Toż samo Cherubini: tylko o cholerze

[1]) W liście z dnia 20 lipca 1845 r. pisze Chopin do rodziców: »A propos pomników Lesueurowi (muzykantowi) wystawią także w jego miejscu urodzenia, mieście Abbeville. Lesueur był kapelmistrzem Napoleona *(membre de l'Institut)*, profesorem w konserwatoryum. P. Elsner go znał dobrze, dał mi list do niego, jakem do Paryża jechał.«

[2]) Znakomity skrzypek, profesor paryskiego konserwatoryum.

i rewolucyach wciąż bajdurzy. Ci panowie są to zasuszone pupki, na które się tylko z uszanowaniem patrzyć trzeba, a z dzieł ich uczyć.« Do tej kategoryi starych, »zasuszonych pupek« zaliczał Chopin, w skrytości serca także i Pixisa, który już ze Sztutgardu razem z swą piękną Francillą wrócił do Paryża, tudzież słynnego twórcę tylu oper i *Niemej z Portici,* Aubera. Za to był z najwyższem uznaniem dla twórcy *Roberta Dyabła.* Meyerbeer odrazu został ujęty grą Chopina, która go przedewszystkiem »zdziwiła«, które to zdziwienie, a raczej zdumienie, szybko zamieniło się w podziw. Poznał się na tem Chopin, to też, pisząc do domu, nie omieszkał rozpisać się o tem tak dla niego zaszczytnem zdumieniu Meyerbeera [1]). Samo się przez się rozumie, że to zdumienie odnosiło się nie tylko do gry Chopina, ale z pewnością w jeszcze wyższym stopniu do jego kompozycyi. Halevy, przyszły twórca *Żydówki,* od chwili, gdy poznał Chopina, polubił go nadzwyczaj. Po niejakim czasie zaczęli bywać u siebie, a że dlań miał dużo sympatyi, dowodziły chociażby jego bileciki do Fryderyka, w których go tytułował: »*Mon cher petit Chopin.*«

Jak z twórcami oper, tak z ich słynnymi wykonawcami, łącznie z dyrektorami obu oper, pp. Veron i Robert, poznał się Chopin niebawem. Ze śpiewaków najwięcej zaprzyjaźnił się z Nourrit'em i z Lablachem, ze śpiewaczek najwięcej życzliwości okazywała mu pani Damoreau-Cinti, co nie znaczyło wcale, żeby i u innych nie cieszył się wyjątkową sympatyą...

Ale najwięcej, więcej nierównie, niż najsławniejsi twórcy oper, więcej niż najsławniejsi śpiewacy lub śpiewaczki, interesowali Chopina fortepianiści. Tych poznania i usłyszenia był najciekawszy, choć nie wszystkich; uważał bowiem, że ich było za dużo w Paryżu, zwłaszcza lichych. »Nie wiem — pisał w tej kwestyi do Wojciechowskiego, — czy jest gdzie więcej pianistów, jak w Paryżu; nie wiem, czy jest gdzie więcej osłów i więcej wirtuozów, jak tu». Do tych, których nie mógł nazwać osłami, należeli: Zimmerman, Herz, Hiller, Mendelssohn, Osborne, Stamati, a przedewszystkiem Kalkbrenner i Liszt.

Stary Zimmerman, sam znakomity fortepianista, a jeszcze znakomitszy nauczyciel, który, jako profesor gry fortepianowej w paryskiem konserwatoryum, wychował całe pokolenie fortepianistów, prowadził dom otwarty, a na wieczorach muzykalnych, które urządzał u siebie, popisywali się najznakomitsi wirtuozi. Chopin wkrótce powiększył ich liczbę, stawszy się faworytem pani i panny Zimmerman. Wszystko, co w Paryżu było najświetniejszego, gromadziło się na tych zebraniach, co było z wielką korzyścią dla Chopina, bo, bywając tutaj, nie tylko mógł się dać poznać sfe-

[1]) W odpowiedzi na ten list Fryderyka pisze do niego Mikołaj Chopin: »*L'étonnement de Meyerbeer a du te faire plaisir*«... Zachował się list Meyerbeera, w którym tytułuje Chopina: »*Cher et illustre maitre*«



rom muzykalnym paryskim, ale i pozawierać mnóstwo osobistych znajomości, które szybko przechodziły w przyjaźń.

Jedną z takich znajomości Chopina, która niemal odrazu przerodziła się w najserdeczniejszą przyjaźń, była jego znajomość z Ferdynandem Hillerem, doskonałym pianistą, a wcale nietuzinkowym kompozytorem. Chopin tak go pokrótce scharakteryzował w liście do Wojciechowskiego: »Poczciwy Hiller, chłopiec z ogromnym talentem, uczeń Hummla, którego *Koncert* za onegdaj i *Symfonia* wielki efekt zrobiły, jest to w rodzaju Beetho-



Chopin i Hiller. Medal współczesny.

vena, pełen poezyi, ognia i ducha człowiek.« Uczucie czci, jakie »poczciwy Hiller« żywił dla Chopina od pierwszej chwili, gdy się poznali, równało się entuzyazmowi. Oto, co o nim pisał z czasem Hiller w swych wysoce artystycznych *Listach do Nieznajomej:*« Kochał mnie Chopin, ale winienem dodać, że ja byłem w nim zakochanym. Nie wiem przynajmniej, jak inaczej nazwać uczucie, którem mnie natchnął. Jego obecność uszczęśliwiała mnie, nigdy nie mogłem nasłuchać się go do sytu; jeślim go dłużej nie widział, tęskniłem za nim; rano rychło wychodziłem z mieszkania, aby go zobaczyć, nim swe lekcye rozpocznie. Trochę tkliwości niezawodnie łączyło się z przywiązaniem tych, którzy z nim w bliższych pozosta-

wali stosunkach. Już sama wątła budowa jego ciała, zdrowie słabowite, zmuszało do obchodzenia się z nim ostrożnie. Ta blada cera, ta wiotkość postaci, budziła uczucie, jakiego doznaje troskliwy zbieracz szkła weneckiego lub saskiej porcelany. Ruchy jego były pełne przyrodzonego wdzięku i powabnej giętkości. Brzmienie głosu było nader miłe i dźwięczne; rodowitym językiem władał zapewne biegle i umiejętnie. Język francuski i niemiecki, któremi naprzemian rozmawialiśmy, rozumiał wprawdzie w najsubtelniejszych odcieniach, ale nie mówił niemi dość płynnie, szukając więcej aniżeli znajdując wyrażenia do swych bystrych uwag i spostrzeżeń. A kiedy (mówiąc po niemiecku) z mego uśmiechu dorozumiał się, iż go odgaduję, i pojmuję, zwykł był mawiać: Rozumiesz, co chciałem powiedzieć. *Cela suffit*[1]). Tak tedy i ten niedostatek w biegłości w języku (niemieckim nie francuskim), dodawał gawędce jego wdzięku, na którym i najwymowniejszym często zbywa. Wogóle bywał wesołym. Często nawet figlarnym i swawolnym, ale dno jego nie było pogodnem. Nie miał w sobie zdrowia, a pobyt na obczyźnie ciężył mu całem brzemieniem, pomimo wszystkiego, czem darzy Paryż, a czem jego darzył szczególniej. Żyć bez towarzystwa nie lubił, i mało też kiedy bywał samotnym. Rano przepędzał jakąś godzinkę przy instrumencie, a nawet gdy się ćwiczył i grał dla wprawy, albo gdy całe wieczory przy ulubionym fortepianie przesiadywał, koniecznie kogoś z przyjaciół przy sobie mieć musiał... W sferach arystokratycznych, w których się obracał od pierwszych niemal dni wieku dziecięcego, czuł się jakby w swoim żywiole, a szczególnie w gronie ziomków, z których wielu i to najzacniejszych i najdystyngowańszych w Paryżu podówczas przebywało. Dodajmy do tego, iż go nietylko podziwiano i wielbiono, ale i pieszczono. Nie było w nim ani źdźbła wyniosłości, pychy i zarozumienia; równą wszystkim okazywał uprzejmość, wesołość i pogodę; ale poufalsi jego przyjaciele czuli, że tylko wybranym z wylaniem się udzielał i to nader rzadko. Poczuwając się do swej wartości, jako artysta, znał dokładnie granice, jakie mu jego geniusz zakreślił. Uważał się za poetę lirycznego, »tak mniej więcej jak wasz Uhland« rzekł do mnie pewnego razu. »Gdybym był pozostał w ziemi rodzinnej (odezwał się przy innej sposobności), byłbym może wiele dla śpiewu uczynił.« Ale w innym języku, jak w ulubionym polskim komponować i pienia układać, nie było dla niego podobieństwem. Jest on i bez słów dla ziomków swoich wieszczem narodowym, a nie potrzeba tekstu, aby jego melodyom zapewnić słuszne i sprawiedliwe uznanie, jako też byt wiecznotrwały. O jego grze cudownej do ostatniego tchnienia nie zapomnę. O ile rzadko się innym udzielał z wylaniem, o tyle inaczej rzecz

[1]) Odnosi się to wyłącznie do niemczyzny Chopina. Po francusku, choć z pewnym akcentem cudzoziemskim, mówił Chopin zupełnie biegle od dzieciństwa, co miał do zawdzięczenia w pierwszym rzędzie ojcu, z którym zawsze mówił po francusku.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA WARSZAWA BIBLIOTEKA



się miała przy fortepianie; tam wywnętrzał się w zupełności i w daleko wyższym stopniu, aniżeli którykolwiek z artystów muzycznych. Dawał tylko siebie, i to w sposób tak odrębny, że wszelkie wspomnienie czegoś już gdzieś zasłyszanego było niepodobieństwem. Tak nigdy nikt klawiszów nie dotykał; w tak niezliczonych odcieniach i modyfikacyach nikt nigdy z nich dźwięków nie wydobywał. Umiał on połączyć rytmikę ze swobodą gry w sposób tak dziwny, iż jego melodye wydawały się zawsze płodem doraźnej improwizacyi i chwilowego natchnienia. Co u innych było wykwintną ozdobą, u niego było kwiatem barwistym; co u innych techniczną biegłością, to u niego przypominało lot jaskółki. Wszelkie względy i poglądy na zalety gry Chopina, jako to: nowość, wykończenie, uczucie, znikały; górowała nad niemi ta myśl jedyna, że to gra Chopin. Nawet brak tej imponującej siły, jaką Thalberg i Liszt podbijali słuchacza, stanowił u niego jeden wdzięk więcej. Energii myśli udzielało się w daremnej walce z materyą uczucie tęsknoty. Nawet ten, kto najgłębiej wniknął w ducha jego kompozycyi, kto je najzupełniej pojął i zrozumiał, nie nabędzie nigdy przekonania o poezyi, jaka w grze jego spoczywała. Wszelka myśl cielesności ulatniała się. Był to połysk dziwnego meteoru, który nas podwójnie zachwyca swą niepojętą tajemniczością.«

Przez Hillera poznał się Chopin i zaprzyjaźnił z bawiącym tu czasowo przez kilka miesięcy Mendelssohnem. Sympatyczny twórca *Pieśni bez słów* powziął ogromną sympatyę dla »Chopinetta« (jak nazywał Fryderyka), zachwycał się jego kompozycyami, podziwiał jego grę na fortepianie. Chopin też mógł wiele skorzystać w jego towarzystwie. Jakoż polubili się nadzwyczaj, a gdy Mendelssohn opuścił Paryż, nawet korespondowali z sobą, t. j. pisywał Mendelssohn, a Chopin nie odpisywał. W podobnej korespondencyi pozostawał również z Hillerem. Tymczasem, póki byli razem w Paryżu, stołowali się w jednej restauracyi, przyczem naturalnie o muzyce mówiło się najwięcej. Osborne także należał do tych wesołych obiadów, które stale płacił jeden za wszystkich, co dzień inny, po kolei[1]). Ale nie tylko fortepianiści należeli do tego kółka, i nie tylko sami młodzi. Z młodych należał do niego Franchomme, słynny wiolonczelista, od samego początku szczerze zaprzyjaźniony z Chopinem, który w jego domu bywał częstym gościem, a czuł się jak u siebie, będąc w wyjątkowych łaskach u pani Franchomme[2]), jak zresztą u wszystkich żon swoich młodszych czy starszych przyjaciół. Seniorem wśród nich, przez wszystkich kochanym jakby synowską miłością, był »père Baillot,« słynny skrzypek, rywal Paganiniego, a dla

[1]) Opowiada o tych obiadach Osborne, w swoich *Reminiscences of Frédéric Chopin,* wygłoszonych w formie odczytu dnia 5 kwietnia 1880 r. w londyńskiej *Musical Assotiation.*

[2]) Swoją drogą i Chopin nadzwyczaj lubił panią Franchomme. Po śmierci jej (w 1856 r.) pisze panna Stirling do pani Jędrzejewiczowej: »Jakby zgon jej odczuł Chopin, gdyby żył jeszcze.«

Chopina z wielką życzliwością, której mu wiele dał dowodów [1]). Z innych wybitnych artystów, z którymi teraz Chopin wszedł w bliższe stosunki, dużo mu okazywali sympatyi: Brodt, słynny oboista, Tulon, słynny flecista, Stamati, dzielny pianista, Vidal, wiolonczelista, uczeń i przyjaciel Franchomme'a, oraz »sławny alto-wiolista« Urban.

Od grudnia 1832 r. przyłączył się do tego koła także i Hector Berlioz, który w tej chwili jeszcze bawił we Włoszech, zkąd pisywał ciekawe listy do Hillera, tęskniąc za paryskiem *Café Feydeau,* w której to kawiarni gromadzili się młodzi muzycy z Chopinem włącznie [2]). O Berliozie, o jego rewolucyonizmie orkiestrowym, jak i o jego miłości dla pani Smithson, dużo sobie opowiadano w tem kółku, czy to w *Café Feydeau,* czy też u dra Francka, wielkiego melomana, który u siebie, w swem mieszkaniu przy rue de la Chaussée d'Antin Nr 5, gromadził cały świat muzyczny, zwłaszcza młodych. U niego to spotykali się często, muzykując zapamiętale,

[1]) O wieczorach muzykalnych, które u siebie urządzał Baillot, pisze w swych *Reisebriefe* z r. 1831 Mendelssohn.

[2]) O bliskich stosunkach Chopina z Berliozem świadczy — obok innych świadectw — list tego ostatniego z dnia 26 grudnia 1833 r., pisany do siostry, Adeli. Pisze tam Berlioz między innemi: »Nous avons quelquefois nos amis le soir; M. Joseph Rocher a fait partie de notre petite réunion de la semaine dernière; Alphonse (Robert) vient souvent, ainsi que les poëtes Emile et Antony Deschamps, A. de Vigny, Legouvé, Brizeux, Liszt, Chopin etc.« W liście z dnia 12 maja 1834 r. pisze Berlioz do siostry: »Nous avons eu lundi dernier une espèce de petite partie de campagne. Mes amis sont venus passer une demi-journée chez moi. C'étaient des célébrités musicales et poétiques, MM. Alfred de Vigny, Antony Deschamps, Liszt, Hiller et Chopin. Nous avons causé, discuté art. poésie, pensée, musique, drame«... Nadto zachowało się kilka listów Berlioza do Chopina, bardzo serdecznych w tonie, w których Berlioz nazywa Fryderyka poufale i pieszczotliwie: »*Mon cher Chopinetto.*« Berlioz pisywał przez długie lata feljetony muzyczne w *Journal des Débats;* ile razy mu w nich wypadło pisać o Chopinie, czynił to zawsze w wyrazach najwyższego uznania i uwielbienia. O tem, jak serdeczne stosunki łączyły wtedy Chopina z Berliozem, świadczy fakt następujący, zapisany przez biografa twórcy *Potępienia Fausta,* a odnoszący się do epoki, gdy Berlioz, śmiertelnie zakochany w pannie Smithson, nosił się z zamiarem samobójstwa. Okazuje się, że Chopin i Liszt byli mu wtedy najbliżsi, że może im miał do zawdzięczenia, iż się pogodził z życiem, iż poniechał zamiaru godzenia na nie. Oto, co w tej kwestyi zapisuje jego biograf, Daniel Bernard: »Agité par ces fièvreuses secousses, Berlioz s'échappait dans la campagne pour oublier les tourments qui le consumaient, Liszt et Chopin le suivirent, toute une nuit, à travers la plaine Saint-Ouen...«

W swych feljetonach muzycznych w *Journal de Débuts* Berlioz niekiedy potrącał o nazwisko Chopina, w wypadkach nawet, gdy nie o samym Chopinie była mowa. Oto np. jak raz pisał dnia 25 kwietnia 1835 r., o śpiewaku Boulangerze, bardzo subtelnym, ale nie posiadającym przyrodzonych warunków do podbijania tłumów w wielkiej sali koncertowej: »La voix de M. Boulanger est comme les excellents pianos unicordes, destinés à exécuter dans les boudoirs elégants du grand monde les ravissantes Mazurkas, les Caprices si ingénieux de Chopin, mais qui ne résisteraient pas à l'exécution foudroyante, aux compositions plus orchestrales de Liszt«.



Chopin, Hiller, Mendelssohn, Stamati, Liszt, Osborne, Franchomme i wielu innych [1]).

Tymczasem, zaraz po swym przyjeździe nad Sekwanę, poznał się Chopin — przez Hillera — z mieszkającym tu od szeregu lat razem z matką, Franciszkiem Lisztem. Chwila to była ważna dla obu, nie tyle dla Chopina, ile dla Liszta. Usłyszawszy grę Chopina, młodszy od niego o półtora roku Liszt, doznał analogicznego wrażenia, jak kiedy po raz pierwszy usłyszał Paganiniego. Zrozumiał odrazu, że to są nowe widnokręgi dla muzyki fortepianowej, że należy iść w ślady tego młodego Polaka, albowiem on zwiastuje przyszłość fortepianu, zarówno w sposobie grania, jak w kompozycyi. Pod tym względem Liszt momentalnie zoryentował się w sytuacyi. O chwili tej, przełomowej w ewolucyi artystycznej »Króla fortepianu«, tak opowiada — w swym ciekawym liście do Liszta — Ferdynand Hiller: »Było to owej pamiętnej jesieni1831 r., kiedy Liszt błyszczał już w Paryżu, w gęstem gronie pierwszorzędnych pianistów, szukających nowych dróg na swym instrumencie. Dnie i miesiące upływały na zaciekłem muzykowaniu. Raz np. grał Liszt *Koncert* Webera. W wykonaniu tej kompozycyi wypowiedział on formalną walkę orkiestrze. Kiedy wśród bicia w kotły i wrzasku trąb zagrzmiało *fortissimo* marsza, Liszt nie ustąpił: uważając je raczej za wyzwanie, siłą dziesięciu palców pokonał smyczkujących, na skrzypcach, wiolonczelach i basach, dmących w trąby i w bębny walących przeciwników. W takiej to chwili największego upojenia dla znakomitego Węgra, w fazie przełomu fortepianowego, zjawił się skromny i delikatny, nerwowy Chopin ze swemi *Etiudami.* Zbliżyliśmy się — pisze Hiller — do młodego Polaka, a ty, Liszcie, pomnisz, jąłeś się jego *Etiud* i przekonałeś się, że ich *prima vista* grać nie można. I cóż się wtedy dzieje? Oto Liszt nagle znika z artystycznej widowni. Jedni mówili, że wyjechał do Genewy, inni znów, że dumny madziar ukrył się w niepozornej ciupce olbrzymiego domu Erarda, i że tylko wychodzi błąkać się przy księżycu. Co go do tego skłoniło? Zdaje się, że to wschód chopinowskiego słońca tak go dotkliwie poraził, że aż w mroku i ciszy ulgi szukać musiał.« Za to, gdy znowu ukazał się na widowni, już był przeobrażonym zupełnie, a przedewszystkiem tak wystudyował *Etiudy* Chopina, że mu sam Chopin musiał zazdrościć ich wspaniałego porywającego sposobu wykonania. Oto, co raz sam Chopin w liście do Hillera, kreślonym do spółki z Lisztem i Franchommem, pisał w tej mierze: »*Je vous*

[1]) W liście do Hillera, pisanym na spółkę z Lisztem i Franchommem, pisze Chopin (20 czerwca 1833): »*J'occupe à present le logement de Franck, il est parti pour Londres et Berlin. Je me trouve parfaitement dans les chambres qui étaient si souvent notre point de réunion. Berlioz t'embrasse.*« O dr. Hermanie Francku bardzo sympatycznie pisze Mendelssohn w swych *Reisebriefe.* Bardzo muzykalny i »*geistreich,*« był to człowiek wyjątkowych zdolności.

*écris sans savoir ce que ma plume barbouille, parceque Liszt dans ce moment joue mes études et me transporte hors de mes idées honettes. Je voudrais lui voler la manière de rendre mes propres études*« [1]). Dla Liszta był to największy tryumf, jaki mógł odnieść nad swym delikatnym i nerwowym rywalem. W każdym razie, jak przystało na ludzi, których miano nazwać »dwoma Dioskurami«, choć niewątpliwie współzawodniczyli ze sobą, zaprzyjaźnili się szybko, bardzo wiele przestając razem. Ile było szczerości na dnie tej wzajemnej przyjaźni? To inne pytanie. I jeden i drugi nie mogli być zupełnie wolni od zazdrości względem siebie. Chopin mógł Lisztowi zazdrościć jego wirtuozostwa, Liszt musiał Chopinowi zazdrościć jego geniuszu [2]). Zresztą stanowili dwa zupełne kontrasty pomiędzy sobą, kontrasty uderzające. O duchowem pokrewieństwie, o tem, co Goethe nazywał *Wahlverwandschaft*, tutaj nie było mowy. Raczej były to dwa bieguny. Wspólnego właściwie mieli tyle tylko, że obaj byli znakomitymi fortepianistami. Pozatem, jako natury i temperamenty artystyczne, stali na przeciwległych krańcach. Liszt był demoniczny, Chopina słusznie nazywano serafickim. Liszt był pełen męskiej siły, Chopina cechowała jakaś kobieca słabość. Liszt był grzmiącym Jowiszem, Chopin miał w sobie coś z czułego kochanka Psychy. Liszt był przedewszystkiem wirtuozem, Chopin był przedewszystkiem kompozytorem. Liszt był fortepianistą, któremu fortepian zastępował całą orkiestrę. Chopin był poetą, dla którego muzyka była tylko środkiem do wypowiedzenia tkwiącej w nim poezyi. Liszt królował na estradzie koncertowej, z której magnetyzował tłumy; Chopin panował w niewielkim salonie, gdzie swą grą czarował *ein Kreis edler Gemüther*. W Liszcie wszystko było obliczonem na efekt, Chopinowi chodziło tylko o treść. W Liszcie było coś

[1]) O *Etiudzie E-dur* op. 10 Nr 3 rzekł Liszt do Karola Reineckego: »Vier Jahre von meinem Leben würde ich darum geben, wem ich diese Etüde komponiert hätte«.

[2]) O tej konkurencyi »dwóch Dioskurów« tak opowiada pani Emilia z Borzęckich Hoffmanowa: »Pierwszy raz widziałam Chopina na jakiemś przyjęciu u Platerów. Był tam Chopin razem z Lisztem, z którym się przyjaźnili, choć wiele dałoby się powiedzieć o szczerości tej przyjaźni... Charakterystycznem jest naprzykład, że gdy byli gdzieś razem, nie zdarzyło się nigdy, żeby grali obaj: jeśli grał Liszt, to nie grał Chopin, a jeśli grał Chopin, to nie było takiej siły, któraby skłoniła Liszta, aby zasiadł do fortepianu. Obaj unikali porównania, bo choć się dopełniali wzajemnie, to jednak Liszt zaćmiewał Chopina brawurą i siłą, Chopin zaś Liszta niewysłowioną poezyą.« Pani Józefa z Wodzińskich Kościelska, która dobrze znała osobiście i Chopina i Liszta, tak o nich opowiadała: »Mając współzawodników tylko w Thalbergu i Liszcie, Chopin w arcyzabawny sposób naśladował ich sposób gry przy fortepianie. Co do Liszta, to zdawał on sobie doskonale sprawę ze swej niższości w porównaniu z Chopinem. Sama go słyszałam, gdy mówiąc o Chopinie, jako kompozytorze, wyraził się: *Moi, je ne suis pas digne de lui denouer les cordons de ses souliers*. Niemniej jest dlań charakterystycznem, że gdy miał grać Chopina, odrazu zmieniał się całkiem, nawet na twarzy, która wtedy przybierała wyraz skupienia i rozmarzenia, niedostrzegalny przy wykonywaniu dzieł innych kompozytorów. Ale bo też ze wszystkich pianistów, jakich słyszałam, jeden Liszt tak grał Chopina, jak on sam! Liszt i Paderewski«.



z aktora, coś z kabotyna, Chopin był wcieleniem wykwintności światowej, bez cienia snobizmu. Lisztowi imponowało wielu ludzi, pierwszy Chopin, dla którego był zawsze z najwyższą rewerencyą; Chopinowi nie imponował nikt, nawet Liszt, którego sobie lekceważył niekiedy, a czasami nawet mu to dawał delikatnie odczuć. Czuł to »dumny Węgier« i dlatego nie bardzo należy wierzyć w jego szczerość względem Chopina. Zresztą od czasu do czasu wyłaziło szydło z worka... Doskonale stosunek Chopina do Liszta scharakteryzował Jan Kleczyński. Oto jego słowa: »Chopin cenił i szanował Liszta, jako najpotężniejszego fortepianistę, który k i e d y c h c i a ł (wyrażenie Chopina) cudownie grał Beethowena, Webera, Humla, Szuberta; ale jego kompozycye e f e k t o w n e Chopina nie zachwycały. Owo naśladowanie gromów w basie lub świergotu ptaków w wiolinie, owe nieporównanej zręczności kaskady tonów, owe dla efektu jedynie napisane kompozycye (jak *Galop* chromatyczny) wszystko to było przeciwnem, śmiałbym rzec, wstrętnem naturze Chopina, skromnej i poetycznej. Nie przeto, iżby Chopin miał gardzić świetnością w kompozycyi: wiemy wszyscy, jak pełne elegancyi i blasku są jego pasaże np. w polonesie *Es-dur* Op. 22, ale u niego świetność bywa tylko logicznem rozwinięciem idei kompozycyi, jej organiczną częścią, tak, że niepodobna ani jednej nuty wyrzucić bez naruszenia całości, podczas gdy w ozdobach, dodawanych do wielkich transkrypcyi, forma ich, jako nie związana ściśle z organizmem dzieła, może być zmieniana do nieskończoności i łatwo przechodzi w rodzaj zabawki, nęcącej tylko ucho, a nie dającej duchowi poważniejszej strawy. Oprócz tego wirtuozostwo zbyt jednostronnie rozwinięte, rodzi i pomysły kompozytorskie również niekiedy błahe, tylko dające pole do wykazania mistrzowstwa techniki. Liszt podobno lubił zmieniać niekiedy i Chopina kompozycye, przydając im nie związane organicznie z niemi ozdoby i gdy się raz Chopin o to użalił, przyznał mu słuszność Liszt, ale natury własnej z gruntu zmienić już nie mógł. Jest jakowaś legenda o małem jakoby poróżnieniu dwóch mistrzów z powodu, że Liszt prosił Chopina, aby mu po ciemku odstąpił fortepianu i wówczas zaczął w rodzaju Chopina improwizować, dopiero nagle zapaliwszy świece, zdumiał słuchaczy i przekonał ich, że »Chopin Lisztem być nie może, Liszt zaś, j a k c h c e, i Chopinem być potrafi!« Ci, co często słyszeli grę Liszta, zapewniają, że i Chopinowskie utwory wykonywał znakomicie. Pewnem jest natomiast, że Liszt bardzo się przejął kompozycyami Chopina, pod których wpływem — na co pierwszy zwrócił uwagę Szumann — całkiem zmienił swój sposób komponowania, z ultraromantycznego i fantastycznego na bardziej klasyczny i zrównoważony.

Ale pomiędzy muzykami, mieszkającymi w Paryżu, nie brakło i Polaków, nawet takich, którzy tu cieszyli się pewnym rozgłosem. Najsławniejszym z nich, wymienianym między lepszymi pianistami, a wcale modnym i wziętym, jako płodny i wszechstronny kompozytor, był Albert Sowiński,

od lat już zamieszkały nad Sekwaną. Chopin oczywiście nie omieszkał poznać się z nim (wszak przed laty nawet wymienili parę listów w sprawie pieśni polskich i słowiańskich), ale nie bardzo był zadowolony z tej znajomości, albowiem była to znajomość z dużą dozą poufałości ze strony Sowińskiego, która go nudziła chwilami. Przedewszystkiem nie traktował go na seryo, jako kompozytora, a jako pianistę uważał za wcale nie nadzwyczajnego. »Ani się umywał« do nieboszczyka Aleksandra Rembielińskiego. Jako człowiek był może poczciwy, ale mało interesujący. »Głowa nie tęga, — czytamy o nim w liście do Wojciechowskiego — ale figura dobra i serce«. A że bardzo polubił Chopina, więc przychodził do niego często, za często. Fryderyka nudziły, a czasem irytowały te bezceremonialne wizyty, bo nie zawsze był usposobiony do przelewania z pustego w próżne, czemu się równały jego rozmowy z Sowińskim, z którym nie wiele miał sobie do powiedzenia, a cóż dopiero do słuchania tuzinkowej muzyki, lub rutynicznych improwizacyi od siedmiu boleści! Oto, jak raz w liście do Wojciechowskiego opisał jedną z takich przedpołudniowych wizyt Sowińskiego: »Do Ciebie pisząc, nie cierpię, kiedy mi się dzwonek ruszy i właśnie jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, siądzie do fortepianu i samo nie wie, co improwizuje. Wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na jednym klawiszu gruchocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do batoga i do lejc był przyzwyczajony. Masz portret Sowińskiego, który innego merytu nie ma, jak dobrą figurę i dobre serce. Jeżelim mógł kiedyś sobie szarlatanizm albo głupstwo w sztuce wystawić, to nigdy tak doskonale, jak teraz często muszę słuchać, chodząc po pokoju i umywając się tymczasem. Uszy mi się czerwienią, wypchnąłbym za drzwi, a muszę menażować, nawet być czułym wzajemnie. Nie masz wyobrażenia o czemś podobnem, ale ponieważ oni go tu (oni, co się nie znają tylko na krawacie) za coś mają, więc trzeba to znosić. A czem mi najwięcej krwi napsuje, to zbiorem swoich karczemnych, bez sensu, najgorzej harmonizowanych, bez najmniejszej znajomoci prozodyi układanych śpiewek z zakończeniami kontredansowemi, które on zbiorem polskich pieśni nazywa. Wiesz, ile chciałem czuć i po części doszedłem do czucia naszej narodowej muzyki, zatem miarkuj, jak mi przyjemnie, kiedy on czasem to tu, to tam złapie coś mojego, czego piękność czasem na akompaniamencie zależy, i z karczemnym, szenkatarynkowsko-gainguetowsko-parafialnym gustem zagra; a nic nie można powiedzieć, bo więcej nad to, co złapał, nie pojmie«...

Inny zupełnie, bo na rzetelnej serdeczności i przyjaźni jeszcze z warszawskich czasów oparty, był stosunek Chopina z Orłowskim, zdolnym skrzypkiem i kompozytorem, a niebawem szefem orkiestry teatralnej w Rouen. Gdyby nie Orłowski, możeby Chopin istotnie został w Paryżu tylko *en passant*, bo przecie jechał do Londynu. Ale Orłowskiemu miał do zawdzięczenia, jego namowom, że na razie zdecydował się zostać nad Sekwaną. Orłowski, który w Paryżu bawił już rok przeszło, zaraz po swym przyjeździe tutaj, gdy się rozejrzał i zoryentował w paryskiej atmosferze muzykalnej, pisał do swych rodziców, by skłaniali Chopina, ażeby koniecznie przyjechał do Paryża. »Radźcie mu — są słowa jego listu — by jak najprędzej przyjeżdżał do Paryża, zrobi furorę. Gdyż ani Herz, ani Kalkbrenner, ani Pixis, ani Liszt, nie mogą mu dorównać; słyszałem wszystkich: żaden nie jest jedną częścią Chopina.« Samo się przez się rozumie, że tak dobry kompozytor i znawca, jak Orłowski, wypowiadając tak entuzyastyczne zdanie o Chopinie, nie miał na myśli przewagi jego techniki nad techniką wspomnianych pianistów, lecz jedynie dziwną oryginalność gry Chopina, i niewymowny urok, jaki wywierała na słuchaczach. Przekonany o tem, Orłowski, od chwili, gdy Chopin stanął na paryskim bruku, zachęcał go do pozostania tutaj, przepowiadając mu najpiękniejszą przyszłość [1]).



Trzecim ziomkiem Chopina, z którym bardzo się zaprzyjaźnił w Paryżu, był Ludwik Norblin, syn »naszego polskiego Norblina,« malarza, pierwszy wiolonczelista w orkiestrze wielkiej opery paryskiej, a bardzo piękna i artystyczna dusza w każdym calu. Z Chopinem mieli to wspólnego, że pomimo swych francuskich nazwisk byli gorącymi Polakami, których nic tak nie drażniło, jak kiedy ich ktoś przez niewiadomość, a tylko sądząc z nazwiska i nienajgorszej znajomości języka francuskiego, wziął za Francuzów. Obaj byli bardzo drażliwi na tym punkcie [2]).

Zawiązawszy stosunki z paryskim światem muzycznym, wśród którego w bardzo krótkim czasie, bo jeszcze przed upływem 1831 r., zdobył sobie »znaczne imię« [3]), starał się Chopin być dobrze i z koryfeuszami paryskiej krytyki muzycznej, a przedewszystkiem z Fétisem, który wśród nich zajmował pierwsze miejsce. Wprawdzie Chopin w duszy zaliczał go do tej samej kategoryi, co Reicha i Cherubiniego, mianowicie do »zasuszonych pupek,« ale mu tego naturalnie nie dał do poznania, lecz sobie odrazu umiał zyskać jego względy. Bardzo zabawnie scharakteryzował go w liście do Wojciechowskiego, bezpośrednio po ustępie o zasuszonych pupkach: »Fétis znowu, którego znam i od którego można istotnie wiele się dowiedzieć, mieszka za miastem i tylko na lekcyach w Paryżu bywa; bo inaczej

---

[1]) Al. Poliński: O Fr. Chopinie feljetony w *Kurjerze Warsz.* z 1899 r. (w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Chopina).

[2]) Między papierami Chopina znalazła się także kartka Norblina z dnia 9 września 1832 r., po polsku pisana, a brzmiąca jak następuje: »Kochany Rodaku Chopin. Ta tu panna Segny z Lionu przyjechała, jeszcze nikogo tu nie słyszała i mnie jest rekomendowana. Nieboga! Zagraj jej mazurka, albo co będziesz chciał, a usłużysz tego, któren Cię pozdrawia rodak i przyjaciel *Norblin.*«

[3]) W liście z dnia 12 grudnia 1831 r. pisze Chopin do Wojciechowskiego: »Pomimo wszystkiego, trzeba ci wiedzieć, że już tu mam między artystami znaczne imię.«

dawno siedziałby u św. Pelagii za długi, których ma więcej, niż mu jego *Revue musicale* przynosi. Trzeba wiedzieć, że prawo pozwala dłużników aresztować *à domicile:* dlatego Fétis w Paryżu w swojem *domicile* nie siedzi, tylko tam, gdzie prawo dosięgnąć go nie może.«

Między niewieloma listami polecającemi, z któremi przyjechał do Paryża, miał Chopin, jak sam pisze, »kilka od edytorów z Wiednia.« Łatwo się domyśleć, że były to przedewszystkiem listy do wydawców paryskich, na których czele wtedy stał właściciel największego składu nut, oraz wydawca konkurującej z pismem Fétisa *Gazette musicale,* Maurice Schlesinger. Kiedy się jest kompozytorem, a ma się pełną tekę gotowych kompozycyi, to o wydawcę dba się prawie więcej, niż o muzyków i recenzentów. Będąc w tem położeniu właśnie, a pragnąc gorąco, żeby przywiezione manuskrypty jak najprędzej mogły być wydane i... zapłacone, Chopin nie zwłóczył z wizytą u Schlesingera, a że był dobrze przyjęty, że stosunki, jakie nawiązał z tym potentatem na rynku muzycznum, ułożyły się jak najlepiej, ba, zamieniły się w rzeczywistą przyjaźń, która leżała zarówno w interesie Chopina jak Schlesingera, o tem świadczył chociażby ten fakt, że Schlesinger odrazu stał się głównym wydawcą kompozycyi Chopina, mającym pierwszeństwo przed innymi. Chopin bardzo sobie cenił ten stosunek. W składzie nut Schlesingera, jak niegdyś u Brzeziny, przeglądał i przegrywał nowości muzyczne, a na zebraniach tygodniowych, urządzanych przez państwa Schlesinger, na których bywał prawie cały świat artystyczno-literacki paryski, należał do stałych gości, słusznie uważany przez wszystkich, jako jedna z najświetniejszych ozdób tego muzykalnego »Salonu.« W swoich arcydowcipnych sprawozdaniach muzycznych z Paryża nazywa Heine Maur. Schlesingera »poskromiciela muzyków« *Musikantenbeherrscher.* Bądź co bądź, była to osobistość, z którą musieli się liczyć wszyscy muzycy, nie wyłączając Chopina. Będąc muzykiem, komponując lub koncertując, a mieszkając w Paryżu, wypadało się zdecydować: czy być dobrze ze Schlesingerem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *Gazette musicale,* słowem być oddanym firmie M. Schlesinger, należeć do schlesingerowskiej koteryi, a tem samem być źle z Escudierem, wydawcą *La France musicale,* i być z góry przygotowanym na szykany w tem konkurencyjnem piśmie muzycznem; albo być dobrze z Escudierem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *La France musicale,* czyli należyć do innej koteryi, a tem samem być źle ze Schlesingerem, co za sobą pociągało w nieuniknionem następstwie, że się będzie miało przeciwko sobie *Gazette musicale.* Taką była sytuacya. Chopin od pierwszej chwili stanął pod sztandarem Schlesingera, co zresztą było roztropnem z jego strony, bo koterya schlesingerowska, do której należeli Liszt, Berlioz, Hiller, Osborne i w. i., była silniejsza.

Podobne stosunki panowały i w sferze fabrykantów fortepianów. I tu



były dwie wielkie koterye, Pleyela i Erarda, z tą różnicą jednak, że tutaj konkurencya ujawniała się w mniej jaskrawy sposób. Jako zaprzyjaźniony z Kalkbrennerem, który był cichym wspólnikiem fabryki Pleyela, Chopin od samego początku związał się z tą firmą, pozostając jej wiernym do końca. Nie przeszkadzało to, że był w przyjaznych stosunkach i z domem Erarda, który znów zaakaparował dla siebie Liszta. Jak Chopin stale grał na fortepianach Pleyela, tak Liszt zawsze używał instrumentów Erarda. Z głównym właścicielem firmy Pleyel, Kamilem Pleyelem, który był nietylko fabrykantem fortepianów, ale i wcale niepoślednim kompozytorem (jak przystało na syna Ignacego Pleyela), zaprzyjaźnił się Chopin, jak mało z kim drugim. To też u państwa Pleyelów, również urządzających świetne wieczory muzykalne, Chopin rychło stał się ulubieńcem pani domu. Choć, gdzie on nie był ulubieńcem?!

## II.

Królem fortepianu, niepodzielnie panującym w dziedzinie tego instrumentu, był w roku 1831 Fryderyk Kalkbrenner, uważany za »następcę Clementiego«, nazywany także »Delillem fortepianu.« O grze jego, niesłychanie świetnej i efektownej, pełnej elegancyi, wyrażali się znawcy, jako o »najczystszej cyceroniańskiej łacinie na fortepianie.« Cokolwiekbądź, jedno nie ulegało wątpliwości, że Kalkbrenner podówczas był najsławniejszym ze wszystkich fortepianistów świata, bez współzawodnika. Jako kompozytor, również zajmował pierwszorzędne stanowisko. Jedyny zarzut, jaki mu czyniono, był ten chyba, że pisał za wiele. W każdym razie miał wielką łatwość komponowania, a niektóre z jego kompozycyi, np. *Koncert* fortepianowy, jeszcze dziś dadzą się słuchać. Była to muzyka w starym stylu, ale w tych czasach prawie nie znano innej muzyki.

Jako do takiego, uzbrojony w rekomendacyę Paëra, udał się Chopin, wkrótce po swem zainstalowaniu się na Boulevard Poissonière, z wizytą do Kalkbrennera, ażeby mu się przedstawić. O tej swojej wizycie u sławnego pianisty, który go przyjął bardzo uprzejmie, tak pisał Chopin w jednym ze swych listów do Wojciechowskiego: »Po zaprezentowaniu, Kalkbrenner prosił mię, żeby mu coś zagrać. Rad nie rad, przystałem; a wiedząc, jak Herz gra, zdjąwszy pychę z serca, siadłem do fortepianu. Zagrałem mój *Koncert E-moll,* nad którym unoszono się w stolicy bawarskiej. Zadziwił się Kalkbrenner i natychmiast zadał mi pytanie, czy nie jestem uczniem Fielda? Mówił dalej, że mam styl Cramera, a uderzenie Fielda. Ucieszyło mię to w duszy, a jeszcze bardziej, gdy usiadłszy do fortepianu, Kalkbrenner, chcąc się przedemną wysadzić, omylił się i musiał zaprzestać grania. Ale też trzeba było słyszeć, jak zrobił repryzyę: nic podobnie pięknego!« Wogóle gra Kalkbrennera niesłychanie podobała się Chopinowi.

Według jego najgłębszego przekonania, żaden z pianistów, których teraz poznał w Paryżu, nie wyłączając tyle sławionego Herza, nie dorastał do kolan temu prawdziwemu mistrzowi gry fortepianowej. »Wszystko to są zera przeciwko Kalkbrennerowi, pisał w tymże liście do Wojciechowskiego. Przyznam Ci się, że gram tak, jak Herz, lecz chciałbym tak grać, jak Kalkbrenner. Jeżeli Paganini jest perfekcyą, to Kalkbrenner stoi z nim na równi, ale oczywiście w innym zupełnie rodzaju. Trudno ci opisać jego *calme*, jego dotknięcie czarujące, równość niesłychaną i to mistrzowstwo malujące się w każdej jego nucie. Jest to olbrzym, depczący wszystkich pianistów, a tem samem i mnie. Cóż się dziwić?« Swoją drogą »olbrzym,« na ogół dość nieprzystępny i nie skłonny do poufalenia się z byle kim, dla Chopina od pierwszego dnia okazał się wyjątkowo łaskawym i uprzejmym, tak dalece nawet, że nie tylko sobie postąpił z wprost uprzedzającą grzecznością wobec niego, ala mu odrazu dał dowody przychylności, która szybko zasypała przepaść między wszechświatowej sławy »królem fortepianu«, a młodym nieznanym cudzoziemcem. Ale taki to już jest wpływ geniuszu: nawet takiego »olbrzyma,« jak Kalkbrennera, podbił sobie odrazu. Po tej pierwszej wizycie, Kalkbrenner zaraz rewizytował Chopina, i odtąd widywali się codzień. Poprostu przylgnęli do siebie. Dom Kalkbrennera, pysznie urządzony, z wspaniałą galeryą obrazów, stanął otworem dla Chopina: i sam »olbrzym«, i jego żona, i córki, wszyscy dlań byli z niesłychaną serdecznością. Zapraszano go na obiady *tout à fait en famille*, a żeby mu się nie wydawało, że bywa za często, sam Kalkbrenner, taki dumny i nie skory do poufalenia się z innymi artystami, co parę dni przychodził do niego, nie zrażając się ani czwartem piętrem, ani niepokaźnością jego kawalerskiej stancyjki. Przyjaciele Chopina, którym opowiadał o tej swojej zażyłości z wielkim Kalkbrennerem, nie mogli wyjść z podziwienia, podejrzewali, że to nie może być szczere ze strony Kalkbrennera itp. Tymczasem Chopin, nie podzielając ich zdania, codzień widywał się z wielkim fortepianistą, muzykowali razem, aż wreszcie Chopin zwierzył mu się któregoś dnia, że całkiem na seryo myśli o karyerze pianisty, że jako taki przedewszystkiem pragnie występować, a dopiero następnie, już zdobywszy sobie renomę, jako pianista, a temsamem zdobywszy sobie niezależność, poświęcić się kompozycyi, nie tylko na sam fortepian, ale i w zakresie operowym. Co go skłaniało do powzięcia takiej decyzyi, o tem w podobny sposób mniej więcej, jak to pewno uzasadniał Kalkbrennerowi, pisał w liście do Elsnera. Oto jego argumentacya: »Roku 1830, lubom widział, ile mi nie dostaje i jak mi daleko, gdybym chciał się za którymkolwiek Pańskim wzorem pokusić, śmiałem jednakże sobie pomyśleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie Łokietek, może mi jaki Laskonogi wyjdzie z mojej mózgownicy. Ale dziś, widząc tego rodzaju wielkie nadzieje zniweczone, przymuszony jestem pomyśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako pianista, od-



kładając tylko na niejakiś czas wyższe widoki artystyczne, jakie mi Pan słusznie w liście swoim przedstawiasz. Aby być kompozytorem wielkim, trzeba ogromnego doświadczenia, które, jak mię Pan uczyłeś, nabywa się nie tylko słyszeniem obcych, ale więcej jeszcze słyszeniem prac własnych. Kilkunastu zdatnej młodzieży, uczniów Konserwatoryum Paryskiego, z założonemi rękami czekają wystawienia oper, symfonii, kantat swoich, które tylko Cherubini i Lessueur na papierze widzieli (nie mówię ja tu o małych teatrzykach, do których także trudno się dochrapać, a dochrapawszy się n. p. jak Tomasz [1]) na Leopoldstadt, mimo czasem wielkich zalet, żadnego znaczenia artystycznego się nie nabywa). Meyerbeer, od 10-ciu lat jako kompozytor oper chlubnie znany, trzy lata pracował, płacił i siedział w Paryżu, nim przecie (kiedy już za dużo Aubera było) przyszedł do wystawienia furorę paryską robiącego dzieła *Robert le Diable*. Podług mnie, co się tycze objawienia się w świecie muzykalnym, szczęśliwy ten, co może być kompozytorem i aktorem razem. Znają mnie już, jako pianistę, gdzieniegdzie w Niemczech; niektóre muzykalne gazety wspomniały o moich koncertach, czyniąc nadzieję, że wkrótce mnie zobaczą zajmującego miejsce między pierwszymi mojego instrumentu wirtuozami (co znaczy: *disce puer faciam te mościpanie*)«. Kiedy Chopin o tych swoich zamiarach powiedział Kalkbrennerowi, powiedział mu tenże, że gdyby trzy lata popracował pod jego kierunkiem, to on zeń zrobi pierwszorzędnego pianistę. Usłyszawszy to Chopin, zdziwił się trochę, uważał bowiem, że trzy lata, to zbyt długi termin. Odpowiedział więc, że wie doskonale, ile mu brak do doskonałości. To dało asumpt Kalkbrennerowi, że mu wytłumaczył, jakie braki dostrzega w jego grze, i co potrzeba zrobić, żeby się ich pozbyć. Z rozmowy tej, która mu wiele dała do myślenia, zdał sprawę Chopin w liście do Wojciechowskiego. Oto jego dosłowna relacya: »Od tego czasu, (t. j. od owej pierwszej wizyty u Kalkbrennera) codziennie widujemy się, albo on u mnie, albo ja u niego, a poznawszy mię dobrze, zrobił propozycyę, ażeby trzy lata u niego się uczyć, a uczyni ze mnie coś bardzo, bardzo znakomitego. Powiedziałem mu, że wiem, ile mi nie dostaje (lecz ja go nie chcę naśladować i trzy lata za dużo). Tymczasem przekonał mię, że mogę dobrze grać, kiedym natchniony, a źle, kiedy nie, co jemu się nigdy nie zdarza. Przypatrzywszy mi się bliżej, powiedział, że nie mam szkoły, że jestem na ślicznej drodze, ale się zderutować mogę; że po jego śmierci, albo jak on grać przestanie, nie będzie reprezentanta wielkiej fortepianowej szkoły; że nie mogę, choćbym chciał, budować nowej szkoły, nie mając starej, słowem, że jestem tylko machiną, a tem samem krępuję bieg myśli moich muzycznych; że mam pewne odrębne piętno w kompozycyi, i szkoda by było, żebym nie został tem, czem być obiecuję, i t. d. i t. d.«.

[1]) Nidecki.

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.

Bezpośrednio po tej rozmowie z Kalkbrennerem, przekonany jego argumentami, choć nie mógł pogodzić się z myślą o tych trzech latach nauki, a sam nie chcąc decydować w tak ważnej sprawie, napisał Chopin list do rodziców, w którym wyłuszczywszy wszystko, jak było, co mu powiedział Kalkbrenner, pytał o radę, o ich zdanie, a także i o zdanie Elsnera, który najlepiej będzie umiał zadecydować, jak należy postąpić, co zrobić z propozycyą Kalkbrennera, jak na nią reagować? Nie omieszkał dodać, że Kalkbrenner jest człowiekiem »niepospolitym« pod każdym względem, pełnym »wyższości moralnej«, że mu okazał niezmiernie wiele serdeczności i chęci zaopiekowania się, że mu się sam ofiarował ze swą opieką, że z nim postępuje, nie jak człowiek bogaty i sławny, nie jak król fortepianu, nie jak pierwszy pianista na świecie, nie jak »olbrzym, depczący wszystkich pianistów«, ale poprostu, »jak ojciec, jak brat«, jak najczulszy »opiekun«. Dlatego nie należało wątpić o jego jak najzacniejszych intencyach, podyktowanych jedynie wyjątkową życzliwością dla niego... Że Kalkbrennerem w tym razie nie powoduje żaden interes, tego można być pewnym. Kalkbrenner wcale go nie myśli krępować, daje mu swoją salę koncertową na cały rok, a w ciągu tego roku jeszcze cztery miesiące na podróże. Samo się przez się rozumie, że go się podejmuje uczyć bezinteresownie, za darmo, jedynie z przyjaźni. Wogóle cały list był pełen uwielbienia dla Kalkbrennera. Wprawdzie nie we wszystkiem przyznawał racyę »mistrzowi«; nie zgadzał się z nim n. p. gdy mu z partycyi Koncertu wykreślił jeden pasaż; ale to jest rzecz osobistego zapatrywania. Ostateczna konkluzya, do jakiej Chopin doszedł w tym liście, była ta, że jeśli chodzi o jego zdanie, to on nie ma nic przeciwko braniu lekcyi od Kalkbrennera. Z takiej okazyi należy korzystać. Nikt jeszcze nie wyszedł źle na tem, że się uczył. Nigdy się nie umie za wiele, więc trzeba się uczyć, o ile możności jak najwięcej. To jest jego zdanie. Ale chciałby wiedzieć, co oni myślą o tem? Jak oni zapatrują się na tę sprawę? Co o niej myśli Elsner? Dlatego, nim poweźmie jakąkolwiek decyzyę, nim da stanowczą odpowiedź Kalkbrennerowi, chciałby mieć list od swoich, a w tym liście, żeby mu napisali: tak albo nie. Przyznawał, że tak bardziej dlań było upragnionem. Pozatem, cały list, był wesoły, zawierał w sobie »wiele facecyi i nowinek«, słowem, świadczył o nienajgorszym humorze, owszem, był pełen humoru.

List ten, przyszedłszy do Warszawy, odczytany w rodzinie Fryderyka, a niezwłocznie zakomunikowany i Elsnerowi, wywołał zdziwienie, graniczące z oburzeniem. Wszyscy byli przekonani, i Mikołaj Chopin, i siostry Fryderyka, i Elsner, a pewno i Żywny, że tu w grę wchodzi zwykła zazdrość, *jalousie du metier*, że Kalkbrenner, poznawszy się na geniuszu Fryderyka, chce zabić jego oryginalność, chce go podciągnąć pod ogólny strychulec, a w najlepszym razie zrobić swoim uczniem, żeby nim chwalić się później, żeby jego sławę ściągnąć na siebie, etc. Ani na chwilę nie chciano przypuszczać, że Kalkbrenner mógł być bezinteresownym wobec Fryderyka, a mógł powodować się jedynie życzliwością względem niego, że mu istotnie mogło zależeć na tem, by Chopin przez sumienną pracę pozbył się swoich niektórych niepoprawności, n. p. w palcowaniu. W tem przekonaniu zdecydowano się napisać do Fryderyka, odradzając mu, ażeby nie słuchał przewrotnych rad Kalkbrennera, który tylko czyha na jego, jeżeli nie zgubę, to przynajmniej oryginalność. W tym duchu poszły aż cztery listy do Chopina, ojca, dwóch sióstr i Elsnera, wszystkie pisane tego samego dnia 27 listopada 1831 roku.



Pierwszym był list Mikołaja Chopina, który brzmiał jak następuje:

Drogie moje dziecko!

Z przyjemnością spostrzegłem z treści ostatniego Twego listu, że pobyt w Paryżu będzie dla Ciebie korzystniejszy, niż w Wiedniu, i to niewątpliwie pod wielu względami, gdyż jestem przekonany, że skorzystasz z wszelkiej sposobności udoskonalenia się w sztuce, której się oddałeś. Poznanie sławnych artystów, rozmowy z nimi, wykonywanie ich utworów przez nich samych, oraz ich doświadczenie, mogą przynieść wielką korzyść młodemu człowiekowi, który się stara utorować sobie drogę. Przyjaźń, którą Ci okazał p. Kalkbrenner, pochlebna jest dla Ciebie, i, jako ojciec, jestem mu za nią jak można najbardziej obowiązany. Ale, mój drogi, nie pojmuję, jak wobec Twych zdolności, które, jak mówi, zauważył, sądzi, że jeszcze trzech lat potrzeba, ażeby pod jego okiem zrobić z Ciebie artystę i nadać Ci szkołę. Nie jestem w stanie zrozumieć tego ostatniego wyrazu, chociaż pytałem o znaczenie onego prawdziwego Twego przyjaciela, Elsnera, i do listu jego Cię odsyłam. Wiesz, że czyniłem wszystko, co odemnie zależało, ażeby popierać Twe zdolności i talent Twój rozwijać, że w niczem Ci się nie sprzeciwiałem; wiesz także, że technika gry mało Ci czasu zabierała i że umysł Twój więcej pracował, niż palce. Jeżeli inni całe dnie spędzali nad fortepianem, Tobie rzadko kiedy godzina zeszła na wykonywaniu cudzych utworów. Zważywszy to wszystko, ów termin trzyletni przechodzi moje pojęcie. Nie chcę ci się jednak w niczem sprzeciwiać, to tylko powiem, że dogodziłbyś mi, gdybyś z powzięciem postanowienia zaaczekał, aż dopóki dobrze się nie zastanowisz, nie nasłuchasz i nie namyślisz. Dopiero co przybyłeś, sam mówisz, że nie możesz jeszcze podnieść głowy i pokazać się takim, jakim się czujesz; zaczekaj więc jeszcze, talent może zaraz od pierwszej chwili zwrócić na siebie uwagę znawców, lecz mogą oni nie dojrzeć na razie jego wysokości, daj im przeto czas lepiej Cię poznać i nie zobowiązuj się do czegoś, coby pochód Twój tylko opóźniło.

Po ojcu zabrała głos młodsza siostra Fryderyka, Izabella, Oto ustęp z jej długiego listu, dotyczący Kalkbrennera:

Mój drogi Fryciu, nie uwierzysz, jak mocne wrażenie na nas list Twój uczynił. Obiedwie z Ludwiką spać nie mogłyśmy z radości. Ale to nasze wyobrażenie silne tego nas nabawiło. Każdy wyraz odczytując kilkakrotnie, zdawałyśmy się widzieć w Twoim opiekunie, który Ci opiekę ofiarował, człowieka niepospolitego; cieszyłyśmy się, że w jego dostaniesz się ręce, ale każda pozorna radość, nieugruntowana na fundamentach, których nic wzruszyć nie zdoła, musi się zwalić; i tak nasza minęła. Te wyrazy: bratem i ojcem, wyższość moralna, tak mię zajęły, że wyobrazić sobie nie zdołasz. Wystawiłam sobie tego człowieka ojcem Twoim, nie takim, jak Papa, ale takim, który, dając Ci rady, kierowałby przyszłym losem Twoim; widziałam, a raczej rozumiałam, że będzie bratem, będąc na jednym stopniu wykształcenia. Lecz te złudzenia, jakkolwiek mię cieszyły, pozostawiały

zawsze wątpliwość, jaką te mieszczęsne trzy lata nasuwały. Taki talent, jak Twój, aby poznać i ocenić, trzeba być wiele wyższym; o różnicy piszesz i ja jej wierzę, ale nie wątpię, że bez trzech lat ją zmazaćbyś potrafił. Lecz co piszę, to nie są żadne przestrogi, bo ja ich nigdy Tobie dawać nie chcę, ale chciałam Ci donieść, jaki wpływ Twój list miał na umysłach naszych.

Najobszerniej wypadł list starszej siostry, Ludwiki, tej, o której wiedziano w domu, że ma największy wpływ na Fryderyka, że jej zdanie najwięcej waży w jego postanowieniach. Ona też, jako literatka potroszę, a więc mająca największą łatwość wypisania się, skreśliła szczegółową relacyę o wszystkiem, co nastąpiło od chwili otrzymania listu Fryderyka, aż do chwili, kiedy po naradach rodzinnych, popartych opinią Elsnera, zasiadła do pisania swego długiego listu, który brzmiał, jak następuje:

Najdroższy Fryciu!

Pojmuję bardzo, że dzisiejszy list zrobi Ci niejaką przykrość z powodu odmiennego po części zdania od Twojego, i żal mi Ciebie, że będziesz miał może cokolwiek ambarasu z tego powodu. W chwili, jakeśmy Twój list odebrali, tak nas ucieszył Kalkbrenner, tak byliśmy zadowoleni, że chociaż już było po godzinie dziewiątej, jak się skończyła lektura, coprędzej zabrałam się do pisania i z uniesieniem donosiłam Ci, że nikt z nas nie jest temu przeciwny, że jednozgodnie posyłamy Ci to upragnione t a k i dziwiłam się nawet, że możesz myśleć, iż Ci się przeciwnie odpisze. Kalkbrenner mnie zachwycił: widziałam w nim już przez imaginacyę człowieka takiego, jakimi, daj Boże, żeby wszyscy byli: widziałam szlachetność, wyższość moralną, słowem, byłabym mu (gdyby o mnie szło) cyrograf na siebie napisała, a nawet na Ciebie; Ciebie, mój drogi, nie wahałam się nawet, żeby oddać w ręce. Lecz nazajutrz poszliśmy do poczciwego Elsnera, który nie tylko, że Cię kocha, ale może więcej, jak ktokolwiek, sławy Twojej pragnie i gruntownej wiadomości etc. (może się niedorzecznie wysłowiłam, ale mi to daruj, mój drogi). On tedy po wysłuchaniu listu nie był kontent tak, jak my z propozycyi, krzyknął: »już zazdrość, trzy lata«, kiwał głową, chociaż ja mu gadałam, zdziwiona, że tak zrazu przeciwnego prawie był zdania i wystawiałam zalety Kalkbrennera i zamiłowanie jego do sztuki i kilkakrotnie odczytywałam te wyrazy, że jego żaden interes do tego nie powoduje etc. Nic to wszystko nie pomogło. Krzywił się Elsner i powiedział, że sam do Ciebie napisze z dodatkiem: Fryderyka znam, on dobry, nie ma miłości własnej, małą chęć postępu: łatwo go opanują. Ja napiszę mu, ja to rozumiem. Istotnie dziś rano przyniósł list, który Ci posyłam i jeszcze więcej o tem z nami gadał. My, sądząc w prostocie serca o ludziach, nie myślałyśmy, żeby Kalkbrenner był czem innem, jak najgodniejszym człowiekiem. Elsner zaś niezupełnie tak utrzymuje. I tak dziś gadał: poznali w Fryderyku geniusz i już ich korci, żeby wyższym nad nich nie był, więc trzy lata czasu chcą go w swoim trzymać ręku, aby cokolwiek wstrzymać to, coby sama natura popchnęła. Pani Szymańska o Kalkbrennerze śmiała powiedzieć, *que c'est un filout,* więc to jest jakaś spekulacya na Fryderyka, mniejsza, żeby ta tylko, żeby go nazwał elewem swoim, ale tam jest taka, która pomimo zamiłowania sztuki krępowanie Twojej genialności ma na celu. Elsner powiada, że on nie rozumie, co to za szkoły on wymaga, a potem dodaje: jeżeli on ma tę szkołę sam, więc bez zapisywania się na trzy lata, jeżeli to się egzekucyi tyczy. Ty to sam pojąć potrafisz i przejąć, jeżeli Ci się podoba. Bo Elsner nie chce, żebyś Ty naśladował i dobrze się wyrażał: wszelkie naśladowanie nie jest to, co oryginalność; skoro będziesz naśladował, nie będziesz oryginalnym, a chociaż młodszy jesteś, Twoje pomysły mogą być lepsze, jak już doświadczonych; masz geniusz wrodzony i Twoje utwory świeższe i lepsze: masz



grę Fielda, chociażeś słyszał Żywnego, cóż to dowodzi? A potem p. Elsner nie chce Cię widzieć tylko koncercistą i kompozytorem fortepianowym i egzekutorem sławnym, bo to łatwiejsze i mniej znaczy, jak opery pisać, ale chce Cię widzieć tem, do czego Cię pcha natura i do czego Cię usposobiła. Ty masz przeznaczone miejsce między Rossinim, Mozartem i t. d. Twój geniusz nie ma osiąść na fortepianie i koncertach. Ty z oper masz się unieśmiertelnić. Powiada, że tak ukształcony, jak jesteś, w czem wyżej od wszystkich może w Twoim wieku kiedyś będących, a dziś sławnych autorów, z takim geniuszem powinieneś dążyć tam, gdzie Cię geniusz popędzi, a nie za nikim postępować. Z początku (podobno jak mówił) śmiano się z Mozarta, nie chciano grać jego kompozycyi, tylko poprzedników, a później dopiero ocenili. Wszystko postępuje, nowy geniusz nie może być



Fryderyk Chopin, w dwudziestym drugim roku życia.

tem, co stary. Uważaj dobrze, co Ci Elsner pisze, czytaj z uwagą; zdaje się, że ma racyę. On utrzymuje, że to są wszystko frazy, które eblouisują i pomimo szczerości są nieszczere, (Boże, czemuż tacy ludzie się znajdują!). Ty czujesz sam, co dobre, bo słysząc tyle osób grających, umiałeś jednak ocenić wartość każdego: to samo, żeś ocenić umiał, dowodzi wyższość Twoją. Elsner utrzymuje, że tam wielkiej miłości nie ma do sztuki, tylko do siebie i kieszeni; bardzo się to zdaje daleka kalkulacya, ale tak się tłumaczy: czemuż nie chciał Liszt przyjąć propozycyi, kiedy taka dobra. Liszt tak od Ciebie daleki? Czemu sobie innego jakiego nie wynalazł z talentem, którego miałby ambicyę postawić na tym stopniu, kiedy się to li egzekucyi tyczy. Ofiaruje Ci salę koncertową swoją, a przez cztery mie-

siące możesz wojażować, bo wtenczas on koncertów dawać nie będzie, bo to nie pora. Ty niby do tego nie należałbyś, ale sama *complaisance* kazałaby Ci wywiązać się grzecznością byłbyś zawsze podrzędnym, wtedy kiedybyś mógł być wyżej od niego i wielu. Powiada także: a gdyby Reicha (z którym dziwi się, żeś się ieszcze nie poznał), także przejęty Twojem dobrem co się tyczy kompozycyi, równie ambicyonował i znów Cię chciał na trzy lata zapisać? Rozgniewała go okropnie ta, jak nazwał, śmiałość i arogancya: podanie ołówka do wykreślenia pasażu, przejrzawszy tylko partycyę, nie słysząc nigdy koncertu w całym efekcie z orkiestrą. Powiada, że gdyby Ci był podał radę, abyś drugi pisząc starał się zrobić krótsze allegro, to co innego; ale z już napisanego kazać wykreślać, tego darować nie może. Porównał to do już wybudowanego domu i kiedy cały skończony stoi, komuś się zdaje, że filar jeden za wiele i przemieniać chcą rzecz, wyjmując go, czyli raczej niszcząc to, co się dobrem nie zdaje. Elsner utrzymuje, że już ten krok jest krokiem do zdegustowania Cię i z daleka dania Ci uczuć, żeś jeszcze niedoskonały. Zaraz dodał: a Kalkbrennera koncerta nie długie? chociaż nie tak zachwycające. Z kimże Cię porównywał? Dawał na przykład Hertza, Liszta, Sowińskiego. Zdaje się, że słusznie Elsner utrzymuje, że aby być wyższym, trzeba nie tylko przejść nauczyciela, ale swoich współczesnych. Można ich naśladować i przejść ich, ale wówczas to będzie postępowanie za nimi, a on koniecznie utrzymuje, że Ty dziś czując, co dobre i lepsze, sam sobie drogę torować powinieneś; Twój geniusz będzie Cię prowadził. Jeszcze co dodał: Fryderyk ma tę oryginalność i ten rytm, czy jak tam, z ziemi rodzinnej, który go tem oryginalniejszym przy wzniosłych myślach czyni i charakteryzuje; chciałby, żeby Ci to zostało. W operach dopiero się to lepiej da uczuć, każdy pozna, kto jesteś, co niemało zrobi Ci zwolenników; szczególniej teraz, kiedy masz tam tylu swoich, więcej niż ktokolwiek możesz zrobić wrażenia muzyką twoją. Elsner Ci radzi, że jeżeliby kto napisał jaką sztuczkę z czasów, cośmy się nie widzieli, żebyś się zajął pomału robieniem muzyki; żebyś nie odrzucił, jeżeli Ci zaproponuje kto. Elsner pragnie, żebyś był wielbiony z koncertów, ale powiada, że to nie Twój punkt ostateczny, bo Ty masz geniusz. Opery Twoje, nie tylko fortepianowa muzyka, mają Cię zrobić pierwszym. O mój drogi Fryciu! biednyś Ty, albowiem przewiduję, że będziesz miał wiele nieprzyjemności, jak się zdecydujesz odmówić. Pan Elsner jednak powiada, że zapewne jeszcze napiszesz nam odpowiedź wprzódy, Kalkbrenner czy nie zmniejszył czasu i co to on rozumie przez to piętno europejskiego artysty, tę szkołę, której p. Elsner nie rozumie; bo jeżeli egzekcya, to ją prędzej, jak w trzy lata, zrozumiesz i do swej metody zastosujesz. Mój drogi Fryciu, my nie rozumiejąc rzeczy, ani tak, ani tak Ci nie radzimy, posyłamy Ci uwagi; nie śpiesz się z odpowiedzią, możesz jeszcze napisać, co myślisz, co Kalkbrenner na list Elsnera powie, (bo on powiada, że go możesz jemu pokazać). Elsner da ci radę przyjacielską, bo tu idzie o to, aby Ci tamy w biegu Twoim nie położono. Elsner powiada, że gdyby innym sposobem była ta propozycya zrobiona, nie tak prędkoby się na niej było można poznać, ale tak widać łapkę. Nie uwierzysz, jak mnie to boli. Miał racyę ten ktoś od dróg, co to był kiedyś u Ciebie, jakeś wystawiał zazdrość, której będziesz powodem, przyjechawszy do Paryża. Nieprzystanie, lubo w najgrzeczniejszy oddane sposób, zawsze nie będzie miłe i boję się złości; a przystać i lepiej drugim, jak sobie zrobić, jeszcze w takim względzie, to okropnie. Prawda, niema jak się uczyć: tego samego, co i Ty, jesteśmy zdania; człowiek nigdy dość nie umie. Uczyć się pod okiem kogoś, co pragnie naszego postępu, ale tu nie każdemu się zdaje, że pragnie Twego postępu, Bo to wszystko fraszki, żeby to odrzucać dla tego, żeby się nie nazywać elewem, żeby się niby wstydzić uczyć; zostawmy głupcom tę źle zrozumianą miłość własną i wstyd. Ani Ty, ani my nie widzimy w nauce retrogradacyi, ale tu w tym przypadku obawia się Elsner, żeby te 3 lata, w którychbyś ogromny mógł zrobić postęp, nie były tamą onego. Nic Ci, mój drogi, nie radzę; Niech Tobą instynkt powoduje, sam najlepiej rzecz rozumiesz. Elsner sądzi, że po odczytaniu jego listu może trochę zmienisz Twoje zdanie i chęć. Co się tyczy



lat trzech tam pobytu, to nas nie powoduje bynajmniej, żeby Ci zaraz nie napisać t a k, bośmy i tak przygotowani na to, że Cię prędzej nie zobaczymy. I gdybyś miał się fatygować aż do nas z wizytą, nie chcąc, żebyś tak niemiłej dyliżansowej drogi doznawał, gotowibyśmy na wpół drogi do Ciebie pojechać, aby Cię uściskać. Boże, daj Ci tylko zdrowie i żeby tak szczęśliwe były okoliczności, żebyś miał wszystkich przychylnych Tobie. Czemuż ja z Tobą być nie mogę! Nie na wiele cobym się przydała, ale czasem możebym i nie zawadziła.

Berend znalazł, że Twój biust podobniejszy, niż portret, i Barciński, który onegdaj przyjechał, toż samo. P. Hoge, który go przywiózł, ucieszył nas, dając o Tobie zapewnienie, jakeśmy się pytali, co tam robisz, czyś zdrów: »Ej zdrów i Państwo mogą być spokojni, bo on się potrafi znaleść«. Dobryś, myślę sobie, albo to jeden na świecie taki dobry. Widzę, żeś w lepszym humorze, ale obawiam się, żeby ten ambaras nie popsuł Ci go znowu, lubo zdaje mi się na krótko; bo kiedyś tyle dobrych znalazł znajomych, rozweselić Cię potrafią, lubo ludzie nie zawsze rozweselić mogą; czasem by się chciało być od nich daleko... Bądź zdrów, mój drogi Fryciu! Rób tak, żebyś był kontent, i teraz i potem.

Do tych trzech listów był dołączony czwarty, Elsnera, pisany w części po polsku i po niemiecku, a w niektórych zasadniczych ustępach także i po francusku, bo nie bez myśli o tem, żeby go Chopin mógł pokazać niektórym przyjaciołom i muzykom paryskim. »List Elsnera — pisała mu Ludwika — możesz pokazać Lesueurowi, n a w e t m a s z«. Snać Elsner więcej ufał Lesueurowi, niż Kalkbrennerowi. W każdym razie pisany był tak, że i Kalkbrenner mógł go przeczytać.

Oto rzeczony list, datowany 27 marca 1831 roku:

Kochany Fryderyku!

Dowiaduję się z wielką przyjemnością, że pierwszy fortepianista (jak pisałeś). Kalkbrenner przyjął cię tak dobrze (Znałem jego ojca w Paryżu w roku 1805, a wtenczas już młody jego syn słynął między pierwszymi wirtuozami).

Tem więcej mię to cieszy, że ci przyrzekł odkryć tajemnice swej sztuki. To mnie jednak zadziwia, że do tego oznacza czas t r z y l e t n i! Miałżeby od pierwszego zaraz widzenia cię i posłyszenia poznać, że tyle czasu potrzebować będziesz do pojęcia jego metody i t. p., żeś geniusz Twój muzyczny tylko dla k l a w i k o r d u i twoje usposobienie kunsztowe tylko dla tego rodzaju kompozycyi poświęcić powinien? Spodziewam się, że po dalszem i bliższem poznaniu się z tobą odmieni swój wyrok. Jeżeli swemi wiadomościami artystycznemi sztuce naszej w o g ó l n o ś c i w osobie twojej zechce się przysłużyć, jeżeli będzie twym prawdziwym p r z y j a c i e l e m, wywdzięczaj mu się, jako uczeń. Co do mnie, wyznaję, że chętnie chciałbym mieć za ucznia twego przyjaciela Linowskiego. Wiele w nim zapału do muzyki i dosyć talentu do kompozycyi. Ale on musi pracować po całych dniach prawie, by zarobić na życie, i oszczędzić parę złotych na przyszłość. Ale co do ciebie, a nawet i co do Nideckiego, nigdym o tem nie myślał, by z was zrobić m o i c h uczniów; mówię to z pychą, jakkolwiek sobie winszuję, żem wam dawał lekcye harmonii i kompozycyi. W nauce kompozycyi nie należy podawać przepisów, szczególniej uczniom, których zdolności są widoczne, niech sami je wynajdą, by mogli niekiedy sami siebie przewyższyć, niech mają środki do znalezienia tego, czego jeszcze nie znaleziono. W mechanizmie sztuki, w posunięciu się nawet w części jej wykonawczej, nietylko trzeba, żeby uczeń zrównał się z mistrzem swoim i przeszedł go, ale żeby jeszcze miał i coś własnego czemby także mógł świetnieć. Granie na instrumencie nawet najdoskonalsze, n. p. Paganiniego na skrzyp-

cach, Kalkbrennera na fortepianie, ze wszystkiem, czem ono czaruje, czy to przez charakter właściwy instrumentu, czy to przez oryginalność kompozycyi, zastosowanej do uwydatnienia i podniesienia jego przymiotów; granie to, samo w sobie uważane, jest tylko środek na polu muzyki, jako mowy uczuć. Rozgłos, jakiego używali niegdyś Mozart, a potem Beethoven, jako fortepianiści, dawno już przebrzmiał i ich kompozycye fortepianowe, mimo oporu zawartej w nich cechy zacności klasycznej, musiały ustąpić smakowi nowszej mody. Za to inne ich utwory, nieprzywiązujące się do jednego wyłącznie instrumentu, ich opery, śpiewy, symfonie, żyją jeszcze między nami i istnieją obok dzisiejszych dzieł sztuki, jakby współczesne. *Sapienti pauca.*

Nie można doradzać uczniowi zbyt długiego zajmowania się jedną metodą, manierą, jednego narodu smakiem i t. d. To, co jest prawdziwem i pięknem, nie powinno być naśladowanem, lecz doświadczonem, według swoich praw własnych i wyższych. Za wzór (jako *non plus ultra),* ani człowiek ani naród służyć nie powinien: tylko wieczna i niewidzialna natura jest nim i zawiera go w sobie. Ludzie i narody dostarczają tylko przykładów, które mniej więcej szczęśliwie się udały. Nakoniec, jednem słowem; to w czem artysta (zawsze korzystający ze wszystkiego, co go otacza i uczy), zadziwia współczesnych, tylko mieć może z siebie i przez udoskonalenie samego siebie. Bo przyczyna tego i jego prawdziwie zasłużonej chwały, tak w teraźniejszości, jak i w potomności, nie jest inna, jak jego genialna indywidualność żyjąca w jego dziełach kunsztu.

Zabawiło mnie oddanie ołówka czerwonego, bo przypomniałem sobie, że JPani Szymanowska powróciła z Anglii (gdzie się poznała z Kalkbrennerem), i dając koncert u nas, na próbie u siebie porozdawała czerwone ołówki, dla przekreślenia tu i owdzie niektórych taktów w koncercie Hummla H-minor, choć już wprzód skróciła go sobie była. Co większa, w waryacye, których autora nie przypominam sobie, a które temu samemu uległy losowi, co i biedny Hummel, umieściła jakieś andante Fielda. To nadużycie! Musieliśmy słuchać tylko panią Szymanowską i jej tylko palce podziwiać. Pojęcie całości w dziele znamieniem jest prawdziwego artysty; rzemieślnik stawia kamień na kamień, belkę na belkę kładzie. Właśnie owa zdolność pojmowania, poparta wiarą w ciągły postęp sztuki i prawdziwą dla jej prac miłością, wiedzie do wzajemnej i przyjacielskiej zachęty, przypomina dążność do pięknego celu. Ona nie dopuści, by z dzieł dawniejszych mistrzów coś bez dojrzałego rozmysłu wykreślać lub na wykreślenie pozwalać. Dlatego cieszę się, że ci samemu zostawił swobodę urządzenia się w tym względzie, do wykreślenia tego, co jemu i jego słuchaczom zbyt długiem zdawać się mogło.

Resztę później.

Racz oświadczyć hr. Platerowi, Woj. Grzymale, Hofmanowi i t. d. moje uszanowanie. Dla Lesueura, Paëra, Kalkbrennera, Nadermana, Norblina najniższe ukłony. Orłowskiego proszę uściskać.

Bądź zdrów i szczęśliwy, tak, jak tego Ci życzy twój prawdziwy przyjaciel

*Józef Elsner.*

Ponieważ wszystkie te listy nie krępowały w niczem Chopina, owszem, zostawiały mu zupełną swobodę w powzięciu stanowczej decyzyi, więc, przeczytawszy je, wbrew ich podejrzeniom, a także i wbrew namowom przyjaciół paryskich, którzy mniej więcej utrzymywali to samo, postanowił uczyć się u Kalkbrennera. Czy mu pokazał list Elsnera? nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Chopin ufał Kalkbrennerowi, nie podejrzewał jego czystych intencyi względem siebie, a będąc pewnym jego »wyższości moralnej«, postanowił pójść za jego światłą radą, zwłaszcza, że Kalkbrenner, częściej



go słysząc grającego, sam mu oświadczył któregoś dnia, że nie będzie potrzebował trzech lat czasu, żeby się stać godnym reprezentantem wielkiej szkoły fortepianowej, czyli, żeby się stać znakomitym pianistą. Mogło to tylko zachęcić Chopina. Jakoż nie zwłócząc, wziął się do nauki pod kierunkiem Kalkbrennera. Czemu nie spróbować?

W tym duchu też napisał do domu, a osobno dnia 14 grudnia do Elsnera. Zapewniwszy go, że w jego liście widział »nowy dowód tej ojcowskiej troskliwości, tych prawdziwych, szczerych życzeń, jakie raczył zachować dla najprzywiązańszego z uczniów«, tak uzasadniał swoją decyzyę korzystania z nauk Kalkbrennera: »Nastręcza mi się jedyna sposobność dotrzymania wrodzonej obietnicy, czemuż jej nie mam chwytać? W Niemczech nikomu bym się na fortepianie uczyć nie dał, bo choć niejeden czuł, że mi czegoś jeszcze nie dostaje, nie wiedział sam, czego; ja zaś nie widziałem w swojem oku tej belki, jaka mi dzisiaj wyżej patrzeć zawadza. Trzy lata jest wiele, za wiele (nawet jak sam Kalkbrenner, lepiej mi się przypatrzywszy przyznał, co dowodzić Panu powinno, że prawdziwy z zasłużoną chwałą wirtuoz zazdrości nie zna). Jednakże i na trzy lata pracy bym przystał, bylebym tylko mógł tym sposobem duży uczynić krok w moich przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrennera i nic nie zdoła zatrzeć może zbyt śmiałej ale szlachetnej chęci i myśli utworzenia sobie nowego świata, i jeżeli pracować będę, to dlatego, żeby na tem mocniejszych nogach się postawić. Riesowi, znanemu z fortepianu, łatwiej było za *Braut*[1]) laury po Berlinie, Frankfurcie i t. d. zbierać. Spohr jakże długo za skrzypka był miany, nim *Jessondę, Fausta* i t. d. napisał. Spodziewam się, że mi pan nie odmówisz swego błogosławieństwa, wiedząc, na jakich zasadach i z jakiem przedsięwzięciem postępuję«. Jednocześnie, pisząc dnia 12 grudnia do Wojciechowskiego, tak mu donosił w tej kwestyi: »Żebyś tu był, sambyś powiedział: ucz się, chłopcze, póki czas. Wielu odradza mi jednak, utrzymując, że ja tak dobrze grać potrafię, jak Kalkbrenner, i że on się narzuca z lekcyami przez pychę, aby potem mnie swoim uczniem nazywać i t. p. To wszystko są facecye. Trzeba wiedzieć, że o ile tu dla talentu Kalkbrennera mają wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle jego osoby nie cierpią, bo się nie z lada kim paniebraci; a ja Ci szczerze mówię, że jest w nim coś wyższego nad wszystkich wirtuozów, com dotąd słyszał. Pisałem o tem do rodziców, oni jakoś przystają, ale Elsnerowi zdaje się to dziwnem i przypuszcza jakąś zazdrość«.

Że Elsner był w błędzie, a Chopin miał słuszność, kiedy wierzył w lojalność Kalkbrennera, tego niebawem dowiódł ich prawdziwie przyjacielski stosunek z sobą, nie żaden stosunek ucznia do mistrza, czy mistrza do ucznia, ale stosunek koleżeński zupełnie, stosunek, który przynosi za-

[1]) Die Reuberbraut.

szczyt Kalkbrennerowi, jako człowiekowi. Po za lekcyami, do których Chopin przykładał się pilnie i z całem przejęciem, a które dla obu raczej były interesującem spędzeniem czasu, niż lekcyą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, Chopin stał się serdecznie oddanym przyjacielem całej rodziny Kalkbrennerów, a sam Kalkbrenner, snać zadowolony ze swego genialnego ucznia, czynił wszystko z swej strony, żeby mu ułatwić stosunki w Paryżu. W tym celu, na przyjęciach u siebie, na których bywała śmietanka paryskiej arystokracyi ducha, zarówno ze sfer muzycznych, jak literackich i artystycznych, poznał go z mnóstwem wybitnych osobistości, albo go wprowadził do wielu domów, do których bez niego byłoby mu dostać się trudno. Kiedy Chopin zaczął się nosić z myślą dania koncertu, Kalkbrenner nie tylko mu pierwszy przyrzekł swój udział, (co już samo równało się dobremu finansowemu rezultatowi koncertu), ale nadto z całą gorliwością użył swoich osobistych stosunków z innymi pierwszorzędnymi wirtuozami, żeby również swoim występem przyczynili się do zwiększenia atrakcyjnej siły projektowanego koncertu. Miał słuszność Chopin, gdy pisał do rodziców o »wyższości moralnej« Kalkbrennera, który nim zajął się nie tylko jak opiekun, ale jak ojciec, jak brat! Wogóle w bardzo krótkim czasie przyszło do tego, (co ogromnie dziwiło tych wszystkich, z którymi Kalkbrenner »paniebracić się« nie miał najmniejszej ochoty), że Kalkbrenner, choć niby to dawał lekcye Chopinowi, coraz bardziej z nauczyciela przeobrażał się w jego wielbiciela, czego dał wymowny dowód, skomponowawszy świetne waryacye na temat *Mazurka* Chopina:[1]) *Variations brillantes pour le piano sur une Mazourka de Chopin.*[2]). Równocześnie Chopin, drukując swój *Korcert E-moll* dedykował go Kalkbrennerowi. Nadto Kalkbrenner, gdy mu wypadło improwizować, czy to na koncertach, czy na wieczorach w domach prywatnych, w swoim między innemi, bardzo często swoje improwizacye osnuwał na tle melodyi z kompozycyi Chopina, zwłaszcza z jego *Mazurków.* Trudno wymagać więcej! W ten sposób ułożył się dziwnie miły stosunek między dwoma artystami, z których jeden był »królem fortepianu«, a drugi stał się niebawem instrumentu tego — jak trafnie powiedziano — Kopernikiem. Tymczasem młodziutki »Kopernik« uczył się jeszcze pod kierunkiem »króla« i »mistrza« — jak Rafael u Perugina — ale uczył się wyłącznie w kierunku wirtuozowskim, pracował nad techniką, którą tak podziwiał u Kalkbrennera, a pragnąc grać tak, jak Kalkbrenner, mieć jego wyćwiczone palce, wcale się nie starał naśladować jego kompozycyi. To była całkiem odmienna dziedzina, do której nie dawał wtrącać się nikomu, nawet Kalkbrennerowi. Tutaj wierzył w swoją oryginalność, nie chcąc być niczyją »kopią«. Kalkbrennerowi, którego uważał za pierwszego fortepianistę w wielkim stylu, powie-

[1]) Opus 7. nr. 1.
[2]) Opus 120.



rzył swoje palce, ale też nic więcej. O kompozycyi prawdopodobnie nie było mowy na lekcyach z Kalkbrennerem. Jak się zapatrywał na jego rolę, jako pedagoga, w stosunku do siebie, to doskonale i dowcipnie określił dnia 25 grudnia 1831 r. w swym liście do Wojciechowskiego: »Co mi o drodze mojego artystycznego życia piszesz, jest także prawdą, o jakiej i ja mam to samo przekonanie. Jadę po niej własnym ekwipażem, tylko furmana do koni nająłem«. Własny ekwipaż, to oryginalność Chopina, to ten »nowy świat«, który sobie w muzyce »utworzyć« pragnął. Konie, to wyłącznie palce, to wirtuozowskie opanowanie klawiszy, to technika bez zarzutu, w której zakresie odczuwał pewne braki, »wiedząc, czego mu nie dostaje«, a w której musiał celować, skoro, »przymuszony był myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako pianista«. Najęty furman do tych koni, to Kalkbrenner! Ale furman jest jedynie od powożenia; o drodze zaś, którą należy obrać, żeby bez przygód dojechać do danego — artystycznego — celu, decyduje tylko właściciel ekwipażu. Z tego sobie Chopin jasno zdawał sprawę. Trzeba podziwiać jego zdrowy rozsądek, jego trafny sposób stawiania kwestyi. Wiedział, czego chciał.

## III.

W zakończeniu listu swego z dnia 27 listopada 1831 r., donosząc Fryderykowi o wysłaniu dlań »niewielkiego zasiłku«, prosił go Mikołaj Chopin, żeby o ile możności starał się trzymać zdaleka od nadciągającej do Paryża emigracyi: *en t'engageant à ne pas trop te fier à bien des nouveaux venus;* albowiem, nie chcąc mieć utrudnionego lub wprost uniemożliwionego powrotu do kraju, należało być ostrożnym w zbliżaniu się do politycznie skompromitowanych emigrantów. Wszak wypadało mieć na względzie, że Chopin nie należał do emigracyi, że wyjechał z kraju przed rewolucyą i za paszportem, czyli, że każdej chwili, gdyby zechciał, mógł bez żadnych przeszkód wracać do Warszawy. Dlatego radził mu ojciec, by się nie kompromitował przez zbyt ścisłe stosunki z wychodźtwem polskiem, by nie palił za sobą mostów. Wiadomo było, że ambasador rossyjski w Paryżu, hrabia Pozzo di Borgo, bacznie śledził, na skutek specyalnej instrukcyi cesarza Mikołaja, co się działo wśród polskich wychodźców... Chopin jednak, niepomny tej ojcowskiej przestrogi, całą duszą przylgnął do emigracyi, chętnie uczestniczył w jej różnych zebraniach, bo przedewszystkiem zależało mu na manifestowaniu swej polskości, co nawet na paryskim bruku poniekąd było koniecznem, jeśli nie chciał, żeby go brano za Francuza. Że Chopin nie stronił od emigracyi, ale owszem garnął się do niej, że zaraz w początkach brał żywy udział w życiu emigracyjnem, dowodzi chociażby jego list z dnia 25 grudnia 1831 r. do Wojciechowskiego, któremu pisze między innemi: »A teraz ubiorę się i pójdę, a raczej pojadę na obiad, j a k i d z i-

siaj nasi dają dla Ramoriny i Langermanna...« Widocznie, że na takich uroczystych obiadach, które emigracya urządzała dla swoich różnych znakomitości, Chopin bywał dość regularnie, bo gdy w następnym roku wyprawiano wielki obiad dla generała Dwernickiego, między jego uczestnikami był i Chopin. Był na nim i Słowacki, który tak między innemi o tym »wielkim obiedzie« pisał do matki: »Podczas obiadu Cezary (Plater) biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Chopin, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezye, słowem, że dobrze nam zeszedł wieczór. Wielu było Wołynianów, wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy; na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek. Wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d... W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykle z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10—2 w nocy; pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie«. W tym samym roku 1832 pisał Bohdan Zaleski w liście do Ludwika Nabielaka: »W tej chwili przyszedł do mnie sławny nasz Karol Różycki. Idziemy zaraz do Mickiewicza, a z Mickiewiczem do Chopina, fortepianisty sławnego«. Innym razem znów Julian Ursyn Niemcewicz zapisał w swym dzienniku: »Obiad u generała Kniaziewicza, na którym był Mickiewicz i Chopin, jeden z pierwszych pianistów w Europie, wesoły, dowcipny, umiejący przedrzeźniać każdego: bawił nas wyśmienicie.« Wszystko to świadczy, że Chopin nie unikał stosunków z emigrantami polskimi, ale przeciwnie zależało mu na nich.

Ale bo też jak miał stronić od nich, kiedy wśród emigrantów właśnie liczył tylu osobistych przyjaciół i kolegów z Warszawy! Przestając z nimi, zapominał chwilami, że jest na obczyźnie. Nie upłynęło kilka miesięcy, a znaleźli się tu obaj Mochnaccy, Kamil i Maurycy, obaj Zalescy, Józef i Bohdan, dwóch Grzymałów, Franciszek i Wojciech, dwóch Wołowskich, Franciszek i Ludwik, Leon Smitkowski, Aleksander Hoffman, Teofil Kwiatkowski, Andrzej Plichta, a w końcu przyjechał i Stefan Witwicki. Przez nich nawiązały się nowe znajomości i przyjaźni: z Aleksandrem Jełowickim, z Eustachym Januszkiewiczem, z Józefem Straszewiczem, z Napoleonem Ordą, z Feliksem Wrotnowskim, z Juliuszem Słowackim, z Władysławem i Cezarym Platerami, oraz z mnóstwem innych. A ponieważ emigracya, z małemi wyjątkami, była nastrojona rewolucyjnie, więc i Chopin — jak przystało na serdecznego przyjaciela a pewno i stronnika Maurycego Mochnackiego — przysięgał na rewolucyę. »Kocham karlistów — pisał o tem do Dominika Dziewanowskiego — nie cierpię filipistów, sam jestem rewolucyonistą.« Zdaje się jednak, że więcej był rewolucyonistą, aniżeli demokratą, a jeśli nim był nawet, to swego demokratyzmu — bardzo modnego na emigracyi — nie posuwał tak daleko, żeby nie dbać o zażyłe stosunki z arystokratami. Owszem na tych stosunkach, do których zresztą przywykł od dziecka, bardzo mu zależało.



Ztąd, jeszcze w roku 1831 zaprzyjaźnił się z domem kasztelana Ludwika Platera na rue de Londres, gdzie będąc w nadzwyczajnych łaskach u pani kasztelanowej, a w niemniejszych u kasztelanki, bardzo muzykalnej panny Pauliny, w krótkim czasie był na zupełnie bezceremonialnej stopie, uważany za domowego prawie. Kochano go, jak syna, pieszczono, psuto. Pierwszą uczennicą, która od niego zaczęła brać lekcye w Paryżu, była hrabianka Platerówna, poprostu »panną Pauliną« przez wszystkich nazywana, o słabości zaś, jaką pani kasztelanowa miała dla Chopina, najlepiej świadczy jej *bon mot* o Chopinie, Liszcie i Hillerze: »Si j'étais jeune et jolie, mon petit Chopin, wyraziła się raz w rozmowie z Fryderykiem, je te prendrais pour mari, Hiller pour ami et Liszt pour amant.« Na wieczorach u Platerów, na których w karnawale nieraz Chopin na przemiany z Lisztem, z Hillerem, z Sowińskim, z Ordą, przygrywali do tańca, bywało wszystko, co emigracya posiadała świetniejszego. Bywał tu szczerze zaprzyjaźniony z kasztelanem, generał Kniaziewicz, którego Chopin znał z Drezna, bywał »stary patryarcha poetów« Niemcewicz, Chopinowi dobrze znany z Warszawy, bywał Słowacki, którego Chopin nie lubił, bywali wszyscy główniejsi członkowie »monarchicznego« stronnictwa Czartoryskich, bywały wszystkie arystokratyczne rodziny polskie, stale lub czasowo mieszkające w Paryżu, bywało i niemało dystyngowanych cudzoziemców, Francuzów i Anglików, bywało i wielu pierwszorzędnych artystów, muzyków, malarzy, poetów, historyków. Dla Chopina było bardzo pomyślnem, że właśnie z tym domem tak się związał ściśle, bo Platerowie mieli olbrzymie stosunki, a więc bardzo mu mogli być pomocni. Jakoż byli w wielu wypadkach. A przytem był to jeden z najświetniejszych domów polskich, a na jego »czwartkach« panował taki duchowy poziom, że o równy mu nie było łatwo nawet w najpierwszych salonach francuskich. Nie zawsze tak było, bo zdarzały się czwartki skromne, raczej familijne, ale czasami zdarzały się i wyjątkowo świetne. Na jednym np. rozegrał się sławny turniej pomiędzy Lisztem, Hillerem i Chopinem, kto najlepiej zagra Mazurka: *Jeszcze Polska nie zginęła*. Zaczęło się od tego, że Hiller i Liszt utrzymywali, że nie potrzeba być koniecznie Polakiem, aby hymn ten zagrać z należytem zrozumieniem i odczuciem jego ducha. Chopin, wraz z całem towarzystwem polskiem, był innego zdania, utrzymując, że cudzoziemiec nie potrafi z melodyi tej wydobyć należycie to, czego ona jest natchnionym wyrazem: to może oddać tylko Polak. Postanowiono, że ją wszyscy trzej pianiści zagrają po kolei, a zgromadzeni słuchacze rozstrzygną, komu się należy palma zwycięstwa. Pierwszy zasiadł do fortepianu Liszt, po nim

Hiller, a dopiero po nich Chopin, który tak wspaniale, z takim porywającym zapałem uwydatnił bohaterskiego ducha tej pieśni nadziei i zwycięstwa, że i Hiller i Liszt, uprzedzając wyrok zgromadzonych słuchaczy, uznali się za pokonanych. O najrozmaitszych figlach Chopina, które raz po raz urządzał Platerom, a które świadczyły o jego nadzwyczajnej poufałości z nimi, istnieje szereg anegdot [1]).

Przez Platerów wszedł w równie przyjacielski stosunek z domem Czartoryskich, którzy, osiadłszy w Paryżu, zamieszkali na Faubourg du Roule. Razem z księstwem Adamowstwem przyjechały tu księżna Sapieżyna, matka księżnej Adamowej, i księżna Wirtemberska, autorka *Malwiny*. Chopin znał obie z Warszawy, od Zamoyskich. Tutaj stał się ulubieńcem całej książęcej rodziny, a na »poniedziałkach« u księżnej, na których bywało mniej więcej to samo towarzystwo, co u Platerów, nigdy się nie dał prosić, gdy się domagano, by zasiadł do fortepianu. Bardzo często grywał i do tańca, w nieporównany sposób grając zwłaszcza mazury. Niezrównanym był również, gdy chcąc rozweselić towarzystwo, popisywał się swym talentem naśladowczym, gdy pokazywał, jak to gra Liszt lub Pixis. Były to parodye złośliwe niekiedy, bo podchwytujące różne śmiesznostki znakomitych artystów, ale przypatrując się tym »poliszynelom« Chopina, całe towarzystwo musiało zanosić się od śmiechu. I on wtedy, tak zwykle smętny i wytworny w manierach, ożywiał się do niepoznania, nabierał humoru i werwy, o jakie by go nikt nie posądził, był pełen konceptów, rzucał rakietami dowcipów najprzedniejszych, słowem, stawał się osią ogólnego rozbawienia. Nie zawsze bywał takim, ale w gronie rodaków, w gronie dobrych znajomych, gdy wśród nich nie brakło i pięknych kobiet, lub takich, które cieszyły się jego sympatyą, ożywiał się, rozweselał, wpadał w dobry humor, a wtedy różnym »poliszynelom« nie było końca. Ale na to musiał się czuć między swoimi, co właśnie miało miejsce w domu Czartoryskich.

Z pomiędzy polskich domów arystokratycznych, z którymi Chopin pozostawał w bardzo bliskich stosunkach, wyróżniał się także dom hr. Komarów, którzy go znali jeszcze z Drezna, zkąd już na początku 1832 r. przenieśli się na stały pobyt do Paryża. Bawiła też tu z nimi od 1832 r. córka ich, hrabina Delfina Potocka, żona Mieczysława, z którym jednak żyła w separacyi. Zarówno jej, jak i jej dwóch młodszych sióstr, Ludmiły i Natalii, równie jak ona posągowo pięknych, był od samego początku Chopin gorącym wielbicielem.

---

[1]) W papierach po Chopinie znalazły się i listy Platerów. W jednym Ludwik Plater, nie zastawszy Chopina, pisze kilka słów po francusku w jego mieszkaniu (przy boul. Poissonière) zapraszając go do siebie na wieczór, na którym ma być kilku Polaków, pragnących usłyszeć Chopina. W innym liście pani kasztelanowa pisze między innemi: »Niech Chopenek przyszle swój manuskrypt nut. Czy mówiłeś z p. Frepą? Spodziewam się, że się pożegnasz z nami.«



Po za temi trzema pierwszemi domami polskiemi w Paryżu miał tu wkrótce Chopin jeszcze i kilkanaście innych, Wołowskich, Grabowskich, Ossolińskich, Hoffmanów, Plichtów oraz »Lorki« Czarnowskiej, dla której zawsze był pełnym sentymentu na tle wspomnień warszawskich. Te same wspomnienia, choć innego rodzaju, bardzo mu czyniły miłym dom Karolostwa Hoffmanów, jako że dla pani Klementyny z Tańskich od dziecka żywił kult szczególny. U Andrzejostwa Plichtów był jak u siebie, pełen uwielbienia dla rzadkich cnót pani Plichciny.

Jednocześnie z emigracyą, od której w końcu roku 1831 zaroiło się w Paryżu, przybył tu z Warszawy, także w roli politycznego rozbitka, Aleksander de Moriolles, który po śmierci Wielkiego Księcia Konstantego, nic nie mogąc wskórać u rządu rosyjskiego, rozgoryczony wrócił do Francyi. Przybywszy do Paryża, odszukał Chopina, »przywożąc mu serdeczne pozdrowienie od swej córki«. Po niejakim czasie przyjechała i sama »Mariolka.« Oczywiście, że Chopin zaczął bywać u niej, a choć już nie kochał się w niej, jak za warszawskich czasów, to jednak nie przestał mieć sympatyi dla niej. Wiedząc, że i »Mariolka« i jej rodzina mają dlań — według jej zapewnienia w jednym z listów do niego — »toujours la même amitié pour le génie devenu grand que pour le virtuose de 7 ans«, chętnie w ich towarzystwie, a zwłaszcza w towarzystwie »Mariolki,« tytułującej go »Monsieur le Diabelek,« odświeżał wspomnienia warszawskie, pod jednym warunkiem wszakże, by go w imię tych wspomnień z czasów *Ronda à la Mazur,* nie chciano... żenić z Mariolką. O tem mu się nie śniło. A jednak rodzice Mariolki, która, jako niebogata hrabianka, jakoś nie mogła wyjść za mąż, nie tylko przemyśliwali o tem, żeby ją wydać za Chopina, ale zdaje się nawet, że w tej kwestyi wymieniali listy z rodziną Fryderyka. Ale cóż z tego, że rodzice Chopina, a nawet jego siostry, nic nie mieli przeciwko temu mariażowi, kiedy sam »Monsieur le Diabelek,« choć bardzo lubił Maryolkę, wcale w tej chwili nie myślał o ożenku, ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Że jednak w Warszawie nie miano nic przeciw Maryolce, dowodził list Ludwiki do Fryderyka, która mu tak pisała dnia 27 listopada 1831 roku: »Był Nowakowski; chciał, żeby dać te ronda, coś dla Mariolles kazał wylitografować, ale Papa nie dał. Czy każesz? to się dadzą. Nie piszesz o Aleksandrince, czy ona istotnie nie zasługuje na Twoje afekcye?« Już to samo, że Chopin nie pisał o niej dowodziło, że dla tych matrymonialnych powodów zaczął politykować z Maryollami, a gdzie się zaczyna polityka, tam się kończy szczerość, a gdzie się zaczyna brak szczerości, tam się zwykła kończyć i przyjaźń. Bardzo być może, że w ten sposób powoli zaczął ostygać stosunek z Mariollami...

Tymczasem Chopin wciąż nawiązywał nowe stosunki, w tej liczbie z wieloma znakomitościami literackiemi. Na początku sierpnia poznał się z Adamem Mickiewiczem. Wprawdzie niezawsze zgadzali się z sobą, owszem,

najczęściej mieli odrębne zapatrywania, ale pod jednym względem byli podobni do siebie: Mickiewicz unosił się nad muzyką Chopina. Chopin unosił się nad poezyą Mickiewicza. A przytem obaj byli genialnymi improwizatorami. To też, gdy byli razem, a bywając w tych samych kołach, ciągle spotykali się ze sobą, zdarzało się nieraz, że albo Mickiewicz improwizował po improwizacyi Chopina, albo Chopin improwizował po improwizacyi Mickiewicza. Szczęśliwi ci, co mogli być świadkami tych improwizacyi! Oto zaś, w jaki sposób raz Mickiewicz scharakteryzował Chopina: »Oto on, najuciesznejsza figura, jaką znałem na świecie:Talent Garricka, dowcip warszawsko-francuski. I jedno mię w nim tylko nieprzyjemnie uderzało, to zabawianie swoją osobą figurek salonowych, z których żartował i miał racyę... Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała, szlochała, a dusza ojca-Francuza śmiała się na całe gardło; i to był Chopin!« Gdy Mickiewicz pisał *Pana Tadeusza,* na wieczornych zebraniach u niego na Carrefour de l'Observatoire, na których poeta odczytywał świeżo napisane pieśni poematu, bywał wraz z wieloma jego przyjaciółmi i Chopin. Te »nocne rodaków rozmowy« u Mickiewicza, który wtedy tworzył *Pana Tadeusza,* tak opisuje Bohdan Zaleski: »Odwiedzali Adama wtedy tłumnie, jako słynnego już autora *Wallenroda, Dziadów* i *Ody do młodości,* rozbitkowie powstania listopadowego, roznamiętnieni, krzykliwi, powracający z Taranne i Vauban. Tak zwały się dwie góry, huczące naprzeciw siebie wyklinaniami, nasze emigrackie Hebal i Garyzim. Z umiarkowańszą bracią Adam chętnie przestawał; usiłował nastroić zwichnione umysły do zgododźwięku i zapał ich nieobłudny skierować ku wyższym celom, pożyteczniejszym dla sprawy narodowej. Nie bardzo mu się to udawało. Nastały wkrótce wieczorne schadzki u Adama, po większej części umiarkowańszych osób i tem samem sympatyczniejszych. Uczęszczali na nie, ile pamiętam: Jełowiccy, Edward i Aleksander, bracia Sobańscy, Kaszyc, Worcel, Cezary Plater, Karol Montalambert, Dawid rzeźbiarz, generałowie Dembiński i Miś Mycielski, Władysław Zamoyski, Fryderyk Chopin, Franciszek Szemioth, Leonard Chodźko, Wrotnowski, Weisenhoff, Januszkiewicz, Kołysko, K. E. Wodzyński, Kajsiewicz, Rettel, Semenenko, Ropelewski i wielu, wielu innych. Goście przychodzili do szczupłych pokoików nie codzień, ale po parę razy w tygodniu, na pół godziny, na godzinę, czasem raz jeden na miesiąc. Adam stał wtedy na swym zenicie, w pełni twórczości poetyckiej i w ciągłem podniesieniu ducha. W mowach i rozmowach codziennych błyskawicował parabolami, rozświetlającemi głębie ducha, sypał jak z rękawa genialne spostrzeżenia, cudne myśli, oryginalne dowcipki w oryginalnem wysłowieniu. Schadzki te, a właściwie mówiąc biesiady patryotyczne, toczyły się w najzupełniejszej swobodzie, o przedmiotach tyczących się Polski, jej bied i prześladowań ówczesnych.« Chopin niemało musiał korzystać na



tych zebraniach, w tej skondensowanej a podniecającej atmosferze patryotyzmu. Wogóle na emigracyi często łączono nazwisko Mickiewicza i Chopina, nie tylko jako dwie znakomitości pierwszego rzędu, jako dwóch geniuszów, jako dwie chluby narodu polskiego, ale i jako dwa pokrewne sobie duchy. Kiedy Mickiewicz, w ekstazie natchnienia, improwizował, we wzroku jego przymglonym i zapatrzonym jakby w zaświaty, widzieli niektórzy »melodyę fantastycznych improwizacyi Chopina.«

Z pomiędzy licznych poetów, zamieszkałych w Paryżu, najserdeczniejszy stosunek łączył Chopina z Heinem. Poznał ich z sobą Hiller (jeszcze za bytności Mendelssohna), poczem spotykali się u wielu wspólnych znajomych: u Liszta, u Berlioza, u Francka. Twórca *Buch der Lieder* należał do tego samego kółka. Dla Chopina od pierwszej chwili zapłonął uwielbieniem, nie tylko dla jego muzyki, którą wynosił ponad wszystko, ale i dla człowieka, którego polubił nadzwyczaj. Uwielbieniu temu dał Heine niebawem wyraz w jednej ze swych korespondencyi paryskich, gdzie w tych słowach, po rozpisaniu się o Liszcie i Berliozie, skreślił sylwetkę Chopina: »Byłoby niesłusznem, abym przy tej sposobności nie wymienił jednego z fortepianistów, który po Liszcie najwięcej hołdów doznaje. Jest nim Chopin: jaśnieje on między nimi nie tylko jako wirtuoz przez techniczne wydoskonalenie, ale jako doskonały kompozytor. Jest to człowiek w całem znaczeniu wyrazu niepospolity. Stał się też ulubieńcem owego wyższego towarzystwa, które w muzyce największej przyjemności ducha i umysłu szuka. Sława jego ma cechę arystokratyczną: wonna pochwałami wyższego towarzystwa, jest również wykwintna, jak jego osoba. Urodzony w Polsce z matki Polki i ojca Francuza, część swego wychowania odebrał Chopin w Niemczech. Wpływ tych trzech narodowości złożył się w nim na całość doskonałą, w której jaśnieją najlepsze przymioty tych trzech narodów. Polska dała mu zmysł rycerski i swą historyczną boleść; Francya — lekki wdzięk i gracyę; a Niemcy — romantyczną głębokość. Natura zaś wyposażyła go piękną, wysmukłą, nieco wychudłą nawet postacią, najszlachetniejszem sercem i geniuszem. Tak, Chopinowi trzeba przyznać geniusz i to geniusz w całem znaczeniu tego słowa. Niepodobna go nazwać wirtuozem, on jest poetą; umie wlać w nas poezyę, która w jego duszy żyje[1]). Nic nie może mierzyć się z rozkoszą, jaką słuchaczom sprawia Chopin, improwizując przy fortepianie. Wówczas nie jest on Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem: zdradza on w owej chwili daleko wyższe pochodzenie: jego ziemią rodzinną zdaje się być wtedy kraj Rafaela, Mozarta i Goethego, a prawdziwą ojczyzną poetyczne królestwo marzeń. Gdy on tak improwizuje, wydaje mi się, jakby mię odwiedzał ziomek z ukochanego kraju i opo-

[1]) W tymże liście pisał o nim Heine, przeciwstawiając go zwłaszcza Lisztowi: »Seine Finger sind nur die Diener seiner Seele, und diese wird applaudirt von Leuten, die nich bloss mit den Ohren hören, sondern auch mit der Seele.«

wiadał o najciekawszych zdarzeniach z czasu mej tam niebytności. Nieraz chciałbym mu przerwać i obrzucić pytaniami: Jakże się powodzi pięknej rusałce, co tak zalotnie umiała narzucać srebrzysty swój welon na zielonych zwojach? Czy u nas róże zawsze tak dumne? A drzewa czy ciągle śpiewają tak pięknie podczas księżycowych nocy?« [1]). Wogóle Heine w swoich korespondencyach do *Augsburger Zeitung*, raz po raz wspominał o Chopinie, zawsze entuzyastycznie. Widocznie był pod jego urokiem [2]).

Już to wielbicieli przybywało mu z dniem każdym, a wielu rekrutowało się i z pomiędzy największych sław literackich i artystycznych francuskich, z którymi poznawał się głównie przez Berlioza i Liszta. Nie wszystkich lubił jednakowo, jak np. Wiktora Hugo, którego mimo jego sławy jakoś nie mógł traktować na seryo: niektórzy, choć z nimi pozostawał na przyjacielskiej stopie, byli mu dość obojętni w gruncie rzeczy, jak np. Sainte-Beuve: ale za to nie brakło i takich, dla których miał wiele sympatyi. Do tej ostatniej kategoryi należeli w pierwszym rzędzie: poeta Alfred de Vigny, dziennikarz Jules Janin, dramaturg Ernest Legouvé [3]), rzeźbiarz Bovy, aktor Boccage i śpiewak Nourrit [4]).

Jeszcze nie upłynęło cztery miesiące od chwili, gdy Chopin znalazł się na bruku Paryża, a już, jak sam to w swym liście do Wojciechowskiego z dnia 25 grudnia 1831 r. stwierdzał, zdołał sobie wyrobić »znaczne imię« w paryskim świecie muzycznym. Zdawałoby się więc, że powinien być rad z siebie, że powinien być pełnym optymizmu, że na życie powinien się zapatrywać różowo, że powinien czuć się szczęśliwym i w do-

[1]) Cały powyższy ustęp znalazł się także we francuskich *Lettres confidencielles* Heinego, drukowanych w paryskiej *Gazette musicale* (zob. Nr 5 tego czasopisma z dnia 4 lutego 1838 r.).

[2]) W liście z dnia 20 czerwca 1833 r. do Hillera pisze Chopin: »J'ai recontré hier Heine qui m'a chargé de vous grüssen herzlich und herzlich«...

[3]) Legouvé w swych *Soixante ans de Souvenirs* tak pisze o swem poznaniu się z Chopinem; »Chodź pan — rzekł raz do niego Berlioz na początku lat trzydziestych — pokażę panu coś, czegoś nigdy nie widział, i kogoś, kogo nigdy nie zapomnisz.« Tem c z e m ś i tym k i m ś był właśnie Chopin.

[4]) Adolf Nourrit, bardzo serdecznie zaprzyjaźniony z Chopinem, był żarliwym krzewicielem kultu Schuberta, z którego pieśniami pierwszy zapoznał melomanów paryskich, sprawiając, że się stały modnemi we wszystkiśh salonach. Oto, co w tej mierze pisał raz Fétis w *Le Temps* (20 stycznia 1835), zaznaczając jednocześnie, jak wysokiem w tym czasie było już stanowisko Chopina w wielkim świecie stolicy:

»Maintenant c'est la romance de Schubert et de Meyerbeer; et à vrai dire, lorsque dans un salon de notabilités politiques, littéraires, scientifiques, se trouvent en présence d' artistes, comme Nourrit, Levasseur, M-lle Falcon, Liszt, Chopin, Hiller, Brod, Geraldy, Gallay, etc. quelle figure viendraient faire les prétendues romances de M. M. tels et tels, dont il faut laisser aux lecteurs le soin de deviner les noms? C'est la *Religieuse* de Schubert, ce chef d'oeuvre de passion intime, si admirablement senti et chanté par Nourrit, c'est *le Nephtali* de Meyerbeer, rendue si delicieusement par M-lle Falcon; c'est *le Moine* du même auteur, si digne de Levasseur, pour lequel il a été composé...



brym humorze. Tymczasem miało się całkiem przeciwnie. Choć listy, które pisywał do rodziny, były pełne facecyi, to jednak nastrój, w jakim się znajdował, był raczej smętny i smutny, niż wesoły. Do domu nie pisał o tem, ale przed Wojciechowskim nie robił tajemnicy, że mu było smutno, że mu we znaki dawała się szalona tęsknota, że choć nie miał wyraźnych powodów do skarg, to jednak przez to, że poskarżyć się nie miał komu, czuł się nieszczęśliwym i osamotnionym. Choć cieszył się ogólną sympatyą, choć znalazł ludzi, którzy mu wiele okazywali życzliwości i przyjaźni, to przecież on nie miał takiego usposobienia, żeby przed każdym zwierzać się ze swych bolów i spleenów. Takiego przyjaciela, jak Wojciechowski lub Matuszyński, jeszcze tu nie znalazł, ani pośród swoich, ani wśród obcych. A przytem ze zdrowiem był niedobrze... Ztąd, gdy przyszło Boże Narodzenie, już drugie, które spędzał na obczyźnie, nie mógł się opędzić dojmującemu smutkowi. Wprawdzie i wilię i święta spędził w licznem gronie ziomków, tak, że mógł mieć wrażenie, iż znajduje się w kraju, między swoimi, ale ci swoi, to jednak byli ludzie obcy. Dlatego, kiedy w pierwsze święto Bożego Narodzenia, korzystając z wolnej chwili, zasiadł do pisania listu do Wojciechowskiego, pod pióro cisnęły mu się same smutne myśli. Oto niektóre z nich: »Ach, jakże bym chciał ciebie mieć przy sobie. Nie uwierzysz, jak mi tu smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy; ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę. Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w s y n k o p a c h. Dlatego męczę się, i nie uwierzysz, jak szukam jakiej p a u z y, to jest samotności, żeby do mnie cały dzień nikt nie zajrzał, nikt nie zagadał...« »W tej chwili odbieram twój list... przenoszę się jeszcze bardziej myślą do Ciebie, biorę Cię za rękę i płaczę... Kiedyż my się zobaczymy?... Może wcale nie, bo seryo mówiąc, zdrowie moje nędzne. Wesoły jestem powierzchownie, szczególniej, gdy się znajduję pomiędzy swoimi, ale wewnątrz coś mnie morduje. Jakieś przeczucia niedobre, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko, chęć życia, to znów chęć śmierci. Czasami jestem, jak w odrętwieniu umysłu; czuję jakiś błogi spokój w duszy; pamięć nasuwa mi obrazy, od których uwolnić się nie mogę, i to mnie dręczy nadzwyczajnie. Jednem słowem, miotany jestem mieszaniną trudnych do opisania uczuć«... Wskutek tego, ile razy był sam, czuł się nieszczęśliwym. Czego mu brakło? Niekiedy sam by nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wszak, jak na początek, wiodło mu się wcale nie źle; a przytem był w centrum sztuki, na wielkim świecie, w stolicy cywilizacyi. Wszystko to przyznawał, a jednak tęsknił i miał chwile zwątpienia. »Mnie tutaj los zapędził — pisał niedawno do Wojciechowskiego — oddycha się swobodnie, ale może też dlatego więcej się wzdycha« On wzdychał więcej, niż go posądzano o to, a jeśli mu z piersi tak często wyrywały się westchnienia,

to ich głównym powodem był niezawodnie ten, że — jak powiada Byron o Childe Haroldzie — »nie miał serca, przed którem mógłby wylać swoje«.

## IV.

W liście do Elsnera z dnia 14 grudnia 1831 r. pisał mu Chopin między innemi: »Rodzice zapewne Panu powiedzą o odłożeniu mego koncertu na 25 (grudnia). Mam wielką biedę z układaniem onego i żeby nie Paër, Kalkbrenner, a szczególniej Norblin, który się panu ślicznie kłania, nie mógłbym dać w tak krótkim czasie (oni to mało 2 miesiące na Paryż rachują). Baillot, bardzo grzeczny i przyjemny, gra kwintet Beethovena i Kalkbrenner ze mną Duo z akompaniamentem czterech fortepianów.« Obszerniej o tym projektowanym koncercie rozpisał się Chopin dwa dni przedtem w liście do Wojciechowskiego: »Daję koncert 25 grudnia. Baillot, ów rywal Paganiniego, Brodt, sławny oboista, przyjmą w nim udział. Ja grać będę mój *F-moll Koncert, Waryacye B-dur,* na które odebrałem przed paru dniami z Kassel od jednego Niemca, rozentuzyazmowanego temi waryacyami, dziesięcio-arkuszową recenzyę; gdzie po ogromnych przedmowach, przystępuje do rozbioru onych, takt w takt. Tłómaczy, że to nie są *Waryacye,* jak każde inne, tylko, że to jest fantastyczne *tableau.* Na drugą waryacyę mówi: że Don Juan z Leporellem biega, na trzecią, że ściska Zerlinę, a Masetto w lewej ręce się gniewa, na Adagio piąty takt powiada, że Don Juan całuje Zerlinę w *Des-dur!...* Dziwna naprawdę imaginacya recenzenta, który się uparł koniecznie, aby to drukować w *Revue musicale,* w dzienniku szwagra jego, Fétisa. Poczciwy Hiller ledwo mię od tego uchronił, mówiąc temu panu szwagrowi, że to zamiast być mi pomocnem, może mi tylko zaszkodzić [1]). Lecz wracam do koncertu. Oprócz *F-moll* i *Waryacyi* gram z Kalkbrennerem *Duo* jego, czyli *Marsza Suivie d'une Polonaise* na dwa fortepiany z akompaniamentem czterech innych. Jest to szalona myśl. Jeden jest ogromny fortepian, który się Kalkbrennerowi należy, a drugi malutki, monokordny, ale donośny, jak dzwoneczki, co dla mnie przeznaczony. Na czterech zaś innych dużych, głośnych, jak orkiestra, grać będą: Hiller, Osborne, Stamaty i Sowiński... Pomagają mi jeszcze w koncercie Norblin, Vidal i sławy altowiolista Urhan. Bilety plasują się. Śpiewaczki najtrudniej było dostać. Rossini byłby mi której z opery pozwolił, gdyby sam mógł to uczynić bez pana Roberta, drugiego dyrektora, który, widząc,

[1]) Pisze to Chopin jakby z ironią, jakby mu ta »poczciwość« w tym razie wydała się trochę podejrzaną. Waryacye zasługiwały na taki entuzyazm, a gdy o nich z niemniejszym entuzyazmem pisał Szumann i inni, wcale to Chopinowi nie zaszkodziło. Bądź co bądź, Hiller tu zbyt się okazał przezornym... A Chopin możeby nic nie miał przeciwko ogłoszeniu tej recenzyi w *Revue musicale,* gdzie Fétis możeby ją wydrukował, gdyby nie Hiller, który mu to potrafił wyperswadować.



że jak raz pozwoli, to na 200 lub 300 podobnych próśb narażonym będzie, ostatecznie nie pozwolił.« Ale w końcu znalazły się dwie śpiewaczki, panie Isambert i Tomeoni, a nawet i śpiewak p. Boulanger, którzy przyrzekli swój »łaskawy współudział« dla wypełnienia części wokalnej. Ale pomimo tak wpływowych protektorów, jak Rossini, Kalkbrenner, Baillot i inni, jeszcze i 25 grudnia koncert nie mógł dojść do skutku. Stało się to możliwem dopiero po upływie dwóch miesięcy, dnia 25 lutego 1832 roku. W ciągu tego czasu kilkakrotnie zmieniał się komplet pianistów, mających zasiąść do owych czterech »głośnych jak orkiestra« fortepianów. Tak np. w połowie stycznia miał być jednym z nich Mendelssohn, lecz projekt ten spełzł na niczem [1]).

Po takich krokach przedwstępnych [2]) po rozprzedaniu prawie wszystkich biletów (po 10 franków), z których znaczną większość rozebrali Polacy,

[1]) W liście do rodziny z dnia 14 stycznia 1832 r. pisze Mendelssohn: »Nächste Woche ist ein Concert eines Polen; in dem muss ich (a więc nie z wielką ochotą!) ein sechspersönliches Stück mit Kalkbrenner, Hiller und Comp. spielen; erschrekt also nicht, wenn Ihr irgendwo meinen Namen geradebrecht seht...« Skończyło się na tem, że go zastąpił Stamati. Ale na programie figuruje jeszcze Mendelssohn. Oto odnośny numer programu: »Deuxième partie. 1° Grande Polonaise, précédée d'une Introduction et d'une Marche, composée pour dix Pianos par M. Kalkbrenner, et exécutée par Messieurs Kalkbrenner, Mendelssohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin. Dziwna rzecz, że gdy Mendelssohn nie dopisał, Chopin musiał zwrócić się do Stamatiego, a nie do Liszta...

[2]) Jak dalece były czynione starania, żeby ten koncert mógł mieć powodzenie materyalne, a więc żeby się odbył przy pełnej sali, pozwala się domyślać notatka dziennikarska, przeznaczona dla dziennika *Le Temps,* w którym jednak nie została pomieszczona. Chodziło o to, ażeby tym koncertem zainteresować publiczność francuską. W tym celu zredagowali przyjaciele Chopina — z kasztelanem Platerem na czele — następujący artykulik, który istotnie mógł się stać niezłą reklamą, gdyby nie redaktor dziennika, który się nie zgodził na jego zamieszczenie. Artykulik — którego autograf zachował się w zbiorach Biblioteki polskiej w Paryżu — brzmiał jak następuje: »Si l'encouragement des beaux arts est un des plus nobles usages que l'on puisse faire des faveurs de la fortune, combien la puissance que l'on se prouve par ce moyen n'est elle pas rehaussée, si l'on peut en même temps faire un acte de générosité Nationale et s'associer à une sympathie qu'eprouve tout un grand peuple. La chute deplorable de Varsovie qui a fait crouler tout l'Edifice social de Pologne, qui a couvert de deuil tout ce pays, brillant naguères de tout l'éclat de l'héroisme et de la gloire, cette chute a entrainé celle des toutes les familles, de toutes les existences particulières. Dans ce nombre se trouve atteint un jeune artiste Polonais d'un talent distingué, Mr. Chopin. La France un jour prêta ce nom à la Pologne. La Pologne le présente aujourd'hui à la France. Mr. Chopin donnera jeudi prochain à 2 heures après midi rue Cadet N-ro 9 un concert de Piano. Des improvisations du jeune Polonais retraceront sur des thèmes prix dans la musique nationale et les chants qui ont fait affronter aux braves defenseurs de la Patrie tous les dangers d'une lutte inegale et les douces joies d'un espoire trompeur et la complainte qu' inspire à toute âme bien née le sort présent de la Pologne. Nous ne doutons pas que le nombre des auditeurs qui rempliront la salle Pleyel Rue Cadet 9 jeudi prochain ne prouve encore une fois, combien est vive, sincère et genereuse la sympathie, que les Francais eprouvent pour leurs anciens frères

tudzież po rozdaniu bardzo wielkiej ilości biletów gratisowych, które wraz z zaproszeniem otrzymali liczni przedstawiciele świata muzycznego, artystycznego, literackiego i dziennikarskiego, dnia 26 lutego o godzinie 8 wieczorem odbył się zapowiedziany koncert de M. Frédérick Chopin de Varsovie, koncert, który go odrazu postawił między najpierwszymi pianistami świata. Gra Chopina, zarówno jak i jego kompozycye, wywołały zdumienie wśród słuchaczów. Sala trzęsła się od oklasków, a między najgłośniej klaszczącymi nie brakło i takich pianistów, jak Liszt i Mendelsohn [2]). Wszyscy się rozeszli pod najlepszem wrażeniem, rozentuzyazmowani, a i sam Chopin musiał być zadowolony pod każdym względem: nie tylko z powinszowań, z któremi przyjaciele cisnęli się do niego, ale nawet i z rezultatu pieniężnego, bo mu koncert bądź co bądź przyniósł znaczny dochód.

---

d'armes, pour leurs emules en amour des arts, de la gloire et de la liberté.« Autograf niniejszy, przeznaczony *pour Monsieur le Redacteur du Temps,* jest opatrzony następującym dopiskiem Ludwika Platera: »O pierwszem wystąpieniu Chopina w Paryżu.«

O wiele względniejszym i usłużniejszym, aniżeli »Monsieur le Redacteur du *Temps*« okazał się Monsieur le Redacteur de la *Revue Musicale,* życzliwie dla Chopina usposobiony Fétis, który w swem pismie, w Nr. 48 z dnia 7 stycznia 1832 r. w taki sposób, na tydzień przed tym koncertem, pisał o nim: »Un grand concert sera donné le 15 par M. Frédérick Chopin, de Varsovie, dans les salons de M. Pleyel. MM. Baillot, Vidal, Norblin, Tilman et Urhan executeront un quintetto de Beethoven. Mais ce qui doit surtout piquer la curiosité, c'est une grande polonaise, composée par M. Kalkbrenner, et executée par l'auteur, MM. Mendelssohn, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin, sur six pianos. On trouve des billets chez les principaux marchands de musique.« W tydzień później, w przeddzień koncertu, czytelnicy *Revue Musicale* wyczytali o nim, co następuje:

»Le temps est fertile en concerts... Demain dimanche (15) à huit heurs du soir, concert de M. Chopin, de Varsovie, dans les salons de MM. Pleyel et Comp. rue Cavet, Nr. 9.

Le programe de celui-ci a de quoi piquer la curiosité des amateurs de bonne musique; il est composé des morceaux suivants:

1. Quintetto de Beethoven, executé par MM. Baillot, Vidal, Urhan, Tilmant et Norblin;
2. Duo chanté par M-elles Tomeoni et Isambert;
3. Concerto pour piano, composé et executé par M. F. Chopin;
4. Air chanté par M-elle Tomeoni.

Deuxieme partie.

1. Grande polonaise precedée d'une introduction et d'une marche, composée pour six piano, par M. Kalkbrenner, et executée par MM. Kalkbrenner, Mendelssohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin.
1. Air chanté par M-elle Isambert.
3. Solo de hautbois par M. Brod.
3. Grandes variations brillantes sur un thème de Mozart, composées et executées par M. Chopin.

On trouve des billets aux magazins de musique de MM. Schlesinger, rue de Richelieu Nr. 97; I. Pleyel et Comp., Boulevard Montmartre; Pacini, Boulevard des Italiens; Lemoine, rue de l'Echelle.

[2]) Mendelssohn, choć tak gorąco oklaskiwał Chopina, nic o tym jego pierwszym koncercie nie napisał w listach do rodziny.



Co prawda, koszta były prawie żadne, bo salę miał darmo, a wszyscy uczestniczący artyści popisywali się po tej samej cenie. Słowem udało się wszystko. Szczególniej cieszyli się przyjaciele Chopina, ci prawdziwi przyjaciele, którzy mu nie zazdrościli. Bo byli i tacy, którym ten koncert dał wiele do myślenia... o sobie, a którzy tem samem mogli być trochę zaniepokojeni tym nadzwyczajnym sukcesem młodego Polaka. Antoni Orłowski, który, jako skrzypek, nie potrzebował zazdrościć Chopinowi, tak pisał dnia 9 marca 1832 r. do rodziców swych o tym koncercie: »Drogi nasz Fryderyk dał koncert, który mu przyniósł wielką reputacyę i trochę pieniędzy. Wszystkich tutejszych fortepianistów zabił na śmierć, cały Paryż ogłupiał. Zresztą ja mu to prorokowałem, jak tylko przyjechał.« Liszt, który właśnie należał do tych »zabitych na śmierć», tak z czasem pisał o tym koncercie Chopina: »Pamiętam dobrze pierwszy jego popis w salonach Pleyela. Grzmiące oklaski, jakiemi go wtedy powitano, nie wydały mi się jeszcze dostatecznem uznaniem dla tego samorodnego talentu, który w dziedzinie uczucia poetycznego tak cudowne porobił odkrycia, a sztukę na tak nieznane dotąd pchnął tory. Zupełne to na pierwszym zaraz wstępie zwycięstwo, wbrew zwyczajnym w takich razach kolejom, ani go olśniło, ani upoiło: nagrodę swoją przyjął bez dumy, ale też i bez fałszywej skromności: słusznie mu się należała, więc też z jej powodu, jak czynić zwykli tylko trafu ulubieńcy, w dziecinną próżność się nie wzbijał.« Co najważniejsza, i na czem Chopinowi z pewnością zależało najbardziej, to, że krytyka w zupełności stwierdziła pochwałę Orłowskiego, że odrazu po tym koncercie witała w Chopinie »jedną z najświetniejszych gwiazd świata artystycznego i pianistę, który tak w pogłębieniu techniki fortepianowej, jako też w poezyi muzycznej wzniósł się nad wszystkich swych współzawodników.«

W podobnym duchu rozpisał się o tym koncercie Fétis w swej *Revue musicale* z dnia 3 marca 1832 r. Według niego był to jeden z najświetniejszych koncertów w całym sezonie zimowym. Oto niektóre główniejsze ustępy z jego obszernego sprawozdania: »Mamy tu do czynienia z młodym człowiekiem, który się poddaje swym wrodzonym popędom, a nie biorąc sobie nikogo za wzór, znalazł coś zupełnie nowego, a w każdym razie cząstkę tego, czego tak długo szukano daremnie, mianowicie, obfitość oryginalnych myśli, których pochodzenia nigdzie wskazać niepodobna. Nie chcemy utrzymywać przez to, że pan Chopin jest obdarzony potężną organizacyą jakiegoś Beethovena, albo żeby w jego muzyce znajdowały się tak tytaniczne rzuty, jak w dziełach tego mistrza. Beethoven pisał utwory na fortepian, lecz mnie tu chodzi o muzykę fortepianową, a skoro się przyłoży tę miarę, to w utworach pana Chopina widzę oznaki rzeczywistego postępu, który z biegiem czasu w tej dziedzinie sztuki znaczny może wywrzeć wpływ.« Co się tyczy *Koncertu F-moll,* to słuchacze —

zdaniem Fétisa — byli nim »zdumieni i przyjemnie zaskoczeni, zarówno nowością melodyi i rodzajem pasażów, jak modulacyami i charakterem motywów.« »Jest dusza w tych melodyach, jest fantazya w tych pasażach, a wszędzie jest oryginalność. Zbyt bujna modulacya, oraz pewien nieład w powiązaniu motywów, tak, że chwilami ma się wrażenie, że się słucha improwizacyi, a nie kompozycyi, oto jedyne braki, które się dają zauważyć obok już podniesionych przymiotów. Lecz braki te na razie pozostają w zawisłości od wieku artysty; znikną one przy dojrzalszem doświadczeniu. Jeśli późniejsze dzieła pana Chopina odpowiedzą jego debiutowi, to nie może ulegać wątpliwości, że dojdzie on do świetnej i dobrze zasłużonej sławy. Również i jako wirtuoz zasługuje młody artysta na pochwały. Gra jego jest elegancką, lekką, pełną wdzięku i odznacza się blaskiem i czystością. Można mu zarzucić, że nie dobywa dosyć tonu z instrumentu, pod którym to względem jest podobny do większości pianistów niemieckich; atoli można być pewnym, że w tym kierunku jego sztuki zwrócone studya pod przewodem Kalkbrennera, ułatwią mu przyswojenie sobie tej zdolności, od której nerw wykonania zależy i bez której dźwięczność instrumentu nie może dowolnie być zmienianą«[1]).

[1]) Ta pierwsza obszerna recenzya o koncercie Chopina w Paryżu, napisana przez najsłynniejszego z pomiędzy ówczesnych krytyków muzycznych, miała tak doniosłe znaczenie dla Chopina, którego odrazu stawiała tak wysoko, iż warto, by ją czytelnik poznał in extenso we francuskim oryginale, tak, jak była wydrukowana w Nr. 5 powyższej *Revue musicale* z dnia 3 marca 1832 r. pod charakterystycznym tytułem: *Concert de M. Chopin de Varsovie.*

»Dire maintenant d'un pianiste qu'il a beaucoup de talent, ou même si l'on veut un grand talent, c'est indiquer qu'il est l'émule ou le rival de quelques artistes du premier ordre dont le nom se présente aussitôt à la mémoire; ajouter que sa musique est très bonne, c'est faire supposer que son mérite est analogue à celui des oeuvres de Hummel et d'un petit nombre de compositeurs renommés; mais par ces éloges il est difficile de donner l'idée de la nouveauté, de l'originalité, car, sauf quelques nuances de style et de mérite de facture, la musique des pianistes est en general ecrite dans de certaines formes de convention qu'on peut considérer comme radicales, et qui se reproduisent sans celle depuis plus de trente ans. C'est le défaut du genre, et nos artistes les plus habiles n'ont pu le faire disparâitre de leurs ouvrages. Mais voici un jeune homme qui, s'abandonnant à ses impressions naturelles et ne prenant point de modèle, a trouvé, sinon un renouvellement complet de la musique de piano, au moins une partie de ce qu'on cherche en vain depuis long-temps, c'est à dire une abondance d'idées originales dont le type ne se trouve nulle part. Ce n'est point à dire que M. Chopin soit doué d'une organisation puissante comme celle de Beethoven, ni qu'il y ait dans la musique de ces fortes conceptions qu'on remarque dans celle de ce grand homme; Beethoven a fait de la musique de piano; mais je parle ici de la musique des pianistes, et c'est par comparaison avec celle-ci que je trouve dans les inspirations de M. Chopin l'indication d'un renouvellement de formes qui pourra exercer par la suite beaucoup d'influence sur cette partie de l'art.

M. Chopin a fait entendre, au concert qu'il a donné le 26 de ce mois dans les salons de MM. Pleyel et Cie, un concerto qui a causé autant d'étonnement que de plaisir à son auditoire, tant par la nouevauté des idées mélodiques que par les traits, les modulations et la disposition génerale des morceaux. Il y a de l'âme dans ses chants de la fantaisie dans ses traits, et de l'originalité dans tout. Trop de luxe dans les modulations, du désordre dans l'enchâinement des phrases, de telle sorte qu'il semble quelquefois entendre une improvisation plutôt que de la musique écrite, tels sont les défauts qui se mêlent aux qualités que je viens de signaler. Mais ces défauts appartiennent à l'age de l'artiste; ils disparâitront quand l'expérience sera venue. Si la suite des travaux de M. Chopin répond à son début, on ne peut douter qu'il ne se fasse une réputation brillante et méritée.

Comme exécutant, ce jeune artiste mérite aussi des éloges. Son jeu est élégant, facile, gracieux, et a du brillant et de la netteté. Il tire peu de son de l'instrument, et ressemble sous ce rapport, à la plupart des pianistes allemands; mais l'étude qu'il fait de cette partie de son art, sous la direction de M. Kalkbrenner, ne peut manquer de lui donner une qualité importante d'où dépend le nerf de l'exécution, et sans laquelle on ne peut modifier les accens de l'instrument.

Outre le concerto dont je viens de parler, on a entendu dans la même soirée deux autres ouvrages très remarquables. L'un est un quintetto pour le violon, exécuté avec cette énergie de sentiment et cette variété d'inspiration qui distinguent le talent de M. Baillot; l'autre, un morceau pour six pianos, composé par M. Kalkbrenner et executé par l'auteur et MM. Chopin, Stammati, Hiller, Osborne et Sowiński. Ce morceau, où les instruments sont employés avec beaucoup d'art et dont le style est plein de grace et d'élégance, avait déjà été entendu chez MM. Pleyel et comp., il y a quelques années, et avait eu beaucoup de succès. Il n'a pas fait moins de plaisir cette fois.

Un solo de hautbois exécuté par M. Brod avec le talent qu'on lui connait, et quelques morceaux chantés par M. Boulanger et M-lles Isambert et Toméoni, ont complété cette soirée musicale, une des plus agréables qui aient été entendues cette année.

[1]) O serdecznym stosunku przyjaźni, która Chopina łączyła z Kalkbrennerem, najlepiej świadczą listy tego ostatniego do Chopina.





Nie wszyscy jednak podzielali to zdanie Fétisa, albowiem — jak to stwierdza Hiller — po tym koncercie »nie było już mowy o jakichkolwiek brakach techniki.« Zdaje się, że potrosze i sam Kalkbrenner zaczynał być tego zdania, uznał bowiem, że po zupełnie wyjątkowym tryumfie, jaki Chopin odniósł na tym koncercie, i jako pianista, i jako kompozytor, dalsze »lekcye«, choćby u takiego mistrza, jak Kalkbrenner, naprawdę były zbyteczne. A że i Chopin już miał dosyć tej nauki, więc choć nie przestał bywać częstym i mile widzianym gościem w domu Kalkbrennerów, to jednak przestał tu przychodzić jako uczeń, a przychodził jedynie, jako kolega, jako przyjaciel. W tej przyjaźni, na której dnie było wiele wdzięczności za okazaną i niekłamaną życzliwość, nie ostygł nigdy i, jak mógł, dawał jej dowody [1]).

Ale pomimo odniesionego sukcesu, zaczął się Chopin zniechęcać do Paryża, albowiem zaczynał doznawać uczucia zawodu, nabierając przeświadczenia, że w gruncie rzeczy niema tu co robić. A przytem czuł się coraz bardziej osamotnionym, coraz bardziej zawadzającym swoim kolegom-pianistom, którzy w cichości ducha — choć niby tego nie dawali mu poznać po sobie — nie mogli strawić jego tryumfu, jego wyższości pod każdym względem (bo nawet w towarzystwie, jako człowiek wykwintnych form towarzyskich, »umiał się znaleźć«, jak żaden z nich), a w końcu, gdy się

wyczerpały pieniądze, które mu przyniósł koncert, i znów wypadło pisać o jakiś »skromny zasiłek« do domu, gdzie również przy zmienionych warunkach politycznych nie przelewało się wcale, popadł w taki stan przygnębienia moralnego, że nawet w listach do rodziny, tak zwykle wesołych i pełnych dowcipu, nie umiał zataić swego smutku. Przytem tęsknił za wszystkimi, których zostawił w Warszawie, miał różne niedobre przeczucia o niektórych, co wszystko razem wzięte, sprawiało, że miewał chwile, w których się czuł nieszczęśliwym, rozstrojonym nerwowo, pozbawionym energii i wiary w siebie, nie mówiąc już o nostalgii, jeszcze spotęgowanej neurastenią. Orłowski, który go widywał często, tak o nim w tych czasach pisał do swoich: »Kochany Chopin ściska Was serdecznie; od kilku dni jest bardzo smutny, do tego stopnia, że czasem przyjdę do niego i wyjdę i nic do siebie nie gadamy. Ale to pochodzi z tęsknoty. Tylko proszę Was, nic nie mówcie o tem rodzicom (Chopina), gdyż by to ich bardzo martwiło. Tu u nas w Paryżu kiepsko, nędza między artystami. Cholera wszystkich bogatych panów wypędza na prowincyę. A co jest najokropniejsze, że ani jeden muzykant nie jest w niebezpieczeństwie śmierci, chociaż jest ich tu, jak psów. Żeby tak z połowa umarła, toby dobre czasy znów zakwitły, ale może do tego przyjdzie.«

Ta okoliczność, że w Paryżu było muzyków, »jak psów«, utrudniała egzystencyę także i Chopinowi, który ostatecznie, o ile chciał zostać nad Sekwaną, musiał myśleć o zarobku; ciągle żyć z tego, co mu przysyłano z Warszawy, nie mógł; zbyt na tem cierpiała jego ambicya. Ale właśnie o ten zarobek było najtrudniej, a jeśli na ogół panowała »nędza między artystami«, którzy często i nie przebierali w środkach, gdy w grę wchodziła walka o kawałek chleba, to cóż dopiero miał powiedzieć on, który z natury był niezaradny, który absolutnie nie potrafił walczyć. Jakoż i z jego finansami było »kiepsko«, co oczywiście nie mogło być bez wpływu na humor. Zdawało mu się z początku, że po koncercie, który go tak postawił w opinii, będzie mógł liczyć na lekcye, że z nich będzie miał jaki taki zarobek. Tymczasem zawiódł się i pod tym względem. Ponieważ wszystko, co zamożniejsze, uciekło przed cholerą, więc lekcyi nie było dawać komu. A zresztą inni fortepianiści, których przecież było »jak psów«, zażarcie walczyli o te lekcye. On czekał, aż ludzie sami zgłoszą się do niego, prosząc o lekcye, i jak dotąd czekał napróżno. Jakże wobec tego nie miał być zniechęconym! Z kompozycyi także nie dało się wyciągnąć pieniędzy, bo nakładcy jeszcze się dali prosić, żeby drukowali za darmo, a płacić — przynajmniej Chopinowi na razie — to już całkiem nie mieli ochoty.

Znalazłszy się w tak przykrem położeniu, z którego wcale nie widział wyjścia, zrozpaczony Chopin wpadł na pomysł, który niezwłocznie, jako zbawienne e u r e k a, zakomunikował rodzicom: żeby pojechać do Ameryki. O ile w Paryżu jest artystów »jak psów«, tam ich niema wcale; ztąd



łatwość zarobku, a o to na razie chodziło mu przedewszystkiem. Zapaliwszy się do tej myśli, w której go może różni »przyjaciele« paryscy, pragnący się pozbyć niebezpiecznego współzawodnika, jeszcze utwierdzali, Fryderyk pisał list po liście do domu, starając się przekonać rodzinę, że wygra wielki los na loteryi, skoro opuści Paryż, gdzie niema nic do roboty, gdzie wobec tak wielkiej konkurencyi nic nie wysiedzi z pewnością, a pojedzie do Ameryki. Tam nie on, ale jego będą się prosić o lekcye, tam mu złote dolary same będą napływały do kieszeni, tak pustej w Paryżu! Okazało się jednak, że rodzice byli innego zdania, że wcale nie przekonani listami Fryderyka, nie chcieli słyszeć o tej jego amerykańskiej wyprawie po złote runo! To też odpisali mu, że skoro w Paryżu niema żadnych widoków dla siebie, to niech nie traci czasu, lecz wraca do Warszawy. Wobec tak postawionej kwestyi Chopin znowu nie wiedział, co czynić: bo o ile z jednej strony pragnął wrócić do kraju, za którym mu chwilami tak było tęskno, gdzie miał tyle osób drogich, kochanych, gdzie mu tak dobrze było zawsze, o tyle z drugiej strony, kiedy miał wybierać między Paryżem a Warszawą, między stolicą świata, centrum sztuki etc., a partykularzem, jakim była ówczesna stolica ciemiężonego Królestwa, to mu zaczęło być żal Paryża. Zawsze co Paryż, to nie Warszawa! Nadto przyjaciele jego, tacy jak Liszt, Hiller, Sowiński, Orłowski, tłómaczyli mu, że powinien zostać w Paryżu, że tylko tutaj może wypłynąć na szerszą widownię, że tylko tutaj może zrobić wielką karyerę artystyczną, podczas gdy wracając do Warszawy, na jej gruncie, w obecnych warunkach, tylko zmarnuje swą świetną przyszłość. To nie jest teren dla niego! Cóż, kiedy rodzice nalegali, żeby wracał. Jakoż, pomimo wszelkich perswazyi przyjaciół, którym przyznawał dużo racyi, postanowił zastosować się do woli rodziców. Swoją drogą, o ile do niedawna tak się wyrywał z Paryża, o tyle teraz, kiedy pomyślał, że musi wyjeżdżać, że musi opuścić Paryż, było mu przykro; wolałby zostać. Ale zdecydował się jechać, napisał do domu, że wraca, więc trudno. Nie pozostawało nic innego, tylko pakować rzeczy, bo zbliżał się termin wyjazdu. Jakoż nadszedł już niemal...

Wtem stał się fakt, który w jednej chwili odmienił wszystko. Oto, jak go opisuje dobrze poinformowany Karasowski: »Potrzeba zdarzenia, iż w przeddzień wyjazdu spotkał Chopin na ulicy księcia Walentego Radziwiłła; więc go począł żegnać, oznajmiając zamiar niezwłocznego opuszczenia Francyi. Radziwiłł, nie śmiejąc stanowczo odradzać, wymógł na nim tyle, iż Fryderyk tego samego dnia udał się z nim na wieczór do Rotschildów. Chopin podniecony widokiem najświetniejszego towarzystwa paryskiego, gdy na prośby gospodyni domu (pewno do tego namówionej przez Radziwiłła) zasiadł do fortepianu, grał i improwizował, jak nigdy jeszcze; słuchacze, do najwyższego stopnia zachwyceni, przesadzali się w oznakach uwielbienia dla jego czarującego talentu. Od tego wieczora, jakby za do-

tknięciem laski magicznej, położenie Chopina zaczęło się poprawiać; los zwrócił do niego uśmiechnięte swoje oblicze, uchylając mu cokolwiek zasłonę, przez którą przebijała pogodniejsza przyszłość, niby zwiastunka świetności nowo wschodzącego słońca. Natychmiast, jeszcze w salonach u Rotschildów (w czem znowu nie obeszło się pewno bez podszeptów Radziwiłła), otrzymał kilka zaproszeń do dawania lekcyi na fortepianie w pierwszych domach stolicy; położenie jego materyalne poprawiało się z dnia na dzień; od rodziców nie potrzebując już żadnej pieniężnej pomocy, przestał myśleć o powrocie do Warszawy. Jeszcze się nie skończył r. 1832, a więc upływał zaledwie rok od chwili, gdy stanął na paryskim bruku, a pozycya Chopina, jako pierwszego nauczyciela gry na fortepianie, już była ustalona. Miał pięć godzin lekcyj dziennie, od 11 – 4, wszystkie po 20 franków za godzinę. Może zgodziłby się dawać i taniej, ale Platerowie i Czartoryski rozpowiedzieli wśród swoich wszystkich znajomych z arystokracyi paryskiej, że to jest jego stała cena, że mniej nie bierze. A ponieważ zarówno jego uczniowie, jak i uczennice, których była znaczna większoć, rekrutowali się wyłącznie z najwyższych sfer towarzyskich, zamieszkujących przedmieścia Saint Germain i Saint Honoré, więc cena ta nie grała żadnej roli. Tym sposobem zarabiając po 100 fr. dziennie, stał się Chopin odrazu »jednym z najbogatszych Polaków«, zamieszkałych w Paryżu [1]). Niestety, nie zawsze te lekcye, które go materyalnie czyniły niezależnym, równały się przyjemności. Przedewszystkiem, z nielicznymi wyjątkami, nudziły go strasznie. Udzielał ich, ponieważ musiał zarabiać na życie, ale nie można powiedzieć, żeby to wogóle czynił z zamiłowania. Artysta i poeta, nie był stworzony na pedagoga. Był nim z musu. A ponieważ stało się modą wśród dam i panien świata paryskiego, by się módz nazywać uczennicą Chopina, więc nie brakło pomiędzy jego uczennicami i takich, których muzykalność wiele pozostawiała do życzenia. Owszem, takich uczennic miał najwięcej. Na prawdę muzykalne i utalentowane, jak panna Paulina Platerówna, jak panna Aleksandra Wołowska, należały do rzadkich wyjątków. Ale choć dawał lekcye dla zarobku, to jednak do honoraryów przywiązywał bardzo małą wagę. Daleki od zmateryalizowania, o pieniądze nie dbał zupełnie, do tego stopnia, że ciągle nań musiano nalegać, by brał więcej, by nie zadawalniał się tem, co mu ofiarowywano. Tymczasem jemu było wszystko jedno, tak dalece, że nie cofnąłby się nawet przed uczeniem za darmo... To sprawiało, że choć zarabiał dużo, nadzwyczaj był skorym do rozdawania pieniędzy; że zaś między emigrantami nigdy nie brakło takich, co potrzebowali, więc nieraz wyzyskiwano tę jego dobroć i hojność [2]).

[1]) Tak go nazwał w jednym ze swych lislów gen. Bem.

[2]) Z rozmów o Chopinie (z opowiadania pani Emilii z Borzęckich Hoffmanowej) *Kraj,* 1900, Nr. 33.



Oczywiście, że i na humorze zyskał odrazu, i ze zdrowiem czuł się lepiej znacznie, i na życie zapatrywał się różowiej. Odbiło się to w jego listach z tego czasu, zarówno do rodziny (do której jednak zaczął pisywać coraz rzadziej, tak, że wciąż otrzymywał skargi z domu, że nie pisze), jak i do przyjaciół. Oto n. p. co w październiku roku 1832 pisał do Dominika Dziewanowskiego; »Między tutejszymi artystami mam i przyjaźń i szacunek, chociaż dopiero rok pomiędzy nimi bawię. Dowodem szacunku jest, że mi dedykują swoje kompozycye, nawet ludzie z ogromną reputacyą, wprzódy, niż ja im. I tak: Pixis swoje ostatnie waryacye z orkiestrą wojskową mnie przypisał; powtóre, komponują waryacye na moje temata. Kalkbrenner mojego Mazurka z w a r y o w a ł; uczniowie konserwatoryum, uczniowie Moscheles, Herza, Kalkbrennera, słowem artyści skończeni, biorą odemnie lekcye, stawiają imię moje obok Fielda. Słowem, żebym był jeszcze głupszy, myślałbym, że jestem na szczycie mojej karyery. Tymczasem widzę, ile mi jeszcze zbywa, aby być doskonałym, a widzę to tem bardziej, że żyję ściśle z pierwszymi artystami i wiem, czego każdemu niedostaje«.

Za lekcyami poszły stosunki z najpierwszymi domami w Paryżu; wśród najwyższej arystokracyi, wśród ambasadorów, książąt, markizów, hrabiów, etc., nie wyłączając oczywiście i *haute finance.* W dzień zajęty lekcyami, wieczory spędzał Chopin »w świecie«, które bardzo często przeciągały się późno w noc. Stąd i wydatki zwiększały się z dniem każdym, bo jako prawdziwy *arbiter elegantiarum,* do stroju przywiązujący niemniejszą wagę, niż największa elegantka, zaczął Chopin nie tylko żyć z arystokracyą, ale i nie liczyć się z groszem, jak jakieś książątko. »Pięć lekcyi mam dzisiaj dać — pisał do przyjaciela — myślisz, że majątek zrobię? Kabryolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu«. A zresztą w świecie, w którym bywał teraz, a w którym go sobie rozrywano poprostu, pieszczono, wyróżniano, sadzano na pierwszem miejscu, uprzedzano wszelkie zachcenia i kaprysy — bo miał już i kaprysy — musiał dostrajać się do arystokratycznego kamertonu, co mu zresztą nie sprawiało żadnej przykrości, przeciwnie, stało się drugą naturą. O tych swoich stosunkach w wielkim świecie, w którym miał tak niezwykłe powodzenie, tak pisał Chopin w roku 1832 do Dziewanowskiego: »Rozerwany jestem na wszystkie strony. Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo stamtąd niby dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej lub austryackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vandemont (ostatnia ze starożytnego rodu Montmorency) protegowała. P r o t e g u j e nie mogę napisać, bo baba przed tygodniem umarła. A była to dama nakształt nieboszczki Zielonkowej lub kasztelanowej Połanieckiej, u której dwór bywał, która bardzo wiele czyniła dobrego, wielu arystokratów przechowywała

podczas pierwszej rewolucyi. Pierwsza po dniach lipcowych przedstawiła się na dworze Ludwika Filipa. Żywiła koło siebie mnóstwo białych i czarnych piesków, kanarków, papug, a przytem posiadała najzabawniejszą w tutejszym wielkim świecie małpę, które na wieczornych przyjęciach inne... kontesy... kazała«. Ostatni dowcip może służyć za dowód, że Chopinowi nie bardzo imponował ten świat arystokratyczny paryski, że choć w nim był »rozrywany na wszystkie strony«, to jednak — jak przystało na przyjaciela Mochnackiego — w gruncie rzeczy był usposobiony demokratycznie, co zresztą było modą na emigracyi.

Cokolwiekbądź, cokolwiek sobie w głębi duszy myślał o tych wszystkich »kontesach«, p r i n c i p e s s a c h i b a r o n e s s a c h, w każdym razie było faktem, że wszedłszy do tego wielkiego świata, »siedział między ambasadorami, książętami, ministrami«. Przez tych ambasadorów należy rozumieć trzech: lorda Rothsay Stuarta, ambasadora angielskiego, hr. Apponyi, ambasadora austryackiego, i barona Stockhausen, ambasadora holenderskiego. Z pomiędzy tych trzech ambasadorskich domów, jako dom muzykalny, pierwsze miejsce zajmował salon hrabiostwa Apponyi, których wieczory muzykalne, uświetniane popisami największych znakomitości artystycznych, miały swoją sławę w Paryżu. Szczególniej muzykalną była hrabina Apponyi, przyjaciółka Liszta, a dla Chopina, jako jego uczenica, pełna najwyższego uwielbienia. Podobny stosunek łączył go z baronostwem Stockhausen, gdzie również nie wiedziano, gdzie go posadzić. Niemniejsze względy okazywano mu w domach książęcych, czy to w domu księstwa de Noailles, gdzie dawał lekcye księżniczce [1]), czy to w otwartym domu księżnej Belgiojoso, o której zaletach piszą z takim entuzyazmem Heine i Balzak [2]). Domem, którego dostojny gospodarz stał się nie tylko gorącym wielbicielem geniuszu Chopina, ale i jego serdecznym, szczerze oddanym przyjacielem, był muzykalny dom margrabiego Adolfa de Custine, jeden z pierwszych domów w Paryżu, a przytem jeden z najmilszych. Chopin korzystał tu ze wszystkich przywilejów, jakie mogą przysługiwać ulubieńcowi pana i pani domu [3]). Nazywano go tam P o l o n n i a i s e u r. Między hrabiowskimi domami, z którymi Chopina łączył stosunek przyjaźni, pierwsze miejsce zajmował świetny dom hr. Karola Flahault, słynnego lowelasa, który tak decydującą rolę odegrał w życiu i sposobie prowadzenia się Delfiny Potockiej. Hrabia Flahault, niegdyś, jako adjutant, ulubieniec Napoleona i... królowej Hortenzyi, był ożeniony ze Szkotką, baronówną Keith, dziedziczką wielkich posiadłości

[1]) O księżnej de Noailles, córce księcia Monchy obszerniej pisze w swych pamiętnikach A. E. Koźmian.

[2]) Heine w *Kunstberichte aus Paris,* Balzak w *Lettres d'Etrangère.*

[3]) O serdecznej przyjaźni, jaką margr. de Custine miał dla Chopina, świadczą jego listy do niego, których zachowało się kilkanaście, a które czytelnik znajdzie w książce M. Karłowicza (wydanie francuskie).



w Szkocyi [1]). Dom państwa Flahault, w najarystokratyczniejszej dzielnicy Saint-Honoré, co niedziela otwierał swoje podwoje, a jako taki cieszył się opinią jednego z najbardziej gościnnych, najbardziej uczęszczanych. Stałym gościem bywał tu Tayllayrand... Obie hrabianki Flahault, panny Emilia i Klementyna, były uczennicami Chopina [2]). Były niemi również hrabiny i hrabianki Caraman, Fürstenstein, Germain, Pertuis [3]), Esterhazy, Branickie, d'Haussonville, de Loban, Komarówny i wiele innych o najświetniejszych nazwiskach. We wszystkich tych domach bywał Chopin nie tylko w roli nauczyciela, ale go z nimi łączył stosunek towarzyski. Jeżeli chodzi o hrabiowskie domy, to jeszcze należy wymienić dom hrabiny d'Agoult, która przed rokiem 1836 stale mieszkała w Paryżu, przyjmując wszystkich przyjaciół Liszta, a więc prawie cały świat muzyczny paryski. Chopin cieszył się jej wyjątkowymi względami. Po hrabiowskich przychodziła kolej na domy baronowskie. Tutaj prym trzymał dom Rotschildów. Pani Rotschild zaliczała się do stałych uczenic Chopina. Nic semickiego nie mieli w sobie baronostwo d'Est, a baronowa d'Est była nie tylką pilną uczenicą, ale i szczerą przyjaciółką Chopina.

Równie wielką, jak utytułowanych, była liczba nieutytułowanych przyjaciół i przyjaciółek, uczniów i uczennic Chopina. Tutaj na pierwszem miejscu należy wymienić otwarty dom bankiera Leo, który w swych salonach na rue du Mont Blanc gromadził cały paryski świat literacki i artystyczny. Chopin i Heine cieszyli się szczególnymi względami u »Leona«, jak go w listach nazywał Chopin, który też, ile razy był w chwilowych kłopotach pieniężnych — co mu się zdarzało niekiedy — zawsze w takich razach mógł liczyć na tego »żyda szelmę«, jak na Zawiszę. Domami, w których Chopin bywał częstym gościem, gdzie dużo muzykowano, były nader miłe domy państwa Freppa, Eichthal i Albrecht, braci Tilmant, abbé Bardin i w. i. Do jego najlepszych uczennic, biorących lekcye u niego, należały panny Miller i Hartmann i inne. Trudno wymieniać wszystkie. Lista byłaby zbyt wielka

W każdym razie nie przesadzał Chopin, kiedy pisał do Dziewanowskiego, że jest »rozerwany na wszystkie strony«. Tak było istotnie, od rana do późnej nocy, często do rana; zaabsorbowany lekcyami i życiem towarzyskiem, ciągle zapraszany na śniadania, na obiady, nie wiele miał czasu dla siebie, nie wiele był sam.

Ale też i nie szukał samotności. Zawsze wolał mieć kogoś przy sobie, tak dalece, że z chwilą, kiedy się poprawiły jego interesy, niebawem porzucił swe małe mieszkanko w Cité Bergère 4, dokąd się w połowie roku

[1]) Tutaj z pewnością pozna się Chopin z czasem z panną Jane Stiling, krewną pani Flahault.

[2]) Zob. list jednej z nich, pisany do Chopina, a ogłoszony w książce Karłowicza, str. 292.

[3]) Hrabia Pertuis, był adjutantem króla Ludwika Filipa. Za jego pośrednictwem wejdzie Chopin w stosunki z dworem.

1832 przeprowadził z Boulevard Poissonière, i wziął większe mieszkanie po dr. Francku przy rue de la Chaussée d'Antin 5 [1]), w którem zamieszkał razem ze swym przyjacielem jeszcze z Warszawy, doktorem Aleksandrem Hoffmannem [2]). Dzielny lekarz, który po ukończeniu medycyny w Berlinie właściwą praktykę rozpoczął na polach bitew w roku 1831, a potem w Paryżu powiększył liczbę emigrantów, Hoffmann był wymarzonym towarzyszem dla Chopina, bo nie tylko miał nadzwyczaj zgodne usposobienie, ale nadto był bardzo muzykalnym z natury.

To też Chopin lubił Hoffmanna nadzwyczaj, a przez cały czas, gdy mieszkali razem, chętnie w niektórych rzeczach szedł za jego wskazówkami, nie wyjmując wskazań lekarskich, których, jako słabowity i rzadko zdrów zupełnie, często potrzebował. Czy zawsze stosował się do nich, to inne pytanie. Gdy mu n. p. Hoffmann doradzał, żeby się szanował, żeby się wysypiał, żeby prowadził regularniejsze życie, przestrogi te, choć je Chopin uznawał za słuszne, były grochem na ścianę. O tem ich wspólnem mieszkania tak opowiada wdowa po ś. p. Aleksandrze Hoffmanie, pani Emilia z Borzęckich: »Mąż mój około roku 1833 przez dwa lata mieszkał razem z Chopinem. W wielkiej żyli z sobą przyjaźni. Mąż mój był nadzwyczaj muzykalny i miał ogromnie dużo artystycznego poczucia. Chopin, mieszkając z nim wspólnie, bardzo często stosował się do jego uwag w rzeczach kompozycyi. Tak n. p., gdy skomponował znaną *Etiudę A-moll,* która w swej pierwotnej redakcyi odrazu zaczynała się od szalonych pasażów prawej ręki, mąż mój, choć zachwycony nią, zwrócił mu uwagę, że obok całej wspaniałości motywu i faktury, brak etiudzie tej... początku, że, jego zdaniem, zaczyna się zbyt raptownie, że sprawiałaby daleko silniejszy efekt, gdyby ją poprzedzić kilkoma taktami jakiegoś wstępu. Chopin, który raz napisawszy rzecz jakąś, już jej nie lubił przerabiać, był zdecydowany, pomimo tej uwagi mego męża, etiudę tę zostawić tak, jak była, choćby dlatego, że mu nie przychodził na myśl żaden lepszy początek; lecz uwaga przyjaciela, uznana przez Chopina za słuszną, tak długo nie dawała mu spokoju, aż raz w nocy przyszedł mu pomysł na cztery takty melancholijnego — przepięknego — wstępu, poprzedzającego namiętne *fortissimo* tej etiudy, wstępu, który odrazu, wstawszy z łóżka dopisał. Nazajutrz zagrał go memu mężowi, ten zaś, zachwycony nim, aprobawał go bez zastrzeżeń. W ten sposób powstały pierwsze cztery takty *Etiudy A-moll*, przedostatniej w drugiej seryi, nawet robiące wrażenie, jakby były dopisane później, choć są cudownym prologiem do całości, której główny motyw poetycznie streszczają. Wogóle, opowiadał mi mój mąż, że pomysły do kompozycyi najczęściej przychodziły Chopinowi w nocy; wtedy wstawał z łóżka, zasiadał do fortepianu, grał, poczem, nie kładąc się, spisywał wszystko w głównych zarysach. Takie w chwilach gorączkowego podniecenia rzucone na papier szkice opracowywał następnie i cyzelował dopóty, dopóki go względnie przynajmniej nie zadawalniały. Opowiadał mi także mój mąż, jak raz wracał karetą z Chopinem po jednym z jego koncertów w sali Pleyela. Choć miał nadzwyczajne powodzenie, choć wszyscy byli grą jego zachwyceni, sam on był zrozpaczony, albowiem zdawało mu się, że grał gorzej, niż kiedykolwiek. Tak go denerwowało i paraliżowało każde wystąpienie publiczne: poprostu nie był panem swych palców i samego siebie. Dlatego koncert każdy był dla niego męką... Co było dlań również bardzo charakterystycznem, że przed każdym koncertem zawsze wyprawiał awantury z powodu fraka, który mu nigdy nie wydawał się dość zgrabnym i dobrze skrojonym. Na ubiór bowiem zawsze, a cóż dopiero, gdy miał wystąpić na estradzie, niesłychaną zwracał uwagę« [1]).

A był to okres czasu, w którym coraz częściej zaczął występować na estradzie.

W równe trzy miesiące po swym pierwszym koncercie, dnia 20 maja 1832 roku, wziął udział w koncercie na ubogich, urządzonym przez księcia de la Moskowa. Koncert ten, uświetniony występami wszystkich najsławniejszych artystów paryskich, odbył się w sali Konserwatoryum. Chopin wykonał pierwszą część swojego *Koncertu F-moll,* wrażenie jednak, jakie tym razem uczynił na słuchaczach, wypadło dość słabo. Na ogół grał za cicho, ze zbyt »małym tonem«, tak, że zbyt głośno akompaniująca orkiestra zagłuszała go czasami. Zresztą kompozycya sama zbyt mało znana, nie potrafiła przykuć uwagi trochę roztargnionego audytoryum. Recenzent *Revue musicale* tem sobie tłumaczył mniejszy sukces tego wystąpienia Chopina [2]).

---

[1]) List Chopina (Franchomme'a i Liszta) do Hillera, z d. 20 czerwca 1833, już jest pisany z tego mieszkania.

[2]) W liście z dnia 7 grudnia 1833 pisze Mikołaj Chopin do Fryderyka: »Mille et mille belles choses à Mr. Hoffmann; que je suis aise que vous êtes ensemble!«



[1]) Z rozmów o Chopinie. *Kraj,* 1900. Nr. 33. Gdy po dwóch latach Hoffmann wyjechał z Paryża, Chopin przesyłał mu zawsze swoje świeżo wydane utwory, zawsze z serdecznemi, a najczęściej dowcipnemi dedykacyami. W posiadaniu pani Hoffmann znajduje się egzemplarz pierwszego wydania *Allegro de Concert* z własnoręczną dedykacyą Chopina: »Rzemieślnikowi szląskiemu grajek«. Dr. Hoffmann bawił wtedy na Szląsku, gdzie zajmował się mechaniką w jednym z tamtejszych zakładów przemysłowych.

[2]) Oto odnośny ustęp z tej recenzyi w *Revue musicale* (Nr. 17, z 26 maja 1832), odnoszący się do Chopina: »Dans ce concert on a entendu le premier morceau d'un concerto de piano composé par M, Chopin de Varsovie, et exécuté par l'auteur. Ce concerto avait été déjà entendu chez M. Pleyel, et il y avait obtenu un succès brillant; il a été moins bien accueilli dans cette circonstance, ce qu'il faut attribuer sans doute à l'instrumentation qui manque de légèreté et au peu de son que M. Chopin tire du piano. Il me parait au reste que la musique de ce jeune artiste gagnera beaucoup dans l'opinion publique quand elle sera plus connue».

W poważnym dzienniku *Le Temps* z dnia 22 maja 1832 r., w feljetonie, znalazło się obszerne sprawozdanie z tego koncertu p. t. *Salle du Conservatoire. Concert au benefice des indigens.* O Chopinie tak pisał sprawozdawca: »M. Chopin est un très jeune pianiste

Dnia 3 kwietnia 1833 roku uczestniczył Chopin wraz z Lisztem w koncercie braci Herzów, z którymi odegrali na dwóch fortepianach kwartet na ośm rąk. Dnia 15 grudnia tegoż 1833 roku odbył się w sali Konserwatoryum koncert kompozytorski Hillera. Na koncercie tym odegrał Chopin z Lisztem i Hillerem *Allegro de Concert* z koncertu na trzy fortepiany J. S. Bacha, a wszyscy trzej grali »avec une intelligence de son caractère et une delicatesse parfaite«[1]).

Dnia 7 grudnia 1834 na trzecim koncercie Berlioza grał Chopin z orkiestrą *Andante* ze swojego *Koncertu,* prawdopodobnie z *Koncertu E-moll,* ale tym razem nie zrobił wielkiego wrażenia na słuchaczach, z czego sobie sam jak najlepiej zdawał sprawę[2]).

W parę tygodni później, dnia 25 grudnia w sali Pleyela, na *matinée musicale,* urządzonej staraniem i na korzyść dr François Stoepel'a, autora uczonych artykułów w *Gazette musicale,* wykonał Chopin z Lisztem *Grand Duo à quatre mains* Moschelesa, oraz wielki duet na dwa fortepiany na temat jednej z pieśni Mendelssohna, kompozycyi Liszta. W koncercie tym oprócz pięknej pani Heinefetter z Wiednia, której Chopin był gorącym wielbicielem, wziął udział także i słynny skrzypek-poeta, Ernst, dla którego gry Chopin miał prawdziwy entuzyazm. O koncercie tym, bardzo świetnym, obszernie się rozpisała *Gazette musicale,* ustęp zaś, dotyczący Chopina

polonais que je crois destiné à se faire un jour une brillante réputation, surtout comme compositeur. Il est riche d'idées et d'originalité; mais il ne sait pas encore les mettre à l'effet dans l'orchestre. L'expérience lui apprendra cela. Le premier morceau de concerto qu'a joué avait produit plus d'effet dans des concerts particuliers; il faut attribuer cela au peu de volume de son qu'il tire de l'instrument, et à une certaine lourdeur des accompagnements, plus sensible avec un orchestre complet qu'avec un quatuor d'accompagnement.

[1]) *La Revue musicale* Nr 47 z dnia 21 grudnia 1833. W sprawozdaniu o tym Koncercie, zatytułowanem: *Concert donné par M. Hiller dans la salle du Conservatoire (le dimanche, 15 decembre),* ustęp dotyczący udziału Chopina, brzmiał w tych słowach: «Le fragment à trois piano (de Bach) exécuté par M. M. Hiller, Liszt et Chopin nous a fait un rare plaisir; ces trois artistes ont exécuté ce morceau, nous le declarons hautement, avec une intelligence de son caractère et une delicatesse parfaite«.

[2]) W dzienniku *Le Temps* z dnia 5 grudnia 1834 r. znalazła się następująca zapowiedź tego koncertu: «Dimanche prochain 7 decembre, à deux heures, M. Berlioz donnera au Conservatoire son dernier concert. Les principaux morceaux dont se compose le programme sont: La nouvelle symphonie (Harold) de M. Berlioz, l'ouverture du roi Lear, celle des Francs-Juges, un air de Sardanapal egalement de M. Berlioz, et un Andante de piano composé et exécuté par M. Chopin«. W sprawozdaniu z tego koncertu, zamieszczonem dnia 28 grudnia 1834 r. w Nrze 52 *Gazette musicale* p. t. Troisième concert de M. Berlioz, o Chopinie pisano w tych słowach: »... pour terminer, M. Chopin, ce compositeur spirituel et pianiste inimitable dans son genre, a exécuté un adagio de sa composition. C'est un morceau qui, dans la combinaison avec ce qui précède et ce qui suit, doit, sans aucun doute, produire un fort bel effet. Il est très bien arrangé et fort riche en nuances delicates; de sorte qu'il présenta des contrastes bien saillants avec les masses colossales de l'orchestre de M. Berlioz«.



i Liszta, brzmiał, jak następuje: »Nadmieniać zbyteczna, że utwór ten (Moschelesa), jedno z arcydzieł kompozytora, zagrany przez dwóch największych pianistów naszej epoki, został wykonany z rzadką doskonałością. Świetna technika, nierozłączna z najwyższą delikatnością i nigdy nie słabnącą werwą, kontrasty porywającego życia i najspokojniejszej pogody, najwdzięczniejszej lekkości i najdostojniejszej powagi, a wreszcie zręczne kojarzenie odcieni, wszystko to nie było niespodzianką u dwóch artystów tej miary i tak subtelnej muzykalności. Entuzyastyczne przyjęcie, z jakiem spotkali się pp. Liszt i Chopin, przekonało ich lepiej, niż tego słowa niniejsze dokazać mogą, jak dalece zachwycili słuchaczów, raz na początku koncertu wykonaniem utworu Moschelesa, jak i za drugim razem, gdy odegrali duet na dwa fortepiany Liszta«[1]).

Dnia 22 marca 1835 r. odbył się w sali Pleyela, »ostatni« koncert w sezonie, z udziałem najwybitniejszych sił artystycznych paryskich. Obok Hillera, braci Herzów, Osborna, Stamattego i innych, wziął w nim także udział Chopin[2]).

[1]) W rubryce *Variétés musicales,* w dzienniku *Le Temps* z dnia 30 grudnia 1834 r. znalazła się następująca wzmianka o Chopinie (pióra Fétisa): »M. Frédéric Chopin c'est fait entendre ces jours derniers dans quelques réunions et notamment dans la matinée musicale de M. Stroepel. Nous parlerons plus longuement de ce jeune compositeur-pianiste«. Tej obietnicy jednak Fétis nie dotrzymał jakoś... Skończyło się na obiecance. Cytowany ustęp z *Gazette Musicale,* gdzie wspomniana recenzya pojawiła się dnia 28 grudnia 1834 r. brzmiał we francuskim oryginale, jak następuje: »...Toutefois, sous le rapport de l'art, la matinée de M. Stroepel nous a paru meriter un intérêt plus vif. Messieurs Liszt et Chopin l'ont ouverte d'une manière brillante par le grand duo à quatre mains de Moscheles pour le piano. Nous croyons superflu de dire que ce morceau, l'un des chefs-d'oeuvre du compositeur, a été exécuté avec une rare perfection de talent pas les deux plus grands virtuoses de notre époque sur le piano. Le brillant dans l'exécution joint à une delicatesse achevée, une élevation soutenue, le contraste de la vivacité la plus entrainante et de la sérénité la plus calme, de la legéreté la plus gracieuse et du serieux le plus grave: on ne peut espérer l'habile mélange de toutes ces nuances que de la part de deux artistes placés à la même hauteur et doués au même degré du sentiment profond de leur art. Les suffrages les plus brillants ont, mieux que nous ne pourrions le faire par nos paroles, témoigné à MM. Liszt et Chopin à quel point ils ont charmé leur auditoire, qu'ils ont une seconde fois électrisé, en exécutant le duo pour deux pianos, composé par M. Liszt. Cette composition est un ouvrage d'une grande portée... Il est naturel, on le conçoit aisement, que le mérite et le charme d'une telle production ne soient d'abord compris et senti que par le petit nombre; toutefois, les deux artistes le sont attiré, par leur exécution, d'unanimes applaudissements«. W tejże *Gazette musicale,* w Nrze 1 z dnia 5 stycznia 1835 r., w artykule p. t. *Exécution musicale,* w ten sposób pisano o Chopinie i innych młodych rewolucyonistach muzycznych: »...Nous proclamons hautement que si le talent de l'instrumentiste diffère d'un escamotage, si son génie doit prétendre à imiter le prodige de Pygmalion, et vivifier le jeu avec toute la pensée, toute la poésie de l'âme, c'est au Hiller, Chopin et Berlioz, c'est à Liszt qu'appartient la palme glorieuse«.

[2]) O koncercie tym tak pisał *Le Menestrel* z dnia 22 marca 1835 roku: »Le dernier concert donné dans les salons de M. Pleyel était très brillant. Des hommes du monde, des gens de lettres et des artistes s'y étaient donné rendez-vous pour entendre nos célé-

W kilka dni później, na *matinée musicale,* urządzonej przez Hillera w jednym z salonów prywatnych, a poświęconej wyłącznie jego kompozycyom, wystąpił obok innych pierwszorzędnych artystów paryskich, niemieckich przeważnie, także i Chopin[1]).

W niecałe dwa tygodnie później, dnia 4 kwietnia 1835 roku odbył się w teatrze włoskim, wielki koncert na korzyść biednych emigrantów polskich, koncert, urządzony staraniem Chopina, który też na nim uchodził za gospodarza[2]). Był to jeden z najświetniejszych koncertów w sezonie: orkiestrą

---

brités musicales. MM. Herz, Chopin, Osborne, Hiller, Reicha, M-mes Camille Lambert et Leroy et M. Stamati, jeune pianiste, qui ne s'était point encore produit dans nos salons. Cet artiste a exécuté divers morceaux qui ont enlevé sous les suffrages. On a surtout applaudi des variations de Kalkbrenner sur la cavatine *Di tanti palpiti*«.

[1]) O tej *matinée,* na której oczywiście nie mogło brakować Fétisa, zamieścił dziennik *Le Temps* z d. 5 marca 1835 roku, w rubryce *Variétés musicales,* następujące sprawozdanie: »C'était au centre de ces magnifiques ateliers où tous les métiers et tous le genres de traveaux sont réunis, dans une de ces salles si richements ornés et décorées de ces rares tableaux que les amateurs allaient admirer dans la solitude de la Muette, que M. Hiller, assisté de MM. Bailot, Franchomme, Chopin, madame Dorus-Gras et les chanteurs allemands, a fait entendre quelques-unes de ses composition à l'élite du public parisien... M. Hiller a obtenu un égal succès comme pianiste et comme compositeur. Les connaisseurs ont admiré sa méthode large et pure qui n'exagère jamais l'expression aux dépens de l'exactitude et de la mesure. L'exécution instrumentale de ce concert a été aussi parfaite qu'elle devait l'être avec des artistes tels que Baillot, Franchomme et Chopin«.

[2]) Dzięki swym osobistym stosunkom w świecie dziennikarskim, Chopin potrafił wyjednać w redakcyach dwóch najpoważniejszych dzienników, w *Le Temps* i w *Journal des Debats,* że jeszcze przed koncertem pojawiły się odpowiednie reklamy, zachęcające do wzięcia udziału w tym festynie muzycznym.

W *Le Temps,* dnia 29 marca 1835 r. pojawiła się następująca polonofilska zapowiedź tego koncertu, przyczepiona do wiadomości o odbytem nabożeństwie przy grobie Jana Kazimierza: »Les Polonais résidant à Paris se sont réuni le 25 mars dans l'église de Saint-Germain des Près pour célebrer l'anniversaire de la dernière révolution dans les provinces polonaises. Un ecclésiastique polonais a célebré l'office divin auprès du tombeau de Jean Casimir, roi de Pologne. Sous les auspices de la Société Polonaise de bienfaisance, présidée par la princesse Czartoryska, un grand concert vocal et instrumental aura lieu le 4 avril, auquel prendront part les premiers artistes de la capitale. L'orchestre sera dirigé par Habeneck. On peut se procurer des billets au bureau de location du Théâtre-Italien«.

W *Journal des Debats,* d. 30 marca, zachęcał do pójścia na ten koncert sam Jules Janin, który, zaprzyjaźniony z Chopinem, w ten sposób zakończył swój tygoniowy feljeton: »...Mais l'événement le plus important du mois prochain (le 4 avril), c'est le concert qui sera donné au Théâtre-Italien au bénéfice des réfugiés polonais, ce noble débris d'un peuple et d'une armée. Ce sera là une grande solennité dans laquelle les plus grands noms dans les arts tiennent à l'honneur de faire leur partie. Toutes les sympathies de la France sont assurées à cette oeuvre de bienfaisanse destinée à soulager de si grandes et si nobles infortunes. Nous donnerons plus tard les details de cette soirée qui ne peut manquer d'être heureuse et brillante. Tout se prépare sous la direction et la haute influence d'un nombreux comité de dames patronesses, présidée avec la double solicitude du patriotisme et de la bienfaisance, par M-me la princesse de Czartoryska«.



dyrygował Habeneck, a jako soliści wystąpili: Nourrit, Falcon, Ernst, Liszt i Chopin. Orkiestra wykonała dwie uwertury, z *Oberona* i z *Wilhelma Tella.* Nourrit z panną Falcon odśpiewali słynny duet z *Wilhelma Tella,* Nourrit śpiewał szereg pieśni Schuberta, których był tak niezrównanym interpretatorem, Ernst grał na skrzypcach, Liszt na fortepianie. Chopin wystąpił dwukrotnie; raz z Lisztem, z którym odegrał duet na dwa fortepiany Hillera, raz sam, grając z orkiestrą swój *Koncert E-moll.* Grał, jak zwykle, pięknie, wrażenie jednak, jakie zrobił na publiczności, wypadło słabo, całkiem nie tak, jak tego mógł się spodziewać, a nawet się spodziewał. Gdy skończył, w sali wśród publiczności panował jakiś dziwny chłód, którego rozgrzać nie potrafiły rzęsiste oklaski znawców i przyjaciół Chopina. Szeroka publiczność, wypełniająca widownię, nie dała się zahypnotyzować tym oklaskom, tak, że po chwili uciszyło się w sali, co boleśnie dotknęło Fryderyka, bo odczuł to natychmiast. Odrazu poznał, że gra jego, choć grał lepiej może, niż kiedykolwiek, nie porwała audytoryum, owszem, pozostawiła je dość obojętnem. Nie mogło go to nie zaboleć. Nic nie pomogły perswazye przyjaciół, którzy w nim starali się osłabić to przykre wrażenie zawodu, on wiedział, co myśleć o tem. Nie przekonało go też zapewne i obszerne sprawozdanie z tego koncertu, zamieszczone w *Gazette musicale,*

---

We dwa dni po koncercie, w swym feljetonie z dnia 6 kwietnia, słynny feljetonista zdał sprawę z tej niepowszedniej uczty artystycznej, przyczem nie omieszkał skarcić tych artystów, co przyrzekli swój współudział w tym dobroczynnym koncercie, a w ostatniej chwili uczynili niemiły zawód, wymawiając się niedyspozycyą. Oto relacya Jules Janina:

Je vous avais annoncé la semaine passée un concert au bénéfice des Polonais indigens. Ce concert, qui d'abord s'annonçait fort bien, avait fini par s'annoncer fort mal. D'abord tous le monde avait promis, et ensuite personne ne tenait la parole. Nous avons vu le moment où à défaut de chanteurs, la noble présidente de ce concert, M-me la princesse Czartoryska, n'avait pas d'autre moyen que d'envoyer chercher les tambours de la II-e légion, de les faire venir au théâtre et de faire annoncer aux spectateurs, après un beau roulement:

— Messieurs, voilà toute la musique que la petite fille de Jagellons a pu trouver dans tout Paris pour venir au secours de ses compatriotes indigens.

Heureusement, grâce au bon goût plein de coeur de M. le directer de l'Opera et de ses dignes artistes, le Théâtre-Italien a été privé des tambours. L'assemblée était fort brillante et le concert était charmant. Savez-vous que nos voix françaises ont un merveilleux retentissement dans cette petite salle italienne! Nourrit et M-lle Falcon, M-lle Falcon et Nourrit, car c'était là tout l'admirable chant de la soirée, ont fait merveille. Ils ont chanté, elle un grand air de Rossini, et lui les merveilleuses mélodies de Schubert, son musicien favori, qu'il a mis en oeuvre le premier. Elle et lui, ils ont porté à merveille les fatigues et les couronnes de l'assemblée. Plus il y avait de chanteurs absents à cette fête du malheur et de l'exil, et plus ces deux Français-là tout seuls ont été applaudis avec transport. Il n'y a pas eu dans la salle assez de bravos, assez de fleurs.

Le concert a été merveilleusement rempli par l'orchestre du Conservatoire, que dirigeait son savant maître, M. Habeneck. Les pianos d'Erard ont fait merveille sous les doigts de M. Liszt et de M. Chopin, enfant de la Pologne. Il y avait peu de musique, mais beaucoup d'excellente musique; c'était un rare concert.

w którem, obok komplementów dla Chopina, jako inicyatora tego muzykalnego festynu, o jego występie znalazło się takie dyplomatyczne osłodzenie gorżkiej pigułki: »Chopina *Koncert,* tak oryginalny, tak błyskotliwego stylu, tak pełen natchnionych szczegółów, tak świeży w swej melodyjności, osiągnął bardzo wielki sukces. Trudno jest niezmiernie nie być jednostajnym w koncercie fortepianowym, to też wielbiciele Chopina mogli mu tylko być wdzięczni za dostarczoną im przezeń rozkosz, gdy tymczasem artyści podziwiali jego talent, czyniący go zdolnym do skomponowania takiej rzeczy i jednocześnie do odmłodzenia tak przestarzałej formy«. Te wyrażenia o »przestarzałej formie« i »jednostajności«, której tak trudno uniknąć w szablonie koncertowym, również nie musiały być miłe Chopinowi, tembardziej, że to napisano w *Gazette musicale,* a więc w piśmie Schlesingera, jego nakładcy, co z góry wykluczało wszelkie krytyczne zastrzeżenia [1]).

Na szczęście, w trzy tygodnie później, dnia 26 kwietnia, na wielkim koncercie w Konserwatoryum, urządzonym na benefis Habenecka, osiągnął Chopin wielkie powodzenie [2]). Grał z orkiestrą swojego *Poloneza Es-dur,* poprzedzonego świeżo napisanem *Andante spianato,* a grał tak cudnie,

[1]) Oto, jak rzeczona recenzya, wydrukowana w Nrze 15 *Gazette musicale,* dnia 12 kwietnia 1835 r. brzmiała we francuskim oryginale, w artykule p. t. *Concerts de la semaine:*

Parlons d'abord du concert qui a été donné au Théâtre Italien, au bénéfice des réfugiés Polonais. On pense bien que M. Chopin n'a pas été étranger à la composition du programme de cette soirée, consacrée à secourir ses malheureux compatriotes. Aussi a fête a-t-elle été brillante. Nourit et M-elle Falcon, faisaient seuls les frais de la partie vocale; dans un air du Siège de Corinthe, et un duo de Guillaume Tell, ils ont été l'un et l'autre vigoureusement applaudis. Les morceaux de Schubert que Nourrit nous a fait entendre d'abord avec orchestre, puis avec le piano de Liszt (autre espèce d'orchestre), n'ont pas produit autant d'effet, cela se conçoit; dans un theâtre les nuances délicates se perdent, et ce qui impressionne profondément dans un salon ou dans une salle de concert passe inaperçu. Le concerto de piano de Chopin si original, d'un style si coloré, rempli de détails si ingénieux, de si fraîches mélodies, a obtenu au contraire un très grand succès. Il est bien difficile de n'être pas monotone dans un concert de piano, et les amateurs ont dû remercier M. Chopin du plaisir qu'il leur avait procuré, pendant que les artistes admiraient le talent qu'il avait fallu pour y parvenir, en rajeunissant ainsi une forme si vieille. Le duo pour deux pianos de Hiller, a été remarqué également pour la fermeté de son style et la belle ordonnance des ideés; Liszt et l'auteur l'ont exécuté supérieurement. M. Ernst, dans un solo de violon de sa composition, a donné une nouvelle preuve de la marche progressive de son talent; il nous a semblé avoir acquis, depuis la dernière fois qu'il s'est fait entendre, plus de verve encore dans les traits rapides et plus de justesse dans les sons élevés. M. Dorus a joué son solo de flute en digne éleve de Tulon; du brillant, de l'agileté, sons purs et justes, mais manquant un peu par fois de rondeur et de plenitude. Les deux ouvertures d'Obéron et de Guillaume Tell, exécutées par l'orchestre que dirigeait M. Habeneck, n'ont pas produit autant d'effet qu'à l'ordinaire. Peut-être cela tenait-il a la disposition du local, trop vaste pour le nombre des exécutans.

[2]) W dniu koncertu tak o nim pisze w kronice *Gazette musicale,* w Nrze 17 z dnia 26 kwietnia 1835 roku: »Ajourd'hui, dernier concert au Conservatoire, au bénéfice de M. Habeneck. Quatre morceaux de Beethoven; l'air de la Juive chanté par Nourrit; et une polonaise nouvelle pour le piano composée et exécutée par *Chopin*; il y a de quoi remplir l'église des invalides.



z taką marzycielską poezyą, że oczarował wszystkich. »Le compositeur rêveur — pisano o tym jego występie — l'élégiaque pianiste, produisit à ce concert un effet delicieux«. Wogóle tym razem miał wielkie powodzenie, co mu po niedawnym zawodzie mogło i musiało dodać otuchy.

Jednym z najświetniejszych koncertów, zaszczyconych udziałem Chopina, był ostatni pożegnalny koncert Liszta, dany przezeń dnia 9 kwietnia 1836 r. w sali Erarda. Na koncercie tym, po niewydanych *Etiudach* Chopina, wspaniale zagranych przez Liszta, odegrał z nim Chopin, na zakończenie koncertu, jako ostatni numer programu, brawurowego walca Liszta, *Grande Valse à 4 mains.* Rzecz ta — jak opiewa program tego koncertu — *executée par MM. Chopin et Liszt,* była jakby świetnym fajerwerkiem, którym Liszt — przy niezrównanym akompaniamencie Chopina — pożegnał rozentuzyazmowaną publiczność paryską *pour la dernière fois avant son départ.*

Nadmienić wypada, że na wszystkich koncertach, gdzie Chopin grał razem z Lisztem, Liszt zawsze grał w wiolinie, Chopin stale siadał do basów. Tej samej zasady trzymał się i na innych koncertach, gdy nie grał sam, n. p. na koncercie Walentego Alkana dnia 5 marca 1838 roku, na którym razem z koncertantem, tudzież z Gutmanem i Zimmermanem grał Beethovenowską *Symfonię A-dur* w układzie na dwa fortepiany i ośm rąk, sporządzonym przez tegoż Alkana.

O wszystkich tych występach Chopina na estradzie koncertowej, w miarę, jak się o nich pojawiały dłuższe lub krótsze sprawozdania w pismach paryskich, rozpisywała się i prasa warszawska, szczególniej popularny *Kuryer warszawski,* którego redaktor Dmuszewski, wiedząc, jak Warszawa interesuje się Chopinem, raz po raz o nim pomieszczał różne wzmianki i artykuły, przeważnie tłumaczone z pism zagranicznych, francuskich i niemieckich. Oto n. p. jeden z tych »artykułów nadesłanych«, podpisany literą T., a wydrukowany w numerze z dnia 18 sierpnia 1835 roku:

»Aby okazać, jak niesłusznie powstają u nas przeciw autorom artykułów koncertowych, a przez to odstręczają najlepsze chęci i pozbawiają dziś zasługujących na takowy hołd, przytaczamy tu dwa artykuły, wyjęte z gazet francuskich o panu Szopenie (Chopin), rodaku naszym, w których szczodrą ręką w najżywszych przenośniach prawdziwemu talentowi pochwały są oddane. O pierwszym koncercie p. Szopena jedna z nich tak mówi: »Na jednym z wieczorów, na których słyszeliśmy p. Ernsta, duet skomponowany przez Liszta, a wykonany przez Szopena i autora, okazał całą wielkość źródeł piękności fortepianu, pod ich palcami. Lecz winien jestem oświadczyć i nie obawiam się, aby kto przypisał wpływom przyjaźni zdanie moje, iż uczynili każdy z osobna wrażenie żywsze jeszcze w czasie dwóch koncertów w konserwatoryum. W pierwszym Szopę miał szczęśliwy pomysł odegrać *adażjo* ze swego ostatniego koncertu. Ten zachwycający utwór, wykonany między dwiema symfoniami w stylu gwałtownym, utwór, w którym tylko wdzięk pociągający, jest połączony z najgłębszemi i religijnemi myślami, wprowadził słuchaczów

w pewną radość spokojną i zachwycającą, której jeszcze na innych koncertach nie doznawano. Całe to dzieło, tak różne od adażjów rozwlekłych i długich, nudzących powszechnie wśród takowych koncertów; tyle nowości połączonej ze świeżą imaginacyą, sprawiły, że po ostatniej nucie, która jak perła w naczynie złote padła, publiczność pogrążona w zamyśleniu, wstrzymała na chwilę oklaski i słuchała jeszcze. Tak człowiek przypatrując się stopniowemu ubywaniu światła dziennego, jeszcze stoi odrętwiały w ciemnościach, zawsze wpatrując się w punkt horyzontu, z którego światło znikło«. O drugim zaś koncercie inna gazeta tak się wyraża: »Osoby składające grono fortepianistów, zaiste różnią się między sobą: tu przytoczymy mianowicie Pana Szopena, który więcej się ubiega za pięknością myśli, niż za trudnościami fortepianowemi, a którego utwory, równie jak styl jemu właściwy, odznaczają się poprawnością rysunku, który niema w sobie nic drobiazgowego, nic ścieśnionego, nic nadto przygotowanego: oryginalnością bez pretensyi, śmiałością bez zboczeń, blaskiem bez błyskotek, energią bez walenia ręką, wyrazem zawsze jasnym, zawsze rozsądnym i żywo chwytającym się duszy. P. Szopę dokazał, że śpiewa na fortepianie, co jest najrzadszą zaletą gry fortepianowej, dokazał szczególnie, że złagodził dźwięki tego instrumentu, tak iż odjął mu nieco to, co ma w sobie przykrego i przerywanego. Gdybym śmiał użyć przenośni nieco pospolitej, ale wielce trafnej, którą opisano czystość jemu właściwą, powiedziałbym z jednym z naszych najdowcipniejszych artystów, że przez niego wydane nuty są dojrzałe, a nuty większej części jego kolegów są jeszcze zielone. Zresztą rodzaj, w którym Szopę okazuje najwięcej niezaprzeczonej wyższości, jest to wyraz uczuć słodkich, uczuć, które umie wydawać z wdziękiem, naiwnością, wytwornością i świeżością obrazów niezrównanych«.

Tymczasem Chopin, choć wogóle w tych latach występował dosyć często, to jednak, z drugiej strony nie lubił tych popisów na estradzie, a szczególniej zraził się do nich, gdy na niektórych koncertach, zwłaszcza na owym w operze włoskiej, przekonał się dowodnie, że jako pianista-wirtuoz, nie posiadał odpowiednich warunków do działania na szerokie masy. Terenem, na którym się czuł najswobodniejszym, na którym z całym polotem mógł rozpuścić skrzydła natchnienia, był salon i małe kółko doborowych znawców, o ile możności przyjaciół, a w każdym razie *ein Kreis edler Gemüthe*. Dobrze go pod tym względem charakteryzuje doskonale wtajemniczony w jego uczucia Stanisław Koźmian; »Cichy i usuwający się z natury, nie lubił tłumnych zgromadzeń i hałaśnych poklasków. Gra też jego nabierała coraz większej subtelności, tego najwytworniejszego cieniowania, które tylko w szczuplejszem miejscu i dobranem towarzystwie można było w najlżejszej zmianie pochwycić. Ustąpienie to ze sceny i z widowni powszednich popisów uczyniło go tembardziej przedmiotem poszukiwanym dla prawdziwych znawców i wyłączniejszego towarzystwa. Stało się to cenionym przywilejem, kiedy gdzie grać zechciał«. Swoją drogą lubił grać w prywatnych salonach, nawet na większych zgromadzeniach. Wtedy nie miał nerwowej tremy, wtedy był sobą, a więc zupełnym panem instrumentu; wtedy też nie potrzebował się lękać, że nie zrobi wrażenia na słuchaczach, których subtelności i znawstwa był pewnym, bo siadając do fortepianu, z góry wiedział, że potrafi przemówić do ich dusz wrażliwych, że to jest audytoryum, które zrozumie jego muzykę. Bardzo trafnie w tej kwestyi



pisze o nim Liszt: »Chopin wiedział to dobrze, że nie jemu dane było działać na tłumy, które w tym razie porównaćby można do wielkiej ołowianej toni, przy lada ogniu topliwej, a niemniej trudnej do wmuszenia w formę, któraby jej myśl i uczucie mistrza narzucić chciała. Wiedział on że ocenionym stosownie mógł być tylko w tych zebraniach, na nieszczęście nazbyt szczupłych, ale za to złożonych z ludzi, którym na jego skinienie, wraz z nim, wchodzić się godziło w ową świątynię, zdobną w drzwi z kości słoniowej, wspartą na słupach z dyamentu, nakrytą jednym wielkim kryształem grającym w światłach na tle mgły szarawej, jak te opale meksykańskie, to zda się zgasłe, to znów płonące, kędy to rzecz każda jest cudowiskiem, niespodzianką szaloną, snem na jawie, w co wszystko Chopin uciekać lubił, w czem wszystkiem rad pozostawał. Stąd nic dziwnego, że mi nareszcie powiedział raz w zaufaniu: Nie jestem ja wcale do dawania koncertów. Wszelkie wystąpienie publiczne z nóg mię ścina. Duszą mnie te zbiorowe oddechy, paraliżują te ciekawe spojrzenia, oniemiają te twarze całkiem mi obce. Ty co innego: tyś na to stworzony, bo choćbyś nawet nie wzruszył publiczności, to jeszcze masz ją czem w kark wyrżnąć«.

Za to lubił koncerty cudze, zwłaszcza, jeśli występował artysta, którego usłyszenia szczególniej był ciekawym. Do takich w r. 1832 należał w pierwszym rzędzie Field, z którym go porównywano tak często. To też gdy się dowiedział od Schlesingera, że Field zjeżdża na zimę do Paryża [1]), z niecierpliwością wyczekiwał jego przyjazdu i koncertów. Doczekał się ich już w grudniu 1832 r. Field dał dwa koncerty, pierwszy z wielkiem powodzeniem, z salą przepełnioną, drugi z mniejszem, z salą nie pełną. Krytyki miał entuzyastyczne, ale pomimo tego *vox populi* utrzymywał jednogłośnie że nie był to już ten Field, co dawniej, choć właściwie miało się raczej przeciwnie: Field się nie zmienił, lecz zmieniły się wymagania, zmienił się styl gry fortepianowej, do czego w znacznej mierze przyczynił się właśnie Chopin. Nie przeszkadzało mu to jednak, że bardzo gorąco pragnął nie tylko poznać rodzaj gry Fielda, ale i poznać się z nim osobiście. Jakoż poznali się rzeczywiście, a Field okazał się bardzo uprzejmym dla Chopina, z wielkiem «uznaniem« wyrażając się zarówno o jego grze, jak i o kompozycyach. Przekonany o szczerości tych pochwał ze strony twórcy *Nokturnów*, których od dziecka był gorącym wielbicielem — co nawet nie pozostało bez wpływu na jego pierwsze *Nokturny* — Chopin szeroko się o tem »uznaniu« Fielda rozpisał w liście do rodziny [2]), nie przypuszczał

[1]) W liście do Hillera z dnia 2 sierpnia 1832 r. pisze Chopin: »Maurice (Schlesinger) est revenu de Londres... nous a assuré que Moscheles et Field arriveront à Paris pour l'hiver...«

[2]) W liście z września r. 1832 pisze do syna Mikołaj Chopin: »L'étonnement de Meyerbeer a du te faire plaisir, ainsi que l'approbation de Field que tu désirais si ardemment de connaitre«.

bowiem, by Field w oczy mówił mu co innego, a co innego za oczy; nie podejrzewał zwłaszcza, by po słowach pełnych »uznania«, mówionych do niego, w jego nieobecności mógł się wyrazić o nim: »un talent de chambre de malade«. Nawiasem mówiąc, zdanie to Fielda, kolportowane z ust do ust, w niektórych kołach muzycznych, szczególniej w Niemczech, bardzo zaszkodziło Chopinowi. Kto wie, czy nie było wypowiedziane w tym celu właśnie, bo sława Chopina, jego »znaczne imię«, jako pianisty i kompozytora, i jako reformatora muzyki fortepianowej, mogły nie podobać się Fieldowi, którego gwiazda już była przeszła swój zenit. Dlatego nic nie miał przeciwko temu, jeśli jego zjadliwe określenie muzyki chopinowskiej, jako czegoś szpitalno-chorobliwego, mogło przyczynić się do niejakiego przyćmienia blasku wschodzącej gwiazdy Chopina. Cokolwiekbądź, pewnem jest zupełnie, że Field po wyjeździe z Paryża, gdziekolwiek przyjechał z koncertami, które się cieszyły coraz mniejszem powodzeniem, wszędzie psuł opinię Chopinowi, najniepochlebniej wyrażając się o jego kompozycyach. A Chopin? Chopin, cokolwiek mógł myśleć o spasłej i ociężałej figurze Fielda, jako o człowieku, bardzo się rozczarował nim, jako pianistą. Uważał poprostu, że Field gra, nie jak mistrz, ale jak uczeń, i to wcale nie dobry uczeń. Poprostu był zdania, że mało który z pianistów gra gorzej od Fielda. Słowem, nie podobał mu się wcale, z czem się też nie krył w rozmowach z artystami, lub w listach do przyjaciół. Bardzo wiele światła na te wzajemne o sobie opinie Chopina i Fielda rzuca list Edwarda Wolffa z Wiednia do Józefa Nowakowskiego w Warszawie, pisany dnia 8 sierpnia 1835 r. pod wrażeniem świeżo zawartej znajomości z Fieldem: »Chopin tutaj (w Wiedniu) bardzo już znany i lubiony, N. B. Field jest tutaj, poznanie (z nim moje) było komiczne. Byłem u Graffa (słynnego fabrykanta fortepianów), jak zwykle, i grałem mój koncert. Wtem wchodzi Field. Ja zaraz domyśliłem się, że to on jest, bo mi Graff powiedział, że go co chwila oczekuje. Ma się rozumieć, żem zaraz wstał, ale on prosił, żeby mu grać. Nie chciałem grać i wyexkuzowałem się, bo chciałem usłyszeć jego najpierwej. On też zaczął grać. Chopin i ty macie racyę, że gra jak jaki początkujący: żadnej biegłości, żadnej elegancyi, i żadnych trudności nie jest w stanie wygrać, jednem słowem, bardzo nędzny gracz. Ale i on ma swoje zalety: równa niemiecka gra, wolna: eins, zwei, drei; tryle wolne, ale zawsze czterema palcami. Grał mi *b* koncert, grał czysto, pewno i równo. Oto masz Fielda i nie dziw, że się nigdzie nie podobał. Bardzo wymyśla na Paryż i Włochy, Chopina, Kalkbrennera, Moschelesa, a osobliwie Hummla chwali, a Herza, Liszta ogromnie gani. Jestem u niego dzisiaj na obiedzie. Bardzo grzeczny i poczciwy człowiek. Daje dzisiaj koncert w teatrze. Nakoniec prosił mię, żebym mu co zagrał. Trochem się ośmielił. Wypaliłem mu *Allegro* moje i *Rondo,* którem tutaj zrobił i skończył. Bardzo



mu się podobało. Nakoniec zagrałem mu *Etiudy* Chopina i moje *Mazury.* Powiedział mi po francusku: »Ta młodzież to prawdziwie dyabelska jest!«

Tymczasem Chopin po za swoim »młynem« — jak nazywał dawane przez siebie lekcye — coraz bardziej przedzierżgał się w emigranta, coraz silniej zacieśniał węzły, łączące go z emigracyą. Choć nim nie był naprawdę, to jednak sam — podobnie jak Mickiewicz i Słowacki — uważał się za emigranta. Jako taki, utrzymywał ścisły związek z wychodźctwem, a gdy w r. 1832 powstało czysto patryotyczne Towarzystwo literackie polskie, Chopin zaraz w pierwszym roku zapisał się na członka stowarzyszonego.

Celem Towarzystwa było »zbieranie i ogłaszanie materyałów tyczących się dawnego Królestwa Polskiego i to wszystko, co się tyczy położenia jego obecnego lub przyszłej pomyślności w widoku zachowania i ożywiania w opinii ludów cywilizowanych współczucia ich dla Polski«. Prace Towarzystwa dzieliły się na ogólne i szczególne. Do pierwszych należało pięć następujących: 1. Strażnictwo prasy drukarskiej. W tym celu Towarzystwo przestrzegało tego wszystkiego, co się w dziennikach lub dziełach drukowało względem Polski; starało się pomieszczać w nich objaśnienia prostujące mylne o sprawie polskiej lub kraju wyobrażenia. 2. Oświecanie władz krajowych francuskich. W tym celu Towarzystwo, bądź przez wdanie się niektórych jego członków, bądź przez przygotowane pisma lub druki starało się w zdarzonych okolicznościach działać skutecznie dla dobra sprawy narodowej lub emigracyi. W obu powyższych kierunkach redagowano różnego rodzaju artykuły, które znajdowały pomieszczenie w dziennikach Francyi, Anglii i Niemiec. 3. Oświadczanie wdzięczności czynnym i gorliwym przyjaciołom Polski. W tym celu Towarzystwo usiłowało zjednać dla sprawy polskiej wytrwałą pomoc osób ważnych i mogących przez wpływ swój, położenie towarzyskie lub talenta (w tym razie mógł być przydatnym Chopin) przyczynić się do jego dobra. W tym duchu wybrało Towarzystwo swymi członkami honorowymi pp. Bignon, Odilon-Barot, St. Marc Girardin, trzech wymownych obrońców sprawy polskiej w Izbie deputowanych Francyi; tudzież pp. Fergusson Cutlar, lorda Dudley Stuart, pp. Beaumont i Campbold, niemniej gorliwych i stałych przyjaciół Polski i Polaków, tak w angielskiej Izbie gmin, jak i w różnych Towarzystwach, powstałych za ich inicyatywą w Anglii, a troszczących się o zamieszkałych tam Polaków. W tym samym zamiarze Towarzystwo uchwaliło i uskuteczniło wybicie medalów na cześć Cutlar Fergussona i generała Lafayette'a, tudzież wyrytowanie portretu lorda Dudley Stuarta. 4. Zapisywanie faktów pośmiertnego życia Polski. W tym celu została utworzona Księga Pamięci, do której za każdorazową decyzyą posiedzenia zapisywano fakty, dotyczące narodu polskiego, gnębionego lub bronionego. 5. Uczczenie pamiątek

narodowych, t. j. rocznic 3 maja 1791 i 29 listopada 1830. Do prac Towarzystwa szczególnych należały w pierwszym rzędzie naukowe, przedewszystkiem historyczne, pod naczelnem kierownictwem J. U. Niemcewicza, który był prezesem t. zw. Wydziału historycznego, zgromadzano wszelkie materyały historyczne polskie ze źródeł, które za granicą odkryć się dadzą, a które następnie uporządkowane tworzyły Archiwum historyczne polskie. Jakoż praca w tym kierunku wydała obfity plon w postaci wypisów, dotyczących historyi ojczystej, z wieku XIII, XV, XVI, XVII, XVIII i XIX Z niemniejszą gorliwością pracowali członkowie Wydziału statystycznego.. Organem dziennikarskim, »monitorem« Towarzystwa była Kronika Emigracyi polskiej. Od r. 1836, za sprawą Niemcewicza głównie, Towarzystwo przybrało miano historyczno-literackiego, a połączywszy się z czasem z założoną przez wychodźców Biblioteką polską, stało się rodzajem emigracyjnej Akademii Umiejętności.

Członkowie Towarzystwa, przyjmowani na zasadzie wyborów, dzielili się na: kollaboratorów, stowarzyszonych, honorowych, korespondentów i zwykłych. Chopin przyjęty jednogłośnie, został członkiem stowarzyszonym Otrzymawszy wiadomość, że został wybrany, wystosował pod adresem księcia Adama Czartoryskiego następujące pismo z podziękowaniem za zaszczytny wybór:

> Uwiadomienie o wyborze na członka stowarzyszonego, jakim mnie zaszczycić raczyło Towarzystwo literackie, doszło mnie 15 b. m.
>
> Upraszam Pana W. Prezesa, abyś zechciał być tłumaczem wdzięczności mojej przed rodakami, którzy mi tak mocny dowód zachęty i pobłażliwości dali. Zaszczyt wejścia w ich grono będzie mi bodźcem do nowych prac, odpowiadających celowi Towarzystwa, któremu niosę gotowość do usług ze wszystkich sił moich.
>
> Zostaję z głębokiem uszanowaniem prawdziwym sługą
>
> *F. Chopin.*
>
> Urodzony dnia 1 marca 1810 r. we wsi Żelazowa Wola w województwie Mazowieckiem.
>
> Dnia 17 stycznia 1833 r.

Zarząd Towarzystwa składali sami dobrzy znajomi i przyjaciele Chopina: prezesem był Adam Czartoryski, wiceprezesem Ludwik Plater, głównym redaktorem Teodor Morawski, sekretarzem Andrzej Plichta. Między założycielami Towarzystwa znajdowali się tacy serdeczni przyjaciele Chopina, jak Albert Grzymała i Ludwik Wołowski. Do najgorliwszych członków kollaboratorów należał Stefan Witwicki, nie mówiąc już o Julianie Ursynie Niemcewiczu, który był duszą Towarzystwa. Słowem było to koło ludzi, w którem Chopin czuł się wśród swoich. Mówiąc poprostu, była to koterya, do której należał i on. Bo jak wszyscy na emigracyi, tak i Chopin ściśle był



związany z pewną koteryą, z koteryą Czartoryskich i Platerów, która też [1]) rządziła w Towarzystwie. Co się tyczy udziału w czynnościach Towarzystwa, to najprawdopodobniej ograniczał się on do uczestniczenia w dwu dorocznych uroczystych posiedzeniach, odbywających się każdego 3 maja i 29 listopada.

Zaprzyjaźniony z generałem Bemem, który był bardzo czynnym na emigracyi, Chopin zapisał się również i do założonego przezeń w r. 1835 Towarzystwa politechnicznego polskiego, rozwiązanego już w roku 1836. Zadaniem tego Towarzystwa było — według słów z listu w tej sprawie generała Bema do »kochanego Szopcia« — »ułatwiać pracującym wstęp do zakładów właściwych, umożliwiać zbywanie przedmiotów wypracowanych, wynajdywać obstalunki na roboty, wyszukiwać miejsca dla tych, co mogą dawać lekcye (tu się otwierała pewna rola dla Chopina), wreszcie umieszczać rzemieślników po fabrykach«. Dzięki swym rozległym stosunkom towarzyskim w sferach bogatych, »drogi Szopcio«, jak mógł, tak się przysługiwał tej »Societé polytechnique polonaise«, mianowicie zajmował się sprzedażą biletów przysparzających funduszów Towarzystwu. Gdy jednak Bem chciał go namówić t. j. naciągnąć, by przystąpił »do wielkiej spółki« czyli zaangażował się na większą sumę, Chopin dał odpowiedź odmowną. Wtedy mu Bem zaproponował należenie do t. z. »małej spółki«, mniej jednak jak 200 franków — pisał do niego w tej kwestyi — dać się nie godzi, ale więcej można«. Egzemplarze swoje rozrzuci się na klientelę i w ten moment awansowaną sumkę w dwójnasób odbierzesz. Będziemy mieli potem za co dobry zjeść obiadek«.

Jeżeli chodziło o obiadki, ale skromne, to było to specyalnością Towarzystwa polskiego, w potocznej rozmowie nazywanego poprostu »Klubem«, a mającego swój lokal przy rue Godot de Mauroy 18. Celem było tu »przepędzenie czasu przyjemne, użyteczne i oszczędne, czytanie dzienników, pism i dzieł, bilard, gry w karty (przez dyrekcyę wskazane) i inne gry towarzyskie, za wyłączeniem gier hazardowych, oraz stołowanie się członków tanie i wygodne«. Członkowie dzielili się na honorowych, stałych i czasowych. Prezesem był Ludwik Plater. Klub ten, do którego wraz z Chopinem należeli jego wszyscy przyjaciele, znajomi i koledzy, trzymający z obozem Czartoryskich, uchodził za »arystokratyczny«, w przeciwstawieniu do drugiego podobnego »cercle'u«, bezwzględnie demokratycznego, Chopin, opłacający składkę, jako »członek stały«, o ile rzadko bywał w klubie w ciągu dnia, o tyle często brał udział w różnych, specyalnie urządzanych zebraniach wieczornych, na których po wspólnej składkowej wieczerzy, po skończonych toastach, najczęściej zasiadał do fortepianu, grając na narodową

[1]) Tem się tłumaczy także niechęć Chopina do Słowackiego. Autor »Kordyana« nie tylko nie należał do tej samej koteryi, co Chopin, a w której tak wybitną rolę odegrywał Stefan Witwicki, ale należał do innej, choć naprawdę nie należał do żadnej.

nutę, czem zwykle aż do łez rozrzewniał całe zgromadzenie ziomków. Albowiem wszyscy oni byli stęsknieni za ojczyzną, nie wiedząc, czy ją ujrzą kiedy.

## V.

Chopin również w najwyższym stopniu był dotknięty nostalgią, tęskniąc nie tylko za krajem wogóle, za Warszawą, za domem, ale i za jedną istotą w szczególności, o której marzył ciągle, której obraz wciąż mu stał przed oczyma duszy, a którą był oczywiście nie kto inny, tylko Konstancya Gładkowska. Zrazu, po przyjeździe do Paryża, korespondował z nią, ale niebawem zaniechał tej korespondencyi, ponieważ Konstancya przestała odpisywać na jego listy. Stąd te »jakieś przeczucia niedobre, niepokój, złe sny«, na które w liście z dnia 25 grudnia 1831 r. skarżył się przed Wojciechowskim. Przeczucia te, jak się okazało, bardzo były uzasadnione, bo w tym samym czasie, gdy Fryderyk pisał swój żałosny list do Tytusa, Konstancya już się zdążyła zaręczyć, a za niecałe dwa tygodnie miała stanąć na ślubnym kobiercu.

Rzecz miała się tak. W tym samym czasie mniej więcej, gdy Chopin stanął w Paryżu, przyjechał do Warszawy młodzieniec, który poznawszy pannę Gładkowską w teatrze, zachwycony jej urodą i śpiewem, niebawem zbliżył się do niej, a w krótkim czasie poprosił o jej rękę. Ponieważ wszystko przemawiało za nim, więc został przyjęty. Był nim 28-letni Józef Grabowski, syn powszechnie znanej i szanowanej rodziny Grabowskich. Przyjechał z Petersburga, gdzie był urzędował w Sekretaryacie Stanu Królestwa Polskiego. Jako rodzony brat Jana Grabowskiego, znanego kupca, i Edwarda Grabowskiego, głośnego mecenasa, był bardzo dobrą partyą pod każdym względem, a olbrzymi pałac Teppera przy ul. Miodowej, należący do rodziny Grabowskich, jeszcze potęgował jego niezaprzeczone zalety, jako konkurenta. Inteligentny, wykształcony, stateczny, młody, zamożny, gdy się zakochał w pięknej śpiewaczce, umiał sobie zdobyć jej serce, tak, że zdecydowała się zostać jego żoną.

A Chopin? Na niego liczyć nie mogła. Wiedziała, że wyjeżdżając za granicę, nie wyjeżdżał na krótko, a co ważniejsza, okoliczności składały się w taki sposób, że wcale nie dało się ręczyć za to, czy Fryderyk wogóle powróci do kraju... Powtóre, choć miała dlań wiele sympatyi, to jednak był on za młody dla niej; mając lat 20, trudno, aby myślał o małżeństwie. Lubo genialny, jako muzyk, prawie był dzieckiem jeszcze, a jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to stanowczo wyglądał na chłopaczka, który ledwo dzieckiem być przestał. Co do jego miłości, to Konstancya, jakkolwiek wiedziała o niej, nigdy nie przypuszczała wszakże, by to młodociane zakochanie się mogło być niewygasłem, a powtóre, choćby nawet było jak najgorętszem, to było to uczucie studenckie, którego panna w jej wieku, na wydaniu,



nie mogła brać na seryo. Ona mając lat 20, była dojrzałą zupełnie, on zaś, będąc jej rówieśnikiem, nie mógł sobie — pomimo swej sławy — do nazwy człowieka dojrzałego rościć pretensyi. Niepodobna wymagać zresztą, żeby znalazłszy się w jej położeniu, panna chciała czekać na człowieka, z którym nie była związana żadnem słowem, a który, przy wrażliwości swego artystycznego i trzpiotowatego usposobienia, bardzo łatwo mógł zapomnieć o niej. W Paryżu miał aż nadto sposobności po temu.

Wszystko to, razem wzięte i rozważone, sprawiło, że panna Gładkowska, z zupełnie czystem sumieniem i nie robiąc sobie żadnych skrupułów z powodów Chopina, została w dniu 31 stycznia 1832 roku panią Józefową Grabowską [1]).

Gdy wiadomość o tem doszła do Fryderyka, bardzo ją wziął sobie do serca. Niewiadomo, czy wobec tego praktycznego zamążpójścia swojego »ideału« zdjął z palca pierścionek Konstancyi; wiadomo za to, że rodzina Chopina, a zwłaszcza jego siostry, za tak »nieczuły« postępek z Fryderykiem, zachowały pewien żal do Konstancyi. Ale ponieważ on nie poruszał

---

[1]) W tym samym roku 1832 wyszła za mąż za Kalasantego Jędrzejewicza, starsza siostra Chopina, Ludwika. Gdy się zaręczyła, o czem przyszły szwagier Fryderyka zawiadomił go od siebie także obszernym listem, Chopin tak mu odpisał:

»Najukochańsze życie moje! Daruj mi, że za Twój tak miły list ten świstek odbierasz, ale dałeś mi już prawo postępowania z Tobą z większą jeszcze jak kiedykolwiek szczerością: dlatego wiem, że nie będziesz na papierek uważał. Donios'eś mi rzecz upragnioną! Kochałem Cię zawsze; miałeś we mnie przyjaciela i bądź przekonany, że i dziś znajdziesz we mnie takiego chłopaka, jakiego powinieneś. Gdybym mógł jako drużba uściskać Was w dzień ślubu i widzieć przy ołtarzu, dałbym połowę życia; ale nic z tego, tylko Wam podług Twojego życzenia poślę poloneza i mazura, żebyście skakali i prawdziwie się weselili, bo Wasze dusze mogą się cieszyć. Nie będę się rozwodził ani nad Twojem sercem, ani nad jej, bo się nie godzi bratu, ale nie uwierzycie, ile mnie to korciło, że dotychczas się zwlekało, i ile mnie cieszy, że już się stanie. Niech Wam wszystko najlepsze się dzieje. Widok waszego szczęścia będzie szczęściem całej naszej rodziny! Jest to początek błogich lat po długiem paśmie nieszczęść. Daj dłoń i buzi. Kochaj mnie.

Twój najszczerszy

Paryż, dnia 10 Septemb. 1832. *Fryc.*

Moje życie, jeszcze raz daruj, kochanku, że Ci dużego listu nie piszę. Jest to może grzeszyć w nadziei miłosierdzia, ale my się rozumiemy nie od dziś, ani wczoraj. Jeszcze raz: kochaj mnie, jak ja Ciebie«.

Ślub Ludwiki Chopinówny z Kalas. Jędrzejowiczem odbył się w Brochowie, w październiku 1822 roku. Na krótko przedtem pisał o tej uroczystości familijnej Mikołaj Chopin do Fryderyka: »Wkrótce ma być ślub twej siostry. Gdy list ten odbierzesz, to będzie już pewno po weselu. Daj Boże, żeby była szczęśliwa! Matka twoja, znasz jej tkliwość, robi wszystko, na co tylko położenie nasze pozwala, ażeby siostra twoja miała rzeczy potrzebne w tych warunkach. Ślub wezmą tam, gdzie ty byłeś chrzczony, co mi jest bardzo przyjemnie, chociaż w gruncie ta mała podróż o tej porze roku nie bardzo mi się uśmiecha; ale to oszczędzi niemało kłopotów matce, gdyż tutuj, żeby nikogo nie obrazić, trzebaby pozapraszać wiele osób, których wszak nie sposób szklanką wody ugościć«.

tego tematu w listach, więc i one mu nic nie pisały w tej kwestyi. Gdy jednak Chopin, jeszcze w r. 1833, napisał w jednym ze swych listów do domu, że jego ideał jest jeszcze ciągle w Warszawie, t. j. że mimo wszystko nie mógł zapomnieć o pięknej burgrabiance, siostra jego, Izabella, tak mu odpisała na ten punkt: »Piszesz o tem, że Twoje amory tu. Pókiś Ty milczał, i ja także; ale ja o nich wiem i wierzę i razem z Tobą dziwię się, jak można być tak nieczułą. Pałac widać miał większe powaby; ale widać tyś źle interesa robił; ale dobry gust, czucie! Ach czucie! ale widać tylko w śpiewie, na Tobie dowód«[2]).

[2]) Tymczasem młodzi państwo Grabowscy, po roku spędzonym w Warszawie, przenieśli się na wieś, do nabytego umyślnie w tym celu Raducza pod Rawą w Piotrkowskiem. Tutaj, śród ciszy wiejskiej, żyli szczęśliwi, w najlepszej harmonii, ciesząc się dziećmi, których ostatecznie mieli pięcioro. Życie im płynęło spokojnie i bezkłopotliwie: on był wzorowym obywatelem ziemskim, ona zaś z uroczej śpiewaczki, tak gorąco oklaskiwanej przez publiczność warszawską, a zwłaszcza przez młodych melomanów bez różnicy narodowości, przedzierżgnęła się w doskonałą gosposię wiejską, całą duszą oddaną domowi, mężowi i dzieciom. Za sceną, którą była opuściła zaraz po zamążpójściu, zdaje się nie tęskniła, co nie znaczy wcale, ażeby w dalszym ciągu, w chwilach wolnych od zajęć obowiązkowych, nie uprawiała muzyki i śpiewu. Utwory Chopina, którego sławą już rozbrzmiewała cała Europa, miały w niej gorącą zwolenniczkę... Pozatem czytywała bardzo wiele. Wogóle dwór w Raduczu odznaczał się poziomem umysłowym, jaki się spotyka nie wszędzie po wsiach. Tak przeszło lat kilkanaście. W roku 1845 spadło na dom Józefa Grabowskiego wielkie nieszczęście: pani Konstancya ociemniała. Stało się to w następujących okolicznościach. Czytała całą noc *Żyda wiecznego tułacza,* w owe czasy niezmiernie czytaną powieść Eugeniusza Sue'go. Nazajutrz doznała szalonego bólu oczu, a już w pół roku potem zaniewidziała. Napróżno obwoził ją gorąco przywiązany mąż po sławnych okulistach europejskich: do końca nie odzyskała wzroku. »Mimo to — pisze o niej spokrewniony z nią Żeleński — los swój znosiła z rzadką rezygnacyą, w uczuciach religijnych czerpiąc niespożytą moc ducha. Zajęta domem, wychowaniem dzieci, pomocna mężowi we wszystkich sprawach życiowych, rozumna, dowcipna, wesoła, otoczona była uwielbieniem rodziny i okolicy«. Od chwili, gdy ją Bóg dotknął tak strasznem kalectwem, stała się wielce pobożną, książka bowiem, która ją przyprawiła o ślepotę, była na indeksie... W roku 1878 umarł Józef Grabowski, poczem Raducz został sprzedany, a pani Konstancya przeniosła się do Skierniewic, gdzie też odtąd zamieszkała na stałe. O tym końcowym okresie jej życia tak opowiada autor *Goplany:* «W ostatnich latach wdowiego osamotnienia, po stracie dwu córek, zatęskniła do muzyki i fortepianu. Najbliżsi opowiadali, iż często siadała do ulubionego instrumentu, improwizowała lub przypominała sobie dawne melodye. Starość jej otaczał urok poezyi. Po życiu pełnem trosk, mimo kalectwa, wracała pogodną duszą do wspomnień młodości i do muzyki«. Niezależnie od tego rządziła domem, prowadziła gospodarstwo. Ciężkie, kilkadziesiąt lat trwające kalectwo nie zdołało osłabić jej energii życiowej, zadziwiającej inteligencyi i łagodności wrodzonej. Literatura, sztuka, polityka, interesowały ją aż do ostatnich chwil. Wspomnienie Chopina sprawiało jej zawsze niewysłowioną przyjemność. Wielce lubiła opowiadać o nim, (co za szkoda, że nikt nie spisał tych opowiadań), a gdy wyszła książka Karasowskiego, kazała sobie po kilka, a nawet kilkanaście razy odczytywać różne z niej ustępy, zwłaszcza listy do Woyciechowskiego i Matuszyńskiego, w których tyle jest mowy o »ideale«. Pierścionek od Chopina, starannie przechowywany w toaletce, pokazywała chętnie. Gdy ją raz zapytała synowa, czy nie żałuje, że nie została żoną Chopina? »Ani chwili, odrzekła, gdyż w kalectwie, jakie mnie w życiu spotkało, może Chopin nie okazałby się tak dobrym mężem, jak mój poczciwy Józef gdyż był nerwowy, fantasta, słabowity«. W każdym razie, gdy jej po raz pierwszy czytano książkę Karasowskiego, była zdziwiona niepomału, nie przypuszczała bowiem, jak mówiła, że Chopin do tego stopnia pałał ku niej miłością. Dnia 20 grudnia 1889 r. w równych lat 40 po śmierci tego, który jej swem uczuciem zapewnił nieśmiertelność, Konstancya rozstała się z tym światem. Umarła w Skierniewicach. Pochowana w Babsku, parafi wsi Raducz, obok męża. Na parę dni przed śmiercią spaliła wszystkie listy i pamiątki po Chopinie, jakie posiadała, w tej liczbie i portrecik Fryderyka, malowany na kości słoniowej.



Tymczasem Chopin pocieszył się bardzo prędko. Nie upłynął rok od chwili, gdy Konstancya została panią Grabowską, a Fryderyk już w całej pełni używał swego niesłychanego szczęścia do kobiet. Oto, co o nim dnia 29 listopada 1832 r. pisał w liście do swych rodziców Antoni Orłowski: »Chopin wszystkim kobietom głowy zawraca, a w mężczyznach zazdrość wznieca. Ja mu to odrazu przepowiedziałem. On jest teraz w modzie i niedługo zobaczycie rękawiczki à la Chopin... Kochamy się jak dwaj bracia, nawet się umizgamy do jednej, i co jest dziwniejsze, iż żaden żadnemu nie szkodzi«. Do listu tego dopisał się Fryderyk, prosząc przedewszystkiem o »niedawanie wiary naszemu rywalizowaniu«. Natomiast nie protestował przeciwko faktowi, że zawraca głowy kobietom. Nie protestował, bo skłamałby, gdyby temu przeczył. Istotnie miał niesłychane powodzenie u płci pięknej. Jego gra na fortepianie, pełna poezyi i uczucia, podbijała mu mnóstwo serc niewieścich. A jego sympatyczna, wykwintna postać, w której było coś z Sylfa, niemniej się przyczyniała do tego, że mógł się skarżyć nie na brak, ale raczej na nadmiar sercowych sukcesów.

Pierwszą, która doń zapłonęła miłosnym afektem, była jego sąsiadka, gdy jeszcze mieszkał przy bulwarze Poissonière. »Nademną — pisał o niej do Wojciechowskiego — w domu, gdzie mieszkam, mam sąsiadkę, która ma męża, co od rana do nocy w domu nie siedzi: mężatka ładna, zaprasza mię do siebie, aby ja konsolować. Ma kominek, mogę się ogrzać... Prosi mnie o wyznaczenie dnia i godziny, kiedy przyjdę i t. p. Ale nie mam ochoty narażać się na awantury i dostać przypadkiem kijem od jegomości».

W tym samym czasie zdołał sobie Chopin pozyskać specyalne względy u młodej wychowanicy Pixisa, słynnej niebawem Francilli. Oto jego własna relacya o niej, zapisana w liście z dnia 25 grudnia 1831 r. do Wojciechowskiego: »Nie mogę też przenieść na sobie, żeby Ci drugiej mojej awanturki z Pixisem nie opisać. Wystaw sobie, ma on bardzo ładną 15-letnią panienkę u siebie, z którą (jak mówi) żenić się myśli, a z którą ja, już w Stuttgardzie u niego bywając, poznałem się. Pixis, przyjechawszy tu, zaprasza mnie do siebie, nic nie mówiąc (bo może byłbym go prędzej odwiedził), że i ta jego panna, o której już zapomniałem, z nim przyjechała. Po drugiem zaproszeniu. w tydzień idę do niego; aż na schodach z wielkiem ukontentowaniem spotyka mnie jego młoda pupila, zaprasza do siebie,

mówiąc, że to nic nie szkodzi, iż pana Pixisa niema, żeby odpocząć, że on zaraz nadejdzie i t. p. Jakaś drżączka nas oboje bierze. Ekskuzuję się, wiedząc, iż stary zazdrosny, że innym razem przyjdę i t. p. Tymczasem, gdy my tak czule na schodach w niewinności serca z przymileniem sobie rozmawiamy, lezie Pixisko; patrzy (nakształt Solivy) przez grube okulary, kto tam na górze z jego bellą mówi i przyspieszywszy biedaczysko kroku, zatrzymuje się przedemną *brusquement,* zawoławszy: *Bon jour!* a do niej: *Qu'est-ce que vous faites ici?* I ogromną kopę niemieckich dyabłów wyrzucił na nią, że ona śmie w jego nieobecności młodych ludzi przyjmować! Ja także z uśmiechem potakuję Pixisowi i na nią nastaję, że tak lekko, tylko w materyalnej sukience wychodzi z pokoju i t. d. Aż przecie stary się pomiarkował, ochłonął z gniewu, wziął mnie pod rękę, do salonu wprowadził, nie wiedział, gdzie mnie posadzić, ze strachu, żebym mu, rozgniewawszy się, kiedy go w domu nie będzie, figla jakiego nie spłatał... Sprowadził mię później ze schodów, a widząc, że ja ciągle jakoś śmiejący się w duchu (nie mogłem pozbyć się uciechy, jaką pierwszy raz w życiu miałem z tego, że mię ludzie *capable* czegoś podobnego sądzić mogą), wszedł do portierki pytać się, czy dawno, jak ja przyszedłem, czy długo bawiłem? i t. p. Od tego czasu Pixis nie może się dosyć nachwalić mojego talentu przed wszystkimi znajomymi. Jak Ci się to podoba? Ze mnie niebezpieczny *seducteur!*«

W tym samym liście znalazł się jeszcze następujący szczegół: »W tej chwili, kiedy się zabieram do opisu balu, na którym mię bóstwo jedno z różą w czarnych włosach zachwyciło, odbieram Twój list. Wszystkie tedy romanse wychodzą mi z głowy...« W te »romanse« Chopin uwikłany był ciągle, często w kilka naraz. Bo nie tylko miał szczęście do kobiet, ale nadto sam był niezmiernie wrażliwym i kochliwym. To też nieustannie był zakochany w kimś, czy to była która z jego uczennic, czy też która z wielkich dam z arystokracyi, czy choćby jaka przypadkowo spotkana piękność w którymkolwiek ze znajomych domów. Największe spustoszenie szerzył w sercach swych uczennic, choć nie wszystkie mogły się pochlubić wzajemnością z jego strony. Ale bywały i takie, wobec których i jego serce topniało, jak wosk. Bo nie brakło między jego uczennicami i takich, które były skończonemi pięknościami i... kokietkami. Dość wymienić hrabianki Komarówny. Ale najwięcej było takich, które on traktował dość obojętnie, co najwyżej z sympatyą, a które w nim za to kochały się bez pamięci [1]). Pierwsze wśród nich miejsce zajmowała panna Karolina Hartmann, która, po roku lekcyi u Chopina, umarła z miłości beznadziejnej, niepodzielanej.

[1]) Ś. p. Jan Kleczyński, który miał sposobność poznania niejednej z uczennic Chopina, mawiał, iż »wspomnienia o uwielbianym przez nie człowieku tworzyły jakieś sanktuarium, do którego wpuszczenie kogoś obcego zdawało się im świętokradztwem«. Jednym akordem swoim czarować potrafił! mawiały. Święty zapał płonął w jego duszy, każde słowo bywało objawieniem lub zachętą! utrzymywały nieodmiennie.





Delfina Potocka
według portretu Héberta.

Kobietą jednak, która w tym okresie czasu, pomiędzy rokiem 1832—1836, zajęła w jego sercu pierwsze miejsce, była niewątpliwie Delfina Potocka.

Była to jedna z najpiękniejszych kobiet swojego czasu, a że w roku 1832, kiedy się poznała i zaprzyjaźniła z Chopinem, liczyła sobie lat 25 do-

piero, więc piękność jej, już rozkwitła całkowicie, zbliżała się do swego zenitu. Oto, jak ją opisuje jej biograf: »Kobieta w pełni wieku, majestatyczna, jak niewiasty greckich posągów: nos dziwnie delikatnych konturów, w oczach łagodność i słodycz, na ustach namiętna żądza pocałunków, obiecujących całe niebo rozkoszy, a nad tem wszystkiem smutne, jakby chmurą żałoby zasnute, wysokie czoło: czy kaprys, czy cierń zawodów w bruzdę je sfałdował, zostaje tajemnicą nierozstrzygniętą, więc bardziej jeszcze pociągającą«. Inny pisarz, na podstawie portretu Winterhaltera, taki kreśli jej wizerunek: »Portret ten wyobraża kobietę z postacią królowej, z włosami blond, w puklach, spadających na biust greckiej bogini, w czarnej sukni, z twarzą *en trois quarts* o rysach subtelnie czystych, z pewnym odcieniem surowości w spojrzeniu... Wyraz ust, przeciwnie, pełen ujmującego wdzięku i słodyczy, oddany ze zmysłową expressyą... Z czoła tej kobiety bił chłód klasycznego posągu; oczy głębokie, ciemne, patrzyły przejmująco, lecz usta za to najśmielszemu uwielbieniu zdawały się obiecywać przebaczenie i nagrodę«. O tej niezwykłej urodzie pani Delfiny tak raz pisał Zygmunt Krasiński do niej samej: »Jest coś doskonałego w tobie, coś tak dalece *raffined*, coś tak hojnie i przepysznie od Boga ci danego, tak z niechcenia się objawiającego, tak będącego tobą, że koniecznie musi dusza powtórzyć słowa zakładu z Mefistofelesem: Zostań się, zostań, bo ty jesteś pięknością!«



Delfina Potocka
według portretu Ary Scheffera.

Gdy jednak chodziło nie o samą fizyczną piękność tylko, ale o stronę moralną, wewnętrzną, nie o boskie ciało, ale o usposobienie i charakter



pięknej Delfiny, potrafił tenże Krasiński sądzić ją krytycznie, o, bardzo krytycznie nawet! Oto, jak ją opisał pod świeżem wrażeniem zawartej z nią bliskiej znajomości i przyjaźni (przyczem dodać należy, iż o tem poznaniu ze swą przyszłą Beatryczą wyraził się w sposób tak ostry i szorstki, że przy ogłaszaniu jego listów do Sołtana musiano odnośny ustęp opuścić): »Jest to dziwna istota, która stoi j u ż z a p r z e p a ś c i ą, istota, której duszę żywą i silną, i prawdziwie wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą, przepsuł Paryż i Londyn, książę d'Orléans i pan Flahault, mąż niegodny i próżność *faschionu*, najnędzniejsza z próżności. Mimo to zostały jednak w tej duszy iskry, podobne wybuchom wulkanu, kiedy wspomnienie jakie lub nadto silna boleść je rozdmucha; została żądza długa, namiętna, długa, jak nuta własna, przeciągniona przez doskonałą śpiewaczkę, żądza wyższego stanu rzeczy, piękniejszej sfery dla ducha, spokoju jakiegoś promiennego po tylu obłędach i prawdziwych nieszczęściach. Kiedy zaś te iskry gasną lub drzemią, nieznośna to kapryśnica, nie mogąca dwóch słów poważnych wyrzec, potrzebująca śmiać się i żartować, by uniknąć strasznej nudy, która ją toczy; podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanej dziewczynce, lub Don Juanowi w spódnicy, który wszystkiego doznał i teraz krzyczy: Dajcie mi księżyc, chcę skosztować, czy z księżyca dobry marcypan, bo na ziemi już nic niema!... Literatura francuska zna takie kobiety, cywilizacya dzisiejsza płodzi takie twory«. Uzupełniając tę świetną charakterystykę, dodać należy, że tym księżycem, którego znudzona pani Delfina raz po raz pragnęła skosztować, niby marcypanu, bywał zazwyczaj jakiś niepospolity lub piękny mężczyzna, czy to z arystokracyi krwi, czy też z arystokracyi ducha. Pierwszym, w roku 1829, gdy pani Delfina jeszcze z mężem przyjechała do Paryża, był podstarzały już podówczas lowelas, hrabia Flahault. Po nim, a w każdym razie już po roku 1832, gdy pani Delfina już po rozejściu się z mężem zjechała na stały pobyt do Paryża, przyszła kolej na księcia d'Orléans, syna króla Ludwika Filipa; po nim zaś, a może równocześnie z nim i... z hrabią Flahault, przyszła kolej na synowca Napoleona I, księcia Montfort'a, a dopiero po nim, po kolei, przychodziła kolej na różne inne »księżyce», które ona, w swej iście astronomicznej ciekawości odkrywania coraz nowych planet, wciąż kosztowała, niczem marcypany, a które wkońcu stosownie do tego, czy jej mniej lub więcej smakowały, rzucała po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu. Tym sposobem — żeby już ciągle w astronomii porównania szukać — niejeden z tych księżyców grał w jej życiu tylko przelotną rolę meteoru, nie dostąpiwszy zaszczytu, jak p. Flahault lub książę d'Orléans, jak z czasem Krasiński, a po nim Delaroche, ażeby przez dłuższy czas być jej satelitą. Cokolwiekbądź, jedno nie ulega wątpliwości, że »Don Juanem w spódnicy« pani Delfina była przedewszystkiem i to w każdym calu.

Kusząco piękna, jak syrena, i niemniej niebezpieczna dla męskiego rodu, pani Delfina jeszcze i pod innym względem miała podobieństwo z syrenami: oto uwodziła i czarowała nie tylko swą klasyczną urodą, bardzo zmysłową, ale i cudnym śpiewem, którym porywała dusze słuchaczów. Obdarzona prześlicznym głosem, śpiewała, jak skończona artystka; śpiew jej, potężny siłą uczucia i temperamentu, czarujący metalicznem brzmieniem i koloraturą, podbijał serca wszystkich. »Kiedy szczerze śpiewa — pisał o niej Krasiński — po artystowsku, nie dla mdłych popisywań się, jest czego słuchać«. Nadzwyczaj muzykalna z natury, bardzo ładnie, wcale nie po dyletancku grając na fortepianie, tak, że najczęściej sama sobie akompaniowała do śpiewu, odznaczała się nie tylko talentem wykonawczym, ale i twórczym. W chwilach wolnych, których jednak miewała niewiele, poświęcała się także pracy kompozytorskiej. Oprócz muzyki i śpiewu, uprawiała również i malarstwo, zwłaszcza pastelowe, w którego zakresie objawiała wdzięczny talencik, »Utwory jej pędzla odznaczały się czystością w rysunku i efektem w kolorycie, świadcząc o poważnych studyach«. Słowem, była to natura bujna, sowicie obdarzona.

To też przyznać trzeba, że choć płocha na ogół, a zwłaszcza pomiatająca cnotą, w każdym razie była to kobieta niepospolita, nie tuzinkowa, a nawet wyjątkowa pod niejednym względem. Z wyobraźnią rozmarzoną, chorobliwie rozwiniętą przez wszystkie wpływy czasu, przez romantyczną poezyę, przez sam obyczaj towarzyski wreszcie, była to bądź co bądź natura artystyczna usposobieniem i wrażliwością, jeżeli nie *in actu*, to przynajmniej *in potentia*. Co ważniejsze, iż ta potrzeba wrażeń artystycznych, tak modna podówczas, nie była u niej, jak u tylu kobiet owej epoki, udana i przyswojona sztucznie, ale wrodzona i szczera: Pani Delfina Potocka, zaprzeczyć się nie da, miała duszę artystki. Opery Rossiniego i Belliniego, śpiewane przez Rubiniego i panią Malibran, romantyzm w muzyce, reprezentowany przez Berlioza i Liszta, Chopina i Schumanna, romantyzm w malarstwie, reprezentowany przez Delacroix'a i Delaroche'a, a wreszcie poezyę francuską i angielską, wraz z romansami pani Sand i Balzaka (nie mówiąc już o romansach pani Staël, z których jednemu pani Delfina nawet zawdzięcza swoje imię): wszystko to rozumiała i odczuwała doskonale, wszystko to stanowiło żywioł, wśród którego czuła się na swoim gruncie, jakby u siebie w domu. Jakoż, niezależnie od wad, których miała wiele, posiadała i wybitne zalety: wyższa nad zwykły poziom swojej sfery, o inteligencyi wszechstronnej, istotnie niezwykłej, o poglądach szlachetnych, wznioślejszych, odznaczała się istotnemi skłonnościami w kierunku rzetelnego idealizmu, co tak wysoko cenił w niej Krasiński...

Przedewszystkiem był czas, kiedy naprawdę czuła się nieszczęśliwą, a nieszczęście uszlachetnia. Wydana za mąż za Mieczysława Potockiego, syna Szczęsnego, który — choć zrazu namiętnie kochany przez nią — okazał się człowiekiem najgorszym, zwyrodniałym, którego *moral insanity* wywoływała oburzenie powszechne, i zmuszona w roku 1832 wrócić pod dach rodzicielski, gdzie ją także rozumiano nie dosyć, dopiero z chwilą, gdy znalazła się w Paryżu — skąd często na *season* jeździła do Londynu — otworzyły się jej oczy, zrozumiała, co była warta (w oczach mężczyzn). Ale i czcza atmosfera wielkoświatowa, którą zrazu czuła się tak upojoną, nie zawsze była skutecznem lekarstwem na moralną pustkę, z którą *faschion* tak często idzie w parze. I tu nie zawsze rozumiano piękną panią Delfinę... Ostatecznie miała ona w pięknem ciele i piękną duszę, co zwykle uchodziło baczności tych, którzy dla niej byli z uwielbieniem, radzi wprzęgnąć się do jej tryumfalnego rydwanu. Ztąd, obok uczucia przesytu, także i gorzkie uczucie osamotnienia wobec ludzi, którzy choć przed nią w zachwycie zginali kolana, w gruncie rzeczy nie rozumieli jej przecież... Coprawda, to niemało w tem było wpływu ówczesnej literatury romantycznej, w której taka kobieta n i e r o z u m i a n a, zwłaszcza przez męża, królowała prawie bez podziału; a przytem uczyła ta literatura, że miłość jest najwyższem i najświętszem prawem, rozwiązującem wszystkie inne; że wielka namiętność nie potrzebuje wymówki, bo sama jest wymówką i usprawiedliwieniem; że kobieta ma prawo do niezależności, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o miłość etc. etc. Wychowana po francusku, na pokaz, w zasadach kosmopolitycznych, po zagranicznemu, wykwintnie i elegancko, kiedy wyjechała za granicę, do Paryża, który dla niej odrazu stał się szkołą lafiryndyzmu, okazało się niebawem, że Delfina poprostu była stworzona do takiego błyskotliwego i niczem nie skrępowanego życia, jakie podówczas prowadziły rozmaite wielkoświatowe lwice i... awanturnice. Oddana zabawom i używaniu — co jej przy stu tysiącach franków rocznej renty przychodziło o tyle łatwiej — zepsuta powodzeniem salonowem, obracając się w najlepszych towarzystwach paryskich, nie wyłączając nawet dworu, tak się przejęła światową komedyą, w której grała tak efektowną rolę, że nie spostrzegła się nawet, jak to ciągłe udawanie i pozowanie stało się jej drugą naturą; że obok licznych skłonności dobrych, które ją cechowały, niemniej sobie przyswoiła złych i przewrotnych, między któremi prym trzymały obłuda, próżność i samolubstwo, nie mówiąc już o nienasyconych żądzach zmysłowych... Jakoż doszło do tego niebawem, że pani Delfina w oczach wielu osób, trochę poważniej zapatrujących się na życie i jego cele, uchodziła nie tylko za piękność, która czarowała i bałamuciła wielkoświatowych rozpustników, ale i za »grzeszną rozswawoloną wietrznicę, o której dało się powiedzieć wiele złego, a mało dobrego«.

Co pewna, że nieokiełznany temperament »Don Juana w spódnicy« ponosił ją w różne strony. A że pozatem była duszą artystyczną, więc największy pociąg czuła do natur artystycznych, do sławnych artystów i poetów, malarzy i literatów, których gościnnie podejmowała w swoim wy-

kwitnym salonie, a którzy, zapełniając karty w jej sztambuchu, nierzadko tracili głowy dla niej.

Począwszy od roku 1832 znalazł się w ich liczbie i Chopin. Jako stały gość w domu hr. Komarowei, jako nauczyciel jej dwu młodszych córek, jako zaprzyjaźniony z domami hrabstwa Flahault i Apponyi, miał aż nadto sposobności do częstego spotykania się z panią Delfiną, a że odrazu zdeklarował się, jako jej fanatyczny wielbiciel, nie tylko jej śpiewu, ale i jej osoby, więc nie upłynęło wiele czasu, a zawiązała się ścisła i poufna przyjaźń pomiędzy nimi, która, schlebiając obu stronom, szybko z przedwstępnej *amitié amoureuse* zaczęła przechodzić w zwykły romans. Co pewna, że na wszystkich zebraniach, które urządzała u siebie pani Delfina, nigdy nie brakło Chopina, że, gdy śpiewała, on zawsze jej akompaniował, że niebawem w jej albumie znalazło się jego smętne a natchnione *Preludium A-dur,* poczem nastąpiła oficyalna dedykacya *Koncertu F-moll,* który wyszedł z druku, jako poświęcony à Madame la Comtesse Delphine Potocka...

Że Chopin bardzo był zakochany, że poprostu czuł się wniebowziętym, gdy się znajdował przy boku Delfiny, to się rozumie samo przez się, tego się pozwala domyślać choćby to krótkie a wymowne swym poetycznym nastrojem *Preludium A-dur,* które brzmi, jak czułe wyznanie miłosne, wyznanie, które choć tłumione lękliwie, jednak jest pewne wzajemności... W ten sposób rozpoczęły się błogie dni szczęścia dla Chopina, szczęścia, które z małemi przerwami trwało aż do połowy r. 1836. Że Chopin na zabój kochał się w pani Delfinie, że nawzajem był u niej w całkiem wyjątkowych łaskach, o tem wiedzieli wszyscy zarówno w emigracyi, jak we francuskim świecie *faschionu,* gdzie ich wiele spotykano razem. Chopin nie krył się z tem wcale, że był gorącym admiratorem pani Delfiny, a gdy znajdował się przy niej, »robił wrażenie, że gotów był pył zdmuchiwać z pod jej stóp«. Ona też nie robiła tajemnicy ze swej serdecznej sympatyi dla niego.

Rodzi się pytanie, jakiego rodzaju był to stosunek? Otóż pod tym względem nie może być dwu zdań. Pani Delfina, jak przystało na »Don Juana w spódnicy«, poprostu nie rozumiała miłości platonicznej [1]), a skoro ktoś tak sobie umiał pozyskać jej łaski, jak Chopin, to oczywiście musiał być jej kochankiem. Tak też było i z Chopinem... Tak utrzymują wszyscy, którzy pamiętają te czasy, tak zawsze o tym stosunku wyraża się dobrze poinformowany prof. Tarnowski, który między innemi w swych wspomnieniach o *Czasie* i jego redaktorach, na str. 24 w ten sposób pisze o Maurycym Mannie: »Spotykał w świecie (paryskim) Chopina, którego wspo-

[1]) Że Pani Delfina Potocka nie bardzo platoniczny żywot wiodła w Paryżu, dowodzi choćby następująca wiadomość zapisana w liście Balzaka do pani Hańskiej z Paryża z dnia 11 marca 1835 r.: »Madame Delphine P... était aux Italien le dimanche. Elle a accouché le lundi«. Bliższy komentarz zbyteczny!...



minał z rzewnem uczuciem; widywał wtedy często panią Delfinę Potocką i nabrał przekonania, które zachował do ostatka, że Chopin był jednym ze szczęśliwych poprzedników Krasińskiego«. Bardzo znamienną tutaj jest ta liczba mnoga: wyrażając przekonanie, że Chopin był kochankiem pani Delfiny przed Krasińskim, prof. Tarnowski nie wyraża się w liczbie pojedyńczej, że Chopin był szczęśliwym poprzednikiem autora *Iridiona,* lecz bez ceremonii używa liczbny mnogiej, mówiac wyraźnie o szczęśliwych poprzednikach twórcy *Przedświtu.* Świadczy to najlepiej, jaką opinią cieszyła się pani Delfina Potocka nawet w swojej sferze.

Pozatem stosunek jej z Chopinem był serdeczny niezmiernie, oparty nietylko na zmysłowych upojeniach, ale i na prawdziwej przyjaźni, na wspólności uczuć i poglądów. Pani Delfina doskonale umiała się dostrajać do różnych indywidualności artystycznych, więc też potrafiła odczuć muzykę Chopina (podobnie, jak z czasem umiała przejąć się poetą Krasińskim, dla którego była Beatricą, lub rozumieć malarza Delaroche'a, będąc jego Fornariną). Nic łatwiejszego zresztą dla kobiety pięknej i będącej »już za przepaścią«, jak przejmować się artystą.. rozkochanym przez nią. Że jednak w pani Delfinie, w jej usposobieniu, było dużo zalet czystej kobiecości, a »das Ewig-Weibliche zieht uns hinan«, więc poza chwilami uniesień i szału, w których stawała się ideałem kochanki, miewała i takie chwile, w których była wymarzoną przyjaciółką, aniołem opiekuńczym. Zwłaszcza, że pomimo wszystko i ona niekiedy nie mogła opędzić się spleenom, gdy czuła się nieszczęśliwą, a przynajmniej nie czuła się szczęśliwą, i gdy garnęła się do serca, przed którem-by mogła wylać swoje. Tak było z czasem z Krasińskim, tak było teraz z Chopinem. O tem bowiem, żeby ją mogli zrozumieć tacy wielkoświatowi rozpustnicy, jak książę d'Orléans lub hrabia Flahault, nie mogło być mowy. Ona zaś, bądź co bądź, była istotą głębszą, subtelniejszą, o duszy skomplikowanej i wyrafinowanej. Dlatego tak lgnęła do ludzi genialnych, bo ci umieli czytać w jej sercu, widzieli, dlaczego była taką, jaką była, i mieli wyrozumienie dla jej błędów. »Kiedy smutna seryo — pisał raz o niej Krasiński — widzę wtedy nieutuloną rozpacz w niej, nieudolność do uczucia jakiegokolwiek szczęścia. Kiedy ton swój paryski odmieniła i szczerze mówić zaczęła, i ja ton odmieniłem, i teraz co wieczór ona smutno, żałobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę.« Pod temi słowami mógłby się podpisać i Chopin. W chwilach smutku i przygnębienia, które jej zdarzały się niekiedy, pani Delfina chętnie wynurzała się przed Chopinem, nie mówiąc już o tem, że w chwilach takich, gdy jej zmęczona dusza była nastrojona minorowo, była szczególniej skłonną do słuchania jego marzycielskiej muzyki, która ją przenosiła w jakieś zaziemskie światy, a tem samem działała kojąco, jak balsam.

Że tak było w istocie, o tem świadczy list pani Delfiny do Chopina,

jedyny, jaki się zachował z ich — podobno ożywionej bardzo — korespondencyi. Bo kiedy nie byli razem, często pisywali do siebie, a co szczególne, że pani Delfina, która z Krasińskim korespondowała wyłącznie po francusku, utrzymując go w mniemaniu, że po polsku nie umiałaby wypowiedzieć swych myśli, do Chopina pisywała w ojczystym języku, nawet niezgorszą polszczyzną. Oto charakterystyczny wyjątek z jej listu: »Nie chcę Cię długim listem zanudzać, ale też tak zostać nie mogę w niewiedzy o twojem zdrowiu i o dalszych twoich projektach... Przykro mi czuć, żeś tak osamotniony w chorobie i smutku. Proszę o kilka słów... Tu smutno i nudno, lecz dla mnie życie wszędzie jednakowo sunie się; byle-by przeszło bez gorszych cierpień i prób, dość na tem, co już znieść trzeba było. Jakoś i mnie nie poszczęściło się na świecie! Komu tylko życzyłam dobrze, taka istota mi się zawsze odpłaciła niewdzięcznością lub innemi trybulacyami. Au total, żywot ten jest tylko ogromnym dysonansem. Bóg Cię strzeż, kochany p. Chopin. Do obaczenia, najpóźniej w początku Oktobra.«

W sierpniu 1836 r. pani Delfina niespodziewanie wyjechała na czas dłuższy z Paryża. Ztąd nagła przerwa w jej romansie z Chopinem, któremu wyjazd ten może był w danej chwili nawet na rękę... Co pewna, że pani Delfina wyjechała »na prośby męża«, który, zapraszając ją do Tulczyna, obiecywał przypomnieć te niezapomniane dni 1825 r., kiedy to jego małżonka, z dziewiczą miłością w sercu, w białej sukni, całej obsypanej brylantami, stawała z nim na ślubnym kobiercu... Wiadomo, że Mieczysław Potocki, wzywając Delfinę do powrotu, obiecywał poprawę ze swej strony, przyrzekł być wzorowym mężem, zapewniał o swem niewygasłem uczuciu, a na dowód, że nie przestał kochać, obiecywał tak kochanej żonie... powiększyć roczną rentę, co wszystko razem zestawione, musiało nie być nie pociągajacem dla przesyconej życiem faschionu i... mocno zadłużonej pani Delfiny [1]), skoro się zdecydowała opuścić Paryż, księcia d'Orléans, pana Flahault i Chopina.

Co najgorsze, że wyjazd ten nie na wiele jej się przydał. Okazało się bowiem, że Mieczysław Potocki, choć tyle mówił o swej poprawie, bardzo prędko wrócił do dawnych nałogów, tak, że pani Delfina po niezbyt długim pobycie w Tulczynie, znów widziała się zmuszoną wyjechać za granicę. W domu męża nie miała nic do roboty... Jakoż pospieszyła do Neapolu, do matki i do sióstr. Tam »nad mórz włoskich złoconą otchłanią« poznała się z Zygmuntem Krasińskim, który też niebawem mógł się nazwać szczęśliwym następcą swoich szczęśliwych poprzedników...

[1]) Niewesoły komentarz do jej wyjazdu podaje Balzak w liście do pani Hańskiej z dnia 22 sierpnia 1836 r., pisząc, że nikt nie wie, co się stało pani Potockiej, bo wyjechała z Paryżu, nie popłaciwszy żadnych swoich długów, sprzedawszy wszystko, pozwalając krążyć najrozmaitszym pogłoskom o niej... Nie chcąc robić plotek, Balzak wzbrania się powtarzać te pogłoski.



## VI.

Kiedy nadeszło lato 1833 r., Chopinowi należał się wypoczynek. Od czasu, jak przyjechał nad Sekwanę, prawie się nie ruszał z Paryża. Spędził tu nawet letnie miesiące 1832 r., gdyż mu jego ówczesne finanse nie pozwalały na taki zbytek. Obecnie sytuacya zmieniła się na znacznie pomyślniejszą; o niedostatku już nie było mowy. A przytem wypadało pomyśleć o zdrowiu, które dobrem nie było wcale. Lekarze, a przedewszystkiem dr Hoffmann, który, mieszkając razem z Chopinem, miał go w ciągłej obserwacyi lekarskiej, stanowczo byli za wyjazdem na lato, jeżeli nie do jakich wód, to przynajmniej na wieś. Skończyło się na tem, że Chopin skorzystał z zaproszenia Franchomme'a, który z całą rodziną jechał do Côteau w departamencie Touraine, i pojechał razem z nimi. W tych warunkach spędzone lato doskonale wpłynęło na jego zdrowie; wypoczął, nabrał cery, nawet utył, a w każdym razie nie mógł się uskarżać na brak pieczołowitości ze strony dam, któ e go miały w swojej siostrzano-macierzyńskiej opiece, a które na to głównie, iżby się wysypiał i odżywiał należycie, kładły potrzebny nacisk. Wogóle bardzo sobie chwalił to lato w Côteau [1]).

A przytem nie tracił czasu: komponował. W Paryżu, przy dawaniu lekcyj, przy zaabsorbowaniu życiem towarzyskiem, o komponowaniu prawie nie mogło być mowy. Jakoż przeważnie tylko poprawiał i przerabiał dawniej napisane lub naszkicowane rzeczy. Za to na wsi, mając i potrzebny spokój, i dużo wolnego czasu, mógł komponować do woli, o ile tylko miał usposobienie po temu. A że mu nie zbywało na ochocie w tym kierunku, bo pomysłów miał pełną głowę, więc z zapałem oddawał się pracy kompozytorskiej. Tak było teraz w Côteau, tak było wszystkich lat następnych.

Dowodem zaś, że nie próżnował wtedy, lecz przeciwnie, że go cechowała wielka pracowitość i pilność, była szybko wzrastająca liczba kompozycyj, któremi rzeczywiście sypał jak z rękawa. Dość powiedzieć, że w okresie czasu pomiędzy rokiem 1832 a 1838 zdążył wydrukować ni mniej ni więcej, tylko 106 kompozycyj, ujętych w 34 opusy, i to kompozycyj, między któremi były nie same rzeczy drobne, ale i dzieła wielkie rozmiarami. Wprawdzie nie wszystkie były napisane w Paryżu, bo bardzo wiele przywiózł z Warszawy, ale wszystkie, nim je oddał do druku, zostały opracowane na nowo, przerobione, uzupełnione nowemi dodatkami.

[1]) Powróciwszy na początku września do Paryża, Chopin tak pisał do Franchomme'a: »Côteau! oh, Côteau! Dis mon enfant à toute la maison de Côteau, que je n'oublierai jamais mon séjour en Touraine, que tant de bonté laisse une reconnaissance éternelle; on me trouve engressé et bonne mine et je me porte à ravir grâce aux voisines de diné qui m'ont prété des soins vraiment maternelles. Quand j'y pense tout cela me parait un songe si agréable que je voudrais dormir encore«.

Doprowadzone do ostatecznego ogładzenia i wykończenia, prawie wszystkie wyszły nakładem Maurycego Schlesingera w Paryżu, tudzież Breitkopfa i Härtla w Lipsku. Inne zostały wydane przez takich pierwszorzędnych edytorów muzycznych, jak Hofmeister, Schwamberger, Probst-Kistner, Peters, Philipp et Comp., Lemoine, Richault, Ad. Catelin et Cie. Wszystkie były dobrze zapłacone, bo Chopin nie dał się wyzyskiwać wydawcom, przeciwnie, doskonale umiał sprzedawać swoje kompozycye. Wiedząc, że ma do czynienia z kupcami, sam także potrafił być kupcem, i to twardym w targu. Tym sposobem utrzymywał się przy wysokich cenach, przyczem, wyzyskując różne prawa różnych krajów, prawie każdą kompozycyę sprzedawał po parę, czasem po kilka razy. Najniższa cena, jaką brał za drobniejszą kompozycyę, np. mazurka lub za nokturn, wynosiła 300 lub 500 franków. Za rzeczy większe, jak niektóre walce, ballady, scherza, impromptu, polonezy, brał po 1000, po 1500, po 2000 i po 3000 fr.

Utwory te, z początku wydawane przez M. Schlesingera i Probst-Kistnera wyłącznie, zaczęły się ukazywać od grudnia 1832 r., a gdy ten najtrudniejszy do zrobienia premier pas szczęśliwie został przezwyciężony, wszystkie następne szły gładko i bez wysiłku. Pierwsze wyszły *Quatres Mazurkas* Op. 6 dedykowane hrabiance Ludwice Platerównie, oraz *Cinq Mazurkas* Op. 7 przypisane à Mr. Johns. W miesiąc później, w styczniu 1833 r. ukazały się *Trois Nocturnes* Op. 9 dediés á M-me Camille Pleyel; po upływie dwóch miesięcy, w marcu 1833 r., wyszło *Trio G-moll* Op. 8 dedykowane księciu Antoniemu Radziwiłłowi. W czerwcu tegoż roku 1833 wyszły *Douze Grandes Etudes* Op. 10 przypisane à Mr. Franz Liszt, a jednocześnie z niemi jako Op. 11 ukazał się *Koncert E-moll* dedykowany Kalkbrennerowi, oraz skomponowany do spółki z Franchommem *Duet G-moll* na fortepian w wiolonczelą [1]). W listopadzie wyszły, jako Op. 12 *Variations brillantes pour le piano sur le Rondeuu favori de »Ludovic« de Harold: »Je vends des Scapulaires«*, przypisane pannie Emmie Horsford. W styczniu 1834 r. ukazały się *Trois Nocturnes* Op. 15 dedykowane Hillerowi. W marcu zaś wyszło *Rondo Es-dur* Op. 16 dedykowane pannie Karolinie Hartmann. W maju tegoż roku wyszła *Fantazya A-dur* Op. 13 na fortepian z orkiestrą, dedykowana Pixisowi. Równocześnie ukazały się *Quatre Mazurkas* Op. 17, przypisane pannie Linie Freppa. Już po upływie miesiąca, w czerwcu, ukazał się *Krakowiak* Op. 14 na fortepian z orkiestrą, dedykowany księżnej Adamowej Czartoryskiej. W tymże miesiącu wyszedł *Grande Valse Es-dur* Op. 18 z dedykacyą dla panny Laury Horsford. W październiku wyszło *Bolero* Op. 19, poświęcone hrabiance Emili de Flahault. W marcu 1835 r. wyszło *Scherzo H-moll*, jako Op. 20, dedykowane panu T. Albrechtowi. W listopadzie 1835 roku wyszły *Quatre Mazurkas*

[1]) Bez opusu.



Op. 24 przypisane hrabiemu de Pertuis. Kwiecień 1836 r. przyniósł z sobą *Koncert F-moll*, który w druku wyszedł jako *Second Concerto* Op. 21, przypisany hrabinie Delfinie Potockiej. W niespełna miesiąc później, w maju, wyszły *Deux Nocturnes* Op. 27, dedykowane hrabinie d'Apponyi. Zaraz po nich w czerwcu, wyszła *Ballada G-moll* Op. 23, poświęcona baronowi Stockhausenowi, z którą prawie równocześnie, bo już w lipcu, ukazały się *Deux Polonaises* Op. 26, dedykowane pianiście Dessauerowi. Zaraz później, w sierpniu nastąpił wielki *Polones Es-dur* na fortepian z orkiestrą, poprzedzony słynnem *Andante spianato*, a oznaczony, jako Op. 22, z dedykacyą dla baronowej d'Est. Rok 1837 przyniósł również cały szereg nowych dzieł Chopina. Najprzód, w październiku wyszła druga serya etiud, która, jako *Douze Etudes* Op. 25, znowu była ściśle związana z osobą Liszta, albowiem została dedykowaną jego przyjaciółce, hrabinie d'Agoult. W grudniu tegoż roku wyszły aż cztery opusy dzieł Chopina: *Impromptu* Op. 29, poświęcone hrabiance de Lobau, *Quatres Mazurkas* Op. 30, poświęcone księżnej Würtemberskiej z domu Czartoryskiej (autorce *Malwiny*), *Scherzo B-moll*, jako Op. 31 dedykowane hrabiance Adeli Fürsterstein, oraz nowe *Deux Nocturnes* Op. 32, poświęcone baronównie Billing. W końcu 1838 roku, w ciągu listopada i grudnia, wyszły *Quatre Mazurkas* Op. 33, poświęcone hrabiance Mostowskiej, oraz *Trois Valses brillantes* Op. 33, z których każdy był przypisany innej damie: Nr 1 pannie Thun-Hohenstein, Nr 2 pani d'Ivri, Nr 3 pannie d'Eichthal. Na ostatku, bo dopiero we wrześniu 1839 r. wyszły preludya, p. t. *Vingt-quatre Préludes*. Ale że ich największa część powstała jeszcze przed 1836 r., więc je Chopin wypuścił w świat, jako Op. 28. Ukazały się w trzech wydaniach: francuskiem, angielskiem i niemieckiem; francuskie i niemieckie były dedykowane *à son ami* Pleyel, niemieckie zaś *à Mr. I. C. Kessler*.

A nie było to jeszcze wszystko, co w tych czasach wyszło z pod natchnionego pióra Chopina. W 1837 r. skomponował elegijną *Waryacyę* na temat z *Purytanów* Belliniego, która to waryacya została dołączona do zbiorowej kompozycyi p. t. *Hexameron*, skomponowanej przez ośmiu najznakomitszych pianistów, a oprawnej w brawurową *Introdukcyę* i *Finale* Liszta. Kompozycyą jednak, do której Chopin w tych latach przykładał najwięcej wagi, był jego *Koncert A-dur*. Komponując go, wiele sobie obiecywał po nim, pragnąc, by ten trzeci o ile możności zakasował dwa poprzednie. Tamte bądź co bądź, były utworami młodzieńczymi, ten miał być dziełem dojrzałem zupełnie, i stałby się niem niezawodnie, jak tego pozwala się domyślać stanowiące jego część pierwszą *Allegro de Concert*, gdyby został napisany w całości, gdyby mające przyjść po nim *Andante* i *Finale* również zostały napisane. Niestety, Chopin jakoś nie zdobył się na nie, tak, że ostatecznie ten trzeci *Koncert* stał się jego niedokończonym poematem... Samo *Allegro de Concert* cenił Chopin bardzo wysoko. Ode-

grawszy je w manuskrypcie Hoffmanowi, zapytał go, co myśli o tej kompozycyi, a gdy w odpowiedzi spotkał się z gorącą pochwałą, rzekł te charakterystyczne słowa: »Otóż będzie to pierwsza sztuka, którą po powrocie do kraju w wolnej Warszawie zagram na mym pierwszym koncercie«.

W każdym razie już i te z pomiędzy kompozycyi Chopina, które do 1838 r. puścił w świat, odrazu go uczyniły sławnym, szybko mu zjednały pierwszorzędne stanowisko, wśród najznakomitszych kompozytorów wogóle, a bezwarunkowo pierwsze pośród kompozytorów muzyki fortepianowej. A przytem było to nietylko stanowisko znakomitego kompozytora, ale, co najważniejsza, stanowisko wielkiego reformatora muzyki, twórcy muzyki nowoczsenej, »Kopernika fortepianu«.

Oczywiście, że tak wyjątkowe stanowisko musiało iść w parze z wszechświatową sławą. Istotnie zdobył ją sobie Chopin bardzo prędko, zaraz w pierwszych latach, niemal już w pierwszym roku. Godzili się na to wszyscy, w całym świecie muzykalnym europejskim. »Chopin — pisała w tej kwestyi *Revue musicale* z 15 maja 1834 roku — otworzył sobie nowe drogi i od pierwszej chwili, zarówno swoją grą na fortepianie, jak i swemi kompozycyami na ten instrument, zdobył sobie tak wysokie stanowisko, że dla wielu stał się niewytłumaczonym fenomenem, któremu ze zdumieniem przypatrujemy się przechodząc, a który ograniczony egoizm rozważa z współczującym uśmiechem, rozkoszując się nim instynktownie raczej niż świadomie, i choć z daleka, to jednak idzie w ślad za artystą, za jego dążeniem i twórczością, podziwiając go, ucząc się od niego, usiłując go naśladować. Dla tych powodów nie znalazł Chopin dotąd krytyka, choć dzieła jego znane są już wszędzie. Wywoływały one albo dwuznaczny uśmiech i były zmniejszane w swej wartości, albo też budziły zdumienie i spotykały się z bezgranicznemi pochwałami; lecz nikt nie pokusił się jeszcze określić, na czem polega szczególny charakter i zasługa tych utworów, czem się od wielu innych odróżniają i tak wysokie miejsce zajmują«. Istotnie pod tym względem nie było dwu zdań: sława Chopina, jako kompozytora, odkąd zaczął ogłaszać swe utwory, rosła z dniem każdym, choć odrazu rozbrzmiały bardzo głośno. »Chopin — jak to zauważył jeden z recenzentów lipskiej *Allgemeine musikalische Zeitung* — miał szczęście szybciej niż inni zwrócić na siebie uwagę, i to nietylko pianistów w szczególności, tych oczywiście przedewszystkiem, ale i muzyków wogóle«[1]). Ztąd na wszystkich programach koncertowych, zarówno we Fran-

[1]) W swej *Biographie universelle des musiciens* wydawanej od 1835 r., Fétis tak pisał o Chopinie: »De prime abord, M. Chopin s'est placé au premier rang des maîtres. La delicatesse parfaite de son toucher, sa dextérité mechanique indescriptible, les teintes mélancholiques de sa manière de nuancer, et la rare clarté de son jeu, sont en lui des qualités qui ont le caractère du genie. On doit le considerer comme un des plus remarquables météores qui brillent à l'horizon du monde musical«.



cyi, jak w Niemczech, nie mogło się obejść bez nazwiska Chopina. Grać go stało się modą. A tymczasem on — jak pisze Koźmian w swem wspomnieniu o nim— »sypał jak z rogu obfitości, coraz liczniejsze i znakomitsze utwory: mazurki, walce, nokturny, etiudy, ballady. Wszystko to nie sięgało rozmiarem dzieł rutyną w pierwszym rzędzie stawianych, bo oprócz dwóch *Koncertów* już ani razu nie dał się etykietalnym przyzwyczajeniom muzyki z właściwego sobie trybu wyprowadzić, a przecież każdy najdrobniejszy urywek odznaczał się taką oryginalnością i tajnością myśli, że daleko poza sobą zostawiał wszystkie współczesnych fortepianistów szerokie wypracowania«.

Że ci współcześni pianiści nie zawsze go rozumieli, nie zawsze mogli się zoryentować w tych jego »tajnościach myśli«, za dowód może posłużyć Moscheles, który w 1833 r., wobec niepomiernie rosnącej sławy Chopina, studyując jego kompozycye, raz po raz utykał na nich, nie mogąc w żaden sposób, pomimo najlepszych chęci, dać sobie rady z niemi. Oto jego własne zeznania w tej kwestyi, które dla samego siebie zapisał w swym dzienniku: »Z przyjemnością korzystam z niektórych wolniejszych godzin wieczornych, ażeby się bliżej zapoznać z *Etiudami* Chopina i innemi jego kompozycyami, wiele też znajduję uroku w ich oryginalności i w narodowem zabarwieniu ich motywów; wciąż jednak utykają moje myśli, a przez nie i palce, przy pewnych twardych, nieartystycznych, dla mnie wprost niezrozumiałych modulacyach, tak, jak mi wogóle ich całość często wydaje się zbyt ckliwą, za mało godną wykształconego muzyka i mężczyzny«. Takie zastrzeżenia nasuwały się znakomitemu autorowi *Concert pathétique* w 1833 r., co nie przeszkadzało jednak, że pomimo tych zastrzeżeń, przy których trwał zawsze, coraz bardziej przedzierżgał się w wielbiciela Chopina. Tak np. gdy w roku 1835 wyszła druga serya *Etiud* Chopina oraz *Scherzo H-moll,* Moscheles, przestudyowawszy je sumiennie, zapisał w swym dzienniku, co następuje: »Jestem zdeklarowanym wielbicielem jego oryginalności; dał on fortepianistom wszystko, co jest najnowszego, najbardziej pociągającego. Mnie osobiście razi robiona, często wymuskana modulacya w jego kompozycyach; moje palce potykają się i przewracają w takich miejscach; mogę w nich ćwiczyć się, ile chcę, a jednak nie mogę z nich wybrnąć bez szwanku«. Mimo to wszystko nie wahał się przyznać, że jest »ein aufrichtiger Bewunderer« Chopina, przyczem nie taił się, że nikogo tak nie był ciekawy poznać i usłyszeć, jak Chopina właśnie.

Mendelssohn, który był w tem szczęśliwem położeniu, że z Chopinem znał się dobrze, a wielokrotnie słyszał go grającego, również należał do jego wielbicieli, zarówno kompozytora, jak wykonawcy, choć i on nie bez zastrzeżeń zachwycał się utworami Chopina. Niektórym zarzucał »manierę«, t. j. uważał, że była to muzyka czasami zbyt »manierowana«. Swoją drogą przyznawał czętnie, że ile razy grał którą z kompozycyi Chopina,

stale miał to uczucie, że nic podobnego skomponować-by nie potrafił. Jako pianistę uważał go za »jednego z pierwszych«. »Jest on — zdaniem Mendelssohna — tak nowym na fortepianie, jak Paganini na skrzypcakh, i wytwarza dziwy, któreby można uważać za niepodobieństwo (und bringt Wunderlinge herbei, die man sich nie möglich gedachtet hätte). Zarzucał mu tylko »paryską rozpaczomanię, przesadę w patetyczności«, oraz niedostateczne przestrzeganie »taktu, spokojności i tego, co stanowi rzeczywistą dźwięczność«. Ale to były, jego zdaniem drobiazgi, o których się zapominało, słuchając jego zachwycającej gry. »W jego grze na fortepianie jest coś tak dziwnie oryginalnego, a zarazem tak mistrzowskiego, że go słusznie skończonym wirtuozem nazwać można«. Zwłaszcza gdy grał »lepsze ze swoich kompozycyi«. Widocznie, że nie wszystkie dzieła Chopina stawiał Mendelssohn na równi, że mu niektóre mniej trafiały do przekonania. Tak było istotnie, a do tego stopnia nawet, że twórca *Pieśni bez słów* naprawdę nie wiedział czasami, czy muzyka Chopina prawdziwą była czy fałszywą? Manchmal weiss man wirklich nicht, ob Chopin's Musik richtig oder falsch ist?

Ta wątpliwość może była powodem, że Mendelssohn, kiedy występował publicznie, nigdy nie grał nic Chopina. Za to w domu, w kółku rodzinnem, grywał go często, choćby dlatego tylko, że żona jego, Cecylia, poprostu przepadała za muzyką Chopina. »Gdy chcę zrobić wielką przyjemność mojej żonie — pisał raz Mendelssohn do Chopina — muszę jej grać twoje kompozycye, tak, jak wszystko, co wychodzi z pod twego pióra, należy do jej ulubionych utworów«.

Tak samo zupełnie miała się rzecz z Schumannem, który od 1830 r. stał się najfanatyczniejszym wielbicielem Chopina, czemu w redagowanej przez siebie *Neue Zeitschrieft für Musik* stale wymowny dawał wyraz, a tem samem przyczynił się, jak nikt inny, do jego szybko rosnącej sławy w całych Niemczech. W każdym razie on pierwszy poznał się na Chopinie, pierwszy go obwieścił światu, jako geniusza! »Hut ab, meine Herren, ein Genie«, napisał jeszcze w 1831 r. pod wrażeniem jego *Waryacyj* Op. 2, z których »z każdego taktu wyziera geniusz«. Oto zaś, w jaki sposób zakończył swój entuzyastyczny artykuł: »Jakkolwiek Chopin nie potrzebuje podniety dla swego geniuszu, to jednak schylam czoło przed takim geniuszem, przed takiemi dążnościami, przed takiem mistrzowstwem!«[1]). Zda-

[1]) W tymże samym numerze lipskiej *Allg. Mus. Zeitung,* zaraz obok artykułu Schumanna (podpisanego Julius) ukazał się jeszcze jeden obszerny rozbiór tychże *Waryacyj,* skreślony przez »starego muzyka«. Rozbiór ten wypadł dla Chopina wogóle pochlebnie, nazywając jego dzieło *eins der gewaltigsten Bravourstücke.* Swoją drogą tej brawury, wymagającej niesłychanie wielkich rąk i wirtuoza w rodzaju jakiegoś Paganiniego w zakresie gry fortepianowej — so etwa Paganini's auf dem Pianoforte — widział »stary« krytyk w utworze tym za wiele. »Nichts als Bravour und Figurenwerk«, wyraził się w jednem



niem Schumanna, Chopin »zna swój instrument, jak nikt inny«. Pisząc o największych muzykach świata, Schumann, obok Bacha i Händla, Mozarta i Haydna, Beethovena i Schuberta wymieniał bez zająknienia Cho-

miejscu, a że nie na wszystko się godził w tych brawurowych figurach, to dał poznać w ustępie, gdzie, jak się wyraził, nie chciał zbytnio obciążać gramatycznego sumienia autora. Na szczęście inni krytycy nie podzielali tego zdania.

Oprócz dwu wymienionych recenzyi o tych Chopinowskich waryacyach zgłosił się jeszcze z artykułem o nich do *Allg. Mus. Zeitung* Fryderyk Wieck, ojciec Klary Wieck, a z czasem teść R. Schumanna. Artykuł ten jednak nie został przyjęty, gdyż redakcya nie chciała poprostu aż trzech rozbiorów poświęcać jednej kompozycyi nieznanego autora *Trop d'honneur!* Artykuł ten Wiecka, bardzo obszerny i wyczerpujący, a wielce dla Chopina przychylny, ukazał się w 1832 r. w czasopiśmie muzycznem *Caecilia.* Krytyk zaznacza w tej kompozycyi niejaki wpływ Fielda, przez co jednak nie rozumie naśladownictwa Fielda. Przeciwnie uważa dzieło to za »wybitne pod względem harmonii i w najwyższym stopniu interesujące« (in harmonischer Hinsicht bedeutend und höchst interessant), podkreśla «zupełnie nowe i niespodziane pasaże«, dostarczające prawdziwej rozkoszy artystycznej, i wogóle kładzie nacisk na wielką oryginalność kompozycyi, dla której ma tylko słowa najwyższego uznania. O pełnym entuzyazmu tonie tego krytycznego artykułu najlepsze da pojęcie następujący wyjątek: »Herr Chopin hat das Duet aus Don Juan zum Thema gewählt, nicht blos um Variationem darüber zu schreiben, sondern er hat grade dieses Thema benützt, um das ganze, gewagte, wilde, verwegene und in Liebe schwelgende Leben und Treiben eines Don Juan anzudeuten. Er hat dies, nach meiner Meinung, in den genialsten und kühnsten Zügen gethan, und ich möchte in diesem, wie soll ich sagen, Phantasie-Bravourstück, auch nicht einen Takt entbehren, so charakteristisch scheint mir Alles hingestellt, vom esten Takte der grossen und originellen Introduction an, bis zum letzten, der, von Champagner-Rausch überströmenden Polonaise«. Krytyk z kolei poddaje każdą waryacyę poszczególnemu i drobiazgowemu rozbiorowi, przyczem nieraz posługuje się takiemi wyrażeniami, jak »herrlich gearbeitet«, »sehr denkbar« etc. O ostatniej waryacyi w tempie poloneza pisze Wieck: »Welch schönes, lebendiges, galantes Polonaisen-Thema! Die Fortführung wie reich an harmonischen Wendungen, wie neu«! Chopina nazywa Wieck: »der geistreiche Komponist« i nie szczędzi mu słów najwyższego uznania. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Chopin miał tę recenzyę Wiecka na myśli, kiedy pisał do Wojciechowskiego: »Odebrałem przed paru dniami z Cassel od jednego Niemca, rozentuzyazmowanego temi waryacyami, dziesięcioarkuszową recenzyę, gdzie po ogromnych przedmowach przystępuje do rozbioru onych takt w takt. Tłumaczy, że to nie są *Waryacye,* jak każde inne, tylko, że to jest fantastyczne *tableau.* Na drugą waryacyę mówi, że Don Juan z Leporellem biega, na trzecią, że ściska Zerlinę, a Masetto w lewej ręce się gniewa. Na *Adagio* 5 takt powiada, że Don Juan całuje Zerlinę w *Des-dur!...* Dziwna zaprawdę imaginacya recenzenta, który się uparł koniecznie, aby to drukować w *Revue musicale,* w dzienniku szwagra jego, Fétisa. Poczciwy Hiller... ledwo mię od tego ochronił, mówiąc temu panu szwagrowi, że to zamiast być mi pomocnem, może tylko zaszkodzić«. Rzecz musiała się mieć w ten sposób, że Wieck, nie mogąc artykułu swego umieścić w lipskiej *Allg. Musik. Zeitung,* posłał go w manuskrypcie Chopinowi do umieszczenia (w przekładzie francuskim (w *Revue musicale).* Gdy do tego nie przyszło (dzięki perswazyom Hillera) Wieck postarał się o wydrukowanie artykułu swego gdzieindziej, przerobiwszy go cokolwiek, a zwłaszcza dopisawszy do niego nowy wstęp o autorze *Waryacyj.* Tem się tłómaczy, że artykuł Wiecka, napisany jeszcze w grudniu 1831 r., ukazał się dopiero w kilka miesięcy później. Chopin pisał o nim do Wojciechowskiego w liście z dnia 12 grudnia 1831 roku.

pina; a gdy mu przyszło wskazać największych fortepianowych kompozytorów-wirtuozów ówczesnych, wymienił trzech: Hummla, Moschelesa i Chopina. Kompozycye Chopina, zdaniem Schumanna, równały się »najstraszniejszemu wypowiedzeniu wojny całej przeszłości«. Według Schumana, ostatnie czasy wydały trzech wielkich rewolucyonistów w muzyce: Paganiniego, Chopina i Berlioza, przyczem Berlioza i Chopina oceniał »jako dwóch twórców, najbardziej wyprzedzających teraźniejszość w kierunku romantyzmu«.

W krytyce niemieckiej, w której szeroko i długo, a czasem pedantycznie i nudno, rozpisywano się o poszczególnych kompozycyach Chopina, w miarę, jak wychodziły, pierwsze miejsce należało się recenzyom Schumanna, drukowanym w *Neue Zeitschrift für Musik*. Najlepiej i najoryginalniej pisane, pełne poetycznego polotu, nie były to zwykłe artykuły dziennikarskie, ale artystyczne fantazye, czasem nie pozbawione beletrystycznego zacięcia, głęboko wnikające w tajniki twórczości Chopina, który w nich stale występował, jako »der tiefsinnige« albo der »hochleidenschaftliche Chopin«. Jako genialne charakterystyki muzyki Chopina, pełne uwielbienia dla niego, krytyki te, niepospolite pod każdym względem, aż po dziś dzień nic nie utraciły ze swej świeżości, w chwili zaś, kiedy wychodziły, w okresie czasu między między rokiem 1831—1837, równały się prawdziwym rewelacyom, do których wysokiego dyapazonu mimowoli dostrajała się i większość krytyków muzycznych niemieckich.

Gdy ukazały się pierwsze kompozycye Chopina, wydane po jego osiedleniu się w Paryżu, Schumann w 1834 r. powitał je entuzyastycznie, jako sprawdzenie swej przepowiedni, kiedy jako Florestan, pod wrażeniem *Waryacyj* Op. 2, tyle się spodziewał po ich twórcy.

Czyż można Florestanowi brać za złe, jeśli się tem pyszni, iż pierwszy wprowadził w świat młodzieńca, jakby z nieznanego przychodzącego świata. Patrzcie, jak Chopin ziścił jego przepowiednie, jak zwycięsko wyszedł z walki z filistrami i ignorantami, jakie objawia jeszcze dotąd dążności, jaką prostotę, jaki artyzm! Któżby jednak chciał wyprzedzać rozwój odrębnych właściwości i to jeszcze w tak energicznej naturze, któraby raczej sama siebie zniszczyła, nim-by pozwoliła na to, by jej inni przepisywali prawa! Chopin przebył już rozmaite stadya: najtrudniejsze rzeczy są dla niego dziecięcą igraszką, którą odrzuca, obierając jako prawdziwy artysta to, co jest prostsze.

*Trio G-moll* choć jeszcze należało do młodocianych utworów Chopina, ocenił Schumann, jako »szlachetne nad miarę, tak pełne marzeń, jakich żaden z poetów zresztą nie śpiewał, tak oryginalne w szczegółach i w całości, że w niem każda nuta jest muzyką i życiem«. *Nokturny* uznał Schumann »obok nokturnów Fielda, jako ideały tego rodzaju utworów, jako kompozycye, tak pełne serdeczności i zachwytu, że niepodobna utworzyć dzieła muzycznego, któreby je przewyższało«. Z powodu *Scherza H-moll* nasunęło się Schumanowi pytanie: »Jakże dopiero przystroi się po-



waga, jeśli żart już tak ciemną okrywa się zasłoną?« W największy wszakże zachwyt wprawiły Schumana *Koncerty* Chopina. Oto, co w 1836 roku pisał pod ich wrażeniem:

Są przedmioty, którymi człowiek najczęściej i najchętniej tylko w duchu się zabawia i o których nie mówi i nie pisze, z obawy, że nie potrafi objawić myśli swych odpowiednio godności i ważności zadania podjętego, że nie potrafi zgłębić przedmiotu wszechstronnie, lub dosięgnąć jego wysokości. Takim przedmiotem są dzieła Chopina. Jeśli o nich dotąd mało pisaliśmy, jeśli dotąd nie ujęliśmy w słowa tego uwielbienia, jakie się dostało w udziale Chopinowi w tysiącu serc, to przyczyną tego jest z jednej strony owa obawa, o której powyżej mówiliśmy... Milczenie nasze chwilowe tłómaczy się zresztą tem, że Chopin w swych ostatnich utworach wprawdzie nie inną od dawniejszej, ale szczytniejszą kroczyć poczyna drogą, której kierunek i domniemalny cel dopiero zbadać chcieliśmy, by o nim zdać sprawę naszym czytelnikom. Geniusz tworzy państwo, którego dzielnice z wyższego zrządzenia rozdzielane bywają pomiędzy talenty w tym celu, ażeby takowe, każdy przydzieloną sobie cząstkę, co do szczegółów organizowali i wykończali, tem samem, ażeby podjęli pracę, która dla geniuszu, wśród jego wszechstronnej twórczej czynności jest niemożebna. Jak np. przedtem Hummel poszedł za głosem Mozarta, by myśli mistrza ubrać w powiewną, a więcej błyskotliwą szatę, tak Chopin poszedł za głosem Beethovena. Czyli nieobrazowo: jak Hummel styl Mozarta, ku rozkoszy jednostek, ku rozkoszy wirtuozów w pewnym zużytkował instrumencie, tak Chopin wprowadził ducha Beethowenowskiego do sali koncertowej. Chopin nie wystąpił z armią orkiestralną, jak wielcy geniusze; on dowodzi nieliczną tylko garstką, ale ta oddaną mu jest w zupełności; każdy w tej garstce, aż do ostatniego, to bohater. Naukę zaś pobierał u najpierwszych mistrzów, u Beethovena, Schuberta, Fielda. Możnaby powiedzieć, że pierwszy uzbroił jego ducha w śmiałość, drugi jego serce przepełnił miłością, a trzeci udzielił biegłości jego ręce. Tak uposażonego, z głębokiemi wiadomościami sztuki, świadomego swej siły, uzbrojonego w odwagę, widzimy Chopina, gdy w 1830 r. zabrzmiał wielki głos narodów na zachodzie. Setki młodzieży czakały na tę chwilę; lecz Chopin był jednym z pierwszych na wałach, poza którymi w śnie pogrążeni spoczywali karłowaci filistrowie i tchórzliwa restauracya. Jakże raźnie padały cięgi w prawo i w lewo; filistrowie zbudzili się i krzyczeli w złości: »Patrzcie na tych zuchwalców!« Inni zaś w tyle atakujących wołali: »Co za wspaniała odwaga!« Do takiego korzystnego zbiegu czasu i okoliczności dodał los jeszcze coś, czem Chopin odznacza się od innych i co go czyni zajmującym, t. j. dał mu potężną i odrębną narodowość, mianowicie narodowość polską. Narodowość ta, która obecnie w czarnej chodzi szacie żałoby, tem potężniej i gwałtowniej porusza nasze serca w osobie marzącego artysty. Szczęście jego, że mu w pierwszej chwili neutralne Niemcy nie bardzo przypadły do smaku i że go duch jego opiekuńczy uniósł wprost do jednej ze stolic świata, gdzie mógł dowolnie poetyzować i nie zżymać się. Gdyby bowiem samowładny potężny monarcha Północy wiedział, jak niebezpieczny wróg grozi mu w dziełach Chopina, w pełnych prostoty melodyach jego *Mazurków*, zakazałby pewnie tę muzykę. Dzieła Chopina, to ukryte wśród kwiecia armaty. Tem jego pochodzeniem, losami jego ojczyzny, tłómaczą się jego przymioty i błędy. Jeśli jest mowa o marzycielstwie i wdzięku, o przytomności umysłu, zapale i szlachetności, któżby nie myślał o nim; tak samo jednak, gdy jest mowa o dziwactwie, chorobliwej ekscentryczności, a nawet o nienawiści i dzikości! Takiem piętnem najwybitniejszej narodowości nacechowane są wszystkie dawniejsze poematy Chopina. Sztuka jednak stawiała wyższe żądania. Drobny interes ziemi, na której się artysta urodził, musiał ustąpić i paść ofiarą interesu ogólno-światowego; i oto w dziełach jego nowszych zaciera się już fizyognomia specyalnie sarmacka, wyraz jej z czasem przechylać się zacznie ku owemu ogólnemu ideałowi, za którego twór-

ców oddawna uważani są przez nas boscy Grekowie, tak, że ostatecznie Chopin, jakkolwiek inną drogą, ale do tego samego dojdzie celu, co Mozart. Powiedziałem »z czasem«, zupełnie bowiem nie powinien i nie zaprze on się swego pochodzenia. Lecz im więcej odeń się oddali, tem większem będzie jego znaczenie dla sztuki wogóle.

Pierwszorzędnego dla tej sztuki znaczenia, i to znaczenia wprost przełomowego, były, zdaniem Schumana, dwie serye *Etiud* Chopina, zwłaszcza pierwsza z tych seryi, którą Schumann stawiał wyżej od drugiej. Obie zaś jak się wyraził, »budzą zajęcie nie tylko ze stanowiska technicznego, ale i swą fantastycznością«. Oto jego opinia o nich, z powodu wyjścia *Etiud* Op. 25, pisana niby przez Euzebiusza, który te *Etiudy* włączył do swej kolekcyi arcydzieł muzyki fortepianowej:

Jakżeby mógł w naszem muzeum brakować Chopin, na którego już tylekroć wskazywaliśmy, jak na rzadko ukazującą się gwiazdę wśród późnej nocy. Kędy jej droga, dokąd zdąża, jak daleki jej cel, jak świetny, któż to może wiedzieć? Ilekroć się jednak ukazała, odznaczała się zawsze tym samym głębokim żarem, tem samem jądrem światła, tą samą potęgą, po których i dziecko mogłoby je odróżnić... Lecz pocóż się przydały wszelkie opisy? Wszak wszystkie etiudy świadczą o jego śmiałej potędze twórczej; są to prawdziwe utwory poetyckie, w szczegółach nie bez drobnych plam, w całości jednak potężne i porywające. Mamli być otwartym, to wyznam, że dawniejszy wielki zbiór, opus 11, wydaje mi się wogóle donioślejszym. Wcale jednak nie należy z tego wnioskować, jakoby artyzm Chopina uległ uszczupleniu, jakoby on się cofał; prawie wszystkie bowiem wydane obecnie *etiudy* powstały równocześnie z dawniejszemi, a tylko niektóre zawdzięczają żywot swój czasom ostatnim, i to właśnie te, z których przebija większe mistrzowstwo, jak np. pierwsza w *As* i przepyszna ostatnia w *C-moll*. Zaprzeczyć się wprawdzie nie da, że Chopin teraz wogóle mało tworzy, a dzieł większych rozmiarami wcale nie; winą tego zdaje się być po części roztargniający Paryż. Wolę jednak przypuścić, że po tylu burzach we wnętrzu artysty potrzebny mu jest bez wątpienia jaki taki spoczynek, po którym ze wzmożonemi siłami tem spieszniej zdążać będzie ku więcej oddalonym słońcom, z których coraz nowe odkrywa nam geniusze.

W tym tonie były przez długi czas wszystkie Schumana artykuły o Chopinie. Podobnym tonem, z tą różnicą jedynie, że bez romantycznego zabarwienia recenzyi Schumanna, a za to naszpikowane ciężką erudycyą muzyczną, ale zawsze z najwyższem uznaniem dla geniuszu Chopina, odznaczały się i inne artykuły o jego kompozycyach, pomieszczane w czasopismach muzycznych niemieckich. Prym tu trzymała lipska *Allgemeine Musikalische Zeitung*, redagowana przez G. W. Finka, a wydawana, przez firmę Breitkopfa i Härtla. Od 1829 roku interesowano się tu Chopinem, śledząc jego rozwój i twórczość, tym zaś, który stale pisał o nim, analizując jego utwory (wydawane w znacznej części przez Breitkopfa i Härtla), był sam Fink. Były to formalne studya analityczne, bardzo obszerne nieraz, a zawsze pełne admiracyi i podziwu, choć czasem nie bez zastrzeżeń. Oto np. w jaki sposób pisał Fink, zdając sprawę z *Nokturnów* Op. 27. Można w nich, jego zdaniem, znaleźć wszystko to, co stanowiło oryginalność i innych



kompozycyj Chopina, a po czem je pozna tak łatwo; te same boleśnie podniecające wiązania akordów, te same cudnie melodyjne przejścia, te same szybkie i niespodziewane używania dysonansowe, etc. »Jest to sen, idący w jakiś zawrotny taniec z tęsknotą, która sobie upodobała cierpienie, ponieważ radości, którą ukochała, odnaleźć nie może«. Jest w tych utworach »jakiś bajeczny urok« (ein märchenhafter Reiz), coś z tego uroku, którym zwykł nęcić król elfów, oraz jego córy. »Są to fantastyczne rojenia, jedne z tych, co to się zwykły snuć po gajach przy nikłym blasku gwiazd«. Analizując *Balladę G-moll*, wyraził się Fink, iż jest to utwór, który o ile nie odrazu podoba się po jednorazowem usłyszeniu, o tyle zyskuje coraz bardziej, gdy go się słyszy kilkakrotnie. Na to jednak, by w niej zasmakować, trzeba ją słyszeć w interpretacyi doskonałego pianisty, gdyż do zagrania, a zwłaszcza do zrozumienia, t. j. do odczucia, wcale nie jest łatwa. O *Polonezach* Op. 26 pisał Fink, że mu pierwszy, *Cis-moll*, wydaje się piękniejszym, aniżeli drugi *Es-moll*, będący »nietyle polonezem, ile raczej jakąś fantazyą w tempie *alla Palacca*. »Nie brak tu ustępów pięknych, którymi z pewnością będą się zachwycali przyjaciele i wielbiciele autora, ale są i takie miejsca, które rażą zbytnim barokiem. O wiele jednolitszym, bardziej zaokrąglonym, choć pełnym zmiennych kontrastów w nastrojach, to namiętnych to rzewnych, jest polonez pierwszy«. Oto zaś, co tenże Fink napisał pod wrażeniem pierwszej seryi *Etiud* Op. 10: »Gdyśmy to dzieło pierwszy raz do ręki wzięli, zdawało się nam, żeśmy jakiegoś ciemnego mniejsca dostrzegli. Panował tam jakiś dziwny ruch, ruch jakby duchów w wirze raz na dół drugi raz do góry przesuwających się; ujrzeliśmy się nagle w krainie duchów. Powoli jednak zaczęliśmy przezierać coraz wyraźniej, a obrazy nocy i zmierzchu ukazywały nam się o tyle, o ile to z ich naturą się zgadzało; śmiałe jak bohaterów cienie, zaczepiające i pieszczone, jak sny z otchłani Acherontu, dziwne, olbrzymie, jak wężonośne giganty, rzadko tylko księżycem omglone, mięszały się z fantastycznemi grupami, w locie duchów, bez ładu i spoczynku, a mimo to była w tem wszystkiem jedność. Romantyczne to więc ćwiczenia, nowe i doskonałe. Łatwo pojmujemy, jak to prawdziwie jedyne w swoim rodzaju cudowne zjawisko uderzy elektrycznie fortepianistów, i że za najwznioślejsze i najdoskonalsze od nich uważane być musi«.

Analogiczne stanowisko względem kompozycyi Chopina, pełne uznania, a czasem i admiracyi, jakkolwiek nie bez krytyki, zajął wychodzący w Wiedniu, a przez Haslingera wydawany *Allgemeiner Musikalischer Anzeiger*. Godząc się na oryginalność utworów Chopina, na ich narodowy charakter, zwłaszcza w *Mazurkach*, recenzent tego pisma, snać usposobiony klasycznie, nie mógł się zgodzić na wiele »ekscentryczności« w muzyce chopinowskiej; raziły go »karko- i palcołomne trudności«, cechujące większość kompozycyj Chopina, nie mógł się pogodzić z innemi »nowemi«

harmoniami, które jego zdaniem, »z trudnością mogą być nazwane pięknemi i zgodnemi z zasadami estetyki«. Wogóle »nierzadko z barokiem graniczący sposób pisania« Chopina budził niejakie wątpliwości w jego wiedeńskim krytyku, co jednak nie wykluczało wyrazów najwyższego podziwu. Tak np. bezwzględnemi pochwałami wyrażał się o dwu seryach *Etiud*, które uważał za najwybitniejsze ze wszystkiego, co aż do ich ukazania się wyszło z pod pióra Chopina, oraz za najświetniejsze ze wszystkich kolekcyj *Etiud* fortepianowych, jakie się ukazały wogóle.

Krytykiem atoli, który w Niemczech najpilniej śledził za twórczością Chopina, był redaktor i wydawca berlińskiej *Iris im Gebiete der Tonkunst*, Ludwik Rellstab, najpedantyczniejszy z Zoilów. Mierny, jako twórca różnych powieści, nowel, dramatów i librett operowych, miał wielką powagę, zwłaszcza w Berlinie, jako poważny krytyk muzyczny, przyczem cieszył się sławą krytyka surowego i bezwzględnego, zarówno w pochwałach, do których nie był skory, jak w naganach, do których miał predylekcyę. W każdym razie był to krytyk, z którego zdaniem liczono się w Niemczech, na co zresztą, jako uczciwy człowiek, bardzo wykształcony muzykalnie, w zupełności zasługiwał. Niestety, był to zatwardziały klasyk i konserwatysta w muzyce, dla którego Beethoven był jej ostatniem słowem. A przytem był to zakuty Prusak, odznaczający się wrodzoną niechęcią do Słowian wogóle, a do Polaków w szczególności.

Że tak było, tego dał dowód zaraz w swej pierwszej recenzyi o Chopinie, pisząc o jego *Waryacyach* Op. 2 »Herr Chopin — słowa są Rellstaba — ist muthmasslich ein Pohle, wenigstens darf man es vermuthen, denn er hat sein Werk einem Pohlen dedicirt, wenn man auch den Wandalismus, den er gegen die Mozartsche Melodie begangen hat, nicht zu den Kennzeichen rechnen wollte, dass das Werk aus einem rohen Slavischen Völkerstamme hervorgewachsen ist«. Ztąd, zdaniem berlińskiego krytyka, utwór Chopina, grzeszący nadmiarem ornamentacyi i figuracyi, zbytkiem pasażów i trylów — der Componist das Thema beinahe mit Läufern uberläuft und in der Trillerkette erdrosselt aufhängt — równał się barbarzyńskiemu sprofanowaniu tematu Mozarta. Gdy wyszły *Mazurki* Op. 7, Rellstab, snać z góry źle uprzedzony do Chopina, osądził je niemniej surowo, pisząc o nich, między innemi, jak następuje: »W tańcach nienaturalny, w uganianiu się za rozdzierającymi uszy dysonansami, za wymuszonemi przejściami, za rażącemi modulacyami, za nieznośnemi wykręcaniami melodyi i rytmu, jest on wprost niestrudzonym, a nawet, gotowiśmy przyznać, niewyczerpanym. Wszystko, na cokolwiek tylko wpaść można, zostaje wywleczonem na wierzch, a wszystko dla uzyskania efektu dziwacznej oryginalności, co na razie zasadza się na najniezwyklejszych tonacyach, na najnienaturalniejszych pozycyach akordów«. W tym stylu była cała recenzya, zakończona następującym retorycznym efektem: »Gdyby pan Chopin kompozycyę tę dał do przejrzenia jakiemuś mistrzowi, to prawdopodobnie rzuciłby mu ją rozdartą pod nogi, co też i my niniejszem symbolicznie uczynić pragniemy«. Równie brutalnie obszedł się Rellstab z *Nokturnami* Op. 9, które podobnież odsądził od wszelkiej wartości muzycznej. »Gdzie Field się uśmiecha — pisał między innemi — tam pan Chopin krzywi się grymaśnie (macht eine grinsende Grimasse), gdzie Field wzdycha, tam pan Chopin jęczy, gdzie Field wzrusza ramionami, tam pan Chopin garbi się (macht einen Katzenbuckel), a jeśli Field dosypuje nieco korzeni do swej potrawy, to pan Chopin sypie w nią zaraz całą garść pieprzu tureckiego... Krótko mówiąc, gdybyśmy urocze romanse Fielda postawili przed wklęsłem wykrzywiającem zwierciadłem, w ten sposób, iż każde wykwintne wyrażenie zmieni się w ordynarne, to otrzymamy wtedy... utwór Chopina. To też zaklinamy go, niechaj powróci do natury!«



W styczniu 1835 r. napisał Rellstab krótką recenzyę o *Douze Grandes Etudes* Chopina, a jak z niemi obszedł się niemiłosiernie, tego małą próbką była następująca konkluzya: »Specyalna recenzya o 12 nowych apostołach, których pan Chopin wysłał w świat w postaci tych 12 sztuk, niech nam będzie darowaną, i niech wystarczy ta wcale niepotrzebna uwaga, że kto ma wykoszlawione palce, ten je zdoła znowu etiudami temi naprostować, kto jednak nie jest w tem położeniu, ten powinien bardzo się wystrzegać i nie grać ich, o ile nie ma w pobliżu panów von Gräfe albo Dieffenbacha (znanych chirurgów)«.

W tym samym numerze *Iris*, co powyższy rozbiór *Etiud* Op. 10, wydrukował Rellstab następujący list, przysłany mu, jak zapewnił, z Lipska.

P. P.

Sie sind ein recht schlechter Mensch, und nicht werth, das Sie Gottes Erdboden kennen *(sic)* noch trägt. Der König von Preussen hätte Sie sollen auf der Festung sitzen lassen; er hätte dann der Welt einen Rebellen, einen Ruhestörer, und einem schändlichen Menschenfeind entrückt, der wahrscheinlich noch einmal in seinem eigenen Blute ersticken wird. Eine Unzahl (oder Anzahl; das Manuscript ist undeutlich) Feinde nicht nur in Berlin, sondern in allen Städten, die ich auf meiner Kunstreise im verflossenen Sommer berührt habe, habe ich bemerkt, besonders recht viel hier in Leipzig, wo ich Ihnen dies zur Nachricht schreibe, damit Sie künftig Ihre Gesinnung ändern und nicht zu lieblos gegen andere Menschen handeln. Noch einmal ein schlechter, schlechter Streich, u. es ist um Sie geschehn! Verstehen Sie mich, Sie kleiner Mensch, Sie lieblosor und parteiischer Recensentenhund, Sie musikalischer Schnurrbart, Sie Berliner Witzmacher, etc.

Allerunterthänigster

*Chopin.*

Że tego nie napisał Chopin, to nawet Rellstabowi wydało się nie ulegającem wątpliwości. Jakoż, drukując to pismo ku uciesze czytelników w *Iris*, opatrzył je następującą od siebie uwagą: »Czy list ten napisał sam pan Chopin? Nie wiem i nie chcę tego twierdzić, drukuję zaś tutaj doku-

ment rzeczony w tym celu, ażeby dać p. Chopinowi możność przyznać się do niego lub też go się wyprzeć... W każdym razie póki będzie produkował takie poronione płody, jak będące w mowie *Etiudy*, które tu omówiłem gwoli rzetelnego rozweselenia mych wszystkich przyjaciół, a w pierwszym rzędzie fortepianistów, póty będziemy z nich śmiać się tak samo jak z tego listu«.

Chopin oczywiście nie raczył odpisywać na to Rellstabowi, uważał bowiem, że list, w najwyższym stopniu nieudolny pod każdym względem, najlepiej świadczył przeciwko jego autorstwu. Lecz kto go mógł napisać? Podobno, iż autorem jego był Fryderyk Wieck. Nie można za to ręczyć, ale jeśli tak było w istocie, to mu Chopin nie potrzebował być wdzięcznym za nieproszone wyświadczenie tak iście niedźwiedziej przysługi. Bądź co bądź, w Warszawie, w rodzinie Chopina, gdzie miano wiadomości o krytykach Rellstaba, niewątpiono ani na chwilę, że list do redaktora *Iris*, choć podpisany nazwiskiem Chopina, nie wyszedł z pod pióra Fryderyka; a kiedy tenże doniósł rodzicom, że już znalazł się człowiek, notabene przyjaciel Rellstaba, który zamierza odpowiedzieć na jego antichopinowskie paszkwile, Mikołaj Chopin, odpisując synowi do Paryża, tak mu w tej kwestyi pisał między innemi: »Bardzo mnie cieszy, żeś wypadkiem spotkał przyjaciela najzawziętszego Twego krytyka, i że ma on zamiar pisać, ażeby zaprzeczyć temu, co mówiono o Tobie i kompozycyach Twoich; utrzymywano nawet, żeś na to odpowiedział w liście, pisanym bardzo nędznie po niemiecku, którego delikatność tyleż była warta, co i język. Zdaje się, iż ci panowie nie wiedzą o tem, żeś odebrał porządne wychowanie i żeś się zajmował nietylko odczytywaniem nut. Jestem najmocniej przekonany, że milczysz w tej sprawie; utwory Twe dosyć głośno przemawiają za Ciebie, skoro inni chcą Cię naśladować, pomimo starej rutyny, do jakiej byli przyzwyczajeni, a to wiele znaczy. Staraj się i nadal, mój drogi, doprowadzać tych Zoilów do ostateczności, dowodząc im, iż sztukom granic zakreślać nie podobna«.

Krytyki Rellstaba, zwalczające twórczość Chopina, szybko wywołały reakcyę, a pierwszym, który publicznie zaprotestował przeciwko nim, był Karol August Kahlert, przyjaciel Schumanna, doktor filozofii, sam kompozytor, zapalony romantyk w muzyce. Zdaje się, iż jego to miał Chopin na myśli, gdy pisał o owym przyjacielu Rellstaba, którego poznał przypadkiem, a który go miał wziąść w obronę przed srogim i uprzedzonym redaktorem *Iris*. Bądź co bądź, replika Kahlerta, zrobiła swoje w Niemczech, a bardzo trafiła do przekonania warszawskim przyjaciołom i rodzinie Chopina. Oto, co w tej mierze pisała doń siostra jego Izabella (świeżo zaręczona z Antonim Barcińskim): »Czytałam odpowiedź Kahlerta na recenzyę Rellstaba; bardzo mi się podobała. Opisał Cię od dzieciństwa, jakżeby najlepiej znał Twe stosunki; nic nie skłamał, o charakterze pisze bardzo pochlebnie (chociaż prawdę), wykształceniu moralnemu i umysłu przypisuje Twój talent i t. p. W końcu umieścił przypisek, że czytał Twą odpowiedź w *Iris*, i zaręcza, że to nie Ty pisałeś; wówczas bowiem żałowałby, nie tego, że stanął w Twojej obronie, ale tego, co wyżej o Twym charakterze powiedział. Cieszy mnie, że Niemcy już z tego stanowiska się zapatrują na talenta; we wszystkiem postęp widzę. Kahlert, widać człowiek ogólnie wykształcony, pojmuje Ciebie, pojmuje ducha wieku. Jeżeli tego nie czytałeś, staraj się, bo by warto było«. Jak dalece Rehlstab był odosobniony ze swemi napaściami na Chopina, jak tem wywołał oburzenie w sferach muzycznych w Niemczech, zwłaszcza w Lipsku, tego pozwalały się domyślać artykuły Schumanna, który, godząc w redaktora *Iris*, tak raz pisał w sprawozdaniu z *Koncertu E-moll* Chopina: »Jeśli macie przeciwników, młodzi artyści, to cieszcie się z tego objawu potęgi waszego talentu i uważajcie ją za tem znaczniejszą, im zaciętsi przeciwnicy wasi. Ich rzucanie się na kierunek, reprezentowany przez Chopina, to nędzne »uśmiechanie się z pod maski«, to zwykłe »spoglądanie okiem pełnem sztyletów«. Ale nie należy zwracać na to uwagi. »Cóż bowiem jest cały rocznik dziennika muzycznego w porównaniu z *Koncertem* Chopina, co szaleństwo głupca w porównaniu z ekstazą poety«, i to takiego poety, jak Chopin, tworzącego arcydzieła, »którym nikt nie jest w stanie dorównać i których tylko rąbku ustami dotykać należy«. Skoro tryumfem i ostatecznym celem dobrego dziennika powinno być dojście do tego, by go z nudy nikt nie czytał, by świat z powodu nadmiaru produktywności nie chciał nic wiedzieć o jakichkolwiek pismach w tym przedmiocie, skoro rzetelnych krytyków najwyższą dążnością powinno być, by się stali zbytecznymi, skoro wedle tego najlepszym sposobem mówienia o muzyce jest... milczenie; to pocóż pisać o Chopinie, dlaczego zmuszać czytelników do nudów »dlaczego nie czerpać wprost ze źródła, dlaczego nie grać samemu?«

Niestety zawzięty Rellstab nie dał się przekonać wywodom Kahlerta i Schumanna, przeciwnie, jakby rozdrażniony niemi, z jeszcze większą zaciekłością znęcał się nad każdą z świeżo ukazujących się kompozycyi Chopina. W ten sposób, w ciągu 1834 r., osądził — a raczej odsądził — *Koncert E-moll*, *Nokturny* Op. 11, *Waryacye* Op. 12, *Fantazyę* Op. 13, *Rondeau* Op. 16; w ten sposób, w ciągu 1835 r. ocenił *Bolero* Op. 19, a choć dla *Walca* Op. 18 i *Mazurków* Op. 17, znalazł obok uszczypliwych docinków, także i kilka słów pochwały, to jednak, na ogół, pomimo znacznie złagodzonego tonu swych recenzyj o dziełach twórcy *Koncertu E-moll*, nie mógł się pogodzić z »wyszukanemi dziwactwami« Chopina. Oto np w jaki sposób w październiku 1836 r., napisał o jego *Koncercie F-moll:*

Nowy *Koncert* Chopina, wobec uznania i wpływu, jaki sobie kompozytor ten zdobył w dziedzinie muzyki fortepianowej, jest zjawiskiem ważnem, któremu i redaktor *Iris* przypatruje się z zajęciem. W *Etiudzie* i *Koncercie* są trudne zadania na swem właściwem

miejscu. Nie chcemy przez to powiedzieć, że wszelki rodzaj trudności może tu być pochwały godnym. Tyle tylko, że *Etiuda* jest dziedziną, gdzie celem jest nauczenie się rzeczy trudnej przez pokonanie rzeczy trudnych, gdy w *Koncercie* chodzi o pokazanie, że się już nad wszelkiemi trudnościami technicznemi panuje. Znaczy to, że nie można kompozytorowi czynić zarzutu, gdy, pisząc *Koncert,* przeznaczony dla wirtuozów, nie cofa się przed trudnościami, wymagającemi specyalnej biegłości technicznej. Będące w mowie dzieło, w tonie *F-moll,* jest, jak to było do przewidzenia, bardzo trudne, mimo to, czy to dzięki temu, że oko, które podobnie jak ręka wprawia się stopniowo, już się przyzwyczaiło do czytania chopinowskich kompozycyj, czy też, że i tu zaczynają się powtarzać dawniejsze zwroty, czy wreszcie, że autor, już nie w tym stopniu, co zwykle, podoba sobie w uganianiu się za możliwie rzadkiemi i trudnemi kombinacyami, dość że *Koncert* ten przeglądaliśmy już nie bez pewnego zadowolenia, tak dalece, że bynajmniej nam się nie wydał równie sztucznym, jak wiele poprzednich prac tego kompozytora. Niezależnie od tego zadaje p. Chopin swym wykonawcom — jak to się łatwo da wyrozumieć — wciąż jeszcze nadzwyczaj trudne i niezwykłe zagadki do rozwiązania. Rzadko spotka się tu pasaż, jakim posługują się i inni również; nie pozbył się też autor predylekcyi do bardzo ściśniętych pozycyj i niełatwych akordów. Atoli nie jest to żadna niespodzianka w kompozycyi Chopina, z góry obliczonej na to, żeby podobnemi rzeczami jawnie błyszczeć, a nawet wprawiać w zdumienie. Nie będziemy przeto dłużej się nad tem rozwodzić, chyba, gdyby nas do tego skłonił jaki nadzwyczajny wypadek. Przyjrzyjmy się zatem bliżej kompozycyi, jako takiej. Nastręcza to jednak pewne trudności, mamy tu bowiem do czynienia z dziełem, skomponowanem także i na orkiestrę, a raczej z partyą orkiestrową, która w stosunku do całości wcale nie gra roli podrzędnej. Część fortepianowa jednak, co także da się powiedzieć i o orkiestrze, ułożona jest w sposób bardzo sobie wystarczający, tak, że istotne właściwości utworu dadzą się na jej podstawie poznać całkiem dokładnie. Przedewszystkiem musimy przyznać, że *tutti* bardzo nam się w całości podobało; panuje w niem od początku do końca bardzo szlachetny styl; wprawdzie harmonia nie jest całkiem pozbawiona tego, co się mianem rzeczy szukanych określa, ale za to brak w niej zupełnie zwrotów trywialnych; przeciwnie, i przez nią również wypowiada się jakieś wyższe poczucie artystyczne. Efekty rytmiczne często są bardzo ładne. Wolelibyśmy przecież znajdować tu i ówdzie ślady przynajmniej jakiej poważniejszej pracy; o ile bowiem autor bardzo starannie prowadzi głosy w części solowej, a to gwoli pięknym efektom, o tyle w *tutti* nie zadawał już sobie takiego trudu. Wszystkie części solowe, będące w wirtuozowskim koncercie rzeczą główną, noszą na sobie również piętno wytwornego smaku, pomimo, że nie jest on całkiem wolny od rozmaitego rodzaju dziwactw, ani zdaje się hołdować zasadzie prostoty (nikt nie wierzy, by zasada ta mogła być nieskończenie ważna dla sztuki). Piękna wyrównana gra jest tu bezwarunkowo konieczna, bo tylko ona umożliwi znaleźć dla całości właściwy punkt widzenia, pozwalający, jeśli się tak wyrazić wolno, wszystkim promieniom utworu skoncentrować się w jednem ognisku wrażenia. Prócz tego znajdujemy tu mnóstwo czystych pasażów, kilka w najwyższym stopniu wykwintnych i efektownych upiększeń, szereg subtelnie i inteligentnie pomyślanych kombinacyj w prowadzeniu głosów; szczególniej jednak dba autor o to, by ani jednego palca nie pozostawić w bezczynności, przeciwnie, by każdemu raz po raz przysporzyć niezależnie od głównej roboty jeszcze i jakąś małą robótkę poboczną. Jednem słowem, *Koncert* ten jest zajmujący bardzo; szkoda tylko, że niema w nim prawdziwej budowy, że jest on raczej nagromadzeniem trudnych szczegółów, a nie tworzy jednej, jednolitej, obmyślanej całości. Nawet w poszczególnych rozdziałach uderza tu ten brak wyższego ukształtowania form, tak dalece, że nawet w pasażach niema tego, cośmy konstrukcyą okresów nazywać zwykli, a co np. Dussek umiał robić tak pięknie.



Krytyka ta była bardzo znamienna dla swego autora; bo choć pstrzyła się od zastrzeżeń i zarzutów (czasem słusznych nawet), to jednak oznaczała zwrot w zapatrywaniach Rellstaba na twórczość Chopina; jeszcze się z nią nie mógł pogodzić, ale już w niej dostrzegał rzeczy piękne. Było to bardzo wiele jak na początek.

Niemniej charakterystycznym był fakt, że w ciągu dwu lat następnych, przez cały rok 1837 1838, choć w tym okresie czasu ukazał się cały szereg nowych kompozycyi Chopina, Rellstab nie napisał o nich w *Iris* ani słowa. Milczał. Ale to milczenie miało swoją wymowę; świadczyło bowiem, że Rellstab zwolna podlegał zasadniczej metamorfozie w swych poglądach na dzieła Chopina, metamorfozie, która była ewolucyą, a która zasadzała się na tem, że właściwie nie pozostawało mu nic innego, tylko zaprzeczyć wszystkiemu, co dotąd w *Iris* pisał o Chopinie. Równało się to wielkiej ofierze z osobistej ambicyi i miłości własnej, bo szło w parze z pewnem upokorzeniem, ale uczciwość nakazywała uczynić to wyznanie, zdecydować się na takie publiczne *mea culpa.* Jako człowiek uczciwy, a tym był zawsze, Rellstab nie miał innego wyjścia z danej sytuacyi, tylko wyznać otwarcie, *coram populo,* że i on w końcu nawrócił się w stosunku do Chopina, że to, co dawniej mu nie podobało się w jego muzyce, teraz go wprawia w podziw, że to, co w niej dawniej uważał za dziwactwa, w tem obecnie widzi rzeczy nowe.

Wyznanie to, pięknie świadczące o jego szczerości i uczciwości, jako krytyka, uczynił Rellstab dnia 5 lipca 1839 r. w *Iris,* z powodu nowej edycyi drugiego *Nocturnu* Chopina. Już sam początek recenzyi, mającej oznaczać zwrot w stosunku do Chopina, odrazu musiał dać do myślenia. »Czy myśmy się zmienili — zapytywał się krytyk — czy zmienił się kompozytor, czy też zmieniły się czasy, czy wreszcie stwierdza się prawdziwość starego przysłowia: Tempora mutantur et nos mutamur in illis?« Co pewna, że Rellstab, kiedy mu wypadło określić wrażenie, jakie na nim teraz uczynił pomieniony *Nokturn* Chopina, był jak człowiek, który długo przebywając w atmosferze, która mu zrazu wydawała się duszną i nie do zniesienia, nie wiedział w końcu, czy w tej atmosferze zaszła jakaś zmiana na korzyść, czy też jego płuca oswoiły się z nią ostatecznie? Tak postawiwszy kwestyę, nie wahał się przyznać z całą otwartością, że nie umiał zdać sobie sprawy należycie, co się stało właściwie: czy tak wogóle już się przywykło do wszelkich nadzwyczajności w zakresie palcowania i harmonii, że to samo, co przed 6—8 laty raziło i gniewało (a przeciwko czemu on występował w gwałtownych polemikach), teraz przestało uchodzić za coś niezwykłego, czy też cała sprawa nie przedstawiała się tak źle, że tylko jemu wydawała się taką? Bo gdy pierwsze kompozycye Chopina, jego *Nokturnów* nie wyłączając, uważał za tak trudne i dziwaczne, iż nie przypuszczał, by podobny rodzaj mógł się rozpowszechnić kiedykolwiek, to dziś ten sam

*Nokturn,* który wtedy osądził tak surowo, wydawał mu się stosunkowo łatwym pod każdym względem, bardzo ładnym i melodyjnym, gładkim i płynnym, znacznie wzbogacającym i urozmaicającym prototyp stworzony przez Fielda. Stwierdziwszy fakt, że po Chopinie, który stworzył legion naśladowców, jego rodzaj i styl mniej stał się odosobniony i jedyny, zakończył Rellstab w ten sposób:

Nichts desto weniger klingt das Notturno von Chopin sehr schön, hat zum Theil einen Charakter, den der Italiener innocente zu bezeichnen pflegt, ist graziös verziert, mit feinen harmonischen Gewürzen bereitet. So mag es denn mit Recht als ein Mithelfer an dem Glanz des berühmten Namens des Componisten betrachtet und demgemäss in der musikalischen Welt begrüsst werden.

Był to ostatni artykuł Rellstaba w *Iris* o Chopinie. Co prawda, był to też i przedostatni rok jej istnienia; w 1841 r. *Iris* przestała wychodzić, to zaś, co Rellstab napisał przy zamknięciu pisma, żegnając się ze swymi czytelnikami, było pisane jeżeli nie z myślą o Chopinie wyłącznie, to w każdym razie niewątpliwie z myślą i o Chopinie także. »Habe ich einige treue Leser gehabt — pisał między innemi — so will ich zufrieden und dankbar sein. Ich habe mit Ernst geeifert, ich habe den Scherz geübt; ich habe oft geirrt, doch die erkannten Irrthumer auch bekannt; ich weiss, man wird mir viel zu vergeben haben, doch ich hoffe auf diese Vergebung, weil ich mir eines Strebens sicher bewusst bin, nur um der Wahrheit Willen gesprochen zu haben, so dass ich auch im Irrthum wenigstens die Aufrichtigkeit bewahrte«.

Tak było istotnie, w stosunku do Chopina przedewszystkiem. Czując, że mu swemi namiętnemi krytykami zrobił krzywdę, tem większą, że go zwalczał w samych początkach, wtedy, gdy Chopin dopiero wstępował na drogę sławy, Rellstab zdecydował się... pójść do Kanossy! Wybierając się w 1843 r. do Paryża, postanowił przedstawić się Chopinowi, by mu tym sposobem wyrazić swój hołd. W tym celu prosił Liszta, by mu dał list polecający do Chopina. W oryginale pisany po francusku, list ten, nie bez delikatnej aluzyi do dawnych nieprzyjaznych stosunków między Rellstabem a Chopinem, brzmiał jak następuje:

Niema najmniejszej potrzeby pośrednika między Rellstabem a Tobą, drogi, dawny przyjacielu. Rellstab jest człowiekiem nazbyt dystyngowanym, a co się Ciebie tyczy, to jesteś zbyt dobrze wychowany, ażebyście się nie mieli porozumieć wybornie i odrazu (o tyle, o ile zazwyczaj artyści z krytykami są porozumiewają); ponieważ jednak Rellstab robi mi tę łaskę i przyjmuje odemnie słów kilka, proszę go o szczególniejsze przypomnienie mojej osoby pamięci Twojej i chcę skorzystać z okazyi, ażeby powtórzyć, choćbym Ci się nawet wydał monotonnym, że życzliwość i uwielbienie moje dla Ciebie będą zawsze jednakowe i że możesz rozporządzać mną, jak przyjacielem, we wszystkich okolicznościach.

*F. Liszt.*



Łatwo sobie wyobrazić scenę w pierwszej chwili nieco kłopotliwą dla obu stron, jaka się rozegrała u Chopina, gdy mu zaanonsowano wizytę Rellstaba; w każdym razie skończyło się na tem, że Rellstab szczerze się zapisał w poczet wielbicieli Chopina, co dla twórcy *Etiud,* niegdyś »symbolicznie« rozdzieranych przez redaktora *Iris,* po dawnych goryczach niewątpliwie musiało być bardzo słodkim tryumfem!

Krytyka muzyczna francuska, wypowiadająca się głównie w *Revue musicale* Fétisa, a następnie w schlesingerowskiej *Gazette musicale,* bardzo życzliwie od samego początku odnosiła się do Chopina. Wszystko, co wychodziło z pod jego pióra, a było wydane przez Schlesingera, było omawiane krócej lub dłużej, stale w tonie pochwalnym; raz dlatego, że koło *Gazette musicale* grupowała się koterya artystyczna, z którą Chopin był związany najściślej, a powtóre, że w piśmie, którego wydawcą był Maurycy Schlesinger, nie godziło się krytykować nakładów tegoż Maurycego Schlesingera. To były względy decydujące, które sprawiały, że o to, co o jego kompozycyach napisze *Gazette musicale,* Chopin mógł być spokojny. Nie znaczy to jednak, by do tych krytyk nie należało przywiązywać wagi; przeciwnie, gdyż bardzo często były to krytyczne rozprawy, podpisane nazwiskami najwybitniejszych krytyków muzycznych.

Do takich należał w pierwszym rzędzie François Stoepel, który w *Gazette musicale* niejednokrotnie zabierał głos o Chopinie, a choć naogół to, co pisał o nim, brzmiało entuzyastycznie, to jednak nie były to wcale puste panegiryki, lecz rzeczywiście krytyczne oceny. Nie było to dowodem stronniczości krytyka, że pisząc o arcydziełach, podnosił je bardzo wysoko! Dowodziłoby stronniczości, gdyby je chwalił półgębkiem, albo wysilał się na zarzuty!

»Chopin — zdaniem Stoepla — mieści się w małej liczbie owych rzadkich geniuszów, którzy mając jedynie przed oczyma cel, do którego dążą, spieszą do niego z mocą i śmiałością, nie zważając bynajmniej, co czyni tłum ich otaczający, czego żąda, co jest jego potrzebą lub modą«. Ztąd zaraz w pierwszych kompozycyach, nie wyjmując młodocianych »obrał inny sposób grania i pisania na fortepian, różny zupełnie od współczesnych, stanowiący nową epokę, zarówno kompozycyi, jako i gry na tym instrumencie«.

Analizując w obszernej rozprawie *Waryacye* Op. 2, tak o nich Stoepel pisał między innemi:

Sama introdukcya tej drugiej autora pracy już nie pozwala, abyśmy z nim równali jego poprzedników; odrazu zapowiada wyższość natury mistrzowskiej i dokładność szczęśliwych pomysłów, a wyjąwszy kilka pasażów, gdzie czuć się daje pewien rodzaj przesady, utrzymuje się ciągle w granicach prawdy i prostoty... W solo fortepianowem pomysły kształtne, nowe, świetne, a czasami i śmiałe, układ harmonijny, ile dobrze prowadzony, tyle oryginalny, odkrywają już geniusz, który z wyższego stanowiska uważa sztukę, ecz nie śmie jeszcze zrzucić z siebie jarzma przyjętych przepisów, odtąd dla niego niepo-

trzebnych... Chopin nie staje się nigdy pospolitym ani płaskim... Co się tyczy finału *alla pollaca,* nie znamy nic równie wspaniałego, a pośród mnóstwa pomysłów genialnych, jakimi jest napełniony, przytoczymy szczególniej przejście na stronie 20 takt 8, zachwycające pięknością i uczone zarazem, jako i całe zakończenie, począwszy od karty 23. Nie jest to wymuszony hałas, jaki powszechnie zakończa sztuki muzyczne, lecz rozwinięcie myśli od dawna zajmującej wyobraźnię artysty, która nakoniec z całą jaśnieje dzielnością.

Analizując *Koncert E-moll,* Stoepel w ten sposób w obszernym wywodzie, sformułował swe zdanie o nim:

Zbytnia obfitość dobrego jest błędem powszechnym w utworach młodych artystów, których natura bogato uposażyła, i to jedynie p. Chopinowi ośmielamy się zarzucić. Niech geniusz jego będzie mniej rozrzutny i trzyma się bliżej drogi zwyczajnej, niech się okaże więcej spokojny, prosty, łatwy, a zjedna dla siebie tem większą wdzięczność uczniów, tem wyższe podziwienie mistrzów. Pocóż zaraz ulatać w obłoki, czyż nie dość wznieść się nad innych?...

Niezmiernie wymowne zakończenie całego studyum było:

Teraz, gdy nam przychodzi wyjawić ostatecznie zdanie nasze o dwu dziełach pana Chopina, wydanych w przerwie lat kilku, powiemy, że w pierwszem zapowiedział już odznaczającego się artystę, że nam odkrył naturę swojego geniuszu; lecz że w drugiem przewyższył wszelkie nadzieje, jakie słusznie o nim powziąć było można. Pan Chopin, tak w zgłębieniu mechanizmu fortepianu, jako też w poezyi muzycznej wzniósł się ponad wszystkich swoich współzawodników; dzięki nauce, jaką wyczerpał z ich dzieł chwalebnych, a więcej jeszcze mając do zawdzięczenia naturze, która go za swojego obrała ulubieńca.

W podobnym tonie, zawsze z uznaniem, a niejednokrotnie z wyrazami uwielbienia i podziwu, stale pisano o Chopinie w *Gazette musicale,* przyczem, gdy chodziło o jego *Mazurki* lub *Polonezy,* podkreślano ich charakterystyczną polskość, stanowiącą ich nowość i urok. »Chopin — pisał jeden z recenzentów przy rozbiorze *Mazurków* Op. 17 — zdobył sobie zupełnie wyjątkową sławę dzięki świetnemu i nawskróś artystycznemu rodzajowi, w jakim uprawia narodowe pieśni Polski, która to dziedzina muzyczna mało dotąd była jeszcze znana... W dziedzinie tej ukazuje się on poetyczny, czuły i fantastyczny, a zawsze pełny wdzięku i uroku, nawet w tych chwilach, gdzie się daje porywać namiętnemu uniesieniu« [1])...

[1]) Swoją drogą nie można powiedzieć, iżby w *Gazette musicale* tych recenzyi o dziełach Chopina, w miarę, jak wychodziły z druku, pojawiało się zbyt wiele. Wystarcza nadmienić, iż w ciągu lat czterech, od 1834—1838 r. wszystkiego się ukazało 9 takich recenzyi, z tych parę dłuższych, reszta dość krótkie. W 1834 r. w Nr. 1 *Gazette musicale* z dnia 5 stycznia pojawił się obszerny artykuł p. t. *Execution musicale,* poświęcony analizie gry Liszta, Hillera, Chopina i Bertiniego, a zawierający kilkadziesiąt wierszy o Chopinie, skreślonych z rzetelnym entuzyazmem. W Nr. 4 z dnia 26 stycznia, w rubryce *Revue critique,* znalazła się dość pobieżna wzmianka, informacyjna raczej niż analityczna, o »Variations brillantes pour le piano sur la ronde favorite: *Je vends des scapulaires* de Ludovic, par Chopin«. W Nr. 24 z dnia 15 maja, w tejże rubryce, pojawiła się obszerna ocena krytyczna *Fantazyi* Op. 13, (niewątpliwie pióra Stoepla). W Nr. 26 z dnia 29 czerwca w *Revue critique,* wcale obszernie rozpisano się o *Mazurkach* Op. 17. Niemniej miejsca zajęła w Nr. 31 z dnia 3 sierpnia, krytyka *Krakowiaka.* W Nr. 32 z dnia 10 sierpnia pojawiło się kilkadziesiąt wierszy o *Grande Valse brillante* Op. 18. W ciągu 1835 r. ukazała się tylko jedna krótka recenzya, gorąco zalecająca *Bolero* Op. 19 i *Scherzo* Op. 21. Podobnież w ciągu 1836 r. tylko Nr 36 z dnia 4 września przyniósł kilkanaście wierszy o Chopinie w artykule H. Blancharda, i to nie w artykule wyłącznie poświęconym Chopinowi, lecz omawiającym cały szereg najświeższych kompozycyi Berliniego, Dejazeta, Klemczyńskiego i in. Recenzent zachwyca się *Dwoma Nokturnami* Chopina Op. 27. W całym roczniku *Gazette musicale* z 1837 r. o Chopinie niema ani jednego artykułu. W ciągu 1838 r. to samo. Dziwne to, a tem dziwniejsze jeszcze, iż o innych kompozytorach polskich, o Sowińskim, o Kątskich, o Wolffie, wciąż pisano bardzo wiele. Można powiedzieć prawie, iż o nikim nie pisano tak mało, jak o Chopinie właśnie.

Wszystkie wymienione recenzye znajdą się przedrukowane in extenso w t. II-gim mych *Chopinianiów.*



Inaczej zapatrywano się na twórczość Chopina w redakcyi *La France musicale,* która się stała organem koteryi Herzów [1]) i wogóle tego kierunku w muzyce, który w stosunku do romantyzmu Chopina, Liszta, Berlioza, Hillera, Osborne'a, Bertiniego i innych »młodych«, zasługiwał na miano *vieu jeu.* Że zaś w *Gazette musicale* nie oszczędzano braci Herzów i wszystkich, co występowali pod ich egidą, lecz przeciwnie, surowo i w drwiącym tonie krytykowano ich sposób grania i komponowania, więc w *La France musicale* czyniono gorliwe starania w kierunku dokuczenia Chopinowi. Ale ponieważ tendencyjne obniżenie jego wartości, jako kompozytora i pianisty, wobec ustalonej sławy Chopina na tych dwóch polach, było niebezpie-

[1]) Ten wprost nieprzyjazny stosunek Chopina do »stronnictwa Herzów« datował się zwłaszcza od roku 1834, kiedy nastąpiło połączenie Fétisa *Revue musicale* z Schlesingera *Gazette musicale* i kiedy w tem zjednoczonem piśmie zaczęły się pojawiać surowe krytyki gry i utworów Herza. Dało to powód do pojedynku, omal nie śmiertelnego, między M. Schlesingerem a Billardem, uczniem Herza, a gdy po tym pojedynku nie przestały w *Gazette musicale* pojawiać się złośliwe wycieczki przeciwko Herzowi, w rodzaju zjadliwego artykułu *La Critique et M. Henri Herz,* ten ostatni wytoczył proces Schlesingerowi, jako wydawcy *Gazette musicale.* W procesie tym, jako świadek, stawał Chopin. Oto, co w tej sprawie pisano dnia 27 kwietnia 1834 r. w Nr. 17 *Gazette musicale:* »Le Gerant de la *Gazette musicale* est cité pour mardi prochain 29 avril, au tribunal de police, correctionnelle, par M. Henri Herz, qui se croit offensé par l'article *La critique et M. Henri Herz* contenu dans notre numero 13. Parmi les témoins à charge et à decharge on remarque MM. Charles Maurice, Liszt, Onslow, Osborne, Chopin, Hiller, Pixis, Schunke, Fessi, Gatays, et autres artistes. Nous avons reçu notre citation mardi, et c'est avec étonnement que nous apprenons que M. Herz est parti lundi pour Londres: c'est une singulière manière d'engager un procès de ce genre«.

Irytowało to wydawcę *Gazette musicale,* to też z nietajonym gniewem pisała zjadliwie, że »l'illustre compositeur et facteur de pianos à sept octaves a jugé plus convenable d'aller ramasser quelques guinées ou shillings à Londres«. W jego imieniu stawili się przed sądem: »M. Joseph Herz (brat Henryka), Billard, Hausmann, et quelques autres

cznem, gdyż mogło się obrócić na niekorzyść pisma i braci Escudierów, więc starano się zwalczać Chopina zapomocą nigdy nie zawodzącej broni, mianowicie, nie wymieniano jego nazwiska, nie pisano o jego koncertach, nie omawiano ani analizowano jego kompozycyi. Ten system absolutnego »Totschweigen« uprawiano w stosunku do Chopina z taką nieubłaganą bezwzględnością, że aż do lutego 1838 r. nazwisko jego we wszystkich dotychczasowych numerach *La France musicale* nie pojawiło się przy żadnej sposobności ani razu, tak, że czytelnik tego organu braci Herzów, czerpiący swe wiadomości muzyczne tylko z tej jednej gazety, mógł nie wiedzieć o istnieniu Chopina, nie mieć pojęcia, że w Paryżu mieszka genialny kompozytor tego nazwiska, kompozytor, który swą genialnością przewyższał wszystkich współczesnych, a który, jako pianista, miał tylko jednego rywala, Franciszka Liszta. Dopiero w dniu 4 lutego 1838 r. zerwano w *La France musicale* z dotychczasowym systemem i poświęcono rozbiorowi jednej z kompozycyi Chopina obszerniejszą wzmiankę krytyczną, przyczem uczyniono to w taki sposób, że czytelnik musiał nabrać wysoce niepochlebnego wyobrażenia o sposobie komponowania Chopina, jego talencie i stylu. Sądząc na podstawie tej recenzyi, nikt nie mógł dojść do innego wniosku, tylko, że Chopin był człowiekiem bez talentu, bez inwencyi twórczej, posługujący się stylem wymuszonym, pretensyonalnym i dziwacznym w najwyższym stopniu, a zupełnie pozbawionym jakiejś muzycznej treści, że jego kompozycye, o ile stały na wysokości omawianego *Impromptu As-dur*, musiały być jakiemś bzdurzeniem bezładnem, niegramatycznem i nieudolnem pod względem formy, a pod względem harmonii nic nie mającem wspólnego z przyjętemi regułami. Bo jeśli chodziło o rzeczone *Impromptu*, to trudno o bardziej pustą kompozycyę, w którejby autor mniej miał do powiedzenia. Zdaniem bezimiennego recenzenta, który w *La France musicale* podjął się niewdzięcznego zadania oceniania tej bezmyślnej kompozycyi, Chopin, przystępując do komponowania jakiegoś utworu, poczyna sobie w ten sposób, że najprzód puszcza się na poszukiwanie jakiejś myśli muzycznej, potem pisze, potem to, co napisał, moduluje we wszystkich dwudziestu czterech tonacyach, a gdy i wtedy jeszcze myśl jakoś nie przy-

dont nous regrettons fort de ne pouvoir transmettre les noms à la posterité. En verité ces messieurs avaient l'air fort embarassé, plus qu'embarassé!... Où était l'accusé? quels étaient les vrais coupables? que signifiaient là, sur les bancs, MM. Onslow, Hiller, Chopin, Liszt, Osborne, Gatayes, toutes ces jeunes réputations encore dans l'obscurité, comme disait M-r Marie, avocat de M. Herz, appelés comme témoins à charge et à decharge?« Mimo to wszystko Herz wygrał proces, a Schlesinger został skazany na zapłacenie minimum kary, w kwocie 50 franków. Proces ten, zdaniem *Gazette musicale,* był »en resumé, guèrre et guèrre deloyale, de la mediocrité ignorante contre la critique sévère peut-être mais toujours desinteressée et impartiale«...



chodzi, wtedy on daje sobie radę i bez niej; w ten sposób rzecz całą doprowadza szczęśliwie do końca [1])...

Były to jednak nędzne ujadania »bezsilnych miernot«, nic nie mogące zaszkodzić Chopinowi. Nie brał też ich sobie do serca, bo takich rzeczy nie traktuje się na seryo.

Za to z wielkim interesem śledził za wszystkiem, co o nim pisano w kraju, a o czem dowiadywał się bądź od rodziny, bądź od znajomych,

W kraju bowiem, a zwłaszcza w Warszawie, w prasie warszawskiej, dość dużo pojawiało się artykułów o Chopinie. Prym w tym razie trzymał *Kuryer Warszawski,* który przedewszystkiem notował skrzętnie, co za granicą, w Niemczech i we Francyi, pisano o »panu Szopę«. Ale nie brakło i artykułów oryginalnych. Te ukazywały się przeważnie w pismach tygodniowych, czy to w specyalnych, jak wydawany przez Józefa Cichowskiego *Pamiętnik muzyczny warszawski,* czy też w tygodnikach powszechnych illustrowanych, jak np. wydawane przez F. I. Dmochowskiego *Muzeum domowe* lub wychodzący w Lesznie *Przyjaciel ludu.*

Ze wszystkiego, co w Polsce w tym czasie napisano oryginalnie o Chopinie, pierwsze miejsce należało się entuzyastycznemu artykułowi Antoniego Woykowskiego, wydrukowanemu dnia 9 stycznia 1836 roku w leszczyńskim *Przyjacielu ludu.* Artykuł ten, ozdobiony portretem Chopina, ładnie sztychowanym, był zarazem wcale dokładną biografią Chopina, lecz przedewszystkiem zalecał się swoją częścią krytyczną, w której jasno

[1]) Recenzya ta, która głęboko oburzyła nietylko Chopina, ale cały świat muzyczny paryski, zatytułowana: *Impromptu pour le piano, par F. Chopin, chez M. Schlesinger,* brzmiała jak następuje:

Ce qu'il y a de mieux à dire sur ce morceau, c'est que M. Chopin a composé de fort jolies mazourkas. Quant à l' impromptu susmentioné, nous ne connaissons rien de plus laborieusement tourmenté. M. Chopin a un système: il remplit la plupart de ses mesures d'une longue brochette de notes en nombre impair, et il s'étudie à ecrire des accompagnements si maigres, si exigus et si recherchés en même temps, que sa main gauche a toujours l'air de danser sur la corde raide. Ses autres procédés de composition sont assez simples. M. Chopin cherche une idée; il écrit, il écrit, il module à travers les vingt-quatre tons; si l'idée ne vient pas, M. Chopin s'en passe, et il conclut très bien son petit morceau. Par exemple, dans l'impromptu que voici, M. Chopin, après avoir écrit deux pages de triolets, avise qu'il est temps de chercher une idée. Il se met en quète avec des blanches et des noires; il part de Fa mineur, il passe d'une manière assez vulgaire en la bémol, puis en ut mineur, puis en si bémol mineur, et il revient en Fa sans avoir rencontré la plus légère idée. Alors il recommence sa promenade; il renforce sa succession harmonique de plusieurs grupetti de sept, de onze ou de quinze notes (toujours en nombre impair, bien entendu). A la fin de la cinqième page, M. Chopin cherche encore son idée; il ne la trouve pas au commencement de la sixième; et alors que fait-il? il reprend ses deux premières pages de triolets qui le conduisent tout naturellement à la neuvième, au bas de laquelle il conclut, après avoir plaqué une douzaine d'accords. Voilà un impromptu. Que vous en semble?

oznaczone zostało stanowisko Chopina, jako kompozytora, stanowisko »twórcy szkoły romantycznej w muzyce«, a zarazem »Szekspira, Byrona, Mickiewicza fortepianu«. Oto niektóre zasadnicze ustępy z tego niepospolitego artykułu:

Polska wydała w ostatnich czasach światu muzykalnemu geniusz, który równego sobie niema i długo pewnie mieć nie będzie; jest nim Chopin. Tak przez swą grę, w której cudów prawie dokazuje, jak przez swe prawdziwie oryginalne, piękne i trudne kompozycye, zasłużył sobie na przydomek niezrównanego mistrza.

Od dziecka podziwiano w jego grze mechaniczną biegłość i szybkość, nadzwyczajną delikatność w uderzeniu, najczulsze cieniowanie, w noszeniu, w wzrastaniu i w niknieniu tonów, czystość i łatwość, z jaką pokonywał największe trudności, znajdujące się tylko w jego dziełach, w których powodowany duchem czasu, zaniechał przestarzałego sposobu kompozycyi, a obrał nowy, piękny i oryginalny. Nie zważając na śmieszne pedantyczne reguły, tłumiące długo, jak w poezyi tak i w muzyce, wyższe wzniesienie się ducha, pozwala ognistej swej fantazyi bujać dowolnie w krainie tonów; przez co i właściwy sobie sposób pisania i wyrażania nie tylko uczuć ale i idei, stał się twórcą szkoły t. zw. romantycznej czyli fantastycznej.

Wobec tego, że fortepianiści ostatniej doby »od Beethovena do Chopina«, tworzą dzieła, »zasadzające się na małej tylko mechanicznej doskonałości gry, nie mające nic w sobie, coby duszę naszą zajmowało, bo niema w nich ani ognia, ani uczucia, ani śpiewności, ani fantazyi:«

W takim stanie rzeczy czas był największy, aby jaki wielki geniusz zupełnej zagładzie dobrego smaku zapobiegł; Chopin to uskutecznił. Nie dbając o poklaski gminu, przekładając nad pochwałę tysięcy, mało muzykalnych, zdanie jednego, ale prawdziwego znawcy muzyki, ufny nakoniec w swej sile, postępował odważnie obraną przez siebie drogą i doszedł najwyższego stopnia doskonałości. Dla niego muzyka jest ową czarodziejską sztuką, dającą człowiekowi przeczuwać jego wyższe pochodzenie, przenosząc go oraz z tego smutnego ziemi padołu w górne szczęśliwsze krainy.

Sława europejska Chopina datuje się od jego pierwszego wyjazdu za granicę.

Wszędzie, gdzie się dał słyszeć, pisma publiczne napełnione były pochwałami jego cudnej gry i niezrównanych kompozycyj. Niemniej podziwiano wolne fantazye, w których mogąc jeszcze bardziej, niż w kompozycyach, puszczać wodze wzniosłej, bujnej i twórczej wyobraźni, cudów prawie dokazywał. Wówczas bladość jego twarzy niknęła, a ciemne oczy pałały ogniem nadludzkim, twarz zasmucona okrywała się febrycznym prawie rumieńcem. Dopiero kiedy ostatnie pełne akordy, miękkie i płaczące, jak zwykle zakończenia wszystkich jego kompozycyj i wolnych fantazyj, rozlały się po sali, a rzęsiste oklaski uniesionych słuchaczów słyszeć się dały, dopiero wtenczas lekki uśmiech krasił jego piękną twarz, przybierającą swą naturalną bladość, która go osobliwie w oczach dam jeszcze bardziej zajmującym czynić musiała.

Niebawem po tych sukcesach, jako pianisty, przyszła sława kompozytora, po furorze, jaką zrobiły *Waryacye* Op. 2, szczególniej *Trio* i *Ma-*



*zurki* »przewyższyły oczekiwania wszystkich«, a w Niemczech, we Francyi i w Anglii »były prawie ubóstwiane«. Szczególniej ich smętność budziła zachwyt powszechny.

Ten smutek, ten płacz, jak we wszystkich kompozycyach Chopina, tak szczególnie w tych *Mazurkach* rozlany, nie tylko im dodaje czarujących wdzięków, ale je nadto cha-




Medal Bovy'ego.

rakteryzuje jak najdokładniej... W każdym jest tyle piękności, tyle poezyi, tyle wdzięku, że o nich arkusze pisać-by można...

W *Trio* pełno jest nowych figur, wielkich i pięknych myśli; jakaś wszystko porywająca siła, połączona z smutkiem, nawet często z męzką rozpaczą; przy częstej zmianie i grupowaniu pojedynczych części, przy dziwnych rytmicznych i harmonijnych zawikłaniach, znajduje się jakiś śpiewny, charakterystyczny dźwięk, porządek i dziwna symetrya. Słowem jest to dzieło godne Chopina, równie jak *Nokturny*, które wkrótce po *Triu* wyszły. Dotąd, jak wiadomo, uważano Fielda za najpierwszego kompozytora *Nokturnów*. Chopin i w tym rodzaju kompozycyi chciał być pierwszym i oczywiście przewyższył Fielda. Jakże suche, oschłe i nudne są *Nokturny* tego kompozytora, w porównaniu z cudnemi utworami Cho-

pina, które mianowicie śpiewnością, nowemi szczytnemi myślami, bogactwem harmonii i tą zajmującą, jemu tylko właściwą smętnością, tak bardzo od wszystkich innych się różnią. Są to prawdziwe marzenia czystej, czułej duszy, miotanej uczuciami w cichej nocy. Nieczułe serce ich nie zrozumie.

Każdy, kto tylko tych pierwszych dziewięć dzieł naszego ziomka pozna, musi przyznać, że już przez nie przewyższył wszystkich fortepianistów i nieśmiertelną sławę sobie zjednał. Cóż dopiero, kiedy uwagę zwrócimy na jego późniejsze kompozycye, na »jego ćwiczenia« *Etudes,* na jego boski *Koncert,* na jego cudną *Fantazyę* na śpiewy polskie, na jego równie trudnego jak pięknego *Krakowiaka* i na smętne *Scherzo*. Brakuje nam słów do wyrażenia doskonałości i piękności tych dzieł. Śmiało możemy twierdzić, że żaden naród tak wielkim prawdziwie narodowym kompozytorem poszczycić się nie może. W Chopina dziełach każda nuta jest narodowa, każda nuta piękna, prawdziwie piękna, boska, każda myśl szczytna, niebiańska!... Ćwiczenia te są kluczem do następujących kompozycyi Chopina: do *Koncertu* Op. 11 z orkiestrą, *Fantazyi na śpiewy polskie* Op. 13 z orkiestrą, *Krakowiaka* Op. 14 z orkiestrą, *Ronda Es-dur* Op. 16, *Scherzo* Op. 20. Najwięksi krytycy powiedzieli już wszystko, co tylko na pochwałę dzieł tych powiedzieć było można. Śmiesznem musiałoby się zdawać, gdybym się tu na nowe zdobywał uwielbienie; dosyć rzec, że trudno znaleźć coś doskonalszego i piękniejszego.

Zwykle bawi p. Chopin w Paryżu, gdzie często nadzwyczajnie licznie odwiedzane daje koncerta i gdzie lekcye jego Francuzi złotem ważą (podobno dwa luidory za godzinę). Skutek najpomyślniejszy uwieńczył jego usiłowania. Wszyscy prawie wielcy kompozytorowie postępują za jego przykładem i tą drogą, którą on poszedł. Wymienię tu tylko sławnego Liszta w Paryżu, Hillera, Bertiniego, Schumanna, równie piękną jak utalentowaną Klarę Wieck, Pixisa i Chaulieu, który od 110 dzieła do romantycznej szkoły przeszedł. O Herzu, Hintenie, Czernym i tysiącach innych, dawniej ulubionych mistrzach, nic już prawie nie słychać. I któżby też mógł, raz skosztowawszy niebiańskich tonów, tęsknić do ziemskich! Dawniejszych kompozytorów porównać można do gwiazd — w nocy świecili. Czyliż gwiazdy mogą świecić, gdy słońce zabłyśnie![1]).

Rzeczywistość potwierdzała to orzeczenie poznańskiego krytyka, wzięłość bowiem, jaką się już w 1834 r. cieszyły kompozycye Chopina, całkiem była bez współzawodnictwa. Poprostu stało się modą grać Chopina; wszędzie rozbrzmiewały jego melodye, zarówno w salonach prywatnych, jak w salach koncertowych. I to w całej Europie, zarówno we Francyi, jak w Anglii, tak samo w Niemczech, jak w Polsce. Wprawdzie nie brakło takich, co usiłowali przeciwdziałać tej modzie, bardzo niepomyślnej dla ich produkcyi, ale to nie zdało się na nic; Chopin podbił sobie kompozycyami swemi świat cały, a przynajmniej cały świat muzykalny. Oto np. co w tej mierze pisał dnia 21 grudnia 1834 r. wiedeński korespondent *Gazette musicale:* »Les compositions de Chopin commencent à être en vogue malgré les petites cabales des gens dont la lourde médiocrité ne peut pardonner à ce jeune auteur le caractère grandiose et la tendance élevée de ses compositions. Le sentiment noble qui respire dans les oeuvres de cet artiste ne peut manquer de le mettre tout à fait à la mode au détriment de MM. Herz et Czerny«. Podobnie, jak w Wiedniu, miała się rzecz i w Berlinie. Stwierdził to nawet Rellstab, kiedy w 1836 r. swoją krytykę *Koncertu F-moll* Chopina zakończył w następujący sposób: »Mamy nadzieję, że w ciągu zimy zdarzy się nam sposobność usłyszenia *Koncertu* tego publicznie, gdyż grać Chopina stało się dzisiaj punktem honoru dla każdego fortepianisty«. Tak było istotnie. Najznakomitsi pianiści, z Lisztem na czele, grywali mnóstwo utworów Chopina, zwłaszcza jego *Etiudy*. W Niemczech grywała je porywająco Klara Wieck[1]). Z wielkiem upodobaniem grywał Chopinowskie rzeczy Kalkbrenner, który, choć już należał do starej szkoły, to jednak jeszcze koncertował z olbrzymiem powodzeniem. Młodzi pianiści, jak Hiller, Osborne, Stamati, a z polskich pianistów Edward Wolff, ciągle na koncertach grywali rzeczy Chopina[2]). Oczywiście, że mu to przyczyniało sławy i rozgłosu.

[1]) Artykuł ten Woykowskiego wywołał odpowiedź ze strony Unruga, który w Nr. 28 tegoż *Przyjaciela ludu,* w artykule polemicznym p. t. *Suum cuique* ujął się za kompozytorami i pianistami starej szkoły. Woykowski doskonale odpowiedział na to wyzwanie, a zakończył swą replikę bardzo trafnem spostrzeżeniem: »Nie żądajmy więc, aby kto chalił miernych kompozytorów ze względu na to, że są cudzoziemcami, a wstrzymywał się od oddania pochwał, należących się doskonałym, z tej jedynie przyczyny, że ci przypadkiem są jego ziomkami«. Artykuł Woykowskiego o Chopinie przedrukowało warszawskie *Muzeum domowe.*



[1]) W recenzyi *Douze Etudes* Op. 25 w *Allg. Musik Zeitung* z dnia 1 listopada 1838 pisze Fink: »Mehres daraus haben Clara Wieck und Franz Liszt in jüngster Vergangenheit uns vorgeführt, deren classisch gediegener Meistervortrag das Interesse für den Gegenstand selbst nur mächtig noch erhöhen musste«.

Pozostając pod wpływem Schumanna, Klara Wieck od chwili ukazania się Chopinowskich *Waryacyj* Op. 2, stała się gorącą wielbicielką ich twórcy. Jakoż była pierwszą może (obok Liszta), która z jego utworami zapoznała szerszy ogół niemiecki. Już w 1833 r., na koncercie w lipskim Gewandhausie, grała finale z *Koncertu E-moll,* który dnia 5 maja 1834 roku w tymże Gewandhausie wykonała w całości, wraz z dwiema Chopinowskiemi *Etiudami.* W kwietniu 1833 r. zapoznała doborową publiczność Gewandhausu z Chopinowskiemi *Waryacyami z Don Juana,* które grała w sposób niezrównany. O koncercie tym pisał Schumann w korespondencyi do *Iris.* »Die *Don Juan-Variationen* — czytamy tam między innemi — von Chopin können wohl kaum vollendeter gedacht werden, als sie Clara spielte, so zart, gewählt und bedeutungsvoll war da das Colorit und so zirkelrund das Ganze«. Spohr w sprawozdaniu z tego koncertu Klary Wieck określił te *Waryacye* jako »die originellsten und geistreichsten Bravourvariationen und zugleich die schwersten, welche existiren«. *Leipziger Tageblatt* z dnia 28 kwietnia 1833 r. Zob. Schumann, Schriften über Musik. I. 15, 16, 22. W Paryżu na koncertach również raz po raz grywano kompozycye Chopina, zwłaszcza jego *Koncerty* i *Etiudy*. Na jednym z koncertów, urządzonych przez Zimmermanna, grał *Koncert E-moll* Chopina avec une perfection rare 10-letni Goréat, uczeń Zimmermanna.

[2]) W *Pamiętniku muzycznym warszawskim* z 1836 roku czytamy, że dnia 22 kwietnia w Teatrze Wielkim p. Edward Wolff, oprócz koncertu własnej kompozycyi »grał także *Koncert* p. Chopin, który zrozumiał i lepiej wykonał jak własny«. W *Kuryerze Warsz.* z dnia 13 marca 1835 r. czytamy: »I p. Edward Wolff na koncercie odważy się wykonać najtrudniejsze dzieła Szopena, jakie wielu artystów za niepodobne do grania uznało«. Dnia 11 lipca 1835 r. — pisze *Kuryer Warsz.* — w resursie kupieckiej pp. Stolpe i Szabliński wykonali *Duet* na fortepian i wiolonczelę kompozycyi pp. Franchomme i Chopin.

Symboliczną oznaką tej rosnącej sławy, a rosnącej niesłychanie szybko z dnia na dzień, były od 1833 r. mnożące się portrety Chopina. Długi szereg tych wizerunków, odtwarzanych przez najznakomitszych artystów współczesnych, bądź malarzy, bądź rzeźbiarzy, rozpoczęła w r. 1833 subtelna litografia, rysowana przez Vignerona, odbita w zakładzie Engelmanna, a wydana przez Maurycego Schlesingera w Galeryi znakomitych muzyków współczesnych. Litografia ta, mistrzowska pod względem wykonania, a wykwintnie odtwarzająca jeszcze młodociane rysy 22-letniego Chopina, szeroko się rozeszła po całym świecie. W Warszawie — jak o tem Chopinowi donosiła jego siostra Izabela — również była rozpowszechniona. »Twój portret sztychowany sprzedaje się po 10 zł. u nas«. Litografię tę, z własnoręczną dedykacyą, przesłał Chopin w 1834 r. »Kochanemu Panu Elsnerowi«, jako jego »przywiązany uczeń«[1]). Rok 1835 przyniósł mistrzowski medalion bronzowy z dwoma doskonałymi płaskorzeźbionymi profilami Chopina i Hillera,



Kamea Islera.

[1]) Litografia ta znajduje się po dziś dzień w posiadaniu rodziny ś. p. Elsnera.



znakomicie wymodelowanymi, przyczem szczególną subtelnością odznacza się arystokratycznie delikatny i rasowy profil Chopina, stanowczo jeden z jego najlepszych wizerunków wogóle, przy którym twarz Hillera, o rysach pospolitych, z grubsza ciosanych, bardzo traci na porównaniu, ale zarazem tworzy dosadny kontrast, niby męskość przy kobiecości, niby proza przy poezyi.

Niemniejszemi zaletami artystycznemi odznaczał się bronzowy medal miniaturowy z profilem Chopina, zrobiony w 1837 roku przez głośnego rzeźbiarza, Antoniego Bovy'ego, a bardzo rozpowszechniony w zwiększonych medalionach. Mniej więcej w tym samym czasie powstała mistrzowska kamea z poetycznym profilem Chopina, roboty słynnego Islera, arcydzieło w swoim rodzaju [1]).

Kto w tak młodym wieku, jak Chopin przed rokiem 1835, tak często był portretowany i to przez pierwszorzędnych mistrzów, tego sława, jako znakomitości współczesnej, musiała być całkiem niezwykła.

## VII.

Dużo przestając z poetami polskimi, z których dwaj, Zaleski i Witwicki, liczyli się do jego serdecznych przyjaciół, Chopin do wielu z ich poezyj skomponował muzykę. W ten sposób powstały jego pieśni do śpiewu, przeważnie do słów Witwickiego i Zaleskiego, które na nieszczęście nie doczekały się wykończenia, pozostały tylko szkicami. Nie znaczy to jednak, by Chopin nie myślał o ich artystycznem opracowaniu. Że nosił się z tym zamiarem, to stwierdza Stefan Witwicki, który raz z Paryża tak pisał do rodziny, z myślą o swej siostrzenicy, Maryi Olędzkiej: »Mam i ja dla niej prezent, tylko czekam okazyi, kilka piosnek sielskich muzyki Szopena, które dotąd nie są wydane i tylko się ukradkiem bez wiedzy autora przepisują. Szopen chce kiedyś wydać razem cały swój zbiór *Piosnek* i dlatego wszystko, co z nich zrobił, dusi u siebie. Zapewne w całej Warszawie nikt ich prócz Marci nie będzie miał jeszcze; niechże pamięta pięknie mi to śpiewać, bo muzyka śliczna. Chciałbym, żeby kiedy zaśpiewała przed p. Szopenową, matką, czego egzekucyę poruczam kochanej p. Lewockiej«. Jak do piosnek Witwickiego i Zaleskiego, tak i do niektórych poezyj Mickiewicza dorobił Chopin muzykę...

W 1835 r. wyszły w Paryżu nakładem Aleksandra Jełowickiego *Pieśni Janusza* Wincentego Pola. Pieśni te odrazu podbiły sobie cały naród, a swego autora uczyniły najsławniejszym poetą w Polsce. Oto, co o ich popularności pisze w swym pamiętniku Zygmunt Kaczkowski: »Te *Pieśni*,

[1]) Jest ona dziś własnością siostrzeńca Chopina, pana Antoniego Jędrzejewicza w Warszawie.

które nie mają równych ani w naszej, ani w żadnej innej literaturze, które kraj cały umiał na pamięć, a które, czego sam byłem świadkiem, śpiewano zarówno we dworach szlacheckich, w rzemieślniczych warsztatach miejskich i w chatach włościańskich, postawiły Pola odrazu na piedestale tak wysokim, na jakim wtedy nie stał żaden z naszych poetów. Te *Pieśni* oczarowały całe społeczeństwo, weszły w jego krew, napełniły sobą powietrze i dały Polowi taką popularność, o jakiej, kto wtedy nie żył, nie może sobie zrobić wyobrażenia. Pol stał się człowiekiem świętym, jak prorok z nieba zesłany, i wyrocznią dla wszystkich«... Prąd ten, równie silny na emigracyi, jak w kraju, porwał i Chopina, a podbity nie tylko pięknością *Pieśni Janusza,* ale i ich niezwykłą muzykalnością wiersza, do kilkunastu z nich — do pieśni *Lecą liście z drzewa* w tej liczbie — dorobił muzykę, również niezrównaną [1]). Z tą muzyką, przepisywaną w tajemnicy przed autorem, pieśni te rozeszły się po całym kraju, na emigracyi zaś, śpiewane przez niektóre z pań polskich, a z pewnością i przez panią Delfinę Potocką, zachwycały stęsknionych wychodźców, między którymi nie brakło i wielu bohaterów, sławionych w *Pieśniach Janusza.* Oto, co o nich pisano w *Roczniku emigracyi polskiej* z 1836 r., w sprawozdaniu, poświęconem nowej edycyi *Piosnek sielskich* Witwickiego, z których zwłaszcza *Wojak,* dzięki muzyce doń Chopina, stał się szczególniej popularny:

Fryderyk Chopin, nasz artysta najbardziej narodowy, tak tę piosnkę, jak kilka innych Witwickiego i niektóre z pieśni Janusza, przystroił, przelał w cudowną muzykę swoją. Szczęśliwe połączenie poezyi muzyki z poezyą pisarza, obie te poezye tłómaczy, podnosi je i tworzy nowy urok najwyższej poezyi, urok unoszący poza świat samego języka, samej muzyki. Tego uroku opisać niepodobna; ale kto go chce pojąć, niech prosi Chopina, aby mu jaką piosnkę razem przeczytał i zagrał. My zaś, cośmy Chopina słyszeli, prosimy go, aby pozbierał brylanty swojej polskiej muzyki, które tu i ówdzie porozrzucał, aby do tych brylantów nowych jeszcze natoczył pereł i nim czas mu pozwoli, zebrał te wszystkie skarby w jaką operę narodową, niech z nich uplecie wieniec dla naszej poezyi.

Do skomponowania takiej »opery narodowej« namawiano Chopina oddawna, to zaś, co tu pisał *Rocznik emigracyi polskiej,* było tylko echem

[1]) W liście do p. Jędrzejewiczowej pisze Fontana dnia 2 lipca 1852 r. w kwestyi pieśni Chopina: »Pomimo częstych próśb moich, nigdy ich (pieśni) Fryderyk nie napisał, zawsze do jutra odkładając. Temu losowi uległy szczególniej *Pieśni Janusza,* których on ułożył 10 czy 12, a które, jeśli podobna, wznioślejsze jeszcze były i rzewniejsze od poprzednich. Te, na nieszczęście, zapewne całkiem stracone«. Nadto zachowała się tradycya, że do znanej *Pieśni wygnańca* Maurycego Gosławskiego również Chopin napisał muzykę. Szulc pisze tak w tej kwestyi: »Około 1840 r. z uniesieniem wielu z nas śpiewało:

Gdyby orłem być,
Lot sokoli mieć,
Lotem orlim lub sokolim,
Unosić się nad Podolem.

Melodyę do tego tekstu powszechnie Chopinowi przypisywano; ma ona też wszelkie znamiona jego geniuszu. Czemuż jej tedy Fontana nie przyłączył?«



i wyrazem tego, czego wszyscy i w kraju i w emigracyi, spodziewali się po Chopinie, co mu poczytywali poprostu za jego święty patryotyczny obowiązek, za moralny dług, zaciągnięty u narodu, a którego jak najrychlejszego spłacenia domagali się nie tylko przyjaciele artysty, ale i całe społeczeństwo. W liczbie tych, co Chopina najbardziej pchali i naglili do napisania opery, stał w pierwszym rzędzie Mickiewicz, z którym Fryderyk miał nawet raz bardzo ostrą rozmowę na ten temat, rozmowę o wielce gwałtownym przebiegu... Zdaniem twórcy *Pana Tadeusza* Chopin rozpraszał się na drobiazgi, zamiast stworzyć jakieś dzieło wielkie. Że przez to »wielkie dzieło« Mickiewicz rozumiał operę i to operę narodową, to się rozumiało samo przez się. Tegoż zdania zawsze był i Witwicki, który, znając swój wpływ, jaki miał na Fryderyka, tak go raz, w obszernym liście, jeszcze z Warszawy pisanym, zachęcał w tym kierunku: »Kochany Panie Fryderyku! Pozwól, że się przypomnę Twojej pamięci i podziękuję za śliczne piosnki. Nie tylko one mnie, lecz wszystkim, którzy je znają, niezmiernie się podobały; i sam przyznałbyś, że są bardzo piękne, gdybyś słyszał, jak je śpiewa Twoja siostra. Już to koniecznie musisz być twórcą polskiej opery; mam głębokie przekonanie, że zostać nim potrafisz i że jako polski narodowy kompozytor otworzysz dla swego talentu pole niezmiernie bogate, na którem zarobisz sobie na niepospolitą sławę. Obyś tylko ciągle miał na uwadze: narodowość, narodowość i jeszcze raz narodowość; jest to prawie czcze słowo dla pospolitych pisarzów, ale nie dla takiego, jak Twój, talentu. Jest ojczysta melodya, jak klima ojczyste. Góry, lasy, wody i łąki mają swój głos rodzinny, wewnętrzny, choć go nie każda dusza pojmuje. Jestem przekonany, że opera słowiańska, wywołana do życia przez prawdziwy talent, przez kompozytora czującego i myślącego, zabłyśnie kiedyś na świecie muzykalnym, jak słońce nowe, może się nawet wzniesie nad wszystkie inne, będzie mogła mieć tyle śpiewności, co włoska, a więcej jeszcze tkliwości i nierównie więcej muzyki. Ile razy o tem myślę, kochany Panie Fryderyku, zawsze cieszę się słodką nadzieją, że ty będziesz pierwszy, który z rozległych skarbów melodyi słowiańskiej czerpać potrafisz; gdybyś nie poszedł tą drogą, sambyś dobrowolnie wyrzekał się najpiękniejszych wawrzynów. Imitacye zostaw innym, niech się mierność nad niemi zabawia. Ty bądź oryginalnym, ojczystym; może Cię z początku nie wszyscy pojmą, ale wytrwałość i ukształcenie się na raz obranem polu zapewni Ci imię u potomnych. Kto chce w jakiejkolwiek sztuce wywyższyć się, zostać prawdziwym kunsztmistrzem, powinien mieć przed sobą cele wielkie. Przepraszam, że Ci to piszę; wierz mi, że te rady i życzenia wypływają z szczerej przychylności i z szacunku, jaki mam dla Twego talentu«. To samo myślał Elsner, który, słysząc o sukcesach Chopina, również go namawiał do skomponowania opery, osnutej na motywach narodowych. Oto jego list w tej materyi, datowany z Warszawy dnia 14

września 1834 roku. »Kochany Przyjacielu! Wszystko co czytam i słyszę o naszym Fryderyku, napełnia moje serce radością; lecz przebacz mojej szczerości, na tem dla mnie dotąd jeszcze nie dosyć; dla mnie, który byłem Twoim mało zasłużonym a wielce szczęśliwym nauczycielem harmonii i kontrapunktu i który zawsze będę Twoim prawdziwym przyjacielem i wielbicielem. Chodząc jeszcze *in hac lacrimarum valle,* chciałbym się doczekać opery Twojej kompozycyi, nie tylko dla powiększenia Twej sławy, lecz i dla korzyści, jaką przynieść może dla kunsztu muzycznego wogóle, w szczególności zaś, kiedy przedmiot opery wzięty będzie z historyi polskiej. Nie mówię tu za wiele. Znasz mię, że pochlebiać nie potrafię, a ja oprócz Twego geniuszu znam Twoje usposobienie; a to, co krytyk o Twoich *Mazurkach* nadmienił, (o ich narodowym charakterze), dopiero w operze w prawdziwem świetle pokazać się może i nieśmiertelne życie otrzyma«. Zapatrywanie to w znacznej części podzielał przez dłuższy czas także i sam Chopin. Jakoż na seryo zaczął myśleć o skomponowaniu opery i w tym celu zwrócił się do Stanisława Koźmiana z prośbą, by mu ułożył stosowne libretto z historyi polskiej. Ale Koźmian, choć tak obeznany z Szekspirem, którego z talentem przyswajał ojczystej literaturze, jakoś nie czuł się powołany do napisania tekstu do opery. Nie pozostawało nic innego, tylko zwrócić się do kogo innego. Lecz dziwna rzecz, choć tylu pierwszorzędnych poetów polskich należało do przyjaciół Chopina, dość wymienić Mickiewicza, Zaleskiego i Witwickiego, żaden mu nie potrafił dostarczyć odpowiedniego libretta, te zaś, które miał do wyboru, nie zadawalniały jego wymagań artystycznych... Tym sposobem sprawa szła w odwłokę. Wprawdzie Chopin jeszcze przez dość długi czas »stawiał sobie w przyszłości, jako cel główny, napisanie opery polskiej«, ale wciąż to odkładał *ad calendas grecas,* bo i libretta nie posiadał, i czasu mu brakło, i konjuktury były nie pomyślne, gdyż z góry należało być przygotowanym na nieprzezwyciężone trudności, na jakieby podówczas w Warszawie niechybnie natrafiło wystawienie opery oryginalnej, z patryotycznem librettem. O tem zaś, żeby opera, osnuta na jakimś epizodzie z historyi polskiej, mogła być wystawiona w operze paryskiej, praktyczniej było nie marzyć... Za dobrze na to Chopin znał stosunki paryskie.

Ale wszystko to przy poparciu, na jakie Chopin mógł liczyć w miarodajnych sferach muzycznych Paryża, możeby się dało przeprowadzić ostatecznie, gdyby nie przeświadczenie, w którem stopniowo Chopin utwierdzał się coraz bardziej, że nie miał odpowiednich danych po temu, że opera to nie był jego rodzaj, że jego talent nie przekraczał granic muzyki fortepianowej, że na to, by stworzyć dzieło niepospolite w zakresie operowym, brakło mu odpowiedniej wiedzy teoretycznej, brakło mu tej znajomości środków orkiestrowych, któraby go uprawniała do sięgnięcia po wawrzyny Meyerbeera lub Belliniego, któraby mu dawała pewność, że opera, którą



napisze, będzie na wysokości jego kompozycyi fortepianowych. Tej pewności nie miał, to też w końcu, wbrew perswazyom Elsnera, Mickiewicza i Witwickiego, całkiem porzucił myśl skomponowania opery. Ztąd na zapytanie hr. Pertuis, który go raz zainterpelował w tej kwestyi, nie mogąc zrozumieć, czem się to dzieje, że przy swoim talencie, przy swem nieprzebranem bogactwie pomysłów, nie pisze opery? Odrzekł mu Chopin w te słowa: »Ach, panie hrabio, pozwólcie mi zostać przy tem, bym pisał tylko na fortepian. Na to, by skomponować operę, nie jestem dość uczony«. To samo powiedział raz Mickiewiczowi. »Zostawcie mi fortepian mówił, c'est mon affaire«.

Tymczasem, na wiosnę 1834 r. przyjechał do Paryża na stały pobyt Jan Matuszyński. Przyjechał zaś, jako doktor uniwersytetu w Tubindze, gdzie świetnie ukończył wydział medyczny. Przybywszy do Paryża, w krótkim czasie habilitował się przy tutejszej *Ecole de Médicine,* jako profesor, co wystarczająco świadczy o jego całkiem wyjątkowych zdolnościach. Jako dawny przyjaciel i powiernik Chopina, oczywiście ledwo się znalazł na paryskim bruku, przedewszystkiem udał się do Fryderyka. Nie mogli się sobą nacieszyć. Dla Chopina przyjazd ten »Jasia« niezmiernie był w tej chwili pożądany, albowiem była to chwila właśnie, kiedy koniecznie pragnął mieć kogoś przy sobie na miejsce Hoffmana, który w tych czasach, otrzymawszy posadę w kopalniach na Szląsku, wyjechał z Paryża. Skoro przyjechał Matuszyński, Chopin zniewolił go zaraz, by zamieszkał u niego. Naturalnie, że »Jaś« nic nie mógł mieć przeciwko temu. Jakoż zamieszkali razem, co obu dogadzało w najwyższym stopniu. Obaj tem byli uszczęśliwieni. Oto, co w tej mierze pisał Matuszyński do szwagra w Warszawie: »W Paryżu pierwszem zatrudnieniem mojem było odszukać Chopina. Nie zdołałbym tu wyrazić szczęścia, któregośmy obopólnie doznali po pięcioletniem niewidzeniu się. Utył on, wyrósł, zaledwiem go poznał. Chopin jest pierwszym artystą dzisiaj na fortepianie; lekcyi daje mnóstwo, a wszystkie po 20 franków. Kompozycye jego najwięcej są teraz pokupnemi, napisał ich też niemało. Mieszkam wraz z Chopinem na Rue Chaussée d'Antin Nr 5. Jest to wprawdzie oddalone od Ecole de Médicine i szpitali, lecz mam do tego ważny powód, ażeby być z nim razem, gdyż on mi jest wszytkiem. Z nim tylko żyję; wieczorami idziemy do teatru, albo na wizyty, a jak nie, to się w domu siedzi«.

W drugiej połowie maja 1834 r. zrobił Chopin, w towarzystwie Hillera, który go do tego namówił, wycieczkę do Aquisgranu, ażeby tam wziąć udział w wielkim festynie muzycznym pod dyrekcyą Ferdynanda Riesa. Na programie figurowały *Debora* Händla, przeinstrumentowana przez Hillera, *Jupiter-Symphonie* Mozarta, oraz wyjątki z 9-tej *Symfonii* Beethovena. Choć wypadło przerwać lekcye, do czego Chopin nigdy nie był skłonnym, to jednak dał się skłonić Hillerowi, zwłaszcza, że przy tej oka-

zyi postanowił odwiedzić Mendelssohna, który w tym czasie zajmował stanowisko dyrektora orkiestry w Düsseldorfie, a również zapowiedział swój przyjazd do Aquisgranu. Zjechawszy się tam, trzej młodzi przyjaciele bardzo byli radzi z tego spotkania, nie mówiąc już o rozkoszowaniu się wspaniałą muzyką symfoniczną, dla której tu przyjechali ostatecznie. Zdaje się jednak, że do najmilszych zaliczali te chwile, które spędzili razem, na gawędzie i przy fortepianie. Tak przynajmniej należy wnioskować na podstawie listu Mendelssohna, który 23 maja pisząc do matki, w następujący sposób zdał sprawę z wrażeń, doznanych w towarzystwie swych paryskich przyjaciół: »Chopin i Hiller jeszcze wykształcili znacznie swoją technikę. Chopin jest obecnie najpierwszym z fortepianistów. W grze jego jest tyle niespodziewanych nowości, co w grze Paganiniego na skrzypcach. Ale i Hiller także jest wybornym, pełnym siły i wdzięku wirtuozem. Tylko obydwaj chorują trochę na paryską manię zrozpaczonych, na przesadę uczuciową; więc też na takt w muzyce i dokładność rytmiczną nie wiele zważają. Ja znowu, przeciwnie, może zbyt ściśle tego pilnuję, więc dopełniamy się wzajemnie i uczymy jeden od drugiego. Ztąd też ja wyglądam na »Schulmeistra«, oni zaś trochę na »mirliflorów« albo »incroyablów«.

Po skończonej uroczystości pojechano razem do Düsseldorfu, z wizytą do Mendelssohna, u którego też spędzono prawie cały dzień »niezmiernie mile na graniu i dysputach o muzyce». Po południu zrobiono spacer za miasto, zakończony kawą i grą w kręgle. W spacerze wziął udział sławny malarz i twórca t. zw. szkoły düsseldorfskiej, F. W. Schadow, ówczesny dyrektor tamtejszej akademii sztuk pięknych. Wraz z Schadowem było i kilku z pomiędzy jego uczniów, którzy dlań przez cały czas byli z największą rewerencyą. Być może, iż Chopina trochę bawił ten nadzwyczajny respekt, z jakim młodzi malarze odnosili się do swego »mistrza«; w każdym razie, podczas wycieczki, idąc przeważnie w Hillerem, mówił bardzo mało, tylko raz po raz dzielił się swemi różnemi spostrzeżeniami, które pewno dotyczyły »proroczego sposobu mówienia« Schadowa. Co pewna, że tenże Schadow, snać lubiący być słuchanym, gdy mówił, najmniej uwagi zwracał na Chopina, o którym wiedział tyle tylko, że jest to młody Polak, przyjaciel Mendelssohna, również muzyk. Po skończonym spacerze, gdy wrócono do Düsseldorfu, Schadow zaprosił wszystkich na wieczór do siebie. O wieczorze tym tak pisze Hiller: »Zastaliśmy tam kilku z pomiędzy najwybitniejszych malarzy, wszczęła się bardzo ożywiona rozmowa i wszystko byłoby jaknajlepiej, gdyby nie biedny Chopin, który pełen rezerwy, siedział poprostu niedostrzeżony przez nikogo. Wiedzieliśmy przecież, Mendelssohn i ja, że sobie to powetuje niebawem, i cieszyliśmy się na samą myśl o tem. Jakoż otworzono fortepian, do którego po mnie zasiadł Mendelssohn. Gdyśmy prosili Chopina, ażeby i on się zaprodukował, wszyscy spojrzeli po nas i po nim cokolwiek niedowierzającym wzrokiem. Ledwo jednakże zagrał kilka taktów, gdy wszyscy obecni, a Schadow przed innymi, z najwyższem zdumieniem, jakby się zmienili nagle, spoglądali na niego, bo nie dało się zaprzeczyć, że nigdy nie słyszeli nic podobnego. Gdy przestał, wszyscy zachwyceni prosili go ciągle, by grał jeszcze, jeszcze«.



Nazajutrz Chopin i Hiller, odprowadzani przez Mendelssohna, pojechali statkiem parowym do Koblencyi. W Kolonii, po obejrzeniu katedry, na moście obok przystani nad Renem, rozstali się z Mendelssohnem, i w ten sposób zakończył się »piękny epizod« w ich życiu.

Dla Chopina była takim »pięknym epizodem« przyjaźń jego od roku 1833 z Bellinim. Odkąd twórca *Normy*, dla której Chopin miał kult prawdziwy, zjechał do Paryża, odtąd zaczęła się jego przyjaźń z twórcą *Nokturnów*. Łączyła ich pewna duchowa »Wahlverwandschaft«, bo sporo rysów, i jako ludzie, i jako muzycy, mieli wspólnych. Jakoż zaprzyjaźnili się bardzo prędko, a co ważniejsza, że Chopin, który wogóle nie był skorym do zawierania nowych przyjaźni, zwłaszcza z cudzoziemcami, powziął bardzo gorącą sympatyę dla Belliniego. Przedewszystkiem zachwycał się jego muzyką, do tego stopnia, że nawet chwilowo był pod jej wpływem, a w każdym razie pod jej bardzo silnym urokiem, który się bezwiednie odbił w jego niektórych kompozycyach z tego czasu (na co nawet Schumann zwrócił uwagę); a powtóre miał istotną słabość do niesłychanie miłego i zacnego człowieka, jakim był 34-letni wtedy Bellini. Gdy dnia 24 stycznia 1835 r. wystawiono w teatrze włoskim *Purytanów*, która to opera zdobyła sobie w Paryżu wyjątkowy sukces, Chopin był z całą admiracyą dla tego dzieła, z czem oczywiście nie krył się przed autorem. Mając wielu wspólnych znajomych, spotykali się bardzo często, szczególniej w dwóch domach włoskich: w domu księżnej Belgiojoso, oraz w domu pani Freppa: »Nigdy nie zapomnę — pisze Hiller — tych wieczorów, które z Chopinem i Bellinim spędzałem w małem doborowem kółku u pani Freppa. Urodzona w Neapolu, choć francuskiego pochodzenia, bardzo wykształcona, a muzykalna w najwyższym stopniu, pani Freppa, mieszkając w Paryżu, trudniła się udzielaniem lekcyi śpiewu, głównie w wielkim świecie. Obok znakomitej metody posiadała głos dźwięczny bardzo, choć nie wielki, tak, że zachwycała nawet stałych bywalców w operze włoskiej, zwłaszcza, gdy śpiewała piosenki ludowe włoskie, w których celowała, lub proste pieśni dawnych kompozytorów. Byliśmy dla niej pełni serdecznej sympatyi i odwiedzaliśmy ją co czas pewien wspólnie w jej mieszkaniu na krańcu Faubourg St. Germain, gdzie, wyniesiona ponad hałas i turkot ulic paryskich, zajmowała razem z matką ładne mieszkanko na III piętrze «au dessus de l'entresol«. Gawędziło się o muzyce, grało się i śpiewało, poczem znowu się śpiewało, grało i gawędziło o muzyce. Chopin i pani Freppa naprzemian zasiadali do fortepianu, ja również robiłem, na co mię było stać. Bel-

lini czynił swoje spostrzeżenia i akompaniował sobie do tej lub owej ze swoich kantylen, i to raczej dla objaśnienia tego, co im śpiewał, niż dla tego, aby się popisywać niemi. Umiał on śpiewać lepiej od niejednego z niemieckich tenorów, których mi się słyszeć zdarzyło, głosem nie tyle dźwięcznym, ile pełnym uczucia. Na fortepianie grał tyle tylko, ile było potrzebnem do oddania jego wtórów orkiestrowych, co jeszcze nie mówi wiele. Za to wiedział doskonale, czego chciał...«

Tymczasem nadeszło lato r. 1835. W Paryżu, z końcem czerwca, zaczęły się upały, zaczęto się rozjeżdżać na wakacye. Bellini i Chopin uczynili to samo: Bellini osiadł w Puteaux, Chopin przeniósł się do Anghien. Bardzo mu było tu dobrze. Przedewszystkiem mieszkał w ślicznym domku nad brzegiem jeziora, powtóre miał niecałą godzinę drogi do Saint-Gratien, do pałacu margrabiego de Custine, a po trzecie, zdaje się, że i pani Delfina Potocka spędzała tegoroczne lato w Anghien, gdyż była to jej ulubiona miejscowość, jako letnie mieszkanie. Chopin przyjechał tu z polecenia lekarzy, dla brania kąpieli, które, jako wzmacniające, mają swoją sławę. Oczywiście, iż po za kuracyą, która mu niewiele zabierała czasu, oddawał się i pracy kompozytorskiej, ale i tej nie poświęcał zbyt wiele godzin. Głównym celem, dla którego tu przyjechał (prawdopodobnie w towarzystwie Jana Matuszyńskiego) był odpoczynek i nabranie sił. W tym celu używał przechadzek, pieszo lub na osiołku, po cudownej okolicy, po polach i lasach, bardzo często jeżdżąc do pobliskiego Montmorency, w odwiedziny do Niemcewicza, a jeszcze częściej do Saint-Gratien, albowiem był *la seule personne,* której margr. de Custine dał *l'autorisation de venir quand elle veut et sans m'en prévenir.* Korzystając z tego zaproszenia często odwiedzał margrabiego, dla którego tym sposobem, dzięki muzyce Chopina, zaczęły się *mes plus beaux jours de Saint-Gratien...* Ale i dla Chopina była to »szczęśliwa epoka«, którą wspominał mile [1]).

W ten sposób upłynęło mu kilka tygodni, do pierwszych dni sierpnia, poczem, na skutek wiadomości, że jego rodzice wybierają się do Karlsbadu [2]), pragnąc im zrobić niespodziankę, siadł do dyliżansu pocztowego i puścił się w podróż do Czech.

Oddawna już chciał się zobaczyć z rodzicami, tak dalece, że nawet w tym celu ciągle wybierał się na czas jakiś do Warszawy [3]), ale jakoś nie

[1]) Zob. pamiętniki Brzowskiego (z których wyjątki, dotyczące Chopina, ogłosiłem w *Echu muzycznem)* oraz listy margr. de Custine do Chopina, ogłoszone przez Karłowicza (we francuskiem wyd. *Pamiątek po Chopinie).*

[2]) Na początku r. 1835 został Mikołaj Chopin członkiem «Komitetu egzaminacyjnego do oceniania kwalifikacyi kandydatów o posady nauczycielskie w szkołach publicznych Królestwa Polskiego«.

[3]) W liście do rodziców z r. 1832 pisał Antoni Orłowski: »Fryderyk tu się nam pozostaje na jakiś czas, i z tego powodu na przyszły rok mamy razem wyjechać z Paryża, aby Was zobaczyć, i nazad wrócić do Paryża...«



mógł się wybrać, do czego pewno w znacznym stopniu przyczyniały się trudności paszportowej i polityczno-emigracyjnej natury. Nie ulegało wątpliwości, że jechać do Warszawy, gdzie drakońskie rządy sprawował Paszkiewicz, byto ryzykiem, zwłaszcza, gdy się przyjeżdżało z centrum emigracyi, z Paryża! Dlatego nie pojechał na ślub najmłodszej siostry, Izabelli, która dnia 8 listopada 1834 r. wyszła za Antoniego Barcińskiego. Co innego spotkać się za granicą, na gruncie neutralnym, u wód w Austryi, poza obrębem władzy Paszkiewicza. Z takiej okazyi należało korzystać bez namysłu. Skorzystał z niej Chopin, i tym sposobem, dnia 15 sierpnia, po blisko tygodniowej podróży, stanął w Karlsbadzie, tego samego dnia, w którym również przyjechali i jego rodzice.

O radości, jaką obie strony napełniło to spotkanie, bardzo dokładne pojęcie daje list Mikołaja Chopina, z obszernym dopiskiem Fryderyka, wystosowany dnia 16 sierpnia do rodziny w Warszawie, do Jędrzejewiczów i Barcińskich. List ten, pisany pod bezpośredniem wrażeniem pierwszych chwil zobopólnego szczęścia rodzinnego, brzmiał, jak następuje:

Karlsbad 16 sierpnia.

Drogie dzieci!

Po wielu trudach dojechaliśmy oto wreszcie tutaj, a wypadek zdarzył, że przejeżdżając wczoraj przez miasto, ażeby się dostać do jakiegoś zajazdu, spostrzegliśmy powóz, gotów do odjazdu. Był to powóz państwa Danielskich. Stanęliśmy i zajęliśmy niezwłocznie to samo mieszkanie, a oni byli tak dobrzy, iż nam udzielili wskazówek miejscowych. Mają się doskonale: wyjechali do Teplic. Po przyjeździe tutaj, kazaliśmy sobie podać listę kuracyuszów, żeby zobaczyć, czy niema kogo ze znajomych. Znalazłem tam między innemi p. Zawadzkiego, żonę jego i panią Hofmannową. Zamierzałem pójść odwiedzić ich rano, gdy o g. 7-mej, gdyśmy jeszcze nie byli wstali, ktoś do drzwi naszych zapukał. Był to p. Zawadzki, który przychodził powiedzieć nam, że wczoraj szukali nas wszędzie z Fryderykiem. Łatwo możecie sobie wyobrazić, żem był zaraz ubrany i poszliśmy razem obudzić tego poczciwego chłopca, który, dowiedziawszy się z listów moich, że mam jechać do Karlsbadu, chciał nam sprawić najmilszą z niespodzianek; porzucił zajęcia swe w Paryżu i kilka nocy jechał, żeby tu przed nami przybyć. Nie zmienił się ani trochę, tak, że się nam wydaje takim, jak w chwili wyjazdu. Jak dla nas cenną jest ta troskliwość, możecie o tem sądzić, znając przywiązanie nasze. Wylewaliśmy łzy radości. Nie rozpocząłem jeszcze kuracyi, doktór ma przyjść dziś rano: zobaczę, co powie. Nie chcę opuścić poczty, kończę więc, ściskając was. Matka wasza ściska was również.

*Ch.*

Do listu tego, pisanego po francusku, tak się dopisał po polsku Fryderyk:

Moje dzieci kochane, pierwszy list odbieracie z Papy i mojem pisaniem. Nie do opisania nasza radość! Ściskamy się, a ściskamy, i cóż więcej można; szkoda, że nie wszyscy razem. Bobo cudowne! Jakże Pan Bóg łaskaw na nas! Co piszę, to bez ładu; lepiej dziś nic nie myśleć: używać szczęścia, jakiego się dożyło. To jedno co mam dzisiaj. Ciż sami rodzice, zawsze ciż sami, tylko się mi troszkę podstarzeli. Chodzimy, prowadzimy panią Matulę pod rękę, rozmawiamy o Was, udajemy złośników siostrzeńców, opowiadamy sobie, ile razy jedno o drugiem myślało. Pijemy, jemy razem, każolujemy się, hukamy na

siebie. Jestem au comble de mon bonheur. Też same zwyczaje, też same ruchy, w których urosłem, taż sama ręka, której ja tak dawno nie całowałem. No, moje dzieci, ściskam Was i darujcie mi, że niepodobna mi zebrać myśli i o czem innem pisać, jak o tem, żeśmy szczęśliwi w ten moment; żem miał tylko nadzieję zawsze, a dziś realizacyę tego szczęścia i szczęścia i szczęścia.

Z radości duszę Was ze szwagrami, jak moich najmilszych na tym świecie.

*Ch.*

P. Żywnemu za muzykę buziaków tysiące, a p. Wiesiołowskiemu, który mi przybliżył o kilkadziesiąt mil szczęście, miljony ukłonów. Panu Fryd. Skarbkowi ditto.

Zamieszkano razem, w hotelu »pod złotą różą« przy Sprudelgasse [1]) i naturalnie cały czas spędzano razem, bądź w kółku rodzinnem, bądź ze znajomymi. Tych znajomych znalazło się sporo, a w ich liczbie i tacy, jak Kazimierz Brodziński, z którymi spotkanie musiało być wielce miłem Chopinowi. Nie brakło i muzyków, jak sławny Gyrowetz, którego koncertem Chopin niegdyś debiutował w Warszawie, albo znany pianista Dreyschok. Ale więcej, niż do muzyków, Chopin lgnął do ziomków, a tych, jak zwykle, była znaczna liczba, zwłaszcza ze ster arystokratycznych. Skoro się rozeszła wiadomość, że Chopin bawi w Karlsbadzie, obecni tam Polacy postanowili go uczcić obiadem składkowym, ale skończyło się na tem, że projekt spełzł na niczem, obawiano się bowiem, by to nie skompromitowało poddanych rosyjskich z Królestwa. O tym niedoszłym obiedzie tak pisał *Tygodnik Emigracyi polskiej* w rubryce *Polska* dnia 7 września 1835 roku: »Piszą z Karlsbad, iż w czasie pobytu w tem miejscu naszego utalentowanego ziomka Chopin, nasi rodacy zamierzali uczcić jego talent obiadem składkowym: zapisało się z początku dwudziestu, lecz nazajutrz dwunastu odstąpiło od uczty, ze strachu, by się nie skompromitować częstowaniem artysty z Paryża przybyłego. Na czele tej oppozycyi stanęli pierwsi Kazio [2]) Walewski, który z pewnością tem jest, za co go mają, i jenerał Młokosiewicz, który wyraźnie powiedział, że ma w Królestwie majątek i dzieci, więc się boi jeść z Paryżaninem«. Nie popsuło to humoru Chopinowi. Uszczęśliwiony z przyjemności, jaką zrobił rodzicom... i sobie, jak mógł, tak starał się dogadzać im, uprzedzał ich życzenia: opowiadał im o Paryżu, o ludziach, z którymi tam żył w przyjaźni, pokazywał im nowe »poliszynele«, których nie znali, a przedewszystkiem grał im na fortepianie, im i niektórym z rodaków, z którymi przestawał tu bliżej. W ten sposób upłynął miesiąc blisko.

W pierwszej połowie września, po skończonej kuracyi Mikołaja Chopina, Fryderyk razem z rodzicami wyjechał z Karlsbadu. Ale że z nimi

[1]) Chopin w Karlsbadzie przez Z. Méyeta w *Kuryerze Warszawskim* z dnia 18 czerwca 1905.

[2]) Ten Kazimierz Walewski cieszył się opinią szpiega rosyjskiego. Stąd w *Tygodniku Emigr. polskiej* napisano o nim (w przypisku do powyższej wzmianki), że »ten Kazio włóczy się po wszystkich wodach i przepatruje, wielu gdzie jest z Polaków, z kim i jak żyją«. Może dlatego Polacy w Karlsbadzie bali się dać obiad Chopinowi...



chciał być jaknajdłużej, więc ich postanowił odwieźć prawie aż do pruskiej granicy, co mu przyszło tem łarwiej, że przyobiecał hrabiostwu Thunom, iż ich przy sposobności odwiedzi w Teschenie na Śląsku austryackim. Ponieważ rodzicom droga wypadała na Wrocław, więc mogli jechać razem aż do pruskiej granicy prawie. Skończyło się na tem, że razem dojechano aż do Teschenu, gdzie hrabstwo Thun, dowiedziawszy się, że Chopin jest z rodzicami, wszystkich zaprosili do swego pałacu. Wypocząwszy nieco, państwo Chopinowie, nie chcąc nadużywać gościnności hrabiostwa, pożegnali się rankiem dnia 14 września z Fryderykiem, i zostawiwszy go w Teschen, sami pojechali do Wrocławia, skąd już zwykłym traktem mieli wrócić do Warszawy. Pożegnanie ich z Fryderykiem było nadzwyczaj wzruszające, a »w ciężkiej chwili rozstania, gorącemi łzami oblanej, pozostało w sercu rodziców przeczucie, sprawdzone niestety, że pożegnanie to jest już ostatnie, że nigdy już ukochanego syna swojego widzieć nie będą« [1]).

Zabawiwszy jeszcze dni kilka w gościnie u Thunów, pojechał Chopin na parę dni do Drezna, ażeby tam zobaczyć paru znajomych artystów, w pierwszym rzędzie Augusta Klengla, przy tej sposobności odwiedzić także i swoich dobrych znajomych Cichowskich. Istotnie czas mu w ich domu upływał bardzo mile. »Przez cały czas pobytu maestra w Dreznie — opowiada Wieli-

[1]) W jednym z późniejszych listów do rodziców pisze Chopin: »Często gawędziłem (z panią Sartoris) i zdawało mi się, że z kimsiś, co Was zna, a ona tylko zna pokoje, w których mieszkaliśmy w Tetschenie u Thunów, w których kilka czasów najprzyjemniej także spędziła. Powiada mi, że nas tam wspominali często i często«. W papierach po Chopinie znalazł się list hr. Thuna, datowany w Paryżu 28 marca 1835 r., polecający Chopina bardzo gorąco, jako muzyka i jako człowieka. Widocznie za tej bytności w Paryżu hrabiostwo Thun zaprosili Chopina do Teschenu. Zachował się też list hrabiny Thun, (z domu hr. Brühl), datowany 6 czerwca 1836 r., w którym to liście hrabina przypomina Chopinowi miłe chwile roku ubiegłego, gdy Chopin bawił u nich w Dzieczynie (Teschen) i prosi, ażeby tego roku także postarał się tam przyjechać.

W drodze z Teschen do Wrocławia, w czasie popasu na jednej ze stacyi pocztowych, gdzie postanowiono przenocować, Mikołaj Chopin pod datą 14 września napisał krótki list do Fryderyka, brzmiący, jak następuje:

Ce 14 septembre.

Cher enfant, stanęliśmy tu o 6-tej i zostaniemy na noc, bo następna stacya jest podwójna, a będzie ciemno jak w piecu; droga też, jak mówią, miejscami przykra, a że pada, wszystko czarno. Nie chcemy nasze życie narazić. Uspokoiliśmy się i łzy rozłączenia suszyli nadzieją, że nam Bóg dozwoli jeszcze mieć ukontentowanie widzenia się, spokojni, żeś lubiony i masz przyjaciół. Dowiemy się z radością z Twego oczekiwanego listu z Lipska, jak czas przepędziłeś po naszem rozłączeniu. Adieu, nous t'embrassons de tout notre coeur. Présente bien nos respects à M-r le Comte et M-me la Comtesse, et à toute leur aimable famille, en y joignant nos sincères remerciements. *Ch.*

Ta mère te charge de demander pardon à M-me la Comtesse de ce qu'elle n'a pas pu prendre congé et la remercier. Elle te recommande aussi d'être tranquille et de penser à toi. Peut-être recevras-tu de nos nouvelles de Breslau poste-restante à Dresde.

sław — trwały jego artystyczne z wujenką moją, Adolfową Cichowską, stosunki. Często grywał z nią na cztery ręce, jak dawniej, improwizował...«[1]) Równocześnie przestawał i z innemi domami polskiemi: z domem pani Dobrzyckiej, z domem wojewody Macieja Wodzińskiego, z rodziną Wincentowstwa Wodzińskich ze Służewa, a widywał się także i z Antonim Edwardem Odyńcem, z którym mile wspominał czasy warszawskie, swoje występy w domu panny Teresy Kickiej i t. p.[2]). Z Adolfem Cichockim pewno nie omieszkał odwiedzić także i Kazimierza Brodzińskiego, który wróciwszy z Karlsbadu, ciężko zaniemógł i czuł się coraz gorzej...

Z Drezna, gdzie zabawił tydzień blisko, udał się Chopin na parę dni do Lipska, ażeby odwiedzić tam Mendelssohna, a przy tej sposobności poznać się z Robertem Schumannem i Klarą Wieck, nie mówiąc już o obowiązkowych wizytach u swoich lipskich nakładców, Probst-Kistnera, oraz Breitkopfa i Härtla. Ale przedewszystkiem chodziło mu o poznanie się z Robertem Schumannem, dla którego miał cały szereg długów wdzięczności, a z którym choć już od niejakiego czasu pozostawał w listowych stosunkach, to jednak nie znał się osobiście.

Gdy Chopin, w liście do Schumanna, zapowiedział swój przyjazd do Lipska, powstała wielka radość w domu Wiecków (u których mieszkał Schumann), ubolewano tylko, że ten przyjazd równał się przejazdowi raczej, bo miał się ograniczyć do jednego dnia tylko. Że bądź co bądź tego przyjazdu oczekiwano z pewnem rozgorączkowaniem, o tem świadczył list Fryderyka Wiecka, ojca Klary, do Nauenburga w Halle, list, w którym między innemi wiadomościami znalazła się i następująca: »Jutro albo pojutrze przyjeżdża z Drezna Chopin, według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa nie wystąpi tu z koncertem, gdyż wielki bardzo z niego próżniak. Mógłby tu nawet dłużej nieco się zatrzymać, gdyby go od poznania Lipska ze strony muzycznej nie odwodzili różni fałszywi przyjaciele, a mianowicie jeden pies-Polak[3]). W każdym razie Mendelssohn, który się bardzo już z Schumannem

[1]) Pamiętam — opowiada w dalszym ciągu w swych *Wspomnieniach* tenże Wielisław — że ktoś opowiadał o pomocy, jakiej doznał od Chopina kucharz zmarłego w Dreźnie jenerała Woyczyńskiego. Był to Mazur z Chojnatej Woli w Rawskiem, który po śmierci swego pana nie wiedział, gdzie się obrócić. Chopin go namówił, aby jechał do Paryża i tam, założywszy restauracyę, Francuzów zapoznał z barszczem i krupnikiem, bigosem i zrazami z kaszą, kołdunami i flakami po polsku. Usłuchał tej rady Mazur i przeżywszy swego dobroczyńcę, który mu na początek coś ofiarował, podobno do dziś dnia żyje, zrobiwszy spory na polskiej kuchni majątek.

[2]) *Wspomnienia z przeszłości* str. 225.

[3]) W *Neue Zeitschrift für Musik,* w numerze z dnia 29 września 1835, znajduje się między innemi także i następująca wiadomość: »Lipsk ujrzy niebawem w swych murach kilku potentatów sztuki muzycznej... Pan Mendelssohn zawitał już do nas przed paru dniami. Pan Moscheles przybywa w tym tygodniu, a prócz niego spodziewani są jeszcze Chopin, po nim zaś Pixis z Franzillą«...



i ze mną zaprzyjaźnił, będzie protestował przeciwko temu. Podobno Chopin miał się w Dreźnie wyrazić przed kolegami, że nie wierzy, żeby w Niemczech znaleść się mogła kobieta, która by potrafiła dobrze grać jego kompozycye. Zobaczymy jednak, co potrafi Klara«! Cokolwiek miało się okazać, o jednej rzeczy nie wątpił nikt w całym domu Wiecków, że Chopin, przybywszy do Lipska, najpierw stawi się na ulicy Grimma Nro 37. Kto w Lipsku i w Niemczech tyle zdziałał dla jego sławy, co Fryderyk Wieck i Robert Schumaun, nie mówiąc już o Klarze Wieck, ten miał wszelkie prawo, żeby przypuszczać coś podobnego. Jakoż, skoro w końcu wiedziano już z pewnością, którego dnia Chopin ma przybyć do Lipska, cały ten dzień w domu Wiecków, w oczekiwaniu wizyty Chopina, nikt nie wychodził na miasto... Tymczasem Chopin, stanąwszy tu w niedzielę nad wieczorem, przedewszystkiem odwiedził Mendelssohna (świeżo mianowanego kapelmistrzem Gewandhausu, gdzie 4 października miał się odbyć pierwszy koncert pod jego dyrekcyą). U niego też spędził cały wieczór, a nie trudno się domyśleć, że gdzie się zeszło dwóch takich muzyków, jako Chopin i Mendelssohn, tam nie mogło się obejść bez muzyki. Jakoż nie obeszło się istotnie. Muzykowano do późna. Mendelssohn zapoznał Chopina ze swem najnowszem oratorium, Chopin grał mu swoje nowe *Etiudy* i swój drukujący się właśnie *Koncert F-moll,* potem grał jeszcze swój najnowszy *Nokturn.* Nazajutrz, przed pójściem do Schumanna, udał się Chopin raz jeszcze do Mendelssohna, ponieważ on go miał zaprowadzić na ulicę Grimma i przedstawić rodzinie Wiecków. Gdy jednak zaczęli muzykować, czas płynął im tak szybko, że ani się spostrzegli, jak upłynęło kilka godzin...

Tymczasem w domu Wiecków, gdzie od samego rana spodziewano się wizyty Chopina. zaczęto się — słusznie — niecierpliwić, aż w końcu, już po południu, gdy się dowiedziano od jednego z przybyłych, że na ulicy widział Chopina z Mendelssohnem, idących w tę stronę, czyli, że należy się ich spodziewać lada chwila, Fryderyk Wieck, niemile dotknięty tem opóźnieniem ze strony Chopina, trochę zakrawającem na lekceważenie, zdecydował się dać mu małą nauczkę dobrego wychowania i, nie zwłócząc, kazał się ubrać Klarze i wyszedł z nią na spacer, umyślnie w tym celu, aby ich Chopin nie zastał w domu. Jakoż, ledwo się znaleźli po za domem, przyszedł Chopin. Wszedł razem z Mendelssohnem, który rzekłszy tylko parę słów: »Oto jest Chopin!« poprzestał na tak lakonicznem przedstawieniu gościa (uważając je za całkiem wystarczające), poczem sam cofnął się ku drzwiom, bo miał jeszcze jakieś interesy do załatwienia. W liczbie osób, które Chopin zastał w domu Wiecków, był jeszcze, oprócz pani Wieck i jej bratowej, Robert Schumann, oraz trzech młodych uczniów Fryd. Wiecka, Wenzel, Rakemann i Ulex. Po pierwszej wymianie słów — opowiada Wenzel — okazało się, że przybyły mówił biegle po niemiecku, jak-

kolwiek nie bez cudzoziemskiego akcentu, pod względem powierzchowności zaś, choć trochę podobny do Mendelssohna, był delikatniejszej kompleksyi i bardziej dystyngowany w ruchach. Ponieważ głównym celem jego wizyty, obok chęci poznania Schumanna, była chęć usłyszenia gry Klary Wieck, o której słyszał tyle entuzyastycznych pochwał, więc, nie zastawszy jej, postanowił czekać na nią. Czekał godzinę całą, rozmawiając głównie z Schumannem, ale nikt przez ten czas nie śmiał go prosić, żeby co zagrał,

W końcu wróciła Klara z ojcem ze spaceru. Stary Wieck zmieszał się trochę, zastawszy jeszcze Chopina (bo był pewien, że go już nie zastanie), a że czasu nie było do stracenia, bo za dwie godziny Chopin miał już siadać do dyliżansu, więc nie zwlekając, zaraz po pierwszych przedstawieniach musiała Klara zasiąść do fortepianu, albowiem Chopin oświadczył, że nie odejdzie, dopóki nie usłyszy jej gry. Zagrała *Sonatę Fis-moll* Schumanna, dwie *Etiudy* Chopina, oraz jedną z własnych kompozycyi koncertowych. Grała tak pięknie, że Chopin był wzruszony do łez. Gdy wreszcie wstała od fortepianu, wszystkich spojrzenia zwróciły się ku Chopinowi, ale znowu nikt nie śmiał go prosić o zagranie czegokolwiek, ile że dość twardy instrument mógł nie dogadzać jego delikatnym palcom. Tak wahano się przez chwilę, aż wreszcie, gdy mężczyznom zabrakło potrzebnej odwagi do wypowiedzenia niemej prośby całego towarzystwa, wzięły to na siebie kobiety. I dopięły celu. Chopin bowiem, ulegając ich życzeniu, ostatecznie zasiadł do fortepianu. Najprzód zagrał swój *Nokturn Es-dur*, Op. 9, Nr. 2, a odegrał go tak cudownie, z takiem uczuciem, z taką poezyą, z taką powiewną lekkością, z taką, jak się wyraził Schumann, *elfenartige Leichtigkeit*, że obecni, zachwyceni jego uderzeniem i sposobem interpretacyi, nie mogli wyjść z podziwu. Prócz *Nokturnu* tego, ponieważ przed chwilą mówiono o Schubercie, ulubionym kompozytorze Schumanna, zagrał jeszcze Chopin początek Schubertowskiego *Marsza*, w miarę zaś, jak grał, pod wpływem tej jego muzyki, niby śnieg pod promieniami słońca, topniał gniew starego Wiecka, który, rozbrojony przecudowną grą Chopina, udobruchał się w końcu. Za dobrym był muzykiem, by nie uledz czarowi, jaki płynął z pod magicznych palców tego czarodzieja fortepianu! Jakoż epilog był taki, że gdy zbliżała się chwila wyjazdu Chopina, stary a poczciwy ojciec Klary, wraz z całem towarzystwem odprowadził go na pocztę, gdzie się z nim pożegnał w sposób jaknajserdeczniejszy, tak zupełnie, jakby jeszcze niedawno wcale się nie był boczył na niego.

Niezwłocznie po wyjeździe Chopina z Lipska pisał Mendelssohn 6 października w liście do rodziców co następuje: »Był tu Chopin. Nie chciał zabawić dłużej nad jeden dzień, zaczem poszło, żeśmy go spędzili razem, muzykując. Nie mogę ukryć przed tobą, droga Fanny, o czem świeżo się przekonałem, żeś w swoim sądzie o nim nie całkiem powodowała się uczuciem sprawiedliwości. Być może zresztą, że wtedy właśnie, gdyś go słyszała, nie był usposobionym do grania, co mu się nader często przytrafia. Mnie atoli gra jego na nowo zachwyciła, i jestem przekonany, że gdyby niektóre swoje lepsze rzeczy tak przed tobą i przed ojcem, jak przedemną, wykonał, powiedzielibyście to samo. Jest coś rdzennie oryginalnego w jego grze fortepianowej i tyle w niej zarazem mistrzowstwa, że słusznie można go nazwać doskonałym, skończonym wirtuozem; a ponieważ wszelką doskonałość cenię zawsze bardzo wysoko, przeto dzień ów był mi nadzwyczaj przyjemny... Miło mi było mieć znowu raz z porządnym muzykiem do czynienia, a nie z owymi pół-wirtuozami i półklasykami, którzy gotowi les honneurs de la vertu et les plaisirs du vice łączyć zawsze nie z muzyką, lecz z muzykiem, który posiada swój jasno zupełnie wytknięty kierunek. Nic nie szkodzi, że kierunek ten może być o całe niebo różnym od mojego; wcale mi to nie przeszkadza doskonale się z nim rozumieć: tylko z owymi połowicznymi ludźmi rady sobie dać nie mogę. Wieczór ten niedzielny był istotnie bardzo ciekawy: gdy ja mu przegrywałem moje *Oratorium*, kilku ciekawych Lipszczan wsunęło się cichaczem dla zobaczenia Chopina. Pomiędzy pierwszą i drugą częścią zasiadł on do fortepianu i wygrzmiał z szaloną furyą, ku niesłychanemu zdumieniu obecnych, kilka swych nowych *Etiud* oraz swój nowy *Koncert*, poczem znów ja w dalszym ciągu grałem mojego *Św. Pawła*, co robiło takie wrażenie, jak gdyby jakiś Irokez z Kaffrem zeszli się i rozmawiali. Z prześlicznym także zapoznał nas *Nokturnem*, z którego nawet niejedno zatrzymałem w pamięci... Tak tedy, w nader wesoły sposób, przeżyliśmy kilka chwil ze sobą. Przyrzekł mi uroczyście przybyć w ciągu zimy do Lipska, gdy skomponuję nową symfonię i na cześć jego wykonam. Zaprzysięgliśmy to obaj wobec trzech świadków, a teraz zobaczymy, czy obaj dotrzymamy słowa. Jeszcze przed jego wyjazdem nadeszły moje dzieła Händla. Przeglądając je, Chopin cieszył się poprostu, jak dziecko«. Jednem słowem, w pamięci Mendelssohna zapisały się te wspólnie przeżyte w Lipsku godziny bardzo mile: Twórca *Snu nocy letniej*, choć zdawał sobie sprawę, że kierunek jego od chopinowskiego różnił się o »całe niebo«, mimo to był pod urokiem Chopina, tak jego gry, jak i osoby.



Jeszcze większe wrażenie pod każdym względem uczynił Chopin na skłonniejszym o wiele do entuzyazmu Robercie Schumannie. Świadczył o tem zaraz najbliższy numer *Neue Zeitschrift für Musik* z dnia 6 października, gdzie taka o Chopinie znalazła się notatka: »Był tu Chopin, ale zabawił tylko parę godzin, które spędził w ściślejszem kole znajomych. Gra on zupełnie tak, jak komponuje, t. j. nieporównanie. Er spielt genau so wie er componirt d. h. einzig«. We dwa tygodnie później, w temże piśmie, w jednym ze swych *Listów marzycielskich* do Chiary, t. j. do Klary Wieck, pisał Euzebiusz (Schumann): »Był tu Chopin. Florestan rzucił mu się w objęcia. Widziałem ich idących pod rękę, a zdawali się raczej unosić w powietrzu, niż

iść. Nie mówiłem z nim. Na myśl o tem, nie wiedziałem poprostu, co się ze mną dzieje«.

Tymczasem Chopin, zdążając ku Paryżowi, zatrzymał się po drodze w Heidelbergu, raz dlatego, ażeby tu być z wizytą u niektórych znajomych, mianowicie odwiedzić panie Diller, ale przedewszystkiem, aby wypocząć po trudach podróży, które mu po wyjeździe z Lipska coraz bardziej dawały się we znaki. Czuł się tak zmęczonym i wyczerpanym nocami w dyliżansie, że stanąwszy w Heidelbergu, zdecydował się tu zostać dni kilka. I nietylko został, ale nawet zapadł na zdrowiu, tak, że poprostu był chory[1]), a przynajmniej bez sił do dalszej podróży. Na szczęście nie był bez opieki, ale miał paru istnych aniołów opiekuńczych w osobach pani Diller, przyczem nie brak danych do przypuszczenia, że jedna z nich, pani Katarzyna Pereire-Diller trochę się kochała w Chopinie...[2]). Oprócz domu pań Diller, gdzie go otoczono prawdziwie siostrzaną opieką, odwiedził jeszcze Chopin, za bytności swej w Heidelbergu, ojcowski dom swego ulubionego ucznia, Gutmanna, gdzie go przyjęto nie jak jakiegoś księcia albo króla, ale jak kogoś, stojącego jeszcze o wiele wyżej. Dzieci siostry Gutmanna, która sprawowała obowiązki pani domu, miały polecone patrzeć na Chopina, jak na człowieka jedynego w swoim rodzaju, co potrosze tłumaczyło się i tem również, ze przedewszystkiem ich matka tak się zapatrywała na niego, że poznawszy Chopina, o którym jej tyle pisał brat z Paryża, od pierwszej chwili pozostawała pod jego urokiem, tak, że jej odtąd pozostał Chopin w pamięci, »jako najpoetyczniejsze wspomnienie młodości«.

Po nieco dłuższym wypoczynku w cudnie położonym Heidelbergu, pożegnawszy się ze wszystkimi, którzy mu tutaj nieba przychylić się starali, i obiecawszy im, że przy pierwszej okazyi nie omieszka choćby na jeden dzień wstąpić do Heidelberga, puścił się Chopin w drogę — przez Strasburg – ku Paryżowi, gdzie też w połowie października szczęśliwie stanął z powrotem. O przyjeździe jego, już z niecierpliwością oczekiwanym przez uczniów i uczennice, w ten sposób zakomunikowała swym czytelnikom

[1]) Mikołaj Chopin w liście do Jana Matuszyńskiego tak pisał o Fryderyku: »Le séjour de Carlsbad a été si agréable, pourquoi les suites s'en sont-elles fait sentir si désagréablement à Heidelberg. Frédéric a besoin de voyager plus commodément, passer plusieurs nuits de suite ne lui vaut rien, il vaut mieux, si dans la suite il entreprend un voyage, qu'il soit plus longtemps en chemin et qu'il se donne plus de commodités en ropport de santé, qui sans être mauvaise est cependant délicate...«

[2]) Na wniosek ten naprowadzają listy pani Diller do Chopina, w których ta prosi go, żeby przybył pocieszyć je obydwie i sprawił choć chwilę przyjemności »biednej Katarzynie«, to znowu zaklina go, aby zabawił w Heidelbergu, conajmniej dwa dni, a w ostateczności choć dzień jeden, przez wzgląd na biedną Katarzynę. Do jednego z tych listów dopisała się też i sama biedna Katarzyna, powtarzając prośbę siostry, by przybył do Heidelberga, i dodając, że »myśl zobaczenia go jest jedyną pociechą w tych czasach smutku i żalu«.



paryska *Gazette musicale* z gnia 25 października: »Pan Chopin, jeden z najwybitniejszych pianistów naszej epoki, po dłuższej podróży po Niemczech, obfitej dlań w zaszczyty, powrócił do Paryża. Godny podziwu jego talent spotykał się wszędzie z jaknajpochlebniejszem przyjęciem, budząc powszechny entuzyazm. Co do nas, to mamy wrażenie, jakgdyby miasta naszego wcale nie był opuszczał« [1]).

## VIII.

Znalazłszy się z powrotem w Paryżu, wrócił Chopin odrazu do swego dawnego trybu życia, do lekcyi, do wizyt, nie wiele się troszcząc o zdrowie, które raz po raz zostawiało coś do życzenia. Wprawdzie z początku, trochę przestraszony swą słabością w Heidelbergu, zaczął się oszczędzać i uważać na siebie, lecz trwało to niedługo. Pomimo perswazyi Matuszyńskiego, który mu wciąż zalecał regularne życie, nie potrafił oprzeć się pokusom życia towarzyskiego, a że prawie nie było wieczoru, żeby nie miał przynajmniej jednego lub paru zaproszeń, więc znowu zaczął wracać po północy do domu, co oczywiście odbijało się na jego wątłem zdrowiu. Pisując do rodziców — co jednak czynił coraz rzadziej — donosił o wszystkiem, co robił, co myślał, co zamierzał na przyszłość, jak się czuł chwilowo, a że z niczem nie taił się przed rodziną, o tem świadczą listy jego ojca do niego, pisane w odpowiedzi.

Oto niektóre wyjątki z nich, doskonale pozwalające wejrzeć w ówczesny tryb życia 25-letniego Chopina. »Mała podróż, którą odbyliśmy — pisał do niego ojciec dnia 15 grudnia 1835 r. — była nam potrzebna. Siostry twe, jak też i szwagrowie, bardzo żałują, że nie mogli do niej należeć, aby podzielić radość i przyjemność zobaczenia ciebie po tak długiem niewidzeniu. Wszyscy się tu zachwycają przywiązaniem, któreś nam okazał, sprawiając tak miłą niespodziankę przez spotkanie nas w Karlsbadzie, którego-to miejsca nigdy nie zapomnimy, bo przy wymówieniu tego nazwiska ileż przyjemnych wspomnień ciśnie się do głowy! Bardzo nas ucieszyło, żeś powrócił do zajęć i żeś sobie zapewnił cieplejsze mieszkanie; pomimo bowiem chęci do pracy, niezbyt się jest do niej usposobionym, gdy palce kostnieją z zimna. Bardzo pochwalam postanowienie twe przebywania w domu więcej, niż lat ubiegłych, ale też nie radzę, żebyś się usuwał całkowicie. Wieczory nie nazbyt długie są prawdziwem wytchnieniem dla ciebie, potrzebnem do ożywienia twego talentu, a nawet dla nasunięcia no-

[1]) Oto, jak rzeczona wzmianka brzmiała we francuskim oryginale: »Un des pianistes les plus éminents de notre époque, M. Chopin, est de retour à Paris, après avoir fait en Allemaque une promenade qui a été pour lui une veritable ovation. Portout son admirable talent a obtenu l'accueil le plus flatteur et excité l'enthousiasme. C'était exactement pour lui comme s'il n'avait pas quitté notre capitale«.

wych pomysłów. Niemniej też pochwalam zamiar twój zaoszczędzenia czegoś i wybierania lepiej tych, którym możesz przyjść z pomocą«. Okazało się jednak, że to, co jeszcze w połowie listopada było chwalebnym zamiarem, to już w grudniu poszło w zapomnienie, pomimo, że zdrowie coraz częściej dawało powody do uzasadnionych obaw. Niepokoił się tem Mikołaj Chopin, to też pisząc dnia 9 stycznia 1836 r. do Fryderyka, tak go upominał: »Widzę z listu twego, żeś jest bardzo zajęty, zarówno lekcyami, jak i komponowaniem, ale widzę z żalem, że mało wypoczywasz; owe długie wieczory, mimo, że jak mówisz, są nieuniknione, mogą ci być wprost szkodliwe, a szczególniej w porze, kiedy się łatwo przeziębić. Wiem, że te wielkie zebrania pozwalają ci zawierać nowe znajomości bardzo cenne, ale zdrowie?« Obszerniej w tej kwestyi zdrowia rozpisał się ojciec Chopina tegoż dnia w osobnym liście do Matuszyńskiego, któremu w ten sposób zalecał czuwanie nad lekkomyślnym Fryderykiem, prosząc go jednocześnie, by czasem napisał za niego list z wiadomościami o nim: »Jeżeli zajęcia zostawią ci chwilę wolną, a Fryderyk czasu mieć nie będzie, to weź się do pióra, napisz do nas i zmuś go, ażeby dopisał kilka słów do listu; wystarczy to, żeby nas uspokoić... Jestem ci niezmiernie obowiązany, żeś go przymusił do obuwia, stosowniejszego na tę porę roku, niż to, jakie miał zwyczaj nosić. Chciałbym też bardzo, żebyś mógł wymódz na nim, ażeby mniej bywał na długich wieczorach; kładzenie się o drugiej, to dobre dla automatów, a nie dla tych, którzy duchowo pracują i myślą. Pojmuję, że Fryderyk ma stosunki, których zaniedbywać nie może i nie powinien, ale niech bywa rzadziej. Bardzo mię cieszy, że się zaopatrzył w kominek, który mu czyni mieszkanie cieplejszem... Fryderyk potrzebuje więcej wygód ze względu na zdrowie, które, choć niezłe, to jednak jest delikatne; strona duchowa bierze górę nad cielesną, trzeba więc tę ostatnią otaczać staraniami. Choćbyście się mieli pokłócić, to jednak obstawaj przy tem, co uznasz za potrzebne, a Fryderyk ma za dużo rozsądku, żeby się nie dał przekonać, że masz słuszność«.

Niestety, nie pomagały żadne perswazye; pomimo przyznawanego mu przez ojca »rozsądku«, pomimo ostrzeżeń ze strony przyjaciela-lekarza, Chopin nie potrafił walczyć z porywającym prądem wyczerpującego życia paryskiego i pozwalał mu się unosić, bo taką już była jego natura, że nic nie potrafił poświęcić... dla gygieny. Za bardzo był artystą, a za mało filistrem, żeby wciąż pamiętać o zdrowiu i ciągle o nie tylko się troszczyć.

W takiem usposobieniu zastał Chopina w listopadzie 1835 r. słynny skrzypek-rodak, Karol Lipiński, który przyjechał do Paryża, ażeby tu dać szereg koncertów. Widząc, jak wybitne stanowisko zajmuje Chopin w paryskim świecie muzycznym, tudzież w tych sferach towarzyskich, które swą obecnością decydują o powodzeniu lub fiasku każdego koncertu, Lipiński odwiedził Fryderyka, jako swego znakomitego ziomka, i prosił go



o poparcie, a także i współudział w koncercie. Chopin chętnie zgodził się na jedno i drugie, pod warunkiem przecież, że Lipiński prócz swojego da jeszcze jeden koncert na dochód emigrantów polskich. Lipiński przystał na ten warunek, za czem poszło, że Chopin robił wszystko, co było w jego mocy, żeby słynnemu skrzypkowi zapewnić sukces w Paryżu. W tym celu wprowadzał go wszędzie, gdzie tylko mógł [1]), choć niestety, przekonał się niebawem, że się podjął niewdzięcznego zadania, Lipiński bowiem, choć genialny skrzypek, mało był ujmującym, jako człowiek, nie posiadając tego, czego potrzeba do podobania się w świecie, i jakoś mu się nie wiodło pomimo zachodów Chopina. Co gorsza, że i jego gra, cokolwiek za klasyczna, a więc nieco chłodna, pełna siły, lecz pozbawiona wdzięku, nie bardzo odpowiadała smakowi paryskich melomanów [2]). Mimo to, prawdopodobnie dzięki gorliwemu popieraniu sprawy przez Chopina, bilety na zapowiedziany koncert Lipińskiego rozkupiono co do jednego, tak, że materyalny sukces już był zapewniony z góry. Wtedy to, na krótko przed 3 marca, w którym to dniu miał się odbyć rzeczony koncert »polskiego Paganiniego«, Lipiński oświadczył Chopinowi, że pomimo najszczerszych chęci musi cofnąć swą obietnicę dania jeszcze jednego koncertu na rzecz emigrantów polskich, albowiem koncert taki, o zdeklarowanym charakterze politycznym, mógłby mu zaszkodzić w Rosyi, dokąd właśnie z wiosną wybierał się na większą *tournée* artystyczną. Oburzył się tem Chopin, tak, że przedewszystkiem cofnął swój współudział, a nadto, po ostrem przemówieniu się z Lipińskim, zapowiedział mu, że od tej chwili do niczego nie przyłoży ręki, coby miało podnieść blask jego imienia w Paryżu. Jakoż czując się wolnym od wszelkich zobowiązań względem Lipińskiego, wziął go za przedmiot swoich różnych »poliszyneli«, czem go trochę ośmieszał w znajomych kołach muzycznych. Choć te chopinowskie figle nic już nie zaszkodziły zbliżającemu się koncertowi, który pod każdym względem był świetnym tryumfem dla »polskiego Paganiniego«, to jednak Lipiński, opuszczając Paryż, wyjechał z utajoną urazą do Chopina, nie mogąc zapomnieć, iż tenże po salonach stroił sobie drwinki z jego osoby, wyśmiewał go, a tem samem szkodził mu świadomie... Jakoż mszcząc się za to, zaczął wszędzie, gdzie mógł, psuć opinię Chopinowi, obgadując go, przedstawiając, jako czarny charakter, pełen obłudy i przewrotności. Oto, co w tej kwestyi, po poznaniu się z Lipińskim, pisał jeszcze w tymże 1836 r.

[1]) W liście z dnia 15 grudnia 1835 r., odpowiadając na list Fryderyka z dnia 19 listopada, pisze Mikołaj Chopin: »Tu as très bien fait d'introduire Lipiński partout où tu as pu«.

[2]) W liście z dnia 9 stycznia 1836 r. pisze do syna Mikołaj Chopin: »Il est fâcheux que Lipiński n'ait pas ce qu'il faut pour plaire et qu'il ne réussisse pas. Les gouts sont différents«.

w liście z Drezna do rodziny Józef Brzowski, który, wyjechawszy za granicę, zdążał także i do Paryża dla złożenia tam hołdu Chopinowi: »Lipiński okropnie źle mi wystawił Chopina, z czegom bardzo kontent, że wiem, bo będę wiedział, jak się względem niego zachować. Wystawił mi go jak najprzewrotniejszego człowieka i złośliwie każdemu artyście szkodzącego. I wszystkiemu wierzę, bo jakbym na niego patrzył, gdy mi Lipiński opowiadał. Nietylko zepsuł Lipińskiemu powodzenie w Paryżu, że wyśmiewał go wszędzie, ale i ze swoimi przyjaciółmi najobłudniej wychodził. Znając charakter Chopina, będę wiedział, jak uniknąć, by mnie za przedmiot swej przewrotności nie wziął, a starać się będę, aby, zamiast wyśmiania mnie, był mną zaambarasowany«.

Tymczasem w Paryżu, z nadejściem 1836 r., rozpoczął się świetny sezon muzyczny, świetniejszy, niż kiedykolwiek. Za wspaniały prolog posłużyło mu dnia 29 lutego pierwsze wystawienie w wielkiej operze *Hugonotów* Meyerbeera, a choć nic nie potrafiło zaćmić świetności tego arcydzieła muzyki operowej, to jednak głównym bohaterem tego sezonu, jeżeli chodzi o poruszenie całej opinii publicznej, był nie Meyerbeer, lecz Thalberg. Przyjazd tego »nadwornego pianisty Jego Apostolskiej Mości Cesarza Austryi« stał się dla muzykalnych sfer Paryża niezwykłym ewenementem. Podobnego entuzyazmu, jaki wzbudziły koncerty Thalberga, nie pamiętano nad Sekwaną. Zdaniem zachwyconych recenzentów, był to »nietylko pierwszy fortepianista na świecie, ale i jeden z najwybitniejszych kompozytorów«. Unoszono się nad jego grą niezrównaną, pełną wytworności i elegancyi; uważano, że »nikt niema tak wyrównanej skali«, tak jasnych pasażów, tak cudownego uderzenia; nie miano słów dla »salonowej duszy« tej przedziwnej muzyki, wolnej — niczem dusza kobiety z wielkiego świata — od wszystkiego, co trąci surowością, brutalnością i niepokojem; przyczem miano najwyższy podziw także i dla samej osoby artysty, dla jego »arystokratycznych manier«, dla jego »niewysłowionej dystynkcyi«, dla jego »spokojnego panowania nad sobą«. Oczywiście, że nie omieszkano porównywać go z Lisztem, przyznając mu nawet wyższość nad genialnym Węgrem. Nieporównywano go tylko z Chopinem...

A Chopin? On wcale nie był zachwycony Thalbergiem: o ile się spotykali w towarzystwach, a Thalberg popisywał się swą dystyngowaną grą, nie szczędził mu zdawkowych pochwał, gdy jednak Thalberga nie było w jakiemś towarzystwie, wtedy w najzabawniejszy sposób parodyował jego przesadnie eleganckie ruchy i gesty, jego salonową pozę przy fortepianie, jego sposób grania, jego różne wirtuozowskie blagi z pedałem etc. O kompozycyach jego, choć niemi tak zachwycali się niektórzy, wyrażał się z lekceważeniem, uważając je, słusznie, za płyciutkie i chłodne elaboraty, bez kszty natchnienia i poezyi, nie mające nic wspólnego z prawdziwą



sztuką, ułożone po to jedynie, by dawały pole do wirtuozowskich popisów technicznych, zresztą bez jakiejkolwiek poważniejszej treści. Jakby przeczuwając to, Thalberg niechętnie grywał w obecności Chopina, gdy zaś, nie mogąc oprzeć się prośbom i naleganiom swych admiratorów i wielbicielek, czasami musiał zasiąść do fortepianu, to wtedy grał jakby z musu, a na huczne oklaski odpowiadał znacznie skromniejszemi ukłonami, aniżeli wówczas, gdy między słuchaczami nie było Chopina. Bo tylko wobec niego czuł się onieśmielonym, a będąc dlań z respektem, z jakim nie był dla nikogo, nawet dla Liszta, nie lubił go w skrytości serca. Coprawda, to może miał powody, usprawiedliwiające jego niechęć ku twórcy *Nokturnów*, bo nietylko czuł swoją artystyczną niższość w stosunku do genialności Chopina, ale mu nadto nie mógł darować tego jakiegoś nieuchwytnego odcienia ironii, z jaką go Chopin stale traktował w towarzystwie (nigdy go np. nie nazywał inaczej, tylko *l'empereur*), a która pod najuprzejmiejszą formą nieraz ukrywała wielce jadowite żądło. Raz np. na jakimś wieczorze, Thalberg, sądząc, że podchlebi Chopinowi, zagrał jeden z jego *Nokturnów*, ale po swojemu, z niewłaściwemi dodatkami, których Chopin wogóle nie znosił, z sentymentalno-ckliwą afektacyą. Gdy skończył, Chopin, zbliżywszy się doń, podziękował mu uprzejmie, przyczem, z miłym uśmiechem na ustach, zapytał: »Czyja to kompozycya?«

Liszt, który wtedy bawił w Szwajcaryi, na wieść o tych niesłychanych tryumfach Thalberga, przyjechał w końcu marca — nazajutrz po wyjeździe swego rywala — do Paryża, a rozdrażniony nadmiernemi pochwałami o »nieporównanej« grze Thalberga, dał dwa koncerty, jeden w sali Erarda, drugi w sali Pleyela, i odniósł świetny tryumf. Od tej chwili Paryż rozdzielił się na dwa obozy: jedni utrzymywali, że z Thalbergiem zaczyna się »nowa era« w zakresie gry fortepianowej, drudzy zaś — z Berliozem na czele — dowodzili, że Liszt, jako autor świeżo napisanych fantazyi z *Piratów* i z *Żydówki*, stał się twórcą »nowej szkoły« w muzyce fortepianowej. Opinie te, zwalczając się wzajemnie, znalazły swe odbicie w pismach. W sporze tym, który jeszcze przez długi czas roznamiętniał paryskie sfery muzyczne, Chopin od samego początku stanął po stronie Liszta, utrzymując stanowczo, że Liszt miał najzupełniejszą słuszność, kiedy słynną Thalberga *Fantazyę z Hugonotów* nazwał dziełem miernem i nudnem, nie mówiąc już o tem, że, jako pianista, wymuskany Thalberg nie mógł — jego zdaniem — mierzyć się z tytanicznym Lisztem.

Innego przekonania był Heine, który, pisząc o Thalbergu, wcale nie był skłonny przyznawania wyższości Lisztowi; bo jeżeli chodziło o wyższość nad Thalbergiem, którego sposób grania w porównaniu z rozczochraną grą Liszta wydawał się niezmiernie *gentelmanlike*, to był tylko jeden pianista, z którym Thalberg — zdaniem Heinego — mierzyć się nie mógł: był nim Chopin. »Es gibt nur einen, den ich ihm vorzöge, das ist

Chopin, der aber viel mehr Komponist als Virtuose ist«. »Przy Chopinie — pisze przy tej sposobności Heine — zapominam zupełnie o jego grze mistrzowskiej, i tonę w lubych otchłaniach jego muzyki, w żałosnym powabie jego równie głębokich jak subtelnych utworów. Chopin jest wielkim, genialnym poetą muzycznym, którego właściwie tylko w towarzystwie Mozarta, albo Beethovena, albo Rossiniego wymieniać się powinno«.

Jakgdyby w myśl tego twierdzenia autora *Buch der Lieder,* Mendelssohn i Schumann, kiedy się zanosiło na doroczny festyn muzyczny w Düsseldorfie, wystosowali z Lipska dnia 28 marca 1836 r. obszerny list do Chopina, namawiając go, ażeby koniecznie przyjechał na tę uroczystość. List był trochę żartobliwy w tonie, znać pisany w przystępie dobrego humoru, a brzmiał w przekładzie z francuskiego oryginału, jak następuje:

Drogi mój przyjacielu!

Ma to być zaproszenie dla Ciebie, choć nie napisałem symfonii i nie zrobiłem pończoch. Prawdę powiedziawszy, nie robiłem ani jednego, ani drugiego, jedynie przez wzgląd na ciebie, ażeby Cię nie zmuszać do przybycia do Lipska w ciągu zimy; pewien bowiem jestem, że uczyniłbyś to niezwłocznie, gdybym — jakeśmy się byli umówili — robił na drutach lub komponował. Piszę do Ciebie, ażeby się dowiedzieć, czy Ci czas pozwoli przybyć na uroczystość muzyczną Dolnego Renu, która się ma odbyć w Düsseldorfie na Zielone Świątki. Kilku muzyków tutejszych, którzy się tam wybierają, proszą mnie o napisanie inwitacyi dla Ciebie, ponieważ wydaje im się możebnem, że ją przyjmiesz. Jakkolwiek przyznaję, że mam co do tego niejakie wątpliwości i lękam się, że zeszłoroczny obchód muzyczny, na którym byłeś obecny, nie będzie wzbudzał w Tobie pragnienia, ażeby raz jeszcze narażać się na stratę drogiego Ci czasu i na tak długą podróż, to jednak sama możebność zobaczenia się z Tobą i spędzenia w Twem towarzystwie dni kilku tak mi się uśmiecha, że nie waham się pisać do Ciebie w tej intencyi, chociażbyś nawet w rezultacie miał się z niej naigrawać. Wykonaną będzie dziewiąta symfonia Beethovena z chórami, psalm Händla, uwertura Beethovena (nieznana dotychczas, trzecia, którą napisał do *Fidelia*), moje oratoryum (z którego widziałeś u mnie kilka urywków) i wiele innych rzeczy. Jeżeli możesz, przyjedź; byłaby to ogromna radość dla mnie, a jeżeli nie możesz, to nie żartuj z mojego zaproszenia, na które nie byłbym się odważył, gdyby nie usilne życzenia tych wszystkich, którzy tam będą i którzy pragną zobaczyć Cię i usłyszeć, i to w większej dozie, niż podczas ostatniego pobytu Twojego tutaj. Wybacz francuczyznę tego listu, która bez najmniejszego pochlebstwa, wydaje mi się szkaradną; lecz nie używałem jej od naszego ostatniego widzenia się. Jeżeli zechcesz odpowiedzieć mi słówkiem, będzie to dla mnie wielka przyjemność, a choć wiem, że nigdy nie odpisujesz na listy, to jednak tym razem wyjątkowo proszę Cię o to. Mógłbyś donieść mi jednocześnie, co teraz komponujesz, co porabia Hiller, czy masz wiadomości od Liszta i t. d. Pozdrów ich wszystkich i nie zapominaj o Twym mieszkańcu bagna (za jakie pewno uważasz Niemcy). Adieu. Wybacz styl Twojego

*Feliksa Mendelssohna-Bartholdy.*

Ma się rozumieć, że jeśli chcesz mieć zaproszenie oficyalne, to przyszlę Ci list burmistrza, podpisany przez komitet i tyle, ile zechcesz, innych podpisów. Nie zdaje mi się jednak, żeby to wielkie na Tobie mogło wywrzeć wrażenie.



Do tego francuskiego listu Mendelssohna dopisał się po niemiecku Schumann, wyrażając od siebie »najgorętszą prośbę«, aby Chopin, jeśli to możebne, przybył nad Ren, a tymczasem zechciał przyjąć od niego »tysiące pozdrowień i życzeń«, wraz z wyrazami »miłości i uwielbienia«[1]). W końcowym przypisku, skreślonym piórem Schumanna, znalazło się jeszcze parę słów z wyrażeniem pewności, — wir sind sehr stark überzeugt — że Chopin da się nakłonić i stawi się w Düsseldorfie.

Nie pojechał jednak, a gdy o tem napisał do Mendelssohna, prawdopodobnie ta jego odmowa stała się głównym powodem, że i Schumannowi ostatecznie odechciało się ruszać z Lipska. Pojechał tylko sam Mendelssohn.

Jedną z przyczyn, dla których Chopinowi w kwietniu nie dogadzał wyjazd z Paryża, była okoliczność, że w lecie musiał pojechać do jednej z miejscowości kąpielowych czeskich. Jakoż, w lipcu wyjechał istotnie[2]), miejscowością zaś, w której spędził kilka tygodni, był Maryenbad. Oczywiście, że gdy tu rozeszła się wieść o przybyciu Chopina, zaraz znalazło się wiele osób, co nie przestając na tem, że mu się mogły przyjrzeć na promenadzie, koniecznie pragnęły go usłyszeć. Między innemi należała do nich Rebeka Dirichlet, siostra Mendelssohna, która, po pobycie we Francensbadzie, bawiła tu z mężem. Dowiedziawszy się o bytności Chopina, o którego grze tyle się była nasłuchała od swego brata, postanowiła użyć możliwych sposobów, by go poznać i usłyszeć. Niestety, dowiedziała się jednocześnie, że Chopin bawi w towarzystwie swego doktora i jakiejś polskiej hrabiny, która, zazdrosna o swój wpływ nad nim, nie pozwalała mu grywać przed kimkolwiek. Nie zrażona tą wersyą, w której, jak w każdej plotce była tylko drobna część prawdy, pani Dirichletowa, wiedząc, że Chopin przyjaźnił się z jej bratem, Feliksem, a znał także i Pawła, i Fanny, zdecydowała się przekroczyć ten zakaz. »Popełniłam tę nikczemność — pisała do brata — że własnoręcznie napisałam suplikę do Chopina, przedstawiając mu się, jako Soeur des Messieurs Paul et Felix Mendelssohn-Bartholdy«. List ten wręczył Chopinowi jej mąż, dodając od siebie, że »siostra pana Mendelssohna etc. etc.« byłaby szczęśliwa z usłyszenia choćby jednego *Mazurka.* Niepodobieństwo, odrzekł Chopin. Rozstrojone nerwy, zły fortepian... A jakże się miewa ta kochana pani Hensel?[3]). I pan

[1]) Tausend Grüsse und Wünsche, auch dringendste Bitte, nach dem Rhein zu kommen, wenn irgend möglich. In Liebe und Verehrung Robert Schumann.

[2]) Nadto, jak to wynika z dziennika Juliana Ursyna Niemcewicza, w ciągu czerwca 1836 r. jeździł Chopin raz po raz z Mickiewiczem, z Witwickim, z Matuszyńskim, z Jaźwińskim (wynalazcą systemu mnemonicznego) do Montmorency w odwiedziny bądź do jenerała Kniaziewicza, bądź do sędziwego autora *Śpiewów historycznych,* którzy tam, jak i poprzednich lat, od 1834 r. począwszy, razem spędzali całe lato.

[3]) Siostra Mendelssohna, Fanny.

Paweł także żonaty? Szczęśliwa para i t. p. Tymczasem idź pan na spacer«... Zawiedziona w swej nadziei pani Dirichletowa, zdając sprawę z tej całej nieudałej afery, tak zakończyła swój list: »Moja *bassesse* względem Chopina całkiem się nie powiodła Pierwszy to i ostatni raz uczyniłam coś podobnego«.

Wiadomość jednak, że twórca *Mazurków* bawi w Maryenbadzie, obiegła nietylko najbliższe otoczenie, lecz niebawem rozeszła się i po Lipsku, wśród znajomych i wielbicieli Chopina. Gdy się o tem dowiedział Schumann, przyszło mu na myśl, ażeby z tego powodu umyślnie pojechać do Maryenbadu, tak mu się uśmiechała myśl spędzenia kilku dni razem z Chopinem. Jakoż napisał do niego, w celu upewnienia się o jego pobycie w Maryenbadzie, a jednocześnie wysłał drugi list do swych braterstwa w Karlsbadzie, w tych słowach komunikując im swoje zamiary na najbliższą przyszłość: »Przed chwilą właśnie pisałem do Chopina, który podobno jest w Maryenbadzie i pytałem go, czy bawi tam istotnie. W każdym razie i bez tego przyjechałbym do was jeszcze raz na jesieni. Gdyby mi jednak Chopin zaraz odpisał, to wybiorę się wcześniej, a jadąc do Maryenbadu, zawadzę o Karlsbad. Czy wyobrażasz sobie, Tereso, jakby to mogło być dobrze! Musisz wybrać się także!« List ten datowany d. 28 sierpnia 1836 zastał Chopina jeszcze w Maryenbadzie, ale zamiast sprawić przyjemność, nabawił go raczej chwilowego kłopotu, warunki bowiem, w jakich się tu znajdował, były tego rodzaju, że każde odwiedziny były mu nie na rękę... Okoliczności, które go sprowadziły do tej miejscowości kąpielowej, wykluczały wszelkie wizyty przyjaciół i znajomych. Nie chciał być krępowanym przez nikogo. Przyjazd Schumanna, którego nie dałoby się zbyć byle czem, zwłaszcza, że przyjechałby tu umyślnie, przedstawiał wiele niedogodności, słowem, jak w danej chwili, wcale nie był pożądanym. Ażeby go uniknąć, wziął się Chopin na sposób: wcale nie odpisał Schumannowi. Było to niebardzo delikatne, ale bądź co bądź radykalne przecięcie kwestyi. Tylko Chopin mógł sobie pozwolić na coś podobnego... W każdym razie dopiął celu: Schumann bowiem, nie otrzymawszy odpowiedzi na swój list, a tem samem przekonany, że Chopin już wyjechał z Maryenbadu, wcale się tam nie wybrał.

Po wyjeździe z Maryenbadu zatrzymał się Chopin kilka dni w Dreznie, gdzie już na wyjezdnem otrzymał następujący list od Schumanna, datowany z Lipska, dnia 8 września 1836 r., a napisany tak po schumanowsku, że go trudno przetłómaczyć:

Mein theuer und verehrter Herr!

Nur ein »Ja« möchten Sie mir schreiben, oder schreiben lassen, ob Sie nämlich, wie ich eben höre, in Dresden sind. Im Begriffe, über Dresden nach meiner Heimath zu reisen, würde ich es mir niemals verzeihen können in der Nähe des Herrlichen gewesen



zu sein, ohne Ihm ein Wort meiner Verehrung und Liebe zu sagen. Also bitte ich Sie nochmals sehnlichst um das »Ja« und Ihre Adresse. Ihr ergebener

*Robert Schumann.*

Mendelssohn kommt in 8 Tagen hieher zurück.

Zamiast odpisywać na ten list, udał się Chopin dnia 10 września do Lipska. Z nieobecności tam Mendelssohna nie wiele sobie robił, bo mu tym razem zależało głównie na zobaczeniu się z Schumanem, wobec którego poczuwał się do ogromnych długów wdzięczności osobistej.

Schumann bowiem, od owego parogodzinnego widzenia się z Chopinem w roku zeszłym, więcej jeszcze niż przedtem, przyczyniał się do jego sławy w Niemczech, entuzyastycznie pisząc wciąż w *Neue Zeitschrift für Musik* o wszystkiem, co w ciągu tego roku wyszło opatrzone nazwiskiem Chopina. Nadto, w słynnym *Karnawale*, którego egzemplarz z dedykacyą Schumann przesłał w swoim czasie Chopinowi, znajdował się między innemi rzewny, liryczny, całkiem w chopinowskim stylu skomponowany fragment, zatytułowany *Chopin*. Za wszystko to, jako dowody życzliwości i uwielbienia, należało się słowo podzięki Schumannowi. Rozumiał to Chopin i dlatego zdecydował się wstąpić po drodze do Lipska, ażeby tam cały jeden dzień poświęcić wyłącznie autorowi romantycznej *Arabeski*.

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie i osłupienie Schumanna, gdy w trzy dni po wysłaniu swego listu do Chopina, zamiast odpowiedzi od niego, ujrzał nagle jego samego. Zachwycony i rozczulony, nie wiedział poprostu, gdzie go posadzić, aż go wreszcie posadził przy fortepianie, przy którym spędzono większość dnia 12 września, który to dzień tym sposobem stał się jednym z najpiękniejszych w życiu Schumanna. Świetnie usposobiony, w doskonałym humorze, Chopin grał wszystko, o co go proszono, najwięcej *Etiud, Nokturnów, Mazurków*, oraz świeżo skomponowaną *Balladę*. Po wizycie u Schumanna, gdy razem z nim znalazł się w mieszkaniu Wiecków, grał również, ale głównie słuchał gry Klary Wieck, która tym razem grała jego kompozycye wyłącznie, a grała tak, że, zdaniem Schumanna, może lepiej jeszcze, aniżeli sam Chopin. Prócz Wiecków odwiedził jeszcze Chopin, w towarzystwie Schumanna, Henrykę Voigt, uczennicę Ludwika Bergera, która, nadzwyczaj muzykalna z natury, jako żona zamożnego kupca, wcale nie po amatorsku uprawiała grę na fortepianie, a bardzo się lubiła otaczać artystami; zarówno miejscowi, jak i przejezdni muzycy, zawsze mieli otwarty wstęp do jej domu. Zaprzyjaźniona z Schumannem i Mendelssohnem, z którymi nawet, gdy wyjeżdżali z Lipska, pozostawała w ożywionej korespondencyi, do Chopina była trochę uprzedzoną, nie mogąc się pogodzić z jego rewolucyjnem nowatorstwem w zakresie harmonii i dysonansów. Ażeby zmódz to jej uprzedzenie, Schumann zaprowadził do niej Chopina, wystarczyło zaś, by ten zasiadł do fortepianu (nawiasem mówiąc,

przepysznego instrumentu), by jej dotychczasowy sceptycyzm przeobraził się w entuzyastyczne uwielbienie. Najlepszy dowód, że ledwo Chopin opuścił jej mieszkanie, natychmiast posłała do składu nut Kistnera, by jej przysłano wszystkie, jakie miano na składzie kompozycye Chopina, i że w dzienniku swym (z którego wyjątki ogłosił po jej śmierci Schumann), zapisała pod datą 13 września 1836 r., co następuje: »Wczoraj odwiedził mnie Chopin i grał na moim fortepianie z pół godziny swoją *Fantazyę* i kilka nowych *Etiud*. Zajmujący człowiek; jeszcze bardziej zajmujący rodzaj gry. Osobliwsze wywarł na mnie wrażenie. Nadczułość jego fantastycznego sposobu traktowania swej sztuki udziela się otoczeniu; poprostu słuchałam go z oddechem zapartym w piersiach. Podziwu godną jest lekkość, z jaką te aksamitne palce przesuwają się, a raczej, że tak powiem, wprost fruwają ponad klawiszami. Oczarował mię, muszę to przyznać, do tego stopnia, żem nigdy jeszcze nie była w tym stopniu zachwyconą. Co mię cieszy, to dziecięca prawie naiwność i naturalność, tak w grze, jak i w całem jego obejściu«.

Ta wizyta Chopina w Lipsku żywo zapisała się w pamięci Schumanna, który też o niej napomykał przy lada okazyi. Już 14 września, a więc pod zupełnie świeżem wrażeniem bytności Chopina, pisząc do przyjaciela swego, Henryka Dorna, kapelmistrza w Rydze, donosił mu Schumann: »Właśnie, gdym onegdaj, otrzymawszy list pański, zabierał się do odpowiedzi, wszedł do mego pokoju... Kto? Chopin. Była to wielka radość dla mnie, przepędziliśmy z sobą piękny dzień, po którym wczoraj jeszcze świętowałem... Ofiarował mi swoją *Balladę*. Jest ona, zdaje mi się, ze wszystkich jego dzieł najbardziej nacechowana genialnością; powiedziałem mu to nawet. Po długiem zastanowieniu się odrzekł z naciskiem: Bardzo mi jest przyjemnie to słyszeć, gdyż i mnie jest ona najmilsza. Prócz niej grał mi mnóstwo nowych *Etiud, Nokturnów* i *Mazurków,* wszystko w sposób nieporównany. Patrząc nań, jak siedzi przy fortepianie, już się doznaje pewnego wzruszenia. Bardzo byś go pan polubił. Klara jednak większą jest od niego wirtuozką i nanaje kompozycyom jego niemal, że więcej jeszcze wyrazu, niż on sam«. We dwa dni później, dnia 16 września, zdając sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniła gra Chopina, wyraził się Schumann w *Neue Zeitschrift für Musik,* że Chopin grał swoje »niebiańskie« utwory w sposób »całkiem nieporównany«. Gdy wyszła druga serya *Etiud,* Schumann tak pisał o nich: »Etiudy te słyszałem po większej części grane przez niego samego; grał je zaś bardzo à la Chopin... Wyobraźcie sobie harfę eolską o wszystkich skalach, które ręka artysty przerzuca wśród najrozmaitszych ozdób fantastycznych w ten sposób, iż bezustannie słychać tony głębokie w postaci tła, przyczem rozlega się wciąż miękki ton wyższego głosu, a będziecie mieli o grze jego przybliżone choć niedokładne pojęcie. Cóż dziwnego tedy, że najmilszemi stały mi się utwory, które słyszałem wykonane przez niego samego. Wśród tych zaś wyróżnić muszę przedewszystkiem pierwszą zaraz *Etiudę As-dur,* która jest więcej poematem, niż etiudą. Myliłby się jednak ktoby sądził, że grając ją, Chopin grał tak, by w niej można było słyszeć każdą z małych nutek: robiło to raczej wrażenie jakiegoś falowania akordu *As-dur,* tu i ówdzie wzmocnionego pedałem; poprzez harmonie jednak przebijała grana pełnym tonem cudna melodya i tylko raz w środku wystąpił dobitniej z pomiędzy akordów obok tego głównego śpiewu także jakiś głos tenorowy. Po etiudzie tej zostało podobne wrażenie, jak po błogim obrazie sennym, któryby chciano raz jeszcze w półśnie uchwycić; mówić o niej dało się mało, chwalić wcale nie. Chopin zresztą przystąpił zaraz do grania innej, w tonie *F-moll.* Jest to rzecz, w której się jego właściwości uwydatniają w sposób wprost niezapomniany; rzecz to tak powabna, marzycielska i cicha, niczem zawodzenie uśpionego dziecięcia. Z kolei zagrał niemniej piękną *Etiudę F-dur,* mniej może nową w charakterze, aniżeli pod względem użytej w niej figuracyi; chodziło tu więcej o popisanie się brawurą, i to w najwdzięczniejszym rodzaju, za którą nie mogliśmy nie pochwalić mistrza jaknajgoręcej«... Gdy wyszła druga *Ballada,* pisał o niej Schumann w te słowa: »Namiętne ustępy środkowe zostały zdaje się napisane dopiero później. Przypominam sobie doskonale, jak Chopin grał ją tutaj i w *F-dur* zakończył; obecnie kończy się ona w *A-moll.* Wspominał wówczas i o tem również, że pobudką do pisania podobnych *Ballad* były mu niektóre poezye Mickiewicza. Odwrotnie mógłby też i poeta znaleźć bardzo łatwo słowa do jego tak wzruszającej muzyki«. Już to wogóle wrażenie, jakie na Schumannie zrobił tym razem Chopin, nietylko swoją grą, ale i swoją osobą, pełną uroku, było tak silne, że jeszcze przez długi czas »der durchfliegende Chopin« wciąż mu stał przed oczyma, czego literackie odbicie znajdowało się w jego artykułach w *Neue Zeitschrift für Musik.*



Co również zdawało się wynikać z tych artykułów, z jednego zwłaszcza, zawierającego opis fantastycznego balu Davidsbündlerów, to, że Chopin zrobił bardzo silne wrażenie także i na Klarze Wieck. Oto wyjątek z tego artykułu, uzasadniający to przypuszczenie: »Gdy wreszcie — opowiada Florestan — porywający ducha i ciało *Walc Es-dur* Chopina, coraz głębiej nas wchłaniał w swe zawrotne tonie, a Beda, t. j. Klara Wieck, coraz smętniej wodziła oczyma po zgromadzeniu, skierowałem nieznacznie rozmowę na samego Chopina. Zaledwie usłyszała jego nazwisko, w tejże chwili obrzuciła mię po raz pierwszy wymownem spojrzeniem swych wielkich i dobrych oczu. »I znasz go pan?« A gdym się pochwalił tem, spytała znowu: »I słyszałeś go pan?« I postać jej nabrała przy tych słowach większej jeszcze wzniosłości. A gdym jej zaczął opowiadać, jak niezapomnianym stało się już obrazem widzieć go przy fortepianie, podobnego do jakiegoś marzącego wieszcza — ihn wie einen träumenden Seher am Clavier sitzen zu sehen — i jak przy grze jego wydaje się słuchaczowi, że sam żyje tym

cudnym stworzonym przezeń snem, i jak posiada nieuleczalne przyzwyczajenie po zagraniu każdego utworu przesuwać palcem po całej klawiaturze, jakgdyby chciał tym świstem uwolnić się od swych własnyeh marzeń, i jak wreszcie musi czuwać nad swem wątłem zdrowiem, ona lgnęła do mnie podczas tego z jakąś radosną obawą i pragnęła wciąż nowych dowiadywać się o nim rzeczy. O, Chopinie, piękny zdobywco serc! nigdym ci nie zazdrościł, ale w tej chwili bardzo!«

Tymczasem Chopin, po złożeniu wieńca na pomniku księcia Józefa Poniatowskiego, pożegnał Schumanna i Lipsk, zdążając naiprzód do Kassel, dla odwiedzenia Ludwika Spohra, a następnie do Frankfurtu, gdzie, pomimo wszystkiego, co między nimi zaszło na początku tego roku, odwiedził Karola Lipińskiego. Nie jest wykluczonem również, że we Frankfurcie zobaczył się z Mendelssohnem, który tam bawił w tej chwili, jako narzeczony panny Cecylii Jeanrenaud, z którą już w marcu 1837 r. miał stanąć na ślubnym kobiercu... Będąc we Frankfurcie, pojechał Chopin, na gorące prośby pani Diller i »przez wzgląd na biedną Katarzynę Pereire«, na dzień lub dwa do Heidelberga, skąd już przez Strasburg i Nancy podążył wprost do Paryża.

Tu przybywszy, przedewszystkiem zajął się przeprowadzką: wprawdzie został na tej samej ulicy Chaussée d'Antin, ale się przeniósł do domu pod Nr. 38, gdzie sobie znalazł ładniejsze mieszkanie. Zamieszkał w niem, jak i w poprzedniem, razem z Matuszyńskim, o tem bowiem, żeby miał mieszkać sam jeden, nie było mowy. Przy jego usposobieniu musiał mieć zapewnione towarzystwo w domu.

W tem to nowem mieszkaniu odwiedził go dnia 4 grudnia świeżo przybyły tu Józef Brzowski, znany mu jeszcze z czasów warszawskich [1]). Źle uprzedzony przez Lipińskiego, nie kwapił się z wizytą do Chopina; dowiedziawszy się jednak, że Lipiński swoje niepowodzenie zawdzięczał głównie własnemu dziwactwu [2]), zaraz nazajutrz odwiedził twórcę *Mazurków*, z wrażeń zaś doznanych w ciągu tej pamiętnej wizyty, tak z czasem zdał sprawę w swych pamiętnikach: »Ranek dnia 4 grudnia poświęciłem odwiedzinom Chopina. Przy ulicy Mont Blanc, czyli Rue de la Chaussée d'Antin pod Nr 38, w nader czystym i okazałym domu, mieszkał wówczas

[1]) Późniejszy inspektor instytutu muzycznego w Warszawie.

[2]) W dzienniku swym, pisanym podczas podróży za granicą, napisał Brzowski dnia 3 grudnia 1836 roku co następnje: »Będąc zreflektowany od Lipińskiego względem Chopina, nie chciałem od niego zacząć moich odwiedzin i poszedłem do Wojciecha G(rzymały), co też on mnie o Chopinie powie. Z zadziwieniem przyjął mię Albert i z ukontentowaniem. Wypytywał się o całą rodzinę i niektóre dał mi objaśnienia co do pozycyi artysty w Paryżu. Na Chopina nic tak dalece nie powiedział i niepowodzenie Lipińskiego przypisywał tylko własnemu jego dziwactwu i niezgrabności. (Po wyjściu od Grzymały), idąc z nim bulwarami, spotkałem Münchheimera i Wysockiego z Banku. Rozstawszy się z Albertem, który mi mieszkanie Chopina i Berlioza wskazał, udałem się do Berlioza«...



ten znakomity artysta-kompozytor, prawdziwy przetwórca-Kopernik fortepianu, poeta-śpiewak uczuć i zaszczytna cząstka chluby kraju naszego. Kiedym przybył i lekko dzwonek poruszyłem, natychmiast wybiegł lokaj, zdawający mi się być zrazu Francuzem; spytany atoli o pana, zabawną odpowiedzią przekonał, że nim wcale nie był: zgrubiale bowiem wydeklamował niby po francusku: *Mosieu café, Mosieu leçon*, com zrozumiał, iż Chopin pije kawę i ma lekcye. Życzyłem tedy zatrzymać się i poczekać na ukończenie dwóch tych jego zatrudnień, ale Chopin, posłyszawszy czyjeś przybycie, przerwał zajęcie, wyszedł, spojrzał i poznał mnie natychmiast. Podziw i uciecha na przemian obu nas ogarniały... Nie dał mi się oddalić i wręcz powiódł do salonu, ponieważ lekcyę właśnie już był ukończył, a śniadanie co dopiero przyniesiono. Pójdź, zawołał, obaczysz ładną hrabiankę, uczennicę moją!... Rzeczywiście znalazłem ją bardzo piękną: tylko co wstała od fortepianu, zbliżyła się do swej guwernantki, opodal siedzącej, i niebawem obie zabrały się do wyjścia. Po ich oddaleniu wręczyłem Chopinowi listy od rodziny i medal Mozarta od artysty Tajchmana. Razem piliśmy kawę, gawędka była ożywioną; wtem nadszedł przyjaciel jego, Franchomme, wiolonczelista, później i kilku znajomych. W gronie tak zebranych gości dobry humor wirtuoza na moją pociechę sprawił, że z łatwością i uprzejmością zabrał się do fortepianu. Miał grać... miałem go usłyszeć!... Znałem dawniej jego talent, ależ jak rozwinąć się musiał (pomyślałem), gdy blaskiem europejskiej sławy zajaśniał!... Grał nam naprzód kilka nowych *Etiud*. Wzniosłość myśli wirtuoza, głębokość uczuć, urok wrażeń i wymowa szczytnie poetyczna, mieszały mi mózg zaiste: szczególniej *Etiudą* z *Cis-moll*, gdzie lewa ręka trybem wiolonczeli cudnie melodyę prowadziła, skłócił wszystkie uczucia, jakie mieszkały we mnie, a boską expressyą ścisnął je tak silnie, iż rzewną łzę musiało oko moje potoczyć... Chopin był dnia tego szczególniej dla nas szczodrze usposobionym: grał nieskończenie, to *Mazurki*, to *Ballady*, znów *Scherza*, *Nokturny*, a wszystko to utrzymywało nas w lubym zachwycie... Przy jego cudownym fortepianie czas dwóch godzin ubiegł z szybkością minuty. Słuch mój, ścigając każdą najdrobniejszą nutę, najsubtelniejszy odcień expressyi, starał się pojmować ową poezyę, a wzrok mimowolnie zatapiał się w jego obliczu, które było zbyt wiernem zwierciadłem uczuć, jakie na instrument swój wylewał. Trudno uwierzyć, jak silnie w jego twarzy odbijała się myśl wieszcza: pobladły, z wyiskrzonym wzrokiem, nie pamiętny o sobie, rzekłbyś, iż marzył w śnie magnetycznym; czułeś, że pracował, ale pracował tylko duch: ręce były jedynie środkiem do objawienia tej pracy; wszystko zaś, coś słyszał i w obliczu jego wyczytał, tak było przenikającem, tak unoszącem, iż podziwać musiałeś wymowę, do jakiej on kompozycyę swoją i grę posunął... Gdyśmy wszyscy ochłonęli z silnych wrażeń, w poufnej rozmowie zeszła reszta czasu. Tak zajmujący poranek przeciągnął się do godziny pierwszej«.

W parę dni po tym interesującym poranku zjawił się u Chopina świeżo przybyły tu Liszt. Przyjechał z Genewy, razem z panią d'Agoult, ażeby wziąć udział w koncercie Berlioza, naznaczonym na dzień 18 grudnia. Zamieszkali przy rue Lafitte, w Hôtel de France, obok pani Sand, z którą nawet mieli wspólny salon: ona zajmowała mieszkanko w antresoli Nr. 21, oni ulokowali się o piętro wyżej, pod Nr. 23. Wobec przyjaźni, jaka ich łączyła z autorką *Lelii*, a jeszcze zacieśnionej niedawną wizytą pani Sand u nich w Genewie (skąd wróciła dopiero w październiku), Liszt i pani d'Agoult bardzo wiele przebywali z nią razem, zwłaszcza wieczorami, gdy ona lub oni mieli gości. Wtedy wszyscy siedzieli we wspólnym salonie, tak, że goście Liszta byli zarazem gośćmi pani Sand i naodwrót.

Na jednym z takich wieczorów u Liszta, na którym była i pani Sand, znalazł się w liczbie zaproszonych gości także i Chopin. Naturalnie, że przy tej sposobności poznał się i ze słynną romansopisarką. Było to w pierwszej połowie grudnia, w kilka dni po zainstalowaniu się Liszta na rue Lafitte.

Autorka *Lelii* oddawna już pragnęła poznać Chopina i prosiła nawet Liszta, żeby do niej kiedy przyprowadził swego sławnego przyjaciela, Chopin jednak, ile że nie lubił kobiet-literatek, nie wielką miał do tego ochotę: wielka literacka sława George Sanda nie imponowała mu wcale, gdyż sam był jeszcze większą znakomitością, to zaś, co słyszał o jej męskim sposobie życia, które posuwała tak daleko, że przeważnie ubierała się po męsku, również nie odpowiadało jego upodobaniom. W kobietach cenił przedewszystkiem kobiecość, tymczasem pani Sand starała się być mężczyzną. Nawet paliła cygara. Wszystko to nie pociągało do niej Chopina, dlatego też, gdy go Liszt kilkakrotnie chciał zaprowadzić do niej, zawsze wywijał się jakoś.

Poznawszy ją teraz u Liszta, tylko się utwierdził w swem uprzedzeniu do niej, a choć można być pewnym, że ona czyniła wszystko z swej strony, by mu się podobać, i że on jaknajlepsze na niej uczynił wrażenie, to jednak nie podobała mu się wcale.

To też, gdy się znalazł na ulicy, rzekł do Hillera, z którym wracał razem: »Co za antypatyczna postać ta Sand. Czy to rzeczywiście kobieta? Pozwalam sobie o tem powątpiewać«. A pisząc do rodziny, tak się pochwalił tą znajomością: »Poznałem wielką znakomitość, panią Sand; ale twarz jej niesympatyczna, nie podobała mi się. Jest w niej coś odpychającego«.

Mimo to, po tym wieczorze u Liszta, był u niej z wizytą, a kiedy 13 grudnia urządził wieczorem przyjęcie u siebie, zaprosił na nie i panią Sand, razem z Lisztem i panią d'Agoult.

W liczbie zaproszonych znalazł się także i Józef Brzowski, który w swym dzienniku obszernie opisał ten wieczór u Chopina. Oto odnośny ustęp z opisem tego pamiętnego przyjęcia: »Kartka Chopina, którą zastałem w mem mieszkaniu (zawierała następujące zaproszenie): »Dziś mam parę osób u siebie, między innemi pani Sand; przytem Liszt gra, Nourrit śpiewa.



Jeśli to może być przyjemnem panu Brzowskiemu, czekam go wieczorem«. Chętnie bardzo pospieszyłem na to zgromadzenie, wielce dla mnie zajmujące, bo złożone po większej części z osób świetnie błyszczących w literaturze i sztuce. I tak byli tam: Markiz Custine, Eugeniusz Sue, Liszt, Schoel-



George Sand w r. 1836.
(Według współczesnego sztychu Calamaty).

cher, Nourrit, Pixis, Berryer, Włodzimierz i Bernard Potoccy, Albert Grzymała, doktór Jan Matuszyński. Pomiędzy nimi znajdowały się tylko dwie damy: pani George Sand i hrabina d'Agoult, (znana w piśmiennictwie pod pseudonimem Daniela Sterna). Obiedwie, lubo zbliżone sympatyą do siebie, jednak uderzały rożnicą powierzchowności. Hrabina, blondynka żywa, za-

lotna, humorem i lekkiem obejściem, ubiorem wykwintnego smaku, była wyrazem typu nadobnej paryżanki wyższego społeczeństwa. George Sand przeciwnie, brunetka, poważna i zimna, jakby nie francuska, rysów twarzy foremnych, spokojnej albo raczej martwej fizyognomii, w której można było tylko rozum, myśl i dumę wyczytać, strój miała fantastyczny, widocznie okazujący chęć odznaczania się. Białą jej suknię przepasywała szeroka karmazynowa szarfa; biały kaftanik dziwnego kroju miał wyłogi i guziki również karmazynowe. Czarne jej włosy, na wpół głowy rozdzielone, w lokach po obu stronach twarzy spadały, a nad czołem złocistą przepaską objęte były. Typy mężczyzn również się od siebie odróżniały. I tak Liszt był dość wysoki, szczupły, a bladawą twarz jego, genialnością napiętnowaną, otaczały gęste, długie, blond równo ucięte włosy. Ruchy miał śmiałe, pełne życia, z ust tryskał mu dowcip żartobliwy, a w całem obejściu było coś dziwacznego. Berryer, sławny adwokat i biegły mowca legitymistowski, w wieku dobrze średnim, pełnawej tuszy, twarzy okazałej, cery czerwonej, mocno łysy (tylko poniżej tyłu i boków głowy zachowały się szczątki czarnych włosów). Biała chustka wązko obejmowała mu szyję; frak miał pod górę zapięty; w spokojnem obliczu malowała się pewność i rozum. Markiz Custine, wysoki, w lata dużo ubiegły, tworzył typ magnata-legitymisty. Powierzchowność Nourrita łagodnym jaśniała blaskiem; obok godności w postawie wyrażał wzniosłość talentu swego i wykształcenie. W Pixisie wszystko zbyt przypominało, że był niemiecko-wiedeńskim artystą, a krzywe usta nadawały dziwny charakter jego twarzy. Eugeniusz Sue, wysoki, szczupły, blady, był typem ludzi salonowych i ówczesnych literatów młodej Francyi. Towarzystwo, zapełniające salon Chopina, jakkolwiek z różnorodnych złożone cząstek, tworzyło jednak jakgdyby koleżeńskie grono, niczem rodzinę, zgodą tchnącą i węzłem wzajemnych dobrych życzeń złączoną. Nikt nie był przedmiotem ciekawości drugich, bo wszyscy się znali, a Chopina, gospodarza-artystę, jednaką czcią wielbili i jak jednem spólnem sercem aż do zapału kochali. Wnet poformowały się grupy i rozmowa stała się nader ożywioną. Podtrzymymał ją najwięcej Liszt: jego inteligencya, bystrość, dowcip, humor żartobliwy, nakoniec dziwaczność, sprawiały, że wszczynano najchętniej z nim rozprawy, z których najczęściej zwycięsko wychodził. Chopin tylko, zajmując się wszystkimi z godnością i uprzejmością gospodarza, był dla Liszta ognistym mieczem: ile razy nasz kompozytor-poeta zmierzył do zapamiętałego fantasty fortepianu, pocisk był skuteczny, wszyscy zadowoleni, a upokorzony artysta, nie mogąc silnego stawić odparcia, jedynie żartobliwie rzuconym po dwakroć wyrazem: »Mazurka, Mazurka!« (jak zwykł Chopina nazywać), usiłował pokryć zadaną sobie klęskę... Co się tyczy dam, tych typy sprzecznością uderzały, bo kiedy hrabina d'Agoult figlarną, dowcipną i przynęcającą rozmową zajmowała obecnych, a słodki uśmiech rozjaśniał jej twarz otoczoną długiemi blond puklami *à l'Anglaise;* George



Sand, nieporuszona, zajmowała miejsce na rzuconej w ukos kanapce przed kominkiem, a wypuszczając lekko kłęby dymu z cygara, skąpo i uroczyście odpowiadała na kwestye przysiadających się do niej mężczyzn. Ale w końcu za długie mi się już zdały owe pogadanki, spory, dowcipy i starcia ludzi, świecących na ówczesnym horyzoncie Paryża, bo pragnąłem żywo poznać



Chopin i Niemcewicz
(z obrazu Ballestierego »Nokturn Chopina«).

niektórych z głównej ich barwy, z barwy artyzmu: mianowicie Liszta, którego dotąd nie słyszałem. Zatem, prawie z mojego poduszczenia, zaprosił go Chopin do odegrania na cztery ręce *Sonaty* Moschelesa. Zasiedli do fortepianu: Liszt przy prymie, Chopin przy sekundzie. Oczekiwanie moje równało się naprawdę stanowi gorączki, a kiedy już grali, nieznana mi dotąd Liszta biegłość, porywczość frazowania i dziwny dar nadania życia kompozycyi

i instrumentowi, tamowały mi oddech. Pixis, odwracający im karty, podzielał widać moje wrażenie, bo oglądał się na mnie co chwila z podziwem. Reszta towarzystwa świadoma wielkości talentów dwóch tych pianistów, na spokojnem się ograniczała słuchaniu, obdarzywszy ich po ukończeniu oznaką rzetelnej czci i uwielbienia. Po *Sonacie* przyjmował Chopin gości podanemi po dwakroć lodami; następnie przygotowano herbatę, której przyrządzeniem zajęła się hrabina, mile prowadząc z drugiemi dalszą swoją rozmowę. George Sand przykuta do swej kanapki, nie rozłączała się z cygarem. Spojrzenia zwracała często na osobę do niej przemawiającą, a jeszcze częściej na figlarnie migający się płomień w kominku. Gdy się skończyła herbata, nieporównany Nourrit, w części dla przyjaciela-gospodarza, w części dla zebranego grona, zaczął śpiewać. Wykonał przy towarzyszeniu Liszta na fortepianie kilka utworów Schuberta, do których był wielce zapalony: śpiewał między innemi *Erlkönig'a* i *La jeune religieuse*, z niewymownym efektem. Pragnąłem bardzo usłyszeć w końcu samego Liszta, lecz wirtuoz odmówił tego stanowczo i wszczął dysputę filozoficzną z Bernardem Potockim, która końca nie miała... Dysputujący zapalali się niesłychanie, a chociaż do ich rozmowy mieszali się i inni, widziałem, że po większej części nudziła obecnych. Chopin mocno się niecierpliwił, złoty humor pani d'Agoult utracił na blasku. George Sand więcej pobladła i bardziej zasępiła wzrok swój milczący, Pixisowi od niezadowolenia mocniej się usta wykrzywiły, aż wreszcie późna pora przerwała dysputę, rozwiewając moją nadzieję usłyszenia Liszta, płosząc towarzystwo. Wszyscy zabrali się do żegnania gospodarza«.

Gdy niebawem nadeszły święta Bożego Narodzenia, znany księgarz i wydawca literatury emigracyjnej, Eustachy Januszkiewicz, urządził u siebie wilię, na którą, obok innych znakomitych wychodźców, zaprosił także i Chopina. O tym wieczorze wigilijnym, na którym pierwsze miejsca zajęli przy stole Niemcewicz i Mickiewicz, tak pisał w swym dzienniku Januszkiewicz: »Że to był dzień (imienin) Adama (Mickiewicza), Jełowicki i ja dawaliśmy wieczór dla wszystkich literatów pod prezydencyą J. U. Niemcewicza. Podniósł on toast: Ojcu poematów *Dziady, Grażyna, Wallenrod,* a szczególniej nieporównanej M a r y i (córeczki Adama). Za ten dodatek pochwycił Adam i w pochlebnem dla Ursyna przemówieniu wyznał, że w tem jednem Nestora naszego potrafił przewyższyć [1]). Stary Julian tak był rozweselony, że choć zwykle bawi tylko do 11-ej i udaje się na spoczynek, przesiedział do 1-ej w nocy i opowiadał nam d z i e c i a k o m czasy czteroletniego sejmu.

[1]) Owa »nieporównana Marya« (późniejsza pani Górecka), która była taką faworytką sędziwego Niemcewicza, cieszyła się także ogromnemi łaskami Chopina. Ile razy odwiedzał skromne mieszkanko Mickiewiczów, najbardziej lubił bawić się z ich dziećmi zwłaszcza z córeczką, która »mała, tłusta, pełzała po ziemi, mówiła tylko *ba* i *bu*«, a miała takie szczęście do przyjaciół ojca, że wszyscy ją nazywali swoją pieszczotką. W ich liczbie był także i Chopin.



Nokturn Chopina.
Obraz Ballestieri'ego.

Nieporównany Chopin grał, śpiewał, improwizował, i tak wszyscy grą (jego) i serdeczną zabawą byli zajęci, że nikt nie widział zorzy północnej, co nam przez pół godziny przyświecała«.

Tymczasem pani Sand, odkąd poznała się z Chopinem, odrazu dlań powzięła gorącą sympatyę, jako dla niezmiernie ujmującego człowieka, a jednocześnie zapisała się w poczet jego żarliwych wielbicieli, jako muzyka, kompozytora i wirtuoza. I nie kryła się z tem wcale: owszem, korzystała z każdej okazyi, by zaznaczyć, że go uwielbia, ba, że go ubóstwia. A jeśli z tego nie robiła tajemnicy przed Lisztem, to Chopinowi pewno to niedwuznacznie dawała do zrozumienia. Już to wogóle była zachwycona nim, zdawała się być pod jego urokiem, a tem samem zazdrościła trochę pani d'Agoult, ta bowiem, oddawna zaprzyjaźniona z Chopinem, rościła sobie pewne prawa do niego, jako do swego ulubieńca, cieszącego się jej całkiem wyjątkowymi względami. Powiadają nawet, że te nadzwyczajne łaski, jakie Chopin miał u pani d'Agoult, chwilami niepokoiły cokolwiek Liszta. Dlatego nie miał nic przeciwko temu, owszem, bardzo był rad z takiego obrotu rzeczy, gdy widział, że pani Sand zaczynała zabiegać o Chopina. Lisztowi pod każdym względem było to na rękę. Jakoż czynił wszystko ze swej strony, by pani Sand ułatwić widywanie się z Chopinem. Nie było to zadanie łatwe, ile że Chopin, wcale nie zachwycony autorką *Lelii,* ciągle był w stosunku do niej »z wielką rezerwą« i raczej starał się unikać jej, niż garnąć się do niej. Nie podobała mu się poprostu. Przedewszystkiem przejrzał odrazu, że choć ślicznie pisała i mówiła o muzyce, naprawdę nie była muzykalną bardzo. Powtóre, jej maniery, nieco szorstkie, w rodzaju *bohême,* raziły jego wykwintne wielkoświatowe nawyknienia; była zbyt wulgarną dla niego. A przytem o ile z jednej strony nie należał do zwolenników kobiet-literatek, o tyle z drugiej nie miał najmniejszego pociągu do kobiet emancypantek, wojujących w imię demokracyi, socyalizmu, wolnej miłości etc. Następnie pani Sand całkiem była pozbawiona jednej ogromnej zalety, którą każdy mężczyzna najwyżej ceni w kobiecie: nie posiadała wdzięku. Był to mężczyzna w spodnicy, a choć miała sławę kobiety w spodniach — jak ją przedstawiano na wielu karykaturach — to jednak nie przemawiało to do wyobraźni Chopinowi, pomimo, że o jej niemoralnem prowadzeniu się w duchu wolnej miłości, o jej głośnym stosunku z Mussetem i wieloma innymi, doskonale był poinformowany. Poprostu był to nie jego rodzaj, nie mówiąc już o tem, że go mnóstwo rzeczy raziło w pani Sand, począwszy od cygar, które jej nie mogły dodawać uroku, a skończywszy na dziwacznym sposobie ubierania się, zupełnie pozbawionym gustu i smaku. Dla niego, który sam, niczem paryska elegantka, do garderoby przywiązywał tak wielką wagę, był to niewątpliwie rys fatalny. Powtóre mężczyzna lubi zdobywać kobietę, która mu się podoba, a nie lubi być zdobywanym, zwłaszcza przez kobietę, która mu się nie podoba. Widząc, jak



autorce *Lelii* zależało na nim, jak mu robiła awanse, Chopin raczej cofał się przed nią, niż się zbliżał do niej: mimowoli rodziła się w nim chęć oporu. Był grzecznym, uprzejmym, tyle, ile tego wymagało dobre wychowanie, lecz ani mu się śniło być nadskakującym. Owszem, trzymał się zdaleka, sam nigdy nie robił pierwszego kroku.

Podobna sytuacya trwała niecały miesiąc, bo tylko do pierwszych dni stycznia, w którym to czasie pani Sand udała się z dziećmi do Nohant, dokąd za nią niebawem podążyła i hrabina d'Agoult. Liszt został w Paryżu. Wyjeżdżając, pani Sand prosiła Chopina, żeby do niej kiedy przyjechał do Nohant. Chopin oczywiście obiecał skorzystać z uprzejmego zaproszenia przy najbliższej okazyi, n. p. gdyby Liszt kiedy jechał do Nohant, wybrać się z nim razem. Pomna tej obietnicy, pani Sand, pisując do Liszta, raz po raz — w ciągu marca i kwietnia — prosiła go, żeby przywiózł z sobą Chopina, którego ona »ubóstwia«, »uwielbia«, »pragnie« etc.[1]). Była już taka chwila nawet, że Fryderyk, namawiany przez Liszta, istotnie nosił się z myślą pojechania na parę dni do Nohant[2]), ale w końcu rozmyślił się i został w Paryżu, puszczając Liszta samego. Liszt jednak, po blisko dwumiesięcznym pobycie w gościnie u pani Sand, poróżnił się z nią ostatecznie — z powodu pani d'Agoult — i opuścił Nohant raz na zawsze.

Przedtem jednak, na wiosnę r. 1837, dał szereg koncertów w Paryżu, na których grywał niemało utworów Chopina, zwłaszcza *Etiud,* a którymi to koncertami zwycięsko współzawodniczył z Thalbergiem, jednocześnie koncertującym w Paryżu. Powtórzyły się zeszłoroczne dysputy o Thalberga i Liszta, z tą różnicą, że je zaogniło nietaktowne wystąpienie Liszta w *Gazette musicale* z namiętnym artykułem przeciw Thalbergowi. Swoją drogą Liszt był górą, a gdy na koncercie na rzecz emigrantów włoskich, urzą-

---

[1]) Oto odnośne wyjątki z listów pani Sand do hrabiny d'Agoult, gdy ta na początku kwietnia powróciła z Nohant na jakiś czas do Paryża:

(Nohant 5 avril 1837) »Dites à Mick... (manière non compromętante d'écrire les noms polonais) que ma plume et ma maison sont à son service et trop heureuse d'y être, à Grz(ymała) que je l'adore, *à Chopin que je l'idolâtre,* à tout ceux que vous aimez que je les aime, et qu'ils seront les bienvenus, amenés par vous«.

(Nohant 10 avril 1837). »Je veux les *fellows* (Liszt i pani d'Agoult), je les veux le plus tôt et le plus *longtemps* possible. Je les veux *à mort.* Je veux aussi le Chopin, et tous les Mickiewicz et Grzymała du monde. Je veux même Sue, si vous le voulez. Que ne voudrais-je pas encore, si c'était votre fantaisie? Voir M. de Suzannet ou Victor Schoelcher! *Tout, excepté un amant!*«

(Nohant 29 avril 1837). »Personne ne s'est permis de respirer l'air de votre chambre depuis que vous l'avez quittée. On s'arrangera pour loger tous ceux que vous voudrez bien amener. Je compte sur le *maestro* (Liszt), sur Chopin, et sur le Rat (Herman Cohën, uczeń Liszta)... et sur tous les autres à votre choix«.

[2]) W liście w r. 1836 (z kwietnia lub maja) pisał Chopin do Ant. Wodzińskiego (rannego w Hiszpanii): »Pojadę może na parę dni do George Sand, ale to twoich pieniędzy nie spóźni, bo Jasiowi instrukcyę na te trzy dni zostawię«.

dzonym przez księżnę Belgiojoso, obaj artyści wystąpili jeden po drugim, przyczem grali tak wspaniale, że przeszli samych siebie, jedna z dam, zachwycona grą Thalberga, rzekła stanowczo: »Thalberg est le prémier pianiste du monde!« A gdy ją zapytał ktoś: »Et Liszt?« »Liszt! Liszt! odparła z entuzyazmem, c'est le seul«!

A Chopin? On w każdym razie cenił wyżej Liszta, a występując otwarcie, jako jego stronnik, wcale się nie taił ze swym antagonizmem względem Thalberga. Wogóle utarła się opinia, uważająca Chopina i Liszta, jako »dwóch Dioskurów«, którzy nietylko byli przyjaciółmi — choć wiele dałoby się powiedzieć o szczerości tej przyjaźni — ale nadto, jako artyści, znakomicie dopełniali się wzajemnie: Chopin nie miał równego sobie, jako kompozytor, Liszt był bez konkurencyi, jako wirtuoz. Nadto był jedynym fortepianistą, który grał kompozycye Chopina tak, jak on sam, a zdarzało się nawet, że niektóre, mianowicie te, które wymagały wielkiej fizycznej siły, grał świetniej od niego samego, co sam Chopin przyznawał chętnie. Innego był zdania o Liszcie, jako kompozytorze. Ceniąc go, jako genialnego wirtuoza, i stawiając go, jako takiego, o całe niebo wyżej, niż Thalberga, lekceważył sobie, i jednego i drugiego, jako twórców: Liszt był dlań »doskonałym introligatorem muzycznym« świetnie umiejącym oprawiać cudze myśli (w braku własnych), Thalbergowi zaś nie przyznawał nawet takich »introligatorskich« zdolności. To też w zupełności godził się na to, co Liszt napisał w *Gazette musicale* o Thalbergu, jako o kompozytorze. Swoją drogą nie pochwalał tego wystąpienia, a przynajmniej miał za złe Lisztowi, gdy po koncercie u księżny Belgiojoso chciał się pojednać z Thalbergiem. »Liszt — opowiada Brzowski — jak był prędki do spełnienia niewłaściwego kroku, tak też prędko podał rękę do zgody Thalbergowi, a pragnąc by, co zaszło, rzucił w niepamięć, postanowił dać wieczór u siebie na cześć Thalberga. Ten przyjął zaprosiny... Liszt cieszył się nazajutrz świetnem zebraniem, ale Thalberga już rano dnia tego nie było w Paryżu... Wypadek ten, wykazujący nieposkromioną urazę Thalberga, pobudką był dla Chopina, mającego dziwną władzę moralną nad Lisztem, iż wystąpił przed nim z wyrzutami: Dlaczego było z tak mocną występować obrazą i uniżać się potem przed obrażonym?... Liszt z pokorą i uznaniem winy przyjął jego wyrzuty...«

W lipcu 1837 r. Liszt opuścił Paryż, udając się z hrabiną d'Agoult na dłuższy pobyt do Bellagio nad jeziorem Como. W tym samym czasie Chopin, pokończywszy swe zwykłe lekcye, pojechał w towarzystwie Kamila Pleyela na czas jakiś do Londynu. Stanęli tam 11 lipca. Chopin miał tu paru przyjaciół warszawskich, Stanisława Koźmiana, Leona Ulrycha i Juliana Fontanę, więc nie potrzebował się obawiać angielskich spleenów, choć wogóle w tym czasie czuł się nieusposobionym, i fizycznie, i moralnie. Szczególniej dobrze czuł się w towarzystwie Koźmiana, bez którego — jak się wyraził — »nie byłoby Londynu«. Co pewna, że i Koźmian w towarzystwie



»Seraphity« (jak przezywał Chopina) inaczej się zapatrywał na Londyn. Świetnie im czas schodził, a że był to wielki *season,* więc po wesoło spędzonym dniu wieczorami rozkoszowali się pysznemi przedstawieniami w operze. »Od dwóch tygodni — pisał Koźmian do swoich — jest tu Chopin, incognito; nikogo nie zna, z nikim się nie chce widzieć, a zatem dla mnie tylko samego. Z nim całe dnie, a nawet, jak przeszłą, całe noce przepędzam. On tu jest z Pleyelem, sławnym z swych fortepianów i z awantury swej żony, której szczegóły taki pożeracz dzienników, jak ty, musisz dokładnie pamiętać. Przyjechali *pour se régaler de Londres.* Stoją w jednym z najpierwszych hotelów, trzymają pojazd, zgoła szukają sposobu wydawania pieniędzy. Jednego więc dnia jesteśmy w Windsor, drugiego w Blackwell, trzeciego idziem do Richmondu. To ostatnie powodem, że na inny raz odkładam powieść o rozkoszy moralnej z pożycia, z gry, z rozmowy z moją Seraphitą«. Co za szkoda, że Koźmian na inny raz odłożył tę interesującą powieść, bo niewątpliwie znalazłyby się w tej »powieści« wielce ciekawe szczegóły o ówczesnym psychicznym nastroju Chopina. Bądź co bądź, niezależnie od wszystkiego nie tracono czasu, choć i tracono pieniądze, i używano londyńskiego season. »Chodzę często na operę, pisze w tymże liście Koźmian. Pasta przecudna w *Medei* i w *Romeo. Ildegondy* jeszcze nie widziałem, bo Chopin nie chce na nudną chodzić muzykę. Koncert na pomnik Beethovena się nie udał. Mało bardzo było osób, ale dobrze egzekwowali wielką jego ostatnią symfonię. Devrient śpiewała w *Fideliu,* a Moscheles grał długi koncert. Chopin powiada, że gra jego jest strasznie *baroque*«. Rzecz charakterystyczna, że Chopin, choć był na koncercie, na którym grał Moscheles, nie był ciekawym poznać go osobiście. Nie wiedział też Moscheles, że na tym koncercie był między słuchaczami Chopin. Gdyby był wiedział o tem, kto wie, czyby go pierwszy nie odszukał w hotelu, bo już oddawna pałał ciekawością osobistego poznania się z nim. Niestety, dowiedział się o tem za późno, tak, że musiał poprzestać na następującej notatce, zapisanej w swym dzienniku: »Chopin, który przez niewiele dni bawił w Londynie, był jedynym z pomiędzy przyjezdnych artystów, który nietylko nie odwiedził nikogo, ale nie życzył sobie nawet, by przychodzono do niego, albowiem każda rozmowa pogarsza jego cierpienie. Wysłuchał kilku koncertów i ulotnił się«. Od Moscheles dowiedział się o bytności Chopina nad Tamizą przybyły tu dnia 24 sierpnia Mendelssohn, który w liście swym, pisanym 1 września do Ferdynanda Hillera, przesłał mu między innemi nowinami także i następującą: »Podobno że przed jakiemiś dwoma tygodniami zjawił się tutaj niespodziewanie całkiem Chopin; nikogo jednak nie odwiedził ani poznał; grał tylko jednego wieczoru prześlicznie u Broadvooda, a wkrótce potem wyniósł się. Mówią, że zawsze jest bardzo cierpiący i chory«. Z tym wieczorem u Broadvooda miała się rzecz tak. Słynny fabrykant fortepianów, James

Broadvood, osobisty przyjaciel Kamila Pleyela, zaprosił go któregoś dnia do siebie wieczorem na obiad. Pleyel wzdragał się z przyjęciem zaproszenia, albowiem miał pewne skrupuły wobec swego przyjaciela i towarzysza podróży, z którym przyjechał, a którego na cały wieczór nie chciał zostawiać samego. Że tym przyjacielem był Chopin, tego Pleyel ze względu na ściśle przestrzegane jego incognito nie powiedział Broadvoodowi. Ten jednak, bardzo pragnąc Pleyela ugościć u siebie, zaproponował mu, żeby w takim razie przyjechał razem ze swym przyjacielem: przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Wobec tego Pleyel przyjął zaproszenie i o oznaczonej godzinie stawił się na Bryanston Square w towarzystwie Chopina, którego przedstawił Broadvoodowi i jego rodzinie, oraz kilku zaproszonym panom i paniom, jako Monsieur Fritz. Pod tem przybranem nazwiskiem występował mówiący tylko po francusku Chopin przez cały czas obiadu, ale w końcu, mając dosyć tej niewinnej mistyfikacyi, postanowił odsłonić przyłbicę. Po skończonym obiedzie, gdy całe towarzystwo przeszło do salonu, gdzie stał pyszny fortepian, zaczęto muzykować trochę. Ten i ów zasiadł do instrumentu, jedna i druga dama popisywała się śpiewem, aż wreszcie, kiedy się dowiedziano od Pleyela, że i Monsieur Fritz biegle gra na fortepianie, nuż w prośby do niego, żeby i on nie ukrywał światła pod korcem. Trochę się dał prosić z początku, w końcu jednak, ulegając prośbom gospodarza i kilku dam, zasiadł do fortepianu. Ledwo zaczął grać, gdy odrazu dziwne zdumienie ogarnęło zebrane towarzystwo. Zaczęto spoglądać po sobie, porozumiewać się na migi, szeptać jakieś uwagi, aż nareszcie, gdy ucichły ostatnie dźwięki, cichy szmer wybuchnął okrzykiem podziwu i uwielbienia: »Tak tylko jeden Chopin grać może!« W jednej chwili ustało incognito, poczem Chopin, już nie jako Monsieur Fritz, ale jako Fryderyk Chopin, grał jeszcze cały szereg swych kompozycyi, a w końcu improwizował na zadany temat... O wrażeniu, jakie wtedy swą grą uczynił na doborowem kółku słuchaczów, świadczy relacya jednego z nich, krytyka czasopisma *Musical World,* prawdopodobnie samego głównego redaktora J. W. Davisona, który tak zdał sprawę z doznanych uczuć na tym wieczorze: »Gdyby Chopin nie był najpowściągliwszym, tudzież najmniej próżnym i ambitnym ze wszystkich żyjących muzyków, to czczono-by go już oddawna, jako twórcę nowego stylu, jak wogóle nowej szkoły w zakresie sztuki kompozytorskiej fortepianowej. Gdy przed kilku miesiącami bawił przez czas krótki w naszej stolicy, niewielu tylko miało to szczęście słyszeć go grającego, a raczej improwizującego poniekąd, ale tych niewielu nigdy się nie rozstanie z tem wspomnieniem. Jest on — naszem zdaniem — najbardziej zachwycającym ze wszystkich salonowych fortepianistów. Żywość jego stylu tak jest umiarkowaną, delikatność uderzenia tak dźwięczną, melancholia tak łagodną, wszystkie ozdoby tak doskonałemi i uzasadnionemi, całość zaś, dzięki właściwemu traktowaniu i w najwyższym



stopniu wysubtelnionemu smakowi, tak cudownie zaokrągloną i wykończoną, że w wielkiej natłoczonej sali koncertowej, a nawet wobec zbyt wielkiej liczby osób, w zwykłym salonie, stanowczo musiałaby czynić już nie tak jedyne w swoim rodzaju wrażenie« [1]). W ten sposób upłynęło Chopinowi w stolicy Anglii dwa tygodnie, poczem, odprowadzany przez Koźmiana aż do Brighton wrócił na początku sierpnia do Paryża. I już się stąd nie ruszył nigdzie, choć pierwotnie miał inne plany. Ale raz przyjechawszy do domu, jakoś nie mógł się zdobyć na wyjazd gdziekolwiek. Pora była spóźniona, więc skończyło się na tem, że dla niego »spóźniła się zupełnie« i nie pojechał nigdzie.



Wazon ofiarowany Chopinowi przez Ludwika Filipa. (Muzeum Czartoryskich w Krakowie). Klisza »Nauki i Sztuki«.

Za to nie spóźniła się jego z każdym dniem rosnąca sława, pomimo, że on sam nie czynił literalnie nic dla rozgłosu, podobnie, jak to czynili inni pianiści, z Lisztem i Thalbergiem na czele. Owszem, w muzykalnych kołach paryskich, on miał opinię »równie znakomitego, jak skromnego pianisty«. Ale geniusz robił swoje. Za dowód, jak rosło stanowisko Chopina, jako kompozytora i wirtuoza, mógł posłużyć fakt, że w lutym 1838 r. zaproszono go do Tuileriów, by się dał słyszeć na dworze Ludwika Filipa »en cercle intime«. Był to najwyższy zaszczyt, jaki podówczas mógł spotkać artystę. Zaszczytu tego dostąpił Chopin dnia 25 lutego, mając za słuchaczów, oprócz całej rodziny królewskiej, jeszcze świetne zgromadzenie najwybrańszych przedstawicieli świata orleanistycznego. Po wykonaniu kilku własnych kompozycyi, których niezrównanem wykonaniem oczarował wszystkich, najwyższy zachwyt wzbudził swą natchnioną improwizacyą [2]).

[1]) *Musical World* z 23 lutego 1838 r., w entuzyastycznej ocenie dwóch *Nokturnów* i *Scherza* Chopina.

[2]) W *Gazette musicale* (Nr 8 25 février 1838) znalazło się takie sprawozdanie o tym występie Chopina na dworze: »M. Chopin, ce pianiste aussi extraordinaire que modeste, a été appelé à la cour dernièrement, pour y être entendu en cercle intime. On a su apprécier là comme dans une réunion d'artistes, le mérite éminent du jeune compositeur, mais on a surtout admiré ses inépuisables improvisations qui ont presque fait tous les frais de la soirée, et lui ont valu d'unanimes applaudissements«.

Po tym jego pierwszym występie w Tuileryach, uwieńczonym świetnym sukcesem, nastąpiły inne, powtarzające się co czas pewien, a zawsze upamiętniane wspaniałymi upominkami, którymi Ludwik Filip hojnie obdarowywał Chopina, a które rzetelnie zasługiwały na miano prawdziwie królewskich darów. Na wszystkich stale był wyryty lub wyzłocony napis: Philippe roi de France à Fr. Chopin. Raz np. ofiarowano mu cały złoty garnitur do herbaty, składający się z filiżanki, spodka i długiej łyżki. Na filiżance, przecudnej roboty, były wyobrażone w płaskorzeźbie trzy głowy, trzy profile, mianowicie: Króla Ludwika Filipa, jego żony i córki, Amalii. Znawcy oceniali ten garnitur na kilkanaście tysięcy franków.

Tymczasem w marcu tegoż 1838 r. wypadło Chopinowi wziąć udział w koncercie w sali ratuszowej w Rouen, ile, że był to koncert na benefis Antoniego Orłowskiego, który tam od paru lat pełnił obowiązki kapelmistrza teatralnego. Jakkolwiek Fryderyk na ogół unikał podobnych wystąpień publicznych, to jednak dla przyjaciela uczynił wyjątek z tej reguły. Odegrał swój *Koncert E-moll* z orkiestrą. Z niezapomnianego wrażenia, jakie jego boska gra uczyniła na słuchaczach, zdał sprawę w *Gazette musicale* dnia 25 marca 1838 r. Ernest Legouvé, który w tych słowach oddał swoje uczucie zachwytu: »Chodzi tu o wypadek niemałego dla świata muzykalnego znaczenia. Chopin, który już od lat paru nie występuje publicznie; Chopin, który swój wspaniały geniusz zwykł ograniczać do audytoryum z pięciu lub sześciu osób; Chopin, przypominający owe wyspy zaczarowane, które tak są bogate w cuda, że się w nie aż nie wierzy; Chopin, którego zapomnieć nie sposób, skoro go się tylko raz słyszało: Chopin wystąpił w Rouen na korzyść jednego profesora polskiego z koncertem, na którym było obecnych pięćset osób. Chęć spełnienia dobrego uczynku musiała się skojarzyć z wspomnieniem o ojczyźnie, ażeby przezwyciężyć jego odrazę do występów publicznych. Oczywiście, że sukces był olbrzymi! olbrzymi! Te zachwycające melodye, te nieopisane subtelności wykonania, te melancholijne i namiętne natchnienia, ta poezya w grze i kompozycyi, w równym stopniu wzruszająca wyobraźnię i serce, niemniej przenikały, poruszały, oszałamiały całe liczne zgromadzenie pięciuset słuchaczów, jak i tych ośmiu czy dziesięciu wybranych, którzy go w najwyższem skupieniu godzinami całemi podziwiać zwykli. Przez cały czas dało się w sali koncertowej odczuwać to elektryczne wstrząśnienie, ów pomruk zachwytu i zdumienia, które można uważać za bezwiedne okrzyki duszy, porwanej uniesieniem. Zbudź się, Chopinie, zbudź! Niechaj ten tryumf stanie się rozstrzygającym dla Ciebie; nie trwaj dłużej w swym egoiźmie, lecz pozwól geniuszowi swemu świecić dla wszystkich; daj się poznać w końcu tem, czem jesteś w istocie, i rozstrzygnij tę sporną kwestyę, która wprowadziła rozdwojenie między artystów; a wtedy, gdy się kto zapyta, kto jest pierwszym pianistą Europy, Liszt czy Thalberg, wtedy świat cały, jak w tej chwili ci, co cię słyszeli, będzie mógł odpowiedzieć: Chopin nim jest [1])!«



Wobec takiej opinii, która wcale nie była odosobnioną, bo o wyższości Chopina nad Lisztem i Thalbergiem nikt nie wątpił, nie dziw, że nań kolejno zaczęły spływać coraz większe zaszczyty, aż w końcu — mniej więcej w 1837 r. — przyszła kolej i na taki zaszczyt, który mu nie wydał się pożądanym. Oto ambasador rosyjski, hrabia Pozzo di Borgo, wiedząc, że Chopin nie jest skompromitowanym politycznie, że z kraju wyjechał za paszportem (który może nawet odnawiał co czas pewien), że zatem nie jest emigrantem, wpadł na pomysł, który z pewnością poczytywał za doskonały, mianowicie, że skoro taki geniusz wszechświatowej sławy, jak Fryderyk Chopin, jest poddanym rosyjskim, to nic łatwiejszego, jak mianować go nadwornym pianistą cesarza Mikołaja, z pięknie brzmiącym tytułem: premier pianiste de Sa Majesté l'Empereur de Russie. Był to — w mniemaniu hrabiego Pozzo di Borgo — zaszczyt nie lada, po którym konsekwentnie następowały inne: zaproszenie do Petersburga, ażeby grać na dworze cesarskim, czego następstwem — obok szczodrego wynagrodzenia pieniężnego — bardzo łatwo mógł być wysoki order, a napewno tytuł profesora petersburskiego konserwatoryum, z dużą pensyą, z długimi urlopami, z emeryturą etc. Wszystko to było niesłychanie ponętnem, to też każdy wielki artysta, nie wyłączając Thalberga i Liszta, czułby się wyjątkowo uszczęśliwionym, gdyby się doń zwrócono z tak zaszczytną i złotodajną propozycyą. Wiedział o tem hr. Pozzo di Borgo i dlatego, kiedy się

---

[1]) Artykuł ten zatytułowany: *Concert donné a Rouen par Chopin,* brzmiał we francuskim oryginale, jak następuje: »Voici un événement qui n'est pas sans importance dans le monde musical. Chopin qui ne se fait plus entendre au public depuis plusieurs années, Chopin qui emprisonne son charmant génie dans un auditoire de cinq ou six personnes, Chopin qui ressemble à ces clés enchantées où abordent à peine quelques voyageurs, et dont ils racontent tant de merveilles, qu'on les accuse de mensonge; Chopin qu'on ne peut plus oublier dès qu'on l'a entendu une fois, Chopin vient de donner à Rouen un grand concert, devant cinq cents personnes, au bénéfice d'un professeur polonais. Il ne fallait pas moins qu'une bonne action à faire et que le souvenir de son pays pour vaincre sa répugnance à jouer en public. Eh bien! le succès a été immense! immense! Toutes ces ravissantes mélodies, ces ineffables délicatesses d'exécution, ces inspirations mélancoliques et passionnées, toute cette poésie de jeu et de composition qui vous prend à la fois l'imagination et le coeur, ont penétré, remué, enivré ces cinq cents auditeurs comme les huit ou dix élus qui l'écoutent religieusement des heures entières; c'était à tous moments, dans la salle, de ces frémissements électriques, de ces murmures d'extase et d'étonnement, qui sont les bravos de l'âme. Allons, Chopin, allons! que ce triomphe vous décide; ne soyez plus égoïste, donnez à tous votre beau talent; consentez à passer pour ce que vous êtes; terminez le grand débat qui divise les artistes; et quand on demandera quel est le premier pianiste de l'Europe, Liszt ou Thalberg, que tout le monde puisse répondre, comme ceux qui vous ont entendu: C'est Chopin.

*Legouvé.*

zdecydował uczynić tę propozycyę Chopinowi, wiedział z góry, że będzie przyjęta z zachwytem, z niewysłowioną wdzięcznością. Wiedział też hr. Pozzo di Borgo, na co narażał się Polak z Warszawy, mieszkający w Paryżu za paszportem, gdyby się ośmielił nie przyjąć tak zaszczytnego tytułu... Tego nie przypuszczał ani na chwilę, by mógł się spotkać z odmową. A jednak spotkał się z nią! Na propozycyę bowiem, z którą doń, imieniem swego monarchy, zwrócił się ambasador, odpowiedział Chopin odmownie, w ten sposób — najwyższy przynoszący mu zaszczyt — motywując swą odmowę:

— Jakkolwiek nie brałem udziału w rewolucyi 1831 r., gdyż byłem jeszcze na to za młody, to jednak sercem byłem z tymi, co ją robili. Dlatego uważam się za emigranta, który to tytuł nie pozwala mi przyjąć innego...

Oświadczenie to rozstrzygnęło o losie Chopina: od tej chwili dobrowolnie i z całą świadomością powiększył liczbę wychodźców polskich w Paryżu, albowiem raz na zawsze miał zamknięty powrót do kraju [1]).

[1]) W ten sposób opowiada o tym epizodzie z ambasadorem rosyjskim siostrzeniec Chopina, p. Antoni Jędrzejewicz. M. A. Szulc w swej cennej (wcale nie przestarzałej jeszcze) książce o Chopinie, tak w uzupełnieniach opowiada o tym fakcie, na podstawie relacyi »osoby należącej do rodziny, z którą Chopin od lat dziecięcych aż do końca dni swoich pozostawał w stosunkach najpoufalszej zażyłości i nieprzerwanej prawie korespondencyi«:

W kilka lat po przybyciu Chopina do Paryża, gdy wieszcz nasz i szeregiem świetnych utworów i sławą improwizatorską wsławił się w świecie muzykalnym, dwór petersburski polecił swemu ambasadorowi w Paryżu, ażeby go jaknajuprzejmiej do powrotu zawezwał, jakoteż dał mu wszelkie poręczenie, że za samowolny i nieuprawniony prolongacyą paszportu pobyt za granicą żadna na nim ciążyć nie będzie odpowiedzialność. Przy tem miał poseł rosyjski prosić Chopina o przyjęcie tytułu i godności pierwszego pianisty nadwornego cesarskiego. Wielki artysta ani na chwilę nie wahał się, jak ma sobie postąpić, i wręcz oświadczył, że lubo wyjechał przed rewolucyą listopadową i zdrowie jego zawsze wątłe nie pozwalało mu wziąć czynnego w walce o niepodległość udziału, to przecież całem sercem i całą duszą pragnął pomyślnego dla swej ojczyzny końca krwawych zapasów, podzielał gorące życzenia walczących współziomków, tak, jak teraz dzieli ich żałobę, uważa się przeto za emigranta, a ofiarowanego sobie zaszczytu przyjąć żadną miarą nie może.

Można być pewnym, że z tego postępku Fryderyka nie był zadowolonym Mikołaj Chopin. Oto bowiem, co raz pisał do syna, w liście z dnia 7 września 1834 r.: »Ponieważ, jak się zdaje, jeszcze czas jakiś masz zostać za granicą, więc donoszę ci, moje dziecko, że podobno w gazetach francuskich z 11 czerwca było, iż każdy Polak powinien starać się o przedłużenie paszportu. Przez wzgląd na to, że wyjechałeś przed zaburzeniami i żeś do nich wcale nie należał, proszę, żebyś zasięgnął wiadomości w tej sprawie, a to ci łatwo przyjdzie w ambasadzie (rosyjskiej w Paryżu). Przyznam się, że nie życzę sobie, żebyś przez niedbalstwo miał się znaleźć w liczbie emigrantów. Nie zapominaj o tem, proszę cię, i donieś mi, jak się rzecz ułoży; łatwo będzie krok ten zrobić Tobie, który tak jesteś znany«.

## ROZDZIAŁ II.

### Marya Wodzińska (1835—1838).

W czasie pobytu swego we wrześniu 1835 r. w Dreźnie, spotkał się Chopin przypadkiem na ulicy z młodym Feliksem Wodzińskim, swoim dobrym znajomym jeszcze z Warszawy. Spotkanie to, równie miłe, jak niespodziewane, wywołało mniej więcej następującą rozmowę pomiędzy nimi:

— Co tu robisz? — pytał zdziwiony »Feluś«, gdy się już z »Fryckiem« wyściskał.

— Wracam do Paryża, a jadę z Karlsbadu, gdzie cały miesiąc spędziłem z rodzicami. A ty skąd się tu wziąłeś?

— Jesteśmy tu wszyscy, cała nasza rodzina. Jedziemy z Genewy, gdzie nawet Antoś został jeszcze. Wracamy do kraju, do Służewa. Tutaj mieszkamy na Rampische Strasse.

Rozumiało się samo przez się, że Fryderyk, skoro się znalazł z Wodzińskimi w jednem mieście, niezwłocznie pospieszy przywitać się z nimi. Wszak od dziecka przyjaźnił się z ich całą rodziną [1]), a nie widzieli się

[1]) O przyjaźni Chopina z rodziną Wodzińskich w Warszawie do 1830 r. tak opowiada pani Józefa z Wodzińskich Kościelska: »Bracia moi byli pensyonarzami u Mikołaja Chopina tylko przez rok jeden, mianowicie w ciągu pierwszego roku chodzenia do szkół, gdy matka moja nie urządziła się była jeszcze w Warszawie na stałe. Później mieszkali z nami razem, u matki, co nie przeszkadzało, że raz zawiązany stosunek z Chopinami, stosunek serdeczny i zażyły nadzwyczaj, trwał w dalszym ciągu. Najczęściej bywało tak, że jednej niedzieli myśmy spędzali wieczór u nich, zaś w drugą niedzielę oni przychodzili do nas. Co się tycze lekcyi muzyki, które — jak głosi legenda — siostra moja niby brała od Chopina, to systematycznie nie brała ich nigdy. Pierwszym jej nauczycielem muzyki była nasza matka, osoba bardzo muzykalna wogóle. Po niej też Marya odziedziczyła ta-

przez pięć lat, odkąd wyjechał z kraju! Jakoż młody Wodziński zaraz go chciał prowadzić do swoich. Niestety, było to niemożliwem w danej chwili, albowiem Chopin właśnie się spieszył na jakiś proszony obiad. Ale nie mogąc iść teraz, przyrzekł »Felusiowi« solennie, że wieczorem nie omieszka stawić się na Rampische Strasse...

Wróciwszy do domu, Feliks Wodziński, z niekłamanym wyrazem zadowolenia na twarzy, jak człowiek, który wie, iż będzie zwiastunem przyjemnej nowiny, kiedy stanął przed rodzeństwem, zaczął od tego: »Zgadnijcie, kogo przed chwilą spotkałem i kto z nami spędzi tu wieczór dzisiejszy?« Zgadywali wszyscy po kolei, ale nikt nie mógł zgadnąć. Gdy się dowiedziano wreszcie, że tym zapowiedzianym gościem będzie Chopin, radość była ogromna, poczem zadecydowano, żeby zaraz dać znać różnym znajomym z kolonii polskiej, niech przyjdą, a zobaczą, poznają i usłyszą Fryderyka Chopina! O tem bowiem, że będzie »Frycek« grał, nikt nie wątpił.

Tym sposobem, gdy Chopin o umówionej godzinie stawił się u Wodzińskich, zdziwił się niepomału, zastawszy tu, prócz domowych, jeszcze mnóstwo gości. Nie spodziewał się tego coprawda, ale domyślił się z łatwością, co było powodem tak licznego zgromadzenia, a ponieważ towa-

lent do muzyki. W epoce jednak, gdyśmy się z Chopinem widywali w Warszawie, siostra moja, urodzona w 1819 r., zbyt jeszcze wielkiem była dzieckiem, by na seryo myśleć o muzyce i zajmować się nią poważnie. Nie miała ona wtedy nawet lat dziesięciu — ja miałam ośm — wobec czego, gdyśmy z matką i braćmi bywali u Chopinów, myśleliśmy przedewszystkiem o zabawie. To, że młody Frycek uchodził już wtedy ze najlepszego w Warszawie fortepianistę, mniej mu nadawało w oczach naszych uroku, niż to, że żaden z chłopców nie był tak skorym do zabawy, do figlów, jak on. Nieraz, pamiętam, bywało tak, że inni chłopcy nie mieli ochoty bawić się z nami, on jednak potrafił zawsze wszystkich rozruszać, on zawsze przychylał się do naszych próśb, a gdyśmy się bawili w gry towarzyskie, w lisa, w cenzurowanego, w ciuciubabkę, etc., on bywał duszą zabawy, biegał, dokazywał, udawał różne osoby, rysował karykatury, słowem, zabawiał nas, jak mógł. Zdarzało się również, że zasiadał do fortepianu, ale ponieważ byłyśmy zbyt dziecinne, by odczuć piękną muzykę, więc albo figlował przy fortepianie, albo nam przygrywał do tańca różne polki, walce, galopady, mazurki. Wogóle przewyższał wszystkiem swych rówieśników, nietylko wesołością, ale i wdziękiem. To też zarówno rodzice nasi, jak my, wszystkie dzieci, lubiliśmy go bardzo. Ów »dom Pszennego«, o którym wspomina Chopin w jednym z listów, znajdował się przy ulicy Miodowej, nieopodal pałacu Teppera. Wogóle przez czas pobytu naszego w Warszawie przeprowadzaliśmy się kilka razy, jednak w domu Pszennego mieszkaliśmy najdłużej. Ostatnie nasze mieszkanie przed rokiem 1830 znajdowało się za Żelazną Bramą, na pierwszem piętrze domu, który, gdy się wychodzi z Ogrodu Saskiego, stoi z brzegu po lewej stronie. Tam bywał u nas Chopin na krótko przed swym wyjazdem za granicę. Stosunek nasz z Chopinem zawsze był nadzwyczaj serdeczny. Z braćmi moimi, szczególniej z Antonim, łączyła go najserdeczniejsza przyjaźń. Toż samo z Feliksem, do którego bardzo był przywiązany. Wogóle stosunek nasz do rodziny Chopinów coraz bardziej zacieśniał się z każdym rokiem, tak, że w 1830 r. serdeczniejszy był jeszcze, niż lat poprzednich«. Ob. *Nowe szczegóły o Maryi Wodzińskiej* w *Wędrowcu* z roku 1900 Nr 42 i nast.



rzystwo było czysto polskie, więc odrazu poczuł się w swoim żywiole Sami państwo Wodzińscy powitali go serdecznie, jak syna, który po 5-le-



Marya Wodzińska według portretu Marszałkiewicza z roku 1841.

tniej wędrówce wracał z dalekich krajów, i to otoczony aureolą sławy europejskiej! Poprostu cała rodzina nie mogła nacieszyć się nim dosyć! Przyszła kolej na opowiadania, na wzajemne wynurzenia, aż w końcu przyszła taka chwila, w której Chopin, ulegając gorącym prośbom całego zebra-

nego towarzystwa, zasiadł do fortepianu. Grał bardzo dużo, nie dał się prosić, gdyż wogóle był doskonale usposobiony tego wieczora...

Sprawiła to głównie wdzięczna osóbka Maryni Wodzińskiej, która, gdy ją ostatni raz w 1830 r. widział w Warszawie, miała lat jedenaście, a więc jeszcze nie była nawet podlotkiem, a która obecnie, licząc sobie lat szesnaście, już mogła pretendować do tytułu panny na wydaniu.

## I.

Słusznego wzrostu, doskonale zbudowana, silna brunetka o matowej cerze, o włosach kruczych jak heban, połyskujących jak atłas, tak że, gdy je rozpuściła, mogła się niemi nakryć jak płaszczem, o wielkich, czarnych, ślicznie oprawnych oczach, które, pełne ognia i życia, odbijały wszystkie wzruszenia i tajemnice duszy, o wydatnych rysach twarzy, dość grubych — co zwłaszcza dało się powiedzieć o nieco dużym nosie — o ustach zmysłowych, na których igrał chwilami *un sourire d'une volupté ineffable*, posiadała panna Marynia »coś niewypowiedzianie uprzejmego«, a raczej ujmującego w całem ułożeniu, coś, co najlepiej da się określić mianem niezwykłego wdzięku kobiecego, a co szło w parze z niemniej niezwykłym powabem fizycznym. »Piękną nie będąc nigdy, zdawała się więcej, niż piękną, bo całą jej postać otaczał jakiś niepojęty czar«. Swoją drogą nie brakło takich, co ją nazywali poprostu »brzydką«.

Bądź co bądź niemałego uroku dodawało jej to, że była to panna »mnóstwo posiadająca talentów«. Jako córka Wincentego Wodzińskiego, jednego z najbogatszych obywateli na Kujawach, otrzymała nadzwyczaj staranne wychowanie, polegające głównie, stosownie do ducha czasu, na rozwijaniu upodobań artystycznych, kosztem praktycznych. Kształcona prywatnie, przez cały legion różnych cudzoziemskich metrów, guwernantek i bon, których zawsze kilkoro znajdowało się w jej rodzicielskim domu, czy to było na wsi w Sułkowie (pod Brześciem kujawskim), czy potem w Warszawie, czy później w Genewie, uprawiała ze znacznem powodzeniem rozmaite sztuki piękne, poczynając od muzyki, w której celowała, a kończąc na malarstwie, do którego, jako amatorka, miała bardzo sympatyczny talencik. Nietylko pejzaże i różne sceny rodzajowe, ale nawet portrety, co już wymaga pewnej techniki, malowała i rysowała doskonale, posiadając szczególny dar chwytania podobieństwa portretowanych osób. Uprawiała i malarstwo olejne, kopiując arcydzieła mistrzów [1]). Śpiewała niegorzej, niż rysowała i malowała, a głos jej o brzmieniu altowem, uważano za »śliczny i dźwięczny«. Na poezyi znała się równie dobrze, jak na muzyce, na muzyce zaś, zwłaszcza na muzyce fortepianowej, rozumiała się jak prawdziwa artystka. Bardzo muzykalna z natury, odznaczała się nietylko wybitnym talentem wykonawczym, ale i niepoślednim kompozytorskim. W chwilach wolnych, a tych poza lekcyami miała sporo, komponowała różne sentymentalne walce i *morceaux de salon*, wcale udatne; dość powiedzieć, że niekiedy zyskiwały aprobatę i pochwały ze strony samego nawet Chopina... Co się tycze jej talentu wykonawczego, to niewątpliwie była to rzetelna zdolność z bożej łaski, która rozwinęła się pod kierunkiem doborowych nauczycieli.

[1]) Dokonana przez nią kopia *Madonny ze szczygłem* Rafaela znajduje się obecnie w krakowskiem Muzeum Narodowem.



Oprócz powyższych, czysto artystycznych, otrzymała »panna Marynia« w darze od natury jeszcze jedną zdolność: umiała się podobać, a jeśli chodziło o mężczyzn, zawracać im głowy. Wesoła, żywa, dowcipna, z bujnym temperamentem, z zapalną wyobraźnią, a wielką dozą kokieteryi, miała ogromne szczęście do ludzi, a zwłaszcza do rodzaju męskiego, i to już w tych czasach nawet, gdy więcej, aniżeli o miłości i flircie, musiała myśleć o lekcyach i nauce. Takich, co się w niej, już jako w podlotku, kochali na zabój, można-by wymienić przynajmniej kilku... Już to wogóle płochą sztukę rozpłomieniania ku sobie serc męskich posiadała w wysokim stopniu! Coprawda, to miała niemało danych po temu, bo choć ładną nie była nigdy, to jednak z porównania z innemi rówieśniczkami, i to znacznie piękniejszemi od niej, zawsze wychodziła zwycięsko. Przedewszystkiem »entuzyazmowała słuchaczy« swą grą na fortepianie; następnie olśniewała błyskotliwością swego umysłu, a że doskonale umiała się wysławiać, i to kilkoma językami, którymi władała równie biegle, jak ojczystym, więc imponowała niejednemu. Reszty dokonywał »czarujący uśmiech« i pieściwy głos »dźwięczący dziwną harmonią«. Jakoż w rozmowie z nią, w której prowadzeniu celowała poprostu, zapominało się o jej nieregularnych rysach, a było się zaintrygowanym jej »wesołą obojętnością«, nie mówiąc już o tem, że jej czarne oczy, w których, jakby się wyraził Słowacki »Kupido całym pękiem trzymał najeżone strzały«, miały coś magnetycznego we wzroku, tak, że nie wszyscy mężczyźni wytrzymywali siłę tego spojrzenia. W żyłach jej, oprócz polskiej, płynęła także i krew włoska (po babce, »jednej z tych Orsettich, którzy opuściwszy swój pałac rodzinny w Medyolanie pociągnęli do Polski w świcie królowej Bony Sforza«). Wogóle w typie miała w sobie bardzo wiele z Włoszki. Zwłaszcza w oczach! Tą przymieszką krwi włoskiej, renesansowej do tego, dałby się wytłómaczyć jej temperament, równie artystyczny, jak ognisty.

Gdy wybuchła rewolucya listopadowa, przeniosła się cała rodzina Wodzińskich (oprócz dwóch starszych synów, Antoniego i Feliksa, którzy poszli do wojska) na wieś do Sułkowa, stamtąd zaś, z nadejściem lata, gdy wojna przeniosła się na prawy brzeg Wisły, udano się do Berlina, gdzie doczekano się wzięcia Warszawy. Z Berlina — gdzie tymczasem

urodziła się najmłodsza córeczka — przeniesiono się do Drezna, skąd po roku udano się do Genewy, gdzie pozostano aż do sierpnia 1835 r. Warunki, w jakich przebywano nad Lemanem, choć były wynikiem przymusu, jednak przedstawiały się całkiem pomyślnie. Oprócz trzech córek, Maryi, Józefy i Tereni, miała tu pani Wodzińska przy sobie wszystkich trzech synów: Antoniego, Kazimierza i Feliksa, mieszkających na pensyi u niejakiego pana Humberta. Ojciec ich, Wincenty Wodziński, choć mieszkał w kraju, zajęty między innemi restauracyą starego zamku w Służewie nad pruską granicą, raz po raz przyjeżdżał do rodziny. Wesoły i pogodny nastrój, panujący w domu państwa Claparède, którego całe pierwsze piętro zajmowali Wodzińscy, bardzo się ożywiał podówczas, bo Vaterchen — jak w rodzinie nazywano ojca Maryi — cieszył się ogromnem przywiązaniem wszystkich swoich najbliższych. Ale i w zwykłych warunkach nigdy nie było tu smutno ani nudno, choćby dlatego tylko, że trudno się nudzić w tyle osób. Bo jak przystało na dom bogaty, prawie magnacki, pani Wodzińska podróżowała z całym pocztem domowników i służby, metrów i guwernantek. Mr. Basclop, metr angielskiego języka, T. Field, nauczyciel muzyki[1]), mademoiselle Mallet, Francuska, stara i brzydka, oraz miss Wagner, Angielka, niezwykle piękna: oto sam sztab nauczycielski, który z panią Wodzińską przyjechał do Genewy. W niczem nie krępowana kwestyami pieniężnemi, prowadziła pani Wodzińska, odkąd osiadła z dziećmi nad Lemanem, dom otwarty, utrzymywany na stopie wielkopańskiej, tak, że »niemal codziennie« podejmowała licznych gości, czy to z pośród ziomków, czy z pośród miejscowej elity, czy z kolonii Angielskiej. Z Polaków bywali u niej Nakwascy, mieszkający w Vevey, Klaudya Potocka, znana przyjaciółka Mickiewicza i Garczyńskiego, pani Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu (której córka Wanda, późniejsza Tomaszowa Potocka, zaprzyjaźniona z Maryą Wodzińską, swatała ją z kuzynem swym, Darowskim), jenerał Gruszewski, nieodstępny przyjaciel pani Wodzińskiej, bracia Miączyńscy, Aleksander i Włodzimierz, sporo młodzieży polskiej, zapisanej na uniwersytet genewski, oraz wielu przejezdnych, szczególniej szlachty-emigrantów; bo ktokolwiek z ziomków, tułających się po Europie, zawadził o stolicę Szwajcaryi, prawie każdy znajdował na *Place St. Antoine,* w obszernych apartamentach pani Wodzińskiej, nader gościnne przyjęcie. Między innymi bywał tu i Mickiewicz, kiedy wracał z Włoch. Z obcych, obok znacznej liczby »dystyngowanych Anglików i Angielek«, bywali państwo Saladin (których nadzwyczaj piękna córka, przedmiot gorącej miłości najmłodszego z synów pani Wodzińskiej, stała się słynną hrabiną de Portales, tak głośną za drugiego cesarstwa), niektórzy profesorowie uniwersytetu, jak Bonstetten i Sismondi, i wreszcie dwóch arystokratycznych młodzieńców, Francuzów, którzy obaj okazali się wielbicielami czarnobrewej panny Maryni: młody hrabia de Montigny, zakochany w niej, jak Filon, i młody książę Ludwik Napoleon, późniejszy cesarz Napoleon III, a w tej chwili mieszkający w Genewie, jako wygnaniec, razem ze swą matką Hortenzyą.

[1]) Nie był to jednak słynny kompozytor *Nokturnów,* John Field. Słowacki wszakże, pisząc do matki o Maryi Wodzińskiej, że »Field, będąc tu (w Genewie) dawał jej lekcye na fortepianie« miał Johna Fielda na myśli. Ale możebnem jest również, że Słowacki, słysząc o Fieldzie, nauczycielu Maryi, myślał, że to był słynny Field, a tymczasem był to sobie jakiś skromny Field, nic z twórcą *Nokturnów,* prócz nazwiska, nie mający wspólnego.



Pierwszy z nich, bywając prawie codziennym gościem w domu pani Wodzińskiej, tak się zakochał w ujmującej wdziękiem *Mademoiselle Marie,* że się o nią w ciągu roku 1833 i 1834 dwukrotnie aż oświadczał[1]). Księciu Ludwikowi Napoleonowi podobała się Marya przedewszystkiem, jako świetna fortepianistka. Często odwiedzając Wodzińskich, szczerze zaprzyjaźnił się z nimi (a przyjaźnią tą nie przestał ich zaszczycać i później, gdy zasiadał na cesarskim tronie i przewodził polityce europejskiej); dla panny Maryni zaś, jako znakomitej interpretatorki utworów Chopina i Fielda, był — jak i wszyscy zresztą — z niekłamaną admiracyą. W rozmowach o niej nazywał ją zwykle *la brune fille d'Euterpe.* Małomówny wogóle, choć nadzwyczaj uprzejmy i miły, na wieczorkach u pani Wodzińskiej należał do najwięcej tańczących, szczególnie z panną Marynią, z którą zwłaszcza lubił upajać się szalonym wirem galopady... Zawsze wytwornie ubrany, a interesujący swem melancholijnem wejrzeniem, które w nim dawało poznać marzyciela, przepadał za muzyką: stąd zdarzało nię nieraz, że gdy Marya ranne godziny poświęcała fortepianowi, książę zatrzymywał się pod otwartemi oknami domu przy *Place St. Antoine,* i stał tak, zasłuchany i nieruchomy, z cygarem w ustach, dopóty, aż muzyka nie ucichła.

O tym niepospolitym talencie muzycznym »czarnobrewej córy Euterpy« rozeszła się niebawem wieść po całej Genewie, tak, że po niejakim czasie nie było prawie koncertu na cel dobroczynny, ażeby do łaskawego w nim współudziału nie proszono panny Wodzińskiej. Po koncertach takich, na

[1]) Fakt ten służyć może za dowód, że Marya, choć »obarczona lekcyami« i choć — jak zapewniała z czasem — »nie myślała wtenczas o miłości, lecz o nauce« potrafiła mimo to w chwilach wolnych zakraść się niektórym znajomym swoim do serca i stać się panią ich wyobraźni. »Przeróżne lekcye cały mój czas znajmowały, nie byłam dorosłą panną, za takową nie uważałam się sama i w oczach świata nie uchodziłam«. Słowa te wyjęte z listu Maryi (pisanego w r. 1893 do jednego z literatów lwowskich), pozostają w pewnej niezgodzie z rzeczywistością, bo jakżeby mógł hr. de Montigny aż dwa razy oświadczać się o Maryę, gdyby jej za dorosłą pannę nie uważał. Zdaje się także, iż gdyby Marya nie uchodziła »w oczach świata« za dorosłą pannę, to by jej zaprzyjaźniona z nią Wanda Ossolińska nie swatała z młodym Darowskim, jak to w ciągu swego pobytu w Genewie czyniła... Słowacki, poznawszy Maryę w roku 1833 pisał o niej wyraźnie w liście swym z dnia 30 listopada t. r.: »Starsza (córka pani Wodzińskiej) dorosła już panna« i t. d. Nie należy zresztą zapominać, że Marya była »nawpół Włoszką« i że »w żyłach jej płynęła cząstka krwi włoskiej, więc się wcześnie rozwinęła umysłowo i fizycznie«.

których ją publiczność rzęsistymi zawsze darzyła oklaskami i domagała się nadprogramowych dodatków, dziękował jej nieraz, w imieniu różnych instytucyi filantropijnych, sam prezydent miasta.

W listopadzie 1833 r. zaczął w domu Wodzińskich bywać Juliusz Słowacki, znany już podówczas, jako autor trzech tomów *Poezyi* i wydanego bezimiennie *Kordyana*. Od pierwszej chwili, gdy się zbliżył do Maryi, był zachwycony jej »śliczną grą na fortepianie«, a choć ona sama nie wydała mu się ładną, tak dalece, że w liście do matki nazwał ją nawet »bardzo brzydką«, to jednak, już po kilku wizytach i wieczorach, spędzonych w domu Maryi, zmienił swe zdanie o niej: nie upłynęło pół roku, a już ją zaczął nazywać w listach »bardzo miłą«, gdy zaś w lipcu 1834 r. zaprosiła go pani Wodzińska do wzięcia udziału w romantycznej wycieczce w Alpy Berneńskie, oglądanie cudów przyrody górskiej w towarzystwie Maryi wyryło mu się w duszy tak głęboką bruzdą, że jeszcze po upływie lat czterech, w jednym ze swych listów z Florencyi tak pisał do matki: »Podróż ta (z Potockimi do Valambrosy) melancholiczne na mnie zrobiła wrażenie, przypomniała mi bowiem moją wędrówkę po Szwajcaryi, ile że było coś w gwarze tej licznej familii przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało.« Wróciwszy do Genewy, gdy go raz Marya poprosiła o wiersz do sztambuchu, wpisał jej rzewne wspomnienie owej wspólnie odbytej wycieczki w Alpy.

Tam byli, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w cieniu wiszeń bożym strzeżone napisem
Stoją ciche szalety wiązane cyprysem,
Gdzie smutnie biją w łąkach trzód zbłąkanych dzwony,
Gdzie się nad wodospady jasna tęcza pali,
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:
Tam byli razem — kiedyś — i tam się rozstali.
i t. d. i t. d.

Myśl o możliwości tego rozstania zaczęła poetę dręczyć coraz bardziej, albowiem i on, podobnie jak młody Darowski i hr. Montigny, uległ w końcu urokowi »czarnobrewej panienki!« Zaprzyjaźniony z jej braćmi, zapraszany na wszystkie wieczorki, spacery, wycieczki etc. miał aż nadto sposobności do widywania się z Maryą, zaczem poszło, że w swych marzeniach zaczął budować czarowne zamki na lodzie... Skończyło się na tem, że stracił trzeźwy i krytyczny pogląd na sytuacyę, że począł roić o niepodobieństwach, o... ożenieniu się z Maryą! Tymczasem okoliczności układały się w taki sposób, że poniekąd upoważniały do tak śmiałych planów. Będąc z Wodzińskimi na stopie »prawie familijnej«, nadzwyczaj serdecznie podejmowany przez nich »narażający się na wymówki«, gdy nie przychodził często, sprawił ostatecznie, że w kwietniu r. 1835 cała ich rodzina sprowadziła się do pensyonatu pani Pattey, w którym on mieszkał od lat paru. Odtąd, mieszkając pod



jednym dachem, dni całe spędzał z Maryą, co oczywiście nie pozostało bez wpływu na jego nastrój psychiczny... A ona? Dla niej był Słowacki »troszkę śmiesznym«, uważała bowiem, że zabardzo wierzył w swoją wielkość, że był nerwowy, obraźliwy, kapryśny, złośliwy, zarozumiały, pretensyonalny, często nieznośny, słowem, nie wydawał się pociągającym. Wprawdzie i jemu zdarzały się chwile wesołości i pustoty, w których dawał się poznać z lepszej strony, ale wogóle, zdaniem Maryi, zbyt był zakochanym w sobie, by módz być sympatycznym. Swoją drogą, będąc dobrze wychowaną i... zalotną z natury, Marya nietylko mu nie okazała nigdy, że za nim nie przepada, lecz starała się być dlań równie miłą, jak dla innych. Zbyt pewny swego daru »kruszenia serc niewieścich«, Słowacki wziął jej uprzejmość za... wzajemność, tak dalece, że jeszcze w parę lat później trwał w tem błogiem przeświadczeniu, na co wyraźny dowód znajduje się w jego liście do matki z dnia 19 maja 1838 roku: »Wróciwszy do Genewy, zamiast przywitać się z drzewami ogrodu, gdzie sobie przez trzy lata marzyłem, zamiast odpocząć w pokoiku, gdziem przywykł był leżeć spokojnie, zamiast tej melancholii, jakąby mię przeniknął widok miejsc, gdziem latał po murawach z młodziutką Maryą, co mię kochała krótko ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają: zamiast tego wszystkiego znajdę dom w mieście czarnem i posępnem«. Tymczasem zwodzony »wesołą obojętnością«, a także »wdziękiem i dobrem sercem« Maryi, która, zalotna wobec mężczyzn, jego z pewnością nie brała poza nawias swej wrodzonej kokieteryi, upajał się poezyą idylli, którą — w swej bujnej wyobraźni głównie — przeżywał w obcowaniu z »czarnobrewą panienką«, czy to, kiedy razem biegali po murawach, czy to kiedy w ogródku rwali stokrótki, czy to gdy pływali łódką po jeziorze, czy to gdy Marya grała na fortepianie. Raz w takiej chwili, gdy Marya siedziała przy instrumencie, poeta, wszedłszy do salonu, ukląkł przed nią i ucałował sentymentalnie rąbek jej sukni (według innej wersyi, ucałował jej warkocz). Tak upłynęły cztery miesiące blizko, podczas których zakochany poeta miał wrażenie, że i panna także »zapłynęła trochę w kraj ideału«. Atoli były to pozory zwodnicze... W lipcu 1835 r. przyjechał do Genewy ojciec Maryi, by wkrótce »porwać stąd całą rodzinę« (oprócz najstarszego syna). Zanim to nastąpiło, Słowacki, widząc, że jego zajęcie się »czarnobrewą panienką« stało się w domu pani Pattey powodem nader przykrej sytuacyi (zakochana w poecie panna Pattey zaczęła z zazdrości o niego chorować), pożegnał się któregoś dnia całkiem niespodziewanie z Maryą, przy którem to pożegnaniu nie omieszkał położyć nacisku na »żal i tęsknotę«, o jakie go rozłąka ta przyprawi, i nie czekając na wyjazd Wodzińskich, przeniósł się do Veytoux, na przeciwległy brzeg jeziora, gdzie pod wpływem tęsknoty za »młodziutką Maryą« napisał swe cudne *Rozłączenie:*

Rozłączeni! Lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska;
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala,
I łzę różową leje, i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom, i drzewa ogrodu, i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Z tego samego nastroju zrodził się teraz w Veytoux jeszcze wiersz o *Stokrótkach:*

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki
Jeden mówił n i e, a drugi t r o s z e c z k a.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądzę po skałach... Wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.
i t. d.

Upłynęły dwa lata, a choć w ciągu tych dwóch lat Słowacki odbył romantyczną podróż po Włoszech, Egipcie i Ziemi Świętej, to przecież nie brak licznych śladów w jego zapiskach i pismach z tego czasu, że go nie opuszczała myśl o Maryi, a nawet w Egipcie

na piramidzie
Otrzymał list, tfu! że za mąż idzie!

Była to fałszywa pogłoska, ale że wiadomość ta poetę »zmieszała trochę, nie bardzo« na to jaskrawy dowód znalazł się z czasem w jednej ze strof *Beniowskiego*... W każdym razie jeszcze we Florencyi, gdzie osiadł po powrocie ze Wschodu, miał Słowacki duszę przepojoną wspomnieniami Maryi, »usychał z żalu, omdlewał z tęsknoty« za nią. Z tego smętnego uczucia powstał we Florencyi w jesieni r. 1837 przecudny poemat miłosny *W Szwajcaryi,* poemat, który jest największem arcydziełem poezyi erotycznej polskiej, a należy do największych arcydzieł poetyckich wogóle.

A Marya? Cóż ona na to? Ona, jak zapewniała później, wcale się nie domyślała tej miłości Słowackiego; podobno zdziwiła się niezmiernie, gdy się dowiedziała, że poemat *W Szwajcaryi* jej zawdzięczał swe powstanie,



a w każdym razie o Słowackim nigdy nie wyrażała się inaczej, tylko z niechęcią i przekąsem...[1]).

Natomiast Chopin cieszył się zawsze jej wyjątkowymi względami. Pomiędzy rokiem 1833 a 1835, gdy on mieszkał w Paryżu, a Wodzińscy bawili w Genewie, zawiązał się pomiędzy nimi a nim stosunek listowny, który z każdym listem stawał się coraz serdeczniejszym. Po niejakim czasie, prócz listów, zaczęły pomiędzy Paryżem a Genewą kursować także i nuty, bo albo Chopin przysyłał swe najświeższe kompozycye, albo Marya posyłała mu swoje próbki kompozytorskie, by o nich wyraził swe zdanie. Zdanie to zawsze brzmiało pochlebnie, tak dalece, że Chopin niektóre z tych kompozycyi brał nawet za temat do swych improwizacyi w paryskich salonach. Oczywiście, że po niejakim czasie w listach Wodzińskich do »pana Fryderyka« coraz częściej zaczęły się powtarzać gorące słowa inwitacyi, zapraszające go do Genewy. Chopin obiecywał przyjechać kiedy, ciągle się wybierał w tę podróż, ale wciąż mu coś stawało na przeszkodzie, aż w końcu nie wybrał się wcale.

Z listów tych, kursujących pomiędzy genewskim *place St. Antoine* a paryską *Rue de la Chaussée d'Antin,* zachowały się tylko dwa: jeden Chopina, datowany z Paryża dnia 18 lipca 1834 roku, a pisany do Feliksa Wodzińskiego, drugi pani Wodzińskiej, datowany z Genewy dnia 23 lutego 1835 r., a pisany do Chopina. List Fryderyka brzmiał, jak następuje:

Kochany Feliksie,

Zapewnieś sobie pomyślał: Fryc osowiał, że nie odpisuje... Pamiętasz, żem zawsze wszystko za późno robił. Za późno poszedłem do panny Fanch... Musiałem więc czekać za odjazdem poczciwego Wolffa. Żeby nie to, że dopiero wróciłem z nad Renu i że mam zatrudnienie (mianowicie lekcye), którego teraz porzucić nie mogę, w ten moment bym pojechał do Genewy podziękować i przyjąć zaprosiny Twojej Szanownej Mamy. Ale losy srogie, słowem, nic z tego! Twoja siostra była tyle grzeczną, że mi swoją kompozycyę przysłała. Ucieszyło mnie to niewymownie i zaraz tego samego wieczora improwizowałem w jednym z tutejszych salonów na ładniuchny temat owej Maryni, z którą się to w Pszennego domu za dawnych czasów po pokojach goniło!... A dziś? Je prends la liberté d'envoyer à mon estimable collègue Mlle Marie une petite valse que je viens de publier[2]). Oby setną cząstkę przyjemności tej zrobił, jakiej ja doznałem, odebrawszy waryacye. Kończę, jeszcze raz dziękując najszczerzej za łaskawą pamięć Twojej Mamy na swojego starego i wiernego sługę, w którym także trochę krwi kujawskiej płynie... Kochanego Antka uściskaj. Kazia uduś z tendressów, jeżeli potrafisz, a co pannie Maryi, to ukłoń się bardzo elegancko z uszanowaniem, zadziw się i powiedz sobie po cichu: Mój Boże, jak to urosło!«

[1]) Stwierdza to Antoni Wodziński w drukowanym w *Kurjerze Warsz.* artykule o *Maryi W.* gdzie tak pisze w tej kwestyi: »Pamiętam, że na dwa lata przed zgonem Maryi, z powodu artykułu Dra Biegeleisena w *Bibl. Warsz.* występowałem przed nią w obronie mistrza (Słowackiego). O b u r z a ł a m i ę p o n i e k ą d ta niezrozumiała na pozór, a tak przecie często naturze kobiecej, choćby najtkliwszej, właściwa s t r o n n o ś ć«. Dzięki tej stronności wyrażała się Marya o Słowackim »zawsze z n i e c h ę c i ą, g r a n i c z ą c ą z s z y d e r s t w e m«.

[2]) Op. 18 Grande Valse Es-Dur.

List pani Wodzińskiej był pełen jakiejś macierzyńskiej serdeczności

Łaskawy Panie Fryderyku!

Pozwól, niech się przypomnę pamięci Twojej. Już Feluś i Marynia zaczepiali Cię; ja wtenczas, szczędząc czas Twój drogi i mając przez nich miłą o Tobie wiadomość, nic nie pisałam, lecz dziś, mając tak dobrą okazyę przez ziomka naszego, p. Darowskiego, zgłaszam się do Ciebie, prosząc, byś nas uwiadomił o sobie i swoich, bo często zapewne z kraju miewasz wiadomości. Co porabiają dobrzy Twoi rodzice? siostry?... Dziewanowski zeszłego lata tu będący, dał nam niektóre o nich szczegóły. Czyli nie będziemy tu mieli ukontentowania widzenia P. Fryderyka? Ja tu sama nie wiem, jak długo jeszcze zabawię, myślę jednak, że nim porzucę te strony, wprzódy Paryż odwiedzę, a w nim osoby mnie interesujące. Daruj mi, kochany Panie Fryderyku, że Cię prosić będę o zbiór autografów sławnych ludzi, z którymi comme de raison żyjesz. Polak, Francuz, Niemiec etc. wszystko jedno, chociażby i żyd z brodą, jak to u nas, aby tylko wart tego. Chciej zebrać i przesłać, a wdzięczną Ci będę niesłychanie. A nadewszystko zachowaj nam Twoją przyjaźń; naszą oddawna posiadasz.

List ten niemałe rzuca światło na stosunek Chopina do rodziny Wodzińskich na krótko przed jego spotkaniem się z nimi w Dreźnie. Okazuje się zeń, że był to stosunek bardzo przyjazny, ale jeśli chodziło n. p. o panią Wodzińską, wcale nie wykraczający poza granice zwykłego towarzyskiego konwenansu. Na stopie bezceremonialnej poufałości był Chopin tylko z młodymi Wodzińskimi; z ich matką, a w tym samym stopniu i z Maryą, przestrzegał wszelkich prawideł etykiety, podobnie zresztą, jak to one czyniły względem niego. Gdy pisał do Feliksa Wodzińskiego, tytułował panią Wodzińską z całą rewerencyą »Szanowną Mamą«, pannie Maryni zaś, którą nazywał z dystynkcyą *mon éstimable collègue,* kłaniał się »bardzo elegancko z uszanowaniem«; a gdy otrzymał list od samej pani Wodzińskiej, tytułowała go w nim »łaskawym Panem Fryderykiem«, lub w najlepszym razie »kochanym Panem Fryderykiem«.

Ceremonialny ten jednak i trochę etykietalny stosunek zmienił się niebawem w Dreźnie na odmienny całkiem, bardzo serdeczny, który tak się miał do poprzedniego, jak poufała nazwa »Fryca« do »łaskawego Pana Fryderyka«.

## II.

Począwszy od owego pierwszego wieczoru na Rampische Strasse, widywał się Chopin z całą rodziną Wodzińskich nieustannie: prawie całe dni, a już bezwarunkowo wszystkie wieczory spędzano razem, bądź w domu, bądź u wojewody Macieja Wodzińskiego, słynnego zbieracza książek, sztychów i medalów, bądź u różnych znajomych. Do tych ostatnich, oprócz domu pani i panny Dobrzyckich, należał bardzo muzykalny dom bogatego bankiera drezdeńskiego, Kaskla (którego synowa, warszawianka, z domu Fraenklówna, mówiła po polsku, a córka Zofia, serdecznie zaprzyjaźniona z Maryą Wodzińską, ślicznie grała na fortepianie), dom Michała Zyberg-Platera, który tu bawił dla edukacyi swej córki, Izalii; dom pani Glińskiej wreszcie, która tu również mieszkała z córką, pobierającą nauki. Ale choć wszystko to były domy miłe niezmiernie, to jednak Fryderyk najlepiej się czuł w domu na Rampische Strasse, gdzie mu zwłaszcza w tak zwanym »kąciku Frycka« niewypowiedzianie przyjemnie czas upływał w towarzystwie Maryi, bądź na rozmowach bez końca, bądź przy fortepianie. Nawiasem mówiąc, te przyjacielskie *tête à tête* z panną Marynią, jako *amie d'enfance,* które z nią Fryderyk spędzał przy fortepianie, a podczas których muzyka wysuwała się na pierwszy plan, mimowoli przybierały trochę charakter lekcyi. Stąd zdarzało się nieraz, że Chopin tak dalece przejmował się rolą nauczyciela, że nietylko zapominał, że to właściwie nie jest godzina lekcyi, ale nie taił nawet, iż go to »nudzi«, zwłaszcza, że Marya, choć z jednej strony traktował ją, nie jak uczennicę, ale jak swego *estimable collègue,* niezawsze okazywała się najpojętniejszą z jego uczennic, a czasem zasługiwała nawet na mniej pochlebne miano *la plus mauvaise élève.* Wogóle, jeżeli chodziło o Chopina, to wolałby, żeby podczas tych miłych sam na sam z Maryą w »kąciku Frycka«, mniej go »nudziła graniem«, a więcej przejmowała się rozmową... nie o muzyce! Oczywiście, że go »nudzono graniem« nietylko wtedy, gdy siedział sam na sam z »małą Marynią« (które to *tête à tête* jakoś były tolerowane przez jej rodziców), ale i wówczas, gdy w salonie, prócz domowych, nie brakło licznych gości, tych zaś, właśnie ze względu na Chopina, zwłaszcza wieczorem nie brakło prawie nigdy. Na szczęście Fryderyk przez cały czas był w wybornym humorze, tak, że grał tyle, ile żądano, a przytem umiał zabawić i rozweselić całe towarzystwo, bo, jak dawniej, tak i teraz, zawsze był skory do figlów, do dowcipów. Wobec tego, nie dziw, że sobie ujął serca wszystkich w całym domu, począwszy od ojca Maryi, a skończywszy na guwernantkach i służbie, że wszyscy wogóle, którzy go poznali teraz za tej jego bytności nad Elbą, wprost przepadali za nim.

Ale szczególniej dało się to powiedzieć o tej, na której względach i sympatyi zależało mu najbardziej: o pannie Maryni. Zaprzeczyć się nie dało — co z pewnością nie uszło baczności Fryderyka — że serce jej, aż dotąd przez nikogo nie wytrącone z równowagi i »wesołej obojętności«, w ciągu tych kilku dni zabiło żywiej, że w niem zaczęło się rodzić uczucie dla Chopina, jakiego w niej jeszcze nie potrafił wzbudzić żaden ze spotkanych mężczyzn.

Wszystko to nie pozostało bez silnego psychicznego wpływu i na Chopina, w którego głowie ni stąd ni zowąd zaczęły świtać myśli o... poślubieniu tej »czarnobrewej córy Euterpy«. Miał wrażenie, iż może by to nie było niemożliwem; owszem, zdawało mu się możliwem. Był pewien gorącej sympatyi rodziców panny i jej całej rodziny, a zaczynał być pewnym

i jej samej. Wiedział, że na nią wywiera niejaki urok, a że sam był pod jej urokiem, więc puszczał wodze marzeniom...

W takich warunkach, po upływie tygodnia niespełna, wypadło mu pożegnać się z rodziną Wodzińskich. Zostałby dłużej jeszcze, bo pokusa była wyjątkowej siły, ale obowiązki wzywały go nad Sekwanę. Nie chciało mu się odjeżdżać, z żałością myślał o chwili, w której będzie musiał żegnać się z Maryą, ale nie było rady: musiał jechać. W tem uczuciu, w wilię wyjazdu, skomponował melancholijnego walczyka w tonie F-moll, a że miał wyjeżdżać w samo południe, więc już zawczasu słyszał nietylko turkot zajeżdżającego dyliżansu, ale i monotonne uderzenia zegara na wieży pobliskiej *Frauenkirche*. Wszystko to znalazło swój muzyczny wyraz w rzeczonym walcu; powtarzająca się uporczywie w *trio* dwanaście razy nuta *Des* doskonale naśladowała miarowe bicie dwunastej godziny na tle jakiegoś romansowego wtóru prawej ręki, a prócz tego znalazło się w temże *trio* kilkanaście taktów, znakomicie imitujących turkot zajeżdżającego powozu.

Autograf tego walca, opatrzony dedykacyą w nagłówku *pour Mlle Marie* i pamiętną dla jego twórcy datą *Drezno sept. 1835*, ofiarował Chopin »czarnobrewej córze Euterpy« w czasie swej pożegnalnej wizyty na Rampische Strasse, przyczem oczywiście nie omieszkał zagrać tej swojej najświeższej kompozycyi. Gdy wstał od fortepianu, Marya, zrozumiawszy należycie, czego oznaką był ten wdzięczny walczyk, jakich uczuć był symbolicznym wyrazem, podeszła do stołu, na którym stał bukiet róż, wyjęła jedną z nich i ofiarowała ją Fryderykowi. Co chciała wyrazić przez to, nie powiedziała, Chopin zrozumiał jednak.

Po tej wymownej scenie bez słów, tak rozmarzającej dla obu stron, nastąpiła rzewna scena pożegnania.

## III.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciłabym jak tylko dla ciebie.
Ani na wody, ani na lasy,
Ale przez wszystkie czasy
Pod twem okienkiem i tylko dla ciebie...

Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie!

Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
Nigdzie bym w żadnym nie śpiewała kraju,
Ani na wody, ani na lasy,
Ale przez wszystkie czasy
Pod twem okienkiem i tylko dla ciebie...

Czemuż nie mogę w ptaszka zmienić siebie!



Jedną z pierwszych czynności Chopina po przyjeździe do Paryża było ponowne opracowanie skomponowanej jeszcze w r. 1829 muzyki do tej piosnki Witwickiego i wysłanie jej pocztą do Drezna, jak to był obiecał »pannie Maryni« na wyjezdnem stamtąd. Fakt, że Maryi tak zależało właśnie na tej piosence, że ją chciała nauczyć się śpiewać, niemało mógł dać do myślenia Chopinowi: kto wie bowiem, czy *Mademoiselle Marie* nie chciała powiedzieć mu przez to, że śpiewając tę piosnkę, będzie myślała o jej twórcy, nie tyle dlatego, że on był jej autorem, ile dlatego głównie, że to *Życzenie* zakochanej dziewczyny, pragnącej śpiewać tylko dla swego ukochanego, tylko pod jego okienkiem, najlepiej wypowiadało jej własne uczucia, które on, w ciągu tych kilku dni drezdeńskich, potrafił wzniecić w jej dziewiczem sercu. Cokolwiekbądź, panna Wodzińska, bezpośrednio po otrzymaniu przesyłki Chopina, napisała do niego s a m a obszerny list z podziękowaniem, doręczony mu przez Cichowskiego. List ten, niezmiernie charakterystyczny pod każdym względem, a napisany prawie w całości po francusku, brzmiał, jak następuje:

Chociaż Pan nie lubi ani odbierać ani pisać listów, chcę jednak skorzystać z wyjazdu p. Cichowskiego, aby Panu przesłać wiadomości z Drezna, z czasu, gdy tam Pana już nie było. Będę więc jeszcze Pana n u d z i ć (ale już nie graniem). W sobotę, kiedy nas Pan opuścił, każdy z nas przechadzał się smutny, z oczami pełnemi łez, po tym salonie, w którym kilka minut pierwej jeszcześmy Pana do naszego liczyli grona. Ojciec nadszedł wkrótce i zmartwiony był tem, że się nie mógł z Panem pożegnać. Matka ze łzami przypominała nam co chwila jakąś psotę czwartego swego syna Fryderyka (jak mówi). Feliks wyglądał całkiem zgnębiony; Kazimierz chciał, jak zazwyczaj, figle płatać, ale dnia tego jakoś mu się nie udawały, gdyż udawał pajaca na pół z płaczem. Ojciec mój żartował sobie z nas i śmiał się sam, jedynie żeby nie płakać. O godzinie 11-ej przyszedł nauczyciel śpiewu; lekcya nader źle poszła, nie mogliśmy śpiewać. Byłeś Pan przedmiotem wszystkich rozmów. Feliks wciąż mię prosił o *Walca* (ostatnia rzecz, jakąśmy od Pana otrzymali i słyszeli). Znajdowaliśmy przyjemność: oni w słuchaniu, a ja w graniu, gdyż nam przypominał brata, który świeżo nas opuścił. Zaniosłam go do oprawy: introligator zrobił wielkie oczy na widok jednego tylko arkusza (nie wiedział, N i e m i e c, przez kogo ta karta była napisana). Nikt nie jadł obiadu; wszyscy spoglądali ciągle na zwykłe miejsce Pańskie u stołu, potem też na k ą c i k F r y c k a. Krzesełko zawsze stoi na swojem miejscu i zapewne tak ciągle będzie, póki my w tem mieszkaniu zostaniemy. Wieczorem zaprowadzono nas do Ciotki, aby uniknąć smutku tego pierwszego wieczoru, którego Pan nie miał spędzić z nami. Ojciec mój przyszedł po nas, mówiąc, że byłoby dlań niepodobieństwem, tak jak i dla nas, dnia tego pozostać w domu. Jakoż doznaliśmy wielkiej ulgi, opuszczając miejsce, które nam nazbyt cierpienia nasze przypominało. Mama rozmawia ze mną tylko o Panu i o Antosiu. Gdy brat mój będzie w Paryżu, to proszę pomyśleć o nim trochę, błagam Pana. Gdybyś Pan wiedział, jakiego oddanego masz w nim przyjaciela! Przyjaciela, jak rzadko znaleźć. Antoś ma serce poczciwe, aż zanadto nawet, gdyż zostaje zawsze wyprowadzony w pole przez innych; jest przytem wielce niedbały, nie myśli o niczem nigdy, a przynajmniej rzadko. Tyleśmy go już strofowali, ale sądzę, że uwagi pochodzące od Pana byłyby daleko skuteczniejsze. Wiem, jak Pana kocha, i jestem pewna, że słowa Pańskie byłyby dla niego wyrocznią. Na miłość boską, niech Pan nie będzie dla niego obojętnym. Jakże on będzie szczęśliwy, znajdując w oddaleniu od rodziny serce przyjazne, które go zrozumie.

Nie piszę Panu nic więcej. Znasz Pan dobrze Antosia, poznasz go jeszcze lepiej. Powiesz Pan o nim później, że chce się wydać gorszym, niż jest w rzeczywistości. Kiedy cudem przyjdzie Panu chęć napisania: Jak się macie? Zdrów jestem. Nie mam czasu więcej pisać, to proszę dodać tak albo nie w odpowiedzi na zapytanie, które tu Panu zadam: czy Pan komponował?... Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, nie świeciłabym, jak tylko dla Ciebie, otrzymałam w tych dniach, ale nie mam odwagi tego śpiewać, gdyż boję się, bo to wszak Pańskie, żeby nie wyszło całkiem zmienione, jak n. p. *Wojak.* Nie przestajemy żałować, że się Pan nie nazywa Chopiński, albo że wreszcie niema jakiej innej oznaki, żeś Pan Polak, bo w ten sposób Francuzi mogliby nam wydzierać sławę, żeśmy pańskimi rodakami. Ale za długo piszę. Czas Pański jest tak drogi, że to zbrodnia prawdziwa zabierać go Panu na czytaniu moich gryzmołów. Zresztą z pewnością nie będzie ich Pan czytał w całości. List małej Maryni pójdzie w kąt po przeczytaniu kilku słów. Nie mam więc po co wyrzucać sobie kradzieży Pańskiego czasu. *A Dieu* (poprostu). Przyjaciel z lat dziecinnych frazesów nie potrzebuje. Mama całuje Pana czule. Ojciec mój i bracia ściskają najserdecznej (nie, to za mało), naj... już nie wiem sama, jak powiedzieć. Józia, która nie mogła pożegnać Pana, poleca mi wyrazić żal z jej strony. Pytałam Tereni: Co mam powiedzieć od Ciebie Fryderykowi? odpowiedziała mi: uściskać go pięknie i najserdeczniej odemnie pozdrowić. Adieu!

*Maria.*

*P. S.* W chwili wsiadania do powozu zapomniał Pan na fortepianie ołówka ze swego pugilaresu. Musiało być bardzo niewygodnie bez niego w drodze, a my go tutaj chowamy z poszanowaniem, jak relikwie. Za koneweczkę jeszcze raz ślicznie dziękuję. Panna Wodzińska była u mnie dziś rano z wielkiem odkryciem. Siostro moja (rzekła), wiem już, jak się wymawia Chopin po polsku: Chopena.

Otrzymawszy podobny list, mógł być Chopin zadowolonym. To też, wbrew figlarnym przewidywaniom Maryi, pewno go nie rzucił w kąt po przeczytaniu kilku słów, lecz mu poświęcił sporo swego drogiego czasu, ażeby uważnie wniknąć w jego treść, we wszystko, co w nim stało wyraźnie, a zwłaszcza we wszystko, co zawierał między wierszami. Przedewszystkiem, co uderzało w tym liście, to jego nadzwyczaj serdeczny ton, całkiem bezceremonialny, który tembardziej musiał zastanowić każdego, że był to wogóle pierwszy list, jaki Marya w swojem życiu napisała do Chopina, że nim tem samem »mała Marynia« odrazu wytykała drogę, po jakiej nadal miała iść ich przyjaźń, a zarazem wskazywała swemu »przyjacielowi z lat dziecinnych«, jakiego rodzaju ma być korespondencya pomiędzy nimi, o ile mu kiedy przyjdzie ochota napisać do niej. Wprawdzie taką ochotę uważałaby za »cud«, ale w każdym razie równało się to upoważnieniu z jej strony, że w zasadzie nic by nie miała przeciwko temu, gdyby co pewien czas napisał do niej, doniósł o sobie, co porabia? jak się czuje? a zarazem dał dowód, że pragnąłby wiedzieć coś o niej i jej najbliższych. Do tego samego celu zmierzało pytanie Maryi: *avez-vous composé?* Skoro ktoś stawia konkretne zapytanie, to dowodzi tem samem, że na nie pragnie odpowiedzi, a jak w danym wypadku spodziewa się odpowiedzi listownej. Nadto było to pytanie tego rodzaju, że z otrzymanej odpowiedzi dały się wyciągnąć wcale pewne wnioski psychologicznej natury. Odpowiedź



ujemna, że nie komponował jeszcze, będzie dowodziła, że wyjechawszy z Drezna, szybko wrócił do równowagi, że wszystko, co tam przeżył przy boku »małej Maryni«, przeszło bez wrażenia na nim, że go wspomnienie chwil, spędzonych w »kąciku Frycka« nie rozmarza zgoła, nie budzi żadnej tęsknoty. Tymczasem odpowiedź potwierdzająca, że już komponował, dowodziłaby wręcz przeciwnego nastroju, a że w tym razie bardziej byłaby pożądaną, tego zdawały się dowodzić inne ustępy listu. Tak np. bardzo subtelną finezyą, na którą potrafi się zdobyć tylko kobieta, było zacytowanie przez Maryę dwóch pierwszych wierszy piosnki Witwickiego. Wszak mogła napisać: »*Życzenie* (bo taki jest tytuł piosnki) otrzymałam w tych dniach..« podobnie, jak to napisała przy *Wojaku:* ona tymczasem, z pewnością nie bez ukrytej myśli, napisała: »*Gdybym ja była słoneczkiem na niebie, nie świeciłabym, jak tylko dla ciebie,* je l'ai reçu ces jours-ci...« Były to subtelności, które miały swoje celowe przeznaczenie, a zatem posiadały swoją wymowę. Niemniej wymownym był ten ustęp listu, gdzie Marya opisywała smutek, jaki w ich rodzinie zapanował po jego wyjeździe, przyczem nie omieszkała dać do poznania, że najbardziej zmartwioną była ona, skoro nie mogła śpiewać podczas lekcyi śpiewu, co tak fatalnie wpłynęło na całą lekcyę. Równie znaczącymi były szczegóły o pani Wodzińskiej, która Fryderyka nazywała swym »czwartym synem«, bo zaprzeczyć się nie da, że skoro się ma trzech synów i córkę na wydaniu, to młodzieńca, którego się jest skorym do uważania za swego czwartego syna, trochę się uważa za swego przyszłego zięcia. To nie ulegało wątpliwości, zwłaszcza, gdy się kogoś darzy taką sympatyą, że się ma »łez pełne oczy« po jego wyjeździe. Już to wogóle cały list był napisany w ten sposób, że podobny komentarz miał swoje uzasadnienie...

Bądź co bądź, nie było potrzeba aż »cudu«, żeby Chopinowi przyszła ochota napisania do Wodzińskich: »Jak się macie? Zdrów jestem. Nie mam czasu więcej pisać«. Można być pewnym nawet, że odpisując na obszerny a tak miły list Maryi, znalazł dość czasu, by się zdobyć na dłuższe pismo. W każdym razie na pytanie: czy skomponował co nowego? mógł odpowiedzieć twierdząco, że już po powrocie do Paryża zdołał napisać parę utworów, w tej liczbie dwa melancholijne *Nokturny,* jeden w tonie *Cis-mol,* drugi *Des-dur,* oba już zdaje się natchnione wspomnieniem pięknych dni drezdeńskich, a w każdym razie należące do najpiękniejszych i najrzewniejszych kompozycyi tego rodzaju, nawet w twórczości Chopina. Pierwszy z nich, w nastroju minorowym, pełen jakiegoś dramatycznego niepokoju, zwłaszcza w części środkowej, wyrażał jakby uczucie niepewności, jakby jakiejś obawy, by nie rozwiały się owe czarowne marzenia, w których — w pierwszej części utworu — tonęła dusza artysty, drugi zaś, nastrojony majorowo, choć i ten również brzmiał bezbrzeżnie tęskno, wyrażał tylko uczucie tęsknoty, zgoła nie zamącone żadną troską o przyszłość: rzekłbyś,

że wypowiadał uczucie młodzieńca, który, rozłączony ze swą ukochaną, nietylko nie wątpi, że jest kochany, ale, marząc o niej, wie, iż ją ujrzy niebawem. Znając ówczesny stan uczuć Chopina, prawie niepodobna wątpić, że oba te nokturny były natchnione świeżą miłością ku czarnobrewej córze Euterpy. Podobnie miała się rzecz pewno i z innymi utworami, napisanymi w tym okresie czasu, n. p. z kilkoma *Etiudami* z drugiej seryi, z których dwie pierwsze — co już nie ulega wątpliwości — ściśle były związane z myślą o Maryi: pierwsza z nich, *As-dur,* wyrażająca uczucie jakiejś dziwnej chwiejności, była — jak to objaśniał sam Chopin — jakby obrazem duszy Antoniego Wodzińskiego, druga zaś, w tonie *F-moll* (podobnie, jak i ów *Walc* drezdeński), była muzycznym wizerunkiem charakteru Maryi Wodzińskiej. Już to wogóle od chwili, gdy wyjechał z Drezna, uczuł Chopin silny przypływ natchnienia, miał głowę pełną pomysłów, które też stopniowo utrwalał na papierze, a skoro już były wykończone zupełnie, powierzał swoim stałym wydawcom.

Do tej kategoryi kompozycyi, napisanych w okresie zajęcia się Maryą Wodzińską należały *Deux polonaises* Op. 26, *Deux Nocturnes* Op. 32, *Impromptu* Op. 29, *Quatres Mazurkas* Op. 30, *Scherzo B-moll* Op. 31, *Trois Valses brillantes* Op. 34. Co musi zadziwić każdego, świadomego okoliczności, w jakich Chopin tworzył wszystkie powyższe kompozycye, że żadnej z nich choć niektóre z wszelką pewnością były pisane z myślą o »czarnobrewej córze Euterpy«, nie dedykował Maryi Wodzińskiej, pomimo, że wszystkie utwory z tego czasu, w miarę jak wychodziły, a niekiedy w rękopisie nawet, przesyłał »małej Maryni«. Można być pewnym, że zarówno Marya, jak pani Wodzińska, byłyby bardzo szczęśliwe, gdyby się spotkały ze swem imieniem i nazwiskiem, wydrukowanem w nagłówku jednej z pomienionych kompozycyi. Był to zaszczyt nielada, który niewątpliwie, gdyby spotkał pannę lub panią Wodzińską, byłby im sprawił niewymowną przyjemność. Chopin jednak, pomimo wszystkiego, co w tych czasach czuł dla panny Maryni i jej rodziny, jakoś nie pomyślał o tem, żeby im przypisać którą ze swych świeżo napisanych kompozycyi. Rzecz szczególna: pozostawał pod urokiem Maryi Wodzińskiej, pod jej wpływem, marząc o niej, stworzył szereg dzieł, ale gdy te dzieła puszczał w świat, żadnego nie dedykował tej, która od września 1835 roku prawie niepodzielnie panowała w jego sercu, choć niemal wszystkie wychodziły dedykowane kobietom, mianowicie: hrabinie Appony, hrabinie Delfinie Potockiej, baronowej d'Est, hrabiance Lobau, księżnej Wirtemberskiej, hrabiance Fürstenstein, baronowej Billing, hrabiance Mostowskiej, pannie Thun-Hohenstein, pani d'Jory, pannie Eichthal. Bądź co bądź, była to powściągliwość znamienna, bardzo charakterystyczna dla Chopina.

Nie znaczyło to jednak, by od chwili, gdy znowu wpadł w wir paryskiego życia, zapomniał o Maryi, lub o niej myślał coraz mniej. Rzecz



miała się całkiem przeciwnie, a gdy jeszcze przed końcem 1835 r. przyjechał Antoni Wodziński[1]), którego, jako nadzwyczaj poczciwego, ale i lekkomyślnego chłopca, i Marya i pani Wodzińska tak gorąco poleciły opiece Chopina, sytuacya wytworzyła się tego rodzaju, że węzły przyjaźni, łączące

---

[1]) W trzy dni po przybyciu swem do Paryża, napisał stąd Antoni Wodziński (na papierze listowym Chopina z inicyałami *F. C.* obszerny list do matki, który ze względu na zawarte w nim wzmianki o Chopinie zasługuje na przytoczenie. Brzmi on, jak następuje:

Ma chère Mamam! Już od trzech dni jestem w Paryżu. Zaraz na wstępie, w hotelu, w którym wysiadłem, spotkałem Fryderyka, który tam się o mnie dopytywał. Przepędziliśmy razem cały wieczór. Miała Mama racyę, mówiąc, że się nie zmienił, tylko wyładniał. Widujemy się codzień, i nawet teraz ten list u niego piszę, przerywając się czasami w pisaniu, aby słuchać grającego Fryderyka. Nie mogę jeszcze Państwu obszernie pisać o Paryżu, bo go zamało dotąd poznałem, ale takich passażów, takich ulic, takiej opery, takich śpiewaków, jak Lablache, Rubini, Tamburini, pewno nigdzie ani widzieć ani słyszeć nie można. Pierwszego zaraz wieczoru byłem z Fryderykiem na Operze. Ogromna sala, tak, że trudno było mi rozpoznać, siedząc z jednej strony, czy ładna, czy brzydka, czy stara czy młoda dama siedzi na przeciwnej, a wszystko się przyczynia do piękności sali, a wszystkie wyróżowane panie ślicznemi się wydają. Pardieu! grono kobiet trochę inaczej się tu przedstawia, niż w Genewie! Nourrit, Levasseur, co za śpiewacy! a nadewszystko co za orkiestra! A jakie wystawienie niezrównane! Byliśmy także w operze włoskiej: dawano *Puritani.* Nic Mamie nie będę mówił, ani o Rubinim, ani o Lablache, ani o Tamburinim, ani o la Grisi. Trzeba ich słyszeć! a teatr sam w sobie wspaniałe ma urządzenie. Wszystko tu wybite aksamitem szkarłatnym, od schodów do loży królewskiej. W teatrze świat najwykwintniejszy i najmodniejszy, z całego Paryża: a Frédéric (ale nie nasz Frédéric Chopin) w *Robert Macaire,* a pani Déjazet (la sublime Déjazet, jak ją Bernard nazywa), cóż o tych Mamie powiedzieć? Prawda, że gra Déjazet, jak nawet nie przypuszczałem, że aktorka grać może. Zresztą Paryż trzeba widzieć, cóż opisy znaczą? Znalazłem go porządniejszym, piękniejszym daleko, niż go sobie wystawiałem. A jakie teraz wystawy sklepowe, Mamo! jedna ogromna tafla lustrzana, a pod nią lśni się od przepychu wystawionych przedmiotów: jedwabie, stroje, suknie, szale, tam znów bronzy, obrazy, tu dyamenty, a obok, co za antyteza, w takiem samem paradnem oknie »le charcutier« wystawia apetyczne, wspaniałe różowe szynki i inne kunsztowne wyroby swej sztuki. Zdawało mi się w pierwszych chwilach, że się znajduję w zaklętym jakimś pałacu... Ach, żeby mama tu przyjechała, choćby na dwa miesiące, naprzykład tak na przyszłą wiosnę: mogła by Mama wziąć ze sobą Marynię i Feliksa. Warto im Paryż pokazać, a za jedną drogą i mnie taką radość sprawić, tak wielką radość! Podobno Fryderyk napisał dla Maryni jakiś walec w sztambuchu. Niech go zachowa, jak relikwię, i nikomu przepisać nie pozwala, aby nie spospoliciał. W Genewie po wyjeździe Mamy bawiłem jeszcze przez parę miesięcy. Widziałem i słyszałem tam Liszta; dawał koncert avec la Belgiojoso, na korzyść wygnańców polskich i włoskich. Gra jego nie do wypowiedzenia: grał waryacye swojej kompozycyi, na fortepianie, który Marynia w swoim pokoju miała. Moja kochana Mateczko, prosiłbym, aby mi nowy sukurs (tak ze 2000 fr.) co prędzej przesłać. Podróż, oporządzenie pierwsze, installacya, dużo kosztowały, a jeszcze pani Pattey w Genewie musiałem 500 fr. zapłacić za dawny jakiś rachunek. Fryderyk wstaje od fortepianu i mówi: »Powiedz tam, że ich wszystkich s t r a s z n i e a l e t o s t r a s z n i e kocham«. Ja także.

*Antoni Wodziński.*

Fryderyka z rodziną Wodzińskich, zacieśniały się z dniem każdym. Ciągle widując się z »Antosiem«, doskonale był poinformowany o wszystkiem, co porabiała Marya, co projektowali jej rodzice, a że według tych projektów Wodzińscy, a przynajmniej pani Wodzińska z dziećmi, jeszcze najmniej rok zamierzali pozostać w Dreźnie, więc przyszło na myśl Chopinowi, ażeby w lecie pojechać do nich. O zamiarze tym, który dlań wcale nie był trudnym do uskutecznienia, a mógł stać się niesłychanie doniosłym w skutkach, napisał Chopin do rodziców, wcale z tego nie robiąc tajemnicy, że głównym magnesem, który go ciągnie nad Elbę, jest Marya Wodzińska. Z niczego nie starał się wyciągać zbyt śmiałych wniosków, ani z serdeczności, z jaką go przyjęto i podejmowano w domu Wodzińskich, ani z nietajonej sympatyi panny Maryni, ale to wiedział z pewnością, że mu w Dreźnie, dzięki Wodzińskim właśnie, czas upłynął miło nad wszelki wyraz, że Antoś Wodziński, z którym widuje się ciągle, okazuje mu poprostu braterskie przywiązanie, słowem, że ma pewne dane po temu, ażeby z otuchą poglądać w przyszłość. Na list ten, wysłany 19 listopada, odpisał Mikołaj Chopin dnia 15 grudnia, temu zaś, co myślał w sprawie Wodzińskich i Drezna, w następujących słowach dał dyskretny wyraz: »Wspominasz o Antosiu; obyż pobyt w Paryżu mógł być dlań nieszkodliwy! Boję się, że nie potrafi on umiarkować wydatków, nie dawaj mu przeto do zrozumienia, że mógłbyś mu co pożyczyć, gdyż nie byłoby to dowodem przyjaźni. Trzeba, żeby myślał o życiu oszczędnem; najobfitsze źródła się wyczerpują. Jak widzę z listów twoich, pobyt w Dreźnie był ci przyjemny, skoro zamierzasz pojechać tam na rok przyszły. Ale trzebaby tak się urządzić, ażeby podróż ta nie pochłonęła ci owoców pracy, mozolnie przez zimę zebranych. Jak sądzę, tournée koncertowa mogła pokryć koszta podróży, temwięcej, że ponieważ w Niemczech bardzo się interesują twemi kompozycyami, to każdy byłby ciekawy cię usłyszeć«. Że jednak w Warszawie, w domu Chopinów, wiedziano już, jakie uczucie Marya Wodzińska wzniecila we Fryderyku, o tem go mógł przekonać obszerny przypisek Ludwiki, która uzupełniając wiadomości z domu, zakomunikowane mu przez ojca, między innemi zapisała i następującą: »Jak powiedziałam Lindowej, że może na przyszły rok do Drezna pojedziesz, odpowiedziała mi: Oui, si certaines personnes y sont. O, Marya uchwyciła jego serduszko; mais vous, Madame, et moi qui l'avons connu..., i znów rekapitulacya tego, co za każdem jej widzeniem opowiada nam: o koncercie, o Chodkiewiczu... Mon Dieu, il mangeait des épinards quand je l'ai fait appeler; mes pauvres chevaux attendaient et il ne venait pas... ce qu'aussi M-me W. l'accaparait comme elle pouvait, elle faisait asseoir toujours entre elle et Marie; cette jeune personne, qui est extrêmement bien, le gênait«... Powyższy ustęp mógł dać do myślenia Chopinowi, świadczył bowiem, że w jego rodzinie nie przywiązywano zbyt wielkiej wagi do tego, co donosił o »małej Maryni« i swej projektowanej podróży do Drezna, gdyż przedewszystkiem nie wierzono w jego stałość (bo tylko tak należało rozumieć słowa p. Lindowej: »Mais vous, Madame, et moi qui l'avons connu«...), a powtóre wiedziano, jak sobie tłómaczyć fakt, że pani Wodzińska tak »akaparowała jak mogła« owego Chodkiewicza, dlaczego tak go zawsze sadzała pomiędzy sobą a Maryą... Pisząc o tem Fryderykowi, pani Jędrzejewiczowa dawała mu do zrozumienia, że nie powinien zawracać sobie głowy Maryą Wodzińską, bo znając Wodzińskich, można wiedzieć z góry, w jakim kierunku dążą ich aspiracye, gdy chodzi o przyszłych zięciów. Chodkiewicz! oto dla pani Wodzińskiej upragniony mąż dla Maryi! Znaczyło to, że Wodzińscy marzyli o zięciu karmazynie, słowem o człowieku ze swojej sfery, t. j. z pośród wysokiej szlachty, jeżeli nie z arystokracyi. Nie należało zapominać, że była to rodzina magnacka, bardzo zacna i serdeczna, ale nie pozbawiona uprzedzeń kastowych. Dlatego też, o ile im dogadzał Chodkiewicz, szlachcic z dziada pradziada, potomek słynnego hetmana, o tyle Chopin, nie-szlachcic o niepolskiem nazwisku, pomimo swego talentu i sławy europejskiej, kto wie, czyby odpowiadał ich rodowym ambicyom [1]). Dlatego zawarty w liście Ludwiki ustęp o pani Wodzińskiej i Chodkiewiczu brzmiał trochę, jak ostrzeżenie. Zdaje się przecież, że Chopin miał odmienne zapatrywanie w tej sprawie i dlatego wiadomości o Chodkiewiczu nie brał do serca. A jednak to jego cudzoziemskie nazwisko stanowiło wielki szkopół w oczach Wodzińskich, czemu nawet dała wyraz Marya w swym liście do Fryderyka, kiedy mu donosiła, jak to wszyscy w jej rodzinie, z nią włącznie, »nie przestają żałować, że się Pan nie nazywa Chopiński«. Gdyby się tak nazywał, nietylko-by go Francuzi nie mogli przyswajać sobie, ale mając rdzennie polskie nazwisko na *ski*, byłby i szlachcicem, co jak w danym razie bardzo-by upraszczało sytuacyę. Marya, która się zajęła Chopinem, z czem nie taiła się przed rodzicami, zwłaszcza przed matką, wiedziała z góry, że gdyby Fryderyk nazywał się Chopiński, a nie Chopin (którego to nazwi-

[1]) Zdawał sobie z tego doskonale sprawę w swoim czasie Słowacki, kiedy przepowiadał pannie Wodzińskiej, że powróciwszy do kraju, zapomni o wszystkiem, o czem z nim marzyła w Genewie, a da sobie to wybić z głowy jakiemuś Podkomorzycowi! »Panna Marya Wodzińska, która mieszka z nami, także zapłynęła trochę w kraj ideału i o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeczką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem... kiedyś... Tym mnichem-kartuzem mam być ja *en personne* nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan Podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelniczy domek, a ja nie będę mógł kartuzywem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów... Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności«. List z Genewy dnia 30 czerwca 1835 r.

ska nawet niektórzy nie umieli odmieniać po polsku), to kto wie, czyby nie miała możności pójścia za głosem serca. Dlatego, pisząc do Chopina, zaraz po ustępie, gdzie mu pisała o piosnce: G d y b y m j a b y ł a s ł o n e c z k i e m n a n i e b i e, pisała o tem, jak »nie przestaje żałować, że się pan nie nazywa Chopiński«. Bo jeżeliby miał takie polskie szlacheckie nazwisko, bardzo łatwo, gdyby była słoneczkiem, mogła-by świecić tylko dla niego!.., Lecz tego Chopin nie domyślał się zgoła, za czem poszło, że z obaw, które odrazu stały się utajoną troską Maryi, on, złudzony swą wszechświatową sławą, nie zdawał sobie sprawy.

Wtem zaszedł fakt, który już i tak niewielkie szanse Chopina wobec Maryi nagle zmniejszył jeszcze bardziej: oto w listopadzie zapadł ciężko na zdrowiu, tak ciężko, że chwilami zaczynał myśleć o śmierci. Istotnie był bardzo chory, tak chory, że sporządził testament i skomponował *Marsza żałobnego,* jakby na swoją śmierć. Widocznie, że już miewał takie chwile, w których jakby słyszał odgłosy dzwonów kościelnych, rozbrzmiewające na jego pogrzebie [1]). Tymczasem lekarze, z doktorem Raciborowskim na

[1]) W paryskiem piśmie angielskiem *Paris World* znalazła się opowieść słynnego pejzażysty francuskiego, Ziema, o powstaniu *Marsza żałobnego* Chopina. Jest to jednak »legenda«, całkiem niezgodna z prawdą, bo nie licująca z usposobieniem Chopina. W podobny sposób mógłby skomponować jakiegoś marsza pogrzebowego Liszt lub Thalberg, nawet Berlioz, ale nigdy Chopin. Według relacyi Ziema, niepotwierdzonej przez nikogo, w pokoju Chopina miał stać w jednym kącie fortepian, w drugim zaś... szkielet ludzki, okryty pokrowcem. »Zauważyłem — pisze Ziem — że wzrok Chopina tu i ówdzie błądzi. Znając artystę, wiedziałem, że umysł jego daleko jest odemnie i otoczenia. Więcej niż to: wiedziałem, że artysta tworzy. Nagle powstał, nie wymówiwszy słowa, podszedł do szkieletu i zdarł z niego pokrowiec. Następnie poniósł go do fortepianu, usiadł i wziął kościotrup na kolana. Rzadki obraz życia i śmierci! Owinąwszy potem siebie i szkielet pokrowcem, położył ręce szkieletu na swoich i zaczął grać. W tonach wolnych, miarowych, wypływających z pod palców artysty i szkieletu, nie znać było drżenia. Gdy muzyka nabrzmiała tonami pełniejszemi, zamknąłem oczy, albowiem widok człowieka i kościotrupa, siedzących razem przy fortepianie, miał dla mnie coś w sobie przerażającego. Nadchodzący mrok wieczorny otaczał ich, a raz cichsze, to znów głośniejsze tony muzyki napełniały powietrze dreszczem tajemniczym. Wiedziałem, że kompozycya, którą słyszę, żyć będzie wiecznie. Nagle muzyka ucichła, a gdym oczy otworzył, krzesło przed fortepianem było puste, na podłodze leżał Chopin bez przytomności, a obok niego szkielet połamany. Wielki kompozytor zemdlał, ale jego marsz żałobny został stworzony«! We wszystkiem tem jest tyle prawdy, ile w owej opowieści o porwaniu Chopina przez jakiegoś angielskiego magnata, który tak długo więził artystę w swym pałacu, dopóki go tenże nie nauczył grać kilkunastu taktów swej *Ballady G-moll.* Wszystko to są legendy, dowodzące braku najelementarniejszej znajomości życia i charakteru Chopina.

Że Chopin swego *Marsza żałobnego* skomponował w Paryżu, w czasach, znacznie poprzedzających jego wyjazd w 1838 r. na Majorkę, dowodzi jego list do Fontany z dnia 19 sierpnia 1839 r. z Nohant, gdzie znajduje się następująca wiadomość o *Sonacie B-moll:* »Ja tu piszę sonatę Si b-mineur, w k t ó r e j b ę d z i e m ó j m a r s z, c o z n a s z«. Powstanie tego marsza w końcu 1835 r., w czasie choroby, budzącej obawę śmierci przedwczesnej, łatwo się da uzasadnić względami psychicznej natury. Taka psychologiczna geneza



czele [1]) nie wiedząc, co radzić, nie taili się ze swemi poważnemi obawami. Wiadomość, że Chopin zachorował, ba, że jest w niebezpieczeństwie życia, szybko rozeszła się po Paryżu, wśród emigracyi zwłaszcza, a podawana z ust do ust, niebawem przerodziła się w pogłoskę o śmierci wielkiego kompozytora. Pogłoska ta, nie prostowana przez nikogo, utrzymywała się przez kilka dni, aż wreszcie przedostała się poza mury Paryża, by w końcu dojść aż do Warszawy, do rodziny Chopina. Dopiero w dniu 8 stycznia 1836 r. zamieścił *Kuryer Warszawski* następujące zaprzeczenie: »Licznym przyjaciołom i wielbicielom wzniosłego talentu wirtuozy Fryderyka S z o p e n a (Chopin) donosimy, że przez kilka dni trwająca pogłoska o zgonie jego jest bezzasadną«. Wiadomości tej, tak radosnej dla licznych przyjaciół i wielbicieli Fryderyka, niewątpliwie udzieliła jego najbliższa rodzina, która właśnie poprzedniego dnia otrzymała list od niego z pomyślną wiadomością, że już powrócił do zdrowia, a nawet do swych zwykłych zajęć, nietylko do lekcyi, ale i do życia towarzyskiego. Na list ten, oczekiwany z takim niepokojem, odpisał Mikołaj Chopin dnia 9 stycznia.

Kochane dziecko moje, najdroższy mój! Nigdy list od ciebie nie był bardziej pożądany, oczekiwany niecierpliwiej, niż ten, któryśmy otrzymali przed chwilą! Powód był następujący: od przeszło trzech tygodni obiegała tutaj pogłoska, żeś był niebezpiecznie chory. Każdy nas pytał, czy mamy od ciebie wiadomości, a myśmy nic nie wiedzieli, co to miało znaczyć. W końcu usłyszeliśmy tę nieszczęsną wieść przypadkowym sposobem przed samemi świętami. Możesz sobie wyobrazić nasze położenie, nasz śmiertelny niepokój. Pani Zawadzka, która bardzo niedawno miała listy z Paryża, starała się dodać nam otuchy, wspominając inny list, w którym była wiadomość, żeś urządził wieczór muzykalny dla Lipińskiego, i że pani Mickiewiczowa na nim była; dobra pani Fontana też przyszła nam powiedzieć, że syn pisał do niej 15 grudnia i dużo mówi o tobie. Mało nam jednak tego było do uspokojenia, aż oto w ostatni poniedziałek prawdziwy twój przyjaciel, poczciwy Zieliński Jan, przeczytawszy w *Journal des Débats* z 24, żeś miał improwizować na jakimś wieczorze, na ulicy de la Chaussée d'Antin Nr 3, przybiegł dać o tem znać Jędrzejewiczom. Szczęśliwy traf zrządził, żem się tam znajdował; pospieszyliśmy zaraz do Lourse'a i przeczytałem wzmiankę tę własnemi oczyma. Wystarczało to, żeby uspokoić wiele osób, ale serca twych najbliższych wątpiły jeszcze... Przytem, na nieszczęście, minął już czas, w którym zwykle list od ciebie odbieramy: niepokój nasz stawał się przez to jeszcze dokuczliwszym. Ale nareszcie ochłonęliśmy z obaw: jesteś zdrów, wszystko zapomniane. Szkoda, żeś o swej chorobie nie wspomniał nam w liście poprzednim; wszystkie te pogłoski bylibyśmy odnieśli do innego czasu... Widzisz, drogie dziecko, ile nas kosztowało

*Marsza żałobnego,* skomponowanego równocześnie z napisaniem testamentu, jest najprawdopodobniejszą. O testamencie tym będzie mowa w liście Chopina z dnia 12 marca 1839 r., pisanym do Fontany z prośbą, by ten testament »n i e c z y t a w s z y spalił«. W testamencie tym, jak to wynika z toku listu, musiała być mowa o Maryi Wodzińskiej.

[1]) W roku 1900 wyszło w Paryżu dzieło dr. Schobera o życiu i działalności »jednego z największych oryginałów«, doktora Gruby'ego. Między jego pacyentami, których leczył stale, były takie znakomitości, jak Liszt, Heine, Dumas, Georg Sand. Także i Chopina leczył niejednokrotnie, »zanim mistrz zaczął szukać ulgi w łagodnym klimacie wysp morza śródziemnego«, czyli przed 1838 r.

opóźnienie blizko dwutygodniowe; jeżeli nie możesz sam napisać dla braku czasu, włóż ten obowiązek na Jasia i dodaj tylko kilka słów. Im listy twe są dłuższe, tem więcej nam robią przyjemności; będziemy jednak zadowoleni i z tej odrobiny, jaką do nas napiszesz. Pani Linde mówi zawsze o tobie z największym zachwytem: jest to jedna z największych twych przyjaciółek. Nie szczędziła ona żadnych trudów, żeby rozwiać nasze niepokoje.

Istotnie, należy podziwiać bezgraniczną opieszałość Chopina, że w takich okolicznościach nie znalazł chwilki czasu, by napisać list do rodziców, zawiadamiający ich, aby nie niepokoili się w razie, gdyby usłyszeli coś o jego chorobie, bo chorował wprawdzie, ale już jest zdrów. Nie uczyniwszy tego, niedość, że swą rodzinę naraził na śmiertelny niepokój, ale mimowoli pogorszył stan swojej sprawy z Maryą Wodzińską. Bo złożyło się tak fatalnie, że właśnie w ciągu tych kilku dni, kiedy w Warszawie utrzymywała się pogłoska o śmierci Chopina, przyjechał tu z dwoma synami Wincenty Wodziński, ojciec Maryi. Wobec sytuacyi, która się wytworzyła w Dreźnie po kilkudniowej bytności tam Fryderyka, sytuacyi, z której »mała Marynia« widocznie nie robiła tajemnicy przed ojcem, ten ostatni, przyjechawszy do Warszawy, zdecydował się odwiedzić Mikołajów Chopinów. Tymczasem, zanim zdążył być u nich, spotkał się z pogłoską o śmierci Chopina. Przekonany, że od jego rodziców dowie się czegoś konkretnego, tembardziej nie zwlekał ze swą wizytą do nich; okazało się jednak, że oni zdawali się niewiedzieć o niczem. Wobec tego i on ani wspomniał o tem, co słyszał na mieście. O tych odwiedzinach ojca Maryi, które bądź co bądź mogły dać do myślenia, tak pisał do syna Mikołaj Chopin: »Pan Wodziński był tu przed świętami; przyszedł nas odwiedzić, ale synów z nim nie było. Ze skwapliwości, z jaką się dowiadywał o nowiny od Ciebie, przekonaliśmy się później, że wiedział o krążącej pogłosce; to też pod pozorem doczekania poczty, aby zobaczyć, czy nie napiszesz czego o Antosiu, opóźnił wyjazd swój o dwa dni«. W każdym razie można być pewnym, że wiadomość o śmierci Chopina, choć się okazała tylko plotką, zrobiła swoje wrażenie na ojcu Maryi. Nic z tego, że prawdą, spoczywającą na dnie tej pogłoski, była tylko chwilowa niedyspozycya, mniej lub więcej ciężka. Fakt, że Fryderyk, wogóle delikatny nadzwyczaj, tak poważnie zapadł na zdrowiu, że aż powstały obawy o jego życie, skąd urosła pogłoska o śmierci, musiał zaniepokoić p. Wodzińskiego, o ile chwilami myślał o Chopinie, jako o swym przyszłym »czwartym synie«. I dziwić mu się nie można: kiedy się myśli o kimś, jako o mężu dla swej ukochanej córki, myśli się i o jego zdrowiu. Chory mąż nie potrafi dać szczęścia żonie, cóż dopiero, gdy nią jest osoba taka, jak Marya, silnie zbudowana i pełna temperamentu. Nadzwyczaj wątły Chopin, budzący obawy, że jest zagrożony suchotami, a wogóle nie wyglądający na długowiecznego, nie był stworzonym na męża dla Maryi. Wszystko to należało mieć na względzie, zanim się miało powziąć jakąś decyzyę, kiedy się było ojcem panny.



Że to wszystko, pod wpływem fałszywej pogłoski o śmierci Chopina, a potem pod wpływem zupełnie pewnych wiadomości o jego poważnej chorobie, musiało stać się przedmiotem rozmyślań Wincentego Wodzińskiego, to nikomu nie mogło wydać się dziwnem. Nic naturalniejszego też, jak że, pisząc do swego syna w Paryżu, a wiedząc, że Antoś musiał widywać Chopina w chorobie, żądał dokładnych relacyi o jego zdrowiu, o tem, co w tej kwestyi mówili lekarze, etc. To zaś, co Antoś Wodziński mógł zakomunikować ojcu, brzmiało, niestety, niepomyślnie i niepokojąco. Choroba Fryderyka, której podstawę, obok ciężkiej grypy z kaszlem, z pluciem krwią, stanowiło straszne wycieńczenie, będące reakcyą po nadmiernych trudach podróży letniej, była tak poważną, że istotnie myślano chwilami, jako śmierć stoi już przed domem.

Sam Chopin podzielał te obawy, tak dalece, że któregoś dnia, kiedy się czuł bardzo źle, miał halucynacyjne złudzenie, że ktoś puka do jego pokoju. Zapytał: kto tam? a spojrzawszy w stronę uchylonych drzwi, ujrzał zaglądającą przez nie... śmierć! Z tego przejmującego wrażenia, poprzedzonego długą chwilą melancholijnej zadumy o ukochanej, o przyszłem szczęściu, zrodził się jeden z najpiękniejszych utworów Chopina, rzewny *Nokturn H-dur*, którego równie wspaniałe, jak dziwaczne, a w każdym razie chorobliwe zakończenie znakomicie odtwarza uczucie przerażenia. Gwałtowna, całkiem niespodziewana zmiana tonacyi, przerywająca melancholijny nastrój całego nokturnu, poprostu wstrząsa nerwowym dreszczem trwogi i lęku, i ma się wrażenie, że się słyszy lekkie pukanie do drzwi, poczem zdają się rozlegać jakieś szalone krzyki rozpaczy, jakieś zaklęcia błagalne, jakieś namiętne złorzeczenia... Ostatnie akordy rozbrzmiewają tragicznem zwątpieniem, lecz zdają się wyrażać także i rezygnacyę.

Ale młody organizm nie dał się zmódz chorobie, przeciwnie sam zmógł ją w końcu, tak, że od chwili, gdy się zaczęła rekonwalescencya, zdrowie i siły powracały bardzo szybko. Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, był już Chopin zdrów zupełnie, tak dalece, że znowu zaczął się nie szanować. A odzyskawszy zdrowie, nie przestał snuć w dalszym ciągu może przerwanych chwilowo marzeń drezdeńskich o pannie Wodzińskiej. Przedewszystkiem, nie bez wyraźnej, choć starannie ukrywanej na razie myśli o Maryi, kultywował swój stosunek z Antosiem Wodzińskim, wobec którego poniekąd grał rolę Mentora na paryskim bruku. Jako taki, bardzo był nawet zadowolony ze swego Telemaka, a pisząc w styczniu 1836 r. do rodziców, rozpisał się o Antosiu z wielkiemi pochwałami. »Bardzo mię ucieszyła wiadomość — odpisał mu w tej kwestyi Mikołaj Chopin — że jesteś zadowolony z Antosia, że go znajdujesz przyzwoitym; niedbalstwo i roztargnienie, które w nim znałem, strachem mię przejmowały; rad jestem, że nie potrzebuję mieć obaw pod tym względem«. Opiekując się bratem Maryi, nie przestawał Chopin myśleć o niej samej, a nawet pisząc do rodziny, nie

tail się ze swymi zamiarami względem panny Wodzińskiej, zamiarami, których osią na razie był projekt podróży do Drezna. Ale to była dopiero jedna połowa planu Fryderyka; druga, której poświęcił osobny ustęp w swym liście do rodziców, zasadzała się na tem, by w tym samym czasie, co on, i jego matka pojechała nad Elbę, niby jedynie dla spotkania się z synem, ale naprawdę w tym celu, żeby, gdy tego zajdzie potrzeba, mogła uczestniczyć przy ostatecznem porozumiewaniu się z rodziną Wodzińskich. Na ten punkt listu Fryderyka, tak mu dnia 9 stycznia 1836 r. odpisał Mikołaj Chopin: »Jak uważam, Drezno stało się dla ciebie miejscem wielce zajmującem, które cię zdaje się przyciągać. W twoim wieku nie zawsze się jest panem swej woli, można doznać wrażeń, które się nie łatwo zacierają. Ale kto może ci przeszkodzić na przyszłą wiosnę odbyć małą podróż i poznać to, czego jeszcze nie znasz. Trzeba tylko oszczędzać, ile się da, gdyż towarzysza podróży do Berlina lub Drezna mógłbym ci przysłać, ale na twój koszt. O projekcie tym zawiadomiłem twoją matkę, przyczem podczas wakacyi Barwiński z żoną i ja pojechalibyśmy po nią. Co myślisz o tem? Bądź co bądź, jest to piękny zamek na lodzie, powiem: mniejsza o to, budujemy go sobie. Myślę, że jeśli jest możebny do urzeczywistnienia, to nie będziesz mógł mieć lepszej opieki, jak mając matkę przy sobie. Chwilowe to rozstanie znośnem będzie dla mnie, skoro pomyślę o jego przyczynie. Ale na to trzeba zdrowia i środków, musisz tedy myśleć o jednem i o drugiem; jest to jedyny sposób, ażebyś ujrzał znowu Drezno i to, co w niem może Ciebie zajmować, o ile wrażenie jeszcze się nie zatarło«.

Wrażenie to, choć wystawione na próbę czasu i przestrzeni, nie zacierało się zgoła; owszem potęgowało się raczej, w czem już może niemałą rolę spełniała gra imaginacyi. Nie znaczyło to jednak, by Chopin, mając myśl i uczucie zaabsorbowane Maryą, jednocześnie był skorym do korespondowania z nią i z jej rodziną. Tego »cudu«, ażeby przezwyciężyć jego wstręt do pisania listów, nie potrafiła dokazać nawet miłość! Poprzestawał na tem, że przez Antosia Wodzińskiego kłaniał się jego rodzinie, że do jego listów dołączał różne zdobyte autografy sławnych ludzi, których uzyskanie przychodziło mu z łatwością, ale sam jakoś się nie mógł zdobyć na obszerniejszy list, uważając, że o wszystkiem, coby im mógł napisać o sobie, pisał Antoś; więc poco drugi raz pisać to samo? Ten argument mając na swoje usprawiedliwienie, ani słówkiem nie dawał znać o sobie Wodzińskim, chyba, że pierwsi napisali do niego, co się zdarzało raz po raz, zwłaszcza, gdy chodziło o autografy lub o jakiś interes do Antosia. Zwykle w takich razach pisywała pani Wodzińska, przyczem najczęściej w końcu listu znajdował się dłuższy lub krótszy przypisek Maryi.

Szczegół charakterystyczny, że jedynymi ludźmi, którym Chopin nic nie wspomniał o swoich drezdeńskich planach na wiosnę, byli Wodzińscy właśnie. Nawet Antoni Wodziński, choć z nim żył tak blizko, nic nie wiedział



o tych projektach. Pani Wodzińska dowiedziała się o nich od... Klary Wieck, gdy ta w styczniu koncertowała w Dreźnie. Wiadomość ta, potwierdzona jeszcze i przez doktora Kuntzla, trochę zaskoczyła panią Wodzińską. Chcąc się upewnić, czy Chopin istotnie nosi się z zamiarem przyjechania w lecie do Drezna, skorzystała z pierwszego lepszego pretekstu, jakim było przesłanie zasiłku pieniężnego Antosiowi, i napisała dnia 5 lutego 1836 roku wcale obszerny list do Fryderyka, w którym to liście między innemi zapytała go także, czy to prawda, że w lecie ma być w Dreźnie? O tem jednak, że ten przyjazd byłby mile widziany przez nią i jej rodzinę, nie wspomniała ani słówkiem. Było tylko zapytanie, czy istotnie myśli przyjechać do Drezna, lecz po tem zapytaniu, dziwna rzecz, nie było ani zaproszenia, żeby przyjechał, ani jednego słowa zachęty, żeby ten projekt doprowadził do skutku. Dowodziło to, że pani Wodzińska musiała już w kwestyi Chopina porozumieć się listownie z mężem, że jej pan Wodziński pisał o smutnym stanie zdrowia Fryderyka, co w Warszawie ujawniło się w formie pogłoski o jego śmierci... Dlatego, kiedy się dowiedziała przypadkiem, że Chopin nosi się z myślą przyjechania do Drezna, pani Wodzińska trochę się zaniepokoiła tą wiadomością, i dlatego też, zapytując Fryderyka w tej kwestyi, wcale go nie zachęcała do przyjazdu. Oto jej list, równie serdeczny w tonie, jak dyplomatyczny w treści:

Mój drogi Fryderyku!

Jakże mam zacząć, aby Cię przeprosić za nadużywanie Twej dobroci, a nadewszystko za stratę czasu. Lecz pomyślałbyś sobie: na cóż to robisz, kiedy przepraszasz; wolę Ci przyczynę tego wypisać. Chcąc przesłać małą kartkę Antkowi, z różnych przyczyn tego, co prosił, uczynić nie mogłam i szczęśliwie przyszło mi na myśl, że lepiej się udać nie mogę, jak do tego, który nam ciągle i zawsze tyle dowodów przychylności ku nam daje. Wiesz więc powód. Chciejże teraz resztę uskutecznić i załączony tu list memu Cembałowi wręczyć. Mój drogi Frycku, nie odmawiaj mu przyjacielskich rad Twoich, zachęcaj go, aby się czem tam zatrudnił, bo nieczynne życie wielu nieszczęść się staje przyczyną. Bóg Ci to stokrotnie wynagrodzi. Nie uwierzysz, ile ja łez z tej przyczyny i obawy o niego wylałam. Ty, który tak dobrym jesteś synem, uczuć to potrafisz. Jeśliby kiedyś znajdował się w potrzebie, wtenczas ratuj go, a mnie jaknajspiejszniej o tem uwiadom. Polecam Ci jego; wiem, że Twój czas jest drogi, ale również znam Twoje dobre serce i pewna jestem, że mi wtenczas poświęciłbyś chwilkę. Miałam tu wiadomość o rodzicach i siostrach Twoich. Pan Leopold, brat pani Pruszak, tu był; opowiadał, że to wszystko ślicznie zdrowe. Marya jako i Józia czułe ci przesyłają ukłony; pierwsza, uwiadomiona, że ma dostać nuty od Ciebie, nie posiada się z radości [1]). Thérèse Wodzińska często także wspomina po polsku, często także łączy brata z Tobą, mówiąc: »J'ai bien du chagrin par mon frère Antoine et

[1]) Po otrzymaniu tej przesyłki, którą najprawdopodobniej były wydane w listopadzie 1835 r. w Lipsku u Breitkopfa i Härtla *Quatre Mazurkas* Op. 24, panna Wodzińska podziękowała za nią Chopinowi następującym listem: »Je ne puis Vous écrire que quelques mots en Vous remerciant pour le joli cahier que Vous m'avez envoyé. Je ne tâcherai de Vous dire, combien j'ai éprouvé de joie en le recevant, ce cerait en vain. Recevez,

Chopena aussi«. I płacze doprawdy, czyli naprawdę. Kiedy. eż możemy Cię widzieć? Żebyś też choć ze dwa słowa napisał i powiedział, czy to prawda, że tu tego lata być masz; bo nam tu Klara Wieck (a bardziej) Chevalier Kuntzel to powiedzieli i zapewniają. Również Kuntzelek powiedział, żeś płakał, słysząc p. Wieck w Lipsku; bo ja się wstydzę, żem nie płakała na jej tu koncercie, ale mi się bardzo jej gra podobała, i cała jej postawa, tak miła, tyle interesująca... Adieu, mój dobry Frycku, my tu zawsze i zawsze Ciebie wspominamy, bo szczerze masz w nas Ciebie kochających. Ściskam Cię, mój drogi Frycku, wraz z Antkiem, i błogosławię Was obydwóch.

## IV.

Jeżeli Chopin odpisał pani Wodzińskiej »choć ze dwa słowa« w kwestyi swoich projektów na nadchodzące wakacye, to w każdym razie musiał strwierdzić prawdziwość informacyi, udzielonej przez Klarę Wieck: bo istotnie nosił się z zamiarem pojechania do Lipska, a przy tej sposobności zawadzić o Drezno. Tyle mógł napisać pani Wodzińskiej. Co się kryło poza tem, to było jego osobistą tajemnicą, z którą zwierzał się jedynie przed najbliższą rodziną, w listach do domu. Tymczasem zmienił swój projekt sprowadzenia matki do Drezna, dowiedział się bowiem — niewątpliwie za pośrednictwem Antoniego Wodzińskiego — że właśnie w tym miesiącu, gdy on myślał wybrać się nad Elbę, dokąd-by także podążyła pani Chopinowa, ażeby tu zjechać się z synem, Wodzińscy mieli się udać do Maryenbadu. Wobec tego postanowił zaniechać spotkania się z matką w Dreźnie, a natomiast powziął znacznie śmielszy zamiar spędzenia lata w Maryenbadzie, co już niewątpliwie równało się zaangażowaniu z jego strony.

To też, gdy dnia 28 lipca wjeżdżał do Maryenbadu, gdzie zamieszkał w jednym domu z Wodzińskimi — *Zum weissen Schwan* na Kaiserstrasse — mógł i on powiedzieć o sobie: *Jacta est alea*. Losy były rzucone istotnie. Ale jeżeli miał jakie obawy, gdy się zbliżał do celu swej podróży, to od pierwszej chwili, gdy się tu zetknął z Wodzińskimi, mógł być najlepszej myśli. Marya, poprostu uradowana jego przyjazdem, okazywała się milszą jeszcze, niż nią była rok temu, a to samo mógł powiedzieć i o reszcie rodziny, przedewszystkiem o samej pani Wodzińskiej, która wcale się nie taiła z prawdziwie macierzyńską życzliwością, jaką miała dla niego, i umiała okazać się wdzięczną za wszystko dobre, które świadczył jej najstarszemu synowi w Paryżu. Wprawdzie mógł żałować, że p. Wodzińska była tu sama z córkami tylko, że pan Wodziński wraz z dwoma młodszymi synami, Feliksem i Kazimierzem, przebywali w kraju, na wsi

je Vous prie, l' assurance de tous les sentiments de reconnaissance que je Vous dois. Croyez à l'attachement que Vous a voué pour la vie notre famille et particulièrement votre plus mauvaise elève et amie d'enfance. Adieu, Maman Vous embrasse bien tendrement. Teresia co moment wspomina swego Chopena. Adieu, gardez notre souvenir

*Maria.*



u siebie, ale z drugiej strony właśnie dzięki tej okoliczności niewątpliwie czuł się swobodniejszym, mniej skrępowanym. Jakoż przeżywał bardzo miłe chwile, bo niedość, że sam zaczynał kochać coraz goręcej, ale i w Maryi dostrzegał coraz więcej wzajemności. Choć jednocześnie w Maryenbadzie przebywało mnóstwo Polaków, między którymi nie brakło i jej blizkich znajomych, pani Wodzińska nic jakoś nie miała przeciwko temu, że Chopin wciąż trzymał się z nią i jej córkami, że go przez cały dzień widywano przy Maryni, że zresztą nie przestawał literalnie z nikim, że wszystkie wie-




Dom w Maryenbadzie »Pod białym łabędziem«.

czory spędzał razem z nimi, bądź w salonie, gdzie całemi godzinami muzykował i rozmawiał z Marynią, bądź w domowym ogródku, gdzie go w niejeden cichy wieczór księżycowy widywano przechadzającego się z panną... Jeśli się zdarzyło, że pani Wodzińska miała gości, Chopina nie brakło nigdy, co oczywiście pociągało za sobą, że często grał lub improwizował. O wrażeniu zaś, jakie swą mistrzowską i poetyczną grą czynił na obecnych (między którymi bywała i znana literatka, Eleonora Ziemięcka), świadczą następujące słowa jednej z ówczesnych koleżanek Maryi, która o tych wieczorach, wspólnie z Chopinem spędzonych w domu Wodziń-

skich, pisze, co następuje: »Będąc młodą, miałam rzadkie szczęście poznać tego mistrza tonów osobiście, a poznawszy go, słyszeć jego śpiew na fortepianie. Gdy go widywałam w Maryenbadzie przez kilka tygodni z rzędu, rysy jego, postać i obejście, żywo wraziły się w pamięć 16-letniej wówczas pensyonarki. Wykształcenie moje muzyczne było jedynie amatorskie, zatem o stopniu doskonałości wirtuoza sądzić nie mogłam; to tylko pamiętam, że usłyszawszy Chopina z drugiego pokoju (nb. improwizującego), od łez wstrzymać się nie mogłam. Przecież nie mnie samą zachwycał, lecz u wielu słuchających go, a sławnych i poważnych osób, tenże symptom rozczulenia spostrzegłam«. Wogóle grywał bardzo wiele, bo kto tylko przyszedł do pani Wodzińskiej, zaraz go prosił o zagranie czegoś, a on nie odmawiał prawie nigdy, najwięcej grywając swoje najnowsze *Etiudy* z drugiej seryi. »Wrażenie, jakie robił wtedy w Maryenbadzie — opowiada młodsza siostra Maryi Wodzińskiej — a które mi do dziś dnia pozostało w pamięci, daje się sformułować w krótkich słowach: oto, że był to geniusz prawdziwy, i to geniusz wszechstronny, który do czegokolwiek się wziął, wszystko robił doskonale. Jestem przekonana, że gdyby się był poświęcił jakiejś innej sztuce, np. malarstwu, również i w tej dziedzinie tworzył-by rzeczy genialne. Gdyby się poświęcił poezyi, z pewnością zostałby znakomitym poetą. Jego wiersze, zarówno jak i rysunki i akwarele, rzucane na papier od niechcenia, w chwilach dobrego humoru, były arcyzabawne. Pamiętam, że za bytności w Marienbadzie pisał raz u nas list do przyjaciela swego w Paryżu, doktora Matuszyńskiego, z którym mieszkał razem, list w sprawie urządzenia nowego mieszkania, gdyż w tym właśnie czasie przeprowadzał się i, powróciwszy do Paryża, chciał już nowy swój apartament zastać umeblowanym; pisał więc do Matuszyńskiego, który się zajmował przeprowadzką, jak ma wszystko urządzić, gdzie co postawić, etc. etc. Cały ten list, choć w tak prozaicznej sprawie, napisał wierszem, a pisał go w ten sposób, że przed napisaniem każdego wiersza wpierw mówił go nam głośno, że zaś prawie każde słowo w tym liście było humorystycznym konceptem, więc wszyscyśmy pokładali się od śmiechu. Nie było to naturalnie żadne literackie arcydzieło, ale wyobrażam sobie, jak się musiał uśmiać do rozpuku przyjaciel Chopina, gdy mu ten list czytać wypadło. Wogóle dobry humor towarzyszył mu w Marienbadzie stale. Stąd niewyczerpany był w różnego rodzaju figlach. Przypominano sobie, jak rozpieszczony dzisiaj artystycznymi sukcesami Paryżanin, dawniej, nie mając czasami pieniędzy na rękawiczki, gdy chciał gdzie iść na wieczór, wykradał takowe siostrom, a łapany na gorącym uczynku, zaklinał się, że gdy kiedyś pojedzie do Paryża to im tuzinami stamtąd rękawiczki przysyłać będzie (w czem istotnie słowa później dotrzymywał): to znowu przedstawiał damom przy fortepianie znakomitych, europejskiej sławy wirtuozów (szczególniej Thalberga i Liszta), naśladując w sposób najpocieszniejszy ich grę, ich szczególniejsze



właściwości obejścia się i ruchów. Pokazywał dalej, jak to w Warszawie amatorowie muzyki wykonują zwykle tanecznym rytmem jego *Mazurki,* pełne poetycznego i melancholijnego uczucia«.

W takich okolicznościach wymalowała Marya, w ciągu tego pobytu w Marienbadzie, bardzo ładny akwarelowy portrecik siedzącego w fotelu Chopina, portret, który, robiony w tej myśli, że będzie ofiarowany rodzicom Fryderyka, wszyscy uznali za nadzwyczaj podobny. Przybrany w czarny tużurek z szerokimi wyłogami, w czarnym krawacie-halsztuku, w białej ka-




Uroczystość odsłonięcia tablic pamiątkowych wmurowanych w domu »pod białym łabędziem w Marienbadzie, gdzie mieszkał Chopin w 1836 r. (1902).

mizelce, z założonemi rękoma, z twarzą *en trois quarts*, z długimi włosami *à l'artiste*, koloru ciemno-blond, z przedziałem z boku, nieco rozwichrzonemi, z delikatnemi faworytkami, z dość silnie zarysowanemi brwiami tego samego kasztanowatego koloru, co czupryna, z żywemi ciemno-piwnemi oczyma, prawie czarnemi, a pełnemi smętnego wyrazu, z nosem regularnym, trochę dużym, bardzo rasowym, o cienkich nozdrzach, bez żadnego zarostu nad bardzo kształtnemi ustami, przedstawia się Chopin na tym wizerunku, jako młodzieniec, nietyle przystojny, ile interesujący. Cała

twarz, o prześlicznem czole, o płaskich, niemal że zapadniętych policzkach, o nieco śniadej cerze, bez najlżejszych rumieńców, pełna jakiejś dziwnej słodyczy i łagodności, czyni niezmiernie ujmujące wrażenie. Swoją drogą znać po niej, że to człowiek wątły nadzwyczaj, bardzo delikatnej kompleksyi, niezwykle słabego zdrowia, może już z zarodami choroby piersiowej, a w każdym razie wrażliwy i nerwowy w najwyższym stopniu; istna mimoza. Portret ten, wielkości gabinetowej fotografii, ogromnie wykończony, choć dyletancki jako technika, to jednak pod względem kolorytu, a zwłaszcza w traktowaniu szczegółów, wcale subtelny, z prawdziwym pietyzmem odtwarza rysy Chopina, który to pietyzm, widoczny w każdym pociągnięciu pędzla, był wymownym dowodem... kultu, jaki Marya Wodzińska miała wtedy dla swego *carissimo maestro,* jak go nazywała.

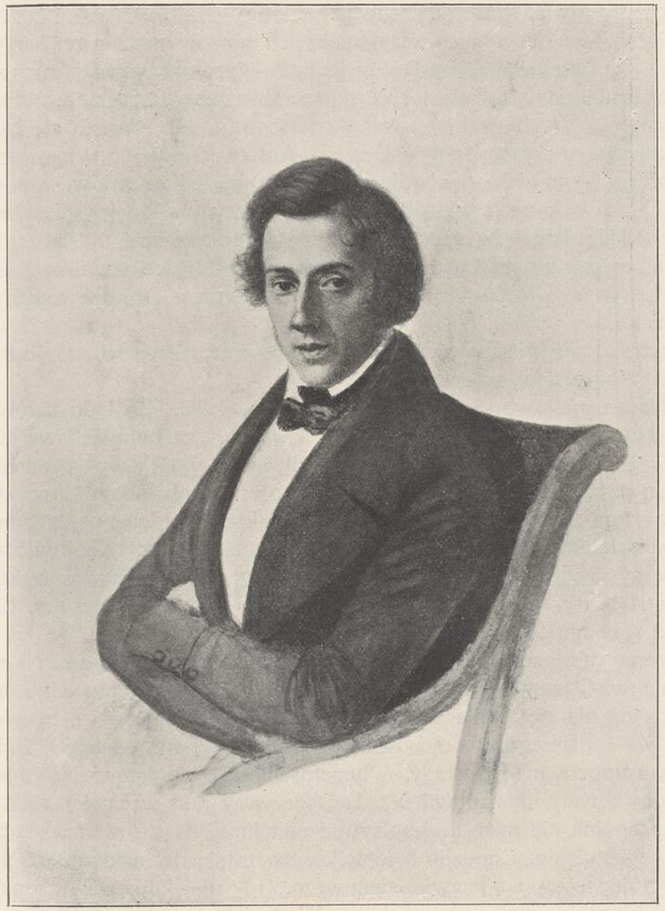
W podobny sposób upłynął Chopinowi w uroczym Maryenbadzie cały miesiąc sierpień. Może nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwym, tak zadowolonym z życia, tak pełnym wiary w swą szczęśliwą gwiazdę. Gdyby nie zdrowie, które ciągle pozostawiało coś do życzenia, a objawiało się mizernym wyglądem, łatwością przeziębiania się i nabawiania kaszlu lub chrypki, mógłby się nazwać zupełnie szczęśliwym. Nie znaczyło to jednak, żeby się czuł chorym, a że tam czasami pokasływał (czem się niepokoiła pani Wodzińska zwłaszcza), do tego nie przywiązywał zbytniej wagi. Tyle tylko, że się musiał oszczędzać, uważać na siebie, ubierać się cieplej, czego by z pewnością nie robił nawet, gdyby nie pani Wodzińska, gdyby nie doktor Paris, który mu wciąż zalecał różne środki ostrożności, jak n. p. wełniane pończochy w zimie, wczesne udawanie się na spoczynek, etc. Ale to były bagatele wobec tego, że kochał i miał głębokie przeświadczenie o wzajemności ze strony swej ukochanej, za której narzeczonego uchodził już w oczach wszystkich znajomych.

Ale choć mu nikt nie przeszkadzał w jego konkurach, choć na każdym kroku spotykał się z dowodami zupełnie wyjątkowej sympatyi panny, to jednak pomimo tego nie mógł się zdobyć na odwagę, żeby się oświadczyć oficyalnie. Wszyscy w całem otoczeniu, nie wyłączając samej panny i jej matki, domyślali się wprawdzie, co było właściwym celem przyjazdu Fryderyka, lecz on mimo to zwlekał z wypowiedzeniem stanowczego słowa, któreby tak czy owak rozstrzygnęło o jego losie. Czuł nawet, że go to stawia w dziwnem położeniu w stosunku do panny, za której narzeczonego uchodził już w oczach wielu osób (n. p. Eleonory Ziemieckiej), ale, jak zwykle niezdecydowany, tak długo nie mógł się zdecydować, aż wreszcie, z końcem sierpnia, Wodzińscy zaczęli się gotować do drogi. Wybierano się do Drezna, stamtąd zaś, o ile tylko da się najprędzej, miano jechać do kraju, do Służewa, gdzie już odrestaurowany zamek czekał na ich przybycie.

Stanęło na tem, że Chopin będzie im towarzyszył nad Elbę. Gdy przyjechano do Drezna, gdzie Wodzińscy tym razem zajęli mieszkanie na Thea-



terplatz, Chopin, jak w Maryenbadzie, tak i tu tylko na noc wracał do siebie: zresztą całe dni od rana do wieczora spędzał w towarzystwie Maryi



Portret Fryderyka Chopina
malowany akwarelą w Maryenbadzie w 1836 r. przez Maryę Wodzińską.

i jej rodziny, razem z nimi bywając wszędzie. Zwracało to powszechną uwagę, szczególniej wojewody Macieja Wodzińskiego, który, nawet w tej kwestyi interpelował panią Wodzińską, ale tem niemniej fakt pozostał fa-

ktem, że Fryderyk poprostu nie odstępował Maryi, że oboje robili wrażenie, jeżeli nie narzeczonych, to zakochanych, którzy się już porozumieli z sobą, a choć oficyalnie nie byli jeszcze po słowie, to jednak to słowo miało, jak dojrzały owoc, spaść lada chwila.

Bywając u wspólnych znajomych, Chopin był nadzwyczaj miły i ujmujący dla wszystkich, i tylko w jednym wypadku wpadał w chwilowe rozdrażnienie, gdy go w niektórych domach niemieckich, jak n. p. u Kasklów zanudzano prośbami, żeby zasiadł do fortepianu, lub starano się nakłonić do publicznego wystąpienia w Dreźnie. Ani chciał słyszeć o tem! Przedewszystkiem — mówił — wogóle zniechęcił się do koncertów, a powtóre, jeżeli chodzi o koncert w stolicy saskiej, to czuł żal do jej mieszkańców, że przed kilku laty, gdy tu zamierzał wystąpić na estradzie, musiał zaniechać tego, albowiem nie miał widoków powodzenia. Od owej chwili zagnieździła się uraza w jego sercu, której obecnie nikt w całem Dreźnie, samej panny Maryni nie wyłączając, nie umiał przezwyciężyć. Stąd znowu żal do niego, zwłaszcza domu Kasklów, u których także grać nie chciał. Grywał tylko u pani Wodzińskiej, zresztą nigdzie.

Nawet na dworze królewskim grać nie chciał. Bo i do dworu miał urazę. Nie mógł zapomnieć, że w roku 1830, gdy za bytności swej w Dreźnie pragnął grać na dworze, wtedy król nie był ciekawy go usłyszeć... Całkiem przeciwnie miała się rzecz obecnie. Europejska sława Chopina, jako kompozytora, obiła się donośnem echem także i o ściany apartamentów królewskich nad Elbą: wobec tego Fryderyk August, gdy się dowiedział — od panny Salomei Dobrzyckiej — że słynny twórca *Etiud* i *Nokturnów* bawi w Dreźnie, wyraził życzenie, że pragnąłby posłuchać jego gry. Chopin jednak, gdy mu to zakomunikowano, oświadczył stanowczo, że nie zagra na dworze: nie chciano go usłyszeć dawniej, nie usłyszą i teraz! Na wszelkie namowy i perswazye odpowiadał rozdrażniony, żeby mu dano spokój, bo i tak na nic się to nie zda, bo gdy raz powiedział, że nie, to wiedział, co mówi i dlaczego, i od powziętej raz decyzyi nie odstąpi. Zaciął się w swym uporze, nie było rady. A tymczasem król, nie przewidując odmowy ze strony artysty, postanowił urządzić specyalay raut w zamku, na którym prócz Chopina nie miał się popisywać nikt inny, co się równało szczególnemu wyróżnieniu. Chodziło o to tylko, by on się dał nakłonić do pójścia na ten raut, lecz on odmawiał stanowczo. Gdy nie skutkowały żadne nalegania i błagania, zarówno ze strony Wodzińskich, jak i ze strony panny Salomei Dobrzyckiej, którą ta cała sprawa stawiała w dziwnem wobec królewskiej rodziny położeniu, i gdy artysta oświadczył kategorycznie, że na żadnem przyjęciu u króla, ani wogóle na dworze grać nie będzie, wtedy postanowiono uciec się do podstępu i uknuto formalny spisek przeciwko Chopinowi, spisek, do którego wciągnięte zostały pani i panny Wodzińskie, a w którym głównymi promotorami miały być obie panie Dobrzyckie, oraz



cała rodzina królewska saska z królem na czele. Mianowicie ułożono taki projekt, że stara pani Dobrzycka urządzi u siebie raut, na którym poprosi się Chopina, żeby grał, a tymczasem król z całą rodziną, w największej tajemnicy przed kapryśnym pianistą, będą znajdowali się za uchylonemi drzwiami w przyległym pokoju. Nikt nie wątpił, że podobny manewr będzie uwieńczony jaknajlepszym skutkiem, lecz na nieszczęście, wystarczyło wspomnieć Chopinowi o tym raucie u pani Dobrzyckiej, by odrazu domyślił się przenikliwie, o co chodzi, i z góry zapowiedział z całą nieubłaganą bezwzględnością, że na raut pójść może, ale do fortepianu za żadną cenę nie siądzie. Na nic się nie zdały wszelkie perswazye, że wobec takiego ustępstwa ze strony głowy koronowanej należy dać się przebłagać. Nic nie pomogło! pomimo zaklęć pani Dobrzyckiej i jej córki, pomimo błagań »panny Maryni«, ani myślał ustąpić, lecz statecznie, z niezłomnym uporem — godnym lepszej sprawy — trwał w raz powziętej decyzyi, a gdy wreszcie i sama pani Wodzińska, mająca ogromny wpływ na niego, zaczęła go prosić, ażeby przez wzgląd na nią zadosyćuczynił królewskiemu życzeniu, rzucił się jej prawie z płaczem do nóg i, całując ją po rękach, błagał, by już nań nie nalegano dłużej. »Wszystkiego żądajcie odemnie, mówił, co chcecie, wszystko dla was zrobię, o tem jednak, bym miał grać przed tutejszą rodziną królewską, niech już nie będzie mowy«. Mimo to nie przestano nalegać w dalszym ciągu, aż w końcu, po wielu perypetyach, nie pozostało Chopinowi nic innego, tylko uciec się do kompromisu. Niestety, warunek, który postawił, był fatalny. Oto zgodził się zagrać wobec rodziny królewskiej, skoro tak go byli ciekawi usłyszeć, zastrzegł się jednak, że to uczyni tylko pod jednym warunkiem: że to się stanie w mieszkaniu Wodzińskich, w ich salonie. »Skoro przyjadą tutaj, powiedział, będę im grał, ile zechcą; uprzedzam jednak, że do tego, bym miał grać gdzieindziej, nikt mię nakłonić nie zdoła«. Gdy o tym warunku zakomunikowano królowi, pomimo najszczerszych chęci przystać nań nie mógł: było to zbyt wielkie wymaganie ze strony artysty. Największem ustępstwem, na jakie pozwalała etykieta dworska, była wizyta *incognito* u pani Dobrzyckiej, jako pozostającej w blizkich stosunkach z dworem (jeszcze z czasów Księstwa Warszawskiego); na to przecież, by przyjąć gościnę w domu prywatnym, i to w domu obcych poddanych, na to Fryderyk August żadną miarą zgodzić się nie mógł. Jakoż skończyło się na tem, że ani król, ani jego rodzina, nie usłyszeli Chopina.

Tymczasem zaczął się wrzesień, zbliżała się chwila rozstania z Wodzińskimi: Chopin musiał wracać do Paryża, a oni także wyczekiwali chwili, w której będą mogli przejechać granicę kraju. Wobec tego, skoro się było w sytuacyi Fryderyka, należało powziąć stanowczą decyzyę: albo się oświadczyć — i jeśli się będzie przyjętym — wyjechać po słowie z panną, a więc w roli narzeczonego, albo jeszcze całą sprawę odłożyć do przy-

szłego spotkania, co jednak z wielu względów równało by się niczem nieusprawiedliwionemu kunktatorstwu, graniczącemu z tchórzostwem. Zdając sobie z tego sprawę, w miarę, jak się zbliżał dzień 10-go września, który miał być dniem pożegnania na nieokreślony przeciąg czasu, zaczął się nieśmiały maëstro coraz bardziej skłaniać na korzyść rozstrzygnięcia wszystkiego teraz (do czego zresztą widział niemało zachęty ze strony panny, naprawdę robiącej wrażenie zakochanej). W końcu, w wilię wyjazdu, 9-go września, nad wieczorem o szarej godzinie, podczas dłuższego sam na sam z Maryą, oświadczył się jej... Usłyszawszy przychylną odpowiedź, z tem zastrzeżeniem jednak, że wszystko zależy od rodziców, od tego, czy matka i ojciec nic nie będą mieli przeciwko temu małżeństwu, Fryderyk zwrócił się do pani Wodzińskiej, niestety, bardzo tego dnia cierpiącej na ból zębów. Stąd rozmowa nie mogła się odbyć w warunkach normalnych, zaczem poszło przedewszystkiem, że musiała trwać krótko. Pani Wodzińska jednak, gdy się dowiedziała, co sobie o tej szarej godzinie powiedzieli Marya i Fryderyk, nic nie miała przeciwko temu, nadmieniła jednak, że ona sama nie może dać stanowczej odpowiedzi, dopóki nie będzie wiedziała, co o tem myśli jej mąż. Dlatego prosiła Fryderyka, by na razie jeszcze rzecz całą zachował w tajemnicy, co mu i ona również przyrzekła solennie. Tymczasem radziła mu, żeby przyjechawszy do Paryża, prowadził życie regularne, żeby się kładł spać o 11-ej, nigdy później, żeby pił *eau de gomme* na kaszel, żeby nosił wełniane pończochy, żeby po domu chodził w ciepłych pantoflach, które mu Marya obiecała wyhaftować, słowem, żeby uważał na siebie, żeby dbał o swe zdrowie, żeby się starał dobrze wyglądać, gdy się spotkają znowu. Spotkanie to – jak przewidywała pani Wodzińska - będzie mogło nastąpić pewno na wiosnę, w Dreznie prawdopodobnie, a w każdym razie w lecie, gdzieś u wód, bo ponieważ przyjazd Chopina do kraju był wykluczony, należało czekać chwili, gdy ona z rodziną wyjedzie za granicę.

W błogiej nadziei, że to nastąpi jeszcze przed latem (co wcale nie było niemożliwem, zważywszy, że młodsza z córek pani Wodzińskiej miała zostać dla edukacyi w Dreznie), pożegnał się Chopin dnia 10 września z Maryą i jej rodziną, i nie pożegnawszy się zresztą z nikim, z żadnym ze znajomych drezdeńskich, opuścił Drezno.

## V.

Przybywszy po kilkunastodniowej podróży rzemiennym dyszlem do Paryża, nie zastał tu już Chopin »Antosia« Wodzińskiego, ten bowiem, trochę z nudów, a trochę z wrodzonego popędu do żołnierki, wstąpiwszy do pułku lancierów polskich, uformowanego przez Ludwika Filipa, gdy wybuchły krwawe rozruchy w Hiszpanii, w które także zamieszała się Francya, jako popierająca stronnictwo Burbonów, został wysłany



za Pireneje, do Saragossy. Ale zamiast najstarszego z braci Maryi, zastał Fryderyk w swem nowem mieszkaniu przy rue de la Chaussée d'Antin obszerny i bardzo serdeczny list od pani Wodzińskiej, tem milszy, że opatrzony długim i wiele mówiącym przypiskiem Maryi, oraz bardzo miły list od jej najmłodszego brata Kazimierza.

List pani Wodzińskiej datowany 14 września, a więc w cztery dni po wyjeździe jej »czwartego syna« z Drezna, brzmiał, jak następuje:

Kochany Fryderyku!

Podług naszego układu przesyłam na ręce Twoje list do pani Nakwaskiej. Już to od dwóch dni byłabym zrobiła, gdyby nie ząb, który wyjąć kazałam po Twoim wyjeździe i z okazyi tej bardzo cierpiałam. Odżałować nie mogę, żeś odjechał w sobotę; w dniu tym byłam cierpiąca, nie mogłam się dość zająć *Szarą godziną;* krótko o tem mówiliśmy. Nazajutrz byłoby było dłużej. Pani Girardin powiada: en toute chose le lendemain est un grand jour; nous l'avons devant nos. Nie myśl, ażebym ja odwołała to, co mówiłam, nie; ale trzeba było przedsięwziąść drogę, którą iść trzeba. Dotąd będę tylko prosić Cię o milczenie. Zachowaj się zdrowo; wszak od tego wszystko zależy. Kazio przyjechał w niedzielę. Jakże go znalazłam innym od czasu, jak wyjechał. Jeżeli w Czechach powietrze jest napełnione opium, to tam niezawodnie szalejem. Jakaż to perspektywa dla Maryi! Kto wie, jaka za rok będzie?... Józię tu zostawiam z panną Mallet, a z wiosną sama przybędę i znowu do wód się udam. To jest mój projekt, a da Bóg, iż do skutku przyjdzie. Jeżeli Bóg da, że Antoś zdrów wróci, zachęcaj go do pracy, niech się uczy, co może, bo bracia jego nie wiele umieją, a wstyd-by było, aby kobiety wyżej od wszystkich braci być miały. Teraz nic mu przesłać nie mogę, bo (jak Kazio mówi), że »ojciec najbogatszy w całej prowincyi« musi żyć stosownie do tego; dobrze to jest, ale podług mnie źle dać umrzeć z głodu dlatego dzieciom. Skoro przybędę do Warszawy, to na Twoje ręce przeszlę dla Antosia co będę mogła, a teraz proszę Cię, jeżeli masz o nim jaką wiadomość, to udziel mi tejże. Ja tu od dziś jeszcze dwa tygodnie bawić będę, a na 15 października będę już w Warszawie, bo na ten dzień ma się ślub odbyć. Będę widziała rodziców i siostry Twoje; powiem im, żeś zdrów i wesół, chociaż o *Szarej godzinie* nie wspomnę. Bądź jednak pewny mojej ku Tobie przychylności; dla dopełnienia mego życzenia i wypróbowania tych uczuć trzeba koniecznie tej ostrożności. Adieu! Chodź spać o 11-tej, do 7 stycznia używaj za napój *l'eau de gomme.* Pan Matuszyński się ze mną zgodzi. Bądź zdrów, kochany Fryderyku. Błogosławię Cię z duszy, jako kochająca Cię m...

Marya przesłała Ci pantofle przez p. Germany. Są troszkę duże, ale dodaję, abyś wełniane nosił pończochy. Tak osądził Paris, a wnoszę, że będziesz posłuszny, wszakżeś obiecał. Wreszcie zważ, że to jest czas próby.

Czas próby! Zastosowane przez panią Wodzińską w danych okolicznościach, było to wielkie słowo. Wielkie i ważne! Pani Wodzińska dawała niem do zrozumienia Chopinowi, że musi z tej »próby« wyjść zwycięsko, bo w przeciwnym razie ona nie ręczy za nic... A ta próba była dość ciężką na ogół; przedewszystkiem musiał dotrzymać danej obietnicy, że będzie chodził spać o 11-tej, czyli, że całkiem zmieni swój zwykły dotychczasowy tryb życia w Paryżu, bo chcąc chodzić spać o 11-tej, musi zrezygnować z uroków życia wielkoświatowego, które go tak nęciło zawsze, a które, zaczynając się właściwie o 11-tej dopiero, pociągało wracanie do

domu zwykle o 2-iej po północy, a czasem jeszcze później. Obiecując dopełnić wszelkich życzeń pani Wodzińskiej, Chopin nie zdawał sobie sprawy w pierwszej chwili, jak twarde dyktowano mu warunki! Pantofle, choć haftowane przez Maryę, także w nim nie mogły budzić zapału, co w tym samym stopniu dało się powiedzieć zarówno o pończochach wełnianych, jak o *l'eau de gomme!* Gdzie on miał czas myśleć o tem wszystkiem! Ale wszystko to było błahostką w porównaniu z jednym punktem układu, zawartego z nim przez matkę Maryi. Oto pani Wodzińska wcale nie była pewną stałości Fryderyka, a znając jego wrażliwość i kochliwość, wcale nie ręczyła, czy Chopin wróciwszy do Paryża, gdzie miał aż nadto okazyi do uwikłania się w jakąś miłosną kabałę, nie zapomni o Maryi, czy potrafi być jej wiernym przez rok, czy wytrwa w swej miłości ku niej. Pani Wodzińska, zdając sobie sprawę z lekkomyślności Chopina, wcale nie była gotowa ręczyć za to wszystko, i dlatego do czasu »wypróbowania tych uczuć« zalecała »ostrożność« w wyjawianiu tajemnicy o »szarej godzinie«. Co gorsza, że pani Wodzińska, tak sceptycznie zapatrująca się na stałość Fryderyka, również nie chciała ręczyć za stałość Maryi, przewidując bowiem, że po przyjeździe do Służewa zaczną prowadzić takie samo życie, jakie prowadzili jej mąż i synowie, więc zasadzające się na ciągłych zabawach, wizytach w sąsiedztwo, przyjęciach, polowaniach, etc., wcale nie była pewną, czy Marya nie natrafi na kogoś, co potrafi zdobyć jej serce. *Occasion fait le larron,* a okazyi takich, zwłaszcza gdy się jest córką »ojca najbogatszego w całej prowincyi« z pewnością nie zbraknie w atmoferze przesyconej »szalejem«. Dlatego pisząc o Maryi, wyraziła się o niej: »Kto wie, jaka za rok będzie?« Nie była to pożądana perspektywa dla Chopina! Słowem, czekał go nietylko »czas próby«, ale czas ciężkiej próby! Na szczęście, znajdowały się w liście pani Wodzińskiej liczne ustępy, stwierdzające jej »przychylność« dla Fryderyka, świadczące niezbicie, że skoro przetrwa tę całoroczną próbę, t. j. jeżeli przez cały rok będzie chodził spać o 11-tej, a w domu będzie nosił wełniane pończochy, co w skutku sprowadzi dobry wygląd i zdrowie, to wtedy, da Bóg, że wszystko pójdzie dobrze. Wszystko będzie zależało od jego zdrowia, na to zaś, żeby był zdrów, musi się oszczędzać, uważać na siebie, słuchać rad p. Wodzińskiej i doktora Paris, a więc być posłusznym ich wskazówkom, które mu dali, gdy wyjeżdżał, a których obiecał przestrzegać święcie. Gdy dotrzyma, co przyrzekł, z pewnością będzie zdrów, ze zdrowiem odzyska czerstwy wygląd, a gdy będzie pełny i różowy na twarzy, wtedy może się żenić z Maryą. Tak należało rozumieć słowa listu pani Wodzińskiej: »Zachowaj się zdrowo, wszak od tego wszystko zależy«. A kiedy będzie zdrów, wtedy pani Wodzińska uskuteczni projekt, o którym pisała w swym liście, mianowicie, że z wiosną wyjedzie z Maryą za granicę (do Drezna po Józię), lato spędzi u wód, co da Chopinowi możność zjechania się z nimi, oficyalnego



zaręczenia się z Maryą, a gdy się zaręczą, to już nic nie będzie stało na przeszkodzie, żeby się pobrali. Tak należało rozumieć ustęp listu pani Wodzińskiej: »Józię tu zostawiam z panną Mallet, a z wiosną sama przybędę i znowu do wód się udam. To jest mój projekt, a Bóg da, że do skutku przyjdzie!« W tej nadziei, kończąc swój list do Fryderyka, życzyła mu, żeby był zdrów (wszak od tego wszystko zależało) i błogosławiła go, jako »kochająca m.« t. j. matka. To ostatnie niedomówienie było najwymowniejsze. Mógł na niem Chopin śmiało budować... zamki na lodzie! Cały list pani Wodzińskiej był dowodem, że w zasadzie nic nie miała przeciwko wydaniu córki za Chopina, pomimo, że nie będąc szlachcicem, nie należał do jej właściwej sfery, i że nosił niepolskie nazwisko (na szczęście opromienione sławą wszechświatową). Niemniej dowodził ten list, że pani Wodzińska nie przewidywała w sprawie »szarej godziny« opozycyi ze strony pana Wodzińskiego. Zbyt musiała być pewną jego wyjątkowej sympatyi dla Fryderyka.

List Kazimierza Wodzińskiego, datowany 15 września, odznaczał się tak serdecznym tonem, że robił wrażenie, jakgdyby był pisany do... przyszłego szwagra. Można być pewnym, że pani Wodzińska nic nie mówiła synowi o »szarej godzinie«, choć nie można ręczyć, czy mu o niej czegoś nie powiedziała Marya. Zresztą i sam nie trudno mógł się domyśleć wszystkiego.

Kochany Fryciu!

Łatwo wystawić sobie możesz, ile mi przykro było, skoro dowiedziałem się od matki, że dwudziestu czterema godzinami wyjechałeś przed przybyciem mojem do Drezna. Jak wiele pięknych dni straconych dla mnie! A de combien je regrette encore le sejour de Marienbad; lecz próżne teraz żale, lepiej co więcej interesować Cię będzie, donieść Ci o Twoich rodzicach i Twych siostrach, których przed wyjazdem widziałem w Warszawie. Ojciec Twój, którego ja wcale zmienionym nie zastałem, tak samo i dobrze wygląda, jak w te czasy, kiedy łajał, klęczeć kazał i czasem w skórę dał. Matka Twoja, prócz ócz, na które czasem cierpi, jest całkiem dobrze. Pani Jędrzejewicz zawsze ładniutka, milutka, dobrzutka, car c'est ainsi qu'il faut le dire. Przypomniały mi się te dobre czasy, où je venais réciter ma leçon et où je fesais tant le gamin. Dzieci ładne i zdrowe, chłopczyk jeździ na koniku drewnianym i wybiera się chez mon oncle Mr. Frédéric Chopin à Paris. Pani Barcińska także zdrowa; on strasznie zmieniony co do charakteru: cichy, ponury, mało mówiący, nie ten sam wcale, jak był dawniej. Enfin, będąc tam we czwartki, kiedy wszyscy są razem, j'ai cru me trouver encore en pension; j'ai raconté mon voyage à M-me Jędrzejewicz, comme si j'avais une leçon à réciter, j'ai tremblai en parlant à Barciński et j'ai eu bien peur, quand Ton père m'appelait. Oto są nowiny domu Twego; wet za wet Ty także powinieneś donosić mi, cobyś wiedział o Antosiu i o Tobie samym, i pomyślał czasem, que loin de Vous il y a quelqu'un qui pense à Vous et qui Vous aime... Odczytując list mój, pomyślałem sobie, że pomyślisz na moją mieszaninę: *fanfaronade.* Prędzej jest to *distraction,* a więcej *ignorence,* bo prędko pisząc, nie mogąc myśli w jednym języku ułożyć, on arrange la phrase comme elle vient à l'esprit. NB. Żywny zdrów, wcale nie osiwiał; zawsze dowodzi, że na początkowem wykładaniu nauk najwięcej zależy.

Dopisek Maryi, choć zaczęty w formie zwykłego *post scriptum*, wypadł tak długi, że w zupełności zasługiwał na nazwę listu, a był nacechowany ogromną troskliwością o zdrowie Chopina, przyczem pozwalał się domyślać, że ta, co go pisała, bardzo była stęskniona za tym, do kogo pisała, i że liczyła godziny, które ją dzieliły od zobaczenia się z oddalonym adresatem. List ten, czy raczej dopisek, w trzech czwartych skreślony po francusku, brzmiał po oczyszczeniu go z makaronizmów i zastąpieniu ich wyrażeniami polskiemi, jak następuje:

Nie możemy się pocieszyć po wyjeździe Pana. Trzy upłynione dni wydawały się nam wiekami. Czy i Panu także? Czy żałuje Pan choć trochę swoich przyjaciół? Odpowiadam za Pana t a k i sądzę, że się nie mylę; przynajmniej potrzebuję w to wierzyć. Wmawiam w siebie, że to t a k od Pana pochodzi (bo czy nieprawda, żebyś je Pan powiedział). Pantofle skończone, posyłam je. Co mnie martwi, to że są za duże, chociaż dałam Takowskiego trzewik Twój, carissimo maestro, na miarę, lecz zwyczajnie Niemcy... Doktor Paris pociesza mnie, mówiąc, że to właśnie dobre dla Pana, bo powinieneś Pan w zimie nosić bardzo ciepłe skarpetki wełniane. Mama wyrwała ząb; to ją bardzo osłabiło. Dotąd w łóżku leżeć musiała. Za dwa tygodnie jedziemy do Polski. Zobaczę pańskich rodziców; co za szczęście dla mnie! Ciekawam też, czy poczciwa Ludwika mię pozna? Adieu, mio carissimo maestro, nie zapominaj Pan teraz o Dreznie, a niedługo o Polsce, Adieu, *au revoir*. Ach! obyż to mogło nastąpić jaknajprędzej!... Kazio mówił mi, że fortepian służewski tak jest zrujnowany, że ani sposobu grać. Wobec tego myśl Pan o Pleyelu. W szczęśliwszych czasach, jak dzisiejsze (to się ma tyczyć nas) mam nadzieję usłyszenia Pana grającego na tymże fortepianie. *Au revoir, au revoir, au revoir!* Cela fait espérer.

To trzykrotnie powtórzone i podkreślone przytem d o w i d z e n i a, istotnie mogło dodać nadziei Chopinowi, było wymowne, a przez te »szczęśliwsze czasy, jak dzisiejsze«, należało rozumieć czas po zupełnem wyjaśnieniu się sytuacyi, kiedy »szara godzina« nie będzie potrzebowała być trzymaną w tajemnicy przed światem, kiedy dla zakochanych zacznie się okres narzeczeństwa, przedewszystkiem zaś, kiedy nie będą rozłączeni, lecz razem. Ta przymusowa rozłąka bardzo zdawała się dokuczać Maryi; było to wcale nie dwuznacznie napisane między wierszami. Stało tam również, że Marya już się uważała za związaną słowem z Chopinem, że potrosze już się uważała za jego narzeczoną, że tęskniła za nim, że się dręczyła wątpliwościami, czy i on tak samo tęskni za nią, że pragnęła przyspieszyć chwilę, gdy się znów spotkają ze sobą, gdy on przyjedzie do Drezna, a potem pojadą razem do wód, już zaręczeni, a potem wezmą ślub... Tego wszystkiego pozwalał się domyślać przypisek Maryi, co znaczyło, że i ona nie wątpiła o pomyślnym obrocie całej sprawy, że była prawie pewną ojcowskiego przyzwolenia. Dlatego pisała, że wyraz *au revoir* dodaje nadziei, bo skoro się zobaczą znowu, to już »w szczęśliwszych czasach, jak dzisiejsze«, bo zobaczą się na to, żeby się połączyć i nie rozłączać się nigdy. Znaczyło to również, że gdyby to *au revoir* nie oznaczało spotkania, to w takim razie wypadłoby rozstać się i z nadzieją, którą oboje żyli obecnie.



Uszczęśliwiony tymi listami Chopin niezwłocznie pospieszył z odpowiedzią, przyczem do listu swego, pełnego wiadomości o Antosiu, dołączył kilka autografów różnych znakomitości paryskich. Można być pewnym także, że pisząc do domu, do rodziców, nie omieszkał rozpisać się o »szarej godzinie«, bo choć pani Wodzińska prosiła go, żeby tę sprawę zachował w tajemnicy, i choć położyła nacisk na to, że widząc się z jego rodziną w Warszawie, sama o »szarej godzinie« nie wspomni, to jednak nie mogła wymagać od Fryderyka, żeby z tego robił tajemnicę i przed własnemi rodzicami, którym już od roku pisał o swem uczuciu dla Maryi, przed którymi nie taił od początku, w jakim celu pragnął spotkać się z Wodzińskimi, co go zapędziło do Maryenbadu, a potem do Drezna. I dyskrecya ma swoje granice! Napisać o wszystkiem, co się stało o tej pamiętnej »szarej godzinie«, było obowiązkiem Chopina wobec rodziców. Donosząc im o tem, mógł ich prosić o zachowanie tego na razie w tajemnicy, gdyż o to prosiła go pani Wodzińska, ale nie powiadomić ich poufnie o tak doniosłym fakcie, ukrywać to przed nimi, tego nie można było odeń wymagać, tego uczynić nie mógł żadną miarą. Jakoż napisał o wszystkiem otwarcie.

Odpisując na list pani Wodzińskiej, w którym jej donosił różne szczegóły o sobie, ani słówkiem nie wspomniał o tem, czy już zaczął stosować się do jej hygienicznych wskazówek, czy istotnie kładł się spać o 11-tej, czy pił *eau de gomme*, czy chodził w wełnianych skarpetkach, słowem, czy zaczął uważać na swe delikatne zdrowie, czy pamiętał o tem, że zaczął się dlań »czas próby«. Nie rozpisał się o tem, a nawet nie poruszył tego punktu, albowiem, choć niby to pamiętał o przestrogach pani Wodzińskiej, od chwili, gdy znalazł się na paryskim bruku, odrazu wrócił do dawnego nieregularnego trybu życia, do życia towarzyskiego i nocnego. Na nic się zdały nawet i przestrogi w tej mierze Matuszyńskiego, który mu również radził liczyć się ze swemi siłami, nie mówiąc już o tem, że należało dotrzymywać tego, co się przyrzekło swej przyszłej matce. Ale Fryderyk ani myślał zrywać ze światem. To było poprostu *plus fort que lui*. Tym sposobem, choć kochał się w Maryi, to jednak w pantoflach, które mu przysłała, choć je haftowała własnoręcznie, chodził nie wiele, a już o ciepłych wełnianych pończochach, które mu zalecano tak gorąco, z pewnością nie pamiętał. Nie inaczej pewno miała się rzecz i z *eau de gomme*. Liczył na to, że pani Wodzińska nie dowie się o tem. Jedynym człowiekiem, od którego-by się mogła dowiedzieć, był Antoni Wodziński, ale ten, na szczęście znajdował się w Hiszpanii! A zatem, zdawało mu się, że może broić bezkarnie.

Otóż spotkał go pod tym względem niemiły, ba, poprostu przykry zawód, gdyż pani Wodzińska, jak się okazało, miała dość ścisłe informacye o nim, o jego sposobie życia, a zwłaszcza o sposobie, w jaki przeżywał »czas próby«, całkiem nie stosując się do jej życzliwych rad. Dała temu

wyraz w liście do niego, datowanym 2 października, który to list, choć bardzo serdeczny i czuły w całości, jednak zawierał także i parę ustępów gorzkich, w formie dość ostrych wymówek, wielce niemiłych dla artysty.

Mój drogi Frycku!

Wdzięczną Ci jestem za doniesienie mi cośkolwiek o Antosiu. Wczorajszego dnia odebrałam Twój list i przyznam się, że tylko za nim oczekiwałam. Pojutrze wyjeżdżam i za 12 dni będę w Warszawie i za Ciebie uściskam Twoich rodziców i siostry. Pisz do nas ile razy tylko czas Ci pozwoli... Proszona jestem, abym do Ciebie pisała, polecając Ci Byczkowskiego, malarza, któremu stąd wyjechać kazano. Mało go znam, ale o ile tyle, zdaje mi się dobry człowiek, a co najwięcej za nim mówi, że nieszczęśliwy. Uważałam z listu Twego, że tylko przyrzekasz święcie dopełnić rozkazów moich k ł a m i ą c, bo nic, ani czyli wełniane pończochy do pantofli nosić będziesz, ani czyli przed 11-tą spać się kłaść będziesz, nie piszesz: tylko, żeś już pani Nakwaskiej, jak Kunzel, skłamał. A propos, Kunzel już powrócił; dąsa się, żeś u Kasklów nie był i na mnie się o Ciebie wiele osób krzywi; i kredyt przez Ciebie stracę. Tak to na tym świecie. Marya prosi bardzo, abyś pantofle nosił codzień i, jeżeli jaką okazyę znajdziesz, o nowe romansiki, które zapewne na Nowy Rok padać będą. Józia dosyć spokojnie zostaje, cieszy się na nasz powrót i obiecuje wiele. Mój Boże, czy tylko ja będę mogła przybyć tak, jakbym chciała, i gdzie! Nic nie wiem, czyli interes załatwiono, bo, jak powiadam, źli na mnie za Ciebie i tyle tylko Kaskel powiedział mi: *j'ai donné l'ordre*. Z Warszawy do Ciebie napiszę, a teraz powtarzam, abyś się ochraniał, a reszta wszystko dobrze (będzie). Pani Ossolińskiej ukłony od nas. Brat jej tu tylko na dzień jeden był, zdrów. Panna Mallet kłania ślicznie, o Grzymałę pyta: nieszczęśliwa pasya! Portret Twój tak znajduję podobnym, że Marya powiada, że to jej reputacyę artystki ustali. Odtąd zrobiła portret Maciejowej [1]) i Ciccarellego[2]), bo tak o to prosił; w dwóch seryach, podobny nadzwyczajnie. Wracam do Byczkowskiego. Jak go zobaczysz, nie zapomnij powiedzieć mu, że ja do Ciebie pisałam, i że go przez to już znasz. Izabelka Plater prosiła mnie, aby pisać do Ciebie, polecając Ci jego, a wiesz, że ja ją tak kocham, że nie wiem, czyli jest wielka różnica między nią i Maryą. Terenia często Cię wspomina: *elle bien des compliments*. Pani Mallet, Józia, Marya ślicznie kłaniają i wszyscy, wszyscy; Kazio, Paris, a ja ściskam Cię najczulej«.

Bardzo znamienne i pomyślne było zakończenie listu: oto p. Wodzińska, wypisawszy datę »2 października«, zamiast podpisać się, napisała i podkreśliła: »*Szara godzina*«. Znaczyło to, że list był pisany o zmroku, ale znaczyło również, że matka Maryi wciąż przemyśliwała o kwestyi »szarej godziny« t. j. o deklaracyi Chopina.

Wogóle list ten, niezależnie od kilku bolesnych wyrzutów, które zawierał, mógł być komentowany jaknajpomyślniej. Nietylko dlatego, że w nim p. Wodzińska »najczulej« ściskała Fryderyka, które to wyrażenie najlepiej określało sytuacyę, ale dlatego głównie, że w nim p. Wodzińska znów i jedynie kładła nacisk na zdrowie Chopina, radząc mu, »aby się ochraniał, a reszta wszystko dobrze« pójdzie. Jeśli się zważy, że w okresie czasu między 10 września a 2 października p. Wodzińska z pewnością porozu-

[1]) Wodzińskiej.
[2]) Metr śpiewu panien Wodzińskich w Dreznie.



miała się listownie z mężem w sprawie oświadczyn Chopina, to nie można dojść do innego wniosku, tylko, że i pan Wodziński, dowiedziawszy się od żony, co dnia 9 września zaszło o »szarej godzinie« między Maryą a Fryderykiem, w zasadzie nie miał nic przeciwko wydaniu córki za Chopina, ale wszystko czynił zależnem jedynie od jego zdrowia. Gdyby ojciec Maryi całą sprawę postawił na innym gruncie, np. na gruncie różnicy sfery, czego należało się obawiać najbardziej, z pewnością p. Wodzińska, pisząc dnia 2 października do Chopina, nie pisała-by mu z naciskiem, żeby się ochraniał, żeby szanował swe zdrowie, a »reszta wszystko dobrze«. Przez tę r e s z t ę należało rozumieć stanowisko pana Wodzińskiego, które, jak się okazało, nie wypadło na niekorzyść Fryderyka. Byle tylko był zdrów! Skoro się kochali, skoro w tem Marynia widziała swoje szczęście, to on, jako ojciec, nic nie może mieć przeciwko temu. Znając zacny i łagodny charakter p. Wodzińskiego i jego miłość do dzieci, jego nadzwyczajną sympatyę dla »Frycka«, musiało się dojść do takiego wniosku. Doszedł też do niego z pewnością i Chopin. Tem również tłómaczył się wstęp listu pani Wodzińskiej, dotyczący projektowanego wyjazdu za granicę, który to wyjazd już musiał być postanowiony z góry, skoro Józia »cieszy się na nasz powrót (do Drezna) i obiecuje wiele«. Gdyby p. Wodziński był zasadniczo przeciwnym wydaniu córki za Chopina, z pewnością byłby przeciwnym i temu wyjazdowi za granicę, bo Józia niekoniecznie musiała wracać już na wiosnę, a zresztą mogła wracać pod opieką p. Glińskiej. Najlepszy sposób, żeby w najdelikatniejszy sposób zerwać z Chopinem, był ten, żeby nie wyjeżdżać za granicę, a tem samem uniemożliwić spotkanie się z Fryderykiem. Skoro p. Wodzińska sama pisała parokrotnie, że z wiosną wybiera się za granicę, to temsamem dawała do zrozumienia Chopinowi, że nie wyklucza spotkania się z nim, podobnie, jak tego lata.

Że to brano w rachubę, że o tem musiało się mówić w rodzinie Wodzińskich, tego niezbicie dowodził przypisek Maryi, która nawet oznaczała termin spotkania się z Fryderykiem za granicą, mianowicie liczyła na to, że się spotkają w maju, a najpóźniej w czerwcu. Oto jej własne słowa:

Ślicznie dziękuję za autografy i p r o s z ę o w i ę c e j (to Mama kazała napisać). Teraz jaknajspieszniej jedziemy do Warszawy. Jakże się cieszę, że zobaczę całą rodzinę Pańską, a w roku przyszłym P a n a. Kazio bardzo wiele nam mówił o Łusi (i mimo wszystko, cobyś Pan mógł powiedzieć, bo wszak byłeś Pan przeciwnego zdania) znajduje, że do mnie podobna. Wielce mi to pochlebia, wszyscy bowiem uważają, że jest bardzo przystojna. Do widzenia, do m a j a lub c z e r w c a, albo później. Je recommande à Votre souvenir Votre très fidèle secrétaire.

*Maria.*

A więc »w roku przyszłym«, w maju lub czerwcu, Marya miała nadzieję zobaczenia Fryderyka. Znaczyło to, że wszystko było na najlepszej drodze, że już ta kwestya była omawianą w jej rodzinie, że już układano

stosowne projekty. Tymczasem »wierny sekretarz« zachęcał Fryderyka, żeby się nie lenił z pisaniem listów, żeby raz po raz dawał znać o sobie. Bo tak należało rozumieć prośbę o więcej autografów, przy których przesyłce zawsze wypadało napisać dłuższy lub krótszy list. Zresztą pani Wodzińska upoważniała go wyraźnie, żeby z nimi utrzymywał stosunek listowny. Wszak sama pisała mu w tymże liście: »Pisz do nas, ile razy tylko czas Ci pozwoli...« Wszystko to były wskazówki, całkiem uzasadniające optymistyczny sposób zapatrywania na sprawę »szarej godziny« i jej dalszych konsekwencyi. Widocznie, że oboje państwo Wodzińscy, uwzględniając uczucie, jakiem Marya zapłonęła ku Chopinowi, i ujęci jego europejską sławą, jego pierwszorzędnem stanowiskiem w najwyższych sferach towarzyskich, stanowiskiem, wobec którego korzyły się nawet koronowane głowy, godzili się na ten związek, pod warunkiem jednak, że zdrowie Chopina, które w tym roku tyle pozostawiało do życzenia, całkiem się poprawi, co zresztą, byle się ochraniał i prowadził hygieniczne życie, wcale nie było trudnem do osiągnięcia.

Wszystko to wprawiało Chopina w luby stan rozmarzenia, ale go chwilami przyprawiało również o lękliwe uczucie niepewności: raz mu się zdawało, że już jego losy rozstrzygnęły się stanowczo, raz znowu zaczynał powątpiewać o tem, zaniepokojony o czekającą go przyszłość. Co mu ta przyszłość przyniesie odnośnie do Maryi? Czy wszystko ułoży się według jego życzenia, czy też grozi mu bolesny zawód? Że sobie Chopin te pytania nieraz obracał w myśli, że nad niemi zastanawiał się często, że przytem nie miał pewności, jaką na nie życie da odpowiedź, tego dowiódł swą wizytą u słynnej ówczesnej wróżbiarki paryskiej, panny Lenormand, do której wielu polskich emigrantów, nie wyłączając Mickiewicza i Słowackiego, chodziło pytać o swą przyszłość, a do której i on poszedł w końcu, żeby mu coś powiedziała o jego projektowanem małżeństwie? Takie uchylanie zasłony przyszłości, o ile się je traktuje na seryo — a Chopin czynił to niewątpliwie — ma swoje dobre i złe strony: dobre, jeśli wróżba wypadnie pomyślnie, bo wtedy w serce wstępuje otucha, złe, jeśli kabalarka przepowie jakieś nieszczęście, bo wtedy w serce wstępuje zwątpienie. Cóż dopiero, gdy się po wróżby idzie w takiem uczuciu niepewności, w jakiem szedł Chopin, któremu panna Lenormand równie dobrze mogła przepowiedzieć pomyślne, jak i niepomyślne zakończenie sprawy jego małżeństwa z Maryą. Mogła mu wywróżyć szczęście lub nieszczęście: szczęście, gdy mu powie, że spełnią się jego marzenia o poślubieniu ukochanej, nieszczęście, gdy mu powie, że jego marzenia skończą się bolesnym zawodem, że jego ukochana zostanie żoną innego. Na to musiał być przygotowanym. Na szczęście, panna Lenormand — choć w tym razie nie okazała się jasnowidzącą — przepowiedziała mu »szczęśliwą przyszłość«, przez co oczywiście należało rozumieć jego szczęśliwe pożycie małżeńskie z Maryą. Tak



też zrozumiał to Chopin. Uradowany tą przepowiednią, w którą chwilowo uwierzył święcie, pełen nadziei i najlepszych myśli, nie omieszkał, pisząc do rodziny, opisać tej swojej wizyty u słynnej kabalarki, przyczem oczywiście podzielił się tem radosnem uczuciem, jakiem go przepoiła jej pomyślna wróżba. Okazało się jednak, że w Warszawie, wśród najbliższych Fryderyka, nie tak wielką wagę przywiązywano do tej przepowiedni, a pani Chopinowa wolałaby nawet, żeby jej »Frycek« nie chodził do takich prorokiń. »Jak to dobrze — pisała mu w tej kwestyi — że ta bogini przyszłości zapewne każdemu szczęśliwą zapowiada. Wierzę, żeś miał ciekawość ją widzieć, ale za wiele odwagi jej wyroczni słuchać, bo pomimo największego rozsądku, gdyby ci była co takiego przepowiedziała, z czegobyś był niekontent, mogłaby cię była zrobić na niejaki czas niespokojnym. Daj mi więc słowo, kochany Fryciu, że jej już więcej nie odwiedzisz«.

Że jednak Chopin wogóle w tych czasach był dobrej myśli o swej przyszłości, że wierzył w swą szczęśliwą przyszłość z Maryą, dowodziła natchniona muzyka do *Mojej pieszczotki* Mickiewicza, którą teraz właśnie, na początku 1837 r. skomponował. Samo się przez się rozumie, że, tworząc tę przecudną melodyę, przez s w o j ą »pieszczotkę«, nie rozumiał nikogo innego, tylko swoją narzeczoną. Jak *Walc F-moll* był napisany pour M-ele Marie, tak i ta *Moja pieszczotka* była natchniona marzeniem o Maryi Wodzińskiej.

Moja pieszczotka gdy w wesołej chwili
Pocznie szczebiotać i kwilić i gruchać,
Tak mile grucha, szczebioce i kwili,
Że nie chcąc słówka żadnego postradać,
Nie śmiem przerywać, nie śmiem odpowiadać,
I tylko chciałbym słuchać, słuchać, słuchać!

Lecz mowy żywość gdy oczki zapali
I pocznie mocniej jagody różować,
Perłowe ząbki błysną śród korali...
Ach! wtenczas śmielej w oczęta spoglądam,
Usta pomykam i słuchać nie żądam,
Tylko całować, całować, całować!

Wybór tego erotyku, tak sentymentalnego w pierwszej, a tak płomiennego w drugiej zwrotce, doskonale maluje ówczesny nastrój Chopina, melodya zaś, w jaką ubrał ten dość płochy wierszyk, melodya, pełna nietylko rzewnej melancholii, ale i temperamentu, doskonale oddaje to miłosne rozmarzenie, którem w tym czasie była przepełniona dusza zakochanego artysty. Można być pewnym, że komponując tę piosnkę, już z góry przemyśliwał o tem, jaką przyjemność sprawi nią »swojej pieszczotce«, gdy się spotkają na wiosnę, jak to miał obiecane.

Ale zdarzały się chwile, w których marząc o tej najbliższej wiośnie, nie wszystko widział w tak różowych kolorach, chwile, w których te roz-

mowy i pocałunki z »pieszczotką« bardziej mu się zdawały nieuchwytne, w których niekiedy sam nie wierzył w możliwość takiego szczęścia dla siebie. Wtedy mu pierś wzbierała uczuciem tęsknoty i smutku, a muzykalnym wyrazem tego smętnego uczucia, które mu raz po raz płoszyło sen z powiek, była żałosna melodya do *Wiosny* Witwickiego z jego *Piosnek sielskich,* skomponowana w ciągu 1837 r., prawdopodobnie na wiosnę, gdy marzenie o Maryi zaczynało stawać się nieziszczalnem.

Błyszczą krople rosy,
Mruczy zdrój po błoni,
Ukryta we wrzosy
Gdzieś jałówka dzwoni.

Piękną miłą błonią
Leci wzrok wesoło,
W koło kwiaty wonią,
Kwitną gaje w koło.

Paś się, błąkaj, trzódko,
Ja pod skałą siędę,
Piosnkę lubą, słodką,
Śpiewać sobie będę.

Ustroń miła, cicha!
Jakiś żal w pamięci,
Czegoś serce wzdycha,
W oku łza się kręci.

Łza wybiegła z oka,
Ze mną strumyk śpiewa,
Do mnie się z wysoka
Skowronek odzywa.

Jakiż ładny, chyży!
Ledwo widny oku,
Coraz wyżej, wyżej
Już zginął w obłoku.

Uleciał szczęśliwy!
Tam swą piosnkę głosi
I ziemi śpiew tkliwy
Do niebios zanosi.

Nie można powiedzieć, żeby to była jedna z najudatniejszych pieśni Chopina, żeby, jako inwencya muzyczna, mogła się mierzyć z *Moją pieszczotką,* ale jeżeli chodziło o wyrażenie pewnej beznadziejności, to ją ta smętna, dość monotonna melodya oddawała nie bez patosu nawet. Że się nie umywała do *Mojej pieszczotki,* nic dziwnego: tamta była pełną optymizmu, w tej panował pessymizm, tamta tchnęła nadzieją, od tej wiało zwątpieniem, tamta była przypływem uczucia szczęścia, ta równała się odpływowi wszelkich złudzeń, tamta roiła o miłości i pocałunkach, ta nie spodziewała się niczego...

Tymczasem p. Wodzińska z dwiema córkami, Maryą i Teresą, pod opieką syna swego, Kazimierza, opuściła Drezno, udając się do Warszawy, ażeby zdążyć na ślub drugiego ze swych synów, Feliksa, żeniącego się z panną Łucyą Wolicką, córką Konstantego Wolickiego z Ciechocinka. Ślub miał się odbyć w Warszawie dnia 15 października. Przybywszy do Warszawy, gdzie się zjechała z mężem, pani Wodzińska niewątpliwie rozmówiła się z nim — o czem już pisała uprzednio — w sprawie małżeństwa Maryi z Fryderykiem, to zaś, co uradzili wspólnie, wypadło po myśli Chopina; najlepszy dowód, że i oboje państwo Wodzińscy i Maryá, za tej bytności w Warszawie, zamiast stronić od rodziny Chopina (coby niewątpliwie uczynili, gdyby myśleli o zerwaniu z Fryderykiem), przeciwnie, starali się być z uprzedzającą grzecznością, zarówno dla rodziców Chopina, jak i dla jego sióstr i szwagrów. Nastąpiła kilkakrotna wymiana wizyt, a choć pani Wodzińska, jak to z góry zapowiedzała Fryderykowi, nic nie wspomniała o »szarej godzinie« (o której zresztą państwo Chopinowie już byli dokładnie poinformowani przez syna), to jednak obie strony były z wielką serdecznością dla siebie, bo choć nie poruszano najważniejszej sprawy, mającej być łącznikiem pomiędzy obu rodzinami, to przecież myślano o niej nieustannie, tak, że ona właściwie nadawała ten ton serdeczności, z jaką obie strony odnosiły się względem siebie.



O tej serdeczności świadczyły między innemi także i dedykacye, które Marya wypisała na litografowanych portretach Fryderyka, odbitych w Dreznie według jej maryenbadzkiej akwareli, a ofiarowanych teraz przez nią zarówno rodzicom Chopina, jak i jego siostrom.

Portret Fryderyka, który otrzymali państwo Chopinowie, nosił następującą dedykacyę:

*Rodzicom Jego*
*wdzięczna za Ich łaskawą dla nas przychylność*
*Marya Wodzińska.*

Takież same portrety ofiarowała Marya »w dawód szczerego przywiązania« obu siostrom Fryderyka, Ludwice Jędrzejewiczowej i Izabeli Barcińskiej.

Jednem słowem, wszystko było na jaknajlepszej drodze. Reszta zależała tylko od zdrowia Chopina. Wobec takiej alternatywy nie pozostawało mu nic innego, tylko zastosować się do życzliwych rad, zawartych w ostatnim liście pani Wodzińskiej, co wprawdzie miało swoje ujemne strony pod względem światowym, ale za to w konsekwencyi przynosiło małżeństwo z Maryą. O ile Chopin, po otrzymaniu listu pani Wodzińskiej, zaczął stosować się do jej macierzyńskich »rozkazów«, i czy one odniosły jakikolwiek skutek wogóle, trudno orzec; w każdym razie, odpisując dnia 1 listopada 1836 r. na list p. Wodzińskiej zapewniał ją, że »w świecie« bywa tylko do 11-tej, a o pantoflach... myśli na równi z szarą godziną,

[1]) W swym liście do syna pani Chopinowa wspomniała o tej wizycie Wodzińskich. Oto odnośny wyjątek:

Pani Wodzińska mówiła mi, żeś jej obiecał wcześnie spać chodzić, z czego mocno się cieszyłam, bo to dla Twego zdrowia potrzebne; jednak nie dotrzymałeś danego jej słowa. Osobliwie teraz, kiedy tak mocno grypa panuje, i niewywczas i zaziębienie są największe przyczyny łatwego nabycia tej choroby, strzeż się ich, kochane dziecko, a szczególniej zaziębienia. Pisuj do nas często, bo wierz mi, że jak miesiąc upłynie, a listu niema od Ciebie, to każde z nas jedno drugie oszukuje i wynajduje przyczyny, tłómaczące Cię, dlaczego nie piszesz, aby się zaspokoić nawzajem, a w duszy co innego myśli.

czyli, że ich jeszcze nie zaczął nosić. O *l'eau de gomme* jakoś zapomniał napomknąć, co pozwala się domyślać, że nawet nie myślał o jej piciu. Natomiast zapewniał panią Wodzińską, że myśli i pamięta o swem słabem zdrowiu, od którego uzależnionem widział swe przyszłe szczęście. W tym duchu też wypadł jego list do p. Wodzińskiej. List ten, służący »tylko za kopertę« listowi Antoniego Wodzińskiego, pisanemu z obozu w Pampelunie, już był adresowany do Służewa (za pośrednictwem domu handlowego J. G. Adolpha w Toruniu), a brzmiał w całości, jak następuje:

Paryż, dnia 1 Nov. 1836.

J. W. i Najłaskawsza Pani!

Posyłam list z Pampeluny przez Antosia podpisany. Wziąłem się na sposób pani Diller i szczęśliwie jakoś się udało. Osnowa tego listu zdaje mi się, że przyspieszyła podpis, a dzięki Wincentego[1]) przypiskowi może Pani widzieć, że Antoś ten co zawsze, że go kochają i o nim pamiętają, że Mu dobrze, o ile dobrze być może, że nie sam. Niecierpliwie tego listu oczekiwałem, a tymczasem Państwu zszedł czas na błogosławieństwach, bo Feliks już pewno po ślubie, a ślub się wesoło i suto odbył i pewno tańcowano i zdrowia spełniano, parę dni wizyty oddawano, przyjmowano itd. itd. Czemuż to nieprawda o tych zwierciadłach wszystko przedstawiających, o tych pierścieniach przenoszących tam, gdzie myśl zasięgnie, i moich rodziców, dopytujących się o mnie... Pana Byczkowskiego jeszcze niema. Przyjmę go, jak tylko będę mógł najlepiej. Szczęśliwym, że mój list dzisiejszy jest tylko kopertą Antosiowego: inaczej nie wiele-by sam przez się Pani powiedział, przynajmniej co do ilości rzeczy; dziś jakoś mi nowiny pod pióro leźć nie chcą. Wszystkich Świętych autograf jednakże, Antosia i pani Antalowej, ratują mnie. Nie posyłam innych sekretarzowi, bo się boję listu obciążyć. Ku zimie z nutami razem nadeszlę. Pani Zofia zawsze Państwa kocha i z prawdziwą uciechą wspomina. Cicholo, mój sąsiad teraźniejszy, często o Panią się dopytuje... Czemu to już dwunasta? O dwunastej trzeba na lekcyę, a tak aż do szóstej, a potem na obiad, a z obiadu na wieczór w świat (do 11-tej). Jak Panią szanuję, nie kłamię, tylko o pantoflach myślę i gram na szarą godzinę... Niech Pani będzie łaskawa słowo mi rzuci na pocztę, czy Antosiowy list doszedł.

Najprzywiązańszy
*F. Chopin.*

Panu Wodzińskiemu moje uszanowanie złożyć upraszam. Sekretarzowi, że się niewymownie cieszę, że pisać nie zapomniał, że się spodziewa, że nie zapomni, że z Heidlerem nie jest w stosunkach. Co do Feliksa, pewno go dziś nie obchodzi żadnych ludzi przypomnienie się. Kazia ściskam, a Teresi, prócz mojego rączek ucałowania, niech panna Marya będzie łaskawa wytłómaczyć, że Madmazel il melankolizuje za nią, co zobaczy małe dziecię, smutnie wykrzykuje na pa sa, pa sa; u e le pti Tere ski e si żantil! Wszystkim Państwu zdrowia, w Służewie, w okolicach, jako też i w Dreźnie. Jeżeli sobie pani Glińska mnie przypomina, moje ukłony i pannie Teresi.

Zawarta w liście tym wzmianka o »szarej godzinie« świadczyła, że pomimo wymówek, zasłużonych zresztą, jakie mu się dostały od pani Wodzińskiej, naogół był Chopin pełen nadziei i otuchy, przekonany, że jego sprawa stoi jaknajlepiej. A że mu i zdrowie na razie dopisywało, więc

[1]) Skarzyńskiego.



o tem tylko myślał nieustannie, jak to będzie, gdy nareszcie spotka się z Maryą w maju lub czerwcu, gdy się zaręczą... Tymczasem w dalszym ciągu korespondował z panią Wodzińską, na co otrzymywał dłuższe lub krótsze listy od niej, zawsze opatrzone przypiskami Maryi. Ponieważ okazało się, że to, co Kazimierz Wodziński opowiadał o fortepianie służewskim, było najrzetelniejszą prawdą, więc napisano do Chopina, ażeby wybrał ładny fortepian u Pleyela i wysłał go drogą morską do Gdańska, skąd już zostanie dostawiony do Służewa. Chopin niezwłocznie spełnił to zlecenie, a pisząc z tego powodu do p. Wodzińskiej (przyczem wysłał pakiet swych świeżo wydanych kompozycyi dla Maryi, wraz z kilkoma nowemi autografami sławnych ludzi) nie omieszkał zaznaczyć, że ostatni list, który otrzymał ze Służewa, wydał mu się jakiś dziwny w tonie, był jakiś inny, niż poprzednie, jakiś oschły i chłodny, prawie wyłącznie w interesie tylko, całkiem pozbawiony drobnych szczegółów i wiadomości domowych, rodzinnych, osobistych. Nic w nim nie było wspomniane o nikim, a przez tego nikogo z pewnością należało rozumieć Maryę. Cóż dziwnego tedy, że mu to dało do myślenia, że go przejęło obawą, czy może w Służewie nastąpił jaki zwrot na jego niekorzyść...

Obawy te, łatwo zrozumiałe w położeniu Fryderyka, jeszcze zostały spotęgowane głuchem milczeniem ze strony p. Wodzińskiej, która zamiast odpisać zaraz, jak to czyniła zwykle, nie spieszyła z odpowiedzią. Mijały tygodnie, minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, a z takiem upragnieniem oczekiwany list ze Służewa, jak nie przychodził, tak nie przychodził. Stąd całkiem uzasadniony niepokój Chopina... Nie musiało to być bez powodu! Coś widocznie ważyło się w kwestyi »szarej godziny«. Wszak wypadało poprostu, żeby mu podziękowano za załatwienie sprawy z fortepianem, nie mówiąc już o tem, że mu się należało choćby kilka słów podziękowania za przesłane nuty, za cenne autografy, między którymi były i takie, jak Heinego, d'Arlincourta, Custine'a. Tymczasem nie kwapiono się z takiem podziękowaniem, lecz milczano uporczywie, co nawet zakrawało na brak delikatności. Nie można się dziwić, że wnioski, które Fryderyk wyciągał z tego uporczywego milczenia, były zaprawne pesymizmem.

Nareszcie, w pierwszych dniach lutego, nadszedł list od pani Wodzińskiej, datowany ze Służewa dnia 25 stycznia 1837 roku, list cierpki dosyć, z przykremi wymówkami, tyle tylko, że osłodzony serdecznym przypiskiem Maryi.

Mój poczciwy Frycku!

Odebraliśmy dawno i bardzo dawno Twój list, a wkrótce potem paczkę z nutami, za które ja dziękować nie będę, ale połaję. Jakże można było posyłać Kepsach! Również o fortepianie pisząc, nie napisałeś, ile Ci przesłać, a to tutaj wcześniej wiedzieć trzeba, aby na to uzbierać. Prosiłabym Cię również o doniesienie nam, gdzie do Gdańska zaadresowany, bo wyrachowałyśmy, że gdyby tylko Adolph był stamtąd uwiadomonym o nadej-

ściu onegoż, natychmiast bym stąd furę wysłała do Gdańska; to stąd tylko 25 mil jest, a zatem przed wiosną jużby tu być mógł. Tu u nas smutno bardzo; od powrotu naszego z Warszawy nigdzie krokiem nie ruszyliśmy się, ani też nie mieliśmy gości. Młodzież, to jest mąż mój, Feliksowie i Kazio jeżdżą i hulają, bo proszę wierzyć, że i w tej okolicy są bale, koncerta i teatra. My tylko starzy, to jest ja, Marya i Teresia, pędzimy dni samotnie na zamku, a zegar mocniej niż kiedy bije i przypomina czas spoczynku lub pożywienia, bo innego zatrudnienia mieć nie możem brakiem fortepianu, ołówków, książek, etc. A propos ołówków, Teresia przesyła własnej swej pracy rysunek i *faire bien des compliments* poleciła. Pozostaje mi jeszcze prosić Cię o doniesienie mi, czyli p. Dzierożyński nie znajduje się w Paryżu, lub czyli tam nie był i gdzie teraz być może. To mecenas z Warszawy, ale że 1000 fr. przy nim zostało jednej biednej osóbki, dlatego tak się troskliwie o niego dopytuję. Autografy przedziwne, przypisek Heinego i d'Arlinconrt bardzo mi miły, również bilecik Custine'a. Ostatni list mój nie wiem jaki był, ale że nic nie wspomniałam o nikim, to może była przyczyna, że ten list prędzej odesłać byłam przymuszona, niźli sądziłam; bo tak zawsze bywa, skoro przyjdzie leśniczy, to ciągle wołają: spiesz się, bo to trzy mile poczta. Tak się właśnie dziś dzieje; ani czasu nie będę miała odczytać, czyli głupstwa jakiego nie napisałam. Pani Glińska ciągle w Dreznie. Józia również oczekuje mnie tam, a tu nie wiem, kiedy ja się wybrać zdołam. Adieu, drogi mój Frycku.

Szczerze Cię kochająca
*T. W.*

O kochanka[1]) teraz jeszcze ostrożniej trzeba się dowiadywać.

Co w tym liście mogło uderzyć Chopina? W każdym razie był to list niemiły, dziwnie oschły w treści, bez źdźbła serdeczności w tonie, a miejscami poprostu niegrzeczny, niedelikatny. W ten sposób nie pisze się nawet do syna biednego nauczyciela liceum, utrzymującego pensyonat, ani do młodego muzyka, żyjącego z lekcyi na fortepianie, choćby się nawet było wielką damą, jak p. Wodzińska, jeżeli się ma wrodzoną delikatność uczuć, nie mówiąc już o dobrem wychowaniu. Cóż dopiero, gdy się pisze do Fryderyka Chopina, już podówczas przez cały świat uznanego za pierwszorzędny geniusz muzyczny, już podówczas mającego sławę europejską, przez wszystkich uważanego za największego z pośród żyjących kompozytorów, za wielkiego reformatora fortepianu, za pianistę, z którym mierzyć się nie mogli ani Thalberg, ani Liszt! Tymczasem list p. Wodzińskiej, zwłaszcza w swej pierwszej połowie z »połajaniami«, był pisany takim tonem, jak się zwykło pisać do niegrzecznego ucznia, do malca, którego się nie traktuje na seryo, a więc lekceważy, przyczem podobny ton może uchodzić rodzicom, nigdy osobie obcej. Dziwić się należy, że osoba tak światowych manier, jak p. Wodzińska, mogła być tak mało delikatną, że nie czuła całego nietaktu podobnych »łajań«, że sobie na nie pozwalała w liście do Chopina, który już był przyzwyczajony do otrzymywania listów, pisanych w całkiem odmiennym tonie, i to pisanych przez osoby, które pod względem urodzenia o wiele wyżej stały w heraldycznej hierarchii,

[1]) Antoniego Wodzińskiego



aniżeli p. Wodzińska, a które mimo to, pisząc do Fryderyka Chopina, doskonale pamiętały o przestrzeni, jaka arystokracyę rodową, choćby niewiedzieć jak umitrzoną i uherbioną, ale indywidualnie nie wyróżniającą się niczem nadzwyczajnem, dzieli od duchowych arystokratów tej miary i geniuszu, co Fryderyk Chopin. Szkoda wielka, że p. Wodzińska nie czytała listów np. margrabiego de Custine, które pisywał do Chopina, albowiem nauczyła-by się z nich, w jakim tonie należało utrzymywać listy do niego. Chopin istotnie okazał się bardzo »poczciwym«, kiedy na podobny ton nie reagował odpowiednio, kiedy tego rodzaju »połajania« przyjmował pokornie, bez szemrania. W każdym razie można powątpiewać, czy mu ten strofujący list z »połajaniami«, jak i poprzedni z wyrzutami, że »kłamie«, były miłe. Nie każdy-by zniósł podobny sposób traktowania... Widocznie, że p. Wodzińska, choć dlań była »szczerze kochającą«, ciągle go jeszcze uważała, jako człowieka nie ze swojej sfery, jako nizkiego urodzenia. Że był geniuszem, to jeszcze nie zmieniało faktu, że nie był polskim szlachcicem, że nosił obce nazwisko! Bo nawet własny ojciec Chopina — coprawda odznaczający się wielką wrodzoną delikatnością — nigdy w tak ostry i przykry sposób nie zwracał się do niego, nawet wtedy, gdy miał powód do narzekania, do wymówek, rozumiał bowiem, że tak wyjątkowego syna, jak Fryderyk, nie godzi się traktować tak samo, jak zwykłego młodzieńca w jego wieku, lecz przestrzegać pewne względy, do których, jako człowiek obdarzony geniuszem, ma najzupełniejsze prawo. Na szczęście, Chopin, w »poczciwości« swojej, nie zwracał na to uwagi, ani myślał brać do serca, że doń pisano tak, jak nawet do zwyczajnego »Frycka« nie zawsze pisać się powinno.

Co gorsza, że list ten, poddany odpowiedniej analizie, ujawniał i inne oznaki, mogące wzbudzić pewien niepokój. Oto np. pani Wodzińska miała dziwny sposób korespondowania ze swym przyszłym zięciem, ze swym, jak go sama nazywała »czwartym synem«. »Pędząc dni samotne na zamku«, pozbawiona wszelkich rozrywek, a więc rozporządzając ogromną ilością wolnego czasu, nigdy nie pomyślała o tem, żeby w spokojnej chwili napisać porządniejszy list do Chopina, żeby mu odpisać na jego ostatni list, a przytem w serdecznych słowach podziękować za nadesłane nuty i autografy, słowem, żeby napisać taki list, jaki mu się, jako przyszłemu synowi, od »szczerze kochającej m(atki)« należał, ale doń pisała wtedy jedynie, gdy miała jakiś interes, przyczem pisała aby zbyć, na kolanie, w ostatniej chwili, gdy już leśniczy przychodził z zapytaniem, czy niema czego na pocztę, tak że w pospiechu »nie miała czasu odczytać, czyli głupstwa jakiego nie napisała«. Było to lekceważenie, do którego nawet nie powinna się była przyznawać otwarcie, a jeżeli się przyznawała, to temsamem mimowoli dawała dowód jeszcze większego lekceważenia. Do kogoś bowiem, kogo się nie lekceważy, nie posyła się listu nieprzeczytanego, w którym mogą się

znaleźć nieodpowiednie »głupstwa«. Powtóre, kiedy się koresponduje ze swym »czwartym synem«, cóż dopiero, gdy tym synem jest Chopin, z którym sama znajomość już jest zaszczytem, to od czasu do czasu powinno się napisać list, nie wywołany żadnym interesem, lecz podyktowany jedynie psychiczną potrzebą wymiany myśli, doniesienia o sobie, wyrażenia uczuć »przychylności«, dania dowodu pamięci, chęcią otrzymania bliższych wiadomości o danej osobie, etc. Tylko do swego oficyalisty pisze się wtedy jedynie, gdy chodzi o to, żeby załatwił jakiś interes. Do przyjaciela osobistego, do przyjaciela rodziny, a cóż dopiero do kogoś, kogo się uważa za swego »syna«, a któremu się obiecało dać córkę, niezawsze pisze się tylko w interesie; przeciwnie sama delikatność nakazuje wtedy, ażeby regułą były listy dla listów, bez jakichkolwiek zleceń, a wyjątek, i to niezbyt częsty, stanowiły listy, wywołane jakimś interesem. Tymczasem p. Wodzińska, ile razy pisała do Chopina, i to już po »szarej godzinie«, nigdy tego nie uczyniła bezinteresownie, przeciwnie, zawsze do niego miała jakiś interes, którego gdyby nie miała, z pewnością nie zdobyła-by się na list. Najlepszy dowód, że gdy nie miała do niego interesu, całymi tygodniami nie odpisywała na jego list, choćby nawet należało się podziękowanie za jakąś wyświadczoną uprzejmość. Wszystkie, zresztą nieliczne listy, które pisała do Chopina, były spowodowane jakimś interesem, który on miał załatwić w Paryżu. Raz pisała dlatego, że na jego ręce przesyłała pieniądze dla Antoniego; to znów pisała dlatego jedynie, bo »była proszona, aby pisała do niego, polecając mu malarza Byczkowskiego«; innym razem pisała w sprawie kupna fortepianu; a ostatni list znowu przynosił szereg interesów do załatwienia, tak zupełnie, jakby Chopin nic lepszego nie miał do czynienia; najprzód pisało mu się, żeby doniósł, »pod jakim adresem wysłał do Gdańska fortepian«, a następnie prosiło się go o zasięgnięcie informacyi o panu Dzierożyńskim, »czyli nie znajduje się w Paryżu, lub czyli tam nie był, i gdzie teraz być może?« Nic więcej, tylko tyle! Istotnie należało być bardzo przeświadczonym o usłużności »poczciwego Frycka«, ażeby do niego zwracać się z takimi interesami, ażeby tak mało szanować jego czas i zajęcia! Za to, gdy był prawdziwy powód do napisania listu do Fryderyka, np. po wizycie u jego rodziców i sióstr w Warszawie, wtedy p. Wodzińskiej jakoś nie przyszło na myśl, że jej »czwarty syn« mógł-by być ciekawym listu od niej.

Co się tycze listu z dnia 25 stycznia, to przedewszystkiem i w tym liście, jak i w poprzednim, choć Chopin użalał się na to, p. Wodzińska »nic nie wspomniała o nikim«, t. j. nie nadmieniła w zakończeniu, czy np. pan Wodziński przesyłał pozdrowienie dla »poczciwego Frycka«, czy się pytał o niego, czy mu życzył zdrowia, etc. Stąd jakaś oschłość i chłód całego listu, co z pewnością nie uszło baczności Chopina. Co też go mogło przejąć niepokojem, że pani Wodzińska nic nie pisała o projektowanem



spotkaniu się na wiosnę. Już był koniec stycznia, a ona, choć Józia oczekiwała ją w Dreznie, »nie wiedziała jeszcze, kiedy się wybrać z d o ł a«. Czyli, że ten wyjazd mógł uledz zwłoce, coby stanowczo było złym znakiem. Tego się mógł obawiać Chopin.

Na szczęście przypisek Maryi, znajdujący się na końcu listu, w znacznej części rozwiewał te obawy. Dosyć serdeczny w tonie, wyrażający nadzieję zobaczenia się — choć już nie wyznaczał terminu spotkania — i zapewniający o wierności uczuć, brzmiał on, jak następuje:

Mama połajała, a więc ja dziękuję, ślicznie dziękuję, a jak się zobaczymy, to jeszcze ładniej podziękuję. Znać, żem bardzo leniwa do pisania, bo to odłożenie do zobaczenia zwalnia mnie z wielu słów teraz. Mama opisała tryb życia naszego, więc już mnie nic nowego nie pozostaje do doniesienia: chyba to, że mamy odwilż. Wielka nowina, nieprawdaż? Życie spokojne, jakie prowadzimy tutaj, jest tem, czego mi potrzeba w tej chwili; nie chciałabym jednak, żeby zawsze takiem było. Człowiek, poddając się losowi, wybiera, co może najlepszego, gdy nie może być inaczej. Zajmuję się nieco dla zabicia czasu. Mam w tej chwili w ręku *Niemcy* Heinego, które mię niezmiernie interesują. Lecz trzeba kończyć i Pana łasce Boskiej polecić. Myślę, że chyba nie potrzebuję raz jeszcze zapewniać Pana o uczuciach Jego wiernego sekretarza

*Marya.*

Mimo to uroczyste zapewnienie, cały przypisek był ogromnie czczy i bez treści; niepotrzebnie przynosił »ważne wiadomości« o... pogodzie (o której, jak wiadomo, mówi się wtedy jedynie, gdy komuś wogóle niema się nic do powiedzenia), a już całkiem zbytecznem było otwarte przyznanie się Maryi, że jest »bardzo leniwą do pisania«. Nie bywa się nią zwykle, gdy chodzi o korespondencyę z człowiekiem, którego się kocha; a jeśli się jest nią istotnie, w takim razie nie pisze się o tem »lenistwie« swemu ukochanemu.

Cokolwiekbądź, jedno zdawało się nie ulegać wątpliwości, sądząc z tonu ostatnich listów pani Wodzińskiej i jej córki, że po przybyciu do Służewa zaczęto ostygać w zapale dla Chopina, co mu nawet p. Wodzińska lekko dawała uczuć w swych bardzo bezceremonialnych »połajaniach«, przyczem zdawała się czuwać także i nad Maryą, ażeby w swych przypiskach pisywała za mało raczej, niż za wiele... Czytając te listy, niewątpliwie ma się to wrażenie. Czy je miał również Chopin? Zbyt był przenikliwym, żeby tego nie wyczuć w tych listach, czemu zresztą dał wyraz, kiedy się skarżył w swym ostatnim liście do p. Wodzińskiej, że jej list był nie taki, jak poprzednie, że w nim »nic nie wspomniała o nikim«, co mu zaraz dało do myślenia... Wszystko to świadczyło niedwuznacznie, że Fryderyk doskonale oryentował się w sytuacyi, że domyślał się, co sobie myślano w Służewie, że choć pani Wodzińska zaangażowała się w sprawie »szarej godziny«, to jednak naprawdę nie zobowiązała się do niczego, że

wszystko czyniła zależnem od okoliczności, od jego zdrowia, a to zdrowie ciągle pozostawiało wiele do życzenia...

Na domiar złego, w lutym 1837 r., wkrótce po otrzymaniu listu ze Służewa, zachorował Chopin poważnie. Zapadł na grypę, która o tym czasie panowała w Paryżu, ale kiedy dla innych nie było to nic nadzwyczajnego, dla niego ta »grypa« poprostu stała się katastrofą, powaliła go z nóg na kilka tygodni. Kaszlał strasznie, przyczem znowu pojawiła się krew, bardzo często nie mógł mówić z powodu dokuczliwej chrypki, przez parę tygodni musiał leżeć z łóżku, w atmosferze lekarstw, baniek, wizykatoryi, pod opieką kilku lekarzy, którzy sami nie wiedzieli, co myśleć o tej chorobie, czy to była tylko ciężka »grypa«, czy też początki suchot? W każdym razie na lato kazali mu jechać do Ems... Wszystko to ogromnie krzyżowało jego projekty, a jak w danej chwili było wprost fatalnem. Co powiedzą na to Wodzińscy? Wszak wszystko czynili zależnem od jego zdrowia, a tymczasem to zdrowie popsuło się nagle, i to w sposób zastraszający. Być może, że gdyby słuchał »rozkazów« p. Wodzińskiej, gdyby nosił wełniane pończochy, chodził spać o 11-tej, pił *l'eau de gomme,* nie doszłoby do tego, nie nabawiłby się tej nieszczęsnej grypy. Ale stało się, trudno! Teraz wypadało liczyć się z konsekwencyami własnej lekkomyślności.

Oczywiście, że wiadomość o jego chorobie, najprzód rozszedłszy się po Paryżu, niebawem przedostała się i do Warszawy, a nie ominęła i Służewa, dokąd ją mogły przesłać dwie przyjaciółki pani Wodzińskiej, panie Nakwaska i Ossolińska, z któremi Chopin przyjaźnił się w Paryżu. Że ta wiadomość o poważnej chorobie Fryderyka, chorobie, którą wielu uważało za pierwsze objawy suchot, bardzo mu zaszkodziła w Służewie, że najfatalniejszy wpływ wywarła na rodziców Maryi, a poniekąd i na nią samą, że był to wystarczający powód, ażeby p. Wodzińska mogła się uważać za zwolnioną ze wszelkich zobowiązań i przyrzeczeń, zaciągniętych względem Fryderyka, że, zdaniem jej — słusznem zupełnie — człowiek w tym stanie zdrowia, co Chopin, powinien myśleć o kuracyi, a nie o małżeństwie, że takie małżeństwo z człowiekiem, zagrożonym suchotami, nie przedstawiało żadnych gwarancyi szczęścia, zwłaszcza dla takiej panny, jak Marya, młodej, zdrowej, silnej, pełnej temperamentu, rwącej się do życia i użycia, i że podobne kwestye musiano poruszać w Służewie, z tego sobie Chopin doskonale zdawał sprawę. Rozumiał, że sprawa zaczynała przybierać fatalny obrót, że wobec nacisku, jaki Wodzińscy kładli na jego zdrowie, o które tak się lękali od pierwszej chwili, powinien być przygotowanym na wszystko najgorsze.

Naturalnie, że pisząc do Służewa, przyczem sam pewno nie omieszkał donieść, że zachorował na grypę, ale już powoli wraca do zdrowia, nie zdradzał się ze swemi obawami i podejrzeniami, a natomiast starał się podać najwięcej wiadomości o Antonim Wodzińskim, który obecnie bawił



w Saragossie, ale nic nie pisał o sobie, ani do Chopina, ani do któregokolwiek ze znajomych w Paryżu, co bardzo niepokoiło wszystkich, a szczególnie jego rodzinę w Służewie. Stąd zapytania do Chopina, czy nie miał czegoś pewnego o Antosiu? Jednocześnie w Służewie przywdziano żałobę, gdyż umarła stara p. Wodzińska, babka Maryi. Dowiedziawszy się o tem, Chopin, dopisując się do listu pani Nakwaskiej, również pospieszył z kondolencyą, obiecując przytem, że gdy tylko otrzyma wiadomość z Saragossy, zaraz ją przeszle do Służewa. Dopisek ten, datowany dnia 2 kwietnia 1837 r., brzmiał, jak następuje:

Korzystam z pozwolenia pani Nakwaskiej, by przypisać parę słów. Od Antoniego spodziewam się wiadomości własnoręcznych. Zaraz Pani przeszlę, chociażby jeszcze szczególniejszy list, aniżeli ten, w którym się Wincenty dopisał. Upraszam Panią o spokojność o niego. Dotychczas w mieście (w Saragossie) siedzą wszyscy. Detaliów nie mamy żadnych, bo każdy z piszących o sobie w szczególności donosi. Zapewne już mój list z tego miesiąca w Służewie i uspokoił Panią, ile można, o tym Hiszpanie, co m u s i, m u s i mi parę słów napisać. Nie będę się rozpisywał, ile mnie zasmuciła nowina straty Matki Państwa: nie dla Niej, bo nie znałem, ale dla Państwa, których znam (konsekwencya!). Przyznam się Pani, że napadł mię moment, na kształt tego w Maryenbadzie przy książce panny Maryi, na której przez 100 lat nie byłbym nic napisał. Są dnie, którym rady nie wiem. Dziś wolałbym być w Służewie, niż pisać do Służewa, więcejbym powiedział, niżelim napisał.

Przywiązany
*F. Ch.*

Panu Wodzińskiemu moje uszanowanie. Pannie Maryi, Kaziowi, Teresi, Feliksowi.

»Są dnie, którym rady nie wiem«. W tych słowach było wszystko, przez co Chopin przechodził w tych czasach, wszystkie obawy i troski, wszystkie niepokoje i zwątpienia o sobie, wszystkie spleeny i rozpacze, które szarpały jego i tak już skołataną duszę. Widocznie, że listy, które otrzymywał ze Służewa, a które dotyczyły głównie Antosia, upoważniały do najrozmaitszych podejrzeń, nie upoważniając do optymizmu.

W takich warunkach otrzymał Chopin list od Antoniego Wodzińskiego, a że był to list z pomyślnemi wiadomościami, więc go zaraz przesłał do Służewa, sam przy tej sposobności pod datą 14 maja dopisując, co następuje:

Najłaskawsza Pani!

Otóż i parę słów od Antona. Spieszę przesłać Państwu to świadectwo jego zdrowia i dobrej myśli. Nie czekając na odpowiedź ze Służewa, zaraz mu stosownie do jego życzeń odpiszę. O smutku domowym [1]) nie wspomnę i zapewne odbiorę list detaliowy, jak, gdzie i co zamyśla (który znów, jak ten, przeszlę). Nie piszę nic więcej, bo poczty nie chciałbym opuścić; zresztą wszystko-by zbladło przy kartce Antoniego.

Najprzywiązańszy
*F. Chopin.*

Panu Wodzińskiemu moje uszanowanie. Pannie Maryi przypominam, żeby parę słów bratu przypisała. Kazia i Teresię ściskam. Feliksostwu ukłony.

[1]) O śmierci babki.

Nie upłynęło parę tygodni, gdy Chopin otrzymał nowy list z Hiszpanii, ale tym razem nowiny brzmiały fatalnie. Pisał mu Antoni Wodziński, że jest ranny, że leży w szpitalu, że jest zrozpaczony, że nie wie, co począć, że chyba wstąpi do wojska Hiszpańskiego, bo inaczej umrze z głodu, że jest bez grosza, że prosi o zasiłek, etc. etc. Ażeby go choć cokolwiek pocieszyć w strapieniu, napisał do niego Fryderyk obszerny list, w którym, obok mnóstwa szczegółów o wspólnych znajomych paryskich, obok istnej kroniki bieżącej, pełnej krotochwilnych spostrzeżeń na marginesach, tak mu pisał między innemi:

Moje ty życie kochane!

Rannyś, daleko od nas, a ja Ci w ten moment nic posłać nie mogę. Twoi o Tobie tylko myślą i myślą... Na Boga, tylko wyzdrowiej i wracaj. Dzienniki mówią, że wasza legia zupełnie rozbita. Nie chodź do wojska hiszpańskiego; (pomnij), że Twoja krew na coś lepszego przydać się może... Tytus (Wojciechowski) do mnie pisał, żeby się z nim gdzie w Niemczech zjechać. Chorowałem znowu w zimie na grypę i do Ems mnie wysyłają. Dotychczas jeszcze nie myślę (o tem), bo nie mogę ruszyć (się w podróż). Piszę i gotuję manuskrypt. O Tobie więcej myślę, jak ci się zdawać może i kocham Cię, jak zawsze... Wierzaj mi, że pamiętam o Tobie, jak o Tytusie. Pojadę może na parę dni do George Sand, ale to Twoich pieniędzy nie spóźni, bo Jasiowi instrukcyę na te trzy dni zostawię.

To, co Chopin pisał w tym liście do Antoniego Wodzińskiego, doskonale malowało jego ówczesny nastrój. Dwie myśli dominowały w tym nastroju: jedna kryła się poza słowami: »O Tobie więcej myślę, niż Ci się zdawać może...«, a druga krążyła koło podróży do Niemiec; nie dlatego jednak, że go lekarze wysyłali do Ems, ani dlatego, że mu Woyciechowski proponował zjechanie się gdzie w Niemczech, ale dlatego, że nadszedł termin, w którym p. Wodzińska miała pojechać do Drezna, a stamtąd do jakichś wód w Niemczech, i w którym on miał wyjechać dla spotkania się z Maryą... Dlatego w tych czasach tyle myślał o Antonim Wodzińskim i jego całej rodzinie, zwłaszcza o matce i siostrze; dlatego, pomimo rad lekarzy i przyjaciół, »nie mógł się ruszyć« z Paryża, bo przedewszystkiem oczekiwał wezwania ze Służewa, zawiadomienia od p. Wodzińskiej, że wyjeżdża za granicę, że liczy na spotkanie się z nim, itd. itd. Tymczasem minął maj, minęła połowa czerwca, na które to miesiące Marya w październiku r. z. wyznaczyła mu spotkanie za granicą, a ze Służewa nie przychodził żaden list w tej kwestyi. Te, które przychodziły, były tylko o Antosiu, o którego panował wielki niepokój w całej rodzinie, choć nic jeszcze nie wiedziano o jego ranie. O wyjeździe na lato, o spotkaniu w Dreznie, gdzie przecież bawiła młodsza siostra Maryi, wcale nie było mowy w tych służewskich listach.

Nie mogło to nie dawać do myślenia Chopinowi. Jakoż zaczynał się niepokoić tym stanem niepewności, w jakiej go pozostawiano, i tem mil-



czeniem w kwestyi, która dla niego w tej chwili decydowała o wszystkiem, o całem życiu, o całej przyszłości. Pragnąc dowiedzieć się czegoś stanowczego, napisał 18 czerwca obszerny list do p. Wodzińskiej, list, w którym donosząc jej, co słychać z Antosiem (który był nietylko ranny, ale i bez grosza), co słychać w Paryżu, między innemi zapytywał także, w możliwie oględny i dyplomatyczny sposób, jak stoi sprawa ich wyjazdu za granicę? kiedy zamierzają wyjechać? czy nie myślą pojechać po Józię? gdzie myślą spędzić lato za granicą? Bo i on by już chciał wiedzieć, czego się trzymać? kiedy i dokąd wyjechać? Bo już mu się przykrzyło w Paryżu, bo już mu było pilno do zobaczenia się z Maryą, bo go dręczyła niewypowiedziana ciekawość wielu rzeczy, ciekawość, której przy spotkaniu dał by wyraz w formie »tysięcy zapytań«, etc. etc. Wszystko to, mniej lub więcej wyraźnie, było zawarte w tym jego liście, między wierszami naturalnie. Oto pomieniony list:

Paryż, 18 czerwca 1837.

Najłaskawsza Pani!

Antoś w Saragossie; zdrów, w tych dniach pisał do mnie i zaklina, żeby go Państwu przypomnieć[1]). Ich legion po utarczce pod Huesca zupełnie zdezorganizowany; wielu wraca, i jeżeli kiedy, to teraz potrzebuje on spiesznej pomocy Państwa[2]). Ile mogłem, odpowiedziałem jego życzeniom w przeszłym miesiącu (natychmiast po odebraniu listu przed Hueską, który Pani posłałem), ale to kropla do morza[3]). Wincenty[4]) i Maurycy[5]) są także w Saragossie, ostatniego opiekuny wracać im radzą; dobrzeby było, żeby i on mógł[6]) z nimi wrócić, jak wyjechał.

Tymczasem, kiedy w sąsiedztwie[7]) bieda i zawierucha, tutaj się o to nie turbują: wesela, bale, festyny. Tak się bawią, że się aż duszą i zadeptują: na fajerwerku na Polu Marsowem kilkadziesiąt osób życiem ciekawość przypłaciło w tłoku, co było przyczyną odłożenia balu *à l'hôtel de ville,* na który przeszło 15 tysięcy biletów rozdano. Nowa Księżniczka[8]) powszechnie się podoba; nie chwalą jej piękności, ale jej rozum; goszeryi[9]) żadnych nie robi, i nieżenowana, tak, jakżeby się między takiemi festynami wychowała, (a nie w Ludwigsburgu na butterszniatach). Nigdzie nie byłem[10]), nawet w Wersalu, o którym cuda nietylko Filipa[11]), ale i przyjaciele zeszłej dynastyi[12]) rozpowiadają. Przeszło to oczekiwania wszystkich. Pogoda sprzyjała ceremoniom: wszystko się udało, wyjąwszy zupy na obiedzie wersalskim, na którą maître d'hôtel kazał królowi czekać. Obawiano się, żeby kucharz za Vatela przykładem nie poszedł[13]). Jeszcze Paryżanów czeka bal gwardyi nationalnej w operze i feta, wielka, wielka feta, którą Rotschild młodemu Księstwu daje à Ferière, bardzo pięknej wsi swojej w okolicach Paryża[14]).

A w Służewie, czy pięknie na lato? czy dużo cienia? czy można usiąść pod drzewami i malować?[15]) Czy Teresia ma miejsce wygodne na serki? czy jej nie brak do tego

---

[1]) Chodziło o zasiłek pieniężny. [2]) Pomocy pieniężnej. [3]) To znaczy, że mu Chopin posłał pieniędzy »ile mógł«. [4]) Skarzyński. [5]) Woroniecki. [6]) To jest, miał za co. [7]) W Hiszpanii. [8]) Świeżo poślubiona synowi Ludwika Filipa, księciu d'Orléanu, ówczesnemu następcy tronu francuskiego. [9]) Gaucherie. [10]) Bo nie to mu było w głowie. [11]) Króla Ludwika Filipa. [12]) Bourbonów. [13]) Żeby nie dostał dymisyi. [14]) Dobrze znanej Chopinowi. [15]) Tak, jak to czyniła Marya w roku zeszłym, w Maryenbadzie, gdy malowała portret Chopina.

panny Józefy albo panny Malet? czy ich Panie[1]) prędko widzieć nie myślą[2]). Tysiące miałbym zapytań. Ciekawy jestem, jak tylko nie festyny[3]). Podczas wjazdu księżnej Pani byłem na wsi, przy jeziorze Engeńskiem[4]). Już mi trudno w Paryżu usiedzieć[5]). Doktór mój każe do Ems, a ja jeszcze sam nie wiem, gdzie i kiedy pojadę[6]).

Pani Zofia[7]) w tych dniach kiedyś była u mnie wieczorem z księżną Zajączkową i serdecznie się o Państwa dopytywała. Czy nie dzwoniło w uszach? Pani Anat[8]) wczoraj (była u mnie) z Platerami[9]); trochę na nerwy narzeka, ale mimo to tyje, a Leosia pięknie rośnie. Guermange Teresi zapomnieć nie może i ile razy widzi moją chrzestną córeczkę[10]) (trzeba Pani wiedzieć, że oddawna jestem tutaj chrzestnym tatą), ile razy ją usłyszy, zawsze swoje extazye kończy na *madmozel il.* Fortepian czy się podobał? Dałby Pan Bóg! Jeżeli nie, proszę mnie wybić, a nie gniewać się.

Przypominam jeszcze raz Pani, że Antoś czeka[11]), (przytem i mnie się parę słów dostanie).

Najprzywiązańszy
*F. Chopin.*

Panu Wodzińskiemu moje uszanowanie. Pannie Maryi, Kaziowi, Teresi, Feliksostwu, co komu należy.

38, Rue de la Chaussée d' Antin.

Gdy po upływie dwóch tygodni nie miał żadnej odpowiedzi na ten list, zaczynając rozumieć, co miało znaczyć uporczywe milczenie w tej kwestyi, jak sobie tłómaczyć to zaniechanie wyjazdu za granicę, któreby niewątpliwie sprowadziło spotkanie z nim, Chopin, już zniechęcony do wszystkiego, ażeby rozerwać się trochę, rozproszyć smutne myśli, wybrał się z Pleyelem w pierwszych dniach lipca do Londynu, z zamiarem, ażeby stamtąd przez Holandyę pojechać do Niemiec, w razie, gdyby tam gdzie u wód bawili Wodzińscy. Niestety, w Londynie otrzymał list od p. Wodzińskiej, bardzo smutny, a tem smutniejszy dla niego, że w nim p. Wodzińska donosiła mu stanowczo, że tego lata nigdzie nie wyjeżdża za granicę, że wogóle nie wie jeszcze, czy w tych czasach wyjedzie gdziekolwiek. A więc nic ze spotkania z Maryą, o którem marzył przez tyle miesięcy! Domyśliwszy się, czem sobie tłómaczyć to pozostanie w Służewie, to odkładanie wyjazdu za granicę (choćby po Józię do Drezna) do nieokreślonego terminu, podupadły na duchu, zaniechał Chopin tych holendersko-niemieckich projektów, które już nie miały żadnego określonego celu, i na początku sierpnia wrócił z Londynu prosto do Paryża.

---

[1]) To jest p. Wodzińska i Marya. [2]) t. j. czy w tych czasach nie myślą po nie pojechać do Drezna i zawezwać tam Chopina? [3]) Bo tych nie był wcale ciekawy, mając głowę zajętą czem innem, mianowicie kwestyą swego narzeczeństwa. [4]) U margrabiego de Custine, w jego letniej rezydencyi nad jeziorem d' Anghien. [5]) Bo chciałby wyjechać na spotkanie z Wodzińskimi, które miał przyrzeczone na maj lub czerwiec. [6]) Bo wszystko zależało od tego, gdzie i kiedy pojadą Wodzińscy z Maryą. [7]) Ossolińska. [8]) Anatolowa Nakwaska. [9]) Rodzina kasztelana Ludwika Platera. [10]) Córkę Albrechtów. [11]) Na pieniądze.



Tu przybywszy, załatwił wszystko, o co go dla swego syna prosiła pani Wodzińska, poczem dnia 14 sierpnia, korzystając z tego, że właśnie otrzymał list od Antosia, napisał list do niej, znów mający swą wymowę między wierszami jedynie, a który, w swych utajonych subtelnościach zrozumiały tylko dla p. Wodzińskiej i Maryi, brzmiał *in extenso,* jak następuje:

Paryż, 14 sierpnia 1837.

Najłaskawsza Pani!

Bojąc się, żeby kto z boku nieprawdy nie doniósł, wolę list Antosia z 3 b. m. posłać, żebyście Państwo z jego własnego pisma wiedzieli, co robi. Nie pisałem, że pod Huesca lekko w nogę był ranny, bo to było koło maja i wolałbym był powiedzieć, jak trwożyć pismem, ale kiedy się inaczej stało i ta mucha może się donieść do Państwa, jako słoń ogromna, więc przyłączam jego najpóźniejszy list, w którym pisze, że zupełnie zagojona rana. Z tegoż listu widać także, że ma zamiar powrotu i to za te trzy tysiące franków, które 9-go b. m. na ręce bankiera Leo odebrałem, i w dzień przyjścia przyłączonego Antosiowego listu to jest 10 b. m. do Logronio przez Rotschilda posłałem. W Logronio jest wielu naszych, a szczególniej zastanie tam poczciwego Woronieckiego; będzie mu raźniej, jeżeli mu z łaski swojej Pani albo panna Marya parę słów na moje ręce przeszlą, bo jak Pani widzi, i w tym liście się skarży, że nikt do niego nie pisze z domu, mimo to, że zawsze mu o Państwu donosiłem, ile razy mam wiadomości. Ostatni list Pani doszedł mnie w Londynie, gdziem przeszły miesiąc przemarudził. Myślałem, że stamtąd przez Holandyę pojadę do Niemiec... Wróciłem do domu, pora się późni i dla mnie zapewne się spóźni zupełnie w moim pokoju. Czekam mniej smutnego listu od Pani, jak ostatni. Może mój przyszły będzie tylko przypisaniem się do Antosiowego.

Najprzywiązańszy
*F. Chopin.*

Panu Wodzińskiemu składam moje uszanowanie. Pannie Maryi przypominam brata, Feliksowi, Kaziowi, pannie Józefie, Teresi...

Znajomi Pani, tutaj bawiący, zdrowi, pewno nie myślą o chorobie ani smutkach. Pani Zofia miała mieć z Genewy wiadomość, że się tam Pani spodziewają.

Najważniejszym ustępem tego listu był następujący: »Nie pisałem, że pod Huesca lekko w nogę był ranny, bo to było koło maja i wolałbym był powiedzieć, jak trwożyć pismem, ale kiedy się inaczej stało...« Słowa te znakomicie odsłaniały wszystkie zamysły Chopina, a nawet, kto wie, czy nie zostały napisane w tym celu, żeby p. Wodzińska zrozumiała ich ukryte a właściwe znaczenie. A znaczyły one to. Otrzymawszy w maju 1837 r. wiadomość od Antoniego Wodzińskiego, że został rannym w bitwie pod Huesca, Chopin, zamiast o tem pisać do Służewa, przekonany, że lada dzień otrzyma list stamtąd, naznaczający mu czas i miejsce spotkania zagranicą, zdecydował się smutną tę wiadomość o Antosiu zakomunikować państwu Wodzińskim ustnie, coby zawsze zrobiło mniejsze wrażenie, niż list z wieścią o rannym synu. Dlatego nic o tem wszystkiem nie napisał do p. Wodzińskiej; bo i po co »trwożyć listem« całą rodzinę, kiedy za parę tygodni zobaczy się z nimi... A czego dla siebie spodziewał

się po tem spotkaniu z Maryą, o tem p. Wodzińska wiedziała równie dobrze, jak on. I dlatego właśnie postanowiła zapobiedz temu spotkaniu, nie wyjeżdżać za granicę (choćby po Józię do Drezna) i uwiadomić o tem Chopina, że projektowany, a poniekąd przyrzeczony mu wyjazd »w maju lub czerwcu« został odłożony na razie, nie wiedzieć nawet na jak długo. Czemu się równała ta odwłoka? tego Chopinowi nie potrzeba było mówić wyraźnie, ani nazywać rzeczy po imieniu. Domyślił się odrazu, zrozumiał, o co chodzi. To oznaczały słowa w jego liście: »Ale kiedy inaczej się stało...« Można być pewnym, że kto, jak kto, ale pani Wodzińska zrozumiała ich delikatną aluzyę. A jeśli uważnie wczytała się w ten poczciwy list »najprzywiązańszego« Chopina, to bardzo łatwo mogła domyśleć się na jego podstawie, że Fryderyk, choć na razie zwątpił o wszystkiem, to jednak chwilami jeszcze nie tracił zupełnie nadziei. Wskazywał na to ustęp jego listu o »przemarudzonym« miesiącu w Londynie: »Myślałem, że stamtąd przez Holandyę pojadę do Niemiec...« Znaczyło to, że jeszcze w Londynie łudził się nadzieją, że Wodzińscy może na lato pojadą do Niemiec, najprzód do Drezna po Józię, a potem do jakich wód. Wszak poprzednich lat spotykał się z nimi zawsze w sierpniu dopiero lub wrześniu. Może więc i w tym roku... Niestety, list p. Wodzińskiej, otrzymany w Londynie, rozwiał te złudzenia. Wobec tego, nie było żadnego celu, żeby jechać do Niemiec, więc wrócił prosto do Paryża. Wszystko to było powiedziane między wierszami rzeczonego ustępu w liście Chopina, a pani Wodzińska była może jedyną osobą, która posiadała potrzebną znajomość sytuacyi, by zrozumieć powody, dla których Chopin zrezygnował z podróży z Londynu przez Holandyę do Niemiec. Ale że niema zwątpienia, na którego dnie nie ukrywałaby się choć odrobina nadziei, więc i Chopin, choć wrócił z niczem do Paryża, jednak jeszcze nie zwątpił ostatecznie. Oto, będąc u p. Ossolińskiej, dowiedział się od niej, że miała list z Genewy, w którym jej donoszono między innemi, że tam spodziewają się w tych czasach przyjazdu rodziny Wodzińskich. Do duszy Chopina, całkiem pogrążonej w ciemnościach zwątpienia, wkradł się promyczek nadziei. A nuż się rozmyślili? Kto wie, co ich skłoniło do powzięcia tego zamiaru wyjazdu do Genewy, dokąd tak było blizko z Paryża? Wszak Marya kochała go. Rodzice mogli być przeciwni temu związkowi, ale przez nich przemawiał tylko głos rozsądku, podczas, kiedy Marya, jeśli kochała naprawdę, mogła nie zważać na słabe zdrowie swego przyszłego męża. Serce nie sługa... Któż zaręczy, że jej miłość nie potrafiła wpłynąć na postanowienie rodziców, zmienić ich wolę, wyjednać pozwolenie. Przecież zdarzają się takie wypadki, że miłość potrafi przezwyciężyć największe przeszkody. Wszystkie te przypuszczenia i nadzieje kryły się poza słowami listu Chopina: »Pani Zofia miała mieć z Genewy wiadomość, że się tam Pani spodziewają«.



W słowach tych kryło się również i nieśmiałe zapytanie: czy to prawda? czy istotnie p. Wodzińska miała zamiar wybrać się w tych czasach — z córką oczywiście — do Genewy? Zdaje się jednak, że na ten list nie otrzymał Chopin żadnej odpowiedzi, a jeśli mu p. Wodzińska odpisała na ten punkt specyalnie, to jej odpowiedź znowu rozwiała — tym razem już ostatecznie — wszelkie jego nadzieje; dowiedział się bowiem, że zamiaru wyjazdu do Genewy nie było, że to musiała być jakaś plotka albo pomyłka, całkiem pozbawiona nawet źdźbła prawdy.

Co również musiało uderzyć Chopina, że od czasu, gdy zachorował na »grypę«, Marya przestała się dopisywać do listów pani Wodzińskiej. Nie wątpiąc ani na chwilę, że to musiała czynić na wyraźne życzenie matki, wiedział Chopin, jak sobie tłómaczyć tę zmianę, i dlatego już w swym liście z dnia 14 sierpnia, pisząc o Maryi, którą jeszcze w poprzednich listach nazywał żartobliwie »sekretarzem«, już o niej nie pisał inaczej, tylko oficyalnie, jako o »Pannie Maryi«, przyczem już się nie dopominał, żeby się dopisywała do listu matki, jak to stale czyniła do wiosny 1837 r., do jego choroby, tylko jej »przypominał brata«, żeby napisała do niego, gdyż »będzie mu raźniej, jeżeli mu z łaski swojej Pani, albo panna Marya parę słów na moje ręce przeszlą...«

Widząc, jaki obrót przybrała cała sprawa »szarej godziny«, doszedł Chopin do wniosku, że im rzadziej będzie pisywał do Służewa, tem to będzie w większej harmonii z jego podrażnioną dumą. Skoro go nie chcą, to i bez jego listów, a tem samem i bez bardziej szczegółowych wiadomości o Antosiu, dadzą sobie radę. Jakoż zaprzestał korespondować z panią Wodzińską, uważając stosunek za zerwany.

W ten sposób upłynęło parę miesięcy, w ciągu których Antoni Wodziński, już zdrów zupełnie, ale jak zawsze, bez grosza przy duszy, powrócił na bruk paryski. Chopin — jakgdyby nigdy nic — ani na jotę się niezmienił w stosunku do niego, niczem mu nie dając poznać, co w ciągu ostatniego roku zaszło pomiędzy nim a jego rodziną. O »szarej godzinie«, jak nie powiedział nikomu z przyjaciół, tak o niej milczał i przed Antosiem. Co przyrzekł p. Wodzińskiej, tego dotrzymywał święcie.

W takich okolicznościach, ni stąd ni zowąd, otrzymał w pierwszych dniach grudnia krótki list od p. Wodzińskiej (bez przypisku Maryi), list wrzucony na pocztę w Toruniu dnia 26 listopada 1837 r. List ten, oprócz małego komisu, dowodził, że w Służewie (może pod wpływem listów Antoniego Wodzińskiego) znowu zaczęto się interesować zdrowiem Chopina, o którem słyszano z różnych stron, że w ostatnich czasach poprawiło się znacznie. Pragnąc mieć potwierdzenie tej pomyślnej wieści, pani Wodzińska, interpelując w kwestyi tej Chopina samego, pisała doń z naciskiem, co następuje:

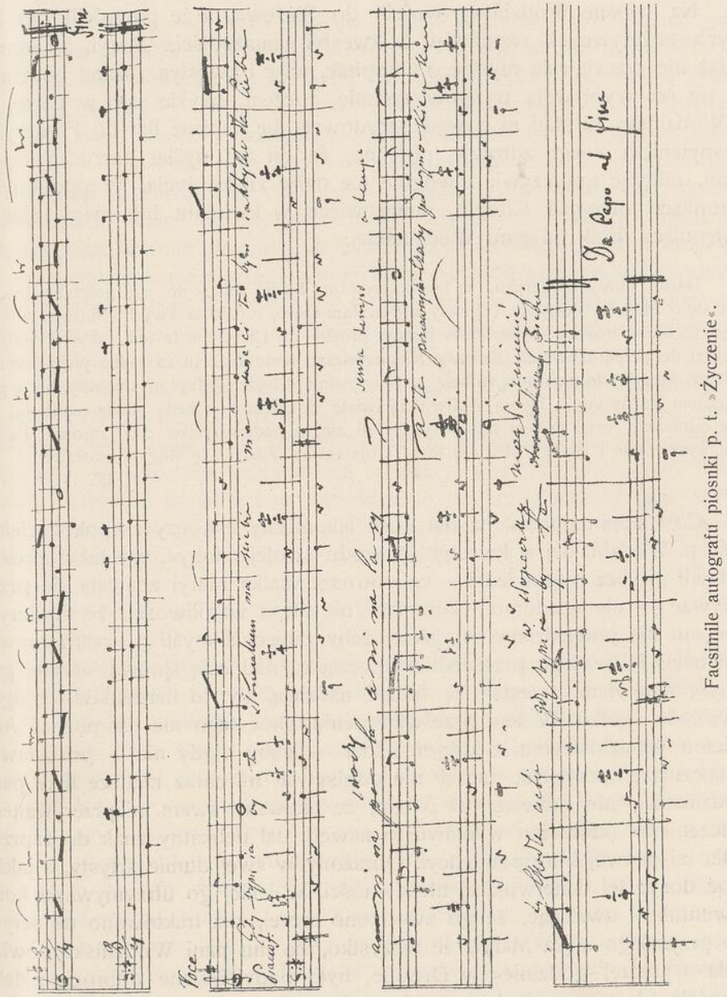
Mój dobry Fryderyku!

Już dawno nie zgłaszałam się do Ciebie, ale dlatego byłeś ciągłym przedmiotem troskliwości mojej. Jakże teraz zdrowie? Miałam list od Ludwisi, która lepsze co do tego punktu, jak my, miała wiadomości. Jeżeli tak jest, cieszę się bardzo, ale proszę donieść nam rzetelnie, jak się masz? W nadziei Twego nieoszacowanego serca przesyłam list do Antosia pod Twoim adresem; nie pisał, gdzie stać będzie, chciej mu to wręczyć, a sam przyjm zapewnienia, najżyczliwszych uczuć, które do zgonu zachowam.

Czyżby w Służewie, pod wpływem pomyślnych wiadomości o stanie zdrowia Chopina, znów zaczął następować zwrot na jego korzyść? Bądź co bądź, list p. Wodzińskiej, pierwszy przerywając długie milczenie, a tak bardzo serdeczny w tonie, mógł zastanowić Fryderyka. Dlatego z pewnością nie zostawił go bez odpowiedzi, pomimo, że nim już zaczęło owładać zniechęcenie do całej sprawy, zwątpienie, czy jeszcze z tej mąki może być jaki chleb. W każdym razie na jeden punkt mógł odpisać »rzetelnie« i z czystem sumieniem, że ze zdrowiem był wcale nie najgorzej, że po wiosennej grypie całkiem przyszedł do siebie, tak dalece, że znów w dalszym ciągu przestał się liczyć ze swemi wątłemi siłami, że jak dawniej, tak i teraz, pomimo przestróg i upomnień Matuszyńskiego, prowadził życie nieregularne, niehygieniczne, gorączkowe i wyczerpujące. Ale taka już była raz jego natura!

W ten sposób przeszła mu cała zima, którą jakoś przebył szczęśliwie. Tymczasem Wodzińscy zimę spędzili w Warszawie, bo chodziło o to, żeby Marya, która już kończyła lat ośmnaście, trochę zaczęła bywać w świecie, żeby, jako panna na wydaniu, trochę potańczyła w karnawale. Dowodziło to, że państwo Wodzińscy coraz mniej wierzyli w jej związek z Chopinem, że w każdym razie pragnęli, ażeby miała okazyę poznania także i innych młodych ludzi, oczywiście ze swojej sfery. Tak się stało istotnie. Lecz minął karnawał, skończyły się zabawy, a Marya nie poznała nikogo, któryby z jej wyobraźni potrafił wyrugować wspomnienie Chopina. Myślała o nim ciągle, zwłaszcza, że mieszkając w Warszawie, dość często widywała się z jego rodziną. Ponieważ kwestya »szarej godziny« wciąż była w zawieszeniu, nierozstrzygnięta stanowczo; ponieważ Wodzińscy trzymali Fryderyka w odwodzie, ale mu nie dali odprawy; ponieważ stosunki z nim, choć oziębione i wprowadzone na inne tory, bynajmniej nie były zerwane; więc i stosunek z jego rodzicami i siostrami w Warszawie, choć może był chłodniejszy cokolwiek, niż w jesieni 1836 r., jednak miał wszystkie formy serdeczności, co zresztą było polityką i jednej i drugiej strony. Chopinowie udawali ciągle, że nic nie wiedzą o kwestyi »szarej godziny«, ale ponieważ wiedzieli od Fryderyka, że tak samo, jak nie był oficyalnie zaręczonym, tak również nie otrzymał żadnego oficyalnego zawiadomienia, żeby się przestał uważać za związanego słowem, więc tyle tylko, że nie mówiono





Facsimile autografu piosnki p. t. »Życzenie«.

o rzeczy, o której obie rodziny myślały najwięcej. Poza tem stosunki były jaknajlepsze. Na jakiśkolwiek żal, na jakieśkolwiek urazy, było jeszcze zawcześnie, nie było rzeczywistego powodu. Zaprzeczyć się nie dało, że obie strony grały w ciuciubabkę, ale tego nie dawano poznać po sobie. Jakoż na pozór wszystko było w porządku, nic sobie nie miano do wyrzucenia. Tak upłynęła zima.

Na wiosnę Wodzińscy wrócili do Służewa, a że powrócili bez żadnych pozytywnych rezultatów w kwestyi zamążpójścia Maryi, że Marya wciąż nie przestawała myśleć o Chopinie, więc i kwestya »szarej godziny« raz po raz wypływała na powierzchnię, z czem zwykle szło w parze, że p. Wodzińska ni stąd ni zowąd decydowała się napisać list do Fryderyka, z zapytaniem o jego zdrowie, pomimo, że on ani myślał narzucać się listami, milcząc uporczywie i wogóle nie dając znaku życia. W podobnych warunkach otrzymał Chopin, mniej więcej w kwietniu lub maju 1838 r., następujący liścik od pani Wodzińskiej:

Daruj, dobry Fryderyku, że tak przerywam Twoje milczenie, ale potrzeba dowiedzieć się o zdrowiu Twojem. Tej zimy widywałam często rodziców Twych i siostry; zdrowi wszyscy, ojciec troszkę kaszle. Mam jeszcze prośbę do Ciebie, a ta jest, abyś w Paryżu zachęcał do przedrukowania *Śpiewów* Niemcewicza; teraz tych tu za żadne pieniądze nie dostanie. Muzykę do nich inną zróbcie, sztychy piękne, a będzie odbyt niesłychany, bo w poznańskiem każdy kupi. Twoją gorliwością wiele dokażesz i ja będę miała nadzieję, że mnie odpiszesz, czyli projekt mój przyjęty lub nie, a nadewszystko czyli zdrowie Twoje w dobrym stanie i jakiego obwodu jest Twoja osoba. Niech Cię Bóg błogosławi!

*T. W.*

Co Chopin odpisał na ten dość lakoniczny list, czy zaspokoił ciekawość p. Wodzińskiej w kwestyi »obwodu swojej osoby«, czy też poprostu zostawił go bez odpowiedzi — co potrosze matka Maryi zdawała się przewidywać — nie wiadomo. Natomiast nie ulega wątpliwości, że Fryderyk, choć mu nie powiedziano wyraźnie, żeby zaniechał myśli o »czarnobrewej panience«, i bez tego przeszedł do porządku nad całą sprawą »szarej godziny«, albowiem przestał się łudzić nadzieją, by to małżeństwo mogło przyjść do skutku. W tem przeświadczeniu, choć tego nie dał poznać Antoniemu Wodzińskiemu, z którym nadal — jakby nigdy nic — pozostawał w najczulszej przyjaźni, zaczął nie odpisywać na coraz rzadsze listy pani Wodzińskiej, nie mówiąc już o tem, że pierwszy swem nieprzerywanem »milczeniem« (które mu wymawiano nawet), dał delikatny znak do zaprzestania tej jałowej korespondencyi. Obrażony w swej dumie artysty, a także mając dosyć tej denerwującej niepewności, w jakiej go utrzymywano konsekwentnie, i uważając, że go zwodzono raczej, niż traktowano na seryo, jako przyszłego męża Maryi, że wszystko, co mu pani Wodzińska powiedziała o »szarej godzinie« w Dreznie, było podyktowane dobrocią i delikatnością, ale nie wynikało z przekonania, czego najlepszym dowodem był fakt, że od tego czasu Wodzińscy umyślnie nie wyjeżdżali za granicę, byle nie dopuścić do spotkania z nim, przekonany wreszcie, że nietylko jego słabe zdrowie było powodem ociągania się ze strony rodziców Maryi, bo z pewnością nie mieli-by tych skrupułów, gdyby chodziło nie o niego, ale o jakiegoś młodego karmazyna, tak się zaciął w swem uczuciu urazy, że o mało co nie ożenił się z inną.



Tą inną była »wnuczka jednego ze słynnych artystów«. Niestety pani Sand, która w swych pamiętnikach zapisała ten epizod, nie wymieniła nazwiska tej niedoszłej żony Chopina [1]). W każdym razie »zajął się nią żywo« i całkiem na seryo — może na złość Wodzińskim — myślał o ożenieniu się z nią, zwłaszcza, że cieszył się wzajemnością panny. »Już myślał prosić o jej rękę — opowiada pani Sand — myśląc równocześnie o innej dawniejszej miłości w Polsce, bo nie będąc związanym ani tu ani tam słowem lub obietnicą, wahał się pomiędzy jedną skłonnością a drugą. Młoda Paryżanka przyjmowała go mile, wszystko szło jaknajlepiej, aż tu razu pewnego wchodzi Chopin z innym muzykiem [2]), głośniejszą podówczas cieszącym się sławą. Panienka wskazuje pierwej krzesło gościowi, pierwszy raz widzianemu, nim pomyślała o Chopinie. Wyszedłszy z jej domu, nigdy już tu więcej nie wrócił i natychmiast o niej zapomniał«.

Podobnie starał się zapomnieć i o Maryi Wodzińskiej. Uważając, że wszystko, co od 1835 r. zaszło pomiędzy nimi, już jest skończone, zebrał wszystkie listy, które miał od Wodzińskich, przyczem nie zapomniał również i o owej róży, którą dostał od Maryi w zamian za swego *Walca F-moll,* wszystko to włożył w dużą kopertę, na której napisał dwa wymowne słowa: *Moja bieda,* poczem obwiązawszy je różową wstążką, schował do biurka na wieczną rzeczy pamiątkę [3]).

## VI.

Tymczasem rodzice Maryi, nic nie wiedząc o rezygnacyi Chopina, wciąż jeszcze trwali w swym braku decyzyi, a nie wiedząc, co począć, starali się zyskać na czasie, przyczem w żaden sposób nie mogli pogodzić się z myślą, żeby Marya wyszła za Fryderyka. O pobudkach, któremi się powodowali w tej sprawie, tak opowiada siostra Maryi, pani Józefa Kościelska: »Ojciec mój bardzo lubił Chopina i w zasadzie wcale nie byłby przeciwnym jego ożenieniu się z Marynią. Jeżeli sprzeciwiał się temu, to między innemi z powodu stanu zdrowia Fryderyka, które już wtedy najpoważniejsze budziło obawy. Słabowity i bardzo delikatny z natury, był on ciągle nadzwyczaj mizerny, a patrząc nań, nieraz się miało wrażenie, że jest to chory suchotnik, którego dni są policzone. Wogóle blady, stawał się jeszcze bledszym, gdy grał, a jeśli w zwykłych warunkach był nerwowy nad wszelki wyraz, to przy fortepianie, wobec podniecenia nerwowego, w jakie go zawsze wprawiała muzyka, poprostu zmieniał się na twarzy, tak, jak człowiek, który lada chwila ma popaść w omdlenie. Gdy wstawał od fortepianu, zawsze był tak wyczerpany i zdenerwowany, że nie wiedział

[1]) Była nią według wszelkiego prawdopodobieństwa Francilla Pixis.
[2]) Prawdopodobnie z Lisztem. W takim razie należy epizod ten odnieść do 1837 r.
[3]) Obecnie w posiadaniu tej koperty są panie Ciechomskie w Warszawie.

poprostu, co się z nim dzieje; na wszystkie komplementy i wyrazy zachwytu, którymi mu dziękowano, nie odpowiadał ani słowa, bo nie mógł słowa przemówić. Na to, aby się uspokoić i wrócić do równowagi, potrzebował dłuższego czasu. Wtedy dopiero musiałam mu opowiadać, co różni mówili o jego grze, bo zawsze mię o to prosił, bym słuchała, co ludzie mówią, i bym mu następnie powtarzała ich rozmaite opinie. Bo obojętnym na to nie był... Ale prócz względów na jego zdrowie, które tak wiele pozostawiało do życzenia, był jeszcze inny wzgląd, którym się powodował nasz ojciec, gdy mu wypadło stanowić o losie Chopina i Maryi: oto, wychodząc za Chopina, musiałaby Marya mieszkać stale w Paryżu, co nie dogadzało moim rodzicom, ani ojcu, ani matce, nie wiedzieli bowiem, czyby w takich warunkach mogli widywać się z córką. Czasy były inne, niż dzisiaj, i jeździć do Paryża nie należało do rzeczy łatwych; ojciec zaś wogóle znajdował się w tem położeniu, że nie miał pewności, czybyśmy mogli widywać się z Marynią, gdyby zamieszkała w Paryżu. Nieraz była o tem mowa w domu i pamiętam doskonale, jak ojciec utrzymywał, że gdyby Marynia wyszła zamąż do Francyi, to tak, jakby ją stracił. Ogromnie przywiązany do dzieci, ojciec mój z myślą tą pogodzić się nie mógł«. To były główne powody, sprawiające, że ojciec Maryi nie mógł się zdecydować wydać ją za Chopina. Wszystko, co różni autorzy pisali o arystokratycznych poglądach Wincentego Wodzińskiego, o jego rodowej pysze, etc. trąci — zdaniem pani Kościelskiej — przesadą. Zaprzeczyć się nie da, że Wincenty Wodziński uważał się za arystokratę (choć nie używał tytułu hrabiowskiego, to jednak miał do niego prawo), że wzrósł w pojęciach arystokratycznych, że był to wielki pan, *un vrai grand Seigneur*, którego nawet w domu nazywali niektórzy »Sa Majesté«, dla nadzwyczajnej powagi, jaką się odznaczał, tak, że mimo dobroci i łagodności charakteru, mimo hojności, i wyrozumiałości, które go cechowały, nikt się z nim zbytnio nigdy nie poufalił; ale te jego arystokratyczne poglądy, a choćby nawet i przesądy, nie szły tak daleko, żeby aż dla nich chciał poświęcić szczęście córki. Pod tym względem p. Wodzińska była daleko większą arystokratką, a w każdym razie więcej nierównie, niż mąż, dbała o honory, o tytuły, o świetność i wystawność życia. A jednak i ona nie miała nic przeciwko Chopinowi, choć wolałaby naturalnie, żeby się nazywał Chopińskim, żeby miał polskie szlacheckie nazwisko. To samo dało się powiedzieć i o jej mężu. Mimo to oboje zgodziliby się na Chopina, choćby w tem nawet dopatrywali się mezaliansu z czysto szlacheckiego punktu widzenia, gdyby im to małżeństwo dawało gwarancyę szczęścia dla Maryi. Niestety, oboje mieli to najgłębsze przeświadczenie, że w końcu nie byłoby to małżeństwo szczęśliwe. Oto główny powód, dla którego, jak mogli, tak przeciągali ten »czas próby« i unikali spotkania się z Chopinem. Mimo to nie przyszło do oficyalnego zerwania (jak to podawali różni biografowie Chopina). »O ile wiem — opowiada pani Kościelska — to z e r w a n i e to przyszło samo przez się, gdyż po niejakim czasie zaczęły nas dochodzić z Paryża całkiem pewne wieści o Chopinie i... pani Sand, wobec czego naturalnie upadała kwestya jego ożenku z Maryą«. Jeśli się weźmie pod uwagę, że państwo Wodzińscy mieli częste relacye z Paryża, przedewszystkiem od syna, Antoniego, a następnie od pani Nakwaskiej i Ossolińskiej, z któremi pozostawali w korespondencyi, to nie wyda się dziwnem, że bardzo prędko musieli się dowiedzieć o roli, jaką głośna autorka *Lelii* zaczęła od 1838 r. grać w życiu Chopina. Fakt ten, zwalniający ich całkowicie od wszelkich zobowiązań w sprawie »szarej godziny«, był rozwiązaniem dość napiętej sytuacyi.



Tymczasem, skutkiem dziwnej ironii losu, na emigracyi rozeszła się pogłoska, o zaślubinach Chopina z Maryą Wodzińską. Plotka ta, krążąc wśród wychodźców, przedostała się aż do Florencyi, gdzie zakłóciła spokój Słowackiemu. Przypadek zdarzył, a tym razem był to dziwnie złośliwy przypadek, że dumny Juliusz, w chwili właśnie, gdy otrzymał wiadomość o małżeństwie Chopina, był zaabsorbowany poematem *W Szwajcaryi*, w którym snuł czarowne fantazye na temat swej genewskiej miłości dla »czarnobrewej panienki«. Boleśnie zadraśnięty w swej miłości własnej, gdy mu o tym fakcie wypadło — 2 kwietnia 1838 r. — pisać do matki, nie mógł się pohamować, by na całą sprawę nie bryznąć ironią i sarkazmem: »Czy zna Sylka koncert z *Krakowiaka* [1]) Chopena? Prześliczny, ale trudny, jak dyabeł. Mówią, że się Chopin z Maryą Wodzińską, a niegdyś moją Maryą, ożenił. Może poszła za niego trochę z przyjaźni dla mnie, bo mówią ludzie, że Chopin do mnie, jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się pierwszą miłością kochało! Stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takiem zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch, ale z trzech dusz robi się jeden Anioł po śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie liczy, wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przylepić; dla niej dosyć Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów, a z klawiszów ząbki«.

Niezależnie od tego, jaki obrót przybrała sprawa »szarej godziny«, w każdym razie pozostanie faktem, że to niedojście do skutku projektowanego chwilowo małżeństwa Chopina z Maryą nie wywarło na pozór prawie żadnego wpływu na przyjazny stosunek rodziny Wodzińskich do rodzeństwa Fryderyka. Oto, co w tej kwestyi opowiada pani Kościelska: »Ile razy zdarzyło się nam być w Warszawie, zawsze bywaliśmy u Chopinów, zawsze nasz stosunek z nimi był nadzwyczaj serdeczny«. Niestety, pozory mylą bardzo często; myliły i w danym wypadku.

W ten sposób upłynęły dwa lata. W 1840 r. zaręczyła się Marya z mło-

[1]) *Krakowiak, Grand Rondeau de Concert*, Op. 14.

dym Józefem Skarbkiem, synem tego samego hrabiego Fryderyka Skarbka, na którego intencyę Chopin otrzymał imię Fryderyka. Był to młodzieniec wielkich zalet moralnych i umysłowych, wielkiej zacności charakteru, nieposzlakowanej cnoty. Prawie w równym wieku z Maryą, ale młodszy od niej, bardzo prędko zyskał jej względy. Ciemny szatyn, o rysach subtelnych, o piwnych oczach, wysmukły, wzrostu słusznego, uchodził za ładnego chłopca, przyczem cieszył się wzorową opinią. Nie dziw więc, że państwo Wodzińscy nic nie mieli przeciwko niemu, zwłaszcza, gdy Marya naprawdę zdawała się być zakochaną. »Gdy już Marynia była zaręczona ze Skarbkiem — opowiada pani Kościelska — i zjechałyśmy z matką do Warszawy w celu kupowania wyprawy, pamiętam, że zarówno u starych Chopinów, jak i u Ludki Jędrzejewiczowej bywaliśmy bardzo często. Z tą ostatnią Marynię łączyła nadzwyczaj serdeczna przyjaźń; gdy już została panią Skarbkową, na stosunek jej do Ludki i do rodziców Fryderyka nie sprowadziło to najmniejszej zmiany; ile razy była w Warszawie, zawsze ich odwiedzała«. Że Wodzińscy pod tym względem mieli niejakie złudzenia, o tem wymownie świadczy list tejże Ludki do Fryderyka, pisany dnia 9 stycznia 1841 roku, list, w którym między innemi znalazł się także ustęp o małżeństwie Maryi i Skarbka. »Dziwne rzeczy dzieją się na świecie — donosiła Ludka bratu — które nieraz odzierają z illuzyi człowieka, a ja się tak nie chcę z niej wyzuwać, tak się nie śmiem pozbawiać tego najmilszego szczęścia ludzi tu na ziemi! Ja taki sobie wzniosły, szlachetny, wielki, czysty, ten nowy świat prawdziwie wykształcony utworzyłam w wyobraźni, że wszystko, co temu nie odpowiada, boleśnie drażni, i chociaż wiele rzeczy daje się może tłómaczyć, więcej to tłómaczenie z pobłażania, jak z rzeczywistości wypływa. Józio więc żeni się z Marynią, Marynia idzie za Józia i w maju ślub z pewnością! Każdy dziwi się temu mariażowi, wyborowi. Cóż Antoś na to? Podziękuj mu bardzo za przypisek... Hrabia Józio, z którego wszyscy zadowoleni, ma do 40.000 i dobra w sąsiedztwie panny, od której tylko parę lat młodszy, gdyż zawsze pragnął żony, któraby jego, nie on, prowadziła. Powszechnie, o ile on zyskuje na niespodziewanym wyborze swoim, druga strona traci; takie przynajmniej jest zdanie każdego, kto o tem słyszy i zna, albo osobiście, albo z opinii, osoby. Niech im Bóg szczęści i n i e p a m i ę t a!« To ostatnie życzenie, żeby im Bóg »nie pamiętał« — należy się domyślać krzywdy wyrządzonej Chopinowi — było wykrzykiem żalu, który Chopinowie, choć nie okazywali tego, mieli do Wodzińskich.

Ślub Maryi ze Skarbkiem odbył się w Warszawie 24 lipca 1841 r. Dziwna rzecz, ale od tej chwili nastąpiło pewne oziębienie pomiędzy Fryderykiem Skarbkiem a Chopinami. Dość powiedzieć, że Fryderyk Skarbek, który dawniej należał do częstych gości w domu Chopinów, od dnia, w którym jego syn ożenił się z Maryą, nie pokazał się u państwa Mikołajów.



Nie uszło to baczności ojca Fryderyka, to też, pisząc d. 30 grudnia 1841 r. do syna, nie omieszkał zaznaczyć tego szczególnego faktu. »Twój ojciec chrzestny był u nas z małżonką w dzień moich imienin. Nie widziałem go był od kilku miesięcy; nie wiem, skąd pochodzi to oziębienie. Dużo jednak rozpytywali się o Ciebie, ale myśmy mało mówili o jego synu; powiedział nam tylko, że pojedzie on do Drezna z żoną, żeby odwiedzić stryja, i że wrócą zaledwie w lutym«[1]).

Oprócz Maryi z mężem przyjechał także do Drezna jej brat Antoni, który uprzykrzywszy sobie Paryż, pragnął osiąść w kraju, na roli. Jakoż miano mu kupić majątek ziemski pod Toruniem, niedaleko Aleksandrowa (bo do Królestwa wracać nie mógł), i już się zdawało, że wszystko pójdzie jaknajlepiej, gdy nagle Antoś, przyjechawszy do Drezna, dla zobaczenia się z siostrą i szwagrem, poznał się z jej przyjaciółką, piękną doktorową Maurycową Wolffową, z domu Górską, zakochał się w niej, pozyskał jej wzajemność, zaczem poszło, że pani Julia Wolffowa, porzuciwszy męża, rozpoczęła starania o rozwód. Wszystko to bardzo się niepodobało państwu Wodzińskim, którzy to poprostu uważali za karę... za swoje postąpienie z Chopinem, zwłaszcza, że to, czego się obawiali, gdy byli przeciwni wydaniu córki za Fryderyka, spotkało ją ze Skarbkiem, albowiem nie był on w stanie dać szczęścia Maryi... O wszystkiem tem dużo było mowy w domu Chopinów, co oczywiście znajdowało także odbicie w listach do Fryderyka. Oto np. co mu dnia 16 października 1842 roku donosił ojciec: »Czy wiesz, że dotąd Antoś do mnie nie napisał, mimo, że prosiłem ojca jego, ażeby mu o tem przypomniał. Jak się zdaje, stracił przez swą Dulcyneę pamięć, jeżeli ją miał kiedy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, chociaż z tego wszyscy są niezadowoleni, sprawa skończy się małżeństwem. Przyszła para jest w Toruniu, w oczekiwaniu na układy. Co się tycze interesu (zdaje się, że był to interes pieniężny), to zamierzam pisać prosto do ojca, żeby wiedzieć, czego się trzymać, ponieważ jestem w położeniu trochę przykrem«. Jeszcze znamienniejszym był list Ludwiki Jędrzejewiczowej, która, po wakacyach, spędzonych z dziećmi w Ciechocinku, skąd parę

[1]) Jak przed ślubem, tak i później, aż do końca życia, Marya nie przestała być wielbicielką Chopina, a gdy brała udział w różnych koncertach dobroczynnych, najczęściej grała utwory swego niedoszłego męża. Oto np. co czytamy w *Kuryerze Warszawskim* z dnia 20 marca 1843 roku, w sprawozdaniu z poranku muzycznego w sali koncertowej Pałacu Paca (w obecności namiestnika, księcia Paszkiewicza): »Dostojnego gościa i przybywające Damy przyjmował JW. Radca Stanu, hr. Skarbek. Zadowolenie było powszchne, tak z wyboru dzieł muzycznych, z których część znaczna jest utworu zaszczytnie znanych kompozytorów tutejszych: S z o p e n a, D o b r z y ń s k i e g o i T a j c h m a n a, jakoteż i z doskonałego oddania takowych. *Ballada* Szopena wykonaną została na fortepianie przez hrabinę z Wodzińskich Skarbkową. Oklaski wznawiały się po ukończeniu każdego dzieła, szczególniej... po *Balladzie* Szopena prawdziwie po mistrzowsku i z wielkim talentem oddanej«.

razy jeździła do Służewa, tak o swych rozmowach z państwem Wodzińskimi donosiła dnia 16 października 1842 roku bratu swojemu w Paryżu: »Bardzo troskliwie dopytywali się wszyscy o Ciebie, nawet Antoś Wodziński, ale tego widziałam gdzieindziej; teraz najwięcej siedzi w Toruniu, bo i bella jego tam jest. Ślub może w tym miesiącu; mają kupić majątek w Prusiech i tam osiąść, albo w Księstwie. Starzy niekontenci, wszyscy; tylko oni kontenci, ale ponieważ to już tak blizko końca, więc się zrobi dobra komitywa. Podług mnie ani jedno, ani drugie nie zapewnia sobie szczęścia i to użalającym się starym powiedziałam wręcz; i on i ona poczciwi, ale każde potrzebuje, aby o niem ktoś drugi myślał. Matka to uważa za karę Pana Boga, co przytwierdziłam i dobrze, lubo futura to dobre stworzenie; ale ja nie mogę, mówiąc otwarcie, nie gadać otwarcie. Hrabstwo młodzi[1]) nic nie mają młodego, ona cierpiąca ciągle. Chcieli koniecznie, aby do nich jechać, prosili bardzo i bardzo oboje; co wiele, że on się na to zdobył, bo zawsze w wielu względach, jak go pamiętasz. Przysyłali nawet umyślnego o 6 mil do mnie, kiedy mają przysłać, ale nie byłam; nie przez rencunę, ale że nie i za najczulsze zaproszenie również podziękowałam. U matki i starego byłam parę razy; nie powiem, żeby mnie to krwi nie kosztowało, ale tak jakoś byłam blizko, tak byli grzeczni, prosili i prosili, że niepodobna było się wymówić. Maryę za powrotem widziałam, bo mi zaraz dali znać, że przyjechała, gdyż ja już z tamtych stron wyjeżdżać miałam wkrótce; bardzo była z sercem, byli wszyscy razem i wszyscy mi radzi, a ja nieraz radabym była wiedzieć, co każde w duszy myśli i godziłam jedno z drugiem i żałowałam w duszy, że się o to zapytać nie mogę. Gdybym była może dłużej bawiła, jak wiele innych rzeczy, byłaby mi się może i ta wyświeciła; bądź co bądź mariage Antoniego dręczy za wszelkie winy«. Powyższy ustęp dowodzi niezbicie, że pomimo przyjaznych stosunków, jakie Chopinowie po zamęściu Maryi utrzymywali z Wodzińskimi, jednak na dnie serca pozostała im »rancuna« do nich, że sobie w ten sposób postąpili z Fryderykiem. Ciekawość pani Jędrzejewiczowej, gdy w Służewie spotkała się z Maryą, »co każde w duszy myśli«, tembardziej była uzasadniona, że na podstawie tego, co sobie opowiadano o pożyciu młodych Skarbków, łatwo nasuwały się różne domysły i wnioski, między innemi i ten, że państwo Wodzińcy mogli mieć pewne powody, ażeby nietylko małżeństwo Antosia, ale i małżeństwo Maryi, »uważać za karę Pana Boga«. Albowiem stało się publiczną tajemnicą, że Marya nie była szczęśliwą ze Skarbkiem, że pragnęła mieć dzieci, a mieć ich nie mogła, i to nie z własnej winy, ale wyłącznie z winy męża. Stąd jej ciągłe niedomagania, stąd wielkie zmartwienie w rodzinie.

[1]) Skarbkowie.



Skończyło się na tem, że w 1848 r. Marya rozwiodła się ze Skarbkiem, a uzyskawszy rozwód, wyszła za Władysława Orpiszewskiego[1]).

[1]) Urodzony 1820 roku w dziedzicznej majętności Kłóbka pod Kowalem, jako najmłodszy z pięciu synów Józefa i Maryi z Darowskich, Władysław Orpiszewski, tylko o rok starszy od Maryi, był bardzo pociągającym pod każdym względem. Dorodny blondyn o niebieskich oczach, bladej cery, delikatnej kompleksyi, nerwowy, wrażliwy, wytworny w obejściu, inteligencyi niezwykłej, obdarzony wyższemi zdolnościami literackiemi i poetyckiemi, był to subtelny estet wyjątkowej szlachetności i łagodności charakteru. Stąd pożycie z Maryą, która go ubóstwiała poprostu, było szczęśliwe. Niestety, spotkało ich największe nieszczęście, jakie ich spotkać mogło. Jedyny synek ich, Ludwik, dziecko genialne, przedwcześnie rozwinięte, zmarł w 4-tym roku życia. Ta śmierć ubóstwianego dziecka, rokującego tak świetne nadzieje, nazawsze podkopała i tak już wątłe zdrowie Władysława Orpiszewskiego. Sprzedawszy majątek, przeniósł się z żoną na stały pobyt do Włoch, do Florencyi. Tutaj zajmował się literaturą i polityką, pisując po polsku i po francusku. Chory na płuca (jak Chopin), dożył mimo to dość późnego wieku. Zmarł we Florencyi w 1881 r. Wdowa przewiozła zwłoki do rodzinnych grobów w Kłóbce, gdzie też sama na stare lata w domu swej siostrzenicy, pani Maryi z Kościelskich Orpiszewskiej, osiadła. Zmarła w 1896 roku.




Medalion miniaturowy Fryderyka Chopina wykonany przez Bovy'ego.

KSIĘGA DRUGA

# GEORGE SAND

(1838—1848).

ROZDZIAŁ I.

## Romans (1838—1839).

Pod datą 27 lipca 1838 r. zapisał Julian Ursyn Niemcewicz w swym dzienniku, że zabrał znajomość ze słynną powieściopisarką francuską, p. George Sand. »Zawsze miałem chęć poznania sławnych talentami lub zasługami osób: Washingtona, Lafayetta, Pitt'a, Foxa, Bailly, Mirabeau, etc.; dziś jedną z słynności literackich jest p. George Sand, czyli Dudevant. Pan Grzymała zjednał mi to poznanie w swym domu. Jest to osoba mała, kształtna, piękna, duże czarne oczy, niewiele mówiąca, lecz zawsze dobrze. Talent w niej pisania rzadki, znajomy wszystkim: życie wolne, niestety! Raczy jednak wierzyć w Boga, nieśmiertelność duszy i przyszłe lepsze życie. Dla młodszych powabna wcale. Oryginalna we wszystkiem, nawet w ubiorze; przyszła w arabskim burnusie, to jest w płaszczu kamlotowym białym z kapturkiem, w podobnych-że szarawarach; na głowie czarne włosy prosto zaczesane. Przyszło z nią dwóch młodych ludzi: jeden brunet z potężną brodą [1]), z bielmem na jednem oku, drugi blondyn [2]); syn, dziwnie ładny, i córka po męsku: pierwszy 12, druga 10 rok mające; z wszystkiemi pełna poufałości i pieszczot; słowem, osobliwsze stworzenie«. Dziwna rzecz, że sędziwy autor *Jana z Tęczyna* nie zapisał bytności Chopina na tem zebraniu u Grzymały; bo nie ulega watpliwości, że jeśli na tem przyjęciu u przyjaciela Chopina znalazła się pani Sand, to musiał na niem być także i Chopin, który w tym czasie właśnie stał się prawie nieodstępnym towarzyszem słynnej romansopisarki.

W jaki sposób do tego przyszło? Rzecz miała się tak. Po kilkumiesięcznym pobycie w swej wiejskiej rezydencyi w Nohant, skąd od jesieni nie ruszała się ani kroku, w ciągu wiosny i lata 1838 r. pani Sand raz po

[1]) Mallefille. [2]) Rollinat.

raz przyjeżdżała do Paryża, za każdym razem przebywając tu coraz dłużej. Mieszkała tu, jako »Madame Dupin«, w małem mieszkanku na poddaszu w Hôtel de France przy rue Lafitte Nr. 3, zajęta pisaniem nowego romansu p. t. *Spiridion*. Wieczory spędzała najczęściej u swej przyjaciółki, p. Marliani, żony konsula hiszpańskiego, w jej pięknie urządzonem mieszkaniu przy ulicy Grange-Batelière Nr 7, gdzie też przyjmowała odwiedziny swych paryskich przyjaciół.

Do tych przyjaciół zaczął się liczyć niebawem i Chopin, tak dalece nawet, że po niejakim czasie stał się »codziennym gościem« pani Sand, i to nietylko w jej neutralnym salonie u p. Marliani, ale i w jej prywatnem mieszkanku w Hôtel de France.

Okoliczności sprzyjały temu zbliżeniu. Przedewszystkiem p. Sand, od pierwszej chwili, gdy jeszcze w 1836 r. poznała Chopina, którego i w ciągu 1837 r. dzięki Lisztowi i pani d'Agoult spotykała od czasu do czasu, powzięła wielką sympatyę do niego, nie przeczuwając naturalnie, że jej sympatya nie znalazła szczególnego oddźwięku w jego duszy. Poznała go, jako sławnego pianistę i kompozytora, jako jedynego współzawodnika Liszta, którego nieskończenie przewyższał talentem kompozytorskim, a którego, jako wirtuoza, przewyższał subtelnością i poetycznością gry, choć mu nie dorównywał brawurą; a jednocześnie poznała go również i jako ulubieńca pani d'Agoult, która do niego, jako do przyjaciela swego kochanka, miała ogromną, całkiem wyjątkową słabość. Naturalnie, że jak wszyscy, tak i pani Sand, gdy raz usłyszała grającego Chopina, a miała sposobność słyszeć go u p. d'Agoult nieraz, odrazu stała się jego zapaloną wielbicielką, jako muzyka, przyczem odrazu oceniła także i jego niesłychany urok, jako wyjątkowo interesującego człowieka, dziwnie poetycznego. Stąd jej niekłamane uwielbienie dla niego, z którem się nie taiła nawet przed przyjaciółmi, a któremu w kwietniu 1837 r. dała wyraz w jednym ze swych listów do pani d'Agoult, prosząc ją, by powiedziała Chopinowi w jej imieniu, że go ubóstwia, *que je l'idolâtre*. Że Chopinowi, któremu p. d'Agoult z pewnością nie omieszkała pokazać tego listu swej przyjaciółki z Nohant, mogło takie wyrażenie dać do myślenia, zaprzeczyć się nie da. Lecz był to czas, gdy Chopin miał myśl i serce zaabsorbowane Maryą Wodzińską, co mu oczywiście dawało należytą odporność na syrenie pokusy »ubóstwiającej« go autorki *Lelii*. Zakochany w innej, którą spodziewał się poprowadzić do ołtarza, nie był wrażliwym na pociągający urok p. Sand, bo poprostu był nastrojony na inny kamerton psychiczny; stąd pewne awanse, które mu może i robiła czarnobrewa przyjaciółka Liszta i p. d'Agoult, rozbijały się o jego bierność i obojętność, jak fale morskie o skaliste wybrzeże. Na nic się zdały również i pewne zabiegi Liszta, który, widząc wyjątkową sympatyę p. Sand dla Chopina, nic nie miał przeciwko temu, by swego przyjaciela pchnąć w objęcia słynnej powieściopisarki, by z niej zrobić jego Ege-



Aurora Dudevant (George Sand) według portretu olejnego Eug. Dalacroix.
(Klisza »Nauki i Sztuki«. Wyd. Naucz. Szk. Wyż. T. X: *Chopin* H. Opieńskiego).

fałszywiec — to nie George Sand
Dlaczego?

ryę, tak, jak on miał swoją »Beatrix« w osobie hrabiny d'Agoult. Liszt wcale nie był dalekim od tego zamiaru, i kto wie, czyby mu się nie było wkońcu udało tego dopiąć, gdyby nie jego własna Egerya, która, choć nie miała żadnych praw do Chopina, to jednak była zazdrosną o niego, tak dalece, że czyniła wszystko, co leżało w jej mocy, by zapobiedz zbytniemu zbliżeniu się Chopina z panią Sand. Do tego nie chciała dopuścić naprzekór swemu kochankowi, a że miała wiele kobiecej przebiegłości, więc potrafiła działać odpowiednio, by Chopina zniechęcić do swej sławnej przyjaciółki. Jakoż wcale nie jest wykluczonem, że jeśli Chopin w kwietniu 1837 r. nie pojechał do Nohant, dokąd go p. Sand tak gorąco zapraszała przez p. d'Agoult, to miał to nie komu innemu do zawdzięczenia, tylko tejże pani d'Agoult, która przeczuwała widocznie, że taki pobyt w Nohant w gościnie u p. Sand mógł być dla Chopina niebezpiecznym. Tego chciała jemu... i sobie oszczędzić; więc skończyło się na tem, że mu wyjazd do Nohant wyperswadowała. Nic prawdopodobniejszego!... A odpisując na list p. Sand, dotyczący Chopina, p. d'Agoult tak pisała między innemi, komunikując swej przyjaciółce z Nohant, żeby nie liczyła na przyjazd Fryderyka: »Chopin kaszle z niewymownym wdziękiem. Jest to człowiek niezdecydowany. Stałym jest tylko na punkcie kaszlu«. Całkiem inaczej było teraz w początkach lata 1838 r.: hrabina d'Agoult, która tak zazdrośnie strzegła wrażliwego serca Chopina przed niebezpieczeństwem, jakie mu mogło grozić ze strony »ubóstwiającej« go pani Sand, bawiła z Lisztem w północnych Włoszech, a Chopin miał serce pełne żalu, z powodu obrotu, jaki nadano jego stosunkowi do Maryi Wodzińskiej. Nie ulegało wątpliwości, że z nim zerwano delikatnie, że na małżeństwo z Maryą nie mógł liczyć, a tem samem czuł się zwolnionym z wszelkich więzów moralnych, którymi się krępował jeszcze rok temu. Zawiedziony w swych nadziejach, a nie mogąc zapomnieć o Maryi, o jej czarnych oczach, o jej kruczych włosach, o jej cerze Włoszki, nie mógł nie zauważyć jednocześnie, ile razy w tych czasach widywał p. Sand, że czarnobrewa autorka *Lelii*, która mu tyle okazywała sympatyi, pod względem fizycznym była wielce podobną do czarnobrewej Maryi: z tą różnicą jedynie, że pani Sand była znacznie ładniejszą od panny Wodzińskiej, że jej oczy były nierównie wymowniejsze, że jej cała postać odznaczała się nierównie większym urokiem i powabem niewieścim. Na to wszystko Chopin dopiero teraz zwrócił uwagę, teraz, kiedy w swem sercu, zamiast miłości dla Maryi, czuł żal do niej, i kiedy na panią Sand zaczął patrzeć bezstronnie, bez uprzedzenia, nie okiem mężczyzny, zakochanego w innej, lecz okiem mężczyzny, który się czuł wolnym, a którego zbolałe serce mimo-to czuło potrzebę kochania, było spragnione miłości.

W takich warunkach, nie dziw, że mając sposobność częstego widywania się z panią Sand, coraz bardziej zaczynał lgnąć do niej, coraz bardziej zaczynał się rozmarzać myślą o niej. Cóż dopiero, gdy zaczął spo-



strzegać, że nietylko on czuł się szczęśliwym przy niej, ale i jej płomienna dusza zaczęła się wyrywać ku niemu; gdy w końcu, któregoś dnia, pani Sand pierwsza mu wyznała swą miłość, pisząc na kartce: *On vous adore. George* [1]).

Jakoż niebawem została jego kochanką.

## I.

Na krótko przed zbliżeniem się Chopina do pani Sand, w lutym 1838 r., odwiedził ją w Nohant niemniej od niej sławny a zaprzyjaźniony z nią oddawna Balzac, który, po trzydniowej gościnie u swej znakomitej koleżanki po piórze, tak ją w liście do pani Hańskiej scharakteryzował: »Dotarłem do zamku w Nohant w zeszłą sobotę, około wpół do ósmej wieczorem, i zastałem mojego kolegę, Jerzego Sanda, w szlafroku, przed kominkiem, w wielkim pokoju, samego, palącego cygaro po obiedzie. Miała na sobie ładne żółte pantofle z frendzlami, pończochy wielce kokieteryjne i czerwone spodnie. Jeżeli chodzi o stronę fizyczną, to już się może pochwalić drugim podbródkiem, który ją czyni podobną do kanonika. Pomimo strasznych nieszczęść niema ona jeszcze ani jednego siwego włosa; jej śniada cera nic się nie zmieniła; jej piękne oczy zawsze są równie błyszczące; a wcale niema mądrzejszej miny, kiedy się zamyśli, bo, jak to jej powiedziałem, gdym ją wystudyował należycie, cała jej fizyognomia jest w oczach. Od roku już siedzi ona w Nohant, bardzo smutna, ogromnie zapracowana. Żyje tak mniej więcej, jak ja. Kładzie się spać o 6-ej rano, a wstaje koło południa, podczas gdy ja idę spać o 6-ej wieczorem, a wstaję o północy; ale naturalnie, zastosowałem się do jej trybu życia, tak, że przez trzy dni gadaliśmy od 5-ej po południu, po obiedzie, do 5-ej rano. Tym sposobem, w ciągu tych trzech długich gawęd, poznałem ją, i wzajemnie dałem się jej poznać, lepiej niezrównie, aniżeli w ciągu poprzednich lat czterech, kiedy to przychodziła do mnie, gdy była zakochana w Jules Sandeau, lub wówczas, kiedy miała stosunek z Mussetem. Wcale mi to wyszło na korzyść, żem się z nią zobaczył, gdyż poczyniliśmy sobie wzajemne zwierzenia o Juliuszu Sandeau. Co do mnie, to będąc ostatnim z tych, którzy ją czynili winną tego zerwania, dziś mam dla niej tylko głębokie współczucie, tak, jak je pani w równym stopniu będziesz miała dla mnie, gdy się dowiesz, z kim to naprawdę mieliśmy do czynienia: ona w miłości, ja w przyjaźni. A jednak była ona o wiele jeszcze nieszczęśliwszą z Mussetem, co spra-

[1]) Kartkę tę, z tem namiętnem wyznaniem miłości, skreślonem śmiałym, zamaszystym charakterem pisma, zachował Chopin na pamiątkę, wklejając ją do swego dziennika. Wiadomość o niej podał pierwszy w 1871 r. prof. St. Tarnowski. Dziennik Chopina, z ową zżółkłą pomiętą kartką, tak pamiętną w życiu twórcy *Nokturnów*, spalił się w czasie pożaru pałacu w Woli Justowskiej pod Krakowem.

wiło, że teraz pogrążyła się w głębokiem odosobnieniu, złorzecząc i małżeństwu i miłości równocześnie, albowiem w jednem zarówno, jak i w drugiej, doznała tylko zawodów. Cała rzecz, że taki typ mężczyzny, jaki jej odpowiada najbardziej, trafia się nader rzadko. A musi być tem rzadszym, ponieważ ona nie jest miłą, a co za tem idzie, bardzo trudno da się kochać. Jest to chłopiec, jest to artysta, jest tęga, szlachetna, oddana, wstydliwa; ma wszystkie charakterystyczne cechy mężczyzny: ergo, nie jest kobietą. Stąd, rozmawiając z nią przez trzy dni z całą serdeczną otwartością, tak jak i dawniej ani trochę przy niej nie czułem się nastrojony na ton tej zmysłowej galanteryi, którą we Francyi jak w Polsce jest się zniewolonym rozwijać wobec każdej kobiety. Poprostu rozmawiałem z kolegą. Posiada ona wysokie cnoty, z tych cnót, które społeczeństwo bierze na odwrót. Przedyskutowaliśmy doniosłe kwestye małżeństwa i wolności, a dyskutowaliśmy poważnie, z dobrą wiarą, ze spokojem, z czystem sumieniem. Wygrałem wiele, skoro mi się udało przekonać panią Dudevant o potrzebie małżeństwa. Jest ona wzorową matką, uwielbianą od swych dzieci; ale przebiera swoją córkę, Solange, za chłopca, co nie jest dobrem. Pod względem moralnym jest ona, jak mężczyzna dwudziestoletni, bo jest cnotliwa i skromna: artystą jest tylko zewnętrznie. Nie zna miary w paleniu, być może, że trochę za bardzo bawi się w księżniczkę, to też jestem przekonany, że w księżniczce swego *Secrétaire intime* bardzo wiernie odmalowała siebie sama. Koniec końców, jest to mężczyzna, mężczyzna o tyle bardziej, że sama chce nim być, że całkiem wyszła z roli kobiety, czyli, że nie jest kobietą. Kobieta pociąga, ona odpycha raczej, a ponieważ ja bardzo jestem mężczyzną, więc, jeżeli na mnie robi ona takie wrażenie, to musi je robić także i na innych mężczyzn, którzy do mnie podobni. Dlatego zawsze będzie nieszczęśliwa. Tym sposobem i teraz kocha ona mężczyznę, który pod każdym względem jest niższym od niej; stąd w całym tym stosunku same są tylko rozczarowania i zawody, jako dla kobiety o pięknej duszy; bo kobieta powinna zawsze kochać mężczyznę, który góruje nad nią, jako indywidualność, albo przynajmniej, żeby tak dobrze była zwodzoną, by miała złudzenie, że tak jest istotnie«.

Okazało się, że nie wszyscy mężczyźni byli tego samego zdania o kobiecości p. Sand, co Balzac, na którym poprostu nie robiła wrażenia kobiety, lecz że nie brakło takich, na których, jako kobieta właśnie, jako wysoce powabna kobieta, robiła bardzo silne wrażenie. Jakoż było wielu takich, i to między wielkimi znawcami kobiet, którzy panią Sand uważali za piękną, bardzo pociągającą i ponętną kobietę. Dość wymienić Heinego, który ją nazwał *eine schöne Amazone, eine schöne Frau, sogar eine ausgezeichnete Schönheit.* Oto jej znakomita charakterystyka, skreślona piórem Heinego: »Wielka powieściopisarka, George Sand, jest zarazem piękną kobietą. Jest ona nawet wybitną pięknością. Jak geniusz, który się wypowiada



w jej dziełach, podobnie i jej twarz może być nazwana raczej piękną, aniżeli interesującą; pierwiastek interesujący jest zawsze pełnem wdzięku i uduchowionem odstępstwem od typu piękności, a tymczasem rysy twarzy pani Sand noszą właśnie piętno greckiej regularności. Wyraz jej jednak nie jest bynajmniej szorstkim, łagodzi go bowiem pewien odcień sentymentalności, w który, niby w żałosny welon, zdaje się być spowity. Czoło jest niewysokie, a przedzielone, cudne, kasztanowato - brunatne włosy spadają w lokach na ramiona. Oczy jej są nieco matowe, a przynajmniej nie odznaczają się blaskiem, a ogień ich albo został zgaszony przez wiele wylanych łez, albo przeszedł w jej dzieła, które swe płomienne żagwie rzucają na świat cały, rozjaśniwszy niejedną beznadziejną celę więzienną, kto wie jednak, czy nie wznieciły również i zgubnego ognia w niejednej cichej świątyni niewinności. Autorka *Lelii* ma spokojne, łagodne oczy, wcale nie przypominające ani Sodomy, ani Gomory. Nie posiada ona ani emancypowanego nosa orlego, ani figlarnego noska zadartego; poprostu jest to zwyczajny prosty nos. Koło jej ust igra zwykle



Apoteoza pani Sand, jako »Aurory« Chopina.
Rysunek Cypryana Norwida.

dobrotliwy uśmieszek, który jednak nie jest bardzo pociągający; nieco obwisła dolna warga świadczy o zmęczonej zmysłowości. Podbródek jest pulchny, ale piękny w proporcyach. Również i jej plecy są piękne, ba, wspaniałe. Podobnież ramiona i ręce są bardzo małe, tak samo jak i jej nogi. Uroki łona niech opisują inni współcześni; ja stwierdzam moją niekompetencyę w tym względzie. Reszta jej całego korpusu zdaje się być nieco za tęga, a przynajmniej za krótka. Tylko głowa nosi piętno idealności, przypominając najszlachetniejsze pozostałości sztuki greckiej, tak, że pod tym względem zawsze-by mógł jeden z naszych przyjaciół porównać tę piękną kobietę do marmurowego posągu Wenus milońskiej, znajdującej się w jednej z dolnych sal Louvru. O tak, George Sand jest piękną, jak Wenus z Milo, przewyższa ją nawet niektóremi właściwościami: jest np. o wiele od niej młodsza. Fizyognomiści, którzy utrzymują, że głos człowieka najwierniej odpowiada jego charakterowi, znaleźli-by się w nielada kłopocie, gdyby im w głosie p. Sand wypadło dosłuchać się jej niezwykłej serdeczności. Ten ostatni jest matowy i bez świeżości, bez metalicznego dźwięku, a jednak łagodny i przyjemny. Naturalność jej sposobu mówienia nadaje mu pewien urok. O darze śpiewu nie może być u niej mowy; George Sand śpiewa conajwyżej z brawurą pięknej gryzetki, która nie jadła jeszcze śniadania albo wogóle niebardzo jest przy głosie. Organ mowy jest u pani Sand w równym stopniu mało świetnym, jak to, co się słyszy z jej ust. Niema ona absolutnie nic z tryskającego esprit swych współrodaczek, ale też i nic z ich gadatliwości. Na dnie jednak tej skłonności do milczenia nie leży ani przesadna skromność, ani zbytnie wsłuchiwanie się w to, co się mówi do niej. Jest ona jednosylabową, jeśli się tak wyrazić można, raczej na skutek pewnej wyniosłości, albowiem nie uważa cię godnym, ażeby ducha swego przed tobą roztrwaniać, albo też wskutek pewnego rodzaju samolubstwa, ile że stara się ona przyswoić sobie wszystko, co jest w twej mowie najlepszego, ażeby to później odpowiednio zużytkować w swych książkach. Że pani Sand dzięki swojemu skąpstwu w rozmowie doskonale potrafi nic nie dać, a zawsze coś sobie przyswoić, jest to rys charakterystyczny, na który mi zwrócił kiedyś uwagę Alfred de Musset. Nigdy nie powie pani Sand czegoś dowcipnego, jak wogóle jest ona jedną z najniedowcipniejszych Francuzek, jakie znam. Z miłym, często szczególnym uśmiechem przysłuchuje się ona temu, co mówią inni, poczem te cudze myśli, które przejęła i przerobiła w sobie, wychodzą na świat z tego alembiku jej ducha w drogocenniejszej o wiele postaci. Wogóle jest ona bardzo subtelną słuchaczką«. A co się tycze zewnętrznej powierzchowności, to, według pani Ollivier, »jest to raczej przystojna kobietka, niż dama; choć czasem potrafiła być większą damą, niż to sobie wyobrażali niektórzy«. Co pewna również, że w naturze była o wiele przystojniejszą, aniżeli nią jest na wszystkich znanych portretach. »Portrety jej —



jak zapewnia Dumesnil w jednym ze swych listów do rodziny — są podobne, ale niepochlebne; uderza wyrazem spokoju, łagodności i słodyczy«. Ale prócz tego miała jeszcze coś w wyrazie twarzy, co niesłychanie ku niej pociągało większość mężczyzn. Tem czemś, był niewątpliwie jakiś dziwny powab fizyczny, na który nawet sędziwy Niemcewicz zwrócił uwagę. Ten powab sprawiał, że od najmłodszych lat zawsze miała wprost wyjątkowe »powodzenie« u mężczyzn, *un succès presque incroyable,* jak mówi jej francuski biograf; gdziekolwiek się pojawiła, czy to w Paryżu, czy w czasie podróży, zawsze i wszędzie towarzyszyły jej »konkiety« wśród spotykanych mężczyzn, co ją często nudziło, a nawet gniewało poprostu. Chciała czy nie chciała, wciąż sobie zdobywała nowych wielbicieli. Istna czarodziejka! *Elle attirait les adorations sans le vouloir. C'était une nature de charmeuse*[1]). Myliłby się jednak, ktoby sądził o niej, że była urodą efektowną, tak nie było wcale, czego ona sama miała świadomość najzupełniejszą, gdy twierdziła, że była *insignifiante d'aspect,* a więc nie rzucającą się w oczy. Przedewszystkiem była drobnej kompleksyi, kształtną, proporcyonalną, pulchną, ale niewielką. Wogóle figurę miała 14-letniej dziewczynki, *de la taille d'une fillette de 14 ans,* a że była brunetką o śniadej cerze i wielkich, cudnie oprawnych oczach, czarnych, jak węgle, w których — jakby się wyraził Słowacki — Kupido całym pękiem trzymał najeżone strzały, więc przedewszystkiem robiła wrażenie ognistej, czarnobrewej Hiszpanki, nie frapującej pięknością, ale posiadającej ogromną dozę tego, co we francuskim języku bywa określane mianem *beauté du diable.* To też, jako »jedna z kuszących form szatana«, żeby użyć wyrażenia Beaudelaire'a, u którego była w dziwnej niełasce, stawała się bardzo niebezpieczną przy bliższem poznaniu. Posiadała jakiś urok, jakiś czar, który mężczyzn wprost przykuwał do niej, którym opętani, nigdy nie mogli wyzwolić się z pod jego władzy. Ci, co z nią mieli do czynienia, których chwilowo uszczęśliwiła swą miłością, nigdy już — zdaniem Balzaca — nie mogli zapomnieć o niej[2]). W miłości jej — jak twierdził Sandeau — był jakiś jad, który się nie dał wyleczyć żadnym antidotem. Kto nie zaznał miłości tej kobiety — słowa Juliusza Sandeau — nie wie, co to ból i nieszczęście. *Celui qui n'a pas connu l'amour de cette femme, ne sait pas, ce qu'est le malheur.* Tenże Sandeau tak opisał wrażenie, jakie czyniła swą ujmującą powierzchownością: »Wszystko w niej zdradzało naturę bujną, bogatą, życie zdawało się tryskać nawet z jej ciemnych loków, kipiało pod ciemną atłasową skórą. Na gładkiem czole nie było jeszcze śladów namiętności, ale już świtała ich zapowiedź;

---

[1]) Wladimir Karénine (pani Komarow). *George Sand.* Sa vie et ses oeuvres, T. I., str. 197—8.

[2]) *Lettres à l'Etrangère* (do pani Hańskiej). Jako taką opisał ją też Balzac w swej *Beatrix,* gdzie Mademoiselle de Touches to pani Sand.

oczy mówiły o walkach i ogniach wewnętrznych«. Musset, który ją nazywał *femme à l'oeil sombre,* nie mógł zapomnieć o tych dziwnych oczach:

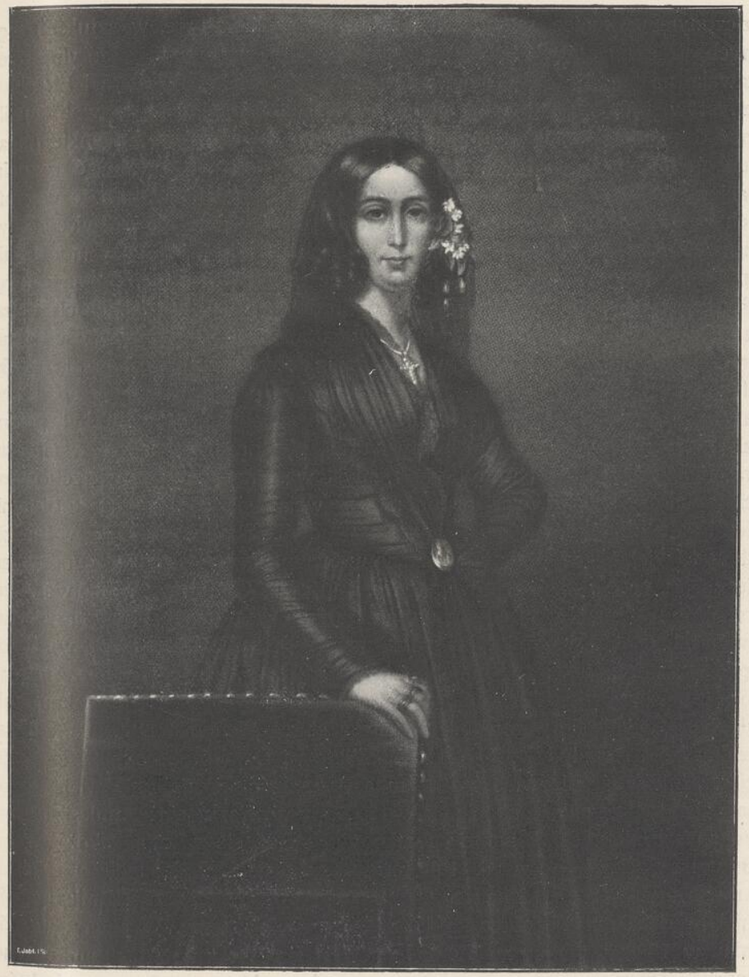
Ote-moi, mémoire importune,
Ote-moi ces yeux que je vois toujours! [1]).

Jeżeli oczy są »oknem duszy«, to z tych wyglądał przedewszystkiem temperament. Temperament ten, ognisty i namiętny, o charakterze zmysłowym, nie bez pewnej *curiosité du vice,* odziedziczyła pani Sand po swych przodkach. Albowiem pochodziła z rodziny, w której żyłach płynęła krew paru generacyi zmysłowców i rozpustników. Dość powiedzieć, że w prostej linii pochodziła od Augusta II Mocnego, elektora saskiego i króla polskiego.

Rzecz miała się tak. August II. miał ze słynną z piękności Aurorą Königsmark syna naturalnego, który zasłynął z czasem, jako marszałek Maurice de Saxe. Jeden to z najgłośniejszych awanturników XVIII wieku. Nieszczęśliwy konkurent do ręki dwóch carowych, Elżbiety Pawłówny i Anny Iwanówny, ale szczęśliwy kochanek Adrianny Lecouvreur i wielu innych aktorek (bo przepadał za teatrem), Maurycy Saski, przy całej swej wojskowej zdolności i dzielności, był przedewszystkiem dzieckiem swego czasu, a hołdując lekkiej moralności XVIII stulecia, zasłynął nietyle, jako zwycięzca z pod Fontenay, ile jako wielki libertyn, więcej, niż libertyn, *plus que libertin.* Jako rozpustnik i zmysłowiec był to nieodrodny syn swego grzesznego ojca. Uwikłany w mnóstwo miłostek, zwłaszcza w sferach teatralnych, między innemi miał dłuższy romans z równie piękną, jak rozwiązłą śpiewaczką operową, Marie Rinteau, występującą na scenie, jako Mademoiselle de Verrières. Dzieckiem tej miłości, mniej przelotnej, niż inne miłostki tego saskiego Don Juana, była córka, Maria-Aurora, która, dziwną ironią losu, wyrosła na kobietę bez skazy, czystą, cnotliwą, wzorową, surowych obyczajów. Istny kaprys dziedziczności! Choć wychowana w lekkiej atmosferze świata aktorskiego, i to wśród aktorek i śpiewaczek XVIII wieku, Maria-Aurora od dziecka odznaczała się wielką skromnością i powagą. Wydana za mąż w 15-ym roku życia, za hrabiego Horna (syna naturalnego Ludwika XV), który w trzy tygodnie po ślubie zdążył zginąć w pojedynku, przez 15 lat pozostała wdową, aż wreszcie, mając lat 30, poślubiła bardzo bogatego i miłego starca M' Dupin de Francueil, z którym miała jedynego syna, Maurycego. Jako ciotka Karola X i Ludwika XVIII, co sobie ceniła bardzo wysoko, Maria-Aurora niczem nie przypominała

[1]) René Doumic w swej książce, poświęconej pani Sand, tak kreśli jej sylwetkę: C'était le moment de la plus ardende séduction. Imaginez-la, l'enchenteresse, petite plutôt que grande, charmante de sveltesse, d'un visage si original avec cette peau brune aux tons si chauds, et cette opulente chevelure noire, et ces yeux, les grand yeux dont Musset, vingt ans après, conservait la hantise.. Et cette femme qu'on êut aimée à la passion, rien que pour son charme de femme, était une femme célèbre! Et elle avait du génie!«





George Sand w 1838 r. (Według portretu olejnego Charpentiera).

sfery, w której wzrosła. Iście katońskiej cnoty, bardzo poważna z natury, nie bez pewnej arystokratycznej wyniosłości, miała wszystkie zalety i wady wielkiej damy, którą też była w każdym calu. Nie darmo w niej płynęła krew królewska! Wyjątkowo inteligetna, bardzo wykształcona, bardzo muzykalna z natury, obdarzona ślicznym głosem i talentem do śpiewu, odzie-

dziczonym po matce, rozmiłowana w nauce, w literaturze, w sztukach pięknych, przez całe życie lubiła się otaczać ludźmi uczonymi, z którymi przestawała najchętniej. Wielbicielka filozofii XVIII wieku, Woltera i Encyklopedystów, była zdecydowaną nieprzyjaciółką kościoła, którą to wolnomyślność doskonale umiała pogodzić z wyjątkowo rozwiniętym instynktem macierzyńskim. Odkąd została matką, całkowicie dała się owładnąć uczuciu macierzyńskiemu, które w niej niewątpliwie było najsilniejszem ze wszystkich uczuć. Owdowiawszy dość wcześnie, całkowicie się poświęciła wychowaniu swego jedynego syna. Jakoż wychowała go, jak tylko mogła najlepiej; nie mogła dokazać tylko jednej rzeczy: okiełznać jego bujną naturę, stłumić popędy, odziedziczone nie po rodzicach, ale po dziadkach i pradziadkach. Wychowany za rewolucyi, w zasadach wolności, równości i braterstwa, z wykształceniem pierwszorzędnem, z wielkiem zajęciem dla sztuki i literatury, bardzo muzykalny, ślicznie grający na skrzypcach, przepadający za teatrem, jak przystało na wnuka swego dziadka, Maurycy był naturą szlachetną i prawą, szczerą i artystyczną, ale pozatem, jak przystało na prawnuka Augusta II, naturą bujną i zmysłową. Przyjemnej powierzchowności, a bardzo kochliwego usposobienia, wciąż się uganiał za kobietami, niezależnie od tego, czy była wojna czy pokój. Stąd poszło, że w bardzo młodym wieku został ojcem syna naturalnego, którego matka jego, chcąc nie chcąc, wzięła na wychowanie, jako Hipolita Châtiron. Wstąpiwszy do armii republikańskiej, młody Maurycy Dupin de Francueil odbył przy boku jenerała Duponta wszystkie kampanie napoleońskie, w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, aż w końcu, ranny i wzięty w niewolę przez Austryaków, powróciwszy do swoich, został adjutantem Murata. Podczas kampanii włoskiej uwikłał się w romans z metresą starego jenerała Duponta, piękną, ale bardzo rozpustną Zofią-Antoniną-Wiktoryą Delaborde, ex-aktorką, której teraźniejszość, a zwłaszcza szumna przeszłość, niezmiernie wiele pozostawiały do życzenia. Zakochany w niej, gdy zaszła w ciążę, uniesiony porywem szlachetności, Maurycy postanowił ożenić się z Zofią. Jakoż w roku 1804, na początku czerwca, 16 Preridora, po wielu bolesnych przejściach z matką-arystokratką, stanął z nią w Paryżu przed ołtarzem. W miesiąc później urodziła mu się córeczka, której dano imię Aurory. W cztery lata później, w 1808 r., Maurycy Dupin, skutkiem upadku z konia, odumarł żonę i córkę. Zrozpaczona po stracie syna, a nienawidząc swej synowej, która jej odpłacała się podobnem uczuciem, babka Aurory, ażeby ją uchronić od złego wpływu matki, sama się zajęła jej wychowaniem, na co Zofia-Antonia-Wiktorya Dupin zgodziła się bez oporu. Owszem, było jej to na rękę, gdyż mając wcale znaczną rentę, jako wdowa po Maurycym Dupin de Francueil, mogła prowadzić znacznie swobodniejszą egzystencyę, czego też nie omieszkała czynić. Istotnie, życie, które odtąd prowadziła w Paryżu, wcale nie było budującem. Szybko się pocieszywszy po stracie męża, któ-



remu i za jego życia nie była całkiem wierną, a będąc jeszcze piękną i ponętną niezwykle, mogła mieć tylu kochanków, ilu chciała, za czem poszło naturalnie, że miała niejednego. Ciągle zaabsorbowana miłostkami, całkiem się odzwyczaiła od córki, zupełnie ją powierzywszy opiece babki w Nohant. Wogóle była to kobieta więcej, niż lekka, a od zwykłej *petite bourgeoise parisienne* różniła się tylko niepohamowaną zmysłowością. Zresztą był to typ kobiety pospolitej, pozbawionej taktu i delikatności, niezawsze odpowiedzialnej za swe postępki, zupełnie bez wykształcenia. Nim została podrzędną aktorką — *qui avait commencé ses ébats sur les traiteaux d'un petit théâtre et les avait continuées sur le théâtre de la guèrre d'Italie* — była modystką w Paryżu, *une midinette,* i jako taka odznaczała się wielką zręcznością, zwłaszcza w strojeniu kapeluszy, dar, który zachowała do końca życia. Nadmienić wypada, że Zofia Delaborde, nim została panią Dupin, miała córkę z nieznanego ojca, Karolinę, z którą razem mieszkała w Paryżu, z którą też jeździła do Nohant, gdzie zwykle spędzała lato, ażeby choć parę miesięcy być przy swej córce z prawego łoża. Co również charakteryzowało matkę Aurory, że, jako dziecko ludu, a raczej ulicy, a powodowana nienawiścią do swej arystokratycznie usposobionej teściowej, była usposobiona bardzo demokratycznie, niecierpiała arystokratów, zwłaszcza arystokratek w rodzaju Maryi Aurory, której też zatruła niejedną chwilę w życiu. Za to była bardzo pobożną, nigdy nie opuściła mszy św. w niedzielę, a do spowiedzi chodziła najregularniej.

Cóż dziwnego, że córka takiej matki, a prawnuczka takich prababek, jak Aurora Königsmark — po której dostała imię — i Marie de Verrières, również odznaczała się temperamentem namiętnym i zmysłowym, i że pochodząc z rodziny, będącej istną profuzyą związków i urodzin nieprawych, z rodziny, tak obfitującej w dzieci naturalne i adoptowane, już we krwi miała wrodzoną wyrozumiałość dla miłości nielegalnej, co równocześnie szło w parze z nieprzepartym pociągiem do miłości wogóle, a do cielesnej w szczególności. Stąd, przy usposobieniu romansowem, które już było wytworem epoki romantycznej, ciągła potrzeba kochania, stąd wieczna żądza ciągle nowych wrażeń, nowych podniet, nowych upojeń i zachwytów, a wszystko to na tle sporej dozy lekkomyślności w zrywaniu jednych związków dla nawiązania innych. *Il n'y a en moi rien de fort* — własne słowa pani Sand o sobie — *que le besoin d'aimer,* a że nazywała się również *un être de sentiment*, którą to kochliwą uczuciowość odziedziczyła po ojcu, więc słusznie powiedziano o niej, że w miłości ceniła przedewszystkiem swobodę, że w stosunku do mężczyzn, ku którym zapłonęła goretszym afektem, zawsze była gotową ważyć się na wszystko, *toujours prête à tout risquer à tout propos.* W miłości widząc główny cel życia, *la raison d'être,* nie nakładała sobie prawie żadnych hamulców pod tym względem, gdy chodziło o zaspokojenie świętego instynktu miłości. Ponieważ,

obok silnych popędów zmysłowych, duszę miała spokojną i zrównoważoną, więc o ile zakochiwała się łatwo, o tyle również i odkochiwała się prędko, ale dopóki kochała, kochała całą siłą uczucia, na jakie ją było stać, z całym zapałem i entuzyazmem. Kochając, musiała mieć wiarę w swego kochanka, musiała być przekonaną, że kocha najszlachetniejszego z ludzi; wtedy do swej miłości dodawała ogrom współczucia, czułości, iście macierzyńskiej wyrozumiałości i poświęcenia. Gdy traciła wiarę w szlachetność swego kochanka, odrazu przestawała go kochać, a więc zrywała z nim. Szybko się lecząc po każdym zawodzie miłosnym, wcale tem samem nie zniechęcała się ani zrażała do miłości wogóle, jako takiej, przyczem do każdej nowej miłości wnosiła pewien rodzaj niepoprawnej naiwności i dobroczynności, niczem pensyonarka, kochająca pierwszy raz w życiu. Pozostając pod urokiem ukochanego mężczyzny, tak się przejmowała jego aspiracyami i sposobem myślenia, że przy każdym kochanku żywiła inny kult intelektualny, z kolei zapalała się do innych ideałów; z jednym miała zapał dla poezyi, z drugim dla muzyki, z trzecim dla filozofii, z czwartym dla socyalizmu, z piątym dla republikanizmu i t. d. i t. d. Nie znaczyło to jednak, żeby kiedykolwiek miała dwóch kochanków naraz. Tego grzechu nie popełniła nigdy, z czego była dumną. *Un seul à la fois, c'était sa règle.* »Nigdy – własne jej słowa o sobie — nie kochałam dwóch mężczyzn jednocześnie, nigdy, nawet w myśli, dopóki trwała namiętność, nie należałam do nikogo więcej, jak do jednego. Jeżelim go nie kochała, nie zdradzałam, lecz zrywałam z nim. Prawda, żem ślubowała mu miłość wieczną, ale zawsze czyniłam to w dobrej wierze. Za każdym razem, ilekroć kochałam, to całą duszą, tak, że sądziłam, że jest to pierwszy i ostatni raz w mojem życiu. Pewno, że wy nie możecie mnie nazwać kobietą uczciwą, ale ja sama mam to najgłębsze przekonanie, że nią jestem«.

Ale kochając zawsze jednego tylko, prawie nigdy nie miała takiej chwili, żeby nie kochała nikogo. Widocznie, że jak natura, tak i jej serce nie znosiło próżni. Stąd wielka liczba kochanków, grających mniejszą lub większą rolę w jej życiu, a dobieranych z pośród najświetniejszych indywidualności swego czasu, liczba wielka bardzo, może za wielka nawet, jak na kobietę, która w swem przekonaniu nigdy nie przestała być uczciwą. Ale też nic bardziej zajmującego, jak jej *vie amoureuse!*

Pierwszym, który ją pchnął na drogę przygód miłosnych, był młody przyrodnik, syn sąsiadów z Nohant, Stephan Ajasson de Grand-Seigne. On pierwszy uległ jej urokowi niewieściemu, on pierwszy zakochał się w niej, stał się jej wielbicielem. A jednak kochał się bez wzajemności, bo choć miał wielki wpływ na nią, choć pod jego kierunkiem zapaliła się do studyów nad naukami przyrodzonemi, jednego nie potrafił dokazać, żeby i jej dziewicze serce żywiej zabiło ku niemu. Było to w 1820 r., kiedy Aurora miała lat szesnaście zaledwie. Ale choć niekochany, Grandseige bardzo



zaważył na losach przyszłej autorki *Lelii.* Przedewszystkiem, gdy ludzie, widząc ich bardzo często razem, a często samych na pieszych lub konnych przejażdżkach, zaczęli do tych spacerów, a zwłaszcza do »studyów naukowych« z Grandseignem, dodawać złośliwe komentarze; Aurora, rozdrażniona temi plotkami, przestała zwracać uwagę na to, co mówiono o niej, przestała się liczyć z opinią publiczną, zaczęła mieć pogardę dla świata i ludzi. Był to ważny zwrot w jej życiu. Niemniej ważnem było to, że gdy w tym czasie poszła do spowiedzi, co dotąd czyniła bardzo często, a spowiednik zaczął ją pytać o Grandseigne'a, oburzona powstała, przerwała spowiedź i nigdy już nie wróciła do konfesyonału. Gdy potem Grandseigne pojechał studyować medycynę do Paryża, wywiązała się między nim a czarnobrewą panną Dupin ożywiona korespondencya, mająca trwać lata całe.

Po śmierci babki, zmarłej w grudniu 1821 r., 17-letnia Aurora, jako bogata dziedziczka, bo już w tej chwili posiadaczka »zamku« w Nohant, domu w Paryżu [1]) i pół miliona franków w kapitale, wróciła do matki, do Paryża, gdzie przedewszystkiem przekonała się niebawem, że więcej była wnuczką swej babki, niż córką swej matki, z którą niewiele miała wspólnego. Na początku 1822 r. odwiozła ją matka do swoich krewnych Duplessis'ów w Plessis-Picard, gdzie Aurora, poznawszy barona Casimira Dudevant, już we wrześniu tegoż roku 1822 została jego żoną, naprawdę zakochana w swym mężu. Wychodząc za niego, nie przypuszczała ani na chwilę, że jemu przedewszystkiem chodziło o jej majątek, bo wogóle, pełna złudzeń co do jego osoby, nie miała wyobrażenia, jakiego rodzaju był to człowiek. Tymczasem był to człowiek nieciekawy, pospolity, brutalny, ordynarny, niemoralny, pijak, bez żadnej kultury umysłowej, uganiający się za pokojówkami i dziewczętami z ulicy, a przytem wysokiego mniemania o sobie, przekonany o swej wyższości, nie znoszący, jako były oficer, opozycyi, przywykły do wydawania rozkazów, słowem najprzykrzejszy typ na męża. Nawiasem mówiąc, żeniąc się z niedoświadczoną Aurorą, zastrzegł sobie w intercyzie, że on będzie administrował majątkiem (t. j. jej majątkiem, bo sam nie miał prawie żadnego oprócz długów), a jej będzie wypłacał 3.000 franków rocznie. Mimo to wszystko Aurora przez pierwsze dwa lata czuła się szczęśliwą, przekonana o swym mężu, że był dobry i uczciwy, w listach zaś, które do niego pisywała aż do 1824 r., okazywała się nietylko czułą i przywiązaną, ale namiętną nawet. W czerwcu 1823 r. powiła syna, któremu na intencyę Maurycego Saskiego dała na imię Maurycy. Bezpośrednio potem przeniesiono się do Paryża. Tu Aurora sama karmiła dziecko, przyczem okazała się niesłychanie troskliwą i kochającą matką. Jednocześnie okazała się niezrównaną gosposią, doskonale umie-

[1]) Hôtel de Narbonne przy rue de la Harpe.

jącą się krzątać koło domu, porządkować ogród, ba, szyć kamizelki dla męża! Niestety, mąż coraz mniej zaczynał się krępować wobec niej, coraz bardziej ujawniając swoją prawdziwą naturę grubianina. Niedość, że ją zaczął zdradzać, że zaczął trwonić jej majątek, ale przychodziło do tego, że pijany zaczął ją bić, policzkować, nawet przy ludziach. Stąd częste łzy Aurory, poczucie osamotnienia, rozstrój nerwowy, a wreszcie nieuświadomione pragnienie rzeczywistego szczęścia.

W takich warunkach, w 1825 roku, podczas wycieczki w Pireneje, w Bordeaux, poznała 21-letnia pani Dudevant adwokata Aurelego de Sèze, człowieka niepospolitego pod wieloma względami, bardzo wykształconego, bardzo subtelnego, o wielkiej delikatności uczuć. Dzięki sprzyjającym okolicznościom, jak wspólnie odbywane wycieczki w góry i nad morze, Aurora zakochała się w młodym adwokacie, podczas jednej wycieczki w Pireneje otwarcie mu wyznała swą miłość, a choć i od niego usłyszała wyznanie wzajemne, to jednak ani na chwilę nie zeszła z drogi cnoty. Była to jej pierwsza prawdziwa miłość, ale miała pozostać platoniczną. Szczegół charakterystyczny, że Aurora, nie chcąc mieć sobie nic do wyrzucenia, a jak powiada jej biograf, *ave sa noble franchise et sa droiture de caractère honnète et sincère,* do wszystkiego przyznała się mężowi, który jakoś nic nie miał przeciwko tej miłości. W taki sposób zaczęła się ta czysta i niewinna miłość-przyjaźń, istna *amitié amoureuse* dwojga szlachetnych serc, dwóch prawych charakterów. O ile państwo Dudevant nie przyjeżdżali do Bordeaux, gdzie zresztą bywali często (albowiem pan Dudevant miał tam kochankę, o czem nie wiedziała jego żona) o tyle korespondowano ze sobą. Podobna wymiana listów, bardzo namiętnych ze strony Aurory i pisanych z niesłychanym polotem poetycznym, a znacznie spokojniejszych ze strony przeciwnej, trwała lat sześć.

W ciągu tego czasu jednak, we wrześniu 1828 r., urodziła się państwu Dudevant córeczka, której dano na imię Solange, a która była córką doktora medycyny Stefana Ajasson de Grandseigne, tego samego, który przed laty kochał się w Aurorze bez wzajemności. Widocznie, że teraz, po siedmiu latach, udało mu się pozyskać jej wzajemność.

Jednocześnie ustały jej stosunki z mężem, który, pijąc coraz zawzięciej, całkiem się przestał kryć ze swemi miłostkami, tak dalece, że je nawet uprawiał we własnym domu, pod okiem żony, a o ile sam coraz więcej wydawał na swoje potrzeby, o tyle jej skąpił do tego stopnia, że jej nawet nie wypłacał tego — z jej osobistego majątku — do czego się zobowiązał przed ślubem. Ona jednak znosiła wszystko cierpliwie, a nie mając potrzebnych pieniędzy od męża, zaczęła zarabiać własnym przemysłem: tłómaczyła z angielskiego, rysowała portrety, do czego miała wcale niepośledni talencik, malowała na drzewie, w czem również okazywała wiele zręczności i smaku; w wolnych chwilach zaś, ponieważ nie znosiła bezczynności, a potrosze i w celu rozpraszania smutnych myśli, zaczęła się zajmować ludem okolicznym, wchodziła do chat włościańskich, czy to jako nauczycielka dziatwy, czy to jako opiekunka chorych lub biednych. Były to początki tej dobroczynnej działalności, które jej niebawem miały zjednać piękny przydomek *La bonne dame de Nohant.*



Ale te wszystkie zajęcia jeszcze jej pozostawiały tyle czasu, że z całym zapałem pod kierunkiem Juliusza Neraud, swego sąsiada z Nohant, mogła się oddawać studyom nad botaniką. Takie studya przecież, o ile uczennica jest młodą czarnobrewą mężatką, nieszczęśliwą w pożyciu małżeńskiem, a nauczyciel młody i przystojny botanik, choćby żonaty i szczęśliwy w pożyciu małżeńskiem, jakim był właśnie Neraud, mogą być połączone z pewnem poważnem niebezpieczeństwem dla jednej ze stron, zwłaszcza, gdy nauczyciel jest wrażliwy na urok niewieści, gdy ulega magnetyzmowi czarnych oczu kobiecych. Nieszczęście chciało, że Neraud wcale się nie okazał odpornym pod tym względem, co sprawiło w końcu, że młody nauczyciel nagle rozgorzał namiętną miłością ku swej zamężnej uczennicy. Co gorsza, że ta nieszczęśliwa, bo nieodwzajemniana miłość nie uszła baczności pani Neraud, która, zazdrosna o swego małżonka, bynajmniej nie myślała rezygnować ze swych wyłącznych praw do jego serca, co na zewnątrz zaczęło się objawiać w formie przykrych scen małżeńskich. Biedny botanik, ażeby wyleczyć się ze swojej nieszczęśliwej miłości, ażeby uciec od tych czarnych oczu, których czar opętał go poprostu, nie widział innego środka ratunku, tylko daleką podróż w celach naukowych... aż na Madagaskar! Stamtąd pisywał piękne listy do Aurory — o czem pewno nie wiedziała jego żona — na które otrzymywał jeszcze piękniejsze odpowiedzi, a gdy w końcu powrócił do domowych pieleszy, szczęśliwie uleczony ze swej miłości, zawsze się liczył do najserdeczniejszych przyjaciół pani Dudevant, korespondując z nią przez całe życie.

W roku 1830 przebrała się miara cierpliwości Aurory; widząc, że dłużej nie wytrzyma przy boku takiego męża, oświadczyła mu któregoś dnia *avec un aplomb et un sang-froid qui l'ont pétrifié,* że wyjeżdża do Paryża, że tam będzie odbierać swą pensyę. Baron Dudevant opierał się zrazu, klął, prosił, tłómaczył; nic nie pomogło; Aurora okazała się niezłomną w swem postanowieniu. Nie pozostawało mu nic innego, tylko ustąpić, co też uczynił w końcu. Dnia 4 stycznia 1831 r. pani Dudevant opuściła rodzinne Nohant, przeniosła się na stały pobyt do Paryża. Dzieci zostawiła w Nohant. Znalazłszy się na paryskim bruku, odrazu przyłączyła się do grupy swoich dobrych znajomych z Berry, którzy tu, jako młodzi adepci literatury, prowadzili prawdziwie Murgerowską *vie de bohème.* Byli między nimi Feliks Piat, Charles Duvernet, Alfons Fleury, Henri Delatouche i Jules Sandeau. Atmosfera ówczesnego Paryża po rewolucyi 1830 r., w samych

początkach panowania Ludwika Filipa, była przesiąkła romantyzmem, który właśnie puszczał swoje pierwsze pędy. Młoda »baronowa Dudevant« odrazu poczuła się w tej atmosferze, jak ryba w wodzie. Zmuszona liczyć się z groszem, dla oszczędności, żeby módz bywać na parterze w teatrach, zaczęła się ubierać po męsku, *en simple bourgeois de l'époque,* i w takim stroju, z włosami ostrzyżonemi do ramion, w zwykłym kapeluszu męskim, choć ją nieznajomi brali za mężczyznę, w znajomych, gdy jej zależało na tem, potrafiła budzić zachwyt.

Do tych znajomych należał w pierwszym rzędzie Juliusz Sandeau, wtedy młodzieniec 20-letni, wielce obiecujący, jako literat, a gdy pani Dudevant, również aspirująca do literatury, zaczęła przemyśliwać o napisaniu romansu, tyle sobie w tej kwestyi miała do powiedzenia z przyszłym autorem *Marianny,* że niebawem została jego kochanką. Jako taka napisała z nim razem, do spółki, romans p. t. *Rose et Blanche,* romans, który odrazu wsławił młodą parę autorów-kochanków. Zachwycona tem łatwo zdobytem powodzeniem na niwie powieściopisarskiej, odczuwszy instynktownie, że to jest jej właściwe powołanie, współautorka *Rose et Blanche* zaraz zaczęła pisać, już sama zupełnie, nowy romans p. t. *Indiana,* romans, który wydany pod świeżo przybranym pseudonimem o męskiem brzmieniu *George Sand,* utworzonym z pierwszej połowy nazwiska Juliusza Sandeau, odrazu jej dał sławę i pieniądze. Następny romans, *Valentine,* jeszcze powiększył jej rozgłos. Powieści te, śmiało wymierzone przeciwko więzom życia codziennego, zwłaszcza przeciwko instytucyi małżeństwa, przeciwko wszelkim kastowym przesądom, a głoszące prawo do większej swobody dla ludzi genialnych, niż dla zwykłych śmiertelników, odrazu postawiły »George Sanda« w pierwszym rzędzie znakomitości literackich, do czego Julianowi Sandeau jeszcze było daleko. Niewiadomo, czy go korciła ta jej nagła sława, to jej niesłychane szczęście, ale wiadomo dobrze, że właśnie z jego powodu doznała swych pierwszych bolesnych rozczarowań w Paryżu, że, zakochana w nim, a zakochana miłością zmysłową, żądającą zupełnej wyłączności dla siebie, musiała zawieść się na nim. Przekonała się bowiem, że ją zdradzał, i to z kim? Z praczką, z którą go — wróciwszy niespodziewanie z Nohant — złapała na gorącym uczynku. Dotknięta tem boleśnie, w tej chwili zerwała z niewiernym kochankiem, a wszystko to przepoiło ją takim niesmakiem, że nigdy o żadnym ze swych kochanków, choć ich miała tylu potem, nie wyrażała się z taką pogardą, jak o autorze *Panny de la Seiglière.* Że i on odtąd powziął dziwną niechęć do niej, tego dał wymowny dowód najprzód w 1839 r. w powieści *Marianna,* będącej paszkwilem na panią Sand[1]),

[1]) Oto, co z powodu tej powieści pisze Balzac w jednym z listów do pani Hańskiej: »Jules Sandeau vient de trâiner George Sand dans la boue d'un livre qui s'appele *Marianna.* Il s'est donné le beau rôle, il est *Henry!* Lui! Grand Dieu! Vous lirez ce livre;



a następnie w 1861 r., kiedy jego głos miał zdecydować o tem, czy Akademia przyzna pani Sand nagrodę 20000 franków, i kiedy ta nagroda została przyznaną komu innemu.

Tymczasem w 1833 roku, w chwili zerwania z Juliuszem Sandeau, autorka *Indiany* była poprostu rozrywaną przez redaktorów dwóch najpoczytniejszych przeglądów, *Revue des deux Mondes* i *Revue de Paris.* Zwycięstwo odniósł Buloz, redaktor *Revue des deux Mondes,* który nietylko wziął panią Sand w monopol, ale nawet kochał się w niej beznadziejnie. Ta jego nieszczęśliwa miłość stała się głośną w literackim świecie paryskim, zwłaszcza wśród współpracowników *Revue des deux Mondes,* którzy trochę się naśmiewali z tego afektu redaktora, a pani Sand poczytywali za dowód charakteru, że choć materyalnie zależna od Buloza, choć mu się narażała swym brakiem wzajemności, to jednak potrafiła nie uledz jego zaklęciom. Musset, który był także stałym współpracownikiem *Revue des deux Mondes* unieśmiertelnił tę niefortunną miłość Buloza ku p. Sand w kilku żartobliwych wierszykach.

Oto, co raz pisał w tej kwestyi, opisując paryskie mieszkanko pani Sand przy quai Malaquais;

George est dans sa chambrette,
Entre deux pots de fleurs,
Fumant sa cigarette,
Les yeux baignés de pleurs.
Buloz assis par terre
Lui fait de doux serments...

Że jednak Bulozowi imponowała ta odporność p. Sand, że zamiast żalu nabrał tem większego respektu dla niej, dla jej charakteru i uczciwości, i że ją w gruncie rzeczy szanował za to, że nie chciała zostać jego kochanką, skoro w nim nie mogła się zakochać, o tem świadczą choćby następujące strofy z wiersza Musseta, o »cnocie« autorki *Lelii* i pojedynku o nią dwóch literatów paryskich.

L'ennemi se fit attendre
Jusqu'à quatre heures un quart,
Ce qui fut canulant, car
Buloz brûlait se rendre
Chez madame Dudevant
Qu'il aimait passionnément.

»Messieurs, c'est épouvantable,
Leur dit Buloz tout suant,
George Sand, assurément,

il vous fera horreur, j'en suis sur. Il est anti-français anti-gentilhomme. Et Henry finit comme Jules aurait dû finir (quand on aime bien et qu'on est trahi) par la mort. Mais vivre et écrire le livre, c'est épouvantable«.

Est une femme agréable
Et pleine d'honnêteté
Car elle m'a résisté!«

Oprócz Buloza kochał się w niej, w tym samym okresie czasu, przyjaciel Juliusza Sandeau, Emil Regnault, który, choć również kochał się bez wzajemności (bo autorka *Indiany* kochała wtedy Juliusza Sandeau), to jednak w tych wypadkach, gdzie chodziło o bezinteresowne poświęcenie, do którego Sandeau nigdy nie był skłonnym, zastępował go sumiennie. Gdy np. w 1831 roku pani Sand zachorowała dość poważnie, Regnault czuwał nad nią, niczem siostra miłosierdzia, dniem i nocą, dopóki nie wyzdrowiała zupełnie.

Po zerwaniu z Suliuszem Sandeau, boleśnie zawiedziona w swych najdroższych uczuciach, pani Sand rzuciła się w odmęt innej miłości, miłości fatalnej, która na długo miała zatruć i znieprawić jej duszę. Przedmiotem tej miłości, dla której nawet trudno znaleźć odpowiednią nazwę, była słynna aktorka, Marya Dorval, równie słynna ze swego niezwykłego talentu, jak ze swego rozwiązłego życia. Zawierając »przyjaźń« z nią, pani Sand szukała raczej odurzenia i zapomnienia po swym zawodzie z Juliuszem Sandeau, a tymczasem doczekała się tego, że ją rozpustna Dorval »zdradziła« z jej własnym niedawnym kochankiem, z Juliuszem Sandeau [1])!

Rozgoryczona epilogiem swego stosunku z Juliuszem Sandeau, olśniona błyskotliwością umysłu Prospera Merimée, którego poznała w tych czasach, pani Sand zakochała się w nim szalenie, została jego kochanką, ale już po tygodniu, zniechęcona i pełna niesmaku, zerwała z tym zimnym szydercą, który potem rozpowiadał wszystkim, że mu się nie podobała, że nie miała temperamentu.

Nieszczęśliwa w doborze kochanków, nierównie szczęśliwszą była w doborze przyjaciół, którzy w tej epoce stanowili jej najbliższe otoczenie w Paryżu. Pierwszym wśród nich, a najszlachetniejszym ze wszystkich, był François Rollinat, *le meilleur et le plus honnête des hommes,* jak o nim mawiała autorka *Lelii,* w której go sportretowała jako »idealnego przyjaciela«

[1]) Jak dalece była to »niebezpieczna przyjaźń« dla młodej wrażliwej kobiety, jak pani Sand wtedy, dowodzi wyrażenie biografa tej ostatniej, który, dyskretnie omawiając rolę, jaką Marya Dorval odegrała w ówczesnym życiu autorki *Lelii,* tak pisze w tej drażliwej kwestyi: »Marie Dorval, une belle et bonne âme en principe, avait une vie remplie de toutes sortes de vicissitudes; son tempérament passionné, la liberté des moeurs théâtrales en faisaient une amie dangereuse pour la jeune femme de 27 ans. Marie Dorval, cette âme honnête, naïve et ardente, eût une influence si pernicieuse sur Aurore Dudevant, que nous n'osons même pas l'approfondir«. Zachowała się część korespondencyi pani Sand z Maryą Dorval, lecz są to listy tego rodzaju, że — zdaniem biografa autorki *Indiany* — nie nadają się do ogłoszenia. »Une partie de leur correspondence fut trouvée parmis les papiers provenant de Jules Sandeau, avec des autographes d'Alfred de Vigny; elle est conservée, mais ne semble pas devoir être publiée«.



Trenmora. Szczerze, a całkiem bezinteresownie oddany swej znakomitej przyjaciółce, Rollinat stał się prototypem tylu szlachetnych przyjaciół w powieściach pani Sand. Był to jej Horatio, wobec którego ona niestety, bar-



George Sand.
Rysunek z natury Alfreda de Musset.

dzo często występowała w roli Hamleta Drugim przyjacielem jej, na którym mogła polegać z całem zaufaniem, był Henryk Delatouche, właściwie Aleksander Thibaud, natura poetyczna, charakter bez skazy, choć pesymista

niepoprawny. Jemu została przypisaną *Lelia*. Trzecim przyjacielem, na którym się pani Sand nie zawiodła, był głośny krytyk z *Revue des deux Mondes*, Gustaw Planche, który ją w 1832 r. pasował na powieściopisarkę, a który, choć nie był jej kochankiem, za jakiego uchodził przez czas jakiś, jednak pojedynkował się za nią z Capo de Feuillide, oburzony jego zjadliwą krytyką *Lelii*.

Na krótko przed wyjściem tej senzacyjnej powieści poznała się jej autorka ze sławnym już wtedy Alfredem de Musset. Ona miała lat 29, on 23. Ona znajdowała się w całym rozkwicie swej *étrange beauté*, czyniąc wrażenie młodej Hiszpanki, *une veritable petite Espagnolle*, on zaś, jako autor poetycznych, ale cynicznych *Contes d'Espagne et d'Italie*, cieszył się nietylko sławą bardzo utalentowanego poety, ale nadto miał opinię dandysa i libertyna, która to niepochlebna opinia była zupełnie uzasadnioną, niestety! Przystojny blondyn o wdzięcznej powierzchowności pazia, a obdarzony pierwszorzędnym talentem poetyckim, Musset już podówczas był na bardzo niebezpiecznej pochyłości moralnej. Skończony neurastenik, o charakterze kapryśnym i chimerycznym, a przytem bez żadnej siły charakteru, tak młody, jak był w tym okresie czasu, już był zepsutym do szpiku, skończonym cynikiem i rozpustnikiem. Rozpusta, pijaństwo i hazard, to były jego trzy główne nałogi, których niewolnikiem był od najwcześniejszej młodości. Domy gry, szynkownie i lupanary, to były trzy rodzaje lokalów, w których ten romantyczny Rolla spędzał bezsenne noce, z jego poetycznemi *Nocami* nic nie mające wspólnego. Poza tem była to natura szlachetna, wrażliwa, rzewna i namiętna, ale z usposobieniem nieporządnem, któremu wszystko, co tchnęło systematycznością, wydawało się wstrętnem i nieznośnem. Jako taki, był Musset, od pierwszej chwili zbliżenia się do pani Sand, jej absolutnym kontrastem. Trudno sobie wyobrazić dwa bardziej niedobrane i sprzeczne charaktery [1]). To też nieszczęściem stało się dla obojga, gdy się zbliżyli do siebie — na bankiecie w *Revue des deux Mondes* — gdy Musset zakochał się w pani Sand (czego jej przez dłuższy czas wyznać nie śmiał) i gdy sobie w końcu potrafił zdobyć jej wzajemność. Zaczął się zwykły romans, w który Musset kładł więcej młodości i żądzy, więcej zmysłów, a pani Sand, bardziej zakochana w swym poetycznym kochanku, więcej słabości i dobroci, więcej serca. Będąc nierównie poczciwszą i szczerszą od Musseta, autorka *Lelii*, zostawszy jego kochanką, więcej, niż o swojem,

[1]) Zdawała sobie z tego sprawę pani Sand i dlatego nie miała ochoty poznać się z Mussetem, gdy jej to proponował Sainte Beuve. Oto jej list do niego w tej kwestyi, z marca 1833 r.: »A propos, réflexion faite, je ne veux pas que vous m'ameniez Alfred de Musset. Il est très dandy, nous ne nous conviendrions pas, et j'aurai plus de curiosité que de l'intérêt à le voir. Je pense qu'il est imprudent de satisfaire toutes ses curiosités, et meilleur d'obéir à ses sympaties. A la place de celui-là, je veux vous prier de m'amener Dumas, en l'art de qui j'ai trouvé de l'âme, abstraction faite du talent«...



myślała o jego szczęściu, więcej chciała dawać szczęścia, niż go otrzymywać w zamian. Okazało się jednak, że gdy ona była bardzo oddaną i czułą, on czułym nie był wcale. *Je ne suis pas tendre, je suis excessif*, były jego własne słowa o sobie [1]).

O prawdziwości tego spostrzeżenia miała pani Sand sama przekonać się niebawem.

Na razie układało się wszystko, jak sielanka: mieszkanie na quai Malaquais, zajmowane przez panią Sand, stało się prawie mieszkaniem Musseta, aż w końcu, ażeby nie krępować się znajomymi i przyjaciółmi, przeniesiono się do Fontainebleau, właściwie do Franchard, i tam w zupełnej samotności we dwoje, w cudownym lesie tamtejszym, który dla nich stawał się jakimś czarownym ogrodem Kapuletów, jakimś rajskim Paradons z *La Faute de l'abbé Mouret*, tak długo pito z odurzającej czary szczęścia, że niebawem przyszła chwila, w której dopito się mętów. Lecz to nastąpiło dopiero z końcem jesieni, gdy powrócono do Paryża. Pierwszym, któremu te męty zaczęły psuć smak dotychczasowych upojeń i rozkoszy, równającym się czysto zmysłowym porywom, był Musset, który przedewszystkiem zaczął być zazdrosnym o przeszłość Aurory — jak książe Karol o przeszłość Lukrecyi Foriani — który ją zaczął dręczyć i męczyć z tego powodu, przyczem, obok chwil rozczulenia, miewał chwile jakiejś hysterycznej wściekłości, w których stawał się brutalnym, w których panią Sand traktował jak kurtyzanę, jak ostatnią ladacznicę. Jednocześnie zarzucał jej cynicznie, że niedość była kurtyzaną, że, jako kochanka, nie była dość zepsutą i wyrafinowaną, że była za dobra, za poczciwa, a za cnotliwa i wstydliwa w pieszczotach, że mu nie potrafiła dać tej rozkoszy w miłości, jakiej żądał od niej, a której miał do syta, gdy miał do czynienia z prawdziwemi kurtyzanami [2]). Jednem słowem, Musset zaczynał mieć dosyć Aurory, zaczynał rozczarowywać się nią, jako kochanką.

[1]) W jednym z późniejszych listów do pani Sand.

[2]) W jednym z późniejszych listów do Musseta pisze raz pani Sand w tej kwestyi: »Tu m'as reproché dans un jour de fièvre et de délire *de n'avoir jamais su te donner les plaisirs de l'amour*. J'en ai pleuré alors, et maintenant je suis bien aise qu'il y ait quelque chose de vrai dans ce reproche. Je suis bien aise que ces plaisirs aient été plus austères, plus voilés que ceux que tu retrouveras ailleurs: au moins tu ne te souviendras pas de moi dans les bras des autres femmes. Mais quand tu seras seul, quand tu auras besoin de prier et de pleurer, tu penseras à ton George, à ton camarade, à ton infirmière, à ton ami, à quelque chose mieux que tout cela. Car le sentiment qui nous unit s'est formé de tant de choses qu'il ne peut se comparer à aucun autre. Le monde n'y comprendra jamais rien«. Słowa te opatruje E. Faguet następującym komentarzem: »Elle a tort. Il n'y a rien qui se comprenne plus facilement que ce qu'elle dit là. C'était une très bonne femme, toujours altérée d'amour, du reste, *et qui savait peu* donner la volupté et qui donnait du bonheur à qui n'était pas détraqué. Ce n'est pas très difficile à comprendre«. *Amours d'hommes de lettres.*

W takich warunkach, które się równały początkowi końca tej romantycznej miłości, powzięto niefortunny zamiar, ażeby razem odbyć podróż po Włoszech. Z tego, że już przeszła właściwa chwila do takiej romantycznej podróży we dwoje, że już się skończył miodowy okres tego poetycznego romansu, a temsamem musiała przyjść kolej na piołuny, z tego, niestety, jeszcze sobie nie zdawano sprawy. Jakoż dnia 13 grudnia wyjechano z Paryża, przyczem nadmienić należy, że pani Sand puszczała się z Mussetem w tę podróż za specyalnem pozwoleniem matki poety, która go powierzyła jej opiece, i że przez cały czas tej podróży autorka *Lelii* pozostawała w korespondencyi nietylko ze swymi licznymi paryskimi przyjaciółmi, ale i z mężem w Nohant, od którego wymagała ciągłych wiadomości o dzieciach. Szczegół charakterystyczny, że p. Sand, decydując się na odbycie tej podróży z Mussetem, między innemi pobudkami, które ją skłaniały do tego kroku, powodowała się także chęcią przynajmniej czasowego uchronienia poety *de l'ivresse et de la debauche,* co pozwala się domyślać, że jeszcze przed wyjazdem z Paryża zaczął wracać do dawnych nałogów, do pijaństwa i rozpusty. Co pewna, że ledwo wyjechali z Paryża, autor *Rolli* przestał się krępować względami na swą towarzyszkę, że znalazłszy się na ziemi włoskiej, w dzień zwiedzał pałace i galerye, a noce poświęcał na zwiedzanie włoskich szynków i domów publicznych. A gdy mu p. Sand robiła wyrzuty z tego powodu, tłómaczył jej, że szukał rozkoszy, których mu nie dawała ona, bo — mówiąc słowami jednego z jego późniejszych listów do niej — *les plaisirs que j'ai éprouvés dans tes bras étaient plus chastes, c'est vrai!* Na domiar złego, już w Genui p. Sand zaczęła chorować na rodzaj malaryi, połączonej z dysenteryą, co oczywiście do tej romantyczno-poetycznej podróży à la Byron niemało musiało dodawać zwykłej życiowej prozy. Z Genui — 22 grudnia — pojechano przez Livorno, Pizę, Bolognę, do Florencyi, gdzie p. Sand znów dostała nowego ataku malaryi, połączonego z silnemi bólami głowy. Wcale poważnie chora, a temsamem przygnębiona i pełna apatyi, wcale nie była w nastroju do zachwycania się pięknościami Florencyi, zwłaszcza, że Musset, znudzony jej chorobą, wcale niedwuznacznie dawał jej do poznania, że nie zna nic nieznośniejszego, aniżeli podróż z chorą kobietą. Wogóle horyzont coraz bardziej zachmurzał się nad nimi, a przykre dysonanse, których już nie brakło i przedtem, teraz we Florencyi zaczęły się stawać coraz dotkliwszemi. Niezdolny do miłości czystej, pełnej przyjaźni i zaufania, opartej na wzajemnym szacunku, a nie cofającej się przed poświęceniem, Musset bez ceremonii zaczął zostawiać p. Sand samą, nie troszczyć się o nią, gdy się zmagała z chorobą; gdy ona siedziała w domu, pisując po kilka godzin dziennie, jeśli się czuła lepiej, on, w dzień wertując kroniki włoskie, z których zaczerpnął temat do swego *Lorenciaccia,* wieczory i noce spędzał w ekscesach poza domem, w winiarniach i przybytkach rozpusty, zdradzając swą



towarzyszkę podróży *de la manière la plus grossière.* Wszystko to dowodziło niezbicie, że już ich dusze nie odbrzmiewały unisono, że nie tworzyły harmonijnego akordu. Zwłaszcza ona musiała odczuć bankructwo swego ideału, jaki jeszcze do niedawna widziała w Mussecie, bo nie mogła zrozumieć, że będąc z nią razem, szukał rozrywek i uciech gdzieindziej. Widząc, że Musset był *un athée en amour, incapable de s'attacher à moi serieusement,* zmieniła się w swem uczuciu dla niego, zaczęła go kochać inaczej, niż go kochała dotychczas, na to bowiem, żeby kochać całą siłą miłości, do jakiej była zdolna, musiała ubóstwiać swego kochanka — *adorer* — tymczasem ona, z jego własnej winy, nawet go już nie mogła szanować. Ostatni łącznik, jaki ich mógł wiązać z sobą, mianowicie zmysły, także w końcu musiał być odrzucony przez nią, niedość bowiem, że Musset, wracając ze swych nocnych wycieczek, najczęściej wracał w stanie nietrzeźwym, ale któregoś dnia powiedział jej, że boi się, czy się nie zaraził[1]). Było to już w Wenecyi, dokąd przyjechali 19 stycznia, a gdzie zamieszkali w Hotelu Danieli na Riva dei Schiavoni. Przybywszy tu, p. Sand odrazu położyła się do łóżka. Poważnie chora na malaryę w połączeniu z dysenteryą i strasznymi bólami głowy, przez dwa tygodnie nie wychodziła z domu, aż wkońcu musiano się uciec do puszczenia krwi, co rzeczywiście sprowadziło pożądany zwrot ku szybkiej rekonwalescencyi. Leczył ją dr. Pagello, młody, przystojny Wenecyanin, który bardzo troskliwie zaopiekował się swą pacyentką. Tymczasem Musset, grając w karty (przyczem raz zgrał się do nitki), a przedewszystkiem wyprawiając bachiczne orgie z dziewczętami weneckiemi, całkiem nie troszczył się o swą chorą towarzyszkę, stawał się coraz bardziej przykrym w obejściu z nią, a że i ona, choć wogóle panowała nad sobą, raz po raz odezwała się z jakimś wyrzutem, zwłaszcza, gdy wracał pijany i złajdaczony, więc burzliwe sceny, coraz burzliwsze z dniem każdym, zaczęły się powtarzać coraz częściej, Musset nie taił się wcale, że już miał dosyć tej choroby p. Sand, nazywał ją »nudą wcieloną«, »głupią«, »marzycielką«, »pobożnisią« etc. (co we francuskim oryginale brzmiało: *l'ennui personifié, la rêveuse, la bête, la religieuse*), aż wreszcie któregoś wieczoru oświadczył jej bez ogródki: »George, je m'étais trompé; je t'en demande pardon; mais je ne t'aime pas«. Na co

[1]) W jednym z listów do Musseta, wspominając ten okres ich podróży po Włoszech, pisze pani Sand: »Tu t'ennuyais, je ne sais ce que tu devenais le soir et, un jour, tu es venu me dire que tu craignais«... Do słów tych, tak łatwo pozwalających domyślać się, o co chodzi, dodaje M. Hardin, w swym artykule o Mussecie i pani Sand, następujący komentarz: »Ici quelques mots effacés au crayon bleu, mais desquels il semble résulter que ce que craignait le poète était une mésaventure comme celle dont s'est inspiré M. Brieux pour écrire une pièce interdite par la censure. Voilà-t-il pas de jolis amoureux et bien intéressants«! Zdaniem Faqueta, każdy domyśli się łatwo, jaką treść zawierały te cztery przekreślone wyrazy: »N'importe qui les rétablira le plus facilement du monde«.

mu ona, obrażona i zraniona w swej miłości własnej odrzekła ze spokojem: »Nous ne nous aimons plus; nous ne nous sommes pas aimé!« [1]). Czując się lepiej, a widząc, że właściwie wszystko już było skończone pomiędzy nimi, smutna i zniechęcona, p. Sand sama pierwsza zaproponowała Mussetowi, żeby się rozłączyli, żeby wyjechać z tej przeklętej Wenecyi, przyczem wyraziła gotowość odwiezienia go aż do Marsylii, skąd już sam mógłby wrócić do Paryża. Musset uważał, że istotnie możeby tak było najlepiej, ale z drugiej strony chciał pracować trochę, skoro już raz był w Wenecyi. Bo nie należy zapominać, że ci romantyczni kochankowie byli urodzonymi pisarzami, że wszystko, co się działo pomiędzy nimi, nie przeszkadzało im, w przerwach między jedną sceną a drugą, pilnie siedzieć i pisać, co Musset zwykle czynił w ciągu dnia, a p. Sand nocami. Kto wie jednak, czy pomimo wszystkiego nie byliby wyjechali z Wenecyi, gdyby nie Musset, który nagle 29 stycznia powalony ciężką chorobą na tle *delirium tremens* i rozstroju nerwowego, na dłuższy czas stał się niezdolnym do podróży. Pani Sand, która powoli zaczynała przychodzić do siebie, zaraz wezwała doktora Pagella, z pod którego opieki ledwo wyszła sama, prosząc go, ażeby przyszedł z jakim drugim doświadczonym lekarzem, stan bowiem, w jakim znajdował się Musset, budził najpoważniejsze obawy [1]).

[1]) Oto odnośny ustęp listu pani Sand do Musseta, jaskrawo ilustrujący ten moment ich wspólnego pobytu w Wenecyi: »Mon enfant, moi, je ne veux pas récriminer; mais il faut bien que tu t'en souviennes toi qui oublies si aisément les faits, je ne veux pas dire tes torts. Jamais je ne t'ai dit seulement ce mot-là; jamais je ne me suis plainte d'avoir été enlevée à mes enfants, à mes amis, à mon travail, à mes affections, et à mes devoirs, pour être conduite à trois cents lieues et abandonnée avec des paroles offensantes, sans aucun autre motif qu'une fièvre tierce, des yeux abattus *(sic)* et la tristesse profonde où me jetait ton indifférence. Je ne me suis jamais plainte, je t'ai caché mes larmes, et ce mot affreux a été prononcé certain soir que je n'oublierai jamais, *au Palais Danieli:* »George, je m'étais trompé; je t'en demande pardon; mais je ne t'aime pas«. Si je n'eusse été malade, si on n'eût dû me saigner le lendemain, je serais partie. Mais tu n'avais pas d'argent, je ne savais pas si tu voudrais en accepter de moi, et je ne voulais pas, je ne pouvais pas te laisser seul, en pays étranger, sans entendre la langue, et sans un sou. *La porte de nos chambres fut fermée entre nous* et nous avons essayé là de reprendre notre vie de bons camarades comme autrefois ici. Mais cela n'était plus possible. Tu t'ennuyais. Je ne sais ce que tu devenais le soir, et un jour tu me dis que tu craignais... Nous étions tristes. Je te disais: »Partons, je te reconduirai jusqu'à Marseille«, et tu répondais: »Oui, c'est le mieux, mais je voudrais travailler un peu ici, puisque nous y sommes«. Pierre venait me voir et me soignait; tu ne pensais guère à être jaloux, et certes je ne pensais guère à l'aimer. Mais quand je l'aurais aimé dès ce moment-là, quand j'aurais été à lui dès lors, veux tu me dire quels comptes j'avais à te rendre, à toi qui m'appelais l'ennui personnifié, la rêveuse, la bête, la religieuse, que sais-je? Tu m'avais blessée, et offensée, et je te l'avais dit aussi: »Nous ne nous aimons plus; nous ne nous sommes pas aimés«...

[1]) List ten, w oryginale pisany po włosku, zachował się, a brzmiał w przekładzie francuskim, podanym w książce Spoelberch de Lovenjoula, jak następuje:



Pagello sprowadził doktora Santiniego, gdy jednak ten okazał się skończonym »osłem«, pani Sand umiała pozbyć się go delikatnie, a chorego powierzyła wyłącznej opiece doktora Pagello, przyczem sama, wróciwszy do zdrowia, najgorliwiej się wywiązywała z roli guarde malady. W tej roli istotnie dała dowody niesłychanego poświęcenia, dniem i nocą czuwając przy łóżku poety, nie cofając się przed pełnieniem najniższych posług przy nim, przez tydzień nie rozbierając się wcale. Że ją to wyczerpywało nadmiernie, że przy tej sposobności sama ledwo nie padła z wyczerpania, nadmieniać zbyteczna [2]). Ale zaznaczyć to należy, gdyż stan Musseta był tak groźny, że gdyby nie ta prawdziwie anielska opieka p. Sand, kto wie, czyby był wyszedł z tej choroby. To jej bezprzykładne poświęcenie najlepiej umiała ocenić matka Musseta, która wcale z tem nie taiła się przed

»Mon cher monsieur Païello! Je vous prie de venir nous voir le plus tôt que vous pourrez, avec un bon médecin, pour conférer ensemble sur l'état du *signor* français de l'Hôtel Royal. Mais je veux vous dire auparavant que je crains pour sa raison plus que pour sa vie. Depuis qu'il est malade, il a la tête excessivement faible, et raisonne souvent comme un enfant. C'est cependant un homme d'un caractère énergique et d'une puissante imagination. C'est un poète fort admiré en France. Mais l'exaltation du travail de l'esprit, le vin, la fête, *les femmes,* le jeu, l'ont beaucoup fatigué, et ont excité ses nerfs. Pour le moindre motif, il est agité comme pour une chose d'importance. Une fois, il y a trois mois de cela, il a été comme fou, toute une nuit, à la suite d'une grande inquiétude. Il voyait comme des fantômes autour de lui, et criait de peur et d'horreur. A présent, il est toujours inquiet, et, ce matin, il ne sait presque ni ce qu'il dit, ni ce qu'il fait. Il pleure, se plaint d'un mal sans nom et sans cause, demande son pays, (et) dit qu'il est près de mourir ou de devenir fou! Je ne sais si c'est là le résultat de la fièvre, ou de la surexcitation des nerfs, ou d'un principe de folie. Je crois qu'une saignée pourrait le soulager. Je vous prie de faire toutes ces observations au médecin et de ne pas vous laisser rebuter par la difficulté que présente la disposition indocile du malade. *C'est la personne que j'aime le plus au monde, et je suis dans une grande angoisse de la voir en cet état.* J'espère que vous aurez pour nous toute l'amitié que peuvent espérer deux etrangers. Excusez le misérable italien que j'écris. *G. Sand.*

Dwa zasadnicze ustępy tego listu, dotyczące powodów choroby Musseta, oraz jego stosunku do pani Sand, brzmią w oryginale włoskim, jak następuje: »Ma l'esaltazione del lavoro di spirito, il vino, le feste, le donne, il giuoco, l'hanno molto affaticato e eccitato i suoi nervi. Per la minima causa è agitato come se fosse grande. E la persona che amo il meglio nel mondo, e sono in una grande angoscia di vederla in questo stato«.

[2]) Bawiący wtedy przejazdem w Wenecyi przyjaciel pani Sand i Musseta, Alfred Tattet, tak w tej kwestyi pisał (17 marca 1834 r. z Florencyi) do Sainte Beuve'a: »J'ai tâché, pendant mon séjour à Venise, de procurer quelques distractions à madame Dudevant, qui n'en pouvait plus; la maladie d'Alfred l'avait beaucoup fatiguée. Je ne les ai quittés que lorsqu'il m'a été bien prouvé que l'un était tout à fait hors de danger et que l'autre était entièrement remise de ses longues veilles. Soyez donc maintenant sans inquiétude, mon cher monsieur de Sainte-Beuve; Alfred est dans les mains d'un jeune homme tout dévoué, très capable, et qui le soigne comme un frère. Il a remplacé auprès de lui un âne qui le tuait tout bonnement. Dès qu'il pourra se mettre en route, madame Dudevant et lui partiront pour Rome, dont Alfred a un désir effréné«.

synem, że gdyby nie opieka, jaką go w Wenecyi otaczała jego przyjaciółka, niewiadomo, coby się było stało [1]). Groźny stan, w którym Musset chwilami dostawał wprost napadów furyi, trwał dwa tygodnie [2]). W połowie lutego nastąpiło przesilenie [3]), poczem zaczęła przychodzić powolna rekonwalescencya. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło; chory, choć jeszcze wciąż potrzebował nader troskliwej opieki, którą p. Sand i doktór Pagello z prawdziwem zaparciem się siebie pełnili przy nim, już był na drodze do wyzdrowienia.

Podczas tej jego rekonwalescencyi, która miała trwać sześć tygodni blizko, p. Sand, dużo przestając z młodym doktorem Pagellem, przyczem musiała podziwiać szlachetną bezinteresowność, z jaką pielęgnował chorego Musseta, coraz bardziej zaczęła przekonywać się do młodego lekarza, który — nie należy zapominać o tem — był pięknym typem czarnookiego Wenecyanina, i nie spostrzegła się nawet, jak jej serce, zbolałe i rozżalone przykrym zawodem z poetą *Rolli,* zajęło się nową miłością, którą w niej wzbudzić potrafił dorodny eskulap. Uważając, że po wszystkiem, co zaszło z Mussetem przed jego chorobą, miała wszelkie prawo do uważania się za wolną zupełnie, że wobec powracającego do zdrowia Musseta nie potrzebowała krępować się żadnymi względami, że jako jej kochanek już

---

[1]) W liście do syna, datowanym dnia 17 marca 1834 r. pisała pani Musset: »J'ai une bien grande reconnaissance pour madame Sand et pour tous les soins qu'elle t'a donnés. Que serais-tu devenu sans elle? C'est affreux à penser«! Oto zaś, co w tej kwestyi pisze sam Musset, w jednym ze swych listów do pani Sand: »Je te verrai longtemps, mon George, ce visage pâli par les veilles, qui s'est penché dix-huits nuits sur mon chevet! Je te verrai longtemps dans cette chambre funeste, où tant de larmes ont coulé! Pauvre George, pauvre chère enfant! Tu t'étais trompée! Tu t'es crue ma maitresse, tu n'étais que ma mère«.

[2]) Od 1 lutego do 29 marca. W liście do Boucoiran'a, datowanym z Wenecyi dnia 8 lutego (1834) pisze pani Sand: »Je suis toujours bien à plaindre... Les médecins me disent: poco a sperare, poco a disperare... La nuit dernière a été horrible. Six heures d'une frénésie telle, que, malgré deux hommes robustes, il courait nu dans la chambre. Des cris, des chants, des hurlements, des convulsions, ô mon Dieu, mon Dieu, quel spectacle! Il a failli m'étrangler en m'embrassant. Les deux hommes ne pouvaient lui faire lâcher le collet de ma robe. Les médecins annoncent un accès du même genre pour la nuit prochaine, et d'autres peut-être, car il n'y aura pas à se flatter avant six jours encore. Aura-t-il la force de supporter de si horribles crises? Suis-je assez malheureuse, et vous, qui connaissez ma vie, en connaissez-vous beaucoup de pires?«

[3]) Już 13 lutego 1834 roku w liście do Buloza, pisała pani Sand, o stanie zdrowia poety, co następuje: »Mon ami, Alfred est sauvé, il n'a pas eu de nouvelle crise et nous touchons au quatorzième jour sans que le mieux se soit interrompu. A la suite de l'affection cérébrale, il s'est déclaré une inflammation de poitrine qui nous a un peu effrayée pendant deux jours... Il est en ce moment d'une faiblesse extrême et il extravague encore de temps en temps. Il demande des soins continuels le jour et la nuit«.



stracił wszelkie prawo do niej [1]), wcale nie myślała powściągać swego nowego uczucia, którem teraz zapłonęła dla pięknego i szlachetnego doktora, a że nigdy nie lubiła kryć się ze swą miłością, gdy ją poczuła dla kogoś, więc zamiast czekać, aż Pagello zoryentuje się w sytuacyi, sama któregoś dnia wyznała mu z całą szczerością — w prześlicznem piśmie do niego — że go kocha [2]). Sama mu wręczyła to pismo, a gdy on, rzuciwszy na nie okiem, zmieszany, nie wiedział co począć, zaproponowała mu — w obecności Musseta — żeby z nią wyszedł na miasto, gdzie chciała poczynić pewne zakupy. Trzy godziny trwała ta przechadzka, rozmowa zaś, jaką prowadzili ze sobą, cała się równała nieskończonym waryacyom na temat:

---

[1]) W jednym z listów do Musseta pisze mu pani Sand: »*De quel droit* m'interroges-tu sur Venise! Est-ce que j'étais à toi, à Venise? N'est-ce pas du premier jour que date notre rupture? La porte de nos chambres fut fermée entre nous, et nous avons essayé là de reprendre notre vie de bons camarades comme autrefois... mais cela n'était plus possible. Tu t'ennuyais, je ne sais ce que tu devenais le soir... Pierre venait me voir et me soignait, tu ne pensais guère à être jaloux, et certes je ne pensais guère à l'aimer. *Mais quand je l'aurais aimé dès ce moment-là, quand j'aurais été à lui dès lors, veux-tu me dire quels comptes j'avais à te rendre, à toi?*«

[2]) List ten, zaadresowany charakterystycznie: *Au stupide Pagello,* zachował się w zbiorach adresata. Oto niektóre wyjątki z tego niezwykłego dokumentu: »Nés sous des cieux différents, nous n'avons ni les mêmes pensées ni le même langage; avons nous du moins des coeurs semblables? Le tiède et brumeux climat d'où je viens m'a laissé des impressions douces et mélancoliques: le généreux soleil qui a bruni ton front, quelles passions t'at-il données? Je sais aimer et souffrir, et toi, comment aimes-tu? L'ardeur de tes regards, l'étreinte violente de tes bras, l'audace de tes désirs me tentent et me font peur. Je ne sais ni combattre ta passion ni la partager. Dans mon pays on n'aime pas ainsi; je suis auprès de toi comme une pâle statue, je te regarde avec étonnement, avec désir, avec inquiétude... Je ne sais ni ta vie passée, ni ton caractère, ni ce que les hommes qui te connaissent pensent de toi. Peut-être es-tu le premier, peut-être le dernier d'entre eux. Je t'aime sans savoir si je pourrai t'estimer, je t'aime parce que tu me plais, peut-être serai-je forcée de te haïr bientôt... Si tu étais un homme de ma patrie, je t'interrogerais et tu me comprendrais. Mais je serais peut-être plus malheureuse encore, car tu me tromperais. Toi, du moins, tu ne me tromperas pas, tu ne me feras pas de vaines promesses et de faux serments. Tu m'aimeras comme tu sais et comme tu peux aimer. Ce que j'ai cherché en vain dans les autres, je ne le trouverai peut-être pas en toi, mais je pourrai toujours croire que tu le possèdes. Les regards et les caresses d'amour qui m'ont toujours menti, tu me les laisseras expliquer à mon gré, sans y joindre de trompeuses paroles. Je pourrai interpréter ta rêverie et faire parler éloquemment ton silence. J'attribuerai à tes actions l'intention que je te désirerai. Quand tu me regarderas tendrement, je croirai que ton âme s'adresse à la mienne; quand tu regarderas le ciel, je croirai que ton intelligence remonte vers le foyer éternel dont elle émane.. Restons donc ainsi, n'apprends pas ma langue, je ne veux pas chercher dans la tienne les mots qui te diraient mes doutes et mes craintes. Je veux ignorer ce que tu fais de ta vie et quel rôle tu joues parmi les hommes. Je voudrais ne pas savoir ton nom, cache-moi ton âme, que je puisse toujours la croire belle!«

kocham Cię! Od tej chwili zaczął się romans autorki *Lelii* z Pagellem [1]). Wszystko to nastąpiło mniej więcej w drugiej połowie marca, na krótko przed wyjazdem Musseta, który, postanowił wrócić do Paryża. Zamiaru jechania do Rzymu, który żywił początkowo, zaniechał wobec swego stanu zdrowia. Był także chwilowy projekt, że p. Sand wróci z nim razem, t. j., że go odwiezie do Paryża, poczem sama pojedzie do Nohant; lecz projekt ten, wobec miłości dla Pagella, został zarzucony, co nawet Mussetowi zdawało się dogadzać, bo już miał dosyć tej podróży we dwoje, w towarzystwie głupiej »nudy wcielonej« i wolał wracać sam ze służącym. Naturalnie, że p. Sand chętnie przystała na to, bo, zakochana w Pagellu, zdecydowała się zostać w Wenecyi, ażeby z całą swobodą oddać się używaniu swej nowej miłości. Wcale nie jest nieprawdopodobnem, że tylko czekała na wyjazd Musseta, że nie mogła doczekać się tego wyjazdu.

Jednocześnie, oczywiście w tajemnicy przed Mussetem, wobec którego już przestała być szczerą, coraz większą folgę dawała swej miłości ku pięknemu doktorowi, w którym już była zakochana bez pamięci, ku któremu już się wyrywały nietylko jej dusza, ale i zmysły. Jeśli je oboje trzymali na wodzy, to tylko siłą woli, ażeby z czystem — względnie — sumieniem módz patrzeć w oczy Mussetowi, który już 29 marca miał opuścić Wenecyę. Z niecierpliwością oczekując tego wyjazdu, p. Sand coraz mniej zaczęła przestrzegać względów ostrożności wobec Musseta, co sprawiło, że poeta

[1]) Wprawdzie doktór Pagello zapewnia, że do pewnego czasu była to tylko miłość platoniczna, ale nie musiał to być zbyt długi przeciąg czasu, skoro pani Sand, w swym dzienniku, pisanym w grudniu tego 1834 r., wyrzuca sobie, że zdradzała Musseta przed jego wyjazdem z Wenecyi: »*Et je n'ai pas pu mourir! car on ne meurt pas; on vit, on souffre tout cela, on boit son calice goutte à goutte...* C'est le retour de votre amour à Venise, qui a fait mon désespoir et mon crime. Pouvais-je parler? Vous n'auriez plus voulu de mes soins, vous seriez mort de rage en les subissant. Et qu'auriez-vous fait sans moi, pauvre colombe mourante? Ah Dieu! je n'ai jamais pensé un instant à ce que vous aviez souffert à cause de cette maladie et à cause de moi sans que ma poitrine se brisât en sanglots. Je vous trompais, et j'étais là entre ces deux hommes, l'un qui me disait: »Reviens à moi, je réparerai mes torts, je t'aimerai, je mourrai sans toi«! et l'autre qui disait tout bas dans mon autre oreille: »Faites attention, vous êtes à moi, il n'y a plus à y revenir. Mentez, Dieu le veut! Dieu vous absoudra! Ah! pauvre femme, pauvre femme! C'est alors qu'il fallait mourir«.

Listy, które pani Sand jeszcze przed zupełnem wyzdrowieniem Musseta pisywała do doktora Pagella, dowodzą prawie niezbicie, że »zdrada«, jaką sobie później wyrzucała autorka *Lelii,* nie była zdradą platonicznej natury. Oto np. początek jednego z tych listów do Pagella: »Aurons-nous assez de prudence et assez de bonheur, toi et moi, pour lui cacher encore notre secret *pendant un mois?* Les amants n'ont pas de patience et ne savent pas se cacher. Si j'avais pris une chambre dans l'auberge, nous aurions pu nous voir sans le faire souffrir et sans nous exposer à le voir d'un moment à l'autre devenir furieux». W tymże liście pisze p. Sand: »Mon coeur n'est pas usé... Jamais je n'ai mieux senti sa vigueur et sa jeunesse que la *dernière fois que tu m'a couverte de tes caresses.* Pourtant mentir toujours est bien triste. Cette dissimulation m'est odieuse«.



zaczął się domyślać wszystkiego, że wpadłszy na trop tego nowego romansu swej kochanki, szybko zoryentował się w sytuacyi, aż wkońcu, nie dając poznać po sobie, że widzi, co się święci, zaczął śledzić swą towarzyszkę, obserwować jej zachowanie się z doktorem, jej wszystkie czynności w obecności i nieobecności Pagella, co naturalnie musiało skończyć się na tem, że ją — na tydzień przed swym wyjazdem — złapał na paru uczynkach, z których mu nie umiała się wytłómaczyć, a które świadczyły niezbicie, że już wcale daleko zdążyła zajść w swej poufałości z Pagellem [1]).

Przyparta do muru, p. Sand wcale nie straciła kontenansu, lecz wyzwana przez Musseta sama odrazu przybrała postawę wyzywającą [2]). Przedewszystkiem, wychodząc ze słusznego założenia, że już przestali się kochać wzajemnie — *puisque nous ne sommes plus rien l'un à l'autre* — zabroniła mu, żeby ją śmiał wypytywać o jakiekolwiek szczegóły, dotyczące jej miłości dla Pagella. Była to nowa faza w jej życiu, do której jemu wtrącać się zasię [3]). Zakochała się w Pagellu, to prawda! Z tą prawdą, on, Mus-

[1]) Na jednym z niewydanych listów pani Sand do Buloza zanotował tenże co następuje: »Enfin le matin, à son lever, il découvrit dans une pièce voisine une table à thé servie encore, mais avec une seule tasse. Tu as donc pris le thé hier soir? — Oui, dit George Sand, j'ai pris le thé avec le docteur. — Ah! comment cela se fait-il? Il n'y a qu'une tasse. — On aura enlevé l'autre. — Non! on n'a rien enlevé. Vous avez bu dans la même tasse! — Quand cela serait! Vous n'avez plus le droit de vous inquiéter de ces choses là. — J'en ai encore le droit, puisque je passe encore pour votre amant. Vous devriez au moins me respecter, et, puisque je pars dans trois jours, attendez ce départ pour vous mettre si à l'aise. Aveu à Alfred de son secret sur le docteur. Rapprochement. Départ d'Alfred. Lettres de George Sand tendres et enthousiastes«.

Notatkę tę, poraz pierwszy niedawno ogłoszoną w książce R. Doumica o *George Sand,* opatruje tenże autor (robiąc aluzyę do znanego rozdziału z *Confession d'un enfant du siècle* Musseta) następującą uwagę: »Ce sont les épisodes fameux de la *tasse de thé et de la lettre* tels que Buloz les avait entendu raconter à l'époque même«.

Samuel Rocheblave w swym subtelnym artykule p. t. *La Fin d'une Légende* tak psychologicznie tłómaczy ten dramatyczny moment w życiu p. Sand i Musseta: Leur seul tort, si c'en est un, fut de ne pas la prévoir, de ne pas prévoir aussi que la *résurrection psychique de Musset entraînerait celle de son amour.* L'âme du poète, d'ailleurs, éprouvée au creuset de la maladie, allait en ressortir neuve, comme vierge; et l'exaltation de la reconnaissance le pousserait à ressaisir l'autre âme qu'il avait détournée de lui et dont il s'était échappé dans un jour de folie. Telle fut cette convalescence tragique: lui aux prises avec un amour renaissant, imprévu, elle aux prises avec ses regrets, car il était trop tard, et tous deux étaient en face de l'irréparable.

[2]) W pierwszej chwili nawet chciała mu się przyznać do wszystkiego, ale gdy spostrzegła, w jak brutalny sposób Musset zaczął reagować na tę prawdę, zdecydowała się kłamać z litości nad nim. Oto, co w tej kwestyi pisze pani Sand w swym dzienniku: »Au premier mot, comme tu m'as traitée! Tu voulais me souffleter, m'appeler c... devant tout le monde et tu mourrais de colère si je n'avais menti!«

[3]) W jednym z późniejszych listów do Musseta pani Sand robi następującą aluzyę do tej pamiętnej sceny: »Ce n'est pas du premier jour que j'ai aimé Pierre, et même

set, powinien się pogodzić. Ona jest w porządku wobec niego! nie kocha jej, przestał być jej kochankiem, stracił jej przywiązanie, do czego sam zresztą przyczynił się swem niegodziwem zachowaniem się względem niej, więc niech się pogodzi z myślą, że przestawszy kochać jego, zaczęła kochać innego. Wkońcu jednak, gdy ją Musset zaczął lżyć niemiłosiernie, przyczem wpadł w taką wściekłość, że to mógł przypłacić życiem, wyparła się wszystkiego, ażeby tem kłamstwem ratować siebie i jego. Skończyło się na tem, że Musset ostatecznie spuścił z tonu, bo nim wyjechał z Wenecyi, pogodził się z całą sytuacyą, tak dalece, że wyjeżdżając »błogosławił« tę nową miłość p. Sand, a z Pagellem rozstał się w najlepszej komitywie, powierzając Aurorę jego opiece [1]).

Wyjechawszy dnia 29 marca z Wenecyi, Musset odetchnął swobodniej; poczucie że jest sam, sprawiało mu przyjemność. Z Genewy napisał list do p. Sand, pełen czułości dla Pagella, a stanąwszy z powrotem w Paryżu, znów wrócił do dawnego trybu życia, do gry, pijaństwa i rozpusty [2]). Z panią Sand korespondował jak z dobrą przyjaciółką, przyczem listy, pisane do niej, wysyłał pod adresem doktora Pagella. Irytowało go tylko, gdy w Paryżu, w kołach literackich, rozmaicie sobie komentowano jego rozstanie z »George'm« [3]).

---

après ton départ, après t'avoir dit que je l'aimais *peut-être,* que *c'était mon secret* et que *n'étant plus à toi je pouvais être à lui sans te rendre compte de rien*«.

[1]) W jednym z listów do Musseta pisze pani Sand: »Je serais un monstre, si je trouvais un sujet de plainte contre l'ami *auquel tu m'a confié*«. Ale już w kilka miesięcy później, po nowem poróżnieniu się z Mussetem, pani Sand tak złorzeczyła samej sobie: »Ah! si j'avais été sûre que tu dusses m'aimer réellement quand tu as quitté Venise, que tu dusses souffrir ce que je souffre aujourd'hui, je me serais coupé une main, je te l'aurais présentée en te disant: Voilà *une main menteuse et sale.* Jetons-la dans la mer, et que le sang qui en coulera lave l'autre. Prends-la, et mène-moi au bout du monde. Si tu devais accepter cette main ainsi lavée, je le ferais bien encore. Veux-tu?«.

[2]) Co charakterystyczne, że się z tem wcale nie taił przed panią Sand, w swych listach do niej. Ona ze swej strony, bojąc się o jego zdrowie, przestrzegała go, by uważał na siebie, by unikał dziewcząt i wina. Oh, je t'en prie à genoux — pisała raz do niego — pas encore de vin; pas encore de filles! C'est trop tôt. Songe à ton corps qui a moins de force que ton âme, et que j'ai vu mourant dans mes bras. Ménage cette vie, que je t'ai conservée peut-être. Laisse-moi le croire, laisse-moi être un peu vaine d'avoir consacré quelques fatigues de mon inutile et sotte existence à sauver celle d'un homme comme toi. Songe à ton avenir qui peut écraser tant d'orgueils ridicules, et faire oublier tant de gloires présentes!

[3]) W kilka dni po przyjeździe do Paryża napisał Musset z powodu tych plotek następujący list do Sainte-Beuve'a, datowany 27 kwietnia 1834 r.: »J'ai à vous remercier, mon cher Sainte-Beuve, de l'intérêt que vous avez bien voulu prendre aux tristes circonstances qui m'ont forcé de quitter l'Italie. Buloz sort de chez moi maintenant, et j'apprends par lui que mon retour est interprété de plusieurs manières par certains gens; tant qu'il ne s'agit que de moi-même, je suis obligé d'avouer qu'un mépris naturel m'a toujours là-dessus tenu lieu de philosophie; mais je verrais avec le plus grand chagrin qu'on accusât madame Sand du plus léger tort à mon occasion, et surtout que de pareilles accusations pussent venir jusqu'à vous; je sais que madame Sand tient à votre estime, et je mettrais autant d'empressement à la défendre auprès d'un homme capable de l'apprécier, que je mets d'orgueil à laisser parler les sots anonymes; un mot de vous, à ce sujet, me ferait plaisir; j'ai pour madame Sand trop de respect et d'estime pour les renfermer en moi seul, et vous êtes un de ceux à qui je voudrais le plus possible les voir partager.



Tymczasem pani Sand, gruntownie wyleczona ze swej miłości do Musseta, a całkiem oddana swemu nowemu uczuciu, zaraz we dwa dni po wyjeździe poety, z którym zresztą rozstali się jaknajlepiej, wybrała się z Pagellem na kilkudniową wycieczkę w Alpy aż do granic Tyrolu. Wróciwszy 6 kwietnia do Wenecyi, szczęśliwa i zakochana, odrazu wzięła się do pracy, zaczęła pisać po ośm godzin dziennie, tak, że poza chwilami upojeń z Pagellem — o których najwymowniej świadczy jego napisana dla niej *Serenada* — nietylko przerobiła *Lelię,* w której dopisała mnóstwo ustępów natchnionych romansem z Mussetem, ale skończyła powieść *André,* napisała nową p. t. *Jacques,* tudzież pierwsze *Lettres d'un voyageur.* Prócz tego pisywała mnóstwo listów do przyjaciół, do męża i dzieci, do Musseta (który był tyle uprzejmy, że robił niektóre korekty jej rzeczy nadsyłanych do *Revue des deux Mondes).* Wogóle czuła się nadzwyczaj szczęśliwą teraz w Wenecyi [1]). Jedynym dyssonansem, który jej trochę psuł tę wenecką idyllę, były awantury, jakie jej robiły dawniejsze kochanki Pagella, których ona jednak nie traktowała na seryo, tak, że opisując je Mussetowi, przedstawiała te »sceny« głównie ze strony humorystycznej. Za to o Pagellu pisywała z rozczuleniem i zachwytem, jako o aniele dobroci [2]), którego kochała »bez namiętności«, ale z ogromną siłą przywiązania. Pagello również był w korespondencyi z Mussetem [3]).

W ten sposób upłynął p. Sand czas w Wenecyi do drugiej połowy lipca. Rozkochana w Pagellu, nie chcąc rozstawać się z nim, namówiła go,

---

[1]) Chwilami jednak, urażona jakimś postępkiem Pagella, którego miłość zbyt była w małomieszczańskim stylu, idealizowała sobie Musseta, rozmarzona jego poetycznymi listami. W takich chwilach, w nieobecności Pagella, płakała nad tymi listami swego kochanka-poety, okrywała je pocałunkami: Oh! ces lettres... que j'ai tant baisées, tant arrosées de larmes, tant collées sur mon coeur *quand l'autre ne me voyait pas!* Oh, je les aimais tant!

[2]) Oto np. jak go opisywała Mussetowi: »Il me traite comme une femme de vingt ans et il me couronne d'étoiles comme une âme vierge. Je ne dis rien pour détruire ou pour entretenir cette erreur; je me laisse regénérer par cette affection douce et honnête. Pour la première fois de ma vie j'aime sans passion«.

[3]) Zachował się pierwszy z jego listów do Musseta, datowany 15 czerwca 1834 r., a brzmiący (we francuskim przekładzie z włoskiego oryginału) jak następuje:

Cher Alfred!

Nous ne nous sommes pas encore écrit, ni l'un ni l'autre, peut-être parce que ni l'un ni l'autre ne voulait être le premier à le faire. Ceci pourtant n'a pas éteint cette ré-

żeby z nią razem pojechał do Paryża, przyczem go na lato zaprosiła do Nohant. Pagello nie odrzucił tej propozycyi, zaczem poszło, że w końcu lipca opuszczono Wenecyę. Drogę obrano na jeziora włoskie, Medyolan i Szwajcaryę. Z Genewy zrobiono wycieczkę na Mont Blanc aż do Grand Glacier, słowem, cała podróż obfitowała w mnóstwo wrażeń romantycznych.

Do Paryża przyjechano 14 sierpnia. Tu jednak skończyła się poezya tej miłosnej idylli. Najrzód przyjaciele p. Sand, widząc ją z Pagellem, trochę sobie zaczęli pokpiwać na temat tego wenecyanina na paryskim bruku. Powtóre Pagello zaczął być zazdrosnym z powodu Musseta, zwłaszcza, gdy na nim p. Sand wymogła pozwolenie, że w jego nieobecności zobaczy się z Mussetem. Bardzo mu się to wszystko zaczęło niepodobać, szczególniej, gdy to tajemnicze widzenie się z Mussetem trwało dwie godziny przeszło, a zamieniło się w scenę pełną łez i rozczuleń wzajemnych. Zaniepokojony podobnym obrotem rzeczy, Pagello zaczął być nieznośnym, równie nieznośnym, jak jego poprzednik, co bardzo zaczęło niecierpliwić p. Sand. Przyszło do scen gwałtownych, a gdy Pagello, choć otrzymał uprzejme zaproszenie od pana Dudevant, nie chciał jechać do Nohant (co dobrze świadczy o jego subtelności uczuć), skończyło się na tem, że pani Sand dnia 10 września pojechała tam sama. Pagello został w Paryżu, zabrał się do poważnych studyów medycznych, a po niejakim czasie wrócił do Wenecyi. Na tem się skończył jego romans z George Sand, z którą też odtąd nie miał żadnych stosunków.

Tymczasem Musset bawił w Badenie, skąd pisywał coraz namiętniejsze listy do swej weneckiej ex-kochanki, z zapewnieniami, że żyć nie może bez niej, co mu nie przeszkadzało mieć jednocześnie *une bonne fortune*, którą nawet opisał we wdzięcznej nowelce. Gdy w październiku pani Sand wróciła do Paryża, gdzie już był także z powrotem i Musset, znów nawiązali stosunki z sobą, znów byli kochankami. Ale ta recydywa nie trwała długo. Od pierwszej chwili — *dès le lendemain* według p. Sand — przyszło do wyrzutów wzajemnych, do przykrych kłótni i scen zazdrości, a choć p. Sand, znów zakochana w poecie, pomimo, że ją traktował niemożliwie — *tu me traitais de bête* — garnęła się do niego, on tym razem

---

ciprocité d'affection qui nous liera toujours de liens sublimes pour nous, et incompréhensibles aux autres. Je me réjouis de vous savoir sain de corps et fort d'esprit. J'ai toujours bien auguré de votre santé, pourvu que vous ayez le courage de résister à ces tentations de désordres qui sont les compagnes de votre nature trop impétueuse. Lorsque vous êtes entouré d'une douzaine de bouteilles de champagne, souvenez vous de cette petite barrique d'eau de gomme arabique que je vous ai fait vider à l'hôtel Daniéli, et je suis certain que vous aurez le courage de les fuir! Adieu, mon bon Alfred. Aimez-moi comme je vous aime.

»Votre véritable ami«. *P(ietro) P(agello).*



stał się bardziej bezwzględnym, aż w końcu, w listopadzie, zerwał ten nieznośny stosunek [1]), przyczem całą odpowiedzialność za ten postępek wziął na siebie. Pani Sand nie pozostawało nic innego, tylko wrócić do Nohant co też uczyniła rzeczywiście. Rozkochana w Mussecie, czuła się bardzo nieszczęśliwą, że z nią zerwał, pisała czułe listy do niego, na dowód zaś, że jej nic nie nęciło poza tą fatalną miłością, obcięła swe pyszne włosy, główną ozdobę swej twarzy, i posłała je w pakiecie pocztowym — wraz z przepięknym listem — kochankowi do Paryża. Gdy Musset zachorował w tym czasie, zaraz przyjechała do niego, żeby go pielęgnować z poświęceniem bez granic; gdy wyzdrowiał, znów się pokłócili i rozeszli. Pani Sand wróciła do Nohant, gdzie znów otrzymywała listy od Musseta »dosyć czułe«, ale krótkie, na które mu odpisywała po swojemu, t. j. długo i namiętnie. Że w tym czasie naprawdę czuła się bardzo nieszczęśliwą, świadczy jej list z końca grudnia 1834 r. do Sainte-Beuve'a, prawie cały o Mussecie, a pisany w ciężkiem strapieniu, o jakie ją przyprawiła ta nieszczęśliwa miłość, już nie odwzajemniana przez poetę: bo jednego była pewną, że już przestał ją kochać [2]).

---

[1]) Oto, co w tej kwestyi pisał Musset, bezpośrednio po zerwaniu z panią Sand, do ich wspólnego przyjaciela i powiernika, Sainte-Beuve'a:

Novembre 1834.

Je vous suis bien reconnaissant, mon cher ami, de l'intérêt que vous avez bien voulu prendre, dans ces tristes circonstances, à moi et à la personne dont vous me parlez aujourd'hui. Il ne m'est plus possible maintenant de conserver, sous quelque prétexte que ce soit, des relations avec elle, ni par écrit ni autrement. J'espère que ses amis ne croiront pas voir dans cette résolution aucune intention offensante pour elle, ni aucun dessein de l'accuser en quoi que ce soit. S'il y a quelqu'un à accuser là dedans, c'est moi, qui, par une faiblesse bien mal raisonnée, ai pu consentir à des visites fort dangereuses sans doute, comme vous me le dites vous même. Madame Sand sait parfaitement mes intentions présentes, est si c'est elle qui vous a prié de me dire de ne plus la voir, j'avoue que je ne comprends pas bien par quel motif elle l'a fait, *lorsqu'hier soir même, j'ai refusé positivement de la recevoir à la maison.* Je vous répète encore, mon ami, qu'il me serait bien pénible qu'on interprétât défavorablement pour elle mes résolutions. Je n'en fais part d'ailleurs qu'à vous, et je pense que cela ne peut avoir aucun inconvénient.

[2]) Oto główne ustępy z tego znamiennego listu, doskonale oświetlające sytuacyę w danej chwili (w grudniu 1834 r.): »Mon excellent ami, J'aurais dû vous écrire plus tôt, mais vous comprenez bien qu'il m'a fallu quelques jours pour reprendre ma pauvre tête et pour comprendre où m'avait conduite cet affreux cauchemar. Mon réveil ici a été assez doux. J'ai retrouvé mes chers camarades aussi bons pour moi qu'à l'ordinaire. Mais mon vieux coeur, hélas! est bien las et bien flétri. Je ne crois pas qu'il se relève de sitôt. Alfred m'a écrit une petite lettre assez affectueuse, se repentant beaucoup de ses violences. Son coeur est si bon dans tout cela! Je lui ai envoyé pour toute réponse une petite feuille de mon jardin, et lui m'a envoyé une mèche de ces cheveux que je lui avais beaucoup demandée autrefois, c'est-à-dire il y a quinze jours. Et voilà, c'est fini. Je ne désire plus le revoir, cela me fait trop de mal. Mais il me faudra de la force pour lui refuser des entrevues, car il m'en demandera. Il ne m'aime plus, mais il est tou-

Mimo to w styczniu sytuacya znów zmieniła się w ten sposób, że p. Sand na prośby Musseta wróciła do Paryża, a 14 stycznia pisała do Tatteta: »Alfred est redevenu mon amant«. Nazajutrz zaś, dnia 15 stycznia, ukazał się w *Revue des deux Mondes* jej przepyszny poemat prozą w formie dalszego ciągu *Lettres d'un voyageur,* apoteozujący Musseta. Ale już w trzy dni później pisała p. Sand do Liszta, że chce zerwać z Mussetem. Dłuższy stosunek z nim, pomimo, że go jeszcze kochała w tej chwili, uważała za niemożliwy. Był to człowiek zwyrodniały zupełnie, któremu poprostu przyjemność sprawiało dręczenie jej, znęcanie się nad nią. Ledwo pogodzili się z sobą, gdy tylko znów została jego kochanką, zaraz ją zaczął zdradzać z innemi dziewczętami, przyczem ją wprost znieważał najdziwaczniejszemi podejrzeniami. Tak np. przywidziało mu się, że w tych czasach, gdy on nie chciał jej miłości, ona była kochanką Liszta [1]). Tego już jej było za wiele.

---

jours tendre et repentant après la colère; il voudra effacer le triste souvenir qu'il m'a laissé de nos adieux; il croira me faire du bien et il se trompera, car je me retrouverai tout à coup l'aimant et ayant travaillé en vain à me détacher. Je suis dans une situation d'esprit souffrante et pourtant douce. Je rêvasse beaucoup; je vais accoucher de quelque livre sentimental. Je pleure et je ris en même temps. Mon ami, comme vous avez été bon pour moi et comme il m'est cher de me sentir assistée et consolée par vous, et par tous ces bons coeurs qui m'aiment malgré tout! Soyez sûr que dans aucun temps de ma vie, je n'oublierai cette affection si indulgente et si active que vous avez eue pour moi. Si vous avez jamais besoin de moi, combien je serai heureuse! Adieu, mon cher directeur; écrivez-moi un petit mot pour me dire tout ce que vous voudrez; mais si vous savez quelque chose de triste de la part d'Alfred, quelque mouvement d'humeur pendant lequel il aurait mal parlé de moi, ne me le dites pas. J'ai bien assez souffert, et je suis bien assez résignée à l'avoir perdu. Adieu. Je suis à peu près idiote, mais j'en reviendrai. Je vous embrasse de tout mon coeur. Vous portez-vous bien? Êtes-vous heureux? Oui, vous êtes aimé. Pensez quelques fois à moi et priez le bon Dieu pour votre pauvre vieux ami.

[1]) Oto jej wielce znamienny list do Liszta, w którym mu pisała o tych podejrzeniach Musseta:

Mon cher monsieur Liszt!

Je ne sais où vous êtes. Plusieurs personnes m'ont dit que vous étiez resté à Paris; où que vous soyez, je présume que votre mère vous fera parvenir ma lettre. Vous avez eu la bonté de vous intéresser à mes chagrins et de me parler de vos ennuis. Vous m'avez témoigné une très douce et précieuse amitié. Je ne sais pourquoi quelques personnes autour de moi ont pensé que cette sympathie mutuelle était un sentiment plus vif et même une liaison plus intime. D'autres ont seulement pensé qu'il y avait eu de ma part curiosité et coquetterie. J'en appelle à vous, mon ami, et vous charge du soin de me justifier auprès de ceux avec qui le hasard pourrait vous mettre à même d'échanger quelques mots à ce sujet. Je suis dans une si douloureuse situation, en proie à des chagrins si profonds et entourée *de soupçons si cruels que je ne saurais profiter d'aucune affection, si pure et si légitime qu'elle soit.* Vous ne viendriez certainement pas chez moi sans en retirer quelque ennui. Permettez-moi de vous prier, au cas où vous



Widząc, że niema innego sposobu wyzwolenia się ze skorpionowych uścisków tej nieszczęsnej miłości, tylko zerwanie z poetą, ale zerwanie stanowcze raz na zawsze, pani Sand, po porozumieniu się z Sainte-Beuvem, który ją zachęcał do tego kroku, zdecydowała się wyjechać z Paryża, wyjechać niespodziewanie, w tajemnicy przed Mussetem, tak, żeby dopiero po fakcie dowiedział się o wszystkiem. Jakoż 6 marca wyjeżdżając do Nohant, uskuteczniła swój zamiar, a niebawem odzyskała spokój i równowagę [1]).

Gdy o tem wiadomość doszła do Musseta, nie bardzo zdawał się być zmartwionym, a przynajmniej nie okazywał żadnej rozpaczy. Znów zaczął żyć swem dawnem życiem, które p. Sand w swym ostatnim liście do niego, streściła w następujących słowach: »Mon Dieu, à quelle vie vais-je te laisser! L'ivresse, le vin et les filles, toujours« [2]). I tak było do końca życia! Romans z autorką *Lelii,* który z jego winy przybrał taki, a nie inny obrót, nic nie zaważył na szali losów poety, jako człowieka; wszystko zaś, co się opowiada o jego rozpaczy po zerwaniu z panią Sand, wszystko to jest legendą, ukutą *ad usum delphini* przez jej nieprzyjaciół. Jak człowiek nie wyszedł złamany tą miłością, tak pisarz-artysta nie został sparaliżowany

---

seriez de retour à Paris avant moi, *de ne pas venir me voir, et croyez* bien que, malgré cela, je ne vous tiens pas quitte de l'amitié que vous m'avez promise. Je la mets en dépôt dans votre propre coeur et vous prie de l'y chercher quelquefois pour adresser à Dieu une prière pour moi, car je suis très malheureuse. Je vais partir *pour essayer de rompre une passion bien sérieuse pour moi et bien terrible.* Je doute que cela me serve à quelque chose, car chaque nouveau jour de cette passion *m'apprend à douter de mon libre arbitre.* Je ne sais où je vais, et vous me permettrez de ne le dire ni à vous, ni à aucun autre. Je sais que je vais *être accusée d'avoir été vous rejoindre, et d'être cachée avec vous dans quelque retraite romanesque. Justifiez-moi, je compte sur vous.* Je compte sur vous aussi pour me rendre cette justice, qu'aux jours de ma plus grande douleur, je n'ai point accusé l'auteur de mes souffrances. Je vous l'ai dit, moi seule suis coupable et porte la peine d'une faute immense. En fuyant un pardon trop humiliant, je fais preuve de faiblesse et non de force. Ma vertu serait de m'y soumettre et d'accepter toutes les conséquences du passé, dans un présent orageux et rigide. Je ne le peux pas. Ma raison et ma religion m'abandonnent. Dieu sait ce que je vais devenir. Mon âme est peut-être à jamais perdue, car je n'ai pas le courage de rester avec celui que je devrais aimer, et je l'aimerai toujours trop pour jamais offrir de garantie certaine à un autre contre lui. *Je vais donc travailler à tuer l'amour en moi.* Il y a peut-être autre chose dans la vie. Priez pour moi. Je le répète.

Tout à vous de coeur. *George.*

[1]) Jak o tem świadczyły jej listy do Sainte-Beuve'a, pisane z Nohant 4 i 14 kwietnia 1835 r., a zacytowane w książce Spoelberch de Lovenjoula, La veritable histoire de *Elle et lui,* str. 114—126.

[2]) Oto bardzo znamienny wyjątek z tego ostatniego listu: »Non! Non! C'est assez! Je te plains, je te pardonne tout; mais il faut nous quitter. *J'en deviendrais méchante.* Tu dis que cela vaudrait mieux et que je devrais te souffleter ouand tu m'outrages. Je ne sais pas lutter... Sainte-Beuve a raison. Ta conduite est déplorable, impossible. Mon Dieu!

nią bynajmniej; jak p. Sand, tak i Musset ani na chwilę nie przestał pisać skutkiem tej miłości, a jeśli czasami rozpaczał z jej powodu, to jedynie w chwilach poetyckiego tworzenia [1]).

W takich chwilach nietylko cierpiał czasami, ale niekiedy rozmijał się nawet z elementarnemi zasadami dyskrecyi. Dość powiedzieć, że pierwsza z jego słynnych *Nocy,* poetyczna *Nuit de Mai* ukazała się w *Revue des deux Mondes* już 15 czerwca 1835 r., a więc w trzy miesiące po skończoczonym romansie z p. Sand. Co gorsza, to, że rozdział z *Confession d'un enfant du siècle,* ten, w którym najdokładniej, prawie bez poetycznych licencyi, została opisaną historya miłości Musseta i pani Sand, ukazał się w tejże *Revue des deux Mondes* już w numerze z dnia 15 września 1835 r., a więc w pół roku zaledwie po głośnym romansie, który jeszcze wszyscy mieli na ustach, o którym jeszcze długo nie miano zapomnieć. Jeśli się zważy, że Musset w swej powieściowej relacyi podkreślił i uwypuklił właśnie najdrastyczniejsze momenty tej romansowej historyi, że głównie w niej uwypuklił wszystkie zgrzyty i dysonanse tego miłosnego stosunku, to trudno tego nie nazwać grzechem z punktu widzenia delikatności i dyskrecyi. Jedyną okolicznością łagodzącą, która zmniejsza jego winę w tym wypadku, jest sposób, w jaki opisał swą małozaszczytną rolę, jako kochanka p. Sand, sposób, w jaki wogóle opisał siebie w stosunku do swej kochanki. Trudno o mniej pochlebny autoportret! Zeszyt *Revue des deux Mondes* z dnia 15 grudnia tegoż 1835 r. przyniósł słynną *Nuit de Décembre,* w której znalazło się takie — dyskrecyą bynajmniej nie grzeszące — namiętne złorzeczenie, zwrócone pod adresem pani Sand:

C'était par une triste nuit.
L'aile des vents battait à ma fenêtre;
J'étais seul, courbé sur mon lit.
J'y regardais une place chérie,

---

a quelle vie vais-je te laisser? L'ivresse, le vin et les filles, toujours! Mais puisque je ne peux plus rien pour t'en préserver, faut-il prolonger cette honte pour moi et ce supplice pour toi même! Mes larmes t'irritent. Ta folle jalousie, à tout propos, au milieu de tout cella! Plus tu perds le droit d'être jaloux, plus tu le deviens. Cela ressemble à une punition de Dieu sur ta pauvre tête«...

[1]) Doskonale go pod tym względem scharakteryzowała sama pani Sand w liście do Dumasa syna: »Il etait d'un caractère si fantasque, si malheureux, et avec cela il était si grand poëte, qu'a partir du jour où il eut perdu l'affection qu'il avait tant foulée aux pieds, il se crut, et sentit par conséquent désespéré — aux heures de la poésie. Le reste du temps, il menait joyeuse et mauvaise vie. Pauvre enfant! Il se tuait! Mais il était déjà mort quand elle l'avait connu! Il avait retrouvé avec elle un souffle, une convulsion dernière! Il se ranima par moments, *en l'absence toujours.* Elle se croit, elle se sent innocente du lent suicide qui a été la vie entière de ce malheureux!



Tiède encore d'un baiser brûlant;
Et je songeais comme la femme oublie,
Et je sentais un lambeau de ma vie,
Qui se déchirait lentement.

Je rassemblais des lettres de la veille,
Des cheveux, des débris d'amour.
Tout ce passé me criait à l'oreille
Ses éternels serments d'un jour.
Je contemplais ces reliques sacrées,
Qui me faisaient trembler la main:
Larmes du coeur par le coeur dévorées,
Et que les yeux qui les avaient pleurées
Ne reconnaîtront plus demain!

J'enveloppais dans un morceau de bure
Ces ruines des jours heureux.
Je me disais qu'ici-bas ce qui dure,
C'est une mèche de cheveux.
Comme un plongeur dans une mer profonde,
Je me perdais dans tant d'oubli.
De tous côtés j'y retournais la sonde,
Et je pleurais seul, loin des yeux du monde,
Mon pauvre amour enseveli.

J'allais poser le sceau de cire noire
Sur ce fragile et cher trésor.
J'allais le rendre, et, n'y pouvant pas croire,
En pleurant j'en doutais encor.
Ah! faible femme, orgueilleuse insensée,
Malgré toi tu t'en souviendras!
Pourquoi, grand Dieu! mentir à sa pensée?
Pourquoi ces pleurs, cette gorge oppressée,
Ces sanglots, si tu n'aimais pas?

Oui, tu languis, tu souffres et tu pleures;
Mais ta chimère est entre nous.
Eh bien, adieu! Vous compterez les heures
Qui me sépareront de vous.
Partez, partez, et dans ce coeur de glace
Emportez l'orgueil satisfait.
Je sens encore le mien jeune et vivace,
Et bien des maux pourront y trouver place
Sur le mal que vous m'avez fait.

Partez, partez! Nature immortelle
N'a pas tout voulu vous donner.
Ah! pauvre enfant, qui voulez être belle,
Et ne savez pas pardonner!
Allez, allez suiver la destinée;

Qui vous perd n'a pas tout perdu.
Jetez au vent notre amour consumée; —
Éternel Dieu! toi que j'ai tant aimée,
Si tu pars, pourquoi m'aimes-tu?

W maju 1836 r., a więc prawie w równy rok po ostatecznem zerwaniu poety z p. Sand, wyszła w książce *La Confession d'un enfant du siècle,* a zapisać się godzi, że Musset jeden z pierwszych egzemplarzy tej książki, opatrzony odpowiednią dedykacyą od autora, posłał p. Sand. Autorka *Lelii* przeczytała ten mistrzowski utwór swego niedawnego kochanka jednym tchem, a przy czytaniu ostatniego rozdziału, który jej niedawno przeżytą przeszłość ukazał w tak jaskrawem oświetleniu, płakała rzewnemi łzami [1]). Lecz jednocześnie powzięła także i zamiar, ażeby z czasem opowiedzieć przebieg tej nieszczęśliwej miłości ze swojego punktu widzenia, tak, jak ona zapatrywała się na walki i cierpienia dwojga niezwykłych kochanków. Zamiar ten uskuteczniła p. Sand dopiero w 1858 r., wkrótce po śmierci Musseta, w słynnym romansie *Elle et lui,* w którym bez cienia goryczy, bez żadnego zamiaru poniżenia poety, z całym objektywizmem opisała — pod osłoną fikcyi oczywiście — psychologiczną treść swego romansu z Mussetem [2]). Tymczasem Musset, po napisaniu swej *Spowiedzi dziecka wieku,* nie przestał raz po raz w swych pismach wracać myślą do pani Sand, z którą przy różnych okazyach widywał się czasami. W ciągu 1837 r. mieli z sobę nawet *six heures d'intimité fraternelle,* a w kwietniu i maju 1838 roku wymienili kilka listów z sobą, z których zwłaszcza listy pani Sand pisane są w tonie nadzwyczaj życzliwym i pełnym godności [3]).

[1]) Oto, co pod świeżem wrażeniem tej lektury napisała pani Sand dnia 25 maja 1836 r. w liście do pani D'Agoult: »Je vous dirai que cette *Confession d'un enfant du siècle* m'a beaucoup émue en effet. Les moindres détails d'une intimité malheureuse y sont si fidèlement rapportés depuis la première heure jusqu'à la dernière, depuis la *soeur de charité* jusqu'à *l'orgueilleuse insensée,* que je me suis mise à pleurer comme une bête en fermant le livre. Puis, j'ai écrit quelques lignes à l'auteur pour lui dire je ne sais quoi: que je l'avais beaucoup aimé, que je lui avais tout pardonné, et que je ne voulais jamais le revoir. Je sens toujours pour lui, je vous l'avouerai bien, une profonde tendresse de mère au fond du coeur. Il m'est impossible d'entendre dire du mal de lui sans colère«.

[2]) Wszystko, co znakomicie wyjaśnia tę kwestyę, co kładzie raz na zawsze koniec wszelkim najbezsensowniejszym legendom, znajduje się w świetnej pracy Vicomte de Spoelberch de Lovenjoul'a *La véritable histoire de »Elle et lui«,* która opierając się na najautentyczniejszych dokumentach współczesnych, (a przynosi ich mnóstwo nieznanych dotąd) równa się wspaniałej rehabilitacyi pani Sand.

[3]) Oto wyjątek z jej listu z dnia 19 kwietnia 1838 r.: »Je n'ai pas bien compris le reste de ta lettre. Je ne sais pourquoi tu me demandes si nous sommes amis ou ennemis. Il me semble que tu es venu me voir l'autre hiver, et que nous *avons eu six heures d'intimité fraternelle,* après lesquelles il ne faudrait jamais se mettre à douter l'un de l'autre, fût-on dix ans sans se voir et sans s'écrire, à moins qu'on ne voulût aussi douter de sa propre sincérité; et, en vérité, il m'est impossible d'imaginer comment et pourquoi nous nous tromperions l'un l'autre à présent. Tout ce que je puis repondre à tes questions, est que tu peux disposer de moi comme d'un ami, et compter que je ferai avec joie tout ce qui te sera agréable, sans examiner si cela est convenable ou non, si les protégés ou protégées sont *grand'chose ou pas grand'chose.* Je te remercie de n'avoir pas douté de mon dévouement en cette rencontre. Je vois que, comme de coutume, tes bons instincts ont donné secrètement un démenti à tes méfiances. Si tu veux venir me voir, cela me rendra très heureuse. Si tu ne veux pas, je n'en serai pas offensée du tout; entre nous il ne peut y avoir d'autre loi que le bon plaisir. Fais selon ton idée«.



W 1840 roku znów nastąpiła wymiana listów pomiędzy nimi, tym razem w sprawie ich własnej korespondencyi z lat 1834—1835. W roku 1841 spotkali się w teatrze. W tym samym roku wyszedł jeden z najpiękniejszych wierszy Musseta *Le Souvenir,* będący wspomnieniem szczęśliwych chwil, przeżytych z panią Sand w Fontainebleau. Ostatni raz widzieli się w 1848 r. Musset, bardzo rozczulony rozmową ze swą dawną kochanką, płakał rzewnie. Niestety, był pijany! Wogóle trzeba mu oddać sprawiedliwość, że pomimo wszystkiego, co sam czasami w swych utworach pisał o demonicznej rzekomo *femme à l'oeil sombre,* i pomimo wszystkiego, co jego przyjaciele opowiadali o jego romansie z nią, on zawsze do końca życia, o ile nie miał umysłu zamąconego alkoholem, zawsze o niej wyrażał się z szacunkiem, stale utrzymując »qu'elle ne l'avait jamais trompé et qu'elle avait toujours été vrai« [1]). Inaczej postępował jego brat, Paul de Musset, który całe życie poświęcił na to, aby spotwarzać p. Sand. Co jednak Alfred de Musset myślał o swym bracie, w którym jakby przeczuwał przyszłego paszkwilistę pani Sand, tego się pozwala domyślać fakt, że gdy chodziło o jego listy do autorki *Lelii,* które, wraz z listami pani Sand do niego, znajdowały się w depozycie u ich wspólnego przyjaciela Papet'a, poeta zażądał od niego solennie, by mu dał słowo honoru, że tych listów nigdy nie odda jego bratu. Podkreślić należy, że zarówno Mussetowi, jak p. Sand niezmiernie zależało na ogłoszeniu tej korespondencyi, rozumieli bowiem, że w tych listach była prawda, która najwymowniej będzie broniła ich dobrej sławy, że *la vérité sincèrement devoilée rehausserait l'honneur des deux parties.* Tak też stało się istotnie, a gdy niedawno ogłoszono tę korespondencyę dwojga kochanków, najlepiej na tem wyszła p. Sand, którą te listy rehabilitują pod każdym względem. A ostateczny wniosek, do jakiego dziś w tej sprawie doszła krytyka francuska, jest ten, że pani Sand oddziałała na Musseta, jako człowieka i pisarza, uszlachetniająco, że miłość

[1]) W jednym z listów do pani Sand pisał sam Musset w tej kwestyi: »Tu ne mens pas, voilà pourquoi je t'aime. Tu es aussi sincère que tu es noble et orgueilleuse. *Voilà pourquoi je crois en toi, est je te defendrai contre le monde entier jusq'à ce que je crève«.* W innym liście, w którym jakby się zwracał do przyszłych oszczerców pani Sand, w których szeregu jego rodzony brat zajął tak wybitne miejsce, pisze Musset: »Prenez garde que je n'écrive sur sa tombe qu'elle était sincère, bonne et grande«.

ku niej, choć tak obfitowała w dysonanse, w gruncie rzeczy *a exercé une influence ennoblissante, purifiante* [1]).

Na te same lata, co romans z Mussetem, przypadają cztery wielkie przyjaźni w życiu pani Sand, przyjaźni, całkiem pozbawione pierwiastku erotycznego, przynajmniej ze strony autorki *Lelii,* które jednak wywarły bardzo silny wpływ na jej przekonania i zasady. Pierwszym wśród tych przyjaciół, jej światłym doradcą, który jej wybaczał wiele, bo ją rozumiał doskonale, jej spowiednikiem w czasie romansu z Mussetem, jej pocieszycielem po zerwaniu z autorem *Rolli,* był Sainte-Beuve, *chère i précieuse lumière dans ma vie,* jak sama wyraziła się o nim. Drugim był Liszt, z którym w 1834 r. poznała się przez Musseta, a z którym ją łączyła gorąca, ale czysto męska przyjaźń. O miłości nie mogło być mowy pomiędzy nimi, bo nie podobali się sobie wzajemnie, choć lubili się bardzo. Była chwila, że przebąkiwano o ich stosunku miłosnym, ale to były zwykłe plotki, obliczone na zdyskredytowanie p. Sand wobec Musseta, a Liszta wobec pani d'Agoult [2]). Z tą ostatnią oczywiście, jako z »przyjaciółką« Liszta, p. Sand przyjaźniła się również. Była to typowa przyjaźń dwóch kobiet, przyjaźń pełna różnych słabostek i zawiści ze strony p. d'Agoult, zaczem poszło, że ta *amitié romanesque* skończyła się na wzajemnej niechęci, co naturalnie musiało wpłynąć oziębiająco na stosunki p. Sand z Lisztem. W zupełnie innym rodzaju była przyjaźń, która ją łączyła z Adolfem Gueroult, wybitnym dziennikarzem, politykiem i ekonomistą, a przedewszystkiem zagorzałym Sainsimonistą. Przez niego zetknęła się autorka *Lelii* z sainsimonistami, tak, że nawet przez pewien czas była pod niejakim wpływem tej »parodyi religii«. Niemniejszy wpływ miał na nią Karol Didier, bardzo zdolny literat i dziennikarz, współpracownik *Revue des deux Mondes,* jeden z filarów *National'a,* a także gorliwy rzecznik zasad ks. Lamennais, w którego piśmie *Le Globe* również pisywał wiele. Był-to, obok Sainte-Beuve'a, najserdeczniejszy przyjaciel p. Sand, powiernik, przed którym nie miała tajemnic.

Przez Didiera poznała się pani Sand w kwietniu 1835 r. z adwokatem Michelem z Bourges, któremu powierzyła przeprowadzenie swego procesu rozwodowego. Proces ten, trwający rok blizko, toczący się najprzód w Châtre, a następnie w Bourges, skończył się w 1836 r. zupełną wygraną p. Sand, tak, że — dzięki wymownej obronie swego adwokata — nietylko uzyskała upragniony rozwód, ale jej przyznano prawo zatrzymania obojga

[1]) »J'ai cessé avec toi d'être un libertin sans coeur«, były własne słowa Musseta w jednym z listów do pani Sand. W innym liście tak do niej pisze: »Rien d'impur ne restera dans le sillon de ma vie où tu as passé«.

[2]) Między innemi zapisał tę plotkę nawet Heine, który jednak, przekonawszy się o nieprawdziwości swej relacyi, w tak dosadny sposób zaprzeczył jej później w *Lutecyi:* »An dieser prahlerischen Wanze hat Lelia nie Geschmack gefunden und sie tolerierte dieselbe nur manchmal in ihrer Nähe, weil sie gar zu zudringlich war«.



dzieci, do czego przywiązywała największą wagę. Lecz zanim skończył się proces, p. Sand jeszcze w ciągu 1835 r. została kochanką swego prawnego obrońcy, co może nie pozostało bez wpływu na jego gorliwość w prowadzeniu procesu z mężem. Bądź co bądź, Michel stał się istnem bożyszczem dla pani Sand, która, zakochana w nim, przejąwszy się jego republikańskiemi zasadami, widziała w nim »drugiego Robespièrre'a«, »wcielony ideał stoika«, co wszystko było nieprawdą. Zawiedziona na »młodzieniaszkach«, na znacznie młodszych od siebie Sandeau i Mussecie, i spragniona miłości »męża«, w Michelu znalazła, jak jej zdawało się przez czas dłuższy, wielkiego człowieka na miarę Fidyasza, nie widząc, zaślepiona, że był to fałszywy »wielki człowiek«, będący raczej uosobionem zaprzeczeniem wszelkiej wielkości i niepospolitości. Przedewszystkiem był to typowy adwokat prowincyonalny, wcale nie ujmującej powierzchowności, bo z wielką łysiną, w ciemnych okularach, z trzema fularami do zatabaczonego nosa. A jednak p. Sand kochała go namiętniej, niż Musseta, bo gdy tamtego traktowała, jak »dziecko«, w tym widziała swojego »pana«, *dominateur,* nazywała go »Rzymianinem« pełnym starorzymskich cnót, nie przypuszczając nawet, że był to tylko chłop z usposobieniem jakobina. Ale miłość jest ślepa, a co gorzej, że widzi fałszywie. I pani Sand uległa temu daltonizmowi w stosunku do Michela; w zwykłym sekciarzu widziała proroka, w niepoprawnym gadule widziała wielkiego mówcę, w pospolitym brutalu widziała wcielenie energii, w despotycznym tyranie widziała genialnego mistrza, w typowym warchole widziała śmiałego polityka. Tymczasem był to przeciętny radykał o temperamencie blagiera, i to radykał oportunistyczny, uprawiający politykę interesów, a jako człowiek był naturą ordynarną, wcieloną próżnością, pospolitym rozpustnikiem, a przytem zazdrosnym w miłości. Ale zanim pani Sand poznała się na prawdziwej naturze tego »mistrza«, upłynęło dwa lata z okładem. Przez długi czas była zakochana, szczęśliwa i pełna złudzeń. Lecz przyszła chwila, w której przekonała się, że ten »Rzymianin«, o ile zasługiwał na to miano, o tyle mógł pretendować jedynie do tytułu Rzymianina z czasów Tyberiusza; okazało się bowiem, że ten łysy »stoik« w okularach zdradzał ją tak samo, jak jej mąż, jak jej dotychczasowi kochankowie. Był to wielki cios dla autorki drukującego się właśnie *Mauprat.* Zaczęły się sceny zazdrości, zarówno z jego, jak i z jej strony, aż wkońcu przyszło do zerwania. Jak zwykle zerwała p. Sand, a choć raz i drugi dała się przebłagać swemu *Robespièrre en personne,* któremu ten stosunek z autorką *Lelii* dogadzał pod wieloma względami, choćby dlatego tylko, że w nim widział pyszną reklamę dla siebie, że przez ten stosunek utrzymywał się na życiowej widowni, to jednak wkońcu, we wrześniu 1837 r., rozegrała się ostateczna scena tego romansu, po której »Rzymianin« nie miał już co robić w Nohant. Dla pani Sand było to przejście bardzo bolesne, bo, jak romantyczna miłość dla Musseta, tak i ta

miłość dla Michela, bardzo prozaiczna w gruncie rzeczy, również się zakończyła niesmakiem i rozczarowaniem. A jednak ten wątpliwego autoramentu »Rzymianin« wywarł olbrzymi wpływ na sposób myślenia p. Sand; jemu zawdzięczała swe przekonania demokratyczne i republikańskie, a temsamem antiarystokratyczne i antimonarchiczne.

Niemniejszy wpływ wywarł na nią Lamennais, z którym poznała się i zaprzyjaźniła w 1836 r., a do którego osoby i zasad tak się przywiązała wkrótce, że w liście z maja tego roku, pisanym do pani d'Agoult, temi słowy określiła swój kult dla słynnego apostaty: »Il est si bon et je l'aime tant, que je lui donnerai autant de mon sang et de mon encre qu'il m'en demandera«. Czy autor *Paroles d'un croyant,* korzystając z tego uwielbienia *Lelii,* zażądał również i daniny z jej krwi, którą tak umiał rozgrzać dla siebie, czy też poprzestał tylko na daninie z samego atramentu, którym nie wzgardził bynajmniej, to jest pytanie, na które odpowiadano w rozmaity sposób. Natomiast nie ulega wątpliwości, że p. Sand, choć w gruncie rzeczy miała wstręt do pracy dziennikarskiej, uczyniła wyjątek dla Lamennais'go, pisując do jego dziennika *Le Monde,* że w tem piśmie drukowała swoje świetne i sensacyjne *Lettres à Marcie,* propagujące wolną miłość, rozwód etc., że pod wpływem Lamennais'go stała się namiętną nieprzyjaciółką katolicyzmu, kościoła, papiestwa etc., i że sam Lamennais, choć miał świadomość uwielbienia, jakie wzbudzał w autorce *Lettres à Marcie* (których druk przerwał w połowie), nie bardzo ją traktował na seryo.

Inaczej miała się rzecz z malarzem i rysownikiem Calamattą, który przez czas, gdy z nim p. Sand była *intimement liée,* zrobił jej trzy znakomite portrety. Poznali się w 1835 r., a była to jedna z tych przyjaźni znakomitej autorki, która jej nie przyniosła rozczarowania. Jakoż nie skończyła się nigdy. Wogóle była to chwila w życiu pani Sand, w której zażywała większego spokoju, nie narażona na żadne burze psychiczne (po czasowem zerwaniu z Michelem). Znalazłszy kilku nowych a bardzo oddanych przyjaciół (takich, jak malarz Charpentier, który zrobił jej wspaniały portret, jak ksiądz George Rochet, który, jako *ami intime de toute la maison,* dużo przebywał w Nohant, jak adwokat Frédéric Girard, przyjaciel Cavaignaca, jak wreszcie młody, dość mierny poeta i literat, Felicyan Mallefille, którego gościła w swym domu, jako guwernera do dzieci), prawie nie wychylała się z Nohant, gdzie na wiosnę i w lecie zawsze miała sporo gości. Przez całą wiosnę 1837 r. mieszkali u niej Liszt z panią d'Agoult, (z którą przy tej sposobności romansował trochę, a przynajmniej flirtował udający zakochanego Mallefille), gdy nagle, w lipcu, przyszła wieść do Nohant, że matka pani Sand zachorowała śmiertelnie. Na tę wiadomość, zostawiwszy dzieci w Nohant, udała się pani Sand, razem z Mallefillem, do Paryża, skąd niebawem, razem z Mallefillem przeniosła się do Fontainebleau, z którem dla niej wiązało się tyle miłych wspomnień o Mussecie.



Zamieszkano w oberży, w lesie, p. Sand wzięła się do pisania, a co kilka dni jeździła do chorej matki. Dnia 19 sierpnia umarła pani Dupin. Po pogrzebie, pani Sand wróciła do Fontainebleau, a ponieważ życie bardzo często bywa tańcem miłości i śmierci, więc niespodziewanie sympatya, jaką p. Sand darzyła Mallefille'a, zaczęła przeobrażać się w miłość, platoniczną zrazu, ale wkońcu zmysłową i cielesną. Rolę Galeotta odegrał ich własny romans p. t. *La Dernière Aldini,* który pisali do spółki, a który sprawił, że przyszedł dzień, w którym już więcej... nie pisali dalej! Tym sposobem przeżyła p. Sand, w tych samych miejscach, gdzie była szczęśliwą z Mussetem, nowy romans z Mallefillem. Dni schodziły na konnych przejażdżkach, na długich spacerach po lesie, na kąpielach w rzece, na herboryzacyi, na łapaniu motyli. W nocy p. Sand pisała. Nagle otrzymała wiadomość, że baron Dudevant, korzystając z jej niebytności w Nohant, uwiózł stamtąd Maurycego. Wiadomość okazała się mylną wprawdzie, ale mimo to p. Sand wysłała Mallefilla, ażeby Maurycego przywiózł do Fontainebleau. Ledwo z nim stanął na miejscu, otrzymano wiadomość z Nohant, że baron Dudevant uwiózł stamtąd Solange. Ponieważ wiadomość okazała się prawdziwą, p. Sand udała się natychmiast, razem z Mallefillem, do Nérac, gdzie obecnie mieszkał jej mąż, odebrała córkę, poczem po spędzeniu kilku dni w Pirenejach wróciła do Nohant, ażeby tu razem z dziećmi — i Mallefillem — spędzić całą zimę. Zakochana w Mallefillu, w którym też nawzajem potrafiła wzbudzić namiętną miłość ku sobie, miłość, która aż mogła stać się niebezpieczną, tak była namiętną i samolubną, pani Sand wróciła do swego zwykłego trybu życia, do którego przybyło jeszcze dawanie lekcyi dzieciom, co czyniła z wielkiem zamiłowaniem. Zresztą prowadziła życie spokojne, jednostajne [1]) i, jak zwykle, bardzo pracowite.

Bo pracowitość leżała w jej charakterze. Geniusz, to pracowity talent, powiedział Goethe. Jakby w myśl tego spostrzeżenia, p. Sand, uchodząca za »najgenialniejszą z kobiet«, była niezmiernie pracowitą z natury.

---

[1]) Pisząc w marcu 1838 roku do pani d'Agoult, pani Sand tak jej opisywała swoje obecne życie w Nohant, (skąd zamierzała na krótko wyjechać do Włoch): Une fois en Italie, j'y veux rester au moins deux ans pour les études de Maurice, qui s'adonne définitivement à la peintnre et qui aura besoin de séjourner à Rome. En attendant, il travaille ici avec le frère de Mercier, qui est un assez laborieux maitre de dessin et ne manquant pas de talent. Mallefille, qui a la bonté de donner des leçons d'histoire et de philosophie au susdit mioche, se tire très bien de son préceptorat provisoire. Maurice s'est assez fortifié. Il a un petit cheval très comique et fait des *lancers* épouvantables avec Mallefille, qui est devenu un assez bon écuyer. Par ces détails, vous pourrez voir, chers Fellows, que mon intérieur n'a rien de bien intéressant à offrir à votre attention. Il est paisible et laborieux. J'entasse romans sur nouvelles et Buloz sur Bonnair; Mallefille entasse drames sur romans, Pélion sur Ossa; Mercier, tableaux sur tableaux; Tempête, bêtises sur bêtises; Maurice, caricatures sur caricatures, et Solange, cuisses de poulet sur fausses notes. Voilà la vie héroïque, et fantastique qu'on mène à Nohant.

Będąc pierwszorzędną znakomitością literacką, w niemniejszym stopniu była znakomitą pracownicą literacką, a mając wielkie poszanowanie swego zawodu, nietylko eksploatowała swój talent, ale go i kultywowała nieustannie. Jakoż, żeby nie wyjałowić swego umysłu, wciąż go zapładniała lekturą, stale czytując wszystko, co było godnem poznania. Czytywała w dzień, a noce, najczęściej aż do świtu, poświęcała pisaniu. Rzadko kiedy pisywała we dnie, chyba, że była chora na oczy. Najlepiej umiała pracować w nocy; gdy wszyscy udali się na spoczynek, gdy w całym *chateau de Nohant* zaległa absolutna cisza, gdy już nie świeciło się w żadnem z okien, wtedy ona zasiadała do pisania, co noc zapisując po dwanaście kartek formatu *in quarto,* co było jej zwykłą »porcyą« na jedną noc. Pisała szybko, łatwo, rzadko kiedy przekreślając jakiś wyraz lub zdanie, z czego się śmiał Musset [1]). Mówiono o niej, że jeśli jakąś powieść skończyła pisać o 2-iej w nocy — a pisywała zwykle do 4-tej — wsuwała rękopis do wielkiej koperty, adresowała ją: *Monsieur Buloz, Revue des deux Mondes, Paris,* poczem brała świeży arkusz papieru i zaczynała nową powieść, którą już miała w głowie. Bądź co bądź, miała zwyczaj, że gdy napisała dwanaście kartek powieści, a jeszcze nie czuła potrzeby snu, zaczynała pisanie listów, których zawsze pisywała mnóstwo, bo stale korespondowała z mnóstwem przyjaciół.

Ale ta systematyczność w pracy, która była jej powołaniem, jej potrzebą, jej nałogiem, w szczęściu czy zmartwieniu, w domu czy w podróży, wcale w niej nie osłabiała polotu natchnienia, ani zmniejszała jej fenomenalnej płodności twórczej, wprost niewyczerpanej. Obdarzona wyobraźnią płomienną, zawsze będąca w stanie potencyi, a miarkowanej zdrowym rozsądkiem, który również był jedną z właściwości tego talentu, tej *tête romanesque,* pani Sand była urodzonym poetą z bożej łaski, poetą, któremu hrabia z *Pana Tadeusza* nie mógł-by żadną miarą, jak poczciwemu Gerwazemu powiedzieć: »Szkoda, że masz niewielki dar opowiadania«. To bowiem, co zwykliśmy nazywać darem opowiadania, pani Sand, jako nieporównana narratorka, posiadała w najwyższym stopniu. Jakoż najpiękniejszemi są te z jej powieści, w których poezya kojarzy się z bajką (więc *La Mare au diable, La petite Fadette, Jean de la Roche, Marquis de Villemers*). Czynnikiem zaś, który stanowił główną oś w jej wszystkich powieściach, zawsze była miłość. Każdy z jej utworów, czy to był wielotomowy romans, czy krótka nowella, zawsze i przedewszystkiem był poematem na cześć miłości, czasami boskiej, najczęściej ludzkiej, a czasem obu razem, bo zdarzało się niekiedy, że te dwa uczucia wciąż się mięszały ze sobą, nieraz w sposób dziwny. W miłości widziała alfę i omegę życia, *la raison de vivre*, a serce było jej mistrzem w filozofii. Niestety, mistrz to zawodny, pełen złudzeń, nawet chimer, zwłaszcza wtedy, gdy, jak p. Sand, hołduje jakiemuś »zmysłowemu idealizmowi«, którego zmysłowość, subtelna lub gwałtowna, nieraz psuje najszlachetniejsze aspiracye. Sprawdziło się to, aż zbyt dobitnie czasem, na twórczości p. Sand, która, wychodząc z założenia, że »miłość pochodzi od Boga«, nieraz nadużyła Boga w miłości; a twierdząc, że ci, co się kochają, są niewinni, cokolwiek-by czynili, bo miłość usprawiedliwia i tłómaczy ich postępki, tak daleko zapędzała się w swych twierdzeniach, że aż apoteozowała kurtyzany, jako »najpotężniejsze typy, wyszłe z łona natury«, że je uniewinniała zupełnie, a całą winę składała na społeczeństwo. Wogóle miłości przypisywała zbyt wielką rolę w życiu. Wierzyła np. w »zniesienie kast przez miłość«, w zupełne połączenie się ich i zlanie, która to wiara w miłość, dość naiwna sama w sobie, bardzo często wypowiadana przez usta różnych powieściowych bohaterów-kochanków, a wypowiadana w formie długich patetycznych tyrad, sprawiała, że ci kochankowie chwilami przemawiali jak prorocy, co kochanka zawsze czyni trochę śmiesznym. Już to wogóle miłość, która tak dominującą rolę gra w powieściach pani Sand, nieraz im szkodziła pod wieloma względami; szczególniej gdy służyła jakiejś tendencyi. »Nigdy wymowniejsza naiwność nie była na usługach paradoksu, nigdy błąd nie szedł w parze z tak dobrą wiarą, nie był głoszony z takim entuzyazmem«, jak w powieściach p. Sand, która, przy całym niepospolitym darze obserwacyi, zarówno natury, jak ludzi, przy całej psychologicznej finezyi, z jaką traktowała różne miłosne konflikty, przy całym entuzyazmie, jaki żywiła dla wolności w rzeczach uczucia, nigdy nie miała jednej rzeczy — i to było największą wadą w jej twórczości — nie miała zmysłu moralnego, a przynajmniej nie miała go w dostatecznym stopniu!

Ale największą wadą jej wszystkich prawie powieści była ich tendencyjność. Cierpiała na tem przedewszystkiem rozlana w nich obficie poezya. Nie uszło to już w swoim czasie baczności Zygmunta Krasińskiego, który, pełen najwyższego uznania dla poetycznego talentu p. Sand, tak raz w 1839 r. pisał o niej do zachwyconego nią Konst. Gaszyńskiego: »Winszuję Ci zapoznania się z panią Sand. Jest to pisarz pierwszy co do stylu dziś i odwagi artystycznej we Francyi, ale od jakiegoś czasu, mojem zdaniem, słabnący. Koniecznie się jej zachciało być filozofem niemieckim; Francuzom to się nie udaje, a tembardziej kobiecie, choćby się tysiąc razy po męsku

[1]) W *L'Histoire d'un merle blanc* znajduje się taki ustęp, będący wspomnieniem chwil, przeżytych w towarzystwie pani Sand: »Dès cet instant nous travaillâmes ensemble. Tandis que je composais mes poèmes, elle barbouillait des rames de papier. Je lui récitais mes vers à haute voix, et cela ne la gênait nullement pour écrire pendant ce temps-là. Elle pondait ses romans avec une facilité presque égale à la mienne, choisissant toujours les sujets les plus dramatiques, des parricides, des meurtres, des rapts et même jusqu'à des filouteries ayant toujours soin en passant d'attaquer le gouvernement et de prêcher l'émancipation des merlettes. En un mot, aucun effort ne coûtait à son esprit, aucun tour de force à sa pudeur. Il ne lui arrivait jamais de rayer une ligne, ni de faire un plan avant de se mettre à l'oeuvre. C'était le type de la merlette lettrée«.

przebrała. Ducha mężko stworzonego potrzeba na to, by wytrzymać samotność nadziemskich pustyni. W tych pustyniach duch niewieści musi koniecznie zawsze wrócić do *oazis* poezyi. Poezya musi być filozoficzną, ale nie powinna o tem sama wiedzieć; to tylko stąd wyniknąć powinno, że każdej wielkiej filozofii, równie jak poezyi, równie jak każdej wielkiej rzeczy, prawda taż sama, duch boski jeden i ten sam jest podstawą i rodzicem; lecz poezyę mieć za narzędzie filozofii, równa się alegoryi czyli niepoezyi, czyli grochowi z kapustą. Nieszczęściem, p. Sand wpadła teraz w groch i kapustę. Nigdym także nie wierzył rozsiewanym o niej obrzydliwościom i to mnie mocno pocieszyło, kiedyś to samo zdanie mi ogłosił. Co się zaś tycze jej entuzyazmu dla Lamenais'go w twierdzeniu upartem *que le catholicisme s'en va,* to tylko na to odpowiem, że Lamenais zgłupiał, a jeszcze przeszłego roku, w mojej obecności, papież z krużganku św. Piotra błogosławił stutysiącom ludzi«.

Natura kontemplacyjna, marzycielka, bardzo ciekawa wszystkiego, co tajemnicze, a inteligencya żywa, choć pozbawiona głębi, »córka duchowa« Rousseau'a, który na nią wywarł wpływ niesłychany, a »siostra rodzona«, Tołstoja, którego ideały głosiła na pół wieku przed nim, pani Sand przez całe życie uważała się za orędowniczkę świętej sprawy wolności i postępu, a wszystko, co wyszło z pod jej pióra, równało się wojnie przeciwko egoizmowi, nietolerancyi, przywilejom i uciskowi wszelkiego rodzaju. »Wolność jednostki« i »postęp ludzkości«, oto dwa hasła, którym służyła swem genialnem piórem, a wszystkie najpiękniejsze i najszlachetniejsze aspiracye całej epoki, obracające się około wyzwolenia kobiet, włościan i robotników, znalazły porywający wyraz w jej pismach. Przejęta doktrynami Lamennais'go, Michela z Bourges, Piotra Leroux, Ludwika Blanc'a i innych współczesnych reformatorów społecznych i politycznych, pragnęła »żeby wszyscy używali darów życia«, a w tym celu szerzyła poglądy humanitarne, które w swym »socyalistyczno-ewangelicznym« zapędzie nieraz szły tak daleko, że aż graniczyły z komunizmem i anarchią. Pełna zapału dla pięknych idei, niezawsze, gdy swe powieści czyniła ich wykładnikiem, umiała utrzymać się we właściwej mierze, często grzeszyła przesadą, często mieszała różne kwestye, nie bardzo rozróżniając jedną od drugiej, co łatwo dało się wytłómaczyć egzaltacyą uczucia, ale bądź co bądź równało się pewnej konfuzyi i niedojrzałości w koncepcyi. Stąd obszerne pole dla nieporozumień, które wywoływały jej teorye społeczne; gdy stawiała zasadę wolności osobistej, gdy walczyła w imię swobody jednostki, zarówno kobiety, jak mężczyzny, nieraz w ten sposób stawiała kwestyę »kobiety wolnej«, że z jej założeń skwapliwie wyciągano wnioski na temat »wolnej miłości«, a gdy walczyła przeciwko małżeństwu w jego dzisiejszej postaci, zdawało się niektórym, że zwalczała instytucyę małżeństwa wogóle. W najlepszej wierze dążąc do zagłady wszystkiego, co było tyranią, arystokracyą i bo-



gactwem, a marząc o przewrocie społecznym, opartym na sprawiedliwości, a jeszcze więcej na dobroci, na tle tych idei reformatorskich, począwszy od kwestyi socyalnej, a kończąc na kwestyi małżeńskiej, osnuwała cały szereg swych romansów, na czem romanse te, niestety, wychodziły jaknajgorzej. Niektóre z nich zbyt przeciążone tendencyą, doczekały się tego, że je krytyka ośmieszyła, jako »*machines socialistes*«, co w polskim języku dałoby się określić jako »socyalistyczne piły«; w innych zaś, będących prześlicznemi idyllami pełnemi najwznioślejszej poezyi, raz po raz trafiają się socyalistyczne tyrady, które, wstawione sztucznie, niepotrzebnie, mącą piękną harmonię całości, brzmią jak przykry dysonans, a równają się czczym deklamacyom pełnym emfazy. Te deklamacye polityczne lub humanitarne, dlatego najczęściej były tak napuszone i bombastyczne, że nie wypływały z duszy autorki, ale prawie zawsze były echem myśli cudzych, raz Lamennais'go, raz Michela z Bourges, raz Piotra Leroux. A choć p. Sand pisała pod wpływem wzruszenia raczej, aniżeli dlatego, żeby tworzyć system, to jednak kończyło się na tem, że system zabijał romans, a tendencya niweczyła poezyę. Co najgorsza, że znajdowali się i tacy, którzy tych socyalno-humanitarno-filozoficznych »ideałów« w powieściach p. Sand nie traktowali poważnie, twierdząc, że *personne n'a été, en ce siècle, plus épris de philosophie et... moins philosophe* [1]).

Za to była nieporównaną stylistką, należąc do najświetniejszych mistrzów języka francuskiego. Niedościgniona, a w każdym razie nieprześcigniona pod tym względem, szybko stanęła w rzędzie wielkich pisarzy swego czasu, a pisała z ogromną łatwością, bez najmniejszego wysiłku, stylem świetnym, nietyle plastycznym w znaczeniu rzeźbiarskiem, ile niesłychanie barwnym w pojęciu malarskiem. Obdarzona niesłychanie bujną wyobraźnią i fantazyą, a słusznie zaliczona do najświetniejszych talentów poetyckich swojego czasu, swojej rasy, pisała bez ułożonego planu, nigdy nie wiedziała, co napisze na następnem posiedzeniu, czyli, że jej utwory miały wszystkie cechy rzeczy improwizowanych, a nie obmyślanych, skomponowanych. Już to pod względem kompozycyi i architektoniki, pod względem jedności i ciągłości tematu, który u niej zmieniał się raz po raz, powieści jej, najlepszych nie wyłączając, zawsze pozostawiały bardzo wiele do życzenia. Nie umiejąc obmyśleć i skomponować dzieła, dopuszczała się częstych zaniedbań na tym punkcie, mało się troszcząc o jednolitość charakterów, które zmieniała stosownie do sytuacyi, szafując nieprawdopodobieństwami, któremi igrała z nadmierną swobodą, do przesady doprowadzając pierwiastek chimeryczny, *le romanèsque,* który idąc w parze z doskonale obserwowanym realizmem, zawsze mu wychodził na niekorzyść, psując ogólną harmonię całości. Dzięki niepospolitemu darowi obserwacyi

[1]) Emile Faguet, Dix-neuvième siècle.

który zachowywała nawet w najburzliwszych przejściach życiowych, świetnie umiała podpatrywać i chwytać najbardziej charakterystyczne rysy ludzi i rzeczy, co sprawiało nawet, że bardzo często posługiwała się najbliższymi przyjaciółmi, jako modelami do swych powieściowych bohaterów, podobnie, jak się posługiwała swym autoportretem — zazwyczaj pochlebionym cokolwiek — przy malowaniu różnych postaci niewieścich. Przeciwniczka zasady »sztuki dla sztuki« i objektywizmu w sztuce, zawsze była zwolenniczką psychologii w powieści, t. j. powieści psychologicznej[1]).

Wielka sława, jaką sobie zdobyła w całym świecie, jako najświetniejszy — obok Balzaka — talent powieściopisarski, budziła, jak zwykle w takich razach, najsprzeczniejsze opinie, zarówno wśród czytającego ogółu, jak i wśród krytyków. Rzadko ją sądzono bezstronnie. Ale bo też była to sława świetna i burzliwa jednocześnie, sława, która wywoływała ferment w umysłach. Stąd uwielbienia i złorzeczenia. Jedni w niej nienawidzili i potępiali śmiałą reformatorkę społeczną, drudzy w niej czcili i ubóstwiali świetną powieściopisarkę, krzewiącą najwznioślejsze idee humanitarne, a głoszącą je z niezwykłym poetyckim polotem, przybrane w najpiękniejsze kwiaty stylu. Najzacieklejszą nienawiść budziła wśród żywiołów arystokratyczno-klerykalno-konserwatywno-monarchicznych, gdzie się otrząsano na jej tendencye demokratyczne i republikańskie, gdzie jej przypisywano wpływ demoralizujący i zgubny, gdzie ją uważano za wcielenie wszelkiego złego, wszelkiej rozpusty i zepsucia, gdzie jej nadawano przydomek *la prédicatrice de la débauche,* gdzie jej kazano odegrywać najwstrętniejszą rolę wobec legitymistycznie usposobionego Musseta, gdzie ją zwalczano za jej niedowiarstwo i antiklerykalizm (tembardziej oburzające u niej, że była wychowana w klasztorze), gdzie ją wogóle posądzano o wszelkie możliwe bezeceństwa, nie wyłączając satanizmu[2])! Za to w obozach postępowo-demokratyczno-republikańskich, które panią Sand uważały za genialną orędowniczkę swych ideałów społecznych, przebierano miarę w pochwałach, pa-

[1]) Oto jej zdanie w tej kwestyi, zapisane w *Questions d'art et de litterature:* Jeżeli opisy bitew ludzkich, przedsięwzięć i namiętności pochłaniały zawsze ciekawość tłumów, jeżeli strona epiczna każdej literatury jest najpopularniejszą po dziś dzień, to dla dusz marzycielskich i głębokich, dla subtelnych inteligencyi, najpiękniejszymi poematami są te, które nam ujawniają cierpienia ludzkiej duszy, wyzwolone z wypadków zewnętrznych. Te utwory mają wartość większą i większą doniosłość od faktów historycznych bo nam odsłaniają duszę ludzką i jej rozmaite przejawy, bo wskazując stan moralny i umysłowy narodów w rozmaitych okresach dziejowych, dają nam klucz do wielkich wypadków.

[2]) Gdy w 1861 r. Akademia francuska chciała jej przyznać *le prix académique* w sumie 20000 franków, najnamiętniej walczyli przeciwko temu t. zw. *les burgraves,* duc de Noilles, Montalambert, Remusat, Guizot, Dupanloup, duc de Broglie. Imieniem ich przemawiał duc de Broglie, a przemawiał, według wyrażenia Sainte-Beuve'a, *en iurisconsulte plus qu'en homme de lettres.*



sując ją na »pierwszą sławę poetycką współczesną«, co oczywiście grzeszyło przesadą.

Całe szczęście, że ona sama była obojętna na głosy krytyki, że sobie nic nie robiła z tego, co pisano o niej, czy ją chwalono czy ganiono, wielbiono czy potępiano. Na to nie była wrażliwą ani drażliwą. Robiła, co uważała za swój obowiązek, za swoje powołanie, starała się »robić jaknajlepiej«, o resztę nie troszczyła się zupełnie. Nie wiedziała też, co to jest uczucie zawiści literackiej, co znaczy t. zw. *jalousie du metier.* Cudze powodzenie, tak niepokojące i drażniące wielu »kolegów po piórze«, ją cieszyło zawsze i szczerze. Tego »fizycznego bólu«, którego doznawali Goncourtowie, gdy gdzie wyczytali pochlebną wzmiankę lub krytykę o innym pisarzu, ona nie znała wcale. Z radością witała ukazywanie się nowych gwiazd na firmamencie literackim, przyczem niejednym pomagała do szybszego i świetniejszego zajaśnienia. Wogóle była »kolegą« bez zarzutu. Tak samo w przyjaźni, w której zawsze okazywała się pełną »męskich cnót«, a zwłaszcza tej rzadkiej cnoty, którą Francuzi nazywają *la droiture du parfait honnête homme*[1]).

[1]) Jak się zapatrywała na przyjaźń w życiu, o tem wcale dokładne pojęcie daje jeden z jej listów do córki, której w ten sposób skreśliła swoje poglądy w tej kwestyi: »Quand tu dis: *quand on a une mère on n'a pas besoin d'amie,* certes, tu dis une chose fort aimable et fort douce pour moi; et tu as raison, en ce sens qu'aucune des amitiés que tu peux contracter ne pourra jamais se comparer à celle que tu trouves en moi. Mais tu te trompes, en croyant que tu ne dois d'affection à aucune autre personne qu'à celle qui te préfère à toutes les autres. Il n'en doit pas être ainsi, et, si je t'ai parlé seulement (dans ma réponse à tes questions sur l'amitié) des besoins que ton coeur pouvait avoir, je n'ai pas exprimé ma pensée sur l'amitié d'une manière complète. Le coeur n'a *pas seulement des besoins,* il a *des devoirs;* et nos affections ne sont pas autre chose que des devoirs remplis avec bonheur. Ainsi nous aimons nos parents; et, même lorsqu'ils ont de grands défauts nous leur pardonnons plus qu'aux autres, parce qu'ils sont nos amis d'enfance; parce que, s'ils sont plus âgés, ils nous ont donné des soins; parce que, s'ils sont plus jeunes, ils ont besoin des nôtres; parce que, s'ils sont de notre âge, ils ont nécessairement vécu en échange de services et d'obligeance avec nous. Tous nos amis d'enfance sont dans le même cas. Nous devons être plus indulgents pour eux que s'il s'agaissait de les choisir en âge de raison. Voilà donc deux espèces d'amis pour qui l'affection, ou, tout au moins, la bonté et la tolérance sont des devoirs; les parents et les anciens amis. Il y en a une troisième espèce, et c'est celle sur laquelle tu me consultes. Ce sont les amis qu'on se choisit. Je trouve fort louable que tu veuilles y mettre du discernement et de la réflexion. Mais je te dirai que lorsqu'on rencontre une personne pleine de qualités, et vers laquelle on se sent porté de coeur, on doit céder à cette amitié. Par la même raison qu'on aime le vrai, le bon, le juste, le sage à l'état d'idées et de sentiments, on doit aimer les êtres qui possèdent ces grands dons du ciel. Si tu te pénètres bien toi-même de ces qualités, tu verras que tu inspireras de grandes amitiés et que tu en ressentiras toi-même. Ne cherche donc pas une amie dans tes compagnes comme on cherche dans une boutique de cordonnier la chaussure qui ne blesse pas. Mais quand tu la rencontreras, et qu'elle t'inspirera une grande estime, mets-toi bien dans l'esprit que c'est Dieu qui *t'envoie un devoir et un bonheur* de plus dans ta vie«.

Wszystko to tłómaczyło się jej dobrocią, która, obok pracowitości, była nietylko jej największą zaletą, ale i jej najgłówniejszym rysem charakterystycznym. Bo choć nie wolna od wad, to jednak przedewszystkiem była to najlepsza w świecie kobieta [1]). Zdaniem jej, dobroć powinna być pierwszem przykazaniem kobiety. »Sois bonne — pisała raz do córki — entends-tu? *bonne* avant tout, bonne toujours«. Dobra i poczciwa z natury, przez całe życie trzymała się tej zasady, nie sprzeniewierzyła się jej nigdy. »Je ne suis qu'une bonne femme — mówiła raz do Edmunda Caro — à qui on a prêté des férocités de caractère tout à fait fantastiques«. To też nad niczem nie ubolewała bardziej, niż nad tym faktem, że najniesłuszniej w świecie kwestyonowano jej dobrość, wtedy, gdy ona właśnie najdumniejszą była nie ze swej sławy, ale ze swej wrodzonej dobroci, ze swego dobrego serca [2]). Ta wrodzona dobroć, graniczącą aż z poczciwością, miała doniosły wpływ na jej usposobienie, albowiem ją godziła z różnemi życiowemi przeciwnościami, co przy innym charakterze łatwo mogło być wykluczonem. Z tej dobroci rodziła się wielka wyrozumiałość, wielkie pobłażanie dla ludzkich słabości, dla słabości i ułomności przyjaciół i znajomych. Takich przyjaciół, a nawet kochanków, bynajmniej nie wolnych od ludzkich słabości, pani Sand miała wielu, ale choć nieraz krzywdzona przez nich, nigdy nie zacinała się w swym gniewie na nich. Wogóle zawziętość nie miała przystępu do jej czułego serca. Gdy się zawiodła na kimś, cofała się ze smutkiem, ale bez gniewu, rozumiejąc, ile egoizmu leży na dnie każdej namiętności. Nie skłonna do uraz, bardzo łatwo umiała przebaczać, a jak z czasem zapominała treść swych własnych powieści, podobnie zapominała i o doznanych zawodach i boleściach. A jak po najsilniejszych wstrząśnieniach łatwo odnajdywała spokój i równowagę, nawet pogodę duszy, tak z niemniejszą łatwością umiała się pocieszać po każdem życiowem rozczarowaniu, co sprawiało, że najcięższe rany szybko się zabliźniały w jej sercu, a raz zagojone przywracały jej zupełny objektywizm sądu o tym, kto był sprawcą tych ran. Stąd niesłychana bezstronność — *suprême impartialité* — z jaką w *Histoire de ma vie* pisała o swych życiowych przejściach, o ludziach, którzy zaważyli w jej życiu, a którzy jej przyczynili niemało goryczy i smutków, niemało łez i utrapień. Bardzo usłużna i gościnna, a oszczędna i skrzętna bez cienia skąpstwa, a współczująca

[1]) »Malgré tous ses torts — powiada o niej Emile Faguet — c'était la meilleure femme du monde«.

[2]) E. Caro w swej biografii pani Sand tak pisze między innemi: »Elle tenait beaucoup à ce que l'on détruisît, dans l'opinion publique, la légende d'autrefois. On m'a accusée de n'avoir pas su aimer passionnément. Il me semble que j'ai vécu de tendresse et qu'on pouvait bien s'en contenter. A présent, Dieu merci, on ne m'en demande pas davantage et ceux qui veulent bien m'aimer, malgré le manque d'éclat de ma vie et de mon esprit, ne se plaignent pas de moi«.



ludzkiej niedoli, była niezmiernie dobroczynną i hojną, gdy chodziło o wspomożenie kogoś, a jako dobrodziejka włościan i ubogiej ludności w pobliżu swej posiadłości w Berry, stała się sławną w całej okolicy, jako »dobra pani z Nohant« [1]), *la bonne dame de Nohant.* »Będąc wsławioną na innem polu — pisze o niej jedna z polskich autorek — zasłynąć wśród włościan, jako »dobra pani«, to dowód serca, umiejącego współczuć ludzkiej niedoli tak żywo, jak żywo pióro autorki opisać ją umiało. Taki zaszczytny tytuł zdobyła sobie George Sand, autorka *la Mare au diable, la Petite Fadette, les Maîtres sonneurs,* i tylu innych powieści, osnutych na tle życia wiejskiego. A obok niezwykłego współczucia psychologicznego dla postaci urojonych, dobra pani z Nohant miała szczere współczucie dla ludzi z krwi i kości, posiadała trzy cnoty rzadkie wśród piszącej braci: była bezinteresowną, miłosierną i pełną prostoty. Z dwóch milionów, zdobytych piórem, pozostało jej bardzo niewiele, choć żyła skromnie, niecierpiąc zbytku i ostentacyj, ale miała rękę szeroką, lubiła dawać, a kto takiemu zamiłowaniu hołduje, ten nigdy bogatym nie jest« [1]). Jakoż nietylko nie zebrała wielkiego majątku, choć zarabiała olbrzymie sumy, ale najczęściej była w potrzebie pieniężnej.

Co ją również charakteryzowało w najwyższym stopniu, to nadzwyczajna kobiecość w usposobieniu, *das Ewig-Weibliche,* będąca jej wielkim wdziękiem, choć ją wogóle pomawiano o brak wdzięku, zwłaszcza kobiecego wdzięku. Mimo to była kobietą w każdym calu, kobietą, w której ze wszystkich instynktów najsilniejszym był macierzyński. Mówiono nawet, że cierpiała na hypertofię macierzyństwa. Bądź co bądź, macierzyństwo było jej takiem samem powołaniem, jak literatura, a nawet brało górę nad nią, bo przedewszystkiem była matką, a dopiero potem literatką. Przepadając za dziećmi wogóle, do swoich dwojga miała przywiązanie bez granic: nie było poświęcenia, do którego-by nie była zdolną, gdy chodziło o jej syna i córkę. Gdy w 1834 r. podróżowała z Mussetem, ani na chwilę nie przestawała myśleć o swych dzieciach, do których pisywała ciągle. Gdy w tymże roku, pod wpływem fatalnej miłości dla Musseta, miewała chwile rozpaczy, w których myślała o samobójstwie, jedynym względem, który ją odwiódł od tego zamiaru, był wzgląd na dzieci. Gdy w 1835 i 1836 roku procesowała się z mężem, przedewszystkiem jej chodziło o dzieci. Gdy wygrała ten proces, uradowana, tak pisała do pani d'Agoult: »Grâce à Dieu, j'ai gagné non procès et j'ai mes deux enfants à moi« [2]). Wytaczając ten

[1]) Feljeton w *Słowie* z dnia 8 lipca 1904 r. przez E. Żm. p. t. *Dobra pani z Nohant.*

[2]) Oto wyjątek z listu pani Sand do syna, dobrze malujący to jej macierzyńskie przywiązanie do dzieci: »De près comme de loin mon amour *veille sur toi; tu es ce que j'ai de plus précieux au monde.* On m'arracherait plutôt le coeur de la poitrine que mes enfants de mes bras. Je suis malade, je ne t'écris qu'un mot, j'ai besoin de tes lettres pour vivre. *Nous ne faisons qu'un, toi et moi;* quand tu payes la dette de mes amitiés,

proces, wytaczała go tylko, jako swemu mężowi, nie ojcu, a szanując jego ojcowskie uczucia, choć wygrała proces, nic nie miała przeciwko temu, żeby dzieci raz po raz widywały się z ojcem, jeździły do niego, przestawały z nim. Choć sama niewierząca, dzieci wychowywała religijnie, przyczem, gdy chodziło o naukę, sama była nauczycielką swych dzieci, ujawniając pierwszorzędne zdolności i zamiłowania pedagogiczne. Niemniej macierzyńską okazywała się wobec swoich przyjaciół, nie mówiąc już o swych kochankach, których w razie potrzeby umiała otaczać taką macierzyńską troskliwością, opieką i pieczołowitością, że myślałbyś, iż to nie kochanka, ale najbardziej kochająca i poświęcająca się matka czuwała nad nimi. Tak było z Mussetem, tak było z wieloma innymi. *Toujours maternelle aux artistes,* potrafiła być kochanką i matką w jednej osobie, matką i siostrą miłosierdzia!... Co najciekawsze, to, że to czuwanie nad kimś chorym, to pielęgnowanie osoby kochanej a złożonej chorobą, uważała za rodzaj drugiego powołania, do którego czuła się stworzoną poniekąd. Sądziła poprostu, że w ten sposób wyładowywał się nadmiar tej energii życiowej, którą czuła w sobie, że ta jej życiowa energia, pospołu z jej nadmierną czułością, składane na ołtarzu poświęcenia, znajdowały pożądane ujście. Oto, co raz w tej kwestyi sama pani Sand pisała do Musseta: »J'ai besoin de souffrir pour quelqu'un. J'ai besoin d'employer ce trop d'energie et de sensibilité qui sont et moi. J'ai besoin de nourrir cette maternelle sollicitude qui s'est habituée à veiller sur un être souffrant et fatigué«.

Zdolna do wzlotów poetycznych, godnych każdego z największych poetów romantycznych, czego dała tyle dowodów w swych utworach, zwłaszcza w prawdziwie natchnionych *Lettres d'un voyageur,* autorka *Lelii* była jakby złożoną z dwóch istot w jednej osobie, z dwóch temperamentów: poetyckiego i... małomieszczańskiego. *Une âme bourgeoise avec une imagination byronienne,* jak ją trafnie nazwał jeden z krytyków francuskich. Tak było istotnie. Zamiłowana w życiu realnem, regularnem, domowem, rodzinnem, które ją pochłaniało w ciągu dnia, a które najlepiej określono wyrażeniem *sa vie privée la plus bourgeoise,* była z przyzwyczajeń, z instynktów, z małostek nawet, najczystszym typem francuskiej mieszczki w małym stylu, z tej sfery, którą się zwykło nazywać *la petite bourgeoisie.* Po nocy spędzonej na pisaniu najromantyczniejszej powieści, cały następny dzień potrafiła smażyć konfitury — w czem celowała — a w takim samym stopniu, jak literaturą i kwestyami społecznemi, interesowała się kuchnią i sprawami kulinarnemi. Mając możność przestawania z największymi tytanami ducha, z największymi poetami, artystami i myślicielami swego

c'est comme si je la payais moi-même. Adieu, mon enfant; *mon seul bonheur, ma seule espérance, c'est toi*«.

W innym liście, do córki, pisze pani Sand (1837 r.): »Pense bien aussi que quand je te punis, je souffre plus que toi, est que c'est bien mal de faire souffrir sa mère«.



czasu, bardzo lubiła również długie rozmowy ze służbą w kuchni, w której przesiadywała z wielkiem upodobaniem. Poza godzinami, poświęcanemi literaturze, prawie wszystek czas poświęcała krzątaniu się koło domu, koło gospodarstwa. Ogrodnictwo, inspekty, kwiaty, kury, kaczki, psy, konie, dzieci, służba, goście, oto, czem była zajęta w Nohant poza swemi pracami literackiemi. Bardzo zdolna i pojętna z natury, obok talentu pisarskiego, posiadała jeszcze mnóstwo innych talentów, odziedziczonych głównie po matce; bo nietylko była znakomitą kucharką, ale nadto miała całkiem niezwykłe zdolności do krawiecczyzny. Jako szwaczka, jako krawcowa, jako hafciarka, odznaczała się zręcznością niepospolitą. Szyła doskonale, nietylko ubranka dla dzieci, ale kostyumy dla lalek, a specyalny talent miała do szykownego przystrajania kapeluszy damskich. Widząc ją, jak się krzątała koło gospodarstwa, któremu, w Paryżu zarówno, jak w Nohant, daleko więcej poświęcała czasu, niż niejedna »pani domu«, nikt-by nie przypuścił, że w tej skrzętnej gospodyni tkwiła wielka powieściopisarka, wielka poetka, namiętna kochanka. Gdy w Wenecyi bawiła z Mussetem, potrafiła być jednocześnie pokojówką, kucharką, garde malade'ą i doktorką, a gdy potem zamieszkała razem z Pagellem, imponowała mu, jako nieoceniona gosposia.

Ale równocześnie potrafiła być także i wielką damą w całem znaczeniu tego wyrazu, o ile tę rolę uważała za stosowną. Tę zdolność odziedziczyła po babce, której wogóle zawdzięczała bardzo wiele, bo nietylko wychowanie w duchu wolteryańskim, ale i tradycye rodzinne, które sprawiały, że pomimo ultrarepublikańskich przekonań, zawsze miała pewien pociąg do bonapartyzmu. W domu babki w Paryżu, przy rue Neuve des Mathurins, obracała się wśród ludzi ze sfery arystokratycznej, z któremi przez nią była spokrewnioną, wśród ludzi, dobrze pamiętających *l'ancien régime,* a należących do wielkich rodów francuskich. W tem otoczeniu nabrała manier wielkoświatowych, tak, że w razie potrzeby »doskonale umiała robić wielką damę«, *savait si bien faire sa grande dame;* że jednak, pomimo wszystkiego, bardzo kochała swą matkę, niecierpiącą arystokratów, nienawidzącą swej teściowej, w której przedewszystkiem nienawidziła »starą kontessę«, więc jak przystało na przywiązaną córkę, mało korzystała z tego daru, raczej pozując na osobę, w której płynęła krew dziecka ludu.

Bardzo poważna z natury [1]), lubiła poważne rozmowy z ludźmi inteligentnymi, przyczem sama najczęściej mówiła mało, bo nie posiadała daru łatwej konwersacyi, ani mogła się pochlebić wrodzonym dowcipem. *Sie ist überhaupt eine der unwitzigsten Französinen die ich kenne,* wyraził się o niej Heine, co nie znaczyło bynajmniej, by z nią nie lubił prowadzić długich rozmów, podczas których »demon-kusiciel i anioł-stróż młodzi współczesnej« — jak raz panią Sand nazwał tenże Heine — o ile nie umiała żar-

[1]) Je suis très sérieuse, malgré moi et sans qu'il y paraisse.

tować, o tyle uważnie umiała się przysłuchiwać, szanując cudze przekonania i poglądy, choćby ich nie podzielała nawet, i nigdy nie narzucając własnych. W ciągu rozmowy miewała chwile zamyśleń, zadumy, chwile, w których, zdaniem Musseta, miała »głupią minę«, *l'air bête,* że jednak nie była zarozumiała, że wolna od próżności i zapatrzenia w siebie, jak jej wielu kolegów po piórze, nigdy nie mówiła o sobie, o swych dziełach, a tembardziej nie znosiła pochlebstw, więc najświetniejsze umysły współczesne przepadały za długiemi z nią rozmowami, bo dopiero w tych rozmowach ujawniała się jej wyjątkowa indywidualność, jej piękna dusza, *cet être d'élite,* jak ją nazywał Turgeniew. Nie umiejąc prowadzić t. zw. konwersacyi salonowej t. j. banalnej i zdawkowej, polegającej na przelewaniu z pustego w próżne, pani Sand na ogół nie lubiła również rozmów z kobietami, bo nie znosiła ich męczącego gadulstwa. Za to całemi godzinami potrafiła prowadzić rozmowy z dziećmi, które znowu umiała zainteresować swą rozmową, które umiała pobudzać do śmiechu, przyczem sama wtedy śmiała się i bawiła, jak dziecko. Gdy w męskiem towarzystwie mówiono o rzeczach, na których się nie rozumiała, lub któremi nie interesowała się zbytnio, nie odzywała się wcale, milcząc uporczywie. Ale niech tylko zaczęto mówić o czemś, co jej leżało na sercu, zaraz zaczynała brać żywy udział w rozmowie, zaczynała dyskutować, domagała się przekonywujących argumentów. Wtedy ożywiała się znacznie. Niemniej ożywiała się również, gdy się znalazła w towarzystwie osoby miłej i sympatycznej, albo z mężczyzną, któremu pragnęła się spodobać, którego chciała sobie podbić. W takich razach stawała się nawet wymowną i błyskotliwą w prowadzeniu rozmowy, umiała zdobyć się na wymowę, której nie potrafiło się oprzeć nawet uprzedzenie. Wtedy mężczyzna, któremu nie podobała się zrazu, ulegał jej czarowi, wtedy swej rozmowie potrafiła nadać taki urok, że dusza mężczyzny, oczarowana i olśniona tym urokiem, zaczęła się rozżarzać miłością ku tej czarnobrewej *causeuse.*

Jako prawnuczka Maurycego Saskiego, a nieodrodna córka swego ojca, po którym odziedziczyła wiele rysów charakteru, pani Sand posiadała także i coś żołnierskiego w swym temperamencie, a temsamem i coś zawadyackiego. Chętnie ubierając się po męsku, nietylko paliła namiętnie, i to cygara, ale znakomicie dosiadała konia, przepadając za konną jazdą, i doskonale strzelała z pistoletu. Zważywszy jednak, że w jej żyłach płynęła krew żołnierska, krew żołnierza napoleońskiego, który umarł skutkiem upadku z konia, nie można się dziwić tym żołnierskim ekstrawagancyom autorki *Lelii.* A że jednocześnie ci jej przodkowie-żołnierze, począwszy od Maurycego Saskiego, byli namiętnymi teatromanami, więc i w niej od dzieciństwa obudził się niezwykły pociąg do teatru, pociąg, który jej został do końca życia. Że jednak Maurycy Saski nietylko był kochankiem Adryanny Lecouvreur, ale ponadto miał dziecko ze śpiewaczką operową, więc jej muzykalność udzieliła się także i pani Sand, która tym sposobem była bardzo muzykalną z natury, wcale nieźle grała na klawikordzie, wcale nieźle śpiewała — choć głos jej niepodobał się Heinemu — a przedewszystkiem lubiła muzykę, znała się na muzyce, odczuwała piękno muzyczne. Nie znaczy to, żeby była wtajemniczoną we wszystkie arkana sztuki muzycznej, ale w każdym razie, jak świadczy Liszt, doskonale rozumiała tajemniczą mowę tonów.






Współczesna karykatura pani Sand.

Jednem słowem była to natura bujna niezmiernie, bardzo obdarzona i uzdolniona wszechstronnie, a jako taka, cóż dziwnego, że była naturą pełną najrozmaitszych kontrastów i sprzeczności, że okazywała się skłonną do krańcowości w każdym kierunku, że nie była wolną od różnych ekscentryczności, a przedewszystkiem pod żadnym względem nie była istotą zwykłą, zwyczajną, powszednią. Była to istota wyjątkowa. Zdaniem Picteta, jej serdecznego przyjaciela, który ją znał, jak nikt drugi, a który wszystkie krążące o niej »banalności« uważał za pozbawione sensu, pani Sand była nietylko istotą wyjątkową, ale bardzo złożoną, prócz tego istotą, przypominającą — jak się wyraził — kunsztownie szlifowany brylant o mnóstwie najrozmaitszych ścianek i płaszczyzn. »Jest to poeta i łobuz w jednej osobie, jest to i kobieta zbuntowana, i znakomity pisarz, i rodzaj *carbonara.* Jako poeta jest przedewszystkiem poetą miłości, jako pisarz jest przedewszystkiem autorem książek, które gorszą hipokrytów. Klucza do rozwiązania tej zagadkowej natury należy szukać w jej geniuszu. Jej niestałość, jej rzutkość, jej przemiany, jej sprzeczności, jej dziwactwa, jej zalety i wady, słowem, wszystko, co jest wzniosłego i poziomego w jej charakterze, wszystko to pochodzi stąd, że nie jest to istota zwykła, ale geniusz«.

## II.

Zbliżenie się Chopina do pani Sand, które niebawem przeobraziło się w gorącą miłość wzajemną, bardzo źle zostało przyjętem przez niektórych. Przedewszystkiem dzieci jej, Maurycy i Solange, powodowane szczególnem przeczuciem, a zazdrosne o miłość matki, z wielką niechęcią zaczęły się odnosić do Chopina. Stąd instynktowne uprzedzenie do poetycznego »gościa« w ich domu, uprzedzenie, które p. Sand niemało przyczyniało trudności i przykrości [1]). Kto również nie mógł strawić »zwycięstwa« pani Sand nad opierającym się jej długo Chopinem, to hrabina d'Agoult, która, choć nie miała żadnych praw do Chopina, to usidlenie go przez swą genialną »przyjaciółkę« uważała, w zbytniem zaślepieniu podrażnionej próżności, za swoją osobistą klęskę, niewiadomo, dlaczego. Wogóle przyznać trzeba, że p. d'Agoult, jak na przyjaciółkę p. Sand, dziwnie się zachowywała wobec niej; w lecie 1837 roku bawiąc w Nohant, wcale nie była od tego, żeby być bałamuconą przez Mellefilla, który niebawem miał zostać kochankiem pani Sand, a gdy teraz, w rok później, p. Sand ściślej związała się z Chopinem, który względem p. d'Agoult nie miał żadnych obowiązków, ona powzięła z tego powodu gorzką urazę do swej znakomitej przyjaciółki, z czem nawet nie kryła się przed nią, a co oczywiście musiało sprowadzić szybkie oziębienie się ich wzajemnych stosunków [2]). Nie pozostało to naturalnie i bez wpływu na stosunek Liszta do p. Sand i Chopina, a że ten stosunek również oziębił się bardzo, dowodził jeden z ówczesnych listów Liszta do p. Sand, list, w którym »król fortepianu«

[1]) Samuel Rocheblave, *George Sand et sa fille,* str. 46. »Solange ne semble pas avoir vu d'abord d'un bon oeil ce nouveau venu, qui, malgré sa timidité et sa douceur, tenait déjà chez sa mère une place envahissante«.

[2]) Oto, co w tej kwestyi pisze biograf pani Sand, Karenine: »Ainsi donc, au commencement de 1838, les relations entre George Sand et la comtesse d'Agoult s'étaient déjà sensiblement refroidies, et à l'époque du voyage de George Sand à Majorque elles tournèrent au zéro, ce qu'il faut attribuer surtout à la circonstance que la vaniteuse comtesse, habituée aux triomphes et à l'admiration générale, ne pouvait pardonner à George Sand la victoire remportée sur Chopin. La jalousie rentrée de la comtesse (et cependant qui pouvait-elle envier, elle, la compagne d'un autre homme de génie?) l'amenèrent à des piqûres et même à des mesquines cruautés« *George Sand,* II, 370. W innem miejscu pisze tenże biograf pani Sand: »La correspondence (między paniami Sand i d'Agoult) recommença cependant, mais le ton romanesque et enthousiaste d'autrefois n'y était plus; la comtesse surtout se permettait de petits coups d'epingle et parfois des allusions à des sujets aussi délicats que la présence à Nohant de Mallefille, ou Chopin, qu'elle traitait toujours un peu ironiquement, tout en sachant que George Sand avait déjà pour lui une vive sympathie. Quoique il en soit, en 1835, elles s'imaginaient être devenues amies, et elles passèrent plusieurs années dans cette erreur jusqu'au moment où elles sa brouillèrent enfin à l'occasion *de l'amour de Chopin pour George Sand, amour, que l'ambitieuse comtesse, habituée à primer et à triompher sur tous, ne pouvait pardonner*«.



wyraził się o Chopinie: »Mon illustre et *épileptique* ami« [1]). Niemniej niezadowoleni z tego zbliżenia Chopina do p. Sand, zbliżenia, które niebawem stało się głośnem w Paryżu, byli wszyscy arystokratyczni przyjaciele Chopina, oraz jego arystokratyczne przyjaciółki i uczennice, których w pani Sand raziły przedewszystkiem jej przekonania, jej rola »zwiastuna rewolucyi społecznej«, za jakiego uchodziła we Francyi [2]). To też, gdy taki ulubieniec tych sfer, jak Chopin, związał się w t. zw. *liaison* z osobą takiej anti-arystokratycznej reputacyi, jak p. Sand, nic dziwnego, że to się nie podobało, że wywołało niemiłe zdziwienie, ba, może i oburzenie, a w każdym razie ubolewanie i politowanie.

Ani Chopin jednak, ani tembardziej p. Sand, mieszkająca u swej przyjaciółki, p. Marliani, przy ul. Grange Batelière Nr 7, nie zwracali uwagi na różne plotki, które zaczynały krążyć w Paryżu z ich powodu, i nie oglądając się na nic, pili — aż do upojenia — z rozkosznej czary miłości, szczęśliwi, zakochani, zapominający o świecie całym. To chwilowe szczęście sprawiło, że Chopin, który po ostatniej grypie wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie, zamiast jechać do Ems, dokąd go wysyłali lekarze i przyjaciele, nie ruszył się z dusznego i upalnego Paryża, bo nie chciał rozstawać się z ukochaną. W ten sposób, tak niepożądany dla jego wątłego zdrowia, spędził całe lato, rzadko wychylając się poza rozpalone mury stolicy. A gdy wyjeżdżał w odwiedziny do przyjaciół, to zawsze na parę dni zaledwie, i nigdy daleko, (najwyżej do Anghien, do Custine'ów, do Ville d'Avray, do Albrechtów, albo do Ferrière, do Rotschildów).

Nie jest wiadomem ani pewnem, czy Chopin co komponował w ciągu tych letnich miesięcy. Należy przypuszczać raczej, że na taką równowagę umysłu, jak p. Sand, doskonale umiejąca pogodzić miłość z literaturą, on nie potrafił się zdobyć. Nie jest wykluczonem jednak, że niektóre ze swych kompozycyi, zaczęte lub napisane ostatnimi czasy, a wymagające tylko dokładniejszego opracowania, wykończył w ciągu tych wakacyi, w przerwach między miłosnemi duetami z ukochaną. Jeśli tak było istotnie, to można

[1]) »J'irai cher M-me Marliani demain, il ne sera jamais question de mon illustre et *épileptique* ami entre elle et moi, je vous le promets«.

[2]) Henryk Heine w swej charakterystyce pani Sand tak pisze między innemi: Der Kühne Autor, der durch seine Romane bei der Aristokratie und bei dem Bürgerstand gleich grosses Missfallen erregte, sollte für seine »irreligiösen und immoralischen Grundsätze« bei Gelegenheit eines dramatischen Debüts öffentlich büssen; denn die französiche Noblesse betrachtet die Religion als eine Abwehr gegen die herandrohenden Schrecknisse des Repuklikanismus und protegiert sie, um ihr Ansehen zu befördern und ihre Köpfe zu schützen. Der Autor hatte sehr gut seine missliche Stellung begriffen und in seinem Stück alles vermieden, was die adligen Ritter der Religion und die bürgerlichen Schildknappen der Moral, die Legitimisten der Politik und der Ehe, in Harnisch bringen konnte; und der Vorfechter der socialen Revolution, der in seinen Schriften das Wildeste wagte, hatte sich auf der Bühne die zahmsten Schranken gesetzt.

być pewnym niemal, że kompozycyami, które Chopin teraz cyzelował i retuszował, którym nadawał ostateczne piętno wykończenia, były *Quatres Mazurkas* Op. 33, *Trois Valses* Op. 34, tudzież znaczniejsza część *Preludyów* (z pomiędzy których parę lub kilka może już zawdzięczało swe powstanie miłości ku p. Sand).

W ciągu sierpnia miał Chopin, dzięki swej ulubionej uczennicy, pani Peruzzi, nader miłą niespodziankę. Oto któregoś przedpołudnia przyszła do niego ze swym niedawno poślubionym mężem, przyprowadzając z sobą... Paganiniego! Nieporównany mistrz skrzypiec, który właśnie bawił nad Sekwaną, nigdy nie słyszał Chopina, choć o nim słyszał tak wiele. Stąd ta jego zaimprowizowana wizyta u niego, wizyta, która musiała być niezmiernie miłą Chopinowi, jeśli się zważy, że jeszcze z Warszawy datował się jego kult dla Paganiniego. Jakoż zasiadł do fortepianu, wrażenie zaś, jakie swą grą uczynił na najgenialniejszym ze wszystkich skrzypków, równało się zachwytowi. Łatwo wyobrazić sobie, jak niezwykły nastrój musiała mieć ta niezwykła wizyta, jakie uczucia grały w piersi Chopina, gdy mu wypadło popisywać się przed takim słuchaczem, jak Paganini! W każdym razie była to scena, która i Chopinowi i Paganiniemu głęboko zapisała się w pamięci, a szkoda wielka i niepowetowana, że nie znamy jej opisu w liście Fryderyka do swoich. Bądź co bądź, i dla malarza w rodzaju Ballestierego, jest to jeden z najbardziej pociągających tematów. Chopin grający Paganiniemu! Paganini zasłuchany w grę Chopina! Co za świetny motyw do obrazu!

Niestety, obok podobnych momentów, które na tle letniej kanikuły czyniły wrażenie kwietnych oaz wśród spiekłych piasków pustyni, i obok niezbitych dowodów miłości ze strony p. Sand, w której kochał się coraz bardziej, nawzajem kochany i uwielbiany coraz namiętniej, miewał Chopin i takie chwile, które mu zamącały jego szczęście. Oto Mallefille, który już w czerwcu musiał się wyrzec miłości p. Sand, spostrzegł się po pewnym czasie, kto go pozbawił kochanki, i zaczął zachowywać się wobec Chopina w sposób mogący budzić niepokój.

Skończył się okres przyjaźni, której symbolem był poetyczny komentarz Mallefille'a do *Ballady* Chopina, komentarz, pełen uwielbienia dla genialnego twórcy i jego nieszczęśliwej ojczyzny, a poprzedzony następującym listem dedykacyjnym:

*A. M. F. Chopin*
*sur sa Ballade polonaise.*

Mon cher ami!

Il y a de temps, dans une de ces soiries où, entouré de sympathies choisies, vous vous abandonnez sans méfiance à votre inspiration, vous avez fait entendre cette ballade polonaise que nous aimons tant. A peine le génie melancholique enfermé dans votre instrument, reconnaissant les mains qui ont seules le pouvoir de le faire parler, eut-il commencé à nous raconter ses douleurs mystérieuses, que nous tombâmes tous dans une profonde rêverie. Et quand vous eûtes fini, nous restâmes silencieux et pensifs, écoutant encore le chant sublime dont la dernière note s'était depuis longtemps perdue dans l'espace. De quoi songions-nous donc ainsi tous ensemble et quelles pensées avait éveillées dans nos âmes la voix mélodieuse de votre piano? Je ne puis le dire; car chacun voit dans la musique, comme dans les nuages, des choses différentes. Seulement en voyant notre ami le Sceptique, qui a pourtant conservé une foi si vive dans l'amour et dans l'art, regarder vaguement devant lui, la tête penchée sur l'épaule et la bouche entr'ouverte par un triste sourire, je me suis imaginé qu'il devait rêver de ruisseaux murmurants et de mornes adieux échangés sous les sombres allées des bois, tandis que le vieux Croyant, dont nous écoutons avec une admiration si respectueuse la parole évangélique, avec ses mains jointes, ses yeux fermés, son front chargé de rides, semblait interroger le Dante, son aïeul, sur les secrets du ciel et les destinées du monde. Pour moi, caché dans le coin le plus sombre de la chambre, je pleurais en suivant de la pensée les images désolantes que vous m'aviez fait apparaitre. En rentrant chez moi, j'ai essayé de les rendre à ma manière dans les lignes suivantes. Lisez-les avec indulgence, et, quand même j'y aurais mal interprété votre ballade, agréez-en l'offrande comme une preuve de mon affection pour vous et de ma sympathie pour votre héroïque patrie.



List ten, niby poetyczny prolog, został zamieszczony na czele samego utworu, który, zatytułowany *Les Exilés*, a równający się dość pretensyonalnemu dyalogowi pomiędzy Chórem, Młodzieńcem, Starcem, Dzieckiem, Kapłanem i Przechodniem, ukazał się w Nr. 36 *Gazette musicale*, dnia 9 września 1838 r.

W niespełna dwa tygodnie później, w ciągu drugiej połowy września, sytuacya naprężyła się do tego stopnia, że omal nie przyszło do pojedynku między Mallefillem a Chopinem. Odepchnięty przez p. Sand, szarpany niepozbędną miłością ku niej, a przytem boleśnie zraniony w swojej miłości własnej, autor pseudopoetycznych *Wygnańców*, umyślił zemścić się na swym szczęśliwym rywalu. W tym celu zdecydował się wyzwać go na pojedynek. Ale skończyło się na niczem, a nawet na przykrem upokorzeniu Mallefilla, który odpowiednio poskromiony przez zaufanych przyjaciół p. Sand, jak niepyszny, musiał pogodzić się z sytuacyą. Wszystkiego tego pozwala się domyślać list p. Sand do Piotra Leroux, datowany 26 września 1838 roku, list, w którym autorka *Lelii* zapowiada autorowi *De l'humanité* wizytę dwóch swoich przyjaciół, Mallefilla i Rollinata, i objaśnia mu, jaki jest cel tych odwiedzin. Okazuje się z tego listu, że Mallefille pozwalał sobie od niejakiego czasu na różne »głupstwa« wobec p. Sand, albowiem nie chciał zrozumieć, że jej postanowienie, by z nim po sześciomiesięcznej *intimité* znowu żyć jedynie na stopie zwykłej przyjaźni, było niezłomne. Tej stanowczej decyzyi z jej strony, którą mu zakomunikowała już w czerwcu, a którą potwierdziła w ciągu lipca, gdy mu oświadczyła kategorycznie, że wszystko skończone już pomiędzy nimi, Mallefille nie traktował na seryo, nie chciał uwierzyć, że już nie jest kochany, że w sercu p. Sand kto inny zajął jego miejsce. Stąd sceny zazdrości, któremi ją dręczył nieustannie,

a które szły w parze z groźbami samobójstwa. Gdy to nie pomagało, Mallefille zagroził pani Sand, że tego swojego następcę, przez którego stracił swą ubóstwianą kochankę, wyzwie na pojedynek, zabije! Wtedy-to p. Sand napisała dnia 26 września list do Leroux, prosząc go, jako swojego mistrza, a zarazem mającego wielki wpływ na Mallefilla, by go surowo skarcił przy pierwszej sposobności, gdy się u niego stawi w towarzystwie Rollinata. »Pojechał on w tych dniach, ażeby z całą świadomością winy sprowadzić na mnie nieszczęście i pojedynkować się z jednym z moich przyjaciół«. Że przez tego »jednego z przyjaciół« należało rozumieć Chopina, (który widocznie w tym czasie bawił gdzieś na wsi pod Paryżem), na to niema pozytywnego dowodu, ale to, w danej sytuacyi, zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości. »Dziś — pisała p. Sand w dalszym ciągu o Mallefillu — zdaje się on być już wyleczonym, tak, że czekam tylko, by przed upływem tygodnia przyjechał mnie przeprosić. Lecz cała ta awantura gotowa się przy pierwszej zdarzonej okazyi powtórzyć z kim innym. Albowiem wyrzekł się on swej zazdrości tylko na czas pewien«. Stąd jej gorąca prośba do mistrza, by użył całego swojego wpływu, jaki ma na Mallefilla, w celu uspokojenia go. »Gdy przyjdzie między wami do rozmowy o kobietach, powiedz mu z całym naciskiem, że kobiety nie należą nigdy do mężczyzny na podstawie prawa siły brutalnej, i że, podrzynając sobie gardło, niczego się nie naprawia«. Co do niej, to może zapewnić solennie, że zawsze była szczerą z Mallefillem; przez całych sześć miesięcy kochała go całem sercem, teraz jednak od trzech już miesięcy nic ich bliższego nie łączy, a upływa dwa miesiące właśnie, gdy mu powiedziała otwarcie, żeby sobie wybił z głowy jej miłość [1]). Ostatecznie wszystko skończyło się tak, jak to z góry przewidziała p. Sand: nie upłynęło kilka dni, a Mallefille powrócił ze swej wycieczki, a powrócił z niczem, bo nie pojedynkował się z nikim, i nie pozostawało mu nic innego, tylko upokorzyć się przed panią Sand, przeprosić ją, uzyskać jej przebaczenie, pod warunkiem, że razem z Rollinatem pojedzie do Piotra Leroux, ażeby wysłuchać odpowiedniego kazania, ażeby od niego wziąć jeszcze jedną poważną lekcyę filozofii życiowej.

Ale trudno być filozofem, gdy w sercu wre prawdziwie otellowa walka uczuć, gdy dusza i zmysły wyrywają się do zdradliwej kochanki, która tymczasem oddaje się komu innemu. To też i Mallefille, choć wysłuchał »lekcyi filozofii życiowej« od przyjaciół pani Sand, choć go poskromiono chwilowo, nie mógł pogodzić się z położeniem, jakie mu narzucono, i za-

[1]) Powyższe wyjątki z tego listu przytacza Włodz. Karenine w swojej monografii o *George Sand*, nadmieniając w przypisku, że choć jest w posiadaniu kopii całego listu, to jednak nie śmie przytoczyć go *in extenso*. »Posssédant une copie de la lettre entière, nous ne nous permettons d'en citer que les extraits qui furent publiés dans la *Revue des Autographes* d'Eugène Charavay.



czął knuć nowy plan zemsty, jeszcze bardziej piekielny, niż poprzedni. Zdecydowany dać spokój Chopinowi, który najmniej zawinił wobec niego, bo właściwą winowajczynią-uwodzicielką była p. Sand, postanowił wywrzeć swą zemstę na niej. Co myślał uczynić? W każdym razie powziął jakiś zamiar okrutny, który, kto wie, czy nie polegał na zabiciu niewiernej kochanki. Co pewna, że sam Mallefille wyraźnie — z czasem — dawał do zrozumienia, iż był zdecydowany zasztyletować p. Sand, gdy, świeżo nasycona pocałunkami i pieszczotą, wychodziła od Chopina. Bądź co bądź, jedno nie ulega wątpliwości, że Mallefille któregoś dnia, widząc, że p. Sand poszła do Chopina, zaczaił się nieopodal jego domu przy rue de la Chaussée d'Antin, mając niezłomny zamiar ukarania niewiernej, pomszczenia swej krzywdy. W tym celu tak długo się przechadzał w pobliżu, po przeciwnej stronie ulicy, aż wkońcu doczekał się chwili, gdy ujrzał autorkę *Lelii*, wychodzącą z sieni domu, gdzie mieszkał jego szczęśliwy rywal. Ujrzawszy ją, szybko podążył na jej spotkanie, gdy nagle, w chwili już, gdy przechodził na drugą stronę ulicy, musiał się zatrzymać, albowiem zagrodził mu drogę olbrzymi wóz towarowy, który, przejeżdżając właśnie, zabarykadował całą ulicę. Spostrzegłszy swego dawnego kochanka, a domyśliwszy się w jednem mgnieniu oka, że musiał knuć coś złego, skoro na nią czekał tutaj, pod bramą domu Chopina, p. Sand zaczęła uciekać co tchu, a dopadłszy do najbliższej dorożki, odjechała czemprędzej [1]). Temu przypadkowi zawdzięczając, uszła zemsty Mallefilla, który, gdy ostygł, już nie ponowił zamierzonego planu. Ułatwiła mu to w znacznym stopniu sama p. Sand, która w kilka, czy kilkanaście dni po tej niedoszłej awanturze, już w połowie października, opuściła Paryż.

Wyjechała na całą zimę, którą miała spędzić na Majorce. Nazywało się, że wyjeżdżała ze względu na zdrowie syna, któremu ponoś dolegały cierpienia reumatyczne; zdaje się jednak, że i wzgląd na Mallefille'a, tego »niais, imbécile, idiot« (jak go odtąd nazywała w listach), grał pewną rolę;

[1]) W *Souvenirs littéraires* p. Paul Perret'a, drukowanych w *Le Gaulois* z dnia 29 września 1885 r. między innemi czytamy, co następuje: »La grande infidèle avait quitté, pour Chopin, Mallefille, qui, un jour, se posta, résolu à la punir, devant la maison de son harmonieux rival. Elle sort, il s'élance. Heureusement une longue voiture de roulage arrive à fond de train, occupant toute la largeur de la rue, et les sépare. Elle s'enfuit, rencontre plus loin un fiacre, s'y jette et, fouette, cocher! Que serait-il arrivé sans ce camion et sans ce fiacre? Mallefille, en contant cette dernière partie de l'aventure, laborait le billot de la pointe de son couteau«. W *La Liberté* z dnia 30 listopada 1894 r. ogłosił p. P. P. swoje wspomnienia o pani Sand i Mallefillu, w których obok innych znajduje się i następujące: »Mallefille qui avait écrit avec elle la *Dernière Aldini* — collaboration très intime — est remplacé par Chopin. Il épie l'infidèle, la surprend qui sortait de la maison du grand musicien, et sans une charette que la Providence poussa entre elle et le jaloux, on ne sait trop ce qui fût arrivé. Cette diversion permit à Mallefille de refléchir. Un jour, il raconta cette histoire en dinant dans un jardin, sous un berceau, et l'ancienne colère recommençant de s'attiser, il labourait le treillage fleuri de la pointe de son couteau«.

chodziło o to, żeby nie wyzywać wilka z lasu, żeby mu na pewien czas zniknąć z oczu, żeby mu ułatwić psychiczną rekonwalescencyę po jeszcze niewygasłej namiętności. Być może również, że chodziło i o to także, by nie narażać Chopina, na którym przy zdarzonej sposobności Mallefille mógłby wywrzeć swą zemstę. Taką sposobność należało uniemożliwić za wszelką cenę, a nic tak nie zabezpieczało przeciwko temu, jak wyjazd na czas dłuższy, wyjazd, co do którego p. Sand mogła mieć wszelką pewność, że gdy ona opuści Paryż, to i Chopin podąży za nią, gdziekolwiek-by pojechała, choćby za morze.

Niema pewności, czy takie istotnie były zamysły pani Sand, ale jest faktem niezaprzeczonym, że gdy powzięła zamiar spędzenia zimy na Majorce [1]), o której cuda słyszała od wielu osób, oświadczył jej Chopin, którego zdrowie niemało pozostawiało do życzenia, że i on, gdyby nie miała nic przeciwko temu, chętnie-by się przyłączył do jej towarzystwa, raz dlatego, że w żaden sposób nie mógł się pogodzić z myślą o rozstaniu z nią, zwłaszcza na przeciąg kilku miesięcy, a powtóre, że z pewnością i jemu dobrze zrobi takie wygrzanie się na afrykańskiem słońcu wysp Bolearskich. Wszak od tylu lat słyszał od lekarzy, że powinien choć raz, ażeby wydobrzeć zupełnie, całą zimę spędzić w jakimś łagodnym klimacie. Pani Sand, gdy jej Chopin zwierzył się z tym zamiarem, z zapałem powitała tę jego propozycyę, cóż dopiero, gdy jej niektórzy z pomiędzy przyjaciół Chopina, w pierwszym rzędzie Grzymała i Matuszyński, zaczęli perswadować, że zrobi dobry uczynek, gdy Fryderyka, któremu tak potrzeba ciepła i słońca zabierze z sobą. Tegoż zdania był również i jego lekarz, Gaubert. Jakoż stanęło na tem, że Chopin, o ile istotnie zdecyduje się na wyjazd z Paryża, w co jeszcze p. Sand, znając jego usposobienie kapryśne, nie bardzo wierzyła, to spotkają się w Perpignan, gdzie ona zabawi czas jakiś, nim się puści w drogę do Hiszpanii. Chodziło także i o to, żeby nie wyjeżdżali

[1]) W *Un hiver à Majorque* pani Sand tak pisze o powodach, które ją skłoniły do wybrania się na Majorkę: Quant à moi, je me mis en route pour satisfaire un besoin de repos que j'éprouvais à cette époque-là particulièrement. Comme le temps manque pour toutes choses dans ce monde que nous nous sommes fait, je m'imaginai encore une fois qu'en cherchant bien, je trouverais quelque retraite silencieuse, isolée, où je n'aurais ni billets à écrire, ni journaux à parcourir, ni visites à recevoir; où je pourrais ne jamais quitter ma robe de chambre, où les jours auraient douze heures, où je pourrais m'affranchir de tous les devoirs du savoir-vivre, me détacher du mouvement d'esprit qui nous travaille tous en France, et consacrer un ou deux ans à étudier un peu l'histoire et à apprendre ma langue *par principes* avec mes enfants«. W pierwszej chwili był projekt jechania do Szwajcaryi, a potem do Neapolu, jak o tem świadczy list pani Sand z Paryża, z października 1838 r. do Alfreda Picteta w Genewie. Oto odnośny wyjątek z tego listu: »J'y serai encore une quinzaine et il est possible, probable même, que nous allions passer l'été en Suisse. La santé de mon fils est meilleure; mais les médecins lui ordonnent un climat frais en été et chaud en hiver. Nous serons donc bientôt à Genève et ensuite à Naples«.



razem, coby może było zbyt zwracającem uwagę powszechną. Chopin bowiem, choć zakochany w p. Sand, jednak dbał o to, żeby o tej jego podróży o ile możności jaknajmniej mówiono wśród znajomych, zwłaszcza między jego znajomymi ze sfer arystokratycznych. Nie życzył sobie tego, a wiedział, dlaczego mu tak zależało na tem. To też, z wyjątkiem kilku najbliższych przyjaciół, jak Matuszyński, Grzymała, Fontana, Gutman, Leo i Pleyel, których wtajemniczył w swe plany wspólnej podróży z autorką *Lelii*, innym znajomym nic nie mówił o tem, że na całą zimę myśli wyjechać z Paryża, że wybiera się na Majorkę, i to nie sam, lecz w towarzystwie p. Sand. To utrzymywał w tajemnicy przed światem [1]).

Wśród podobnych okoliczności, w drugiej połowie października, przy bardzo brzydkiej pogodzie w formie przejmującego zimna, a przytem niepewna jeszcze, czy Chopin istotnie urzeczywistni swój *rêve de voyage*, p. Sand opuściła z dziećmi Paryż. Dnia 23 października była już na wyjezdnem z Lyonu. Nie upłynął tydzień, a już bawiła w Perpignan, gdzie jednego z pierwszych dni listopada, po czterech dniach i nocach »heroicznie« spędzonych w dyliżansie pocztowym, »świeży, jak róża i różowy, jak marchewka«, zdrów zresztą i w dobrym humorze [2]), przyjechał Chopin.

[1]) Lecz trudno coś utrzymać w tajemnicy, gdy się jest człowiekiem sławnym, jak Chopin, i gdy się żyje w epoce panowania dziennikarstwa. Tak też stało się i z Chopinem. Ledwo zdążył wyjechać z Paryża, zaraz gruchnęła wiadomość, że wyjechał, że pojechał do Hiszpanii, że pojechał z panią Sand. Wiadomość ta, podawana z ust do ust, niebawem przedostała się do dzienników, tak dalece, że nawet jeden z krytyków muzycznych, pisząc recenzyę o świeżo wyszłych *Mazurkach* Chopina, drukowaną w Nr. 45 *Gazette musicale* z dnia 15 listopada 1838 r., nie omieszkał obwieścić wszem wobec i każdemu z osobna, że Chopin wyjechał do Hiszpanii. Oto odnośny wyjątek z tej recenzyi, podpisany literą *R*...: »J'arrive enfin à l'auteur que j'ai gardé pour le dernier, à mon favori le plus cher, à Frédéric Chopin, dont j'ai mis à dessein les mazurkas tout en dessous de la pile de morceaux que je viens de passer en revue, afin de me séparer d'elles que le plus tard possible. Je voudrais pouvoir annoncer simplement ces nouvelles mazurkas de Chopin et me borner ensuite à les entendre exécuter par Chopin lui-même! Mais, hélas! Chopin est parti pour l'Espagne, et il n'a laissé derrière lui que quelques feuilles de papier dépositaires de ces notes caractérisques qui ont déjà ému tant de coeurs et qui sont l'expression si vraie de ses sentiments les plus intimes. J'aime à croire que personne ne s'avisera de réclamer de moi que je me livre à une froide dissection musicale à l'occasion d'un compositeur tel que Chopin, et l'on me dispensera, je l'espère, de faire l'énumeration pédantesque des tonalités, des modulations et des nuances qui se rencontrent dans cette nouvelle production. Voici tout ce que je puis dire à ce sujet: Je vous annonce de nouvelles élégies polonaises intitulées Mazurkas et composées par Chopin«. Że wśród emigracyi szybko rozeszła się wieść o wyjeździe Chopina do Hiszpanii, dowodzi list Eust. Januszkiewicza z Paryża, dnia 27 października 1838 r. do narzeczonej, gdzie między innemi wiadomościami znalazła się i następująca: »Chopin wyjeżdża do Hiszpanii. To także oryginalna dla artysty podróż, jechać do Madrytu w chwili, kiedy tam wcale o muzyce nie myślą«.

[2]) W liście do pani Marliani, pisanym z Perpignan na początku listopada 1838 r. pisze p. Sand: »Chopin est arrivé hier soir à Perpignan, frais comme une rose, et rose comme un navet; bien portant d'ailleurs, ayant supporté héroiquement ses quatre nuits de malle-poste«.

Na wyjezdnem z Paryża, ażeby mieć odpowiedni fundusz na drogę, pożyczył 1000 franków od Lea, a od Pleyela wziął 500 fr. à conto należności za *Preludya,* które mu sprzedał za 2000 franków, obiecując mu je przysłać z Majorki, bo jeszcze nie były wykończone ostatecznie [2]), poczem miał otrzymać pozostałe 1500 fr.

Wszystko to, w pamiętnikach p. Sand, znalazło następujące odbicie: »Gdy w 1838 r. oddano mi mego syna, Maurycego, postanowiłam w łagodniejszym od naszego klimacie zimę z nim przepędzić, tusząc sobie, że tym sposobem pozbędzie się on na zawsze tych bólów reumatycznych, co mu w poprzednich latach tak nieznośnie dokuczały. Było także mem życzeniem, aby miejsce naszego pobytu posiadało wszelkie warunki cichego ustronia, w któremby wraz z siostrą, więcej niż dotąd, mógł się oddawać nauce, i gdziebym sama bez wszelkiego wysilenia memi pracami zajmować się mogła. W ciągu tych zamiarów i przygotowań do podróży, Chopin, gość mój codzienny, którego geniusz i charakter żywe w mem sercu obudzał współczucie, kilka razy mi oświadczył, że gdyby się na miejscu Maurycego znajdował, sam przyszedłby wkrótce do zdrowia. Oddawna też przyjaciele artysty nakłaniali go, ażeby czas pewien w południowej Francyi przepędził. Mniemano powszechnie, że choruje na suchoty. Gaubert, który piersi jego rewidował, mimo zaręczeń, że płuca jego są w stanie jaknajlepszym, dodawał jednak: będzie on Pani rzeczywiście winien życie, jeśli mu nastręczysz sposobność oddychania powietrzem świeżem i łagodnem, i skłonisz go do przechadzek i spoczynku. Inni znów, w przekonaniu, że jeśli Chopin odważy się zerwać ze światem i życiem paryskiem, to jedynie gotów będzie to uczynić wskutek rad osoby z nim połączonej uczuciami najwyższej przyjaźni, mocno nalegali na mnie, aby nie odpychać tych jego życzeń, w samą porę i tak niespodziewanie objawionych. Źlem sobie postąpiła, żem się dała uwieść ich nadziejom i własnej troskliwości. Nie byłoż dosyć dla mnie puszczać się samej w obce kraje z dwojgiem dzieci, z których jedno chore, a drugie do tyla zbytkiem zdrowia obdarzone, że z powodu nadzwyczajnej żywości ciągłego prawie nad sobą wymagało czuwania? Trzebaż mi było jeszcze obarczać się k ł o p o t a m i s e r c a i odpowiedzialnością lekarza? Wszelako Chopin tak dalece zdawał się dobrze wyglądać, że wszyscy, oprócz Grzymały, który się w tym względzie nigdy

[2]) W liście z Marsylii, z dn. 13 marca 1839 r. pisze Chopin do Juliana Fontany o *Preludyach:* »Więc jeżeli Pleyel trudności robić będzie najmniejsze, pójdziesz do Schlesingera. Jeżeli (bo zapewne Probst go uprzedził o preludych) będzie co wspominał o nich i Pleyelu, powiesz, że to rzecz obiecana dawno Pleyelowi, że on chciał być ich wydawcą, że mnie o to b a r d z o p r z e d w y j a z d e m p r o s i ł, jak w istocie było«. Przez to »bardzo prosił«, należy rozumieć, że za nie z góry zapłacił. Że za nie Chopin otrzymał 2000 franków, to wiemy od Gutmanna, który w i ę k s z ą c z ę ś ć *Preludyów* przepisywał w Paryżu, jeszcze przed wyjazdem Chopina na Majorkę.



nie łudził, byli o niego spokojni i jaknajlepszą mieli otuchę. Mimo-to prosiłam Chopina, aby się dobrze obliczył ze swojemi siłami moralnemi; ile że drżał na samą myśl oddalenia się z Paryża i rozstania się ze swym lekarzem, znajomymi i fortepianem. Albowiem był on człowiekiem zupełnie owładniętym siłą przyzwyczajenia i wszelka w życiu jego zmiana, choćby i najmniejsza, przybierała dlań rozmiary wielkiego wypadku. Ruszyłam tedy w drogę z dziećmi, oświadczając mu, że dni kilka zatrzymam się w Perpignan. Skorobym go tam zastała, lub skoroby się ze mną połączył w tem mieście, mieliśmy razem jechać do Hiszpanii. Wybrałam Majorkę wskutek zaręczeń osób przechwalających się dokładną znajomością klimatu i zasobów tej wyspy [1]). Właśnie podówczas wspólny nasz przyjaciel, Mendizabal, wybierał się także do Hiszpanii. Miał więc Chopinowi, gdyby tenże zamierzał swój plan podróży uskutecznić, towarzyszyć aż do granicy. Po takiej umowie natychmiast opuściłam Paryż. Mając w podróży naszej tylko na oku przyjemność i rozrywkę, rzemiennym tedy, jak to mówią, dyszlem jadąc, zboczyliśmy do Lyonu. Rodanem popłynęliśmy do Awinionu, skąd odbyliśmy wycieczkę do Wokluzy, ustronia jednego z najpiękniejszych w świecie, zasługującego na miłość Petrarki i nieśmiertelną sławę jego rymów. Z Awignonu przebiegając południowe okolice Francyi, oddawszy zasłużoną cześć mostowi du Gard, przepędziwszy kilka dni w Nimes, ażeby uściskać naszego drogiego niegdyś nauczyciela i przyjaciela, Boucoiran, przybyliśmy do Perpignan, gdzie nazajutrz powitaliśmy Chopina. Odbyta podróż z Paryża wcale go nie utrudziła«.

## III.

Z Perpignan, gdzie Chopin rozkoszując się cudowną pogodą, trochę musiał wypocząć po trudach podróży z Paryża, udano się do Port-Vendres, ażeby tu wsiąść na okręt jadący do Barcelony. Morze było spokojne, więc Chopin doskonale zniósł całą podróż. Jakoż, choć pokasływał ciągle, czuł się bardzo dobrze. W Barcelonie, gdzie mieszkano w Hotelu des Quatres Nations, zabawiono cały tydzień, zwiedzając osobliwości miasta, przedewszystkiem katedry, robiąc wycieczki w okolice, chodząc do opery włoskiej, spożywając obiady proszone, między innemi jeden na pokładzie okrętu wojennego francuskiego, przysłuchując się hiszpańskim pieśniom przy akompaniamencie gitar, przyczem we wszystkiem korzystano z cennych wska-

[1]) Przez tych znajomych należy rozumieć rodzinę Valdemosów, przyjaciół pani Marliani, do której pani Sand w tej kwestyi tak pisała już po przyjeździe na Majorkę: »Valdemosa, en nous parlans des facilités et du bienêtre de son pays, nous a horriblement *blagués*«. Ten Valdemosa był także serdecznym przyjacielem Chopina, co wynika z listu pani Sand do pani Marliani (z Perpignan): »Dites à Valdemosa, *que je voyage avec son ami,* qui est un charmant garçon«.

zówek niektórych członków miejscowej kolonii francuskiej, a przedewszystkiem konsula francuskiego [1]). Po niespełna tygodniu, dnia 7 listopada, przy najpiękniejszej pogodzie, na okręcie *El Mallorquin,* puszczono się w drogę do Palmy. Przeprawa odbyła się względnie pomyślnie. Pani Sand i Maurycy wcale nie cierpieli na chorobę morską, a choć Chopin i Solange nie mogli tego, niestety, powiedzieć o sobie, to jednak, kiedy już w drodze poczuto zwiększające się ciepło w powietrzu, łatwo zapomniano o różnych dolegliwościach. Nad ranem, po nieprzespanej nocy, spędzonej na rozmowie, na podziwianiu niezwykłej fosforyzacyi morza, na słuchaniu melancholijnego śpiewu sternika, dziwnie rozbrzmiewającego wśród zupełnej ciszy na całym pokładzie [2]), gdy nakoniec — 9 listopada — ujrzano spadziste brzegi

[1]) Jeżeli chodzi o wrażenia, jakich podróżni doznali w Barcelonie, to najlepiej o tem informuje pierwszy rozdział w *Un hiver à Majorque,* gdzie pani Sand tak pisze między innemi: »Je ne t'ai rien dit de Barcelone, où nous avons passé cependant quelques jours fort remplis avant de nous embarquer pour Majorque. Aller par mer de Port-Vendres à Barcelone, par un beau temps et un bon bateau à vapeur, est une promenade charmante. Nous commençâmes à retrouver sur le rivage de Catalogne l'air printanier qu'au mois de novembre nous venions de respirer à Nimes, mais qui nous avait quitté à Perpignan; la chaleur de l'été nous attendait à Majorque. A Barcelone, une fraîche brise de mer tempérait un soleil brillant, et balayait de tout nuage les vastes horizons encadrés au loin de cimes tantôt noires et chauves, tantôt blanches de neige. Nous fîmes une excursion dans la campagne, non sans que les bons petits chevaux andalous qui nous conduisaient eussent bien mangé l'avoine, afin de pouvoir, en cas de mauvaise rencontre, nous ramener lestement sous les murs de la citadelle. Quand on avait franchi les formidables et immenses fortifications de Barcelone, je ne sais combien de portes, de ponts-levis, de poternes et de remparts, rien n'annonçait plus qu'on fût dans une ville de guerre. Derrière une triple enceinte de canons, et isolée du reste de l'Espagne par le brigandage et la guerre civile, la brillante jeunesse se promenait au soleil sur la *rambla,* longue allée plantée d'arbres et de maisons comme nos boulevards: les femmes, belles, gracieuses et coquettes, occupées uniquement du pli de leurs mantilles et du jeu de leurs éventails; les hommes occupés de leurs cigares, riant, causant, lorgnant les dames, s'entretenant de l'opera italien, et ne paraissant pas se douter de ce qui se passait de l'autre côté de leurs murailles. Mais quand la nuit était venue, l'opéra fini, les guitares éloignées, la ville livrée aux vigilantes promenades des *sérénos,* on n'entendait plus, au milieu du bruissement monotone de la mer, que les cris sinistres des sentinelles, et des coups de feu, plus sinistres encore, qui, à intervalles inégaux, partaient, tantôt rares, tantôt précipités, de plusieurs points, soit tour à tour, soit spontanément, tantôt bien loin, parfois bien près, et toujours jusqu'aux premières lueurs du matin. Alors tout rentrait dans le silence pendant une heure ou deux, et les bourgeois semblaient dormir profondément, pendant que le port s'éveillait et que le peuple des matelots commençait à s'agiter. Si aux heures du plaisir et de la promenade on s'avisait de demander quels étaient ces bruits étranges et effrayants de la nuit, il vous était répondu en souriant que cela ne regardait personne et qu'il n'était pas prudent de s'en informer«. W innem miejscu pisze pani Sand: Ce n'est pas à Palma, mais à Barcelone, dans les ruines de la maison de l'inquisition, que j'ai vu ces cachots creusés dans des massifs de quatorze pieds d'épaisseur.

[2]) Oto, jak tę noc na okręcie opisuje pani Sand w *Un hiver à Majorque:* Lorsque nous allions de Barcelone à Palma, par une nuit tiède et sombre, éclairée seulement par une phosphorescence extraordinaire dans le sillage du navire, tout le monde dormait à bord, excepté le timonier, qui, pour résister au danger d'en faire autant, chanta toute la nuit, mais d'une voix si douce et si ménagée qu'on eût dit qu'il craignait d'éveiller les hommes de quart, ou qu'il était à demi endormi lui-même. Nous ne nous lassâmes point de l'écouter, car son chant était des plus étranges. Il suivait un rhythme et des modulations en dehors de toutes nos habitudes, et semblait laisser aller sa voix au hasard, comme la fumée du bâtiment, emportée et balancée par la brise. C'était une rêverie plutôt qu'un chant, une sorte de divagation nonchalante de la voix, où la pensée avait peu de part, mais qui suivait le balancement du navire, le faible bruit du remous, et ressemblait à une improvisation vague, renfermée pourtant dans des formes douces et monotones. Cette voix de la contemplation avait un grand charme«.



wyspy zaróżowione od promieni wschodzącego słońca, gdy w porannym blasku zaczęto rozróżniać pojedyncze palmy i aloesy na brzegu, zapanowała radość ogólna, która i znużonemu bezsennością Chopinowi musiała się udzielić w pewnym stopniu.

Pierwsze wrażenie, jakie na podróżnych wywarła Majorka i jej stołeczne miasto, Palma, ze swymi przepysznymi zabytkami, z wspaniałą katedrą, z pięknym ratuszem, z okazałym pałacem królewskim, równało się zachwytowi bez granic, zachwytowi, któremu Chopin, pisząc dnia 14 listopada, a więc w pięć dni po przybyciu, list do Fontany, taki dał wyraz: »Jestem w Palmie, między palmami, cedrami, kaktusami, oliwkami, pomarańczami, cytrynami, aloesami, figami, granatami i t. d. Co tylko Jardin des Plantes ma w swoich piecach. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragd, powietrze jak w niebie. W dzień słońce, wszyscy letnio chodzą i gorąco [1]); w nocy gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową; maurytańskie mury. Wszystko ku Afryce tak jak i miasto patrzy. Słowem przecudne życie! Kochaj mnie«. Pani Sand niemniej była zachwycona tem wszystkiem [2]), oczarowana poetycznością tej uroczej krainy, tej »ziemi obiecanej«, pomimo, że zaraz z początku, nim się

[1]) W *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: »Nous arrivâmes à Palma au mois de novembre 1838 , par une chaleur comparable à celle de notre mois de juin. Nous avions quitté Paris quinze jours auparavant, par un temps extrèmement froid; ce nous fut un grand plaisir, après avoir senti les premières atteintes de l'hiver, de laisser l'ennemi derrière nous. A ce plaisir se joignit celui de parcourir une ville très-caractérisée, et qui possède plusieurs monuments de premier ordre comme beauté ou comme rareté«.

[2]) Oto, co tegoż dnia 14 listopada 1838 r. pisała do pani Marliani: »C'est la poésie, c'est la solitude, c'est tout ce qu'il y a de plus artiste, de plus *chiqué* sous le ciel; et quel ciel! quel pays! nous sommes dans le ravissement. Valdemosa, en nous parlant des facilités et du bienêtre de son pays, nous a horriblement *blagués.* Mais le pays, la nature, les arbres, le ciel, la mer, les monuments dépassent tous mes rêves: c'est la terre promise, et, comme nous avons réussi à nous caser assez bien, nous sommes enchantés«. W *Un hiver à Majorque* pani Sand tak określa malowniczą piękność Majorki: »Majorque et l'Eldorado de la peinture. Tout y est pittoresque, depuis la cabane du paysan, qui a conservé dans ses moindres constructions la tradition du style arabe, jusqu'à l'enfant drapé dans ses guenilles, et triomphant dans sa *malpropreté grandiose,* comme dit Henri Heine à pro-

zainstalowano jako tako, musiała walczyć z pewnemi trudnościami, przechodzić przez pewne ambarasy. Przedewszystkiem dowiedzieli się ze zdumieniem, że w całej Palmie nie było ani jednego porządnego hotelu, tak, że chcąc nie chcąc, musieli stanąć w jakiejś zakazanej oberży, gdzie ledwo dostali dwa pokoje, dwie izby raczej, prawie nie umeblowane, z łóżkami, jak tapczany, z krzesłami wyplatanemi słomą, a co się tyczy pożywienia, to nie mogli się skarżyć tylko na brak pieprzu i czosnku [1]). W zupie znajdowali skorpiony, a w łóżku mieli do czynienia z pluskwami i robactwem wszelkiego rodzaju, co jednak musieli znosić bez szemrania, nie mogąc okazywać swego niezadowolenia, albowiem wypadało się liczyć z drażliwością dumnego oberżysty, nie znoszącego żadnych grymasów, a który, w razie doznanej obrazy, pozwalał się domyślać wysoce niemiłych skutków dla swych niezadowolonych klientów. Na szczęście, nie wszyscy przedstawiali się tak groźnie, a niebawem znaleźli się i tacy, którzy czynili wszystko możliwe ze swej strony, ażeby przybyszom ułatwić i uprzyjemnić pobyt na tej cudownej wyspie. Pierwsze miejsce pod tym względem należało się miejscowemu konsulowi francuskiemu, Franciszkowi Riotord, oraz najbliższej rodzinie Valdemozy, do których pani Sand miała listy polecające. Niemniej pożytecznym okazał się dla nich M. Nunez, bardzo sympatyczny i dzielny człowiek. Im zawdzięczając, już po kilku dniach nietylko znaleziono odpowiednie mieszkanie [2]), ale miano aż dwa mieszkania do wyboru. Oba były za miastem, na wsi. Pierwsze przedstawiało się w postaci małego

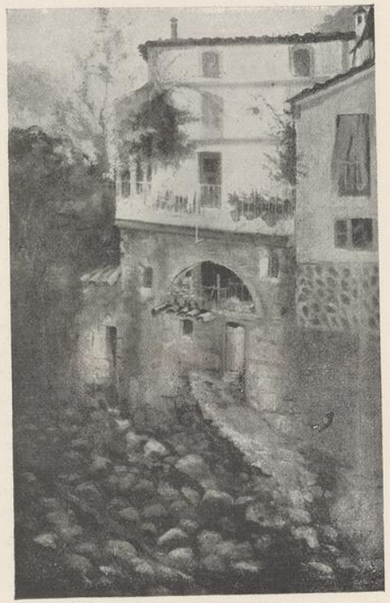
pos des femmes du marché aux herbes de Vérone. Le caractère du paysage, plus riche en végétation que celui de l'Afriqne ne l'est en général, a tout autant de largeur, de calme et de simplicité. C'est la verte Helvétie sous le ciel de la Calabre, avec la solennité et le silence de l'Orient«.

[1]) W *Un hiver à Majorque* czytamy co następuje: »A Palma, il faut être recommandé et annoncé à vingt personnes des plus marquantes, et attendu depuis plusieurs mois, pour espérer de ne pas coucher en plein champ. Tout ce qu'il fut possible de faire pour nous, ce fut de nous assurer deux petites chambres garnies, ou plutôt dégarnies, dans une espèce de mauvais lieu, où les étrangers sont bien heureux de trouver chacun un lit de sangle avec un matelas douillet et rebondi comme une ardoise, une chaise de paille, et, en fait d'aliments, du poivre et de l'ail à discrétion«.

[2]) Za mieszkaniem oczywiście chodziła pani Sand, na której głowie wogóle była cała realna strona tej romantycznej podróży. W *Un hiver à Majorque* czytamy między innemi: »Ayant parcouru Palma pour y chercher des appartements, je suis entré dans un assez grand nombre de maisons; tout s'y ressemblait si exactement que je pouvais conclure de là à un caractère général chez leurs occupants. Je n'ai pénétré dans aucun de ces intérieurs sans avoir le coeur serré de déplaisir et d'ennui, rien qu'à voir les murailles nues, les dalles tachées et poudreuses, les meubles rares et malpropres. Tout y portait témoignage de l'indifférence et de l'inaction; jamais un livre, jamais un ouvrage de femme. Les hommes ne lisent pas, les femmes ne cousent même pas. Le seul indice d'une occupation domestique, c'est l'odeur de l'ail qui trahit le travail culinaire; et les seules traces d'un amusement intime, ce sont les bouts de cigare semés sur le pavé«.



domku umeblowanego, rodzaju willi, w ogrodzie, w niesłychanie malowniczem położeniu, w cudnej dolinie między wzgórzami, wśród niesłychanie bujnej roślinności, z widokiem na żółtawe mury Palmy, na jej wspaniałą katedrę, na morze w głębi [1]). Domek ten, z pokojami o bielonych ścianach, bez żadnego komfortu, nosił nazwę *Villa Son-Vent,* co pozwalało się domyślać, że stał w miejscu wietrznem, a ściany miał cienkie, przewiewne. Właścicielem był Senor Gomez, najczystszy typ kamienicznika w małym stylu. Oprócz tej willi, która, jak się zdawało, posiadała wszelkie warunki, których pani Sand mogła wymagać dla siebie, dla swych dzieci i Chopina, wynajęto jeszcze, na wszelki wypadek, trzy pokoje w poblizkim klasztorze Valdemoza, odległym o trzy wiorsty od Palmy, a nęcącym swą poetycznością i romantycznością. Zwiedziwszy ten wspaniały klasztor, świeżo opuszczony przez Kartuzów, wypędzonych przez ultra-liberalnego ministra Mendizabala, przyjaciela p. Sand i Chopina, autorka *Lelii* tak się zapaliła do tej średniowiecznej siedziby, że w nim choć przez jakiś czas postanowiła zamieszkać, który to zamiar był o tyle łatwiejszym do urzeczywistnienia, że za trzy izby w tym cudownym przybytku, razem z bajecznym ogrodem, pełnym drzew cytrynowych i pomarańczowych, żądano 30 franków r o c z n i e! Że i Chopinowi uśmiechało się mieszkanie w tym opuszczonym zakątku, świadczył jego pierwszy list do Fontany z dn. 14 listopada, w którym między innnemi tak pisał o tym romantycznym projekcie: »Mieszkać będę zapewne w przecudnym klasztorze, najpiękniejszej pozycyi na świecie: morze, góry, palmy, cmentarz, kościół krzyżacki, ruiny moskietów, stare drzewa tysiącletnie oliwne. A, moje życie, żyję trochę więcej. Jestem blizki



Willa Son-Vent na Majorce.
Według obrazu Władysława Granzowa. (Klisza »Nauki i Sztuki«, Wydawn. Tow. Nauczycieli Szkół Wyż., T. X., *Chopin* H. Opieńskiego).

[1]) W *Un hiver à Majorque* pani Sand tak opisuje tę willę: »C'était la villa d'un riche bourgeois qui pour un prix très-modéré, selon nous, mais assez élevé pour le pays (environ cent francs par mois), nous abandonna toute son habitation. Elle était meublée comme toutes les maisons de plaisance du pays. Toujours les lits de sangle ou de bois

tego, co najpiękniejsze. Lepszy jestem«. Mimo to na razie przeważyły względy praktycznej natury, tak, że najprzód wprowadzono się do posiadłości pana Gomeza, obiecującej większe wygody. I pani Sand, i Chopinowi, chodziło o to przedewszystkiem, żeby się zabrać do roboty: pani Sand pragnęła skończyć *Spiridiona,* na którego Buloz czekał już z niecierpliwością [1]), a Chopin pragnął nadać ostateczne wykończenie *Preludyom,* które obiecał przysłać w najkrótszym czasie Pleyelowi. »Dostaniesz

peint en vert, quelques-uns composés de deux tréteaux sur lesquels on pose deux planches et un mince matelas; les chaises de paille; les tables de bois brut; les murailles nues bien blanchies à la chaux, et, par surcroît de luxe, des fenêtres vitrées dans presque toutes les chambres; enfin, en guise de tableaux, dans la pièce qu'on appelait le salon, quatre horribles devants de cheminée, comme ceux qu'on voit dans nos plus misérables auberges de village, et que le senor Gomez, notre propriétaire, avait eu la naïveté de faire encadrer avec soin comme des estampes précieuses, pour en décorer les lambris de son manoir. Du reste, la maison était vaste, aérée (trop aérée), bien distribuée, et dans une très-riante situation, au pied de montagnes aux flancs arrondis et fertiles, au fond d'une vallée plantureuse que terminaient les murailles jaunes de Palma, la masse de sa cathédrale, et la mer étincelante à l'horizon. Les premiers jours que nous passâmes dans cette retraite furent assez bien remplis par la promenade et la douce *flânerie* à laquelle nous conviaient un climat délicieux, une nature charmante et tout à fait neuve pour nous«.

[1]) Oto list pani Sand do żony Buloza, tłómaczący jej, dlaczego aż do tej chwili nie mogła wysłać manuskryptu brakujących rozdziałów zaczętego jeszcze w Nohant, a bardzo blizkiego już końca *Spiridiona*. List ten (niedawno ogłoszony przez René Doumic'a w jego monografii o George Sand, rzuca także ciekawe światło na dany moment w życiu Chopina).

Ma chère Christine! Lundi, 13.

»Je suis à Palma depuis quatre jours seulement. Mon voyage a été fort heureux mais assez long comme vous voyez et pénible jusqu'à la sortie de France. J'ai pris vingt fois la plume (comme on dit) pour terminer les cinq ou six pages qui, depuis six mois, manquent à *Spiridion*. Ce n'est pas la chose la plus facile du monde que de donner la conclusion de sa propre croyance religieuse, et je vous assure qu'en voyage c'est tout à fait impossible. Je me suis arrêtée dans vingt endroits avec la volonté de me recueillir et d'écrire. Mais ces repos ont été les pires fatigues du voyage. Les visites, les dîners, les promenades, les curiosités, les ruines, la fontaine de Vaucluse, Reboul et les arènes de Nîmes, les cathédrales à Barcelone, les dîners à bord sur les vaisseaux de guerre, les théâtres italiens d'Espagne (quels théâtres et quels Italiens!), les guitares, que sais-je, moi? Le clair de lune à la mer et Palma surtout et Mallorque, la plus délicieuse résidence du monde, voilà qui m'écartait terriblement de la philosophie et de la théologie. Heureusement, j'ai rencontré ici de superbes couvents en ruines avec des palmiers, des aloès et des cactus, au milieu des mosaïques brisées et des cloîtres délabrés et cela m'a remise sur la voie de *Spiridion,* de sorte que, depuis trois jours, j'ai une rage de travail, mais jusqu'à présent impossible à satisfaire, car nous n'avons ni feu ni lieu. Pas d'auberge à Palma, pas de maison à louer, pas de meubles à acheter. Quand on arrive, on commence par acheter du terrain, après quoi on fait bâtir, et puis on commande des meubles. Ensuite on obtient du gouvernement la permission de demeurer quelque part, et enfin au bout de cinq ou six ans, on commence à ouvrir sa malle et à changer de chemise, et attendant qu'on ait obtenu de la douane la permission de faire entrer des souliers et des



*Preludya* wkrótce«, pisał Chopin w swym liście z dnia 14 listopada do Fontany, pewien, że szybko upora się z niemi, a że Pleyelowi bardzo zależało na nich, więc tak w tej kwestyi oraz w kilku innych jeszcze, pisał w tymże liście, do którego dołączył także list do rodziców w Warszawie: »Przejdź się do Pleyela, bo fortepian jeszcze nie przyszedł. Jakim traktem go posłali? Powiedz Pleyelowi, że dostanie niedługo manuskrypta. Oddaj moich rodziców listy Grzymale i co tylko masz mi przesłać; on wie najpewniejszy adres. Uściskaj Jasia. Jakby on tu wyzdrowiał! Mało mów znajomym o mnie. Wiele ci napiszę potem. Powiedz, że po zimie wrócę. Jasiowi potem napiszę. Poczta tu raz na tydzień odchodzi. Piszę przez konsulat tutejszy. Poszlij mój list rodzicom, tak, jak jest. Sam wrzuć na pocztę«.

Nazajutrz po wysłaniu tego listu Chopin zasłabł nagle; pomimo łagodnego klimatu Majorki, pomimo cudnej pogody, przeziębił się zaraz na pierwszej wycieczce w okolice Palmy [1]), zaczął kaszleć coraz gorzej. Cóż

mouchoirs de poche. Voilà donc quatre jours seulement que nous allons de porte en porte demander à ne pas coucher dehors et nous espérons dans trois jours être installés, car un miracle s'est opéré en notre faveur. Pour la première fois, de mémoire d'homme, à Mallorque, une maison meublée s'est trouvée à louer, maison de campagne charmante dans un désert délicieux«.

[1]) Wycieczkę tę opisuje pani Sand obszernie w *Uu hiver à Majorque.* Oto niektóre ustępy z tego barwnego opisu: »Nous fîmes surtout deux promenades remarquables. Je ne me rappelle pas la première avec plaisir, quoiqu'elle fût magnifique d'aspects. Mais notre malade, alors bien portant (c'était au commencement de notre séjour à Majorque), voulut nous accompagner, et en ressentit une fatigue qui détermina l'invasion de sa maladie. Notre but était un ermitage situé au bord de la mer, à trois milles de la Chartreuse. Nous suivîmes le bras droit de la chaîne, et montâmes de colline en colline, par un chemin pierreux qui nous hachait les pieds, jusqu'à la côte nord de l'île. A chaque détour du sentier, nous eûmes le spectacle grandiose de la mer, vue à des profondeurs considérables, au travers de la plus belle végétation. C'était la première fois que je voyais des rives fertiles, couvertes d'arbres et verdoyantes jusqu'à la première vague, sans falaises pâles, sans grèves désolées et sans plage limoneuse. Chaque pas que nous faisions sur la montagne sinueuse nous présentait une nouvelle perspective toujours plus sublime que la dernière. Les ermites qui sont établis là au nombre de quatre ou cinq n'avaient aucune poésie. Leur habitation est aussi misérable et aussi sauvage que leur profession le comporte; et, de leur jardin en terrase, que nous les trouvâmes occupés à bêcher, la grande solitude de la mer s'étend sous leurs yeux. En revenant à la Chartreuse, nous fûmes assaillis par un vent violent qui nous renversa plusieurs fois, *et qui rendit notre marche si fatigante que notre malade en fut brisé*«. Ta wycieczka, spowodowawszy chorobę Chopina, co pani Sand popsuło cały pobyt na Majorce, tak ją zniechęciła do robienia podobnych wycieczek, że dopiero na kilka dni przed wyjazdem z Majorki, namówiona przez dzieci, zdecydowała się na zrobienie jeszcze jednej większej wycieczki. Ale i tym razem nie mogła zapomnieć o swej pierwszej nieszczęśliwej wycieczce do pustelni. Oto, co sama pisze o tem: »Comme, du côté du mord, je regardais la mer de la porte du couvent, un jour que notre malade était assez bien pour rester seul deux ou trois heures, nous nous mîmes enfin en route, mes enfants et moi, pour voir la grève de ce côté-là. Jusqu'alors

dopiero, gdy ta pogoda zaczęła niedopisywać [1]), gdy słońce skryło się za chmury, a w szyby zaczął dzwonić deszcz! A, niestety, pogoda popsuła się raptownie, przyszedł szereg dni dżdżystych i chłodnych. W pokoikach willi Son-Vent dała się uczuć wilgoć, przenikająca poprzez cienkie ściany, tak, że ich biały wapienny tynk zaczął nasiąkać wodą, jak gąbka. A że w całej willi nie było ani pieca, ani nawet kominka, więc w pokojach zaczął dokuczać coraz bardziej przejmujący chłód, jakieś piwniczne zimno — choć na dworze było dość ciepło — które wprost przyprawiało o febryczne dreszcze. Pani Sand, już zaczynając złorzeczyć tym, co jej zachwalali Majorkę, przyzwyczajona do ciepła, do grzania się przy kominku, wprost cierpiała z powodu tego wilgotnego zimna, przyznawała, że tak nie marzła nigdy w życiu, a gdy w końcu wstawiono jakiś piecyk żelazny, opalany węglem, a wydzielający nieznośny swąd po całem mieszkaniu, krztuszono się poprostu. Wszystko to, bardzo niemiłe dla pani Sand i jej dzieci, dla Chopina było zabójczem [2]), Jakoż kaszlał coraz bardziej, zaczął gorączkować,

je n'en avais pas eu la moindre curiosité, quoique mes enfants, qui couraient comme des chamois, m'assurassent que c'était le plus bel endroit du monde. *Soit que la visite à l'ermitage, première cause de notre douleur, m'eût laissé une rancune assez fondée,* soit que je ne m'attendisse pas à voir de la plaine un aussi beau déploiement de mer que je l'avais vu du haut de la montagne, je n'avais pas encore eu la tentation de sortir du vallon encaissé de Valldemosa«.

[1]) Pierwsze trzy tygodnie wprost rozmarzały cudną pogodą. Dopiero w czwartym tygodniu, a więc prawie po upływie miesiąca dopiero, zaczęły się deszcze. Oto, co w tej kwestyi w *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: »Nous étions depuis trois semaines à Establiments lorsque les pluies commencèrent. Jusque-là nous avions eu un temps adorable; les citronniers et les myrtes étaient encore en fleurs, et, dans les premiers jours de décembre, je restai en plein air sur une terrasse jusqu'à cinq heures du matin, livré au bien-être d'une température délicieuse. On peut s'en rapporter à moi, car je ne connais personne au monde qui soit plus frileux, et l'enthousiasme de la belle nature n'est pas capable de me rendre insensible au moindre froid. D'ailleurs, malgré le charme du paysage éclairé par la lune et le parfum des fleurs qui montait jusqu'à moi, ma veillée n'était pas fort émouvante. J'étais là, non comme eût fait un poëte cherchant l'inspiration, mais comme un oisif qui contemple et qui écoute. J'étais fort occupé, je m'en souviens, à recueillir les bruits de la nuit et à m'en rendre compte. Dans la ferme voisine, j'entendais le vagissement d'un petit enfant, et j'entendais aussi la mère, qui, pour l'endormir, lui chantait un joli air du pays, bien monotone, bien triste, bien arabe. Mais d'autres voix moins poétiques vinrent me rappeler la partie grotesque de Majorque. Les cochons s'éveillèrent et se plaignirent sur un mode que je ne saurais point définir. Mais tout à coup, après des nuits si sereines, le déluge commença. Un matin, après que le vent nous eut bercés toute la nuit de ses longs gémissements, tandis que la pluie battait nos vitres, nous entendîmes, à notre réveil, le bruit du torrent qui commencait à se frayer une route parmi les pierres de son lit. Le lendemain, il parlait plus haut; le surlendemain, il roulait les roches qui gênaient sa course. Toutes les fleurs des arbres étaient tombées, et la pluie ruisselait dans nos chambres mal closes«.

[2]) W *Un hiver à Majorque* tak o tem pisze pani Sand: »Un d'entre nous tomba malade.D'une complexion fort délicate, étant sujet à une forte irritation du larynx, il res-



aż wreszcie skonstantowano bronchit. Pierwszy lekarz, znakomitość miejscowa, któremu za wizytę musiano zapłacić 45 franków, oświadczył, że niema nic groźnego, i nie zapisał żadnych specyalnych leków. Widocznie był zdania, że to przejdzie samo. Gdy jednak nie przechodziło jakoś, drugi wezwany lekarz, również znakomitość miejscowa, poważniej wziął się do leczenia, chętnie odwiedzał chorego, ale cóż z tego, kiedy lekarstw, które zapisywał, nie było w palmijskiej aptece, a te, których dostarczano, były obrzydliwemi miksturami nie do zażycia. Tymczasem chory czuł się coraz gorzej, tak dalece, że zaczęto się obawiać o jego życie. Musiano wezwać jeszcze jednego lekarza, a w końcu okazała się konieczność zwołania konsylium z trzech najsławniejszych lekarzy całej Majorki. To, co orzekli, nie brzmiało pomyślnie, owszem prawie rozpaczliwie. Skonstantowano, że poza bronchitem wogóle stan był bardzo niepomyślny, że choroba skomplikowała się skutkiem najrozmaitszych przyczyn, których ani wiedza ani pieczołowitość nie mogą zwalczyć ostatecznie [1]). Jakiego rodzaju były to przyczyny? Nie ulega wątpliwości, że najgłówniejszą była niesłychana wątłość organizmu, wyczerpującego się nadzwyczaj szybko, rozporządzającego nadzwyczaj małym zasobem sił fizycznych, a tem samem i niedość odpornego. Nadmierna wrażliwość nerwów, równająca się wprost nadczułości i przeczuleniu, również była jedną z tych przyczyn. A gdy to wszystko jeszcze szło w parze z wielką zmysłowością, a nigdy niezaspokojonem pożądaniem uciech cielesnych, nie dziw, że choremu przedewszystkiem groziło wyczerpanie. Nadto nie ulega wątpliwości, że zbyt się przemęczał od chwili swego wyjazdu z Paryża, że wyrwany z wygód swej paryskiej egzystencyi, wytrącony ze zwykłego trybu życia, zmuszony nie sypiać po kilka nocy z rzędu, lub sypiać w dyliżansie pocztowym, zbyt się przemęczył forsownemi podróżami, które odbył w ciągu ostatnich trzech tygodni, co wszystko, razem wzięte, sprowadziło obecną chorobę, nie będącą skutkiem przeziębienia

sentit bientôt les atteintes de l'humidité. La Maison du Vent *(Son-Vent* en patois), c'est le nom de la villa que le senor Gomez nous avait louée, devint inhabitable. Les murs en étaient si minces, que la chaux dont nos chambres étaient crépies se gonflait comme une éponge. Jamais, pour mon compte, je n'ai tant souffert du froid, quoiqu'il ne fit pas très-froid en réalite: mais pour nous, qui sommes habitués à nous chauffer en hiver, cette maison sans cheminée était sur nos épaules comme un manteau de glace, et je me sentais paralysé. Nous ne pouvions nous habituer à l'odeur asphyxiante des braseros, et notre malade commença à souffrir et à tousser«.

[1]) W *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: »Un riche médecin, qui, pour la modique retribution de 45 francs, daigna venir nous faire une visite, déclara pourtant que ce n'était rien, et n'ordonna rien. Nous l'avions surnommé *Malvavisco,* à cause de sa prescription unique. Un autre médecin vint obligeamment à notre secours; mais la pharmacie de Palma était dans un tel dénûment que nous ne pûmes nous procurer que des drogues déstables. D'ailleurs, la maladie devait être aggravée par des causes qu'aucune science et aucun dévouement ne pouvaient combattre efficacement«.

jedynie. A że przytem kaszlał zatrważająco, że w płwocinach pokazywała się krew, więc najłatwiej nasuwającym się wnioskiem, do którego też doszli palmijscy doktorzy, było skonstatowanie szybko rozwijającej się choroby piersiowej, jednem słowem, suchot.

Łatwo sobie wyobrazić zaniepokojenie p. Sand, która, tyle sobie obiecując po tej romansowej podróży z ukochanym, odrazu na samym wstępie musiała zrezygnować z roli kochanki, a przejść do roli *guarde malade'y*. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że z tej roli wywiązała się bez zarzutu, że nietylko potrafiła oprzeć się lekarzom, gdy koniecznie obstawali za puszczeniem krwi Chopinowi, coby go było osłabiło jeszcze bardziej, ale swą troskliwość posunęła tak daleko, że w potrzebie, nie poprzestając na roli siostry miłosierdzia, nie cofała się i przed rolą zwykłej sługi. Przekonawszy się, że Chopin nie znosił hiszpańskiej kuchni, w której olej i wieprzowina pod najrozmaitszemi postaciami, uperfumowane zapachem czosnku, trzymały prym, autorka *Spiridiona* bez wahania ograniczyła pisanie tego romansu, a natomiast z całem poświęceniem i zaparciem się siebie oddała się na usługi swego chorego towarzysza, ratując go, o ile to było w jej możności. W tym celu nie cofała się przed niczem, nawet przed posługami kuchennej natury, w których pomagała swej służącej [1]). Całe szczęście, że ją z sobą przywiozła z Francyi! Gdyby nie ta francuska pokojówka, nie wiadomo, jakby sobie p. Sand wogóle dała radę, bo miejscowa służba, rozprózniaczona, zuchwała i żarłoczna, była zupełnie do niczego. Co najgorsza, że leczący Chopina doktorzy rozgadali wszystkim naokoło, że jest chory na suchoty, a na Majorce, jak w całej Hiszpanii podówczas, suchoty uchodziły za chorobę zaraźliwą, rozszerzającą się epidemicznie, jak cholera lub dżuma. Ta plotka stała się źródłem nieskończonych kłopotów dla p. Sand. Całe otoczenie miejscowe, począwszy od służby, a skończywszy na ludności okolicznej, zaczęło willę Son-Vent uważać za zapowietrzoną, do której nie należy się zbliżać, z którą trzeba unikać wszelkich styczności. Jakiem to było utrudnieniem dla pani Sand, jak wszystko komplikowało się z tego powodu, o tem wiedziała ona jedna tylko, bo nie wiedział nawet Chopin! A jednak, pomimo tych wszystkich tarapatów, znajdowała dość spokoju, by co dzień rano dawać lekcye Mau-

[1]) W liście z dnia 14 grudnia 1838 r. z Palmy, pisze pani Sand do pani Marliani: »Si vous saviez ce que j'ai à faire! Je fais presque la cuisine. Ici, autre agrément, on ne peut se faire servir. Le domestique est une brute: dévot, paresseux et gourmand; un véritable fils de moine (je crois qu'ils le sont tous). Il en faudrait dix pour faire l'ouvrage que vous fait votre brave Marie. Heureusement, la femme de chambre que j'ai amenée de Paris est très dévouée et se résigne à faire de gros ouvrages: mais elle n'est pas forte, et il faut que je l'aide. En outre, tout coûte très cher, et la nourriture est difficile quand l'estomac ne supporte ni l'huile rance, ni la graisse de porc. Je commence à m'y faire; mais Chopin est malade toutes les fois que nous ne lui préparons pas nous-mêmes ses aliments. Enfin, notre voyage ici est, sous beaucoup de rapports, un *fiasco* épouvantable.



rycemu i Solange, krzepiąc się tem jedynie, że przynajmniej dzieci były zdrowe, że zwłaszcza Maurycy czuł się świetnie. Po jakichś dziesięciu dniach i Chopin zaczął wracać do zdrowia [1]), co oczywiście nie mogło zostać bez pomyślnego wpływu na nastrój znakomitej powieściopisarki, a także i na losy *Spiridiona*, który w tych warunkach postępował bardzo powoli naprzód, pomimo niecierpliwości Buloza, zmuszonego przerwać jego druk w *Revue des deux mondes* z powodu braku manuskryptu [2]).

W taki sposób upłynęła cała druga połowa listopada. Raptem, na parę dni przed pierszym grudnia, właśnie, gdy Chopin zaczynał się czuć lepiej, otrzymano bardzo stanowczy list od p. Gomeza, domagający się w sposób bezwzględny, by niezwłocznie wyprowadzono się z jego domu. Wobec tego, że przyjechano z osobą chorą na chorobę zaraźliwą, która grozi zakażeniem nietylko jego posiadłości, ale i jego rodzinie, nie pozostaje mu — pisał — nic innego, tylko prosić o jaknajszybsze opuszczenie willi, przyczem zastrzegł sobie, że gruntowna desinfekcya i otynkowanie muszą być zrobione na koszt tych, co zakazili te mury, a gdyby tego nie chcieli uczynić dobrowolnie, wtedy on nie cofnie się nawet przed procesem, który

[1]) Pierwszym, który pod tym względem oddał należną sprawiedliwość pani Sand, był Jan Kleczyński, który w swym artykule o Chopinie, zamieszczonym w *Tyg. illustr.* w Nr. 108 z 1870 r., tak się zapatrywał na tę kwestyę: »Bądź co bądź, i bez względu na to, jakie potomność rzuci światło na ich wzajemny stosunek... niepodobna stanowczo nic dziś rozstrzygnąć, a nie można zaprzeczyć, że towarzystwo i opieka słynnej autorki dały Fryderykowi wiele chwil prawdziwego szczęścia, a nawet prawdopodobnie ocaliły jego życie, w chwili, kiedy ono po raz pierwszy było na seryo zagrożone«.

[2]) W liście do pani Marliani, z Palmy 14 grudnia 1838 r. pisze pani Sand: »D'abord, sachez que le bateau à vapeur de Palma à Barcelone a pour principal objet le commerce de cochons. Les passagers sont en seconde ligne. Le courrier ne compte pas. Qu'importe aux Mayorquins les nouvelles de la politique ou des beaux-arts? le cochon est la grande, la seule affaire de leur vie. Le paquebot est censé partir toutes les semaines; mais il ne part en réalité que quand le temps est parfaitement serein et la mer unie comme une glace. Le plus léger coup de vent le fait rentrer au port, même lorsqu'on est à moitié route. Pourquoi? Ce n'est pas que le bateau ne soit bon et la navigation sûre. C'est que le cochon a l'estomac délicat, il craint le mal de mer. Or, si un cochon meurt en route, l'équipage est en deuil, et donne au diable journaux, passagers, lettres, paquets et le reste. Voilà donc plus de quinze jours que le bateau est dans le port; peut-être partira-t-il demain! voilà vingt-cinq jours et plus que *Spiridion* voyage; mais j'ignore si Buloz l'a reçu. J'ignore s'il le recevra. Il y a encore d'autres raisons de retard que je ne vous dis pas, parce que toute réflexion sur la poste et les affaires du pays sont au moins inutiles. Vous pouvez les pressentir et les dire à Buloz. Je vous prie même de lui faire parler à ce sujet; car il doit être dans les transes, dans la terreur, dans le désespoir! *Spiridion* doit être interrompu depuis un siècle; à cela je ne puis rien. J'ai pesté contre le pays, contre le temps, contre la coutume, contre les cochons. J'ai un peu pesté contre ce cher Manoël, qui m'a dépeint ce pays comme si libre, si abordable, si hospitalier. Mais à quoi bon les plaintes et les murmures contre les ennemis naturels et inévitables de la vie? Ici, c'est une chose; là, une autre; partout, il y a à souffrir«.

niewątpliwie wypadnie na jego korzyść [1]). Nie było rady: musiano się zgodzić na wszystkie drakońskie warunki p. Gomeza [2]), a przedewszystkiem myśleć o przeprowadzce, co wobec choroby Chopina, a zwłaszcza wobec famy, jaka się rozeszła o jego chorobie płucnej, wcale nie było zadaniem łatwem: raz dlatego, że przy takiej niepogodzie, w deszcz, zimno i wiatr, przewozić człowieka chorego, jak Chopin, oblepionego plastrami, było poprostu niebezpiecznem dla niego, a powtóre, że w takich warunkach było niepodobieństwem wynajęcie jakiego takiego mieszkania. Choćby nawet znalazło się jakie wolne, nikt-by go nie wynajął rodzinie z suchotnikiem. I dziwić się tu, że p. Sand była w rozpaczy, że się stawała bezradną w tem położeniu bez wyjścia. Z jednej strony uznawała konieczność opuszczenia zbyt wilgotnej willi Son-Vent, w której woda zaczynała przeciekać przez sufity, a z drugiej nie wiedziała, dokąd się przeprowadzić, gdzie szukać odpowiedniego pomieszczenia. Ktokolwiek ze znajomych, jak np. nader uprzejma rodzina Valdemozy, ofiarował-by im gościnę w swoim domu, nietylko-by się narażał na to samo, z czem oni już mieli do walczenia, t. j. na dobrowolną izolacyę, ale nadto mógł żywić te same obawy co do zaraźliwości choroby Chopina, co p. Gomez i jego sąsiedzi. Wracać do Francyi, o ile chodziło o powrót razem z Chopinem, również było niepodobieństwem ze względu na jego opłakany stan zdrowia, czyniący go niezdolnym do odbycia większej podróży. Nie pozostawało nic innego, tylko

[1]) W liście do Fr. Rollinata, datowanym z Marsylii 8 marca 1839 r. pisze p. Sand: »Au bout d'un mois, le pauvre Chopin, qui, depuis Paris, allait toujours toussant, tomba plus malade et nous fîmes appeler un médecin, deux médecins, trois médecins, tous plus ânes les uns que les autres et qui allèrent répandre, dans l'île, la nouvelle que le malade était poitrinaire au dernier degré. Sur ce, grande épouvante! la phtisie est rare dans ces climats et passe pour contagieuse. Joignez à cela l'égoïsme, la lâcheté, l'insensibilité et la mauvaise foi des habitants. Nous fûmes regardés comme des pestiférés; de plus, comme des païens; car nous n'allions pas à la messe. Le propriétaire de la petite maison que nous avions louée nous mit brutalement à la porte et voulut nous intenter un procés, pour nous forcer à recrépir sa maison infectée par la contagion. La jurisprudence indigène nous eût plumés comme des poulets«.

[2]) Jakie to były warunki, o tem dokładne informacye znajdujemy się w *Un hiver à Majorque:* »Le seigneur Gomez, notre ex-propriétaire de *Son-Vent,* ce riche personnage qui nous avait loué sa maison en cachette, parce qu'il n'était pas convenable qu'un citoyen de Majorque, eût l'air de spéculer sur sa propriété, nous avait fait un esclandre et menacés d'un procès pour avoir brisé chez lui *(estropeado)* quelques assiettes de terre de pipe qu'il nous fit payer comme des porcelaines de Chine. En outre, il nous fit payer (toujours par menace) le *badigeonnage* et le *repicage* de toute sa maison, à cause de la contagion du rhume. A quelque chose malheur est bon, car il s'empressa de nous vendre le linge de maison qu'il nous avait loué; et, quoiqu'il fût pressé de se défaire de tout ce que nous avions touché, il n'oublia pas de batailler jusqu'à ce que nous eussions payé son vieux linge comme du neuf. Grâce à lui, nous ne fûmes donc pas forcés de semer du lin pour avoir un jour des draps et des nappes, comme ce seigneur italien qui accordait des chemises à ses pages«.



zamieszkać w wynajętych celach klasztoru Kartuzów w poblizkiej Valdemozie. Na to jednak, by się tam wprowadzić, by tam spędzić zimę, należało zacząć od umeblowania tych pustych cel mniszych. Na szczęście znalazła się jakaś rodzina hiszpańska, która dla politycznych powodów musiała ukrywać się w klasztorze, a która, pragnąc wyjechać do Francyi, chętnie się zgodziła na odsprzedanie swych mebli, naturalnie za cenę trzykrotnie przewyższającą wartość tych starych gratów, mianowicie za 1000 franków. Ale bądź co bądź była to okazya, z której należało korzystać. Jakoż skorzystała z niej p. Sand skwapliwie [1]).

W takich okolicznościach, dnia 3 grudnia, napisał Chopin, czując się lepiej znacznie, list do Fontany, w którym między innemi donosił swemu paryskiemu totumfackiemu, co następuje: »Nie mogę ci manuskryptu posłać, bom nie skończył. Chorowałem przez te ostatnie dwa tygodnie, jak pies; zaziębiłem się mimo 18 stopni ciepła, róż, pomarańcz, palm i fig. Trzech doktorów z całej wyspy najsławniejszych: jeden wąchał, com pluł, drugi stukał, skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Jeden mówił, żem zdechł, drugi — że zdycham, trzeci — że zdechnę. A ja dziś jak zawsze, tylko Jasiowi darować nie mogę, że mi w przypadku *bronchite aigue,* której u mnie zawsze spodziewać się mógł, żadnej konsultacyi nie dał. Ledwo żem wstrzymał, żeby mi krwi nie puszczali [2]) i żadnych wizykatoryi nie sta-

[1]) Un autre miracle se fit, et nous trouvâmes un asile pour l'hiver. Il y avait à la chartreuse de Valdemosa un Espagnol réfugié qui s'était caché là pour je ne sais quel motif politique. En allant visiter la chartreuse, nous avions été frappés de la distinction de ses manières, de la beauté mélancolique de sa femme, et de l'ameublement rustique et pourtant confortable de leur cellule. La poésie de cette chartreuse m'avait tourné la tête. Il se trouva que le couple mystérieux voulut quitter précipitamment le pays, et qu'il fut ausi charmé de nous céder son mobilier et sa cellule que nous l'étions d'en faire l'acquisition. Pour la modique somme de mille francs, nous eûmes donc un ménage complet, mais tel que nous eussions pu nous le procurer en France pour cent écus, tant les objets de première nécessité sont rares, coûteux, et difficiles à rassembler à Majorque«. W liście do Rollinata (8 marca 1839) pisze pani Sand w tej kwestyi: »Ne sachant que devenir, *car Chopin n'était pas transportable* en France, nous fûmes heureux de trouver, au fond d'une vieille chartreuse, un ménage espagnol que la politique forçait à se cacher là, et avait un petit mobilier de paysan assez complet. Ces réfugiés voulaient se retirer en France: nous achetâmes le mobilier le triple de sa valeur«.

[2]) Głównie pani Sand opierała się puszczeniu krwi Chopinowi, o czem tak pisze w swym *Un hiver à Majorque:* »J'éprouvais d'ailleurs de vives perplexités. Je n'ai aucune notion scientifique d'aucun genre, et il m'eût fallu être médecin, et grand médecin, pour soigner la maladie dont toute la responsabilité pesait sur mon coeur. Le médecin qui nous voyait, et dont je ne révoque en doute ni le zèle ni le talent, se trompait, comme tout médecin, même des plus illustres, peut se tromper, et comme, de son propre aveu, tout savant sincère s'est trompé souvent. La bronchite avait fait place à une excitation nerveuse qui produisait plusieurs de phénomènes d'une phthisie laryngée. Le médecin qui avait vu ces phénomènes à de certains moments, et qui ne voyait pas les symptômes contraires, évidents pour moi à d'autres heures, s'était prononcé pour le régime qui con-

wiali ani zawłok robili, a grâce Opatrzności dziś jestem po staremu. To jednak ma wpływ na *Preludya*, które Pan Bóg wie, kiedy dostaniesz. Mieszkać będę za parę dni w najpiękniejszej w świecie okolicy: morze, góry, co chcesz. Mieszkać będę w starym ogromnym, opuszczonym, zrujnowanym klasztorze Kartuzów, co Mendizabal wypędził jakby dla mnie [1]). Blizko Palmy, nic cudniejszego; krużganki, cmentarze najpoetyczniejsze, słowem, dobrze mi tam będzie. Tylko jeszcze fortepianu nie mam. Pisałem do Pleyela Rue de Rochéchouard prosto. Dowiedz się... powiedz, żem nazajutrz mocno zasłabł, żem znów zdrów. Zresztą niewiele mów o mnie, ani o manuskryptach. Pisz do mnie; jeszcze żadnego listu od ciebie nie mam. Rzuć

---

vient aux phthisiques, pour la saignée, pour la diète, pour le laitage. Toutes ces choses étaient absolument contraires, et la saignée eût été mortelle. Le malade en avait l'instinct, et moi, qui, sans rien savoir de la médecine, ai soigné beaucoup de malades, j'avais le même pressentiment. Je tremblais pourtant de m'en remettre à cet instinct qui pouvait me tromper, et de lutter contre les affirmations d'un homme de l'art; et quand je voyais la maladie empirer, j'étais véritablement livré à des angoisses que chacun doit comprendre. Une saignée le sauverait, me disait-on, et si vous vous y refusez, il va mourir. Pourtant il y avait une voix qui me disait jusque dans mon sommeil: Une saignée le tuerait, et si tu l'en préserves, il ne mourra pas. Je suis persuadé que cette voix était celle de la Providence, et aujourd'hui notre ami, la terreur des Majorquins, est reconnu aussi peu phthisique que moi, je remercie le ciel de ne m'avoir pas ôté la confiance qui nous a sauvés«.

[1]) W tem wyrażeniu znać antiklerykalny wpływ pani Sand, której *Un hiver à Majorque* zawiera cały szereg ustępów wymierzonych przeciwko klasztorom i mnichom, wywierającym zgubny wpływ na ludność Majorki. O dekrecie liberalnego ministra Mendizabala, osobistego przyjaciela pani Sand i Chopina, czytamy w *Un hiver à Majorque*: »La première, c'est la grande quantité de couvents, qui absorbait une partie de la population déjà si restreinte. Cet inconvénient a disparu, grâce au décret énergique de M. Mendizabal, que les dévots de Majorque ne lui pardonneront jamais. Quant à don Juan Mendizabal (son nom vaut bien la peine d'être prononcé à propos de tels événements), si ce que j'ai appris de son existence politique m'a été fidèlement rapporté, ce serait plutôt un homme de principes qu'un homme de faits, et, selon moi, c'est le plus bel éloge qu'on puisse faire de lui. De ce que cet homme d'État aurait trop présumé de la situation intellectuelle de l'Espagne en de certains jours, et trop douté en de certains autres, de ce qu'il aurait pris parfois des mesures intempestives ou incomplètes, et semé son idée sur des champs stériles où la semence devait être étouffée ou dévorée, c'est peut-être une raison suffisante pour qu'on lui dénie l'habileté d'exécution et la persistance de caractère nécessaires au succès immédiat de ses entreprises; mais ce n'en est pas une pour que l'histoire, prise d'un point de vue plus philosophique qu'on ne le fait ordinairement, ne le signale un jour comme un des esprits les plus généreux et les plus ardemment progressifs de l'Espagne. En Espagne, Mendizabal a été un des ministres les plus sévèrement jugés, parce qu'il a été le plus courageux, le seul courageux peut-être; et l'acte qui marque sa courte puissance d'un souvenir ineffaçable, la destruction radicale des couvents, lui a été si durement reproché, que j'éprouve le besoin de protester ici en faveur de cette audacieuse résolution et de l'enivrement avec lequel le peuple espagnol l'adopta et la mit en pratique«.



sam mój list do rodziców na bursę i pisz. Jasia ściskam. Nie mów ludziom, żem chorował, bo zrobią bajkę«.

Tymczasem należało się wynosić z willi Son-Vent, ale dokąd? Senor Gomez poprostu wyrzucał swych lokatorów, a nowe mieszkanie w Valdemozie jeszcze nie było urządzone należycie. Co robić? Szczęściem znalał się człowiek, który p. Sand wybawił z kłopotu. Tym odważnym i poczciwym bohaterem i dobroczyńcą okazał się palmijski konsul francuski, który wstawiając się w nad wyraz przykre położenie znakomitej autorki, i ją, i jej chorego towarzysza, gościnnie przygarnął pod swój dach [1]). Mieszkano u niego cztery dni od 10—14 grudnia [2]).

W wilię wyjazdu z Palmy, dnia 14 grudnia, zaniepokojony brakiem wszelkich wiadomości od Fontany i z domu, napisał Chopin list do swego paryskiego przyjaciela, prosząc go, by mu wyjaśnił, jaki jest powód jego uporczywego milczenia? »Jeszcze słowa od ciebie nie mam, a to mój trzeci bilet, jeżeli nie czwarty. Może moi nie pisali? Może im tam nieszczęście jakie w drogę weszło? Czyś ty leniwy? Nie, tyś nie leniwy i poczciwy. Pewnoś moje dwa listy do moich posłał (oba z Palmy) i do mnieś pisał, tylko poczta tutejsza najnieregularniejsza w świecie nie doniosła... Dziś dopiero odebrałem wiadomości, że 1 Decemb. w Marsylii fortepian władowali

---

[1]) Swoją drogą Chopin nie był zbyt wysokiego mniemania o nim, a w liście do Fontany z dnia 28 grudnia wyraził się o p. konsulu wcale niepochlebnie. »Piszesz mi, żeś mi list od moich posłał; anim widział, anim dostał. A tak mi go trzeba! Czyś frankował? Jakeś adresował? Twój list jedyny, com dotychczas teraz odebrał, był źle bardzo adresowany. *Junto* nie pisz bez czegoś zapomnianego i ten pan (wielki kiep en parenthèse) zowie się *Riotord*«. Ten niezaszczytny przydomek dostał się właśnie palmijskiemu konsulowi francuskiemu.

[2]) Zobacz *Un hiver à Majorque*, gdzie pani Sand w tych słowach opisuje ten moment pobytu na Majorce: »Un matin, que nous étions livrés à des craintes sérieuses sur la durée de ces pluies et de ces souffrances qui étaient liées les unes aux autres, nous reçûmes une lettre du farouche Gomez, qui nous déclarait, dans le style espagnol, que nous *tenions* une personne, laquelle *tenait* une maladie qui portait la contagion dans ses foyers, et menaçait par anticipation les jours de sa famille; en vertu de quoi il nous priait de déguerpir de son palais dans le plus bref délai possible. Ce n'était pas un grand regret pour nous, car nous ne pouvions plus rester là sans crainte d'être noyés dans nos chambres; mais notre malade n'était pas en état d'être transporté sans danger, surtout avec les moyens de transport qu'on a à Majorque, et le temps qu'il faisait. Et puis la difficulté était de savoir où nous irions; car le bruit de notre phthisie s'était répandu instantanément, et nous ne devions plus espérer de trouver un gite nulle part, fût-ce à prix d'or, fût-ce pour une nuit. Nous savions bien que les personnes obligeantes qui nous en feraient l'offre n'étaient pas elles-mêmes à l'abri du préjugé, et que d'ailleurs nous attirerions sur elles, en les approchant, la réprobation qui pesait sur nous. Sans l'hospitalité du consul de France, qui fit des miracles pour nous recueillir tous sous son toit, nous étions menacés de camper dans quelque caverne comme des Bohémiens véritables. Comme nous passâmes alors quatre jours à Palma, quoique j'y aie peu quitté cette fois la cheminée que le consul avait le bonheur de posséder (le déluge continuant toujours)«.

na okręt kupiecki. Czternaście dni szedł list z Marsylii. Mam nadzieję, że fortepian przezimuje w porcie albo na kotwicy (bo tutaj nikt się nie rusza jak deszcz), i że go dopiero na wyjezdnem dostanę, co mię bardzo ucieszy, bo oprócz 500 franków cła będę miał przyjemność sam go zapakować nazad [1]). Tymczasem moje manuskrypta śpią, a ja spać nie mogę tylko kaszlę i oddawna plastrami obłożony czekam wiosny albo czego innego... Jutro jadę do owego przecudnego klasztoru *Valdemosa* [2]) pisać w celi starego mnicha, co może miał w duszy więcej ognia, jak ja, i tłumił go tłumił i gasił, bo miał go napróżno. Myślę ci moje *Preludya* i *Balladę* wkrótce posłać. Bądź u L e o n a. Nie mów, żem chory, bo by się o 1000 franków zląkł«.

Nazajutrz po wysłaniu tego listu, dnia 15 grudnia, przeniesiono się do Valdemosy [3]).

Istnieje mnóstwo opisów tego poetycznego ustronia. Pierwsza opisała je pani Sand w swej pięknej pracy *Un hiver à Majorque,* którą wogóle rozsławiła ten romantyczny zakątek. W ostatnich czasach zwiedził i opisał klasztoz w Valdemozie literat francuski, Edward Conte, który, zwiedzając te miejsca, ze skwapliwością szukał śladów pobytu w tych murach Chopina i p. Sand, ale niestety, szukał napróżno. Oto kilka urywków z jego plastycznego opisu klasztoru Kartuzów, gdzie pani Sand skończyła *Spiridiona,* a Chopin wycyzelował ostatecznie *Preludya* [4]): »Wsiadam do *birlu-*

[1]) W liście z dnia 14 grudnia 1838 r., a więc pisanym i wysłanym w tym samym dniu, co powyższy list Chopina, pisze pani Sand w kwestyi tego fortepianu: »Le bon Chopin n'est pas aussi brillant de santé. Son piano lui manque beaucoup. Nous en avons enfin reçu des nouvelles aujourd'hui. Il est parti de Marseille, et nous l'aurons peut être dans une quinzaine de jours. Mon Dieu, que la vie physique est rude, difficile et misérable ici! c'est au delà de ce qu'on peut imaginer«.

[2]) To samo pisze w liście z dnia 14 grudnia 1838 roku pani Sand: »Demain nous partirons pour la chartreuse de Valdemosa, la plus poétique résidence de la terre. Nous y passerons l'hiver, qui commence à peine et qui va bientôt finir. Voilà le seul bonheur de cette contrée. Je n'ai de ma vie rencontré une nature aussi delicieuse que celle de la Majorque«.

[3]) W *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: «Nous partimes pour Valdemosa, vers la mi-décembre, par une matinée sereine, et nous allâmes prendre possession de notre chartreuse au milieu d'un de ces beaux rayons de soleil d'automne qui allaient devenir de plus en plus rares pour nous. Après avoir traversé les plaines fertiles d'Establiments, nous atteignimes ces vagues terrains, tantôt boisés, tantôt secs et pierreux, tantôt humides et frais, et partout cahotés de mouvements abrupts qui ne ressemblent à rien«.

[4]) Opis swój poprzedził pan Conte następującym wstępem dotyczącym jeszcze pobytu w Palmie: »Plan mej podróży był mi łaskawie nakreślony przez p. Canut, francuza urodzonego w Majorce, człowieka pełnego gościnności. Pan Canut, gdy go kto odwiedza, prosi gościa siedzieć, wskazując mu fotel i to fotel George Sand. Potem go nagli, aby wziął parę tonów fortepianu i to fortepianu Chopina. Dwie relikwie. Uczyniłem tak, jak wszyscy, i usiadłem na drogocennem siedzeniu, na fotelu staroświeckim, bardzo nizkim, o kształtach kwadratowych, poręczach wątłych i cienkich, pokrytym grubą materyą w pasy; potem dotknąłem klawiszy«.



*cho,* wehikułu czysto miejscowego; trzęsę się po opustoszonych ulicach. Wreszcie oto wieś. Nieprzyjemna linia fortyfikacyi Palmy zapada w ziemię. Droga wznosi się ciężko w górę, pomiędzy pagórki. Potem napotykając wąwóz, stworzony przez potok górski, mknie wzdłuż niego. Ten potok to pierwsza woda na swobodzie, którą spotykam. Dawniej biegła wolna w głębi wąwozu, którego pochyłości porosłe są zielonymi dębami. Gdzieniegdzie wąwóz się rozszerza. Oto na szczycie ferma otoczona sosnami; kaktusy jeżą swe liście kolczaste, a niekiedy wkoło warzywnego ogródka czerwienią się jaskrawie pyszne kwiaty granatu. Wzgórze jest łagodne, spokojne, przyjemne, *bon enfant,* i tak dojeżdżam aż do klasztoru w Valdemoza, doliny, która je zamyka długim tarasem. Wyprostowane, niby żołnierze na paradzie, stoją tam u wejścia rzędem cyprysy. Pomiędzy nimi widoczne są stopnie z kamienia, które prowadzą do galeryi, nakrytej łukiem. Ponad tem, wyżej, rozwija się skrzydło wyższe budynku, który jest ciężki, masywny, z wieżą nizką po prawej stronie, a po lewej ubrany w dzwonnicę różnokolorową, wysmukłą, wybujałą, której dach ostry i śpiczasty akcentuje podobieństwo do minaretu. Dziwny wygląd, jak na klasztor. Kartuzi, którzy go niegdyś zajmowali, żyli na tej wysokości, niby na balkonie, z którego nasycać oczy swe mogli widokiem ciągle różnym i ciągle pięknym. U stóp swych widzieli wegetacyę równiny, która jakby chciała tutaj roztoczyć całą swą potęgę, wykazać wszystkie dary ziemi-karmicielki. Ogrody brzoskwiniowe żółcą się owocem. Liście fig są jakby pokryte czarnemi plamkami: są to figi dość pospolitego gatunku na Majorce. Tu widzę po raz pierwszy drzewa pomarańczowe i palmowe; to drzewa bardzo delikatne i nie znoszą równiny, płaszczyzny odkrytej, gdzie wiatr z całą swobodą potrząsać niemi może. Potrzebują one wąwozu, doliny otoczonej wzgórzami, zmuszających wiatr, by przelatywał ponad ich wierzchołkami. W zimie, ta cała zieloność z liści odarta, ciągły gniew potoku wezbranego od deszczów, a zwłaszcza nieustanna podróż obłoków, gnanych przez wiatr ku morzu, które zamyka krajobraz w głębi linią prostą, nadają miejscowości ton przenikliwy i smutny. Do tego to zapomnianego zakątka przybyła George Sand z dziećmi i Chopinem, na trzy miesiące, zakątka tembardziej zapomnianego, że w owym czasie prowadziła doń tylko wązka ścieżka. Droga okrąża klasztor i przed frontem, z przeciwległej strony, zatrzymuje się *birlucho* przed oberżą, gdzie woźnica podać sobie każe natychmiast korzeni, fig, winogron, pomidorów, śliwek i owczego sera, wszystko jednocześnie. Zostawiam go przy tej uczcie i wchodzę do klasztoru przez podwórze, ocienione platanami i niezmiernie ciche, pomimo, że budynek w głębi jest zamieszkały, jak o tem świadczą czerwone firanki u malutkich otworów, zastępujących okna. Na moje spotkanie natychmiast wychodzi jakaś stara kobieta i ofiaruje się na przewodnika. Otwiera mi wysokie drzwi, umieszczone w murze na prawo. Oto jesteśmy w kaplicy. Nie zmieniła się wcale od czasu, kiedy ją ogląą-

dała George Sand. Takiemi, jak je opisała wielka autorka, wydają mi się jedyna nawa kaplicy i delikatne jej sztukaterye i artystyczna robota konfesyonałów, okwiecone mozaiki i gotyckie stalle. Niema tu ani jaskrawych dekoracyi, ani wystawy znaków pobożnych, ni posągów, jak w kościele w Palmie. Zaiste, prawdziwe to sanktuaryum wiary idealnej. Przez zakrystyę dostaję się na cmentarz. Biały krzyż pośrodku, studnia w rogu cmentarza, krótki szereg cyprysów pod jedną ze ścian, okalających to miejsce wiecznego spoczynku, krzyż wykuty w kamieniu nad bramą wejściową, a na ziemi, wszędzie, pomiędzy wlokącymi się chwastami, nagie kamyki żwiru dziwnie świecące białością, wszystko to jest powtórzeniem opisu, pozostawionego przed George Sand. Jedno tylko znikło: te oto wynoszące się na kształt pagórków darnie zielone, pod któremi, jak mówi Sand, kryją się groby zakonników, równie zapomnianych po śmierci, jak za życia, te oto groby zrównały się z powierzchnią i tworzą jeden gładki gazon. Od pięćdziesięciu lat nie pochowano tu nikogo więcej, ziemia nie była wcale ruszaną, to też słońce ją spaliło, a czas wygładził. Studnia również stoi pusta i bezczynna, i ten kawałek gruntu, opustoszały, spalony, suchy, tworzy dziwny kontrast z wybujałością życia w około. I tylko żałobnie odcina się na tle owem smutnem sylwetka krzyża, i poruszane wietrzykiem poważnie chwieją się cienie cyprysów. Z cmentarza parę stopni wprowadza nas do galeryi długiej a wązkiej, o nizkiem sklepieniu i murach tak ścisłych i grubych, że zapomina się o klasztorze, a ma się wrażenie fortecy. Dwanaście jednakowych drzwi, w jednakowem od siebie oddaleniu, znaczą wstęp do cel. Którą z nich zamieszkiwała George Sand z Chopinem? Stara kobieta, która mię oprowadza, nic o tem nie wie. I nikt nie wie. Starce ze wsi, a są tacy, co w 1838 roku byli mężami dojrzałymi, również nie pamiętają. To dziwne stadło zostało zapomniane tuż po zniknięciu. Zresztą oboje prawie nie wychodzili z klasztoru, który był dość obszerny, aby się w nim przechadzać dowoli. Rozległość widnokręgu wystarczała, aby zaspokoić ich pożądania natury, przestrzeni. Tak prędko rozwiała się pamięć ich pobytu. Popchnąłem ruchem nagłym drzwi jednej z cel. Zaskoczeni młodzi małżonkowie, przybyli z Palmy dla spędzenia tu miodowego miesiąca, (jak mię objaśnia moja stara), odsuwają się od siebie. Potem śmiejemy się wszyscy razem, następnie wolno mi jest obejrzeć apartament. Nic tu się nie zmieniło w układzie od czasów pobytu zakonników. W rzeczywistości jednak co za zmiana! W tem miejscu, gdzie dawniej, przez wieki całe nikły i więdły ciała samotnych mnichów, teraz oto ile tu życia powstaje, jak tu panuje miłość... Ale zarówno samotność, jak miłość, równem staraniem otaczają ten kawał prostokątny gruntu i te trzy pokoje, trzy cele do niego przyległe, a wszysto razem oddzielone od celi sąsiedniej wysokim murem. Tak, jak niegdyś, stoją tu piramidy sztucznie prowadzonych bukszpanów



studnia, aleje wysłane cegłami i drzewa cytrynowe, pomarańczowe, granaty. Nic się tu nie zmieniło; zostało takie, jak je George Sand oglądała«.

W takiem otoczeniu miał teraz Chopin przeżyć dwa miesiące blizko. Oto zaś, jak się przedstawiał jego pokój, w którym spędzał znaczną część dnia, w którym komponował, na razie przy bardzo rozklekotanym fortepianie palmijskim [1]), gdzie, oblepiony plastrami, kaszlał, marzył, bił się z myślami, sypiał, a raczej starał się spać, ale najwięcej miał nocy bezsennych, smutnych: »Między skałami i morzem — pisał Chopin w pierwszym stąd liście do Fontany — opuszczony ogromny klasztor Kartuzów, gdzie w jednej celi ze drzwiami, jak nigdy bramy w Paryżu nie było, możesz sobie mnie wystawić nieufryzowanego, bez białych rękawiczek, bladego jak zawsze. Cela ma formę trumny wysokiej, sklepienie ogromne zakurzone, okno małe, przed oknem pomarańcze, palmy, cyprysy; naprzeciw okna moje łóżko na pasach, pod filigranową r o z a s ą maurytańską. Obok łóżka stary *nitouchable* kwadratowy klak do pisania ledwo mi służący, na nim lichtarz ołowiany (wielki tu lux) ze świeczką, Bach, moje bazgrały i nie moje szpargały... cicho... można krzyczeć... jeszcze cicho. Słowem piszę ci z dziwnego miejsca« [2]). Było to miejsce dziwne swą poetycznością, jedyne w swoim rodzaju, jako piękność natury i architektury, jako malowniczość krajobrazu, na który, obok najwspanialszej roślinności, bujniejszej niż afrykańska, obok palm, cyprysów, aloesów, cytryn i pomarańcz, składały się góry i morze. Chopin umiał ocenić poetyczność tego »dziwnego miejsca«, to też, w liście do Fontany, pisanym we dwa tygodnie po zamieszkaniu w Valdemozie, wcale obszernie rozpisał się o »tem niebie, o tej poezyi, którą wszystko tu oddycha, o tej barwie miejsc najcudniejszych, jeszcze oczami ludzi niestartej. Jeszcze mało kto płoszył te orły, co codzień nad

[1]) Jeszcze dnia 15 stycznia 1839 r. w liście do pani Marliani pisze pani Sand: »Chopin joue d'un pauvre piano majorquin qui me rappelle celui de Bouffé dans *Pauvre Jaques*... Son piano est enfin arrivé à Palma; mais il est dans les griffes de la Douane, qui demande cinq à six cents francs de droits d'entrée et qui se montre intraitable«.

[2]) To »dziwne miejsce«, obszernie opisane w *Un hiver à Majorque,* tak opisała pani Sand w liście do Fr. Rollinata: »La chartreuse de Valdemosa: nom poétique, demeure poétique, nature admirable, grandiose et sauvage, avec la mer aux deux bouts de l'horizon, des pics formidables autour de nous; des aigles faisant la chasse jusque sur les orangers de notre jardin, un chemin de cyprès serpentant du haut de notre montagne jusqu'au fond de la gorge, des torrents couverts de myrtes, des palmiers sous nos pieds; rien de plus magnifique que ce séjour!« W liście do Duteil'a pisze pani Sand pod datą 20 stycznia 1839 r.: »Au reste, nous sommes bien admirablement logés. Nous avons pris une cellule dans une grande chartreuse, ruinée à moitié, mais très commode et bien distribuée dans la partie que nous habitons. Nous sommes plantés entre ciel et terre. Les nuages traversent notre jardin sans se gêner et les aigles nous braillent sur la tête. De chaque côté de l'horizon, nous voyons la mer. En face une plaine de quinze à vingt lieues; laquelle plaine nous apercevons au bout d'un défilé de montagnes d'une lieue de profondeur. C'est un site peut-être unique en Europe«.

naszemi głowami bujają«. Pani Sand, jak tego dała wymowny dowód w swym opisie *Zimy na Majorce*, niemniej była wrażliwą na uroki tej poezyi, tych czarów!

Niestety, obok tej poezyi znalazła się i najprozaiczniejsza proza, która zarówno Chopinowi, jak i p. Sand — jej z pewnością w jeszcze wyższym stopniu — boleśnie tu przez cały czas dawała się we znaki. »Piękna to rzecz natura — pisał o tem Chopin do przyjaciela — ale z ludźmi nic do czynienia mieć już nie trzeba. Ani dróg, ani poczt. Wiele razy byłem tutaj z Palmy, zawsze tym samym furmanem, zawsze innym traktem. Strumienie robią drogi, awalanże je naprawiają, dziś tam nie można przejechać, bo zaorane, jutro tylko muły mogą, a jakie tu powozy??! To też Julianie, ani jednego Anglika niema, nawet konsula... Tutaj natura dobroczynna, ale ludzie złodzieje, bo nigdy nie widzą obcych, więc nie wiedzą, co żądać za co. Pomarańcze darmo, a guzik do portek sumy bajońskie«. I tak było na każdym kroku, co oczywiście dla p. Sand, na której głowie spoczywała cała realna strona egzystencyi w Valdemozie, było prawdziwem utrapieniem. Przedewszystkiem i natura nie okazała się łaskawą. Aż do połowy stycznia, a więc przez cały pierwszy miesiąc pobytu w Valdemozie, deszcz lał, jak z cebra [1]). Ponieważ klasztor znajdował się na wzgórzu, więc przeciągające chmury wciąż czepiały się jego ścian, co sprawiało, że musiano żyć jakby w obłokach, w ciągłej mgle, w niesłychanej wilgoci. Że to szkodziło Chopinowi, który wciąż kaszlał coraz bardziej, domyśleć się łatwo. Ale i p. Sand w końcu nie mogła znosić tej wilgoci, dostawszy dojmujących cierpień reumatycznych. Tylko jej dzieci były odporne na wszystko, czuły się doskonale, zdrowe i wesołe. Te nieustanne deszcze i wichry, przerywane tylko przelotnemi intermezzami pogody i nocy księżycowych, były ogromnem utrudnieniem

[1]) Jeszcze w liście z dnia 15 stycznia 1839 roku do pani Marliani pisze pani Sand: »Il fait ici des pluies dont on n'a pas idée ailleurs; c'est un déluge effroyable! l'air en est si rélâché, si mou, qu'on ne peut se trainer; on est réellement malade. Heureusement Maurice se porte à ravir; son tempérament ne craint que la gelée, chose inconnue ici. Mais le petit Chopin est bien accablé et tousse toujours beaucoup. J'attends pour lui avec impatience le retour du beau temps, qui ne peut tarder«. W liście do Fr. Rollinata pisze pani Sand: »Le climat devenait horrible à cause de l'élévation de la chartreuse dans la montagne. Nous vivions au milieu des nuages, et nous passâmes cinquante jours sans pouvoir descendre dans la plaine: les chemins s'étaient changés en torrents, et nous n'apercevions plus le soleil. Tout cela m'eût semblé beau, si le pauvre Chopin eût pu s'en arranger. Maurice n'en souffrait pas. Le vent et la mer chantaient sur un ton sublime en battant nos rochers. Les cloîtres immenses et déserts craquaient sur nos têtes. Si j'eusse écrit là la partie de *Lélia* qui se passe au monastère, je l'eusse faite plus belle et plus vraie. Mais la poitrine de mon pauvre ami allait de mal en pis. Le beau temps ne revenait pas«. W liście z dnia 20 stycznia 1839 r. pisze pani Sand do Duteila: »Notre hiver a duré six semaines, non froid, mais pluvieux à nous épouvanter. C'est un déluge! La pluie deracine les montagnes; toutes les eaux de la montagne se lancent dans la plaine; les chemins deviennent des torrents«.



dla p. Sand, jako gospodyni, na której głowie leżało wyżywienie całej rodziny. Wogóle, gdy chodziło o kwestye prowiantów, wypadało walczyć z niesłychanemi trudnościami. Przedewszystkiem z powodu oddalonego położenia klasztoru, była ogromna trudność w otrzymywaniu prowiantów z Palmy, których dostawą zajmował się nader uczynny kucharz konsula francuskiego [1]); a powtóre to, o co na Majorce było najłatwiej, mianowicie wieprzowina, musiało być wykluczone, przynajmniej gdy chodziło o Chopina. Ale czasami nie było możności dostania i wieprzowiny, gdy straszne ulewy uniemożliwiały komunikacyę z miastem, gdy rozmokłe drogi absolutnie były nie do przebycia [2]). Co najgorsza, że od samego początku musiano walczyć ze złą wolą okolicznych mieszkańców, którzy od pierwszej chwili powzięli jakąś wcale nie dwuznaczną niechęć do tej dziwnej rodziny. Przedewszystkiem bano się zarazić »suchotami« Chopina, więc już to wystarczało zupełnie, żeby stronić od jego najbliższych, żeby z nimi unikać wszelkich styczności [3]). Powtóre i ci najbliżsi Chopina nie budzili zaufania

[1]) W *Un hiver à Majorque* tak o tem pisze pani Sand: »Il fallait jeûner en effet. Point de concurrence ni de rabais entre les vendeurs. Celui qui venait le second demandait le double, et le troisième demandait le triple, si bien qu'il fallait être à leur merci et mener une vie d'anachorètes, plus dispendieuse que n'eût été à Paris une vie de prince. Nous avions la ressource de nous approvisionner à Palma par l'intermédiaire du cuisinier du consul, qui fut notre providence, et dont, si j'étais empereur romain, je voudrais mettre le bonnet de coton au rang des constellations. Mais les jours de pluie, aucun messager ne voulait se risquer sur les chemins, à quelque prix que ce fût; et comme il plut pendant deux mois, nous eûmes souvent du pain comme biscuit de mer et de véritables diners de chartreux«.

[2]) Ponieważ Chopina należało wzmacniać pożywnemi potrawami, a o te bywało najtrudniej, więc pani Sand poprostu cierpiała z tego powodu. Oto, co w tej kwestyi sama pisze w *Un hiver à Majorque:* »Mon fils, que j'avais emmené frêle et malade, reprenait à la vie comme par miracle. La Providence permettait à la bonne nature de faire pour lui ces prodiges; c'était bien assez d'un malade. Mais l'autre, loin de prospérer avec l'air humide et les privations, dépérissait d'une manière effrayante. Quoiqu'il fût condamné par toute la faculté de Palma, il n'avait aucune affection chronique; mais l'absence de régime fortifiant l'avait jeté, à la suite d'un catarrhe, dans un état de langueur dont il ne pouvait se relever. Il se résignait, comme on sait se résigner pour soi-même; nous, nous ne pouvions pas nous résigner pour lui, et je connus pour la première fois de grands chagrins pour de petites contrariétés, la colère pour un bouillon poivré ou *chippé* par les servantes, l'anxiété pour un pain frais qui n'arrivait pas, ou qui s'était changé en éponge en traversant le torrent sur les flancs d'un mulet. Je ne me souviens certainement pas de ce que j'ai mangé à Pise ou à Trieste, mais je vivrais cent ans, que je n'oublierais pas l'arrivée du panier aux provisions à la Chartreuse. Que n'eussé-je pas donné pour avoir un consommé et un verre de bordeaux à offrir tous les jours à notre malade«!

[3]) Przedewszystkiem dziwiono się pani Sand, że się nie bała o swoje dzieci, żeby się nie zaraziły suchotami Chopina. Jak na to reagowała pani Sand, o tem informuje następujący ustęp z jej *Un hiver à Majorque:* »Quant à moi, à qui l'on a tant rebattu les oreilles de ces lieux communs: que c'est un crime et un danger d'attaquer même une foi erronée et corrompue, parce que l'on n'a rien à mettre à la place; que les peuples qui ne sont

w sfanatyzowanej ludności, wychodowanej przez mnichów i księży. Skoro zauważono, że ani Chopin, ani p. Sand z dziećmi, gdy przyszła niedziela, nie bywali na mszy w kościele, ani na różnych balach miejscowych, że wogóle nie chodzili do kościoła, tembardziej zaczęto stronić od nich, bo nie dość, że mieli suchotnika między sobą, ale wszyscy zdawali się być bezbożnikami. Cóż dopiero, gdy zobaczono córkę p. Sand, przebraną za chłopca. To już były figle dyabelskie! Jakoż bano się ich poprostu, a zbliżając się do nich, omal nie żegnano się krzyżem świętym. Jednocześnie obdzierano ich, ile się dało. Za dostarczane prowianty żądano cen potrójnych, a gdy p. Sand zaczynała się targować, zaprzestawano wszelkich pertraktacyi, nie chciano słyszeć o niższej cenie, którą na złość jeszcze powiększano czasami [1]). I nie pozostawało nic innego, o ile się nie chciało

point infectés du poison de l'examen philosophique et de la frénésie révolutionnaire sont seuls moraux, hospitaliers, sincères; qu'ils ont encore de la poésie, de la grandeur et des vertus antiques, etc., etc.!.. j'ai ri à Majorque un peu plus qu'ailleurs, je l'avoue, de ces graves objections. Lorsque je voyais mes petits enfants, élevés dans l'abomination de la désolation de la philosophie, servir et assister avec joie un ami souffrant, eux tout seuls, au milieu de cent soixante mille Majorquins qui se seraient détournés avec la plus dure inhumanité, avec la plus lâche terreur, d'une maladie réputée contagieuse, je me disais que ces petits scélérats avaient plus de raison et de charité que toute cette population de saints et d'apôtres. Ces pieux serviteurs de Dieu ne manquaient pas de dire que je commettais un grand crime en exposant mes enfants à la contagion, et que, pour me punir de mon aveuglement, le ciel leur enverrait la même maladie. Je leur répondais que, dans notre familie, si l'un de nous avait la peste, les autres ne s'écarteraient pas de son lit; que ce n'était pas l'usage en France, pas plus depuis la révolution qu'auparavant, d'abandonner les malades; le Majorquin secouait la tête et souriait de pitié. La notion du dévouement envers un inconnu ne pouvait pas plus entrer dans sa cervelle que celle de la probité ou même de l'obligeance envers un étranger«.

[1]) Oto, co w tej kwestyi czytamy w *Un hiver à Majorque:* »Nous eussions pu vivre cependant en bonne intelligence avec ces braves gens, si nous eussions fait acte de présence à leur église. Ils ne nous eussent pas moins rançonnés en toute occasion mais nous eussions pu promener au milieu de leurs champs sans risquer d'être atteints de quelque pierre à la tête au détour d'un buisson. Malheureusement cet acte de prudence ne nous vint pas à l'esprit dans les commencements, et nous restâmes presque jusqu'à la fin sans savoir combien notre manière d'être les scandalisait. Il nous appelaient païens, mahométans et juifs; ce qui est pis que tout, selon eux. L'alcade nous signalait à la désapprobation de ses administrés: je ne sais pas si le curé ne nous prenait point pour texte de ses sermons. La blouse et le pantalon de ma fille les scandalisaient beaucoup aussi. Ils trouvaient fort mauvais qu'une *jeune personne* de neuf ans courût les montagnes *déguisée en homme.* Ce n'étaient pas seulement les paysans qui affectaient cette pruderie. Le dimanche, le cornet à bouquin qui retentissait dans le village et sur les chemins pour avertir les retardataires de se rendre aux offices nous poursuivait en vain dans la Chartreuse. Nous étions sourds, parce que nous ne comprenions pas, et quand nous eûmes compris, nous le fûmes encore davantage. Ils eurent alors un moyen de venger la gloire de Dieu, qui n'était pas chrétien du tout. Ils se liguèrent entre eux pour ne nous vendre leur poisson, leurs oeufs et leurs légumes qu'à des prix exorbitants. Il ne nous fut permis d'invoquer



umrzeć z głodu, tylko płacić, ile żądano. Tymi, którzy wszystkich buntowali przeciwko nim, którzy wszystkich przekupniów namawiali do tego wyzysku podejrzanych przybyszów, była miejscowa służba klasztorna, składająca się z dwóch mężczyzn i jednej kobiety, z oddźwiernego, ogrodnika i szafarki. Była to istna trójka wyzyskiwaczy, w których przesadna pobożność szła w parze z niesłychaną chciwością na pieniądze. Oni to najwięcej dokuczyli p. Sand, która im za to w swym opisie *Zimy na Majorce* wystawiła pomnik, jako świetnie skreślonym postaciom »zakrystyana«, »aptekarza« i »Marii Antonii«. Skończyło się na tem, że wskutek naprężonego stosunku z panią Sand nie chcieli pełnić posług, do których się zobowiązali z początku, tak, że wszystko musiała robić służąca pani Sand i... pani Sand sama [1]). Służąca, przemęczona zbyt ciężką służbą, zaczęła odmawiać posłuszeństwa, tak, że jej pani Sand musiała pomagać, zarówno w kuchni, jak przy sprzątaniu [2]).

Całe szczęście, że jej na wszystko starczyło czasu i sił, że, choć obar-

aucun tarif, aucun usage. A la moindre observation: *Vous n'en voulez pas?* disait le pagès d'un air de grand d'Espagne, en remettant ses oignons ou ses pommes de terre dans sa besace; *vous n'en aurez pas.* Et il se retirait majestueusement, sans qu'il fût possible de le faire revenir pour entrer en composition. Il nous faisait jeûner pour nous punir d'avoir marchandé«.

[1]) W liście do Duteila z dnia 20 stycznia 1839 r. pisze p. Sand w tej kwestyi: »Nous sommes installés depuis un mois seulement et nous avons eu toutes les peines du monde. Le naturel du pays est le type de la méfiance, de l'inhospitalité, de la mauvaise grâce et de l'égoïsme. De plus, ils sont menteurs, voleurs, dévots comme au moyen âge. Ils font bênir leurs bêtes, tout comme si c'étaient des chrétiens. Ils ont la féte des mulets, des chevaux, des ânes, des chèvres et des cochons. Ce sont de vrais animaux eux-mêmes, puants, grossiers et poltrons; avec cela, superbes, très bien costumés, jouant de la guitare et dansant le fandango. Moi, je passe pour vouée au diable, parce que je ne vais pas à la messe, ni au bal, et que je vis seule au fond de ma montagne, enseignant à mes enfants *la clef des participes* et autres gracieusetés«. W liście do Rollinata datowanym 8 marca 1839 roku z Marsylii, tak mu pani Sand opisuje swoje tarapaty w Valdemozie: »Mais on a eu raison de poser en principe que, là où la nature est belle et généreuse, les hommes sont mauvais et avares. Nous avions là toutes les peines du monde à nous procurer les aliments les plus vulgaires que l'ile produit en abondance, grâce à la mauvaise foi insigne, à l'esprit de rapine des paysans, qui nous faisaient payer les choses à peu près dix fois plus que leur valeur, si bien que nous étions à leur discrétion, sous peine de mourir de faim. Nous ne pûmes nous procurer de domestiques, parce que nous n'étions pas *chrétiens* et que personne d'ailleurs ne voulait servir un *poitrinaire!* Cependant nous étions installés tant bien que mal«.

[2]) W tymże liście do Rollinata pisze p. Sand: »Une femme de chambre que j'avais amenée de France et qui, jusqu'alors, s'était résignée, moyennant un gros salaire, à faire la cuisine et le ménage, commençait à refuser le service comme trop pénible. Le moment arrivait où, après avoir fait le coup de balai et le pot-au-feu, j'allais aussi tomber de fatigue; car, outre mon travail de précepteur, outre mon travail littéraire, outre les soins continuels qu'exigeait l'état de mon malade, et l'inquiétude mortelle qu'il me causait, j'étais couverte de rhumatismes«.

czona tyloma nieprzewidzianemi zajęciami i obowiązkami, łatwo godziła się z losem, a nawet nie traciła dobrego humoru i pogody umysłu. Rano, po wydaniu dyspozycyi służbie, po konferencyi ze służąca, przez kilka godzin, aż do południa, zajmowała się z dziećmi, którym udzielała lekcyi. Do tych lekcyi przywiązywała ogromną wagę, bo przyszła do wniosku, że jednak matka, o ile sama coś umie, zawsze jest najlepszym nauczycielem i pedagogiem. Co więcej, że ją samą bardzo zajmowały te lekcye, czy to gdy z Maurycym studyowała Tucydydesa, czy to gdy Solange uczyła gramatyki [1]). Lekcyom tym, prowadzonym w duchu teoryi Piotra Leroux, poświęcała regularnie po sześć do siedmiu godzin dziennie, co zwłaszcza w słotę było doskonałem skracaniem czasu. Po południu, o ile pogoda była jaka taka, robiono wycieczki, spacery, jeżdżono do Palmy, skąd wracano dopiero nad wieczorem, na obiad. Chopin nie brał udziału w tych eskapadach. Wieczory spędzano razem, nieraz przy cudnej muzyce Chopina, poczem, gdy wszyscy udali się na spoczynek, p. Sand zamykała się w swojej celi, ażeby w niej pół nocy strawić na pisaniu. W takich warunkach napisała *Les Sept Cordes de la lyre* [2]).

Podobny tryb życia, na każdym kroku obfitujący w przeciwności różnego rodzaju, na tle niewygód pomieszczenia i gospodarstwa, na tle sześciotygodniowej niepogody, o ile był fraszką dla pani Sand i jej dzieci, o tyle dla Chopina, dla jego rozstrojonych nerwów, równał się poprostu katastrofie. To też, gdy p. Sand, Maurycy i Solange, czuli się wcale niezgorzej, pomimo, że czasem przeklinali tę podróż, będącą naogół *un fiasco epouventable*, to Chopin, w najwyższym stopniu zdenerwowany, kaszlący, coraz bardziej upadający na siłach, z każdym dniem popadał w coraz bardziej ponury nastrój psychiczny, nastrój, który chwilami wprost graniczył z rozpaczą, czasami dochodzącą niemal granic obłędu [3]). Oto, jak jego ów-

[1]) W liście z dnia 20 stycznia 1839 r. do Duteila pisze pani Sand: »Je suis si occupée, que j'ai à peine le temps d'en jouir. Tous les jours, je fais travailler mes enfants pendant six ou sept heures; et, selon ma coutume, je passe la moitié de la nuit à travaller pour mon compte«. W innym liście, z dnia 15 stycznia, do pani Marliani, pisze pani Sand: »Heureusement, comme je vous le dis, chère, je n'ai pas le temps d'y penser: je suis plongée avec Maurice dans Thucydide et compagnie; avec Solange, dans le régime indirect et l'accord du participe.

[2]) Drukowane w *Revue des deux Mondes,* w zeszytach z dnia 15 kwietnia i 1 maja 1839 roku.

[3]) W *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: »Nous étions donc seuls à Majorque, aussi seuls que dans un désert; et quand la subsistance de chaque jour était conquise, moyennant la guerre aux *singes,* nous nous asseyions en famille pour en rire autour du poêle. Mais à mesure que l'hiver avançait, la tristesse paralysait dans mon sein les efforts de gaieté et de sérénité. L'état de notre malade empirait toujours; le vent pleurait dans le ravin, la pluie battait nos vitres, la voix du tonnere perçait nos épaisses murailles et venait jeter sa note lugubre au milieu des rires et des jeux des enfants. Les aigles et les vautours, enhardis par le brouillard, venaient dévorer nos pauvres passereaux jusque



czesny stan opisuje p. Sand w swych pamiętnikach: »Skoro się zima rozpoczęła i deszcze ulewne nastały, Chopin mocnych zaczął doznawać bólów w piersi. Nie wiem, coby się ze mną było stało, gdyby Maurycy był zapadł na reumatyzm. Żadnego bowiem nie mieliśmy lekarza godnego zaufania, a i najprostszych lekarstw niepodobna było prawie wyszukać. Nawet cukier, który sprzedawano na wyspie, był tak lichego gatunku, że nieraz nas nabawił dotkliwych boleści. Pobyt nasz w tej romantycznej pustelni stałby się był dość przyjemnym na przekór dzikości kraju i sknerstwu mieszkańców, gdyby nie smutny widok cierpień naszego towarzysza, a niekiedy rzeczywista obawa o jego życie, która gwałtem pozbawiając mnie wszelkiej przyjemności z dokonanej podróży, korzyści jej niweczyła. Biedny artysta nieznośnym był w chorobie. To, czegom się obawiała, na nieszczęście nie dość silnie, ziściło się. Zniechęcił się najzupełniej. Znosząc cierpienia dość mężnie, nie zdołał pohamować niespokojności swej wyobraźni. Klasztor wydawał mu się miejscem pełnem widm i duchów, nawet wtenczas, gdy mu ból piersi mniej dokuczał. Taił on się z tem przed nami, lecz łatwo to było odgadnąć. Po powrocie z dziećmi z naszych wycieczek po ruinach klasztoru zastawałam Chopina o godzinie dziesiątej przy fortepianie. Wzrok miał obłąkany, włosy najeżone, i kilka chwil upływało, nim nas poznał. Następnie przymuszał się do uśmiechu, i grał nam szczytne kawałki, czyli raczej pomysły rozdzierające i straszne, które, jakby mimo jego wiedzy władały nim podczas tej krótkiej godziny samotności, smutku i przerażenia. Dłużej i silniej go smutkiem przejmował krzyk żałosny zgłodniałego orła, czepiającego się po urwiskach Majorki, przeraźliwy świst wichru i ponura nieruchomość ciosów obciążonych śniegiem, aniżeli rozweselały wonne pomarańcz kwiecie, giętkie winne latorośle, chylące się pod gron ciężarem, lub maurytańska piosnka pracującego w polu rolnika. Przesadne zajęcie się szczegółami, wstręt nieprzezwyciężony do wszystkiego, co choć troszeczkę tchnęło niedostatkiem, a przytem nawyknienie do wyszukanych wygód ten miało skutek, że niebawem Majorka zupełnie mu obmierzła.

sur le grenadier qui remplissait ma fenêtre. La mer furieuse retenait les embarcations dans les ports; nous nous sentions prisonniers, loin de tout secours éclairé et de toute sympathie efficace. La mort semblait planer sur nos têtes pour s'emparer de l'un de nous, et nous étions seuls à lui disputer sa proie. Il n'y avait pas une seule créature humaine à notre portée qui n'eût voulu au contraire le pousser vers la tombe pour en finir plus vite avec le prétendu danger de son voisinage. Cette pensée d'hostilité était affreusement triste. Nous nous sentions bien assez forts pour remplacer les uns pour les autres, à force de soins et de dévouement, l'assistance et la sympathie qui nous étaient déniées; je crois même que dans de telles épreuves le coeur grandit et l'affection s'exalte, retrempée de toute la force qu'elle puise dans le sentiment de la solidarité humaine. Mais nous souffrions dans nos âmes de nous voir jetés au milieu d'êtres qui ne comprenaient pas ce sentiment, et pour lesquels, loin d'être plaints par eux, il nous fallait ressentir la plus douloureuse pitié«.

Przedsięwziąć atoli podróży nie było podobna z powodu wielkiej jego słabości. Gdy przyszedł nieco do zdrowia, powstały tak przeciwne wiatry, że przez trzy tygodnie parostatek nie mógł wychylić się z portu. Pobyt nasz w ruinach klasztoru Valdemoza stał się dla Chopina męczarnią, dla mnie ciężkiem udręczeniem«. Niesłychana wilgoć w powietrzu, na którą nic nie mógł poradzić z wielkim trudem zdobyty i ustawiony piec żelazny, wstawiony do jego celi [1]), miała wprost zgubny wpływ na stan zdrowia Chopina; piersi bolały go coraz bardziej, a tak był bezsilny, że ledwo powłóczył nogami [2]). Tak był osłabiony, że choć za wszelką cenę chciał opuścić Majorkę, wracać do Francyi, do Paryża, do swych przyjaciół i uczennic, nie mógł myśleć o tak utrudzającej podróży w tym stanie zdrowia i sił. Żeby choć miał dobry fortepian! Niestety, pleyelowski instrument wciąż był na komorze w Palmie, a on musiał poprzestawać na rozstrojonym klekocie, którego tony jeszcze potęgowały jego nerwowy rozstrój. Przy takim to fortepianie wykończał swoje *Preludya*, nad któremi praca szła mu jak z kamienia.

W takich warunkach, dnia 25 grudnia, w samo pierwsze święto Bożego Narodzenia, otrzymał list od Fontany, datowany 9 t. m., czyli, że wysłany z Paryża przed dwoma tygodniami. List ten, pełen różnych szczegółów o znajomych paryskich, o interesach z wydawcami, o różnych ploteczkach emigracyjnych, zirytował Chopina, dowodził bowiem, że najserdeczniejsi przyjaciele nigdy nie zapominają o materyalnych interesach, że te

---

[1]) W *Un hiver à Majorque* pisze pani Sand: »Nous avions réussi même à Majorque, même dans une chartreuse abandonnée, même aux prises avec les paysans les plus rusés du monde, à nous créer une sorte de bien-être. Nous avions de vitres, des portes et un poële, un poêle unique en son genre, que le premier forgeron de Palma avait mis un mois à forger, et qui nous coûta cent francs. C'était tout simplement un cylindre de fer avec un tuyau qui passait par la fenêtre. Il fallait bien une heure pour l'allumer, et à peine l'était-il, qu'il devenait rouge, et qu'après avoir ouvert longtemps les portes pour faire sortir la fumée, il fallait les rouvrir presque aussitôt pour faire sortir la chaleur. Nous avions un mobilier splendide: des lits de sangle irréprochables, des matelas peu mollets, plus chers qu'à Paris, mais neufs et propres, et de ces grands et excellents couvre-pieds en indienne ouatée et piquée que les juifs vendent assez bon marché à Palma. Une dame française, établie dans le pays, avait eu la bonté de nous céder quelques livres de plume qu'elle avait fait venir pour elle de Marseilie et dont nous avions fait deux oreillers à notre malade. C'était certes un grand luxe dans une contrée où les oies passent pour des êtres fantastiques, et où les poulets ont des démangeaisons même en sortant de la broche«.

[2]) W liście do Rollinata pisze pani Sand: »Dans ce pays-là, on ne connaît l'usage des cheminées; nous avions réussi, moyennant un prix exorbitant, à nous faire faire un poêle grotesque, espèce de chaudron en fer, qui nous portait à la tête, et nous desséchait la poitrine. Malgré cela, l'humidité de la chartreuse était telle, que nos habits moisissaient sur nous. Chopin empirait toujours, et, malgré toutes les offres de services que l'on nous faisait à la manière espagnole, nous n'eussions pas trouvé une maison hospitalière dans toute l'île«.
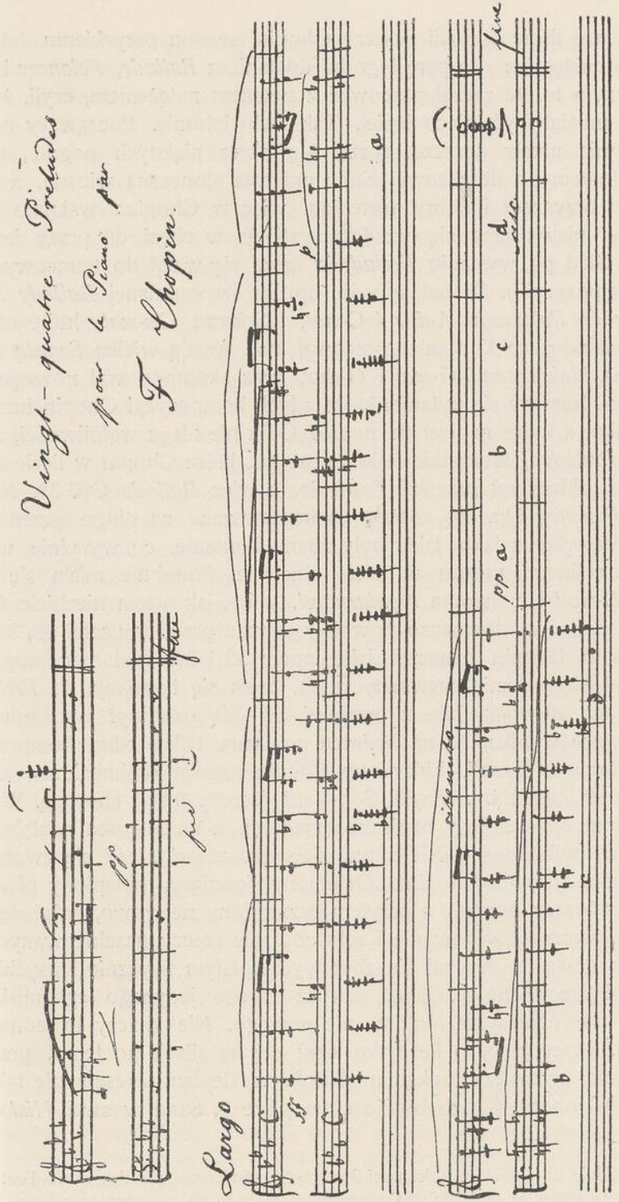


interesa przedewszystkiem mają na widoku, a cóż dopiero, gdy tymi przyjaciółmi są żydzi, albo wydawcy muzyczni, również żydzi. Ale i nie żydzi, jak to wynikało z listu Fontany, nie byli bez a l e. Gdy tamci zbyt wiele myśleli o swych pieniądzach, zaangażowanych w interesach z Chopinem, ci znowu, rozmiłowani w plotkarstwie, niestworzone rzeczy opowiadali o jego podróży w towarzystwie p. Sand, o jego miłości ku niej, o jego chorobie z powodu tego romansu etc. Nawet najbardziej mu oddani, jak Albrechtowie, nie szczędzili komentarzy na temat tej podróży z autorką *Lelii*. Niemniej i sam Fontana, choć poczciwy z kościami, był denerwującym z powodu swego fujarkiewiczostwa. Wszystkie komisa, o których załatwienie prosił go Chopin, załatwiał nie tak, jak należało. Nawet listu nie umiał zaadresować porządnie, czemu należało przypisać, że Chopin aż do tej chwili był bez jednego słówka od rodziców, choć mu Fontana donosił, że doń wysłał jeden list z Warszawy. Wszystko to, oczywiście, musiało drażnić Chopina, a że z Fontaną nie potrzebował robić ceremonii, więc z tem rozdrażnieniem, o jakie go przyprawił jego list, nie myślał taić się przed nim. Stąd drastyczny ton, w jakim mu Chopin odpisał po trzech dniach, ton, świadczący wymownie, że te święta Bożego Narodzenia, które twórca *Preludyów* w tym roku spędzał na Majorce, nie zaliczały się do najmilszych, do najsłodszych. Oto, jak brzmiały najbardziej zasadnicze ustępy tego charakterystycznego listu: »Twój list z 9-go tego miesiąca odebrałem zaonegdaj, a że święta i poczta dopiero na przyszły tydzień odchodzi, więc wolno piszę do ciebie, i ten weksel, który ci posyłam, miesiąc ruski zapewne do ciebie iść będzie. C o t a m o m n i e m ó w i ą, m n i e j s z a. Leo żyd! Nie mogę *Preludyów* ci posłać, bo nieskończone; lepiej się mam i pospieszę, i Żydowi list otwarty krótki odpiszę z podziękowaniem, aż mu w pięty pójdzie (niech mu pójdzie, gdzie chcesz). Szelma! a byłem wigilią wyjazdu u niego, żeby do mnie nie przysyłał. Schlesinger, jeszcze większy pies, żeby moje walce w album kłaść!! i Probstowi sprzedawać, kiedy na jego zebraniu dla Gyca mu do Berlina dałem. Wszystkie te *wszy* mnie teraz mniej kąsają. Niech się Leo wścieka. Żal mi tylko ciebie, ale ty za miesiąc najdalej czysty będziesz z Leonem i z moim gospodarzem. Użyj Wessla pieniędzy, jak potrzeba. Służący co robi? Daj portyerowi 20 franków odemnie noworocznego, jak pieniądze odbierzesz, i zapłać fumistę, jeżeli przychodzi. Nie wiem, żebym długi jakie ważne zostawił. W każdym przypadku, jak ci przyrzekam, za miesiąc najdalej będziemy czyści. Dziś księżyc przecudny. Nigdy taki nie był. Ale, ale! Piszesz mi, żeś mi list od moich posłał; anim widział, anim dostał. A tak mi go trzeba! Czyś frankował? Jakeś adresował? Twój list jedyny, com dotychczas teraz odebrał, był źle bardzo adresowany. Junto nie pisz bez czegoś zapomnianego i ten Pan (wielki kiep en parenthèse) zowie się *Riotord*. Posyłam ci najlepszy adres. Fortepian od ośmiu dni w porcie czeka, co duana powie, która

chce gór złotych za to świństwo. Pisz na Boga, zawsze frankuj i Palma de Mallorca dodawaj. Posyłam ci weksel i list do moich. Jasia kocham i żałuję, że nieukształcił się zupełnie na dyrychtura dzieci dobroczynności w jakim Nürenbergu albo Bambergu. Niechże przecie napisze, że człek... To zdaje mi się trzeci czy czwarty list, co ci do rodziców posyłam. Albrechta uściskaj, ale mało mów«.

W kilka dni po wysłaniu tego listu, na początku stycznia, udało się nareszcie Chopinowi, za cenę 300 franków cła, wydostać z komory w Palmie fortepian Pleyela [1]). Od tej chwili, tak upragnionej od dnia przyjazdu na Majorkę, z zapałem wziął się do pracy kompozytorskiej, na czem najlepiej wyszły *Preludya,* które w niespełna tydzień już wykończył zupełnie, tak, że je mógł posłać do druku. Jakoż dnia 15 stycznia wysłał je do Paryża, na ręce Fontany, któremu przy tej sposobności napisał następujący list z instrukcyami: »Moje kochanie! Posyłam Ci *Preludye.* Przepisz, ty i Wolff; myślę, że błędów niema. Dasz przepisane Probstowi, a manuskrypt Pleyelowi. Probsta pieniądze, do którego masz bilet i reçu, zaniesiesz zaraz do Leona, do którego czasu pisać z podziękowaniem nie mam, a z pieniędzy, co ci da Pleyel, t. j. 1500 franków, zapłacisz komorne 425 fr. do nowego roku i wymówisz stancyę grzecznie. Jeżeli trafi się nająć na marzec, to dobrze, a nie, to trzeba trzymać jeszcze kwartał więcej. Tysiąc, co ci zostanie, oddasz Nougiemu odemnie. Dowiesz się o jego mieszkaniu od Jasia, ale mu nic nie mów o pieniądzach, bo on gotów do Noug. szturmować, a ja nie chcę, żeby kto inny prócz ciebie i mnie o tem wiedział. Gdyby się stancya najęła, część mebli do Jasia, część do Grzymały. Pleyelowi powiesz, żeby listy przez ciebie pisał. Posłałem ci przed nowym rokiem weksel dla Wessla. Powiedz Pleyelowi, żem z Wesslem *quita.* Pleyelowi powiedz, żeby o czas wydania *Preludyów* z Probstem się porozumiał. Jeszcze dotychczas żadnego listu od rodziców nie mam!! Trzeba żebyś frankował. Ale czy nie wiesz, co się z pierwszym listem stało? Ściskam cię. Żyję w celi, mam czasem bale arabskie, słońce afrykańskie, morze śródziemne. Albrechtów uściskaj, napiszę do nich. Nie mów, że stancyę rzucam, tylko Grzymale. Nie wiem, ale może dopiero w maju wrócę albo później. Pleyelowi sam list i *Preludye* oddaj. Pisz«.

[1]) W liście do Rollinata (z 8 marca 1839) pisze pani Sand: »Après deux mois d'attente et trois cents francs de contribution, Chopin avait enfin reçu son piano et les voûtes de la cellule s'enchantaient de ses mélodies«. W liście do pani Marliani, datowanym z Valdemozy dnia 22 lutego 1839 r. pisze pani Sand: »Au milieu de tout cela, le ramage de Chopin, qui va son joli train et que les murs de la cellule sont bien étonnés d'entendre. Le seul événement remarquable depuis cette dernière lettre, c'est l'arrivée du piano tant attendu! Après quinze jours de démarches et d'attente, nous avons pu le retirer de la douane moyennant trois cent francs de droits. Joli pays! Enfin il a débarqué sans accident, et les voûtes de la chartreuse s'en réjouissent. Et tout cela n'est pas profané par l'admiration des sots: nous ne voyons pas un chat«.




Facsimile kartki autografu *Preludyów.*

W tymże liście donosił jeszcze Chopin swemu paryskiemu totumfackiemu, co następuje: »Za parę tygodni dostaniesz *Balladę, Polonezy* i *Scherzo*«. Znaczyło to, że zaczął pracować z pewnem natężeniem, czyli, że i ze zdrowiem musiał być nieco lepiej. Tak było istotnie. Począwszy od połowy stycznia ustały deszcze, zaczął się okres pięknych pogód, słońca i ciepła. Słowem po deszczowej zimie przyszła słoneczna wiosna, a że jednocześnie przyszedł i dobry fortepian, więc w Chopina wstąpiło jakby nowe życie, ujawniające się przedewszystkiem w chęci do pracy kompozytorskiej. Stąd po wysłaniu *Preludyów* zaraz się wziął do opracowywania innych kompozycyi [1]). W ten sposób, oprócz wspomnianej *Ballady F-dur,* oprócz dwóch *Polonezów A-dur i C-mol,* i *Scherza Cis-mol,* które obiecywał przesłać wkrótce Fontanie, pracował nad swoją wielką *Sonatą B-mol* nad dwoma *Nokturnami G-mol* i *G-dur,* oraz skomponował nowego *Mazurka E-mol.* Nasuwa się pytanie: które z tych kompozycyi Chopin tutaj wykańczał tylko, a które napisał na nowo? Otóż nie ulega wątpliwości, że tak samo, jak *Preludya,* wszystkie te kompozycye, które Chopin w liście z dnia 15 stycznia obiecywał przysłać Fontanie, a więc *Ballada* Op. 38, *Scherzo* Op. 39 i *Polonezy* Op. 40, zostały skomponowane na długo przed wyjazdem na Majorkę, a jako takie były znane Fontanie, co wyraźnie wynika z tonu odnośnego ustępu w liście Chopina. Podobnie miała się rzecz z *Sonatą B-moll* i z dwoma *Nokturnami,* które, jak o tem niezbicie świadczy liczba opusów, stanowczo powstały jeszcze przed opusami 38, 39 i 40, skoro je sam Chopin oznaczył jako opera 35 i 37. Pod tym względem Chopin był niesłychanie systematycznym, czem się tłómaczy, że *Preludya,* choć wydane równocześnie z opusami 38—40, oznaczył jako opus 28. Z powyższego wynika, że na Majorce powstała tylko jedna kompozycya: rzewny *Mazurek E-moll,* który sam Chopin nazwał »Palmijskim«, a więc napisanym w Palmie t. j. w willi Son-Vent, jeszcze przed chorobą. Wszystkie inne kompozycye były napisane przedtem, a na Majorce zostały tylko opracowane, wykończone. Nic naturalniejszego zresztą, jeśli się zważy rozpaczliwy stan zdrowia Chopina. Osłabiony, kaszlący, oblepiony plastrami, ledwo powłóczący nogami, a przytem rozstrojony nerwowo, mógł się zdobyć na artystyczne oszlifowanie i retuszowanie rzeczy naszkicowanych lub napisanych dawniej, ale czuł się zbyt wyczerpanym fizycznie i psychicznie, by tworzyć rzeczy nowe. Jakoż, oprócz owego jedynego »palmijskiego« *Mazurka,* nie napisał na Majorce nic nowego. Nie znaczy to jednak, by próżnował. Przeciwnie, o ile tylko czuł się na siłach po temu, pracował bardzo pilnie, zwłaszcza, odkąd miał dobry fortepian. Zresztą nie miał nic lepszego do roboty, z tego bowiem, co pisze p. Sand w swej *Histoire de*

[1]) W liście do Rollinata pisze pani Sand: »Chopin composait des chefs d'oeuvre, et nous espérions avaler le reste de nos contrariétés à l'aide de ces compensations«.



*ma vie,* wynika niewątpliwie, że najmniej kilka godzin dziennie pozostawał sam w swojej celi, że dopiero wieczory spędzano razem, ale w ciągu dnia widywano się niewiele, o ile Chopin nie wychodził. Oto, co w tej mierze pisze p. Sand: »Maurycy od rana do wieczora narażając się śmiało ze swą siostrą, na deszcze i słoty, doskonale odzyskał zdrowie. Nie zrażały nas, ani mnie, ani moich dzieci, już to drogi zamienione na strumienie, już wichry i ustawiczne ulewy. Z rana udzielałam lekcyi dzieciom. Resztę dnia trawiły one na bieganiu i zabawach, gdy ja tymczasem zajmowałam się zwykłą pracą. Wieczorem przy świetle księżyca biegaliśmy po krużgankach i korytarzach, albo też czytaliśmy w jakiej celi. Po powrocie z dziećmi z nocnych wycieczek po ruinach klasztoru zastawałam Chopina o godzinie 10-tej przy fortepianie, ze wzrokiem obłąkanym, z włosami zjeżonemi. Niezawsze poznawał nas odrazu; poczem przymuszał się do uśmiechu i grał nam szczytne kawałki, czyli raczej pomysły rozdzierające i straszne, które jakby mimo jego wiedzy, władały nim podczas tej krótkiej godziny samotności, smutku i przerażenia. Pewnego dnia ja i Maurycy udaliśmy się do Palmy, celem zakupienia niektórych potrzebnych nam przedmiotów [1]), zostawiwszy Chopina w zdrowiu jaknajlepszem. Tymczasem ku wieczorowi mocny deszcz padać zaczął. Strumienie wezbrały; my zaś, wśród powodzi pogubiwszy obuwie, opuszczeni od naszego woźnicy i na niesłychane narażeni niebezpieczeństwa, zaledwie zdołaliśmy w przeciągu sześciu godzin odbyć półtorej mili. Nareszcie przybyliśmy do domu, gdzieśmy dopiero około północy stanęli. To opóźnienie tembardziej nas dręczyło, żeśmy wiedzieli, w jakiej niespokojności nasz chory znajdować się musi. W rzeczy samej niespokojność ta była bardzo wielka, lecz już przeszła była w stan spokojnej jakiejś rozpaczy. Ze łzami w oczach wydzwaniał na fortepianie szczytne swe *Preludyum.* Skoro nas spostrzegł wchodzących, powstał z krzykiem cały zmieszany i dziwnym zawołał głosem: »O myślałem, że już nie żyjecie!« Gdy przyszedł do siebie i przypatrzył się naszym zbiedzonym postaciom i przemokłej, zniszczonej odzieży, aż się rozchorował na samą myśl niebezpieczeństw, jakie nam przed chwilą groziły. Wyznał, że czekając na nas, miał widzenie niby we śnie całej naszej podróży, że nie mogąc odróżnić tego urojenia od rzeczywistości, wpadł w pewien stan odurzenia i grając na fortepianie mniemał, że sam nie żyje. Zdawało mu się, że utonął i leży na dnie jeziora, że czuje zimne i ciężkie krople wody,

[1]) Obszerny (zbyt obszerny, by go tu in extenso zacytować można) opis tej wycieczki znajduje się w *Un hiver à Majorque* (str. 177—181). Okazuje się zeń, że głównym celem, dla którego tym razem pani Sand udała się do Palmy, było wydostanie z komory pleyelowskiego fortepianu dla Chopina: »Nous étions partis de Valdemosa, l'enfant et moi, au milieu des pluies de l'hiver, pour aller disputer le pianino de Pleyel aux féroces douaniers de Palma. La matinée avait été assez pure et les chemins praticables, mais, pendant que nous courions par la ville, l'averse recommença de plus belle«.

spadające w takt na jego piersi; a gdym mu zwróciła uwagę na krople deszczu rzeczywiście miarowo na dach spadające, twierdził uporczywie, że ich poprzednio wcale nie był słyszał. *Preludyum,* które grał tego wieczoru, w istocie jest pełne kropel deszczu; lecz w jego wyobraźni i śpiewie krople te przemieniały się w łzy spadające mu z nieba na serce«. Nie wiedziała p. Sand, że *Preludyum,* które Chopin zagrał tym razem, było skomponowane dawniej, że jednak Chopina widywała przy pracy nad *Preludyami,* (o których sądziła mylnie, że je skomponował w Valdemozie), dowodzi ustęp z jej pamiętników, poświęcony tym »szczytnym urywkom«. »Niektóre z nich — słowa są pani Sand — zdają się wśród odgłosu żałobnych pieni przywoływać przed oczy słuchaczów cienie pomarłych mnichów z całym pogrzebowym orszakiem [1]). Inne są pełne wdzięku i melancholii; tych natchnienie przychodziło mu w chwilach słońca i zdrowia, kiedy śmiechy igrających pod oknem dzieci, daleki dźwięk gitary, świegotanie ptaków czepiających się wilgotnej gałęzi dochodziły jego uszu; lub kiedy wpatrywał się w te blade i drobne różyczki, co z pod śniegu w naszym klasztornym ogrodzie wychylały swe główki. Są jeszcze inne, do tego stopnia nacechowane smutkiem, że mimo rozkoszy, jaką słuchanie ich napawa, przejmują do głębi serca«. Jak to widać ze słów powyższych, Chopin, pracując nad *Preludyami,* p. Sand niebardzo wtajemniczał w genezę tych kompozycyi; nic jej nie mówił naprzykład, że były to rzeczy napisane dawniej, lecz ją utrzymywał w mniemaniu, że wszystko to, co jej obecnie grywał wieczorami, zarówno *Preludya,* jak i inne kompozycye, którym tu nadawał ostateczną formę, to były utwory powstałe w Valdemozie. Co pewna, że p. Sand, nieraz tu bywała świadkiem, jak Chopin męczył się nad swemi kompozycyami, jak je cyzelował i polerował. Zato pracował tylko we dnie, przeważnie do południa, wcale się nie starając iść za przykładem p. Sand, pracującej po nocach. W takich warunkach, nim upłynął luty, wykończył ostatecznie *Balladę* i *Polonezy,* które też natychmiast wysłał do Paryża, na ręce Fontany, z listowną instrukcyą, aby je sprzedał Pleyelowi, po 500 franków za każde z dzieł, czyli za 1500 franków.

Co było treścią tego, jak i innych listów, które stąd Chopin pisywał do Fontany — a z których nie wszystkie doszły rąk adresata — o tem najlepiej informuje sam Chopin w jednym ze swych późniejszych listów, w którym streszcza kilka poprzednich. Okazuje się z tego, że wszystkie te listy, choć pisane z tak poetycznego miejsca, jak klasztor w Valdemozie, były nader prozaicznej treści, niemal wyłącznie w interesach z wydawcami, z którymi poczciwy Fontana musiał się ucierać za Chopina, a wyłącznie w kwestyach natury pieniężnej. Oto ich treść, podana przez samego Chopina: »Posłałem ci z Palmy dwa miesiące temu moje *Preludya.* Z tych miałeś, przepisawszy je dla Probsta i wziąwszy od niego pieniądze, oddać Leonowi 1000 franków, a z 1500, które ci miał Pleyel za *Preludya* dać, pisałem ci, żebyś zapłacił Nougiemu i jeden termin gospodarza. W tym samym liście, jeżeli się nie mylę, prosiłem Cię, byś wymówił mieszkanie, bo jeżeliby się to nie uczyniło przed kwietniem, musiałbym takowe zatrzymać na następny kwartał do lipca. Druga posyłka manuskryptów — *Ballady* i *Polonezów* — pewno cię dopiero teraz doszła, bo na komorze, na morzu i znów na komorze, długo siedzieć musiała. Pisałem do Pleyela przy *Preludyach,* że mu *Balladę,* (którą sprzedałem także Probstowi na Niemcy) daję za 1000 fr. Za dwa *Polonezy* na Francyę, Anglię i Niemcy (bo na *Balladzie* ogranicza się prawo Probsta) zażądałem 1500 fr. Zdaje mi się, że nie za drogo? Więc za odebraniem drugiej posyłki manuskryptów, powinieneś mieć od Pleyela 2500 franków, a od Probsta za *Balladę* 500 czy 600 fr., tego nie pamiętam dobrze, co razem czyni 3000 franków. Prosiłem Grzymałę, żeby mi zaraz choć 500 fr. przysłał; nie przeszkadza to jednak spiesznemu reszty przysłaniu. Otóż i moje interesa«. Prócz tego, w jednym z tych listów, była mowa i o *Dziadach* Mickiewicza, o których przysłanie Chopin prosił Fontanę, albowiem chciał zapoznać z ich treścią p. Sand, która — z namowy Chopina oczywiście — miała ochotę napisania dla *Revue des deux Mondes* specyalnego studyum o Mickiewiczu.

W ciągu lutego, gdy już pogoda zaczęła ustalać się na dobre, co szczególniej p. Sand coraz bardziej godziło z Majorką, pomimo tysiącznych niewygód, na jakie tu była narażoną, zawitał do Valdemozy, specyalnie dla złożenia wizyty Chopinowi i jego towarzyszce, do której miał polecenie od swojej kuzynki p. Marliani, niejaki Dembowski, pół-Polak, pół-Włoch, zapalony wojażer i wycieczkowicz, a bardzo miły człowiek. Przyjechał z Paryża, a widząc mieszkanie p. Sand i Chopina, nie mógł wyjść ze zdumienia; uważał bowiem, że było straszne [1]).

Oprócz tej jedynej wizyty, ani Chopin, ani p. Sand, przez cały czas pobytu w Valdemozie, nie mieli żadnych odwiedzin kogokolwiek ze znajomych. Żyli w zupełnem odosobnieniu, poprostu odcięci od świata, od

[1]) Ma tu pani Sand na myśli niewątpliwie *Preludyum E-dur* Nr 9, *Fis-dur* Nr 13, *Des-dur* Nr 15 i *C-moll* Nr 20.



[1]) W liście do p. Marliani, datowanym z Valdemozy dnia 22 lutego 1839 r. pisze pani Sand: »Notre retraite dans la montagne, à trois lieues de la ville, nous a délivrés de la politesse des oisifs. Pourtant nous avons eu *une* visite, et une visite de Paris! c'est M. Dembowski, Italiano-Polonais que Chopin connait et qui se dit cousin de Marliani, à je ne sais quel degré. C'est un voyageur modèle, courant à pied, couchant dans le premier coin venu, sans souci des scorpions et compagnie, mangeant du piment et de la graise avec ses guides. Enfin, de ces gens à qui l'on peut dire: *Bien du plaisir!* Il a été très étonné de mon établissement dans les ruines, de mon mobilier de paysan, et surtout de notre isolement, qui lui semblait effrayant. Le fait est que nous sommes très contents de la liberté que cela nous donne, parce que nous avons à travailler«.

ludzi. Bardzo im to było na rękę, albowiem oboje chcieli pracować i mieć swobodę do pracy.

O ile jednak p. Sand, która rzeczywiście pracowała bardzo intenzywnie, wcale nie było pilno do Paryża, o tyle Chopin już miał dosyć Majorki; poprostu nie mógł się doczekać chwili wyjazdu. Przeciwnie p. Sand; ona pomimo wszystkiego, chętnie-by została dłużej, a jeśli myślała o powrocie, to jedynie ze względu na Chopina. Jakoż, gdy z ustaniem wiatrów uspokoiło się morze, gdy przywrócono regularną komunikacyę między Palmą a Barceloną, zdecydowano się opuścić Valdemozę. »Co do mnie — pisze p. Sand w swych pamiętnikach — lubo rada opuszczałam nasz klasztor, mimo to pewnego doznawałam smutku. Gdybym była tylko sama z dziećmi, chętnie-bym tam przepędziła ze dwa lub trzy lata. Miałam pełną skrzynię wyborowych książek do nauki, a czasu podostatkiem, by je mym dzieciom czytać i objaśniać. Niebo codzień stawało się wspanialszem, okolica coraz więcej czarującą. Nasze romantyczne pomieszczenie nadzwyczajnie nas bawiło. Maurycy w oczach odzyskiwał zdrowie, a brak rzeczy tyczących się wygód życia, do śmiechu nas jedynie i do żartów pobudzał. Byłabym codziennie kilka godzin poświęcała pracy bez przerwy i przeszkody. Jeżeli mi co zbywało czasu wolnego od czuwania nad naszym chorym, obracałam go na czytanie wybornych dzieł treści filozoficznej lub historycznej. Sam nasz chory w innym stanie zdrowia, ach, jakże nieocenionym byłby towarzyszem! Jakąż to poezyą gra jego napełniała nasze domowe zacisze, wtedy nawet, gdy najdolegliwsze dokuczały mu boleści [1]). Klasztor, umajony festonami bluszczu, jakże przecudne tworzył schronienie! Co za wspaniała obfitość kwiatów w dolinie; na wzgórzach zdrowe i czyste powietrze, w dali widnokręgu szafiry morza wprawiały w zachwycenie. Nigdy w piękniejszem nie mieszkałam miejscu, a mało podobnych widziałam. Przecież zaledwie się niem cieszyć zaczęłam, trzeba je było opuścić. Nie ośmielając się odstąpić chorego, krótką tylko chwilkę codziennie mogłam poświęcić przechadzce. Z wielkiego utrudzenia i braku ruchu sama mocno zaniemogłam«.

Ale Chopin naglił do wyjazdu, tak, że nie pozostawało nic innego, tylko wyjeżdżać czemprędzej. Choć wcale nie był dobrze ze zdrowiem,

[1]) Że nieraz, gdy Chopin grywał na fortepianie w swojej celi, na dworze za oknem miejscowi chłopi przysłuchiwali się tej boskiej muzyce, dowodzi następujący szczegół, zapisany przez panią Sand w *Un hiver à Majorque:* »Ce mot de *naturel* dans la bouche d'un paysan qui avait la chevelure et les manières d'un sauvage nous frappa beaucoup. Le son du piano et le jeu de l'artiste le jetaient dans une sorte d'extase. Il abandonnait son travail et venait se placer derrière la chaise de l'exécutant, la bouche entr'ouverte et les yeux hors de la tête. Ces instincts élevés ne l'empêchaient pas d'être voleur comme tous les paysans majorquins le sont avec les étrangers; et cela sans aucune espèce de scrupule, quoiqu'ils soient d'une loyauté religieuse, dit-on, dans les rapports qu'ils ont entre eux«.



choć się czuł tak osłabionym, że należało się obawiać, czy w tych warunkach zniesie przeprawę morską, to jednak ani dnia tu nie chciał zostać dłużej; chciał wracać za wszelką cenę [1]). Gdy się dowiedział, że okręt znów co tydzień regularnie zaczyna jeździć do Barcelony, nie było sposobu, żeby jeszcze przedłużyć pobyt na Majorce; gotów był wyjechać sam jeden, a do tego p. Sand nie chciała dopuścić.

Na to jednak, żeby opuścić Majorkę, należało się dostać do Palmy, a żeby dostać się do Palmy, należało przebyć trzy mile drogi po najstraszniejszych wybojach, co dla p. Sand i jej dzieci nie było żadną przeszkodą, ale dla Chopina, w tym stanie zdrowia, w jakim się znajdował, równało się poprostu niebezpieczeństwu, o ile-by tej drogi nie mógł przebyć w wygodnym powozie na resorach. Niestety, pomimo zabiegów p. Sand, która koniecznie pragnęła dostać taki wygodny powóz dla chorego Chopina, wszyscy znajomi w Palmie, którzy mieli własne pojazdy, gdy się p. Sand zwróciła do nich, prosząc o pożyczenie ekwipażu, dali odpowiedź odmowną. Skończyło się na tem, że musiano pojechać zwykłym trzęsącym *birlocho,* co oczywiście musiało zaszkodzić Chopinowi [2]).

Nikt nie przypuszczał jednak, że mu zaszkodzi tak bardzo. Okazało się bowiem, że ledwo przyjechał do Palmy, zaraz dostał strasznego krwotoku [3]), co oczywiście było doraźnym skutkiem nadmiernego trzęsienia się w czasie trzygodzinnej jazdy w niewygodnym wehikule. Co najgorsza, że okręt odpływał nazajutrz, czyli, że nie chcąc jechać dopiero za tydzień, na-

[1]) Trudno mu się dziwić zresztą, jeżeli się zważy, w jak niemiłej atmosferze moralnej żyć tu i chorować był zmuszony. Oto, jak te ostatnie dni pobytu w Valdemozie opisuje pani Sand w *Un hiver à Majorque:* »Mais les beaux jours revinrent, et le steamer majorquin put reprendre ses courses hebdomadaires à Barcelone. Notre malade ne semblait pas en état de soutenir la traversée, mais il semblait également incapable de supporter une semaine de plus à Majorque. La situation était effrayante; il y avait des jours où je perdais l'espoir et le courage. Pour nous consoler, la Maria-Antonia et ces habitués du village répétaient en choeur autour de nous les discours les plus édifiants sur la vie future. »Ce phthisique, disaient-ils, va aller en enfer, d'abord parce qu'il est phthisique, ensuite parce qu'il ne se confesse pas. S'il en est ainsi, quand il sera mort, nous ne l'enterrons pas en terre sainte, et comme personne ne voudra lui donner la sépulture, ses amis s'arrangeront comme ils pourront. Il faudra voir comment ils se tireront de là; pour moi, je ne m'en mêlerai pas. — Ni moi. — Ni moi; et amen!« Enfin nous partîmes«.

[2]) W liście do Rollinata pisanym bezpośrednio po przyjeździe do Marsylii, donosi mu pani Sand: »Enfin nous résolûmes de partir à tout prix, quoique Chopin n'eût pas la force de se traîner. Nous demandâmes un seul, un premier, un dernier service! une voiture pour le transporter à Palma, où nous voulions nous embarquer. Ce service nous fut refusé, quoique nos *amis* eussent tous équipage et fortune à l'avenant. Il nous fallut faire trois lieues dans des chemins perdus en *birlocho,* c'est-à-dire en brouette!«

[3]) »En arrivant à Palma — pisze pani Sand w liście do Rollinata — Chopin eut un crachement de sang épouvantable«.

leżało jechać zaraz, prawie bezpośrednio po tym krwotoku. Było to szaleństwem, ale Chopin uparł się, że wyjedzie, i pojechano. W ostatniej chwili, gdy już miał siadać na okręt, wręczono mu trzy listy z domu i od Fontany.

Nic przykrzejszego, jak ta przeprawa do Barcelony. Pomimo upału, nie pozwolono podróżnym, żeby wychodzili ze swych kajut, gdyż cały pokład był zawalony świniami, których przewożenie było specyalnością *El Mallorquin'a*. Straszny zaduch, jaki panował w kajutach, potęgowany niemiłą wonią, jaką zwykła wydzielać nierogata trzoda chlewna, całkiem nie wzruszał kapitana okrętu, gdy mu starano się wytłomaczyć, że dla człowieka chorego, jak Chopin, takie przymusowe siedzenie w kajucie, przy niemożności oddychania świeżem powietrzem, było zabójczem. Cóż, kiedy kapitanowi więcej zależało na świniach, niż na Chopinie, tak, że ani myślał mieć jakiekolwiek względy na rozpaczliwy stan chorego. Przeciwnie, bojąc się, że to może być choroba zaraźliwa, sam dopilnował tego, żeby Chopinowi dano jaknajgorsze posłanie, albowiem posłanie to, jako po suchotniku, i tak miało być spalonem i... zapłaconem drogo! Za to przez całą noc nie dano spać Chopinowi, batożąc śpiące świnie, które w ten sposób starano się podniecać, żeby nie posnęły. Nie posnęły rzeczywiście, ale, okładane batami, za każdym batogiem ryczały przeraźliwie. Że w takich warunkach nie mogło być mowy o spaniu, nietylko dla świń, ale i dla pasażerów, nadmieniać zbyteczna. Chopin nietylko spędził noc bezsennie, ale przez całą drogę pluł krwią [1]).

[1]) W liście do Rollinata pani Sand tak opisuje tę przeprawę: »Nous nous embarquâmes le lendemain sur l'unique bateau à vapeur de l'ile, qui sert à faire le transport des cochons à Barcelone. Aucune autre manière de quitter ce pays maudit. Nous étions en compagnie de *cent pourceaux* dont les cris continuels et l'odeur infecte ne laissèrent aucun repos et aucun air respirable au malade«.

Nierównie obszerniej opisaną została ta morska przeprawa z Palmy do Barcelony w *Un hiver à Majorque,* gdzie pani Sand w takich słowach unieśmiertelnia kapitana okrętu: »Lorsque nous revînmes de Majorque à Barcelone, au mois de mars, il faisait une chaleur étouffante; cependant il ne nous fut point possible de mettre le pied sur le pont. Quand même nous eussions bravé le danger d'avoir les jambes avalées par quelque pourceau de mauvaise humeur, le capitaine ne nous eût point permis, sans doute, de les contrarier par notre présence. Ils se tinrent fort tranquilles pendant les premières heures; mais, au milieu de la nuit, le pilote remarqua qu'ils avaient un sommeil bien morne, et qu'ils semblaient en proie à une noire mélancolie. Alors on leur administra le fouet, et régulièrement, à chaque quart d'heure, nous fûmes réveillés par des cris et des clameurs si épouvantables, d'une part la douleur et la rage des cochons fustigés, de l'autre les encouragements du capitaine à ses gens et les jurements que l'émulation inspirait à ceux-ci, que plusieurs fois nous crûmes que le troupeau dévorait l'équipage. Quand nous eûmes jeté l'ancre, nous aspirions certainement à nous séparer d'une société aussi étrange, et j'avoue que celle des insulaires commençait à me peser presque autant que l'autre; mais il ne nous fut permis de prendre l'air qu'après le débarquement des cochons. Nous eussions pu mourir asphyxiés dans nos chambres que personne ne s'en fût soucié, tant qu'il y avait un cochon à mettre à terre et à délivrer du roulis. Je ne crains point la mer, mais quelqu'un de ma famille était dangereusement malade. La traversée, la mauvaise odeur et l'absence de sommeil n'avaient pas contribué à diminuer ses souffrances. Le capitaine n'avait eu d'autre attention pour nous que de nous prier de ne pas faire coucher notre malade dans le meilleur lit de la cabine, parce que, selon le préjugé espagnol, toute maladie est contagieuse; et comme notre homme pensait déjà à faire brûler la couchette où reposait le malade, il désirait que ce fût la plus mauvaise. Nous le renvoyâmes à ses cochons; et quinze jours après, lorsque nous revenions en France sur *le Phénicien,* un magnifique bateau à vapeur de notre nation, nous comparions le dévouement du Français à l'hospitalité de l'Espagnol. Le capitaine d'*El Mallorquin* avait disputé un lit à un mourant; le capitaine marseillais, ne trouvant pas notre malade assez bien couché, avait ôté les matelas de son propre lit pour les lui donner. Quand je voulus solder notre passage, le Français me fit observer que je lui donnais trop; le Majorquin m'avait fait payer double«

[1]) W *Un hiver à Majorque* pani Sand tak pisze o tem: »Quand nous entrâmes à Barcelone, nous étions si pressés d'en finir pour toute l'éternité avec cette race inhumaine, que je n'eus pas la patience d'attendre la fin du débarquement. J'écrivis un billet au commandant de la station, M. Belvès, et le lui envoyai par une barque. Quelques instants après, il vint nous chercher dans son canot, et nous nous rendîmes à bord du *Méléagre.* En mettant le pied sur ce beau brick de guerre, tenu avec la propreté et l'élégance d'un salon, en nous voyant entourés de figures intelligentes et affables, en recevant les soins généreux et empressés du commandant, du médecin, des officiers et de tout l'équipage; en serrant la main de l'excellent et spirituel consul de France, M. Gautier d'Arc, nous sautâmes de joie sur le pont en criant du fond de l'âme: »Vive la France!« Il nous semblait avoir fait le tour du monde et quitter les sauvages de la Polynésie pour le monde civilisé«.



Po tak spędzonej nocy, gdy nareszcie *El Mallorquin* wpłynął do portu w Barcelonie, p. Sand tak była zirytowana niedelikatnością kapitana, że gdy tylko okręt przybił do brzegu zaraz napisała kartkę do swego znajomego kapitana statku wojennego francuskiego, p. Belvesa, który natychmiast po nią przyjechał łodzią okrętową, ażeby ją, wraz z jej całą rodziną, zabrać na pokład *Meleagra* [1]).

Tutaj, w otoczeniu francuskich oficerów i całej załogi, w towarzystwie lekarza, który niezwłocznie zaopiekował się Chopinem, i konsula francuskiego, gotowego do wszelkich usług, odrazu poczuto się w innej atmosferze, w atmosferze życzliwości i serdeczności. Przedewszystkiem zajęto się wstrzymaniem krwotoku Chopina, co rzeczywiście osiągnięto już po upływie 24 godzin. Gdy chory nieco przyszedł do siebie, przewieziono go na ląd, a stamtąd powozem konsula francuskiego, do hotelu. Tutaj pod troskliwą opieką doktora francuskiego, pod opieką uczynnego komendanta stacyi morskiej francuskiej, pod opieką konsula francuskiego, a przedewszystkiem pod opieką samej p. Sand, w dzień i w nocy czuwającej przy nim, Chopin dość szybko zaczął odzyskiwać siły, tak, że już po tygodniu mógł puścić się w drogę do Marsylii. Gdy opuszczano hotel w Barcelonie, zażądał gospodarz, żeby mu zapłacono za łóżko, w którem sypiał Chopin

albowiem łóżko i pościel, stosownie do obowiązujących przepisów policyjnych, musiały być spalone niezwłocznie.

W takich warunkach, złorzecząc narodowi hiszpańskiemu, opuszczono Barcelonę, udając się na pokład pysznego parowca francuskiego *Le Phenicien,* na którym miano odbyć podróż do Marsylii. Podróż ta, dzięki uczynnemu kapitanowi, który, byle dogodzić Chopinowi, odstąpił mu swoje własne materace, pod żadnym względem nie była podobną do przeprawy na okręcie hiszpańskim, czyli, że odbyła się bardzo przyjemnie, o ile to było możliwem przy stanie zdrowia Chopina [1]).

## IV.

»Nareszcie jesteśmy w Marsylii — pisała w połowie kwietnia p. Sand do Rollinata — Chopin doskonale zniósł przeprawę. Jest on tu bardzo słaby, ale czuje się nieskończenie lepiej pod wszystkimi względami, co ma głównie do zawdzięczenia doktorowi Cauvières, zacnemu człowiekowi i znakomitemu doktorowi, który nim opiekuje się po ojcowsku, i który ręczy za jego wyzdrowienie. Oddychamy nakoniec, ale po jakże wielu dolegliwościach i utrapieniach!« Przybywszy do Marsylii, gdzie z góry była przygotowaną zabawić czas dłuższy, ażeby tym sposobem dać możność dojścia do zdrowia Chopinowi, p. Sand zaczęła od tego, że się zwróciła do słynnego lekarza miejscowego, doktora Cauvières, ażeby zbadał Fryderyka, ażeby postawił ścisłą dyagnozę, a następnie, by się zajął jego leczeniem. Doktór Cauvières w pierwszej chwili, po zbadaniu Chopina, bardzo pesymistycznie zapatrywał się na jego stan ogólny, uważając, że był to stan »bardzo niebezpieczny«. Ale przepisawszy stosowną kuracyę, bardzo łagodną, głównie polegającą na dobrem odżywianiu się, na spożywaniu wielkiej ilości mleka, spostrzegł niebawem, że chory nadzwyczaj szybko zaczyna przychodzić do zdrowia, że organizm jego, poddany troskliwej i umiejętnej pielęgnacyi, łatwo odzyskuje utracone siły, co dowodziło, że płuca były w stanie przej-

[1]) W liście do Rollinata, datowanym 8 marca 1839 r. z Marsylii, pisze pani Sand: »Il arriva à Barcelone crachant toujours le sang à pleine cuvette, et se traînant comme un spectre. Là, heureusement, nos infortunes s'adoucirent! Le consul français et le commandant de la station française maritime nous reçurent avec l'hospitalité et la grâce qu'on ne connait pas en Espague. Nous fûmes transportés à bord d'un beau brick de guerre, dont le médecin, brave et digne homme, vint tout de suite au secours du malade et arrêta l'hémorragie du poumon au bout de vingt-quatre heures. De ce moment, il a été de mieux en mieux. Le consul nous fit transporter à l'auberge dans sa voiture. Chopin s'y reposa huit jours, au bout desquels le même bâtiment à vapeur qui nous avait amenés en Espagne nous ramena en France. Au moment où nous quittions l'auberge à Barcelone, l'hôte voulait nous faire payer le lit où Chopin avait couché, sous prétexte qu'il était infecté et que la police lui ordonnait de le brûler!«



ściowego podrażnienia, ale nie było mowy o chorobie piersiowej, o suchotach. Jakoż, już po upływie krótkiego czasu, oświadczył doktór Cauvière, że jeśli Chopin całą wiosnę spędzi na południu, choćby w Marsylii, a zwłaszcza gdzieś na wsi w pobliżu Marsylii, wówczas po jakichś dwóch miesiącach będzie mógł wyjechać zdrów zupełnie, tak dalece, że jeśli się będzie szanował i uważał na siebie, ma wszelkie dane po temu, by doczekać lat matuzalemowych. Usłyszawszy taką opinię, p. Sand odrazu zdecydowała się zastosować do powyższej rady, czyli, że przed majem nie myślała o wyjeździe z Marsylii. Nie było to nawet zbytniem poświęceniem z jej strony, bo najprzód w Marsylii miała potrzebny spokój do pracy, spokój, którego-by nie miała ani w Paryżu, ani nawet w Nohant, a powtóre, że jej to dawało możność przestawania z doktorem Cauvières, który poprostu stał się »prawdziwym ojcem« dla niej zarówno, jak i dla Chopina. Ciągle zajęty nimi, dokładał wszelkich starań, by im możliwie uprzyjemnić chwile pobytu w Marsylii, co oni oczywiście umieli ocenić należycie. Stąd przyjaźń wzajemna, tem serdeczniejsza, że oparta na wspólności przekonań i poglądów. Doktór Cauvières, jako człowiek niepospolitej kultury umysłowej, a wielki wielbiciel talentu p. Sand, był umysłem niezależnym, przekonań liberalnych. Pod wpływem rozmów z p. Sand, która w tym czasie zostawała pod urokiem Piotra Leroux, zaczął się rozczytywać w jego *Encyclopédie nouvelle,* zapalił się do tej filozofii, która, jak twierdził, odmładzała go o lat czterdzieści, i stał się rzeczywistym wielbicielem Piotra Leroux, do tego stopnia, że zaczął marzyć o podróży do Paryża, jedynie w celu osobistego poznania mistrza. Wszystko to naturalnie nie pozostawało bez wpływu na p. Sand, która zachwycona doktorem Cauvières, jako niepospolitym człowiekiem, poprostu z żalem myślała o rozstaniu się z nim [1]).

Nierównie mniejszy zachwyt budziła w niej Marsylia, jako miasto. Wcale niem nie była zachwycona. Uważała, że było to miasto zacofane, bez atmosfery umysłowej, miasto kupców i epicierów, nudne i nie zalecające się niczem. Można być pewnym, że Chopin w zupełności podzielał to zdanie swej przyjaciółki, skoro w swych listach, pisanych z Marsylii, nie zdobył się ani na jedno słowo pochwały dla tego nadmorskiego miasta.

Ale tu przychodził do zdrowia, więc w każdym razie miał jeden powód przynajmniej, żeby na Marsylię nie narzekać zbytnio. Jakoż nie narzekał, a polegając na optymistycznej opinii doktora Cauvières, zaczynał być dobrej myśli, nabierał nowej otuchy. O ile na Majorce miewał chwile, że

[1]) W liście do pani Marliani, z dnia 20 maja 1839 r., pani Sand tak pisze o doktorze Cauvières: »Le docteur Cauvières lit *l'Enciclopédie* et se passione pour Leroux et Raynaud avec une ardeur libérale et philosophique qui le rajeunit de quarante ans. Il va dans toute la ville prônant cette doctrine, et il me remercie de l'avouir initié. Il rêve de venir à Paris, rien que pour voir Leroux, qu'il se reproche de n'avoir pas connu plus tôt. C'est un bien digne homme que ce docteur; je le quitte avec regret«.

całkiem zaczynał wątpić o sobie, z pewną rezygnacyą myśląc o możliwości śmierci, o tyle teraz zaczynał wierzyć naprawdę, że mu nic nie grozi, że jest na drodze do zupełnego wyzdrowienia.

W tem miłem przeświadczeniu, gdy otrzymał długi poczciwy list od Fontany, list, jak zwykle, pełen nowinek i ploteczek z emigracyjnego światka, tudzież o swych najbliższych przyjaciołach paryskich, odpisał mu niezwłocznie, przyczem naturalnie, jak to u niego, nie obeszło się bez szeregu interesów i komisów. Oto niektóre najważniejsze ustępy z jego listu, do którego przy sposobności dołączył także list do rodziny, by go Fontana mógł wysłać z Paryża: »Za Twój szczery i prawdziwie życzliwy list masz odpowiedź w drugim *Polonezie*[1]). Nie moja wina, że podobny jestem do grzyba, co truje, jak go z ziemi wygrzebiesz i posmakujesz. Wiem, żem się nikomu nigdy na nic nie przydał, ale też i sobie nie na wiele. Teraz, jeżeli-by, co wątpię, udało się nająć mieszkanie od przyszłego miesiąca, rozbierzcie moje meble we troje: Grzymała, Jaś i ty. Jaś ma najwięcej miejsca, choć nie najwięcej oleju w głowie, sądząc z listu dziecinnego, jaki mi napisał, przepowiadając, że zostanę Kamedułą; więc niechże zabierze graty gospodarskie. Grzymałę nie obciążaj bardzo, a do siebie weź, co ci potrzebnem być może, bo nie wiem, czy w lecie wrócę do Paryża (to zachowaj przy sobie). Zresztą zawsze będziem pisywać do siebie, i jeżeli, jak się spodziewam, do lipca moje mieszkanie trzymać potrzeba, to proszę Cię doglądaj go i opłać należytość kwartalną. Jeżeli Antek[2]) jedzie, a nie odeszle ci pieniędzy, będzie to bardzo po polsku; n. b. mimo to nie mów mu o tem ani słowa. Listy z domu razem z twoimi doszły mię wszystkie trzy razem przed samem wsiadaniem na okręt. Posyłam Ci znów jeden. Od Grzymały pewnoś się dowiedział o stanie zdrowia i rękopismów moich«. Że ten »stan zdrowia« wogóle był dość zadawalniającym, dowodził następujący wyjątek z tegoż listu, z którego wynika, że Chopina już całkiem opuściły te czarne beznadziejne myśli, które go trapiły do niedawna, a które jeszcze przed wyjazdem na Majorkę chwilami były tak czarne, że się liczyły z ewentualnością śmierci. Widocznie, że ta myśl o śmierci, która go w swoim czasie natchnęła do napisania *Marsza pogrzebowego* i... testamentu, teraz go całkiem przestała dręczyć, że, ufny w zapewnienia doktora Cauvières, wierzył w swe zupełne wyzdrowienie. Oto, co w tej kwestyi pisał w liście do Fontany: »Dziękuję ci za przyjacielską pomoc, jaką mi dajesz niemocnemu. Jasia uściskaj, powiedz mu, żem sobie, a raczej, że mi krwi puścić nie dano[3]), że noszę wizykatoryę, że mało rano kaszlę i że mnie wcale jeszcze za suchotnika nie mają. Nie piję ani kawy, ani wina, tylko mleko;

[1]) *Polonez A-dur,* dedykowany Fontanie.

[2]) Antoni Wodziński, brat Maryi, który w tym czasie wyjechał z Paryża, wracając do kraju.

[3]) To znaczy, że oparła się temu pani Sand.



zresztą ciepło się trzymam i wyglądam, jak panna. Mówiłem ci, że w biurku, w pierwszej szufladzie od drzwi, jest ćwiarteczka papieru, którą albo ty, Grzymała albo Jaś, mógłby w danym razie[1]) odpieczętować. Teraz cię proszę, żebyś ją wyjął i nieczytawszy spalił. Zrób to, zaklinam cię na przyjaźń naszą. Ta kartka dziś niepotrzebna«. Znaczyło to, że nie myślał umierać wkrótce, że jeszcze miał czas do sporządzenia nowego testamentu, że ten testament, który napisał w chwili rozpaczy, a jeszcze pod wpływem miłości ku Maryi Wodzińskiej, teraz był już przestarzały, nieodpowiedni, niepotrzebny[2]).

Nadto znalazł się jeszcze następujący komis w tym liście: »Z Pleyelem staraj się zobaczyć. Powiedz mu, że ani słowa od niego nie odebrałem, i że jego pianino powierzone w bezpieczne ręce. Czy się zgadza na układy, jakie mu przedstawiłem?« Te »układy« polegały na tem, że na wyjezdnem z Palmy, gdy Chopin kłopotał się, co zrobić z pleyelowskim fortepianem, zaproponował mu bankier tamtejszy, Ernest Canut, że gotów jest nabyć ten instrument, że zań ofiaruje 1200 franków. Chopinowi bardzo się uśmiechała ta kombinacya. Chodziło o to tylko, żeby na nią zgodził się Pleyel. Skończyło się na tem, że p. Canut został szczęśliwym właścicielem fortepianu, którego Chopin używał na Majorce, którym się posługiwał przy opracowywaniu *Preludyów, Ballady F-moll* i słynnego *Poloneza A-dur*[3]).

Nie upłynęło parę dni, a przyszedł nowy list od Fontany, oraz egzemplarz *Dziadów* Mickiewicza, który Fontana stosownie do życzenia Chopina równocześnie wysłał pocztą. Niestety, wiadomości, zawarte w liście Fontany, brzmiały niebardzo pomyślnie, a przynajmniej były takie, że zirytowały Chopina. Przedewszystkiem pisał mu Fontana, że Pleyel nie chce dać

[1]) To znaczy, w razie śmierci Chopina.

[2]) Szczegół charakterystyczny, że zaraz po tym ustępie, gdzie Chopin mówi o tej »dziś niepotrzebnej« kartce, przychodzi ustęp o Antonim Wodzińskim, co, jako psychologiczna asocyacya idei, nie jest bez znaczenia.

[3]) Zachował się list Chopina w tej kwestyi, pisany do p. Canut, list, który dziś jego rodzina uważa za jeden z klejnotów familijnych. List ten, pisany z Marsylii, brzmi we francuskim oryginale, jak następuje:

Marseille, le 28 Mars 1839.

Monsieur!

Il y a plus d'un mois, que j'ai reçu une lettre de Pleyel relativement au piano. J'ai retardé ma réponse espérant toujours recevoir de Vos nouvelles et je viens seulement de lui répondre que Vous avez fait l'acquisition de cet instrument moyennant douze cent francs. Ma santé étant tout à fait rétablie, je quitterai Marseille incessement et n'allant pas directement à Paris je crois de mon devoir de Vous prier pour empêcher tout retard de vouloir bien pour le payement Vous adresser à *Paris* à Mr. C. *Pleyel* et C-nie Rue de *Rochechouard* Nr. 20 qui sont avertis. Agréez, Monsieur, je Vous prie, l'assurance de mes sentiments distingués. *F. Chopin.*

Adres (na odwrotnej stronie): *Monsieur Canut Palma.*

tyle za *Balladę* i *Polonezy*, ile żądano od niego, że tę cenę uważa za zbyt wygórowaną, że nie cofa się przed nabyciem tych kompozycyi, ale proponuje inne honoraryum, skromniejsze oczywiście! Niemniej niepomyślnie brzmiały relacye o Antonim Wodzińskim, który w końcu wyjechał z Paryża, ale jakoś nie przyszło mu na myśl, żeby Chopinowi oddać pożyczone pieniądze, które mu solennie w swoim czasie obiecywał oddać przed wyjazdem. Co prawda, był on, zdaniem Fontany, wytłómaczony po części, bo mu wcale nie przysyłano pieniędzy, tak zupełnie, jakby zapomniano o nim, co było tem dziwniejsze, że przecież jego ojciec uchodził za magnata. Ale nic tak nie irytowało Chopina, jak to, że Wodziński wyjeżdżając z Paryża, nie uważał za właściwe, żeby choć słówko napisać do niego. Wszak niby był jego serdecznym przyjacielem! Wszak o mało co nie został jego szwagrem! Mniejsza o pieniądze, na których Chopinowi zależało nie wiele — choć w tej chwili przydałyby mu się bardzo — ale wyjechać tak, jak wyjechał Wodziński, bez słowa pożegnania, to się równało... Nie spodziewał się tego po nim Chopin! A tymczasem Fontanę nachodzili różni wierzyciele Chopina, krawcy, rękawicznicy, etc., żądając uregulowania zaległych rachunków, czyli, że gdyby Wodziński oddał przed wyjazdem, co był winien Chopinowi, Fontana miał-by o wiele łatwiejsze zadanie, przy załatwianiu interesów Fryderyka.

Zirytowany temi wiadomościami, które, nie dziw, że go drażniły, Chopin zaraz odpisał Fontanie, a list jego datowany 13 marca, nosił wyraźne ślady tego rozdrażnienia. Co się tyczy wyjazdu Wodzińskiego, to tę niemiłą kwestyę zbył następującemi słowy: »Trzeba, żeby rodzice Antka strasznie się zapomnieli, żeby się tak z nim i ze mną stało, jak się stało. Entendons nous ze mną, że mi pieniędzy przed wyjazdem nie oddał. Błazny i durnie bez czucia!« Tak niezaszczytne epitety wyrywały się teraz z pod pióra Chopinowi, gdy myślał o rodzinie Maryi Wodzińskiej. Smutne to, jako ostatnie akordy! A niestety, nie były to jeszcze akordy ostatnie!...

Z powodu targowania się Pleyela, co dlań także równało się przykrej niespodziance, odpisał Chopin, oburzony tym postępkiem swego »przyjaciela« z rue Rochechouard, w sposób następujący: »Nie spodziewałem się żydostwa ze strony Pleyela, ale kiedy tak, proszę cię, oddaj mu ten list. Chyba, że ci żadnych trudności o *Balladę* i *Polonezy* robić nie będzie. W przeciwnym razie, odebrawszy za *Balladę* 500 fr. od Probsta, zaniesiesz *Balladę* Schlesingerowi. Kiedy już mieć z żydami do czynienia, to przynajmniej z *Ortodoksami*. Probst może mnie gorzej jeszcze oszwabić, bo to ptaszek, którego nie złapiesz. Schlesinger ciągle mnie szwabił; dosyć na mnie zarobił i nowego zarobku nie odmówi, tylko z nim grzecznie, bo żyd chce za coś uchodzić. Więc jeżeli Pleyel trudności robić będzie najmniejsze, pójdziesz do Schlesingera i powiesz mu, że mu daję *Balladę* dla



Francyi i Anglii za 800 fr. (bo tysiąc nie da), a *Polonezy* dla Niemiec, Anglii i Francyi za 1500 fr. (a nie będzie chciał dać, to za 1400, albo 1300, nawet 1200). Jeżeli (bo zapewne Probst go uprzedził o *Preludyach*) będzie co wspominał o nich i o Pleyelu, powiesz, że to rzecz obiecana dawno Pleyelowi, że on chciał być ich wydawcą, że mnie o to bardzo przed wyjazdem prosił, jak w istocie było. Widzisz, moje życie: dla Pleyela mógłbym ze Schlesingerem zrywać, ale dla Probsta nie mogę. Co mi do tego, że Schlesinger Probstowi każe drożej moje manuskrypta płacić. Jeśli Probst je płaci drogo Schlesingerowi, to znak że mnie szwabi, płacąc mało. Probst nie ma składu w Paryżu; wszystkie moje rzeczy drukowane u Schlesingera. Żyd mi zawsze zapłacił, a Probst często mi czekać kazał. Trzeba będzie, żebyś ze Schlesingerem się umówił, że mu manuskrypta dasz w dzień, na który ci pieniądze da, jeżeli nie będzie chciał razem, to *Balladę* osobno, a *Polonezy* osobno mu dasz, a najdalej dwa tygodnie różnicy. Jeżeli Schlesinger nie będzie chciał słuchać o tem, to dopiero do Probsta, ale kiedy taki mój adorator, nie daj mu za mniej, jak Pleyelowi. Więc mój list oddasz Pleyelowi przy najmniejszej trudności. Jeżeli, co wątpię, zostawiłeś mu manuskrypt *Ballady* i *Polonezów*, odbierzesz dla Schlesingera albo dla Probsta. Szelmy! Mój Boże, ten Pleyel mój taki adorator! Może myśli, że nie wrócę do Paryża? Wrócę i będę u niego z podziękowaniem, jak i u Leona. Dołączam ci kartkę do Schlesingera, w której cię pełnomocnię«.

Na zapytanie Fontany, co w czasie przeprowadzki zrobić z papierami, t. j. z listami i nutami, znajdującemi się w mieszkaniu, dał mu Chopin taką instrukcyę, przyczem go także poinformował o swoim stanie zdrowia, co wielce interesowało jego wszystkich przyjaciół paryskich: »Co z mojemi papierami? Listy zostawisz w biurku, a nuty do Jasia albo do siebie. W stoliku, co w przedpokoju, także są listy; trzeba, żebyś zamknął go dobrze. Jam codzień zdrowszy; mimo to ty jeszcze zapłacisz portyerowi owe 50 fr., które bardzo aprobuję, bo mię mój doktór przed latem z południa nie pozwala się ruszyć. *Dziady* odebrałem wczoraj. Co się rękawicznika i małego krawca tycze, mogą czekać, durnie! Pisz często. Jasia uściskaj«.

Ale choć się zaczynał czuć coraz lepiej, jeszcze nie był tak dobrze, żeby módz zabrać się do intenzywnej pracy kompozytorskiej. Jakkolwiek palił się do roboty, zwłaszcza nad *Schercem*, które już miał na ukończeniu prawie, to jednak był jeszcze za słaby, by komponować. Trochę grał na fortepianie, a pozatem wziął się do czytania *Dziadów* z p. Sand, które jej tłómaczył *à livre ouvert*, by jej tym sposobem ułatwić napisanie studyum o największym poecie polskim. Jakoż p. Sand, gdy dzięki tej pomocy Chopina dokładnie się zapoznała z poematem Mickiewicza, zaraz przystąpiła do pisania swej rozprawy o nim, tak, że niebawem miała ją już gotową

do druku [1]). Jednocześnie pisała nową rzecz dla *Revue des deux Mondes*, rzecz, o której wiedziała z góry, że się będzie podobała Bulozowi. Utwór ten, zatytułowany *Gabriel*, jeden z najpiękniejszych utworów owej autorki, pisany był w formie dyalogu, z myślą o Mussecie, pod wyraźnym wpływem jego przysłów dramatycznych, którym nic nie ustępował pod względem literackiej świetności. Wogóle nie dało się zaprzeczyć, że p. Sand, odkąd znalazła się w Marsylii, skąd w 1833 r. razem z Mussetem udała się do Genui, była cokolwiek rozmarzona wspomnieniem autora *Rolli*, wspomnieniem, które tu za nią szło krok za krokiem, a które sprawiło nawet, że zapragnęła stąd, jak wtedy z Mussetem, tak teraz z Chopinem, pojechać na kilka dni do Genui. Niestety, Chopin jeszcze nie był zdolnym do zrobienia tej wycieczki, bądź co bądź wymagającej kilku dni czasu, ale bardzo zapalił się do tego projektu.

Tymczasem, dopóki jeszcze nie mogło być mowy o takiej wycieczce, dnia 17 marca, znów nadszedł list od Fontany, list, który znów zirytował Chopina. Donosił mu Fontana, że w żaden sposób nie mógł dojść do ładu ani z Pleyelem, ani z Probstem. Pleyel nie chciał nabyć kompozycyi, dowodząc, że 500 fr. to zbyt wysoka cena za jedną kompozycyę na każdy kraj z osobna, a Probst ofiarował 1000 fr. za trzy manuskrypty, dowodząc, że to była jego zwykła cena. Tego już Chopinowi było nadto! Oburzony więc, zaraz odpisał Fontanie, prosząc go, by, o ile już nie skończył pertraktacyi z Pleyelem, udał się z manuskryptami do Schlesingera. Oto wyjątek z tego wysoce znamiennego listu, dotyczący Pleyela i Probsta, oraz Schlesingera: »Pleyel kiep, Probst łajdak (nigdy mi za trzy manuskrypta 1000 fr. nie dał). Odebrałeś zapewne mój długi list o Schlesingerze; otóż chcę i proszę cię, oddaj list mój Pleyelowi, (który za drogie widzi moje manuskrypta). Jeżeli mam je tanio sprzedawać, to wolę Schlesingerowi, jak szukać nowych niepodobnych związków. Ponieważ Schlesinger na Anglię zawsze rachować może, a ja jestem kwita z Wesslem, więc niech je przeda komu chce. Toż samo z *Polonezami* w Niemczech, bo Probst ptaszek; znam go dawno. Niech Schlesinger je przeda komu chce, nie koniecznie Probstowi. Mnie nic do tego. On mnie adoruje, bo mię odzierywa. O pieniądze tylko z nim się dobrze umów i nie dawaj manuskryptów, jak tylko za gotówkę. Pleyelowi posyłam *reconnaissance*. Dureń, czy mnie albo tobie nie wierzy. Mój Boże, trzeba koniecznie z łajdakami mieć do czynienia! Ten Pleyel, który mówił, że mnie Schlesinger źle płaci, za drogo mu się dziś zdaje 500 fr. za manuskrypt do każdego kraju! Otoż wolę z prawdziwym żydem mieć do czynienia. A Probst łajdak, co mi *Mazurki* 300 fr. płaci! Otóż *Mazurki* ostatnie przyniosły mi skakając 800 fr.: Probst 300, Schlesinger 400, a Wessel 100. Wolę za bezcen po staremu dawać moje manuskrypta, jak tym durniom się kłaniać. Wolę jednego żyda być uniżonym, jak trzech. Więc do Schlesingera. Chyba żeś z Pleyelem skończył. Łajdaki, łajdaki, oni i pani Migneron! Ale fortuna kołem się toczy. Jeszcze może będzie p. Migneron pod tobą. Jeżeli na szewca kroisz, proszę cię, ani Pleyelowi ani Probstowi trzewików nie rób: niech boso chodzą«.

[1]) W liście do p. Marliani, datowanym z Marsylii dnia 22 kwietnia 1839 r., pisze p. Sand: »Dites a Buloz de se consoler! Je lui fais une espèce de roman *dans son goût;* il le recevra en meme temps que le *Mickiewicz* et pourra l'imprimer auparavant. Mais il faudra qu'il paye l'un et l'autre comptant, et qu'avant tout il fasse paraitre *la Lyre*.



Na inne kwestye, poruszane przez Fontanę, a dotyczące przeprowadzki, różnych szczegółów natury gospodarskiej, a przedewszystkiem jego zdrowia i powrotu do Paryża, o co wciąż dopytywali się różni ludzie, odpisał Chopin, jak następuje: »O *Schercu* ani mówić z nikim. Nie wiem, kiedy go skończę, bom jeszcze słaby i nie do pisania. Ja jeszcze nie wiem, kiedy cię zobaczę. Grzymałę uściskaj i daj mu meble, jakie będzie chciał, a Jasio niech weźmie resztę. Nie piszę do niego, bo nie mam po co. Kocham go zawsze; powiedz mu o tem i uściskaj go. Wodziński mię dziwi jeszcze. Pieniądze od Pleyela jak odbierzesz, gospodyni najprzód zapłacisz, a 500 franków natychmiast mnie przyślesz. Dziś odebrałem twój list. Żadnego listu od Pleyela«.

Ale zapowiedziany list od Pleyela nadszedł wkrótce, a był tej treści, że Chopin udobruchał się po jego przeczytaniu. Pleyel stawiał pewne warunki, troszkę się targował, ale bądź co bądź postępował po przyjacielsku nie jak żyd, a do *Ballady* tak się zapalił, że za nic nie chciał dopuścić, by ją miał wydać kto inny. Wogóle był skłonny do zapłacenia 3000 fr. Trochę to rozczuliło Chopina, tak, że zaraz napisał do Fontany, a że wogóle i ze zdrowiem był znacznie lepiej, więc i jego list wypadł o wiele łagodniej w tonie, zwłaszcza w ustępie poświęconym Pleyelowi, któremu nawet miały być dedykowane *Preludya* albo *Ballada*, stosownie do tego, co będzie wolał. »Bardzo-bym chciał — pisał Chopin w tym liście — żeby moje *Preludya* były dedykowane Pleyelowi (zapewne jeszcze czas, bo je nie drukowano). A *Ballada* à Mr. Robert Schumann. *Polonezy* tobie, jak są. Kesslerowi nic. Jeżeli Pleyel nie będzie chciał opuścić *Ballady*, to *Preludya* dedykuj Schumannowi. O zmianie dedykacyi powiesz Probstowi, jak się z Pleyelem uradzisz«.

Pozostała część listu, pisanego, jak prawie wszystkie listy Chopina, z tego czasu, na papierze z inicyałami p. Sand, przynosiła następujące nowiny i interesy: »Lepiej mi daleko. Zaczynam grać, jeść, chodzić i mówić, jak wszyscy. Widzisz, że i piszę łatwo, kiedy znów odbierasz odemnie parę słów. Ale znów z interesem. Z pieniędzy nowych oddasz Grzymale 500 fr. i resztę 2500 fr. żeby mi przysłał. Nie zaśpij, kochaj mnie i pisz. Daruj, jeżeli cię za bardzo obarczam komissami, ale szczerze myślę, że z chęcią robisz, o co cię proszę. Jasia uściskaj. Gaszyński był z Aix

u mnie wczoraj, jedyna osoba, com przyjął. Bo drzwi zamknięte dla wszystkich amatorów muzyki i literatury«.

Te odwiedziny Gaszyńskiego, który mu, jako jego dawny znajomy, przypomniał czasy warszawskie, a z którym przynajmniej mógł porozmawiać w swym ojczystym języku, niewątpliwie ożywiły go znacznie, co nawet odbiło się na tonie listu do Fontany. Z Gaszyńskim, z którym liczył wielu wspólnych znajomych, niewątpliwie miał sobie niemało do powiedzenia. Gdyby mogło być inaczej, nie był by go dopuścił do siebie, jak tylu innych, dla których trzymał drzwi zamknięte.

Tymczasem doktór Cauvières, widząc, że Chopin wraca do zdrowia, a chcąc, żeby wyzdrowiał zupełnie, żeby, nim opuści południe, wyleczył się radykalnie, zaproponował p. Sand, żeby ze względu na Chopina cały miesiąc kwiecień spędziła na świeżem powietrzu, gdzieś na wsi pod samą Marsylią, tak, żeby on wciąż mógł dojeżdżać do nich, bo mu zależało na tem, żeby Chopina ciągle mieć pod swoją opieką. Pani Sand bez wahania aprobowała ten projekt, a gdy zaczęto szukać takiej wiejskiej siedziby niedaleko Marsylii, sam doktór Cauvières służył swą pomocą w tym względzie. Niestety, pomimo gorliwych poszukiwań nie znaleziono nic odpowiedniego, tak, że chcąc nie chcąc musiano zrezygnować z tego zamiaru. Że jednak doktór Cauvières stanowczo był zdania, ażeby Chopin przez cały kwiecień miał możność oddychania lepszem powietrzem niż to, jakie miał w dotychczasowym hotelu w centrum miasta, więc postanowiono przenieść się do innej oberży, położonej w zdrowszej dzielnicy. Jakoż przeniesiono się do hotelu Beauveau przy rue Beauveau [1]).

W tym samym czasie, gdy Chopin i p. Sand zmieniali mieszkanie w Marsylii, Fontana i Grzymała byli zajęci zwijaniem paryskiego mieszkania Chopina, co zwłaszcza przysparzało dużo roboty Fontanie, który i bez tego ciągle musiał chodzić za różnemi interesami Fryderyka. Najwięcej miał kłopotu z wydawcami, o czem wymownie świadczył jego list z tego czasu, list, który znów zirytował Chopina. Pisał mu Fontana, że z Pleyelem skończyło się tylko na *Preludyach;* z *Ballady* zrezygnował. Z Schlesingerem i Probstem również nie mógł dojść do porozumienia na punkcie *Ballady* i *Polonezów,* bo w żaden sposób nie chcieli się zgodzić na tak wysokie honoraryum. Wobec tego może-by pomówić z Schonenbergierem, który, powodowany względami konkurencyi, kto wie, czy nie zapłaci więcej. Tyle o interesach. Z nowinek i ploteczek paryskich, w które, jak zwykle obfitował list Fontany, najważniejszą była wiadomość o koncercie Klary Wieck, której wspaniała gra zachwyciła go poprostu. W tej samej kopercie, co

[1]) W liście do p. Marliani, datowanym z Marsylii, pisze p. Sand: »J'ai été occupée de déménager d'une auberge dans l'autre. Malgré tous ses soins et toutes ses recherches, le bon docteur n'a pu me trouver un coin de campagne pour y passer le mois d'avril«.



list Fontany, znalazły się jeszcze dwa inne listy, jeden od Pleyela, z potwierdzeniem kupna *Preludyów,* drugi od Matuszyńskiego.

»Wściekły« z powodu takiego obrotu interesów, bo w coraz większej potrzebie pieniężnej, Chopin zaraz nazajutrz [1]) odpisał Fontanie, tak mu pisząc między innemi: »Kiedy takie żydy, wstrzymaj wszystko do mojego przybycia. *Preludya* sprzedałem więc Pleyelowi (odebrałem od niego 500 fr.), ma prawo zatem robić z niemi, co mu się podoba. Ale co się *Ballady* i *Polonezów* tyczy, nie sprzedawaj ani Schlesingerowi ani Probstowi. Z żadnemi Schonenbergerami do czynienia w życiu mieć nie chcę. Więc jeżeliś dał *Balladę* Probstowi, odbierz napowrót, choćby i tysiąc dawał. Powiesz, żem cię prosił, żeby to wstrzymać do mojego przyjazdu, że jak wrócę, to zobaczymy. Dosyć tych durniów, dosyć i mnie i tobie!... Przepraszam cię, moje życie, za wszystkie kłopoty; prawdziwie po przyjacielsku się krzątałeś; jeszcze teraz przenosiny moje będziesz miał na karku. Proszę Grzymały, żeby koszta przenosin zapłacił. Co się portyera tycze, łże zapewne, ale któż mu dowiedzie; trzeba dać, żeby nie szczekał. Jasia uściskaj. Napiszę do niego, jak będę w sztosie. Zdrowszy jestem, ale się wściekam. Powiedz Jasiowi, że zapewne od Antka [2]) tak, jak ja, słowa ani grosza nie odbierze. Jeżeli Klara Wieck ci się podobała, to dobrze, bo gra, jak nie można lepiej. Gdy ją zobaczysz, pokłoń się odemnie, jak i panu jej ojcu. Czy czasem nie tobie pożyczyłem *Piosnki* Witwickiego? znaleźć ich nie mogę. Na wiatr tylko zapytuję cię o nie«.

Ostatnie pytanie dowodziło, że Chopin zaczynał czuć ochotę do skomponowania muzyki do niektórych piosnek Witwickiego, że doznawał uczuć, którym w tej formie chciał dać muzyczny wyraz. A może w tem poprostu widział rozrywkę dla zabicia czasu, dla skrócenia nudów. Bo pozbawiony wszelkich rozrywek, a oddany wyłącznie kuracyi, którą prowadził z całą cierpliwością i rezygnacyą, nie mógł powiedzieć, żeby się bawił w Marsylii, żeby się nie nudził chwilami [3]). Na to jednak, żeby komponować, jeszcze się nie czuł dostatecznie »w sztosie«. Co najwyżej »filozofował« na fortepianie, czemu zwłaszcza doktór Cauvières przysłuchiwał się z rozkoszą. Co go również pozbawiało niezbędnego spokoju do pracy twórczej, to kilka

[1]) »Wczoraj odebrałem twój list, wraz z listami od Pleyela i od Jasia« — pisze Chopin w tym liście.

[2]) Wodzińskiego.

[3]) W liście p. Sand do p. Marliani (z kwietnia 1839 r.) pisze p. Sand, zapraszając ją i jej męża na lato do Nohant: »Au mois de mai, nous serons à Nohant, et, si vous êtes gentille, vous tiendrez votre promesse d'y venir au-devant de nous. Nous retournerions tous ensemble à Paris, au commencement de juin. Si Marliani était de retour de ses grandes courses, cela lui ferait un grand bien, de respirer à Nohant. Il aime la campagne, lui, et je lui tiendrais tête pour les plaisirs champêtres, tandis que vous philosopheriez au piano avec Chopin. Il ne s'amuse guère à Marseille; mais il se résigne à guérir patiemment«.

dni trwająca niedyspozycya p. Sand, która zaziębiła się podczas mistralu, dostała gorączki, słowem, zachorowała. Na szczęście nie chorowała długo[1]). Dnie, podczas których dął mistral, również nie należały do przyjemności. Wiatr był tak silny, że przewiewał przez ściany domu. Siedząc w pokoju, należało kryć się za parawanami, tak było wietrzno w mieszkaniu [2]). Wszystko to Chopinowi oczywiście działało na nerwy, nie dziw więc, że się »wściekał«, pomimo, że naogół czuł się lepiej znacznie.

Wśród takich okoliczności, gdy już jego paryskie mieszkanie przy rue de la Chaussée d'Antin zostało zwinięte, a meble znalazły się u przyjaciół, otrzymał Chopin, w drugiej połowie kwietnia, obszerny list od Fontany, pełen drobiazgowych szczegółów o przenosinach, oraz różnych wiadomości z Paryża, złych lub dobrych, miłych i niemiłych. Niestety, złe przeważały. Najgorszą była ta, że Matuszyński był coraz gorzej ze zdrowiem, że zaczynał pluć krwią, że istniała poważna obawa suchot. Drugą niemiłą była wiadomość, że *Preludya,* nim je zdążył wydać Pleyel, już wyszły u Probsta, który je zakupił na Niemcy. Był to wydawniczy »psikus«, dość obojętny dla Chopina, ale mogący zirytować Pleyela. Sam Fontana — jak to wynikało z jego listu — również zdawał się być w cierpkim nastroju. Nie dogodziło mu, że Chopin od kwietnia zwinął swoje mieszkanie, w którem on w jego nieobecności mieszkał sobie spokojnie i za darmo. Teraz, gdy to mieszkanie zostało zwinięte, musiał nająć własne mieszkanie, które znalazł na tejże samej *rue de la Chaussée d'Antin* pod Nr. 26, ale to własne mieszkanie, za które już sam musiał płacić, zapełnione meblami Chopina, wstawionemi tymczasowo, nie mogło się równać z poprzedniem, wygodnem, prawie wielkopańskiem, w którem się Fontana czuł doskonale, jak u siebie, czemu nie można się dziwić. Rozumiał to Chopin, a że trochę z powodu tych »przenosin« mógł mieć wyrzuty sumienia, gdyż w danym wypadku postąpił sobie z Fontaną dość egoistycznie, więc musiał być nieco podrażniony tym listem. Skargi Fontany, że dotąd nikt nie miał słówka od Antoniego Wodzińskiego, który, wyjechawszy z Paryża, ani myślał pisać do swych przyjaciół tamtejszych, również oburzyły i Chopina. Wprawdzie inne wiadomości, zawarte w liście Fontany, brzmiały przy-

[1]) W liście p. Sand do p. Marliani, z kwietnia 1839 r. z Marsylii, czytamy między innemi: »Il y a plusieurs jours que je ne vous ai écrit: j'ai subi le mistral et j'ai eu de la fièvre, par suite d'un gros rhume qui est cependant à peu près guéri. Me revoilà sur pied«.

[2]) Les jours de mistral, nous nous entourons de paravents (car le vent coulis est ici souverainement installé dans toutes les chambres) et nous travaillons, chacun à sa besogne. Aussitôt que le soleil luit, nous allons à la promenade entre deux murailles et enveloppés d'un nuage de poussière. Cependant nous arrivons à quelque beau point de vue et nous respirons. Vous voyez que notre existence est d'une innocence et d'une simplicité primitives«.



jemniej, ale i one wymagały pewnych zastrzeżeń. Pisał mu Fontana, że Klara Wieck na swym paryskim koncercie doskonale grała jego *Etiudę Ges-dur* z pierwszej seryi. Zdaniem Chopina, mogła grać inną, lepszą. Podobnie miała się rzecz i z innemi nowinami, które mu komunikował Fontana.

Zanim Chopin zdążył odpisać na ten list Juliana, wypadło mu uczestniczyć w smutnem nabożeństwie za spokój duszy nieszczęśliwego Adolfa Nourrit. Nie przypuszczał Chopin, że ten król tenorów, ten świetny interpretator Roberta Dyabła, ten niezrównany wykonawca pieśni Schuberta, tak prędko skończy swą karyerę, i że ją skończy tak tragicznie. Tymczasem Nourrit, bawiąc w Neapolu, gdzie święcił tryumfy w teatre San Carlo, w przystępie melancholii, spowodowanej obawą utraty głosu, skończył śmiercią samobójczą. Dnia 19 kwietnia, pani Nourrit, jadąc ze zwłokami swego męża, które przewoziła do Paryża, zatrzymała się w Marsylii. Ponieważ Marsylia była miastem, gdzie Nourrit niegdyś święcił wielkie tryumfy, więc gdy okręt Sully, wiozący trumnę ze śmiertelnemi szczątkami tego niezapomnianego artysty, zawinął do tutejszego portu, powzięto piękną myśl, ażeby z tego powodu urządzić uroczyste nabożeństwo żałobne, które-by się równało pośmiertnemu hołdowi dla zmarłego śpiewaka. Pani Nourrit oczywiście nic nie mogła mieć przeciwko takiemu uczczeniu pamięci męża, zaczem poszło, że dnia 24 kwietnia, w niewielkim kościele Notre Dame du Mont, przy ogromnym udziale wielbicieli zmarłego, szczelnie wypełniających całą świątynię, odbyła się msza uroczysta, podczas której Chopin, na prośbę p. Nourrit, grał na organach. Niestety, organy pozostawiały wiele do życzenia, tak, że nie mogło być mowy o wydobywaniu jakichkolwiek efektów. Mimo-to Chopin z wielką poezyą wykonał schubertowską pieśń o *Gwiazdach,* którą z takiem przejęciem śpiewał zawsze Nourrit, tylko, że jej nie grał w sposób podniosły i wspaniały, jak ją zwykł śpiewać zmarły, ale raczej w tonie żałosnej skargi, tak, że robiła wrażenie melodyi, dolatującej z tamtego świata. Tymczasem w dole, dokoła katafalku z trumną nieboszczyka, zgromadzony tłum miał dwojakie rozczarowanie: przedewszystkiem wyobrażano sobie, że Chopin będzie piorunował na organach, grając z wielkim hałasem, tak, by aż drżały ściany kościoła, co może każdy inny, dla zrobienia należytego efektu, uczynił-by na jego miejscu, gdy tymczasem on grał cicho, rzewnie, jakby dla siebie, jakby snuł jakąś smętną medytacyę; powtóre nikt nie mógł zobaczyć p. Sand, której wszyscy byli niezmiernie ciekawi, a która, właśnie dlatego, żeby uniknąć natarczywych spojrzeń ludzkich, zajęła miejsce na chórze, przy organach, koło Chopina, gdzie oboje byli niewidzialni dla publiczności.

Nazajutrz, dnia 25 kwietnia, w dzienniku *Le Sud,* znalazł się malowniczy opis tego nabożeństwa, przyczem o Chopinie pisano w te słowa:

W czasie podniesienia zabrzmiały żałosne dźwięki organów. Pan Chopin, sławny fortepianista, przybył umyślnie, by złożyć pamiątkę na trumnie Nourrita; i co za pamiątkę! Prosta pieśń Szuberta, ale ta sama, która nas tak podnosiła na duchu, gdy ją Nourrit śpiewał w Marsylii, pieśń o *Gwiazdach*!«

Tegoż dnia 25 kwietnia, Chopin, odpisując Fontanie, tak pisał o tych smutnych obrzędach: »Wczoraj na organach Nuremu grałem, więc mam się lepiej. Możeś nie zrozumiał, żem grał Nuremu. Jego ciało sprowadzili i jedzie to ciało do Paryża. Była msza żałobna i familia mnie prosiła, żeby grać, więc grałem podczas podniesienia« [1]).

O swojem zdrowiu, które poprawiało się zwolna, a które sprawiało, że istotnie »miał się lepiej«, tak pisał w tymże liście: »Także czasem sobie pogram, ale jeszcze śpiewać ani tańcować nie mogę. Ciepło tutaj na dobre zaczyna się i zapewne w maju opuszczę Marsylię. Ale przebędę jeszcze jakiś czas na południu, nim was zobaczę«. Tymczasem odpowiadając na ważniejsze punkty listu Fontany, tak w tych różnych kwestyach formułował swoje myśli i spostrzeżenia: »Odebrałem list twój, w którym mi z detaliami o przenosinach piszesz. Podziękować ci nie mogę dosyć za twą przyjacielską prawdziwą pomoc. Detalie mnie bardzo interesowały, ale zły jestem, że narzekasz i że Jasio krwią pluje. O mojej matce wieść jakkolwiek przyjemna, dosyć żeby od Platera [1]) wyszła, aby łgarstwem była. O Antku [2]) nie tak prędko będą wiadomości. Pocóż-by pisał? Chyba długi płacić, a tego w Polsce niema zwyczaju. Dlatego ciebie Raciborski [3]) tak wysoko ceni, że nie masz polskich zwyczajów, polskich *n. b.* wiesz, że nie tych polskich, co ty wiesz a ja rozumiem. Mieszkasz więc pod 26 numerem. Czy ci dobrze? na którem piętrze, i ile płacisz? To mnie teraz bliżej Paryża interesować zaczyna, bo także o stancyi pomyśleć będzie trzeba, ale to dopiero po moim przyjeździe. Grzymała czy zdrowy? Pisałem niedawno do niego. Od Pleyela nie miałem tylko ten list, co przez ciebie pisał, temu miesiąc i więcej. Pisz pod tem samem nazwiskiem, ale rue et hotel Beauveau. Czy Wieck dobrze grała moję *Etudę?*. Jak też mogła zamiast czegoś lepszego wybrać właśnie *Etudę* najmniej ciekawą dla tych, co nie wiedzą, że to na czarne klawisze. Lepiej było cicho siedzieć. Zresztą niemam ci nic pisać, tylko że ci życzę szczęścia. Chowaj moje manuskrypta, żeby przypadkiem nie wyszły z druku przed daniem. Jeżeli *Preludya* drukowane, to psikus Probsta. Ale sram na to wszystko i jak wrócę, to nie będziemy *pratsipratzu*. Łajdaki niemcy, żydy, szelmy, juchy, chycle itd. itd. Słowem ty dokończysz litanią, bo ich dziś tak dobrze znasz, jak ja« [4]).

W ten sposób przeszedł cały kwiecień. Z nadejściem maja Chopin poprawił się tak dalece, czuł się tak dobrze, że gdy p. Sand zapragnęła zrobić kilkudniową wycieczkę do Genuii, doktór Cauvières nic nie miał przeciwko temu, żeby w niej i Chopin wziął udział. Że ta jej wycieczka do Genui, którą w swoim czasie zwiedzała z Mussetem, równała się jakby uczuciowemu rozmarzeniu na myśl o autorze *Nocy majowej,* tego nie dorozumiewał się ani doktór Cauvières ani Chopin. Zwłaszcza ten ostatni. W przeciwnym razie wolałby nie ruszać się z Marsylii, wolałby uniknąć tego fizycznego zmęczenia, jakie bądź co bądź podobna wycieczka pociągała za sobą. Ale Chopinowi chodziło o co innego, gdy się decydował pojechać do Genui. Oto nie znał Włoch, tej ojczyzny wszelkich sztuk pięknych, oj-

[1]) W liście do p. Marliani, datowanym z Marsylii 28 kwietnia 1839 r., p. Sand tak opisuje to nabożeństwo: »J'ai vu avant-hier madame Nourrit, avec ses six enfants, et le septième près de venir. Pauvre malheureuse femme! quel retour en France! accompagnant ce cadavre, qu'elle s'occupe elle-même de faire charger, voiturer, déballer comme un paquet! Elle m'a semblé avoir le courage stoïque des grandes douleurs; pas de larmes, peu de paroles, et des mots profonds. Elle est belle encore, très brune, mais terriblement fatiguée par tant de couches, tant de souffrances, et un si épouvantable malheur. Ses enfants (dont cinq filles) sont charmants, bien tenus, l'air intelligent et bon, ressemblant presque tous à leur père. On a fait ici au pauvre mort un très maigre service funèbre, l'évêque rechignant. C'était dans la petite église de Notre Dame-du-Mont. Je ne sais pas si les chantres l'ont fait exprès, mais je n'ai jamais entendu chanter plus faux. Chopin s'est dévoué à jouer de l'orgue à l'élévation; quel orgue! un instrument faux, criard, n'ayant de souffle que pour détonner. Pourtant *votre petit* en a tiré tout le parti possible! Il a pris les jeux les moins aigres et il a joué *les Astres,* non pas d'un ton exalté et glorieux comme faisait Nourrit, mais d'un ton plaintif et doux, comme l'écho lointain d'un autre monde. Nous étions là deux ou trois tout au plus qui avons vivement senti cela et dont les yeux se sont remplis de larmes. Le reste de l'auditoire, qui s'était porté là en masse et avait poussé la curiosité jusqu'à payer cinquante centimes la chaïse (prix inouï pour Marseille!), a été fort désappointé; car on s'attendait à ce que Chopin fit un vacarme à tout renverser et brisât pour le moins deux ou trois jeux d'orgue. On s'attendait aussi à me voir, en grande tenue, au beau milieu du choeur; que sais-je? On ne m'a point vue du tout; j'étais caché dans l'orgue, et j'apercevais, à travers la balustrade, le cercueil de ce pauvre Nourrit. Vous souvenez-vous comme je l'embrassai de grand coeur chez Viardot, la dernière fois que nous le vîmes? Qui pouvait s'attendre à le retrouver sous un drap noir, entre des cierges? J'ai passé cette journée bien tristement, je vous assure. La vue de sa femme et de ses enfants m'a fait encore plus de mal. J'avais le coeur si gros et je craignais tant de pleurer devant elle, que je ne pouvais lui dire un mot«.

[1]) Od kasztelana Platera.
[2]) Antonim Wodzińskim.
[3]) Raciborski, emigrant, doktór medycyny, domowy lekarz Chopina i Matuszyńskiego.
[4]) Do tegoż czasu odnosi się list Berlioza, który teraz Chopin otrzymał w Marsylii:

Mon cher Chopin!

Les uns disent que Vous allez bien, les autres que vous souffrez davantage, d'autres enfin qu'ils n'ont point de Vos nouvelles; pour en finir, soyez assez bon pour m'écrire quatre lignes et me dire, comment Vous vous trouvez et quand Vous nous revenez.

Mille amitiés *H. Berlioz.*

P. S. Rappelez moi, je Vous prie, au souvenir de M-me Sand et mettez à ses pieds mes plus violentes admirations. Nons venons d'éprouver un rude opéra... d'Auber.

Adres na kopercie: *Monsieur, Monsieur Chopin à Marseille.*

czyzny Pallestriny, Cherubiniego i Rossiniego. Od tylu lat wybierał się do Włoch, a jakoś nie wybrał się do tej pory, choć już upłynęło lat dziesięć, jak tam miał pojechać na studya, dla nasłuchania się pięknej muzyki. Teraz był tuż przy granicy włoskiej, o kilkanaście godzin drogi okrętem od Genuii, która nietylko, jak to wiedział z opowiadania p. Sand, dawała wcale dokładne wyobrażenie o charakterze Włoch, ale była jednem z najpiękniejszych miast włoskich wogóle, bardzo pięknie położonem, bardzo bogatem w zabytki sztuki i architektury, w piękne średniowieczne i renesansowe pałace, w ciekawe muzea i galerye. Pojechać tam, poznać osobliwości Genui, to mieć niejakie pojęcie o ziemi włoskiej, pojęcie niezbędne dla artysty. To było niewątpliwie główną pobudką, dla której Chopin, choć świeżo po chorobie, choć jeszcze bez dawniejszego zasobu sił, pragnął poznać poetyczną Genuę, o której tyle entuzyastycznych pochwał słyszał od pani Sand. A przytem taka wycieczka do Genui, do Włoch, w towarzystwie osoby ukochanej, która mu obiecywała być jego ciceronem po tem mieście pamiątek, to również nie mogło nie uśmiechać się tak romantycznie myślącemu człowiekowi, jak Chopin.

W ten sposób zaprojektowana wycieczka została uskutecznioną w pierwszej połowie maja. Drogę odbyto morzem, na okręcie, a że pogoda była cudowna, więc nikt nie cierpiał z powodu morskiej choroby. Chopin przez cały czas czuł się doskonale. Tak samo było w Genui, gdzie zabawiono kilka dni, zwiedzając wszystko, co było godnem widzenia, zachwycając się cudownem położeniem, pysznymi pałacami z tarasami nad morzem, wspaniałymi ogrodami pełnymi palm i cyprysów, znakomitymi obrazami i rzeźbami [1]). Chopinowi szczególniej się podobał pałac, noszący nazwisko Krzysztofa Kolumba, z pamiątkami po nim [2]), wrażeniami zaś, odniesionemi w tem rodzinnem mieście wielkiego żeglarza, nie omieszkał podzielić się w liście do rodziny, który stąd wysłał do Warszawy. Wrażenia te, tem milsze i romantyczniejsze, że z nimi w nierozłącznej parze szły i romansowe nastroje, rozmarzające zakochanego Chopina, łatwo-by się przeobraziły w nader poetyczne wspomnienie — wspomnienie wspólnych przechadzek po włoskiej ziemi w towarzystwie czarnobrewej kochanki — gdyby nie fatalny powrót, który popsuł wszystko, a bardzo zaszkodził Chopinowi. Po wypłynięciu z genueńskiego portu, ledwo okręt znalazł się na pełnem

[1]) W liście do p. Marliani, datowanym z Marsylii 20 maja 1839 r. pisze p. Sand: »Gênes n'a rien perdu à mes yeux de ce qu'elle était dans mes souvenirs: magnifiques peintures, nature admirable, palais et jardins êchafaudés les uns sur les autres, avec ce caractère tout particulier qui lui est propre«.

[2]) W jednym z listów do rodziny, datowanym z Nohant 11 października 1846 roku pisze Chopin: »W Genui dopiero t e r a z stawiają pomnik Krzysztofowi Kolumbowi, tam urodzonemu. Stamtąd musiałem wam pisać o pałacu, który nosi jeszcze jego nazwisko: *écusson*«.



morzu, przyszła burza, która sprawiła, że na to, by dopłynąć do Marsylii, potrzebowano nie dwudziestu godzin, jak w czasie pogody, lecz czterdziestu. Okręt kołysał się w sposób straszliwy, a choć nie groziło niebezpieczeństwo rozbicia, to jednak wszyscy chorowali okropnie, co dla p. Sand i jej dzieci mogło być tylko nieprzyjemnością, ale Chopina osłabiło niepomiernie, a więc prawie zniweczyło cały przybytek sił, z takim trudem zdobyty przez dwa ostatnie miesiące. To też, gdy w końcu po czterdziestogodzinnej chwiejbie zawitano do portu w Marsylii, Chopin tak był zbity z nóg, że doktór Cauvières odrazu wziął go do siebie, by w jego domu, pod jego ciągłym nadzorem, odzyskał to, co już był odzyskał przedtem, a co znów utracił w tej powrotnej drodze z Genui [1]). Na szczęście, chwilowe wyczerpanie minęło bardzo szybko, tak, że po kilku dniach Chopin znów wrócił do pierwotnego stanu zdrowia, a nawet czuł się tak dobrze, że doktór Cauvières nie sprzeciwiał się wyjazdowi z Marsylii. Swoją rolę uważał za skończoną. Radził tylko, by Chopin jeszcze nie wracał odrazu do Paryża, lecz lato spędził na świeżem powietrzu, na wsi. Projekt pani Sand, która Chopina na całe lato postanowiła zabrać do Nohant, zyskał jego najzupełniejszą aprobatę.

W takich warunkach dn. 22 maja puszczono się w powrotną drogę do Nohant. Całą podróż odbywano własnym powozem pani Sand, umyślnie sprowadzonym przez nią, byle Chopin nie zmęczył się podróżą. Te same względy sprawiły, że jechano rzemiennym dyszlem, tylko we dnie, a na noc zajeżdżano do przydrożnych oberży, bo chodziło o to, żeby Chopin, znużony całodzienną jazdą, mógł spać w wygodnem łóżku, a tem samem wypocząć i nabrać sił do dalszej podróży [2]). W ten sposób, po upływie siedmiu dni, w samym końcu maja, zajechano szczęśliwie, bez żadnych nadzwyczajnych przygód, do Nohant.

[1]) W liście z dnia 20 maja 1839 r. do p. Marliani pisze p. Sand: »Nous arrivons de Gênes, par une tempête affreuse. Le mauvais temps nous a tenus en mer le double du temps ordinaire; quarante heures d'un roulis tel que je n'en avais vu depuis longtemps. C'était un beau spectacle, et, si tout mon monde n'eût été malade, j'y aurais pris un grand plaisir«.

W swej *Histoire de ma vie* p. Sand tak pisze o tej wycieczce do Genui: »Skoro z nadejściem wiosny Chopin do sił przychodzić zaczął i przyzwyczaił się do kuracyi bardzo łagodnej, doktór Cauvières pochwalił nasz zamiar udania się na kilka dni do Genui. Wracając stamtąd, doznaliśmy na morzu dość gwałtownego napadu wichru, co Chopin musiał odchorować. Nieoceniony nasz lekarz we własnym domu ofiarował mu przytułek».

[2]) »Nous partons après-demain matin pour Nohant — pisze p. Sand dnia 20 maja 1839 r. z Marsylii do p. Marliani. — Adressez-moi là votre prochaine lettre; nous y serons dans huit jonrs. Ma voiture est arrivée de Châlon à Arles, par bateau et nous nous en irons en poste, tout tranquillement, couchant dans les auberges comme de bons bourgeois«.

## V.

»Tak droga przyjaciółko — pisała 3 czerwca autorka *Spiridiona* do p. Marliani — jestem znów u siebie, w najwyższym stopniu zachwycona możnością wypoczęcia po tem życiu w otoczeniu kufrów i oberż, które od sześciu miesięcy wiodłam na lądzie i morzu. Przyjechaliśmy zdrowi i cali, a Maurycy wprawił w osłupienie całe Berry metamorfozą, która się w nim dokonała. Jest on teraz młodzieńcem prawie, sądzę też, że pełnemi żaglami wpływa w wir życia. Biedne dzieci tak są szczęśliwe z tego przyjazdu na wieś, że aż przyjemnie patrzeć na ich radość. Po widokach wyschłej i pełnej kurzu Prowancyi, nasze prowincye północne tak są rzeczywiście pięknemi, że mam wrażenie poprostu, jakobym dostała się do raju«.

*Le Chateau de Nohant,* w którym teraz i Chopin zajął jeden z pokoi na pierwszem piętrze, choć nazywał się szumnie »zamkiem«, był — i jest po dziś dzień — zwykłą piętrową willą o siedmiu oknach frontu, położoną w ogrodzie, w malowniczej okolicy nieopodal rzeki Indres, w departamencie Berry, na połowie drogi między miasteczkami La Châtre i Chateauroux. Z dawnego zamku, który istotnie wznosił się za czasów feudalnych, pozostały tylko fundamenty i jedna baszta. Na tych starożytnych fundamentach zbudowano jeszcze w XVIII wieku, podczas wielkiej rewolucyi, wygodny jednopiętrowy dom mieszkalny, który przetrwał aż do obecnej chwili. W tym to zacisznym *chateau,* położonym w pięknym ogrodzie, wśród atmosfery wiejskiej, pośród rodziny i przyjaciół p. Sand, miał teraz Chopin spędzić całe lato, co oczywiście na jego zdrowie, wobec łagodnego i ożywczego klimatu tej części Francyi, musiało mieć wpływ zbawienny. Jakoż podobało mu się tu nadzwyczaj, zwłaszcza, gdy wygody Nohant porównał z niewygodami na Majorce. »Nohant — opowiada p. Sand w swych pamiętnikach — tworzyło zacisze mniej posępne, okolica była sympatyczniejsza, a ratunek w razie choroby łatwiejszy. Papet był dla niego lekarzem światłym i przywiązanym; sąsiedztwo, miłe i przyjemne, kochało go całą duszą i psuło wraz ze mną. Mój brat, Hipolit, powrócił, aby zamieszkać w Berry. Jego niewyczerpana wesołość, oryginalność konceptów, entuzyastyczny, niekłamany podziw geniuszu Chopina, niezmienna, uległa i pełna szacunku uległość dla poety, sprawiły, że był w łaskach u tego arystokratycznego artysty«. Hipolit Chatiron, który miał swą siedzibę w poblizkiem Montgivray, raz po raz przyjeżdżał na kilka dni do Nohant, a córka jego, Leontyna, mieszkała tu, dla towarzystwa Solange, przez całe lato. Gustaw Papet, emerytowany lekarz, najwięcej zajmujący się filantropią, mieszkał w Ars, skąd często zaglądał do Nohant, ażeby tu polować w towarzystwie Chatirona, albo z wędką chodzić na ryby. Do najmilszych »sąsiadów«, którzy rozpieszczali Chopina, należał w pierwszym rzędzie François Rollinat z Chateauroux, jeden z najlepszych przyjaciół p. Sand, oraz przyjaciele-sąsiedzi



z La Châtre, tacy jak Duvernet, Duteil, Planet i Fleury, którzy, bądź sami, bądź z żonami i dziećmi, często przyjeżdżali do Nohant w odwiedziny. Prócz nich przyjeżdżali i bawili w Nohant po parę lub kilka dni, zapraszani przez p. Sand, jej rozmaici przyjaciele paryscy, tacy, jak Pierre Leroux, sławny filozof socyalista, Etienne Arago, sławny publicysta, Albert Grzymała, Eugeniusz Delacroix, pani Marliani z mężem, p. Viardot z mężem i wielu innych. Ponieważ pierwszą zasadą, której *la chatelaine* — jak stale tu nazywano p. Sand — trzymała się w stosunku do swych gości, było przedewszystkiem absolutne pozostawienie im zupełnej swobody, tak, żeby nikt nie krępował się jakiemikolwiek względami na innych, żeby każdy robił, co mu się podoba, niezależnie od tego, co robiła reszta towarzystwa, więc tembardziej Chopin, psuty i pieszczony od wszystkich, a szczególniej przez samą »panią domu«, nie potrzebował skarżyć się na nic. Tryb życia, jakie prowadzono w »zamku«, był następujący. W ciągu dnia, w dni pogodne polowano, łapano ryby, jeżdżono konno, robiono spacery piesze lub powozami, przechadzano się po ogrodzie; gdy na dworze było zimno lub słotno, uprawiano grę w bilard, śpiewano, muzykowano, czytywano wspólnie, gawędzono w salonie, gdzie stał fortepian, albo nie wychodzono ze swych pokojów, gdzie każdy miał jakieś zajęcie, coś do załatwienia. O szóstej, na odgłos dzwonka, wszyscy schodzili się przy wspólnym obiedzie. Po obiedzie, w ciche letnie wieczory, urządzano nader miłe sjesty na tarasie, prowadzono ożywione, najczęściej wesołe rozmowy, słuchano muzyki Chopina z przyległego salonu, albo grywano teatr amatorski, przy której-to sposobności Chopin albo dawał poznać swój niezwykły talent aktorski, albo też, siedząc przy fortepianie, ilustrował odpowiednią muzyką, co grano na zaimprowizowanej scence. Grywano w stosownych kostyumach, których całą kolekcyę posiadano w Nohant, a grywano w ten sposób, że najprzód omawiano treść danej sztuki, poczem jak w — *commedia del arte* — każdy, stosownie do ułożonego scenaryusza, improwizował swoją rolę. O tych przedstawieniach teatralnych, które miały swoją sławę, p. Sand tak pisze w swym szkicu p. t. *Le Théâtre des Marionettes de Nohant:* »Przedstawienia te miały niejakie podobieństwo z t. zw. szaradami, które się przedstawia w towarzystwach, a które, stosownie do liczby i talentu grających, rozwijają się do większych lub mniejszych rozmiarów. Od takich szarad rozpoczęliśmy nasze spektakle. Stopniowo jednak zanikała szarada, bo zrazu grywaliśmy zabawne *saynètes,* potem komedye przygód i intryg, aż w końcu doszliśmy do wzruszających dramatów, z akcyą o silnem napięciu. Wszystko zaczynało się od pantominy, co było wynalazkiem Chopina, który improwizował przy fortepianie, podczas gdy młodzież wykonywała różne sceny wraz z komicznemi tańcami. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tem, jak te cudowne chwilami, a chwilami wdzięczne improwizacye oddziaływały na uszy słuchaczów, a zwłaszcza na nogi tancerzy. Tych ostatnich unosił ar-

tysta na skrzydłach swej fantazyi, dokąd mu się podobało, od żartu do powagi, od karykatury do podniosłości, od wesołości do namiętności. Improwizowaliśmy także kostyumy, w których jedni po drugich występowali w rozmaitych rolach. Chopin zaś gdy tylko spostrzegł występującego aktora, natychmiast z niesłychaną zręcznością dostosowywał do jego właściwej roli zarówno treść, jak i formę swojej muzyki«.

Wkrótce po przybyciu do Nohant otrzymała »pani domu« list od pani d'Agoult, datowany 9 czerwca z Albano, list cierpki dosyć, z wyrzutami na początku, że całkiem zapomniano o niej, że blizko rok nie miała listu, że na trzy miesiące wybiera się do Lukki, dokąd-by pragnęła ściągnąć panią Sand z Chopinem etc. List był adresowany do Genui, skąd go przesłano do Nohant, a zawierał także prośbę: *veuillez présanter mes hommages à M. Frédéric Chopin.* Pani Sand, która już wiedziała, co myśleć o »przyjaźni« p. d'Agoult, zwłaszcza od chwili, gdy związała się miłością z Chopinem, nietylko nie pojechała do Lukki, czego-by zresztą nie była uczyniła i z Genui, ale nawet nie spieszyła się z odpisaniem na list swej złotowłosej przyjaciółki, uważała bowiem, że najlepiej nie kontynuować stosunku, gdy ten przestał być serdecznym, gdy nie może być szczerym.

Zwrot w tej »przyjaźni«, która prawdziwą przyjaźnią ze strony hrabiny d'Agoult nie była nigdy, sprowadziła wzajemna niechęć pani Sand i przyjaciółki Liszta, ta ostatnia bowiem, pełna różnych małostek kobiecych, dwóch rzeczy nie mogła darować swej niby-przyjaciółce z Nohant: sławy i Chopina. Niedość, że Daniel Stern — pseudonim hr. d'Agoult — nie miał takiego powodzenia literackiego, jak Georg Sand, ale prócz tego jeszcze i Chopin, którego może sama hr. d'Agoult zbałamuciła-by chętnie, dał się opętać urokowi autorki *Lelii.* Tego nie mogła znieść złotowłosa kochanka Liszta, bardzo ambitna i próżna, a nadto i zawistna z natury, więc pisując do swej sławniejszej »przyjaciółki«, dopóty ją kłóła różnemi ironicznemi szpileczkami, dopóki p. Sand nie przestała odpisywać na jej jadowite listy. W marcu 1838 roku, gdy Balzac przyjechał do Nohant, stosunek p. Sand do Liszta i jego Egeryi już był tak naprężony, że autorka *Consuela* podsunęła swemu znakomitemu koledze po piórze temat do powieści satyrycznej p. t. *Les Amours forcées* albo *Les Galeriens*, osnutej na tle stosunku Liszta do hrabiny d'Agoult, stosunku, który im obu ciężył, jak więzienny łańcuch, z którego się wyzwolić nie mogli, choć może obojgu nie zbywało na ochocie po temu. Że Balzac skorzystał z tego pomysłu p. Sand, dowodziła jego powieść p. t. *Beatrix*, której bohater i bohaterka tak łudząco są podobni do Liszta i hrabiny d'Agoult.

Podrażniona zbyt długiem milczeniem ze strony autorki *Spiridyona*, w której teraz przedewszystkiem widziała szczęśliwą kochankę Chopina, p. d'Agoult napisała jeszcze jeden list do niej, bardzo wyniosły w tonie, w którym żądała w sposób kategoryczny, by jej wytłómaczono powód,





sem na czworakach, alem jeszcze nie był tam, gdzie wszyscy jadą, bo mi zakazano. Jest tu w bliskości Reinertz góra ze skałami zwana Heu-scheuer, miejsce, z którego widoki zachwycające, ale dla niezdrowego powietrza na samym wierzchołku nie wszystkim dostępna, a ja jestem jednym z tych pacjentów, na nieszczęście, którym tam nie wolno.

Ale mniejsza o to; byłem już na górze zwanej Einsiedelei, bo tam jest pustelnik. Wszedłszy na górę jedną z wyższych w Reinertz, wchodzi się po stu kilkudziesiąt schodach w prostej linii, nieledwie pionowo, z kamieni zrobionych do samego pustelnika, skąd przepyszny widok na całe Reinertz. Wybieramy się na jakieś Hohemenze, ma to być też góra w przepysznej okolicy; spodziewam się, że przyjdzie do skutku.

Ale próżno nudzę Cię tymi opisami, z których mało o rzeczy wyobrażenia powziąść możesz, albowiem nie wszystko da się opisać, co się chce. Co się tycze obyczajów, takem się już do nich przyzwyczaił, że mię nic już teraz oczu nie razi. — W początkach dziwno mi było, iż w ogólności w Szlązku kobiety więcej pracują od mężczyzn, ale że sam teraz nic nie robię, więc mi łatwo na to przystać.

Polaków dużo było w Reinertz, lecz teraz przerzedza się ich grono; wszyscy prawie, co byli, znajomi moi; zabawa dosyć wesoła między rodakami, nawet i znaczniejsze niemieckie familie też przykładają się do wszelkich rozrywek salonu. W tym domu, co my mięszkamy, mięszka pewna pani z Wrocławia; jej dzieci, chłopcy żywe, pojętne, mówią trochę po francusku; zachciało im się mówić po polsku, więc zaczyna jeden z nich, a mój druh, do mnie: z i e n d o b r y, odpowiedziałem: dobry dzień, i że mi się chłopak podobał, powiedziałem mu, jak się mówi d o b r y w i e c z ó r; temu nazajutrz tak się to pomięszało, że zamiast d o b r y d z i e ń powiada mi: z i e n w i e s i ó r. Nie wiedziałem, skąd ta omyłka, i ledwo com mu mógł wytłomaczyć, że to nie z i e n w i e c z ó r, ale d o b r y w i e c z ó r.

Darmom Ci tyle nabazgrał niepotrzebnie, może byś wolał przez ten czas coś innego robić! Ale też już kończę, od hodzę do B r u n u na dwie szklanki wody i pierniczek,

z którym zostaję na zawsze ten co zawsze

*F. Chopin.*

S17. Baronowa Diller do Fryderyka Chopina
[Heidelberg, po 14 września 1835]

Pani Diller daje znać, że są obydwie w Heidelbergu[1], nie będąc pewną, czy Chopin jej uprzednio wysłane listy odebrał[2] i błaga go, żeby zabawił co najmniej dwa dni, w ostateczności choć dzień jeden, przez wzgląd na biedną Katarzynę.

**Źródło**: Karłowicz 1904 P., s. 290; Karłowicz 1904 F., s. 163, w obydwu wydaniach streszczenia na podstawie autografu z kolekcji Marii Ciechomskiej w Warszawie. Autograf zaginął w 1939.

---

[1] Tzn. baronowa Diller i jej córka Catherine Pereira-Diller.

[2] Karłowicz opublikował w streszczeniu trzy listy baronowej Diller z 1835 (por. listy S16-S18). Z kontekstu niniejszego listu wynika, że pani Diller wysłała do Chopina więcej niż trzy listy, które zapewne nie zachowały się w kolekcji rodzinnej kompozytora do 1904, tj. do czasu publikacji *Niewydanych dotychczas pamiątek po Chopinie* przez Karłowicza (por. KorCh 2009, s. 74, nota źródłowa).

Dziewanowski pisał do mnie; myślę mu odpisać jutro. Pisze mi, że i do Ciebie pisał; poczciwy malec, że nie zapomniał.

Był tu Alfred Kornatowski z rodzicami i z siostrami; podobno to znajomość Fontanny [!], powiedz, że wyjechał onegdaj.

Twojemu Papie, Twej Mamie moje uszanowanie.

Nie wiem sam, com Ci tam napisał; widzę, że dużo, ale mi się odczytać nie chce.

### 28. WOJCIECH ŻYWNY DO FR. CHOPINA W DUSZNIKACH

[Tłumaczenie]

[Warszawa, 19 sierpnia 1826]

Najdroższy i najlepszy Panie Fryderyku!

Największą przyjemność sprawił mi list pisany 11 b. m. do Pańskiego drogiego Ojca, dotyczący zdrowia Pańskiego i dobroczynności dla biednych sierot. Przypomni Pan sobie zapewne, że doradzałem dać koncert, tak się też stało istotnie, a do tego na tak chwalebny cel. Pragnę z serca wkrótce uścisnąć Pana w zupełnym zdrowiu i z serca Go ucałować i pozostaję z prawdziwą miłością i szacunkiem

wiernym Pana przyjacielem

*Wojciech Żywny.*

### 29. DO JÓZEFA ELSNERA W WARSZAWIE

[Tłumaczenie]

Duszniki, 29 sierpnia [1826]

Szanowny Panie.

Od chwili naszego przyjazdu do Dusznik obiecywałem sobie napisać do Pana, ale że cały czas mam zajęty kuracją, nie mogłem tego dotychczas uczynić i dzisiaj dopiero wykradam chwilkę czasu, aby ją poświęcić przyjemności pogawędzenia z Panem i zdania jednocześnie sprawy, co załatwiłem z poleceń łaskawie mi przez Pana danych. Starałem się wywiązać jak najlepiej, oddałem p. Latzel adresowany do niego list, który go bardzo ucieszył; co do pp. Schna-





dla którego przestano pisywać do niej. Tego już p. Sand było nadto. Nie przywykła do tłómaczenia się ze swych postępków, przedewszystkiem obrażona podobnem żądaniem ze strony przyjaciółki Liszta, odrazu postanowiła zerwać z nią na zawsze, zerwać stanowczo. Miała dosyć tej »przyjaźni!« W tym celu, bezpośrednio po otrzymaniu listu od p. d'Agoult, otrzymanego za pośrednictwem p. Marliani, natychmiast napisała do tej ostatniej, wtajemniczając ją, co myśli o p. d'Agoult, jakie ma zamiary względem niej, oraz, w jaki sposób myśli odpisać na jej list.

List ten bardzo obszerny, a datowany z Nohant 28 września 1839 r., zawierał obszerniejszy ustęp o Chopinie, brzmiący, jak następuje:

»Il faut, ma chérie, que je vous parle de madame d'Agoult. Elle m'a renvoyé ces jours-ci la lettre qu'elle vous avait adressée pour moi avec un mot d'introduction qui m'intime très impérieusement l'ordre d'expliquer mon long silence. Ce mot et cette lettre sont si raides, si secs, si remplis de malveillance; il y règne un tel sentiment d'orgueil et de dureté, il y perce enfin un tel besoin d'accuser, de dénigrer et de maudire, que je suis absolument décidée à rompre toute relation amicale avec cette personne désagréable, ingrate et fausse. Maintenant, il s'agit de savoir comment s'opérera cette rupture, et jusqu'à quelle rigueur elle s'étendra. C'est sur quoi je veux vous consulter. Il y a un moyen bien simple, c'est de ne pas plus répondre à cette dernière lettre que je n'ai fait depuis, je crois, quinze ou dix-huit mois, à l'égard des autres. Mais il y a à cela un inconvénient c'est qu'elle accusera de notre mésintelligence deux personnes qui y sont tont à fait étrangères. Vous avez lu sa lettre, et vous vous souvenez qu'elle rejette une partie de sa bile sur Mallefille et Chopin. Je tiens à les disculper l'un et l'autre, d'abord parce qu'il me semble que redresser la vérité dans les faits est toujours un devoir, ensuite parce qu'à l'égard de Chopin cette brouillerie pourrait entraîner la sienne avec Liszt. Vous avez vu comme elle l'accuse avec véhémence, lui (dit-elle), l'ami de Liszt, de m'avoir détachée d'elle et de lui. Ceci me ferait assez croire qu'elle se sent coupable d'avoir dit jadis du mal de moi à ces personnes dont elle craint les révélations. Mais la vérité est que ni la première, ni la seconde ne m'en ont jamais parlé, de même que de mon côté je ne les ai jamais interrogées à cet égard. Je ne sais même pas jusqu'où va dans le fond du coeur l'amitié de Chopin pour Liszt. Vous connaissez la réserve excessive du premier, et sa minutieuse délicatesse. Je sais seulement qu'il consentirait dans son amitié et son dévouement pour moi à porter le poids de toutes les accusations pour m'éviter des explications pénibles. Sa fierté aussi l'empêcherait d'aller au devant d'une explication pour son compte, et si on ne la lui demandait pas, ce qui serait possible (mon silence équivalant à un aveu), il resterait chargé de la rancune de Liszt et de l'aversion de madame d'Agoult. Telle que je la connais maintenant, elle lui susciterait des contrariétés et des amertumes dont il n'a pas besoin, lui si nerveux, si discret, si exquis (partant si souffreteux) en toutes choses Ainsi je dois une réponse à madame d'Agoult, soit verbale, soit écrite. Je la ferai courte, mais ferme, sans colère et sans fiel d'ailleurs, vous pouvez m'en croire! La méchanceté d'une femme ne m'a jamais émue. C'est quelque chose que j'observe froidement, en me disant qu'il faut voir un peu de tout, pour écrire des romans de moeurs. C'est un métier qui n'égaie pas, mais qui rend frès calme« [1]).

[1]) List ten ogłosił po raz pierwszy w *Revue de Paris* z 15 grudnia 1894 r. p. Samuel Rocheblave w swej interesującej pracy p. t. *Une Amitié romanèsque: George Sand et M-me d'Agoult.*

Można być pewnym, że p. Sand, nim powzięła ten stanowczy zamiar zerwania z p. d'Agoult, co równało się oziębieniu stosunku z Lisztem, we wszystko przedtem wtajemniczyła Chopina, który musiał akceptować ten krok swej przyjaciółki, bo w przeciwnym razie miał możność udaremnienia go, sparaliżowania. Skoro tego nie uczynił jednak, to dowodził temsamem, że w zupełności podzielał zapatrywanie p. Sand w tej kwestyi, że i on nie był przeciwnym zerwaniu tej fałszywej przyjaźni, choć wiedział, że to nie pozostanie bez wpływu na jego stosunek do Liszta. Widocznie, że mu nie bardzo zależało na tym stosunku, który ze strony Liszta miał niewątpliwie wiele podobieństwa do »przyjaźni« p. d'Agoult dla p. Sand. Chopin zaś, mający wielką znajomość ludzi, doskonale umiejący odgadywać ich najtajniejsze uczucia, nigdy nie miał złudzeń co do tej »przyjaźni« Liszta dla niego, wiedział, co trzymać o niej, o jej szczerości. Dlatego nie oponował wcale, gdy p. Sand powzięła zamiar zerwania z p. d'Agoult. Jakoż był to tylko drobny epizod na pogodnem tle miłych wakacyi, epizod, do którego Chopin z pewnością przywiązywał mniejszą wagę, aniżeli p. Sand.

Nierównie większą wagę przywiązywał do pobytu w Nohant, z którego tak był zadowolony, że mu wcale nie spieszyło się wracać do Paryża. »Chcesz wiedzieć, kiedy wrócę? — pisał do Fontany w liście z dnia 10 sierpnia. — Jak się niepogody zaczną, bo mi świeże powietrze potrzebne«. Powtóre nie spieszył się i dlatego również, albowiem wiedział od swych przyjaciół paryskich, z którymi w ciągłej pozostawał korespondencyi, że w Paryżu, wśród jego znajomych, zarówno z polskiego, jak z francuskiego świata, niestworzone rzeczy opowiadano sobie o nim, z powodu jego stosunku i podróży z p. Sand. Ale nic sobie z tego nie robił, rozumując słusznie, że niema takiej plotki, która-by nie ucichła wkońcu. »Nie dziwię się baśniom rozmaitym — pisał raz w tej kwestyi do Fontany; — możesz miarkować, żem wiedział, że się na nie wystawiam. Wszakże i to minie i pogniją nasze języki, a duszy nie naruszą«. Doszedłszy do tak filozoficznego poglądu na wszelkie małości i małostki natury ludzkiej, wogóle, odkąd przyjechał do Nohant, był w bardzo dobrym humorze, co oczywiście ujawniało się, czasem w bardzo jaskrawej formie, w jego listach do przyjaciół. Oto np. co raz pisał do Fontany: »Znajdź mi lokaja. Uściskaj panią Leo (pewno to pierwsze ci przyjemniejsze, więc cię od drugiego uwalniam, jeżeli pierwsze zrobisz). Moschelesowi, jeżeli już jest w Paryżu, każ dać enemę z oratoriów Neukomma, przyprawioną Cellinim i koncertem Doehlera. Zapewne pójdzie na garderobę i zrobi jakiego Valentyna! Myśl dzika, ale przyznasz, że oryginalna! Jasiowi daj na śniadanie odemnie wąsy swinxowe i cynadry papuzie z sosem pomidorowym osypane jajeczkami świata mikroskopicznego. Sam się wykąp w infuzyi balenowej na wypoczynek wszystkim moim komissom, które ci daję, bo wiem, że chętnie, co ci czas pozwoli, zrobisz dla mnie, i co ja tobie chętnie zrobię, jak się ożenisz. O czem niedługo zapewne mi Jasio doniesie. Aby nie z Ożarowską, bo to moja partya. Pani Platerowej dmuchnij gdzieś odemnie, a p. Paulinie kichnij. Wsadź sobie palec w Osławskiego i zatrąb Niemcewicza młodego przeplatanego Ordą. Nie mów nikomu o tem, bo to sekret. Twój z dłuższym niż kiedy nosem *Ch.*

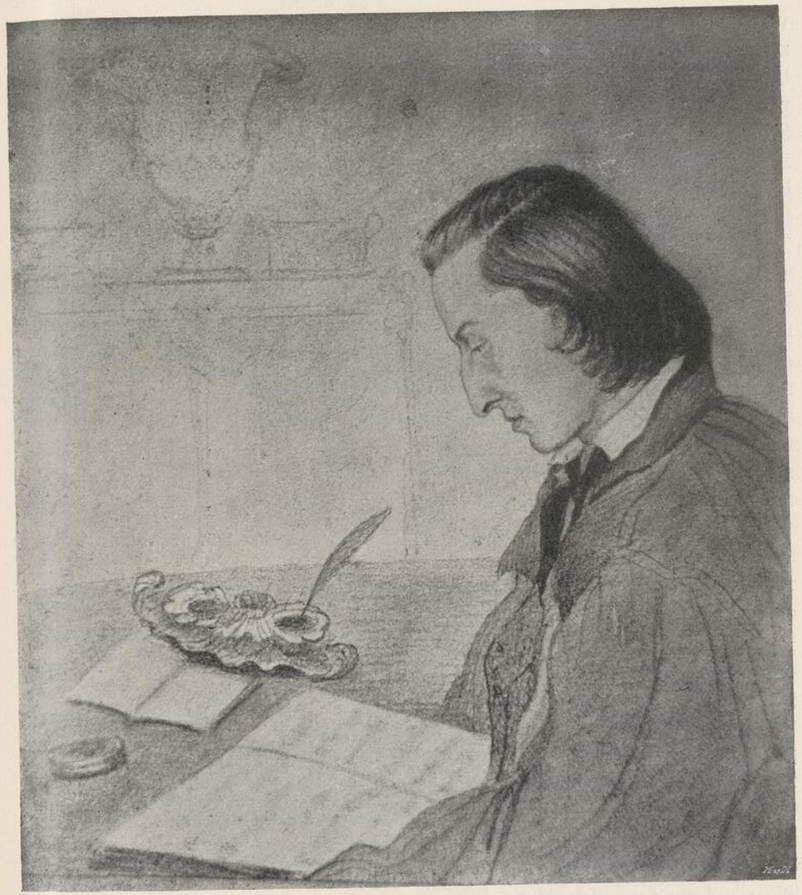


Ten dobry humor wynikał przedewszystkiem z pomyślnego stanu zdrowia, a dobre zdrowie dawało możność Chopinowi iść za przykładem pani Sand, nie ustającej w pracy pisarskiej, i z niemniejszą gorliwością oddawać się, przeważnie w godzinach przedpołudniowych, pracy kompozytorskiej. »Jedynie w Nohant tworzył i pisał«, powiada o nim pani Sand. Tak było istotnie, od czasu, gdy zaczął jeździć do letniej rezydencyi swej przyjaciółki. Tutaj bowiem, w dali od paryskiego zgiełku, znajdował potrzebny spokój do pracy, tutaj mógł się skupić dostatecznie. Jakoż nie lenił się bynajmniej; owszem, nie tracił czasu. W 1839 r., kiedy pierwszy raz spędzał tu całe lato i jesień, napisał cały szereg nowych kompozycyi, w tej liczbie tak wybitne, jak *Sonatę B-moll,* trzy *Mazurki,* jedne ze swych najpiękniejszych wogóle, nie mówiąc o utworach, skomponowanych dawniej, a teraz w Nohant wykończonych ostatecznie, takich, jak *Impromptu Fis-mol, Deux Nocturnes* Op. 37, oraz *Scherzo Cis-moll.* Oto wyjątek z listu do Fontany, datowanego 10 sierpnia, dotyczący tej pracy kompozytorskiej: »Ja tu piszę *Sonatę Si b mineur,* w której będzie mój marsz, co znasz. Jest *allegro,* potem *Scherzo mi b mineur, marsz* i finałek niedługi, może ze trzy strony moje; lewa ręka unisono z prawą ogadują po marszu. Mam nowe *notturno G-dur,* które pójdzie w parze z *G-moll,* jeżeli sobie przypominasz. Wiesz, że mam cztery nowe *Mazurki:* jeden *C-moll* palmejski, trzy tutejsze *H-dur, As-dur* i *Cis-moll,* zdaje mi się że ładne, jak zwykle najmłodsze dzieci, kiedy rodzice się starzeją. Nic nie robiąc, poprawiam sobie Bacha edycyę paryską, nietylko z błędów graveura, ale i z błędów akredytowanych przez tych, co Bacha niby rozumieją (nie w pretensyi, żebym lepiej rozumiał, ale z przekonaniem, że czasem zgadnę). Otóż i nachwaliłem się tobie. Teraz, jeżeli Grzymała przyjedzie (o czem na dwoje babka wróżyła), przyślij mi Webera na cztery ręce. Jeżeli u ciebie, a nie, to moją ostatnią *Balladę* w manuskrypcie, bo chcę coś widzieć. Także ostatnich *Mazurków* twój egzemplarz (jeżeli masz, bo nie wiem, czy moja galanterya doszła do tego stopnia, żeby nie zapomnieć o tem). Powiedz mi także, czyś Eichtalównie zaniósł odemnie walca (jeżeli nie, to nic nie szkodzi). Pleyel do mnie pisał, żeś bardzo obligeant, żeś poprawił *Preludya.* Nie wiesz, co mu dał za nie Wessel (pisz mi, co ci odpisał dawniej, dobrze wiedzieć na przyszłość), także, czy Probst wyjechał (co zapewne), ale kiedy przyjedzie, jeżeli wiesz. Ojciec mi pisał, że moja *Sonata* stara u Haslingera wyszła i że niemcy chwalą. Mam teraz, rachując z twemi, sześć manuskryptów; zjedzą djabła, jeżeli je darmo dostaną. Pleyel mi

wielką nieprzysługę zrobił ze swojemi ofiarowaniami się, bom sobie żyda Schlesingera naraził. Ale się to, mam nadzieję, naprawi jakoś«. W innym liście, z dnia 26 września do tegoż Fontany, a więc w okresie czasu, kiedy wyszły jego *Preludya* w edycyi Pleyela, znalazł się taki ustęp o świeżo napisanych kompozycyach: »Trzeba, żebyś do Wessla pisał. Wszak-żeś ty o *Preludya* pisał? Trzeba, żebyś mu pisał, że mam sześć nowych manuskryptów, za które chcę, żeby mi za każdy płacił teraz 300 franków. Napisz i odbierz odpowiedź. Jeżeli myślisz, że nie da, to mi napisz wprzódy«. W innym liście, z dnia 10 października, w nagrodę za różne »komissa«, które powierzał Fontanie do załatwienia w Paryżu, obiecywał mu Chopin »za to odmieniać drugą część *Poloneza* aż do zgonu«. Chodziło o *Poloneza A-dur,* którego część druga nie trafiała jakoś do przekonania Fontanie. Chopin, żeby dogodzić przyjacielowi, poprawiał i przerabiał ją kilkakrotnie, aż wkońcu, w tymże liście z dnia 10 października, tak pisał w tej kwestyi: »Wczorajsza wersya może ci się także niepodoba, chociaż suszyłem mózg z jakie 80 sekund. Mam moje manuskrypta w porządku dobrze zanotowane. Jest ich sześć z twojemi *Polonezami,* nie rachując drugiego *Impromptu,* które może kiepskie; jeszcze sam nie wiem, bo za świeże. Ale dobrze-by było, żeby nie bardzo Ordowskie albo Zimmermanowskie, albo Karsko-końskie, albo Sowińskie, albo świńskie, albo inno-zwierzęce było, boby mi podług mojej rachuby przynajmniej 800 franków przynieść mogło. To się potem zobaczy«.

Tymczasem była inna kwestya, której pomyślne załatwienie bardzo leżało Chopinowi na sercu, kwestya nowego mieszkania. Wyszukanie go powierzył swym dwom przyjaciołom, Fontanie i Grzymale (bo Matuszyński, sam chory na piersi, wyjechał na wieś). Po długich poszukiwaniach, którym z Nohant wtórowały najrozmaitsze grymasy ze strony Chopina, znaleziono wreszcie, pod koniec września dopiero, odpowiedni lokal przy rue Tronchet Nr. 5, lokal, mniej więcej odpowiadający wszystkim wymaganiom Fryderyka, który wynajęto, wytapetowano, urządzono, tak, że na początku października już był gotów zupełnie. W trakcie tych przygotowań, przez cały czas przychodziły dyspozycye z Nohant, dotyczące mebli, tapet, etc., dyspozycye, których wykonanie sporo przyczyniało roboty. Oto np. jedna z takich instrukcyi, zawarta w liście z dnia 26 września: »Bardzo ci dziękuję za twoją poczciwą przyjacielską, nie angielską, ale polską duszę. Wybierz papier, jak dawniej u mnie był tourterelle, tylko świecący glancowany na oba pokoje i zielony ciemny nieszeroki sznur na szlak. Na przedpokój coś innego, ale porządnego. Jednakże jeżeli jakie piękniejsze a modniejsze są papiery, które tobie się podobają i wiesz, żeby mi się też podobały, to weź. Wolę gładko najskromniej i czyściuchno, jak zwyczajnie ordynarno episiersko. Dlatego perłowo mi się podoba, bo ani krzyczy, ani ordynarno. Dziękuję ci za pokój dla służącego, bo bardzo potrzebny. Teraz co się mebli tycze, najdoskonalej zrobisz, jeżeli się tem zajmiesz. Nie śmiałem, jak cię kocham, trudzić cię tym ambarasem, ale kiedyś taki poczciwiec, zbierz-że je i ustaw. Poproszę Grzymały, żeby na przenosiny dał pieniędzy; sam mu o tem napiszę. Co się zaś tycze łóżka i biurka, trzeba-by je dać odchędożyć ebeniście jakiemu. Papiery byś z biurka wyjął, gdzieindziej zamknął. Nie potrzebuję ci opowiadać, jak masz robić. Rządź, jak tylko ci się podoba, jak potrzebnie ci się zdawać będzie. Co zrobisz,





Chopin przy pracy w Nohant. (Według rysunku pani Sand).
(Klisza »Nauki i Sztuki» Wyd. Tow. Naucz. Szkół Wyż., *Chopin* T. X., St. Opieńskiego).

wszystko dobrze będzie. Masz całe moje szerokie zaufanie. Pewnoś już z intendentem skończył. W przedpokoju każesz zawiesić firanki szare, co były w moim gabinecie z fortepianem, a w sypialnym też co były w sypialnym, tylko pod spodem muślinowe blade z tych, co były pod szaremi. Szafkę chciałbym mieć w sypialnym pokoju, chyba że miejsca porządnego nie będzie, albo że w salonie zbyt goło między oknami. Gdyby można kazać zrobić na czerwoną sofę, co w jadalnym pokoju stała, hussy białe takiej samej materyi, jak krzesła, toby można ją postawić w bawialnym pokoju. Ale ponieważ na to trzebaby uwrierkę albo tapicera, coby na mój przyjazd czekał, więc zapewne trudno będzie. Pomyślisz i powiesz mi. Także przewąchaj jakiego służącego. Jeżeli jaki Polak poczciwy, porządny. Powiedz i Grzymale o tem. Zgódź, żeby sam sobie jadł, nie więcej jak 80. Materac elastyczny mojego łóżka trzebaby kazać naprawić, jeżeli drogo, to nie trzeba. Każesz krzesła i wszystko dobrze wytrzepać. Niepotrzebnie ci powiadam, bo sam wiesz, co masz robić. Jasia uściskaj. Moje życie, dziwnie mi czasem na sercu. Niech mu Pan Bóg da czego mu potrzeba. Ale niech się szwabić nie daje; choć z drugiej strony... tere bzdere kuku. Otóż największa prawda na świecie! i póki tak będzie, jak jest, zawsze cię kochać będę, jako poczciwca, i Jasia, jako drugiego. Ściskam was obu. Piszcie a prędko«. W taki sposób dyrygując całą sprawą, której ster, choć sam był nieobecny, ujął w swe ręce, Chopin bardzo był wymagający, gdy chodziło o ścisłe zastosowanie się do jego życzeń, a licząc na poczciwe serca swych przyjaciół, zwłaszcza Fontany, którym się posługiwał bez ceremonii, jak swym oficyalistą, nie bardzo się liczył z jego czasem, wcale się nie krępując niczem, gdy chodziło o zaspokojenie pewnych kaprysów. Można go w danym razie przyrównać do czarującej kobiety, która jeśli nie cofa się przed żadnem żądaniem, to dlatego, iż wie, że niema takiej rzeczy, którejby nie zrobiono dla niej. Z tego widocznie wychodząc założenia, nie był chwilami daleki nawet i od zbytniego nadużywania i wyzyskiwania całkiem bezinteresownej uprzejmości oddanego mu całem sercem przyjaciela.

Ale prócz kwestyi zmiany mieszkania dla siebie istniała w ciągu tego lata dla Chopina także i kwestya mieszkania dla p. Sand, którą namawiał, żeby na zimę przeniosła się do Paryża. Chodziło mu o to, żeby mogli być razem, żeby to jej mieszkanie było ile możności jaknajbliżej jego mieszkania, żeby, jednem słowem, nie potrzebowali żyć w rozłące, on w Paryżu, ona w Nohant. Tymczasem p. Sand nie mogła się zdecydować na stałe osiedlenie się w Paryżu, raz dlatego, że ogromnie lubiła życie na wsi, a nie lubiła gorączkowego życia paryskiego, a powtóre — czego z pewnością nie powiedziała teraz Chopinowi — obawiała się konsekwencyi takiego zamieszkania w blizkości Fryderyka; rozumiała, że temsamem zaciągnęła-by pewne zobowiązania wobec niego, zacieśniła-by łączące ich węzły, a właśnie tego pragnęła uniknąć. To, do czego dążył Chopin, mianowicie, do



wspólnego pożycia z nią, do przyjaźni, która-by zakrawała na rodzaj nieślubnego małżeństwa, a miała wszystkie cechy *liaison*, to po Majorce całkiem przestało się uśmiechać p. Sand; tak dalece nawet, że nietylko nie zapalała się do tego, ale przeciwnie lękała się czegoś podobnego. Stosunek z Chopinem, który już w czasie wspólnej podróży przestał być romansem miłosnym, a z konieczności, wobec fatalnego stanu zdrowia Chopina, musiał się przeobrazić w miłość platoniczną, przestał mieć urok dla p. Sand; Chopin bowiem, w tym stanie zdrowia, w jakim się znajdował, całkiem się nie nadawał na kochanka dla kobiety zmysłowej, jak ona; to też, choć była szczerze przywiązaną do niego, pożądać go tak, jak go pożądała przed chorobą, przestała zupełnie. Przedewszystkiem nie chciała go mieć na sumieniu, żeby się wyniszczał przez nią, rozumiała bowiem, że człowiek o tak wątłym organizmie, jak on, powinien się szanować pod względem fizycznym, nie powinien się wycieńczać uciechami zmysłowej natury. Przy tak delikatnej kompleksyi, jak Chopin, wszelkie nadużycia erotyczne, bez których trudno sobie wyobrazić prawdziwy romans z kobietą tego temperamentu, co ona, były połączone z wielkiem niebezpieczeństwem, bardzo łatwo mogąc doprowadzić do nadmiernego wycieńczenia, które u Chopina, o ile już nie był suchotnikiem, łatwo mogło stać się przyczyą suchot, a temsamem przyspieszyć śmierć przedwczesną, na którą Chopin i bez tego zdawał się być skazanym. Do tego pani Sand nie chciała dopuścić, a tembardziej nie chciała właśnie to mieć sobie do wyrzucenia. To był pierwszy powód, dla którego teraz, w czasie pobytu w Nohant, postanowiła zakończyć swój romansowy stosunek z Chopinem. Bała się o jego zdrowie, o jego życie. Lecz jednocześnie był jeszcze i drugi powód, niemniej ważny, a może ważniejszy nawet, dla którego nie życzyła sobie, by Chopin nadal był jej kochankiem. Oto w pieszczotach z nim, w objęciach jego, nietylko nie doznawała rozkoszy, ale zaczęła doświadczać uczucia fizycznej odrazy; poprostu miała wrażenie, jak się wyraziła z czasem — w rozmowie z Aleksandrem Dumasem synem — *de coucher avec un cadavre*. Nic dziwnego tedy, że się nie garnęła do jego pieszczot, że z nim nie chciała dzielić łoża; kochanek, który robi wrażenie trupa, nie przedstawia żadnych ponęt, więc nie może budzić namiętności w kobiecie. Powtóre, choć Chopin, zdaniem doktora Cauvières, nie miał suchot, to jednak nikt nie mógł zaręczyć, czy tak było naprawdę, zważywszy, że kaszlał ciągle, pluł krwią, a nawet miewał krwotoki. Wszystko to budziło całkiem uzasadnione obawy, że to jednak były jeżeli nie suchoty, to przynajmniej początki suchot, czyli, że nie chcąc się zarazić, należało się mieć na baczności. Ponieważ p. Sand nie miała najmniejszej ochoty do zarażenia się suchotami, co przy nieplatonicznym stosunku z Chopinem bynajmniej nie było wykluczonem, przeto wolała unikać jego pocałunków, które, wobec podobnych obaw, musiały stracić wszelki urok dla niej. Jakoż utraciły zu-

pełnie, bezpowrotnie. Stąd postanowienie niezłomne, które też pani Sand uskuteczniła z całą bezwzględnością, ażeby swemu stosunkowi z Chopinem nadać całkiem odmienny charakter, niż ten, jaki miał dotąd. Postanowienie to, gdy je zakomunikowała Chopinowi, oczywiście wywołało najżywszy protest z jego strony, przyczem zapewne nie obeszło się i bez scen dramatycznych. Ale p. Sand wiedziała doskonale, czego chce, do czego dąży, i bardzo wyraźnie postawiła swoje warunki. Mógł Chopin przystać na nie, lub nie, to była jego rzecz; ona wiedziała, że od nich nie odstąpi, że to, co postanowiła, przeprowadzi, że tego, co raz powiedziała, nie cofnie. Powiedziała zaś, że już jego kochanką nie będzie nigdy, co nie przeszkadza, że go kocha, tylko, że go kocha inaczej, niż w chwili pierwszych porywów. To, co było wtedy, musi pozostać czarownem wspomnieniem, niepowrotnem marzeniem, niewyśnionym snem. Teraz jej rola zmieni się przy nim; miejsce miłości namiętnej, zmysłowej i lubieżnej, zajmie miłość bezinteresowna, macierzyńska, nie cofająca się nawet przed poświęceniem. Kochankę zastąpi przyjaciółka, która w razie potrzeby gotowa stać się troskliwą *garde maladą*. Zdaniem p. Sand, zdaniem, któremu trudno odmówić słuszności, Chopin, przy swoim stanie zdrowia, potrzebował tylko takiej przyjaciółki, tylko takiej miłości. Taką miłość też, nie inną, ofiarowała mu teraz p. Sand, a Chopinowi nie pozostawało nic innego, tylko zgodzić się na nią, przyjąć ją wdzięcznie. Zgodził się, ale nie bez urazy pewnej, na dowód zaś, że obawy i skrupuły, które powodowały p. Sand, uważał za niesłuszne, uprzedził ją, że skoro ona nie chce być jego kochanką, to on zacznie się rozglądać za metresą. Pani Sand przystała na ten warunek, przyczem okazała się tak wyrozumiałą, że patrzyła przez palce, gdy Chopin tę metresę znalazł sobie... w Nohant, w osobie jednej z dziewcząt wiejskich [1]).

Mimo to Chopin był w rozpaczy. Zrozumiał, że choć p. Sand będzie »jak dziewica« żyć przy nim, pełna macierzyńskich uczuć dla niego, to jednak nie znaczyło to jeszcze, by wogóle od tej chwili postanowiła żyć w dziewictwie, by raz na zawsze wyrzekła się miłości i pieszczot. Wyrzekła się jego miłości i pieszczot, ale przy jej zmysłowem usposobieniu, przy jej temperamencie, w jej wieku, w 35-tym roku życia, z pewnością nie myślała ślubować czystości. Ta myśl nie dawała spokoju Chopinowi, trapiła go, prześladowała, jak zmora [2]).

[1]) Według opowiadania pana Samuela Rocheblave (zobacz również René Doumic, *George Sand,* str. 216). Szczegół ten, całkiem zmieniający dotychczasowe poglądy na stosunek Chopina do pani Sand, opowiadała p. Samuelowi Racheblave, któremu też ofiarowała swój zbiór listów Chopina, córka pani Sand, Solange Clesinger.

[2]) Sądzę, że nie od rzeczy będzie zacytować tu ustęp z jednego listu pani Sand do Grzymały, dopiero niedawno z upoważnienia pana Samuela Rocheblave ogłoszony przez René Doumic'a w jego książce o *George Sand* (Dix conférences sur sa vie et son oeuvre, Paris 1909), ustęp, który na tę drażliwą i delikatną kwestyę rzuca bardzo jaskrawe światło,



Tymczasem p. Sand na razie uśmiechało się takie życie pozbawione namiętnych uniesień miłości, ile że czuła się zmęczoną dotychczasowemi doświadczeniami w tej dziedzinie. Trochę zrażona do romansowych przygód, z których w końcu zawsze wynosiła tylko niesmak, p. Sand była całkiem szczera, gdy dobrowolnie wyrzekając się miłości Chopina, na seryo myślała o wyrzeczeniu się miłości wogóle. Zaczynała mieć jej dosyć. A natomiast czuła wielkie pragnienie spokoju i wypoczynku dla duszy. Nie znaczyło to jednak, by wyrzekając się miłości, płonęła chęcią poświęcania się dla kogoś, bo co innego spokój, a co innego poświęcenie. O tem nie myślała bynajmniej, i dlatego przemyśliwała o sposobie rozejścia się z Chopinem. W pierwszej chwili mogła mniemać, że gdy mu odmówi swych pieszczot, gdy go pozbawi roli kochanka, gdy go ograniczy do praw przyjaciela jedynie, to on nie zgodzi się na wspólne pożycie w takich warunkach. Ale to przypuszczenie okazało się zawodnem; Chopin bowiem, choć nie bez oporu, przystał i na ten warunek, bo za żadną cenę nie chciał się rozłączyć z ukochaną. Kochał Aurorę, a choć ona odtrącała jego miłość, a przynajmniej jej zmysłowe objawy, nie mógł żyć bez niej. Tak przynajmniej zdawało mu się na razie, i jeszcze długo potem. Całkiem inne były uczucia p. Sand. Gdy on poetyzował swój stosunek do niej, ona bardzo trzeźwo zapatrywała się na wszystko, wcale nie skłonna do idealizowania tego, co dla niego miało taki urok, a co w jej oczach równało się ciężkiemu zobowiązaniu na przyszłość. Ona dążyła do tego, żeby być wolną, żeby mieć niezwiązane ręce, to zaś, do czego ją namawiał Chopin, zakrawało na niewolę. Ulegając zaklęciom Chopina, brała obowiązki na siebie, którym mogła nie podołać, jeśli nie chciała zaniedbywać obowiązków, jakie miała wobec dzieci. Wiążąc się z Chopinem, poprostu dobierała jeszcze jedno dziecko, i to dziecko chore, rozpieszczone, kapryśne, przeczulone, a przytem wyjątkowe zupełnie, bo to słabowite, suchotami zagrożone dziecko było sławnym artystą, geniuszem! I jakże tu się dziwić, że p. Sand, tak roztropna z natury, wahała się długo, zanim powzięła jakieś stanowcze postanowienie, że nie łatwo mogła się zdecydować na jakikolwiek krok, w obawie, żeby to nie był krok fałszywy; że w tem, co sobie Chopin

a który wyjęty z listu, pisanego w maju 1847 r., brzmi, jak następuje: »*Il y a sept ans que je vis comme une vierge avec lui.* Si une femme sur la terre devait lui inspirer la confiance la plus absolue, c'était moi, et il ne l'a jamais compris; et je sais que bien des gens m'accusent, les uns de l'avoir épuisé par la violence de mes sens, les autres de l'avoir désespéré pas mes incartades. Je crois que tu sais ce qu'il en est. Lui, il se plaint à moi que je l'ai tué par la privation, tandis que j'avais la certitude de le tuer si j'agissais autrement«. To co Heine pisze o roli Chopina, jako *cavaliere servente* p. Sand, że »sein Amt war freilich in der letzten Zeit eine Sinekure geworden«, odnosi się nietylko do ostatnich czasów, ale do c a ł y c h s i e d m i u l a t stosunku Chopina z p. Sand. Wszystko więc, co dotychczas popisano o zgubnej roli pani Sand, jako wampira Chopina, należy między bajki włożyć.

wyobrażał, jako źródło szczęścia, ona widziała źródło kłopotów i trosk, uważając nie bez słuszności, że to się równało niejako poświęceniu z jej strony.

A jednak zwyciężył Chopin. Niezależnie od wszystkiego, co jej mówił spokojny głos rozsądku, przed czem ją bronił zdrowy instynkt życiowy, co trafnie przewidywała i odgadywała intuicya kobiety i powieściopisarki, pomimo wszystkiego, co musiało przemawiać przeciwko takiemu związaniu się z Chopinem, p. Sand uległa jego perswazyom, dała się nakłonić do kroku, który sama osądziła, jako nierozważny, i z całą świadomością, że zaciąga niebezpieczne zobowiązania, zdecydowała się przychylić do próśb i nalegań Chopina, postanowiła zamieszkać w Paryżu. Tłómaczyła sobie, że to będzie miało swe dobre strony ze względu na wychowanie i edukacyę dzieci, a w pożyciu z Chopinem, w którym odtąd pragnęła widzieć tylko wiernego przyjaciela, chciała widzieć rodzaj moralnej tarczy przeciwko nowym możliwym związkom miłosnym [1]). W ten sposób stawiając kwestyę, odstąpiła od swego pierwotnego zamiaru, z którym już przyjechała do Nohant, żeby tu zostać na zimę, a tem samem rozłączyć się z Fryderykiem, i wyraziła gotowość sprowadzenia się do Paryża, do zamieszkania tamże, niedaleko Chopina. O tych swoich wahaniach przed powzięciem stanowczej decyzyi, którą ostatecznie powzięła w chwili słabości, w chwili jakiegoś rozczulenia dla swego chorego przyjaciela, p. Sand tak pisze w swych pamiętnikach: »W niepewności, w jakiej długo pozostawałam co do urządzenia trybu mego życia w ten sposób, aby to wyszło na korzyść i dobro mych dzieci, jedna wielka pozostała w sercu mem wątpliwość. Badałam się, czym powinna przystać na żądanie Chopina stałego przy nas zamieszkania. Nie byłabym się wzdragała odmowną mu dać na to odpowiedź, gdybym była zdołała przeczuć, jak krótki czas odosobnione życie na wsi zdrowiu jego fizycznemu i moralnemu odpowiadać będzie. Rozpacz i odrazę jego do Majorki ciągle jeszcze przypisywałam rozdrażnieniu chorobliwemu, jakiemu wtedy ulegał, i posępności miejsca pobytu. Nohant nastręczało warunki łagodniejsze. A gdy wszystko z początku szło jaknajlepiej, powoli oswajałam się z myślą, że Chopin przyjdzie do siebie i odzyska zdrowie między nami w przeciągu kilku pór letnich, odjeżdżając na zimę dla swych

[1]) To jej rozumowanie, choć niewątpliwie szczere zupełnie, wydaje się dość szczególnem René Doumic'owi, który w swej książce tak pisze o tem: George Sand prétend que, si elle ne se défendit pas d'admettre Chopin dans son intimité, ce fut par devoir et à la manière d'un préservatif. »Un devoir de plus dans ma vie déjà si remplie et si accablée de fatigue me parut une chance de plus pour l'austérité vers laquelle je me sentais attirée avec une sorte d'enthousiasme religieux«. Nous croyons qu'elle s'abuse. Pour ne plus avoir d'amant, en prendre un, c'est un moyen héroïque mais décevant. Il est vrai toutefois qu'il y a dans cet amour autre chose que l'attrait qui a pu la porter vers Musset ou vers Michel.



koniecznych zajęć do Paryża. Tymczasem perspektywa podobnego sojuszu familijnego z nowym przyjacielem różne mi nasuwała myśli. Przerażały mnie obowiązki, których końca spodziewałam się razem z końcem naszej podróży hiszpańskiej. Mając już w synu mym jednego chorego, miałam-że poświęcić pogodne i ożywcze chwile życia drugiemu jeszcze pacyentowi, którego trudniej było pocieszyć i pielęgnować, niż Maurycego? Mimowolny więc ogarnął mnie przestrach na myśl o nowym obowiązku, jaki temsamem miałam zaciągnąć. Czułam dla tego artysty pewien rodzaj macierzyńskiego, szczerego uwielbienia, które atoli ani na chwilę zrównoważyć nie mogło przywiązania do dzieci, jedynego uczucia czystego i niepokalanego, któremu wolno spotęgować się aż do namiętności. Byłam jeszcze w wieku podówczas, kiedy miłość łatwo się rodzi w duszy niewieściej. Owoż ta okoliczność wieku, położenia i przeznaczenia kobiety-artystki, mającej zwłaszcza wstręt do związków przelotnych, niepomału mnie przerażała. Zdecydowana nie ulegać wpływom, któreby mnie mogły zobojętnić dla dzieci, w tkliwej dla Chopina przyjaźni widziałam niebezpieczeństwo mniejsze wprawdzie, niż w związku z kimkolwiek innym, ale jeszcze prawdopodobne zawsze, nie wykluczone zupełnie. Po głębszym atoli rozmyśle zaczęłam niebezpieczeństwa tego nie widzieć, a nawet przybrało ono w mych oczach charakter wręcz przeciwny, bo jakby rodzaju tarczy zabezpieczającej mię od wzruszeń, których już doznawać nie pragnęłam. Gdybym była uskuteczniła zamiar mój odosobnienia się w Nohant przez rok cały, wyrzeczenia się sztuki i poświęcenia się wyłącznie nauczaniu mych dzieci, Chopin byłby z pewnością uniknął niebezpieczeństwa, jakie mu groziło mimo mej wiedzy, t. j. nie byłby się do mnie przywiązał bezgranicznie. Bo jeszcze nie był mnie pokochał aż do niemożliwości stłumienia w sobie tego uczucia, mówił mi o romansie, zawiązanym w Polsce, o słodkich węzłach, w które się zaplątał w Paryżu, i które odnowić zamyślał, a nadewszystko o swej matce, którą miłował gorąco, a od której musiał żyć z dala. Zmuszony mnie opuścić dla swego zawodu, który był jego chlubą i zaszczytem, i zarazem stanowił jego utrzymanie, po sześciu miesiącach pobytu w Paryżu byłby o mnie zapomniał i powrócił do swych wytwornych nawyknień, świetnych powodzeń i tej kokieteryi inteletkualnej, która mu była właściwą. Nie powinnam była wątpić, że tak się stanie; jakoż ani na chwilę nie powątpiewałam o tem. Lecz przeznaczenie wikłało nas w pęta dłuższego stosunku, tak, że ujrzeliśmy się weń zaplątani, nie wiedząc nawet, jak i kiedy do tego przyszło. Znużona bezskutecznością mych trudów nauczycielskich względem mych dzieci, postanowiłam osiąść na rok w Paryżu, żeby je zdać w bardziej do tego powołane ręce«.

Wobec tej decyzyi ze strony pani Sand, decyzyi, powziętej dopiero w końcu września, a oznaczającej jego tryumf nad jej wątpliwościami i wa-

haniem, zaczął Chopin z zapałem, przy pomocy Fontany i Grzymały, krzątać się za mieszkaniem dla swej przyjaciółki. Chodziło o to, ażeby znaleziono coś bardzo ładnego i dobrego, ażeby ją to pogodziło z Paryżem, na który zdecydowała się z takim trudem. Powtóre zależało mu na tem jeszcze, ażeby to mieszkanie p. Sand znajdowało się o ile możności w pobliżu rue Tronchet, niedaleko jego mieszkania, choćby w sąsiedztwie. »Gdyby blizko mnie — pisał w tej kwestyi do Fontany — dobrze-by było, ale jeżeli nie można, niech cię ta konsyderacya nie wstrzymuje«. Jak mu w gruncie rzeczy zależało na tem, żeby to mieszkanie p. Sand było blizko jego mieszkania, dowodził fakt, że w tymże samym liście do Fontany, o kilkadziesiąt wierszy dalej, jeszcze raz na ten sam warunek położył silny nacisk: »Znajdź piorunem, natchnieniem, coś doskonałego i blizko mnie w tych nowych ulicach, i jak tylko co będziesz miał, natychmiast pisz. Nie leń się. Albo złap Grzymałę, weź go koniecznie, zobaczcie, najmijcie, *et que cela finisse.* Posyłam ci listę ulic i głupie naprzykład apartamentowe (to »głupie naprzykład« wyrysowała p. Sand). Gdybyś coś znalazł a napisał, odrysuj plan; tylko jeżeli będzie coś dogodnego, a czasu nie będzie pisać, to lepiej zaraz zatrzymajcie, jak wypuścić opóźnieniem się. Piszę do Grzymały także o to. Prawdziwą wdzięczność będziesz miał naszą, jak znajdziesz«. Oprócz Grzymały i Fontany, chodzili za tem mieszkaniem Arago i Mardelle, portyer z hotelu de Norbonne. »Myślimy, że masz szczęśliwą rękę« pisał o tem Chopin do Fontany, »a dla tego człowieka (t. j. wielki człowiek, bo portyer z domu Georga), który będzie latał za szukaniem mieszkania dla niej, ma polecenie, żeby, jak kilka znajdzie, udał się do ciebie, a ty żebyś swoim eleganckim taktem (widzisz, jak ci pochlebiam) także obejrzał to, co on znajdzie, i dał twoje zdanie«. Do tego zdania przywiązywał specyalną wagę Chopin, który wogóle życzył sobie, ażeby p. Sand wzięła mieszkanie, znalezione przez Fontanę, a nie przez Mardella, wiedział bowiem, że Fontana, stosownie do otrzymanej od niego instrukcyi, będzie szukał mieszkania w pobliżu rue Tronchet, a Mardelle nie dawał tej rękojmi. »Pan Mardelle (człowiek nie głupi i porządny, nie zawsze był portyerem) ma rozkaz być u ciebie wedle tego, jak znajdzie. Ty szukaj ze swojej strony i niech to między nami zostanie«. Wogóle miał Fontana instrukcyę od Chopina, by »natchnieniem się własnem kierował« i nie dał się »influować« sądem Mardella. Przedewszystkiem powinien starać się o to, żeby mieszkanie, które wyszuka, mogło zaspokoić dość wybredne wymagania pani Sand. »Idzie jej o to szczególniej, żeby ile możności osobno było; mały hotelik naprzykład. Albo w dziedzińcu coś, gdzieś na ogród; albo, jeżeli niema ogrodu, duży dziedziniec, n. b. mało lokatorów, elegancko, nie wyżej jak drugie piętro. Gdyby jaki *corps de logi* mały, albo coś nakształt Perthuissów, choć mniejsze; albo, jeżeli na ulicę, to żeby nie hałaśliwa była. Słowem coś, co



możesz myśleć dla niej dobrem. Ile mi się zdaje, jaki mały hotelik cały, na nowych ulicach koło ulicy Clichy, Blanche albo Notre Dame de Lorette itd., aż do Rue des martyrs. Trzeba: trzy pokoje sypialne, z których dwa razem, a trzeci oddzielony np. salonem; przy tym trzecim trzeba-by gabinetu widnego do pracowania dla niej. Tamte dwa sypialne mogą być małe, ten trzeci także nie bardzo wielki; prócz tego salon w stosunku i jadalny pokój. Kuchnia dość duża, dwa pokoje dla służących i piwnica. Parketowane ma się rozumieć, świeże, ile możności nie potrzebujące żadnych naprawin. Ale szczególniej mały hotelik najlepiej, albo w dziedzińcu jaki odosobniony korpus, na ogród dający. Spokojnie żeby było, cicho, żadnych kowali w sąsiedztwie, żadnej panny itd. itd., co ty wiesz doskonale. Schody porządne. Dobrze wystawione na słońce, żeby *au midi* (prawie koniecznie exposé *au midi).* Jeszcze raz: trzeba koniecznie, żeby ten trzeci pokój sypialny, przy którym będzie ów pokój do pracowania, był oddzielony od innych dwóch sypialnych, i jeżeli można, żeby albo gabinet ów do pracowania, albo sypialny miał wychód oddzielny (to niekonieczne). Żeby odorów nie było. Dosyć wysokie. Dymu żeby nie było, widno, ile można piękny, tj. nie zapaskudzony widok, albo ogród, albo dziedziniec duży, najlepiej ogród. Na Faub. St. G. dużo ogrodów; także na Faub. St. Honoré«. Gdy Fontana wreszcie, po długich bieganiach razem z Grzymałą, Arago i Mardellem, znalazł odpowiedni apartament, o czem zaraz doniósł swemu przyjacielowi w Nohant, Chopin, aprobując wybór, dla upewnienia się, czy wszystko jest bez zarzutu, tak pisał w tej kwestyi, w liście z dnia 4 października: »Jesteś nieocenione stworzenie. To mieszkanie zdaje się wyborne, tylko dlaczego takie tanie? Czy nie masz tam jakiego *ale* bardzo nieprzyjemnego? N. B. trzeba koniecznie, żeby nie było *au nord;* zważ *les conditions,* jakie ci w przeszłym liście dałem. Jeżeli *la majorité* jest w mieszkaniu, bierz. Jeszcze raz, czy porządnie, czy nie śmierdzi, czy nie brudno, czy sąsiadów nie taka moc, że się na przechód bez nich pójść nie może? Czy niema *korneta à piston* w domu i tym podobnych rzeczy? Odpisz przez odchodzącego kuryera, choć nic nie zrobisz. Odrysuj mieszkanie. Mój towarzysz miał dobre przeczucie, że znajdziesz, i podoba mu się, co piszesz, tylko na Boga czy porządnie? Miarkuj, że dla niej byle jak nie można. Zważ to wszystko i pospiesz się. Kontrakt na rok, a nie, to najwięcej na trzy lata. Rób i Bóg z tobą«. Ledwo Chopin ten list wysłał do Paryża, otrzymał wiadomość od Fontany, że znalazł tuż nieopodal rue Tronchet dwa pawilony przy rue Pigale, poprostu wymarzone, jak na mieszkanie dla pani Sand. Są do wynajęcia zaraz. Czy je wynająć? Po porozumieniu się z p. Sand, która zdecydowała się zamieszkać w proponowanych przez Fontanę willach, odpisał mu Chopin dnia 9 października, krótko i węzłowato: »Jesteś nieoceniony! Bierz one Pigal oba domy ani się pytaj. Spiesz się. Utarguj co, jeżeli można (biorąc oba razem), a nie, to bierz za 2500,

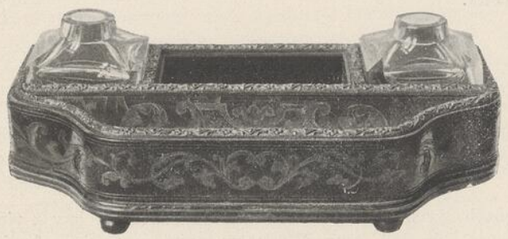
a nie wypuszczaj tego z ręki, bo nam się zdaje najlepsze, najdoskonalsze. Ona cię ma za mojego najlogiczniejszego, najlepszego, a ja dodałem najsplenetyczno-angielsko-polsko-duszno ukochanego przyjaciela. Za trzy dni wyjeżdżamy z pewnością. Grzymałę, Jasia uściskaj«.

Z powodu tego przyjazdu do Paryża, przyspieszonego z powodu interesów p. Sand, której sztuka p. t. *Cosima* niebawem miała być wystawioną w *Théâtre Français*, zaczął Fontana, od końca września mniej więcej, otrzymywać cały szereg listowych instrukcyi i komisów od Chopina, które, o ile musiały być nudne dla adresata, o tyle były wysoce charakterystyczne dla piszącego. Oto np. niektóre z tych instrukcyi: »Prócz rozmaitych komisów, com ci ponadawał, a szczególniej w ostatnim liście (komis jej mieszkania, który ci za naszem przybyciem z karku spadnie, ale aż do przybycia bądź czynnym na Boga), prócz tego wszystkiego zapomniałem cię prosić, żebyś mi kapelusz u mojego Duponta na twojej ulicy obstalował. On ma moją miarę, i wie, jakich lekkich mi potrzeba. Niech mu da formę tegoroczną nieprzesadzoną, bo już nie wiem, jak wy się teraz ubieracie. Prócz tego pójdź, przechodząc, do Dautremonta mojego krawca na bulwarze i każ mu natychmiast zrobić portki szare dla mnie. Sam wybierz ciemny szary kolor; zimowe portki, coś porządnego, w żadne pasy, gładkie i ciągnące się. Tyś Anglik, to wiesz, czego mi potrzeba. On się ucieszy, jak się dowie, że przyjeżdżam. Także czarną, skromną, aksamitną kamizelkę, ale z malutkim jakimś niekrzyczącym deseniem, coś bardzo skromno eleganckiego. Jeżeli nie ma porządnego, to materyalną czarną, skromnie piękną. Na ciebie się spuszczam. Nie bardzo rozwartą, i owszem. Służącego, jeżeli można, i jeżeli można taniej jak 80 fr., bom się za daleko posunął, ale jeżeli już masz, to nie szkodzi. Wolę na 60. Moje drogie kochanie, daruj mi jeszcze raz, że cię kłopocę, ale muszę. Za kilka dni zobaczymy się i uścisnę cię za to wszystko. Proszę cię na Boga, nie mów Polonii, że przyjeżdżam tak prędko, ani żadnej żydówce (pani Leo), bo może będąc w Paryżu przez pierwsze kilka dni tylko dla Ciebie, Grzymały i Jasia będę. Uściskaj Jasia i Grzymałę. Do ostatniego napiszę. Rachuję, że mieszkanie zastanę. Ja ci jeszcze przed wyjazdem napiszę. Czekam listu od Ciebie. Kapelusz zaraz, żeby za parę dni był i portki zaraz obstaluj, moja Julisio!

Po takich zapowiedziach, które sporo czasu musiały zabierać Fontanie, napisał do niego w końcu Chopin, dnia 10 października, następujący list, ostatni przed powrotem do Paryża: »Moje życie. Pojutrze we czwartek o godzinie piątej rano wyjeżdżamy, a w piątek o trzeciej, czwartej, a z pewnością o piątej jestem na rue Tronchet Nr. 5. Proszę cię, uwiadom tam ludzi. Pisałem do Jasia dziś, żeby mi owego lokaja zatrzymał i żeby mu kazał w piątek na mnie czekać rue Tronchet od południa. Gdybyś miał czas zajrzeć do mnie koło owego czasu, najpierwsi byśmy się uścisnęli.



Godziwiec jesteś. Jeszcze raz moje i mojego towarzysza przyjmij najszczersze dzięki za Pigala. Teraz że proszę cię ponieważ portek nie mam, żeby krawiec owe szare, coś mi obstalował (i kamizelkę jeżeli można) koniecznie na piątek rano wygotował, żebym, jak przyjadę, mógł się zaraz przebrać. Zatem każ mu je zanieść na Tronchet i oddać zapewne już będącemu tam Tineau (lokajowi). (Lokaj nazywa się Tineau!). Toż samo kapelusz od Duponta«. Bardzo znamiennem było zakończenie tego listu, świadczące, że Chopin, wracając teraz, po całorocznej nieobecności, do Paryża, przedewszystkiem myślał o Maryi Wodzińskiej, o którym to »epizodzie przeszłości« rad-by zapomnieć, a jakoś zapomnieć nie mógł. Stąd prośba do Fontany, ażeby i temu także, jeżeli potrafi zaradził. »Każ także, moje kochanie, w nowem mieszkaniu, kiedyś taki sprawny człowiek, żeby mi żadne czarne myśli ani duszące kaszle nie przychodziły; pomyśl, żebym był dobrym i zmieć mi, jeżeli możesz, w i e l e e p i z o d ó w p r z e s z ł o ś c i. Nieźle-by było także, żebym kilka lat wielkiej ukończonej pracy zastał. Zobligujesz mię bardzo tem, jakoteż jeżeli sam odmłodniejesz, albo zrobisz, że się nieurodzimy«. Znaczyło to, bądź co bądź, że wracając jakby na nowe życie, którego symbolem miało być nowe mieszkanie, zaczynał Chopin tę swoją *vita nuova* w nastroju smutnym, niewolnym od różnych »czarnych myśli«, którym, choć chciał, nie mógł się opędzić, nawet przy boku pani Sand!



Kałamarz Chopina.
W zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie.
(Klisza «Nauki i Sztuki« Wyd. Tow. Naucz. Szkół Wyższ., *Chopin* T. X., St. Opieńskiego).

ROZDZIAŁ II.

## Przyjaźń (1839—1844).

Gdy przyjechano do Paryża, Chopin odrazu zajechał do siebie, do swego nowego mieszkania przy rue Tronchet Nr. 5, p. Sand zaś, wobec konieczności odrestaurowania pawilonów przy rue Pigalle, zainstalowała się w Hôtel de France przy rue Lafitte, skąd dopiero miała się przeprowadzić na rue Pigalle. Tymczasem, jak dawniej, wieczory spędzała u pani Marliani, u której też przyjmowała swoich znajomych i przyjaciół, w tej liczbie i Chopina.

### I.

Fryderyk, od chwili, gdy znów się znalazł z powrotem na paryskim bruku, za którym był już stęskniony, odrazu zaczął prowadzić dawny tryb życia, to znaczy, że w dzień dawał po kilka godzin lekcyi [1]), a wieczory

[1]) Nie sposób wymienić wszystkich uczniów Chopina, jacy u niego brali lekcye w Paryżu; byłaby to lista zbyt długa. Wystarczy zapisać nazwiska główniejszych. Oprócz Karola Filtscha, który się stał jego największą pociechą, pierwsze miejsce wśród jego ulubionych uczniów — a takich nie było wielu — zajmował niewątpliwie Adolf Gutmann, faworyt Chopina, choć podobno mierny fortepianista, a w każdym razie nic nadzwyczajnego. Do wybitniejszych uczniów należał Wilhelm Lenz, rosyjski Niemiec, fortepianista i pisarz muzyczny, autor zajmującej książki p. t. *Die grossen Pianoforte-Virtuosen unserer Zeit,* w której może najbardziej zajmujący rozdział jest poświęcony Chopinowi. Znany i sympatyczny kompozytor angielski Brinley Richards przez dłuższy czas brał lekcye u Chopina. Z pomiędzy pianistów, którzy, jako wirtuozi, zajęli wybitniejsze stanowisko, można wymienić: Jerzego Mathiasa, którego wspomnienia o Chopinie ogłosił w 1898 r. *Tygodnik illustrowany,* Karola Mikulego, który przygotował dla firmy Kistnera w Lipsku najlepiej opracowane wydanie wszystkich dzieł Chopina, Tomasza Telleffsena, cenionego kompozytora norweskiego, Lindsay Slopera, Anglika, oraz Kazimierza Wernika, warszawianina.



o ile ich nie spędzał u p. Sand, poświęcał życiu towarzyskiemu. Pani Sand niezawsze była zadowolona z tych jego nawyknień wielkoświatowych, z tych jego sukcesów w najświetniejszych salonach stolicy, ale rozumiała jednocześnie, że nie na wieleby się przydały jej perswazye w tym względzie. Że jednak widziałaby chętnie, gdyby więcej przesiadywał w domu, gdyby, słowem, prowadził spokojniejszą egzystencyę, coby przedewszystkiem miało nader pomyślny wpływ na jego wątłe zdrowie, tego nie omie-

Wymieniają jeszcze Karola Bovy (Lysberg), rodem z Genewy, tamże profesora konserwatoryum, kompozytora wielu utworów solowych i opery *La Fille du Carilloneur,* oraz Gustawa Schumana, młodego berlińczyka. Prócz nich pobierali lekcye u Chopina: młody Dovel z Londynu, uczeń londyńskiego konserwatoryum, młody hr. Waldstein (polecony Chopinowi przez hr. Thuna), młody Schachner z Wiednia (polecony przez dr. Malfattiego) i w. i.

Jeżeli chodzi o uczennice Chopina, to te dzieliły się na cztery kategorye: na księżne i księżniczki, hrabiny i hrabianki, baronowe i baronówny, oraz na panie i panny nietytułowane, bardziej demokratycznego pochodzenia.

Z pomiędzy umitrowanych uczennic należy wymienić: księżnę Marcelinę Czartoryską, która przez całe życie cieszyła się sławą »najlepszej uczennicy Chopina», księżnę Elżbietę Czerniszeff (jego élève affectionnée), księżnę Katarzynę Sutzo (córkę księżnej Obreskoff, która zdaje się również przez jakiś czas brała lekcye u Chopina), księżnę Ludwikę Beauvau (Komarównę z domu, siostrę Delfiny Potockiej), księżniczkę de Chartelleux, księżniczkę Tatianę Komaschine (późniejszą panią Loeschhorn de Herzfeld), księżniczki de Noailles, księżnę de Chimay, księżniczkę Castellane, księżnę de Craon, Marquize de Dalmatie i w. i.

Z pomiędzy hrabin i hrabianek, które szczyciły się tytułem uczennic Chopina, pierwszą, która u niego w Paryżu brała lekcye, była hrabianka Paulina Platerówna, córka kasztelana Ludwika Platera. Następnie należy wymienić: hrabinę d'Appony, hrabiankę Emilię Flahault, hrabiankę Adelę Fürstenstein, hrabiankę Karolinę de Lobau, hrabinę Esterhazy, hrabiankę de Caraman, hrabiankę Mostowską, hrabiankę Perthuis, hrabiankę Branicką, hrabiankę Thun-Hohenstein, hrabinę Maryę Calergis, hrabiankę de Sudre, hrabinę de la Ridoste i w. i.

Wśród baronowych, pobierających lekcye u Chopina, pierwsze miejsce należało się baronowej James Rotschild, poczem należy wymienić: baronowę d'Este, baronowę Bronicką, baronowę Stockhausen, baronównę de Könneritz i w. i.

Pomiędzy uczennicami Chopina, które nie miały żadnych tytułów arystokratycznych zasługują na wyróżnienie: panna Zofia Rosengardt (późniejsza pani Bohdanowa Zaleska), panna Aleksandryna Wołowska (późniejsza p. Faucher), panna Vera Kologrivoff (późniejsza pani Rubio), panna O'Meara (późniejsza pani Dubois), panna Eliza Eustaphief (późniejsza pani Peruzzi), panna Fryderyka Müller (późniejsza pani Streicher, jedna z najbardziej utalentowanych uczennic Chopina), panna Karolina Hartmann, panna Musset, panna d'Indebeton (szwedka), panna Chevalier, panna Mazel, panna Delaroche, panna Jane W. Stirling (i jej siostra pani Erskine), panny Le Boeuf, panna Matylda Daniel (z Marsylii), panna Fanny Stal, panna Eliza Gavard, panna Duperré, miss Stanlay, lady Cadogan, pani de Courbonne, pani Henrietta de Barthelemy (z domu Nourrit), pani Coignet, pani Boquet, pani Lassabathie, pani Lina Freppa, panna Bobié, pani Rich, pani Bertou, pani Merli (polecona przez Meyerbeera), i najmłodsza z jego uczennic, 13 letnia siostrzenica Adolfa Cremieux.

Niniejsza lista wcale nie jest kompletna, a nawet, jestem przekonany, nie zawiera połowy nazwisk osób, które w ciągu lat 1832—1847 pobierały lekcye u Chopina.

szkała zaznaczyć w swych pamiętnikach, w których tak opisała Chopina, jako niewolnika salonów: »Był to człowiek światowy, nietyle lubownik zebrań sztywnych i licznych, ile zgromadzeń poufałych, gdy salon poczyna się wypróżniać, pozostaje osób około dwudziestu, a poufałe grono szczerych wielbicieli artysty otacza go, ażeby gorącemi prośbami wymodlić u niego najświętsze i najczystsze objawy jego natchnienia. Wtedy, lecz wtedy tylko, wydobywał z siebie skarby swego talentu, ukazywał bogactwa swego geniuszu. Wtedy-to, pogrążywszy słuchaczów w głębokiej zadumie lub bolesnym smutku (albowiem muzyka jego straszliwem niekiedy zwątpieniem ogarniała duszę, szczególnie, gdy improwizował), ni stąd ni zowąd, jakby chciał zatrzeć wrażenie i wspomnienie tego smutku w sobie i w drugich, zwracał się nieznacznie ku zwierciadłu, przyczesywał i przygarniał włosy, poprawiał krawatę i ukazywał się nagle przeobrażony w flegmatycznego Anglika, naprzykrzonego dziada, śmieszną i sentymentalną Angielkę, lub chciwego żydka. Były to zawsze charaktery smutne, aczkolwiek komiczne, ale tak dokładnie pojęte i subtelnie oddane, że nie można się było nadziwić. Wszystkie te wzniosłe, powabne lub dziwaczne objawy jego indywidualności czyniły go duszą i ulubieńcem wyborowych towarzystw. Stąd, nic dziwnego, że go sobie z rąk wyrywano w dosłownem rozumieniu tego wyrazu, gdyż szlachetność jego charakteru, jego bezinteresowność, jego duma, daleka od wszelkiej niesmacznej próżności i bezczelnej reklamy, dystynkcya i delikatność w obejściu, czyniły z niego przyjaciela rzetelnego i miłego. Wyrwać Chopina ze sfery tych nadskakiwań i pieszczot, pojednać go z życiem jednostajnem i w równej mierze pracowitem, jego, pieszczocha hrabin i księżniczek, było to pozbawić go warunków do życia mu niezbędnych. Było to jednak życie tylko na pozór (bo jak wyróżowana kobieta, wieczorem wróciwszy do siebie, tracił swą werwę i siłę, by noc przetrwać w stanie gorączkowej bezsenności) i było-by niechybnie krócej trwało, aniżeli żywot, spędzony na łonie jednej rodziny lub w szczupłem kółku zaufanych przyjaciół. W Paryżu przebywał codziennie w kilku domach, albo też wybierał jeden przynajmniej, z kolei co wieczór inny; tak przeto miał ze dwadzieścia lub trzydzieści salonów, które musiał zachwycać i czarować swoją osobą. Nie był Chopin z urodzenia wyłącznym w swem przywiązaniu; był nim tylko ze względu na przywiązanie, jakiego się od innych domagał. Dusza jego, czuła i wrażliwa na każde piękno, każdy powab, każdy uśmiech, ulegała wrażeniom z niesłychaną łatwością i powolnością, Prawda, że omyłkę swą rychło spostrzegał, a niezręczne wyrażenie, dwuznaczny uśmiech zrażał go natychmiast. Bywało, pokochawszy namiętnie trzy na raz kobiety w ciągu jednego wieczornego zebrania, wracał do siebie, nie myśląc już o żadnej, a natomiast zostawiwszy w każdej to silne przeświadczenie, że ona jedna wyłącznie go zajęła. Takim samym był w przyjaźni. To unosił się dla kogoś entuzy-



azmem zaraz z pierwszego wrażenia, to się później zrażał i z niechęcią odwracał; raz się powodował uprzedzeniami najpochlebniejszemi dla tych, którzy byli ich przedmiotem, inny raz tajnemi zniechęceniami, które zatruwały najdroższe jego skłonności. Nie było w duszy jego chłodu i oziębłości; owszem serce jego wrzało ogniem i tkliwością, było ofiarne i do poświęceń skłonne, ale nie wyłącznie i trwale jednej i tej samej oddane osobie. Ulegało ono często pięciu lub sześciu naraz skłonnościom, które w niem boje staczały, i z których jedna po drugiej kolejno nad nim górowała. Nie był on zaiste stworzonym na to, by długo gościć na tej ziemi, ten nadzwyczajny typ artysty. Trawiło go na tym padole marzenie o ideale; marzenie, którego nie hamowała ani filozoficzna tolerancya, ani litość nad skazitelnością tego świata. Nie chciał on nigdy wchodzić w układy z naturą ludzką. Nie godził się z realnością. To stanowiło jego ułomność i zaletę, jego wielkość i wadę. Nieubłagany względem najmniejszej skazy, unosił się entuzyazmem ku najmniejszemu światełku, a jego egzaltowana wyobraźnia siliła się potem, by w nim dostrzedz słońce. Było przeto i miło zarazem i przykro być przedmiotem jego względów, bo wypłacał się z lichwą za najmniejszy światła promyczek, ale ukazanie się najlżejszego cienia w okamgnieniu go rozczarowywało«.

O wszystkiem tem przekonała się p. Sand niebawem, a zaprzeczyć się nie da, że pomimo całego przywiązania, jakie żywiła dla Chopina, miewała chwile, w których silniej odczuwała jego wady, aniżeli zalety. Do wad zaliczała jego nadmierne upodobanie w życiu towarzyskiem, upodobanie, które sprawiało, że tylko o tyle przebywał w jej towarzystwie, w jej domu, z nią razem, o ile mu to dogadzało, co znaczyło, że nie miała do niego wyłącznych praw, że je musiała dzielić z mnóstwem hrabin i księżniczek, co stanowczo nie było zgodne z jej naturą, bardzo wyłączną w swem przywiązaniu. Nie dziw więc, jeżeli buntowała się przeciwko temu, gdy zauważyła, że Chopin bynajmniej wyłącznym w swem przywiązaniu nie był, że niezależnie od swej miłości dla niej, jeszcze poza tem potrafił kochać się w dwóch lub trzech, ba, »pięciu lub sześciu« naraz, »hrabinach lub księżniczkach«, pod których urokiem dłużej lub krócej pozostawał, że wtedy, gdy ona wolałaby, a nawet pragnęła, żeby czasem wieczór spędził z jej rodziną, z jej przyjaciółmi, on, wyrywał się z domu, do wielkiego świata, wcale wyraźnie dając do poznania, że jej świat, o wybitnym charakterze małomieszczańskiego światka, nie mógł mieć uroku dla niego, od dziecka przywykłego do wielkiego świata salonów arystokratycznych. Pani Sand, szybko poznawszy się na nim, wcale nie myślała »pojednać go z życiem jednostajnem i w równej mierze pracowitem«, jakie prowadziła sama, ale swoją drogą musiała przyznać, że sobie inaczej wyobrażała ten »rodzaj sojuszu familijnego«, do którego Chopin zdołał ją nakłonić w Nohant. Okazało się bowiem, że o ile go nie mogła utrzymać przy sobie, gdy mu

się uśmiechał wieczór w którym z »dwudziestu lub trzydziestu« arystokratycznych salonów, wieczór, podczas którego ulegał czarowi różnych zalotnych piękności wielkoświatowych, o tyle po każdym z takich wieczorów, gdy wracał do domu, wyczerpany i zgorączkowany, »by noc przetrwać w stanie febrycznej bezsenności«, wtedy pożądał jej towarzystwa, wtedy pragnął, by siedziała przy jego łóżku, by przy nim pełniła obowiązki oddanej przyjaciółki i *guarde malade'y*. Tego domagał się i wymagał od niej, sam jednak nie myślał rezygnować z niczego. Nie da się zaprzeczyć, że przy całej miłości, jaką Chopin miał dla p. Sand, mimo to, zawsze pod względem towarzyskim traktował ją trochę, jak *une petite bourgeoise*, którą mógł kochać, jako kobietę, którą jednak bądź co bądź uważał za kobietę z innego świata, z innej sfery, niż ta, która była jego sferą. O tem, że p. Sand jednocześnie była znakomitą literatką, »najgenialniejszą z kobiet«, zdawał sie nie pamiętać, pomimo zachwytu, jaki w nim budziły jej utwory.

Z tej arystokratyczności Chopina zdawała sobie p. Sand doskonale sprawę, a był to rys w jego charakterze, który wogóle stanowił niemiłą różnicę pomiędzy nimi, zarówno w stosunku do niej, jak i w stosunku do jej przyjaciół, których Chopin mógł lubić i poważać, ale wobec których zawsze się czuł człowiekiem z t. zw. »towarzystwa«, podczas kiedy oni do tego »towarzystwa« nie należeli. Jakkolwiekbądź, był to rozdźwięk, który wymagał nadzwyczajnego taktu i delikatności z obu stron, aby przy lada okazyi nie zamienić się w przykry dysonans, o który zawsze łatwo bardzo, gdy w grę wchodzi różnica przekonań, cóż dopiero przekonań politycznych! A tu właśnie zachodził taki wypadek. Bo jeśli chodziło o przekonania polityczne, to p. Sand i Chopin stanowili dwa przeciwne bieguny. On był arystokratą z upodobań i nawyknień, ona słynęła ze swych przekonań demokratycznych; on był monarchistą, żyjącym w świecie legitymistów i kapitalistów, ona hołdowała republikanizmowi, a żyła w świecie radykałów i socyalistów; on obracał się wśród samych konserwatystów ze skrajnej prawicy, ją łączyły najściślejsze stosunki z postępowcami ze skrajnej lewicy; on pozostawał w najlepszych stosunkach z dworem i całą rodziną królewską, ona zaś, wraz ze swymi przyjaciółmi, dążyła do obalenia tronu Ludwika Filipa, do zniesienia zamaskowanego despotyzmu Orleanów, do ustanowienia rządów republikańskich. Trudno o większe kontrasty! Ale miłość potrafi wyrównać i takie różnice, choć nie zdoła ich zatrzeć.

Co pewna, że nowe przyjaźni, które teraz pozawierał Chopin w świecie, który był światem p. Sand, wszystkie były ultrademokratyczne i radykalne. Oto niektórzy z tych jego nowych przyjaciół, z którymi istotnie zaprzyjaźnił się z biegiem czasu, i to nietylko na zasadzie przyjętego konwenansu, że *les amis de nos amis sont nos amis.*

Pierwsze miejsce »z wieku i urzędu« należało się tu Piotrowi Leroux,



znakomitemu publicyście i pisarzowi, »apostołowi socyalizmu«, który dla p. Sand był największą powagą moralną, a którego wpływ na jej talent, niestety, jak to już zauważył Heine, wcale nie był dodatnim, owszem, zgubnym [1]). On był jakby jej spowiednikiem, a w każdym razie uchodził za autorytet w jej oczach, był jej »literackim dyrektorem sumienia«. Zrazu współpracownik liberalnego czasopisma *Le Globe*, gdzie kolegował z Guisotem i Cousinem, potem jeden z najwybitniejszych Saint-Simonistów, potem redaktor i wydawca socyalistycznej *Encyclopedie nouvelle*, w 1840 roku wydał swe zasadnicze dzieło *De l'humanité*, którego przeczytanie stanowiło epokę w rozwoju pojęć i przekonań autorki *Consuela*, od 1841 roku wydawał i redagował, razem z Ludwikiem Viardot i p. Sand, słynną *Revue indépendante*, w 1845 przeniósł się na prowincyę, do Boussac, i tam, przy bardzo gorliwem współpracownictwie swej przyjaciółki z Nohant, wydawał swą *Revue Sociale*, w której już głosił zasady komunizmu. Tamże prowadził drukarnię, w której między innemi drukował i czasopismo, wydawane przez p. Sand i jej przyjaciół z Berry. Stamtąd raz po raz przyjeżdżał do Nohant, gdzie, bawiąc w gościnie u p. Sand, dużo miał sposobności przestawania z Chopinem, ten zaś, niezawsze traktując go na seryo, tak o nim raz pisał w liście do swoich: »Między kilkunastoma osobami znajomych (którzy w ciągu lata przewinęli się przez Nohant) był i Leroux, o którego mi się pytała Ludwika. On teraz jest tutaj o 8 mil stąd w Boussac, miasteczku, gdzie także jest sousprefektura jak w Salliatre, w depart. de la Creuse. Miasteczko bardzo stare, zamek nad *Creuzą* ze starożytnemi wspomnieniami. Niedaleko są kamienie druidów; okolice znane z piękności. Tam ma przywilej drukarni i tam drukuje już dziennik, co w mieście tutejszem redagowany i co się zowie *Éclaireur*. Ta drukarnia jednakże jeszcze nie jest przez jego nowe procédé, albowiem jak każdy ma swoje *ale*, tak też i on ma to, że zaczyna, a niezupełnie kończy. Jak rzuci wielką myśl, tak mu dosyć. Toż samo z ową nową machiną, której nie skończył, albo którą niedosyć wykończył. Funkcyonuje, ale niedosyć dokładnie. Już to go kilkadziesiąt tysięcy kosztuje i bliższych jego przyjacieli (między którymi szczególniej właściciela [2]) pana Koko); trzebaby drugie tyle prócz woli, a szczególniej wytrwałości, a razem tego wszystkiego w ten moment niepodobieństwo. Jednakże rzecz egzystuje i niedługo weźmie się do tego jaki *exploiteur*, ustroi się w nieswoje pióra i pokaże światu. Już się tacy

[1]) »Sie hört auch gerne auf den Rath ihrer Freunde (słowa są Heinego o p. Sand). Bei ihrer unkanonischen Geistesrichtung hat sie, wie begreiflich, keinen Beichvater, doch da die Weiber, selbst die emancipationssüchtigsten, immer eines männlichen Lenkers, einer männlichen Autorität bedürfen, so hat George Sand gleichsam einen litterarischen *Directeur de conscience*, den philosophischen Kopuciner, Pierre Leroux.

[2]) »Właścicielem pana Koka« nazywa tu Chopin p. Sand. Przez »pana Koka« należy rozumieć Solange, którą widocznie nazywano tak w Nohant.

zdarzali i jeszcze zdarzają, którzy chcą kupić wynalazek, czego on nie chce. Prócz dwóch tomów o *Humanité* mnóstwo jest jego artykułów w *Encyklopedyi* i *Revue,* gdzie *Consuelo* [1]). Wszystko, co pisał, trzyma się jedno drugiego. Jest w *Revue* kilka bardzo cenionych *discoursów,* niektóre niepokończone«.

Jeden z biografów p. Sand, mówiąc o jej stosunku z Piotrem Leroux, powiada, że tenże »wyratował« Mallefille'a, gdy na nim zaciężyła niełaska autorki *Consuela,* i sam został jego »zastępcą« [2]). Otóż to jest nieprawdą. Następcą Mallefille'a został Chopin, a dopiero po nim, gdy się zaczął jego platoniczny stosunek z p. Sand, przyszła kolej na Piotra Leroux. Kiedy to nastąpiło? W każdym razie dopiero wtedy, gdy się skończył jej właściwy romans z Chopinem, gdy Chopinowi w udziale przypadła już tylko rola serdecznego przyjaciela, i to przyjaciela chorego, którego się darzyło miłością macierzyńską jedynie, a nie miłością w zwykłem pojęciu. Uważając się za wolną zupełnie, podobnie, jak i Chopinowi wróciła wszelką wolność w stosunku do innych kobiet, czy to były »hrabiny i księżniczki«, czy zwykła dziewczyna wiejska z Nohant, p. Sand, zdecydowana żyć w stosunku z Chopinem *comme une vierge,* nie rozumiała przez to bynajmniej, żeby wogóle od tej chwili prowadzić żywot dziewiczy, w zupełnej abstynencyi miłosnej. Takiego zamiaru nie żywiła nigdy, ani do tego zobowiązywała się wobec Chopina, gdy się godziła na »familijny sojusz« z nim. Dlatego, gdy po powrocie w 1839 r. do Paryża, zbliżyła się z Piotrem Leroux, który już dawniej aspirował do roli następcy Mallefilla, nic nie miała przeciwko temu, by teraz jego marzeniom stało się zadość. Jakoż zaczął się stosunek między nimi, stosunek, mający trwać lat kilka, a który określono trafnie, jako *une bonne liaison très littéraire, plus intellectuelle que tendre* [3]). Chopin nie mógł nie wiedzieć o tem wszystkiem.

---

[1]) To znaczy: w *Revue indépendaute.*

[2]) »Pierre Leroux debarassa George Sand, *sauva* Mallefille et fut son remplaçant«. Albert Le Roy, *George Sand et ses amis* p. 389.

[3]) »Dans le nombre (des amis de M-me Sand) Pierre Leroux occupe une situation avantageuse et comme privilégiée. Il n'était ni assez jeune ni assez séduisant pour obtenir l'affection exaltée qu'eurent partagé Jules Sandeau, Alfred de Musset et le docteur Pagello. Du moins il n'encourut pas la même disgrâce que Michel de Bourges, Felicien Mallefille et plusieurs autres. En ce qui le concerne, la brouille retentissante ne succéda pas au violent enthousiasmc. Ce fut une bonne liaison très littéraire, plus intellectuelle que tendre. George Sand y recueillit la substance métaphysique de Pierre Leroux, qui reçut en échange des romans humanitaires pour la *Revue independante.* D'autres furent ses amants, Pierre Leroux fut son grand-prêtre laïque«. Le Roy Op. cit p. 390.

Z tego kultu pani Sand dla Piotra Leroux kpił cobie Lamennais, najrozmaitsze dowcipy — w swych listach do barona de Vitrolles — tworząc na temat tego erotyczno-filozoficznego stosunku. Wogóle Lamennais odkąd wycofał się z kółka p. Sand, gdy ta zapisała się w poczet wielbicieli Piotra Leroux, stale o niej wyrażał się z przekąsem: »Ah,



Wielką sympatyą p. Sand, co oczywiście i Chopina obowiązywało do przyjaźni dla niego, cieszył się słynny republikanin, wydawca od 1841 r. radykalnej *La Reforme* (którą wydawał razem z Ledru-Rollinem), wielce utalentowany dziennikarz i publicysta, Godefroid Cavaignac, przywódca republikanów francuskich. To samo mógł powiedzieć o sobie zaprzyjaźniony z p. Sand, a przez nią i z Chopinem, głośny swego czasu republikanin i rewolucyonista, a pierwszorzędny dziennikarz i publicysta demokracyi, Ludwik Blanc, autor błyskotliwej *Histoire de dix ans,* historyograf *Rewolucyi francuskiej,* wielki wróg rządów Ludwika Filipa, którego zwalczał namiętnie, to w *National'u,* to w *Revue republicaine,* to w *Nouvelle Minerve,* to w *Le bon sens,* którego był redaktorem, to wreszcie, od 1837 r. w radykalnej *Revue du progrés politique, social et littéraire.* Już w tem piśmie zaczął wykładać swe doktryny i przekonania socyalistyczne, aż w końcu w 1840 r. ogłosił swe najważniejsze dzieło *Organisation du travail,* które, doczekawszy się licznych wydań, stało się rodzajem biblii dla ówczesnych socyalistów. Do tego samego stronnictwa należał rownież Etienne Arago, jeden z założycieli *La Reforme,* literat, polityk, republikanin zagorzały. Ulubieńcem p. Sand był młody i utalentowany dziennikarz i publicysta postępowy, Wiktor Borie, współpracownik czasopisma *Siècle,* w którym zabierał głos w kwestyach agrarnych. Specyalnie protegowany przez p. Sand, należał niemal do jej domowników, dzięki czemu bardzo się zbliżył do Chopina, który go polubił całkiem szczerze.

Między różnymi przedstawicielami literatury francuskiej, którzy za pośrednictwem p. Sand zbliżyli się do Chopina, wyróżniał się dystynkcyą Ernest Legouvé, który zresztą znał już Chopina dawniej, choć dopiero w tych czasach mógł zetknąć się z nim bliżej. Jako utalentowany poeta i pisarz dramatyczny, autor *Adrianny Lecouvreur,* zawsze był gorącym wielbicielem Chopina. Oto, co raz pisał o nim: »Pomiędzy jego osobą, grą i kompozycyami była najdoskonalsza harmonia; była to czarująca trójca. Najlepiej lubił grywać nocami... a wtedy potrzebował bardzo ograniczonej liczby wybranych słuchaczów. Najlżejszy szmer lub przedmiot mógł go zrazić wówczas. Kiedyś np. gdy grał w towarzystwie, niecierpliwiło go pióro na głowie siedzącej naprzeciw damy. Gdy siedział przy fortepianie, grał, dopóki zupełnie nie osłabł. Ponieważ nieuleczona nagabywała go cho-

---

que je me trouve heureux — czytamy np. w jednym z jego listów do wymienionego przyjaciela — d'être oublié de ces gens-là! Je ne crains pas, certes leur indifférence, je ne craindrai, que leur empressement. Vous direz ce que vous voudrez, mon bon ami; ce monde là ne me tente pas du tout. Futilité, mechancété dissoutes dans beaucoup d'ennui, en somme mauvaise drogue«. W tymże liście znalazł się bardzo dekoltowany, aż trudny do zacytowania ustęp, pełen drwin na temat szczególnego entuzyazmu »de caillettes d'une Marliani, même d'une George Sand, pour les théories de Pierre Leroux, auxquelles elles ne comprennent ni *a* ni *b,* mais qui tout de même les chatouillent agréablement«.

roba, przeto oczy jego były czarnemi otoczone obrączkami, wzrok jego przybierał blask gorączkowy, usta stawały się purpurowemi, jak krew, oddech krótkim; wśród nocy czuliśmy wraz nim, że razem z tonami uchodzi coś z jego życia; a jednak nie chciał przestać, a nie mieliśmy siły do powstrzymania go! Gorączka, która go trawiła, udzielała się nam wszystkim. A jednak istniał środek jeden, aby go odwrócić od fortepianu: potrzeba było tylko prosić o *Marsza żałobnego*. Nigdy nie wzdragał się go zagrać, lecz zaledwo ostatni ton przebrzmiał, brał za kapelusz i odchodził. Utwór ten, który był niejako pieniem śmierci, był dlań zbyt bolesnym; przegrawszy go, nie był w stanie zwykle wymówić ani słowa«.

Człowiekiem jednak, z którym Chopin, poznawszy się za pośrednictwem p. Sand, zżył się i zaprzyjaźnił najbardziej, który niebawem, obok Franchomme'a, stał się jego najserdeczniejszym przyjacielem z pośród Francuzów, był niewątpliwie Eugeniusz Delacroix, wielki twórca nowoczesnego malarstwa. Artysta całą duszą, a muzykalny niezmiernie, tak dalece, że nawet, zanim został malarzem, omal nie poświęcił się muzyce, fanatyczny wielbiciel Mozarta i Beethowena, a przytem jeden z najszlachetniejszych ludzi swego czasu, Delacroix od pierwszej chwili poznania się z nim stał się, jak tylu innych, entuzyastycznym czcicielem geniuszu Chopina. Rozkoszował się jego muzyką, zarówno kompozycyami, jak improwizacyami, a dla człowieka, na którego subtelności i wykwintności również poznał się odrazu, powziął całkiem wyjątkowe przywiązanie i szacunek. *Quel charmant génie!* pisał o nim, jako o kompozytorze i wirtuozie, w swym słynnym dzienniku; a jeden ze swych listów do niego, bo niebawem zaczęli korespondować z sobą, zakończył takim dowcipem: »Vous qui méritez des autels et *un hôtel* que je souhaits à nous deux«. W każdym razie była to przyjaźń niezwykła, przyjaźn dwóch wielkich artystów, dwóch pięknych dusz, które, jako takie, bezwiednie lgnęły do siebie, pociągały się wzajemnie. Zdaje się jednak, że Delacroix lepiej rozumiał i odczuwał Chopina, aniżeli to mógł o sobie powiedzieć Chopin w stosunku do niego. Tak przynajmniej sądziła p. Sand, która, obserwując ich bacznie, tak raz scharakteryzowała ich duchowy stosunek do siebie: »Chopin i Delacroix lubią siebie wzajem i nawet, rzec można, czule. Ich charaktery są bardzo podobne, a zalety rozumu i serca jednakowo duże. Za to w sferze sztuki, o ile Delacroix rozumie i adoruje Chopina, o tyle Chopin nie rozumie go. Szanując i ceniąc w nim człowieka, Chopin nie znosi w nim malarza. Delacroix, różnostronniej utalentowany, umie cenić muzykę, zna ją i odczuwa, ma gust wydelikacony. Słucha bez znużenia gry Chopina i delektuje się nią, zna go na pamięć. Chopin to uwielbienie przyjmuje i ceni, ale gdy patrzy na obrazy swego przyjaciela, cierpi, nie znajduje dlań słowa. Jest muzykiem, tylko muzykiem. Myśl jego wyrazić się umie tylko w muzyce. Ma bardzo wiele wykwintu, dowcipu i wesołej psotliwości,



ale nic nie potrafi zrozumieć w malarstwie i rzeźbie. Michał-Anioł straszy go, Rubens przeraża. Wszystko, co mu się wydaje ekscentrycznem, odstręcza go. Zamyka się w najwęższej warunkowości. Dziwna anomalja. Jego talent jest może najbardziej oryginalny i indywidualny na świecie. Lecz nie chce, aby mu o tem mówiono. Co prawda, Eugeniuszowi Delacroix w literaturze podoba się tylko to, co jest nadmiernie klasyczne i formalne«. Delacroix żył w wielkiej przyjaźni z panią Sand, której synowi przez kilka lat udzielał lekcyi rysunków.

Uczniem również Eugeniusza Delacroix, a przyjacielem i kolegą Maurycego Dudevant, dla którego towarzystwa co lato jeździł do Nohant, jako cieszący się wyjątkową sympatyą p. Sand, był młodziutki malarz, Louis Eugène Lambert, z czasem słynny malarz zwierząt, zwłaszcza kotów. Podobnie, jak Borie, i on należał do domowników autorki *Consuela*, przyczem stał się jej totumfackim. Wobec tego oczywiście i z Chopinem zżył się bardzo, przyczem sobie zyskał jego względy.

Między artystami-plastykami, szczycącymi się przyjaźnią pani Sand, wcale niepoślednie miejsce zajmował rzeźbiarz, Jan Piotr Dantan, słynny karykaturzysta, o czem między innemi świadczyła jego znakomita karykatura Liszta. Od 1839 r., dzięki swym stosunkom z p. Sand, zaprzyjaźnił się również i z Chopinem, a w 1841 r. zrobił jego biuścik, który następnie w odlewach gipsowych sprzedawano w Paryżu. Biuścik ten, niestety, nie robił Chopina tęższym na twarzy, niż nim był w istocie, zaczem poszło, że gdy Fontana chciał posłać tę »kredę« rodzinie Fryderyka do Warszawy, Chopin odwiódł go od tego zamiaru, »bo by się przelękli«. W innym liście do Fontany tak pisał o swojej podobiźnie: »Jeżeli mój biuścik Dantana jest u Sussa, kup dwa i każ dobrze na drogę zapakować; jeżeli nie, idź, proszę Cię, do Dantana, co mieszka na St. Lazarce, tam gdzie Alkan (którego uściskaj, jak zobaczysz), i spytaj się, czy można je mieć i gdzie dostanie (za jedną drogą przypomnij mu mój bronzowy, co miał kazać ulać)«.

Wspomniany tu Alkan, uczeń Zimmermanna, laureat paryskiego konserwatoryum, świetny pianista, a także wybitny kompozytor dzieł fortepianowych, należał do najserdeczniejszych przyjaciół p. Sand, zaczem poszło, że od 1839 r. bardzo się zżył i zaprzyjaźnił z Chopinem, który go wysoko cenił, jako subtelnego pianistę, a w człowieku poważał i lubił dobrego i zacnego kolegę.

Obok tych nowych znajomości z Francuzami [1]), przyjaciółmi p. Sand, niemniejszą rolę w życiu Chopina, odkąd się znalazł z powrotem na pa-

[1]) Mówiąc o znajomościach Chopina, które miał w świecie paryskim nie polskim, lecz francusko-kosmopolitycznym, należy wymienić choć z nazwiska kilkanaście głównieyszych domów, gdzie bywał, gdzie go stale zapraszano na obiady, na wieczory. Były to domy: księcia de Noailles, barona Stochhausen, hrabiego G. de Caraman, Astolfa margr. de Custine, hrabiego A. de Perthuis, księżnej Obreskoff, księżnej Grammont, księżny de

ryskim bruku, zaczęły grać jego dawniejsze przyjaźni z rodakami-emigrantami, wśród których, obok Jana Matuszyńskiego, Alberta Grzymały i Juliana Fontany, pierwsze miejsce zajmował niewątpliwie Stefan Witwicki, »apostoł emigracyi«, jak go nazywano powszechnie.

Chopin nazywał go poufnie »Mery«, w dowód zaś, jak sobie cenił jego przyjaźń i życzliwość, jak szczerze był przywiązany do niego, dedykował mu *Quatre Mazurkas* Op. 41, jedne z najpiękniejszych, jakie napisał, a przytem jedne z najbardziej polskich. Za to Witwicki, mający, jako literat i poeta, znacznie »łatwiejsze pióro«, aniżeli Chopin, wyręczał go niejednokrotnie, gdy chodziło o napisanie listu do rodziców. »Niema już Merego, żeby wam za mnie pisał«, ubolewał z czasem Chopin, gdy nie stało autora *Wieczorów pielgrzyma*, a podobny żal odezwał się w jednym z listów matki Fryderyka, gdy nie mogąc doczekać się wiadomości od syna, pisała raz do niego: »Dałeś koncert; nie będziemy o nim wiedzieć, bo już tam niema twego prawdziwego przyjaciela, który nam przeszły tak dokładnie ze wszystkiemi drobnostkami opisał, że mi się zdawało, żem to słyszała i widziała. Pisał mi wtenczas, to są jego wyrazy: Niech pani mu powie, żeby dziękował Bogu za jego dobrodziejstwa, że mu dał ten dar i miłość bliźniego, bo go wszyscy kochamy«. Przez tego »prawdziwego przyjaciela« należało rozumieć Witwickiego. Ten tytuł »prawdziwego przyjaciela«, nietylko Chopina, ale i jego rodziny, dawał Witwickiemu pewne przywileje wobec Fryderyka, któremu często nie szczędził mniej lub więcej gorzkich słów prawdy, o ile były zasłużone. A bywały nieraz, bo Chopin, o ile skory do obietnic i przyrzeczeń, nie zawsze okazywał się punktualnym w ich dotrzymaniu. Że na podobny zarzut zasługiwał czasami, dowodzi list Witwickiego do niego, datowany 25 marca 1841 r., a równający się wielce bezceremonialnej reprymendzie. Oto rzeczony list, bardzo charakterystyczny dla obu przyjaciół: »Powiedz-że mi, mój kochany gagatku, co Ty sobie najlepszego ze mną myślisz? Ja myślałem, że tak Ci będzie łatwo

---

Craon, miss Fanny Kemble, panny Mars (z komedyi francuskiej), hr. Gustawa de Montebello, Antoniego Pacini'ego, państwa Barthelemy, Ary Scheffera, Ludwiki Garat, hrabiny Komarowej, księżny Ludmiły de Beauvau (Komarówny z domu), Cherubiniego (a po jego śmierci pani Cherubiniowej), adwokata A. Cremieux, pani Garcia, pani Freppa, pani Lassabathie, Kamila Pleyela, Augusta Leo, rzeźbiarza Dantana, Eugeniusza Delacroix, Ernesta Legouvé, pani Viardot, pani Marliani, panny de Rosières, Solivy (którego popierał, jako nauczyciela śpiewu, nastręczając mu lekcye), Franchomme'a, Kalkbrennera, Meyerbeera, Alkana, Halevy'ego, Ernsta, pani Erskine, panny Stirling, Ludwiki Garat, Aug. Gathy, pani Damoreau, i w. w. i. Polskie domy, w których Chopin bywał częstym gościem, były następujące: Adamostwa Czartoryskich, (na sobotach o 9-ej), księżnej Sapieżyny, Aleksandrostwa Czartoryskich, Platerów, Laury Czosnowskiej (Lorki), księżnej Konstantowej Lubomirskiej, pani Brzozowskiej, jenerała Mycielskiego, Zofii Ossolińskiej, Tekli Potockiej, hrabiny Rzewuskiej, pani Nakwaskiej, Woronieckich, Mickiewiczów, Zaleskich, Grzymałów, Plichtów, i w. w. i.



napisać kilka słów, albo kilka nut, jak tylu innym moim przyjaciołom, zwłaszcza, żeś od niektórych z nich, np. od Niemcewicza, młodszy trochę; kiedy nie chcesz, jechał Cię sęk, to się obejdzie; czemuż przynajmniej nie oddasz sztambucha, choć już kilka razy posyłałem. To jest jeden interes. Drugi: prosi Cię pani Mocbourg, żebyś wyznaczył dzień i godzinę na lekcye dla dawnej swojej elewki, toby z nią do Ciebie przyjeżdżała. Mogliby zacząć dopiero z początkiem kwietnia, bo teraz jeszcze matka wcale z domu nie rusza się po chorobie; córka także chorowała. Jeżeli tedy możesz, to bardzo dobrze; jeżeli zaś nie możesz w żaden sposób, to tak zrób koniecznie, żebyś mógł i napisz mi, jaką godzinę naznaczasz. Miałbym jeszcze trzeci interes, ale lepiej dam pokój, boś, widzę, całkiem już ladaco i paryżanin, o dawnych przyjaciół, o tych, co i Ciebie i Twoich rodziców kochają, tyle dbasz, co o śnieg przeszłoroczny. Niechże i tak będzie, kiedy Ci się tak podoba i kiedy Ci z tem dobrze«.

Przez Witwickiego zbliżył się Chopin bardzo i zaprzyjaźnił z Bohdanem Zaleskim. Autor *Ducha od stepu* mieszkał wprawdzie w Fontainebleau, ale do Paryża przyjeżdżał dość często: wtedy z Witwickim widywał się zawsze, a Witwicki raz po raz prowadził go do Chopina. Że te stosunki były wcale blizkie, tego dowodzą chociażby listy Witwickiego do Zaleskiego, w których nie brak wzmianek o Chopinie, a niemniej dowodzi fakt, że Zaleski, obok Witwickiego i Mickiewicza, był tym uprzywilejowanym poetą, do którego smętnych dumek Chopin dorabiał muzykę. W marcu 1841 r. pisze Witwicki do Zaleskiego: »Piszą mi z Warszawy, że dumka twoja w sztambuchu mojej siostrzenicy, i muzyka do niej Chopina niezmiernie się podoba. Ma to coś być niezmiernie tkliwego. Żałuję, że muzyki nie znam«. Gdy w 1841 r. wyszły dwa tomy *Poezyi* Bohdana Zaleskiego, poecie bardzo zależało na tem, ażeby i Chopin posiadał ich egzemplarz. W tym celu prosił Witwickiego, ażeby je kazał oprawić, a następnie wręczył w jego imieniu Chopinowi. Witwicki, spełniając to zlecenie swego serdecznego przyjaciela, tak mu o tem pisał w liście z 7 marca 1841 r.: »Dwa egzemplarze *Poezyi* kupiłem, jak kazałeś, tylko nie u A...[1]), bo ma być drożej, ale u naszego Icka[2]). Zapłaciłem 13 franków, po półsiodma, a wiem, że innym sprzedawał taniej. Icek prawdziwy. Hoffmanowej oddałem i niezmiernie ci wdzięczna; ma sama podziękować listem. Dla Chopina dałem do oprawy i nie będzie gotów aż za tydzień. Wziąłem dla niego z księgarni i to, co tutaj wyszło. Wszystkie trzy książeczki będzie miał razem. Każę pote.n dla siebie także trzy razem oprawić«. W dziesięć dni później, w liście z dnia 16 marca, donosił Witwicki swemu przyjacielowi w Fontainebleau: »Egzemplarz *Poezyi* dla Chopina jeszcze nie gotów, do-

---

[1]) Aleksandra Jełowickiego.
[2]) Eustachego Januszkiewicza.

piero za kilka dni, ale już mu powiedziałem. Oddam, jak tylko odbiorę, a ty napisz (dedykacyę), jak przyjedziesz. Byliśmy tam w piątek proszeni z Adamem«. Ten egzemplarz *Poezyi* Zaleskiego, ofiarowany Chopinowi, sprawił to, że odtąd Chopin tylko z pośród tych utworów wybierał wiersze do swych pieśni, co było wielkim zaszczytem dla ukraińskiego poety. Jako wielbiciel Chopina, Zaleski zapragnął mieć jego autograf, o który miał mu się wystarać Witwicki. Chopin obiecał, że spełni życzenie Zaleskiego, ale jakoś marudził z dotrzymaniem obietnicy. Oto, co raz w tej kwestyi, w liście z kwietnia 1843 r., pisał Witwicki do swego przyjaciela: »Chciałem u Chopinka dostać dla Ciebie jaką muzykę, ale dotychczas daremnie; może jeszcze później prześlę, jeśli od tego marudy i nudziarza wykołatam«. Gdy w rok potem Witwicki opuścił Paryż, ażeby się leczyć u Priessnitza we Freiwaldau, Bohdan Zaleski mniej miał okazyi do widywania się z Chopinem. Że jednak zachodził do niego czasami, świadczy kartka, którą raz zaświadczył swą bytność u Fryderyka, a na której napisał co następuje: »Nie chcę przeszkadzać lekcyi, ale składam jaknajgorętsze życzenia przy dniu imienin. Daj Boże, złożyć przyszłe już w Polsce wolnej i niepodległej. Rzeczy w Krakowie wybornie się mają. Szczęśliwy nasz Witwicki, że tak blizko od ogniska. Pozdrawiam i ściskam najczulej«. Ale niebawem zjawił się nowy łącznik pomiędzy Zaleskim a Chopinem«. Była nim Zofia Rozengardtówna, która od 1843 r. brała lekcye od Chopina, a która w 1846 roku została panią Bohdanową Zaleską. Zachował się bardzo ciekawy list Zaleskiego do Chopina, pisany w sprawie panny Rozengardtówny, list, od którego się datował jeszcze serdeczniejszy stosunek twórcy *Mazurków* z autorem *Dumek*. List ten, pisany z Fontainebleau dnia 18 grudnia 1844 r., brzmiał, jak następuje: »Szanowny i Kochany Panie Fryderyku! Kopę lat się znamy, a podobno, że pierwszy oto raz piszę do ciebie. To samo mnie ośmiela i zaręcza, że z pobłażaniem wysłuchasz. W zastępstwie nieobecnego spólnego przyjaciela Stefana i w uczuciu, że spełniam dobry uczynek, poważam się Ci polecić pannę Zofię Rozengartównę. Panna Zofia, którą zeszłego roku zaszczyciłeś już był swemi lekcyami, zdaje mi się, godna jest ze wszech miar i nadal Twoich względów. Przecież to ona w artystowskiem uniesieniu swojem puściła się w świat szeroki po to jedynie, aby zasłyszeć Ciebie, mistrzu, i odrodzić się na żywot! Młoda, bystra, nie bez pewnej już wprawy, a przytem pełna zdatności i zapału dla sztuki, żal się Boże, gdyby zmarnowała czas na bruku paryskim i tem samem zawiodła nadzieje i oczekiwania ubogiej swojej rodziny. Nie wątpię, szanowny Fryderyku, nie wątpimy wszyscy, którzy Cię kochamy i wielbimy oddawna, że z wyrozumiałością i sercem spółrodaka-mistrza wejdziesz w sieroce położenie panny Zofii; że zechcesz być jej przewodnikiem, doradcą, stróżem smaku w trudnym zawodzie, jaki obrała. Nadewszystko karć w uczennicy swojej skłonność do zniechęcania się lada czem, do opuszczania rąk. Skłonność to wprawdzie pospolita u dusz poetyckich i bodaj, czy każdy z nas nie wpadał w nią na tym zimnym rzeczywistym świecie, wszakże arcy-zgubną być może dla młodego talentu. Przebacz teraz mojemu niespodziewanemu natręctwu i wierzaj, iż zawsze po staremu wielbię Cię i kocham. Miałem świeżo list od Witwickiego. Postanowił zimować w Freiwaldau. Priesnitz obiecuje mu wyleczenie, ale dotychczas, oprócz setki wrzodów bolesnych w dodatku do starej choroby, nie uczuł wcale polepszenia na zdrowiu. Miał jednak nielada pociechę z przyjazdu brata, siostry i pani Lewockiej, a teraz raduje się nadziejami Priesnitzowskiemi. Tęskno mi za Stefanem, tęskno i dlatego, że przezeń miałem kiedy niekiedy wstęp do kochanego p. Fryderyka. Mnie po dziś dzień w zadumaniu tu samotnem przypomina się nieraz jakiś dźwięk senny, luźny, z miliona owych, któremiś nas uraczył ongi, czarodzieju nasz! Jeżeli się przeniosę do Paryża, kiedyś rankiem przy niedzieli napadnę na Cię po kozacku, zaufany bo w starą zażyłość i koleżeństwo. *Et io sono pittore!* Żałuję mocno, żem się nie widział z szanowną Twoją siostrą. Ongi, w roku rewolucyi, ś. p. Michał Skarbek złożył był w domu rodziców Twoich skrzynkę z papierami do przechowania. Skrzynka ta i papiery są moje własne i radbym się dowiedzieć kiedy, co się z niemi stało? Chodzi mi głównie o parę tam rękopisów historycznych i o listy przyjaciół młodości. Pozdrawiam i ściskam«.



Bohdan Zaleski, Stefan Witwicki i Klementyna z Tańskich Hoffmanowa stanowili rodzaj trójcy, około której grupował się cały odłam celniejszych przedstawicieli emigracyi. Jako szczery wielbiciel talentu i zasług pani Hoffmanowej, w której kulcie był wychowany od dziecka, Chopin również należał do tej grupy. Stąd na przyjęciach, które u siebie urządzała autorka *Pamiątek po dobrej matce*, a na których z Niemcewiczem i Kniaziewiczem na czele, bywało wszystko, co emigracya posiadała wybitnego, Chopin nieraz grywał na fortepianie, słuchany przez wyjątkowo doborowe grono towarzyszy wygnania. Pani Hoffmanowa, jak o niej pisał jeden z pisarzów emigracyjnych, odznaczała się wielką troskliwością o braci-wygnańców. »Pracowita około domu, lubiąca zajrzeć w jego potrzeby, umiała ona dotknąć się wszystkiego swą słabą dłonią i rozporządzić czas między najróżnorodniejsze starania. Litościwa dla cierpiących, dobra, usłużna i gościnna dla wszystkich, pani Hoffmanowa zwykła była przekładać nad wszystkie zalety charaktery szczere, naturalne, odpowiadające usposobieniu jej własnej duszy i dla takich była całkowicie wylaną. W przekonaniu wszystkich, którzy mieli szczęście zbliżyć się do jej osoby, była to jeżeli już nie jedyna, to niezawodnie pierwsza Polka, której rozmowa towarzyska, prowadzona w narodowym języku, co do giętkości i delikatności nie ustępowała w niczem konwersacyi francuskiej. Przybrany w ozdoby tego ro-

dzaju, dom autorki wydanego w 1842 r. *Jana Kochanowskiego w Czarnolesie,* zdawał się być eliseum rządu, pobożności i pokoju, małym światem, w którym odbijała się dusza pogodna znakomitej kobiety«. Nie dziw więc, że Chopin lubił oddychać atmosferą tego domu, atmosferą, która mu przypominała jego czasy warszawskie.

Podobna atmosfera panowała w domu Franciszka Wołowskiego, ojca pani Faucher[1]), o którym, gdy zmarł w Paryżu, w lutym 1844 r., w 57 roku życia, tak pisał emigracyjny *Dziennik powszechny,* jako o ze wszech miar zasłużonym krajowi obywatelu: »Był jednym z najuczeńszych i najwymowniejszych polskich adwokatów; jednym z najwymowniejszych, najśmielszych i najpatryotyczniejszych członków Sejmu. On, z kilku innymi posłami, popierając wniosek Sołtyka detronizacyi Mikołaja, przyczynił się najwięcej do scharakteryzowania rewolucyi w Sejmie. Na wygnaniu nie należał zupełnie do żadnego uorganizowanego stronnictwa; chwalił w każdem z nich to, co jest dobre, a ganił to, co jest złe; był przedewszystkiem i zawsze dobrym Polakiem«. Zięć jego, Leon Faucher, był naczelnym redaktorem wpływowego wtedy *Le Courrier français.* Chopin, bardzo zaprzyjaźniony z Ludwikiem Wołowskim, synem Franciszka, znanym ekonomistą, czuł się w domu Wołowskich, jak u siebie.

Jak Chopin, odkąd się zbliżył do p. Sand, pozawierał szereg znajomości i przyjaźni z jej znajomymi i przyjaciółmi, podobnie i p. Sand, odkąd Chopin stał się »codziennym gościem« w jej domu, zbliżyła się z wieloma z pośród jego przyjaciół, a tem samem weszła w bliższe stosunki z emigracyą; jak jemu przybyło kilku przyjaciół-Francuzów, tak jej przybyło kilku przyjaciół-Polaków. Stąd jeszcze jeden nowy wpływ na autorkę *Consuela,* wpływ polski, podsycany przez Chopina, który go potrafił wyzyskać dla celów wychodźtwa i sprawy polskiej. Niedarmo Adolf de Custine nazywał Chopina *Poloniaiseur'em,* a inni Francuzi mówili o nim: *Chopin est plus Polonais que la Pologne!* Otóż ten polonizujący wpływ, jaki Chopin wywierał na swych paryskich przyjaciół-cudzoziemców, niewątpliwie najsilniej i najdobitniej uwydatnił się w odniesieniu do p. Sand, która przez Chopina, zadzierżgnęła dość ścisłe stosunki z emigracyą polską, z jej konserwatywnym odłamem, skupionym około stronnictwa Czartoryskich

[1]) W bibliotece polskiej w Paryżu, w muzeum mickiewiczowskiem, znajduje się kilka zeszytów nut po ś. p. pani Faucher. Są to pierwsze wydania kompozycyi Chopina, które pani Faucher, jeszcze jako panna Wołowska, studyowała pod kierunkiem samego autora, którego przez szereg lat była uczennicą. Między nutami temi, z własnoręcznemi poprawkami i palcowaniem Chopina, co im nadaje specyalną wartość, są *Trois Nocturnes* Op. 9, z własnoręczną dedykacyą mistrza na okładce: *Pour M-elle A. Wołowska de la part de l'auteur; Etudes* Op. 10, *Grande valse* Op. 18, również z własnoręczną dedykacyą autorską: *hommage à M-elle Alexandrine Wołowska de la part de l'auteur; Scherzo* Op. 20, *Etudes* Op. 25, *Vingt quatre preludes* Op. 28, *Deux Polonaises* Op. 40.



i Platerów, a że jej stanowisko w świecie francuskim, jako sławnej powieściopisarki i współpracowniczki *Revue des deux Mondes,* było bardzo wpływowe, więc też niebawem i w emigracyi zaczęła grać pewną rolę, wcale niepoślednią. Z tego powodu mawiał o niej Balzac, że jest »naszpikowana Polakami« *(dont elle est farcie).* Co pewna, że dzięki autorowi *Nokturnów* p. Sand w krótkim czasie poznała wielu wybitnych emigrantów, z pomiędzy których tacy, jak Witwicki, Grzymała, Matuszyński, a w końcu i sam Mickiewicz, zaczęli się liczyć do jej najbliższych przyjaciół. Jej studyum o *Dziadach* Mickiewicza, wydrukowane w grudniowym zeszycie 1839 r. *Revue des deux Mondes* p. t. *Essay sur le drame fantastique: Goethe, Byron et Mickiewicz,* bardzo było czytane w emigracyi, sposób zaś, w jaki w niem pisała o Mickiewiczu, którego poemat stawiała na równi z *Faustem* i *Manfredem,* zyskał poklask w literackich sferach wychodźtwa, nawet w tych kołach, które naogół nie pochwalały działalności społecznej Georga Sanda. Dość powiedzieć, że nawet koterya Czartoryskich zaczęła wchodzić w pewne stosunki ze sławną powieściopisarką, co dawniej, przed jej przyjaźnią z Chopinem, zupełnie było wykluczonem. Teraz, przez Chopina, zbliżono się ku sobie wzajemnie, niezbyt blizko oczywiście, ze wszelkiem zachowaniem dystansów kastowych, ale ponieważ obie strony należały do najwyższej arystokracyi, p. Sand do arystokracyi ducha, a Czartoryscy do arystokracyi rodu, więc niebawem znalazły się wspólne łączniki, które ułatwiły wyrównanie przepaści różnicy przekonań politycznych. Jednym z tych czynników, może jedynym, a najważniejszym w każdym razie, był interes polski i emigracyjny, interes, który Czartoryscy zawsze mieli na oku, a przy którym osoba tej wszechświatowej sławy, co George Sand, tego wpływu przez swe stałe współpracownictwo w *Revue des deux Mondes* i tych stosunków w świecie literackim i dziennikarskim, nieraz mogła się okazać potrzebną i pomocną. Wogóle można-by napisać osobne studyum o stosunku p. Sand do emigracyi polskiej, do której, dzięki polonizującemu wpływowi na nią Chopina, przystała całą duszą, z całem poświęceniem dla jej sprawy, którą uważała za świętą, humanitarną, bo za sprawę wolności i wyzwolenia uciemiężonego narodu. Za dowód, że tak było istotnie, mogła posłużyć chociażby jej gorąca odezwa do społeczeństwa francuskiego, wydrukowana 26 grudnia 1839 r. w dzienniku *Le Siècle,* a wzywająca wszystkich, by odwiedzali bazar dobroczynny urządzony staraniem księżny Adamowej Czartoryskiej, bazar, corocznie przez nią urządzany na rzecz ubogich emigrantów polskich. W odezwie tej, skreślonej w najgorętszym duchu patryotycznym polskim, p. Sand z najwyższą czcią rozpisała się o różnych bohaterkach polskich, jak Emilia Plater, i opowiedziała szereg szczegółów o księżnie Adamowej Czartoryskiej, »kobiecie młodej, bardzo bogatej, niegdyś nawykłej do przepychu królewskiego, i jej całej rodzinie, mieszkającej w Paryżu nader skromnie, lecz za to zawsze

przyjmującej gościnnie każdego nieszczęśliwca i niosącej wszystkim pomoc ofiarną«. Naturalnie, że tylko Chopinowi zawdzięczała p. Sand te wiadomości, i że gdyby nie jego namowy, z pewnością nie była-by napisała podobnej odezwy.

Na krótko przedtem, w drugiej połowie października, przyjechał na jakiś czas do Paryża, z Londynu, gdzie mieszkał stale, słynny Moscheles. Przyjechał tu, by odnowić lub nawiązać stosunki z miejscowym światem muzycznym, by posłuchać nowych oper, by uczęszczać na słynne koncerty w konserwatoryum, a przy sposobności dawać trochę lekcyi, które już z góry miał zapewnione. Między artystami, których nie znał dotychczas, a których niezmiernie był ciekawy poznać osobiście, bezwarunkowo pierwsze miejsce zajmował Chopin. Znał jego kompozycye, z uwagą śledził jego twórczość, co do której miał niejakie zastrzeżenia, ale dla której był z całem uwielbieniem, tylko nie miał okazyi do poznania samego twórcy, tak już sławnego w całej Europie. Taką okazyę postanowił znaleźć za swej bytności w Paryżu. Jakoż znalazł ją niebawem, prędzej nawet, niż się spodziewał. Bywając częstym gościem w bardzo muzykalnym domu bankiera Leo, z którym był spowinowacony, na jednym z wieczorów u niego, na którym, jak zwykle, miano muzykować wiele, spotkał się z Chopinem, który tu również należał do najczęstszych gości, a który właśnie był świeżo po powrocie z Nohant. Uszczęśliwiony, że nareszcie spełniło się jego dawno żywione pragnienie, by poznać i usłyszeć Chopina, Moscheles tak o tem pierwszem spotkaniu pisał w swym dzienniku: »Otóż nareszcie widziałem Chopina, który co dopiero wrócił ze wsi. Ledwo się mogłem doczekać tej dawno upragnionej chwili. Zewnętrzna jego postać zupełnie odpowiada jego muzyce, tak jest delikatną i marzycielską. Na moje prośby zagrał mi kilka swoich kompozycyi, i teraz dopiero pojmuję jego muzykę, tudzież entuzyazm, jaki nią budzi wśród kobiet. Jego gra *ad libitum*, która u innych wykonawców jego utworów przechodzi w chaotyczną beztaktowość, u niego staje się tylko czarującą oryginalnością; dyletancko szorstkie modulacye, z któremi sobie nie mogę dać rady, gdy grywam jego rzeczy, przestają mnie razić, ile że delikatne jego palce przemykają się po nich z lekkością elfów; jego *piano* jest tak eteryczne, że wcale nie potrzeba silnego *forte*, by stworzyć potrzebny kontrast; stąd pochodzi, że wcale się nie pożąda owych orkiestralnych efektów, jakich wymaga szkoła niemiecka, lecz całą duszą daje się porwać wrażeniu, tak zupełnie, jakby się słuchało śpiewaka, który nie troszcząc się bynajmniej o akompaniament, jedynie prądowi uczucia swego daje się całkowicie unosić. Krótko mówiąc, jest on unikatem w świecie pianistów. Upewniał mię, że bardzo lubi moje kompozycye, a w każdym razie zna je dokładnie. Grał mi swoje *Etiudy* i swoje najnowsze dzieło, *Preludya*. Ja również zagrałem mu cały szereg moich utworów«. Odtąd raz po raz widywali się w różnych salonach, przyczem Chopin nie omieszkał popisać się przed Moschelesem także i ze swym mimicznym talentem, jak tego dowodzi dziennik Moschelesa, w którym po jednym wieczorze, spędzonym w towarzystwie Chopina, znalazła się następująca zapiska: »Chopin był ożywiony, wesoły, a nawet zabawny nad wszelki wyraz, gdy w karykaturalny sposób naśladował Pixisa, Liszta, oraz pewnego garbatego melomana«. W kilka dni później, po wizycie u Chopina, którego odwiedził w towarzystwie dwóch swoich przyjaciół, zapisał w swym dzienniku Moscheles, co następuje: »Stosownie do obietnicy odwiedziłem Chopina z Ch. i E., którzy za nim obaj przepadają, rozpływając się szczególnie w jego *Preludyum As-dur*, gdzie ustawicznie powraca *As* pedałowe. Niezastałem u niego nikogo prócz hrabiny Obreskow z Petersburga, która nas artystów ubóstwia *en bloc*, oraz jeszcze kilku panów. Jeden z najlepszych uczniów Chopina, Gutmann, grał jego *Scherzo Cis-moll*, pozostające dotąd w rękopisie; poczem sam Chopin wykonał swoją niewydaną jeszcze *Sonatę B-moll* z *Marszem żałobnym*«.



Zapraszani do wielu wspólnych znajomych z najwyższego świata paryskiego, Moscheles i Chopin na kilku wieczorach wykonali na dwóch fortepianach *Sonatę Es-dur* Moschelesa, która w ich niezrównanej interpretacyi szalenie się podobała wszystkim, budząc zachwyt ogólny. Jednym z uprzywilejowanych uczestników tych wyjątkowych uczt muzycznych, który kilka razy miał możność usłyszenia tej *Sonaty*, był hrabia Perthuis, adjutant króla Ludwika Filipa, a serdeczny przyjaciel i wielbiciel Chopina. Zachwycony tą *Sonatą* Moschelesa, tak wykonaną, będąc w Tuieryjach, nakłonił króla, ażeby Chopin i Moscheles wykonali tę *Sonatę* wobec dworu. Gdy król akceptował ten pomysł, hrabia Perthuis napisał list do Moschelesa, z zaszczytnem oświadczeniem, że na dworze pozazdroszczono mu rozkoszy, jakiej doznał, słuchając jego *Sonaty* w interpretacyi tak znakomitych artystów, i że dwór również chciałby ją usłyszeć; poczem obaj pianiści otrzymali oficyalne zaproszenie na wieczór do St. Cloud, mający się odbyć dnia 29 października. Całe przedpołudnie tego dnia spędził Moscheles u Chopina i grali pomienioną *Sonatę*. Przysłuchiwał się temu Gutmann. Moscheles zachwycony był sposobem, w jaki Chopin odegrał legato w rzewnem *Adagio* tej kompozycyi, i zapewniał Gutmanna, że nic podobnego nigdy nie słyszał. Wieczorem pojechano do St. Cloud, a popis wypadł świetnie. Nazajutrz po tym wieczorze, który, bądź co bądź, stał się pamiętnym w życiu obu artystów, Moscheles tak pisał w swym dzienniku: »Wczoraj miałem dzień niezwykły; najprzód przyszedł do mnie Kalkbrenner z wyciągniętą do zgody ręką, zapytawszy mnie uprzednio za pośrednictwem osób trzecich, czy jestem do tego skłonny, na co dałem odpowiedź twierdzącą. Bardzo mię ujął jednym rozdziałem z *Miłości i uwielbienia*, wykonanym z wielką powagą. Gdym mu powiedział: Jeszcze dziś wieczór będę grał na instrumencie z pańskiej fabryki, bo mam grać na dworze

w St. Cloud... on, zaskoczony tem, szybko uniósł się na krześle, twierdząc, że chwili niema do stracenia, że musi zobaczyć czy instrument jest w należytym porządku. Opowiedział mi przy sposobności, że księżna orleańska, która niegdyś u niego brała lekcye gry i kompozyci, umie ocenić dobrą muzykę. O 9-tej przyjechał hr. Perthuis z żoną i zabrał mnie i Chopina ze sobą. Lało, jak z cebra, a nas w powozie błogie przejmowało uczucie na widok zamku, z którego okien rzęsiste biły łuny światła. Przechodziliśmy przez wiele paradnych pokoi, zanim nas wprowadzono do salonu mającego kształt kwadratu. Tu była zebrana królewska rodzina *en petit comité*. Przy okrągłym stoliku siedziała królowa, przed nią elegancki koszyczek do ręcznych robót, obok niej pani Adelajda, księżna d'Orléans i damy dworskie. Dostojne panie były tak łaskawe i poufałe, jakby z dawnymi znajomymi: królowa i p. Adelajda zaręczały, że z przyjemnością wspominają chwile, gdym przed niemi grał w Tuileryjach. Niebawem i król zbliżył się do mnie, by powtórzyć to samo, przyczem napomknął, że to już tak dawno, bo zapewne już z 15 lub 16 lat odtąd ubiegło, co ja potwierdziłem. Poczem zapytała królowa, czy fortepian (Pleyela) należycie i według naszych życzeń ustawiony, czy potrzebujemy oświetlenia, czy siedzenia dość wysokie, i wiele innych zadała mi pytań, odpowiednich i naturalnych w ustach królowej, przez burżuazyę na tron wyniesionej. Najprzód zasiadł do fortepianu Chopin i grał kilka swych *Etiud* i *Nokturnów*. Podziwiano go i pieszczono, jak ulubieńca. Skoro i ja wykonałem kilka z mych *Etiud* nowych i dawniejszych, i takiemiż jak mój poprzednik zaszczycony zostałem oklaskami, zasiedliśmy razem do instrumentu. Chopin objął znów *secondo*, przyczem stale obstaje. Naprężoną uwagę niewielkiego grona dostojnych słuchaczów przerywały tylko takie półsłówka, jak *divin, delicieux*. Po *Andante* szepnęła królowa do jednej z dam dworskich: *Ne serait-il pas indiscret de le leur redemender?* co naturalnie w naszych uszach równało się rozkazowi i wykonaliśmy odegrany już raz ustęp z tem silniejszym jeszcze wyrazem. W *Finale* puściliśmy swobodnie wodze świętemu szałowi natchnienia. Chopina gra pełna ognia i werwy, ani na chwilę nie słabnąca w ciągu całego dzieła, musiała, jak o tem jestem przekonany, bardzo podniecająco oddziałać na słuchaczy. Jakoż nie skąpo nas potem obsypywali podwójnemi wyrazami zachwytu. Z kolei znowu sam Chopin zasiadł do fortepianu i grał z takiem samem przejęciem i wdziękiem, jak poprzednio (tym razem improwizował na temat bardzo modnej i popularnej wtedy piosnki Grisara *La Folle*). Po nim ja improwizowałem na tematy z Mozarta, które z całą siłą rozmachu zakończyłem uwerturą z *Fletu zaczarowanego*. Droższe dla nas nad wszelkie pochwały, tę zdawkową monetę, którą głowy koronowane zwykły częstować artystów, było uważne przysłuchiwanie się króla przez cały wieczór. Chopin i ja radowaliśmy się, jak bracia, ze wspólnego tryumfu, którym odrębny każdego z nas talent został uwieńczony



i którego nie zaćmiewało żadne *à qui mieux mieux*. Nareszcie wolno nam było pokrzepić się chłodnikami. O wpół do 12-tej opuściliśmy zamek, ale już nie wśród ulewnego deszczu, lecz deszczu pochwał i komplementów; bo po wieczornej ulewie noc się zrobiła najpiękniejsza«[1]). Za ten niezrównany koncert otrzymał Chopin od króla piękny puhar srebrny, wewnątrz pozłacany, ale bez futerału. Chopin kazał go dorobić dopiero i umieścić na nim napis: *Donné par le Roi Louis Philippe*. Natomiast Moschelesa zapytano poufnie, co woli otrzymać: czy krzyż legii honorowej, czy też jakiś drogocenny przedmiot. Ponieważ zbyt rozrzutne i hojne rozdawnictwo tego orderu nie miało dla zasłużonego pianisty szczególniejszej ponęty, więc oświadczył, że woli jakiś upominek. Wiedy ofiarowano mu kosztowny neseser podróżny, z wyrytym na pokrywie napisem: *Donné par le Roi Louis Philippe*. Z powodu tego daru wyraził się dowcipnie Chopin: »Król ofiarował Moschelesowi dlatego neseser podróżny, bo chciał mu dać tym sposobem do zrozumienia, żeby jaknajprędzej wyjechał z Paryża«. Tymczasem Moscheles, wcale nie tak sobie tłómacząc znaczenie królewskiego podarunku, jeszcze do końca listopada zabawił nad Sekwaną, bardzo wiele przestając z Chopinem. Prawie co wieczór gdzieś byli razem, a we wszystkich salonach musieli grać ową *Sonatę Es-moll* Moschelesa. Stała się ona modną, tak, że nazywano ją poprostu: *la Sonate*.

Tymczasem p. Sand wciąż była zajęta urządzaniem, przerabianiem, tapetowaniem, etc. pawilonów przy rue Pigalle, aż w końcu, w styczniu dopiero, mogła się wprowadzić do swego nowego mieszkania[2]). Nawiasem mówiąc, przez czas, gdy mieszkała w Hôtel de France, napisała komedyę, którą zamierzała wystawić w Théâtre Français, gdzie właśnie czyniono przygotowania do pierwszego przedstawienia jej dramatu p. t. *Cosima*. Z Chopinem oczywiście widywała się codziennie. Stosunek ich, ów »rodzaj sojuszu familijnego« przy pozorach zwykłej zażyłości i przyjaźni, zacieśniał się coraz bardziej, stając się coraz większą koniecznością dla jednej i drugiej strony, zwłaszcza dla Chopina. Nie znaczyło to przecież, by przy coraz bliższem poznaniu, przy coraz większej, prawie małżeńskiej poufałości — z którą wszakże przy świadkach nie zdradzało się żadne z nich — nie występowały pewne zasadnicze różnice charakterów i usposobień, które hamowała tylko wyjątkowa delikatność Chopina, albo macierzyńska wyro-

[1]) W *Neue Zeitschrift für Musik*, w numerze z dnia 12 listopada 1839 r., znalazła się o tym występie Chopina i Moschelesa na dworze w St. Cloud obszerniejsza wzmianka, niewątpliwie zakomunikowana przez samego Moschelesa (za pośrednictwem Mendelssohna).

[2]) W liście do Gustawa Papet, datowanym z Paryża »w styczniu 1840 roku« pisze pani Sand: »Je suis enfin installée rue Pigalle, 16, depuis deux jours seulement, après avoir bisqué, ragé, pesté, juré, contre les tapissiers, serruriers, etc. etc. Quelle longue, horrible, insupportable affaire que de se loger ici! Enfin, c'est terminé«.

zumiałość p. Sand. Że jednak nie brakło takich różnic, zresztą nieuniknionych wobec podobnych kontrastów psychicznych, jak autorka namiętnej *Lelii* i twórca rzewnych *Nokturnów*, na to znajdują się wcale wyraźne dowody w pamiętnikach p. Sand, która je zaznacza mimochodem, może bezwiednie, a w każdym razie delikatnie. Oto odnośny ustęp z jej *Histoire de ma vie*, świadczący, że p. Sand chwilami męczyła zbytnia drażliwość Chopina, że go niezawsze rozumiała należycie, począwszy od niego samego, a skończywszy na jego muzyce, że ich nietylko dzieliły różnice przekonań politycznych, ale że ich temperamenty, jak dwa niedobrane tony, zamiast tworzyć harmonijny akord, często składały się na jakiś rozdźwięk moralny, który tylko wzajemna pobłażliwość łagodziła i tłumiła w należytej mierze. Że pani Sand nie rozumiała należycie muzyki Chopina, tego dała dowód niezbity, gdy się wyraziła o niej, że »przyjdzie pora, w której te dzieła bez najmniejszej zmiany w partycyi na orkiestrę rozłożone zostaną. Wtenczas poznają wszyscy, że ten geniusz rozległością, wszechstronnością i uczonością równający się największym mistrzom, którzy mu za wzór służyli, zachował jednak wytrawniejsze, silniejsze, a nawet dramatyczniejsze piętno własnej indywidualności, niż Bach, Beethoven i Weber. Chopin łączy w swej osobie zalety tych trzech mistrzów, nie przestając być samym sobą, t. j. więcej giętkim w smaku, poważniejszym w wielkości i tragiczniejszym w boleści. Mozart tylko nad nim góruje, ponieważ Mozart, nie będąc dotknięty chorobą, cieszył się spokojem umysłu i życie jego duchowe całą świetniało pełnością. Czuł Chopin swoją potęgę i swoją słabość; a wypływała ta słabość z nadmiaru potęgi, której nie umiał ująć w karby. Nie podobna mu było, jak Mozartowi (zresztą sam tylko Mozart to potrafił) tworzyć arcydzieła z tonów prostych. W kompozycyach jego spotykamy mnóstwo odcieni i rzeczy niespodzianych. Niekiedy, lubo rzadko, są dziwne, tajemnicze i naciągane. Chociaż wstręt mu sprawiało to, czego rozumieć nie można, częstokroć zbyteczne wzruszenie mimo jego wiedzy unosiło go w krainy jemu tylko dostępne. Obawiam się, czym nie była złym sędzią dla niego (miał bowiem zwyczaj zasięgania mej rady, jak Molière swej kucharki), gdyż poznawszy go z gruntu, zjednoczyłam się prawie zupełnie z całą jego organizacyą. Przez lat ośm wnikając coraz głębiej w tajniki jego natchnień lub muzykalnych dumań, dostrzegłam w grze jego już to polot, już to trudy, zwycięstwa i katusze myśli nim owładającej. Rozumiałam go tedy, jak on sam siebie rozumiał; mniej zażyły z nim sędzia byłby go zniewolił do starania się o większą janość!« Już na Majorce, a więc w najromantyczniejszej fazie stosunku Chopina z p. Sand, irytowało go często, że mu jego ukochana imputuje pomysły muzyczne, które były wprost przeciwne jego naturze, a które świadczyły dobitnie, że p. Sand mierzyła jego twórczość zwykłym szablonem, co go drażniło najbardziej. Sama p. Sand zapisuje w swych



pamiętnikach, że gdy mu wspomniała o »harmonii naśladowniczej« jednego z *Preludyów*, on poprostu »rozgniewał się« na nią. Z całych sił powstawał — własne jej słowa — na niedorzeczność tych naśladowań, ucho tylko zabawić mogących«. Okazyi takich, żeby się gniewał, gdy nie rozumiano jego intencyi muzycznych, dostarczała p. Sand swemu »zwykłemu choremu« raz po raz, bo choć wcale muzykalna z natury, to jednak była tylko zwykłą dyletantką w rzeczach muzyki; nie dziw więc, że czasami bywała istotnie »złym sędzią« Chopina, jako kompozytora, co go naturalnie przyprawiało o rozdrażnienie. Już to wogóle drażliwym był niesłychanie, chorobliwie, czem p. Sand nieraz dał się we znaki. W Paryżu wcale się nie poprawił pod tym względem; przeciwnie, w miarę, jak się stawał coraz bardziej nerwowym, rosła i jego drażliwość, która znowu była jednym z powodów do mniejszych lub większych dysharmonii we wspólnem pożyciu. Że tak bywało stale, od samego początku, już od pobytu na Majorce, a tembardziej w Paryżu, dowodzą pamiętniki p. Sand, która tej drażliwości Chopina, bardzo dokuczliwej dla jego najbliższego otoczenia, taki poświęciła charakterystyczny ustęp: »Słodki, wesoły, w towarzystwie miły, Chopin osoby w ścisłej z nim żyjące zażyłości do rozpaczy przywodził niekiedy. Nie znałam duszy szlachetniejszej, delikatniejszej i bezinteresowniejszej. Przyjaciel wierny i pełen prawości, świetnością dowcipu w chwilach swobodnych przewyższał umysły najszczodrzej od natury uposażone. W materyach leżących w zakresie jego wiedzy tyle okazywał w zdaniu powagi, tyle rozległości rozumu, iż niktby się z nim w tym względzie mierzyć nie był poważył. Aleć za to, niestety, niczyj humor nie był do tego stopnia zmiennym, niczyja imaginacya szaleńszą i drażliwszą; niepodobna było czemkolwiekbądź nie dotknąć go z powodu nadzwyczajnej drażliwości, ani zadowolnić trudnych często serca wymagań. To wszystko atoli nie tyle z jego pochodziło winy, ile było koniecznym wypływem dręczącej go choroby. Jakby żywo ze skóry odarty, rzecz najmniejsza, zagięcie listka róży, cień muszki przelatującej, krew z niego wyciskały. W każdej okoliczności takim się zawsze charakter jego okazywał. Jeżeli chwilowo wydał się czułym na dowody przyjaźni i uśmiech łaskawych losów, za to przez całe dnie i tygodnie przechowywał w sercu urazę z powodu jakiejś niezręczności obojętnego mu człowieka, lub drobiazgowych przeciwności życia powszedniego. Co dziwniejsza! Prawdziwa boleść nietyle go dręczyła, ile błaha i małoznaczna. Zdawało się, że nie posiadał dość siły, aby ją zrozumieć, a następnie odczuć. Głębokość tedy jego wzruszeń nie była w stosunku do ich przyczyn. Co się tyczy opłakanego stanu jego zdrowia, przyjmował go heroicznie i z rezygnacyą w tem, co istotnie stanowiło niebezpieczeństwo, trapiąc się niepotrzebnie nic nieznaczącemi słabościami. Taka to historya, takie przeznaczenie wszystkich istot, u których system nerwowy rozwinął się aż do zbytku«. W ka-

żdym razie w bezpośrednim stosunku do samej p. Sand, której był wdzięczny za okazywaną sobie troskliwość, umiał Chopin tę swoją drażliwość trzymać na wodzy, na co jednak nie silił się wcale, gdy chodziło o jej najbliższe otoczenie.

Wszystko to zaczęło ujawniać się już w ciągu tej pierwszej zimy z roku 1839 na 1840, w mniejszym stopniu, gdy zdrowie Chopinowi dopisywało jako tako, w większym zaś, gdy to zdrowie wiele pozostawiało do życzenia. A zdrowie jego, niestety, w ciągu tej zimy, popsuło się bardzo szybko. Przedewszystkiem nowe mieszkanie, mało słoneczne, okazało się zimnem i wilgotnem, co już było wystarczającym powodem, żeby w nim Chopin czuł się niedobrze. Cóż dopiero, gdy się zaziębił, gdy znów zaczął kaszlać w sposób zatrważający, gdy zaczął wyglądać coraz gorzej! Źle się czując u siebie, jak mógł, tak uciekał z domu, wszystek czas, wolny od lekcyi, spędzając na rue Pigalle u p. Sand, co jej czasami sprawiało niemałą subiekcyę i ambaras. Że tak było istotnie, dowodzą pamiętniki pani Sand, w których o tem pisze bez ogródki: »Chopin sprowadził się na rue Tronchet, lecz mieszkanie jego było zimne i wilgotne. Począł znowu silnie kaszlać, a mnie nic nie pozostawało, jak jedno z dwojga: albo przestać pielęgnować chorego, albo marnować czas na chodzenie do niego i wracanie do siebie. By mi tych trudów oszczędzić, przychodził Chopin do mnie codzień z twarzą zbiedzoną i zapewniał mię głosem przygasłym, że się ma przewybornie. Zapraszał się do nas na obiad, a wieczorem, wracając fiakrem do siebie, cierpiał dreszcze febryczne«. Wszystko to wprowadzało pewien nieład w usystematyzowane życie p. Sand, co ją niecierpliwiło chwilami, a chwilami doprowadzało do rozpaczy. Bądź co bądź nie dało się zaprzeczyć, że już teraz bywała znudzona i znużona tym stosunkiem, że żałowała niekiedy, iż się dała uwikłać w tę męczącą przyjaźń. Z drugiej strony jednak musiała przyznać jednocześnie, że ze wszystkich przyjaciół, jakich miała dotychczas, Chopin był najdelikatniejszym, najsubtelniejszym, najpoetyczniejszym, a może i najbardziej przywiązanym do niej. Dlatego, choć się buntowała chwilami, choć niekiedy przyznawała w głębi duszy, że obowiązki, które wzięła na siebie, wiążąc się z Chopinem, były zbyt ciężkie, to jednak była i jakaś słodycz w tych więzach, coś, co jej czasami przynosiło ukojenie, co ją jakąś magnetyczną siłą coraz bardziej przywiązywało do Chopina. Tą magnetyczną siłą był jego geniusz, który zawsze fascynująco działa na kobiety. Ona zaś, choć »najgenialniejsza z kobiet«, przedewszystkiem była kobietą w każdym calu. Stąd można-by wysnuć wniosek, będący jakby kluczem do rozwiązania tej psychologicznej zagadki, że, jak Chopina przykuwała do pani Sand jej kobiecość — *das Ewig-Weibliche zieht uns hinan* — tak panią Sand przykuwał do Chopina jego geniusz.

W takich warunkach zastała Chopina w tym roku Wielkanoc. Że



naogół nie czuł się najlepiej, że był przygnębiony i zniechęcony, tego pozwalał się domyślać jego krótki liścik do Fontany, pisany do Bordeaux, dokąd Fontana, nie mogąc wyżyć w Paryżu, przeniósł się niedawno, w pogoni za łatwiejszym zarobkiem. Liścik Chopina, pisany na papierze pani Sand, a datowany dnia 23 kwietnia 1840 r., między innemi wiadomościami zawierał i następujące: »Troupenas kupił moje siedem kompozycyi i z Wesslem interesa prowadzić prosto będzie, więc ty się nie troszcz. Cóż robisz? Jak ci idzie? Ja kaszlę, nic nie robię. Liszt przyjechał, jedzie do Londynu. Święcone było w klubie [1]). Wodziński zawsze brudny na ciele, a czysty na duszy. Kocham Cię, ale wiesz, że pisać nie umiem. Pisz, jeśli masz czas. Mam nadzieję, że Ci dobrze«.

Przez tych »7 kompozycyi«, sprzedanych Troupenasowi, należy rozumieć: 1) *Sonatę B-moll* Op. 35, 2) *Impromptu Fis-moll* Op. 36, 3) *Deux Nocturnes G-moll* i *G-dur* Op. 37, 4) *Balladę F-dur* Op. 38, dedykowaną Robertowi Schumanowi, 5) *Scherzo Cis- moll* Op. 39, przypisane Adolfowi Gutmanowi, 6) *Deux Polonaises A-dur* i *C-moll* Op. 40, z dedykacyą dla Juliana Fontany, i 7) *Quatre Mazurkas Cis-moll, E-moll, H-dur* i *As-dur* Op. 41, ofiarowane Stefanowi Witwickiemu. Wszystkie te kompozycye, napisane przez ostatnie dwa lata, w Paryżu, na Majorce i w Nohant, wyszły w ciągu 1840 roku, trzy pierwsze w maju, reszta we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu. Pierwszym wydawcą, któremu Chopin zaraz po powrocie zaproponował wydanie tych utworów, był, jak zwykle Maurycy Schlesinger. Ale układy rozbiły się o cenę, albowiem Chopin zażądał podwyższenia dotychczasowej stopy honoraryów, na co Schlesinger, pomimo całej przyjaźni, jaką miał dla artysty, w żaden sposób zgodzić się nie chciał. Stąd chwilowe oziębienie stosunków ze Schlesingerem, a przynajmniej zerwanie stosunków handlowych, a nawiązanie stosunku z Troupenasem, t. j. z jego spólnikiem, Massetem [2]), który jednak nie okazał się wiele hojniejszym od Schlesingera, skoro miał tupet ofiarować Chopinowi za *Sonatę B-moll* 200 fr.! Oczywiście, że Chopin nie zgodził się na tę sumę, a kiedy bezpośrednio potem siadł do powozu, w którym nań czekał tymczasem Edward Wolff, rzekł do niego zirytowany: »Świnia, za moją *Sonatę* zaproponował mi 200 franków!« Ale »świnia« okazała się skłonną do ustępstw, zgodziła się na 300 fr. od każdego opusu, tak, że koniec końców sprzedał Chopin wszystkie »7 kompozycyi« na Francyę i Anglię, firmie Troupenas et Comp. za 2100 franków, podczas gdy na Niemcy nabyła je lipska firma Breitkopfa i Härtla. Oprócz pomienionych »7 kompo-

[1]) W klubie polskim.

[2]) Wspólnikami paryskiej firmy wydawniczej Troupenas et Comp. byli Troupenas i Masset. Ale chory na płuca Troupenas przebywał stale w Hyères, a cały interes prowadził Masset.

zycyi« wyszedł jeszcze w lipcu 1840 roku, nakładem paryskiego nakładcy, Paciniego, *Walc As-dur* Op. 42, pierwotnie zamieszczony w »Albumie« schlesingerowskiej *Gazette musicale*. Mimo to nie dał go Chopin »żydowi« Schlesingerowi, ale Paciniemu.

Krótka wzmianka w liście Chopina do Fontany, że »Liszt przyjechał i jedzie do Londynu«, dowodziła, że twórca *Rapsodyi węgierskich* za swej bytności teraz w kwietnia 1840 roku w Paryżu widywał się z Chopinem, bywał u niego, przyjmował go u siebie, spotykał się z nim u wspólnych znajomych i przyjaciół, do których w pierwszym rzędzie należała p. Sand, słowem, że wciąż byli z sobą jaknajlepiej, jak przystało na »dwóch dioskurów«. Że jednak w 1840 roku Liszt przyjechał do Paryża, jak zwykle, w towarzystwie swej złotowłosej Beatrix, która tymczasem unikała zbyt częstych spotykań się z p. Sand, więc i on musiał być z nią *en delicatesse*, co oczywiście musiało go krępować również i w stosunku do Chopina. Wprawdzie i p. Sand i hrabina d'Agoult oficyalnie zachowywały pozory przyjaźni, ale były to tylko pozory ze względu na opinię ludzką. Naprawdę stosunki były zerwane, bo hrabina d'Agoult stała się wprost »antypatyczną« dla p. Sand [1]), z czego Liszt doskonale sobie zdawał sprawę. Mimo to nie przestał bywać u Chopina, a raz, wiedząc, że go niema w domu, złożył mu wizytę w towarzystwie jakiejś płochej damy, z którą w tak bezceremonialny sposób skorzystał z jego nieobecności, że Chopin, powróciwszy do domu, osłupiał na widok nieładu w swej sypialni. Gdy się dowiedział, że to Liszt tak sobie przyswoił prawa do jego alkowy, zapłonął oburzeniem, co oczywiście musiało się odbić i na ich późniejszej »przyjaźni«. Co pewna, że Chopin nigdy nie zapomniał tego Lisztowi, a gdy Liszt to odczuł niebawem, przyczem — przez osobę trzecią — prosił Chopina, żeby ten jego łobuzowski postępek zechciał wymazać w swej pamięci, Chopin — przez tęż osobę trzecią — oświadczył, że nie zapomniał o niczem, a zresztą nie pragnie żadnej zmiany w swoim stosunku do Liszta, gdyż ten stosuek, jaki ich łączy obecnie, jego zadawalnia całkowicie. Tym sposobem, od 1840 roku począwszy, oziębił się stosunek Chopina do Liszta, a oziębił się tak dalece, że choć nigdy nie był bardzo serdecznym, to teraz stał się ceremonialnie chłodnym i sztywnym. Z »przyjaźnią« był koniec! A tak samo miało się z poufałością, o ile chodziło o poufałość ze strony Liszta w stosunku do Chopina. Bo gdy chodziło o to, żeby kogoś utrzymać w stosownem oddaleniu od siebie, to nikt w tych

[1]) Lamennais w jednym ze swych listów tak pisze o tych nieporozumieniach między paniami Sand i d'Agoult: »Je n'entends plus parler de la Carlotta (M-me Marliani), ni de George Sand, ni de M-me d'Agoult. Seulement je sais qu'il y a bien de brouilleries entre elles. Elles s'aiment comme ces deux diables de Lesage, l'un desquels dit: On nous reconcilia, nous nous embrassâmes; depuis ce temps-la nous sommes ennemis mortels«.



rzeczach nie był takim mistrzem, jak Chopin, a nikt tego nie doświadczył na sobie lepiej od Liszta!

Że jednak starano się o zachowanie pozorów, dowodził fakt, że dnia 29 kwietnia 1840 roku, gdy w Théâtre français wystawiono dramat pani Sand p. t. *Cosima*, nazwany tak na intencyę drugiej córki Liszta i hrabiny d'Agoult (dzisiejszej pani Cosimy Wagner), Liszt i jego Beatrix byli obecni na tem pamiętnem a jedynem przedstawieniu, po którem sztuka padła z kretesem. Jak dalece Chopin był wciągnięty we wszystkie preliminarze, poprzedzające tę reprezentacyę, świadczy jego krótki a dowcipny liścik do kasztelana Ludwika Platera, któremu z polecenia p. Sand posłał bilet na ten spektakl, przyczem uprzedzał go, że za sąsiada będzie miał doktora Clot, przybocznego lekarza Mehemeta Ali.

Liścik ten, okraszony konceptem, a pisany na papierze pani Sand z inicyałami G. S. brzmiał, jak następuje:

Pani Sand każe mi przesłać Panu stalę na pierwszą reprezentacyę jej dramatu. Przepraszam, że późno. Ilem widział na regestrze, sąsiadem pańskim będzie Clot-bey.

*Fryc-bey.*

Przedstawienie to, o którem Heine napisał osobną korespondencyę do *Augsburger Zeitung*, odbyło się dnia 29 kwietnia 1840 roku.

Rozgoryczona poniesioną klęską, pani Sand nietylko zrezygnowała z wystawienia swej świeżo napisanej komedyi, ale nadto, zachorowawszy na oszczędność, zrezygnowała z wyjazdu do Nohant, zdecydowana całe lato spędzić w Paryżu, gdzie przy znacznie tańszym pobycie miała więcej swobody do pracy. A przytem, zostając w Paryżu, nie potrzebowała się rozłączać z Piotrem Leroux, którego nie mogła zaprosić do Nohant, skoro tam mieszkał-by u niej Chopin. Tej sytuacyi wolała oszczędzić i jednemu i drugiemu i dlatego zdecydowała się nie wyjeżdżać z Paryża. W Nohant miała za dużo gości, musiała myśleć o nich więcej, niż o sobie, nie mówiąc już o tem, że ją takie lato kosztowało sumy bajońskie, kiedy w Paryżu nie potrzebowała robić żadnych nadzwyczajnych wydatków. Gdy ten zamiar jej, ażeby letnie upały spędzić na rue Pigalle, zdziwił Hipolita Châtiron, p. Sand tak mu odpisała w tej kwestyi: »Jeżeli mi zagwarantujesz, że opędzę lato w Nohant czterema tysiącami franków, to pojadę. Ale nie byłam tam jeszcze ani razu, żeby nie być zmuszoną do wydawania tysiąca pięciuset franków miesięcznie, podczas gdy tutaj nie wydaję nawet połowy; nie jest to więc, jak przypuszczasz ani zamiłowanie do pracy, ani skłonność do wyrzucania pieniędzy, ani tembardziej żądza sławy, która mię zniewala do pozostania tutaj. Nie wiem, czy byłam okradaną; ale w każdym razie, przy mojem usposobieniu niedbałem, nie mam środka zapobieżenia temu, prowadząc dom tak wielki i na tak szeroką skalę, jak to ja czynić zmuszona jestem w Nohant. Tutaj mogę widzieć wszystko, jak na dłoni; tutaj

wszystko dzieje się w moich oczach, tak, jak mi jest na rękę i jak sobie życzę. W Nohant, między nami mówiąc, wiesz dobrze, że często, nim zdążę wstać z łóżka, już mam dwanaście osób zainstalowanych w mym domu. Cóż mogę zrobić wtedy? Gdy będę oszczędną, posądzą mię o sknerstwo, gdy puszczę rzeczy swoim biegiem, nie związę końca z końcem. Zastanów się, czy znajdziesz na to jaki sposób. W Paryżu ma się cudowną niezależność, zaprasza się, kogo się chce, a gdy się niema ochoty na gości, każe się powiedzieć przez portyera, że się wyszło. Mimo to nienawidzę Paryża pod wszystkimi względami: tyję tu na ciele, a chudnę na duszy. Nie rozumiem ciebie, który wiesz, jak tu żyję spokojnie i na uboczu, jak nawet możesz przypuszczać, że tu mieszkam dla s ł a w y. Nigdym nie szukała sławy i nie troszczę się o nią tyle, co o papierosa. Chciałabym poprostu żyć na swobodzie i w spokoju. Powoli dochodzę do tego, ale ty widzisz i wiesz najlepiej, za jaką cenę«. Ale pozatem p. Sand była zadowolona z pobytu w Paryżu; syn pracował »jak murzyn« pod kierunkiem Eugeniusza Delacroix, jako najlepszy uczeń w jego szkole, rokując nadzieje, że ma wszelkie dane po temu, by zostać wielkim malarzem. A córka? Z tą miała p. Sand trochę kłopotu. Solange bowiem, o ile była śliczną dziewczynką, a przytem ogromną kokietką, ciągle siedzącą przed lustrem [1]), o tyle się nie garnęła do nauki. Za to miewała chwile »wściekłości«, w których była nieznośną. Jej nauczycielka, panna Suez, oraz jej nauczycielka muzyki, panna de Rozières, przyjaciółka i uczennica Chopina, nie mogły z nią sobie dać rady, tak, że p. Sand zdecydowała się oddać ją z nastaniem jesieni na pensyę. Swoją drogą wszyscy lubili ją bardzo, a ze wszystkich najbardziej lubił ją Chopin.

Za przykładem p. Sand i Chopin nigdzie nie wyjechał na lato, co bezwarunkowo nie było pożądanem ze względu na jego zdrowie. Jemu z pewnością dobrze-by zrobił letni pobyt na świeżem powietrzu w Nohant, a nie wśród rozpalonych murów i bruków paryskich. Wprawdzie miał przyjaciół pod Paryżem, takich, jak margrabia de Custine i inni, którzy go raz po raz zapraszali do swych letnich siedzib, ale to było mało.

Tymczasem sama p. Sand, w połowie sierpnia wydaliła się na kilkanaście dni z Paryża, towarzysząc p. Viardot-Garcia, która pojechała dać koncert w Cambrai. Przybywszy na miejsce, pani Sand zaraz pierwszego wieczoru napisała list do Chopina, jedyny list, jaki się zachował z jej całej korespondencyi z Fryderykiem. List ten, datowany z Cambrai dnia 13 sierpnia 1840 roku, a ciekawy przez to, że daje niejakie wyobrażenie o macierzyńskim tonie, w jakim pani Sand pisywała do Chopina, brzmiał w całości, jak następuje:

[1]) W liście z dnia 27 lutego 1840 roku pisze o niej pani Sand do brata: »Solange prend force leçons et perd beaucoup de temps à sa toilette. Elle tombe dans une coquetterie dont je te prierai de te moquer, quand tu la verras, pour la corriger«.



Cher enfant!

Je suis arrivée à midi bien fatiguée; car il y a quarante-cinq lieues et non trente-cinq de Paris jusqu'ici. Nous vous raconterons de belles choses des *bourgeois* de Cambrai. Il sont *beaux,* ils sont bêtes, ils sont épiciers; c'est le sublime du genre. Si la *Marche historique* ne nous console pas, nous sommes capables de mourir d'ennui des politesses qu'on nous fait. Nous sommes logés comme des princes; mais quels hôtes, quelles conversations, quels diners! nous en rions quand nous sommes ensemble; mais, quand nous sommes devant l'ennemi, quelle piteuse figure nous faisons! je ne désire plus vous voir arriver; mais j'aspire à m'en aller bien vite, et je commence à comprendre pourquoi vous ne voulez pas donner de concerts. Il serait possible que Pauline Viardot ne chantât pas après-demain, *faute d'une salle.* Nous repartirions peut-être un jour plus tôt. Je voudrais être déjà loin des Cambrésiens et des Cambrésiennes. Bonsoir. Je vais me coucher, je tombe de fatigue. Aimez votre vieille comme elle vous aime. *G. S.*

Stanowczo nie jest to list kochanki-wampira do ukochanego, ale raczej list matki do syna, do »ukochanego dziecka«, do kogoś, kogo się traktuje, jak miłego znajomego, z kim się jest zaprzyjaźnionym, ale też i nic więcej. Listy, które p. Sand pisywała do szczęśliwych poprzedników Chopina, odznaczały się całkiem odmiennym tonem i nastrojem. Ale bo też były to listy do kochanków, z którymi autorka *Lelii* nie żyła »comme une vierge«. Tymczasem ten list do Chopina, bardzo spokojny od początku do końca, pogodny i okraszony paroma dowcipami, jest typowym listem starej przyjaciółki do młodego przyjaciela, którego się traktuje trochę, jak dziecko, którego się kocha, jak dziecko, i od którego się wymaga przywiązania nie innego, jak od dziecka.

Tymczasem Chopin, jak zwykle w lecie, próbował komponować, ale widocznie że tego lata nie miał potrzebnego spokoju do pracy, bo nie można wskazać ani jednej kompozycyi, której powstanie dałoby się odnieść do tych wakacyi. Nie ruszając się z Paryża, prowadził życie światowe, uczestniczył we wszystkich rozrywkach, które p. Sand obmyślała dla swych dzieci, słowem, na nic nie miał czasu, choć w gruncie rzeczy, »nic nie robił«. Spragniony świeżego powietrza, prawie codzień jeździł do Lasku Bulońskiego, lub używał przechadzki po Polach Elizejskich. Któregoś dnia, gdy tam był w towarzystwie Solange i p. de Bonnechose, jej guwernantki, ważyli się wszyscy, przyczem okazało się, że on ważył tylko o 13 funtów więcej, aniżeli 12-letnia Solange, która ważyła 84 funty. Chopin zaś, choć wtedy mężczyzna 30-letni, ważył wszystkiego 97 futów! I jak tu się dziwić, że go p. Sand traktowała, jak chore rozpieszczone dziecko!

Na wrzesień posłała p. Sand syna swego do Guillery, żeby tam spędził miesiąc przy ojcu, sama zaś, wnosząc z jej listów do Maurycego, choć pozostała w Paryżu, to jednak prowadziła takie same życie, jak w Nohant: ciągle miała pełno gości, którzy, porozmieszczani w pawilonach na rue Pigalle, z pewnością przyczyniali jej niemało kłopotów. Oto parę wyjątków z jej listów do syna, pisanych w ciągu września 1840 r., a dających

należyte wyobrażenie o życiu, jakie w tym czasie prowadziła pani Sand, a temsamem i Chopin. »Boucoiran przyjechał onegdaj, a Rollinat wczoraj, obaj strapieni bardzo, że ciebie nie zastali w Paryżu. Rollinat mieszka u nas. Wczoraj raz jeszcze byliśmy w pałacu sztuk pięknych, żeby się przypatrzeć dziełom Michała Anioła. Mieliśmy tu wielkie popisy wojskowe. Cały Paryż był zemocyonowany, tak zupełnie, jakby chodziło o rewolucyę. Tymczasem nie było nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem kilku przechodniów, poturbowanych przez policyantów. Nie brakło takich punktów w Paryżu, gdzie przechadzanie się było połączone z niebezpieczeństwem, ci panowie bowiem, żeby nie wyjść z wprawy, rąbali na prawo i na lewo, gdzie się dało, dla prostej satysfakcyi. Chopin, który niczemu nie chce dać wiary, w końcu miał dowód i pewność tego. Pani Marliani wróciła. Byłam u niej na obiedzie onegdaj z księdzem Lamennais. Wczoraj jadł z nami obiad Leroux. Chopin ściska cię po tysiąc razy; jest on zawsze *qui qui qui, mè mè mè.* Rollinat kurzy, jak komin statku parowego. Solange była grzeczna przez dwa lub trzy dni, ale wczoraj miała nowy atak wściekłości. Zdaje mi się, że będę musiała oddać ją na pensyę, o ile nadal nie będzie się chciała uczyć. Rujnuję się dla niej na nauczycieli, którzy nie przydają się na nic. Codzień chodzimy do manežu, Solange, ja i Calamatta, który już jest z powrotem. Konna jazda stała się moją namiętnością. Balzac był u nas pozawczoraj na obiad. Jest to skończony waryat na punkcie swych róż błękitnych. Byliśmy w teatrze na *Meduzie,* o której tyle nam opowiadał Delacroix; piękny to istotnie melodramat. Noce spędzam na pisaniu mej *Tour de France,* która już ma się ku końcowi«.

W ten sposób upłynęło Chopinowi lato i jesień 1840 roku.

## II.

W połowie października przyjechał do Paryża twórca *Pana Tadeusza.* Przybywał z Lozanny powołany przez rząd francuski na profesora literatur słowiańskich w paryskiem *Collège de France.* Zamieszkał przy rue d'Amsterdam, gdzie też niebawem przez jego skromne mieszkanko zaczęło się przewijać sporo przyjaciół-rodaków. Nie brakło między nimi i Chopina, który jako gorący wielbiciel Mickiewicza, nietylko jako genialnego poety, ale i jako zacnego człowieka, jak mógł, tak mu na każdym kroku starał się okazać swoje uwielbienie dla niego. To też gdy dnia 24 grudnia, w Klubie polskim, miała się odbyć składkowa wieczerza wigilijna, głównie ku uczczeniu Mickiewicza, a później, dla najbliższych przyjaciół poety, proszony wieczór u Eustachego Januszkiewicza, Chopin obiecał swą bytność, choć niezdrów (tak dalece, że dzień 15 grudnia, dzień pogrzebu Napoleona, przesiedział w domu, nieciekawy tego widowiska). »We czwartek — pisał Januszkiewicz w swym dzienniku pod datą 19 grudnia — mamy kucyę



w Klubie, a później będzie u mnie herbata, na którą zaproszę Adama, jako w dzień jego imienin. Mają być: Chopin, Kątski, Szczepanowski z gitarą [1]), będzie i septuor wokalny. Górecki zapowiedział, że z jakimś wierszem wystąpi [2])«. Stało się niezupełnie tak, jak to początkowo projektował Januszkiewicz, albowiem po wilii w Klubie, do której zasiadło przeszło 60 osób, a podczas której pięknie przemawiał Julian Ursyn Niemcewicz, część uczestników »dużą bandą« przeszła na wieczór do Mickiewicza, wieczór zaś, zapowiedziany przez Januszkiewicza, odbył się nazajutrz dopiero, dnia 25 grudnia. Chopin, choć przyrzekł swój współudział, choć nawet wyraził gotowość grania na fortepianie, który też dlań przygotowano umyślnie, w ostatniej chwili, prawdopodobnie wskutek złego stanu zdrowia, musiał uczynić zawód Januszkiewiczowi, czego z pewnością później sam najbardziej żałował, albowiem na uczcie tej — jak to zaraz nazajutrz doszło do jego wiadomości — zaszedł fakt, który poruszył całą emigracyę. Mianowicie w czasie wieczerzy przyszło do improwizacyi Słowackiego i Mickiewicza, z których ten ostatni, w przystępie wyjątkowego natchnienia, nietylko porwał i zachwycił całe zgromadzenie, ale je poprostu wprawił w rodzaj ekstazy, w jakiś stan ekstatycznego oszołomienia, któremu ulegli nietylko wszyscy obecni, ale i ci także, którym o tem opowiadano nazajutrz.

Ponieważ wielu z przyjaciół Chopina, a w ich liczbie Grzymała, byli na tej uczcie u Januszkiewicza, więc wieść o niej, o wszystkiem, co tam

---

[1]) Wśród muzyków polskich, osiadłych w Paryżu, a tem samem raz po raz spotykających się z Chopinem w towarzystwach polskich, bardzo wybitne stanowisko zajmował słynny gitarzysta, Stanisław Szczepanowski, budzący podziw w świecie artystycznym paryskim, jako niezrównany mistrz na swym niewdzięcznym instrumencie. Chopin, choć nie skory do zachwytów, miał najwyższe uznanie dla Szczepanowskiego. Jakie wrażenie robiła gra jego, gra, której tony miały szczególnie rozmarzający wpływ na Mickiewicza, o tem niejakie pojęcie daje obszerny artykuł o Szczepanowskim, wydrukowany w 1844 r. w *Dzienniku Narodowym:* Szczepanowski — powiedziano tam między innemi — dźwignął gitarę z upokorzenia do cześci, której i fortepian Chopina pozazdrościć może. Gitara w ręku Szczepanowskiego stanęła swem bogactwem w pośrodku między fortepianem i skrzypcami, ale przed Szczepanowskim nie śpiewała tak przeciągle. On ją nauczył melodyi, i stąd zdumienie słuchającej go publiczności. Wszystkie tryby Thalberga w użyciu arpedziów, Chopina i Döhlera w zajęciu do śpiewów basów i świergotaniu udatnem nut wyższych, nawet mistyka Liszta, wszystko to dobrze znajome Szczepanowskiemu, który, zsumowawszy wszystko, co przed nim powiedziano na gitarze, potęgą własnych zdolności rozsunął jej granice i utworzył nową nieledwie szkołę. Słowem, czem Chopin zasłużył się muzyce fortepianowej, to dla gitary zrobił Szczepanowski.

[2]) W liście do narzeczonej tegoż dnia 19 grudnia 1840 roku pisał Januszkiewicz to samo: »We czwartek mamy w Klubie *Kucyę,* a po lekcyi przyjaciele Adama ułożyli zaprosić go do mnie na herbatę. Jest to dzień jego święta. Ma być Chopin, Kątski, do piana, Szczepanowski z gitarą; będzie i septuor wokalny i kwartet wokalny. Jednem słowem tyle muzyki, że chcąc nie chcąc zostanę i ja muzykalnym. Gorecki ma mieć wiersz do Adama; będzie to tedy rodzaj owacyi dla niego po pierwszej lekcyi w Kollegium mianej«.

się działo podczas i po improwizacyi Mickiewicza, szybko doszła i na rue Pigalle; o wrażeniu zaś, jakie te opowieści zrobiły i na Chopinie i na pani Sand, wyraźnie świadczy *Dziennik Piffoela* tej ostatniej, w którym autorka *Consuela* pod nagłówkiem: »Grudzień 1840 r. Paryż, ul. Pigalle Nr 16«, napisała co następuje: »W tych dniach zaszedł wypadek dziwny w naszych czasach. Na jednem ze zgromadzeń emigrantów polskich, jeden z nich, jak mówią, dość mierny i zazdrosny poeta [1]), deklamował swój wiersz, zwrócony do Mickiewicza, w którym, obok oddawanych mu pochwał, użalał się ze szczerem, lecz niewłaściwem rozgoryczeniem na pierwszeństwo tego poety. Był to więc zarazem i hołd i zarzut. Ale ponury Mickiewicz, obojętny na hołd i naganę, powstał i zaimprowizował odpowiedź wierszem, czy raczej mowę, która sprawiła ogromne wrażenie. Nikt nie może dokładnie oddać tego, co zaszło. Każdy z obecnych wspomina o tem rozmaicie; jedni twierdzą, że mówił tylko 5 minut, inni, że godzinę. Jednak jest niewątpliwe, że powiedział rzeczy tak piękne i tak wspaniałe, że wszyscy jakby postradali zmysły. Słychać było tylko krzyki i szlochania; z wieloma osobami zaszły nerwowe przypadłości, wielu nie mogło zasnąć przez całą noc. Hr. Plater, po powrocie do domu, był w takiem dziwnem podnieceniu, że żona obawiała się, czy nie dostał pomieszania zmysłów. Ale w miarę, jak jej opowiadał nie treść improwizacyi Mickiewicza (nikt nie mógł z niej powtórzyć ani słowa), lecz o jej wrażeniu na słuchaczy, hrabina wpadła w ten sam stan, co jej mąż: poczęła płakać, modlić się i mówić od rzeczy. I oto wszyscy są przekonani, że w tym wielkim człowieku kryje się coś nadnaturalnego, że jest natchniony, jak prorok, i ta ich wiara jest tak wielką, że gotowi są chyba uznać go nawet za Boga. Udało mi się dowiedzieć, że improwizował na następujący temat: »Skarżysz się, że nie jesteś wielkim poetą; sameś temu winien; nikt nie może być poetą, jeśli w nim niema miłości i wiary«. Z powodu tej pięknej myśli musiał Mickiewicz mówić cudownie. Sam on nie może sobie przypomnieć ani słowa ze swej improwizacyi, zaś jego przyjaciele mówią, że raczej jest przelękniony, aniżeli zadowolony z wrażenia, jakie na nich sprawił. Przyznaje się też, że w nim zaszło coś tajemniczego, nadspodziewanego, że będąc na początku mowy spokojnym, uczuł się nagle uniesionym wysoko wskutek entuzyazmu. Jeden z przyjaciół, który go widział nazajutrz, zastał go w stanie przygnębienia, jak po silnym ataku. Wobec tego, iż ze wszystkich stron otrzymałam te same zapewnienia, słuchałam o tem, jakby o jakiemś starożytnem wydarzeniu, gdyż dziś nic podobnego się nie zdarza«. I podobnie, jak wśród całej emigracyi, tak i na rue Pigalle przez kilka dni nie mówiono

[1]) Juliusz Słowacki. Ta niepochlebna opinia o nim, to opinia Chopina, Witwickiego, Grzymały, Zaleskiego, Januszkiewicza, Platerów i wogóle całej koteryi, grupującej się koło Mickiewicza, a niechętnej Słowackiemu.



prawie o niczem innem, tylko o tej improwizacyi Mickiewicza, przyczem naturalnie o tym, który wywołał iście wulkaniczny wybuch natchnienia wieszcza *Dziadów*, o Słowackim, wyrażano się z lekceważeniem.

Tymczasem życie szło swoim trybem, a jak przez kilka ostatnich dni grudnia mówiono tylko o Mickiewiczu, jako natchnionym improwizatorze, tak w pierwszych dniach stycznia znowu Mickiewicz, jako niepospolity profesor w *Collège de France*, był na ustach wszystkich, budził powszechne zainteresowanie, i to nietylko w kołach emigracyjnych, ale wogóle wśród inteligencyi francuskiej. Stąd niezwykłe powodzenie tych prelekcyi Mickiewicza, raz dla nowości wykładanego przedmiotu, który był absolutną *terra incognita* dla Francuzów, a powtóre ze względu na sławę genialnego profesora-poety. »Mickiewicz — pisał pod wrażeniem jego prelekcyi H. Lucas — jest jednym z tych umysłów wybranych, których przejście zostawia po sobie w epoce szeroki smug światła, a które posiadają ten przywilej, że ich audytorym składa się z całej Europy. Amfiteatr Mickiewicza staje się punktem zbornym dla najróżniejszych znakomitości. Ampère, po własnym wykładzie, przychodzi jako dobrowolny słuchacz zająć miejsce wśród uczniów i nie szczędzi profesorowi oznak szczerej i nie dwuznacznej admiracyi. Montalambert, Salvandy, Michelet, Sainte-Beuve, George Sand spieszą w imieniu cywilizacyi objąć tę nową sferę myśli, którą uczony Polak odkrywa«.

Pani Sand, która nadzwyczaj regularnie uczęszczała na prelekcye Mickiewicza, bywała na nich bardzo często razem z Chopinem, co oczywiście zwracało uwagę całego audytoryum. Zapisał to Dumesnil w listach do rodziny. Oto np. co donosił pod datą 7 stycznia 1841 roku: »Bywam na tym kursie razem z panią Sand, która słuchała dwóch ostatnich lekcyj; na drugiej stała cały czas, ponieważ się spóźniła. Portrety jej są podobne, lecz niepochlebne, uderza wyrazem spokoju, łagodności i słodyczy. Przychodzi ze sławnym fortepianistą Chopinem i wraca jego powozem«. Że Chopin na te pierwsze prelekcye uczęszczał dość regularnie, dowodzi list Eustachego Januszkiewicza z dnia 20 stycznia 1841 roku do narzeczonej, w którym obok innych znalazła się następująca wiadomość: »Mickiewicz coraz więcej ma słuchaczy, coraz śmielszy i coraz nowe nam pokazuje pejzaże na obszernej dziedzinie słowiańskiej. Wczoraj (a więc 19 stycznia) mówił o języku Słowian, o jego tworzeniu się, o jego przymiotach. Słuchaliśmy go z niewymowną rozkoszą. Pani George Sand siedziała przy nim, a przy niej stał Chopin«. W tydzień później, pod datą dnia 26 stycznia, Dumesnil tak znowu pisał do swoich: »Przyznać trzeba, że Paryż jest dla nauki niezrównanem miastem. Mam tylko Sekwanę do przebycia, aby w towarzystwie Francuzów, Niemców, Rosyan i Polaków uczestniczyć odsłanianiu dawnych dziejów przez genialnego człowieka. Gdy jestem zmęczony pisaniem, podnosząc głowę, zwracam wzrok od Mickiewicza ku p. Sand i od

p. Sand ku Mickiewiczowi«. Pani Sand, która z pewnością regularniej, aniżeli Chopin, słuchała wykładów twórcy *Dziadów* [1]), szczerze zapaliła się do nich, a choć oddawna już — dzięki Chopinowi — żywiła prawdziwy kult dla geniuszu poety, to jednak w tych czasach, pod wrażeniem jego świetnych prelekcyi o literaturach słowiańskich, jeszcze bardziej utwierdziła się w swem uwielbieniu dla niego, jak tego dowodziła jej następująca charakterystyka Mickiewicza, organicznie związana z jego wykładami w *Collège de France.* »Mickiewicz — słowa są p. Sand — jest jedynym wielkim ekstatykiem, jakiego znam. Znałam wielu małych; a co się tyczy Mickiewicza, nie chciałabym twierdzić publicznie, że on, mojem zdaniem, cierpi na tę duchową epilepsyę *(haut mal intelectuel),* która go czyni pokrewnym tylu znakomitym ascetom, jak Jezus Chrystus, święty Jan, Sokrates, Dante i Joanna d'Arc. Nie zrozumiano-by mojej myśli, lub zrozumiano-by ją opacznie, zaś przyjaciele jego słusznie mogli-by być oburzeni. Tych wśród nich, którzy niejasno rozumieją istotę ekstazy, liczne myśli z *Dziadów* zmusiły-by patrzeć na Mickiewicza, jak na obłąkanego; tych zaś, którzy go słyszą, jak jasno i logicznie wykłada swe prelekcye w *Collège de France,* moje dowodzenia zmusiłyby patrzeć nań, jak na szarlatana. Tymczasem Mickiewicz nie jest ani jednym ani drugim. Jest to bardzo wielki człowiek, genialny, pełen entuzyazmu, doskonale nad sobą panujący w życiu zwykłem i rozprawiający ze swego punktu widzenia bardzo wzniośle. Ale jest on skłonny do egzaltacyi, dzięki samej naturze swych wierzeń, potędze swoich cokolwiek dzikich instynktów, poczuciu nieszczęść swej ojczyzny, oraz dzięki niezwykłym porywom swej duszy wysoce poetycznej, która nie zna miary dla swych sił i wznosi się nieraz do granicy rzeczy skończonych i nieskończonych, gdzie zaczyna się ekstaza. Nigdy jeszcze straszliwa tragedya rozgrywająca się wówczas w duszy poety, nie była odtworzona przez żadnego z poetów z taką prawdą i mocą, jak te, które czynią *Konrada* dziełem wiekopomnem. Nikt po przeczytaniu tego dzieła nie może zaprzeczyć, że Mickiewicz jest ekstatyczny«.

Jak dalece p. Sand w tych czasach pozostawała pod urokiem Mickiewicza, dowodził fakt, zapisany przez Witwickiego w liście z dnia 15 stycznia 1841 r. do Bohdana Zaleskiego, że powzięła zamiar napisania do *Revue des deux Mondes* jeszcze jednego studyum o twórcy *Pana Tadeusza.* »Sandowa mówiła mi — pisał Witwicki — że napisze o Adamie drugi artykuł do *Revue* o reszcie poezyi, mianowicie o *Sonetach,* które bardzo się jej podobały«. Że je poznała dzięki Chopinowi, nadmieniać zbyteczna. Nadto postanowiła napisać osobne studyum o prelekcyach Mickiewicza w *Collège de France.*

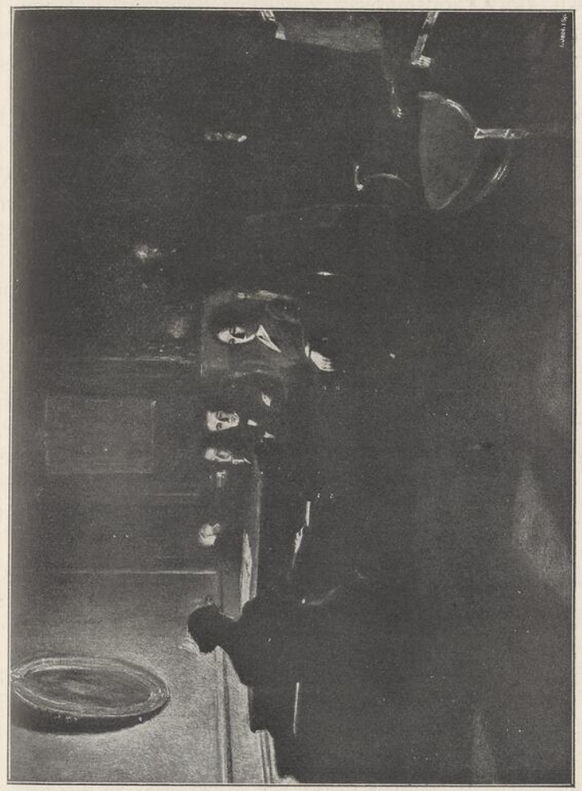
[1]) *Sainte-Beuve* w liście do pani Juste Olivier (ze stycznia 1841) pisze, »że pani Sand akuratnie uczęszcza na te wykłady i w tych dniach dano jej tam oklaski«.



Oczywiście, że gdzie było tyle uwielbienia, i to wzajemnego, tam i Mickiewicz był z najwyższem uznaniem dla talentu i charakteru p. Sand, tam i obopólna przyjaźń, całkiem szczera i bezinteresowna, musiała się zawiązać w końcu, zwłaszcza, że jej gorącym orędownikiem, w stosunku do jednej, jak i do drugiej strony, był Chopin, nie mówiąc już o innych wspólnych przyjaciołach Mickiewicza i p. Sand, jak Witwicki, Grzymała, Delacroix. Jakoż niebawem Mickiewicz zaczął bywać dość częstym gościem na rue Pigalle, a w jaki sposób mu tam czas upływał, o tem znakomicie informuje zapiska pani Sand, z seryi *Impressions et Souvenirs,* opisująca jeden wieczór w jej mieszkaniu przy rue Pigalle, spędzony w towarzystwie Delacroix, Chopina i Mickiewicza. Zaczęło się od tego — opowiada pani Sand — że poszła odwiedzić chorego na gardło Delacroix, który mimo to przez cały czas wizyty gorąco rozprawiał o nowych teoryach malarskich z powodu świeżo wystawionego *Stratonisa* Ingres'a, a w końcu tak się zapalił, że choć nie zdrów, ofiarował się odprowadzić ją do domu. Przez całą drogę, gdy szli ulicą, wciąż z nią rozprawiał na ten sam temat, aż wreszcie na rue Pigalle, przed samemi drzwiami mieszkania, natknęli się na powracającego z miasta Chopina. Ten ostatni, ponieważ nie lubił pomienionego obrazu, zaraz, jeszcze na schodach, wmieszał się do dyskusyi, twierdząc, że osoby w *Stratonisie* są zmanierowane i pozbawione prawdziwych uczuć, ale wykończenie jest godne pochwały. Bo co się tyczy barw, tj. kolorytu, to on — mówił — nie zna się na tem. Zdaniem p. Sand, twierdził to Chopin przez grzeczność, nie przeczuwając wcale, że mimowoli mówił prawdę. W końcu podano obiad. Przy stole Maurycy prosił Dalacroix, żeby mu wyłożył swoją teoryę refleksów. Chopin słucha — ciągnie swe opowiadanie p. Sand — wytrzeszcza oczy ze zdziwienia. Delacroix porównywa formy malarskie i muzyczne, porównywa harmonię, pokrewieństwo tonów muzycznych i modulacyę do refleksów harmonii i barw. Wreszcie rozmowa dochodzi do kwestyi refleksyi refleksów. Chopin kręci się na krześle i woła: »Dajcież mi odetchnąć zanim przejdziecie do wypukłości. Wszak na ten raz dosyć refleksu! To dowcipne, to nowe dla mnie, ale to przecież już niejako alchemia!»Na to odpowiada Delacroix: »Nie, to czysta chemia. Tony można składać i rozkładać«. Lecz Chopin nie słucha już wywodów Delacroix: zasiadł do fortepianu i nie widzi, że go słuchają. Improwizuje jakby wypadkowo. Przestaje. »Dalej, dalej, woła Delacroix, wszak nie skończyłeś! »Wszak jeszcze nie zacząłem. Nic nie wychodzi. Nic... to tylko cienie, zarysy, odblaski, które się nie chcą określić. Szukam kolorytu, a nie mam nawet rysunku«. »Nie znajdziesz tego pan jednego bez drugiego — mówi Delacroix — a znajdzie pan oba razem«. »A jeżeli znajdę tylko światło księżyca?« »Wtedy znajdzie pan refleks refleksu«, wtrąca Maurycy. Myśl ta podoba się boskiemu mistrzowi. Znowu zaczyna grać, jakby nie zaczynając znowu, a rysunek tego, co gra, jest niejasny i nieokreślony. Marzymy

o nocy letniej i czekamy na słowika. Rozlega się pieśń cudna. Mistrz wie, co czyni: śmieje się z tych, co chcą zmusić ludzi i rzeczy, aby mówili przez podobieństwo dźwięków. W tem daje się słyszeć głos dzwonka w przedpokoju. Chopin wzdryga się i przestaje grać. Krzyczę do lokaja, że dla nikogo niema mnie w domu. »Nie — mówi Chopin — dla niego jesteś pani w domu«. »Kto to?« »Mickiewicz«! »O, czyż to koniecznie on? Skąd pan wie, że to właśnie on?« »Niewiem dlaczego, lecz jestem pewny: myślałem o nim«. Był to istotnie Mickiewicz. Przyjaźnie ściska nam wszystkim dłonie i co rychlej siada w kąciku, prosząc Chopina, aby grał dalej. Chopin gra znowu z boskiem natchnieniem. Lecz oto wbiega mały sługa przestraszony: w domu pożar! Biegniemy aby zobaczyć. W rzeczy samej zapaliło się w mojej sypialni, lecz zdążyliśmy ogień ugasić. Staciliśmy na to blizko godzinę i wtedy pytamy: »A gdzież Mickiewicz?« Wołamy go. Nie odpowiada. Powracamy do salonu, lecz go tam niema. Ależ nie, jest tutaj, w tym samym kąciku, gdzieśmy go zostawili. Lampa zgasła, nie zauważył tego. Hałasowaliśmy i krzątaliśmy się o dwa kroki od niego, nic nie słyszał, i nawet sobie nie zadał pytania: czemu zostawiliśmy go samego? Nie spostrzegł nawet, że był sam jeden. Słuchał Chopina... i wciąż go jeszcze słuchał. Innego możnaby posądzić o afektacyę, lecz wielki poeta, z natury skromny i cichy, jest naiwny, jak dziecko. Widząc, że się śmieję, pyta mnie, co mi jest? Odpowiadam, że nic mi nie jest. »Ale gdy jeszcze raz zdarzy się pożar w domu, to pana nasamprzód odprowadzę do bezpiecznego miejsca, bo inaczej pan się gotów spalić, jak zwykła drzazga, nawet się tego nie domyślając«. »Istotnie, mówi Mickiewicz, nawet nic nie spostrzegłem«! I wychodzi, nie rzekłszy ani słowa. Chopin odprowadza Delacroix, który wszedłszy na padół rzeczywistości, rozmawia z nim o jego krawcu angielskim, jak gdyby nie chodziło mu o nic innego, byle mógł mieć bardzo ciepłe ubranie, które w dodatku nie byłoby zbyt ciężkie.

Wszystko to dowodziło, że Mickiewicz ogromnie lubił słuchać natchnionej gry Chopina, że, rozmarzony nią, wprost zapominał o świecie całym, że go ta muzyka wprawiała w niewypowiedziany zachwyt. Jakoż nie ociągał się nigdy, gdy miał okazyę spędzenia wieczoru z Chopinem i panią Sand, co mu przychodziło tem łatwiej, że ani na chwilę nie potrzebował wątpić o ich szczerej sympatyi dla siebie. Istotnie i Chopin i p. Sand byli pełni uwielbienia dla wielkiego poety, czego mu też przy każdej sposobności dawali wymowne dowody. Tymczasem nie domyślali się wcale, że Mickiewicz, o ile był z najwyższym szacunkiem dla p. Sand, o tyle Chopina sądził surowo i nieprzychylnie, z czem się wcale nie taił, nietylko przed rodakami, ale i przed cudzoziemcami. Gdy mu raz np. wypadło przedstawić p. Sand przyjaciółkę swą, panią Juste Olivier, to zanim z nią po-



Wieczór u Chopina.
Chopin improwizujący wobec pani Sand, Heinego, Meyerbeera, Mickiewicza, Adolfa de Custine, Grzymały.
Według tryptyku Ballestieri'ego.

szedł na rue Pigalle, odrazu ją źle usposobił dla Chopina, twierdząc — co ona zapisała zaraz w swym dzienniku — że Chopin jest złym duchem p. Sand, jej moralnym wampirem, jej krzyżem, że on ją dręczy i może zamęczy w końcu. Tak uprzedzona przez Mickiewicza, p. Olivier bardzo krytycznem okiem zaczęła obserwować Chopina, aż w końcu, po obiedzie i wieczorze na rue Pigalle — obszernie opisanych przez nią w dzienniku — doszła do wniosku, który skonstatowała z wielkim naciskiem i stanowczością sądu, że Chopin nie może dać szczęścia pani Sand, albowiem, według Mickiewicza, jest to człowiek rozumny, utalentowany, ale nie serdeczny [1]).

Trudno przypuścić, ażeby i Balzac był tego samego zdania o Chopinie, co wielki poeta polski, choć bywając u pani Sand mniej więcej raz w miesiącu, dość miał okazyi do obserwacyi jej pożycia z Chopinem. Wiadomo zaś, że obserwatorem i psychologiem był nielada! Z tego jednak, co w tej kwestyi pisał w listach do p. Hańskiej, niepodobna wywnioskować, żeby w Chopinie widział »moralnego wampira« słynnej powieściopisarki, dla której on sam tyle miał niekłamanej sympatyi. W listach do pani Hańskiej, mianowicie w liście z 15 marca 1841 r., pisanym bezpośrednio po powrocie od p. Sand, wspominając o Chopinie, nazwał go tylko »i'illustre Polonais«, a choć nie omieszkał napomknąć i o tem, że sławny ten fortepianista od trzech lat był przyjacielem p. Sand, to jednak ani słówkiem nie zaznaczył swej opinii o nim, jako o złym duchu swej znakomitej przyjaciółki. Natomiast mówiąc o niej samej, tak ją opisał na tle jej ówczesnego mieszkania: »W ciągu ostatniego roku p. Sand nie wydalała się z Paryża. Mieszka przy ulicy Pigalle Nr 16, w głębi ogrodu, nad wozowniami i staj-

[1]) Leon Séché, *Sainte-Beuve,* II, 109. Na obiedzie u p. Sand, na który Mickiewicz przyprowadził panią Olivier, był proszony także i drugi przyjaciel od serca Chopina, Stefan Witwicki. Oto wyjątek z jego listu do B. Zaleskiego, z dnia 16 marca 1842 roku: »Egzemplarz *Poezyi* (Zaleskiego) dla Szopena jeszcze nie gotów, dopiero za kilka dni, ale już mu powiedziałem; oddam, jak tylko odbiorę, a ty napiszesz (dedykacyę), jak przyjedziesz. Byliśmy tam w piątek proszeni z Adamem i z p. Olivier na obiad; ja oczywiście nie mogłem obiadu przyjąć, zwłaszcza, że nie chwaląc się, nie jem mięsa od samego początku postu, ale Adam był, czem mnie zmartwił, bo to jest dobrowolnie grzeszyć«. Że w tych czasach, w ciągu lat 1841—1842, Mickiewicz i Witwicki dość często bywali u Chopina i p. Sand, na to znajdują się dowody w listach St. Witwickiego do B. Zaleskiego. W liście np. z 25 stycznia 1841 r. pisze Witwicki: »Tydzień ten był obiadowy. We czwartek byliśmy z Adamem na obiedzie u Strzeleckiego. On codzień gdzieś jest: wczoraj u Micheleta, onegaj u d'Agoult (kochanki Liszta), jutro u Sandowej«. W liście z dnia 6 lutego 1841 r. pisze tenże Witwicki: »Czytam ostatni romans p. Sand. Magazyn głupstw, fałszów i brudów, są jednak i ładne, silne, kwitnące karty, a główna rzecz, że zaczyna szczerze kochać Chrystusa Pana; choć Go jeszcze samaż krzyżuje, mam zawsze nadzieję, że z tej istoty dziwnej będzie chrześcijanka. Onegdaj spędziłem u niej wieczór; od jutra za tydzień mamy być na wieczorze u Viardot-Garcia«. Dnia 21 lutego 1841 r. pisze Witwicki: »Jutro mam obiad w mieście u pani Sand«.



niami, w oficynie domu, który ma front od ulicy. Ma pokój jadalny, w którym meble są z rzeźbionego drzewa dębowego. Buduarek jest koloru kawy mlecznej, w salonie zaś, w którym przyjmuje, pełno kwiatów w pysznych wazonach duńskich. Nigdy też nie brak kwiatów w żardinierce. Meble są z zielonem obiciem. Jest szafka z mnóstwem ciekawostek, są obrazy Delacroix, między innemi i jej portret pędzla Calamatty. Wspaniały fortepian jest z drzewa palisandrowego. Wreszcie jest tu zawsze Chopin. Pani Sand pali tylko papierosy, nic innego. Wstaje dopiero o 4-tej po południu. O 4-tej Chopin kończy dawać lekcye. Wchodzi się do niej po schodach t. zw. młynarskich, prostych i stromych. Sypialnię ma koloru brunatnego; łóżko jest na sposób turecki, dwa materace na ziemi. *Ecco, contesa!* Pozatem ma śliczne, maleńkie, iście dziecinne ręce! Nakoniec, portret kochanka pani Z... (Grzymały) w stroju kasztelana polskiego, aż do kolan, wisi w stołowym pokoju [1]).

Rzecz szczególna. W tym samym czasie, kiedy Balzac tyle miał pani Hańskiej do napisania o p. Sand i jej przyjaźni »od trzech lat« z Chopinem, sam Chopin w swych nader rzadkich listach do rodziny, prawie nic nie pisał o tym stosunku, do tego stopnia, że państwo Chopinowie nie mieli nawet przybliżonego wyobrażenia, jakiego rodzaju była to zażyłość. Wiedzieli od Fryderyka, że gdy był chory, p. Sand z wielką, prawdziwie macierzyńską pieczołowitością czuwała przy nim, ale pozatem nie wiedzieli nic, bo Fryderyk nie uważał za właściwe, ażeby ich wtajemniczyć w istotę swojego związku ze słynną powieściopisarką. Tymczasem do Warszawy dochodziły najsprzeczniejsze wieści o tym już głośnym stosunku, co w końcu pobudziło Mikołaja Chopina, że pisząc dnia 9 stycznia 1841 roku do syna, w możliwie delikatny sposób poruszył tę drażliwą kwestyę. »Drogi mój Fryderyku! Ostatni Twój list przyszedł do nas w wigilię Bożego Narodzenia. Już byłem niespokojny o ciebie, bo nie mogąc przypuścić, ażebyś mógł zapomnieć o 6 grudnia [2]), obawiałem się, czy to czasem nie zdrowie przeszkodziło Ci wziąść się do pióra. List Twój mile mię uspokoił pod tym względem. Bardzo nas cieszy, że jesteś pielęgnowany, jak nam donosisz, ale bylibyśmy też ciekawi wiedzieć cokolwiek o tej zażyłości« [3]). Nawiasem mówiąc, w chwili, gdy Mikołaj Chopin pisał ten list do syna, w Warszawie bawiła pani Anatolowa Nakwaska, która właśnie wybierała się już z powrotem do Paryża. Jako należąca do kółka, w którem Chopin obracał się w Paryżu, mogła ona, zapytywana przez rodziców Fryderyka, wiele opowiedzieć o jego stosunku z p. Sand. Jakoż nie jest wy-

[1]) H. de Balzac *Lettres à l'Etrangère,* I. 552—553.

[2]) O imieninach ojca (na św. Mikołaja).

[3]) »Nous sommes bien aises qu'on te soigne, comme tu nous le marques, mais nous serions aussi curieux de savoir quelque chose de cette intimité«.

kluczone, że Mikołaj Chopin właśnie pod wpływem tego, co słyszał od pani Nakwaskiej, pragnął dowiedzieć się od syna *quelque chose de cette intimité*. Bądź co bądź, pisząc do niego, wspomniał o p. Nakwaskiej, która mu miała »dopowiedzieć szczegóły«, niełatwe do powtórzenia w liście. O niektórych szczegółach napisała mu Ludwika, przypisując się do listu ojca. »Niewiem — pisała między innemi — czy już p. Anatolowa Nakwaska jest w Paryżu. Nie wiem, czy cię ustnie, czy piśmiennie o naszem zdrowiu uspokoi, sądzę jednak, że przybycie jej ten list wyprzedzi. Karnawał się zaczął, ale my jeszcze jakbyśmy o nim nie wiedzieli. A ty, jak go myślisz spędzić w tym roku? Czy spokojnie, czy więcej bywać będziesz? Nie mogłam Ci się dość wydziwić, żeś myślał siedzieć w domu w czasie tych ciekawości paryskich [1]); poniekąd miarkowałam przyczynę [2]), ale jednakże nie zdawało mi się, żebyś w domu wysiedział. Wczoraj cały wieczór byłam z Tobą całą duszą. Przyszli Brzowscy i Stroczyńscy (córka Bendkowskiego) i dzieci; z powodu Trzech Króli ustroili szopę; po tych jasełkach znów s z o p ę innego rodzaju. Mała Jadwisia Brzowska grała nam Ciebie, potem on trochę i chociaż powiedział, że tylko dwóch ludzi gra na świecie: Chopin (Szopę à la Dmuszewski) i Liszt, jednak miło było słuchać choć ten słaby odcień. Lubię tych ludzi, bo Ciebie cenią, a że cenić umieją, muszą mieć serce i duszę. Chwalił mi jedną z Twych śpiewek, przecudną, rzewną, którą słuchiwać lubił. Nie mógł-byś mi kiedy jej przysłać? Kiedy, jakby Ci ochota przyszła, jakbyś o tem pomyślał«.

Tymczasem Chopin myślał o swym koncercie, naznaczonym na dzień 26 kwietnia w sali Pleyela. Jak zwykle w takich razach, było o czem myśleć; należało ułożyć program, zaprosić uczestników, rozesłać bilety znajomym, a co najważniejsza, samemu popracować przedtem, co u Chopina równało się graniu fortepianowych rzeczy Bacha. Podołać temu wszystkiemu, zwłaszcza przy tak rozległych stosunkach towarzyskich, jak te, które miał Chopin, było trudem nialada. Cóż dopiero dla Chopina, przy jego słabem zdrowiu, przy jego wątłych siłach, a przeczulonych nerwach! Całe szczęście, że miał wielu oddanych sobie przyjaciół, którzy mu ogromnie ułatwili całe zadanie, tak, że gdy wreszcie nadszedł dzień koncertu, wszystko było zrobione i załatwione. Na program miały się złożyć same występy solowe: oprócz samego Chopina, który, oprócz *Ballady*, postanowił grać same rzeczy mniejsze, wyłącznie *Preludya, Etiudy, Nokturny* i *Mazurki*, przyrzekli swój współudział Ernst, słynny skrzypek, i ceniona śpiewaczka pani Damoreau-Cinti. Ernst miał odegrać słynną *Elegię* własnej kompozycyi, a p. Damoreau obiecała odśpiewać dwie arye z *La Rose de Peronne* Adama. Liszt, który właśnie bawił w Paryżu — a temsa-

[1]) Uroczysty pogrzeb Napoleona dnia 15 grudnia 1840 r.
[2]) Zły stan zdrowia Chopina.



mem dość często widywał się w tych czasach z Chopinem — miał być na koncercie, jako słuchacz, co niemało musiało ekscytować Chopina [1]).

W takich warunkach, gdy nadszedł wieczór 26 kwietnia, koncert zapowiadał się świetnie. »Salony koncertowe w domu Pleyela — opisuje Liszt — jarzyły się niezwykłym blaskiem oświetlenia, a wciąż zajeżdżające powozy zatrzymywały się przed schodami, wyłożonemi dywanem, udekorowanemi zielenią i kwieciem. Z powozów wysiadały najpiękniejsze kobiety, najelegantsza młodzież, najsławniejsi artyści, najbogatsi finansiści, najwybrańsi z pośród szlachty, słowem elita pierwszorzędna, sama najwyższa arystokracya rodu, majątku, talentu i piękności. Na estradzie stał wielki otwarty fortepian koncertowy. Wszyscy cisnęli się koło niego, bo każdy chciał siedzieć jaknajbliżej. Z góry już ostrzono sobie słuch i natężano całą uwagę, byle tylko nie uronić jednego akordu, jednej nutki, jednego akcentu, jednej myśli tego, który oto za parę minut miał się ukazać na tej estradzie i zająć miejsce przy fortepianie. Jakoż słuszny miano powód do takiego skupienia i nabożeństwa, albowiem ten, którego oczekiwano, dla którego tu zgromadzono się tak licznie, żeby go słuchać, podziwiać i oklaskiwać, nietylko był doskonałym wirtuozem i pianistą, doświadczonym w sztuce muzycznej, nietylko był artystą wielkiego rozgłosu, ale tem wszystkiem razem, i jeszcze czemś więcej, aniżeli to wszystko razem, bo był to Chopin«. Taki istotnie był nastrój w sali, zanim Chopin ukazał się na estradzie; sala zaś, wspaniale oświetlona, a szczelnie aż do ostatniego krzesła zapełniona najwykwintniejszą publicznością, przedstawiała wspaniały widok, zwłaszcza, gdy chodziło o dobór pięknych kobiet i... jeszcze piękniejszych toalet. Był to typowy *concert de fashion*, z tą różnicą, że tu obok arystokracyi rodu, obok członków rodziny królewskiej, obok całej paryskiej *haute volée*, w której Chopin miał tyle uczennic, bardzo licznie

[1]) Na dwa dni przed tym koncertem, dnia 24 kwietnia 1841 roku w dzienniku *La Presse* pojawiła się następująca reklama dla Chopina, niewątpliwie pióra Pelletana, a inspirowana przez p. Sand: »Le monde musical, tout fatigué qu'il soit de concerts, s'occupe d'une réunion qui aura le pouvoir de ranimer les esprits les plus blasés. Il est un artiste à Paris, qui a une place tout à fait particulière: chacun le connait, chacun l'admire, et presque personne ne l'a entendu. Il ne va ni à Londres, ni à St. Petersbourg, ni à Vienne, et la Russie, l'Angleterre et l'Allemagne le citent et l'attendent. Il ne donne jamais de concerts, et sa réputation reste toujours la même, en dépit de son silence. Les talents les plus éclatants l'honorent et le saluent avec respect; sa gloire, cachée au fond du coeur, n'éclipse celle de personne, et domine celle de tout le monde! Il n'est pas le premier, il est à part. Chacun a déjà deviné que c'est de Chopin qu'il s'agit. Oui, Chopin, cédant aux instances de ses admirateurs, c'est à dire de ses amis, car l'admirer, c'est l'aimer, consent enfin à donner une soirée chez Pleyel. Il s'est adjoint, pour remplir la soirée, M-me Damoreau, alliance pleine de goût et de grâce; c'est un charmant bouquet composé de deux fleurs. Nous savons plus d'un artiste qui, ce jour-là, comme pour la représentation de M-elle Mars, apportera son offrande autrement qu'en bravos«.

również stawiła się arystokracya ducha, godnie reprezentowana przez takich potentatów talentu, jak Mickiewicz, p. Sand, Liszt, Heine, Delacroix, Legouvé, Franchomme, Witwicki, Fontana, i wielu innych. Oczywiście, że nie brakło i najświetniejszych reprezentantów emigracyi polskiej, z rodziną Czartoryskich na czele. Wszystko to stwarzało atmosferę, jedyną w swoim rodzaju, która już sama przez się była wysoce interesującą. Cóż dopiero, gdy wśród takiej atmosfery ukazał się na estradzie Chopin, powitany frenetycznymi oklaskami, i gdy wreszcie wśród skupionej ciszy rozbrzmiała niezrównana poezya jego muzyki.

Grał wspaniale. To też, choć pani Damoreau-Cinti okazała się w śpiewie *ravissante de perfection,* choć poetyczny Ernst poprostu płakał na swych czarodziejskich skrzypcach, wszystko to, wobec gry Chopina, zeszło na drugi plan, zasuło się w cień. On był jedynym bohaterem wieczoru, na nim skupiała się uwaga wszystkich, uwaga i entuzyazm. »Z pomiędzy kompozycyi swoich — opowiada o koncercie tym Liszt — wybrał tym razem wyłącznie te, które jaknajbardziej się oddalają od form klasycznych. Nie grał ani *Koncertów,* ani *Sonat,* ani *Fantazyi,* ani żadnych *Waryacyi,* tylko *Preludya, Etiudy, Nokturny* i *Mazurki.* Ponieważ czuł się raczej w kole prywatnem, aniżeli wobec publiczności, więc bezkarnie mógł się dać takim, jakim jest, i wystąpić jako elegijny poeta, głęboki, powściągliwy i marzący. Całkiem nie potrzebował starać się o to, by olśnić i oszołomić: więcej mu zależało na pozyskaniu wzruszającej sympatyi, aniżeli na wywołaniu hałaśliwego entuzyazmu. Jakoż, trzeba to zaznaczyć odrazu, na sympatyi mu nie zbywało; zaraz od pierwszych akordów zawiązał się najściślejszy węzeł pomiędzy nim a słuchaczami. Dwie *Etiudy* i *Balladę* musiał powtarzać, i gdyby nie troska, żeby jeszcze bardziej nie zwiększać wyczerpania, malującego się na bladem obliczu artysty, kto wie, czyby nie żądano *da capo* każdego numeru programu«.

W czasie antraktu, witając się z wielu znajomemi osobami, które miał wśród zgromadzonej publiczności, Liszt, spostrzegłszy Legouvé'go, który miał pisać sprawozdanie z tego koncertu do *Gazette musicale,* zwrócił się z prośbą do niego, by jemu ustąpił zaszczytu pisania o tym koncercie Chopina. Legouvé oczywiście zgodził się odrazu, a pożegnawszy się z Lisztem, zaraz pobiegł do Chopina, by mu zakomunikować tę pomyślną nowinę. Jakże się zdziwił, gdy Chopin, zamiast okazać radość z tego powodu, odrzekł bez namysłu:

— Wolałbym, żebyś pan był tym sprawozdawcą.

— Ależ, drogi przyjacielu, cóż ty sobie myślisz! Artykuł Liszta, toż to szczęśliwe wydarzenie, zarówno dla publiczności, jak i dla ciebie. Na jego podziwie dla twej sztuki śmiało możesz budować. Ręczę ci, *qu'il vous fera un beau royaume!*



— *Oui* — odrzekł z uśmiechem Chopin — *dans son empire!* [1]).

W niespełna tydzień po tym koncercie Chopina, w liście do Bohdana Zaleskiego, datowanym dnia 2 maja, tak pisał Stefan Witwicki: »W przeszły poniedziałek dawał Chopin koncert, który mu najszczęśliwiej się powiódł. Byliśmy z Adamem. Publiczność była najświetniejsza i przyjęła Szopenka jak nie można lepiej, i zostawiając mu podobno sześć tysięcy franków. Deklamujże swoje wiersze gdzie przez trzy kwadranse, bo pewno dłużej nie grał, i niech ci złożą za to 6000 fr.!«

W kilka dni potem, w emigracyjnym *Dzienniku narodowym* Wrotnowskiego, w Nr. 6 z dnia 8 maja 1841 r., w rubryce *Wiadomości i Doniesień,* znalazła się następująca wzmianka:

Ziomek nasz Chopin dał koncert 26 kwietnia. Sławny fortepianista Liszt umieścił o nim artykuł w *Gazecie muzycznej* (2 maja 1841) napisany z wielkiem uczuciem przyjaźni i uwielbienia dla swego współartysty, a nadto z niepospolitym talentem pisarskim. Kładziemy tu mały wyjątek:

»Chopin podobnie jak ten drugi poeta, jego współrodak i przyjaciel, Mickiewicz, z natchnienia muzy narodowej czerpał swoje pieśni i jęk Polski przelewał w jego głosy jakąś tajemniczą poezyą, która dla tych, co je prawdziwie czuli, z niczem porównać się nie może. Jeśli mniej blasku otacza jego imię, jeśli wieniec mniej świetny opasuje jego skronie, nie pochodzi to może stąd, że w nim nie masz równie potężnej myśli, równie głębokiego uczucia, jak w wielkim autorze *Wallenroda* i *Ksiąg pielgrzymstwa,* ale że jego środki wyrażenia się są bardziej ograniczone, jego instrument zbyt niedoskonały: nie mógł on objawić się zupełnie zapomocą fortepianu. Stąd też, jeśli się nie mylimy, pochodzi to jego udręczenie tajemne i ciągłe, ten jakiś wstręt od udzielania się światu, ta melancholia ukryta pod wesołością pozorną, słowem, cała jego indywidualność niepospolita i zniewalająca do najwyższego stopnia«.

Wspomniany artykuł Liszta ukazał się w *Gazette musicale,* w numerze z dnia 2 maja, i rzeczywiście był bardzo entuzyastyczny w tonie, co nie znaczy jednak, by między wierszami nie zawierał rzeczy, które się nie podobały Chopinowi.

Oto najbardziej zasadnicze i charakterystyczne ustępy z tej, odtąd historycznej recenzyi:

Rzadko tylko i w długich odstępach czasu dawał się Chopin słyszeć publicznie. To jednak, co dla kogo innego z pewnością byłoby pewną drogą do całkowitego zapomnienia i do marnej egzystencyi, dla niego przeciwnie, stało się źródłem górującego ponad wszelkimi kaprysami mody uznania i ochroniło go przed wszystkimi objawami współzawodnictwa, niesprawiedliwości i zawiści. Trzymając się zdala od niezmordowanych zabiegów, które wirtuozów całej kuli ziemskiej od lat kilku pchają jednych poprzez drugich i jednych przeciwko drugim, Chopin wciąż pozostawał w otoczeniu swych wiernych zwolenników, swych utalentowanych uczniów i przyjaciół oddanych, którzy, umiejąc go chronić przed wyczer-

[1]) Według innej relacyi miał Chopin, na wiadomość, że Liszt ma pisać o tym jego koncercie, wyrazić się do Legouvégo: »*Il me donnera un petit royaume dans son empire*«.

pującemi walkami, jak i przed niemiłemi starciami, przez cały czas niestrudzenie pracowali nad tem, by jaknajbardziej rozpowszechniać jego dzieła, a temsamem szerzyć kult dla jego imienia, podziw dla jego geniuszu. Zaczem poszło, że ta wybrana, tak dobrze czująca się w wyższych sferach, przeważnie arystokratyczna znakomitość, całkiem była zabezpieczoną przeciwko wszelkim napaściom. Skończyło się na tem, że możliwe głosy krytyczne, odzywające się o niej, już umilkły całkiem, tak zupełnie, jakby już potomność zdołała przyjść do słowa. Stąd na ostatnim koncercie, wśród świetnego zgromadzenia słuchaczy, którzy się zebrali dokoła tego zbyt długo umilkłego poety tonów, nie było ani sprzecznych opinii ani powściągliwości, lecz tylko jednogłośne uwielbienie na ustach wszystkich.

Że w paru ostatnich wierszach tkwiła spora doza ironii, złośliwej w gruncie rzeczy, choć tak uperfumowanej różnemi wersalskimi wonnościami przedziwnych kwiatów retoryki i stylu, to nie mogło ujść baczności tak przenikliwego umysłu, jakim był Chopin. Jakoż wyczuł on doskonale, ile kłujących szpilek było ukrytych pomiędzy temi przepysznemi różami, i wiedział, co myśleć o tym pozornym entuzyazmie swego wielkiego rywala.

Umiał on nowym myślom nadać też i formę całkiem nową. Właściwe ojczyźnie jego dzikość i rozdarcie znalazły swój wyraz w zuchwałych dysonansach i niezwykłych harmoniach, gdy jednocześnie delikatność i wdzięk jego osoby przebijają się w tysiącznych szczegółach, w tysiącznych ozdobach, niesłychanie oryginalnych.

Że pomimo tych komplementów, tak gęsto rozprószonych po całym artykule, Chopin nie był zadowolony z niego, że go nie wziął za dobrą monetę, lecz zrozumiał jego subtelną perfidyę, dowodził fakt, że po tym artykule nastąpiło nowe oziębienie stosunków pomiędzy Chopinem a Lisztem, że Liszt wyjechał z Paryża, a Chopin nie starał się z nim zobaczyć, a tembardziej dziękować mu za jego sprawozdanie, o czem wszystkiem, gdy pisał list do rodziców, rozwiódł się obszernie, nie tając wcale, że ostatecznie zraził się do Liszta, tembardziej, że i jego zachowanie się wobec p. Sand nie zawsze było bez zarzutu. Na list ten Fryderyka tak w kwestyi Liszta odpisał Mikołaj Chopin: »Ciekaw jestem jednej rzeczy: oto czyś widział Liszta po jego artykule i czyście dobrze z sobą, jak dawniej; szkoda by było, gdyby nastąpiło pewne oziębienie w waszej przyjaźni. A propos że mówimy o nim: pytano mnie, czy nie słyszałem o gawędach, że ma tu przyjechać z p. Sand? Mogłem odpowiedzieć to tylko, żeś Ty w liście nic o tem nie pisał. Jeżeli tu przyjedzie, to mam nadzieję, że nas odwiedzi, a ja mu umożliwię przyjemność grania na istrumencie, który tak melodyjnie oddawał Twe natchnienia (szczęśliwy ten czas minął). Izabela bardzo dba o ten instrument i nie oddała-by go za nic na świecie«.

Mniej obfitym w następstwie, aniżeli artykuł Liszta, było w *La France musicale* gruntownie napisane sprawozdanie pióra Escudiera, zamieszczone w numerze z dnia 2 maja, a zawierające nader obszerną i pochlebną charakterystykę Chopina w stosunku do publiczności, która to charakterystyka,



w wielu punktach zgodna z tem, co napisał Liszt, tylko tem różniła się od głośnego artykułu w *Gazette musicale,* że nie zawierała żadnych ukrytych a złośliwych *arrières pensées.*

O Chopinie, jako muzyku, jako kompozytorze, tak pisał Escudier:

Wymieniliśmy Schuberta, albowiem niema drugiej indywidualności artystycznej, która-by w równym stopniu była Chopinowi pokrewną. Co jeden dla ludzkiego głosu, to drugi zdziałał dla fortepianu. Chopin jest kompozytorem z przekonania. Komponuje dla siebie i gra swoje kompozycye dla siebie samego. Chopin jest par *par excellence* fortepianistą uczucia. Można go też nazwać twórcą nowej szkoły gry fortepianowej, zarówno jak i twórcą nowej szkoły kompozycyi. Nieprześcignioną jest lekkość i zalotność jego *Preludyum,* tak, że nic niepodobna przeciwstawić oryginalności, szlachetności i wdziękowi jego utworów. Chopin jest wyjątkiem, jako pianista; i nie można, ani należy porównywać go z kimkolwiek.

Niemniej pochlebnie i zaszczytnie wypadło długie sprawozdanie w *Le Menestrel,* zakończone takiemi uwagami ogólniejszej natury:

Ażeby należycie ocenić Chopina, trzeba samemu mieć duszę przystępną dla subtelnych wrażeń i uczuć poetycznych. Chopina słucha się tak, jak się czyta strofę Lamartine'a. Każdy ze słuchaczów, opuszczając salę koncertową, wychodził z sercem przepełnionem radością wewnętrzną i w głębokiem skupieniu ducha [1]).

Inne czasopisma, jak *Le Temps, Journal des Débats, Le Siècle, Le Courrier français, La Quotidienne,* również zamieściły krótsze lub dłuższe sprawozdania o tym koncercie Chopina, a niemal wszystkie były nastrojone na ton pochlebny [2]).

[1]) Wszystkie trzy wspomniane recenzye, z *Gazette Musicale,* z *La France musicale* i z *Le Menestrel,* znajdą się *in extenso,* we francuskim oryginale w t. II moich *Chopinianów.*

[2]) *Le Temps* z dnia 28 kwietnia 1841 r., a więc we dwa dni po koncercie, w obszernym feljetonie, swego stałego sprawozdawcy muzycznego P. M. poświęconym koncertom Dupreza, Liszta, Batty i Sowińskiego, o Chopinie pisał w tych słowoch: »M. Chopin, pianiste-compositeur, a donné la semaine dernière un concert spécialement destiné aux membres de la haute aristocratie. Il parait que M. Chopin ne fraie qu' avec les personne de qualité. C'était donc comme une fête de famille. Nous nous taisons sur ce concert, parceque, soi-disant, M. Chopin ne veut pas que les gazettes s'occupent de lui. Donc nous ne nous occuperons pas de M. Chopin dans ce journal et tout le monde le trouvera son compte à notre silence, car si M. Chopin est satisfait, le journal et surtout les lecteurs ne le seront pas moins; bien au contraire. Tout cela n'empêche pas que M. Chopin n'ait un talent remarquable et que ses compositions ne soient distinguées. Mais il parait qu'il ne compte pas pousser plus loin sa carrière, et qu'il regarde cette carrière comme terminée. C'est se condamner soi-même que de croire qu'on a réglé tous ses comptes avec la presse, et qu'on n'a plus rien à attendre de la publicité. Les artistes qui agissent ainsi, en France, se résignent à l'obscurité. Dans tous les cas, nous devons croire que ceux qui se retirent de la lice par orgueil ou par impuissance, n'en conservent pas moins la gratitude convenable pour la presse qui les a puissament aidés à acquérir la

Niema dowodu na to, czy Julian Ursyn Niemcewicz był dnia 26 kwietnia na koncercie Chopina w sali Pleyela (choć to jest wielce prawdopodobnem); wiadomo natomiast, że w niespełna miesiąc potem, dn. 21 maja, sędziwy twórca *Śpiewów historycznych* rozstał się z tym światem. Wśród emigracyi, której zmarły był jakby dostojnym patronem, był to fakt

somme de gloire qu'ils emportent dans leur retraite«. W podobnym tonie wypadł ustęp o Chopinie w feljetonie muzycznym w *Journal des Debats,* z dnia 16 maja 1841 roku zatytułowanym *Concert de Liszt au Conservatoire,* ustęp, który brzmiał, jak następuje: »Le concert de Chopin a eu lieu peu de jours après celui de Liszt. Son talent de pianiste est d'une supériorité et d'une originalité incontestables; mais ses productions, par leur caractère naïvement étrange, par la hardiesse des rythmes et des harmonies, par un style mélodique capricieux, fugitif, insaisissable, sont bien plus remarquables encore. Malheureusement il faut joindre à une organisation musicale exquise, developpée d'ailleurs par l'étude, une attention extrême pour saisir au vol cette multitude des pensées délicates et fines dont l'ensemble constitue le style de Chopin, et dont plusieurs doivent nécessairement passer inaperçues dans les grandes sales et devant le grand public. C'est pourquoi, sans doute, l'occasion d'entendre cet admirable virtuose se présente si rarement. Il redoute les assemblées tumultueuses et mélangées; ne se sentant pas appelé à les dominer, à leur tenir tête, le silence et le recueillement d'un auditoire choisi lui sont indispensables. Il a dû être satisfait sous tous les rapports de celui qu'il avait réuni dans le salon de Pleyel; jamais artiste n'a été mieux écouté ni mieux compris. Plusieurs morceaux ont été redemandés, parmis lesquels il faut citer deux études d'une forme toute neuve et d'un style ravissant. M-me Damoreau, qui vient de faire de si brillants adieux au public de l'Opéra Comique, chantait ce soir-là; et Ernst avait consenti à faire entendre son élégie, morceau plein de larmes, qu'il joue toujours avec la plus déchironte expression«. W *Le Siècle* z dnia 28 kwietnia 1841 r. w feljetonie Hipolita Lucasa, znalazł się taki ustęp o koncercie Chopina: »Parmi les concerts remarquables de la fin de la saison, il faut placer ceux de Liszt, de Batta, de Chopin. Cependant sept morceaux de piano executés par M. Liszt tout seul n'avaient rien de rassurant en perspective. Tous ceux qui les out entendus ont été néanmoins fort satisfaits du résultat. Quant à Chopin, on sait le talent de cet artiste, talent consommé, sans feu d'artifice, sans éclair qui foudroie. Son concert, qui a eu lieu hier dans les beaux salons de Pleyel, en présence d'une foule élégante et nombreuse, a été digne de lui«. W piśmie *La Quotidienne* (Moniteur de l'avenir) w Nr. 125 z dnia 5 maja 1841 roku, w *Revue musicale,* omawiającej *Matinées de MM. Sowiński, Szczepanowski, Chopin,* o tym ostatnim pisano w tych słowach: »La Pologne, cette terre chevaleresque et guerrière, nous a fait connaitre aussi sesi llustrations artistiques. Nous avons applaudi dans la salle de M. Herz, M. Sowiński et M. Szczepanowski, habile guitariste; et dans les salons de M. Pleyel, le gracieux talent de M. Chopin«. Niestety, Chopin, zamiast się liczyć z łaskawemi względami prasy, zamiast dbać o jaknajwiększą ilość pochlebnych recenzyi ze swego koncertu, całkiem sobie lekceważył świat dziennikarski, nie dbając o to, czy pewne dzienniki napiszą o nim, czy nie. Było to lekceważenie jeżeli nie karygodne, to lekkomyślne, lekceważenie »szóstego mocarstwa«, którem nawet najwięksi potentaci z pośród wirtuozów i kompozytorów, nawet tacy, jak Liszt, Thalberg, Meyerbeer, nie grzeszyli nigdy, rozumiejąc wartość reklamy, gdy chodziło o rozgłos i powodzenie. Inaczej Chopin. On sobie nic nie robił z dziennikarzy, a gdy dawał koncert, wcale się nie troszczył o to, żeby wszyscy sprawozdawcy muzyczni, a przynajmniej sprawozdawcy z główniejszych dzienników stołecznych, otrzymali zaproszenie w formie gratisowego biletu. Oczywiście, że to musiało irytować różne interesowane oso-



zupełnie wyjątkowej wagi. To też, gdy w dniu 24 maja odbył się z kościoła *Assomption* pogrzeb wielkiego patryoty-poety, niemal cała emigracya stawiła się, jak jeden mąż, na te smutne obrzędy. »Śród bardzo licznego zgromadzenia Polaków i cudzoziemców — pisał kronikarz *Dziennika Narodowego* — po mszy żałobnej udał się orszak zaraz do Montmorency (tam

bistości ze świata dziennikarskiego, cóż dopiero, gdy to byli recenzenci tej miary, co Paul Merruau z *Le Courrier Français,* lub Gustave Héguet z *Le National.* Stąd usprawiedliwiona uraza do Chopina, uraza, której P. Merruau w swym feljetonie muzycznym w *Le Courrier Français* z dnia 10 maja 1841 r. dał dosadny wyraz w następującej cierpkiej inwektywie: »La plupart de ceux qui font le plus de cas du talent de M. Chopin sont réduits à y croire sur parole. Les beautés de l'exécution de ce pianiste sont des beautés tout à fait microscopiques. Pour les comprendre, ou seulement pour les voir, il faut leur prêter les dimensions perceptibles qui leur manquent à une certaine distance. Il faut une très grande attention et beaucoup de perspicacité pour suivre les détours de la verve minutieuse et les nuances lilliputiennes du jeu de M. Chopin. Il est inintelligible à distance et il a bonne raison pour cela, c'est qu'il n'est pas même entendu. Il en résulte que les meilleurs appréciateurs de son talent sont toujours ceux qui sont assis du côté du piano. La réputation et le talent de M. Chopin ne sont accessibles à la foule que par le rapport de ces personnes privilégiées. En supposant que le tatent de M. Chopin ne doive rien aux conseils de la presse, le nom de ce pianiste lui doit toute sa célébrité. Si donc il arrivait que M. Chopin fit profession de dédaigner la presse, non seulement il ferait acte d'ingratitude notoire, mais encore il prouverait qu'il est saisi d'un véritable vertige d'amour propre. Nous ne pouvons croire qu'il en sort ainsi. M. Chopin a toujours montré à ses rares auditeurs un talent trop bien ordonné pour donner une telle preuve de démence. S'il était possible qu'un artiste, placé dans les conditions de talent de M. Chopin, présentât le spectacle d'une vanité si folle, on pourrait lui faire entr'autre raisonnements, ceux-ci, dans le but de ramer cette vanité dans de justes mesures: prenez garde qu'on ne croie qu'il y a dans toutes ces petites précautions que vous prenez pour vous défendre des jugements de la presse en général, beaucoup de dépit de l'éclatant succès que la majorité de ses organes s'est plu à reconnaître au talent supérieur d'un pianiste justement applaudi cet hiver; prenez garde que votre concert donné à vos seuls fidèles, votre concert à huis-clos, ne passe pour une protestation faite en famille contre le triomphe décerné par la foule à un rival plus habile [1]); nous disons la foule et nous entendons par ce mot la réunion des connaisseurs et des ignorants; prenez garde surtout que votre protestation contre la publicité ne paraisse ce qu'elle serait réellement une bravade sans danger. Eh, mon Dieu, tout le monde ne sait-il pas que la critique est devenue indifférente en présence de toutes les médiocrités de cette époque; ne sait-on pas que son indulgence s'étend à tout et à tous; ne sait-on pas que, sûre de sa force, elle se montre toujours généreuse, et pousse la bonté jusqu'à faire, à qui la veut, l'aumône de son silence. Cette bravade inaperçue, bien loin de soulever la bile de la critique, attirerait à peine son attention. Elle ne songera pas à vous et n'y perdra rien; mais si pourtant il lui arrive de s'en occuper, vous n'obtiendrez d'elle que des éloges et des compliments, comme elle en fait toujours. Que lui importe, en vérité, votre petite conspiration! Le soleil sera-t-il obscurci parce qu'il vous plaira de cacher votre talent dans la cave? Mais s'il arrivait que vos piqûres l'irritassent et attirassent ses regards, prenez garde encore et songez que la gloire

[1]) Alluzya do niedawnego koncertu Liszta na pomnik Beethovena.

bowiem życzył sobie Niemcewicz być pochowanym). Pomimo odległości i gorącego dnia wszyscy prawie współemigranci, w Paryżu zamieszkali, jechali lub szli przy trumnie; tych tylko chyba nie było, którym słabość, nieodbite obowiązki, brak zupełny kilkunastu franków na pojazd, albo brak sił na dojście piechotą, przeszkodziły«. Nad grobem przemawiali książę Adam Czartoryski i jenerał Karol Kniaziewicz. Trudno przypuścić, by Chopin, którego z Niemcewiczem od dziecka — od owego koncertu na ubogich w 1818 r. — łączyły tak serdeczne stosunki, nie wziął udziału w jego pogrzebie. Co pewna, że gdy zaraz nazajutrz w *Dzienniku Narodowym* otwarto »składkę narodową na pomnik dla Niemcewicza«, to w liczbie tych, co na ten cel złożyli w redakcyi *Dziennika Narodowego* mniejszą lub większą kwotę, znalazł się niebawem i »Chopin Fryderyk z Paryża« z datkiem 25 franków [1])

Mniej więcej w tym samym czasie wyszło w Paryżu *Album fortepianistów polskich,* do którego Chopin dał jednego *Mazurka.* Z pomiędzy recenzyi, które w różnych pismach pojawiły się o tym albumie, wyróżniał się feljeton w emigracyjnym *Trzecim Maju* [2]), poświęcony w znacznej części Thalbergowi i Kontskiemu, ale przy sposobności doskonale określający pierwszorzędne stanowisko, jakie Chopin zajmował wśród fortepianistów paryskich wogóle, a polskich, zamieszkałych nad Sekwaną, w szczególności. Oto zasadniczy ustęp tego artykułu:

Ale mówiąc o artystach cudzych, pomówmy też i o swoich. Polska jest jedynym krajem w tej chwili posiadającym najwięcej reprezentantów tej nadobnej sztuki w Paryżu. Jakoż łatwe sprawdzenie. Znamy czternastu exekutorów-kompozytorów własnych; gdy Węgry mają tylko Liszta, Prusy — Kalkbrennera, Austrya — Jakóba i Henryka Herza, Irlandya — Osborna, Włochy — Stamatiego, Francya — Prudenta i Bertiniego, Frankfurt — Rosenheina, Polska ma Chopina, Antoniego i Stanisława Kątskich, Sowińskiego, Wolfa,

---

des morts même est sujette à révision. Comme on peut le penser, M. Chopin, auquel ne s'appliquent sans doute aucune de ces observations, avait réuni l'élite d'une société tout à fait aristocratique. Tout s'est passé admirablement, et M. Chopin a obtenu des applaudissements unanimes; mais personne n'en aurait rien su si le hasard ne nous avait portés à faire quelques réflexions générales; car ces réflexions ne pourraient être suscitées par M. Chopin que par suite d'une exagération d'amour-propre dont il doit être incapable«. Sprawozdawca z *Le National,* który od 1834 r. prowadził w feljetonie tego dziennika bardzo szczegółową *Revue musicale,* nader obszernie i sympatycznie rozpisując się o wszystkich koncertach wirtuozów polskich, Kontskich, Szczepanowskiego, Sowińskiego, Chopinowi nigdy nie poświęcił ani słówka, nigdy nie wymienił jego nazwiska. Czemu? Najprawdopodobniej dla powodów, wyłuszczonych w *Courrier Français* (wydawanym przez przyjaciela Chopina). Kto nie posyłał biletów sprawozdawcy, temu widocznie nie zależało na jego sprawozdaniach. A szkoda, bo *Le National* był pismem bardzo poczytnem, a feljetony muzyczne G. Hégueta, należały do najlepszych w tym rodzaju.

[1]) Zobacz *Dziennik Narodowy* z dnia 22 stycznia 1842 r.

[2]) *Trzeci Maj* z dnia 28 maja 1842 r.



Ordę, Klemczyńskiego, Fontanę i kilku młodszych, wsławiać się poczynających. Wyliczeni są sami fortepianiści. Do skrzypiec mamy Karola i Apolinarego Kątskich, Parczewskiego, do gitary Stanisława Szczepanowskiego i t. d. *Album fortepianistów polskich,* publikowane w 1841 r. w Paryżu, można przywieźć na dowód twierdzenia mojego, dowód światu złożony; mieści dzieła Chopina, Ant. Kątskiego, Sowińskiego, Wolfa, Ordy i Klemczynskiego, wyżej wymienionych. Zalety tych utworów dadzą się łatwo ująć. *Mazurek* Chopina jest dumką smętną i tęskniącą, zażywianą niekiedy promieniem pociechy, ale zaraz wracającą do swego stanu tęsknoty, ginącą w przeźroczach bezgranicznych myśli, aż zniknie jak przeźroczyste zjawienie. *Fantazya* Klemczyńskiego na romansie Desdemony w *Otellu,* odzywająca się romansem we wstępie, rozwinięta dalej w stylu poważnym, jest dobrego efektu. Dwa *Polonezy* przez Ordę, wystawiające czasy kontuszowe, staropolską posuwistość i poważne ruchy dziadów naszych; grając je, zdajesz się widzieć ich rubaszne postawy i taniec sławny z całym jego przepychem. Nadto modulacye są ładne, śpiewy miłe, słowem, utwór piękny w osnowie ducha czysto narodowego. *Rozmyślania na brzegach morza,* melodya Sowińskiego, odzywa się uciszona, jak wietrzyk podnoszący się na morzu; śpiew miły wzmaga się w *agitato* z wiatrem szumiącym i silnym; zcisza się wreszcie i pierwsza melodya wraca z wielkim efektem. Zakończa to album *Nocturne* Wolfa. Jest to jedna z pięknych nokturn na fortepian: miła i śpiewna, jak kompozycye Fielda, smutna i uczona jak kompozycye Mendelssohna, pełna przechodów nadzwyczaj śmiałych i niespodzianych, da się śmiało porównać z cudownemi romansami (bez słów) Mendelssohna. Otóż upominek artystowski dla narodu, mogący słusznie wzbijać nas w dumę.

Prawie równocześnie z tym *Albumem pianistów polskich* wyszło w Paryżu, nakładem braci Escudier, inne *Album muzyczne,* złożone z utworów najznakomitszych fortepianistów paryskich. O albumie tym, do którego Chopin dał pięknego *Walca As-dur,* znalazła się krótka wzmianka w poznańskim *Orędowniku naukowym,* w Nr. 29 z 18 lipca 1841 roku.

Nowe *Album muzyczne* będące dziś *en vogue.* Między sześciu wybornemi utworami na fortepian, zawiera kompozycye dwóch Polaków, Chopina i Kontskiego; reszta jest Kalkbrennera, Bertiniego, Wolffa, Osborna.

W chwili, gdy powyższa wzmianka ukazała się w *Orędowniku,* Chopin bawił już od połowy czerwca w Nohant. Z Paryża wyjechał dość nagle, tak, że »jedną nogą tylko w domu mógł być przed wyjazdem«, zaczem poszło, że zarówno on, jak i p. Sand pozapominali mnóstwo rzeczy, które mu dopiero Fontana musiał posyłać na wieś. Fontana, który wogóle był w wielkiej biedzie, przez cały czas, gdy Chopin bawił w Nohant, zajmował jego mieszkanie na rue Tronchet, co dla obu było wielce dogodnem: dla Fontany, że nie potrzebował płacić za mieszkanie, a dla Chopina, że dzięki tej przysłudze, wyświadczonej przyjacielowi, miał większą śmiałość w wyręczaniu się nim, gdy tego raz po raz zachodziła potrzeba. Między innemi sprawami, które zlecił Fontanie i innym przyjaciołom, była kwestya nowego mieszkania. Na rue Tronchet bezwarunkowo nie chciał mieszkać dłużej, zwłaszcza nie chciał tu zostać na zimę. Jakoż wyjeżdżając do Nohant, wyjeżdżał w tej nadziei, że gdy na jesień wróci do Paryża, wróci już do innego mieszkania, którego znalezienie powierzył pieczy swych przyjaciół.

Tymczasem od chwili, gdy z p. Sand i jej synem (bo Solange jeszcze została na pensyi) przybył do Nohant, nie wiele mógł korzystać z rozkoszy wiejskich, gdyż ciągłe słoty i zimna, trwające przez cały miesiąc, zmuszały do siedzenia w pokoju. »Jeżeli u Ciebie grudzień — pisał Chopin do przyjaciela — tutaj nie piękniej; dziś w nocy wiatr drzewa ogromne z korzeniami powyrywał, ale św. Medard, to jest owe 40 dni jutro się kończą, więc nadzieja na pogodę«. Pozbawiony ożywczego wpływu powietrza wiejskiego, czuł się Chopin, z początku przynajmniej, bardzo wyczerpanym i bezsilnym fizycznie. Nie był chory, ale mimo-to ledwo powłóczył nogami. »W istocie — donosił raz o sobie Fontanie — teraz tak łagodny czynię się, jak dziecko w pieluchach, i żeby mię kto na paskach chciał wodzić, bardzo-bym się cieszył, n. b. z bardzo dobrze owatowaną czapką na łepecie, bo-bym się — czuję — co moment potykał i przewracał. Na nieszczęście, zamiast pasków, zapewne mię czekają szczudła czy kule, jeżeli się ku starości dzisiejszym krokiem dostanę«.

W jakiś czas po przybyciu do Nahant, a w równych trzy miesiące od chwili wysłania ostatniego listu do domu, zdobył się Chopin znowu na obszerniejszy list do rodziny, w którym ze wszystkiego mniej więcej, co mu w ciągu tego kwartału przypadło w udziale, zdał sprawę. Naturalnie że i o swym ostatnim koncercie, i o artykule Liszta w *Gazette musicale* rozpisał się obszernie. Niestety, mógł i powinien to był uczynić wcześniej znacznie, zaraz po koncercie, a nie po upływie paru miesięcy, gdyż już jego rodzina o wszystkiem dowiedziała się z gazet. Że to zbyt długo przeciągające się milczenie Fryderyka, nic prócz opieszałości nie mające na swe wytłómaczenie, boleśnie dotknęło jego rodziców, o tem niebawem dowiedział się z odpowiedzi, jaką otrzymał, nie od ojca tym razem, widocznie zagniewanego i urażonego, ale od matki, która mu bez ogródki napisała całkiem zasłużone *verba veritatis*. »Przecie po upłynionych trzech miesiącach — brzmiał początek tego listu z wymówkami — odebraliśmy upragniony list od Ciebie. Dałeś koncert, wiedzieliśmy z gazet, że go dasz i żeś go już dał, tem przykrzej, że nie od Ciebie; niepodobna, abyś przez tak długi czas nie znalazł godziny wolnej, aby Rodzicom donieść o sobie i o nich się dowiedzieć. Zmartwiłeś nas bardzo, a to zapewne mimowolnie. Zapomniałeś o tem, kochane dziecko, że starzy Rodzice tylko Wami żyją i codziennie Boga proszą o zdrowie i błogosławieństwo dla was i nie przestają Mu dziękować za jego dobrodziejstwa na Ciebie zlane. Zdrowie, dobre mienie, sława, jakiej Ty doznajesz, wszystko to od Jego przenajświętszej Opatrzności pochodzi; jakżeś Mu powinien codziennie wraz z nami być wdzięcznym, a zobaczysz, że Ci będzie dopomagał we wszystkich Twoich dobrych zamiarach i będziesz szczęśliwy. Nie miej za złe ojcu, że Ci zawsze przypomina o przyszłości; wierz mi, że czas-by był o niej



trochę pomyśleć. My, jako starzy, z doświadczenia Ci to mówimy, a troskliwi o Ciebie, chcielibyśmy Cię widzieć zawsze szczęśliwym i spokojnym; a trudno o nią, kiedy niema choć cokolwiek zapewnionego na później. Myślałam tu bardzo o Tobie, moje drogie dziecko, w dzień urodzin i imienin Twoich i przesyłałam Ci w duszy moje życzenia, modląc się o pomyślność Twoją. Niech Cię Bóg błogosławi i ma ciągle w swojej opiece«. Tak wypadła pierwsza część listu. Ale była jeszcze i druga, w interesie finansowej natury. »Mój drogi, mam do Ciebie prośbę, czyli interes, bo matka nie powinna dziecka prosić, a dobre i szczere dziecko, jeżeli może bez uszczerbku własnych potrzeb, a broń Boże pożyczki na to, powinno powiedzieć otwarcie: tak lub nie. Mam nadzieję, że tak sobie ze mną postąpisz, bo gdyby nie to, nigdy-bym Ci nie wspominała o tem. Taka rzecz: winnam trzy tysiące złotych polskich; ojciec o tem nie wie; gdyby wiedział, zmartwiłby się bardzo, a naturalnie trzeba je oddać, więc, jeżeli będziesz mógł w przeciągu roku, nie razem, ale częściowo ich przysyłać, to mi napisz na ręce Barcińskiego. Powiesz sobie: teraz widzę, dlaczego mię matka do oszczędności namawia; wierz mi, że nie dla mojego interesu, ale dla Twojego dobra. Ściskam Cię serdecznie, prawdziwie kochająca Cię *Matka*«. Co Chopin odpowiedział na ten list: czy zadość uczynił prośbie matki? czy powiedział otwarcie, jak go o to prosiła, tak lub nie? To musi pozostać tajemnicą. Zdaje się jednak, że wobec miłości, jaką Chopin żywił dla matki, prędzej odpisał jej: tak; co tem jest prawdopodobniejszem, że trzy tysiące złotych polskich, a więc jakieś 2000 franków, przy jego dochodach z lekcyi i kompozycyi, nie były sumą wygórowaną, zwłaszcza, gdy jej nie potrzebował posłać odrazu, lecz spłacać ratami w ciągu całego roku. Można być pewnym też, że jeśli Chopin w tej kwestyi zasięgnął rady p. Sand, to ona z pewnością poradziła mu, żeby, jak przystało na »dobre i szczere dziecko«, dopomógł matce (która naprawdę była »jego jedyną miłością«), skoro to mógł uczynić »bez uszczerbku własnych potrzeb«. Szkoda wielka, że się nie zachowała odpowiedź Fryderyka na ten list pani Chopinowej.

Jak zwykle, tak i w ciągu tego lata nie brakło w Nohant gości. Oprócz Châtirona i Papeta, którzy najwięcej czasu spędzali poza domem, o ile możności na polowaniu i rybołóstwie, przyjechała tu około 1 sierpnia pani Viardot-Garcia, co specyalnie dla Chopina było przyjemnością nielada. »Pani Viardot — pisał do Fontany — spędziła tu piętnaście dni; muzykowaliśmy mniej, aniżeliśmy co innego robili«. Przez to »co innego« należało rozumieć spacery i grę w bilard, co jednak nie wykluczało, że i muzykowano bardzo dużo, głównie odczytując rozmaite partycye [1]). Ale p. Viardot

[1]) Pani Sand w liście do p. Marliani, datowanym z Nohant 13 sierpnia 1841 roku pisze: »J'ai passé tous les jours avec Pauline à me promener, à jouer au billard. Pauline lit avec Chopin des partitions entières au piano. Elle est toujours bonne et charmante«.

już 16 sierpnia opuściła Nohant, zmuszona jechać na jakiś *festival* do Anglii, a na jej miejsce, w kilka dni później przyjechała Solange, co bynajmniej nie równało się najlepszej zamianie. Solange bowiem — od wiosny 1841 roku była na pensyi w Paryżu w instytucie Bascans-Lagut przy rue Chaillot — choć zawsze była faworytką Chopina, który ją »psuł« swemi pieszczotami, coraz bardziej stawała się niesforną i egoistyczną, zwłaszcza w stosunku do Maurycego, nad czem bardzo bolała jej matka, wszelkimi sposobami starając się poskramiać te wady. Między innemi zapowiedziała jej z góry, w liście do niej z dnia 13 sierpnia, że nie pozwoli Chopinowi, który ją kazał ucałować, by ją tak psuł w dalszym ciągu [1]). Zdaje się jednak, że z chwilą, gdy Solange znalazła się w Nohant, p. Sand nie dotrzymała swych groźnych obietnic wobec córki, do czego niewątpliwie w znacznej mierze przyczynił się Chopin.

Zresztą p. Sand, po wyjeździe p. Viardot, zaraz się zabrała do swych prac literackich, pod których brzemieniem poprostu upadała tego lata. Przygotowując nowe zbiorowe wydanie swych dzieł, mające wyjść nakładem Perrotina, najprzód musiała czytać i poprawiać swe dawniejsze powieści, co było pracą nielada, i to wcale nie należącą do najprzyjemniejszych, a dopiero potem wszystko to raz jeszcze musiała odczytywać w arkuszach korektowych, których dostawała po kilka dziennie. Była to praca nużąca i wyczerpująca podwójnie, bo nudna. Ale pracowita z natury, a przytem zmuszona zarabiać, p. Sand, po całodziennej pracy nad edycyą Perrotina, w nocy dopiero, gdy wszyscy już spali w całym domu, codzień do 5-tej rano, podniecając się papierosami i czarną kawą, pisała nowy romans dla *Revue des deux Mondes,* zatytułowany *Horace* [2]).

Wobec tak bezprzykładnej pracowitości »pani domu«, która po nocy przepracowanej przy biurku, potem spała aż do południa i dłużej, i Chopin za jej przykładem nie ustawał w pracy kompozytorskiej, co przedewszystkiem czynił dla zaspokojenia wewnętrznej potrzeby, ale po części także i z nudów, dla zabicia czasu, zwłaszcza, gdy na dworze była niepogoda, zmuszająca do niewychodzenia z domu. Tym sposobem, nie utrudzając się zbytnio, ale dzięki pewnej systematyczności w pracy, dzięki temu, że codzień po parę godzin siedział nad swemi »nudami pisania«, jak się wyrażał o swych utworach, napisał i wykończył w ciągu tego lata — od czerwca do października — cały szereg mniejszych lub większych utworów, któ-

[1]) Chopin t'embrasse et t'attend pour te gâter. Mais je ne le laisserai plus faire.

[2]) Romansu tego, już nasiąkłego socyalnemi teoryami Piotra Leroux, Buloz nie chciał drukować, co stało się powodem kilkuletniego zerwania stosunków p. Sand z *Revue des deux Mondes* i jej redaktorem. *Horace* wyszedł w nowozałożonej przez Leroux *Revue indépendante.* W powieści tej, jednej z najlepszych p. Sand, znajdują się bardzo niepochlebne portrety hrabiny d'Agoult i Mallefilla. Śmiał się z tego Lamennais w swoich listach do barona de Vitrolles.



remi tym razem były prawie same arcydzieła, jedne z najwspanialszych natchnień, na jakie było stać jego geniusz. Dziełami temi, które zaraz po napisaniu przysłał Fontanie dla przesłania różnym wydawcom paryskim, lipskim i wiedeńskim, były następujące: *Prelude Cis-moll,* przeznaczony do *Albumu* Schlesingera, a dedykowany księżniczce Czerniszef; *Tarantella,* po której Chopin »miał nadzieję, że nic gorszego tak prędko nie napisze«, trzecia *Ballada As-dur,* dedykowana księżniczce de Noailles, dwa *Nokturny C-moll* i *Fis-moll,* przypisane pannie Duperré, *Allegro de Concert As-dur,* dedykowane ulubionej uczennicy, pannie Müller, *Fantazya F-moll,* przypisana księżniczce Souzzo, i wreszcie wspaniały *Polonez Fis-moll,* dedykowany księżnie Beauvau (siostrze Delfiny Potockiej) według wyrażenia samego Chopina »rodzaj Poloneza, ale to więcej fantazya«.

Pozatem, zmuszony dużo przesiadywać w pokoju, spędzał Chopin sporo czasu na czytaniu, między innemi zapoznając się z różnemi polskiemi nowościami, wydanemi na emigracyi. Tego lata czytywał pierwszy tom *Wieczorów Pielgrzyma* Witwickiego [1]).

Przez cały czas pobytu swego w Nohant prowadził Chopin dość obszerną korespondencyę. Choć wogóle do pisania listów był nieskory, to jednak na wsi bardzo często skracał sobie poprostu czas w ten sposób. Poza obowiązkowemi listami do rodziny, które pisywał najstaranniej, pozostawał w ciągłych listownych stosunkach ze swymi paryskimi przyjaciółmi: z Matuszyńskim, z Grzymałą, z Fontaną. Najczęściej pisywał do Fontany, do którego zawsze miał mnóstwo komisów. »Jeszcze raz Cię przepraszam za komisa — pisał mu na pocieszenie w jednym z listów — ale to nie ostatnie, nie bój się«. Ponieważ były to listy w interesach, więc rozczarowałby się bardzo, ktoby w nich szukał jakiegoś poetycznego nastroju. Nic prozaiczniejszego, jak te listy! Nie znaczy to jednak, by nie zawierały rzeczy ciekawych, by nie obfitowały w ustępy charakterystyczne, nie mówiąc już o dowcipie, który Chopin zawsze miał na podorędziu. Cierpiąc na bezsenność, bardzo często pisywał je Chopin w nocy. »Późno w nocy piszę Ci te kilka słów. Jeszcze Ci raz dziękuję za Twoje sprawunki, którym nie koniec. O tem Ci obszerniej kiedyś napiszę, a dziś dobrej nocy Ci życzę, i niech Ci się nie śni, jak Jasiowi, żem umarł, tylko niech Ci się śni, że się rodzę, albo coś podobnego. Niegdyś śniło mi się, żem umarł w szpitalu, i tak mi to w głowie utkwiło, że zdaje mi się, że wczoraj«. Tymczasem nie miał żadnego powodu myśleć o śmierci, tylko o życiu, i nie o szpitalu, tylko o nowem mieszkaniu. Stąd prośba do Fontany: »Jeżeli przechodząc po ulicach, na których wiesz dawno, że mieszkać mogę, znajdziesz coś dla mnie dogodnego, proszę Cię, napisz mi. Teraz

[1]) W liście do Fontany (z lipca 1841) pisze Chopin: »Także mi kup Witwickiego, bo go nie mam«. Właśnie w tych czasach wyszedł tom I. *Wieczorów pielgrzyma.*

już kondycya schodów nie egzystuje. Dessauerowi niewiele szczegółów o mnie dawaj; nie mów mu, że mieszkania szukam; nawet Antosiowi także, bo on powie pannie de Rozières, a ona plotka i kaketę lada z czego zrobi. Już niektóre jej kakety tutaj mię aż w dziwny sposób dochodzą. Wiesz, jak to czasem wielkie rzeczy z niczego urosną, gdy przejdą przez buzię umiejącą wszystko rozmazywać. Wiele-by było o tem mówić«. Istotnie z powodu panny de Rozières, która kochała się w Antonim Wodzińskim, a nawet, jak się zdaje, miała z nim romans, spadły niespodziewanie na Chopina irytujące przykrości, a to z przyczyny, że Antoni Wodziński w tych czasach zdecydował się opuścić Paryż, a temsamem porzucić i pannę de Rozières, której już miał dosyć, tembardziej, że ona kroiła na małżeństwo, do czego on nie miał najmniejszej ochoty. Choć to była sprawa wyłącznie między nią a pragnącym się jej wymknąć kochankiem, panna de Rozière wmieszała w całą tę kabałę i Chopina i p. Sand, narobiła plotek i intryg, co szczególniej Chopinowi dało się we znaki w Nohant, albowiem łatwowierna p. Sand na ślepo wierzyła pannie de Rozières, więcej nawet, niż Chopinowi, którego w wielu razach nie darzyła szczególnem zaufaniem. Cała ta kabała znalazła swe zgryźliwe odbicie w niektórych listach Chopina do Fontany. W liście np. z dnia 25 sierpnia tak pisał w tej sprawie, tem drażliwszej dla niego, że mimowoli potrącały o jego przejścia sercowe z przed lat pięciu: »Dziś tylko jedną rzecz przeczytałem w liście Twoim, co mi szczerze nieprzyjemną była (aleś się tego domyśleć nie mógł!), to jest, że Antkowi mój biuścik dałeś. Nie dlatego, że on go ma; nie dlatego, żeby mi był potrzebny, albo żebym o niego stał (nawet nie trzeba Dantanowi innego obstalowywać); ale dlatego, że jeżeli go Antoś do Poznania wziął, to tam będą kakety nowe, a ja już ich za wiele mam. Jeżelim Antosia żadnymi komisami nie obciążył, to nie dlaczego innego; bo czyż można mi lepszej okazyi? Ale widzisz, Antoś nie zrozumiał! A jeżeli jeszcze pannie swojej powiedzą! Może ty zrozumiesz! A rodzicom jak się dziwnie zdawać będzie, że nie oni pierwsi mają ową krydę. Nie będą wierzyć, że nie ja mu dałem. Jestem ja w domu Antka inaczej zapisany, jak fortepianista. Będzie to inaczej niektórym osobom się zdawać. Ty ich nie znasz! Tu mi wszystko przyjdzie retro w innym kolorze. Są to rzeczy bardzo delikatne, których ruszać nie trzeba. Stało się. Proszę Cię, kochanie, nie mów nikomu tego, com tu napisał; niech to między nami zostanie. Jeżelim nie zmazał, to dlatego, że mnie pojmujesz. Sobie żadnych wyrzutów nie rób. Kochaj mnie i pisz. Jeżeli Antek nie pojechał jeszcze, proszę Cię, zostaw rzeczy jak są, bo będzie gorzej; on powie pannie de Roz(ières) to wszystko, bo on poczciwy, ale słaby! a ona niedyskretna i chętnie pokazująca swoją *intimité* z nim, i chętnie wpierająca się w interesa nie swoje, rozmaże i z niczego zrobi *wołu*, jak to nie pierwszy raz. Jest to (między nami) świnia



nieznośna, która mi się dziwnym sposobem do mojej zagrody wkopała i ryje, i szuka trufli pomiędzy różami. Jest to osoba ani do ruszenia, bo co tknie, tak niedyskretność niesłychana. Słowem, stara panna. My, stare kawalery, daleko lepsze«.

Jeżeli się zważy, że właśnie przed miesiącem, bo 24 lipca 1841 roku, odbył się ślub Maryi Wodzińskiej z Józefem Skarbkiem, tem łatwiej się zrozumie wysoce rozdrażniony ton, w jakim Chopin poruszał tę całą sprawę, tak dla niego niemiłą i przykrą, zwłaszcza w tej chwili, gdy wspomnienie »czarnobrewej« M-elle Marie znów odżyło w jego pamięci.

Tem się tłómaczy powstanie dwóch pieśni Chopina, *Slicznego chłopca* do słów Bohdana Zaleskiego, i *Pierścienia* do słów Stefana Witwickiego, pieśni, które obie pochodzą z 1841 roku. Że je wywołało zamęście Maryi Wodzińskiej w lipcu tego roku, o którem wiadomość widocznie, że nie spotkała się z zupełną obojętnością Chopina, lecz przeciwnie, wstrząsnęła nim do głębi, to zdaje się być pewnem zupełnie, ile że ma absolutne uzasadnienie w psychologii twórczości artystycznej.

Pierwsza z tych pieśni, o *Ślicznym chłopcu,* jest jakby szyderstwem z niewiernej narzeczonej, która mając do wyboru pomiędzy nim, Chopinem, a przeciętnym »ślicznym chłopcem«, poszła na lep »czarnego wąsika« i »białej płci«, wzgardziwszy słabowitym i wątłym geniuszem.

Wzniosły, smukły i młody
O, nielada urody!
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

Niech się spóźni godzinę,
To mi tęskno, aż ginę.
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

W progu mrugnie oczyma,
Nawskróś całą mnie ima,
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

Każde słówko co powie,
Lgnie mi w sercu i w głowie.
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

Gdy pląsamy pod ręce,
To się ledwo nie skręcę,
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

Co to będzie, och, dalej?
Żebyśmy się pobrali!
Śliczny chłopiec, czego chcieć?
Czarny wąsik, biała płeć!

Druga z tych pieśni, o *Pierścieniu,* jest jakby uzupełnieniem poprzedniej; bo gdy tamta robiła wrażenie jakby monologu Maryi Wodzińskiej przed oddaniem ręki hrabiemu Skarbkowi, monologu płochej dziewczyny, dającej się otumanić zewnętrznym błyskotkom, powierzchownej urodzie, bez zajrzenia w głąb duszy, i łatwo zapominającej, a przynajmniej nie chcącej pamiętać o tem, że innemu dzieje się krzywda, że ten drugi liczył na jej stałość, że kochając sam, wierzył, że i on był kochany; o tyle ta równa się jakby monologowi zawiedzionego w swych uczuciach Chopina, gdy

się dowiedział ostatecznie, że przyrzeczona mu Marya poślubiła kogo innego, została hrabiną Skarbkową.

Smutno niańki mi śpiewały
A ja już kochałem;
A na lewy palec mały
Srebrny pierścień dałem.

Muzykantów zaproszono,
Na godach śpiewałem;
Innego zostałaś żoną,
Ja zawsze kochałem.

Pobrali dziewczęta drudzy,
Ja wiecznie kochałem;
Przyszedł młody chłopiec cudzy,
Choć ja pierścień dałem.

Dziś dziewczęta mnie wyśmiały,
Gorzko zapłakałem;
Próżnom wierny był i stały,
Próżno pierścień dałem.

Pieśni te, jedne z najcelniejszych Chopina, jako skomponowane w tym samym roku 1841, w którym panna Wodzińska »innego została żoną«, są wymownym dowodem, że faktu tego nie przyjął Chopin obojętnie, że pomimo wszystkiego, co go wiązało z p. Sand, nie mógł zapomnieć o Maryi, nie mógł przeboleć jej straty, nie mógł darować jej, że choć do 1838 r., a więc przez trzy lata »wierny był i stały«, ona, nie zważając na »pierścień« t. j. na dane mu przyrzeczenie, w końcu przełożyła nad niego »czarny wąsik, białą płeć«, Józefa Skarbka. Stąd gorycz w jego zranionem sercu, dlatego »gorzko zapłakał«, gdy się dowiedział o tym ślubie.

Tymczasem Antoni Wodziński wyjechał z Paryża, a wkrótce po przyjeździe do Poznania rozchorował się obłożnie. Dowiedziawszy się o tem, rozkochana w nim »Derozierka« zdecydowała się pojechać do swego ukochanego, przedtem jednak, już na wyjezdnem z Paryża, napisała rozpaczliwy list do pani Sand, który znowu Chopinowi przysporzył kłopotu. Nawiasem mówiąc, nie wierzył w niebezpieczną chorobę Wodzińskiego, czemu — pisząc do Fontany — dał następujący wyraz: »Co się Antka tycze, jestem przekonany, że jego choroba exagerowana. Ale coś mi pisał, to już zapóźno było, bo jego kwoczka natychmiast tutaj czuły, desperacki list z powierzeniami do Pani domu napisała: że jedzie do niego, że brawuje konwenanse, owe srogie konwenanse! że jego familia, to niegodziwi dzicy, barbarzyńcy! że tylko Nakwaską wyjmując, w której znalazła przyjaciółkę, i która jej paszport swojej guwernantki daje, żeby spieszyła go ratować; że tak krótko pisze (3 ćwiartki nabite), bo nie wie, czy żyje; że się tego spodziewała po okropnych pożegnaniach i nocach, które on we łzach strawił i t. d., i t. d. Kijem! kijem! starej łodyce. A co mnie najwięcej gniewa, to że wiesz, jak Antka kocham, i nie tylko że mu pomódz nie mogę, ale mam minę podawania temu ręki. Późnom się spostrzegł i, nie wiedząc, co się święci, i nie znając ichmościanki, prezentowałem ten wiecheć p. Sand na metressę do fortepianu dla córki, której się w kołnierz wszyła, i wiktimę miłości swej udając, i świadomą mojej przeszłości przez polonią, którą w rozmaitych pozycyach widywała, gwałtem się w intimité wpija p. Sand (i nie uwierzysz, jak zgrabnie, jak szczwana doskonale, i ile umiała korzystać z moich z Antosiem stosunków). A możesz miarkować, jak mi przyjemnie, tembardziej, że (tak, jak i ty uważać mogłeś) Antek jej inaczej nie kocha, jak tylko jak kogoś, co się do niego przyczynił, i nic go nie kosztuje. Antoś z całą swoją dobrocią apatyczny i da się osiodłać, szczególniej tak zgrabnej intrygantce, która ma na niego, możesz sobie wystawić, jaki apetyt, ona się nim wszędzie ogania, a par *ricochet* mną (co mniejsza), a co gorsza p. Sand. Jej się zdaje, że ponieważ ja z Antkiem od dzieciństwa intime, więc i... Dosyć już, nieprawda?! Teraz do smaczniejszych rzeczy« [1]). Takiemi smaczniejszemi rzeczami były różne nowinki z życia emigracyjnego, których Chopin bardzo był ciekawy, a których nigdy nie brakło w listach Juliana. Odpisując mu, Chopin czynił swoje spostrzeżenia i uwagi o tych sprawach, bardzo zabawne nieraz.



Gdy mu np. Fontana donosił o Mickiewiczu i jego entuzyazmie dla nauki Towiańskiego, o cudach, których na sobie doświadczał poeta, o jego pewności, że już się skończyła epoka emigracyi, że maluczko, a wrócą do kraju, i to jako zwycięzcy, Chopin, odpisując Julianowi, wypowiadał dosadne uwagi w tej kwestyi, świadczące o jego nadzwyczajnej trzeźwości umysłowej, nie dającej się otumanić żadnym mistycyzmom czy mesyanizmom. »Mickiewicz — pisał w jednym z listów — źle skończy, jeżeli z was nie kpi«. W innym liście znów, ciekawy nowin emigracyjnych, zwłaszcza o afe-

---

[1]) Ciekawa jest odpowiedź p. Sand na będący tu w mowie list do niej panny de Rozières, datowana w Nohant dnia 22 września 1841 r.: »Où avez-vous pris que je pouvais vous blâmer? et par où êtes-vous blâmable? Je ne suis pas catholique, je ne suis pas du monde. Je ne comprends pas une femme sans amour et sans dévouement à ce qu'elle aime. Soyez aussi prudente que possible, pour que ce monde hypocrite et méchant ne vous fasse pas perdre l'exterieur et le necessaire de l'existence matérielle. Mais votre vie intérieure, nul n'a droit de vous en demander compte. Si je puis quelque chose pour vous aider à lutter contre les méchants, vous me le direz dans l'occasion, et vous me trouverez toujours. Bonsoir, amie; parlez-moi de vous, de lui, de votre santé à tous deux. Ce que vous me faites pressentir me laisse dans un grand effroi. Est-il plus malade? est-ce vous qui le seriez?« Ale najbardziej charakterystycznym jest ustęp, dotyczący korespondencyi w tej sprawie Chopina z Fontaną, korespondencyi, która wzbudziła niepokój w pannie de Rozières; widocznie, że tej ostatniej zależało na tem, by Chopin nie dowiedział się o jej podróży do Poznania, o czem łatwo mógł się dowiedzieć od Fontany. Pani Sand uspakaja ją pod tym względem, co czyni w takich słowach: »Personne ici (to znaczy: Chopin) n'a su que vous étiez absente, je n'en ai rien dit. Je crois que, s'il y a eu et s'il y a encore des cancans, ils viennent de M. F(ontana), qui écrit toutes les semaines et qui cause toujours, par ces lettres (je ne sais si elles contiennent des nouvelles ou des ragots), un notable changement dans l'humeur (t. j. w humorze Chopina). Je ne connais ce monsieur que de rue; mais je le crois écorché vif et toujours prêt à en vouloir à tout le monde de ses propres disgrâces. Ce caractère est peut-être plus digne de pitié que de blâme; mais il fait bien du mal à l'autre (t. j. Chopinowi), qui a la peau si delicate, qu'une piqûre de cousin y fait une plaie profonde. Mon Dieu, n'y a-t-il pas assez de maux véritables, sans en créer d'imaginaires?«

rze Towiańskiego, tak zapytywał Fontanę: »Pisz do mnie prędko. Czy jeszcze wracamy do kraju?! Czy już zupełnie powaryowali?! O Mickiewicza, ani Sobańskiego się nie boję, bo tęgie głowy i mogą jeszcze kilka emigracyi przetrwać, nie potracić rozumu ani energii. Jaś niech mi co napisze«. Gdy Fontana, który za Chopina załatwiał jego interesy z wydawcami, wysłał przepisany przez siebie manuskrypt *Tarantelli* do Berlina, Chopin, trochę zaniepokojony tem, tak pisał do niego w tej kwestyi: »Szkoda, że do Berlina poszła owa *Tarantella,* bo jak z listu Schuberta widziałeś, w te pieniężne rzeczy Liszt wmięszany i mogę mieć nieprzyjemności, bo to Węgier drażliwy; może myśleć, że mu nie wierzę z powodu, że nie kazałem oddawać manuskryptu inaczej, jak za pieniądze. Nie wiem, ale mam jakieś przeczucie, że będzie pasztet. Leonowi słabemu nie mów nic o tem; bądź u niego, jeżeli Ci tak wypada, pokłoń się odemnie, podziękuj (chociaż niema za co) i przeproś za ambarasy. Bo to zawsze grzeczność jego podejmować się przesyłki. Także Pleyelowi się pokłoń; powiedz, żeby mi wybaczył, że do niego nie piszę (nie mów mu nic, że mi bardzo lichy fortepian przysłał)«. Ponieważ Fontana miał sobie powierzone przepisywanie wszystkich nadesłanych mu przez Chopina manuskryptów, więc taką raz w tej materyi w liście z ostatnich dni września otrzymał od niego instrukcyę: »Na Boga Cię proszę, szanuj moje manuskrypta, nie gnieć, nie smol, ani drzyj. Wiem, że nie jesteś zdolnym do popełnienia czegoś podobnego, ale ja tak kocham moje nudy pisane, że obawiam się zawsze, aby im się co złego nie przytrafiło. Jutro dostaniesz *Nokturny,* a w końcu tygodnia *Balladę* i *Fantazyę;* nie mogę wcześniej pisania wykończyć. Każdą z tych rzeczy przepiszesz; kopie twoje zostaną w Paryżu. Jeżeli Cię nudzi przepisywanie, to na pociechę myśl sobie, że to czynisz dla odpuszczenia wszelkich grzechów twoich! Nie chciałbym moich pajęczych nóżek żadnemu smarującemu grubo kopiście dawać. Jeszcze raz ci to polecam, bo gdyby mi przyszło powtórnie te 18 stronic pisać, zwaryował-bym z pewnością!«

Tymczasem w Paryżu przyjaciele Chopina, głównie Fontana i Grzymała (bo Matuszyński chorował przez całe lato, pluł krwią i nie mógł zajmować się sprawami tego rodzaju) szukali dla niego mieszkania. Znaleźli kilka, jedno przy place Vendôme, jedno na rue des Mathurins (które jednak miało te wady, że wychodziło na północ, a więc nie było słoneczne) i jedno przy rue Tronchet, zaraz obok dotychczasowego mieszkania Chopina, bardzo ładne, na pierwszem piętrze, które Fontanie najbardziej podobało się ze wszystkich. Niestety, każde miało jakieś wady, tak, że ani Fontana, ani Chopin jakoś nie mogli się zdecydować na żadne [1]). W końcu p. Sand,

[1]) Oto odnośne wyjątki z listów Chopina do Fontany w tej kwestyi mieszkania: »Opisz mi także, proszę Cię, mieszkanie (na) Place Vendôme. Schody? czy mansard? Wy-



której Chopin zwierzał się z tego swojego mieszkaniowego kłopotu, zaproponowała mu od niechcenia, ażeby wziął mieszkanie obok niej, na rue Pigale, w drugim pawilonie, który był właśnie do najęcia, a w którym znalazłyby się także, nad mieszkaniem Chopina, pokój i pracownia dla Maurycego. Dla niej było-by to dogodnem, gdyż o tyle łatwiej mogła-by roztaczać opiekę nad Chopinem, a on miałby o tyle bliżej do niej, co również, zwłaszcza w zimie, miało swe dobre strony. Chopin z radością przyjął tę propozycyę p. Sand, tak, że odrazu kwestya mieszkania, którą tyle się kłopotał w ciągu lata, została załatwioną jaknajpomyślniej. Uradowany, natychmiast wydał odpowiednie zlecenia Fontanie, ażeby czemprędzej zajął się przenoszeniem rzeczy z rue Tronchet do pawilonu przy rue Pigale. Ponieważ Fontana jednocześnie sam musiał szukać mieszkania dla siebie, którego umeblować nie miał czem, więc mu Chopin, w nagrodę za poniesione trudy przy przenosinach na rue Pigale, obiecał niektóre ze swoich starych gratów, jako zaczątek umeblowania. Okazało się jednak, że Fontana, który nie miał nawet własnego łóżka, tyle rzeczy chciał wziąć dla siebie, że go aż Chopin musiał powściągać w zbytnim zapędzie aneksyjnym. Tymczasem biedny Fontana, wyprowadzając się z mieszkania Chopina, u którego sypiał w jego łóżku, przedewszystkiem aspirował do tego nieodzownego sprzętu. Chopin znowu, również nie opływający w nadmiar gotówki, o ile był skorym do robienia prezentów z rzeczy, które mu nie były potrzebne, o tyle ani myślał pozbywać się takich mebli, jak łóżko, zegar i t. p. W tej myśli napisał 7 października list do Fontany, list ze szczegółowemi i nader drobiazgowemi instrukcyami w rzeczach przeprowadzki, w którym, w delikatny sposób, hojnie szafując dowcipami i konceptami, w gruncie rzeczy bronił swych praw własności. »Więc przeprowadzić każesz meble: z bawialnego polecam ci szczególniej skorupy. Ponieważ szuflada od tego meblu pod skorupami nie zamyka się na klucz, wyjmij, gdyby co było. Ponieważ zdecydowana rzecz, że będę mieszkał w jednym z Pawilonów, więc mi i łóżka potrzeba będzie. Graty, jako nuty i co ci tylko zawadzać będzie, wszystko każ przenieść na rue Pigal. Fontanna (nie ty, tylko co w przedpokoju stoi) może ci się przydać. Owe sofki, chociaż kiepskie, są od nich hussy. Żal mi, kochanie, że takiemi gratami ci przysłużyć się mogę, ale i najśliczniejsza panna, jak przysłowie mówi, nieda tylko co ma. Nie złość się, jak się będziesz przenosił. Małe gratki moje z przykominka nie zapomnij. Co się penduli tycze, weź sobie, ale nie wiem, czy ci ją zostawię, ale zapewne, bo może nie będę miał gdzie postawić. Także nie jednego dnia rób wynosiny, żeby cię to nie stetryczyło do reszty! Gdybyś

rysuj«. »Myślę tak, jak ty, à propos mieszkania, że owo obok ciebie (na rue Tronchet) wezmę. Pisz, chociaż nie będziesz zdecydowany«. »Grzymała powie Ci co do mieszkania«. »A co mieszkania się tycze, ponieważ na Mathurins zupełnie *au Nord,* nie jestem zdecydowany, i chce mi się opisu tego I-szego piętra na Tronchet? Napisz mi«.

przypadkiem jakiego lokaja wiedział, albo Jasio, albo Albrecht, albo Alkan albo Grzymała (jeżeli którego spotkasz, czasem się to znajdzie), ale żadnego ze strony Charla, bo by kankany były, a ja, mieszkając na Pigal, potrzebuję kogoś, coby nie kaprysił i służących ze wsi przybyłych do p. Sand nie popsuł. To wszystko przypadkiem. Może w klubie się o czemś takiem dobrem dowiesz. Nie kwaś się; już twój zenit, tak jak i mój zenit zgryzot [1]), musiał minąć. Mamy 30 lat z górą. Twoja panna Młokosiewicz, jak mi siotra pisze (bom się o nią pytał), miała przypadek, chorowała. Jedni mówili, że wzdęcie wątroby, drudzy, że puchlina wodna; ale wypompowali, czy wodę, czy co innego, i zdrowa, i cienka, i zgrabna, jak wprzódy. Nikt prawdy nie wie. Nasz Nowakowski, który tu miał przyjechać, już w Warszawie. Kontent. Jakaś panna z instytutu guwernantek w nim się rozkochała i miejsce w instytucie stracił. Przypomnij sobie, że on łysy i daleko od nas większy safanduła, a jeszcze konkety robi. Dobry dla nas prognostyk! Żal mi cię. Widzę cię w kurzu i nieporządku. Ale żebym mógł być w Paryżu sam przy przeprowadzinach, pewnobym cię nie dręczył«.

Dnia 15 października przeprowadzka rzeczy Chopina na rue Pigal stała się faktem dokonanym. Tymczasem w Nohant, po długich debatach zapadła uchwała, że pierwszego listopada nastąpi wyjazd do Paryża. Na krótko przedtem, jednego z ostatnich dni października, napisał Chopin, z polecenia p. Sand, list do Fontany, list z całym szeregiem szczegółowych i drobiazgowych instrukcyi w kwestyi przygotowań na dzień przyjazdu, list charakterystyczny niezmiernie, bo dowodzący niezbicie, że Chopin doskonale był świadom różnych, czysto burżuazyjnych, ba, małomieszczańskich słabostek i drażliwości swej genialnej przyjaciółki, że się liczył z jej małostkami kobiecemi, słowem, że ją przeglądał nawskróś, nie mając żadnych złudzeń co do niej, pomimo, że ją kochał, że bardzo był przywiązany do niej. List ten, będący nieocenionym dokumentem dla poznania natury stosunku Chopina z p. Sand, brzmiał, jak następuje: »Moje kochanie! Przyjeżdżamy z pewnością w poniedziałek, t. j. drugiego o godzinie 2-giej z południa, a może i o 5-tej, albo 6-tej, na nieprzewidziane rachując rzeczy. Ofiarowałeś mi twoją pomoc wedle urządzenia rue Pigal. Tego nie chcę, dziękuję ci, ale za wiele-bym po twojej dobroci wyciągał; ale o co Cię będę prosił, to żebyś był w poniedziałek od 2-giej na rue Pigal. Także zajrzyj tam wprzódy, widź Pelletana, i jak rzeczy stoją. Jest tam Moreau i jego żona, służący p. Sand, których ona odprawiła stąd i do Paryża odesłała z pozwoleniem mieszkania na rue Pigal póty, póki oni sobie miejsca albo mieszkania nie znajdą. Jeżeli jeszcze tam są, widź koniecznie Pelletana, któremu p. Sand o tem pisała, żeby oni k o n i e c z n i e przed poniedziałkiem,

[1]) Niewątpliwie aluzya do zgryzot z przed lat trzech, z powodu niedoszłego małżeństwa z Maryą Wodzińską.



nawet niedzielą, to lepiej, wyprowadzili się. Jeżeli on, Pelletan, zatrudniony bardzo (bo on nowy dziennik *Le 19 siècle* wydaje), przypilnuj, zniósłszy się z nim, aby okna pootwierać (jeżeli nie deszcz) i przewietrzyć pawilon p. Sand szczególniej. Żeby parę dni wprzódy na kominach i w piecu ognia zrobić. Jeżeli Moreau, którego p. Sand może na przyjezdnem zatrzyma na parę dni (n. b. jako przychodzącego bez żony, ale nie jako mieszkającego, o czem mu Pelletan miał powiedzieć). Jeżeli ten Moreau jest disponible, on zna dobrze service p. Sand, więc tylko go dopilnuj, żeby okna otworzył, kominy napalił. Jeżeli zaś ów Moreau (o czem ci Pelletan powie) nie disponible, to portyer Mr. Armand i jego żona (bardzo poczciwa) niech się tem zajmą, a ty dopilnuj, n. b. zniósłszy się z Pelletanem, który biedak może ze swoim *journalem* nowym głowę traci i nie ma materyalnie czasu przypilnowania. Mów mu o jego *journalu*, to poczciwy człowiek i uczony, i znieś się z nim po przyjacielsku, i nie gniewaj się ani na mnie, ani na niego, ani na siebie, ani na nikogo. Co się lokaja tycze, miej napiętych, żadnego nie zatrzymuj, bo ja nie wiem czy się spodoba; bo to chociaż to mój, ale obok mieszkając, to tam rozmaicie. En tout cas na przyjazd, portyery dobre ludzie i usłużni; menażuj ich i daj do zrozumienia, albo jeszcze lepiej daj w łapę, jeżeli oni mają się apartamentem zająć, a nie Moreau. Jednakże, jeżeli ci to subiekcyi nie zrobi. Będzie to j a k o ś. Moje stare przysłowie. Zresztą, czas ucieka, świat mija, śmierć goni i moje manuskrypta cię gonią. Z t e m się nie spiesz, kochanie, bo wolę, żeby w Lipsku czekali na nie, jak żeby na rue Pigal z i m n o na przyjezdnem zastali, albo kurz, albo zaduch, albo wilgoć. O m o j e apartamenta się nie troszcz, ani o moje legowisko, ani o nic. Nazajutrz zajmę się tem sam i Ciebie nie będę więcej męczył. To na *revanche*, jak kiedy podobnych potrzeba ci będzie dowodów przyjaźni. Stara łysa głowa twoja niech się spotka ze zwiędniałym, zgrzybiałym nosiwem moim, i zaśpiewajmy sobie: Niech żyje Krakowskie Przedmieście! na nutę Bogusławskiego, tenorem Krzysztofowicza, akompaniamentem ś. p. Lenza«.

Ale już po paru dniach zmieniono projekt. »Spóźniony mój wyjazd stąd — pisał Chopin do Fontany — a więc w Paryżu może dopiero koło 6—8-go będę«. Tak stało się istotnie, lecz zamiast jechać razem z panią Sand i jej dziećmi, jak to było pierwotnym zamiarem, Chopin pojechał sam, a »pani domu«, razem z Maurycym, który miał jechać do ojca, do Nerac, i z Solange, którą sama postanowiła odwieźć do Paryża, została w Nohant. Widocznie, że dopiero wtedy chciała przyjechać do Paryża, gdy już Chopin całkiem będzie urządzony w swem nowem mieszkaniu. Mając pilne roboty literackie, wiedziała, że w Paryżu, zwłaszcza wobec instalowania się Chopina przy rue Pigale, nie miała-by potrzebnego spokoju do pracy, i dlatego wolała zostać na wsi. Powtóre nie lubiła Paryża, tak dalece, że jeżeli decydowała się wyjeżdżać z Nohant, to czyniła to wyłącznie

ze względu na Chopina. Nawet z nim mówiła o tem, czyby nie był gotów przezimować na wsi, coby z pewnością miało dobry wpływ na jego zdrowie; ale Chopin, przepadający za Paryżem, za jego życiem gorączkowem, za jego wielkim światem, ani chciał słyszeć o tem. Jedynie ten wzgląd skłonił p. Sand, że i ona postanowiła wrócić na zimę do Paryża, bo skoro tego pragnął człowiek, którego kochała, chcąc nie chcąc musiała zastosować się do niego [1]). Gdyby to zależało od niej wyłącznie, z pewnością zakopała-by się w Nohant na całą zimę.

Stanąwszy z powrotem w Paryżu, skoro nakoniec urządził się razem z Jasiem Matuszyńskim w swem nowem mieszkaniu, z którego na ogół bardzo był zadowolony, wrócił niebawem *dans ses triples croches* t. j. do lekcyi, do życia towarzyskiego, w którego wir odrazu dał się wciągnąć, i do pracy kompozytorskiej, która w tej chwili zasadzała się jedynie na robieniu korekt skomponowanych w ciągu lata i sprzedanych różnym wydawcom utworów. Jakoż po upływie paru miesięcy kolejno zaczęły wychodzić jedne po drugich, najpierw jeszcze przed upływem 1841 r., *Preludyum* i *Polonez Fis-moll,* oba u Mechettiego i Schlesingera, potem *Tarantella,* jednocześnie wydana przez Troupenasa i Schuberta, poczem w styczniu 1842 roku, wyszła reszta, *Allegro de Concert, Ballada, Nokturny* i *Fantazya,* wszystkie wydane nakładem Schlesingera w Paryżu, oraz Breitkopfa i Härtla w Lipsku.

Tymczasem na początku grudnia skończyła się samotność Chopina na rue Pigal; przyjechała p. Sand z córką, którą zaraz oddała na pensyę, przyjechał i Maurycy od ojca, zająwszy pokój nad wspólnem mieszkaniem Chopina i Matuszyńskiego. Ale choć mieszkając obok pani Sand, u której przesiadywał po parę godzin dziennie, miał omal, że nie atmosferę rodzinną (szczególniej w niedzielę, gdy Solange przychodziła z pensyi, ażeby ten dzień spędzić z matką i bratem), to jednak był przygnębiony jakiś, upadły na duchu, do czego oczywiście i słabe zdrowie, nawiedzane ciągłemi niedyspozycyami, przyczyniało się w niemałym stopniu. Stąd i lekcye męczyły go bardzo, tak, że opuszczał je często, nie mając sił po temu. Choć otoczony powszechną sympatyą i uwielbieniem, choć żył przy boku kobiety kochanej, kochany i po macierzyńsku pielęgnowany przez nią, i razem ze swym najserdeczniejszym przyjacielem, choć go wciąż spotykały nowe zaszczyty, np. ze strony dworu, gdzie zapraszany co pewien czas, był w nadzwyczajnych łaskach, sowicie za każdym razem obdarowywany iście kró-

[1]) W liście z Nohant, z dnia 15 listopada 1841 r. do panny de Rozières, tak pisała pani Sand: »Il est bien vrai, que j'ai été sur le point de m'ensevelir à Nohant pour cet hiver, comme les marmottes dans la neige. Cette vie de Paris nous tend les nerfs et nous tue à la longue. Ah! que je le hais, ce centre des lumières! je n'y mettrai jamais les pieds, si les gens que j'aime (t. j. Chopin) voulaient prendre la même resolution. Chopin est à Paris, est il est retombé, comme il dit, dans ses triples croches«.



lewskimi upominkami, mimo to wszystko był nastrojony ponuro, a to samo, przed czem ostrzegał Fontanę, żeby nie »tetryczał« i nie »kwasił się«, w równym stopniu mógł powiedzieć o sobie. Ile w tem było starokawalerskiego stetryczenia, a ile chwilowego spleenu, trudno przesądzać, zwłaszcza, że głównym powodem najczęściej były fizyczne niedomagania, skłonność do zaziębień, prawie nigdy nie ustający kaszel, wzmagająca się bezsenność i t. p., ale co zaprzeczyć się nie da, że i tęsknota za krajem, za swoimi, grała tu rolę niemałą, a kto wie nawet, czy nie najgłówniejszą. Najlepszy dowód, że właśnie w tym czasie powziął Chopin zamiar, ażeby na wiosnę zjechać się gdzieś z rodzicami i siostrami, np. u Wiesiołowskich w Poznańskiem. Wszystko to świadczyło o nurtującem go uczuciu tęsknoty i nostalgii, które jeszcze potęgowały listy od rodziny. Ale bo też zdarzało się nieraz, że kontrast między tem, o czem się dowiadywał z listów ojca i sióstr, o ich patryarchalnem życiu w Warszawie, a tem, co było jego udziałem w Paryżu, musiał nastrajać melancholijnie, budzić żal za tem, co minęło, a co nie miało wrócić już nigdy. Gdy np. przyszedł wieczór wigilijny, który choćby spędzony w gronie ziomków lub z takim przyjacielem, jak Matuszyński, nigdy nie może iść w porównanie z wigilią, spędzoną w gronie najbliższej rodziny, wtedy smutna dola emigranta, a więc wygnańca, tem silniej musiała się dać uczuć Chopinowi. Cóż dopiero, gdy w kilkanaście dni potem, otrzymał list z domu, datowany 30 grudnia, a przynoszący, obok wielu innych, i takie szczegóły: »W wigilię i w dzień Bożego Narodzenia byliśmy wszyscy razem. Trzeba było widzieć radość dzieci na widok choinki i gwiazdki. Jakże-by to Cię było zabawiło, gdybyś był z nami! Niemałośmy o tem myśleli, bo, wierzaj mi, nie przestajemy mówić o Tobie, zawsze jesteś przedmiotem naszych rozmów«. Dokładniej opisała mu tę wigilię z 1841 roku w przypisku do tegoż listu Ludwika Jędrzejewiczowa. »Żywny już dobrze, już z nami był w wigilią, a pierwszy raz wyszedł na Papki imieniny. Poczciwy stary! Nie masz idei, co to tu u nas teraz za festyn dla dzieci ta gwiazdka, a jak wujaszek i ciotka bębny psują, co cacek, kajetów, książek! A babcia, a dziadzia! A to, a owo! Dzieci do tego stopnia uszczęśliwione, że mały Frycek aż na nogi powstał dnia tego, aby co prędzej dotuptać do założonego rozmaitościami stołu. Frycek ciebie nam przypomniał i myślą byliśmy razem i łamaliśmy się opłatkiem z Tobą; ale ja tylko pragnę, aby to choć raz w życiu, nim umrę, było naprawdę«. Że podobne opisy scen rodzinnych, w serdecznej atmosferze domu rodzicielskiego, musiały rozmarzać Chopina, zwłaszcza, gdy sobie uprzytomnił, co on robił tego wieczoru, setkami mil oddalony od swych najbliższych, najdroższych, nietrudno sobie wystawić. Kontrasty były zbyt uderzające! W tym samym liście z dnia 30 grudnia, który przynosił ten opis wigilijnego wieczoru w domu rodzicielskim, pisał jeszcze Mikołaj Chopin do swego jedynaka, co następuje: »Donosisz nam, mój

drogi, żeś był na wieczorze u dworu, aleś nie był w dobrem usposobieniu; wyznaję, że nas to zaniepokoiło. Obawialiśmy się, czy nie jesteś czasem niezdrów, pomimo, że nas zapewniasz, że się dobrze miewasz. Co do nas, to dolegliwości nasze nam dokuczają, ale przynajmniej nie powiększają się one znacznie i przyjemność częstego zbierania się całej rodziny raduje starość naszą, a każdy z Twoich listów niemało się do tego przyczynia. List Twój z 4-go, drogi Fryderyku, otrzymałem równo w tydzień po moich imieninach; zrobił mi on wielką przyjemność. Dziękuję Ci za dobre życzenia, gdyż nie wątpię o ich szczerości, znając serce Twoje. Oby Cię niebo za nie wynagrodziło, czuwało nad Tobą, dało Ci szczęście i zachowało szacunek ludzi uczciwych. Oto są życzenia nasze, nietylko przy zmianie roku, ale po wszystkie czasy. Nie wiem, czy Thalberg już jest w Paryżu; zobaczysz go niewątpliwie. Donosiłem Ci, zdaje mi się, w jednym z listów, że okazywał on nam wiele względów podczas swej bytności tutaj [1]). Może wstręt swój przezwyciężysz; upewniam Cię, że mówił o Tobie bardzo pochlebnie. Wielu z dawnych Twych znajomych przypomina się Twej pamięci, ale zbyt długą była-by ta litania, gdybym miał wymieniać ich wszystkich. Jeszcze jedno: jak się to dzieje, że zmieniasz służącego; tak zadowolony byłeś ze swego Ludwika. Daj Boże, ażebyś znalazł kogoś odpowiedniego, bo trzeba Ci człowieka, któryby umiał czuwać nad wszystkiem. Jak Ci jest w nowem mieszkaniu? Lecz odstępuję pióro jednej z sióstr Twoich, upewniając Cię, że dobra i czuła matka Twoja, jak również i ja, ściskamy Cię serdecznie. Dużo pięknych pozdrowień od nas dla pani Nakwaskiej, dla Mérego [2]), któremu życzę, żeby wyzdrowiał, i dla Jasia [3]), jak też i dla Juliana [4])«. Dopisek Ludwiki urósł do rozmiarów obszernego listu, a również zawierał kilka ustępów, bliżej mogących zainteresować Fryderyka. »Ty spieszyłeś z życzeniami na imieniny Papeczki, a my znowu z życzeniami na rok nowy. Niech Ci Bóg da to wszystko, czego tylko pragnąć możesz, a nam dozwoli widzieć się z Tobą. Pani Stefania Wiesiołowska, Twoja chrzestna mama, pisała do mnie jedynie w tym celu, aby w tym roku u niej się zjechać. Wystaw sobie, że widziała jakiegoś pana Śmitkowskiego, który Cię znał i świeżo wrócił (z Paryża) i mówił jej podobno, że na przyszłą wiosnę chciałbyś się widzieć z Rodzicami, więc co prędzej pisze do nas i prosi, aby o niej nie zapominać; jeszcze co ją utwierdziło w tej myśli, to że był do niej na poczcie list z Paryża w tym czasie i służący wiozący zgubił. Pewna, że od Ciebie, że do niej przyjedziesz, i poczciwa, uszczęśliwiona pisze do mnie, aby, jeżeli jest ten projekt, wybrać ją i przy-

[1]) Thalberg dał dwa koncerty w Warszawie w salach Redutowych dnia 16 i 22 marca 1841 roku.
[2]) Stefana Witwickiego.
[3]) Matuszyńskiego.
[4]) Fontany.



wieźć do skutku. Wyznam Ci, że serdecznie nas zobowiązała«. O wieczorze w Tuilleryach, który Chopin obszernie opisał w swym ostatnim liście do rodziny, doszły już i z innych stron wieści do Warszawy, a że nie koniecznie zgadzały się z wiernym opisem Fryderyka, więc, żeby go ubawić, zdała mu z nich Ludwika dowcipną relacyę. »Nie uwierzysz — pisała w tymże liście — jakie tu bajki chodziły o wieczorze (u króla) i to od osób stąd, co i Ty [1]). Bratowa pani Maciejowej wróciła; Olesia z matką mówiły mi, że mówiła im, że w wielkich łaskach jesteś (wiadomość ich kuzynki przybyłej) u królowej i dworu i że dostałeś pyszny serwis; bo innym dali geld, a Tobie nie śmiano, bo wiedzą, że nie przyjmiesz; ale żeś nie wziął go, tylko prosiłeś, aby to, jeżeli chcą ci zrobić przyjemność, ojcu tu przysłali. Ledwo nie parskłam w nos od śmiechu; kiedy bajda, to dobra i z sensem. Dobrze przynajmniej, że chociaż w opinii ludzkiej możesz nawet tam życzenia swoje objawiać, i z pewnością, że tak będzie, jak żądasz. Dobrze mówiła pani Dekert nasza, że głupich nie sieją i rodzą się; tylko nie godzi się takiemi od was [2]) przyjeżdżać. Ściskam Cię, całuję po milion razy w każdy paluszek. Graj, pisz, nie opuszczaj lekcyi, kochaj nas i niech Ciebie ludzie kochają«.

Co uderzało w tych listach, zarówno w liście ojca, jak i siostry, że ani jedno ani drugie nigdzie nie wspominało o p. Sand, że wymieniając wszystkich najbliższych przyjaciół Fryderyka, ani słówkiem nie wymieniali nazwiska autorki *Lelii*, z którą Chopin przecież mieszkał prawie pod jednym dachem! Nie znaczyło to jednak, by nie myśleli o niej, zwłaszcza by o niej nie myślał ojciec Fryderyka, gdy go zapytywał, »jak się czuje w nowem mieszkaniu«, t. z. jako najbliższy sąsiad p. Sand, co do której Mikołaj Chopin nawet zaczynał mieć pewne obawy, skoro oględnie zapytywał syna: »*Comment se fait-il, que tu changes de domestique? tu étais si content de ton Louis*«. Sposób, w jaki Mikołaj Chopin postawił to zapytanie, dowodził, że przenikliwość ojcowska, zawsze pełna instynktowej intuicyi, z faktu tego, że Fryderyk zmieniał służącego, wysnuwała daleko idące wnioski, których potwierdzenia szukała w smutnym nastroju Fryderyka, w fakcie, że nawet idąc na przyjęcie do króla, nie był wieczoru tego *de bonne humeur*. Widocznie, że coś było na dnie tego smutnego usposobienia, z czem Fryderyk krył się przed rodzicami. Co pewna, że ich całkiem nie wtajemniczał w swe pożycie z p. Sand, że o niej w listach nie pisał wcale, pomimo, że tak ważną rolę grała w jego życiu. Ale skoro on nie pisał nic o niej, czem widocznie dawał do zrozumienia, że nie chce, by poruszano tę kwestyę, to i rodzicom nie wypadało wspominać o tej jego dziwnej przyjaciółce i opiekunce. W każdym razie nie dało się zaprzeczyć, że to obustronne milczenie o p. Sand, zarówno w listach Cho-

[1]) Z Paryża.
[2]) Z Paryża.

pina do rodziny, jak i w ich listach do niego, nie było mimowolnem i przypadkowem, lecz umyślnem i tendencyjnem.

III.

Z pomiędzy licznych pism emigracyjnych, wychodzących w Paryżu, był niewątpliwie *Dziennik Narodowy* najbliższym Chopinowi, najsympatyczniejszym. Jako organ stronnictwa Platerów, z którymi Chopina łączyły tak serdeczne węzły przyjaźni, było to czasopismo, najbliżej związane z kołem ludzi, należących do tej samej koteryi, co i on. W *Dzienniku Narodowym*, bardzo starannie redagowanym przez Feliksa Wrotnowskiego, drukowały się prelekcye Mickiewicza w *Collège de France* (w znakomitym przekładzie Wrotnowskiego, przeglądanym i aprobowanym przez samego autora); w *Dzienniku Narodowym* drukowały się poezye Bohdana Zaleskiego; w *Dzienniku Narodowym* stale pomieszczał swe artykuły Stefan Witwicki; w *Dzienniku Narodowym* drukował swe poezye Konstanty Gaszyński; do *Dziennika Narodowego* pisywał X. Jełowicki; w *Dzienniku Narodowym* drukowały się korespondencye londyńskie Karola Szulczewskiego (sekretarza towarzystwa literackiego przyjaciół Polski w Londynie).

Cóż dziwnego tedy, że pismo, które między swymi współpracownikami liczyło tylu osobistych przyjaciół Chopina, częściej o nim, aniżeli inne, zamieszczało dłuższe lub krótsze wzmianki, że różne fakty, związane z osobą lub twórczością autora *Nokturnów*, przedewszystkiem na szpaltach *Dziennika Narodowego* znajdowały życzliwy oddźwięk.

Gdy np. w końcu 1841 r. wyszło *Album muzyczne*, złożone z różnych kompozycyi fortepianowych, między któremi było i *Preludyum Cis-moll* Chopina, w *Dzienniku Narodowym* już w Nr. 44 z dnia 29 stycznia 1842 r. znalazła się następująca informacya:

W tegorocznym *Keepsaku* fortepianistów, wydawcy Schlesingera, wśród imion pierwszych mistrzów dzisiejszych, spostrzegamy imiona trzech ziomków naszych: Chopina, Fontany i Wolffa. Utwory ich w następujący sposób ocenia *Gazeta muzyczna* paryska: »Po walcu Rossiniego następuje *Prelude* Chopina. Kawałek to zwięzły, trudny, bogatej modulacyi; znać w nim piętno twórczości, piętno odrębnego natchnienia, które cechuje dzieła tego wielkiego fortepianisty. *Caprice* Juliana Fontany, mało jeszcze znanego, jako kompozytora, ale godnego znajdować się w tak znakomitem towarzystwie, jest niby *marsz nocny* w zupełnie nowy sposób modulowany. Piękny bardzo utwór, bogaty w harmonię, i jakby przez melancholijny duch Chopina natchniony. *Ballada* Edwarda Wolffa nacechowana melancholią, niby opowiadanie o nieszczęśliwej miłości. Opowiadanie jest dramatyczne, energia i słodycz łączą się w niem, zlewają; wszystko jest pełne ognia i ruchu, pełne życia.

Gdy w Warszawie umarł Wojciech Żywny, w *Dzienniku Narodowym* w krótki czas potem, w Nr. 52 z dnia 26 marca 1842 roku, tak o tem powiadomiono swych czytelników:



W Warszawie umarł zeszłego miesiąca pierwszy nauczyciel w muzyce naszego Chopina: Wojciech Żywny, w 90-tym roku życia swego, w swoim czasie podobno najpierwszy fortepianista Warszawy. W starości odmładniała go myśl, że on był sam tylko nauczycielem Chopina; była to jego chwała, jego rozkosz, która starcowi, ile razy o tem wspomniał, łzy radości wyciskała [1]).

Żywny zmarł 21 lutego 1842 r. Zaraz nazajutrz znalazło się w *Kuryerze Warszawskim* zawiadomienie tej treści:

Stroskana familia po ś. p. Wojciechu Żywnym, obywatelu m. Warszawy, zmarłym wczoraj w 86 roku życia, zaprasza Krewnych i Przyjaciół na żałobne nabożeństwo w kościele OO. Bernardynów jutro o godzinie 10-tej zrana, i w tymże dniu z tegoż kościoła na exportacyę zwłok zmarłego o godz. 3-ciej po południu na cmentarz Powązkowski.

W trzy dni później, dnia 25 lutego, zamieścił *Kuryer Warszawski* następujący artykuł nadesłany:

W pięknie zgrzybiałym wieku, bo blizko w 90-tym roku życia, przed parą dniami zasnął w BOGU Wojciech Żywny, nestor nauczycieli muzyki w Warszawie. Rodem był z Czech, gdzie ma jeszcze familię. Przed kilkudziesięciu laty osiadł w kraju naszym i tenże polubił; a że ojciec jego był w swoim czasie sławnym fletrowersistą, młody Żywny, mając talent familijny, oddał się muzyce, lecz fortepian wybrał za swój instrument. Znajomość gruntowna i talent do nauki, której poświęcił się i czego później na 1000 uczniach dał dowody, była powodem, że po przybyciu do Polski zaraz został nauczycielem muzyki i nadwornym fortepianistą księcia Kazimierza Sapiehy, przy którym zostawał przez przeszło lat 3. Stąd ś. p. Żywny zaznajomił się z wszystkiemi pierwszemi familiami z czasów STANISŁAWA AUGUSTA, a obdarzony tkliwem sercem, dowcipem, będąc snadny w układzie, przyjemny w obcowaniu, łatwy w pożyciu, umiał wszystkich ujmować, i temu winien był szczęśliwe powodzenie. Później osiadł w Warszawie, skąd wcale nie wyjeżdżał; a jako pierwszy podówczas fortepianista, szczególniej był wzięty; stanowił bowiem epokę i modę, nie dając nigdy w życiu droższych lekcyi nad złp. trzy za godzinę. Talent jego, dobroć, szlachetność, uczynność, zjednały mu powszechną wziętość. Mało w Warszawie jest domów, któreby go nie znały; wiele jest osób, które go szanowały; jednym przez skrupulatne i korzystne udzielanie lekcyi; drugim przez gruntowne rady, innym przez dawanie wsparcia, był znany. Trzymał się Pisma Świętego: że co lewica daje, prawica wiedzieć nie powinna. I dlatego OPATRZNOŚĆ błogosławiła go, i dlatego zebrał znaczny majątek, którego ekonomicznie i filantropijnie umiał używać. Był człowiekiem postępowym: każdą myśl dobrą podzielał, i dlatego też od początku założenia Towarzystwa podupadłych artystów muzycznych w Warszawie, był jego członkiem. Żył w harmonii z obecnością i przeszłością. Młodych pociągał do siebie, nie oddalał się od starych; pierwsi czcili w nim i lubili patryarchalność, rozweselającą się wspomnieniami przeszłości, o której z wdziękiem opowiadał, drudzy cieszyli się widokiem czerstwości i świeżości jego serca. Nie wszedł w związki małżeńskie. Do ostatniej prawie chwili był zdrów na umyśle i ciele; zdrowie cenił nad wszystko, i dlatego też, pomimo tkliwego serca, nic go zmartwić nie zdołało; prawie nigdy nie chorował, pracowity do ostatniej godziny. Pokarmów zwy-

[1]) Wiadomość tę przedrukował *Dziennik Narodowy* z poznańskiego *Tygodnika literackiego*, który ją zamieścił w rubryce *Doniesień literackich* w Nr. 7 z dnia 14 lutego 1842 roku.

czajnych i trunków z wielkiem umiarkowaniem używał; nie kąpał się, tylko w dni letnie wódką cały się obmywał, wystrzegał się kawy, natomiast szlas i mleczywo za posiłek używał; tabakę z przyjemnością zażywał; wzrok i słuch miał mocny; *Kuryerka* na tydzień przed śmiercią jeszcze bez szkieł czytał; sam golił się; w wista i pikietę z upodobaniem grywał; tylko w rękach przy schyłku czuł małe osłabienie i trzęsienie. I on był kompozytorem swego czasu! Wiele *Sonat, Uwertur, Polonezów, Śpiewek* i skocznych ulubionych kiedyś tańców napisał, które postęp sztuki puścił w zapomnienie. Jedyną chwałą i rozkoszą, która mu nieraz łzy radości wyciskała, był jego ukochany uczeń, sławny nasz fortepianista Szopę (Chopin), którego sam tylko był nauczycielem fortepianu. Cześć jego dla religii, wyobrażenia o miłości rodziny i kraju, w którym osiadł, o cnocie, honorze, były jedne i niezmienne, a boleść dawna nieodebranej wiadomości od brata z zagranicy, którego młodzieńczem sercem kochał, towarzyszyła mu do grobowej deski. Słowem ś. p. Żywny żył użytecznie, a umarł jako chrześcijanin, bo miłosierdzie BOŻE całą srogość śmierci, za życie cnotliwe, złamało. Powiedzmy z Kochanowskim:

Nakoniec w sile wieku, lecz przystojnej chwały,
Sam prawie położył się, jako kłos dojrzały. *J.*

Dla całej rodziny Chopina, jak niewątpliwie i dla niego samego, nie była ta śmierć Żywnego zdarzeniem obojętnem; odczuto ją głęboko. Ludwika Jędrzejewiczowa, w której obecności wydał ostatnie tchnienie, tak o tem pisała w liście do Fryderyka: »Mój drogi! Wiesz już o naszym smutku. Nie uwierzysz, jak nam wiele brakuje, bo tego przyzwyczajenia nic nie zastąpi. Poczciwy stary i przy mnie skończył. Dowiedziawszy się późno o jego słabości, poszłam nazajutrz rano go odwiedzić. Przyszedłszy, powiadam mu, że tak nam przykro, żeśmy nic nie wiedzieli; synowa, czy jak, powiada, że wujaszek tak raptem zasłabł, my we środę dopiero, etc., a on na to: we wtorek, i to był ostatni wyraz. Potem stracił starowina przytomność i wkrótce skończył; przyszłam o kwadrans na 10-tą a o $10^1/_2$ już go nie było. Ciągle stoi mi przed oczyma. Szkoda go; nie umarł, jak chciał; wiele filantropijnych miał myśli, które z nim zagrzebane, a klucz, który miał przy chustce od nosa przywiązany, w ręce do niego przywiązanych przeszedł. Sądząc po sobie, nas się bali, a stary nie miał tej pociechy, żeby przez 6 dni chorując, widział z nas kogo; dopiero wigilię śmierci i to, gdyby nie ten sam doktór, co u niego bywał, odwiedził rodziców, dopiero po śmierci bylibyśmy się dowiedzieli, że po nim, gdyż nawet gospodarz domu kilka dni o jego słabości nie wiedział. Ociec dużo skłopotany, tembardziej, że to tak w jednym roku i Brucki, i Żywny, i Siebert!«

Przypadek zdarzył, że w tym samym dniu 21 lutego, gdy w Warszawie rano umarł Żywny, w Paryżu wieczorem Chopin dawał koncert w sali Pleyela z udziałem Franchomme'a i pani Viardot-Garcia [1]).

[1]) Szczegół charakterystyczny, świadczący, jak wielkiem było uwielbienie dla Chopina wśród jego przyjaciół, że w przeddzień tego koncertu, Aug. Gathy napisał list do Chopina, pełen entuzyazmu dla jego twórczości, z prośbą, by na programie jutrzejszego koncertu chciał umieścić *Mazurka* Op. 17 Nr 14, który mu niezmiernie jest miły. Tego uwielbienia



Jak zeszłoroczny, tak i ten koncert wypadł niesłychanie świetnie pod każdym względem (finansowego nie wyłączając). Salę zapełniła sama śmietanka paryskiego *fashionu*, a owacyjne przyjęcie, jakie zgotowano genialnemu koncertantowi, przeszło najśmielsze oczekiwania [1]). Zdaniem recenzenta z *France musicale*, wieczór ten, urządzony przez Chopina w sali Pleyela, wypadł zachwycająco. Była to uroczystość, pełna kuszących uśmiechów, delikatnych i różowych twarzyczek maleńkich i białych prześlicznych rączek; krótko mówiąc, festyn, na którym prostota szła w parze z wdziękiem i wytwornością, gdzie dobry smak opierał się na bogactwie. Brzydkie kapelusze czarne, w których mężczyznom tak nie do twarzy, prawie nie były widoczne. Złote branzolety, delikatne blado-niebieskie gazy, dyademy lśniących pereł, najpiękniejsze róże i rezeda, słowem, cudna mieszanina najłagodniej-

dowody mnożyły się nieustannie. Oto np. co czytamy, w *La France musicale* dnia 13 stycznia 1842 r. na str. 39: »Richard, pianiste, compositeur, vient d'arriver à Paris, où il se propose de donner un concert. Il a exécuté dernièrement, dans un cercle d'amis, trois nocturnes de sa composition, *dédiés à Chopin*«.

[1]) Jak to się zwykle zdarza w takich razach, i koncert Chopina był poprzedzony pewną reklamą w czasopismach, zwłaszcza w tych, w których współpracownikami byli osobiści znajomi artysty. Oto, co na trzy dni przed koncertem, dnia 18 lutego 1842 roku, pisała w tej kwestyi *La Presse:* »Chopin va se faire encore entendre cette année. Chacun se rappelle l'impression que produisit, il y a un an, dans le monde musicale, la promesse de son concert. La foule fut immense. On ne le connaissait pas. Elle sera plus grande encore aujourd'hui; on le connait. Rien n'a effacé le souvenir de cette délicieuse soirée, qui eut un caractère tout à fait à part, comme le talent de celui qui la remplit. Ce ne fut pas un concert, ce ne fut pas une soirée musicale, ce fut un festival, si festival veut dire fête de la pensée, joie intime et profonde de l'âme. Chopin s'est adjoint cette année M. Franchomme, dont le nom seul est un éloge, et M-me Garcia Viardot, que l'on demande toujours et que l'on entend si peu. Ce concert aura lieu lundi, 21 février, dans les salons de Pleyel, rue Rochechouart, 20, où l'on trouve des billets«. W *Gazette musicale* w Nr. 8 z dnia 20 lutego 1842 roku znalazła się następująca zapowiedź tego koncertu: »Le concert de M. Chopin aura lieu demain lundi dans la belle salle de MM. Pleyel. La haute société de Paris et tous les artistes s'y donneront rendez-vous. Voici le programme: 1) Andante suivi de la 3e ballade, par Chopin; 2) Felice Donzella, air de M. Dessauer, chanté par Madame Viardot-Garcia; 3) Suite de nocturnes, préludes et études par Chopin; 4) Divers fragments de Haendel, chantés par madame Viardot-Garcia; 5) Solo pour violoncelle, par M. Franchomme; 6) Nocturne, préludes, mazurkas et impromptu par Chopin; 7) le Chêne et le Roseau, chanté par madame Viardot-Garcia, accompagné par Chopin«. Jeszcze bardziej zachęcająco brzmiała zapowiedź tego chopinowskiego koncertu, pomieszczona dnia 20 lutego 1842 r. w *La France musicale:* »On se rappelle avec quelles marques de sympathie on accueillit, l'an dernier, l'annonce d'un concert donné par M. Chopin. Celui qu'il doit donner le 21 février, chez M. Pleyel, préoccupe en ce moment tout le monde artiste de Paris. Le célèbre pianiste exécutera plusieurs compositions nouvelles. On entendra aussi madame Viardot et M. Franchomme. On sait, quels ravissants effets Chopin sait tirer des délicieux pianos de Pleyel; demain on pourra juger encore de ce que peut produire de merveilleux l'union d'une grande intelligence avec l'instrument qui lui sert d'écho«.

szych i najjaskrawszych barw, wszystko to krzyżowało się we wszystkich kierunkach na wonnych głowach i śnieżno-białych ramionach najpowabniejszych kobiet, walczących o lepsze z przepychem książęcych salonów. Największe powodzenie osiągnęła na tym wieczorze pani Sand. Od chwili, gdy się ukazała na sali w towarzystwie swych dwóch uroczych córek (t. j. ze swą córką, Solange Dudevant, i ze swą wychowanicą, Augustyną Brault), skupiły się na niej spojrzenia wszystkich. Kto inny na ich miejscu, gdy nań skierowało się tyle oczów, co gwiazd na niebie, może-by się czuł przygniecionym, ale p. Sand jeszcze się zdobywała na uśmiechy i skinienia głową«. Na takiem tle odbył się cały koncert, o bardzo obfitym programie. Choć na ten program złożyły się także interesujące produkcye Franchomme'a, który wykonał solo na wiolonczeli, i pani Viardot-Garcia, która — przy akompaniamencie samego koncertanta — odśpiewała kilka utworów wokalnych Händla, oraz dwie pieśni *Felice Donzella* i *Le Chêne el le Roseau,* to jednak lwią część programu, złożonego aż z kilkunastu numerów, wypełnił sam Chopin, który zacząwszy od *Andante spianato,* odegrał następnie *Balladę As-dur, Impromptu Fis-moll, Preludyum Des-dur, Mazurki As-dur, B-dur* i *A-moll, Etiudy As-dur, F-moll* i »rewolucyjną« *C-moll,* oraz cztery *Nokturny,* w tej liczbie *Nokturn Fis-moll.* Grał, jak zwykle, prześlicznie, niezrównanie, sposób zaś, w jaki wykonywał swe utwory, całkiem nie polegał, jak u innych wirtuozów, a szczególniej u Liszta i Thalberga, na chęci naśladowania efektów orkiestrowych. Nic mniej nie odpowiadało intencyom i naturze talentu Chopina. »Przysłuchując się — pisał sprawozdawca *France musicale* — tym wszystkim dźwiękom, tym wszystkim odcieniom, które następują po sobie, mieszają się z sobą, odcinają się od siebie, a potem znowu łączą się w jedno, a wszystko to dla osiągnięcia jednego celu, czyż chwilami nie ma się wrażenia, że się słyszy głosy małych elfów, wzdychających do srebrnego dzwoneczka, albo deszcz pereł, opadających na kryształową szybę? Palce pianisty zdają się rozmnażać do nieskończoności, tak, że zdaje się niepodobieństwem, aby dwie ręce mogły wystarczyć dla wywołania tak dokładnie i od niechcenia tylu efektów w najzwyklejszem tempie«. Inny krytyk, Maurice Bourges, przy sposobności napomknął o Liszcie i Thalbergu, którzy swą grą wywołują wielki entuzyazm. »I Chopin budzi zapał, ale mniej energiczny, mniej hałaśliwy w swych zewnętrznych objawach, co właśnie należy przypisać temu, że każe drgać najtajniejszym strunom serca«. Niesłychanie oryginalny w ornamentacyach, w ozdobach, bywa Chopin czasem, zdaniem tego krytyka, i zmanierowany cokolwiek.

Obszerne sprawozdanie pióra Maurycego Bourges, p. t. *Soirée musicale de M. Chopin,* ukazało się dnia 27 lutego 1842 r. w Nr. 9 *Gazette musicale,* a brzmiało *in extenso,* jak następuje:



Si la musique est réellement une architecture de sons, comme l'a dit ingénieusement une femme célèbre, convenez que M. Chopin, le pianiste-compositeur, est un bien élégant architecte. Vous savez quelles formes originales revêt sa gracieuse fantaisie. En parcourant avec un interêt toujours plus vif ces petits chefs d'oeuvre si curieusement, si délicatement travaillés, on en vient malgré soi à rêver de l'Alhambrah, du Généralife, de tous ces délicieux caprices du génie arabe réalisés dans les monuments de Grenade la merveilleuse. La pensée se complait dans le spectacle de cette opulence de bon goût. L'ordre fait toujours si bien, associé à la richesse! Et c'est là surtout le caractére distinctif des créations de M. Chopin. Sa féconde imagination sait se diriger au milieu des plus brillants écarts; elle n'abandonne jamais un certain fil conducteur qui rattache l'une à l'autre, avec une précieuse habileté, les diverses parcelles de son oeuvre.

Le style de M. Chopin est encore éminemment aristocratique. Il s'en exhale comme un parfum de bon ton; c'est quelque chose d'exquis, de fashionable, passez-moi le mot un peu usé. Aussi point de banalité dans le caractère général; point de lieux-communs dans les détails. Le défaut contraire serait peut-être celui qu'une critique rigoureuse pourrait relever. Trop de recherche fine et minutieuse n'est pas quelquefois sans prétention et sans froideur. La musique ressemble à une belle personne qu'on aime sans doute à rencontrer divinement parée, mais qu'on ne serait pas faché de surprendre de temps en temps en négligé.

Du reste, loin de nous la pensée de faire une mauvaise querelle à M. Chopin. Il a, lui aussi, beaucoup de ce naturel charmant quand il le veut, c'est à dire lorsqu'il n'abuse pas de son étonnante facilité à trouver des formes d'ornementation neuves, mais parfois un peu manièrées. Et puis ne sait-on pas que les imperfections naissent toujours de l'exagération des qualités? Après tout, ces quelques taches disparaissent dans l'ombre, quand on envisage un talent par son côté lumineux. Chez M. Chopin le génie mélodique a un caractère si expressif, si tendre, si distingué, son style harmonique est si richement doté, que l'impression première, toujours irrésistible désarçonne la critique qui se tenait prête à fournir la carrière, la visière baissée, la plume en arrêt.

Voyez aussi quel est le succès de M. Chopin aux rares apparitions qu'il fait en public. Songez à tout ce que dit l'empressement avec lequel on recherche les moyens de l'entendre; artistes et amateurs font foule autour de lui. Ah! c'est qu'il y a là plus d'un sujet d'admiration. Le compositeur n'est pas seulement tout ce que l'on vient applaudir, c'est aussi le virtuose, le séduisant pianiste qui sait faire parler à ses doigts un prestigieux langage, qui épanche toute son âme brûlante dans cette exécution vraiment complète; c'est qu'il y a dans ce jeu exceptionnel une personnalité dont nul autre n'a le secret; c'est que le clavier se transforme en quelque sorte, et devient presque un organe nouveau, quand il obéit à la fièvreuse impulsion d'un génie tendre et passionné. Liszt, Thalberg excitent, comme on sait, de violents transports; Chopin aussi en fait naître, mais d'une nature moins énergique, moins bruyante, précisémeut parce qu'il fait vibrer dans le coeur des cordes plus intimes, des émotions plus douces. Les premiers soulèvent une exaltation qui déborde impérieusement par les éclats de la voix et du geste. L'autre pénètre plus au fond peut-être; les sensations qu'il excite ont quelque chose de plus concentré, de plus voilé, de moins expansif; mais elles n'en sont pas moins délicieuses. Demandez-le à tous ceux qui ont pu assister à la soirée donnée lundi dernier dans les salons de M. Pleyel.

Comme exécutant, M. Chopin a été ce qu'on n'a guère besoin de vous dire, et ce que la parole est toujours impuissante à rendre. Il a rallié à lui toutes les sympathies dans cette nombreuse assemblée d'élite. Nous n'ajouterons rien aux témoignages de haute admiration que lui a prodigués la salle entière, et auxquels nous sommes heureux d'avoir contribué pour notre part. Quelques mots seulement sur la valeur des compositions que l'artiste a si bien dites.

Les trois mazurkas en la bémol, en si majeur et en la mineur sont dignes de leurs soeurs ainées. M. Chopin excelle dans ce genre national, qu'il s'est approprié en quelque sorte. Quoique plusieurs l'aient imité, aucun n'est parvenu encore à l'y surpasser. C'est un abandon charmant, une grâce parfaite, une désinvolture mélodique qui n'est qu'à lui. Cette espèce de composition est généralement assez courte; la pensée, pour produire de l'effet, doit y être claire, incisive, frappante dans ses petites dimensions. M. Chopin a déjà écrit bien des mazurkas; il y en a peu qui ne soient remarquables; celles qu'il a chantées au dernier concert ne dérogent pas.

Les trois Etudes en la bémol, en fa mineur et en ut mineur, extraites de son second livre ont impressionné vivement l'auditoire. On n'en a guère fait de plus fortes, de mieux nouées, de plus attachantes. L'intérêt se soutient d'un bout à l'autre, soit à l'aide du dessin mélodique toujours original, soit au moyen des ressources harmoniques dont l'auteur fait un excellent usage. Le Prélude en ré bémol est encore une heureuse inspiration, plus heureuse peut-être que l'Impromptu en sol, du moins autant qu'il est permis d'en juger après une seule audition rapide. Ce morceau nous a semblé au premier aperçu moins neuf, moins ordonné, moins net enfin que tout ce qui sort de la plume de M. Chopin. Cependant nous n'émettons notre opinion qu'avec doute; l'effet est quelquefois entravé par des circonstances si étrangères à l'oeuvre et à l'artiste, qu'un jugement de cette nature ne se prononce jamais qu'en faisant ses réserves. Ce que nous pouvons seulement dire avec certitude, c'est que l'Impromptu n'a pas offert un intérêt égal a celui des quatre nocturnes que M. Chopin a exécutés; on y a distingué celui en ré bémol d'une ravissante fraîcheur. Le quatorzième avec ses triolets opposés par la main gauche aux simples croches de la main droite, avec le trois temps original qui figure au milieu; a fait un plaisir extrême. Mais c'est surtout à la troisiéme ballade qu'on a rendu les armes. A notre sens, c'est une des compositions les plus achevées de M. Chopin. Sa flexible imagination s'y est répandue avec une magnificence peu commune. Il régne dans l'heureux enchaînement de ces périodes aussi harmonieuses que chantantes une animation chaleureuse, une rare vitalité. C'est de la poésie traduite, mais supérieurement traduite par des sons.

Si nous n'avions à redouter les langueurs d'une analyse toujours fastidieuse, lorsque elle se fait trop technique, nous voudrions effeuiller devant vous cette création nuancée des plus charmantes couleurs. Mais de longues pages sont toujours insipides pour qui n'a pas entendu, et encore plus pour qui a joui de l'oeuvre même. Finissons-en donc avec M. Chopin, dont la réputation est déjà assez vaste pour ne pas gagner beaucoup à la justice que nous lui rendons. D'ailleurs nous avons encore des éloges à distribuer au talent si pur, si fini de M. Franchomme, ainsi qu'à la voix pénétrante de Madame Viardot-Garcia. Comme la Didon de Piccini, cette jeune cantatrice peut dire: Ah! que je fus bien inspirée! Et nous ne la démentirons pas; car elle a chanté avec une âme et une beauté de moyens extraordinaires une composition aussi connue que jolie, la Félice Donzella de Dessauer, puis deux fragments du vieux, mais sublime Haëndel, enfin le Chêne et le Roseau qui a été redemandé. Décidément Madame Viardot veut nous rendre sa noble soeur; elle aussi composait de charmantes choses. Que Madame Viardot marche donc dans la même voie où elle est entrée avec succès, mais que les délassements du compositeur ne lui fassent pas oublier sa véritable vocation.

Niemniej obszernie i entuzyastycznie wypadło sprawozdanie z tego koncertu, zamieszczone również dnia 27 lutego 1842 roku w *La France musicale,* a podpisane nazwiskiem Escudier'a. Wydrukowane w formie osobnego artykułu na miejscu naczelnem, p. t. *Concert de M. Chopin,* brzmiało ono, jak następuje:



Ce serait une curieuse histoire à faire que celle des concerts publics. Toutes les années, et à peu près à la même époque, vingt salles environ ouvrent leurs portes à deux battans, à la très grande satisfaction de ce qu'on veut bien appeler le monde musical. Un certain nombre de ces salles s'ouvrent seulement pour la forme, car c'est à peine si, dans un espace de cinq mois, on daigne les honorer de quelques chansonnettes ou de quelques contredanses. Une fois la saison musicale commencée, les musiciens arrivent comme des hirondelles; on ne sait de quels pays ils reviennent. Les chanteurs sont toujours en avant, les pianistes suivent de près; viennent ensuite les violonistes, puis les bassistes, puis les flûtistes, puis les clarinettistes, puis les cornisites, puis les contrebassistes, puis, puis enfin les instrumentistes de toute espèce, de tout âge et de tout sexe. C'est un tohu bohu sans fin, une bataille de sons incroyable; c'est de la fureur, de la rage; et tous ces malheureux artistes viennent dans cet Eldorado qu'on nomme Paris, dans un même but, avec une seule pensée; la pensée, c'est la gloire; le but, c'est la fortune. Hélas! trois fois hélas! combien d'entre eux sont à plaindre! Les concerts, à Paris, les concerts productifs sont bien rares. Il en est jusqu'à cinq que l'on pourrait compter; et encore la position de ces bénéficiaires privilégiés n'est guère à envier. Pour arriver à leur fin, qui est toujours de donner un concert public, ils doivent passer tous les soirs et pendant trois mois, sous les fourches caudines des amateurs de salon. Madame la comtesse D. ne paie pas; mais, en revanche, elle prend cinq ou six billets de concerts. M. le marqnis protège les artistes; il les accueille comme ses enfants, et les prend une fois l'an au moins à sa table; il craindrait de blesser leur amour-propre en déliant en leur honneur les cordons de sa bourse, et il accepte volontiers quelques billets de concert. Voilà ce qu'on appelle, en France, honorer la musique.

Il est cependant quelques exceptions rares, bien rares à la vérité, mais elles existent; entr'autres Bertini, Chopin, Baillot par exemple, qui ne consentiraient jamais à jouer en public, s'ils devaient subir ces exigences du grand monde.

Ceux-là aiment la gloire, et si la gloire ne venait les chercher, ils n'iraient pas au devant d'elle. Ces musiciens, aussi modestes que grands, sont fiers de leur talent et de leur indépendance; ils ne sont au service de personne, et leur silence les élève d'autant que le bruit et la publicité écrase et abaisse les autres. Le chapitre de la vie des artistes n'est pas un des moins féconds pour l'historien qui s'en fera l'interprête, ni un des moins intéressants pour l'édification du public. Si nous ne l'écrivons pas maintenant, nous ne renonçons pas à l'écrire: c'est du concert de M. Chopin que nous devons entretenir aujourd'hui nos lecteurs.

Ceux qui ne connaissent pas le pianiste polonais ne sauraient, par un simple compte-rendu, se faire une idée de son talent exceptionnel; ceux qui l'ont entendu et qui le connaissent n'ont pas besoin de nos éloges pour apprécier son mérite et son caractère. Ainsi donc, nous aurions vite fait en vous disant tout simplement que Chopin est un pianiste hors ligne, un pianiste comme il en existe peu ou comme il n'en existe pas; mais notre devoir est de dire tout ce que nous pensons, et nous en dirions long sur le concert de M. Chopin si l'espace, le temps et nos lecteurs nous le permettaient.

Ainsi donc, Chopin a donné, dans la salle de M. Pleyel, une soirée charmante, une fête toute peuplée d'adorables sourires, de minois tendres et rosés, de petites mains blanches et modelées; une fête magnifique, où la simplicité se mariait à la grâce et à l'élégance, et où le bon goût servait de piédestal à la richesse. Ces vilains chapeaux noirs qui font à l'homme la plus désagréable figure qui soit possible, étaient en très petit nombre. Les rubans dorés, las gazes bleu tendre, les chapelets de perles tremblantes, les roses et les mignonnettes les plus fraiches, enfin mille bariolages des plus jolis et des plus gais s'assemblaient et se croisaient de toutes façons sur les têtes parfumées et les épaules argentées des plus charmantes femmes que les salons princiers se disputent. Le premier

succès de la séance a été pour Madame Georges Sand. Dès qu'elle a paru avec ses deux charmantes filles, tous les regards se sont portés vers elle. D'autres auraient été ébranlés par tous ces yeux braqués comme autant d'étoiles; mais Georges Sand se contentait de baisser la tête et de sourire. Pourquoi donc aussi s'aviser d'avoir une telle célébristé littéraire?

Chopin a joué huit morceaux. Les compositions de cet artiste ont toutes entre elles une ressemblance parfaite de formes; la pensée seule varie, et ce n'est pas une de leurs moins brillantes qualités. Poète et poète tendre avant tout, Chopin s'attache à faire dominer la poésie. Il fait de prodigieuses difficultés d'exécution, mais jamais au détriment de sa mélodie, qui est toujours simple et originale. Suivez les mains du pianiste, et voyez avec quelle merveilleuse facilité il exécute les traits les plus gracieux, rapproche les distances du clavier, il passe du piano au forte et successivement du forte au piano! Les magnifiques instruments de M. Pleyel se prêtent admirablement à ces diverses modifications. En écoutant tous ces sons, toutes ces nuances, qui se suivent, s'enchevêtrent, se séparent, se réunissent, pour arriver à un même but, la mélodie, ne croyez-vous pas entendre de petites voix de fées qui soupirent sous des cloches d'argent, ou une pluie de perles qui tombent sur des tables de cristal? Les doigts du pianiste semblent se multiplier à l'infini; il ne paraît pas possible que deux mains seulement puissent produire des effets de rapidité aussi précis et aussi naturels. Ne demandez pas à Chopin de simuler avec le piano les grands effets d'orcheste. Ce genre d'exécution ne convient ni à son organisation ni à ses idées. Il veut vous étonner par sa rapidité légère, par ses mazurkes aux formes nouvelles, et non vous donner des attaques de nerfs et vous faire tomber en syncope. Son inspiration est toute de poésie tendre et naïve; ne lui demandez pas de grands coups de doigts, des variations diaboliques; il veut parler au coeur et non pas aux yeux; il veut vous aimer et non vous dévorer. Voyez: le public est tombé en extase; l'enthousiasme est à son comble; Chopin a atteint son but.

A cette soirée, délicieusement composée, ont concouru madame Pauline Garcia-Viardot et M. Franchomme. Madame Viardot a chanté avec une admirable expression, divers morceaux de Haendel, un, entr'autres, qui renferme une des plus belles modulations connues dans le chant; elle a été malheureuse dans une air italien de M. Dessauer. Aussi, pourquoi chercher à produire une musique aussi triviale? Nous ne connaissons rien de plus tristement médiocre que cet air de M. Dessauer, si ce n'est les mélodies de M. Auguste Morel. Ces deux messieurs devraient se réunir, ils produiraient de la musique exécrable. M. Franchomme est un très grand artiste, comme chacun sait, nous pouvons même dire le premier violoncelliste que nous ayons à Paris. Celui-là, pour exciter le public, pour l'entraîner, n'emploie ni les roulements de prunelles, ni les effets de décoratton, ni une affectation vers le sentiment et la rêverie. Il est presque invisible lorsqu'il se tient attaché à son instrument, et il se fait applaudir, applaudir encore, parce qu'il comprend et sait faire comprendre ce qu'il sent; son exécution est pure, élévée; telle, enfin, que doivent l'éxiger les gens de bon goût et d'intelligence.

Niemniej pochlebnie wypadły dłuższe lub krótsze sprawozdania z tego chopinowskiego koncertu, zamieszczone w paryskich pismach codziennych: w *La Presse* i w *Journal des Debats.*

Oto, co na ten temat pisał sprawozdawca *La Presse,* w numerze z dnia 1 marca:

E. Legouvé: Le succès du concert de Chopin a été tel que nous l'avions prévu, tout à la fois éclatant et charmant. Ces divines délicatesses de son et de pensée, ces grâces exquises, ont été applaudies par ce quatre cents auditeurs comme les plus brillants morceaux. C'est que dans ces formes vaporeuses et insaisissables, il y a une originalité puissante. L'amour,



la mélancholie, la douleur, tout se reflète dans ces petits chefs-d'oeuvre, et puis, derrière ces gracieuses et tendres mélodies, passent et résonnent des traits de combats, de marches guerrières et funestes, souvenir lointain de la patrie héroique, écho douloureux des sanglots de Varsovie; c'est qu'il y a deux hommes dans Chopin, le patriote et l'artiste, et l'âme de l'un nourrit le génie de l'autre.

W *Journal des Débats,* w feljetonie p. t. *Concerts,* zamieszczonym dnia 15 kwietnia, a poświęconym całemu szeregowi najgłówniejszych koncertów w sezonie, Hector Berlioz tak pisał o koncercie Chopina:

Chopin se tient toujours à l'écart; on ne le voit ni aux théâtres ni dans les concerts. On dirait qu'il a peur de la musique et des musiciens. Tous les ans une fois, il sort de son nuage, et se fait entendre quelques instants dans le salon de Pleyel. Alors seulement le public et les artistes sont admis à admirer son magnifique talent. Pour tout le reste de l'année, à moins d'être prince, ou ministre, ou ambassadeur, il ne faut plus songer au plaisir de l'entendre. Tant d'autres joueraient sur les places publiques, si l'on voulait le leur permettre!! Est-ce timidité de la part de Chopin, ou bien est-ce pour faire songer ses admirateurs à la fable de Florian, *le Rossignol et les Moineaux?* Le succès de son dernier concert a été tel qu'un artiste doit être bien philosophe pour ne pas succomber à la tentation d'en obtenir plus souvent de pareil, quand il ne dépend que de lui. Son jeu est toujours le type de la grâce capricieuse, de la finesse et de l'originalité, et ses nouvelles compositions ne le cèdent point à leurs ainées pour la hardiesse harmonique et la suavité des mélodies [1]).

[1]) W *Le Siècle* z dnia 7 marca, w feljetonie p. t. *Concerts,* stały sprawozdawca tego dziennika Hippolite Lucas, w tych kilku wierszach zamknął swe wrażenie z koncertu Chopina: »...nous avons de nouveau entendu M-me Viardot-Garcia à la soirée musicale de MM. Chopin et Pleyel, et jamais la jeune soeur de Malibran n'avait encore paru plus digne de cette brillante mais redoutable parenté. M. Chopin à cette soirée a fait parler les si délicieux pianos de Pleyel de la façon la plus séduisante: M. Chopin est un musicien plein d'âme, d'esprit et d'imagination«.

W odmiennym tonie, bo cierpkim, były sprawozdania, jakie o tym koncercie zamieściły *Le Temps* i *Le Courrier Français.* Sprawozdawca pierwszego z tych pism, podpisany inicyałami *P. M.* w *Cronique musicale* z dnia 1 marca 1842 roku tak ironizował na temat koncertów wogóle, a koncertu Chopina w szczególności: »Les concerts se succèdent et se ressemblent. L'ennui y préside. L'abandon et la solitude les discreditent. On les peuple en répandant à profusion des billets gratuits. Bientôt les artistes serront réduits à payer leurs auditeurs. L'orchestre absorbera tous les exécutants, et dix ou douze chanteurs seront seuls écoutés parmi la foule des tenors et de soprani qui s'évertuent *à crier dans le désert.* Comment n'en serait-il pas ainsi? Il n'est pas une jeune femme du monde qui n'apprenne la musique à présent, et la plupart en remontreraient à la grande majorité des artistes! Cependant plusieurs d'entre ces derniers recrutent encore dans les salons où ils sont admis, un certain nombre d'auditeurs qui ne savent comment se soustraire à l'impôt forcé de quelques concerts. Une assemblée suffisante qui brillait plus encore par la qualité que par la quantité, avait été réunie pour assister au concert semi-humanitaire de M. Chopin. On y comptait des protecteurs, des élèves et des amis de ce pianiste. Les protecteurs sont ceux qui reconnaissent les complaisances des artistes par l'achat des billets de concert, les élèves sont ceux qui subissent l'impôt forcé dont nous avons parlé. Les amis ne comptent pas dans la recette. Pianistes et exécutants de tout genre, chanteurs

Pod każdym względem zadowolony z wyniku swego koncertu, w cztery dni później, dnia 25 lutego, napisał Chopin, po trzech miesiącach milczenia, obszerny list do rodziny, przyczem do niego załączył kilka wycinków z pism, ze sprawozdaniami o swym występie na estradzie koncertowej. Nadto rozpisał się o różnych faktach ze swego życia artystycznego, między innemi o paru sztuczkach Liszta, świadczących o jego dwulicowości i nieszczerości w stosunku do niego i pani Sand, co oczywiście nie mogło mieć dodatniego wpływu na ich stosunek do siebie. Już-to wogóle Chopin nie lubił Liszta w głębi duszy, a choć z tem nie zdradzał się przed wszystkimi, owszem, politykując ile możności, to jednak w listach, pisanych do swych najbliższych, nie potrzebował się krępować. Tak np. przekonany był, że nieco chłodniejszy ton, dający się zauważyć w sprawozdaniach po jego ostatnim koncercie, zwłaszcza w *La France musicale,* miał do zawdzięczenia Lisztowi i jego zakulisowym wpływom. Na list ten, oczekiwany z taką niecierpliwością, odpisał Mikołaj Chopin dnia 21 marca obszernym listem, do którego dopisały się i pani Chopinowa, i Ludwika. »List Twój z 25 z. m. sprawił nam podwójną przyjemność: po pierwsze, uspokajając obawę po trzech miesiącach milczenia z Twej strony; a po drugie, przynosząc nam wiadomość, żeś dawał wieczór muzyczny, który, sądząc z wycinków przysłanych przez Ciebie, słuchaczów Twych zadowolnił. Winszuję Ci tego z całego serca, głównie ze względu na powodzenie, które dowodzi wyraźnie, że zachowujesz stanowisko swe pośród artystów, a powtóre, z przyczyny dochodu, który pozwoli Ci niewątpliwie spędzić kilka miesięcy na wsi podczas lata, w czasie, kiedy ilość lekcyi zwykle się zmniejsza i kiedy można przyjść do siebie po utrudzeniach zimowych. Nie wychodziłem z domu przez całą zimę, byłem jednak na koncercie Artôt'a,

de théâtre et chanteurs de salon auront désormais fort à faire. Leur règne est passé. Plus de ces soirées où l'on s'enivrait de musique. On va bientôt passer à un autre mode«.

Jeszcze jadowitszą była wzmianka w rubryce *Concerts,* zamieszczona w *Le Courrier francais,* z dnia 14 marca, a podpisana tymiż inicyałami *P. M.*, co i feljeton w *Le Temps.* Zgryźliwy sprawozdawca, widocznie niechętnie usposobiony dla Chopina, tak pisał o jego ostatnim koncercie: »M. Chopin a donné son concert *in petto,* sans réussir à transporter une coterie qui s'est pourtant toujours montrée très inflammable au choc de son talent. Franchomme a joué plusieurs fois avec une pureté, une vigueur, une prestesse au-dessus de tout éloge, un concerto à peine écouté par le public«. Należy przypomnieć raz jeszcze, że *Courrier français* był pismem wydawanem przez Leona Faucher, tudzież przez Fr. Wołowskiego, a więc przez serdecznych przyjaciół Chopina. A jednak w tem piśmie najsarkastyczniej pisano o Chopinie. Powtórzyło się to, co w bajce Krasińskiego: »Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły«. Czyli, że i Chopin mógł powtórzyć znaną modlitwę: Panie Boże, chroń mię od moich przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę.

Nawet w socyalistycznej *Revue indépendante,* w zeszycie z 1 marca 1842 roku, znalazła się wzmianka o koncercie Chopina. Pisano tam, w kronice miesięcznej, między innemi, co następuje: »Ceux qui le lendemain ont entendu, dans la brillante Soirée de Chopin, madame Viardot chanter les fragments de Haendel«.



który, niewątpliwie przez wzgląd na Ciebie, pamiętał o nas i przysłał nam lożę. Z przyjemnością słyszałem, jak grał jeden z Twych *Mazurków;* zrobił nim furorę. Ernst był u nas i przysłał nam bilet na koncert. Poczciwy Elsner, który nie zapomina o Tobie, przyszedł nas odwiedzić w dzień Twoich imienin; życzenia jego są szczere, jak nie można więcej. Liszt tu jeszcze nie był; mówią, że wyjechał z Berlina, udając się do Rosyi przez Królewiec, i że dopiero, gdy będzie wracał, będziemy mieli przyjemność usłyszenia go tutaj. Wyznaję, żem się nie spodziewał tego, co mi o nim piszesz, a wzmianka, którą zrobiono o nim i o Thalbergu w artykułach o wieczorze Twoim, nie przyczyni się zbytnio do zbliżenia. Co robić w podobnych okolicznościach? Oto postępować ze zwykłą Ci przezornością i delikatnością, nie ustępując ani na krok. Możesz postępować względem niego z godnością i wszystko zrzucić na niego. Teraz dosyć o tem. Zapewniam Cię tylko, że sprawisz mi wiele przyjemności, nie każąc mi tak długo czekać na wiadomości o sobie. Oto 72-gi rok dobiega końca; niech-że przez tę trochę życia, jaka mi zostaje, mogę przynajmniej jeszcze od czasu do czasu mieć przyjemność odczytania niejednego listu Twego. Pisz mi o sobie, o tem, co Cię dotyczy; przecież to jedyna rzecz, która mię może zajmować. Oto lato się zbliża; co zamyślasz czynić? Czy zostaniesz w Paryżu? Czy nie zrobisz jakiej wycieczki? Wreszcie pisz do nas tak obszernie, jak Ci czas pozwoli, nie zabierając sobie jednak chwil cenniejszych. Wierz, że Ciebie nie zapominamy; matka Twoja, kochająca matka, pomimo osłabienia wzroku, które bardzo się wzmaga, pisze kilka słów do Ciebie. Ściskam Cię z całego serca«. Charakterystyczną była zawarta w tym liście Mikołaja Chopina prośba do syna, cokolwiek zakrawająca na delikatną wymówkę, by mu pisał o sobie. »*Parle-moi de toi, de ce qui te concerne, c'est bien la seule chose qui puisse m'intéresser*«. Tymczasem Chopin właśnie o sobie, o tem, co go dotyczyło najbardziej, o swym stosunku do p. Sand, pisał w listach do domu jaknajmniej, a raczej nie pisał o tem nic. Widocznie, że bolało to Mikołaja Chopina. Najlepszy dowód, że zapytując Fryderyka, czy w lecie nie zrobi jakiej wycieczki za granicę, tem samem dawał mu do poznania, że niekoniecznie był zadowolony z jego wakacyi w Nohant. To przemilczenie o Nohant, nawet w tym ustępie, gdzie mówił o możności *de passer quelques mois à la campagne* bardzo było znamiennem dla zapatrywań Mikołaja Chopina w kwestyi tej *intimité* Fryderyka ze słynną autorką. Jakoż w żadnym z listów, pisanych do syna, Mikołaj Chopin ani razu nie wymienił nazwiska p. Sand.

Wymieniały je za to niejednokrotnie jego córki, gdy pisały do brata. Tak np. Ludwika, przypisując się dnia 21 marca 1841 roku do listu ojca, w ten sposób wyraziła swoje zdziwienie: »Już się też nie godzi, aby w Paryżu nie wiedzieli, ile córek ma George S.; cóż w Warszawie się dziwić, jeżeli dziwne piszą rzeczy«. Te właśnie »dziwne rzeczy«, które

w Warszawie pisano i mówiono o p. Sand, najbardziej niepokoiły Mikołaja Chopina, napełniały go troską o syna. Obszerny przypisek Ludwiki, która w korespondowaniu z bratem wyręczała swą młodszą siostrę (widocznie mającą równie »trudne pióro«, jak Fryderyk), zawierał następujące charakterystyczne ustępy: »Dopiero dziś Ci winszujemy i życzymy za 1 i 5 marca [1]); nie pisaliśmy, bośmy listu czekali, a wiedząc o koncercie, później zdawało nam się, że czekasz, jak się uda, aby nam donieść; i tak się też stało. Bogu dzięki, że jest list, bo był bardzo do zdrowia i spokojności rodziców potrzebny. Recenzyę z *Gazette de France* wolę. *Musicale* nie umywała się do owej zeszłorocznej. Zawsze Fryc jest jeden, któremu będą się jeszcze dziwili nie sto razy i ekstazyowali, tak, jak nad ostatniemi kompozycyami, które, mówił Nowakowski, że są nadzwyczajne, piękniejsze nad najpiękniejsze Twoje. Dobrze, że świat muzykalny kontent; cieszą się, że może kiedy zaczniesz się dawać słyszeć, i dopytują się. Niech czekają; może się i doczekają, tak, jak ja w myśli widzenia Cię kiedy. Miej tak dalej sławę i przyjaźń i szacunek świata; bądź zdrów, wesół, szczęśliwy; niech Ci nigdy na niczem nie zbywa; kochaj nas i dla zadosyćuczynienia kochanemu Papce *une poire pour la soif* (chociaż Ci nie zupełnie do smaku): oto są nasze życzenia. Artôt robił furorę Twoim *Mazurkiem;* cóż się też działo na teatrze! Ojciec aż się rozpłakał i nic nie kaszlał. Artôt przysłał lożę, grzeczny, *tribu rendu par tous les artistes* rodzicom Twoim«. Wspomniany tu Artôt dał dwa koncerty w Warszawie, 26 lutego i 9 marca 1842 roku. Na obu grał tego samego *Mazurka* Chopina. Na pierwszym koncercie, według relacyi *Kuryera Warszawskiego* »niespodziewanie zadawalał odegraniem po dwakroć *Mazura Szopena*«, tak, że »wśród powszechnych oklasków przywołano go jeszcze dwa razy«. To też i na drugim koncercie »ulubiony *Mazur Szopena* na powszechne żądanie został powtórzony« przez artystę. Z Warszawy udał się Artôt na tournée artystyczną do Rosyi. Przybywszy do Moskwy, napisał stamtąd dnia 10 maja 1842 r. list do Chopina (polecając mu pannę Kologrivoff, udającą się do Paryża dla dalszego kształcenia się w grze na fortepianie pod kierunkiem Chopina), pisząc mu między innemi, że w całej Rosyi, wszędzie, dokąd przybył, zarzucano go wykrzyknikami: »Connaisser vous Choppin?! Dieu! que je voudrais faire la connaissance de Choppin!« Podobnie, jak Artôt, również i Ernst, gdy dnia 19 lutego dawał koncert w Warszawie, a rodzicom Fryderyka »wiele względów okazywał« grał nad program »przyjemnego *Mazura* Szopena« poczem siódmy raz został przywolany. Dowód to, jaki entuzyazm w Warszawie wywoływały kompozycye Chopina.

Tymczasem w Paryżu umarł dnia 15 marca Cherubini. W paryskim

[1]) Choć urodzony 22 lutego, Chopin obchodził swe urodziny w dniu 1 marca, przekonany, że to był dzień jego urodzin.



świecie muzycznym był to fakt pierwszorzędnej doniosłości, który na zewnątrz ujawnił się w formie wspaniałego pogrzebu. Pochowano go na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu grobu Belliniego. Nie jest wykluczonem, że Chopin właśnie podczas tego pogrzebu, w którym niewątpliwie wziął udział, wyraził życzenie, że gdy umrze, pragnął-by być pochowanym między Bellinim a Cherubinim, dla których za życia tyle miał uwielbienia i kultu.

Co pewna, że w dwa dni po pogrzebie Cherubiniego, dnia 20 marca, na wspaniałym raucie w salonach księstwa Adamostwa Czartoryskich, na którym popisywało się kilku najznakomitszych artystów stolicy, znalazł się i Chopin w ich liczbie. Doniósł o tem dnia 27 marca *Journal des Débats,* za którym dnia 31 marca powtórzył tę wiadomość *Trzeci Maj* w następującej formie:

> Dnia 20 b. m. księstwo Czartoryscy dawali wieczór muzykalny, na którym znajdowało się wielu znakomitych Polaków i cudziemców; sławny pianista Chopin wykonał wśród podziwienia słuchaczy kilka własnych nowych utworów. Wielu innych artystów stolicy użyczyło uroczystości tej udziału swych dobrze znanych talentów.

W równy miesiąc potem, dnia 20 kwietnia, spotkało Chopina wielkie nieszczęście: umarł Jan Matuszyński. Umarł na suchoty, na które już od lat chorował ciągle, a które powoli zmogły i tak delikatny organizm. Dla Chopina był to najstraszniejszy cios, jaki go mógł spotkać w danej chwili; od tak dawna mieszkając razem z »Jasiem«, tak przywykł do jego towarzystwa, do tego, że nie czuł się sam w mieszkaniu, że z chwilą, gdy ten najbardziej ukochany przyjaciel zamknął powieki, w jego serce uderzył jakby grom. Poprostu nie mógł się pogodzić z myślą, że oto nie zobaczy go już nigdy, wracając do domu, że będzie musiał wracać do pustych ścian, do samotności. Tego się lękał najbardziej. Tak przywykł do tej wspólnej egzystencyi, tak się oswoił nawet z chorobą przyjaciela, który doskonale zdawał sobie sprawę, że ta choroba z każdym dniem czyni zatrważające postępy, tak sobie nie mógł wyobrazić siebie bez »Jasia«, bez jego lekarskiej opieki, bez jego mądrych rad i wskazówek, bez jego moralnego wpływu, jedynego może, któremu ulegał, bez jego szlachetnego serca, przed którem zawsze mógł wylać swoje, że, gdy ujrzał »Jasia« w trumnie, poprostu był blizkim obłędu. Poprostu był to przewrót w jego życiu, przewrót, który go na razie całkiem wytrącał z równowagi, a przedewszystkiem przyprawiał o rozpacz bez granic, rozpacz, wobec której nawet p. Sand, pragnąca przytępić jej ostrze, złagodzić jej destrukcyjny wpływ na Fryderyka, okazała się nieporadną, bezsilną. Na domiar złego Chopin doznawał wprost panicznego strachu na widok trupa, choć to były śmiertelne szczątki jego najserdeczniejszego przyjaciela, tak, że zaraz nazajutrz musiano urządzić pogrzeb, ile że należało oszczędzać nerwy Chopina, który już za nic

nie chciał przestąpić progu swego mieszkania, ponieważ w niem umarł Matuszyński. Jakoż pogrzeb odbył się dnia 21 kwietnia, przy dość licznym udziale przyjaciół i znajomych zmarłego. Pochowano go na cmentarzu Montmartre.

Dnia 23 kwietnia zamieścił *Dziennik Narodowy* następującą wiadomość:

Doktór Jan Matuszyński umarł dnia 20 b. m. w Paryżu. Pogrzeb odbył się dnia 21. Zwłoki odprowadzono na cmentarz Montmartre. Później damy biografię zmarłego.

Biografię tę, niewątpliwie na podstawie wskazówek, udzielonych mu przez Chopina, najlepiej obeznanego z życiem »Jasia« w Paryżu, napisał Stefan Witwicki. Ukazała się ona, jako *Nekrolog dra Jana Matuszyńskiego* w *Dzienniku Narodowym* z dnia 7 maja 1842 r., a brzmiała, jak następuje:

Tracimy w nim zacnego kolegę i znakomitego lekarza. Poświęcił się był sztuce swojej z rzadką gorliwością; można nawet powiedzieć, że pracą niesfolgowaną skrócił sobie życie. Uczył się medycyny w uniwersytecie warszawskim; jako lekarz już odbywał wojnę powstania 1830 r., i ozdobiony został krzyżem; doskonalił się potem w akademiach niemieckich, nareszcie w paryskiej. Tu, już to przez prace po szpitalach i zakładach klinicznych, już przez niektóre pisma ogłoszone, zwłaszcza współredakcyę jednego z dzienników lekarskich francuskich, wkrótce tak się odznaczył i w opinii sławnych miejscowych lekarzy i profesorów chlubnie postawił, że samże za ich pomocą, i mimo trudności obcego języka, w tej stolicy, dokąd ze wszystkich krajów młodzież spieszy na uczniów, on, młodzian jeszcze, wystąpić mógł w charakterze uczącego! Był to niepospolity zaszczyt dla cudzoziemca, osobliwie dopiero dwudziesto-kilkoletniego. Kurs o *chorobach piersiowych* i drugi o *chorobach skórnych,* które Matuszyński przez kilka lat przy jednym z głównych paryskich szpitali — w szpitalu św. Ludwika — wykładał, jednały mu coraz piękniejsze znaczenie; między słuchaczami swymi liczył nieraz starszych nierównie i dawniejszych od siebie lekarzy, Francuzów i innych cudzoziemców. Pierwsze większe dzieło, które zamierzał wydać, miało być wprawdzie w języku francuskim (do czego zmuszało go wyjątkowe położenie emigranta) był-by jednak niewątpliwie w ojczystej literaturze dał się także poznać, i z tym pewniejszym skutkiem, że musiał czuć i kochać mowę rodzinną. Do nauki lekarza łączył gusta literackie, a nawet dary artysty.

Należał Matuszyński do tych naszych lekarzy spół-emigrantów, co zawsze na usługę kolegów są gotowi i chętni; szanowni praktycy, którzy w zapłatę trudów swoich odnoszą tylko błogie świadectwo sumienia. Był to człowiek prawy, szanowny, skromny, w pożyciu przyjemny i uprzejmy, przyjaciół szczerze miłujący, w nauce i pracy zakochany; młodzieńcem, ledwo nie dzieckiem, zaczął służyć krajowi; był potem śród nas, i wolał pasować się z losem, niżeli nie dotrwać w raz podjętej dla ojczyzny ofierze. Zgasł, niestety, zbyt prędko, bo mając dopiero mało co więcej nad lat trzydzieści. Pokój duszy jego!

*S. W.*

W chwili, gdy ten nekrolog ukazał się w *Dzienniku Narodowym,* Chopin bawił już od kilku dni w Nohant. Wywiozła go tam p. Sand, bo widziała, że każdy dzień po śmierci Matuszyńskiego, który Chopin spędzał w Paryżu, był dlań zabójczym poprostu. Był to dobry uczynek z jej strony, albowiem, gdyby to od niej zależało, była-by wolała zostać w mieście,



gdzie ją trzymały różne prace i zobowiązania literackie. Ale przez wzgląd na Chopina, na jego rozpaczliwy stan psychiczny, należało przyspieszyć wyjazd, na nic się nie oglądając, nie licząc się z niczem.

Ta okoliczność sprawiła, że gdy dnia 9 maja umarł w Paryżu jenerał Karol Kniaziewicz, a 12 maja odbył się z wielką pompą, należną dawnemu jenerałowi napoleońskiemu, jego pogrzeb z kościoła d'Assomption do Montmorency, gdzie nieboszczyk spoczął obok swego druha, Niemcewicza, Chopin nie mógł wziąć udziału w tym narodowym pogrzebie [1]). Za to, pod wpływem świeżego powietrza wiejskiego, szybko przychodził do zdrowia, pomimo, że pogoda wciąż była fatalna, że deszcz lał przez cały czerwiec. Niezależnie od tego czuł się »zdrowszym« znacznie, aniżeli do niedawna tak, że gdy tylko miał potrzebny spokój, po kilka godzin dziennie siedział w swej stancyjce na 1-szem piętrze, oddany pracy kompozytorskiej. Utworami zaś, które tego lata miał na warsztacie, były przedewszystkiem *Ballada F-moll* i *Impromptu Ges-dur.* Nie próżnowała też i p. Sand, pomimo, że niedomagała ciągle, że od chwili, gdy przyjechała do Nohant, wciąż czuła się słabą, niezdrową. Czy to w skutek przepracowania, czy też że — jak jej się zdawało chwilami — zaczynała się starzeć gwałtownie [2]), dość, że jej zdrowie nie dopisywało od jakiegoś czasu. Przedewszystkiem cierpiała na dotkliwe bóle głowy, całkiem wykluczające możność pisania, a równocześnie zachorowała na oczy, które znać przemęczone nocnem czuwaniem, nagle zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa, tak, że zdarzały się dni, które od rana do wieczora musiała spędzać w ciemnym pokoju przy zapuszczonych storach. Niezależnie od tego, niech tylko czuła się lepiej, zaraz wracała do swego pisarskiego nałogu, do rozpoczętego jeszcze w Paryżu *Consuela,* do różnych artykułów dla *Revue indépendante.* A gdy nie czuła się usposobioną do czytania, wtedy w towarzystwie syna swego Maurycego, razem z Leontyną Châtiron, z Augustyną Brault i Maryą d'Oribeau, z zapałem uprawiała głośne czytanie. W ten sposób przeczytano kilka dzieł z historyi Francyi, a nadto zapoznano się z dziełami Eurypidesa, Eschyla i Sofoklesa, w tłomaczeniach francuskich. Niemniej namiętnie uprawiano rysunki wieczorne. Wątpić należy, czy Chopina bardzo nęciły podobne rozrywki, czy przez ten czas nie wolał siedzieć w swoim pokoju na górze. Cokolwiekbądź, gdy w lipcu przyjechała pani Viardot z mężem, Chopin nie potrzebował się uskarżać na brak okazyi do muzykowania. Jakoż »mu-

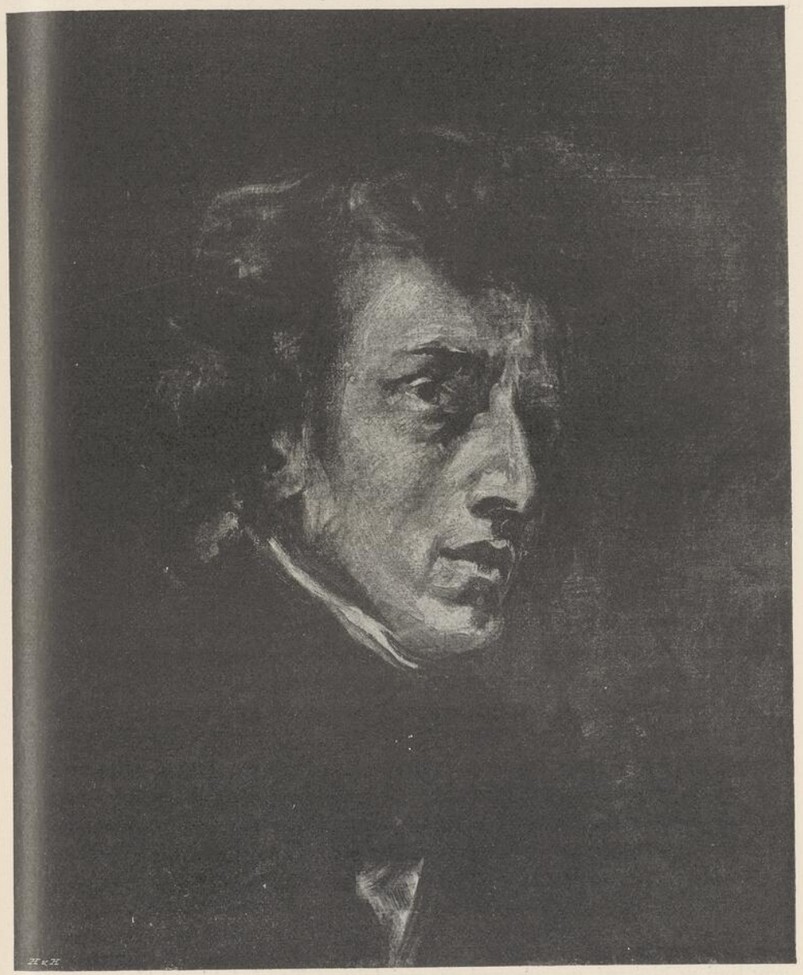
[1]) Już 9 maja 1842 roku pisze p. Sand z Nohant do panny de Rozières w Paryżu: »Votre maître, le grand Chopin, a oublié (ce à quoi il tenait pourtant beaucoup) d'acheter un beau cadeau à Françoise. Voilà le superbe cadeau que vous demande votre *honoré maître,* avec un empressement digne de l'ardeur qu'il porte dans ces dons, *et de l'impatience qu'il met dans les petites choses*«. Ostatnia uwaga jest bardzo znamienna.

[2]) W liście do pani Marliani, datowanym z Nohant 26 maja 1842 r., pisze p. Sand: »Depuis que je sens *la main de la vieillesse* s'étendre sur moi«.

zykował z Viardami« niemało, a gdy na krótko przedtem przyjechała Solange »pour biger Maurice«, Solange, do której Chopin zawsze miał słabość, wtedy z pewnością Sofokles i Eschylos, dobrzy do czytania w czasie słoty, musieli ustąpić z pola, a ich miejsce zajęły spacery, wycieczki w okolice, gra w bilard, fortepian i śpiew.

Przez cały czerwiec bawił w Nohant, głównie dla dalszego kształcenia w rysunku syna »pani domu«, Eugeniusz Delacroix. Szczerze zaprzyjaźniony z Chopinem, którego nazywał swym *ami angélique,* dużo przebywał z nim razem, rozmawiając o muzyce, o sztuce, a przedewszystkiem lubił słuchać jego boskiej muzyki. A gdzież mógł mieć więcej okazyi po temu, jak w Nohant, gdzie mieszkali pod jednym dachem! To też czuł się tu prawdziwie szczęśliwym, nie marząc o przyjemniejszem spędzaniu pory wakacyjnej. W tem uczuciu tak raz pisał do swego przyjaciela, Pierreta, w liście z pierwszych dni czerwca 1842 r.: »Miejscowość jest przyjemna, a goście, jak dla mnie, nie mogą być przyjemniejsi. O ile nie jesteśmy zebrani przy obiedzie, śniadaniu, przy bilardzie lub na przechadzce, siedzi każde w swym pokoju przy lekturze lub kładzie się na kanapie. Czasami dolatują nas przez otwarte na ogród okna podmuchy muzyki Chopina, który pracuje w swem mieszkaniu, i mieszają się ze śpiewem słowików i wonią róż«. Innym razem, w liście z dnia 22 czerwca, tak pisał o swej przyjaźni z twórcą *Nokturnów:* »Spędziłem czas jakiś sam na sam z Chopinem, którego bardzo kocham, a który jest człowiekiem rzadkiej dystynkcyi; to najprawdziwszy artysta, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest jednym z tych niewielu, których można podziwiać i czcić«. Oprócz Delacroix bawił tego lata w Nohant także i Stefan Witwicki, który tu jednak przyjechał tylko na parę dni, wracając z kuracyi w Néris. »Wyjeżdżam dziś na noc do Montluçon — pisał do Zaleskiego dnia 19 lipca — gdzie przyjmuje mnie Polonia; stamtąd walę do p. Sand, która i w Paryżu ustnie, i teraz listownie zaprosiła mię do siebie; po nudach tedy neryjskich rozerwę się jej towarzystwem i muzyką Szopena. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze: może dzień, może kilka«. Pewno skończyło się na kilku dniach. Co jest pewnem zupełnie, że w kilka dni po wyjeździe Witwickiego, 28 lipca, przyjechała tu panna de Rozières. Przyjechała na specyalne zaproszenie p. Sand, którą różne interesy, związane z wydawnictwem *Revue indépendante* powoływały do Paryża, ażeby pod jej niebytność mieć dozór i opiekę nad Solange.

Razem z p. Sand, która 28 lipca wyjechała z Nohant, wybrał się także i Chopin. Chodziło mu o nowe mieszkanie. W starem bowiem, po śmierci Matuszyńskiego, za nic pozostać nie chciał. Bał się poprostu. Nie mógł-by sypiać po nocach. Wciążby widział Jasia przed sobą. Dlatego też, gdy wyjeżdżał z Paryża, polecił swym przyjaciołom, Fontanie i Grzymale, by mu przez lato wynaleźli jakie nowe mieszkanie, ale widocznie, że nie był za-

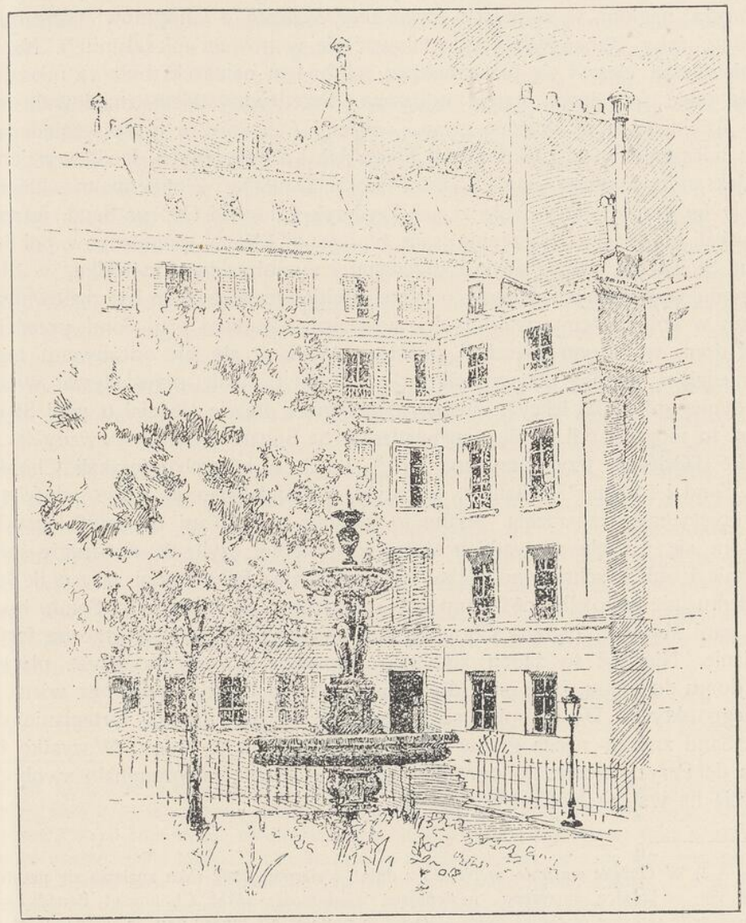


Fryderyk Chopin.
Według szkicu olejnego Eugeniusza Delacroix.
(Klisza »Nauki i Sztuki» Wyd. Tow. Naucz. Szkół Wyż., T. X., *Chopin* H. Opieńskiego).

dowolony z poszukiwań, skoro sam był zdecydowany zająć się tą sprawą. Przez posła wilk nie syty! Jakoż po paru dniach znalazł odpowiedni lokal, całkiem odpowiadający jego wymaganiom, a już z czego cieszył się najbardziej, że tuż obok znalazło się doskonałe mieszkanie także i dla pani Sand, a wszystko w najbliższem sąsiedztwie pani Marliani, przy tymże Square d'Orléans.

Podczas tej kilkudniowej bytności w Paryżu, gdy p. Sand najwięcej przebywała z Piotrem Leroux w radakcyi *Revue indépendante,* Chopin nietylko się widywał ze swymi najbliższymi przyjaciółmi, z Grzymałą, Fontaną, Pleyelem, Leo'nem i wieloma innymi, ale nadto spotkał się z bawiącym tu chwilowo Lisztem, z którym nawet był na obiedzie u któregoś z wspólnych przyjaciół (najprawdopodobniej u Kalkbrennera). Pomimo wszystkiego, co w ostatnich czasach zaszło pomiędzy nimi, a co Chopina musiało zrazić do swego sławnego rywala, starał się być nader uarzejmym wobec niego, słowem, nie dał poznać po sobie, że możeby wolał uniknąć tego spotkania. Na to jednak, żeby zrywać z Lisztem, był zbyt wielkim dyplomatą w stosunkach życiowych; dlatego politykował z nim, co zresztą było niewątpliwie najlepszą taktyką w danej sytuacyi. Całkiem przeciwnie miała się rzecz z Ernstem, który także w tym czasie bawił w Paryżu, a dowiedziawszy się o przyjeździe Chopina, natychmiast pobiegł do niego, do jego mieszkania na rue Pigal. Niestety, Chopin nie zachodził tam wcale, tak, że Ernst mimowoli musiał poprzestać na zostawieniu biletu. Z pewnością obaj żałowali tego niezmiernie, bo Chopin żywił najserdeczniejsze uczucia względem Ernsta, a Ernst wiele mu miał w tej chwili do opowiadania o jego rodzicach, których poznał w Warszawie.

Załatwiwszy wszystko, co mieli do załatwienia w Paryżu, Chopin i pani Sand wrócili na resztę lata do Nohant. Tu przybywszy, gdy już wypoczął po trudach podróży, a p. Sand na nowo ze zdwojoną energią zabrała się do pracy literackiej, przypomniał sobie Fryderyk, że już dawno nie pisał do rodziców, a że miał dużo wolnego czasu, bo wszyscy goście rozjechali się w różne strony, więc zdobył się na dłuższy list, w którym o wszystkiem, co miało związek z jego życiowemi sprawami w ciągu ostatnich miesięcy, rozpisał się obszernie. A więc o Liszcie, jak to się z nim spotkał na owym obiedzie; o Witwickim, który go odwiedził w Nohant, a który po kuracyi w Néris czuł się zdrowszym znacznie, o Viardot'ach, z którymi, gdy byli w Nohant, muzykował zapamiętale; o Towiańskim, który pozawracał mnóstwo głów na emigracyi, a ze wszystkich najbardziej Mickiewiczowi; o nowem mieszkaniu, z którego się cieszył niezmiernie, bo mieszkanie na rue Pigal, niedość, że w niem umarł »poczciwy Jaś«, ale nadto było jeszcze zimnem; i wreszcze o swojem zdrowiu, które znacznie się poprawiło w ciągu tego lata, tak, że wzmocniony powietrzem wiejskiem, mógł mieć najlepsze horoskopy na zimę. O tem jednak, że i p. Sand postanowiła się



Square d'Orléans w Paryżu (dziś już nie istniejący).

przeprowadzić na place d'Orléans, że wzięła mieszkanie w domu obok, o tem, rzecz dziwna, nie napisał ani słowa.

Około 25 września wyjechano z Nohant: pani Sand spieszyła się do Paryża, naglona w sprawach *Revue indépendante,* a Chopinowi także było pilno, żeby jaknajprędzej zainstalować się w nowem mieszkaniu [2]). Na to mieszkanie cieszył się już zawczasu, albowiem nareszcie było to mieszkanie takie, o jakiem marzył oddawna. Przedewszystkiem znajdowało się w dzielnicy, którą słusznie zwano »małemi Atenami«, a to ze względu, że tu mieszkało wiele znakomitości literackich i artystycznych. Dość wymienić Aleksandra Dumasa, panią Viardot-Garcia, Dantana i Zimmermanna, którzy, gdy im przybyli tacy sąsiedzi, jak Fryderyk Chopin i George Sand, jeszcze zyskali na blasku. Następnie sam Square d'Orléans, położony w pobliżu rue St. Lazare, jako placyk z drzewami i wodotryskiem pośrodku, w otoczeniu wykwintnych domów o ładnej architekturze, bardzo był malowniczy sam w sobie. Domy, w których zamieszkali Chopin i pani Sand, przedzielał dom, w którym mieszkali państwo Marliani, ale nie odczuwano tego przedziału, choćby dlatego tylko, że Chopin u siebie przesiadywał wtedy jedynie, gdy miał lekcye; zresztą nieustannie prawie siedział u pani Sand. Już to wogóle, odkąd się wprowadzono na Square d'Orléans, zwany także Cité d'Orléans, trzy domy pod Nr. 5, 4 i 3, w których mieszkali Chopin, p. Sand i rodzina Marlianich, tworzyły rodzaj falansteru, gdzie właściwie wszyscy mieszkali razem. Miano to głównie p. Marliani do zawdzięczenia, która się podjęła wszystkich stołować u siebie, czyli, że na drugie śniadanie i obiad schodzono się w jej mieszkaniu. Wieczorami zaś, o ile każdemu nie wypadło coś innnego, schodzono się bądź u p. Sand, bądź u pani Marliani, bądź u Chopina, gdy mu przyszła ochota grać na fortepianie. Nie był to żaden ambaras; poprostu przebiegano przez placyk, z domu do domu, jak sąsiad do sąsiada, bardzo często nawet bez wierzchniego okrycia. Do Chopina schodzono się dla jego gry na fortepianie, do p. Sand znowu nęciła gra w bilard, który zdobił jej salon. Wszystko to, na tle Paryża, posiadało ogromny urok, bo trochę przypominało swobodę życia na wsi, w Nohant [3]).

---

[1]) W *Gazette musicale,* w Nr. 33 z dnia 14 sierpnia 1842 roku znalazła się na stronie 339, w kronice muzycznej, następująca wiadomość: »MM. Chopin et Bénédict ont passé cette semaine quelques jours à Paris; le premier est reparti pour la campagne et ne reviendra qu'au mois d'octobre«

[2]) W *Gazette musicale,* w Nr. 40 z dnia 2 października 1842 roku już się znalazła wiadomość o powrocie Chopina: »Chopin est de retour à Paris«. *Le Ménéstrel* z dnia 9 października 1842 r. pisał: »MM. Chopin et Kalkbrenner sont de retour à Paris«.

[3]) Wkrótce po wprowadzeniu się do nowego mieszkania, w liście z dnia 12 listopada 1842 r. do Karola Duverneta, pisała p. Sand w ten sposób o trybie życia w trzech sąsiadujących z sobą domach na Square d'Orléans: »Nous cultivons aussi le billard; j'en ai



Uporawszy się z przeprowadzką najprzód, a następnie z urządzeniem nowego mieszkania, na czem zeszło do połowy października, zaczął się Chopin rozglądać za nowym służącym, którego znalezienie o tyle było trudniejszem w danym wypadku, że koniecznie pragnął mieć służącego-polaka. Chodziło mu o to poprostu, żeby w domu miał z kim mówić po polsku. Dopóki żył Matuszyński, kwestya ta nie istniała; teraz jednak, po śmierci Jasia, stała się palącą. Jakoż za wszelką cenę postanowił mieć takiego służącego, z którym-by mógł porozumiewać się w ojczystym języku. W tym celu prosił swoich przyjaciół, Grzymałę, Fontanę, Witwickiego, żeby się rozejrzeli za takim służącym, a gdyby znaleźli takiego, o którym-by wiedzieli, że byłby odpowiednim dla tak grymaśnego pana, jak on, żeby mu dali znać. Nie upłynęło kilku dni, a służący, o jakiego chodziło Chopinowi, znalazł się w klubie polskim. Wyszukał go Witwicki, który w tej sprawie, dnia 17 października, napisał do Chopina taki list: »Jeśli jeszcze sługi potrzebujesz, to mam aż dwóch: jeden Paweł, który niegdyś służył u Platerów i u księstwa. Plater go i teraz chwali i właściwie nie mam nic przeciw niemu, ale najprzód wolę Ci rekomendować innego. Nazywa się Jan, służył u Pusłowskich, teraz jest razem z Jędrusiem w klubie, a że tak mało płatny, a musi szarzać suknie, które widać szanuje, szuka innej służby; jak słyszę, chłopak bardzo porządny i zna służbę. Jeżeli chcesz, powiedz Jędrusiowi, przez którego to piszę, żeby go do Ciebie przysłał. Widzisz, że ja o kocie lepiej pamiętam, niż kot o Semiramidzie«. Ostatni frazes był aluzyą do przedstawienia *Semiramidy* Rossiniego w teatrze włoskim z panią Viardot-Garcia, na które Chopin obiecał przysłać bilet Witwickiemu, lecz nie przysłał w końcu. Za to posłuchał jego przyjacielskiej rady w kwestyi służącego, na którego wziął owego Jana z klubu. Okazało się, że wybór był bardzo dobry.

Co się tycze teatru włoskiego, to w nim Chopin bywał w tych czasach, razem z paniami Sand i Marliani, wyjątkowo często, a to z powodu

---

un joli petit, que je loue vingt francs par mois, dans mon salon, et, grâce à la bonne amitié, nous nous raprochons, autant que faire se peut, dans ce triste Paris, de la vie de Nohant. Ce qui nous donne un air campagne, aussi, c'est que je demeure dans le même square que la famille Marliani, Chopin dans le pavillon suivant, de sorte que, sans sortir de cette grande cour d'Orléans, bien éclairée et bien sablée, nous courons, le soir, les uns cher les autres, comme de bons voisins de province. Nous avons même inventé de ne faire qu'une marmite, et de manger tous ensemble, chez madame Marliani; ce qui est plus économique et plus enjoué de beaucoup que le chacun chez soi. C'est une espèce de phalanstère qui nous divertit et où la liberté mutuelle est beaucoup plus garantie que dans celui des fourieristes. Voilà comme nous vivons cette année, et, si tu viens nous voir, tu nous trouveras, j'espère, *très gentils.* Solange est en pension, et sort tous les samedis jusqu'au lundi matin. Maurice a repris l'atelier *con furia,* et moi, j'ai repris *Consuelo,* comme un chien qu'on fouette; car j'avais tant flâné pour mon déménagemant et mon installation, que je m'étais habituée délicieusement à ne rien faire. *Coresp.* II. 240—241.

występów na nowo zaangażowanej pani Viardot, od której zawsze mieli bilety. Ale prócz tego był jeszcze inny powód, dla którego teraz Chopina częściej, niżeli zazwyczaj, widywano w teatrze opery włoskiej. Występowali tam Turczynowiczowie, baletnicy z Warszawy, gorąco Chopinowi poleceni przez Elsnera, który do niego w tej kwestyi dnia 2 czerwca 1842 r. napisał liścik tej treści: »Kochany Fryderyku! Oddawcy tegoż są Konstancya i Roman Turczynowicz, tancerze naszego teatru, dzieci Tobie jeszcze znanego p. Damse, artysty dramatycznego i bardzo użytecznego i nawet obfitego kompozytora muzyki przy naszych teatrach, który mnie prosił o rekomendacyę dla nich do Ciebie, do Twego serca i t. d. podczas ich pobytu w Paryżu, czekając w tym momencie na to przy mnie, w pokoju moim. Ja dopełniam to chętnie, bo są warte Twojej przyjaźni i ja znowu mogę na piśmie powtarzać, że Cię kocham i Twoją kochaną osobę jak nikt wyżej szanuję. Racz przyjąć zapewnienie tego, którym jestem i będę, Twoim prawdziwym sługą i przyjacielem. *Józef Elsner.* Posyłam Ci jako dowód *Ave Maria*«. Do listu tego przypisał się Józef Damse w następujących słowach: »Zacny Panie Fryderyku! Pomimo sławy, jaką Cię cała Europa okryła, pewny jestem, że serce Twe zachowało pamięć dawnych znajomych, pomiędzy którymi i ja mam to szczęście liczyć się. Zacny nasz rektor Elsner raczył pisać do p. Fryderyka, a ja czekałem na list w jego stancyi i dopisuję się, upraszając, ażebyś tam w Paryżu raczył być opiekunem i mentorem moich dzieci Turczynowiczów; może oni za pomocą pana Fryderyka zatańcują tam i przypomną Ci tany i nutę ziemi, na której się urodziłeś, a która chlubi się Tobą. Prawdziwy przyjaciel i sługa *J. Damse.* Moja młodsza córka fetuje mnie Twojemi *Nokturnami*«. Chopin, gdy mu młodzi Turczynowiczowie wręczyli ten list, najgorliwiej zajął się niemi, a przedewszystkiem użył swoich wpływów i stosunków z dyrektorem teatru włoskiego — w czem mu pani Viardot z pewnością niemało była pomocną — i dokazał tego, co wcale nie było łatwem, że zaangażowano Turczynowiczów na parę występów, że mogli pokazać Paryżanom, jak to się tańczy Mazura i Krakowiaka. Nadto zajął się agitacyą wśród swoich licznych znajomych ziomków i cudzoziemców, którym rozesłał bilety, bo mu zależało na tem, skoro on już raz wmieszał się w tę sprawę, ażeby w teatrze było pełno, ażeby te polskie tańce nie były wykonane przed pustemi krzesłami. Między innemi posłał bilet Stefanowi Witwickiemu, którego, w imieniu p. Sand, zaprosił do swej loży. Ale Witwicki miał swoje powody, dla których nie chciał być na tem przedstawieniu, więc na zaproszenie Chopina odpisał mu w te słowa: »Nie, mój Fryderyku kochany, nie chcę ja tych tańców; bolałyby mnie oczy, uszy i serce. Nie mam za złe dwojgu biedakom, że dla kawałka chleba hołubcują po świecie; trudnoby po tancerzach wymagać, aby nie byli tancerzami; ale niech się insi bawią tym widokiem. Wreszcie może to dziwactwo moje. Podziękuj ślicznie p. Sand za pamięć; może mię za to zaprosisz kiedy na *Semiramis,* albo inną operę pani Viardot«. Nie wszyscy byli tego zdania, co Witwicki, a ci, z Chopinem i panią Sand na czele, którzy przyszli patrzeć na popis Turczynowiczów, nie żałowali tego, owszem, gorąco oklaskiwali warszawskich tancerzy. Nawet cudzoziemcy byli zachwyceni, a cóż dopiero emigranci polscy, których te narodowe tańce rozmarzały poprostu.



Wyrazem tego rzewnego rozmarzenia był feljeton Jabłonowskiego w *Trzecim Maju* z dnia 7 listopada, p. t. *Mazur* i *Krakowiak w Paryżu,* którego zasadniczy ustęp brzmiał, jak następuje:

Po tysiączny to raz może stają reprezentanci polskiego ducha przed publicznością francuską, ale tą razą ani proporców ułańskich, ani oręża przy boku, ani krzyków politycznych, ani wzdychań sentymentalnych, ani łez i kalety żebraczej nie zoczyć przy sukmanie krakowskiej; tą razą suwa się ona, pląsa raźno, wycina hołupce i hula od serca wpośród nimf i sylfid baletu.

Parę dni temu, na części bulwarów paryskich, uprzywilejowanych modą, jak zazwyczaj wieczorem mnóstwo strojnych elegantów, blask wielki kandelabrów i sklepów jaśniejących światłem, bogactwem i gustem, huk powozów spieszących ku ulicy Lepelletier; mnie się zdawało, że te powozy spieszniej jechały, jak zazwyczaj, że grupy gadających koło Tortoniego żywsze i gadatliwsze były, niż kiedykolwiek; wszystko mi w oczach jaśniejsze, żywsze, świąteczne wydawało się, bo serce ludzkie czuciem swojem przyodziewa otaczający go świat, a w mojem sercu była radość i wesele, bo tchnienie drogiego kraju owionęło serce i pamięć od chwili, gdy przeczytałem, że pan i pani Turczynowicz mają tańczyć mazura i krakowiaka w balecie wielkiej opery. Przyjeżdżają z Warszawy, mają tańczyć ulubione tańce! Czyż niedosyć, żeby zagrzać krew i rozweselić duszę emigranta, któremu się tak rzadko niebo i kraj uśmiechają? Biegłem czemprędzej, przydusiłem emigrancką, djablo pustą kaletę, wdrapałem się na wysokie piętro, ciekawy i niecierpliwy czekałem, aż się Krakus ze sceny wysunie.

Niedługo czekałem. Najprzód zwinna i lekka Krakowianka stanęła przed oczyma a tak hoża, tak luba, tak powabna, że oklaski parteru niezdołały przygłuszyć lekkiego szmeru, co się wymknął z lóż elegantek paryskich: *Est-elle gracieuse!* Bo prawda, że czucie i myśl artystowska, co te piękne części kobiecego ciała w harmonijne ułożyła kształty, co tę miłą twarz ożywiały, co natchnęły każdy ruch i skok naszej tancerki, ta myśl estetyczna, to czucie, to wyłanianie się charakteru ducha ludzkiego w ruchach jego ciała, tym razem czyste i niebiańskie przedstawiło się oczom patrzących, bez żadnego przymięszania dzikich i rozwiązłych pasyi serca, lub wyuzdanych rzutów umysłu w poszukiwaniu form piękności.

Pan Turczynowicz w znanym nam i naszym najezdzcom ubiorze Krakowiaka, z całym duchem narodowego tańca i narodowego czucia, w tejże samej formie pojmowania i ujęcia estetycznej piękności okazał się: co tam wybuchu ognia, energii, śmiałości, szlachetności, w każdym rzucie ciała, w każdym jego układzie! Jakie to czucie gada w serca tancerza przez twarz do serca patrzących! Co tam miłości człowieczeństwa, co tam sympatyi wewnętrznej dla otaczających. Zda się, że Polak w tańcu, jak we wszystkich dziełach swego narodowego ducha, zda się, że pierś swą i serce swe na wpół rozdzierając, innym je do głębi otwiera, a oczyma śmiele, czule, głęboko zagląda w najdalsze kryjówki czucia i pojmowania. A kiedy w silnym i zręcznym susie hołupca ponad ziemią podkówką uderzy, widać, że Polak drwi głębokiem przekonaniem i wewnętrzną siłą ze świata, co mu przekorą i niedolą na chwilę przedrzeźnia i dręczy. A kiedy noga silnie o ziemię w mazurze uderza, znać po tupnięciu, znać po podniesieniu głowy, że czucie dumy i wielkości, co w tej chwili twarz ożywia, znać, że to p a n daje znak podległej mu ziemi!

Czemuż te kilka tysięcy patrzących na naszych tancerzy, jak powiada kilka dzienników francuskich, porwane zostało jakimś nieznanym szałem i gotowe było rzucić się w taniec za tańczącymi? Bo to nie taniec, ale dusza silna i głęboka Polaka ocuciła na chwilę skrzepłą krew zachodu!

Zadowoleni ze swych występów paryskich, a wdzięczni Chopinowi, który im ten sukces ułatwił, ba, umożliwił, Turczynowiczowie w pierwszych dniach listopada opuścili Paryż. Gdy przed wyjazdem, byli z pożegnaniem u Chopina, dał im następujących kilka słów do Elsnera, datowanych 8 listopada: »Kochany, zawsze kochany Panie Elsner! Nie uwierzysz, ile mi każda literka kartki Twej przyjemności robi. Dziękuję Ci ślicznie za muzykę przysłaną przez Turczynowiczów. Im się tutaj powiodło; wielce się podobali. Powinni być szczęśliwi z tego i pan Damse także, któremu nie odpisuję, ale proszę Pana, żebyś mu był łaskaw powiedział, ile jego dzieci (jak je nazywa) tutaj efektu narobiły. Ściskam Pana serdecznie, kocham zawsze, jak syn, jak stary syn, jak stary przyjaciel«.

W czasie bytności Turczynowiczów otrzymał Chopin list z domu, datowany 17 października, list, zaczęty przez ojca, a dokończony przez obie siostry, Ludwikę i Izabellę. Ojciec pisał mu między innemi: »Z ostatniego listu Twego dowiedzieliśmy się z przyjemnością, że powietrze wiejskie wzmocniło Cię na zdrowiu, że masz nadzieję przebyć dobrze zimę, i żeś zmienił mieszkanie, ponieważ Twoje było za zimne. Ale czy nie będziesz osamotniony, jeżeli inne osoby się nie przeniosą? O tem nie wspominasz«. Zadając to pytanie synowi, Mikołaj Chopin przedewszystkiem wyrzucał mu delikatnie, że o najważniejszych kwestyach nie informował rodziców, a następnie dawał wyraz podejrzenia, czy przypadkiem coś się nie popsuło w jego stosunku z panią Sand, że się decydował mieszkać gdzieindziej, niż ona, w całkiem innej dzielnicy. Widocznie, że fakt ten dał ojcu Fryderyka do myślenia. To zaznaczywszy subtelnie, wolteryańsko usposobiony Mikołaj Chopin, odpisując synowi na jego nowinki z paryskiego bruku, także wyraził zdanie w kwestyi Towiańskiego i Mickiewicza: »Macie więc proroków w okolicach waszych. To szczęście znaleść w tem stuleciu dosyć naiwności, żeby w to wierzyć. Ale czegoż nie robi człowiek, żeby oszukać drugiego«. Na ustęp z listu Fryderyka o spotkaniu z Lisztem taka znalazła się ojcowska rada: »Znalazłeś się więc na obiedzie z Lisztem. Znam twą przezorność; bardzo dobrze robisz, nie zrywając, mimo całą jego chełpliwość; byliście przyjaciółmi, pięknie jest współzawodniczyć w delikatności. Szkoda, żeś nie mógł przyjąć Ernsta, on nam wiele względów okazywał; za widzeniem powiedz mu tysiąc uprzejmości od nas. Co się nas tyczy, to ci napiszę, że gdyby nie kaszel mój, który z dnia na dzień staje się nieznośniejszym, to czułbym się jako tako; co zaś do drogiej Twej matki, to ma się ona w tej porze dosyś dobrze. Wychodzę bardzo mało, najczęściej do ogródka naszego, w którym mieliśmy rozmaite



gatunki owoców, między innemi kilka gron winnych, które pielęgnowałem i które doskonale dojrzały, co mi przypomniało uroczy czas winobrania, ktoregoś Ty z pewnością używał. Teraz, kiedy wróciłeś do siebie, nie zapomnij napisać do nas i podać nam swój adres. Bądź zdrów, drogie dziecko moje, matka Twoja i my ściskamy Cię serdecznie, tuląc Cię do serca całą siłą, jaka nam zostaje«. List Ludwiki, która świeżo wróciła z Ciechocinka, również zawierał szereg interesujących wiadomości. Oto niektóre z nich: »Miesiąc byłam u familii Romockich i całą rodzinę Dziewanowskich młodych i starych objechałam. Wszędzie Cię serdecznie wspominają. Już w Szafarni Twoje ławki własnej roboty nie egzystują, tylko imitacye z miłem wspomnieniem Ciebie. Wszyscy kazali Cię uściskać, od cioci Ludwiny do Domusia, który już ma dwoje ślicznych Domusiątek. Papa i mama znani prawie przez całą Polskę, Ty przez Europę, więc nam z Izabelą à ce titre bardzo łatwo znaleźć znajomych, którzy się sami jeszcze pierwsi do nas z nią zgłoszą; tak więc nieznanych wiele osób miałam dobrych znajomych. Bogu dzięki, żeś zdrów, raczej zdrowszy. Ta nowina, to nasz regal. Żebyś Ty był tylko zdrów, spokojny i szczęśliwy. Pytają mi się, czy się nie żenisz, rozmaici ludzie; inni znowu mówią, że z pewnością coś dużego piszesz z Adamem [1]). Teraz, co tak łatwo z jednego miejsca na drugie się przenosić [2]), sądzę, że na przyszły rok może o wszystkiem bliżej rozmówić się będziemy mogli. Są to gruszki na wierzbie, ale doprawdy, że znowu i nie tak bardzo niepodobne rzeczy, byle zdrowie było i coś jeszcze. Adieu, mój najdroższy Fryderyku. Znowu jesteśmy razem, dzięki Bogu, znowu tylko Ciebie nam brakuje. O, żebyśmy się też uściskać mogli jaknajprędzej. Adieu, ściskam Cię z duszy, kochaj nas tylko, jak my Ciebie. Mérego [3]) pozdrów, cieszymy się, że wiele jest lepiej. Czujemy bardzo, jak Ci tam musi brakować poczciwego Jasia«. Najzwięźlejszy był przypisek Izabeli, która nietylko miała widocznie »trudniejsze pióro«, aniżeli jej starsza siostra, ale nadto nie miała zaufania do macierzyńskiej opieki, jaką nad jej bratem roztaczała p. Sand. Co ważniejsza, że z tym swoim sceptycyzmem — nawet wobec pogłosek o jego małżeństwie — wcale się nie kryła przed Fryderykiem, któremu i tym razem nie omieszkała wyrazić swego zadowolenia z powodu, że już wyjechał z Nohant, że przestał korzystać z gościny autorki *Lelii*, że znów wrócił do Paryża, gdzie, zwłaszcza przy zmianie mieszkania, będzie dalej od niej. Oto odnośny ustęp z jej listu: »Zapewne już jesteś w Paryżu; niezmiernie tego pragnę, gdyż nie wiem dlaczego, ale najspokojniejsza jestem, kiedy tu siedzisz. Nie wiem, czy to dlatego, że ja miasto nadzwyczaj lubię, ale zawsze mi milej, kiedy do niego

[1]) Mickiewiczem.
[2]) Dzięki kolejom żelaznym.
[3]) Witwickiego.

wracasz«. Zwłaszcza, gdy wracał z Nohant, od pani Sand, o której roli w życiu Chopina opowiadano sobie rozmaicie, a niezawsze to, co mówiono o tem, mogło uspokajać siostrzane obawy o zdrowie ukochanego brata. Cóż dopiero, gdy zaczynały krążyć pogłoski, jakoby miał się żenić w tych czasach. Bo jeśli-by się żenił, to nie z kim innym z pewnością, tylko z p. Sand. Otóż podobne małżeństwo wcale nie odpowiadało życzeniom młodszej siostry Fryderyka, której to opinii, nieprzychylnej dla jego genialnej przyjaciółki, przy każdej sposobności dawała zdecydowany wyraz. Jeżeli chodziło o bratową, to zdaje się, że wolała nie mieć żadnej, aniżeli taką, jak autorka *Spiridiona,* sławna nietylko, jako »najgenialniejsza z kobiet«, ale i z tego, że i w teoryi i w praktyce hołdowała zasadom wolnej miłości. Stąd również pochodził »niepokój« pani Barcińskiej, gdy Fryderyk bawił w Nohant; dlatego była »najspokojniejszą« o niego, gdy nie ruszał się z Paryża; i dlatego też »niezmiernie pragnęła«, by tam wracał jaknajprędzej. Wogóle, jako szczerze przywiązana do brata, bardzo się troszczyła o niego, dużo myślała o nim, wciąż o nim rozmawiała z mężem, »Niemasz dnia — pisała mu w tymże liście — żebyśmy kilkakrotnie o Tobie nie myśleli i nie mówili; nasza cała pociecha pieścić się lubą myślą o Tobie«.

## IV.

Jeżeli chodziło o początek roku 1843, to najwybitniejszym faktem, jaki w tym czasie zaszedł w życiu Chopina, były tryumfalne popisy i występy najgenialniejszego z jego uczniów, 12-letniego Karola Filtscha. Chopin był niezmiernie dumnym z tego wyjątkowo utalentowanego chłopca, szczycił się nim, cieszył się jego powodzeniami. Jednego z pierwszych dni stycznia, na wspaniałym wieczorze u Rotschylda, na którym popisywali się wszyscy najznakomitsi artyści stolicy, mały Filtsch, razem ze swym mistrzem, który mu wtórował przy drugim fortepianie, wykonał jeden z koncertów Chopina, wzbudzając zachwyt powszechny [1]).

[1]) *La France musicale* z dnia 15 stycznia 1843 roku zamieściła w rubryce *Soirées musicales et Concerts* następujący opis tego niezwykle świetnego wieczoru: »Les salons, cette année, se sont ouverts de bonne heure. Que de fêtes charmantes nous allons avoir cette hiver, à en juger par les soirées brillantes qui se sont données cette semaine. Et, d'abord c'est M. de Rotschild, l'illustre potentat de la banque, qui a illuminé le premier son palais. Voyez! A ces portes de cristal, à cet ameublement tout revêtu d'or, à cet éclat magique qui partout vous étourdit, ne vous croiriez-vous pas endormi dans un monde d'illusion? Il n'y a que les rois et les princes qui puissent étaler un luxe aussi féerique; et toutes ces femmes qui brillent par la beauté et par la richesse, regardez-les sourire de bonheur. M. de Rotschild a fait venir pour elles les plus grands artistes du monde: écoutez: c'est Lablache; Lablache, entendez-vous, et M-me Grisi, la reine des cantatrices, qui chantent le duo de *Don Pasquale;* puis madame Pauline Viardot-Garcia, cette jeune et grande musicienne, qui vous dit, avec une admirable expression, un air de Balfe, et le



Wyrazem tego zachwytu, który się udzielił nietylko całemu świetnemu zgromadzeniu, ale zaproszonym krytykom muzycznym, był artykuł Henryka Blancharda w *Gazette musicale* z dn. 26 lutego 1843 r. artykuł, w którym o Chopinie i Filtschu znalazł się następujący entuzyastyczny ustęp:

Mais qu'est ce tout cela en comparaison du jeune Filtsch, déjà artiste hors ligne, jouant sur le piano, et par coeur, la musique de Beethoven et celle de son maitre, M. Chopin, avec un sentiment profond de ces maitres, ce qui est un suget d'étonnement et d'admiration pour l'auditeur le plus prévenu contre les enfants précoces que quelques uns placent dans la catégorie des enfants terribles? Ici, point d'efforts pénibles, point de manière; une inspiration vraie, qui s'isole, et ne provoque point par un regard quêteur le suffrage de ceux qui l'écoutent. Le jeune Filtsch, né en Hongrie, âgé de douze ans, a commencé son éducations à Vienne sous le pianiste Czerny, avec lequel il a travaillé pendant à peu près un an; puis il est venu, conduit par son frère, à Paris, où son bonheur l'a fait tomber dans les mains de M. Chopin, qui lui a déjà donné cette pureté de doigté, ce phrase plein d'élégance qui caractérise sa méthode, mais qui surtout a fécondé dans cette jeune tête bien ordonnée le germe, qui s'y trouvait, du goût de la bonne et belle musique. Ce n'est point dans une de ces nombreuses et publiques exibitions musicales surgissant de tous côtés que nous avons apprécié tout cela, c'est dans une de ces séances d'artistes, dans une de ces matinées improvisées comme il n'est point donné à la haute aristocratie d'en connaitre. Et le jeune disciple joignant ses intences aux nôtres pour en-

duo de *Semiramide,* avec madame Grisi; puis Mario, le chanteur à la voix si séduisante, qui soupire comme un poète la sérénade de *Don Pasquale, Com'e gentil la notte a mezz'-april;* puis Chopin, le pianiste du monde poètique, qui exécute, avec M. Filtsch, un ravissant concerto de sa composition; puis madame Grisi, qui chante encore la délicieuse cavatine de *Don Pasquale;* puis, puis... Eh! mon Dieu! voici le programme de cette soirée! vous jugerez après, si on a dû être satisfait, si on a dû applaudir: Cavatine de *Don Pasquale,* chanté par M-me Grisi; duo de *Semiramide,* chanté par mesdames Grisi et Viardot; sérenade de *Don Pasquale,* chanté par Mario; *concerto de piano, exécuté par MM. Chopin et Filtsch:* air chanté par M-me Viardot; romance de Schubert, chanté par Mario; duo de *Don Pasquale* chanté par M-me Grisi et M. Lablache; romances chantés par Madame Viardot; quatuor de *Bianca et Faliero,* chanté par mesdames Grisi et Viardot, et MM. Mario et Lablache. Le piano, beau piano de Pleyel, était tenu par Tadolini«.

Dnia 24 kwietnia tegoż 1843 r. wystąpił mały Filtsch, w sali Erarda, z własnym koncertem, na którym wykonał cały szereg utworów swego mistrza. *Gazette musicale* z dnia 9 kwietnia 1843 roku tak zapowiadała ten interesujący koncert: »Dejà nous avons eu l'occasion de parler de ce jeune pianiste merveilleux, de cet admirable élève de Chopin, le jeune Filtsch. Bientôt tout le monde pourra s'assurer si nous en avons dit trop, ou si nous sommes resté au-dessous de la réalité. Le jeune Filtsch doit donner un concert le 24 avril, dans les salons d'Erard, et nous espérons qu'un public nombreux viendra applaudir ce jeune et déjà grand artiste«. W przeddzień concertu, dnia 23 kwietnia, pisała o nim *La France musicale:* »M. Carl Filtsch, jeune enfant de 12 ans, élève de Chopin, donnera, demain lundi 24, une soirée musicale dans les salons de M. Erard. Les vives sympaties que ce jeune artiste, vraiment extraordinaire, a su réveiller dans le grand monde, lui assurent un auditoire nombreux et choisi«. Wieść o tym koncercie Filtscha doszła niebawem i do Warszawy, gdzie *Kuryer Warszawski* z dnia 6 maja (1843) podawał do wiadomości swych czytelników: »W Paryżu popisuje się 11-letni fortepianista, uczeń Chopina (Szopena), Karol Filtsch«.

tendre son maitre dire quelques unes de ses délicieuses études, qui, lorsqu'il les joue, ressemblent à des improvisations, à des méditations tout empreintes d'une rêveuse tristesse, d'une souffrance cachée, Chopin a parlé à Rosenheim, à Dreyschock, à son élève, à nous, et à d'autres artistes, ses rivaux, ses amis, ses admirateurs, qui se trouvaient là, en poëte qu'il est; il nous a parlé cette langue mystérieuse qui lui est propre, cette langue dont ses doigts dessinent, en se jouant sur le clavier, les signes qui forment comme des arabesques harmonieux et féeriques, des hiéroglyphes dont lui seul a le secret, secret précieux et rare de captiver la pensée, de la dominer, de la charmer par tous les prestiges de l'art;... et puis nous avons repris le cours de nos périgrinations à travers les matinées, soirées musicales et salles de concerts.

W kilka tygodni później, w ciągu lutego, wyszło u Schlesingera w Paryżu, oraz u Hofmeistra w Lipsku, *Troisième Impromptu* Op. 51, przypisane hrabinie Esterhazy, a jednocześnie u Breitkopfa i Härtla w Lipsku, ukazała się *Ballada F-moll* Op. 52, dedykowana baronowej Rotschild. Nabył ją także i Schlesinger, u którego wyszła w kilka miesięcy później. To były najważniejsze fakty w życiu Chopina z tego czasu. Zresztą życie mu szło zwykłym trybem: dużo lekcyi, dużo wizyt, trochę teatrów i koncertów, (w tem 24 lutego koncert Juliana Fontany, idącego w ślady Chopina, jak to stwierdził sprawozdawca *Dziennika Narodowego*), a wszystko to na tle słabego zdrowia, ciągle pozostawiającego wiele do życzenia, i przeczulonych nerwów. Życie w »falansterze« przy Cité d'Orléans, płynące zwykłym trybem, co niedzielę — od soboty wieczór aż do poniedziałku rana — urozmaicały całodzienne odwiedziny Solange, która, jak dwóch poprzednich lat znów była na pensyi w instytucie Bascans-Lagut (gdzie nie zawsze umiano sobie dać rady z jej nieokiełznanym temperamentem); Maurycy *con furia* oddawał się malarstwu, ciągle korzystając z cennych wskazówek Delacroix, który też należał do najczętszych gości u jego matki; a p. Sand, skończywszy *Consuela,* przystąpiła do pisania swego *Mauprat,* przyczem najbardziej ją absorbowało współpracownictwo w *Revue indépendante* i fanatyczne przywiązanie do Piotra Leroux, którego wciąż jeszcze kochała tak zupełnie, »comme les dévotes aiment leur *doux Jésus*«. Jednocześnie, »obracała się wciąż w sferze polskich interesów« z czego wynikało, że przy każdej nadarzonej sposobności wyrażała swe sympatye różnym polskim politykom, pisarzom i artystom. Tak np. w styczniu 1843 r. napisała do Teofila Thoré, wybitnego krytyka malarskiego, a zarazem dyrektora Akademii sztuk pięknych, list polecający młodego malarza polskiego, Wojciecha Stattlera, protegowanego przez księcia Adama Czartoryskiego, list, w którym użyła wyrażeń, »nie pozwalających wątpić o najlepszych stosunkach, które się nawiązały — dzięki Chopinowi — między nią a rodziną tego czcigodnego patryarchy emigracyi polskiej«. »Stary a wielce szanowny książę Czartoryski — brzmiał zasadniczy ustęp tego listu — napisał do mnie list, który proszę przeczytać; z tego listu przekona się pan lepiej,



niż z moich słów, o co chodzi i dlaczego mała z pańskiej strony względność dla p. Stattlera była-by czynem dobrym. Kilka wierszy pochwały w pańskim feljetonie były-by dlań nader korzystne, zaś książe Czartoryski i ja bylibyśmy panu bardzo wdzięczni«. Że w tem wszystkiem pośredniczył Chopin, niepodobna wątpić ani na chwilę. Jak dalece p. Sand w tych czasach była na usługi Polaków, o ile nimi byli przyjaciele lub dobrzy znajomi Chopina, świadczył fakt, że gdy wyszło dzieło Aleksandra Chodźki o poemacie perskim *Kurroglu,* p. Sand, poznawszy Chodźkę osobiście, ażeby go dać poznać szerszemu ogółowi francuskiemu, zamieściła w *Revue indépendante* piękną parafrazę tego poematu, przyczem ją poprzedziła życzliwemi słowami o młodym oryentaliście polskim.

Z niemniejszym zapałem starała się głosić sławę Mickiewicza, pomimo, że Mickiewicz, odkąd został Towiańczykiem, prawie przestał bywać w jej domu, a to z obawy — jak mówił — żeby nie wstawiła do swoich powieści jego wynurzeń o towianizmie, co mu się wydawało świętokradztwem, czyli, jak się wyraził, »byłoby podobne do tego, jak gdyby po wyznaniu miłości ukochana wymagać zaraz poczęła odemnie pieniędzy«. Mimo-to p. Sand, jak mogła — a mogła wiele — tak starała się przysłużyć Mickiewiczowi, któremu była »całem sercem oddana«. I tak np. w tych czasach, na początku 1843 r., napisała list do Mickiewicza, z zapytaniem, czy nie życzyłby sobie, ażeby ponownie przeczytała jego *Konfederatów barskich.* »Jeśli nie nada się do sceny, to dlaczego Pan nie miał-by go wydrukować? Przypominam sobie, że jest piękny. Pocóż zostawiać go w spokoju? Wszak nie może być niepotrzebne ani obojętne nic, coś Pan napisał«. W odpowiedzi na to Mickiewicz przysłał jej manuskrypt swego dramatu, ale pomimo wszelkich starań p. Sand, zarówno jak i jej przyjaciół, nie udało się *Konfederatów* wprowadzić na scenę. Wcale nie jest wykluczonem, że pani Sand, gdy napomknęła poecie, żeby dramat swój ogłosił drukiem, myślała o uzyskaniu go dla *Revue indépendante.* Co pewna, że w tem piśmie rozpoczęła w 1843 r. druk prelekcyi Mickiewicza w *Collège de France,* przyczem je poprzedziła obszernem studyum, w którem, biorąc w obronę poetę, ostro w tych czasach atakowanego zarówno ze strony rządu, jak i ze strony emigracyi — o czem znów wiedziała od Chopina — z największym entuzyazmem i szacunkiem wyraziła się o ideach Mickiewicza, nie potępiając nawet towianizmu. Tylko na jedno nie godziła się z Mickiewiczem, na jego mesyaniczną teoryę o zbawieniu Polski przez jednego człowieka, przez jakiegoś mesyasza, w rodzaju »czterdzieści i cztery«, czy wielkiego człowieka w rodzaju Napoleona. Nadzieje polskie, a raczej Mickiewicza, że podobny do Napoleona opatrznościowy wódz zbawi duszę i ojczyznę Polaków, wydawały jej się niepewne. Jako zwolenniczka Rousseau, oczekiwała ona »zbawienia« i »nowego słowa« nie od pojedynczych jednostek, lecz od całego narodu w szerszem znaczeniu tego wyrazu, i to od takiego

narodu, który-by — w myśl głównej teoryi Leroux — był jednym z czynników »bezustannego postępu«.

Na to jednak, aby znaleźć poparcie p. Sand takie, jak to, które u niej znaleźli Mickiewicz, Chodźko, Stattler, księżna Czartoryska i inni, należało mieć po swojej stronie Chopina. Tylko jego wstawiennictwo miało wpływ na jej uczynność i dobre serce. Kto się nie cieszył sympatyą Chopina, ten nie mógł liczyć na protekcyę p. Sand. Doświadczył na sobie tego Słowacki, którego Chopin nie lubił, któremu w oczach pani Sand potrafił wyrobić opinię poety »miernego i zazdrosnego«. Gdy Gaszyński przetłómaczył na język francuski *Anhellego*, uradowany Słowacki chciał skorzystać z tej sposobności, aby zapomocą p. Sand, o której ciągle marzył, jako o duchu sobie pokrewnym, a do której zbliżyć się nie znajdował okazyi, aby za jej pomocą dostać się do *Revue des deux Mondes*. W tym celu tak pisał on do Gaszyńskiego: »Dla twego *Anhellego* najlepsza była-by droga przez Chopina do p. Sand, przez panią Sand do *Revue des deux Mondes*. Wydrukowany tam, mógłby potem odbity być osobno. Pani Sand zaś możeby sobie dziełko to upodobała, albowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone«. Gaszyński poszedł za radą Słowackiego, był u pani Sand, ale jego przekład *Anhellego* mimo to nie ukazał się w *Revue des deux Mondes* ani w żadnem innem czasopiśmie francuskiem. Widocznie, że p. Sand, choć miała »nerwy z siedmiu strun złożone«, nie »upodobała sobie tego dziełka« Słowackiego, a jeśli tak się stało, to z pewnością dlatego, że za tem dziełkiem nie przemówił dość gorąco Chopin.

Niezależnie od tych względów, które jednak, gdy chodziło o rozgłos za pośrednictwem czasopism, miały olbrzymi wpływ na popularność poety czy artysty, Mickiewicz i Chopin, których nazwiska często zestawiano razem, jako dwóch największych znakomitości polskich, wcale się nie potrzebowali skarżyć na nieprzychylność prasy, czy to francuskiej, czy emigracyjnej, a jeśli chodziło o Chopina, to u obu zawsze był w łaskach. Tak np. *Dziennik Narodowy*, w numerze z d. 3 kwietnia 1843 r., zamieścił korespondencyę z Krakowa, z powodu koncertów tamże Liszta, korespondencyę, w której znów nazwiska Mickiewicza i Chopina znalazły się obok siebie:

Przyjazd Liszta niesłychanie poruszył uśpiony Kraków. Dał trzy koncerta, ostatni na ubogich, i na każdy w moment bilety rozkupiono, chociaż pierwsze miejsca były po 18 zł. pol. Przysyłano sztafety z Galicyi... dowiadując się, czy można jeszcze słyszeć go.

[1]) O tym artykule pani Sand, który oczywiście zwrócił powszechną uwagę na Mickiewicza, pojawiła się w *Dzienniku Narodowym* z dnia 6 maja 1843 roku następująca wzmianka: »Czytamy w artykule pani Sand o kursie literatury słowiańskiej umieszczonym w *Revue indépendante* przed niewielu dniami, i bardzo przyjaznym dla pana Mickiewicza: »Ce qui reste de débris de la Pologne monarchique et catholique s'étonne, s'indigne et s'alarme de voir le poète de son héroïsme et de ses espérances s'engager dans des voies inconnues«.



Codzień miewał kilka zaproszeń na obiad i wieczór; z młodzieżą bardzo chętnie żył i każdemu pomniał oddać wizytę. Ostatniego dnia przed wyjazdem dano mu obiad składkowy, na którym wznosił zdrowie swych przyjaciół, Mickiewicza i Chopina. W krótkiej allokacyi po francusku wyraził się między innemi: »Vous êtes dans le malheur, vous êtes opprimés, je ne retracterai pas un mot«. W jednym domu wzniósł przy obiedzie taki toast: »Bodaj Polska była taką, jak dawniej, a Węgry jakiemi być powinny!« Franciszek Wężyk napisał dla niego wiersz, który będzie umieszczony w *Orędowniku*. Przy wyjeździe do Warszawy towarzyszył mu tłum ludu; w trzech miejscach witała go muzyka wiejska, którą on hojnie wynagradzał. Na granicy naczelnik komory ukląkł przed nim, błagając go, aby mu co zagrał na fortepianie. I zagrał parę kawałków.

Przybywszy w dniu 1 kwietnia do Warszawy, złożył tu Liszt w dniu 5 kwietnia szereg wizyt, między innemi u rektora Elsnera[1]), oraz — jak donosił *Kuryer Warszawski* — »u ojca sławnego Szopena, którego jest wielbicielem i przyjacielem«. Nazajutrz odbył się pierwszy jego koncert. O nastroju, w jaki Warszawę wprawiły koncerty Liszta, tak pod świeżem wrażeniem pisała jedna z warszawskich melomanek: »Rok bieżący obfitym jest w gwiazdy artystyczne: grał 12-letni Rubinsztein i Litolff, popisywał się Schumann i oboista Olliwier. Blask jednak Liszta przyćmił ich wszystkich. Na miesiąc przed jego przybyciem już o niczem, jedynie o nim w salonach mówili. Z tutejszem kołem muzykalnem Elsner go miał zapoznać. Zanim sławny wirtuoz wystąpił z koncertem, dał się słyszeć w gronie rodzinnem sędziwego muzyka, gdzie mu przedstawiono młodziutką pianistkę, pannę Fejstównę. Liszt nie jest pięknym, lecz ma wiele wdzięku i coś im-

[1]) O tej wizycie Liszta u Elsnera znalazł się dnia 6 kwietnia w *Gazecie Warszawskiej* następujący *Artykuł nadesłany:* »Kiedy od kilku dni przebywa w tutejszem mieście słynny w muzykalnym świecie wielki artysta Liszt; wszyscy z upragnieniem oczekują na jego koncert, aby usłyszeć dzielność niezrównanego talentu i podziwiać z całą Europą to wielkie zjawisko artystyczne; miło nam jest ogłosić światłej publiczności poufałe spotkanie się dwóch w muzykalnym świecie zasłużonych mężów. Czcigodny nasz weteran, J. Elsner, autor tylu dzieł uczonych, zdobny tylu zasługami przy czerstwej starości, z młodzieńczą siłą pracujący dla dobra ziomków, oddając hołd genialnemu autorowi *Galopady chromatycznej*, za powzięciem wiadomości o przybyciu Liszta, pospieszył powitać wielkiego artystę. Nie trzeba było poleceń (każdy się łatwo domyśli), bo sława naszego Elsnera poprzedziła jego odwiedziny u Liszta. Ceniąc wysoko Liszt powitanie naszego weterana, nawzajem odwiedził Elsnera. Był to uderzający widok, kiedy Elsner w skromnem mieszkaniu, otoczony gronem familii i życzliwych przyjaciół, przyjmował głośnego w całym świecie Liszta. Tu, ten wielki artysta, uprzejmie powitawszy zebrane osoby, troskliwy o postęp i ukształcenie talentu, zachęcał do dalszej pracy w trudnym zawodzie muzykalnym młodą amatorkę, pannę Fejst, która w jego obecności okazała dowody swego usposobienia. Poufałe to spotkanie się dwóch wielkich artystów długo pamiętnem będzie dla świadków tej sceny. Skromne ustronie Elsnera ozdobione portretami wszystkich znakomitych artystów, mieściło wyobrażenie Liszta, zdobne wieńcem laurowym. Dzielność talentu łączyła tu razem dwóch ludzi różnych wiekiem, różnych narodem, łączyła ich jednym węzłem miłości sztuki. Szacunek znamienitego starca miłym był młodemu artyście, poszanowanie wielkiego Liszta rozrzewniało poważnego wiekiem i pracą schylonego, lecz umysłem silnego starca«.

ponującego szlachetnie. Sława, co go poprzedziła, otacza go dziwną jakąś aureolą. Mimo to jest skromny i w rozmowie zupełnie zapomina o sobie. Szkoda, że kazał płacić za bilety nadzwyczaj słono, bo po 18 złp. do krzeseł, po 10 złp. na galeryę, mimo to składy Klukowskiego, Spiessa i Zalewskiego, gdzie je sprzedawano, oblężone były tak, że dla kasy teatralnej nie wiele co zostało. Na pierwszym koncercie w salach redutowych wykonał *Andante* z *Łucyi*, *Fantazyę* z *Lunatyczki*, *Pieśni Schuberta* i *Galopadę chromatyczną* własnego układu. Widowisko to, pamiętne mi na całe życie, odbyło się w południe dnia 6 kwietnia«. Przed koncertem tym artysta, wyszedłszy od Elsnera, jeszcze raz dał się słyszeć u hr. Franciszkowstwa Potockich, wobec namiestnika i wielu dostojnych osób; grał fantazyę na temat *Purytan*, oraz kilka innych kompozycyi. Było to właściwie przygotowanie warszawian do wielkich wrażeń, jakie oczekiwały ich w dniu, o którym wyżej mowa. W mieście było jak wymiótł, mimo pięknej pogody. *Kuryer* doniósł, że zdało się, że to dzień smutku jakiegoś, a przynajmniej święta wyjątkowego, gdyż o tej godzinie tłumy zwykły się po ulicach przechadzać; tymczasem na Nowym Świecie formalne zaległo pustkowie, reszta zaś miasta była jakby w omdleniu... wszyscy byli w salach redutowych, a kto się tam nie dostał, przypatrywał się tłumom przed gmachem teatralnym. Po tym dniu tryumfów zebraliśmy się u Szopena (ojca), któremu dostojny muzyk przybył hołd złożyć, dając tem dowód wysokiej delikatności uczuć. Tu poznałam w nim nietylko artystę, ale i człowieka wysoce wykształconego. Wykwintne towarzystwa, w jakich się obracał, wycisnęły na nim piętno zachwycającej maniery i wytwornego gustu. Mówił wiele o Polakach, których spotykał we Francyi, uznając, że mają wiele inteligencyi, oraz poczucia piękna. Po jego wyjściu wszyscy byli olśnieni [1])«. Podobnie, jak to uczynili Ernst i Artôt, i Liszt również przysłał rodzicom Fryderyka bilety na swe koncerty, ile że na dwóch z tych koncertów, jako w rodzinnem mieście Chopina, grał jego kilka mniejszych i większych kompozycyi. Na drugim koncercie grał parę *Etiud* i jednego *Mazurka*. »Wrażenie — pisał sprawozdawca *Kuryera Warszawskiego* — jakie publiczność uczuła po wykonaniu *Mazurka* Szopena, było największe. Trzykrotny odgłos brawa przywołał artystę, który wywdzięczając się za to przyjęcie, dowodem współczucia będące, nowym dziełem ziomka naszego słuchaczów swoich uraczył«.

Sprawozdawca *Gazety Warszawskiej* tak między innemi pisał o tym koncercie:

Liszt grał *Etiudy* Chopina i jego *Mazurki*. W pierwszych nikogo nie słyszeliśmy występującego z takiem doskonałem pojęciem i uniesieniem; w drugich Liszt dowiódł tym, którzyby wątpili jeszcze, że jest reprezentantem muzyki całego świata, i zaprzeczył

[1]) *Z pobytu Liszta w Warszawie* w *Kuryerze Warszawskim* z 8 sierpnia 1886 roku.



temu dotychczas niezbitemu twierdzeniu, że *Mazura* tylko ziomek napisać i ziomek wygrać z duszą potrafi. Liszt w *Mazurach* Chopina mówił do nas naszym językiem, mówił naszem czuciem i będziemyż się dziwić, że wszystko, co napełniało salę koncertu zmieniło się w jeden krzyk uwielbienia, w jedną łzę radości i rozczulenia. Opuściliśmy salę z żywszem jeszcze uczuciem, niż po pierwszym koncercie.

Na trzecim koncercie Liszt, według sprawozdania *Kuryera Warszawskiego*, »szczególniej zelektryzował słuchaczy wykonaniem *Fantazyi* z *Don Juana* Mozarta kompozycyi Szopena i *Hexameronu*«. Podczas wykonania fantazyi z *Don Juana* pękła struna, wirtuoz wstał, bo brzęczała, i wyrzucił ją. Najwykwintniejsza publiczność rzuciła się na nią, jak na relikwię, i porwała jej kawałki na pamiątkę.

Ale nietylko Liszt, gdy koncertował w Warszawie, grał utwory Chopina. W lutym 1843 roku wystąpił tu z paroma koncertami 12-letni Antoni Rubinstein, przyczem na każdym koncercie grał nad program *Mazurka* Chopina. Na drugim koncercie, według relacyi *Kuryera Warszawskiego*, młodziutki wirtuoz »szczególniej oczarował powtórzeniem *Fantazyi* Liszta na temat z *Łucyi*, poczem został wynagrodzony przywołaniem; przy tej okoliczności nadmienić nam wypada, że gdy go po pierwszym koncercie powtórnie przywołano, odegrał na wywzajemnienie się *Mazur* Chopina (Szopena)«. W parę tygodni później, na poranku muzycznym w sali koncertowej pałacu Paca, wobec namiestnika i innych dygnitarzy, Marya z Nesselrodów Galergi wykonała między innemi »śliczny *Mazur* Szopena«. W tym samym czasie koncertowała w Warszawie bardzo utalentowana pianistka, Robena Laidlaw, i również wykonała niektóre kompozycye Chopina, o czem emigracyjny *Trzeci Maj*, w numerze z 15 kwietnia 1843 roku zamieścił taką wzmiankę:

Panna Robena Laidlaw, panienka nadobna, pianistka zgasłej królowej hanowerskiej, świeżo wracająca z Polski, obecnie w Paryżu, unosi się nad przyjęciem, jakiego doznała u nas; zdaje się na skrzydłach leciała-by napowrót. Trafiło nam się przeglądać jej album: wierszy strzelistych pełno. Między innemi Dmuszewskiego, z których się pokazuje, że panna Laidlaw na koncercie swoim w Warszawie grała kompozycye Chopina, wiersze te zaś są w całej prostocie:

I w naszej polskiej krainie
Już twój piękny talent słynie:
Nader przyjemna Robena
Przypomniała nam Szopena.

Przypomniał go również i Ludwik Nabielak w swoim feljetonie o trzech muzykach polskich, o Kątskim, Ordzie i Szczepanowskim, w którym to feljetonie, wydrukowanym w paryskim *Trzecim Maju* z dnia 27 maja 1843 r., z powodu jakiegoś niefortunnego *Mazurka* Kątskiego w ten sposób określił niezawsze pożądaną działalność wpływu Chopina na innych kompozytorów:

Ależ *Mazurek melancholique!* Cóż to znaczy? Od kiedy melancholia napadła mazurka, mazurek melancholiczny! a to to samo, co wesele pogrzebowe. Żal nam mazura. Dzięki Chopinowi, ukrzyżowano go na całym globie. Co żyje, rzuciło się do tworzenia mazurów. Niemcy, Anglicy, Francuzi, Duńczycy, Szwedzi, Norwegczycy, słyszeliśmy wszystkich i Bóg nie wie już kto, wszystko zrobiło wyprawę na mazura. Masz tedy mazura niemieckiego, mazura angielskiego, mazura paryskiego nawet, ale nie masz *Mazura mazowieckiego;* i żeby nie *Mazury Łąckiego,* dziś jeszcze ducha i formę narodową święcie przechowujące, i parę mazurków Apolinarego Kątskiego, który geniuszem swoim na tor prawy natrafił, liczylibyśmy mazury do przeszłości.

W chwili, gdy powyższe uwagi ukazały się w *Trzecim Maju,* Chopin z panią Sand bawili już w Nohant. Jak zwykle, tak i tego lata, oboje tu nie ustawali w pracy: Chopin był zajęty komponowaniem wielkiego *Poloneza As-dur* Op. 52 i *Scherza E-dur* Op. 53. O *Polonezie As-dur,* będącym jednem z najpotężniejszych natchnień Chopina, a pełnym jakiejś senatorskiej wspaniałości, istnieje efektowna legenda, całkiem zgodna zresztą z majestatycznym nastrojem tej kompozycyi, bo istotnie, gdy się słucha tych tryumfalnych dźwięków, omal że się nie widzi pysznego staropolskiego korowodu, złożonego z bitnych hetmanów, dumnych wojewodów i kasztelanów, strojnych w kosztowne delje, atłasowe kontusze, sobolowe kołpaki i bogate pasy lite, z zarzuconemi w tył wylotami, z szablami przy boku, podkręcających wąsa. Otóż wieść niesie, że wyobraźnia Chopina, którego ciało już wtedy było doszło do wysokiego stopnia rozstroju nerwów, tak była owładnięta tą kompozycyą, tak nią była silnie wstrząśnięta, że po jej ukończeniu, tej samej nocy, artysta miał halucynacyjne widzenie. Grał sam jeden w swym pokoju na piewszem piętrze, gdy nagle zdało mu się, że otwierają się drzwi, a przez nie wkracza orszak marsowatych postaci kontuszowych, białogłowy w robronach i kornetach, i w takt jego muzyki sunie przed nim, parami, wspaniałym polonezem. Na widok takiego fantastycznego orszaku, Chopin, zdjęty lękiem nerwowym, zerwał się z krzesła i wybiegł z pokoju, a tak miał być wystraszony, że podobno już tej nocy nie wrócił do siebie, nietyle z obawy strachów, ile raczej w pragnieniu, by mu znów nie przywidziało się coś podobnego. Nadmienić wypada, że jednocześnie istnieje inne podanie o tym przepysznym polonezie, mianowicie, że pisząc go, chciał Chopin muzycznie wyrazić te uczucia patryotycznego zapału, którym ogarnięte były wojska polskie, gdy szły w bój pod Grochowem. Podobno, że sam Chopin nazywał *Poloneza* tego »bitwą grochowską«, a wspaniałe oktawy w lewej ręce, któremi grzmi część środkowa, tłómaczył, jako turkot armat po zamarzłej grudzie. Tymczasem pani Sand, choć trapiona dolegliwemi napadami migreny, mimo to w dzień zatapiała się w studyach nad dziełami, frankmasonów, po nocach zaś, obok mnóstwa bieżących artykułów do *Revue indépendante* pracowała nad swym nowym romansem *La Comtesse de Rudolstadt.* Równocześnie wywiązy-



Fryderyk Chopin.
Według rysunku z natury Eugeniusza Delacroix.

wała się z zadań gościnnej »pani domu«, bo i gości, jak zwykle miała sporo; dość wymienić oboje Marlianich, panią Viardot z matką i córką, doktora Papeta, hiszpańskiego szermierza liberalizmu Mendizabala, (który tu wpadł tylko na parę godzin, ażeby pogawędzić z George Sand, posłuchać śpiewu pani Viardot *et à faire faire à Chopin toutes les charges de son répertoire)*, Karola Duvernet, Hipolita Châtiron z córką Leontyną, oraz Eugeniusza Delacroix [1]). Maurycy z początku bawił przez czas jakiś u ojca swego w Guillery, co z pewnością było na rękę Chopinowi, który wcale nie przepadał za synem p. Sand, a za to miał rosnącą słabość do jego siostry, w tym samym stopniu będącej również faworytką Eugeniusza Delacroix.

Z sympatyą tą, wcale nie dziwną wobec urody i zalotności 15-letniej Solange, ani Chopin, ani Delacroix nie kryli się przed p. Sand, co nawet znalazło swe odbicie w jej korespondencyi z córką. Oto np. wyjątek z listu matki do Solange, datowanego z Nohant 18 lipca 1843 roku: »Delacroix est ici et te présente ses plus profonds hommages, ses plus humbles respects, ses génuflexions les plus idolâtriques; enfin il se roule dans la poussière que ton pied sublime soulève sur la terre indigne de porter un être aussi pyramidal que toi. Chopin prétend que les supports de cet être admirables sont des tilleuls. Mais c'est une calomnie, et nous savons tous que ce sont des futailles. Cependant Delacroix n'est pas de cet avis; il prétend que ce sont des cèdres du Liban. Bonjour, ma grosse chérie. Nous attendons avec impatience que tu puisses nous arriver. On t'attend pourtant, et le temps lui-même ne se permet pas d'être beau sans que tu sois à même d'en jouir«. W odpowiedzi na ten dowcipny list matki, z powodu dowcipu Chopina, Solange odcięła mu się w ten sposób: »Si Chopin se moque des *tilleuls,* c'est qu'il les envie. Il a beau dire, il voudrait avoir mes joues et mes jambes pour se bien porter. Mais elles sont de la couleur des raisins de la fable«. W innym liście p. Sand do córki, która tymczasem z zapałem rozczytywała się w *Mauprat'cie,* znalazły się nastę-

[1]) W sierpniu tego roku bawił w Paryżu Romuald Hube, przyszły senator, a podówczas wysoki urzędnik w Petersburgu, dobry znajomy Chopina z czasów warszawskich. Nie zastawszy go na Square d'Orléans napisał do niego list (który się zachował), donosząc mu, że już w zeszłym roku, bawiąc kilka dni w Paryżu, pragnął się z nim zobaczyć, ale ponieważ on bawił na wsi, więc było to niemożliwe. W nadziei, że może mu się to uda w tym roku, prosił o naznaczenie spotkania, »bo będzie, wracając do Petersburga, przejazdem w Warszawie, i pragnąłby rodzicom jego opowiedzieć, że widział ich syna, którego mu powierzyli przy pierwszym wyjeździe do Wiednia«. W dalszym ciągu komunikował Chopinowi wiadomość, że »po rozłączeniu się w Wiedniu w 1831 r. widział wszystkich wspólnych znajomych wiedeńskich, a nawet był we wspólnem mieszkaniu na Kohlmarkt«. List ten, adresowany na Cours d'Orléans, nosi datę 16 sierpnia 1843 r. Wobec tego można być pewnym, że Hube i tym razem nie zobaczył się z Chopinem, chyba, że go Chopin zaprosił do Nohant, co nie wydaje się prawdopodobnem.



pujące słowa o Chopinie: »Chopin t'embrasse *peut-être,* et moi *bien sûr,* si tu es bonne. Entends-tu? *bonne* avant tout, bonne toujours, et avec tout le monde, et en toute occasion«.

Niestety, Solange nie zawsze okazywała się dobrą, nawet w stosunku do matki, w listach do niej, w których jej nie szczędziła złośliwych przycinków, cierpkich uwag, tem dotkliwszych, że niezasłużonych. Kiedy jej np. p. Sand zrobiła uwagę, że pisze stylem zmanierowanym, Solange odpisała bez namysłu: »Si cela est, ce qui est bien possible, ce n'est pas avec intention. *Tout le monde n'a pas ton style*«. Gdy jej pani Sand wyrzucała obojętność względem niej, Solange odpisała nie bez okrucieństwa: »Tu dis presque que je ne t'aime pas. Mais depuis que je t'ai vue écrire tranquillement une lettre à madame Perdignier pour la faire pleurer, j'ai pensé que tu en avais fait autant pour moi«.

Po takich prologomenach, trwających do końca lipca, w pierwszych dniach sierpnia Solange przyjechała do Nohant, przyjechała, jak się sama wyraziła w jednym z listów do matki, żeby dokuczać Maurycemu i innym, żeby znów, jak poprzednich wakacyi, w ten sposób odzywać się do niego: »Maurice, voyons, finis, donne-moi la table. Je veux la chaise. Il me faut la lampe. Tout cela c'est pour moi toute seule, etc.«. Ale tej bezwzględnej metody trzymała się tylko w stosunku do swego brata, którego nie lubiła w gruncie rzeczy. Inaczej zachowywała się względem Chopina, któremu za sympatyę odpłacała się niemniejszą sympatyą, a nawet odpłacała się z procentem, bo mu tę sympatyę okazywała nie bez sporej przymieszki kokieteryi, czemu on wcale nie był przeciwny.

Na początku października [1]) wrócił Chopin, razem z synem p. Sand do Paryża, ona zaś, razem z Solange, zaabsorbowana organizowaniem nowego pisma dla okolicy, *l'Eclaireur de l'Indre,* które zakładała w La Châtre do spółki z Piotrem Leroux i kilkoma przyjaciółmi z Berry, została w Nohant, sama nie wiedząc jeszcze, kiedy będzie mogła powrócić na Square d'Orléans. Wróciła dopiero w grudniu. Tymczasem Chopin czuł się bardzo osamotnionym z tego powodu, bo już tak przywykł do jej towarzystwa, że sobie rady bez niej dać nie mógł, a że nadto nie był dobrze ze zdrowiem, więc też i listy jego, które prawie codzień pisywał do Nohant, były smutne i pełne melancholii. Brakowało mu Aurory, jej macierzyńskiej opieki i pieczołowitości, co mu szczególniej dawało się we znaki, gdy niedysponowany musiał nie wychodzić z domu. Maurycy zaś, choć mu matka zalecała jaknajgoręcej, by się troszczył o Chopina, nie bardzo myślał stoso-

[1]) Widocznie, że przez październik bawił jeszcze Chopin na paryskim bruku jakby incognito, nie anonsując oficyalnie swego powrotu ze wsi, skoro *Gazette musicale* dopiero w Nr. 45 z dnia 5 listopada 1843 r. zamieściła wiadomość o jego przyjeździe: »M. Chopin et M. Panofka sont de retour à Paris depuis la commencement de cette semaine«.

wać się do jej wskazówek, bo przedewszystkiem był zbyt wielkim egoistą, żeby się poświęcać dla kogoś, a powtóre nie dało się zaprzeczyć, że między nim a Chopinem stopniowo wytwarzał się pewien antagonizm, który, zacząwszy się od wzajemnego braku sympatyi, zwolna przeradzał się w rosnącą antypatyę. Czy pani Sand zdawała sobie z tego sprawę? W każdym razie starała się wpływać na syna, by miał uczucie życzliwości dla jej przyjaciela, by ją starał się zastąpić przy Fryderyku, gdyby to było potrzebnem przy jego słabym stanie zdrowia. »Dis-moi — pisała do Maurycego w liście z 17 października 1843 roku — si Chopin n'est pas malade; ses lettres sont courtes et tristes. Soigne-le, s'il est plus souffrant. Remplace-moi un peu. Lui, me remplacerait avec tant de zèle auprès de toi, si tu étais malade«.

Nie znaczyło to jednak, by Chopin poważniej zapadł na zdrowiu. Tak nie było na szczęście, z czem naturalnie szło w parze, że niebawem dał się wciągnąć w wir życia światowego, że gdy się uporał ze swemi lekcyami, które przeważnie dawał w domu u siebie, zaraz musiał się stroić, fryzować, wdziewać frak, białe rękawiczki, i jechać do różnych przyjaciół i znajomych, do których miał zaproszenie.

Że tak było, o tem wiadomość przedostała się nawet do *Kuryera Warszawskiego,* który w Nr. 286 z dn. 28 października 1843 r. z powodu niezwykłych sukcesów Karola Filtscha, tak pisał w korespondencyi z Paryża:

Karol Filtsch, pianista, o którym raz już była wzmianka w naszem piśmie, uczeń naszego mistrza Szopena, jest nadzwyczajnem zjawiskiem w świecie muzykalnym. Jako 12-letni chłopiec stoi już na tym stopniu mistrzostwa, co Liszt i Thalberg. Taki jest głos powszechny zagranicznych dzienników. Meierbeer słysząc go grającego, uścisnął rękę młodzieńca i oświadczył, że w muzykalnym zawodzie czeka go wielka przyszłość. Wielbiciele jego ofiarowali mu w podarunku popiersie Szopena. Dla swojego ucznia zmienił Szopen swoje dotychczasowe samotne życie, dla niego bywa na wszystkich muzykalnych wieczorach. Twarz jaśnieje mu radością, kiedy widzi swego ucznia odnoszącego tryumfy [1]).

Nikt nie przypuszczał wtedy, że nie upłynie kilkanaście miesięcy, a rokujący tak wielkie nadzieje Filtsch umrze nagle w Petersburgu [2]).

[1]) Zachował się list Kalkbrennera do Chopina, poświadczający tę wiadomość warszawskiego dziennika. List ten, datowany 30 listopada 1842 roku brzmiał, jak następuje: »Cher Chopin, Depuis mon retour de la campagne j'ai été presque constamment malade; c'est ce qui m'a empêché d'aller Vous voir. Si Vous vouliez aider à ma guérison, Vous viendriez dimanche 4, X-bre diner avec nous; c'est tout à fait en famille *et il n'y aura que Votre charmant et intéressant élève*«. Tym uroczym i interesującym uczniem był właśnie Karol Filtsch. *Kuryer Warszawski* z dnia 14 października 1843 roku zamieścił następującą wiadomość o nim: »Młody fortepianista, Karol Filtsch wrócił do Wiednia z pierwszej swojej podróży do Francyi i Anglii; z talentem szczególnym wykonywa kompozycye Szopena, od którego pobierał nauki w Paryżu«.

[2]) *La France musicale* z dnia 29 listopada 1844 r. w tych słowach podała wiadomość o jego śmierci: »Un jeune artiste qui donnait les plus belles espérances, Carl Filtsch, élève de Chopin, vient de mourir à St. Petersbourg«.



Jeżeli chodzi o *Kuryera Warszawskiego,* to w nim wzmianki o Chopinie wcale nie należały do rzadkości. Przedewszystkiem księgarze warszawscy, głównie Sennewald (następca Brzeziny), Klukowski, Glücksberg i Spies, wciąż podawali ogłoszenia o świeżo otrzymanych kompozycyach »Szopena«, nadeszłych w »nowych transportach nut muzycznych«, tak, że czytelnik *Kuryera Warszawskiego* zawsze był doskonale poinformowany o tem, co w tych czasach komponował i wydawał Chopin. Powtóre redaktor *Kuryera Warszawskiego,* Dmuszewski, przyjaciel i wielbiciel Chopina jeszcze z jego czasów warszawskich, gdy tylko miał jaką wiadomość o nim, poczerpniętą z pism zagranicznych, zaraz nią dzielił się z czytelnikami swego popularnego *Kuryerka.* Do tych czytelników należała także rodzina Chopina, która często z *Kuryera Warszawskiego* prędzej miała wiadomości o Fryderyku, aniżeli od niego samego, z jego własnych listów, do których pisania, jak wiadomo, nie kwapił się zbytnio. Że tak było, dowodzi jeden z listów matki Chopina do niego, w którym mu tak pisała między innemi: »Zrobiłeś nam prawdziwy bal karnawałowy, żeś przecie do nas napisał, bo parę słów wprost od ciebie zaspakajają więcej, jak wszystkie uboczne wiadomości, które często miewamy; tembardziej, że tak mocna grypa panowała u nas, możesz sobie wystawić naszą niespokojność. *Kuryer* donosił, że dajesz koncert, a potem zaraz wyjeżdżasz, a więc domysły, gdzie? Jedni nam mówili, że do Holandyi, drudzy, że do Niemiec, inni że do Petersburga; a nam, życzącym sobie Ciebie widzieć, a może i do nas. Już się sprzeczali, gdzie staniesz; Barcińscy Ci swego mieszkania ustępowali, Ludwika także. Była to prawdziwa zabawka dziecinna baniek mydlanych. Dałeś koncert; nie będziemy o nim wiedzieć, bo już tam niema Twego prawdziwego przyjaciela, który nam przeszły tak dokładnie, ze wszystkiemi drobnostkami opisał«. Tak to wiadomości, czerpane z *Kuryera Warszawskiego,* potrafiły poruszać całą jego rodzinę. A że te wiadomości istotnie bywały interesujące czasami, o tem świadczy chociażby następująca, podana w Nr. 48 z dnia 19 lutego 1843 r., w której znalazła się nawet informacya o roli, jaką p. Sand grała w życiu Chopina.

Franciszek Chopin (Szopę). Przytaczamy tu ustęp o ziomku naszym jenjalnym Szopenie z pisma niemieckiego *Neue musikal*(ische) *Zeitschrift:* »Szopę jest najpoetyczniejszem zjawiskiem nowszej epoki muzycznej. Prawda, że powierzchownie zmienił się, wiekiem spoważniał, fizycznie na siłach opadł, ale święty ogień poezyi w nadwątlonem ciele dojrzałego Męża z takąż siłą i jasnością płonie, z jaką pałał w 20-letnim młodzieńcu. Szopę uiścił obecnie to, co jako myśl tlało i żarzyło się w młodocianem jego sercu, co go od samego początku jego artystostwa ożywiało. I jakże powziął swe zadanie? Bez wrzawy i ostentacyi, cicho i samotnie, jak kwiatek rosnący obok drogi, krzepi znużone oko wędrownika, skromną swych barw pięknością. I Szopena burze ostatnich czasów dotknęły, lecz świętego płomienia w piersi jego nie zagasiły. I on wejrzał w życie i jego zmienne koleje; lecz dość wcześnie zdążył zamknąć się w sobie samym, sobie samemu

wystarczyć. W zaciszu serca swego znalazł harmonię, której nazewnątrz darmo szukał. Znalazł, mówię, i znajduje w dobranem gronie pokrewnych przyjaciół, w towarzystwie z najjenialniejszą kobietą (panią Dudevant) (George Sand), spokojność i nagrodę za to, co świat zowie jego zasługami«.

Podobnie, jak *Kuryer Warszawski,* tak i inne czasopisma wychodzące w stolicy Królestwa Polskiego, chętnie ze swymi czytelnikami dzieliły się wiadomościami o Chopinie. Nie brakło również i recenzyi krytycznych, wywołanych bądź pojawieniem się nowych dzieł mistrza, bądź koncertami różnych krajowych i zagranicznych wirtuozów, grających jego utwory.

Z pośród krytyków muzycznych, którzy w Warszawie zabierali głos o Chopinie, pierwsze miejsce należało się niewątpliwie Józefowi Sikorskiemu, który właśnie w 1843 roku zaczął drukować w *Bibliotece Warszawskiej* swoje poważne *Wspomnienia koncertowe.* Entuzyastyczny wielbiciel geniuszu Chopina, w taki sposób rozpoczął on, w artykule *O muzyce,* swoje spostrzeżenia o duchu kompozycyi szopenowskich:

Wyjdź za mury Warszawy, a naokoło siebie usłyszysz znajomą nutę, myśl pozornie ubogą, którą geniusz Chopina w ogromne wykształcił drzewo, co korzenie swoje głęboko po gruncie całego dzieła rozpostarło, dozwalając pod swą opieką krzewić się tu i owdzie mniejszym roślinom.

Był to jakgdyby prolog do wszystkich następnych artykułów Sikorskiego w *Bibliotece Warszawskiej,* pisanych ze znakomitem znawstwem — co im nadawało wartość wcale nie zdawkowych studyów muzycznych — a obfitujących w cały szereg ustępów o Chopinie i jego utworach, bardzo znamiennych, zwłaszcza ze względu na czas, w którym były pisane; dowodziły bowiem, że i w swojej własnej ojczyźnie można być prorokiem, eśli się jest prawdziwym geniuszem, jak Chopin.

Oto np. dłuższy ustęp jednej z takich recenzyi, drukowanej w zeszycie za luty 1845 roku, skreślonej pod wrażeniem koncertów Ignacego Dobrzyńskiego i Jadwigi Brzowskiej. Na pierwszym z tych koncertów grał na fortepianie młody Wernik, uczeń Nowakowskiego (a niebawem i Chopina samego); grał Thalberga *Fantazyę* z *Semiramidy* Rossiniego i *Adagio* z *Koncertu F-moll* Chopina, a choć bardzo podobał się publiczności, to jednak Sikorski miał niejakie rozczarowanie.

Więcej siły, więcej i daleko więcej ognia, i więcej jeszcze mechanizmu, choć go Wernick ma wiele, a fantazya Thalberga wydała-by się jako tako, bo tylko autor albo jego współzawodnicy, coś niewielkiego wprawdzie, ale odurzającego z niej zrobić mogą. Ale romans Szopena, choć nie należy do najgłębszych pomysłów tego kompozytora, za wielkiem jest zadaniem dla 14-letniego chłopczyny. Radzi chwytamy każdą sposobność porównania kompozycyi takich, jak fantazya Thalberga z *Semiramidy,* z takiemi, jak *Adagio* Szopena. Obie wykonane były jedna po drugiej i przez jedną i tę samą osobę, a która się bardziej podobała? Po pierwszej rzadki dał się słyszeć poklask, bo u nas tak nim szafują, że odmówić go występującemu publicznie okrucieństwem-by prawie było, tem większem, że podług stopy, na jaką u nas oklaski dają, te istotnie zasłużone były. Ale rzęsiste b r a w o i przywołanie po dziele Szopena, wyraźnie pokazują wyższość wrażenia, jakie ono na słuchaczach zrobiło. Stąd jeszcze ten prawdziwy da się wyciągnąć wniosek, że piękność kompozycyi zastąpić może niekiedy dokładność wykonania, albo o niedokładności zapomnieć każe.



Koncert panny Jadwigi Brzowskiej, siódmy w porządku w bieżącej porze muzykalnej, drugim był koncertem, w którym fortepian główną grał rolę. Jest to rzecz dosyć rzadka przy nadzwyczajnem upowszechnieniu tego instrumentu; ale rzadszem jeszcze jest zjawisko, że kompozycye Szopena samą liczbą nawet znacznie się przyłożyły do podniesienia jego wartości. Pocieszającą jest okoliczność, że nietylko *Mazurki* same tym razem słyszeć się dały; czekają jeszcze *Scherza* i *Ballady,* te zagadki muzyczne; nikt że się nie ośmieli na ich rozwiązanie i wytłomaczenie publiczne? Wirtuozi lękają się ich jak ognia, bo też to inna jest rzecz szumieć i huczyć, a inna poskramiać burzliwy mechanizm i poddać go dziełu, sztukę piękną mającemu na celu. Gdy tam trudności są prawie wyłącznie fizycznej natury, tutaj łączą się z temi, co z ducha płyną. O pojęciu też jego może być mowa. Panna Brzowska widocznie kształciła się na modnych dzisiaj kompozycyach, co, jakeśmy już tyle razy wspomnieli, do pokazania mechanizmu są przeznaczone; dlatego też w kompozycyach Szopena, gdzie on podrzędną gra rolę, nie odpowiedziała żądaniom. Jej uderzenie (toucher) jest krzepkie, ale mało cieniowane, i dlatego ostrem się zdaje, a *dolcissimo* i *leggierissimo* prawie nigdy się jej nie udaje. Wprawdzie wysoki jej mechanizm więcej odpowiedniem wykonaniem *larghetta* Szopena nas udarował, niż to się udało młodemu Wernick to samo grającemu; więcej miało ognia i jędrności, ale w tkliwych miejscach, w jakie ten romans obfituje, brakło pieszczoty i słodyczy. W rondzie jest jedno miejsce, którego wykonanie przez pannę Brzowską najmniej zadawalniającem się okazało; chcę tu mówić o owem niespodziewanem użyciu tonu *Es,* już niedaleko końca. By sobie je wytłómaczyć, przypuścić można, że Szopen gamą chromatyczną do góry wstępując, przez roztargnienie, zamiast dojść do *h* na *b* się zatrzymał, jak to z równej liczby nut na każde poruszenie wypadło; a nie mogąc albo nie chcąc pomyłki poprawiać, musiał od tego *b* zacząć temat, dawniej zawsze od *h* idący. Dla zmniejszenia jednak nieprzyjemnego wrażenia, jakie tak niestosowny prawie do tego miejsca ton *es* mógłby na słuchaczach uczynić, albo chcąc je ile można osłodzić, zaczął z obawą i cichuteńko. Uznając jednak słuszność roszczeń do pierwszeństwa głównego tonu *e,* usiłuje do niego powrócić, co też wkrótce czyni, i dopiero śmiało i suto *forte* zaczyna. Takie tłómaczenie tego miejsca, choć niekoniecznie prawdziwe, bardzo jest prawdopodobne, szczególniej też przypuszczając, że Szopen pierwej grał, a dopiero napisał, a nie chciał już może zmienić oryginalności stąd płynącej, chociaż przypadkiem sprowadzonej. Mógł też tak zrobić z fantazyi, albo szczególnem a nam nieznanem uczuciem przejęty. Jakkolwiekbądź, wielki tego miejsca efekt zginął w nadto silnem wykonaniu panny Brzowskiej, dwóch tych tonów, *es* i *e,* należytem cieniowaniem nie odróżniającem. Zarzucić też jej można zbyt częstą zmianę szybkości ruchu (tempo). Zanadto wolne rozpoczęcie tego ronda przez towarzyszący tortepianowi kwintet instrumentów smyczkowych, a przez jej ojca prowadzony, poprawiła panna Brzowska stosowniejszą do ducha muzyki chyżością, co dowodzi i młodzieńczego zapału i pewność mechanizmu pokazuje. Ale wspomniane wykroczenia przeciw równości ruchu odziały kompozycye Szopena niestosowną burzliwością, co jeszcze powiększyło zbyt gwałtowne rozpoczynanie dalszej drogi po każdem *ritento,* albo *rallentando,* i nie dozwoliło się niemi nasycić. Mazurki też, zdaniem naszem, zanadto *rubato* wykonane były.

W ciągu następnego miesiąca koncertowali jeszcze dwaj fortepianiści: jeden, młodziutki, rokujący wielkie nadzieje galicyanin, Lubowski, drugi z już

ustaloną sławą jednego z najświetniejszych fortepianistów europejskich, rywal Liszta i Thalberga, Doehler.

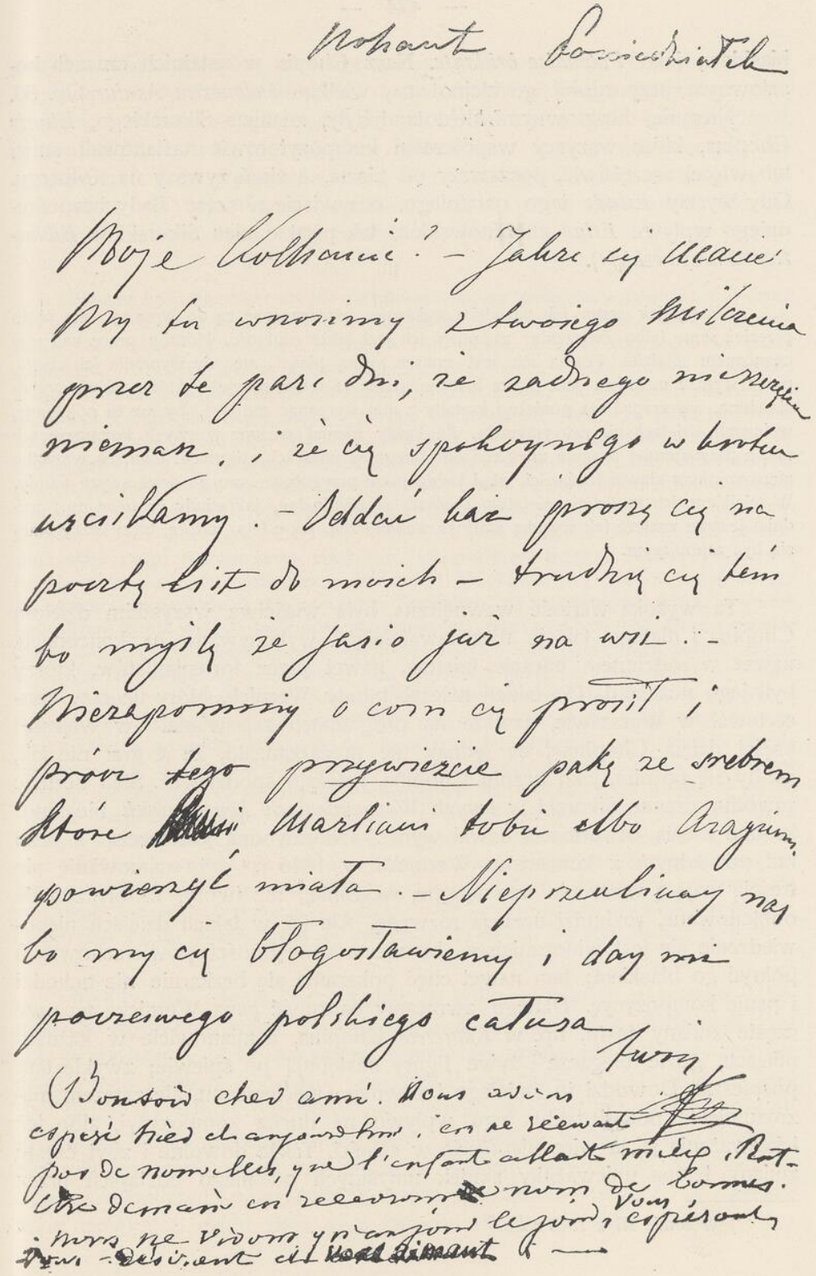
O Lubowskim, którego gra naogół bardzo mu się podobała, tak pisał Sikorski w swych *Wspomnieniach koncertowych*, w ustępie, dotyczącym wykonania utworów Chopina:

Jego expresya jest pełna prawdy i zupełnie od przesady wolna; ton sprężysty i jędrny, i ogólny charakter gry pana Lubowskiego niema wyszukanej pieszczotliwości, nie rwie dziwactwem ustawicznych sprzeczności ciągu myśli, i całości jej święcie strzeże. Pochwał tych jednak nie stosujemy w zupełności do wykonania Szopena. *Etiuda* pierwsza *Cis-moll*, za ostro i za silnie w ogólności odegrana była, a druga *Es-dur*, zupełnie zepsutą została. To samo niegdyś u nas i Liszt zrobił; ale gdy on zbytkiem mechanizmu zgrzeszył, to p. Lubowski brakiem jego, choćby umyślnym. Trzeba szanować myśli autora, a więc i tempo, które im naznaczył. Ale nie dość, że p. Lubowski je wziął za wolno na *allegretto*, bo jeszcze dodał niestosowne wcale zmiany, jak *ritardando* (opóźnianie) w rozmaitym stopniu, co tę *Etiudę*, więcej lekką na sentymentalną przerobiło, a raczej przerobić chciało. Przy tej sposobności trzeba też powstać na owe dowolne zmiany, do jakich kompozycya nie upoważnia wcale. Któżby je śmiał wprowadzać w obecności autora? a przecież i tutaj cząstka jego, bo dzieło było obecne, a im ono lepsze, tem mniej do zmian jest stosowne, i niech zostanie, jak jest, nawet bez dodatków, by też najmniejszych. Pan Lubowski się myli, gdy mniema, że Szopen nie skończył dostatecznie swej *Etiudy*, i że potrzeba było jeszcze raz powtórzyć akord toniczny, całość zamykający. A przecież koniec, a raczej zakończenie, jest pieczęcią dzieła, którą tylko samemu autorowi łamać wolno.

O Doehlerze, jako wykonawcy dzieł Chopina, znalazł się w temże *Wspomnieniu koncertowem* taki ustęp:

Jak Doehler pojmuje fortepian, widzieć można z jego kompozycyi, a poniekąd i z wyboru, jaki zrobił do drugiego swego koncertu z pomiędzy licznych dzieł Szopena. W walcach właśnie charakter wewnętrzny tworów tego autora najmniej się pokazuje; głębokości tu niema, ale jest zręczne, salonowe użycie fortepianu.

Jak wysoko Sikorski czcił Chopina, o tem prawie w każdem z jego *Wspomnień koncertowych* liczne znajdowały się dowody. Gdy np. pisał o jakimś obertasie Kolberga, który, jego zdaniem, »chciał naśladować Chopina w drobiazgach«, to mu nie brał tego za złe, tylko radził nie zapominać przytem i »ważniejszych rzeczy«, bo »zbliżyć się do wielkiego wzoru, jest chwałą, a upaść nawet można bez wstydu«. W utworach muzycznych, pisanych w formie tańców, ale nie przeznaczonych do tańca, »fantazya kompozytora może przeplatać rytmy taneczne innymi więcej ogólnymi, jak tego mnogie mamy przykłady w mazurach Chopina i wstępujących w jego ślady artystów«. Z pomiędzy takich kompozycyi, pisanych w rytmie tanecznym, najbardziej z mody zaczyna wychodzić polonez. Jeden Chopin ratuje jego sławę. »Nieosobliwie w domu hodowany, i za granicą mniejsze już dzisiaj odbiera poszanowanie; jeszcze niekiedy sale koncertowe wyciera, albo zgodzić się musi za finał do waryacyi; rzadziej własnym świeci



Facsimile listu Chopina do Grzymały z dopiskiem pani Sand.

blaskiem, jako *Polonaise brillante*. Nasz Chopin w ostatnich czasach kosztownym przyozdobił go klejnotem«, wielkim *Polonezem As-dur* Op. 53.

Niemniej kosztownymi klejnotami były, zdaniem Sikorskiego, *Etiudy* Chopina, które wszyscy współcześni kompozytorowie naśladowali mniej lub więcej szczęśliwie, począwszy od Liszta, a skończywszy na Kolbergu. Gdy wyszły *Etiudy* tego ostatniego, oczywiście noszące ślady bezpośredniego wpływu *Etiud* chopinowskich, tak pisał o nich Sikorski w *Bibliotece Warszawskiej* [1]).

*Etiudy*, jak samo ich nazwisko wskazuje, przeznaczone są do wprawy; nie są to przecież same tylko ćwiczenia; zadaniem ich jest także zdolność, któraby pracę nad mechanizmem słodziła. Forma ich jest zawsze formą pieśni, ale nie wypełnia ich ciągła, pełna wyrazu melodya, lecz figura instrumentalna za temat przyjęta, która, różnie przedstawiona, wyczerpać ma poniekąd kształty z niej wyrosnąć mogące, by raz tu pokonane, w innych dziełach nie zatrzymywały. Że każdy niemal wirtuoz w swych kompozycyach ma, a przynajmniej pragnie mieć coś odrębnego w pasażach, figurach, toku, co wszystko nieoswojonym stawia trudności, stąd każdy pisze przygotowawcze do dzieł swych etiudy. W wielkiem ich mnóstwie niełatwo spotkać tak oryginalne, jak etiudy Szopena np.; trudniej jeszcze znaleźć tak wysoką wartość wewnętrzną, jak u tego autora, lubo każdy stara się być zajmującym.

Ta wysoka wartość wewnętrzna była właściwą wszystkim dziełom Chopina i dlatego tak je niezadawalniająco wykonywano na koncertach, nawet w rodzinnem mieście mistrza, nawet przez fortepianistów, którzy byli jego uczniami. Do takich należał młody Wernick, który ile razy koncertował w Warszawie, zawsze na programach zapowiadał »w większej części dzieła Chopina«, co jednak nie przeszkadzało, że je grał nie tak, jak-by się po nim, jako uczniu Chopina, należało spodziewać. Stąd uczucie zawodu, czemu Sikorski w swych *Wspomnieniach koncertowych* niejednokrotnie z całą otwartością dawał wyraz. »Niezawodną jest rzeczą — pisał raz po jednym z koncertów Wernicka w 1846 r. — że zajmowanie się treścią mającą znaczenie wewnętrzne, wcześniej, niż twory, na błyszczenie obrachowane, rozbudzi uczucia rozwagę. Ale też w takich dziełach niepowiedzenie się jest widoczniejsze, bo niema sposobności powierzchownym pokryć go blaskiem; tam nawet chęć pokazania się bezkarnie nie uchodzi i psuje kompozycyę. Dlatego zwracamy baczność pana Wernicka na owe częste zmiany taktu, np. w *Koncercie* Chopina, a mianowicie w każdem miejscu, gdzie biegacze i żywe figury następują po śpiewie; zwykle tam pospieszał. Dowodzi to śmiałego i pewnego mechanizmu, ale zarazem niezrozumienia potęgi taktu, jego wpływu na ducha kompozycyi, albo też lekceważenia jej, a więc niepojęcia w całości. Także dowolne i zbyt częste zmiany tempa unieważniły skutek umyślnych od niego odstąpień przez

[1]) W tomie III z 1848 roku.



autora wskazanych«. Już to wogóle, choć podobno uczeń Chopina, młody Wernick nie bardzo umiał oddać ducha utworów swego genialnego nauczyciela, pomimo, że go starał się naśladować w swych kompozycyach, mocno »szopenowskich«, zdaniem Sikorskiego, tam, gdzie pozowały na oryginalność. Zato wykonanie przez Wernika dzieł Chopina za mało, a raczej wcale nie było »szopenowskie«. Oto np. co o niem pisał Sikorski po jednym z koncertów tego »ucznia Chopina«:

Polonez Szopena minął dla nas niepostrzeżony, co tembardziej dziwi, że p. Wernick jest podobno uczniem Szopena, i ta to okoliczność w niemały wprawia nas kłopot, gdy nam z kolei mówić przychodzi o *Mazurach* tego autora, a raczej wykonania ich przez p. Wernick. Przywykli zawsze własne wypowiedzieć zdanie, choćby ono u największej liczby czytelników potwierdzenia nie znalazło, i teraz inaczej nie postąpimy. Zdawałoby się, że p. Wernick ducha gry Szopena przejąć musiał, a więc całą jego fantazyę, ruchliwość, niesfornośc prawie jego *Mazurów* zrozumiał; dołożył więc wszelkiego starania, by nam pokazać, jaka to głębokość uczucia, jaka oryginalność pomysłów, jak niczem nieskrępowana fantazya w nich się mieści, i... przesadził! Śmiało tu powiemy, choćby zwolennicy bezładu, którzy za swobodę artystyczną biorą, świętokradztwem to nazwali; śmiało powiemy, że jeśli Szopen tak gra mazury swoje, lepiej dla nas nigdy ich od niego nie słyszeć, choć mało czego równie żywo pragniemy, jak posłyszeć Szopena, własne wykonywującego dzieła, choćby to tylko *Mazury* być miały! Ale nie możemy temu uwierzyć dlatego już samego, że p. Wernick nie zdołał nas i podobno nikogo natchnąć wiarą; a jednak (mówiliśmy to już wyżej), logiczność przedstawienia pociągnie i podbije mimo wszelkie opory. Nie znając *Mazurów* Szopena, nie można było ich z gry p. Wernicka poznać; znając je, jeszcze ich poznać nie można było; tak wyglądały sprzecznie z wszelkiem wyobrażeniem o smaku, wszelkim nawyknieniom, nawet przypuszczeniom wszelkim. A przecież te same mazury czarowały dotąd wszystkich, wszyscy je rozumieli! Żądano-by po nas, byśmy bliżej w szczegóły weszli; ale to niepodobna; bo gdybyśmy np. o *Mazurze H*-mięckie powiedzieli, że jedno w nim było zbyt prędko, drugie stosunkowo zbyt wolno, tam przerwa tak dowolna, że jej niczem usprawiedliwić nie można, a tak długa, że już po niej nic nastąpić nie mogło, nie znaczyło-by to jeszcze przesady. Ona powolność zaraz leniwym ruchem żółwia mierzy, szybkość — mgnieniem błyskawicy, przerwę — wiecznością; w różnicach wzrostu tylko liliputy i olbrzymy widzi, miejsce jest dla niej przestrzenią bez granic. W obrębie wieczności puśćcie w przegony żółwia z błyskawicą, postawcie liliputa obok olbrzyma w przestrzeni, a będziecie mieli obraz przesady tyle tylko przesadzony, ile potrzeba, by dać poznać, czem się stały w wykonaniu p. Wernika *Mazury* Szopena.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tylko w mieście rodzinnem Chopina tak się interesowano jego twórczością, że w innych dzielnicach Polski, w Galicyi i w Poznańskiem, mniej lub wcale nie rozpisywano się o niej. Było całkiem przeciwnie, zwłaszcza, gdy chodziło o Poznań, w którym dzięki względnie pomyślnym warunkom politycznym, wtedy koncentrował się niemal cały ruch umysłowy i kulturalny polski, gdzie szczególniej piśmiennictwo mogło się rozwijać całkiem swobodnie. Stąd rozwój czasopiśmiennictwa poznańskiego, które i przez to również, że zasilane przez emigracyę, około 1840 roku święciło swój niebywały rozkwit.

Wśród czasopism, które wtedy wychodziły w Poznaniu, wyróżniały się dwa zwłaszcza: postępowy *Tygodnik literacki* i konserwatywny *Orędownik literacki.*

*Tygodnik literacki,* »poświęcony literaturze, sztukom pięknym i krytyce«, zaczął wychodzić w 1838 roku, a redaktor jego, Antoni Woykowski, człowiek wyższych zdolności, trochę narwany jednak, ale *Schöngeist* i idealista w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, był niepospolicie muzykalnym z natury, a jako taki należał do najżarliwszych wielbicieli Chopina. Stąd w redagowanym przezeń *Tygodniku* nie mogło się obejść bez częstych napomknień o muzyce wogóle, zwłaszcza o muzyce i muzykach polskich, a o Chopinie w szczególności.

Zaraz w pierwszych numerach pojawił się artykuł, niewątpliwie samego Woykowskiego, *O współczesnych kompozytorach polskich,* artykuł, który z powodu zbytniej szczerości autora, niezawsze miłej dla różnych kompozytorów polskich, musiał być przerwany już po trzech ciągach. Najgorzej wyszedł na tem Chopin, o którym wszystkie wzmianki były pełne entuzyazmu. Oto np. jak brzmiał początek tego artykułu:

Żadna z sztuk pięknych, poezyę wyjąwszy, w kraju naszym tak szybko, jasno i pięknie się nie rozwinęła, jak muzyka. Pociechą dla nas, że kiedy w innych sztukach pięknych napróżno Schadowa, Hildebranda, napróżno Thorwaldsena i Dawida szukamy, znajdziemy w harmonijnym świecie dwie gwiazdy, jaśniej, niż inne świecące, znajdziemy Chopina w kompozycyi, Lipińskiego w wykonaniu, niezrównanymi.

»Po Chopinie i Lipińskim« wyznaczał autor artykułu pierwsze miejsce Dobrzyńskiemu, po nim najwyżej cenił księcia Antoniego Radziwiłła, jako twórcę muzyki do *Fausta,* a nie wiele mając do powiedzenia o Kurpińskim i Elsnerze, zarówno jak i o Krogulskim, najmniejszą predylekcyą obdarzał Sowińskiego, o którym tak pisał:

Mówiąc o Krogulskim przypomina mi się Sowiński, który równie piękne i wielkie wzbudzał nadzieje, a którego talent także znikczemniał. Gdzież znajdziemy w jego utworach ten urok, właściwy pieśni naszej ojczystej, która nas zachwyca w kompozycyach Chopina, a którą i Sowiński był powinien choć oddalony od nas w swem sercu przechować, w swych dziełach uświetnić. Nie lubiłem oddawna dzieł Sowińskiego, może już dlatego, że kiedy słyszę, że Polak chce się kształcić w muzyce we Francyi, mimowolnie uśmiechać się muszę. Kto Herza i Kalkbrennera za non plus ultra uważa, kto tylko łechtania uszu, koziołkowania palcami, że tak powiem, po instrumencie nauczyć się pragnie, niech idzie do kraju, gdzie tylko lekkość, gdzie błahość popłaca, gdzie chwilka sławy, jakimkolwiek choć szarlatańskim sposobem osiągniętej, więcej znaczy, niż całe życie skromnego, lecz prawdziwym talentem lub geniuszem obdarzonego mistrza [1]). Lecz ta chwilka przynosi złoto, a za niem ubiega się świat cały. Ale ten, który żyje tylko w harmonijnych tonach, ten, który tak uczuciami napełnioną posiada duszę, że nie zdoła jak tylko w tonach

[1]) Autor zdaje się tu mieć na myśli Chopina.



uczucia smutku i nadziei wyrazić [1]), niech się strzeże tego kraju i oklasku jego płochych mieszkańców, niech pozostanie na tej ziemi, gdzie go chłopek nauczy piękniejszych, fantastyczniejszych piosnek, gdzie dziarski parobek zatętni weselszą pieśnią, gdzie luba dziewoja zaśpiewa smętniejszą melodyę, jak cały świat mu jej nie wynuci. Niech te pieśni będą mu przewodnikiem, duszą tych harmonii, tych dzieł, które chce utworzyć. Chopina i Lipińskiego, nie Francuzi, nie Niemcy nauczycielami byli, lecz nasza pieśń, nasza historya, nasza ziemia.

Na tem się urwał artykuł. A szkoda, bo zapowiadał się bardzo zajmująco, zwłaszcza, gdy chodzi o Chopina, o którym mógł przynieść ciekawe spostrzeżenia. Niestety, Woykowski, choć ciągle nosił się z myślą rozpisania się o najnowszych kompozycyach Chopina, tylko obiecywał to czytelnikom swego *Tygodnika,* ale jakoś nie dotrzymywał obietnicy.

W Nr. 7 z dnia 17 lutego 1840 roku w rubryce *Rozmaitości* znalazła się taka wiadomość:

Nasz Chopin przyrzekł po długiem milczeniu udarować nas kilku płodami swego geniuszu; zapowiedziano bowiem wyjście *Sonaty* (dzieło 35), *Ballady* (36), dwóch *Polonezów* (37), trzeciego *Scherzo* (38), drugiego *Impromptu* (39), dwóch *Nokturnów* (40) i czterech nowych *Mazurków* (41). Ileż to znów chwil smutnych życia nie zmienią tych dzieł boskie harmonie w błogie!

W październiku tegoż 1840 roku, gdy wyszły niektóre z pomienionych kompozycyi, pisał Woykowski w *Tygodniku:*

Zapowiedziana nowa *Ballada* Chopina wyszła w tych dniach w Lipsku. W najbliższych numerach zdamy o niej sprawę, równie jak o *Sonacie,* o drugiem *Impromptu* i *Walcu* ostatnim, tego zawsze w niebiańskie, boskie myśli muzyczne, niewyczerpanego kompozytora.

Ale minął 1840 rok, a przyobiecane »sprawozdanie« znów się nie ukazało. Że jednak Woykowski wciąż nosił się z myślą poświęcenia osobnej rozprawy o najnowszych kompozycyach Chopina, dowodziło jedno wyrażenie z następującego przekładu artykułu Roberta Schumanna, zamieszczonego w Nr. 8 z dnia 22 lutego 1841 roku:

Pod napisem »nowe sonaty na fortepian« zawiera Nr 10-ty pisma *Neue Zeitschrift für Musik* zajmującą krytykę kilku nowszych sonat, między innemi najnowszej *Sonaty* Chopina, o której zdanie krytyka niemieckiego — nim nasze czytelnikom udzielimy — umieszczamy. »Dość zobaczyć pierwsze takty sonaty, aby wiedzieć, przez kogo napisana. Nie byłby znawcą, ktoby nie wiedział, że tylko Chopin tak zaczynać, tylko Chopin tak kończyć może, z dysonansami, przez dysonanse, w dysonansach. Ileż pięknego jest w tej kompozycyi! Sonatą ona jednak nie jest, nazwanie jej tak, można-by raczej nazwać swawolą, w celu wprowadzenia tych czterech dzieci najwyuzdańszej fantazyi, tam, gdzieby pod innem nazwiskiem nie były doszły. Weźmy jakiego organistę (kantor), przychodzi on do miasta, by sobie kupić nut. Pokazują mu najnowsze, o tych nic wiedzieć nie chce, nakoniec pokazuje mu księgarz *Sonatę.* A! powiada w entuzyazmie, toć przecież dla mnie, to to

[1]) Jak Chopin.

jeszcze kompozycya z dawnych dobrych czasów! Kupuje i ma ją. Do domu wróciwszy, rzuca się na kompozycyę, ale skoro tylko pierwszą stronę z największą trudnością i męką przebiegł, przysięga, że to przecie wcale nie jest porządny styl sonaty, ale bezbożny i szalony. Chopin jednak dopiął swego: jego *Sonata* znajduje się w pomieszkaniu organisty, a kto wie, czy po kilkunastu latach nie urodzi się organiście jaki wnuk romantyczny, otrzepie z pyłu, a grając ją, pomyśli: człowiek, co to napisał, miał jednak słuszność. W tych słowach zawiera się już na pół — mówi recenzent — zdanie nasze o *Sonacie* Chopina, który wogóle nic już dziś nie pisze takiego, coby kto inny był w stanie równie dobrze napisać. Pozostaje on sobie zawsze wiernym i to słusznie. Żałować trzeba, że największa część, nawet najwykształceńszych fortepianistów, nie są w stanie ocenić i poznać kompozycyi, której wygrać nie mogą; zamiast objąć całość, męczą oni się nad każdym pojedyńczym taktem, sądząc z pojedyńczych taktów o całej kompozycyi, a ledwie poznawszy najwydatniejsze myśli i wzajemne stosunki, rzucają ją, nazywając dziwną, zawiłą i t. d. Chopin, jak Jean Paul, ma swe właściwe łączniki i parentezy, przy których nie trzeba się długo zatrzymywać, nie chcąc tracić z oka głównej myśli. Takich miejsc wiele napotykamy na każdej prawie stronie *Sonaty,* a Chopina często niezwyczajna i dzika pisownia akordów utrudza tu jeszcze bardziej rozpoznanie głównych myśli. Chopin nie lubi enharmonizacyi, znajdujemy więc często takty z dziesięciu lub więcej jeszcze krzyżykami. Zwykle czyni on to z słusznych przyczyn; często jednak gniewa tem tylko większą część fortepianistów, sądzącą się prześladowaną przez niego trudnościami naumyślnie. Tak i *Sonata* jest *B-moll,* z tonu, który pewno nie może być popularnym, mając 5 *b.* Sam początek jest tego dowodem. Po początku, ktory na pierwszy rzut oka każdy pozna jako chopinowski, następuje burzliwe, namiętne *Allegro,* mieszczące w sobie jednak i śliczny śpiew. Zdaje nam się, że owa właściwość polska narodowa dawniejszych Chopina melodyi coraz bardziej znika i że śpiew jego nachyla się bardziej przez Niemcy ku Włochom. Wiadomem jest, że Bellini i Chopin byli przyjaciółmi, udzielając sobie nawzajem swych myśli, wpływali na swe usposobienie artystowskie. Przechylanie się to jednak Chopina ku Włochom mało jest tylko znaczącem; gdy ukończy śpiew, znów błyska tonami, swą oryginalnością, Sarmata. Na połączenie akordów, jakie znajdujemy w pierwszej melodyi drugiego oddziału, nigdy-by się Bellini nie był odważył. Zakończenie pierwszej części także nic w sobie nie ma włoskiego. Przypomina mi się przy tej sposobności trafna uwaga Liszta, że Rossini i Spółka każdą kompozycyę kończą z jakiemś *votre très humble serviteur.* Chopina zakończenia zwykle całkiem coś przeciwnego wyrażają. Część druga jest tylko dalszem wyprowadzeniem myśli części pierwszej; odważna, genialna, fantastyczna. Trio pełne marzenia i uczucia, całkiem chopinowskie. *Scherzo,* jak wiele scherzów Beethowena, jest tylko z nazwy scherzem. Następuje ponure *Marcia funèbre.* Sądzimy, iż w miejscu jego *Adagio,* jakie np. z *des,* piękniej-by się wydawało. Co pod nazwą *Finale* kończy kompozycyę, jest raczej urąganiem się, aniżeli kompozycyą, a jednak i w tej niewdzięcznej i niemelodyjnej części owiewa nas, jakiś dziwny, tajemniczy, ponury duch, który wszystko to, coby mu się opierać chciało, wstrzymuje, a każdy, jak zaczarowany, aż do końca słucha, nie ośmielając się wyrazić swej nagany; ale też nie chwali, bo co słyszał, nie było muzyką. Tak samo, jak się zaczęła, i kończy się *Sonata:* tajemniczo, podobna sfinksowi z drwiącym uśmiechem.

Zaczął się rok 1842, a Woykowski jakoś się nie spieszył z »udzieleniem czytelnikom swego zdania« o *Sonacie B-moll.* W końcu, gdy jeszcze na domiar wyszła *Tarantella,* zamiast o tej »wybornej kompozycyi« [1]), jak i o poprzednich dziełach Chopina pisać sam, na co widocznie

[1]) W *Tygodniku literackim* z dnia 17 stycznia 1842 r. zamieścił Woykowski o świeżo wyszłej *Tarantelli* Chopina następującą wzmiankę: »Najnowsze dzieło Chopina *La Tarantelle* opuściło prasę; niemniej Liszta *I puritani, introduction et polonaise pour le piano.* Jak pierwsze wyborne, tak drugie słabem jest, jako kompozycya, a tylko wtenczas, gdy je Liszt gra, może stać się dziełem wybornem, pod jego niezrównaną ręką«.



przeciążony pracą redaktorską zdobyć się nie mógł, zdecydował się wyręczyć piórem Antoniego Marcelego Szulca, który w tych czasach właśnie, jako wytrawny krytyk muzyczny, zwrócił jego uwagę na siebie.

Dał się on poznać w *Orędowniku naukowym* poznańskim, który, jak wiadomo, konkurował z *Tygodnikiem* Woykowskiego. W Nr. 26 tego pisma, z dnia 27 czerwca 1841 r., w dziale *Krytyki,* znalazł się początek obszernego sprawozdania M. A. Szulca, p. t. *O najnowszych utworach Chopina,* poświęcony rozbiorowi dziewięciu świeżo wydanych — u Breitkopfa i Haertla — dzieł mistrza, któremi były: *Deux Nocturnes* Op. 37, *Ballada* Op. 38, *Troisième Scherzo* Op. 39, *Deux Polonaises* Op. 40, *2-me Impromptu* Op. 36, *Sonate* Op. 35, *Valse* Op. 42, *Quatres Mazurkas* Op. 41, *Trois nouvelles Etudes pour le piano* (chez Schlesinger à Berlin).

Wyrazem uwielbienia, z jakiem krytyk odnosił się do twórczości Chopina, był obszerny wstęp, którym poprzedził analityczną część swego artykułu.

Z dumą i prawdziwem rozrzewnieniem donosimy o 9-ciu, od maja zeszłego roku aż do tego czasu wyszłych utworach Chopina. O, jakże zawsze nowym, jak niewyczerpanym, jak potężnym jest geniusz naszego wielkiego wieszcza muzykalnego! (to miano albowiem w najszczytniejszem swem znaczeniu mu się przynależy). Jakże mało takich, którzy tak, jak on, umieją ukoić, pokrzepić zbolałe serce, wzbudzić błogie i lube wspomnienia! Tu się nauczcie kompozytorowie, jak wielkie mozolne ślęczenia wasze, jak wielkie trudy i starania, podejmowane około teoretycznego nauczenia się kunsztu, są nadaremne, jeśli nie macie tej iskry boskiej, tlejącej wewnątrz, tego twórczego ducha, który wszystko, cokolwiek stwarza, oznacza piętnem mistrzostwa, prawdy i geniuszu. Chopin jest jednym z tych, że tak powiem, pomazańców boskich, którzy w to wszystko, czegokolwiek się dotkną, umieją wlać życie, w sobie gorejące, którzy każdą piękną myśl umieją ująć w powabną formę, bo u nich piękność myśli nierozdzielna od piękności formy: obie zespalają w jeden p i ę k n y utwór kunsztu.

Dodajmy do tego tę nutę narodową, mniej więcej przebijającą się, jak nić czerwona, przez wszystkie płody Chopina, połóżmy na szali jego własną indywidualność, ten żar uczucia, tę bujność wyobraźni, tę nadobność i świeżość myśli, a przekonamy się, że naśladowanie takiego męża, zawsze musi spełznąć na niczem, lub może się tylko wyrodzić w niezgrabne małpowanie i w karykaturę. Zapomniawszy o tem, że takowe naśladowanie wogóle jest niegodnem zaprzeniem się swej indywidualności, niektórzy z utalentowanych młodzieńców wzięli sobie za wzór właśnie to, co jest w Chopinie słabem, w mniemaniu, że właśnie najgenialniejszą jego stronę uchwycili, i tak wpadli na różne manowce i bezdroża.

Wszakże są ludzie wyżsi nad wszelkie naśladowanie, np. Szekspir, Sofokles, którzy, samotni na niebie piśmiennictwa i kunsztu, jak rzadkie meteory przyświecają. Do nich policzył-bym i naszego Chopina. Jeśli słuszne powszechne zdanie, że Mickiewicz stworzył dopiero poezyę rodzimą, to równem prawem powiedzieć można, że Chopin stworzył mu-

zykę narodową. W jego muzyce zaiste charakter narodowy w najpiękniejszym się objawia blasku; to samo tam powietrze, którem my oddychamy, to samo niebo, do którego oczy wznosimy, ta sama tęskność i smętność, która się w piosnkach naszego ludu przebija. On najrzewniej wyśpiewał naszą niedolę, on nam najlepiej umie rozpowiadać o naszej przeszłej wielkości, o naszych nadziejach, on jeden wyssał najsłodszy miód z kwiatów na niwie ojczystej, tak bujnie rosnących, on sam jakby poszeptem guślarza umie w naszem łonie wywołać i rozburzyć grę namiętności i melodyjnym śpiewem ją ukoić; on jest jednym z najgodniejszych reprezentantów naszej narodowości. Cześć mu i wdzięczność!

Jakoż i dzieła zwyż wymienione jasny dają dowód niewyczerpanej płodności jego geniuszu, i widocznie przeciwko tym świadczą, którzy twierdzą że z czasem słabnie i karleje twórczość poety, nie pomnąc, że Sofokles najcudniejsze swe dramaty w późnej dopiero tworzył starości, że Beethowen swą dziewiątą symfonię, która jest tryumfem nowszej muzyki, w pięćdziesiątym napisał roku. Owszem, Chopin, jeśli się nie mylimy, zdaje się z dojrzalszym wiekiem przychodzić do głębszego rozpoznania swego kunsztu, bo mniej w pomienionych dziełach tej dzikiej i chorobliwej boleści, mniej excentryczności, jaka, według zdania niektórych zbyt surowych krytyków, dziwnym się czasem miała u niego wprzódy wywnętrzać sposobem. Jakkolwiekbądź, to w tym względzie nadmienić należy, że nie trzeba go sądzić na obcą skalę, lecz z nim czuć i jak on rozumieć ducha naszej muzyki i poezyi, jeśli sąd ma być słuszny.

Po takim wstępie, doskonale odzwierciedlającym to wysokie stanowisko, jakie Chopin — obok Mickiewicza — zajmował w swem społeczeństwie, następował rozbiór poszczególnych utworów, z pomiędzy których pierwszeństwo oddał krytyk »bez wahania« *Scherzu.*

Zajmującą nader jest rzeczą uważać, jak początkowy krotochwilny utworów muzykalnych tego rodzaju charakter zmienił się z czasem i jak twórczy i wszechwładny geniusz Beethovena zupełnie inne nadał im piętno; nie ujdzie to bowiem baczności biegłego znawcy, jak nieraz żarty i krotochwile Beethovena osłonione są jakby krepą żałobną. Jest to niejako uśmiech łzawy, dziwne humorystyczne połączenie radości i swawoli ze smutkiem. W swych to *Scherzach* Beethoven najbardziej, że się tak wyrażę, jeanpaulisuje. Bardziej jeszcze wydoskonalił ten gatunek muzyki Chopin. Gdy bowiem *Scherzo* w utworach poprzedników jego było tylko wplatane w kwartety, kwintety, symfonie i inne utwory sonatowe, on je niejako usamowolnił, wyłączył, rozszerzył i utworzył z niego osobny gatunek sztuk muzycznych.

Wyżej wymienione *Scherzo* jest trzecią kompozycyą naszego rodaka w tym rodzaju. Po krótkim tajemniczym wstępie potężnie występuje tema i wraża się swym dziwnym urywkowem i namiętnem *unisono* w serce słuchacza. Po kilku przejściach i powtórzeniu pierwszego tematu następuje melodya z *Des-dur,* prawdziwe pienie aniołów, jaką tylko Chopin utworzyć potrafi, przeplatana pasażami, któreby do napowietrznych dźwięków harmoniki porównać można. Kilka przechodnich i przygotowawczych modulacyi wprowadza pierwsze tema, również *unisono* z całą swą przerażającą jego dzikością i po krótkiem wspomnieniu owej niebiańskiej i uroczej melodyi, wszystko w cwałujących namiętnych pasażach, niby potok wezbrany, zdąża ku końcowi. Wrażenie, jakie całość tego dzieła po sobie zostawia, jest niezatarte.

Mniejsze wrażenie na krytyku zrobiła *Sonata B-moll,*



Słusznie nazwał p. Szuman w artykule przetłómaczonym w jednem czasopiśmie [1]), *Sonatę* tajemniczym sfinksem; nie bez przyczyny powiedział, że napisy pojedynczych części są raczej naigrawaniem się, niż istotną sonatą. Policzyłbym ją wbrew liczbie 35, okazującej na tytule następstwo dzieł, do utworów młodzieńczych Chopina, jak cały jej ponury i mistyczny charakter zdaje się pokazywać. Niejeden, po przegraniu jej, powie sobie słowa genialnego kompozytora zeszłego stulecia: »Sonate, que me voeux-tu?«.

Co innego świeżo wydane *Mazurki* Chopina, z których niewiadomo, który był piękniejszy.

Kto *Mazurków* Chopina nie rozumie, kto je nazywa dziwacznymi, temu wręcz można powiedzieć, że nie zna muzyki narodowej i że mu natura była macochą. Pierwszy osobliwie z naszych czterech jest tak cudnej i nieomal przekonywającej piękności, iżbym go niechybnie za jeden z najpiękniejszych poczytał. Jest tam szczególniej zaraz na pierwszej stronie miejsce, które jeden z mych przyjaciół, głęboki znawca muzyki, nader trafnie przyrównał do uśmiechu, igrającego na ustach nadobnej dziewicy. Niech je sobie muzykalny czytelnik wynajdzie, a przyzna trafność tego spostrzeżenia.

Mniej entuzyastycznie wypadła opinia o *Nokturnach* i *Balladzie.*

Co do *Nokturnów* i *Ballady,* zdaje mi się, jakoby te dzieła, w porównaniu do pierwotworów Chopina w tym rodzaju, były cokolwiek słabsze, i melodye już nie tak świeże; lecz nie składajmy winy na osłabienie twórczej władzy kompozytora. Wszakże i największy artysta chwyci czasem za pióro, myśl, którą mu poda chwilowe natchnienie, rzuci na papier, da wydrukować, i otoż dzieło, którego i on nie chciałby otwarcie za najlepszy swój utwór udawać. Tymczasem i w takich drobnostkach, niby od niechcenia rzuconych, okazuje się geniusz, i jeśli poważamy się pomienione dzieła nazwać słabszemi, powtarzamy, że bierzemy to w tem znaczeniu, że są pośledniejsze od innych jego płodów tego gatunku.

Za to przy omawianiu pozostałych utworów, wymienionych w nagłówku, wszelkie zastrzeżenia — z jednym wyjątkiem drugiego *Poloneza* — okazały się zbytecznemi.

Mocno-by się mylił, ktoby w *Walcu* ostatnim, tak, jak i w innych walcach Chopina, chciał szukać straussowskich podrygów. Jeśli Gracye tańczą, to pewno tańczą z takim lubym wdziękiem, z takim powabem poruszenia, jaki się w tym walcu objawia. Pierwsza melodya, która swym dziwnym i sprzecznym rytmem jakieś miłe sprawia w takcie zamieszanie, tak jakbyś miał taneczników w dziwnych splotach wirem się kręcących, jest mocno malowniczą. Co do tej malowniczości słusznie ktoś nazwał Chopina »Rafaelem muzyki«.

Drugie *Impromptu* nie ustępuje w niczem pierwszemu. Ta luba, smętna, urocza melodya, z tym dziwnie harmonijnym rytornellem, jakże piękna! Jakże miły kontrast z drugim tematem *D-dur,* który występuje tak stanowczo i energicznie! Jakże luby powrót do pierwszego śpiewu, jakże śliczne zakończenie, jakby oplecione wieńcem najśpiewniejszych skalicznych pochodów! I tak coraz bardziej niknie, rozlatuje się coraz wyżej i dalej, aż nareszcie gdzieś tam w oddaleniu ginie. Jedynie tak oschły krytyk, jak Fink, może nazwać

[1]) W *Tygodniku literackim* Woykowskiego.

w piśmie wychodzącem pod swą redakcyą, ten koniec słabym i przedawnionym, a natomiast chwalić dzieła ani źdźbła wartości poetyckiej nie mające.

Co do *Polonezów,* pierwszy z nich jest także pierwszym i co do wartości. Determinacya i dobitność rytmu, pełność harmonii, trio pełne mocy i energii, niewygasłe po sobie zostawiają wrażenie. Stawia się nam pomimowolnie przed oczy obraz szlachcica, który zarzuciwszy na ramiona wyloty kontusza, wąs pomuskuje, karabelą po posadzce brząka, i z gęstą miną dumnie stąpając, poważne zawodzi koło. Na całej twarzy powaga, wspaniałość i wyryte wyrazy: ja człowiek wolny, ja pan świata! Lecz natomiast w drugim *Polonezie* kompozytor przekroczył granice piękności w tej jednostajnej, niezrozumiałej, ponurej melodyi, która oktawami w najniższych regionach basu przez całą stronicę się ciągnie, i sprawia jakieś nieprzyjemne i nużące mruczenie.

Co się tyczy ćwiczeń *(Etudes),* wiadomo już, jako Chopin do tego wyrazu nowe zupełnie przywiązał znaczenie. Gdy bowiem dawniej *Etiudy* były jedynie obrachowane na mechaniczną wprawę rąk i palcy, on jeden z najpierwszych w swym pierwszym i drugim wielkim zbiorze *Etiud,* wbrew przyjętemu zwyczajowi, zamiast oschłych exercycyów, dał nam arcydzieła, zawierające w sobie obok czysto technicznego celu, głębokie poetyczno-uczuciowe życie. Nasze trzy ćwiczenia w równi stoją z pierwszemi *Etiudami* i malują liryczne sytuacye i momenty.

Wielce charakterystycznem było zakończenie recenzyi, świadczące, że i Szulc, jak tylu innych wtedy, z Elsnerem na czele, starał się nakłonić Chopina, by nieograniczał swej twórczości wyłącznie do kompozycyi fortepianowych, ale sięgnął po laury i w dziedzinie muzyki orkiestralnej.

Tak więc choć w części uiściwszy się drogiemu ziomkowi z długu zaciągnionego wdzięczności i złożywszy mu publicznie hołd winny jego wszechwładnemu i potężnemu geniuszowi, nie możemy na ostatku pominąć pospołu z niejednym Chopina wielbicielem naszego gorącego życzenia, ażeby nas c z ę ś c i e j i w i ę k s z e m i d z i e ł a m i obdarzać raczył. Wszakże one już teraz wszędzie i za granicą zyskały wziętość, jaka im się przynależy. Rozeszła się była kiedyś wieść, że Chopin pracuje nad operą narodową. My, nie wiedząc, ile prawdy w tej pogłosce, z utęsknieniem oczekujemy czasu, w którym będziem mogli powitać jego kwartet, kwintet, uwerturę lub symfonię, będąc tego przekonania, że nie mało się to przyczyni do upowszechnienia sławy naszego rodaka, jeśli wyjdzie poza szczupły zakres kompozycyi na sam fortepian, na której żaden przecież geniusz muzyczny dotąd nie poprzestał. Przyznaję, że do symfonii osobliwie i do opery, jako do najwyższych porywów kompozycyi muzycznej, trzeba głębokiej znajomości teoryi kunsztu, trzeba innych usposobień, przygotowań bez liku; lecz czyż Chopinowi na nich zbywa? Tymczasowo wdzięcznie przyjmując i to, czem nas obecnie dość hojnie obdarzył, żegnamy go pięknem słowem naszego wieszcza:

Dalej naprzód z myślą świeżą!
Nie nam wahać się, rozważać!
Pospieszcie się przed nocą, nim gromy uderzą,
Stwarzać, stwarzać, stwarzać!

Wrocław, w maju 1841 roku.

Artykuł ten, choć wydrukowany w piśmie konkurencyjnem i konserwatywnem, snać podobał się i trafił do przekonania Woykowskiemu, skoro



zwrócił się do jego autora, ażeby napisał do *Tygodnika* rozbiór najnowszych utworów Chopina.

Pierwszy artykuł Szulca w piśmie Woykowskiego, zatytułowany, jako *Przegląd ostatnich dzieł Chopina* ukazał się w Nr. z 7 i 14 marca 1842 r.

»Ostatniemi dziełami Chopina«, które tym razem miały być poddane krytycznej ocenie, były następujące utwory mistrza, wymienione w nagłówku artykułu: 1) *Allegro de Concert* Op. 46, 2) *Troisième Ballade* Op. 47, 3) *Deux Nocturnes* Op. 48. 4) *Fantaisie* Op. 49. 5) *Polonaise* Op. 44. 6) *Tarantelle* Op. 43.

Przystępując do ich rozbioru, autor poprzedził go stylistycznie pięknym wstępem, w którym przedstawił Chopina, jako tego, który gdy Mickiewicz zamilkł, najchlubniej przed Europą świadczy o geniuszu swego narodu. Dlatego też

powzięliśmy zamiar od czasu do czasu w pismach publicznych donosić o płodach naszego piewcy nadwiślańskiego, zwłaszcza, że ledwie gdzieniegdzie wzmianka się o nich znajduje, że o obszerniejszym rozbiorze zupełnie przemilczę. Obecnie pożądana do tego nastręcza się sposobność, albowiem pan Chopin z prawdziwie rzadką hojnością w przeciągu dwóch miesięcy stęsknionych ziomków siedmiu obdarzył utworami.

Nasamprzód najczulsze należą podzięki drogiemu bardowi, iż prośbę kilkakrotnie od swych rodaków wynurzoną, ażeby częściej raczył zbogacać ich literaturę muzyczną, jak się zdaje uwzględnić raczył. Stanowisko pana Chopina w naszem położeniu teraźniejszem jest tak chlubnem, jak bodaj kogo innego. Bojan albowiem, który dotychczas zastępom wieszczów naszych przewodniczył, strzaskał swą gęśl i milczy uporczywie [1]). Pan Chopin odziedziczył jego władzę, on żywi w sercach naszych święty znicz narodowości. On najwymowniej tłómaczy myśl narodu; jego dzieła są świętym przybytkiem, ową arką, jak Mickiewicz mówi, w której skarb muzyki rodzimej złożony, w niej utajone wszystko to, co tylko szlachetniejszego, pięknego i wzniosłego tętni w piersi Polaka, przędza myśli gminnej, spadek i dziedzictwo kilkuwiekowe, chlubne świadectwo poezyjnej dążności ludu naszego.

Poparciem tego są najświeższe kompozycye Chopina, z których najmniej szczęśliwą wydało się recenzentowi *Allegro de Concert.*

Z całego układu i planu tej sztuki naocznie można się przekonać, że pierwotnie była napisaną z towarzyszeniem orkiestry, tak dalece, iż można dokładnie oznaczyć miejsca, w których *Tutti* występuje. Melodya, wątek myśli, głębokość uczucia nie tyle w nim uderza, jak wytworność i pełność harmonii, pewne użycie rozmaitych efektów instrumentu, okazałość pasaży, uderzająca śmiałość przejść, słowem, uozdobienie i przystrojenie całości. Nieprzyjemnie od niej odbija drugi temat, mający coś staroświeckiego i nieudolnego w sobie, a później, jak na przekorę, powtarzający się w oktawach. Wogóle dzieło to więcej do ucha, niż do serca, przemawia, i oraz naprowadza na niepłonny domysł, że jest stworzone na prędce, i że sam p. Chopin do niego wielkiej nieprzywiązuje wartości. Wyznajemy, że gdyby kto inny był jego autorem, nazwalibyśmy je wybornem; p. Chopina przywykliśmy mierzyć skalą d o s k o n a ł o ś c i. Nigdy jednakowoż prawdziwy wieszcz, jak p. Chopin, zupełnie się zaprzeć nie zdoła, czego, prócz innych tu i owdzie rozproszonych niepospolitych piękności, miejsce na stronie 8-mej jasnym jest dowodem.

[1]) Mickiewicz.

Bez żadnego porównania piękniejszą, wspanialszą, poetyczniejszą, wydała się krytykowi *Ballada As-dur,* rzecz prawdziwie natchniona, mistrzowska pod każdym względem.

Czytaliśmy gdzieś, że nierzadko poezye, mianowicie *Ballady* i *Piosnki* Mickiewicza, niejednemu z najpowabniejszych utworów p. Chopina dają początek. Jeśli zawierzać można, niepospolite dałby szczegół taki świadectwo o duchowem pokrewieństwie dwóch naszych największych wieszczów, i znacznie-by rozświetlił drogę rozwoju p. Chopina. *Ballada* niniejsza, tak świeża, wonna, powabna, napowietrzna, pełna wdzięku, iż nie można się oprzeć myśli, jakoby p. Chopin wrażenie powzięte z czytania jednego z owych cudnych utworów Mickiewicza w harmonijne złowił dźwięki. Osobliwie owa zwrotka [1]), powracająca kilka razy, przypomina nam owe powiastki niepojęte, pełne dziwów, któremi niańka rozmarzoną wyobraźnię dziecięcia kołysze. Jej czarodziejskie koła coraz bliżej swą uroczą potęgą nas osnuwają, wiodą w nieznane krainy, w dziedzinę marzeń i ułudy; z nienacka boleśniejsza przebija się nuta, wzbierając zwolna w wirze fantastycznych i szalonych pochodów do niezwyczajnej gwałtowności. Owa zwrotka atoli umie ją zakląć, zarzec, ukoić; bas tylko w chromatycznych pochodach błądzi, szukając miru. Nareszcie i on się uspokaja, a początkowy temat w całym przepychu harmonii i zwycięskich akordów występuje, i kończy ów cudny poemat, pełen życia i prawdy.

Na tej samej wysokości należało postawić dwa *Nokturny.* O pierwszym z nich, w tonie *C-moll,* tak pisał recenzent:

W tym *Nokturnie* zwacamy uwagę na bas pełen mocy i energii, który smutnej nucie melodyi nadaje pewien wyraz męskości i rezolucyi. Ona się też tuli do niego, jak słaby bluszcz pnący się po sążnistym dębie. Intermezzo, *Poco piu lento,* jest jedyne w swoim rodzaju: wytworne, okazałe, szczytne, jak mąż żelaznej i nieugiętej woli, który oporne stawia czoło niebezpieczeństwu i przeciwnościom. Nacierają nań hufce szatanów, tysiące potworów otwierają nań swą paszczę, on stoi niezachwiany, niezwyciężony, niepokalany. Taki obraz wyrył się w mej wyobraźni, gdym pierwszy raz grał to wyborne *Nokturno.*

W drugim z tych *Deux Nocturnes,* w tonie *Fis-moll,* uderzyła krytyka »melodya rzewna, elegiczna, tęskna, jakby wspomnienie, goniące za szczęściem ubiegłem«, którego to »wyrazu smutku nawet *Intermezzo Des-dur,* na weselszą niby nastrojone nutę, zupełnie zatrzeć nie może«. Na tem smętnem tle odbijają się, zdaniem krytyka, »i inne utwory Chopina tego rodzaju«.

Zwłaszcza da się to powiedzieć o »dawno zapowiedzianej« *Fantazyi F-moll.*

Temata jej narodowe, pełne słodyczy i śpiewności, a mianowicie melodya na stronie 15-tej, *Lento sostenuto,* której ulotne i jakby mimowolne wspomnienie ku końcowi kompozycyi jedyne sprawia wrażenie. Trudno jednakowoż pojedyncze piękności tam wyliczać, gdzie całość jest piękna. Wolność formy, jaka niby jest dozwoloną w *Fantazyi,* nie jest bynajmniej pobudką naszemu kompozytorowi do puszczenia wodzy genialnym wy-

[1]) Str. 7, syst. 1 i 2.



brykom i do miłego nieładu, lub rzemieślniczego powiązania kilku tematów (à la Thalberg), z ladajakiem urozmaiceniem onychże; lecz związek, im skrytszy na pierwszy widok, tem głębszy! Każdy temat występuje w swym właściwym charakterze, a wszystkie razem w wydatną i wyrazistą zaokrąglają się całość. Jeden tylko zrażający postęp akordów uderzył nas w owym w zwyż wymienionym temacie; nie dlatego, że wykracza przeciwko świętej powadze teoryi, lecz że zdaje nam się z anielską łagodnością i słodyczą melodyi w zupełnej być sprzeczności. Wszakże i mniej biegły znawca harmonii zdoła zapomocą małej odmiany cierpkość jego załagodzić.

Dziełem skończonem, bez zarzutu, mistrzowskiem pod każdem względem, krótko mówiąc, arcydziełem, wydał się krytykowi *Polonez Fis-moll.*

Zabawną rzeczą widzieć, jak wielu z panów naśladowców Chopina, upodobawszy sobie w jakiejś dzikości i excentryczności, jaką w nim upatrzyli, rozsierdziwszy się po romantycznemu na świat, szamocą się nań i srożą, jakgdyby go chcieli w swem szlachetnem uniesieniu zdruzgotać i w niwecz obrócić. Przyrównałbym ich do owych żebraków, którzy udając kalectwa, jakich nie mają, i krzycząc w niebogłosy, podstępem przechodnia do litości chcą poruszyć. Inaczej p. Chopin. Smętność jego szczera, rzetelna, wzniosła, samorodna. Chociaż boleśnie niekiedy zadraśnie serce, umie on i zagoić rany, które ci zadał. Jest to boleść szlachetnej duszy, która i w nieszczęściu zachowuje tyle wartkości i dzielności, iż umie niejako wywnętrzyć i uprzedmiotować to, co jej dolega. W takiej myśli poczęta jest niniejsza kompozycya. Dotkliwa i do żywego przejmująca jej boleść wzrasta do olbrzymiej wielkości, jakby chciała spalić na proch serce, rozerwać pierś człowieka. Następnie wynurza się *Mazurek,* dziwnej piękności, tchnący słodyczą anielską, luby, nadobny, narodowy, tak, że ucho znęcone nie może się oprzeć uroczym i wabnym jego dźwiękom. Opis wszelki daremny; trzeba grać, trzeba słyszeć ten zadziwiający kontrast uczuć, to nieznaczne przejście do wstępu, który z początku nieśmiało się odzywa w basie, nareszcie strzeliwszy w górę w dzikich pasażach, wprowadza melodyę polonezową, lecz w przeraźliwych nieomal pochodach i harmoniach. W końcu dopiero posępność niknie, omdlewa i w elegicznych tonach kona.

O *Mazurku A-moll,* tworzącym Nr 2 zbioru sztuk rozmaitych kompozytorów, nazwanego przez wydawcę *Notre temps,* recenzent nie rozpisał się obszerniej, »bo każdy mniej więcej zna *Mazurki* p. Chopina«; zaznaczył tylko, że *Mazurek* ten jest »tajemniczy, jakby w siebie zwrócony, dumający«. Równie krótko wypadło omówienie *Tarantelli As-dur* (poczętej prawdopodobnie na Majorce).

Jest to rodzaj tańca, którym, według podania, w południowych krajach leczą ukąszonych od skorpiona. Rossini w swych *Soirées musicales* przecudną nam dał *Tarantellę,* którą Liszt z niezrównanym gra wyrazem. I nasza *Tarantella* nosi na sobie ów wirem porywający, gwałtowny charakter sztuk tego rodzaju.

Zapisawszy sumiennie, że »cztery pierwsze sztuki wyszły w Lipsku u Breitkopfa i Haertla, piąta u Mechettiego w Wiedniu, szósta u Schotta w Moguncyi, ostatnia w Hamburgu i Lipsku u Schuberta«, zakończył Szulc swój »przegląd« *Ostatnich dzieł Chopina* następującemi uwagami ogólnemi:

Jak z przyjemnością uiściliśmy się z obowiązku obszerniejszego przeglądu z tych dzieł, który szanowna redakcya *Tygodnika literackiego* na nas włożyła, tak pilnie i w przyszłości baczyć będziemy, jaki kierunek i dążność weźmie geniusz p. Chopina. Pan Chopin stanął dziś na wysokiem stanowisku. Należy wyłącznie do naszego narodu; naród więc o nim wiedzieć powinien. Jak ktoś do cudzoziemca pewnego powiedział, że nie masz Polaka, któryby nie umiał kilku śpiewów historycznych na pamięć, tak przyjdzie czas, w którym Chopina dzieła przejdą w naród, bo są rodzime, niepokalane i czysto polskie. Tego tła i znamienia narodowości w utworach Chopina żaden wpływ obczyzny, ani bezdenna głębokość niemieckich, ani zalotna lekkość francuskich kompozytorów zatrzeć nie zdołała. Lecz jak jedno życzenie rodzi drugie, tak i my z utęsknieniem wyglądamy tych czasów, w których usłyszymy samego mistrza wykonywującego swe dzieła. Niedawno temu gruchnęła wieść, że p. Chopin ma zamiar udania się do Warszawy, w celu odwiedzenia swej familii. Jeśli prawda, oby nie chciał pominąć naszej prowincyi, która pierwsza się na nim poznała i pierwsza mu oddała cześć przynależną. Wtedy mu dopiero serdecznie wybaczymy uchybienie, które przed kilku laty popełnił, będąc w Lipsku, a zaniechawszy uszczęśliwić nas swą obecnością. Spodziewamy się, że, gdyby nam się udało p. Chopina do tego nakłonić, owo przysłowie, jakoby głos proroka w ojczyźnie był głosem wołającego na puszczy, okazałoby się zmyślonem.

Poznań, dnia 18 marca 1842 roku.

Artykuł ten, najwidoczniej zamówiony przez Woykowskiego, opatrzył tenże, w przypisku, następującą zapowiedzią: »W najbliższych numerach pisma naszego umieścimy, oprócz tej z głęboką rzeczy znajomością skreślonej recenzyi, kilka słów naszych o tych dziełach Chopina«. Ale i ta obietnica okazała się płonną; Woykowski, choć tak gorący wielbiciel Chopina, jakoś nie mógł się zdobyć na napisanie o nim »kilku słów«, a gdy po upływie dwóch miesięcy wypadło w rubryce *Doniesień literackich* zapisać wiadomość, że »Chopin wyda wkrótce w Wiedniu *3 Mazurki* na fortepian Op. 50«, i gdy *Mazurki* te, jako *Trois Mazourkas pour le Piano par F. Chopin, Oeuvre 50,* wyszły w Wiedniu nakładem Piotra Mechettiego, redaktor *Tygodnika literackiego,* zamiast o nich sam napisać obszerniejszą recenzyę, przy której to sposobności doskonale mógł się wypowiedzieć ze swem osobistem zapatrywaniem na poprzednie dzieła Chopina, znów powierzył napisanie recenzyi tej Szulcowi.

Recenzya ta, zamieszczona w Nr. 41 *Tygodnika* z dnia 10 października 1842 roku brzmiała, jak następuje:

Już kilkakrotnie przy podanej sposobności mówiliśmy o geniuszu i duchu utworów muzycznych piewcy polskiego, a zawsze czyniliśmy to z najżywszą radością i uniesieniem: i dzisiaj z uniesieniem donosimy o nowym płodzie jego muzy, o nowym kwiatku na błoniach rodzinnych, przez niego uszczkniętym. Omylił-by się zaiste, ktoby w rozwoju muzy chopinowskiej zechciał upatrywać owego widzialnego i dotykalnego nieomal postępu; Chopin jest z małą odmianą takim samym dzisiaj, jakim był przed dziesięciu laty. Jest on jednym z owych rzadkich ukochanych synów nieba, którzy ledwo przyszli na świat, a już jasno się w sobie rozpatrzyli, obrachowali swe siły, wytknęli sobie cel i drogę, którą do dopięcia onegoż zmierzać postanowili. Dlatego nie zbaczają ani w lewo ani w prawo; nie szamocą się, jak ci, którzy wewnętrzne ubóstwo ducha szarlataneryą pokryć usiłują, lecz do tych, którzy dobiegłszy nareszcie do kresu, kończą swą wędrówkę przetrawieni, oczyszczeni z ziemskiej zakały, zbogaceni mnogiemi doświadczeniami, jak ów podróżny bywalec, który zwiedziwszy obce ziemie, przysporzywszy sobie znajomości serca i obyczajów ludzkich, z nabytym zapasem wraca wypocząć po znojach i trudach pod rodzinną strzechą.



Dziesięć lat upływa od czasu, w którym Chopin wystąpił na widownię świata, jako kompozytor muzyczny. Niech każdy, co pilnie uważał jego działanie w rzeczonym zawodzie, zda, jeśli może, świadectwo przeciw niemu, czy aby raz przeniewierzył się głosowi swego sumienia, hołdując modzie i zepsutemu smakowi motłochu. Czyż nie dokonał zaszczytnie dzieła, które Beethoven rozpoczął? Czyż nie oswobodził myśli od krępujących ją więzów pedanteryi i wybrednego szkolnictwa? Czyż nie nadał fantazyi śmielszego polotu, stworzywszy na czele duchowo spokrewnionych zwolenników, szkołę romantyczną? On zaiste jest owym wielowładnym mocarzem tonów, poetą, twórcą, który w *Dziadach,* o sobie mówi:

Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,
Wcielam w słowa: one lecą,
Rozsypują się po niebie,
Toczą się, grają i świecą;
Już dalekie: czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję
Ich okrągłość dłonią czuję
Ich ruch myślą odgaduję.
Kocham was, me dzieci wieszcze!
Myśli moje! gwiazdy moje!
Czucia moje! Wichry moje!
W pośrodku was, jak ojciec wśród rodziny stoję.
Wy wszystkie moje!

Co się tycze trzech świeżo wydanych *Mazurków G-dur, As-dur* i *Cis-moll,* to są to, zdaniem recenzenta, »arcypiękne obrazki miniaturowe, w jakich tworzeniu szczególniej nasz Chopin celuje, odmienne co do charakteru, ale widać, że krewniaki i z jednego ducha poczęte. Pierwszy więcej krotochwilny i pogodnego lica, drugi tchnący słodyczą, czarujący śpiewnością melodyi, trzeci (i to według naszego zdania najpiękniejszy), melancholiczny, tęskny, wzrusza i przejmuje do żywego swą narodową, rzewną nutą, jak przeciągłe i smętne przegrywki fujarki pasterskiej«.

Bardzo serdecznie brzmiało zakończenie artykułu:

Oby niebo raczyło nam długo zachować kochanego piewcę, którego zdrowie, według najnowszych doniesień dziennikarskich, już mocno nadwątlone! Oby dozwoliło mu jeszcze kilka podobnych dzieł pięćdziesiątek stworzyć! Kto tak działa, jak on, nigdy dość długo nie żyje! W końcu niech mi będzie wolno przytoczyć treściwe, acz krótkie, zdanie Joachima Felsa (z *Neue musikalische Zeitschrift Nr. 16 Beilage*): »Chopin jest najpoetyczniejszem zjawiskiem nowszej epoki muzycznej. Prawda, że zewnętrznie się zmienił, wiekiem spoważniał, fizycznie na siłach opadł, ale święty ogień poezyi w nadwerężonem ciele dojrzałego męża, z takąż samą siłą i jasnością płonie, z jaką pałał w dwudziestoletnim młodzieńcu. Chopin ziścił obecnie to, co jako myśl tlało i żarzyło się w jego młodocianem sercu, co go od samego początku w artyście ożywiało. I jakże rozwiązał swe zadanie? Bez wrzawy i ostentacyi, cicho i samotnie, jak kwiatek, rosnący obok drogi, krzepi znużone oko wędrownika, skromną swych barw pięknością. I Chopina burze ostatnich czasów dotknęły, lecz świętego płomienia w piersi jego nie zagasiły; i on wejrzał

w życie i jego zmiennicze koleje; lecz dość wcześnie zdążył w sobie samym się zamknąć, sobie samemu wystarczyć; w zaciszu serca swego znalazł harmonię, której na zewnątrz darmo szukał. Znalazł mówię, i znajduje w dobranem gronie pokrewnych w duchu przyjaciół, w towarzystwie i zażyłem pożyciu z najgenialniejszą kobietą (jak wiadomo z panią Dudevant, George Sand) upragnioną spokojność i nagrodę za to, co świat zowie jego zasługami.

Konserwatywny i ultrakatolicki *Orędownik naukowy,* tak niemiłosiernie poniewierany na łamach postępowego i liberalnego *Tygodnika literackiego,* niemniej redagowanym był bardzo starannie, a między innemi posiadał doskonałego korespondenta z Paryża, który znakomicie informował o ruchu umysłowym, literackim i artystycznym nad Sekwaną. Nie wszystkie z tych korespondencyi, bardzo klerykalnych w swej ogólnej tendencyi, mogły się podobać Chopinowi (o ile je czytywał), albowiem autor zajmował wprost wrogie stanowisko względem »niegodziwych romansów« p. G. Sand, pomimo, że widział w nich »tyle talentu i tyle stylu« i że jej nie odmawiał »wielkiej umysłowej potęgi«. Swoją drogą uważał je »z małemi wyjątkami« za prawdziwą »zakałę literacką«, do której to kategoryi zaliczał i niemniej niegodziwe romanse Balzaca, tak skwapliwie czytane w całej Europie, a niestety i w Polsce. Mimo to nieprzejednane stanowisko w stosunku do twórczości p. Sand i Balzaca, korespondent *Orędownika naukowego* był człowiekiem wysokiej kultury literackiej i artystycznej, o czem najlepiej świadczą jego korespondencye z Paryża, pełne subtelnych spostrzeżeń o współczesnych objawach literatury i sztuki w stolicy Francyi, szczególniej w zakresie malarstwa i muzyki. Oto np. wyjątek z jego korespondencyi, datowanej 1 lutego 1842 roku, poświęcony fortepianistom - polakom, stale mieszkającym nad Sekwaną.

Wspomnę wam jeszcze o polskich fortepianistach w Paryżu. *Ab Jove principium.* Chopin stanął tak wysoko, jako kompozytor, że dziś trudno dla niego pochwały znaleźć. Ci, co nie pojmują jego głębokiej melancholii i tej gorzkiej, niecierpliwej ironii, co nieraz dziko myśli jego muzyczne targa, czują, że jest u niego wielkie, prawdziwe natchnienie. Znajomość harmonii, która mu pozwala w dyssonansach najwspanialszych szukać efektów, największych mistrzów zadziwia. Nawet nie znający muzyki duma i płacze, słysząc te tęskne skargi, co tak za serce chwytają. Exekucyę Chopina powszechność nie tyle ocenia i w tem nie dowodzi smaku; nie odurza on wielkim hałasem, sztuk na klawiszach nie pokazuje, ale jakże cieniuje, jakże najdelikatniejsze oddaje uczucia. Jeden z krytyków słusznie kiedyś mówiąc o delikatności gry Chopina, wyrzekł, że zdaje się nieraz, że ptak jakiś końcem skrzydeł powierzchnię klawiszów muska. Po Chopinie, choć w pewnym odstępie, najwyżej kładziemy Juliana Fontanę. Jeśli można już mówić o szkole Chopina, jest on ze szkoły Chopina, którego muzykę jeden może dobrze gra ze wszystkich fortepianistów dzisiejszych. Grę Fontany odznacza wielka dystynkcya, czuje i cieniuje doskonale, unika wszelkiej przesady i za wrażeniem nie goni. Jako kompozytor niedawno dał się poznać i zaraz znakomite zajął miejsce. W kompozycyach jego, jak i w grze, więcej cieniowania, niż śmiałości, czystość stylu wielka i nigdzie choćby najdrobniejszej pospolitości. Wolff doskonały, jako exekutor, wybornym jest także kompozytorem, ma dużo natchnienia, dużo nowych idei, za wiele nawet idei, które tak się tłoczą w jego



utworach, że im często brak na prostocie. Na nieszczęście Wolff, który powiada wszystko, żeby zająć stanowisko, zanadto pisze; służy on w tej mierze za narzędzie spekulacyom swego wydawcy. Stąd nieraz wielkie nędzoty z jego imieniem wychodzą. Antoni Kątski ma pewną wziętość, gra biegle, świetnie nawet; masie publiczności bardzo się zwykle podoba. Wszakże szkoła, do której należy, szkoła Herza, ma się dziś ku schyłkowi. Kątski pisze dużo i zręcznie; nuty z jego imieniem dobrze się sprzedają. Nie możemy pominąć Napoleona Ordy, który ma wziętość salonową, pisze i nie brak mu na zaletach. Sowiński Albert piękne sobie w muzykalnym świecie wysłużył imię. Exekucya jego na fortepianie jest świetna, choć nie wysoka; komponuje wcale nieźle; wszakże szczęśliwszy w małych kawałkach, niż w wielkich dziełach, na które się odważył.

W noworocznym Keepsake wydawcy Schlesingera był *Prelude* Chopina, *Caprice* niby marsz Fontany i *Ballada* Wolffa. Krytycy muzyczni chwalą bardzo wszystkie trzy utwory. W tych czasach wychodzą u Schlesingera: Chopina *3-cia Ballada, Allegro de Concert, Grande Polonaise, Deux Nocturnes* i *Trois Mazurkas,* Fontany *Deux Caprices, Rêverie, Elegie, Douze Etudes. Ballada* i *Nocturny* Chopina są cudnej piękności. *Etiudy* Fontany mocno prawdziwym znawcom zalecam.

Że wszyscy ci pianiści w mniejszym lub większym stopniu byli naśladowcami Chopina, na to zwracał uwagę w *Orędowniku naukowym* w Nr. 8 z 1845 roku M. A. Szulc w swym artykule o *J. F. Dobrzyńskim,* gdzie między innemi pisał w ten sposób:

Napomknęliśmy wyżej, że p. Dorzyński pobierał wraz z Chopinem lekcye kompozycyi muzycznej. Wspólność dążeń i studyów zamieniła się w zażyłość i skojarzyła obu młodzieńców nierozerwanym węzłem przyjaźni, która tylko korzystnie mogła wpłynąć na rozwinięcie tlącego w obydwóch geniuszu. Musiała bowiem koniecznie zrodzić zobopólne zwierzanie się z swych myśli, wzajemne zasięganie rad, porozumiewanie się względem zadania i celu, jaki sobie wytknęli. I w istocie, kto słyszał niezrównane i pełne świeżości *Mazurki* i *Nokturna* Chopina, ten w kompozycyach Dobrzyńskiego zobaczy ich odblask. Uchowaj Boże, abyśmy Dobrzyńskiego nazywali przeto naśladowcą Chopina, tak, jak nimi są: Wolff, Fontana, Orda, Sowiński i inni. Jest to, że tak powiem, apryoryczne powinowactwo ducha, które tylko wspólność pożycia i dążeń wyrobiła i wydatniejszem uczyniła. W pomienionych utworach Dobrzyńskiego niema ani jednej myśli, która-by była żywcem odjęta, albo naśladowana z Chopina.

W każdym razie jeden wybitny rys czyni dzieła Dobrzyńskiego pokrewnemi z utworami Chopina, to ich charakter narodowy, to owo piętno narodowości, które obaj wycisnęli na swej twórczości, a które pierwszy genialnie i świadomie zainicyował Chopin.

Od czasu, w którym Chopin na widownię muzyczną wystąpił, tylko narodowi piewcy powstać u nas mogą, czyli raczej tacy tylko żyć będą w narodzie. Z toru, przez tego mistrza wskazanego, już nie będzie im wolno zboczyć, jeżeli będą chcieli należeć do narodu i być głosicielami myśli i uczuć jego. Dobrzyński pojął tę myśl już w samym początku swojego zawodu muzycznego i umiał się ze swego zadania jaknajzupełniej wywiązać. Lecz pomiędzy nim a Chopinem ta zachodzi różnica, że ostatni zamknął swe zadanie w szczupłych obrębach fortepianowej muzyki, Dobrzyński zaś, pojąwszy je na większą skalę, zastosował je do całej orkiestry i kompozycyi orkiestrowej.

W takim tonie były artykuły o Chopinie, pojawiające się w pismach krajowych. Prasa emigracyjna, choć wyłącznie polityką zaabsorbowana, a tem samem mniej oddana na usługi literatury i sztuk pięknych, dla Chopina jednak, który był chlubą nietylko narodu, ale i emigracyi także, raz po raz czyniła wyjątek, o tem zaś, jakie było jego stanowisko wśród fortepianistów polskich, zamieszkałych nad Sekwaną, wcale niezgorzej informuje artykuł Konstantego Miller Kossowskiego, wydrukowany w *Trzecim Maju* [1]), a zatytułowany: *O celniejszych szkołach muzyki a mianowicie fortepianu i o fortepianistach polskich w Paryżu.* Oczywiście, że w artykule takim nazwisko Chopina musiało się powtarzać niejednokrotnie. Nadmienić wypada, że artykuł był napisany z fachową znajomością omawianej kwestyi, zaczem poszło, że twórcy *Nokturnów* zostało przyznane, co mu się należało. Oto zasadniczy ustęp tej rozprawki, dotyczący Chopina i jego stanowiska w »celniejszych szkołach muzyki« (fortepianowej).

Mozart i Beethoven, twórcy szkoły głównej, trzymają pierwsze miejsce w muzyce; *Koncerta* ich i *Sonaty* na fortepian są arcydziełami stylu kameralnego; kompozycye ich są dotąd wzorami, których się każdy trzyma; są oni dwoma olbrzymami w muzyce, jak Rafael i Michał Anioł w malarstwie, których nikt nie prześcignął, i niezmiernie mała jest liczba kompozytorów, którzy zdołali rozszerzyć obszerną przestrzeń świata muzycznego, którą oni swym geniuszem odrazu zakreślili. Oprócz szkoły dawnej Mozarta i Beethovena, do której należą Clementi, Dussek, Cramer, Sebastian i Emanuel Bachowie, Weber i inni, stosownie do upowszechnionego, a w naszem przekonaniu dosyć usprawiedliwionego mniemania, są jeszcze trzy szkoły:

1) Szkoła Humla, do której zaliczają Herza, Moschelesa, Kalkbrennera, Czernego, Pixisa i innych.

2) Szkoła Thalberga i Liszta, do której najwięcej się zbliżają: Henselt, Wolff, Doehler.

Nareszcie 3) szkoła fortepianu, której twórcą jest Chopin. Szkoła ta dotąd nie wielu liczy naśladowców i odznacza się wielu śmiałemi innowacyami w rytmie, formie, nie mówiąc już o nowym toku melodyi i wprowadzonych nowych przejściach harmonicznych.

Po obszernym ustępie poświęconym szkole Thalberga, którą porównał do szkoły romantycznej w poezyi, a do której z polskich fortepianistów zaliczył Antoniego Kątskiego, autor w ten sposób zcharakteryzował właściwości Chopina i jego szkoły.

Szkoła Chopina odznacza się wprowadzeniem wielu zmian w szczegółach exekucyi, dla dokładnego zrozumienia których należałoby dotknąć teoryi fortepianu. Ograniczymy się tu do zrobienia uwagi, że odmiany te dodają grze słodyczy, gracyi, służą do wydobycia więcej tonu i stanowią można powiedzieć najczystszy styl, najczystszą metodę, która postawiła dwóch Polaków, panów Chopina i Wolffa, w rzędzie sześciu najsławniejszych fortepianistów nowej szkoły. Przytem pan Chopin ze wszystkich fortepianistów najwięcej zrobił zdobyczy na polu odkrycia, wprowadził nowe przejścia harmoniczne, nowe rysunki melodyi, nowy rytm, wszystkiemu nadał nowy urok, wszystko upoetyzował.

[1]) W numerze z dnia 3 maja 1847 roku





Fryderyk Chopin wśród areopagu współczesnych znakomitości muzycznych.
Według współczesnej litografii.
(Klisza »Nauki i Sztuki« Wyd. Tow. Naucz. Szkół Wyższ., T. X., *Chopin* H. Opieńskiego).

Wszyscy ci mistrze, o których teraz wspomniałem, mają to wspólnego, że każdy z nich wyrobił sobie niezawiśle od szkoły, którą stworzył, lub do której należy, cechę indywidualną, po której każdą z jego kompozycyi poznać można, że każdy frazes ich jest wyciągnięty z natury fortepianu, jest prawdą. Gust dobry jest tak wybrednym, że nie sankcyonuje nic dla fortepianu, skrzypców, wiolonczeli i t. d., tylko to, co jest zgodne z ich naturą, i ci tylko są prawdziwymi wirtuozami, którzy taką muzykę piszą.

Z tego stanowiska sądząc artystów, zdaje się nam, że p. Sowiński, kiedy pisał dla orkiestry, również, jak p. Kontski w swojem *Trio* na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, nie umieli stworzyć muzyki zgodnej z naturą każdego instrumentu, i radzilibyśmy, ażeby, jak panowie Chopin i Wolff, z wielką ostrożnością sięgali poza obręb sfery, w której mogliby dojść również do mistrzowstwa, i poświęcili się całkowicie muzyce fortepianowej.

Tak brzmiały głosy prasy polskiej o Chopinie [1]), będące wiernem odbiciem sławy, jaką genialny twórca *Polonezów* zdobył sobie wśród ziom-

[1]) Samo się przez się rozumie, że tu nie wyczerpałem wszystkiego, co w ówczesnych czasopismach polskich, warszawskich, lwowskich, krakowskich, poznańskich i emigracyjnych, pisano między rokiem 1838 a 1849 o twórcy *Polonezów*. Wystarcza nadmienić, że tych głosów dałaby się zebrać ilość znaczna. Nie brak ich nawet w *Tygodniku petersburskim*, nie brak w *Rozmaitościach lwowskich*. Ale trudno cytować wszystko.

ków, w kraju i na emigracyi. Ale znakomity między swoimi, Chopin stał się niemniej sławnym i wśród obcych, a zaliczony do największych pianistów i kompozytorów świata, miał sławę europejską, wszechświatową, ciesząc się niemniejszem uznaniem w Niemczech, jak we Francyi. I tu i tam stale był zaliczany do najświetniejszych gwiazd na firmamencie współczesnej muzyki fortepianowej, a stanowisko jego, jako takiego, nigdzie już nie było podawane w wątpliwość. Stąd, gdy pisano o nowych kompozycyach Chopina, w miarę, jak się ukazywały, zawsze o nich pisano w taki sposób, jak się pisze o rzeczach wyjątkowych, niepospolitych, genialnych. Pod tym względem nie było prawie żadnej różnicy między tem, co o twórczości Chopina pisali Niemcy, a tem, co o niej pisali Francuzi; i jedni, i drudzy, gdy im przyszło zabrać głos o Chopinie, o którymkolwiek z jego utworów, zawsze go stawiali na najwyższym piedestale, na którym wogóle było miejsce tylko dla geniuszu.

Z pomiędzy wybitnych krytyków francuskich, którzy wypowiadali swe sądy o dziełach Chopina, pierwsze miejsce należy się dwóm stałym recenzentom z *Gazette musicale*, Henrykowi Blanchard i Maurycemu Bourges. Obaj byli zdeklarowanymi wielbicielami twórcy *Nokturnów*, z tą różnicą, że Blanchard był chłodniejszym i objektywniejszym w swych szczegółowych analizach, na pierwszy plan wysuwając mistrzowską fakturę w omawianych dziełach, a Bourges, bardziej subjektywny i literacki w swym sposobie pisania, przedewszystkiem kładł nacisk na poetyczność utworów Chopina.

Oto np. wyjątek z jednej *Revue critique* Blancharda, zamieszczonej w numerze *Gazette musicale* z dnia 2 grudnia 1838 roku. Chodziło o *Impromptu As-dur*, to samo, które w tak niemiłosierny sposób skrytykowano w *La France musicale*. W odmiennym tonie wypadła ocena Blancharda, który, na przekór swemu koledze z organu braci Escudierów, tak między innemi pisał o tej powiewnej kompozycyi.

Si dans quelques-unes de ces brillantes soirées musicales dont Paris abonde, vous avez entendu de délicieuses masurkas polonaises, de ces mélodies d'une naïveté et d'une tristesse indéfinisables, vous verrez tout de suite que nous parlons de M. Chopin, de ce pianiste qui se distingue dans la foule des pianistes de premier ordre qu'enfante le dix-neuvième siècle. Afin, sans doute, de se délasser des productions sérieuses qu'il écrit pour le piano, M. Chopin, dans un moment de loisir, a laissé tomber de sa plume un de ces morceaux légers qui font le charme des réunions intimes. C'est une vaporeuse pensée intitulée Impromptu. Au laissé-aller de certaines notes étonnées de se rencontrer, et qui forment des dissonances ni préparées ni résolues, on voit tout de suite l'indépendance qui a présidé à ce joli gazouillement de triolets en mesure à quatre temps et dans le ton de la bémol majeur. A ce badinage des deux mains, à cette broderie hardie, riche et variée, succède une belle et noble mélodie en fa mineur, où tous les caprices du chant se jouent comme à plaisir; et puis, se reposant sur la dominante de fa, l'auteur rentre, par une cadence interrompue d'un charmant effet, dans son ton primitif de la bémol, et finit ce morceau, qui est plus qu'un impromptu, d'une manière logique, par le dessin en triolets avec lequel il a commencé. Ce



tableau de genre, jeté sur le papier sans prétention aucune, sera goûté par l'élève comme par le pianiste habile. Le premier y verra une étude gracieuse, un exercice pour l'ensemble des deux mains; le second y reconnaitra ce faire élégant distingué, ces licences harmoniques qui décèlent le grand artiste jusque dans la plus légère production.

Innym razem, gdy mu wypadło dać krytyczną ocenę *Mazurków* Op. 50, wydanych w końcu 1842 roku, Blanchard w swej *Revue critique*, wydrukowanej dnia 21 maja 1843 roku tak o nich sformułował swe zdanie:

Et puisque nous en sommes sur le rythme ternaire, nous signalerons aux amateurs du talent tout exceptionnel de M. Chopin *trois Mazurkas*, qu'il vient de publier. La Mazurka, comme la fait M. Chopin, c'est l'élégie musicale, c'est la valse plus noble en son tour,

*Respirant la douceur, la tendresse et l'amour,*

mais empreinte de tristesse et de naïveté. On dirait qu'il y a toujours un souvenir de la patrie absente et opprimée dans les mélodies de ce pianiste-compositeur. Heureuses les nations qui ont des poëtes comme Thomas Moore et Chopln; ils entretiennent par leurs chants les traditions et l'amour du pays où ils sont nés, et le bercent d'un doux et noble espoir d'affranchissement.

La première de ces mazurkas est en sol majeur et continuellement en style lié. Ce genre de musique ne vise jamais à l'effet par le bruit; ce sont de petites mélodies enchevêtrées les unes dans les autres qui demandent une attention soutenue dans l'auditeur pour saisir toutes les finesses, tous les artifices d'harmonie qui s'y succèdent rapidement. La seconde, la *la* bémol majeur, commence par huit mesures d'introduction avec un dessin de basse obstiné tout-à-fait original; et puis la mélodie principale, douce, caressante, se promène, va, capricieuse, se modulant elle-même et passant, à la 36-e mesure, en ut majeur d'une façon charmante; tout cela modestement, sans ambition, et finissant comme elle a commencé. La troisième de ces romances nationales, en ut dièze mineur, entre en matière par un canon à l'octave d'un très joli effet; elle est plus étendue que les deux autres; mais les six pages dont elle se compose n'ont pas de longueurs, et les connaisseurs dans l'art d'écrire la trouveront d'un style plus serré d'imitations, plus sévère que les précédentes; c'est la science donnant la main à la grâce et lui faisant acquérir une beauté de plus, la gravité; c'est de la musique intime qu'on joue pour soi et qu'on répète sans cesse, parce qu'elle fait vibrer toutes les cordes du coeur.

Sprawozdania Maurycego Bourges, drukowane w *Gazette musicale*, ukazywały się w wykwintnej formie listów do bardzo muzykalnej kobiety p. t. *Lettres à M-me La Baronne de*** sur quelques morceaux de piano modernes*. Czwarty z tych listów, drukowany 17 kwietnia 1842 r. w całości był poświęcony świeżo wydanym kompozycyom Chopina, mianowicie dwom *Nokturnom* Op. 48, *Preludyum* Op. 45 *Fantazyi F-moll*, trzeciej *Balladzie*, oraz *Allegro de Concert*.

Oto początkowy ustęp tego listu, zakrawający na ogólną charakterystykę Chopina, jako kompozytora:

Je ne sais, madame, si vous aurez pris la peine de lire, dans un des derniers numéros de la *Gazette*, un petit article sur le Concert de M. Chopin. Comme j'ai une antipathie très décidée pour les redites, je vous aurai toutes les obligations du monde de

vouloir bien vous souvenir un peu de ces lignes, ou du moins de les parcourir. Je m'y suis attaché assez fortement à l'appréciation générale des oeuvres de ce jeune artiste.

J'avoue qu'il y a des talents dont il n'est pas aisé de bien définir la nature. On épuiserait mille fois les trésors de la figure et de la comparaison avant d'avoir pu donner une idée claire et suffisante de certains styles. Celui de M. Chopin, que j'ai tâché plutôt de peindre que d'analyser, appartient à cette famille excentrique. Et peut-être est-ce là le véritable secret du charme répandu dans ses moindres compositions. Il faut renoncer à donner les motifs réels de leur attrait irrésistible pour se contenter de le subir. La source de ces sortes de sensations échappe aux curieuses explorations de l'analyse, et demeure inconnue comme celle du vieux Nil égyptien, qui descendait on ne sait d'où. A cela il y a une raison assez naturelle; la beauté peut à la rigueur se disséquer, s'anatomiser trait par trait; mais la grâce, cet adorable je ne sais quoi, se sent plus qu'elle ne se démontre. On reconnait à son influence la divinité enveloppée de son mystérieux nuage; c'est quelque chose comme le *patuit dea* de Virgile. Grâce pour ces deux mots de latin, Madame, mais on vous soupçonne de l'entendre. Je reviens à M. Chopin.

Ses oeuvres exercent en général l'empire dont je vous parlais, Madame. Elles ne ravissent pas jusqu'au septième ciel sur les aîles brûlantes de l'enthousiasme; mais elles inspirent une volupté suave, nuancée de tristesse, le doux sourire parmi les larmes, un plaisir rêveur qui fuit les bruyants éclats et pénètre l'âme d'une vague mélancolie. Après tout, ne suis-je pas un peu hardi d'ériger en principes mes sensations personnelles? Peut-être les trouverez-vous fort ridicules et justement contraires aux vôtres. Mais cette disparité d'impressions confirmera bien mieux ce que je vous disais sur la difficulté de préciser le caractère du génie de M. Chopin. Personne du reste ne songe à mettre ce génie en doute; tous en conviennent, parce que tous (j'entends l'aristocratie des intelligences) ne peuvent se défendre d'en éprouver les effets très réels. Les publications assez récentes, dont je vous entretiendrai aujourd'hui, portent, comme leurs devancières, ce cachet de personnalité que M. Chopin imprime à tout ce qu'il écrit. On ne saurait s'y méprendre, ses tours de style n'appartienneut qu'à lui, et l'imitation, toute adroite qu'elle soit, n'a pu encore leur dérober cette individualité qui révèle le type original.

*Nokturny C-moll* i *Fis-moll* bynajmniej, zdaniem krytyka, nie stanowiły wyjątku pod tym względem.

A les parcourir rapidement ils sembleut d'une exécution facile; un mouvement lent, peu de notes, qu'est-ce que cela pour les prestidigitateurs? Mais prenez-y garde; rien n'est si périlleux que cette apparente simplicité. C'est là que chaque note doit-être rendue avec intelligence, doit cacher un sens, une expression intime. La partie matérielle est subordonnée à l'élément spirituel. Car la musique de M. Chopin exige de la part de l'exécutant sinon de l'âme, du moins de l'imagination, et de cette finesse naïve, proche parente de l'esprit. Voilà pourquoi, Madame, j'ai quelques raisons de penser que M-elle Brigitte ne se bornera pas à ne rendre que la lettre de cette production charmante.

Voici en deux mots la coupe du treizième nocturne. Une première période, en ut mineur, se distingue par le caractère de la mélodie dominante; la seconde en ut majeur, débute pianissimo; elle appartient à la forme complexe qu'on a très-bien nommée harmonie-mélodique; puis elle s'achève par la reproduction du premier thème, accompagné cette fois d'accords battus qui donnent au rhythme général une nouvelle chaleur. Plus heureux peut-être sous le rapport de l'inspiration mélodique, le quatorzième nocturne n'est ni moins simple ni moins lucide dans son ordonnance. Ce sont encore trois périodes capitales, dont la première se compose d'un chant développé, répété deux fois de suite, et partant de fa dièse



mineur pour aboutir à la dominante, d'ut dièse majeur. La dernière qui n'est que la reproduction de la précedente, plus chargée de notes n'en est separée que par une tirade médiaire en ré bémol majeur, formée par un dialogue alternatif d'accords et de mélodie seule; le thème en est très heureux.

Je pourrais craindre vos reproches, Madame, sur cette exactitude à analyser la coupe de ces morceaux, si je ne savais que vous êtes de ceux qui attachent un grand prix à l'intelligence du plan. C'est le seul moyen de donner à l'éxécution un caractère d'unité indispensable. Comment sans cela rendrait-on sensible la distinction des idées capitales et des accessoires? Pour faire de son jeu une sorte de peinture, pour lui donner de la perspective, de la profondeur, il faut absolument posséder le plan matériel de l'oeuvre, même quand il s'agit d'un simple prélude où l'ordonnance se cache sous un désordre apparent.

*Preludium Cis-moll* spotkało się z następującą oceną:

Celui en *dièse* en mineur, l'oeuvre quarante cinq de M. Chopin est une de ses bonnes productions. Le dessin primitif est peu de chose en lui même: c'est une phrase en style d'arpège confiée à la main gauche, et sur laquelle la main droite jette, cà et là quelques notes expressives. La franchise et la distinction des modulations, l'enchaînement soutenu des développements font de cette petite composition une très jolie chose.

Nierównie obszerniej wypadły uwagi o *Fantazyi F-moll*, bardzo wysoko cenionej przez krytyka.

L'oeuvre quarante-neuf, publiée sous le titre de Fantaisie, est beaucoup plus importante. Elle commence en fa mineur par une espèce de marche, dans laquelle il y a de l'imprévu harmonique du meilleur effet. Une période en triolets arpégés, assez longuement tractée, repose l'oreille du rhythme cadencé de la marche, et sert d'introduction à une mélodie syncopée fort élégante, qui aboutit à une éclatante péroraison. A celle-ci succède un nouveau chant in tempo di marcia; l'harmonie et la mélodie s'y embrassent étroitement. Et c'est ici que je vous ferai remarquer, madame, avec quelle adresse, ou du moins quel heureux instinct M. Chopin mélange les ressources, de peur de monotonie: tantôt il emploie la mélodie dominante, distincte de l'accompagnement; tantôt il la conçoit inséparable des accessoires harmoniques; tantôt il a recours à de simples dessins, qu'il rend interessants par un choix de modulations brillantes. Tous ces moyens ne sont pas nouveaux, sans doute; mais le talent consiste à s'en servir toujours à propos. Ceci explique pourquoi la musique de M. Chopin ne fatigue jamais. Dispensez-moi, Madame, de revenir sur la troisième ballade, dont jai déjà fait une analyse succincte, mais suffisante. Que vous dirais-je de plus qui vous fasse mieux comprendre cette grâce candide, cette pureté de chant entremêlée de sombres effets? M. Chopin est tout bonnement un délicieux poëte qui répand l'imagination à flots.

Wielki *Polonez Fis-moll*, jedno z najpotężniejszych arcydzieł Chopina, wzbudził całkiem zasłużony zachwyt w krytyku. Co prawda nie trudno było poznać się na niepospolitości tego utworu!

La Polonaise, en fa dièse mineur, est un morceau brillant et pas du tout facile. Elle exige une puissance une netteté d'exécution peu commune; tout y doit être rendu. Peut-être penserez-vous, Madame, après l'avoir lue ou entendue sous les doigts expressifs de M-elle

Brigitte, que les six premières pages, quoique étincelantes de verve mélodique et d'originalité rhythmique, sont un peu trop chargées de notes; on donnerait gros pour une seule pause. Aussi c'est avec un double plaisir qu'on accueille le chant en la majeur, dont la grâce piquante et la fraîcheur juvénile produisent le plus heureux contraste avec les effets bruyants et de même famille qui précèdent et suivent cette période mélodique, prolongée assez longtemps, mais avec une rigoureuse unité. Cette Polonaise est encore une production ravissante, susceptible, comme la Fantaisie, d'un grand effet dans un local spacieux, ce qu'on ne saurait toujours dire des oeuvres de M. Chopin. La finesse exquise des détails, la délicatesse de certaines formes exigent une enceinte étroite, le cadre reserré de l'intimité, dans lequel ces grâces aimables ne sont pas comme noyées et peuvent s'apprécier plus aisément.

Cały końcowy ustęp był poświęcony rozbiorowi zbyt mało dziś grywanego *Allegro de Concert.*

L'Allegro de Concert, l'oeuvre quarante-sixième, comporte beaucoup mieux de grandes proportions d'espace. Ses dimensions ne sont pas de nature à effaroucher la patience et c'est de quoi on ne saurait trop louer les pianistes-compositeurs, qui se croient obligés d'accumuler pensées sur pensées, notes sur notes, pages sur pages, ce qui tue presque toujonrs l'effet. L'Allegro, au contraire, en doit produire beaucoup. Les idées en sont peut-être moins jolies, moins individuelles que ce que j'ai déjà eu l'honneur de vous citer, madame; mais elles sont de nature à satisfaire un plus nombreux auditoire. L'exposition pompeuse, le premier chant en la majeur, les développements mélodiques qui le suivent, surtout le trait leger et brillant en mi majeur, qui servent à constituer le reste du morceau, sont d'un style toujours favorablement accueilli, sans toucher pourtant au vulgaire. M. Chopin, Dieu merci, en a toujours en horreur, et n'y descendrait pas, je pense, même pour un succès. Mais il est temps, madame, que je songe à détaler mes coursiers, comme disent les pöetes épiques. Ma plume irait longtemps la bride sur le cou, si je lui permettais de dire tout ce que je pense de flatteur sur les oeuvres de M. Chopin, et de respectivement affectueux pour vous, madame, et M-elle Brigitte. N'est-ce pas là finir par une galanterie d'épître dédicatoire, en faisant respirer une cassolette d'encens? Ceci, madame, est un mot du pape Ganganelli, qui, entre autres dons du St. Esprit, avait la bonne fortune d'en faire souvent de très agréable.

Oprócz stałych recenzentów, jak Blanchard i Bourges, pisywali do *Gazette musicale* raz po raz także i recenzenci przygodni, do których czasami należał sam wielki Liszt. W grudniu 1838 roku, gdy wyszło w wydaniu Schlesingera *Album des pianistes,* w którem obok kompozycyi Thalberga, Liszta, Doehlera, Osborna i Mereaux znalazły się także *Trois valses brillantes* Chopina Op. 34, napisał o nich obszerne sprawozdanie Stefan Heller, już wtedy wybitny pianista i kompozytor. Ustęp tej fachowej recenzyi, dotyczący Chopina, brzmiał, jak następuje:

Viennent ensuite trois valses brillantes de Chopin: la première, en *la bémol,* est une de ces créations tendres et vaporeuses dont Chopin seul a le secret. Cette valse ne manque pas d'animation et de gaieté; mais cette gaieté est un voile transparent qui laisse entrevoir la teinte mélancolique du génie de Chopin, de même que, sur un beau visage ordinairement pâle, la blancheur habituelle du teint se reconnait toujours, même au travers du léger incarnat qu'une émotion soudaine vient parfois y causer pour un moment.



Ce morceau offre un mélange particulier de passages élégants, mélodieux et intéressants. Le No 2 est, à mon avis, plutôt une mazurka qu'une valse, bien que le rhythme ne soit pas précisement celui d'une mazurka. Mais l'introduction rappelle vivement le souvenir d'une ancienne mazurka de Chopin, et nous en diront autant d'un passage pour la main gauche qui se rencontre dans le courant de la valse. Au reste, cela n'ôte rien à l'intérêt de ce morceau; car, même lorsqu'il semble se répéter, Chopin est toujours neuf, et nul plus que lui ne connaît l'art de métamorphoser, au moyen d'une seule nuance, ce qu'il nous a déjà fait admirer jadis sous une forme très peu différente. Le Nr 3 est une valse tout à fait à l'allemande. Le coeur se dilate à la seule audition de ce Nr 3. Il n'est ni si animé, ni si riche en images, que le No 1 dont la physionomie mobile change à chaque instant de caractère; mais il y a dans ce Nr 3 une unité qui repose l'esprit, et, dans cette valse comme dans les deux précédentes, le nom de Frédéric Chopin se trouve signé à chaque mesure [1]).

Swoją drogą bywały lata całe, że w *Gazette musicale* ani słowa nie pisano o najnowszych kompozycyach Chopina, pomimo, że każdy rok stale przynosił po kilka nowych utworów, opatrzonych jego nazwiskiem. Tak było w 1843 roku [2]), 1844, 1845 i 1846 [3]). Przez cały rok 1847 znalazły się zaledwie dwie wzmianki o Chopinie. Pierwsza dotyczyła *Nokturnu,* zamieszczonego w *Album de piano,* a nie przekraczała granic zdawkowego komplementu. »Chopin a composé un délicieux nocturne, comme il lui est impossible de n'en pas faire«. Gdy *Nokturn* ten, wraz z drugim jeszcze, został wydany osobno, sprawozdawca *Gazette musicale,* niepodpisany tym razem, tak pisał o tem Op. 62.

[1]) Wśród kompozycyi, zamieszczonych w tym albumie, znalazły się także waryacye A. Méreaux na temat *Mazurka* Chopina. Pisząc o tych, bardzo świetnych zresztą, waryacyach, Heller tak zaczyna swoje uwagi o nich: »J'aurais presque envie de vous parler ici de cétte delicieuse Mazurka; mais il ne s'agit que de la fantaisie à laquelle elle a donné naissance«.

[2]) W styczniu 1843 roku wydała *Gazette musicale* seryę portretów sławnych pianistów, o czem w ten sposób w pierwszym numerze z dnia 1 stycznia zawiadomiła swych czytelników: »Nous publions aujourd'hui, 1 janvier, *Galerie des pianistes célèbres,* contenant les portraits de MM. Chopin, Doehler, Henselt, Liszt, Rosenhaim, Thalberg, et E. Wolff. Cette magnifique feuille, dessinée par N. Maurin, et imprimée sur grand-aigle, fait pendant aux *Violonistes* célèbres que nous avons publiés l'année dernière.

[3]) W *La France musicale* wogóle dział recenzyi krytycznych pozostawiał wiele do życzenia. O Chopinie, jako kompozytorze, nie pisano wcale, z wyjątkiem owej słynnej recenzyi z 1838 roku o *Impromptu As-dur.* Ale Chopin nie stanowił jakiegoś wyjątku pod tym względem. O innych nie pisano również. Że jednak stanowisko braci Escudier, tak złośliwie zaznaczone w 1838 roku (głównie dla dokuczenia Schlesingerowi i jego koteryi, do której w pierwszym rzędzie należał Chopin), zmieniło się już w 1840 roku, dowodziła choćby następująca notatka w rubryce *Semaine musicale,* zamieszczona w Nr. 8 z dnia 3 maja 1840 r., a nacechowana najwyższą rewerencyą dla geniuszu Chopina: »MM. Liszt et Cramer demandent la croix d'honneur, et pourquoi M. Thalberg et M. Chopin ne la solliciteraient-ils pas à leur tour? Thalberg et Chopin; voilà certes des noms populaires et dont le talent n'est contesté par personne«.

Entre tous les compositeurs modernes, qui ont écrit pour le piano avec une incotestable supériorité de talent, il n'en est pas de plus fidèle à son individualité que Chopin. Tout ce qui jaillit de sa plume porte l'empreinte d'une originalité constante, et s'acquiert ainsi la haute estime dont jouit son style dans les rangs d'un public d'élite. La forme élégiaque est celle que l'auteur semble rechercher avec le plus de complaisance et de bonheur. Le *Nocturne* particulièrement lui doit une impulsion, une vie nouvelle. Ces deux dernières pages, que l'auteur vient d'ajouter à sa collection, sont dignes en tout de leurs ainées. Toutes deux d'un mouvement lent, toutes deux d'une teinte mélancolique, exalent de mystérieux parfums de poësie. Ici encore, il faut une exécution fine, délicate, d'une exquise sensibilité. Ces mélodies fièvreuses, cette harmonie inquiète, réclament un toucher sympatique, une âme au bout des doigts.

W Niemczech, a raczej w Lipsku, który wtedy był niemiecką stolicą muzyki, krytyka muzyczna, zarówno starsza, reprezentowana przez *Allgemeine Musikalische Zeitung,* jak i młodsza, reprezentowana przez *Neue Zeitschrift für Musik,* z wielkiem uznaniem odnosiła się do Chopina. Miewano mniejsze lub większe zastrzeżenia, ale w niczem to nie osłabiało zupełnie pierwszorzędnego, całkiem wyjątkowego stanowiska w świecie muzycznym, jakie Chopinowi przyznawali wszyscy krytycy bez wyjątku. Wszyscy godzili się na jedno, że cokolwiek wychodziło z pod pióra Chopina, wszystko nosiło piętno geniuszu i oryginalności. Na tym punkcie panowała zgoda powszechna, we wszystkich obozach.

W *Allgemeine Musikalische Zeitung,* wydawanej przez firmę Breitkopfa i Härtla, a trzymającej prym między wszystkiemi czasopismami mucznemi w Niemczech, o Chopinie stale pisywał G. W. Fink, naczelny redaktor tego pisma, a Chopina gorący wielbiciel. Jego krytyczne oceny utworów Chopina, pojawiające się aż do 1846 roku, równały się wyczerpującym studyom analitycznym, którym chyba to jedynie zarzucić było można, że najczęściej grzeszyły zbyt długimi rozmiarami. W ten sposób omówione zostały, zawsze z najwyższem uznaniem dla Chopina, prawie wszystkie z pomiędzy jego ważniejszych kompozycyi, począwszy od *Etiud* Op. 25, a skończywszy na *Nokturnach* Op. 55. W roku 1838, w Nr. 41 *Allg. Musik. Zeitung* z dnia 10 października, zaczęło się drukować obszerne studyum Finka p. t. *Die Neu-Romantische Schule,* studyum, którego cała część druga została poświęcona twórczości Chopina, ze specyalnem uwzględnieniem *Impromptu* Op. 29, *Mazurków* Op. 30 i *Scherza* Op. 31. Z innych recenzyi Finka, w najpochlebniejszy sposób omawiających różne dzieła Chopina, wyróżniały się oceny *Preludyów* Op. 28, *Mazurków* Op. 34, *Walców* Op. 34, *Tarantelli* i *Allegro de Concert.* W roku 1844 pierwszy numer *Allg. Musik. Zeitung* wyszedł ozdobiony pięknym portretem Chopina, rytym na stali, albowiem było zwyczajem w tem piśmie, że każdy nowy rocznik rozpoczynał się portretem któregokolwiek z najznakomitszych muzyków. Tym sposobem po portretach Meyerbeera, Mendelssohna, Liszta, Thalberga, Berlioza i innych, przyszła kolej na wizerunek Chopina.



Gdy w sierpniu 1846 roku umarł Fink, w pisaniu recenzyi o Chopinie zastąpił go August Kahlert, z pod którego wytrawnego pióra wyszły entuzyastyczne oceny *Berseuse* Op. 57, *Sonaty* Op. 58, *Barkarolli* Op. 60, *Polonaise-Fantaisie* Op. 61, *Nokturnów* Op. 62, *Walców* Op. 64, *Mazurków*




Portret Fryderyka Chopina
zamieszczony w 1844 roku na czele rocznika lipskiej »Allgemeine musikalische Zeitung«. (Klisza »Nauki i Sztuki« Wyd. Tow. Naucz. Szkół Wyż., T. X., *Chopin* H. Opieńskiego).

Op. 66 i *Sonaty* na fortepian z wiolonczelą Op. 65. Kahlert, który w swoim czasie kruszył kopie za Chopina, zwalczając krytyki Rellstaba, należał do najzagorzalszych krzewicieli kultu Chopina, pełen niekłamanego uwielbienia dla jego geniuszu.

Wielbicielem Chopina, jako wyjątkowego geniuszu muzycznego, pozostał też i nadal Robert Schumann, z tą różnicą, że począwszy od 1838 r., pisując w redagowanej przez siebie *Neue Zeitschrift für Musik* o Chopinie, nie pisywał już, jak dawniej, jako entuzyastyczny Florestan lub Euzebiusz, lecz podpisywał się prawdziwem imieniem i nazwiskiem, a w swych krytycznych ocenach dzieł Chopina, nie tak częstych, jak przed rokiem 1838, stał się powściągliwszym w pochwałach, a znacznie śmielszym w stawianiu zarzutów. Wogóle zmienił się ton jego artykułów o Chopinie. Po niemal bezkrytycznym entuzyazmie nastał chłodny objektywizm, nie ślepy na zalety, ale znacznie skorszy, niż dawniej, do wytykania wad i usterek, przyczem nazywając rzeczy po imieniu wcale się nie liczył z wyrażeniami, a nie cofając się przed dosadnemi nawet, często grzeszył przesadą w swym hyperkrytycyzmie.

Nie znaczyło to jednak, by o Chopinie nie wspominał raz po raz, przy każdej nadarzonej sposobności, a tych okazyi, pisząc o dziełach innych kompozytorów, pozostających pod niewątpliwym wpływem chopinowskiego rodzaju i stylu, miał Schumann, jako sumienny recenzent muzyczny, aż nadto. Zwłaszcza, gdy analizował różne, wciąż pojawiające się zbiory *Etiud* fortepianowych, Liszta, Thalberga, Henselta, Hillera, Wolffa etc., z których wszystkie nosiły niezaprzeczone piętno wpływu dwóch seryi *Etiud* Chopina[1]). Ten wpływ Chopina, tak silnie ujawniający się w kompozycyach prawie wszystkich współczesnych mu kompozytorów, Schumann podkreślał na każdym kroku. Bo istotnie, jak Byron na poetów, tak Chopin wywierał niesłychanie silny wpływ na wszystkich muzyków współczesnych, czego Schumann nie myślał wcale zatajać, owszem, uwydatniał to z naciskiem. Stąd częste wzmianki o Chopinie, rozproszone w artykułach o innych muzykach i ich dziełach. Pisząc np. w 1839 r. o *Mazurkach* Bergsona, które, jak tyle innych podobnych kompozycyi »Chopin miał na sumieniu« uczynił Schumann następującą uwagę ogólną:

Von manchen Dingen ist Chopin in neuerer Zeit ja selbst zurückgekommen. Nun aber kommen die Nachahmer, wie immer, erst einige Jahre hinterdrein, und wir müssen nun die uns schon veralteten wunderlichen Chopin-Schnörkeleien, so reizend si oft am Original, noch einmal anhören, sollen's gar als etwas Neues hinnehmen. Aber wir wissen so gut wie die Componisten selbst, was sie übrigens mit bester Absicht gestohlen und was dann noch übrig bleibt.

[1]) Oto, co raz pisał Schumann z powodu 12 *Etiud* koncertowych Henselta, przeciwstawiając die klare Weise Henselts der verschleierten Chopins. »Damit sei nun aber nicht ausgesprochen: Henselt liesse Chopin hinter sich zurück. Da müsste Henselt die Brust verleugnen, an der er selbst getrunken, da müsste man Chopin nich kennen in seiner um so viel zarteren Schwärmerei, seiner gütterleichten Beweglichkeit, seiner ganzen unendlich feineren Organisation. Ja, viele der Henseltschen Etuden würden ohne den Vorgang Chopins gar nicht da sein. Dies beiläufig, um einer Undankbarkeit zu begegnen«.



Recenzya o *Polonezach* Nowakowskiego zaczynała się od takiej obserwacyi:

Was neuerdings von polnischen Compositionen aufgetaucht, lässt sich mehr oder weniger auf Chopin zurückzuführen. Durch ihn hat Polen Sitz und Stimme erhalten im grossen musikalischen Völkerbund; politisch vernichtet, wird es vielleicht noch lange in unserer Kunst fortblühen.

Z powodu *Etiud* Willmersa pisał Schumann w innym artykule z roku 1839, co następuje:

Chopin war erstanden und neben ihm eine Menge bedeutender Talente. Der Trieb zum Neuen lag in der ganzen Zeit. Chopin aber bemächtigte sich am schnellsten der Gemüther; seine Etüden, fast sämmtlich Werke eines ausserordentlichen Geistes, klangen bald überall in Deutschland wieder und werden es noch lange, da si der allgemeinen Bildung weit voraus und, wären sie das nicht, weil sie wahrhaft Geniales enthalten, das aller Zeiten Geltung hat. So kamen auch unserm jungen Künstler die Etüden in die Hände, und wie Verbotenes am süssesten schmäkt, so schwelgte er nach Kräften in den Phantasien des neuerschienenen Meisters. Den Einfluss Chopins erwähnte ich chon; bei ihm ist die Schwierigkeit nur Mittel, und wo er die schwierigsten gebraucht, da ist auch die Wirkung danach. Grosse Mittel, grosse Wirkung, grosser Gehalt — freilich wo dies sich zusammen findet, ist der Künstler auch unseres Rathes nicht mehr bedürftig; bei Chopin finden wir allerdings die drei oft vereint.

Oft vereinigt! Często, ale nie zawsze! To zastrzeżenie było charakterystycznem o tyle, że odtąd we wszystkiem, cokolwiek Schumann pisał o świeżo ukazujących się kompozycyach Chopina, nigdy się nie obchodziło bez poważnych zastrzeżeń tego rodzaju, że na bezwzględne pochwały już go nie było stać. A zdarzało się nawet, że te zastrzeżenia niejednokrotnie zdawały się świadczyć o jakiemś uprzedzeniu.

Gdy mu np. wypadło zdać sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniło *Impromptu* Op. 29, wyraził się w taki sposób:

Chopin nie może napisać nic już więcej, przyczemby nie musiano w 7 lub 8 takcie zawołać: to jego. Niektórzy nazywają to manierą i powiadają, że nie postępuje. Należałoby jednak być wdzięczniejszym. Czyż to nie ta sama oryginalna potęga, która tak przedziwnie jaśniała już z pierwszych jego utworów, która w pierwszej chwili mięszała, później zaś zachwycała? Skoro obdarzył nas całym szeregiem najznakomitszych utworów, skoro go lżej pojmujemy, dlaczegoż mamy go chcieć w jednej chwili innym? Toby znaczyło ściąć drzewo, ponieważ co roku te same przynosi owoce. Lecz u niego nie są nawet owoce te same: pień wprawdzie ten sam, lecz owoce co do smaku i wielkości jak najrozmaitsze.

Niezależnie od tego delikatnie uczynionego zarzutu »maniery«, uznał Schumann w tem *Impromptu* »utwór nadzwyczaj subtelny pod względem formy, prawdziwe *Impromptu*, ni mniej ni więcej, które nie może być ani zestawione, ani porównane z żadnym z dawniejszych utworów Chopina«.

Inna kwestya, czy w całym szeregu jego dzieł miało to *Impromptu* jakieś większe znaczenie. Zdaniem Schumanna, nie mogło sobie do tego rościć pretensyi, pomimo, że zawarta w nim kantylena była *von reizendem Figurenwerk.*

*Scherzo* Op. 31 swym namiętnym charakterem przypomniało Schumanowi poprzedni utwór Chopina tej samej nazwy, a choć zdawał się stawiać je niżej od *Scherza H-moll,* to jednak nie wahał się przyznać, że bądź co bądź »utwór to bardzo zniewalający, podobny do poezyi lorda Byrona, tak samo czuły, zuchwały, pełen miłości i pogardy«: *so zart, so keck, so liebe-wie verachtungsvoll.*

*Mazurki* Op. 30, nastręczyły Schumanowi następujące uwagi:

*Mazurka* wzniósł Chopin do rzędu drobnej wprawdzie, ale artystycznej formy. Choć napisał ich wiele, to jednak mało znaleźć można takich, któreby do siebie były podobne. Prawie każdy z nich odznacza się jakimś odrębnym rysem poetyckim, nowością formy lub wyrazu. I tak znajdujemy w drugim mazurku powyższego zbioru, dążność tonalności *H-moll* do *Fis-moll;* mazurek kończy się też w *Fis,* co zaledwo można spostrzedz; w następnym uderza nas ciągła chwiejność między *moll* i *dur,* która się kończy zwycięstwem wielkiej tercyi; w ostatnim nareszcie, który ma jednak jedną słabą zwrotkę, wpada w oczy raptowne zakończenie kwintami, z powodu których niemieccy kantorowie za głowy brać się będą. Przy sposobności jedną zrobię uwagę. Rozmaite wieki, rozmaicie też słyszą. W najznakomitszych kościelnych utworach starowłoskich znajdujemy szeregi kwint; nie musiały więc one brzmieć źle. Przydybujemy je również w Bachu i Händlu, wogóle jednak rzadziej i jako interwały łamane. Wielka sztuka polifonicznego sposobu pisania wymija wszelkie równoległe ruchy głosów. W peryodzie mozartowskim znikają kwinty zupełnie. Następnie zjawili się wielcy teoretycy, którzy je zakazali pod karą śmierci; w tem wystąpił Beethoven i wprowadził śliczne kwinty w następstwie chromatycznem. Takie chromatyczne następstwo kwint, jeśli trwa przez 20 taktów, nie należy oczywiście odszczególniać jako coś doskonałego, lecz przeciwnie należy je wytykać jako coś nadzwyczaj złego; zawsze jednak nie powinno się takiego ustępu wyrywać z całości, stosunek bowiem do poprzednich ustępów, związek z nimi, może wywrzeć uśmierzające wrażenie.

*Mazurki* Op. 33 i *Walce* Op. 34, zostały przez Schumanna zbyte pobieżną wzmianką: *Mazurki* wydały mu się »popularniejszemi« od poprzednich, w *Walcach* zaś uderzyła go »jakaś odrębność niezwykła, jakieś tak głęboko nurtujące życie, jakby to była improwizacya artysty, który spogląda wprawdzie w wywołany przez siebie wir taneczny, jednak o wcale innych myśli rzeczach, aniżeli o tem, co się tańczy«.

Gdy wyszły *Preludya,* jeden z arcytworów Chopina, Schumann powitał je, jako *eine merkwürdige Sammlung von Präludien,* a choć tych »godnych uwagi« *Preludyów* było aż 24, to jednak poświęcił im kilkanaście wierszy zaledwie, i to wierszy, na które się złożyły niemal same zastrzeżenia.

Wyznać muszę, żem je sobie inaczej wyobrażał; sądziłem mianowicie, że wykonane są w szerszym stylu, podobnie, jak jego *Etiudy*. Cóż znalazłem? Właśnie przeciwieństwo tego. Są to szkice, początki etiud, lub, jeśli kto pragnie tego określenia, ruiny, pojedyncze



pióra orle, pstra i dzika mieszanina. W każdym jednak ustępie drobnem perłowem pismem stoi wyraźnie: »Pisał to Fryderyk Chopin«. Poznać go można w pauzach po gwałtownym oddechu. Ale zawiera ten zeszyt także i ustępy chorobliwe, gorączkowe, odrażające.

A jednak mimo-to wszystko, pozostanie Chopin, zdaniem Schumanna, »najśmielszym i najdumniejszym duchem poetyckim swego czasu«. *Er ist und bleibt der Künste und stolzeste Dichtergeist der Zeit.* Że na siebie obruszy filistrów, nic z tego. Oni niech się trzymają z daleka od jego sztuki. A że ta sztuka czasami depcze utarte prawa i szablony, to nie dowodzi niczego. Bo jeśli do kogo, to do Chopina, zdaniem Schumanna, dadzą się zastosować słowa Schillera:

Jenes Gesetz, das mit ehernem Stab den Sträubenden lenket.
Dir nicht gilt's. *Was du thust, was dir gefällt, ist Gesetz!*

Wydana w 1840 r. *Sonata B-moll* nie wprawiła Schumanna w bezwzględny zachwyt, czemu w *Neue Zeitschrift für Musik* taki, aż zbyt dosadny może, dał wyraz:

Pierwsze takty *Sonaty* zobaczyć i jeszcze wątpić, kto ją napisał, nie jest godnem oka znawcy. Tak tylko Chopin zaczyna, tak tylko on kończy: dyssonancyami przez dyssonancye w dyssonancyach. A przecie, wiele piękna kryje i ten utwór! Iż go nazwał »sonatą«, iż właśnie czworo z najszaleńszych swych dzieci sprzągł razem, jest może kaprysem, jeśli nie rozmyślną swawolą, by je pod tem nazwiskiem może tam przemycić, gdzieby bezeń nie były się dostały. Przyjmijmy np., że taki kantor z prowincyi przybywa do miasta muzykalnością słynącego, by się zaopatrzyć tam w zapas nut; przedkładają mu nowości, o niczem nie chce wiedzieć; aż lis jakiś podsuwa mu pod rękę *Sonatę.* Tak, powiada zachwycony, to dla mnie, utwór z dobrych dawnych czasów. Kupuje i już ją posiada. Przybywszy do domu, zapalczywie rzuca się na sonatę; musiałbym się jednak bardzo mylić, jeśli jeszcze przed mozolnem odczytaniem pierwszej stronicy, nie zaklnie się na wszystkie duchy muzykalne, iż to nie jest porządny styl sonat, ale raczej prawdziwie bezbożny. Mimo to Chopin przecie swoje osiągnął; znajduje się w kantoracie i któż to może wiedzieć, czy po wielu latach w domu tym nie urodzi się i nie wzrośnie kiedy jaki wnuk-romantyk, czy nie oczyści sonaty z pyłu, nie odegra jej i nie pomyśli sobie, że mąż ten miał przecie słuszność.

W powyższych słowach zawartą jest już połowa naszego zdania. Chopin nie pisze nic więcej, coby dostarczyć mogli i inni; pozostaje on sobie wiernym i ma ku temu powody. Żałować wypada, iż największa część fortepianistów, nawet wykształconych, nie może wyrobić sobie poglądu i zdania co do rzeczy, których nie jest w stanie przezwyciężyć własnemi palcami. Zamiast trudne utwory wpierw dokładnie przejrzeć, wiją i przewiercają się przez nie takt po takcie, a zaledwo pojmować poczęli stosunki formalistyczne, już odkładają je ze słowami: »dziwaczne, zawiłe«, i t. p. Chopin właśnie ma (podobnie jak Jean Paul) właściwe sobie drobne peryody i parentezy, przy których, czytając utwór pierwszy raz, nie należy długo się zatrzymywać, by nie zgubić wątku. Na podobne miejsca natrafiamy też w sonacie na każdej prawie stronicy, a Chopina samowolna częstokroć i dzika pisownia akordów, utrudnia jeszcze więcej obycie się z utworem. Chopin nie lubi enharmonizować, jeśli można tak się wyrazić; wskutek tego otrzymujemy w wielu miejscach dziesięćkroć lub więcej okrzyżykowane takty i tonalności, które nam wszystkim mogą być miłe tylko w wypadkach ostatecznej konieczności. Często jest taka pisownia usprawiedliwioną, często jednak wikła bez potrzeby i jak powiedziałem,

odstręcza wielką część publiczności, która nie pragnie być bezustanku wydrwiwaną i w kłopot wprawianą. Podobnie posiada i sonata powyższa 5 *B* jako oznaczenie, tonalność jest *B-moll,* a więc jedna z tych, które z pewnością nie mogą się poszczycić szczególniejszą popularnością. Po czteru pierwszych taktach, charakteryzujących dostatecznie Chopina, następuje jeden z owych burzliwych i namiętnych utworów, jakich już kilka posiadamy z jego ręki. Trzeba go częściej i w dobrem słyszeć wykonaniu. Pierwsza ta część dzieła zawiera jednak i piękny śpiew; zdaje się nawet, jakoby ów narodowy polski rys, który przezierał z największej części Chopina dawniejszych melodyi, z czasem coraz więcej się zacierał — i jakoby autor przechylał się od czasu do czasu (ponad Niemcy) ku Włochom. Wiadomem jest, że Bellini i Chopin byli w przyjaźni, że wskutek częstego wzajemnego udzielania sobie swych kompozycyi, nie obeszło się bez wzajemnego artystycznego wpływu. W Chopinie jednak, jest to, jak powiedziałem, tylko lekkie pochylenie się ku południowej nucie; skoro tylko śpiew się kończy, wychyla się z dźwięków znowu Sarmata w całej pełni swej butnej oryginalności. Na podobne sploty akordów, jakie znajdujemy po ukończeniu pierwszego motywu z drugiej części sonaty, nie odważył się Bellini nigdy, i nie mógł na nie się odważyć. Tak i cały pierwszy ustęp kończy się wcale nie po włosku, co mi przypomina Liszta trafną uwagę, że Rossini i jego towarzysze kończą zawsze formułką: »*vôtre très humble serviteur*«; inaczej Chopin — jego zakończenia wyrażają raczej przeciwieństwo tej formułki.

Ustęp drugi sonaty, śmiały, genialny, fantastyczny, jest tylko dalszym ciągiem tego samego nastroju; jest to »scherzo« tylko co do nazwy, jak wiele beethowenowskich; trio w niem delikatne, marzycielskie, zupełnie w rodzaju Chopina. Następuje jeszcze więcej ponury »marsz żałobny«, który zawiera nawet niejeden rys odstręczający; zamiast niego »adagio« jakie np. w Des, byłoby może lepsze robiło wrażenie. Co w końcowym ustępie pod napisem »finale« otrzymujemy, równa się raczej drwinom, niżeli muzyce. Mimo to przyznać musimy, że nawet z tego nieśpiewnego i niepociesznego ustępu wieje ku nam jakiś szczególniejszy duch przerażenia, który wszystko, cokolwiekby mu się sprzeciwić pragnęło, żelazną powstrzymuje ręką, tak że słuchamy do końca jak zaklęci i bez szemrania wprawdzie, ale i bez pochwał, bo muzyką tego nie można nazwać. Sonata dobiega więc kresu tak, jak się zaczęła zagadkowo, podobna do sfinksa z ironicznym uśmiechem na ustach.

Gdy w 1841 roku wyszły *Nokturny* Op. 37, *Ballada* Op. 38, oraz *Walc* Op. 42, Schumann, jakby wywdzięczając się za dedykacyę *Ballady,* pomny jednak, że był to tylko rewanż za jego *Kreisleriana,* dość obszernie rozpisał się o tych utworach, tylko, że ton, w jakim wypadła recenzya, był jakiś cierpki.

Chopin mógłby teraz wszystko bez swego wydawać nazwiska, przecieżby go natychmiast poznawano. W tej wzmiance spoczywa równocześnie pochwała i nagana; pochwała dla jego talentu, nagana dla dążności. Posiada on bezwątpienia ową potężną oryginalności siłę, która, skoro się tylko ukaże, usuwa wszelką wątpliwość co do nazwiska mistrza; przytem objawia bogactwo nowych form, które delikatnością i zarazem śmiałością swą w podziw wprawiają. Zawsze nowy i twórczy co do strony zewnętrznej, co do kształtowania swych dzieł muzycznych, co do szczególniejszych efektów instrumentalnych — pozostaje zawsze ten sam co do strony wewnętrznej; obawiamy się, że dalej jak dotąd nie doprowadzi. Wprawdzie sięgnął już dosyć wysoko, by jego nazwisko módz zestawić w szeregu jednym z nazwiskami tych, którzy w historyl sztuki nowszych czasów się uwiecznili, zawsze jednak działalność jego ogranicza się na ciasne koło muzyki fortepianowej tylko; a przecie siłami swemi mógł był wyższe jeszcze osiągnąć cele i wywrzeć wpływ ogólniejszy na dalszy rozwój naszej sztuki. Lecz zadowolnijmy się i tem. Tyle utworzył pysznych kompozycyi, tyle ich jeszcze teraz tworzy, iż możemy się tem zadowolnić i musielibyśmy każdemu artyście uznanie nasze wyrazić, któryby choć połowę tego, co on, utworzył. Aby być nazwanym poetą, nie potrzeba na to foljałów; zasłużysz sobie na to miano jedną lub dwiema poezyami; Chopin je napisał.



Po takim wstępie następował poszczególny rozbiór wspomnianych kompozycyi.

Nokturny odróżniają się od dawniejszych głównie prostszym przystrojem i cichszym wdziękiem. Wiadomo, jak się dawniej Chopin w swych utworach przystrajał; cały był jakby obsiany błyskotkami, złotemi cackami i perłami. Teraz już się odmienił i postarzał; jeszcze zawsze lubi się stroić, jest to jednak strój już więcej treściwy, z pod którego szlachetność poezyi tem powabniej przeziera; gust najwykwintniejszy należy mu również przyznać; to wszystko wprawdzie nie ma wartości dla tych, którzy utwory mierzą tylko miarą przepisów harmonii: ci szukają tylko kwint, a każda, której niema, gniewa ich; mogliby oni jednak niejednego jeszcze nauczyć się od Chopina, przedewszystkiem zaś robienia kwint.

Mamy wspomnieć jeszcze o *Balladzie.* Chopin napisał już jeden utwór pod tem samem nazwiskiem, utwór z szeregu jego najwłaściwszych, najdzikszych. Nowa ballada jest odmienna; jako dzieło sztuki stoi niżej od dawiejszej, jest jednak niemniej fantastyczna i genialna. Namiętne ustępy środkowe zdaje się zostały później dopiero napisane; przypominam sobie bardzo dobrze, jak Chopin ją tutaj grał i w *F-dur* zakończył; obecnie kończy się w *A-moll.* Wspominał wówczas także o tem, że pobudką do napisania ballad były mu niektóre poezye Mickiewicza. Odwrotnie mógłby też i poeta bardzo łatwo znaleźć słowa do jego muzyki, która do głębi porusza.

*Walc* to podobnie jak dawniejsze utwór salonowy, najszlachetniejszego rodzaju; Florestan zauważył, że gdy go miał grać do tańca, musiałaby być większa połowa danserek co najmniej hrabiankami. Uwaga całkiem słuszna, bo walc jest na wskróś arystokratyczny.

*Allegro de Concert* i *Ballada As-dur* nadzwyczaj się podobały Szumannowi, zwłaszcza *Ballada.* Widział w nich »wiele genialności«, *vielem Geistvollem.*

*Allegro de Concert* ma zupełnie formę pierwszego ustępu koncertu i prawdopodobnie napisane jest pierwotnie z towarzyszeniem orkiestry. W utworze tym, bogatym w nowe i świetne pasaże, zbywa nam pośrodku na pięknym śpiewie; tak, jak go posiadamy, ma zanadto niespokojny przebieg; czujemy potrzebę następstwa jakiegoś powolnego ustępu, jakiegoś adagio; z całego zresztą założenia można wywnioskować, że zamysły sięgały rozmiarów zupełnego koncertu w trzech ustępach. Wznieść fortepian do najwyższej samoistności i orkiestrę uczynić dlań zbędną, jest ulubioną ideą najmłodszych kompozytorów dzieł fortepianowych, która zdaje się i Chopina spowodowała do wydania swego *Allegro* w obecnym kształcie; ta nowa próba przekonywa nas też ponownie o trudności przeprowadzenia wspomnianej idei, czem jednak wcale nie zamierzamy odwodzić od dalszych usiłowań w tym kierunku.

Znacznie wyżej od *Allegra* stawiamy *Balladę,* z rzędu trzecią Chopina, która się znacznie różni od swych poprzedniczek pod względem formy i charakteru, i jak tamte zaliczoną być musi pomiędzy jego najwłaściwsze utwory. Dopatrzeć w niej można prze-

dewszystkiem Polaka, pełnego ogłady i geniuszu, który przywykł obcować w najznakomitszych kółkach francuskiej stolicy; poetyczna woń utworu tego nie daje się dalej analizować.

O wydanych w tymże 1842 r. *Nokturnach* Op. 48 i *Fantazyi* Op. 49, wyraził się Schumann, jak następuje:

*Nokturny,* pełne melancholicznego nastroju i wdzięku, stają w jednym szeregu obok Chopina dawniejszych. Szczególnie drugi jest w stanie do niejednego przemówić serca.

W *Fantazyi* nareszcie, spotykamy się znowu ze śmiałym, burzliwym poetą-muzykiem, któregośmy takim już częściej widywali. Pełno w niej pojedyńczych, genialnych rysów, jednak całość nie chciała się dać ująć w piękną formę. Jakie obrazy roiły się Chopinowi, gdy ją pisał, przeczuwać tylko można; nie musiały być jednak wesołe.

Może najmniej ze wszystkich utworów Chopina podobała się Schumanowi *Tarantella,* którą nazwał *ein Stück in Chopins tollster Manier.*

Widzimy przed sobą wirującego, pozbawionego zmysłów tancerza; wir i zawrot opanowuje nas samych. Oczywiście nikt nie śmie nazwać to piękną muzyką, lecz mistrzowi przebaczmy tą razą jego dzikie fantazye, wszak i jemu wolno choć raz objawić ciemnie swego wnętrza. Dla recenzentów, w pełnem tego słowa znaczeniu, Chopin i tak nie pisał.

Ta dość negatywna ocena *Tarantelli* była ostatnim sądem krytycznym, jaki Schumann w *Neue Zeitschrift für Musik* wydał o Chopinie. Od tej chwili t. j od 1843 roku, już nie pisał o jego kompozycyach, choć tych kompozycyi wyszło jeszcze mnóstwo, i to wspaniałych. Widocznie, że już o nich twórca karnawału nie wiele nowego miał do powiedzenia.

Nie znaczyło to jednak, by pisząc o innych pianistach lub ich utworach fortepianowych, raz po raz nie wymieniał nazwiska Chopina. Owszem, to powtarzało się dość często, co dowodziło, że jednak »unser phantasiereicher Chopin« ciągle przychodził mu na myśl.

Gdy np. Liszt koncertował w Lipsku, Schumann, w obszernym artykule o nim, charakteryzując jego grę niezrównaną, nie wiedząc, kogo-by mu przeciwstawić (bo nie Thalberga w każdym razie) tak pisał między innemi.

Näher an Liszt steht schon Chopin als Spieler, der ihm wenigstens an feenhafter Zartheit und Grazie nichts nachgiebt.

Za to, gdy chodziło o brawurę, był Liszt, zdaniem Schumanna, absolutnie bez konkurencyi, co się szczególnie ujawniało, gdy grał swą efektowną *Fantazyę* na temat z Paciniego.

Aber alle die erstaunliche verwegene Bravour, die er hier zeigte, möchte ich noch opfern für die zauberhafte Zartheit, wie si sich in der volgenden Etüde aussprach. Chopin ausgenommen, wüsste ich, wie gesagt, Niemanden, der ihm hierin gleichkäme.



Szkoda tylko, że Liszt na żadnym ze swych koncertów lipskich nie zagrał ani jednej z kompozycyi Chopina, któremi poprostu czarował na zebraniach prywatnych.

So gern hätte ich gewünscht, das er auch von Chopins Compositionen, die er unvergleichlich und mit grösster Liebe spielt, öffentlich vorgetragen hätte.

Gdy wyszły 24 *Etiudy* Edwarda Wolffa, zaczął Schumann swoją ocenę takowych w sposób następujący:

Der Componist ist ein junger, jetzt in Paris lebender Pole, und seine Anhänglichkeit an Chopin ist um so leichter zu erklären. Vor 50 Jahren würde man Etüden wie die Wolffschen gerade zu für verrückt erklärt haben, heute gelten sie nur noch als »schwer«. Leider aber ist Schwierigkeit ihr eigenthümliches Merkmahl, und es steckt in mancher Chopinschen Mazurka mehr Musik als in allen diesen 24 Etüden.

I cztery *Rapsodye* Wolffa, wydane w tym samym czasie mniej więcej, mocno trąciły Chopinem.

An Chopin wird man oft erinnert, doch mehr an den Clavierspieler, an dessen Zickzackgänge, im Einzelnem wohl auch an einige Harmoniewendungen.

Całkiem to samo dało się powiedzieć o *Rapsodyach* Lickl'a, które, choć miały być wspomnieniem Gasteinu, w niejednem miejscu przypominały nie Gastein, lecz Chopina.

Um Einzelnes hervorzuheben, so finden wir gleich die Einleitung zur ganzen Zammlung sehr artig... trotz einer starken Reminiscenz an die *G-moll-Ballade* von Chopin; auch die erste Nummer hat einen Chopinschen Anstrich.

Omawiając *Etiudy koncertowe* Kufferatha, wypowiedział Schumann mimochodem następujący pogląd:

Nach der stürmichen Chopinschen Epoche, die in Henselt, Liszt und Thalberg ihre drei Endpunkte erreicnt, scheint jetzt ein Stillstand eintreten zu wollen.

Wszystko to dowodzi wymownie, jak Schumann doskonale sobie uświadomił przemożność wpływu Chopina, jako kompozytora i reformatora muzyki fortepianowej [1]).

[1]) Nawiasem mówiąc, jak w *Neue Zeitschrift für Musik,* gdzie często wspominał Chopina, choć nie o nim pisał specyalnie, podobnie i w listach poufnych, pisanych do znajomych, Schumann raz po raz napomykał o Chopinie, co dowodziło, jak nim był przejęty. Raz np. pisząc o swych *Préambules,* będących zbiorem krótkich preludyów, napisanych może nie bez myśli o chopinowskich *Preludyach,* tak się wyraził między innemi: »Ich weiss gar wohl, dass ich mich nicht mit Chopin vergleichen kann, aber es ist doch

Zresztą nie sam tylko Schumann w ten sposób oceniał Chopina. Że w Niemczech nie brakło takich, co Chopina stawiali na całkiem wyjątkowym piedestale, i to nietylko Chopina-kompozytora, ale i Chopina-wirtuoza, dowodziła wydana w 1845 r. biografia Beethovena, pióra Schindlera. Schindler, uczeń Beethovena, będąc w 1840 r. w Paryżu, gdy tam usłyszał Chopina i innych fortepianistów tamtejszych, Liszta nie wyłączając, przejął się takim zachwytem dla gry Chopina, że mu pod każdym względem przyznał wyższość nad innymi wirtuozami, nad wszystkimi bez żadnego wyjątku. Mocno zgorszony szarlatanizmem fortepianistów paryskich, których jedyną dążnością było »łamanemi sztukami i biegłością palców w zdumienie wprawiać słuchaczy«, a niemniej oburzony na Liszta za »dowolność i nicowanie na swój sposób utworów Beethovena, Szuberta i Webera«, tem większem uwielbieniem zapłonął dla Chopina, o którym tak pisał w swem *Życiu Beethovena:*

Jeśli stęskniony wędrowiec znajdzie kwiat wonny, cieszy się i napawa jego widokiem, przyciska go do ust, tuli do łona, i zapomina na chwilę o perzu i zielsku, jakie w drodze napotykał. Tak mi było w duszy i sercu, gdym słyszał Chopina grającego, któregom już był poznał przed dziesięciu laty w Wiedniu. Chopin jest k s i ę c i e m w s z y s t k i c h f o r t e p i a n i s t ó w [2]), uosobioną poezyą przy fortepianie; a ponieważ wszystko, co piękne, dobre i szlachetne, i w Paryżu ma licznych wielbicieli i zwolenników, stąd i stanowisko Chopina w gronie artystów paryskich, jest wybitnem i powszechnie uznanem. Łatwo opisać, jak tyran fortepianu, Liszt, wykonywa Beethovena, jak młóci swój galop chromatyczny lub znaną *Etiudę Mazepa* [3]). Chopina grę trzeba samemu słyszeć, kto chce jej odrębność i właściwość należycie pojąć i ocenić. Nie imponuje ona siłą uderzenia, ani gry błyskotkami, czem inni sobie poklask gawiedzi okupują, bo stan zdrowia nie dozwala mu zbytniego sił wytężenia, a nadto ciało i duch silny staczają w nim ciągłą i bolesną walkę, w której fizyczność ulega. Główną zaletą gry tego wielkiego mistrza jest

menschlich, dass ich gerade nicht in meiner Schwachheit neben ihm figuriren möchte«. Gdy wyszło *Album du Pianiste* Schlesingera, zawierające obok innych utworów *Nocturne H-dur* Chopina, Schumann tak o nim pisał w jednym ze swych listów: »Von Chopin enthält das Album ein Notturno, den Dichter in den ersten Tacten verrathend. Der Gesang des ersten Verses (man kann es so heissen) ist möglichst zart und wohllautend; matter dagegen, wie Chopins zweite Erfindungen so häufig, der zweite. Den Schluss halte ich für später angesetzt«. Jak Schumann dużo myślał o Chopinie, dowodził choćby jego *Karnawał,* gdzie »Chopin« występuje w postaci jednego rozdziału. Sam Schumann tak objaśniał swój *Karnawał:* »Es ist ein humoristischer Maskenroman, in welchem ausser dem bekannten Gesichte des Harlekin, Pantalon, der Colombine, auch bedeutendere der Gegenwart, wie Chopin und Paganini, in flüchtigen musikalischen Umrissen zum Vorscheine kommen«. W jednym z listów do Klary Wieck, opisując jej pobyt Liszta w Lipsku, pisze Schumann: »Dir aber sag ich's, Liszt erscheint mir alle Tage gewaltiger. Heute früh hat er wieder bei Raimund Härtel gespielt, dass wir alle zitterten und jubelten, Etüden von Chopin, ein Stück aus den Rossinischen Soiréen und Mehreres noch«.

[2]) C h o p i n i s t d e r F ü r s t a l l e r K l a v i e r s p i e l e r.

[3]) Prócz tego, w przypisku, Schindler w bardzo niepochlebny sposób scharakteryzował sposób grania Liszta.



najzupełniejsza prawda w wyrażaniu uczuć, które oddać chce i może, wykluczająca wszelkie naśladownictwo, któreby raczej wyglądało na karykaturę, gdyby się ktoś o nie pokusić zechciał. Że gra jego nie odurza, że nie idzie na przebój, że — co to samo znaczy — nie jest obliczoną na poklaski bezmyślnego tłumu, żądnego marnych błyskotek i ogłuszenia, to łatwo każdy pojmie. Co zważywszy, jakoteż mając wzgląd na to, że pochwały najlepszych i najzacniejszych wcale nie wywarły zgubnego wpływu na Chopina i w niczem go nie zmieniły, z radością przyznamy, że to, co u niego widzimy, jest dobrem, i Bogu dziękować należy, że nie jest inaczej. W takim stanie rzeczy, na jaki patrzymy, żałować przecież należy, że Chopina występy publiczne, jako też wybór dzieł przez niego wykonywanych, zależy od jego mocno nadwątlonego zdrowia. Ileżby zaważyła na szali gra jego, gdyby mógł z towarzyszeniem pełnej orkiestry wykonywać dzieła naszych największych mistrzów, zupełnie wygnane z pulpitów wszystkich koryfeuszów fortepianu, zwłaszcza, że trudno widzieć artystę skromniejszego, więcej przejętego godnością swego powołania, dalszego od wszelkiej ostentacyi. O losy, czemu się tak okrutnymi i nieżyczliwymi okazujecie względem tego prawdziwego artysty!«

Takich, co podzielali to zdanie Schindlera, dało się naliczyć wielu. Nie on jeden był tego zdania.

## V.

W grudniu 1843 roku wyszły u Breitkopfa i Härtla w Lipsku, a jednocześnie i u Schlesingera w Paryżu, wielki *Polonez As-dur* Op. 53, dedykowany Augustowi Leo, oraz *Scherzo Es-dur* Op. 54, przypisane pannie de Caraman, a w niespełna miesiąc potem miał Chopin już napisaną także i swoją przepiękną *Berceuse'ę.* Świadczy o tem zapiska Bohdana Zaleskiego, któremu Fryderyk, już dnia 2 lutego 1844 roku, w dzień jego imienin grał tę kompozycyę. »Śnieg padał — pisał w dzienniku swym dnia tego autor *Rusałek* — i czas całkiem podobny do naszych dni zimowych. Po 4-tej poszedłem do Chopina, zastałem Witwickiego, a niebawem przybyły i pani Hofmanowa z panną Taczanowską i Tomaszewscy. Nadszedł Chopin, blady, nędzny, ale w dobrym humorze, w natchnieniu; czule się ze mną przywitał i siadł do fortepianu. Nie podobna wypowiedzieć, co i jak grał. Pierwszy raz w życiu uczułem tak silnie piękność muzyki, że uderzyłem w płacz. Wszystkie odcienia uczucia mistrza łowiłem w lot i najdoskonalej pamiętam motywa i wrażenie każdego kawałka. Grał nasamprzód cudowne *Preludyum,* potem *Kołysankę,* dalej *Mazurka,* znów *Kołysankę,* o której powiedziała pani Hofman, że tak śpiewać musieli aniołowie w Betlejem, potem wspaniały *Polonez* [1]), i nareszcie w cześć moją improwizacyę, w której wywołał wszystkie głosy miłe i bolesne z przeszłości, zawodził w płacz dumek i nareszcie zakończył: *Jeszcze Polska nie zginęła!* na wszystkie tony, od bojowego aż do dzieci i aniołów. Mógłbym o tej improwizacyi książkę napisać. Uściskałem Chopinka ze współczuciem i najserdeczniej. Wyszedłem z wrażeniami

[1]) Niewątpliwie *Polonez As-dur,* świeżo wydany.

niedoznanemi nigdy i po drodze opowiadałem Tomaszewskim dziwy o muzyce. Nie można już milej przeżyć dnia swego święta«. W krótki czas potem, gdy się zaczęły marcowe roztopy i wichry, zapadł Chopin na zdrowiu [1]), a nawet, jak o tem świadczy korespondencya z Paryża z dnia 25 kwietnia 1844 roku do *Augsburger Allgemeine Zeitung,* zachorował ciężej, poważniej, niż kiedykolwiek, tak dalece, że przez dłuższy czas nie mógł wychodzić z domu. Autorem tej korespondencyi, poświęconej wiosennemu sezonowi muzycznemu nad Sekwaną, był Henryk Heine. Otóż zdaniem Heinego, któremu w tej korespondencyi dał wyraz, jest tylko trzech pianistów na świecie, zasługujących na poważne trakowanie, mianowicie: Chopin, *der holdselige Dichter, der aber leider auch diesen Winter sehr krank und wenig sichtbar war,* Thalberg, muzykalny gentelman, i Liszt, który właśnie dał szereg koncertów w Paryżu, wszystkie z kolosalnym sukcesem.

Z nadejściem wiosny, gdy znów przyszedł jako tako do siebie, dał się i Chopin słyszeć publicznie w sali Erarda, na wieczorze kameralnym urządzonym staraniem Alkana, odegrawszy razem z Pixisem i Zimmermanem, *Adagio* i *Finale* z *Symfonii A-dur* Beethovena, w układzie na cztery fortepiany, który to układ grali już raz sześć lat temu [2]).

Że Chopin, skoro mu tylko zdrowie zaczęło dopisywać jako tako, zaraz dał się porywać wirowi paryskiego życia muzykalnego i towarzyskiego dowodziła choćby następująca wiadomość, podana w korespondencyi z Paryża, w poznańskim *Tygodniku literackim* z dnia 20 maja 1844 roku: »W Odeonie paryskim wystawiona będzie wkrótce *Antigona* z muzyką

[1]) Mimo to, gdy umarła matka Pleyela, uczestniczył w jej pogrzebie, o czem w ten sposób pisano w dniu 3 marca 1844 roku w *La France musicale:* »Un malheur de famille vient de frapper un de nos plus célèbres facteurs de piano. M. Pleyel a perdu sa mère, qu'il aimait de la plus profonde affection. Les arts, la littérature et l'industrie étaient representés au convoi, qui a eu lieu mardi, par les hommes les plus éminents. Chopin, quoique gravement malade, s'était fait trâiner jusqu'aux bords de la tombe, et là, s'est passé une scène des plus touchantes. M. Camille Pleyel, en aparcevant son ami à ses côtés, s'est jeté dans ses bras, et tous les deux, la voix étouffée par les sanglots, se sont mis à verser d'abondantes larmes. Nous regrettons de n'avoir pas assez de place pour nommer tous les hommes de coeur qui étaient venus offrir à M. Pleyel hommage de leur estime et de leurs sympathies«.

[2]) Z powodu tego koncertu, charakteryzując grę Alkana, pisała dn. 17 marca 1844 r. *La France musicale:* »Alkan a un style à lui, et son merite principale est de ne ressembler ni à Thalberg, ni à Chopin, ni à Liszt, ni à Prudent, ni à Doehler, ces princes du piano«. W ciągu kwietnia wystąpił Alkan z własnym koncertem fortepianowym. O koncercie tym, bardzo udanym pod każdym względem, tak pisała 28 kwietnia 1844 r. *La France musicale:* »La soirée donnée samedi par M. Alkan restera comme une des plus intéressantes et des plus belles qui aient eu lieu dans cette dernière saison. Il y avait foule, mais une foule élégante et choisie. La littérature, la musique et la poésie y étaient représentées noblement, et parmi toutes les mains qui battaient, se faisaient surtout remarquer Georges Sand, Alexandre Dumas, Liszt, Chopin, etc.«.



Mendelssohna. Na pierwszej próbie chórów znajdowały się prawie wszystkie wielkie gwiazdy na horyzoncie muzycznym lub literackim jaśniejące, np.: V. Hugo, Lamartine, Barthelemy, malarz Ingres, Chopin, pani Sand, Adam, Halevy, Habeneck i t. d. Urządzeniem muzyki kieruje młody muzyk berliński, Juliusz Stein«.

Tymczasem Chopina spotkał cios, najokropniejszy, jaki go mógł spotkać w danej chwili: dnia 3 maja 1844 r. zmarł w Warszawie, w 75 roku życia, Mikołaj Chopin. Zmarł na chorobę piersiową, ale do śmierci najbardziej się przyczyniła szybko postępująca choroba serca.

Nazajutrz, dnia 4 maja, zamieścił *Kuryer Warszawski* taką krótką wiadomość o tej śmierci:

Dnia wczorajszego rozstał się z tym światem zacny, zasłużony profesor Mikołaj Chopin (Szopę), ojciec sławnego mistrza muzyki.

W przeddzień pogrzebu, dnia 5 maja znalazło się w tymże *Kuryerze Warszawskim* następujące zaproszenie:

Pozostała Wdowa wraz z dziećmi, zięciami i wnukami po ś. p. Mikołaju Chopin, b. profesorze warszawskiego Liceum, Szkoły aplikacyjnej wojskowej i Akademii duchownej, Emerycie, zmarłym onegdaj w 75 roku życia, zapraszają Kolegów i Przyjaciół na wyprowadzenie zwłok jutro o godzinie 5-tej z połud:, z domu przy ulicy Nowy świat Nr 1255 na smętarz Powąski; a pojutrze o godz. 10-tej do Kościoła OO. Kapucynów na żałobne nabożeństwo za duszę Jego odbyć się mające. Do tego ogłoszenia dodajem: »Mąż ten wielce zasłużony w świesie uczonym pod względem pedagogicznym i naukowym, zacny Ojciec i Małżonek, życzliwy Kolega, szczery Przyjaciel, zostawił w nieutulonym żalu dwie Córki, wzorowe Żony i Matki, i jednego Syna, chlubę i zaszczyt kraju naszego i owej wzniosłej sztuki, którą zadziwia Europę, a uniósł w zamian do grobu szacunek i uwielbienie dostojnych Zwierzchników, Zięciów, Przyjaciół, Kolegów i Uczniów, którymi zaludnił wszystkie Magistratury rządowe«. *J. Z.*

W kilka dni po pogrzebie zamieścił *Kuryer Warszawski* w Nr. 127 z dnia 12 maja 1844 roku następujący wierszyk z powodu śmierci Mikołaja Chopina (Szopę):

Zgasł zacny Chopin! Ale nam zostawił
Syna, którego wielki talent wsławił.
On to przez wyższe przymioty
Chlubę przynosi naszej krainie,
A w nim, jak w całej Jego rodzinie,
Jaśnieć będą Ojca cnoty. *W. A.* [1]).

[1]) W *Kuryerze Warszawskim* z dnia 15 maja 1844 r. znalazł się następujący (art. nad.): »W Nr. 127 *Kuryera Warszawskiego,* umieszczono wiersz: Z powodu skonu Mikołaja Chopina, z podpisem *A. W.* Niektórzy z przyjaciół zmarłego, rozumiejąc, że ja jestem autorem tych wierszy, złożyli mi podziękowanie: unikając dalszych, mnie nienależnych dziękczynień, oświadczam, że żadnych rymów na skon czcigodnego Chopina nie pisałem. *Au*(gust) *Wi*(lkoński).

Fryderyk zniósł ten cios »spokojnie«, co też, pisząc do rodziny, silnie podkreślił; wiedział bowiem, jak tam się będą obawiali o jego zdrowie, o skutek wrażenia, jakie na nim może zrobić wieść o śmierci ojca. Jednocześnie prosił najgoręcej, by mu z »najdrobniejszemi szczegółami« opisano ostatnie chwile nieboszczyka, bo skoro nie mógł być przy jego zgonie, chciał wiedzieć przynajmniej, jaki był przebieg choroby, w jaki sposób nastąpiła katastrofa. Do listu tego, pełnego najserdeczniejszych słów dla matki, dopisała »kilka wyrazów« pani Sand, a ten dopisek jej, zawierający nietylko słowa pociechy dla wdowy po zmarłym, ale pełen także macierzyńskiej troskliwości o jej jedynego syna, ogromnie wzruszył całą rodzinę Fryderyka.

Świadczyły o tem listy Antoniego i Izabeli Barcińskich, którzy w imieniu całej rodziny, zaraz po otrzymaniu listu od Chopina, odpisali mu nań obszernie. Nawet Izabela, która na ogół miała niejakie wątpliwości co do »macierzyńskich« uczuć p. Sand względem Fryderyka, tym razem, poprostu wzruszona i rozbrojona jej serdecznym dopiskiem, nie umiała zataić swej admiracyi dla niej. »Wdzięczność twej opiekunce — pisała między innemi — za jej pieczołowitość o Tobie i serce nam okazane! Jej kilka wyrazów uspokoiły mamę i nas co do zdrowia Twego. Co to jest, kiedy kto ma serce; nie znając osób, umie im do serca trafić i wlać w dusze strapione pociechę. Ty, mój jedyny, podziękuj jej za to najczulej i sam nie poddawaj się słusznemu, należnemu żalowi«. O to samo prosił go również i mąż Izabeli, który przejęty uczuciem wdzięczności dla p. Sand za jej szlachetną rolę opiekunki i przyjaciółki Fryderyka, tak o niej w swym liście pisał do niego: »Myśl o sobie, o Twem zdrowiu, słuchaj zbawiennych rad, na rozumie i na sercu opartych, Twego anioła-stróża, którego z pism tylko znając, wielbię, poważam i czczę, i gdybym się kiedy mógł z Tobą widzieć, padłbym jej do nóg, oblałbym je łzami wdzięczności za czułą i macierzyńską opiekę, jaką nad Tobą rozciąga. Proszę oświadczyć tej, która Ci miejsce matki zastępuje, moją najszczerszą wdzięczność i głęboki szacunek«.

Czyniąc zadość »słusznemu i sprawiedliwemu« życzeniu Fryderyka, by mu opisano ostatnie chwile ojca, Barciński poświęcił cały swój obszerny list opisowi tej stoickiej śmierci, a z zadania tego wywiązał się pod każdym, bo nawet pod literackim względem, świetnie i bez zarzutu. Oto najgłówniejsze ustępy z jego listu, który niemało musiał wzruszyć Chopina: »Gdybym miał talent wymowy, a tem samem był w możności opisania całego życia naszego nieocenionego ojca, uczyniłbym to dla ogólnego dobra, aby nauczyć ludzi, jak mają żyć i umierać, aby nawet w grobie nie być zapomnianym i zasłużyć sobie na powszechny szacunek i uwielbienie, z pokolenia do pokolenia przekazywanych. Ktoby chciał mieć wyobrażenie o śmierci sprawiedliwego, powinienby być świadkiem całego ciągu nie-



długo trwałej choroby i końca naszego ojca; spokojność umysłu, nieoddzielona od spokojności sumienia; wewnętrzna pociecha i rozkosz, że dochował się dzieci, umiejących kochać i szanować rodziców; przekonanie miłe, że się nie dla samego siebie żyło, ale dla dobra bliźnich; myśl, że go wszyscy wielbią i prawemu jego charakterowi cześć oddają. Żyć lat 75 na świecie, w pośród zepsucia i demoralizacyi, właściwej ludzkiej naturze, i nie mieć ani jednego nieprzyjaciela; przypomnieć sobie, że się mnóstwo, rodzin z nędzy podźwignęło, przyjaciołom w potrzebie wsparcia i rady zbawiennej udzieliło, czego z pozostałych listów widoczną czerpać można było wiadomość; przestawać na małem, nie pragnąć ani dostatków, ani zaślepiających zaszczytów, umiłować domowe życie, ukochać swą rodzinę sercem przyjaciela, żyć ich szczęściem, cieszyć się i chełpić, że mu Bóg pozwolił dochować się miłego owocu tyloletnich trudów i zabiegów z własnych dzieci, w których śmiało ujrzeć można siebie samego, swoją duszę i serce, tylko mógł jak w zwierciedle odbijające się oglądać. Taki mąż nigdy nie umiera, żyje on wpośród nas, bo jego myśli i uczucia w każdej chwili naszego istnienia odradzają na nowo pamięć Jego. Obraz ten, aczkolwiek daleki od rzeczywistości, której tylko jest słabym odcieniem, łatwo Tobie domyślać się każe, jakim był nieoszacowany ojciec nasz w ciągu swej słabości; lat 75 wieku, znękanego długoletnią i mozolną pracą, było całą i ostateczną chorobą naszego ojca. Dlatego też w czasie słabości, która nie objawiła się cierpieniami ciała, ale zwolna znikającemi siłami, nie użalał się na żadne cierpienia, był ciągle spokojny, rozmawiający, a nawet wesoły, czego ukryć nie potrzebował. Otoczony całą swą rodziną, cieszył się i mówił: Bogu najwyższemu dziękuję, że mi tak dobre, cnotliwe i czułe dzieci wychować pozwolił. O Tobie często wspominał, a w ostatnich już dniach swego pobytu na ziemi polecił mi, abym Cię w Jego imieniu zachęcał do zniesienia ciosu, jaki nas wszystkich miał spotkać, z rezygnacyą i tą myślą, że nikt wyrokom niebios opierać się nie powinien, że doczekać takich lat, do jakich on doszedł, już za łaskę Najwyższego uważać należy. Zapewnić Cię tylko mogę, że od początku do ostatniego momentu dzień i noc na przemiany, wszyscy staraliśmy się być gotowi na najmniejsze skinienie drogiego ojca. Noc ostatnią z czwartku na piątek, ja z Izabelą na czuwaniu przy nim spędziliśmy; nadedniem przeczuwał już blizki swój koniec, z rozczuleniem przycisnął mnie do swego serca, mówiąc: »Antosiu, drogi Antosiu, nie opuszczaj mnie dzisiaj«. Pojmujesz, że mowa ta, pełna nadludzkiej dobroci, przeraziła mnie i zarazem trafiła do mego serca; nie opuściłem go, jak również całe rodzeństwo, na które zlewając swe błogosławieństwo, jak równie na Ciebie, którego sobie uprzytomniał, zwracając często wzrok swój na portrety Twoje i biust, Bogu ducha oddał. Nie żalił się nigdy na żadne cierpienia, lub dotkliwe boleści. Zawsze jednostajnie ujmujący swoją dobrocią i do ostatniej chwili

spokojny, dziękował każdemu z uprzejmością sobie właściwą za najmniejszą wyrządzoną mu usługę; usnął w całem znaczeniu tego wyrazu i pragnę, aby każdy mógł tak jak on żyć, tak jak on umierać. Z opisu tego przekonywasz się, mój drogi, do jakiego stopnia ojciec nasz mnie umiłował i jaką we mnie ufność pokładał; chełpię się z tego, doznając zarazem najwyższej rozkoszy, żem sobie umiał na Jego miłość i szacunek zasłużyć, że mnie w poczet dzieci własnych policzył. Przytaczam te okoliczności dlatego, abym choć w części nabył prawa do Twego serca i mógł Ci robić uwagi czasami, z serca najlepszego naszego ojca czerpane, które nigdy dla mnie tajemnicą nie były. Zaklinam Cię więc, najdroższy bracie, na pamięć ojca i miłość dla żyjącej matki i sióstr, uspokój swój żal. Pocieszaj się tą myślą, że naszego ojca wszyscy wielbili, czcili i kochali; że on żyje i żyć będzie w duszy i sercu wszystkich tych, którzy go znali; że Twój smutek i melancholia mogłyby Ci zdrowie nadwerężyć, co znowu pociągnęłoby za sobą smutne następstwo zgryzot i zmartwień najukochańszej Twej matki i sióstr, czego jestem pewny, że Im nie życzysz. Twoje zdrowie i życie jest nieoddzielną cząstką naszego; szanuj je, jeżeli pragniesz cieszyć się naszem szczęściem. Mama jest przy nas; razem w sześciu pokojach na pierwszem piętrze, które umyślnie kazałem wyporządkować, mieścić się będziemy. Bądź o nią spokojny zupełnie znajduje się ona pod opieką troskliwą córki i moją, który jej chcę godnie Ciebie nie powiem zastąpić, boś Ty tylko jeden na całym świecie, ale przynajmniej przypomnieć Twoje uczucia ku najlepszej z matek. Zapewniasz mnie wprawdzie, żeś spokojny; chcę temu wierzyć, ale jednak dowiedziesz mi w czynach to przyrzeczenie, gdy o swem zdrowiu myśleć nie przestaniesz. Wiem, żeś kochał ojca, wiem, że kochasz matkę i siostry, a nawet domyślam się, że ich mężom dobrze życzysz. Dlatego, jeżeli Ci miłość całego rodzeństwa jest drogą, będziesz pamiętał o sobie; nie będziesz się martwił, boby się o to i nasz ojciec sam gniewać musiał. Bywaj zdrów i szczęśliwy; pisuj często, bo to jedyny balsam dla dusz strapionych. Matka nasza droga, utraciwszy starego swego przyjaciela, całem sercem i duszą ku Tobie się zwróciła; zlituj się więc nad nią i pocieszaj Ją swojem zdrowiem, nie martw się, abyś mimowolnie nie wpływał na utratę tego najdroższego skarbu na ziemi. Pamiętaj, że życie Twoje nie jest wyłączną Twoją własnością; należy ono jeszcze do tej, która Ci go dała, i do tych, którzy Cię więcej nawet jak siebie kochają; wspomnij, że zdrowie Twej rodziny, godnej uwielbienia, wyłącznie na Twem szczęściu polega. Pisz do nas szczerą prawdę, wynurz się ze wszystkich cierpień moralnych, ulżysz nieco strapionemu sercu swemu i będzie Ci lepiej. My sobie popłaczemy czasami, patrząc na drogie pamiątki kochanego ojca, w ogródku naszym ręką jego zdziałane. Każdy krzak latorośli winnej, sztachetki w roku zeszłym przez niego zrobione i poustawiane i tyle innych przedmiotów świadczą, że człowiek uczony



i miłujący pracę, mógł się zajmować i fizycznem zatrudnieniem z korzyścią i przyjemnością. Najdroższą naszą matkę, pomimo tylu bezsennych nocy, jakie na usługach przy swoim przyjacielu spędziła, pomimo tylu udręczeń serca i bolesnych uczuć na samą myśl, że się ma z tym, którego tak mocno kochała i szanowała, kiedyś rozłączyć, utrzymywała tylko siła moralna; dusza tęga i ufność nieograniczona w Bogu dodawała nowej mocy ciału do zniesienia największego w jej życiu nieszczęścia. Jest bowiem teraz, niech będą dzięki opatrzności, lepiej jak kiedykolwiek była. Resztę napiszą siostry, a ja Cię tylko ściskam serdecznie. Żeby Ci nic nie pominąć, winienem Ci jeszcze dodać, że Bełza, nasz przyjaciel domowy, w kamienicy naszej oddawna zamieszkały, człowiek bardzo uczony i z poczciwem sercem, ten, który wspólnie z nami szczęście i smutek podzielał, pracował przed kilkoma laty nad projektem założenia w Warszawie domów przedpogrzebowych; obczytawszy się w tym przedmiocie, zwykł różnymi czasy opowiadać ojcu i nam, gdy jeszcze był zupełnie zdrów, rozmaite przypadki o pozornych śmierciach, w czem mu nasz kochany papa anegdotami w podobnym duchu dopomagał. Widać przeto, że czynna imaginacya naszego ojca w ostatnich mianowicie chwilach życia swego przypomniała sobie te zdarzenia, a że ojciec był człowiekiem myślącym, przewidującym i umysłowo nadzwyczaj czynnym, nic więc dziwnego, iż prosił nas, aby ciało jego po śmierci otworzono, z obawy, aby nie uległ smutnemu losowi odżycia w grobie. Gdym mu perswadował, że stan jego choroby nie jest niebezpieczny, że jeszcze Bóg da, że się w ogródku zabawimy, w pikietę podług naszego zwyczaju zagramy, uśmiechnął się do mnie i rzekł: Mój Antosiu, to też to ja proponuję na przypadek wszelki; a jeżeli wyzdrowieję, to spodziewam się, że ta moja ostrożność na ten raz będzie niepotrzebna. Nie myśl zatem, drogi Fryciu, że do tej determinacyi znaglały go cierpienia; było to jego przekonanie, o którem mawiał mi kilka nawet lat przed śmiercią. Nie wyobrażaj sobie nic strasznego, nie przypisuj tego postanowienia ojca jakimbądź cierpieniom lub mękom, bobyś go krzywdził. Człowiek tak sprawiedliwy jak on, człowiek pełen cnót i prawości, człowiek, który oddychał szczęściem bliźnich i dla ich dobra całe poświęcił życie, nie lękał się śmierci, nie doznawał żadnych udręczeń, umierał z rozkoszą i tem słodkiem przekonaniem, że odżyje w dzieciach, których serca podług swego własnego wykształcił. Był spokojny zupełnie, pełen miłego przekonania, że jedność uczuć, miłość braterska, wzajemna troskliwość wszystkich członków nielicznej, ale z gruntu poczciwej rodziny, dawały mu najuroczystsze zapewnienie ich szczęścia na ziemi; a że przy schyłku życia swego naszym losem i powodzeniem tylko oddychał, przeto nie miał najmniejszego powodu smucenia się i dręczenia. Codziennie powtarzał i przypominał, że trudno znaleść szczęśliwszego ojca od niego; Bóg was — mówił do nas — błogosławić będzie. Kochajcie się zawsze, szanujcie się,

dbajcie o swe zdrowie, bądźcie troskliwi o waszą matkę. Wierzaj, kochany Fryciu, temu wszystkiemu, co tylko o naszym uwielbienia godnym ojcu napisałem; nikt ode mnie nie posiadał więcej ufności i większego przystępu do tajników Jego serca, jak ja; dlatego też rzetelną prawdę Ci objawiam, z tem przekonaniem, że zapewnienia, jakie Ci tu udzieliłem, staną się choć w części dla ciebie słowami pociechy. Nasz kochany Kalasanty z Podwala co drugi dzień dla przepędzenia nocy przy najdroższym ojcu na Nowy Świat przychodził. Godny to i nieoszacowany mąż. Jego to staraniom i trudom winniśmy, że obrzęd pogrzebu odbył się według naszego życzenia, nie z okazałością i przepychem świata, ale porządnie i bogobojnie. Szwagierek nasz ma czułe i poczciwe serce, kocham też go jak brata i przyjaciela«.

List Izabeli był znacznie krótszy i o wiele mniej literacki, aniżeli list jej małżonka. Oto jego osnowa: »Bądź spokojny, mój drogi, o nas, i pamiętaj o sobie, boś Ty jak dawniej, tem bardziej teraz całą naszą pociechą; Mama dziś nam została; daj Boże jak najdłużej nią się cieszyć; dziś ku niej całą miłość synowską zwrócić, jej chwile nam drogie osładzać należy. Pan Bełza, który Cię znał u Brandtów, a dziś mieszka u nas w domu od lat kilku, jedzie w końcu tego miesiąca do Paryża i w lipcu zapewne tam będzie; radabym, żeby on mógł Cię widzieć. Papa go bardzo kochał i poważał. Prawdziwy też to naszej całej rodziny przyjaciel; nikt od niego lepiej nas nie zna. Miłoby nam było, żebyście się mogli uściskać. Z głową i sercem człowiek! Donieś mi też, gdzie Nohant leży. Ludzie mi się o to pytają a ja nie wiem; a choćbym na karcie znaleźć chciała, to takiej szczegółowej nie mam. Mamę zapraszają w różne strony na wieś. Nie uwierzysz, mój drogi, jak to nieszczęście nasze wiele współczucia wywołało! Bywaj zdrów i spokojny, tego Ci z serca życzymy. Pisz do nas, mój jedyny, tylko zawsze prawdę o sobie, bo my Cię kochamy i zawsze o Tobie myślimy«.

Listy te otrzymał Chopin prawie na wyjezdnem do Nohant, dokąd razem z p. Sand wyjechał w tym roku już 29 maja. Rozczulona tem, co w tych listach znalazło się o niej, o jej dobroci, szlachetności etc., a co jej Chopin z pewnością nie omieszkał przetłómaczyć, p. Sand, na kilka godzin przed wyjazdem z Paryża skreśliła następujący list do matki Fryderyka, list, który jeszcze bardziej, aniżeli owych »kilka wyrazów« w liście Chopina do rodziny, musiał ująć serca wszystkich.

Paris, le 29 Mai 1844.

Madame!

Je ne crois pas pouvoir offrir d'autre consolation à l'excellente mère de mon cher Frédéric, que l'assurance du courage et de la résignation de cet admirable enfant. Vous savez si la douleur est profonde et si son âme est accablée; mais grâce à Dieu, il n'est pas malade, et nous partons dans quelques heures pour la campagne, où il se réposera d'une si terrible crise.



Il ne pense qu'à vous, à ses soeurs, à tous les siens, qu'il chérit si ardemment, et dont l'affliction l'inquiète et le préoccupe autant que la sienne propre.

Du moins, ne soyez pas de votre côté inquiète de sa situation extérieure. Je ne veux pas lui ôter cette peine si profonde, si légitime et si durable; mais je puis du moins soigner sa santé et l'entourer d'autant d'affection et de précaution que vous le feriez vous même.

C'est un devoir bien doux que je me suis imposé avec bonheur et auquel je ne manquerai jamais.

Je vous le promets, Madame, et j'espère que vous avez confiance en mon dévouement pour lui. Je ne vous dis pas que votre malheur m'a frappé autant que si j'avais connu l'homme admirable que vous pleurez. Ma sympathie, quelque vraie qu'elle soit, ne peut adoucir ce coup terrible, mais en vous disant, que je consacrerai mes jours à son fils, et que je le regarde comme le mien propre, je sais que je puis vous donner de ce côté-là quelque tranquillité d'esprit. C'est pourquoi j'ai pris la liberté de vous écrire, pour vous dire, que je vous suis profondement devouée, comme à la mère adorée de mon plus cher ami.

*George Sand.*

W kilka dni po wyjeździe do Nohant otrzymała p. Sand list bardzo serdeczny od Liszta, datowany 30 maja z Port-Marly, w którym to liście znalazła się także następująca prośba: »Dites à Chopin la vive part que je prends à son chagrin«.

Tymczasem w Nohant wszystko układało się zwykłym trybem, z tą różnicą jedynie, że p. Sand tym razem przyjechała tu z dwojgiem swoich dzieci, bo Solange, świeżo po skończeniu pensyi, a przytem dotknięta blednicą, bardzo potrzebowała wypoczynku i wzmocnienia. Niestety, pogoda była fatalna, nieustanne deszcze, które w tym roku, jak potop, nawiedziły całą okolicę Berry, sprowadzając straszną klęskę powodzi, nie pozwalały rozkoszować się świeżem powietrzem i słońcem, co z pewnością i Chopin dotkliwie odczuwał na sobie. Dało się to we znaki także i małżonkom Viardot-Garcia, którzy, po parotygodniowym pobycie w ciągu czerwca w Nohant, gdy się wybrali do Paryża, musieli się zawrócić z drogi, albowiem pozrywane mosty całkiem uniemożliwiały podróż na razie. Dzięki tej fatalnej okoliczności mógł Chopin dłużej, niż zwykle, cieszyć się towarzystwem pani Viardot, z którą tak lubił »muzykować«. Ta sama okoliczność sprawiła również, że z powodu ciągłych deszczów zmuszony bardzo wiele przesiadywać w domu, w swoim pokoju, skracał sobie czas pisaniem, co miało ten dobry skutek, że ani się nie spostrzegł, jak skomponował dwa wspaniałe *Nokturny* i trzy *Mazurki*, które też zaraz posłał Franchomme'owi do Paryża, by je sprzedał Schlesingerowi i Breitkopfowi. W tym samym czasie powstała również Berseza [1]), a równocześnie obmyślał nową *Sonatę*.

1) Jest wielkie prawdopodobieństwo, że część tych kompozycyi, mianowicie *Nokturny* i niektóre *Mazurki*, a może i *Berceuse'ę*, skomponował Chopin w ciągu zimy, w czasie swej choroby, gdy, zmuszony przerwać udzielanie lekcyi, nie mógł udzielać się światu. W każdym razie dopiero w Nohant nadał tym rzeczom ostateczną formę.

Ale jeszcze nie zabrał się do jej pisania, gdy niespodziewanie, w końcu czerwca lub na początku lipca, otrzymał list od Jędrzejewiczów, że zdecydowali się przyjechać do Paryża, ażeby z nim spędzić czas jakiś, ażeby go trochę pocieszyć po stracie ojca, a przytem Ludwika chciała zasięgnąć porady u słynnego chirurga paryskiego, Marjolina. Gdy o tem dowiedziała się p. Sand, zaraz wyraziła gotowość zaproszenia ich do Nohant, a gdy w końcu przyszedł list od Jędrzejewiczów, dokładnie oznaczający dzień, w którym mieli stanąć w Paryżu, i gdy Chopin miał pojechać na ich spotkanie, napisała p. Sand od siebie list do Ludwiki i jej małżonka, w którym im, na cały czas, gdy mieli bawić nad Sekwaną, ofiarowywała swoje mieszkanie. List ten, wysłany na ręce pani Marliani, brzmiał, jak następuje:

Chère madame!

Je vous attends chez moi avec une vive impatience. Je pense que *Fritz* arrivera avant Vous à Paris, mais si Vous ne l'y trouviez pas, je charge une de mes amies de Vous remettre les clefs de mon appartement dont je Vous prie de disposer comme du Vôtre. Vous me feriez beaucoup de peine si Vous ne l'acceptiez pas. Vous allez trouver mon cher enfant bien chétif et bien changé depuis le temps que Vous ne l'avez vu! Mais ne soyez pourtant pas trop effrayée de sa santé. Elle se soutient sans altération générale depuis plus de six ans que je le vois tous les jours. Une quinte de toux assez forte tous les matins, deux ou trois crises plus considérables et durant chacune deux ou trois jours seulement, tous les hivers, quelques souffrances névralgiques de temps à autre, voilà son état régulier. Du reste sa poitrine est saine et son organisation délicate n'offre aucune lésion. J'espère toujours qu'avec le temps elle se fortifiera, mais je suis sûre, du moins, qu'elle durera autant qu'une autre, avec une vie réglée et des soins. Le bonheur de Vous voir, quoique mêlé de profondes et douloureuses émotions qui le briseront peut-être un peu le premier jour, lui fera pourtant un grand bien, et j'en suis si heureuse pour lui que je bénis la résolution que Vous avez prise. Je n'ai pas besoin de Vous recommander de soutenir son courage qu'une si longue séparation de tout ce qu'il aime a éprouvé continuellement. Vous aurez mêler à l'amertume de Vos regrets mutuels tout ce qui pourra lui donner l'espérance de Votre bonheur et de la résignation de sa mère chérie. Il y a longtemps qu'il ne s'occupe que du bonheur de ceux qu'il aime, à la place de celui qu'il ne peut partager avec eux. Pour ma part, j'ai fait tout ce qui dépendait de moi pour lui adoucir cette cruelle absence et bien que je ne la lui aie pas fait oublier, j'ai au moins la consolation de lui avoir donné et inspiré autant d'affection que possible après Vous autres. Venez donc me voir avec lui et croyez que je Vous aime d'avance comme ma soeur. Votre mari sera aussi un ami que je recevrai comme si nous nous connaissions depuis longtemps. Je Vous recommande seulement de faire bien reposer le *petit Chopin*, c'est comme cela que nous appelons le grand Chopin votre frère, avant de lui permettre de se remettre en route avec Vous pour le Berry, car il y a 80 lieues, et c'est un peu fatigant pour lui.

A revoir donc, chers amis, croyez que Votre visite me rendra bien heureuse et que je Vous retiendrai jusqu'au dernier jour de Votre liberté.

A bientôt et à Vous de coeur.

*George Sand.*

Niemal równocześnie z wysłaniem tego listu pojechał i Chopin do Paryża, a niebawem przyjechali tu i Jędrzejewiczowie. Ażeby nie sprzeciwiać się życzeniu p. Sand, zwłaszcza, że zaraz po pierwszych powitaniach z Fryderykiem zdecydowali się skorzystać z jej zaproszenia do Nohant, zamieszkali w jej mieszkaniu paryskiem, z którego też korzystali przez cały czas swej bytności nad Sekwaną co mniej więcej musiało trwać około dwóch tygodni. Pierwszy raz będąc w Paryżu, którego tak byli ciekawi, a mając tak niezwykłego cicerona, jak Fryderyk, nie dziw, że przedewszystkiem chcieli poznać uroczą stolicę Francyi, a dopiero potem pojechać na wieś. Jakoż postanowiono zostać w Paryżu aż do końca lipca, a sierpień przeznaczyć na wspólną willedżiaturę w Nohant.



Powziąwszy taką decyzyę — o której Chopin z pewnością nie omieszkał powiadomić p. Sand — zaczęto używać Paryża, zwiedzać jego osobliwości, począwszy od muzeów w Louvrze [1]) i *Palais des Beaux Arts* [2]), a skończywszy na Jardin des Plantes [3]). Wieczory spędzano najwięcej w teatrach, w operze, gdzie byli na *Hugonotach* [4]), w komedyi francuskiej, gdzie podziwiali *Rachelę*, w teatrze Vaudeville, gdzie śmieli się do rozpuku podziwiając arcyzabawnego Arnala [5]). Wogóle nie tracono czasu, a gdy wieczorem nie szli do teatru, to starali się widzieć inne cudowności stolicy świata, jak np. wielką illuminacyę lipcową [6]) na Polach Elizejskich, (która jednak, z powodu dżdżystej pory, nie wypadła zbyt świetnie). Któregoś dnia pojechano na cmentarz Montmartre, ażeby złożyć wieniec na grobie Jana Matuszyńskiego. Ale nie zapominając o umarłych, przedewszyst-

[1]) W liście z 21 grudnia 1845 r. pisze Chopin: »Posłałen przez Glücksberga dwa tomy: Stary i Nowy Testament z angielskiemi sztychami dla Ludwiki i Izabelli. Sztychy te bardzo tutaj za piękne uchodziły; są obrazy najsławniejszych mistrzów starej i nowej Szkoły: Rafaela, Rubensa, Poussin. Wiele z tych obrazów jest tutaj w Luwrze, może Ludwika sobie przypomni«.

[2]) W liście z 20 lipca 1845 r. pisze Chopin do swoich: »Blizko Champ de Mars... znaleźli tu statuę grecką z marmuru, antyk bardzo pięknej roboty, wystawiający Herkulesa, *arrêtant la chèvre d'Amalthée*... Bardzo ciekawy sujet, bo tylko znany z kilku małych *pierres gravées*. Po decyzyi Komisyi... umieścili tę statuę zaraz *au Polais des Beaux-Arts* (tam, gdziem przeszłego roku zostawił Jędrzejowiczowstwo i wróciwszy, zastałem ich w sali, gdzie ów fresk w półkole *Delarocha*, wystawiający wszystkich sławnych artystów malarzy z rozmaitych czasów; czy sobie przypominają?)«.

[3]) W liście z 11 października 1846 r. pisał Chopin do swoich: »Do Jardin des Plantes zakupiono nowe grunta... Giraffa, którą, zdaje mi się, Jędrzejewiczostwo jeszcze widzieli, umarła«.

[4]) W liście z 12 grudnia 1845 r. pisał Chopin do swoich: »W *Hugonotach* tutaj w drugim akcie jest dekoracya z tego zamku (Chenonceaux); zdaje mi się, że Ludwika widziała«.

[5]) Wynika to z listu Chopina z 15 kwietnia 1847 r. gdzie opisuje wieczór, spędzony z Alkanem w teatrze Wodewil: »Zabawny Arnal, jak zwykle...«

[6]) »Spodziewać się należy — pisał Chopin d. 21 lipca 1845 r. do swoich — że pogoda będzie na obchody tegomiesięczne; tego roku nie tak jak Jędrzejewiczostwo przeszłego widzieli, ma być illuminowane. Otóż tego roku Pola Elizyjskie mniej będą uiluminowane...« »Zresztą Kalasantostwo muszą sobie przypominać, co to tłok w podobnych dniach«.

kiem myślano o żywych przyjaciołach, nietylko Fryderyka samego, ale i rodziny Chopinów, w pierwszym rzędzie o pani Hoffmanowej, z którą Ludwika, jako jej wielbicielka od czasów dzieciństwa, a dziś, jako autorka powieści o *Panu Wojciechu*, tyle mogła mieć sobie do powiedzenia. Jakoż nie omieszkano być u niej z wizytą. Szkoda wielka, że Witwickiego nie było w Paryżu, bo i z nim, jako z »panem Merym«, wiązała od dziecka Ludwikę przyjaźń serdeczna. Niestety, Witwicki, coraz bardziej zapadający na zdrowiu, bawił na kuracyi u Priesnitza we Freiwaldau. Nie było również i Fontany, który niedawno wyjechał do Ameryki. Za to był Albert Grzymała, z którym też dosyć czasu spędzano razem. Wogóle, ażeby się sobą nacieszyć za wszystkie czasy, prawie się nie rozłączano, wszędzie udawano się wspólnie, co nawet nie zawsze dogadzało Kalasantemu, który tym sposobem »nie miał dość wolnego czasu dla siebie« do biegania po Paryżu. Nie obeszło się i bez wizyt u francuskich przyjaciół Fryderyka, u Franchommów [1]), u Gavardów, u Leów, nie mówiąc już o pani Marliani i pannie de Rozières [2]). Stąd szereg zaproszeń, wizyt, rewizyt, przyczem naturalnie nie obeszło się i bez wieczorku u Chopina, na którym znów nie mogło się obejść bez muzyki, bez jego muzyki, której Jędrzejewiczowie tak byli spragnieni i ciekawi.

W ten sposób upłynęło dwa tygodnie blizko. W końcu lipca [3]) udano się do Nohant, gdzie tymczasem p. Sand, korzystając z chwilowego braku gości, świeżo ukończyła pisanie seryi artykułów p. t. *La Politque et le Socialisme.* Naturalnie, że gdy przyjechali Chopin i Jędrzejewiczowie, mniej miała czasu na pisanie, bo chcąc się okazać gościnną i serdeczną względem nich, musiała dbać o to przedewszystkiem, żeby sobie chwalili pobyt u niej, żeby z Nohant wywieźli jaknajmilsze wspomnienie. Nie ulega wątpliwości, że jeśli sobie zakreśliła taki cel, to go osiągnęła w zupełności, co jej zresztą przyszło o tyle łatwiej, że niezmiernie polubiła oboje Jędrzejewiczów, że do Ludwiki przywiązała się całem sercem, a »niedźwiedzia«, jak nazywała Kalasantego, nie mogła się dość nachwalić. A że i oni byli nią zachwyceni poprostu, więc nie upłynęło parę dni, a zżyto się z sobą tak, jakby wszyscy byli jedną rodziną. Jędrzejewicz ogromnie się zaprzyjaźnił z Châtiro-

[1]) W liście z Nohant d. 31 paźdz. 1844 r. pisze Chopin do Ludwiki Jędrzejewiczowej: »Franchomme poczciwy pisał do mnie i z bardzo kochanem sercem o Tobie on i żona jego«.

[2]) »De Rosières w każdym liście o Tobie pisze z tendressami; dziś (31 października 1844) mój list idzie na jej ręce i powiem od Ciebie dla niej wiele komplementów, bo warta. Nieprawda, że była usłużna?«

[3]) Jeszcze 23 lipca 1844 r. bawił Chopin z Jędrzejewiczami w Paryżu, jak tego dowodzi list do niego z tego dnia p. Goubaux, który mu pisał, że będzie czekał na skwerze »na niego i jego siostrę«. W każdym razie 1 sierpnia pisał już Chopin z Nohant list do Franchomme'a.



nem, z doktorem Papet'em, z którymi chodził na polowanie, Solange wprost przepadała za Ludwiką, a nawet Maurycy, choć najmniej skłonny do serdeczności, tak polubił Jędrzejewiczów, że zgodził się brać od Kalasantego lekcye języka polskiego [1]). Lecz przedewszystkiem każdy robił, co chciał, nie krępując się niczem i nikim. Z tej swobody, wspaniałomyślnie udzielonej wszystkim, pierwsza korzystała sama p. Sand, która nietylko poświęcała się swoim gościom, ale co dzień po parę godzin spędzała przy pracy nad nowym romansem, zatytułowanym *La Mare au diable*, który też, w miarę, jak postępował naprzód, czytała na głos Jędrzejewiczom [2]). Równocześnie pracowała nad dwiema innemi powieściami, nad *Izydorą* i *Teverinem*, które Jędrzejewiczowie odczytywali w manuskrycie. Tylko Chopin przez cały dzień nic nie robił, nie komponował, ale »łaził z kąta w kąt z Jędrzejewiczem«. Rano spotykano się przy śniadaniu, przy czekoladzie, przy której »gawędziło się« doskonale. Potem udawano się na spacer, przyczem naturalnie czas schodził głównie na rozmowie o wspólnych znajomych. Niestety, bardzo często musiano rozmawiać i o *rougetach*, t. j. o owadach, które tego lata boleśnie wszystkim dawały się we znaki, a które, kąsając i powodując swędzenie, szczególniej sobie upodobały Kalasantego [3]). Gdy upał nie był zbyt dokuczliwy, robiono wycieczki w okolice do Chatre, do Chateauroux, do Ars, do Vic etc. wycieczki, w których niekiedy uczestniczyli i tacy przyjaciele pani Sand, jak Leroux, Duvernet, Planet, Fleury, Duteil. W któreś święto wybrano się na uroczystość wiejską do Sarzay, gdzie Jędrzejewiczowie napatrzyli się różnym »kramarzom, kramom i tanecznikom rozmaitego kalibru«. Po zachodzie słońca, w ciepłe wieczory letnie, odbywano miłe siesty przed domem, lub też słuchano muzyki Fryderyka, który, chcąc uraczyć Jędrzejewiczów, chętnie zasiadał do fortepianu. Wogóle muzykowano niemało, grywając nawet na cztery ręce, przyczem raz Solange raz Ludwika zasiadały z Chopinem do instrumentu. Ale najwięcej przysłuchiwano się jego natchnionej grze. Naturalnie, że grał same swoje kompozycye, zwłaszcza najnowsze, które jeszcze nie były ogłoszone drukiem, a z których *Berceuse* stała się ulubionym utworem Ludwiki. Niemniej była zachwycona paru nowemi pieśniami Chopina, zwłaszcza *Ślicznym chłopcem.* Kilka z tych kompozycyi, mianowicie *Deux Nocturnes* Op. 55

[1]) W liście z Nohant, datowanym 20 lipca 1845 r. pisze Chopin do swoich: »Niech Kalasanty im nie daje lekcyi, jak Maurycemu tutaj, który rozmaite dotychczas wyrazy wygaduje, jak Wziwzina, Siuzam i t. d.

[2]) W liście z 20 lipca 1845 r. pisze Chopin do swoich: »Powiedzcie jej (Ludwice), że manuskrypt romansu, który tu czytany słyszała, jako autograf dano mi dla niej«.

[3]) »Ale i wy także macie wspomnienia miłe (z Nohant) — pisał Chopin 1 paźdz. 1845 r. do Jędrzejewiczów — więc się cieszmy tem, co było, i miejmy nadzieję, że przed skończeniem żelaznej kolei jeszcze się zobaczymy i że się jeszcze Kalasanty będzie drapał, pokąsany przez *rougety*, których tu tego roku mniej i hypoteza jest, że się przeszłego roku za bardzo Kalasantego objadły i pozdychały«.

i *Trois Mazurkas* Op. 56 właśnie w tym czasie, w sierpniu, w czasie bytności Jędrzejowiczów, wyszły u Schlesingera. Nokturny były dedykowane pannie Stirling, a Mazurki ukazały się z dedykacyą dla panny Maberly.

W końcu sierpnia Jędrzejewiczowie opuścili Nohant [1]). Fryderyk, wraz z synem pani Sand, oraz z manuskryptem jej ostatniego utworu, który miał oddać wydawcy, odwiózł ich do Paryża, gdzie jeszcze spędzono kilka dni razem. Przybywszy na Place d'Orléans, Ludwika zaraz napisała serdeczny list do pani Sand, z najserdeczniejszem podziękowaniem za gościnę, za życzliwość, jakiej oboje tyle mieli dowodów z jej strony, za prawdziwie macierzyńską opiekę, jaką otaczała Fryderyka.

Na list ten, bezpośrednio po jego otrzymaniu, pani Sand odpisała w ten sposób:

Chère Louise. Je Vous aime. J'ai le coeur gros de Vous avoir perdue et tout plein de tendresse et de besoin de Vous revoir. Laissez-moi espérer que Vous reviendrez, ou que Vouz trouverez un moyen pour que nous allions tous Vous voir à quelque frontière. Ne nous dites pas adieu, mais au revoir! Souvenez-Vous que je Vous aime de toute mon âme, que je Vous comprends bien, que je Vous mets à côté de Frédéric dans mon coeur. C'est tout Vous dire. Embrassez-le mille fois pour moi, et donnez-lui du courage. Ayez en aussi, ma chérie, que Dieu Vous parle, Vous soutienne et Vous bénisse comme je Vous aime. *G. S.*

Mille tendresses au bon Calasante.

List ten, tak serdeczny w tonie, jeszcze był adresowany do Paryża, gdzie go też Ludwika otrzymała na parę dni przed rozstaniem się z Fryderykiem. Im bardziej zbliżał się termin wyjazdu, tem większa żałość napełniała serca, wiedząc bowiem, że maluczko, a wypadnie się żegnać, nie wiedziano, czy się nie miano żegnać na zawsze, w każdym razie na jak długo. Bądź co bądź, robiono najrozmaitsze plany spotkania się za rok lub dwa, gdy tylko koleje żelazne, właśnie będące w budowie, zostaną ukończone. Tymczasem Fryderyk zaopatrzył Ludwikę w szereg listów polecających, do pani Diller w Heidelbergu, do pani Szaszek, do panny Müller i do Dessauera w Wiedniu, a nadto obiecał jej, że napisze jeszcze do pani Skarbkowej w Krakowie. Obiecał jej również, że po drodze, w Wiedniu i w Krakowie, zastanie

[1]) Między licznemi pamiątkami po Chopinie, ktore dziś posiada jego siostrzeniec, p. Antoni Jędrzejewicz w Warszawie, znajduje się także piękny różaniec przesłany przez panią Sand matce Fryderyka w upominku. Kiedy ta przesyłka została uskutecznioną, w jakim roku, przy jakiej okazyi? Nie wiadomo. Ale są pewne psychiczne dane, upoważniające do przypuszczenia, że to mogło nastąpić w roku 1844, w roku śmierci Mikołaja Chopina, i że pani Sand mogła prosić wyjeżdżających Jędrzejewiczów, by tę pamiątkę od niej doręczyli p. Chopinowej. Cokolwiekbądź nie przestanie być charakterystycznem, iż pani Sand, choć tak antiklerykalnie usposobiona, gdy jej wypadło przesłać pamiątkę dla matki Fryderyka, wybrała różaniec, jako najodpowiedniejszy upominek. W tym wyborze dała wielki dowód delikatności i subtelności uczuć, oraz dobrego smaku. Było coś poetycznego w tym jej pomyśle. Niewątpliwie też ujęła tem sobie Chopina i Jędrzejewiczów.



listy od niego, oraz że jej prześle odpis piosneczek pani Viardot, które słyszała śpiewane przez Solange, tudzież odpis jego muzyki do *Ślicznego chłopca*. W końcu nadszedł ostatni wieczór, który miano spędzić razem, a po którym nazajutrz rano Kalasantostwo mieli puścić się w powrotną drogę do Warszawy. Wieczór ten, który miał się stać pamiętnym dla obu stron, spędzono u Franchomme'ów, przeważnie na muzyce. Grał Chopin, grał Franchomme, grali obaj razem, a cudne tony wiolonczeli Franchomme'a, przy poetycznym akompaniamencie Fryderyka, nie dziw, że rozmarzyły Jędrzejewiczów, że wycisnęły łzy z oczu Ludwice, zwłaszcza, gdy pomyślała, że już jutro będzie oddalać się od ukochanego brata, że go znów zostawi na obczyźnie, samego, o setki mil od rodziny, od matki, od sióstr. Wszystko to, razem wzięte, musiało nastrajać melancholijnie... Nie mogło być inaczej [1]).

W końcu, jednego z pierwszych dni września, Jędrzejewiczowie wyjechali z Paryża, a Fryderyk wrócił do Nohant. Miał wracać razem z Maurycym, który nawet dlatego głównie pojechał do Paryża, ale gdy przyszło do czego, Maurycy został w Paryżu, a Chopin — dla którego to zresztą nie było niespodzianką — pojechał sam. Przybywszy do Nohant, niebawem otrzymał tu list z drogi od Ludwiki, pisany ze Strasburga, z rozrzewnieniem wspominający tych kilka rozkosznych tygodni, wspólnie przeżytych z nim razem, przyczem i o ostatnim wieczorze, tak rozmarzającym smętnymi tonami wiolonczeli Franchomme'a, znalazł się ustęp osobny, wielce pochlebny dla Franchomme'a (co mu zaraz Fryderyk anonsował w najbliższym liście).

Po upływie dwóch tygodni, w ciągu których Chopin zdobył się aż na dwa listy do Ludwiki, jeden do Wiednia, drugi do Krakowa, do wiedeńskiego dołączywszy przepisanego własnoręcznie *Ślicznego chłopca* oraz piosenki francuskie, przepisane ręką Solange, dnia 18 września, kiedy już według wszelkiego prawdopodobieństwa Jędrzejewiczowie stanęli z powrotem w Warszawie, napisała pani Sand, wspólnie z Fryderykiem, list do Ludwiki, w którym ją witała w rodzinnym domu, znużoną po trudach uciążliwej podróży, szczęśliwą z widoku zdrowych dzieci, matki i siostry.

Pierwsza część listu, pióra pani Sand, brzmiała, jak następuje:

Ma Louise chérie, nous ne vivons que de Vous depuis votre départ. Frédéric a souffert de la séparation comme Vous pouvez bien le croire, mais le physique a assez bien supporté cette épreuve. En somme votre bonne et sainte résolution de venir le voir a porté

[1]) Z czasów tej drugiej bytności Jędrzejewiczów w Paryżu (po powrocie z Nohant) zachował się liścik Chopina do Alberta Grzymały (w Muzeum Czartoryskich w Krakowie), brzmiący jak następuje:

Przyjechałem onegdaj w nocy. Z siostrą zawsze biegam, i codzień rano schodzi mi na niczem. Jak ciebie zobaczyć? Dziś ich prowadzę na Rachelę. Blizko ciebie będę. Może w nocy wpadnę, albo jutro rano. Jeszcze tu są poniedziałek a wtorek. Ściska cię Pani S. serdecznie. Twój stary *Ch.*

ses fruits. Elle a ôté toute l'amertume de son âme, et l'a rendu fort et courageux. On n'a pas gôuté tant de bonheur pendant un mois, sans en conserver quelque chose, sans que bien des plaies se soient fermées, et sans avoir fait une nouvelle provision d'espérance et de confiance en Dieu. Je Vous assure, que Vous êtes le meilleur médecin qu'il ait jamais eu, puisqu'il suffit de lui parler de Vous, pour lui rendre l'amour de la vie. Et Vous, ma chérie bonne, comment s'est passé ce long voyage? malgré toutes les distractions que Votre mari s'imaginait de Vous y faire trouver, je suis sûre que Vous n'aurez eu de consolation véritable qu'en retrouvant Vos enfants, Votre mère et Votre soeur. Goûtez donc ce bonheur profont de presser dans Vos bras les objets sacrés de Votre tendresse, et consolez les d'avoir été privés de Vous, en leur disant tout le bien que Vous avez fait à Frédéric. Dites leur à tous que je les aime aussi et donnerais ma vie pour les réunir tous avec lui un jour sous mon toit. Dites leur comme je Vous aime, ils le comprendront mieux que Vous qui ne savez peut-être pas tout ce que Vous valez. Je Vous embrasse de toute mon âme, ainsi que le mari et les enfants.

List Fryderyka, jest zwykle, pełen różnych prozaicznych szczegółów, zaczynał się w ten sposób: »Moje kochanie. Posyłam Ci piosneczki, coś słyszała jednego wieczora. Solange, która Cię kazała uściskać (dwa razy mi to przypominała), przepisała Ci z pamięci słowa, a ja muzykę. Mam nadzieję, żeście szczęśliwie stanęli, i żeście odemnie wiadomości w Wiedniu i w Krakowie mieli«. Z kolei, po różnych drobnych wiadomostkach bieżącej natury, po złośliwym przytyku pod adresem Maurycego, który dopiero za parę dni miał wrócić do Nohant, następował zasadniczy ustęp listu, tej treści: »Dziś śniliście mi się. Byleby ci ta podróż zdrowia nie nadwerężyła. Pisz mi słowo. Ja trochę marudzę od kilku dni... Ciotka tu jest pani domu z wychowanicą swoją; mieszka, jakem Wam pisał do Wiednia, w Waszej stancyi. Często jak wejdę, szukam, czy czego niema po Was i widzę tylko owoż samo miejsce przy kanapie, gdzieśmy czekoladę pijali i owe rysunki, które Kalasanty kopjował. Więcej po Tobie zostało się u mnie w pokoju: na stole leży haftowanie Twoje owego pantofelka, owinięte w angielską bibułę i na fortepianie ołóweczek mały, który był u Ciebie w pugilaresiku, a który mi doskonale służy«.

Ową »wychowanicą« ciotki pani Sand, była Augustyna Brault, którą pani Sand postanowiła adoptować. Chopin nie pochwalał tego zamiaru, a zapytywany w tej mierze, otwarcie mówił, co myślał. Swoją drogą nie potrafił przekonać pani Sand, która w tem widziała szczęście dla Solange, a zwłaszcza dla Maurycego, który ogromnie lubił Augustynę. Chopina, zaabsorbowanego kompozycyą *Sonaty H-moll,* którą też wykończył szczęśliwie, mało dotyczyła ta kwestya, a temsamem i obchodziła niewiele, lecz mimo to uważał, że podobna adoptacya nie miała sensu. Niestety, pani Sand, chwilowo rozkochana w Augustynie, była odmiennego zdania, co nawet niejednokrotnie stawało się powodem ożywionej dyskusyi poufnej między nimi...

W ten sposób upłynął cały październik, w ciągu którego Chopin rzetelnie pracował nad kompozycyą *Sonaty H-moll,* tak, że ją prawie miał wykończoną zupełnie. Wogóle czuł się dobrze tak, dalece, że od wyjazdu Jędrzejewiczów ani razu nie potrzebował kłaść się do łóżka. Co prawda, pogoda naogół była piękna, tak, że nie chciało się wracać do Paryża. Jakoż nie spieszono się z tem. Nawet Chopin, który »niestworzony do wsi« zawsze po pewnym czasie zaczynał tęsknić za Paryżem, nie myślał o wyjeździe przed drugą połową listopada, a pani Sand miała zostać jeszcze dłużej...



Otrzymawszy kilka listów od Ludwiki, z których się dowiedział szczegółowo, jak jej upłynęła cała podróż z Paryża do Warszawy, jak zastała matkę, siostrę i dzieci, napisał do niej Chopin d. 31 października obszerniejszy list, w którym między innemi donosił o następujących szczegółach swego życia w Nohant: »Müllerówna pisała mi, że szczęśliwa z Twojego poznania. Poczciwa, nieprawdaż?... Jeżeli teraz do Paryża pojedzie, to niejakiś czas jeszcze na mnie poczeka. Tutaj zapewne jeszcze parę tygodni zabawię. Liście nie opadły zupełnie, tylko pożółkły i pogoda od tygodnia, z czego Pani domu korzysta na rozmaite plantacye i urządzenie dziedzińca, na którym, pamiętasz, tańcowali. Będzie duży trawnik i klomby. Także projekt jest, od pokoju, gdzie bilard, naprzeciwko drzwi od jadalnego pokoju zrobić drzwi dające do *sery* (oranżeryi, jak u nas mówią), którą mają przebudować... Manuskrypt, com zawiózł, jeszcze nie drukowany i może będą procesa. Jeżeli do tego przyjdzie, będzie to na większą korzyść tutaj, a zawsze nieprzyjemność chwilowa. Pamiętasz, jak jadąc na spacer przez Vic (na drodze do Chateauroux) zatrzymywała się czasem pani domu i wchodziła odwiedzić chorą kobietę. Nie można jej było ocalić i parę dni temu na cmentarzu, tutaj przy ogrodzie, z wielkim płaczem córek ją pochowano. Także owa, do której Solange chodziła, nie przeżyła. Pamiętam, żem wyszedł raz z powozu na placu koło kolumny w Paryżu i poszedłem do ministerium skarbu z interesem do bardzo dawnego przyjaciela tutejszego. On nazajutrz przyszedł do mnie. Był to zacny i najdawniejszy przyjaciel ojca i matki Pani domu. On był przy jej urodzinach, on matkę pochował i do familii prawdziwie należał. Otóż wracając od jednego deputowanego, swego przyjaciela, z obiadu, spadł ze schodów i w kilka godzin umarł. Był to wielki cios tutaj, bo go kochali ogromnie. Słowem, od czasu widzenia Ciebie więcej smutku, niż wesołości... Pani domu Cię ściska, wiesz, jak Cię kochają, bo ci pisali«.

Przez to »pisali« należało rozumieć następujący list pani Sand do Ludwiki, wysłany do niej parę dni przedtem (niezawodnie w odpowiedzi na jej list z Warszawy):

Chère bonne amie. Je Vous aime, c'est mon refrain éternel et je n'en connais pas d'autre avec Vous. Aimez moi aussi. Soyez heureuse. Elevez Vos chers enfants avec Votre âme, ils seront parfaits. Pensez à Votre bon Fritz, Vous n'y penserez jamais plus qu'il ne pense à Vous. Il se porte bien. Il a encore passé cet été sans être alité un seul jour. Ma

fille a été fort souffrante des pâles-couleurs, la voilà guérie et triomphante. Mon fils Vous baise les mains. Nous Vous aimons tous, mais moi, je Vous adore.

Bon bon bonjour à Kalasant.

W listach Chopina pisanych tego lata z Nohant do siostry, mogły zwrócić na siebie uwagę bardzo serdeczne w tonie wzmianki o Solange. Oto np. co o niej pisał w pierwszym liście z d. 18 września: »Posyłam Ci piosneczki, coś słyszała jednego wieczoru. Solange, która Cię kazała uściskać (dwa razy mi to przypominała) przepisała Ci z pamięci słowa, a ja muzykę«. W liście następnym, z 31 października, znalazła się o córce pani Sand taka wiadomość: »Solange dziś słaba trochę, siedzi w moim pokoju i bardzo Ci się kłaniać serdecznie każe«. Jednem słowem, odkąd skończyła pensyę, Solange, pewna wyjątkowej sympatyi, jaką ją zawsze darzył Chopin, przy każdej sposobności dawała mu dowody, że ta jego sympatya opiera się na wzajemności, że właściwie w całym domu oni oboje rozumieli się najlepiej, że im najlepiej było z sobą, że przynajmniej jej było najlepiej, gdy mogła być z nim razem, w jego pokoju, gdy z nim mogła grać na cztery ręce, lub przysłuchiwać się jego muzyce, gdy grał dla niej wyłącznie, gdy razem we dwoje mogli pójść lub pojechać na spacer, i t. p. Ile w tem było kokieteryi ze strony Solange, a ile szczerości? Trudno przesądzać. Co pewna, że Solange miała całkiem wyjątkową sympatyę dla Chopina, podobnie, jak on dla niej, i że z natury była kokietką, co jej przychodziło o tyle łatwiej, że zawsze była bardzo ładną i ponętną, a teraz w r. 1844, po skończeniu pensyi, gdy miała lat szesnaście skończonych, rozwinęła się na piękną, wysoce pociągającą dziewczynę, świadomą swego uroku, jaki miała w oczach mężczyzn, i że już teraz zapowiadała się, jako niebezpieczny materyał na *une lionne,* którą stała się z biegiem czasu.

Śniada brunetka z czarnemi oczami swej matki, którą znacznie przewyższała urodą, ślicznie zbudowana, o silnie rozwiniętych kształtach, była to natura niesforna i nieokiełznana, a jednak pełna wdzięku, namiętna w uniesieniach, a nawet skłonna do czułości, ale naogół samolubna, posiadająca nierównie więcej wad charakteru, aniżeli zalet, raczej zła, niż dobra, ogromnie pewna siebie, niesłychanie bezwzględna i porywcza, skłonna do miłości, ale jeszcze bardziej do nienawiści, zmienna w swych uczuciach dobrych, ale stała w ujemnych, nie znająca, co to uległość i posłuszeństwo, ale za to sama wymagająca uległości i posłuszeństwa od innych, pełna szlachetnych porywów, ale i złych instynktów, zalotna i próżna, żądna sercowych podbojów, w których sama dała się ponosić swemu zmysłowemu temperamentowi, wogóle zmysłowa przedewszystkiem choć i uczuciowa także, przywiązująca wielką wagę do stroju, a zbytnica z usposobienia, żądna używania, a nie znająca żadnego moralnego hamulca, gdy chodziło o zaspokojenie zachceń czy kaprysów, słowem, natura egoistyczna i samowolna, ale bujna niezmiernie, mająca wiele warunków po temu, ażeby uszczęśliwiać



siebie, ale unieszczęśliwiać innych. Pani Sand, która ją znała na wylot, jak nikt inny, używała takich wyrażeń na określenie jej indywidualności: »belle et mauvaise« »mechante«, »assez aimable et fort divertissante«, »nature d'aigle«, »bon coeur, trop de violence dans le caractère«, »esprit trop indépendant«, »trop de légèreté et moins d'attention«, »humeur sauvage et fière«, »habitudes excentriques«, »une fleur sauvage«, »une plante epineuse de la fôret«, »invincible nature«, »nature non pas profonde, mais ardente et même enthousiaste«, i d. d. i t. d. Na zewnątrz przejawiało się to rozmaicie: do nauk się nie garnęła, tak, że ją zarówno w domu, jak na pensyi uważano za próżniaka, i to za upartego próżniaka, z którym sobie często nie umiano dać rady. Ale o ile z jednej strony nie lubiła się uczyć zadanych lekcyi, o tyle z drugiej strony należała do najinteligentniejszych i najzdolniejszych pensyonarek. Pod wieloma względami nieodrodna córka swej matki, po której odziedziczyła nietylko czarne oczy i temperament, ale i zdolność ładnego wypisania się, niby przywiązana do niej, ale przedewszystkiem zazdrosna o jej miłość do Maurycego, którego sama nie lubiła, ba, nienawidziła w głębi duszy, choć lubiła dokuczać innym, zwłaszcza służbie, nie mówiąc już o Maurycym, któremu sprzeciwiała się przy lada okazyi, jednak cieszyła się sympatyą całego otoczenia domowego, nawet tych, którym nieraz potrafiła dać się we znaki. Mimo to, wszyscy lubili ją, a wielu przepadało za nią. Była też muzykalną z natury i biegle grała na fortepianie, oraz śpiewała wcale ładnie. Miała również talent do rysunków, do malarstwa, przyczem namiętnie się lubiła rozczytywać w romansach swojej matki, dla której, jako dla powieściopisarki, była z niekłamanem uwielbieniem. Chopin lubił ją nadzwyczaj...

Inaczej rzecz miała się z Maurycym, którego nie lubił od początku, nawzajem nie lubiany przezeń. Nie brak na to dowodów w jego listach do Ludwiki już z r. 1844. Oto np. co o nim pisał w liście z 18 września: »Maurycego jeszcze niema, ale ma wrócić jutro, po jutrze. Pamiętasz, żem przepowiedział, wyjeżdżając stąd, że pocztą sam nazad wrócę i że cała nasza droga pocztowa na pokrycie pewnych konwenansów będzie«. W kilka tygodni później, w liście z 31 października, znalazła się znów taka niechętna wzmianka o Maurycym w przeciwstawieniu do Solange: »Brat jej (nie w jego naturze uprzejmość, więc nie dziw, jeżeli nic mi dla Twego męża nie kazał powiedzieć za ową machinkę do cygarów) wyjeżdża do ojca w przyszłym miesiącu na parę tygodni i zabiera wuja, żeby się nie nudził«. Każde z tych słów Chopina, gdyby je poddać drobiazgowej analizie psychologicznej, wskazuje wyraźnie, że uczuciem, które Chopin żywił dla syna pani Sand, była głęboka niechęć, niemal graniczącą z odrazą; że Chopin znakomicie sobie zdawał sprawę z tego, jak pospolitą i egoistyczną naturą był Maurycy, pomimo, że w sercu matki, choć i ta miała jasną świadomość jego wad, zawsze zajmował pierwsze miejsce, do czego może przyczyniała się jego uroda zewnętrzna, uroda południowego Włocha o śniadej cerze,

a nadewszystko wspaniałych oczach, oczach matki! Niestety, resztę odziedziczył po ojcu, którego gruboskórność cechowała go w każdym calu. Jak Solange była nieodrodną córką swej niepospolitej matki, tak Maurycy był nieodrodnym synem swego pospolitego ojca. Brutalny egoista z usposobieniem sybaryty i pasibrzucha, smakosz w zakresie jedzenia, wygodnicki w całym trybie życia, przedewszystkiem dbający o to, żeby być sytym i wyspanym, a przytem elegancko ubranym i podobającym się płci pięknej, instynktownie nienawidził Chopina, zazdrosny o jego wpływ na matkę, o jej miłość dla niego, miłość, którą uważał za uszczerbek dla siebie. Zarozumiały i pewny siebie, z instynktami despoty, wszystkich traktował z góry, wszystkim starał się narzucić swoją wolę, swoje zachcenia, nietylko służbie, która go nie lubiła, nietylko matce, która była słaba wobec niego, ale przedewszystkiem swojej siostrze, której chciał przewodzić, jako starszy od niej, co mu się zresztą nie udawało prawie nigdy. W każdym razie nie lubili się wzajemnie, a pani Sand nie miała żadnych złudzeń pod tym względem, o czem wymownie świadczy jeden z jej listów do Maurycego, znakomicie malujący jego stosunek do Solange. Oto wyjątek z tego listu, godny przytoczenia w oryginale: »Tu me mandes que ta soeur est plus sage, mais qu'elle pleure pour un rien. C'est peut-être *que tu lui fais trop sentir ton autorité.* Je t'ai recommandé de la tenir un peu, mais non *de la brutaliser et de lui faire de la peine.* Tu sais qu'elle est très sensible *aux paroles dures;* il faut la prendre par la douceur... Si tu voulais *trop faire le maitre,* tu diminuerais peut-être l'amitié qu'elle a pour toi. Songes que tu as des devosir très grands envers elle... Tu lui dois ta protection et tes conseils, *mais des conseils doux, tendres,* et propres à la persuader. Ta plus grande affaire en ce monde *est de te faire aimer d'elle.* Elle est, tu le sais, d'un caractère un peu singulier, très bonne, très aimante, mais très fière et très peu disposée à se soumettre *à la force.* Ce caractère là doit devenir très beau, si on le developpe par la persuasion et la tendresse; mais il peut devenir très rude et très malheureux, *si on le blesse.* Sois donc occupé à toute heure... du soin de te faire écouter et croire. Ne lui dis que des choses vraies; aie pour elle toutes les complaisances possibles. *Fais un effort sur toi-même,* pour sacrifier ton plaisir au sien, afin que quand tu lui refuseras quelque chose, elle soit bien sûre que c'est dans son avantage et *non selon ton égoïsme* que tu agis«. Ale Maurycy nigdy nie usłuchał tych zbawiennych rad swej genialnej matki, owszem, zawsze postępował względem Solange w ten sposób, że stale ranił jej najdrażliwsze uczucia, czem sprowadził ten ostateczny rezultat, że nietylko mu odpłacała pięknem za nadobne, ale go w końcu znienawidziła.

Nie pozostało to jednak bez psychicznego wpływu na wzajemny stosunek pani Sand do Chopina. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stosunek ten, tak harmonijny dotychczas, tak serdeczny i czuły, osiągnął teraz



w lecie roku 1844 podczas bytności Jędrzejewiczów swój punkt kulminacyjny, że odtąd coś zaczęło się psuć w tym stosunku, że do przyjacielskiej harmonii, wytwarzającej tak pożądaną atmosferę dla Chopina, powoli zaczęły się wkradać dysonanse, zrazu nieznaczne i lekkie, ale z każdym dniem rosnące w siłę, co oczywiście raz po raz zakłócało harmonię wspólnego pożycia, coraz bardziej zachmurzając jego pogodny horyzont. Pierwsza, która na to zwróciła uwagę, była sama pani Sand. Tylko, że omyliła się stanowczo, gdy chodziło o wskazanie przyczyny tego niebezpiecznego zwrotu. Według jej przekonania, jeżeli w Chopinie zaszła jakaś zmiana w tych czasach, zmiana w jego usposobieniu, które się stało bardziej nerwowem, a tem samem i nieznośnem często, to przyczyniły się do tego głównie dwie bolesne straty, jakie poniósł w ciągu dwu lat ostatnich, śmierć Matuszyńskiego, po którym nie mógł się pocieszyć w żaden sposób, i śmierć ojca. O tym przełomowym momencie w życiu Chopina, a zwłaszcza w jego stosunku do niej, tak pisze pani Sand w *Histoire de ma vie:* »Przywiązanie moje mogło sprawić ten cud i dać mu odrobinkę szczęścia i spokoju przez to jedynie, że Bóg łaskawy pozostawił mu jeszcze cokolwiek zdrowia. Tymczasem i ono widocznie zaczęło się mieć ku schyłkowi, a ja nie wiedziałam, jakich użyć środków do zwalczenia wzrastającej w nim drażliwości nerwów. Śmierć jego ojca, tudzież najlepszego przyjaciela, doktora Matuszyńskiego, zadały mu cios stanowczy. Katolicki dogmat przedstawia śmierć w strasznem świetle. Zamiast marzyć dla tych czystych dusz o lepszym świecie, Chopin miewał przerażające widzenia, a ja musiałam przepędzać całe noce w pokoju przytykającym do jego sypialni (w Nohant), by odganiać widma ukazujące mu się we śnie i na jawie. Myśl o własnej śmierci przedstawiała mu się w otoczeniu wszystkich zabobonnych przyborów poezyi słowiańskiej. Jako Polak, ulegał zmorom przesądnych podań ludowych. Te widma cuciły go, plątały w swe czarodziejskie koło, tak, że zamiast widzieć ojca i przyjaciela, uśmiechających się z promienistego nieba wiary, odpychał ich trupie twarze, lub szamotał się w ich lodowatym uścisku«. Jakkolwiek rzecz miała się istotnie, jedno spostrzeżenie nasuwa się samo przez się, że pani Sand tym razem okazała się złym psychologiem, że szukając przyczyny »wzrastającej drażliwości nerwów« Chopina w dogmatach katolicyzmu, w przesądnych podaniach ludowych słowiańskich, słowem, aż na tamtym świecie, zbyt daleko zapuściła się w swych poszukiwaniach, gdy tymczasem prawdziwa przyczyna wzmagającego się rozstroju Chopina, którą ona sama odnosiła do r. 1844, była bardzo blizko, tuż przy niej, w jej własnym domu, albowiem tą przyczyną, aż do tej chwili, do lata 1844 r., nie istniejącą, była Solange, która teraz właśnie, po trzech latach pobytu na pensyi w Chaillot, powróciła pod dach macierzyńskiego domu, a powróciła jako dorodna 16-letnia dziewczyna, mogąca, jako kobieta, i to kobieta z temperamentem, stworzona na »lwicę«, śmiało współzawodniczyć

z 40-letnią, już starzejącą się matką. Pani Sand zdawała się nie pamiętać, o tem, że Chopin zawsze od samego początku żywił szczególną sympatyę dla Solange, która to sympatya, powzięta do dziecka, łatwo mogła się przerodzić w inne uczucie, z chwilą, gdy to miłe dziecko rozwinęło się w dojrzałą dziewczynę, pełną zalotności i powabu, a żądną sercowego podboju. Z tego niebezpieczeństwa pani Sand widocznie sobie nie zdawała sprawy. Nie spostrzegła się, że z chwilą powrotu Solange z pensyi do domu, zjawił się nowy czynnik psychiczny, który miał wszelkie dane po temu, by nie pozostać bez wybitnego wpływu na dotychczasowy jej stosunek z Chopinem, a raczej na stosunek Chopina do niej, jako swej życiowej towarzyszki. Był to czynnik niebezpieczny, który mógł, ba, musiał poniekąd, sprowadzić poważne zmiany w tej zażyłości 34-letniego mężczyzny z 40-letnią matką 16-letniej córki. Bo nic łatwiejszego w takiej sytuacyi, jak powolna metamorfoza miłości dla matki w przyjaźń, a sympatyi dla córki w miłość... Co pewna, że z chwilą powrotu Solange do domu matki, który poniekąd był także i domem Chopina, sytuacya zmieniła się zasadniczo: tam, gdzie dotychczas królowała jedna kobieta, zwłaszcza w stosunku do Fryderyka, teraz zaczęły królować dwie: jedna podobna do przekwitającej róży, druga podobna do róży rozkwitającej: słowem dwie kobiety, które, gdy chodziło o miłość jednego mężczyzny, bardzo łatwo mogły się stać rywalkami. W każdym razie obie miały usposobienia tego rodzaju, że wprost nieuniknionym stawał się konflikt ich bardzo zdecydowanych charakterów, bardzo trudnych do wytworzenia harmonijnego stosunku, co już nie uszło baczności subtelnego biografa Solange, w taki sposób określającego ten stosunek matki do córki w roku 1844: »Chacune fournit à l'autre ce que celle-ci ne lui demande pas. La mésintelligence est déjà grave; ce sont desormais deux *femmes,* si jeune que soit Solange, deux femmes qui, se voulant mutuellement autres qu'elles ne sont, *ne pourront que se faire souffrir en développant des caractères rivaux*«. Komplikacyą, jeszcze bardziej zaostrzającą ten nieunikniony konflikt, był zły stosunek Solange z bratem, mającym pierwszeństwo w sercu matki, za czem poszło, że w bardzo krótkim czasie mimowoli i nieznacznie skrystalizowały się dwa stronnictwa w domu pani Sand, dwa stronnictwa, oczywiście zwalczające się wzajemnie. Stronnictwa te, między któremi prędzej czy później musiało przyjść do starcia, tworzyli: z jednej strony Maurycy i pani Sand, z drugiej Chopin i Solange. Jak Maurycy zawsze trzymał z matką, tak Chopin stale trzymał z jej córką, zwłaszcza gdy chodziło o Maurycego, którego niecierpieli oboje, a za którego pani Sand dałaby się posiekać. Te antagonizmy miały rozstrzygnąć o sytuacyi. Kiedy? To zależało od okoliczności.

Tymczasem nic nie zdawało się zapowiadać zwolna nadciągającej burzy. Życie w Nohant toczyło się zwykłym trybem, aż w końcu nadeszła chwila



wyjazdu Chopina. Nastąpiło to jednego z ostatnich dni listopada [1]). Pani Sand miała zostać jeszcze nieco dłużej. »Ponieważ — pisał Chopin do siostry — myślę parę dni przed Panią domu być w Paryżu z Janem, więc się nie troszcz o żadne wałki, ani poduszki, ani nic podobnego. Wszystko w domu trzeba będzie na nowo czyścić, urządzać, jak zwykle na zimę«. Jakoż stało się tak, jak przewidywał Fryderyk, z tą różnicą jedynie, że pani Sand nie w »parę dni« po nim przyjechała do Paryża, ale dopiero w połowie grudnia. Gdy stanęła na Square d'Orléans, gdzie już Chopin wszystko przygotował na jej przyjazd, odrazu rzuciła się w wir życia politycznego, gorąco agitując na rzecz Ludwika Napoleona Bonapartego, a równocześnie zaciągnąwszy się pod czerwony republikański sztandar Louis Blanc'a, jako współpracowniczka redagowanej przez niego do spółki z Cavaignac'iem *Reformy.* Jako autorka całej seryi artykułów o *Polityce i Socyalizmie,* które właśnie drukował Piotr Leroux w swoim *L'Eclaireur,* pani Sand miała wszelkie dane po temu, ażeby się stać jednym z najświetniejszych orędowników sprawy, propagowanej przez autora *Histoire de Dix ans.*

---

[1]) Kto wie nawet, czy przyjazd nie nastąpił jeszcze później, w grudniu dopiero. Albowiem *Gazette musicale* nie prędzej aż w styczniu podała wiadomość o powrocie Chopina. Wiadomość ta, zamieszczona w Nr. 1 z d. 5 stycznia 1845 r. brzmiała jak następuje: »Chopin est de retour à Paris; il rapporte une nouvelle grande Sonate et des variantes. Bientôt ces deux importants ouvages seront publiés«.

Nawiasem mówiąc, była to jedyna wzmianka o Chopinie w całych trzech rocznikach *Gazette musicale* z lat 1844, 1845 i 1846. W ciągu r. 1846, w całym roczniku *La France musicale,* znalazła się tylko taka wzmianka o Chopinie, w rubryce *Concerts et matinées musicales,* i to nie o Chopinie samym, ale z powodu koncertu niejakiej pani Mennechet: »Lorsque M-me Mennechet est assise à son piano, vous croiriez entendre résonner sous les doigts d'un sylphe, l'écho si doux de l'exécution poëtique de Chopin. C'est la même grâce voilée, la même délicatesse de touche, la même expression baignée de pleurs«. Jak na dwa pisma, specyalnie muzyce poświęcone i życzliwie do Chopina się odnoszące, jest to dziwnie mało, zwłaszcza, że w tychże pismach, i w *Gazette musicale,* i we *France musicale,* o innych muzykach, a nawet o muzykach polskich, o Kątskich, o Sowińskim, o Wolffie, wspominano przy lada okazyi. Widocznie, że tamci dbali o to, by o nich pisano jaknajczęściej, a Chopin do tego nie przywiązywał żadnej wagi.

Stanąwszy z powrotem w Paryżu, miał tu Chopin wizytę młodego hrabiego Władysława Tarnowskiego, jego entuzyastycznego wielbiciela, a przytem niepospolitego pianisty-dyletanta. Młody arystokrata polski, odwiedzając Chopina, zarekomendował się następującym listem polecającym od znakomitego skrzypka, Karola Lipińskiego:

Szanowny nasz ziomek, hrabia Tarnowski, udając się do Paryża, najusilniej pragnie poznać osobiście Męża europejskiej sławy, Fryderyka Szopena, którego imię chlubą stało się narodu. Z rozkoszą chwytam podaną mi zręczność, już to raz w chęci dogodzenia życzeniom prawdziwego miłośnika muzyki, którego jako oddawcę tego bileciku będziesz miał przyjemność poznać, jako też przypomnienia się Twej życzliwości, która między nami pomimo chwilowych przeszkód i oddalenia trwać zawsze będzie i trwać powinna. Nosząc w mem sercu uczucie pełnego uwielbienia dla Ciebie, Szanowny Mistrzu, wyznaję się Twym prawdziwym czcicielem. *Karol Lipiński.*

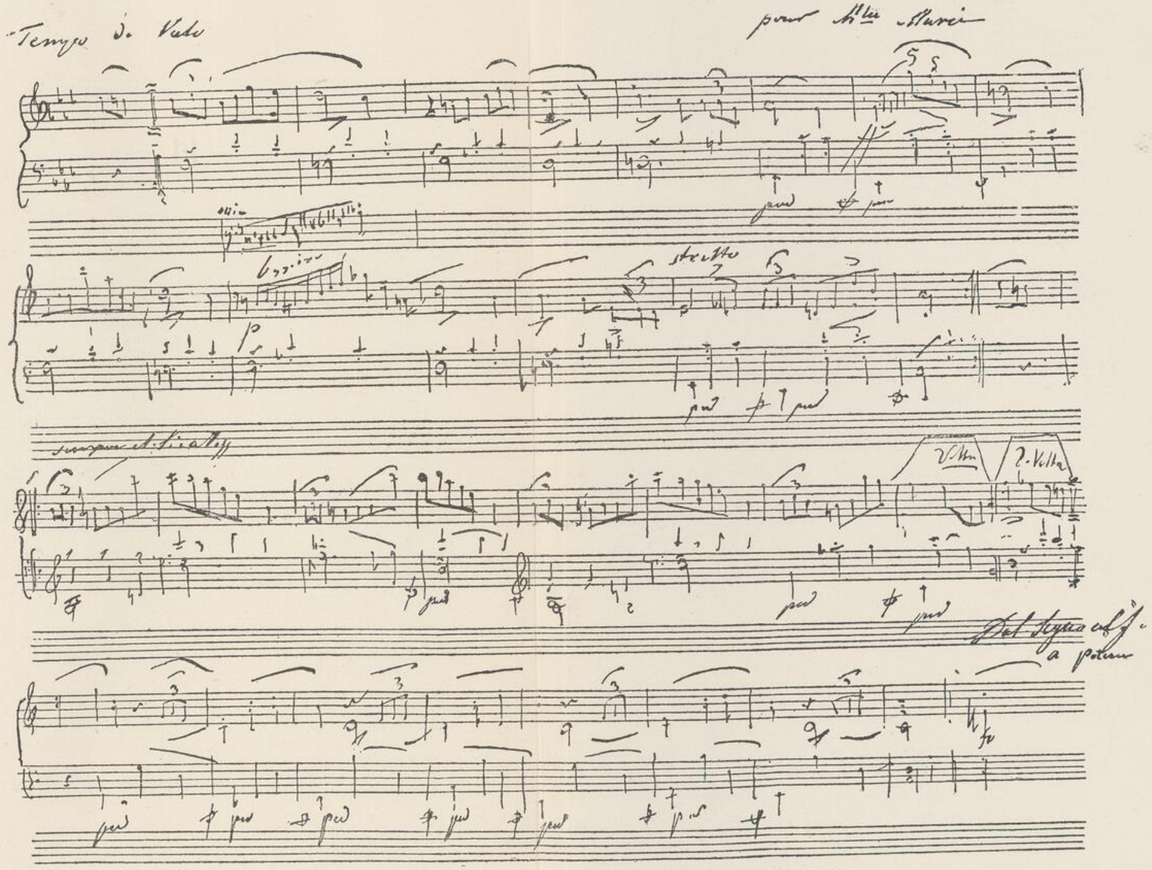
Drezno, 26 augusta 1844.

Co o tem wszystkiem myślał arystokratycznie usposobiony Chopin? Bądź co bądź, nie był to czynnik dodatni, ale ujemny raczej, jeżeli chodziło o jego stosunek do pani Sand. Bo zbyt daleko idąca różnica przekonań politycznych, nawet tam, gdzie w grę wchodzi miłość, nie zbliża, ale oddala ludzi od siebie... Że coś się zaczynało psuć pomiędzy nimi, tego dowód znalazł się w listach pani Sand do przyjaciół, w listach, w których do roku 1844 tak często znajdowały się dłuższe lub krótsze wzmianki o Chopinie, a w których od roku 1844 darmo szukać jego nazwiska. To przemilczanie o nim, choćby przypadkowe nawet, jednak było symptomatyczne: oznaczało zwrot w niepożądanym kierunku, a temsamem nie wróżyło nic dobrego...
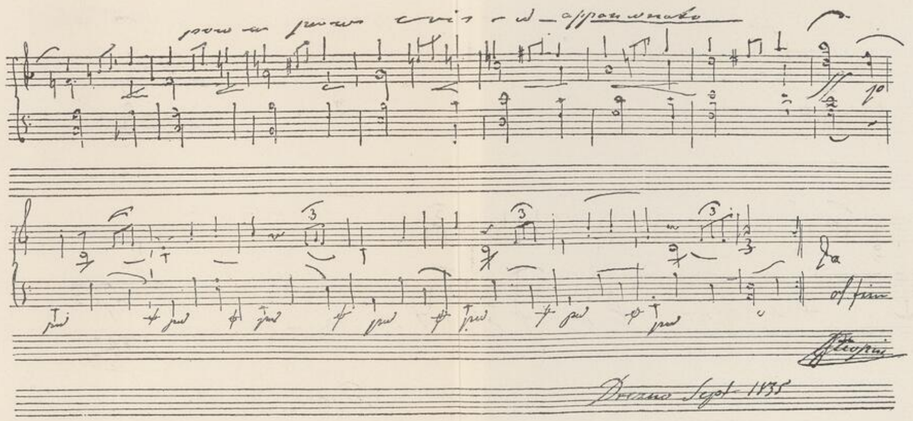
KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Zbiory Stowarzyszenia I. F. C.

INSTYTUT FRYDERYKA CHOPINA SEKCJA MUZYCZNA BIBLIOTEKA




Facsimile autografu Walca F-moll, ofiarowanego przez Chopina Maryi Wodzińskiej.


Dresden Sept. 1835

# TREŚĆ TOMU II.


Str.

**CZĘŚĆ DRUGA: PARYŻ (1831—1849).**

KSIĘGA PIERWSZA:

**Pierwsze lata w Paryżu (1831—1838).**

Rozdział I.

»En passant par Paris« (1831—1838) . . . . . 3—154

Rozdział II

Marya Wodzińska (1835—1838) . . . . . 155—225

KSIĘGA DRUGA:

**George Sand (1838—1848).**

Rozdział I.

Romans (1838—1839) . . . . . 229—305

Rozdział II.

Przyjaźń (1840—1844) . . . . . 306—532

Trasser de la épreuve √
à bitter

Travaux Ph...

817
NARODOWY
INSTYTUT
FRYDERYKA
CHOPINA
B/1

F. HOESICK

# CHOPIN

## ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

TOM II.
(1831 — 1845)

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOES
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SP
1911

